BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Biblioteka

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1874.

Tom pierwszy.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główna w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

1874.

Дозволено Цензурою

Варшава, 24 *Декабря 1873 года.*

W Drukarni Józefa Bergera—w Warszawie, ulica Daniłowiczowska Nr. 619.

WARSZAWA

I JÉJ SPOŁECZNOŚĆ,

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA.

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

Druga połowa naszego stulecia dobiega, gdy się wiek XIX-sty rozpoczął: z téj właśnie doby od 1800 do 1830 pragniemy skreślić tak wizerunek Warszawy jak i jéj społeczności, zostawiając innym późniejsze lata.

W żywéj pamięci mamy wyryte te czasy, boć to gniazdo rodzinne, w którém wedle dawnéj piosnki „przeskakałem wiek młody“ i tu szron siwizny ubielił głowę.

Grodzie ukochany! ten co się wykołysał na twoim bruku, rozbudza teraz w strudzonéj głowie twoje i swoje wspomnienia. Myśli puszcza jak sokoły w upłynioną przeszłość, aby mu przyniosły z owego świata co w rzeczywistości zamarł, te widoki staréj siedziby, obudził te postacie, co oddawna spoczęły w mogiłach.

Ludowa powieść mówi, że kto w oznaczonéj chwili na wiosnę, z wierzby co nie słyszała nigdy piania koguta, wykręci fujarkę, a na niéj pod *figurą* przy rozstajnych drogach, o saméj północy w wigilię św. Jana, gdy *paproć* kwitnie, zagra: to na to granie, mogiły się otworzą, zmarli oddawna zmartwychwstaną w swéj własnéj postaci, żyć zaczną dawném życiem i mówić poczną jak kiedyś mówili.

Niestety! nie znamy tak cudownego narzędzia, ale przy Bożéj pomocy, gdy myśl się uskrzydli i odmłodzi drogiém wspomnieniem, może choć w części odpowie pragnieniom naszym i doda siły do wiernego malowidła, co opona pół wiekowa, cieniem swoim pokryła.

I.

Zewnętrzna postać miasta.—Obszar Warszawy.—Stare Miasto.—Rynek.—Ratusz miejski.—Processya Bożego Ciała.—Zajęcie Warszawy przez Karola Gustawa.—Jan Kazimierz.—Szturm do miasta.—Generał Wirtemberg.—Zdobycie.—Bitwa pod Pragą.—Zajęcie powtórne przez Szwedów.—Zburzenie dawnych fortyfikacyj —Czasy księztwa Warszawskiego.

Wszystkie cechy średniowiecznego grodu nosiła na sobie Warszawa, na początku bieżącego wieku: ślady nawet swoich dawnych przechowała warowni.

Nie wielką téż przestrzeń zajmowało samo miasto, lubo przedmieścia nie zabrukowane, zubudowane z rzadka małymi drewnianemi dworkami, daleko się rozciągały.

Przybywający od strony przedmieścia *Pragi,* miał przed oczyma do razu rozwinięty piękny obraz dawnéj stolicy, wzniesionéj na wzgórzu po nad Wisłą.

Z téj strony widok Warszawy mało się odmienił: żadna wyniosła wieża kościelna nie wybiegła po nad inne, tylko przerwa między domami wydatna; czerwone mury cytadeli zamykają z lewego wybrzeża miasto od strony Bielan.

Zniknęło dużo zieloności, gdy ogrodów wiele wycięto, a w ich miejsce, nieznane dawniéj wysokie kominy fabryk, wyskoczyły po nad obszerne budynki.

Za to podróżny wjeżdżający od Mokotowa, Woli, Powązek, znajduje wielką różnicę. Obszerne niegdyś pola i pustkowia zajęły długie ulice, zabudowane wspaniałemi domami: części miasta ciche, głuche i bezludne, teraz pełne nieustannego ruchu i gwaru. A bywało, przebywszy już rogatki miasta, zdawało się że to długa ciągnie się wioska; gdzie niegdzie tylko zwracała uwagę kamieniczka murowana piętrowa, a jak *raróg* rzadka budowla o dwóch piętrach, i ta nosiła wtedy nazwę pałacu. Dworki drewniane zdala od siebie stojące poprzedzielane to płotami, to parkanami, ciągnęły się wzdłuż całego Nowego Świata od okopów do Wareckiéj ulicy: koniec właściwego miasta był z rogiem Święto Krzyskiéj.

Do dalekich wycieczek należały *Łazienki królewskie,* do których po wielkiéj ulewie nie łatwy był przystęp dla pojazdów i dorożek, albowiem potoki wody robiły na drodze spadzistéj do *mostu króla Sobieskiego,* głębokie w piaszczystym gruncie wyrwy, których ominąć nie można było, a przebyć niepodobna. Sam pamiętam, jak z przedsięwziętéj wycieczki do tego ustronia, trzeba było z wielkim żalem zawracać do domu, nie ujrzawszy pałacu ani parku, i nieodetchnąwszy jego świeżém powietrzem.

Ulice Nowy-Świat i Aleje, był to ciąg nie przerwany ogrodów owocowych i warzywnych, które aż nadto wystarczały na ludność nie

wynoszącą ośmdziesiąt tysięcy. Dodajmy, że długie szeregi takichże ogrodów, ciągnęły się po bocznych ulicach i obszernych placach. Słynęła też w on czas Warszawa z wybornych owoców i jarzyn, które mały zarobek ogrodnikom przynosiły, z powodu ich ceny zbyt nizkiéj dla swéj obfitości.

Warszawa straciwszy tytuł i znaczenie stolicy obszernego państwa w ostatnich latach XVIII stulecia, przeszedłszy pod panowanie pruskie, nagle zaczęła upadać. Jako miasto prowincyonalne, bez handlu i przemysłu, opuszczona przez dwór królewski, panów i szlachtę bogatszą, do razu opustoszała. Dwa wspaniałe niedawno pałace Radziwiłłowskie na Krakowskiém Przedmieściu (Namiestnikowski) i na Miodowéj ulicy (poźniejszy Paca), w których za panowania Stanisława Augusta bawiono się tak ochoczo przy stołach karcianych zasypanych złotem, przy strugach kosztownych win, w towarzystwie pięknych pań najwyższych domów, poszły w ruinę. Tak było i z pałacami książąt Jabłonowskich (gdzie dziś ratusz), *Resursy kupieckiéj* i wielą innemi.

Mieszkańców zamożnych coby dostatnio chcieli żyć w mieście, jak przed laty, zabrakło: wszystko wyniosło się na wsie do swych dworów. Urzędnicy, od posługacza do najwyższego pana radcy, sami niemcy, skromnie żyli i najtańsze zajmowali mieszkania. Obszerne apartamenta stały pustkami i wielkie domy i pałace spadły za bezcen. Dosyć powiedzieć, że ogromny dom pod filarami (dziś Dyzmańskich) wychodzący na dwie ulice Miodową i Podwale ofiarowano za 30,000 złp. ówczesnych, a przechodni dom Rezlera na Krakowskiém Przedmieściu za 36,000 złp. i nabywców trudno było znaleźć. Nie przynosiły bowiem żadnego prawie dochodu, a utrzymanie ich i podatki wymagały ciągłych wydatków.

Głównem sercem Warszawy było *Stare Miasto* wraz z Zamkiem królewskim. Rynek prostokątny zdobił starożytny ratusz, pozostałość jeszcze z okresu panowania udzielnych książąt Mazowieckich, których główną stolicą była Warszawa, jakkolwiek licząca się do daleko późniejszych grodów od Czerska, Płocka i wielu innych. Był to gmach, jak na owe czasy okazały, murowany, z wyniosłą wieżą. W około ganek żelazny dla trębaczy, u wierzchołka gałka złota z powietrznikiem, a nad nią herb miasta *Syrena*. Posadzki i schody kamienne, a idąc niemi w ścianach obustronnych tablice marmurowe, na których w wierszach łacińskich i polskich, ważniejsze zdarzenia do kroniki miasta były wyryte.

W *sądowéj Izbie* i przybocznych komnatach zawieszone portrety książąt Mazowieckich i królów panujących. Pomiędzy temi odznaczał się wielki obraz przedstawiający w całych postaciach ostatnich książąt Mazowieckich Stanisława i Janusza, oraz ich siostry Anny, po których zgonie Mazowsze włączoném zostało ostatecznie do Korony. Byli to bowiem jedynyni potomkowie po mieczu z linii Piastowskiéj panu-

jącéj na udzielném Mazowszu [1]). W sądowéj izbie stał posąg *sprawiedliwości* z zawiązanemi oczyma, w jednéj ręce *miecz*, w drugiéj *szalę* trzymający. W około murów ratusza zaległy liczne kramy i stragany: przy jednéj jego ścianie od strony katedry stał pręgierz, gdzie kat ścinał mieczem skazanych lub piętnował rozpalonem żelazem. Mieszkańcy Starego Miasta wieczorem omijali go z trwogą, mówiono bowiem powszechnie i wierzono temu, że niewinnie stracona służąca jakiéjś wielkiéj pani, ścięta mieczem kata, po zachodzie słońca staje na tym pręgierzu, trzymając własną głowę pod pachą, obchodzi ratusz i cały rynek w około.

Ze czterech stron zabudowanym jest rynek ten kamienicami rozmaitego kształtu i architektury. W ścieśnionych szeregach obok siebie przytulone, mają podwórza zaledwie dla światła wewnętrznych okien i to nie osobliwego przydatne, obliczone skrupulatnie na to, nie żeby dały wygodę dla mieszkańców konieczną i oddech świeżego powietrza, ale żeby jak najmniéj ziemi zajmowały. I nie mogło być inaczéj w piérwotnym planie, albowiem miasto całe było obwiedzione grubemi murami, warownemi bramami i basztami, mając służyć zarazem i zaksiążęcą stolicę, i za bezpieczną fortecę. Jako zabytek tych fortyfikacyj pozostały do naszego okresu dwie bramy: *Krakowska* i *Nowomiejska*, które w naszych oczach zburzono.

Jak szczupłym był gród Warszawy po włączeniu już Mazowsza do Korony, dowodzi najlepiéj szczegółowy opis, gdy w 38 lat późniéj, bo w roku 1564 za Zygmunta Augusta, Stare Miasto z Zamkiem i przybocznemi ulicami liczyło wszystkiego sto pięćdziesiąt cztery kamienic murowanych.

Rynek Starego Miasta wspaniale szczególniéj wyglądał w uroczystość *Bożego Ciała*.

Po pod kamienicami, szeregami stało wojsko pod bronią, za niém lud gromadnie. Ze czterech stron wznosiły się ołtarze.

Pod okazalym baldachinem postępował arcybiskup, otoczony orszakiem wyższego duchowieństwa i kleru. Dym wonnego kadzidła wzbijający się wśród starych murów gęstą chmurą, odgłos dzwonów katedry i poblizkich kościołów, połączony ze śpiewem pieśni pobożnéj tylu tysięcy chórem wznoszonéj; powaga i majestat całego obrzędu, nie startémi wspomnieniami wyrył się w pamięci każdego, kto go oglądał.

Wązkie ulice wiodły w różne strony miasta: Święto Jańska i Piwna do królewskiego Zamku.

Plac przed nim dziś otwarty, zapełniały kamienice trzy i czteropiętrowe, a poza Bramą Krakowską, czyli wjeździe do téj siedziby mo-

---

[1]) Obraz ten wielce ciekawy pod względem kostiumów, współcześnie za ich życia malowany, dochował się jeszcze w nowym ratuszu Warszawy.

narszéj, już na Krakowskiém Przedmieściu, wznosił się dotąd stojący posąg Zygmunta III. Pomnik ten wzniósł syn jego Władysław IV i słusznie, bo Warszawa zawdzięcza mu swój wzrost następny, gdy z Krakowa przeniósł do niéj stanowczo około roku 1610 stolicę państwa, lubo w niéj już poprzednio przemieszkiwał. W dziejach Warszawy najwydatniejszym jest wypadek, godny zachowania, o którym zaraz powiemy, albowiem on wpłynął przeważnie na jéj rozwój w następnych latach.

Kiedy w roku 1655 Karol Gustaw król szwedzki najechał Polskę, w towarzystwie Hieronima Radziejowskiego, trwoga jakby gniew Boży, taka padła na wszystkich, że co żyło w popłochu przed zwycięzkiemi chorągwiami najezdnika uciekało, albo się z pokorą korzyło.

Jan Kazimierz z Warszawy spiesznie uchodził, i stolica bezbronna łatwo w ręce Szwedów wpadła. Ale ci ocenili dobrze strategiczne jéj stanowisko i jako silną warownię osadzili dobraną załogą.

Stanął na jéj czele doświadczony generał Wirtemberg, a mając dwa tysiące wprawnego do boju żołnierza, w tak szczupłym obrębie murów, był pewnym że wszelkie pokuszenia o zdobycie Warszawy potrafi odeprzéć. Jakoż wkrótce i wypadki to poświadczyły.

Kiedy po cudownéj obronie Kordeckiego *Jasnéj-góry*, król Jan Kazimierz wrócił z tułaczki po obcych ziemiach i stanął na czele silnéj armii, bo wraz *z pospolitém ruszeniem* wynoszącéj do stu tysięcy wojska; podstąpił pod Warszawę, ażeby co rychléj stolicę ojca swego z rąk szwedzkich wyswobodzić. W pomoc mu przybyły hufce Tatarów, dwadzieścia tysięcy jeźdźców i wtedy pierwszy raz miasto nasze ujrzało ogorzałe oblicza, śniadych pohańców z małémi a błyszczącémi oczyma, w kołpakach baranich i kożuchach, te dzikie dzieci Perekopu i Krymu z szablą u boku i z sahajdakami strzał pełnych na plecach.

Król założył główną kwaterę w dawnym zamku książąt Mazowieckich (*Ujazdowie*) oddalonym od Warszawy. Wkrótce nakazał szturm do miasta, gdyż spieszył na odsiecz Wirtembergowi Karol Gustaw wraz z elektorem Brandeburskim.

Za daném hasłem rzucono się ku murom warownym. Wirtemberg chciał powstrzymać pierwsze natarcie i wycieczką z *Bramy Krakowskiéj* sam kierując, rozpoczął żywą walkę przy kościele *Bernardynów*, a następnie i w samém wnętrzu świątyni. Naciśniony jednak i schwytany już przez jednego z Mazurów, zaledwie, zostawiwszy pendent z pochwą od swéj szabli, potrafił się wymknąć i cofnąć do miasta.

Bito się zawzięcie. Szlachta mazowiecka stawiając drabiny na mury *Bramy krakowskiéj*, daremnie zdobyć je pragnęła. Celnym ogniem piechoty szwedzkiéj rażona, trupami zasłała ziemię przy posągu Zygmunta III.

Generał szwedzki zmiarkowawszy że przed taką nawałą, z zapałem idącą do boju, długo nie wytrwa, wysłał trębacza z warunkami *kapitulacyi* miasta, zastrzegając sobie swobodne wyjście całéj załogi

z bronią w ręku. Król dla powstrzymania rozlewu krwi i prędszego zajęcia swéj stolicy, warunki te przyjął, gdy w téjże chwili, oddział wojska z *pospolitém ruszeniem* od bramy *Nowomiejskiéj* w pobliżu kościoła Paulinów, przemógłszy długi opór, wpadł do środka miasta, i przez ulicę Gołębią już dotarł w rynek Starego Miasta.

Kapitulacya wtedy znaczenia nie miała, i Wirtemberg wraz z całą załogą zmuszony broń złożyć wzięty do niewoli, osadzony w Zamościu, tam wkrótce dokonał życia.

Niedługą była jednakże radość z odniesionego tryumfu; zbliżał się szybkim marszem Karol Gustaw z zastępami Szwedów i Brandeburczyków.

Jan Kazimierz wystąpił na równiny poza Pragą, na ich przyjęcie.

Pierwszy dzień zapowiadał pewne zwycięztwo. Chorągiew trzystukonna kwiatu rycerstwa *hussaryi* skrzydlatéj, uderzyła na Szwedów.

Jak taran niepowstrzymany, rozbiła trzy linie nieprzyjacielskie. Karol Gustaw przewrócony z koniem zbladł z trwogi. Hufiec hussaryi przebija się aż do tylnéj straży nieprzyjacielskiéj, ale nie poparty lekką jazdą, gdy król szwedzki oprzytomniał z przerażenia i zamknął roztwarte szeregi, otoczony, w pień wycięty został.

Błąd ten już się nie dał poprawić, po dwóch dniach następnych walki, Jan Kazimierz do cofnięcia się zmuszony, a szczęśliwy zwycięzca wszedł napowrót w mury opuszczonéj Warszawy.

Wtedy powziął myśl dla niéj szczęśliwą zburzenia fortyfikacyi, niechcąc osadzeniem załogi osłabiać swych chorągwi, ani dozwolić téż nieprzyjacielowi, ażeby tu miał gród warowny, mogący zatrzymać w pochodzie niemałe zastępy.

Z niesłychanym pośpiechem zwalono grube mury wzdłuż ulicy Podwale i od Wisły, ale niepodążono znieść bram warownych i baszt obronnych, bo Karol Gustaw teraz sam musiał myśléć tylko o uwiezieniu bezpiecznem ogromnych łupów zdobytych w Polsce, tak w bogatych sprzętach, srebrnych i złotych naczyniach, jak przedmiotach sztuki pędzla i dłuta, a zarazem bibliotek, które spławiał berlinkami po Wiśle do Gdańska i na Baltyk.

Teraz Stefan Czarniecki na zwycięzkich dotąd Szwedów, rzucał popłoch niezwyczajny; jak szybko posuwali się w głąb kraju, szybciéj zaczęli uchodzić na stojące w pogotowiu okręta.

Warszawa od téj chwili przestała być warownią, już murów ani baszt zrujnowanych nie naprawiano, rok rocznie tylko zajmowano się uprzątaniem gruzów, a Stare Miasto zaczęło się coraz ściśléj łączyć w nierozerwane ogniwa z Krakowskiém Przedmieściem i Nowém Miastem.

Tak za czasów Stanisława-Augusta, jak w późniejszych okresach księztwa Warszawskiego i początkach królestwa Polskiego, powolnie rozszerzała się i zdobiła Warszawa.

Okres księztwa Warszawskiego który podziwem badacza przejmuje, na tyle prac znakomitych dokonanych, w wprowadzeniu kodeksu Napoleona I, organizacyi sądów i administracyi rozumnéj w całym kraju, nie był przychylnym dla saméj Warszawy.

Były to bowiem czasy wojenne: liczne przechody wojsk francuzkich od końca 1806 roku, Napoleona I, rabując mieszkańców i odzierając ich z mienia, długo w smutnéj zachowały się pamięci. Warszawa, dumnych zwycięzców darmo karmić musiała, a ci zabierali ze stołów srebra na ich przyjęcie zastawiane i bieliznę stołową [1]).

Wielkie kwaterunki i bezprawia żołnierzy zwycięzkiéj armii, któréj poskromić czy nie chcieli czy nie umieli wyżsi oficerowie, zubożyło do szczętu Warszawian.

Zaledwie miasto oddychać zaczynało, gdy książe Ferdynand d'Este niespodzianie naszedł w 40,000 armią księztwo Warszawskie, i po bitwie o mil dwie od miasta, pod *Raszynem*, gdzie poległ żołnierz-poeta pułkownik Cypryan Godebski, wszedł do Warszawy. Niedługo przecież, wskutek zwycięztw Napoleona I opuścił ją tajemnie w nocy w samo *Boże-Ciało* 1809 roku. Radość z oswobodzenia od Niemców i Węgrów krótko trwała; mieszkańcy na nowo ponosić musieli wielkie ciężary nakładane na nich w dostarczaniu wszelkich potrzeb dla wielkiéj armii.

Lata 1812 i 1813 najniepomyślniejsze były dla miasta, i gród nasz odetchnął nieco po upadku Napoleona I i nastałéj ciszy w całéj Europie.

II.

Krakowskie Przedmieście.—Posąg Zygmunta III.—Próżniak Zygmuntowski.—Dom Rezlera.—Pałac Kazanowskich.—Kamienica Wasilewskiego.—Ignacy Krasicki.—Wieczory uczone.—Elżbieta Grabowska.—Franciszek Salezy Krasicki.—Młoda jego małżonka.—Śmierć jéj nagła.—Zofia de Pugett Lhullier.—Przedłużenie Krakowskiego przedmieścia.—Fara.—Ulica Święto-Jańska.—Piwna.—Zapiecek.—Handel ptastwem.—Kamienica książąt Mazowieckich.—Ulica Podwale.—Doktor Leopold Lafontaine.

Od roku 1806 do 1815, a zatém przez lat dziewięć istnienia księztwa Warszawskiego, nietylko że żaden dom nowy w Warszawie nie przybył, ale nie zdołano należycie uprzątnąć gruzów i ruin z dwóch pałaców Radziwiłłowskich (Namiestnika i Paca); domu na Podwalu (dziś Mrozowskiego) i wielu innych. Na obszernych tylko przedmieściach wzniesiono kilkanaście drewnianych dworków, które nie należały do miasta.

---

[1]) Słyszałem od biskupa Prażmowskiego, że kiedy podejmował w Pułtusku cesarza Napoleona I, z jego marszałkami i świtą, i kazał srebra zastawić: po uczcie goście obecni zagrabili takowe. Gdy się biskup uskarżał na to

Praga straciła nawet piękny a jedyny swój kościół Bernardynów, który Francuzi dla względów strategicznych rezebrali, pozostawiwszy tylko małą jego kapliczkę dotąd istniejącą.

Wśród tak nieprzyjaznych okoliczności Warszawa niczém swego starego oblicza nie zmieniła przez lat zgórą piętnaście, zwolna się jednak porządkowała. Tak zwalono ratusz w rynku Starego Miasta, zburzono bramę Krakowską i kamienice zajmujące plac zamkowy, rozebrano bramę Nowomiejską. Z pod bramy Krakowskiéj przeniosły się słynne przekupki warszawskie w części na Stare, w części na Nowe Miasto; a przy wzniosłym posągu Zygmunta III, obsiedli tragarze i pilarze drzewa, którzy dali początek przysłowiu czysto miejscowemu: „*Próżniaka Zygmuntowskiego*," po całych bowiem dniach od poranku do wieczora, gromady ich, nietylko u stopni tego pomnika wyczekiwały na robotę, ale rozsiadały się w pobliżu na schodkach i progach kamienic pobliższych, spoglądając w nieczynności na wszystkie strony, czy kto nie zawezwie ich do roboty.

Krakowskie Przedmieście rozwijające się w tym okresie od zamku i kolumny Zygmunta, aż do kamienicy Wasilewskiego, która go zamykała (jak skwer dzisiejszy), należało do najokazalszych części miasta.

Po prawéj stronie idąc od zamku, w rzędzie domów odznaczał się dom przechodni Rezlera, dawna własność Hieronima Radziejowskiego. Miejscowa tradycya utrzymywała, że dom ten miał być głównym powodem wojny szwedzkiéj za Jana Kazimierza i napadu Karola Gustawa. Kiedy bowiem Radziejowski dotknięty został wyrokiem *banicyi* i wypędzony z kraju, namówił króla szwedzkiego do najazdu obiecując mu pomoc licznych swoich przyjaciół i stronników. I nie zawiódł się na téj obietnicy Karol Gustaw, bo gdy wszedł do Wielko-Polski, sto tysięcy zbrojnéj szlachty zamiast bić się, gdy wytoczono za poradą Radziejowskiego beczki z winem i wezwano do puharów z podbechtania stronników tego bannity, zdrowie jego ochotnie duszkiem spełniało, opuszczając sprawę narodu i nieszczęśliwego Jana Kazimierza [1]).

Napoleonowi I, ten zbył go krótką odpowiedzią: „Cóż robić, to czasy wojenne."

[1]) W roku 1826 pokazywano mi w Poznaniu dom na rynku wprost ratusza, tak zwany „pod daszkiem," gdzie był jeszcze sławny handel win węgierskich. Budowla stara, drzwi wchodowe osłaniał daszek, a nad nim duże okno od sklepionéj komnaty. W niéj to Karol Gustaw wtedy pijąc zdrowie nowych swych przyjaciół w otwartém oknie, straciwszy równowagę, wypadł z niego i byłby zabił się na bruku, gdyby się na tym daszku nie zatrzymał.

Po przeciwnéj stronie przy kościele księży Bernardynów, stary pałac Kazanowskich, słynny z przepychu za czasów Władysława IV; o jego ozdobach wewnętrznych i bogactwach jako téż sprzętach kosztownych, serwisach złotych i srebrnych, czytamy opisy pełne podziwu Francuza, sekretarza pani de Guebriaud, (co z Paryża przywiozła Maryę Ludwikę małżonkę tegoż króla), który wyznaje, iż nic podobnego nie widział w stolicy Francyi. Część tę Krakowskiego Przedmieścia zamykała o jedném piętrze obszerna kamienica Wasilewskiego, która ma zajmującą kroniczkę.

Zbudował ją Józef Wasilewski radzca dworu króla Stanisława Augusta. Na pierwszém piętrze były obszerne i wysokie salony i komnaty, a widok z okien piękny, bo na całą tę część miasta zakończoną zamkiem królewskim, posągiem Zygmunta III i bramą Krakowską.

Tu, w roku 1768 przybywszy do Warszawy Ignacy Krasicki, wówczas biskup warmiński zamieszkał i dawał tak zwane *wieczory uczone*, na których bywał cały świat literacki i król Poniatowski.

Gościnny i uprzejmy książe biskup podejmował ochotnie zgromadzonych, którym odczytywał swoje utwory w rękopiśmie, bo do druku się nie kwapił. Liczni jego goście zatém wprzód nim naród mógł ocenić wartość tych prac, już zapoznawali się to z bajkami, to satyrami i ustępami allegorycznego poematu *Myszeis*, do którego odgadnienia klucz zatraciliśmy, a najbliższy przyjaciel wielkiego poety i pisarza, Franciszek Dmochowski, tłumacz *Iliady*, nie pozostawił dostatecznego objaśnienia.

Przyjęcie w obszernych komnatach było hojne, a towarzystwo tém liczniejsze, skoro powzięto wiadomość że król Stanisław August będzie obecny.

Oprócz rozmowy w któréj wydatniał dowcip Krasickiego, po przeczytaniu kilku utworów nowych przez niego napisanych, goście zasiadali już do kart przy rozstawionych stolikach, już gawędząc przy kieliszkach smacznego węgrzyna.

Krasicki lubił grać w karty, ale nie dla pociągu szulerki, tylko że wówczas odpoczywał po pracy i przyjemnie czas przepędzał. Upodobanie miał w *lombrze*, ale gdy towarzystwa zabrakło, grywał w starego maryasza do puli.

Jeżeli bawił się grą ostatnią ze swoim sekretarzem Michałem Mowińskim, pod którego imieniem biskup własne komedye drukował, zawsze na boku stał stoliczek z papiérem, piórami i atramentem. W ciągu gry, kiedy mu myśl jaka przyszła, zaraz od kart przesiadał się do niego i w téjże chwili pisał. Tym sposobem wiele bajek i powiastek mniejszych powstało, jak ulotnych wiérszyków i piérwsze zarysy do nieporównanych satyr.

„*Uczone wieczory*" Krasickiego, nabrały równego odgłosu, jak „*Uczone obiady Czwartkowe*" na zamku warszawskim, na których bywał téż uczestnikiem i nasz poeta. Ta tylko różnica pomiędzy niemi, że żaden epigramat ani ostrze satyryczne, nie dotknęło ich wcale, gdy

szambelan Kajetan Węgierski, podrwiwał sobie z *Czwartkowych obiadów*, w liście do księdza Węgierskiego:

„*A uczone obiady*"? znasz to może imię,
Gdzie połowa nie gada, a połowa drzymie;
W których król wszystkie musi zastąpić ekspensa
Dowcipu, wiadomości i wina, i mięsa."

Od tego zarzutu wolne były wieczory Krasickiego: panowała tu większa jak na zamku swoboda, nie było etykiety dworskiéj, a uprzejmy gospodarz, dając wszelką swobodę swoim gościom, uprzyjemniać umiał każde zebranie.

W kamienicy téj następnie zamieszkała głośna w tym właśnie okresie Elżbieta z Szydłowskich Grabowska, tajemnie poślubiona Stanisławowi Augustowi, wraz z najmłodszą córką swoją Aleksandrą [1]).

Dziewica piękna i powabna, liczyła siedmnastą wiosnę życia, gdy o jéj rękę zgłosił się Franciszek Salezy hr. Krasicki, kawaler orderów Orła Białego i Ś-go Stanisława.

Był to pan bogaty, mający piękne imię, szanowany z prawości charakteru, jak i wysokiego wykształcenia.

Zalotnik tak rzadki, tyle łączący w sobie przymiotów, nie był do odrzucenia; przyjęto chętnie jego oświadczyny i po zaręczynach ślub się odbył w kościele Ś-go Krzyża u missyonarzy.

Zaledwie wszakże odstąpili od ołtarza, matka zabrała córkę, odwiozła do swego domu i czujną strażą tak otoczyła, ażeby go opuścić nie mogła.

Daremnie Krasicki upominał się o swoje prawa, daremnie szukał pomocy przyjaciół i samego króla, nic matki postanowienia złamać nie mogło. Pozwoliła mu tylko odwiedzać, jako gość swoją młodą i piękną małżonkę.

Przybywszy raz wcześniéj niż zwykle, zastał ją klęczącą i zalzawioną w gorącéj modlitwie.

— Co ci jest?—pyta zdziwiony.

— Modlę się za twoje szczęście—odrzekła z cicha a z płaczem—boś zasłużył na nie, a ja cię kocham i szanuję.

Wzruszony do głębi, postanowił jakimbądź sposobem wydostać żonę z téj ścisłéj opieki. Jakoż, wkrótce potém potrafiła młoda hrabini omylić wszystkich czujność i przybyła do domu męża.

Niedługo wszakże cieszyli się oboje wspólném pożyciem, bo po dwóch dniach, zniknęła z domu i znalazł ją znowu w dawném u matki mieszkaniu.

---

[1]) Ślub ten, w największéj tajemnicy dawał biskup Zenopolitański, znany historyk Jan Albertrandy, w kaplicy cudownego Pana Jezusa w katedrze Ś-go Jana w Warszawie.

Był to rok 1789; pomimo nieszczęść krajowych i wróżb smutnych, zapowiadających jego zupełny upadek bawiono się szalenie w Warszawie.

Właśnie przypadała świetna jakaś zabawa dworska. Chociaż to początek maja, bo dzień dwunasty, ale wiosna rozwinęła się z całym powabem zieloności i woni. Uderzyła nagle, niespodziewanie spiekota letnia.

Na *Foxalu* [1]) było dane widowisko, zaczynające się wcześnie po obiedzie, wieczorem zapowiedziano świetną illuminacyą z fajerwerkami.

Młoda Krasicka musiała się z polecenia matki na niéj znajdować. Dzień był skwarny, słońce przepaliło jéj głowę, wróciła słaba wcześnie do domu.

Po skończonéj fecie na przedmieściu Warszawy, zaproszeni znakomici goście, zebrali się u pani Grabowskiéj, która wezwała córkę, ażeby towarzyszyła zabawie domowéj.

Posłuszna jak zawsze, powstała z łoża, na którém spoczywała i przystrojona a blada jak lilia, stanęła na progu salonu. W téj chwili silny przewiew wiatru, z otwartego ganku ogarnia ją: zachwiała się i upadła nieżywa. Na jéj śmierć tak nagłą, wraz z całém gronem gości sproszonych patrzał i mąż, co ją ukochał serdecznie, co pragnął ją szczęściem i prawdziwą miłością otoczyć.

Wyprawiono nieszczęśliwéj Aleksandrze wspaniały pogrzeb i pochowano na cmentarzu Ś-to-Krzyzkim. Napis grobowy wyliczał jéj piękne przymioty i wdzięki.

Owdowiały mąż całe życie opłakiwał tak bolesną dla siebie stratę. Stał się odludkiem, zapadł w melancholią. Jéj wspomnienie na resztę dni jego rzuciło cień smutku rzewny, co się wyrył widocznie w spojrzeniu i na bladém a zawsze szlachetném obliczu. Po śmierci tak ukochanéj żony, nie powtórzył już więcéj związków małżeńskich. W lat trzydzieści dwa po tym wypadku, spotykaliśmy go często w r. 1821, przechadzającego się po Krakowskiém Przedmieściu; zawsze stawał w pobliżu téj kamienicy, zwracał ku niéj tęskne spojrzenie, jakby się spodziewał, że ujrzy postać ubóstwionéj istoty. W końcu tegoż roku zakończył życie [2]). Obok Wasilewskiego domu, stała wązka i niższa kamieniczka, szczególnéj architektury, własność

[1]) Właściwie *Vauxhalle* dom z obszernym ogrodem przy ulicy Nowy-Świat pod N-r 1297. Tu w tych czasach dawane były widowiska, zapalano ognie sztuczne i tańczono na salach; zabawy te miały powab i swoją sławę.

[2]) Dom pomieniony w późniejszych czasach, nabył D-r Wilhelm Malcz, zrestaurował i wyniósł nad nim drugie piętro. Następnie nabył go przedsiębierczy księgarz i wydawca Encykl. Powsz., S. Orgelbrand, sprzedał go rządowi i kamienica ta rozebraną została, a jéj miejsce skwer dzisiejszy zajmuje.

niegdyś francuzki, zwyczajnie zwanéj przez Warszawian *Mamzelle Lulli*, któréj imię przywiązało się do wspomnień Stanisława Augusta.

W młodych leciech Poniatowski, odbywając przy poselstwie polskiém podróże za granicę, przybył do Paryża. W kwiecie wieku, słynący z urody, znalazł wstęp do najpierwszych domów. W nichto dowiedział się o sławnéj kabalarce *Zofii de Pugett Lhullier* i z wielką ciekawością poznania jéj bliżéj, szukał sposobności, aby do niéj wprowadzonym został. Stało się zadość jego życzeniu: jeden z przyjaciół Poniatowskiego ułatwił mu te odwiedziny.

Lhullier położyła mu kabałę i wywróżyła, że wkrótce obrany królem zostanie. Poniatowski odrzekł jéj, że będąc szlachcicem polskim, ma równe prawo jak i drudzy do tronu w rzeczypospolitéj, w któréj wybór króla od narodu zależy, ale uważa przepowiednią tę za żart przyjemny. Gdyby jednakże sprawdziła się, zaprasza ją wcześnie na mieszkanie do stolicy przyszłego swego królestwa.

W kilka lat, kiedy wróżba się ziściła i rzeczywiście na tron wstąpił, pomny na obietnicę, wysłał do Paryża zaufanego dworzanina, ażeby kabalarkę do przybycia do Warszawy nakłonił, a przytém rysunek mieszkania i umeblowania, jak najdokładniejszy przywiózł z sobą.

Lhullier, chętnie na tak pochlebne wezwanie przystała, ale zanim przybyła do Warszawy, król kupić kazał kamieniczkę obok domu Wasilewskiego, takową przebudować i urządzić zupełnie na sposób jéj paryzkiego mieszkania. Za przyjazdem swoim już znalazła wszystko gotowém i na zupełną własność oddaném.

Kamieniczka ta, pełna była skrytek i przejść tajemnych pomiędzy ścianami. Zapewne potrzebne one były przebiegłéj francuzce, która pomimo znakomitéj pensyi, jaką pobierała od króla, niemałe dochody ciągnęła z kabały, albowiem tak magnaci, jak i wielkie panie, dworzanie i szlachta zamożniejsza, cisnęli się do niéj hurmem po wróżbę, wierząc w jéj przepowiednie, po sprawdzeniu się jednéj na Stanisławie Poniatowskim. Krążyły po Warszawie między jéj mieszkańcami podania, że damy przybyłe po wróżbę, ukrywały się dobrze za odwiedzinami króla i ich mężów, że przejściami pomiędzy ścianami, Stanisław August pod pozorem odwiedzin pani Lhullier, jako swéj przyjaciółki, przechodził do obok stojącego domu Wasilewskiego, w którym na pierwszém piętrze mieszkała pani Grabowska i wtedy zawiązały się bliższe ich stosunki, uwieńczone tajemnym ślubem.

Panią Lhullier uważano powszechnie za kochankę Stanisława Augusta, co nie było prawdą, bo starszą była od niego o lat piętnaście i nie mogła ukryć śladów swego wieku.

W Łazienkach Królewskich po lewéj ręce głównego pałacu od fontanny, pokazywano mały pałacyk z wklęśniętym frontonem (stojący dotąd), jako letnie mieszkanie *Mamzelle Lulli*, kochanki króla.

Pensya, jaką pobierała od Stanisława Augusta, skończyła się wraz z wyjazdem jego do Petersburga, ale Lhullier nie potrzebowała się troszczyć o przyszłość swoją; oprócz bowiem domu, miała zapas gotówki, który jéj do wygodnego życia posłużył. Umarła w Warszawie 1802 roku; kamieniczka ta jednak długo późniéj przechowywała jéj imię.

Za nią wązkie przejście prowadziło do Bednarskiéj ulicy, która była głównym zjazdem do pływającego mostu i przewozu łodziami i galarami, jedyna łączność z przedmieściem Pragą i zawiślańską okolicą, a najważniejszym Podlasiem, spichrzem naszego wtedy miasta.

Ta część Warszawy, o któréj mówimy, miała dwa klasztory: *Panien Karmelitanek* (dziś gmach Towarzystwa Dobroczynności) i *Bernardynek* zburzony, gdzie zjazd do nowego mostu i jeden Bernardynów.

Obok kamienicy Wasilewskiego, szła wązka ulica, wiodąca do drugiéj części Krakowskiego-Przedmieścia.

Tu, najprzód, uderzał oczy kościół z klasztorem księży Karmelitów, daléj o ścianę niemal, pałac książąt Radziwiłłów (Namiestnika) w okazałéj ruinie; obok pałacu Tarnowskich, w pobliżu dom Panien Wizytek i piękny ich kościoł, poza którym wznosił się tak zwany *Pałac Kazimierowski* (dzisiejszy uniwersytet) z obszernemi drewnianemi oficynami.

Przy nim szpital *Ś-go Rocha*, kilka kamienic jeszcze na téj połaci, a całą tę część miasta zamykał znowu wspaniały kościół księży *Dominikanów Obserwantów*; z drugiéj zaś strony z wyniosłemi wieżami kościół Ś-go Krzyża, z obszernym klasztorem i wielkiemi ogrodami księży missyonarzy.

Budowle te były już na kończynach miasta, gdyż cały Nowy-Świat, był raczéj pustkowiem, zaledwo gdzieniegdzie zabudowany drewnianemi dworkami i tylko ulica Ś to Krzyzka więcéj była zamieszkaną.

Wróćmy teraz do zamku królewskiego: ztąd ku rynkowi Starego-Miasta wiodą dwie ulice: pierwsza Swięto-Jańska, na początku któréj stoi starożytny kościół *Ś-go Jana*, zwany pospolicie Farą. Ulubiona to świątynia do modlitwy, dla dawnych mieszczan Warszawy: tu po lewéj ręce od głównego wnijścia, w kaplicy, jest z drzewa wyrzeźbiona postać na krzyżu rozpiętego Zbawiciela, słynąca oddawna licznemi cudami; dlatego Warszawianie, na wspomnienie téj katedry, zwykli mawiać:

„*U Fary*,
Gdzie Pan Jezus stary."

Obok dawny kościół jezuitów. Kamienice w jednym rzędzie po przeciwnéj połaci, zachowały swoją starożytną strukturę, zwykłą w dawnych, średniowiecznych miastach, a wśród nich odznacza się należąca w te czasy do Skorochoda Majewskiego metrykanta koronne-

go, badacza sanskrytu i starożytności słowiańskich. Sklepy w tych kamienicach na dole, głównie zajmowały składy skór wyprawnych, a woń ich właściwa, stanowi i dotąd jéj stałą atmosferę.

Druga ulica Piwna, równie wązka, jak poprzednia, ma kościół księży *Augustyanów* z klasztorem: obiedwie ze Ś-to Jańską łączyły się na Zapiecku, który oddawna słynął z handlu rozmaitego rodzaju żywego ptastwa.

Plac ten szczupły, kilkadziesiąt kroków długi, w niedziele i święta od samego poranku wielce bywał ożywionym tłumem zebranych tak sprzedających, jak i kupujących.

Mnóstwo zwolenników gołębi, znajdowało tu najwyborniejsze ich gatunki, tak co do piękności piérza, jak i co do lotu; sprzedawano mnóstwo gilów, kosów, szpaków i srok uczonych, oraz kanarków i czyżyków. Dla dziatwy kupowano ochotnie klatki z wyuczonemi szczygłami, co przyciągały sobie po pomoście spadzistym wózek z siemieniem konopném i wodę do picia za pomocą wiszącego na grubéj nici naparstka.

Wiele sprzedawano tu wiewiórek w dużych także klatkach, które koła obracały, niemniéj i oślepionych słowików, ażeby lepiéj śpiewały.

Rynek Starego-Miasta, przez Zapiecek, łączy się z ulicą Podwale przez jednę z najwęższych Piwną, z drugiéj strony przez Dunaj, z trzeciéj przez ulicę Gołębią.

Na rogu Starego-Miasta przy wnijściu z rynku na Dunaj, po lewéj ręce, ukazywano kamienicę wyniosłą, (dotąd istniejącą) z wystającém na podmurowaniu oknem, jako jednę z najdawniejszych, a własność niegdyś książąt Mazowieckich.

Z kroniki Warszawy wiadomo, że w r. 1607 za panowania Zygmunta III, w czasie jarmarku i zapełnionym rynku Starego-Miasta kramami, wybuchł straszliwy pożar, podłożony umyślnie przez złoczyńców. Ułakomili się bowiem na bogate towary wschodnie z Turcyi i Persyi, które kupcy tych krajów przywieźli i nęcąco w swoich drewnianych kramikach powystawiali. Udał się zbrodniczy zamiar łupieży, bo gdy płomienie wybuchły niespodzianie i z rynku objęły kamienice tak blizko stojące, oprócz ratusza, nie wiele pozostało domostw niedotkniętych tą pożogą. Do wyjątkowych należała i kamienica, pomieniona książąt Mazowieckich, przezco, do dziś dnia zachowała w całości pierwotną strukturę.

Ulica *Podwale* wzięła swą nazwę: że była *pod wałem* miejskim czyli murami warowni, i już leżała poza grodem Warszawy. Ciągnęła się od *Bramy Krakowskiéj* do *Bramy Nowomiejskiéj* i w samym środku swoim, oprócz grubych murów, miała potężną basztę, w tém miejscu, gdzie dziś stoi dom dwupiętrowy z obszernem podwórzem pod Nr. 521 i 522.

Pierwszy nabywca téj miejscowosci Jan Wójcicki, za czasów pruskich, pomiędzy rokiem 1803—1805, musiał rozebrać ten zabytek

warowni, już przez Szwedów nadniszczony i grożący ruiną, i wtedy odkryto podziemne przejście pod ulicę Piekarską. Jak daleko sięgało niewiadomo, albowiem dla zepsutego powietrza, gaszącego światła, daléj nad sto kilkadziesiąt kroków posunąć się nie zdołali; tém bardziéj, gdy i na tak krótkiéj przestrzeni, przejście to w części gruzem zawalone było.

Bliżéj Krakowskiego-Przedmieścia stał dom wychodzący na Miodową ulicę wprost kościoła księży Kapucynów. Cała jego część od Podwala sterczała ruinami. Mieszkał w nim 1794 roku generał Igelström.

Jak Świętojańska ulica mieściła główne składy skór wyprawnych, tak Podwale było stolicą jatek obuwia, lubo niewielu szewców na niéj przemieszkiwało.

Z domów większych był tylko naprzeciw zwalonéj staréj baszty, tak zwany „pałac," gdzie późniéj mieściła się Kommissya województwa mazowieckiego, a na pierwszém piętrze zamieszkiwał jéj prezes Rajmund Rembieliński z piękną swoją małżonką.

Tu poprzednio za czasów pruskich toż piętro jak i dół cały, zajmował sławny w te czasy doktor Leopold Lafontaine, przyjaciel od serca Kościuszki, następnie generalny chirurg armii i inspektor lazaretów Księstwa Warszawskiego. W wyprawie smutnéj do Moskwy 1812 roku, dostawszy się do niewoli, i osadzony w Mohilewie, z braku białego chleba do którego nawykł, zakończył życie.

Tu on redagował w latach 1801—1802 wielce ceniony: *Dziennik zdrowia*, pismo zeszytowe. Pisał je po francuzku a wychodziło w przekładzie polskim. Pismo to w tonie popularnym, choroby osobliwie w kraju naszym upowszechnione, obejmujące, składa się z XII poszytów po ośm arkuszy druku, które miesięcznie wychodziły i stanowią cztery grube tomy.

Lafontaine był rodem Szwajcar, urodzony w roku 1757. W Polsce osiadłszy, przybrał ją za ojczyznę i położył piękne zasługi nietylko praktyką jako najbieglejszy w operacyach chirurgicznych, ale i literaturę lekarską niemało wzbogacił. Był lekarzem nadwornym przy królu Stanisławie-Auguście. W nagrodę swych zasług, zaszczycony krzyżem kawalerskim wojskowym i Legią honorową; był też członkiem Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk.

Ożeniony z Krakowianką, miał dwie córki, z których starsza Zofia, bruneta, pełna wdzięku, grająca biegle na skrzypcach i z niemałym powabem na harfie, zaślubioną była Maurycemu Haukemu, późniejszemu ministrowi wojny za cesarza Aleksandra I-go i zaszczyconego tytułem hrabiego.

Lafontaine dobrego wzrostu, blondyn, miał płeć białą, delikatną, niewieścią. Oblicze zawsze pogodne i uśmiechnięte. Mówił po po polsku ale łamanym językiem, a gdy uniósł się gniewem, zwyczajne jego przekleństwo na razie, było: *djabel porwaj*.

Wziętość miał ogromną nietylko w Warszawie, ale i w całym kraju.

III.

Ulica Mostwa. — Most Zygmunta-Augusta. — Wiersz Jana Kochanowskiego. — Dramat z prochowni. — Przysłowie. — Most na palach przez Francuzów postawiony.

Z drugiéj strony Podwala od bramy Nowomiejskiéj, pomiędzy kościołami Paulinów i Dominikanów, ciągnie się spadzista i wązka uliczka, zwana „Mostową.“

Rzeczywiście zasłużyła sobie na tę nazwę, gdyż wiodła dawniéj do sławnego mostu na palach, z warownemi basztami, który przez lat trzydzieści bez przerwy utrzymywał stałą łączność pomiędzy Warszawą a przedmieściem Pragą.

Zaczął jego budowę król Zygmunt August, a ukończyła siostra jego Anna Jagiellonka, małżonka Stefana Batorego.

Był to podziw inżynierskiéj sztuki ówczesnéj; cudzoziemcy liczyli go do dzieł w Europie zadziwiających, zbudowany był z drzewa, a olbrzymi starodrzew sosny i dębów, sprowadzano z puszcz litewskich. Długi był 1150 stóp.

Jan Kochanowski nie mógł milczeniem pominąć takiego arcydzieła, i poświęcił temu mostowi wiersz jeden i drugi, w których oddaje hołd należny ostatniemu Jagiellonowi.

W pierwszym mówi:

„Nieubłagana Wisło! próżno wstrząsasz rogi,
Próżno brzegom gwałt czynisz i hamujesz drogi;
Nalazł fortel król August, jako cię miał pożyć,
A ty musisz tę swoję dobrą myśl położyć.
Bo krom wioseł, krom promów, już dziś suchą nogą,
Twój grzbiet nieujeżdżony, wszyscy deptać mogą.“

Lat trzydzieści, bo do roku 1603 wytrwał niezłomnie wśród burzliwych fal Wisły, i nacisku nieraz gór lodowych pędzonych nań wichurą zimową. Silną piersią odpierał tę nawałę, aż w trzydziestym pierwszym roku swego żywota, kra naniesiona przy pękaniu lodów rzecznych na wiosnę, przerwała jedno przęsło mostowe.

Na nieszczęście, nadzór nad nim był powierzony staroście warszawskiemu, a wiadomo jacy to byli gospodarze! Daremnie wołano o naprawę, wielowładny pan puszczał mimo uszu głos powszechny, wolał na zatracenie wystawić wiekopomne dzieło Zygmunta-Augusta, jak ratować pracą i ujmą dochodów starościńskich.

Tak rok za rokiem, most ten niszczał, a w opuszczeniu zostawiony, stał się łupem nadbrzeżnych mieszkańców [1]).

Jedyną pamiątką pozostała po nim baszta wielka murowana, zamykająca ulicę Mostową. W ścianie jéj od Wisły, tkwiła jeszcze tablica marmurowa z napisem w języku łacińskim téj treści, że dzieło brata króla Zygmunta-Augusta, siostra Anna Jagiellonka dokończyła, i druga z tym napisem po polsku: „*Zczerniony od tylu wieków, droga pamiątka największych i najlepszych królów, godna należytego poszanowania.*“

Później tę basztę obrócono na skład prochu i ztąd zwano *Prochownią*, a za Stanisława-Augusta budowlę tę przerobiono i zamieniono na więzienie skazanych wyrokami sądów do ciężkich robót, z tym na frontonie napisem: „*Nie miejsce, ale zbrodnia człowieka hańbi.*“

Do przykrych wspomnień lat dziecinnych, zawsze policzam te chwile, gdy mi pamięć stawia przed oczyma, gromady więźni z téj prochowni wychodzących pod strażą na roboty do miasta: brzęk ich kajdan odbijał się smutno.

W kurtach szaraczkowych, często napół czarnych i w czapkach téjże barwy, postępowali parami z miotłami do zamiatania ulic, albo z piłami i siekierami do rznięcia kloców drzewa i łupania na szczapy, za umówioną cenę.

W tych gromadkach spotykałeś szczególne postacie i oblicza. Ci, co mieli dowiedzione najcięższe zbrodnie, ale ułaskawienie pozyskali, odznaczali sie ubiorem, bo mieli pół szaraczkowe a pół czarne sukienne ubranie. Rzadko pomiędzy niemi dojrzałeś młodziana; byli to ludzie co liczyli od 40—60 lat wieku, nieraz już mocno osiwiali. Fizyognomie ich, które dobrze zapamiętam, były wstrętne i odrażające: spoglądali w około śmiało i zuchwale. To zatwardziali zbrodniarze i byle mała nadzieja, używali wszystkich sposobów do ucieczki, z narażeniem się na kalectwo lub utratę życia. Nie było też prawie roku, ażeby kilku niepotrafiło zbiedz z *Prochowni*, pomimo całéj czujności straży. Nieraz, już wydostawszy się z grubych murów i zakratowanych okien, pod strzałami czuwających wartowników padali trupem na ulicy, lub wybrzeżu wiślaném, albo ciężkie odnosili rany; ale te wypadki nie powstrzymywały drugich, od szukania swobody [2]).

W drugich zastępach, w szaraczkowéj odzieży, nie brakło ludzi młodych, z nieśmiałém spojrzeniem, rzewnym wyrazem boleści czy

---

[1]) Po 1831 roku wydobywano resztę palów dębowych z tego mostu, które tamowały swobodę żeglugi na Wiśle. Dęby z wody wydobywano zczerniałe ale zdrowe: deski i bale z nich rznięto. Mam szkatułkę małą na pamiątkę z jednego dębu, który służył za pal i w wodzie przeleżał przeszło trzy wieki.

[2]) W roku 1825 czy 1827, dziewięciu uciekło, z tych dwoch przy murach Prochowni straż położyła trupem, z siedmiu schwytano najgroźniejszych bandytów trzech, reszta bez śladu zniknęła.

rozpaczy na wychudzonych obliczach. Wielu też z nich, nie podłe rzemiosło złodziejskie, ani chęć rabunku zaprowadziło do *Prochowni.*

Przytoczę tu jedno z wielu, prawdziwe zdarzenie, na dowód słów powyższych:

Za panowania Prusaków w Warszawie, dom przy ulicy Podwale Nr. 521 i 522, zamieszkiwały dwie córki fabrykanta pojazdów Szperlego, który zmarł przed kilkoma laty [1]).

Starsza wdowa wzięła w opiekę młodszą o lat kilka siostrę pannę Katarzynę, wykształconą na pensyi, biegle mówiącą po francuzku i po niemiecku: była to panna obok tego urodna.

O jéj rękę starał się młody Stanisław ***, co niedawno ukończył Uniwersytet Berliński. Przyjmowany chętnie, już był po oświadczynach, kiedy nagle z niewiadomych nam powodów, opiekunka narzeczonéj wymówiła mu dom swój, a właśnie sama była już po zaręczynach z Niemcem fabrykantem.

Daremne były starania Stanisława *** o pozyskanie napowrót wstępu; zawsze drzwi znalazł zamknięte, lub odprawę grubijańską tak ze strony wdowy jak i jéj narzeczonego.

Rozjątrzony do żywego, postanowił srodze się zemścić. Wiedząc o któréj godzinie wychodzi na mszę do kościoła księży Augustyanów, czatował na Piekarskiéj ulicy, wypoliczkował i poprzysiągł, że tak ją jak i jéj przyszłego męża zamorduje.

Przerażona wdowa wraz z narzeczonym, pomimo że się udała pod opiekę prawa, podwoiła czujność, ażeby się gdzie nie zakradł w domu straszny nieprzyjaciel.

Od tego dnia co wieczór, Niemiec z kilkoma robotnikami przeglądał troskliwie wozownie, gdzie stały pojazdy na sprzedaż, i po kilku tygodniach, schwytał babę w łachmanach ukrywającą się pod karetą.

Po bliższém przyjrzeniu się poznano że to był Stanisław ***, przy którym znaleziono nóż i parę pistoletów nabitych. Związany, odstawiony do policyi, przyznał się do zamiaru morderstwa.

Skazanym więc został na 20 lat do ciężkiego więzienia, do robót publicznych. Okuty w kajdany wszedł do *Prochowni.*

Ostrzyżono mu bujne sploty kruczych włosów, przywdziano kurtę szaraczkową, włożono łańcuchy na ręce i nogi: przechorował ciężko w szpitalu pierwsze wrażenia, ale gdy przyszedł do zdrowia, oddał się z pokorą zasłużonéj karze. Popędzono go do roboty wraz z innymi.

---

[1]) Podaję tu wiernie wypadek rzeczywisty: gdym opowiadał go Fryderykowi hr. Skarbkowi, ten tak został uderzony dramatycznością jego, że wziął ztąd osnowę do swéj powiastki p. n.: „Łukasz Stempel," która wyszła w zbiorze: „Powiastki polskie przez Fr. hr. Skarbka." Z drzeworytami, wedle rysunku Kostrzewskiego. Poznań, 1861 r.

Wdowa odetchnęła swobodnie i wspaniałe wyprawiła sobie gody weselne, gdy panna Katarzyna gorzkiemi zalewała się łzami.

Na początku 1806 roku, zapotrzebowano do tegoż domu, właśnie przez męża owéj wdowy kajdaniarzy, do piłowania i rąbania sprowadzonego drzewa z nad Wisły.

Przygnano ich kilkunastu, a między tymi był Stanisław ***. Zadrżał na widok tych murów, gdzie został schwytany, ale opuściwszy smutnie głowę, zabrał się rzeźwo do roboty. Praca męcząca przynosiła mu pewną ulgę.

Około południa kiedy w najlepsze rozbija pieńki drzewa, ujrzał przechodzącą pannę Katarzynę. Siekiera wypadła mu z ręki; zapomina o wszystkiém, wyciąga ręce i szepcze:

— Kasiu! Kasiu moja złota!

Dziewczę spojrzało nań, poznało, przystanęło chwilę, a załamawszy ręce z rozpaczą pobiegło do domu. Nagle w nim rozruch powstał, posyłano po doktora. Stanisław jak skamieniały stał długo, spoglądając obłąkanym wzrokiem do około, a gdy przyniesiono posiłek na południe, nie tknął żadnego pokarmu.

Nazajutrz przygnano go do tego samego domu, ażeby skończyć rozpoczętą robotę, ale już swéj Kasi nie zobaczył, usłyszał tylko pomyślną nowinę dla siebie, jak służące rozmawiały: „że panienka już dzisiaj zdrowsza.“

Wcześnie skończono pracę: Stanisław oparł siekiérę o ścianę domu wraz ze swoją torbą, i gdy zbliżył się ażeby je zabrać, otwarł się lufcik z poblizkiego okna, ukazała się postać panny Katarzyny, która białą rączką rzuciła mały węzełek. Upadł on przy torbie: Stanisław pochwycił i ukrył; nikt ani z jego towarzyszów, ani straży tego nie widział. Uradowany, rzeźwym krokiem powrócił do Prochowni, nieczując kajdan na nogach. Tu znalazłszy chwilkę samotną, rozwinął węzełek i w nim znalazł splot włosów, dwanaście dukatów złotem i karteczkę z napisem: „*Będę ci wierną do grobu.*“

Dar ten drogocenny zachował starannie.

W końcu listopada 1806 roku po bitwie pod Jena, armia zwycięzka Napoleona I, wkroczyła na polską ziemię. Pierwsze patrole francuzkie ukazały się na Krakowskiém-Przedmieściu: Prusacy uciekli na Pragę. Całe miasto zapłonęło niewidzianą dotąd illuminacyą.

W tę właśnie chwilę grono młodych ludzi wpadło do Prochowni. Byli to przyjaciele i towarzysze wierni Stanisława: wnet go rozkuli z kajdan i uprowadzili z sobą. Tak opuścił mury więzienia, po dwóch prawie latach w nich pobytu.

Nazajutrz Stanisław jako ochotnik wpisany do nowo utworzonego pułku. Jako wykształcony naukowo, biegle mówiący zarówno po francuzku jak i po niemiecku, wprędce odzyskawszy wrodzoną żywość, humor i wesołość, stał się ulubieńcem kolegów i starszyzny pułkowéj.

W pierwszéj bitwie pod *Białołęką*, tak się odznaczył, że otrzymał krzyż i stopień podporucznika.

Brał udział we wszystkich następnych kampaniach, aż nadeszła pamiętna w roku 1812 wyprawa do Moskwy.

Po zgruchotanéj potędze Napoleona I, gdy cała jego armia, przed którą drżała Europa, legła na pobojowisku, lub zagnaną została do niewoli, a małe jéj szczątki cofały się z trudem, Stanisław już w stopniu kapitana, wracał z resztką swojéj kompanii, w porządku i zbrojno, bo subordynacyą wojskową umiał dotrzymać i podnosić upadłego ducha własnym przykładem.

Brnąc po śniegu, przy silnym mrozie przebywszy wielki las litewski, ujrzał na wzgórzu gustowny pałacyk i liczne zabudowania; w tę stronę więc się zwrócił, aby znaleźć posiłek i upragnione wytchnienie po marszu tak dolegliwym. Pałacyk ten stał zdala od gościńca na uboczu, przechody armii omijały go więc dotąd: zasobów gospodarskich nie brakło, i znalazł przyjęcie wraz z towarzyszami swymi gościnne i dostatnie.

Kiedy wiarusy pomieszczeni zostali wygodnie w obszernych oficynach, kapitan zaproszony został do rodzinnego stołu. Wszedłszy do jadalnego pokoju, zastał gospodarza uprzejmie go witającego, a wkrótce z bocznéj komnaty wyszła jego małżonka, i za nią guwernantka z trojgiem dziewczynek małych i najmłodszym chłopczykiem.

Jakież było zadziwienie naszego kapitana, gdy w téj ostatniéj poznał zawsze piękną i powabną swoją ukochaną Kasię. Cofnął się kilka kroków, przetarł oczy raz i drugi, i nieśmiał poruszyć się z miejsca.

Panna Katarzyna spojrzała na dorodnego wojaka. Po sześciu latach zahartowany w twardém obozowém życiu, zmężniał, oblicze spalone to spiekotą słońca, to mroźną wichurą naprzemiany ogorzało, wąs czarny bujny i broda dodawały wdzięku prawdziwie rycerskiéj postaci.

Nie mogła go dorazu poznać, ale gdy Stanisław ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, usiadł do stołu i zaczął mówić, panna Katarzyna zwróciła nań swe spojrzenie, i długo się wpatrując, blednąc i rumieniąc się nawzajem, zapytała w końcu drżącym głosem:

— Czy pan kapitan nie miał brata w Warszawie?

— Miałem kilku—odrzekł zcicha—a jak temu o którym wspominasz pani było na imie?

— Stanisław!—przemówiła spuszczając oczy.

Na te słowa zrywa się wojak, niemogąc powstrzymać dłużéj swego wzruszenia, przypada do niéj, a klękaiąc:

— Panno Katarzyno!—zawołał—to pani sobie przypominasz nieszczęśliwego Stanisława. Teraz u nóg twoich czeka swego wyroku i nagrody za tyle cierpień i za miłość wierną!

Gospodarstwo z podziwieniem patrzyło na tę scenę, ale objaśnieni, że w Warszawie byli już po słowie, przyrzekli z najżywszą radością, dopomódz im do pobrania się jak najrychlejszego.

Kapitan nazajutrz wyruszył wskazaną drogą i dostał się szczęśliwie ze swym oddziałem do granic Księztwa Wazszawskiego. Wkrótce stanął w Warszawie, gdzie już panna Katarzyna przybyła.

Siostra jéj, dawna opiekunka, wyniosła się z mężem do Wrocławia. Wśród wypadków ówczesnych i wrzawy wojennéj, zatarła się pamięć przeszłości Stanisława. Na początku zapust 1813 roku u Fary wzięli ślub, a uczcie weselnéj towarzyszyli sami koledzy mężnego kapitana.

* * *

Warszawa była świadkiem zdarzeń rozmaitych jak w tych czasach niepokoju: ale w Prochowni nic się nie zmieniło. Jak dawniéj więźniowie ją napełniali i brzękiem kajdan zwiastowali każde wyjście swoje na roboty w mieście.

Budowla ta dała początek przysłowiu obelżywemu, pomiędzy ludem warszawskim, gdy jeden drugiego znieważał: „*Ty prochowniku*“ lub wróżył mu w gniewie, że „*Zgnijesz albo zmarniejesz w prochowni.*“

Od czasu zniszczenia Jagiellońskiego mostu, zaprowadzono most pływający na izbicach, ale go przeniesiono wprost ulicy Bednarskiéj.

Francuzi za wnijściem do Warszawy zaczęli obok niego, nieznając zmiennego koryta Wisły, budować most na palach. Przewoźnicy i starzy rybacy nasi uśmiechali się tylko i kręcili z niewiarą głową, wróżąc, że jednéj zimy nie przetrwa.

— Mają oni rozum do wielu rzeczy—mówili kmotrzy zażywając tabakę, i patrząc na tę robotę—ale zjedzą dyabła, jeśli im się uda ta sztuka: nasza Wisła mądrzejsza od nich; na nią trzebaby chłopskiego rozumu, jaki mieli ci co kiedyś budowali na Mostowéj ulicy.

Inżynierya francuzka prędko go postawiła, ale gdy wjechał nań marszałek Davoust ze sztabem swoim, a lody na rzece ruszyły, zaledwie zdołał w pełnym galopie unieść życie z tego mostu.

Starych nadwiślańców sprawdziła się prędzéj przepowiednia niż sami myśleli.

W kamienicach Mostowéj ulicy rozmaitego kształtu i rozmiarów budową swą przypominających domy Starego-Miasta, na dole mieściły się sklepy, głównie rybaków sprzedających sieci, więcierze, jakotéż wędki rozmaitego gatunku; obok nich *Andrychowiaki* z płótnem z domowych ręcznych warsztatów; *krupiarze* z kaszami i mąkami pszennemi, żytniemi, gryczanemi i owsianemi: ostatnie rozkupywano ochotnie do ulubionego jeszcze *żuru* pomiędzy Mazurami.

Tu obok zabudowań dominikańskich mieścił się *Szpital Łazarza* w zacieśnionych murach.

Ulica ta była niesłychanie przykrą dla koni, gdy przyszło *karować* drzewo lub inne ciężary pod górę, a nie było dogodniejszéj drogi i w innych częściach Warszawy wyniesionéj na wzgórzu. Z powiśla trzeba było dźwigać kloce i sążnie drzewa, bo wówczas użytku węgla ani torfu nieznano i niepotrzebowano, przy obfitości lasów w niedalekich okolicach miasta.

IV.

Ulica Freta.—Kościół Dominikanów.—Cela Fabiana Birkowskiego.—Miody Dominikańskie.—Rynek Nowego Miasta.—Kościół Panny Maryi.—Klasztor Sakramentek.—Ulica Zakroczymska.—Zdrój.—Żoliborz.—Uliczka Św. Jurska. Redakcya Gazety Warszawskiéj.—Gmach Teatru narodowego.—Pierwsze otwarcie Teatru polskiego w Warszawie.

Poza Mostową ulicą ciągnie się ulica Freta, a na niéj piękny kościół *Dominikanów* z obszernym klasztorem.

Zakon ten słynny w dziejach przeszłości, a konwent tutejszy szczycił się wielkim mówcą kościelnym, *Fabianem Birkowskim* godnym następcą *Piotra Skargi*. W klasztorze ukazywano jego skromną celę, którą zajmował przemieszkując w Warszawie, kiedy nie szedł na twardą służbę obozową jako kapelan, dzieląc trudy i niebezpieczeństwa walczącego rycerstwa. Mieszczanie warszawscy w żywéj pamięci i tradycyi przechowywali te uroczyste chwile, kiedy Birkowski w czasie zarazy *morowéj* grasującéj w mieście, z téj kazalnicy sam nieustraszony wśród powszechnego popłochu i trwogi, gorącém słowem wlewał nadzieję w drżące serca i wzywał do gorącéj modlitwy, ażeby uprosić Boga o odwrócenie strasznéj klęski z murów starego grodu.

Słynęli Dominikanie warszawscy z doskonałego sycenia najwyborniejszych miodów, to téż obszerne piwnice klasztorne wypełnione były beczkami z roku na rok nowym wyrobem. Handel wielki miodami prowadzili zakonnicy i dochód nie mały dla swego zgromadzenia zbierali. Najzawołańsi smakosze upędzali się za wystałemi miodami z piwnic tego klasztoru.

Za wązkiém téj ulicy przejściem, leży rynek *Nowego Miasta*, które zaczęło się zabudowywać po przyłączeniu do Korony za Zygmunta I Mazowsza, gdy wygasł ród panujący Piastów a książąt udzielnych na Mazowszu.

Dwa kościoły z klasztorami zdobią tę część miasta: w samym rynku Sakramentek, który Stanisław August swoim nakładem wystawił na pamiątkę stulecia od zwycięztwa pod Wiedniem przez króla Jana Sobieskiego nad Turkami odniesionego i strasznym ich pogromie, a daléj wpobliżu starożytny *Panny Maryi*, który strukturą swoją rozróżnia się wśród wszystkich świątyń Warszawy. Smukła, prostokątna jego wieżyca, wyskakuje po nad miastem i w oddali z okolicy poza Pragą jest dobrze widzialną.

Wewnątrz gotyckie sklepienia nizkie, cały kościołek szczupły, skromny, ale mający dziwny urok dla mieszkańców powiśla i Nowego Miasta. Założony w roku 1392 staraniem Anny księżnéj Mazowieckiéj, wznosi się na spadzistém wzgórzu po nad wybrzeżem Wisły już zdala od miasta. Otaczał go jak i dzisiaj cmentarz w około i mury, tylko były grubsze i warowniejsze, bo jako osamotniony kościół z klasztorem stanowił w owe czasy małą forteczkę.

Wedle miejscowéj przed pół wiekiem tradycyi, poza murami cmentarza Panny Maryi zaczynały się duże bory. Były w nich żubry brodate, jelenie, sarny, łosie i niedźwiędzie, szczególniéj *bartniki*, co robiły szkodę nie małą w leśnych barciach, które w obszarach tych borowych wygodnie dzikie pszczoły hodowały.

Lasy te otaczające Marymont, a rozciągnione poza Młociny po nad brzegami Wisły, z drugiéj strony sięgały do Lipkowa i Sierakowa i stanowiły wielkie kilkomilowe a zapadłe knieje, w których tak ochoczo polował król Sobieski.

Kościół *Panny Maryi* głównie był nawiedzany przez rybaków warszawskich, tu brali najchętniéj ślub, tu chrzcili dzieci swoje: również ulubiona ta świątynia dla flisów i orylów przybywających z tratwami i galarami od Krakowa. Tam modlili się u *Panny Maryi* na rynku krakowskim, tu ochotnie spieszyli do kościoła *Boga Rodzicy*, téj patronki i orędowniczki kraju.

Ulica Zakroczymska na któréj kościół *Franciszkanów* i w pobliżu naprzeciw koszary wojskowe zwane Sapieżyńskie, wiodła daléj poza miasto, gdzie liche drewniane dworki w rozmaitym kierunku rozsiadły się z ogródkami owocowemi i warzywnemi i gospodarskiemi budynkami.

A wśród nich zdrój wybornéj wody, który dla dogodności miasta król Stanisław August urządził ozdobnie. Dalsza równina nosiła piérwotnie nazwę *za zdrojami*, gdzie na wyniosłém wzgórzu po nad wybrzeżami Wisły, Pijarzy wznieśli gmach okazały *Żoliborz* (Joli bord), w którym utrzymywali pensyonat młodzieży z rodzin zamożniejszych. Obszerny ogród i malowniczy widok na zawiślańskie okolice, stanowiły nie małe zalety téj miejscowości. W téj kończynie miasta idąc z naturalnym swoim rozwojem Warszawa, równo za biegiem Wisły, w piérwszych latach Królestwa (od 1815 do 1830 r.) zaczęła się zabudowywać gęsto i zasobnie.

Gdzie dziś zalega równina gładka pod wałami Cytadeli, tu nowa część miasta wyrastała jak z ziemi w wielkich rozmiarach. Obok dworków, wznosiły się nietylko kamienice murowane, ale duże gmachy, a daléj nieco jak Żoliborz na przeciwnéj jego stronie rozciągał się wielki i piękny ogród *Rautenstraucha*.

Dużo drzew rozmaitego gatunku i krzewów, cienia i chłodu, kwiatów rozlewających woń miłą, składały się na jego powaby. W środku obszerny dom z kawiarnią i zabudowaniami gospodarczemi. Liczne huśtawki i karuzele, jak smaczna kawa i poncz wyborny a ulu-

biony, gdy herbaty wcale nieznano, zwabiały tu licznych zawsze gości.

Z ulicy Freta wracając od zdrojów, piérwsza jest wązka i kręta uliczka Święto Jurska, tak zwana od starożytnego kościołka pod wezwaniem św. Jerzego, który stał w tém miejscu, gdzie dziś fabryka wyrobów żelaznych dawniéj *braci Ewans*, dziś Lilpopa i Raua. Był to kościół parafialny gotyckiéj struktury, wchodziło się do niego jak do podziemia, a pamięć nasza żywo przechowała tylko przystrój grobu Zbawiciela w Wielki piątek i sobotę na Wielkanoc, gdy przy zwłokach Chrystusa trzymali straż olbrzymi malowani rycerze, podziw zawsze miejskiéj gawiedzi.

Daléj ciągnęła się obszerna z dużym ogrodem własność *Leszczynowskich*, gdzie mieściła się przez długie lata redakcya *Gazety Warszawskiéj*.

W pobliżu na przeciwnéj stronie, róg téj ulicy wychodzącéj na plac Krasińskich, zajmują zabudowania dawnego *Teatru narodowego*, który tu przez długie lata istniał najprzód pod dyrekcyą Wojciecha Bogusławskiego, a następnie zięcia jego Ludwika Osińskiego.

Dalszy ciąg Freta doprowadzał do ulicy Nalewki, pustéj i mało co zabudowanéj.

Zwracamy się do placu Krasińskich, który stanowił tak w czasach księztwa Warszawskiego, jak i w następnych piérwszych latach Królestwa najgłówniejszą część Warszawy.

Tu wspomniany *Teatr naordowy* najpiérwéj zwracał uwagę. Gmach ten wystawił słynny w czasach panowania Stanisława Augusta *Franciszek Ryx* kamerdyner jego w roku 1779, podług planu Włocha Bonawentury *Solarego* budowniczego, przy pomocy królewskiéj i księżnéj Elżbiéty Lubomirskiéj. Nie w tym gmachu przecież król ten dopełnił *piérwszego otwarcia* teatru narodowego, zaraz w drugim roku po wstąpieniu swoim na tron. Przy ogrodzie Saskim, gdzie obecnie *Rajtszula*, wybudował teatr August *Mocny* i w nim ta uroczysta chwila dla sceny polskiéj nastąpiła.

Nie możemy zbyć jéj pobieżném wspomnieniem i dlatego obszerniéj wedle tradycyi pamiętających tę uroczystość opowiemy.

Wielki był ruch w Warszawie dnia 19 listopada 1765 roku. Po rogach ulic grono ciekawych mieszkańców zwracało oczy na wielki afisz, na którym dużemi literami było wydrukowane co następuje:

„*Afisz teatrowy.*

Aktorowie Jego Królewskiéj Mości komedyów polskich, będą reprezentowali 19 listopada *Natrętów*, komedyą w trzech aktach, z dużema baletami. Początek będzie o godzinie szóstéj i będzie się płacić:

Jeden bilet do cyrkułu, tynfów dziewięć.

Jeden bilet do pierwszego piętra, tynfów dziewięć.

Jeden bilet do loży w parterze, tynfów sześć [1]),
Jeden bilet do parteru, szóstaków siedm.
Jeden bilet do trzeciego piętra, szóstaków pięć.
Bilety od południa będą przedawane w *Operalni.*"

Wiadomość ta szybko rozbiegła się po całém mieście, rzecz nowa i niesłychana: teatr polski w Warszawie i to za biletami płatnemi! W tym teatrze za Augusta III grywano ciągle opery, wszelako chociaż każdemu wolne było wnijście bezpłatne, teatr był pusty, bo zwolenników do słuchania śpiewaków niemieckich zawsze brakowało.

August III chętnie uczęszczał na te widowiska i dziwiono się powszechnie jego cierpliwości, z jaką słuchał jednéj opery od początku do końca powielekroć powtarzanéj ciągle. Gromadka dworzan towarzyszyła do tego teatru zwykle monarsze; na pierwsze przedstawienie bywała liczniejsza, ale na drugiém i następnych, tak się zmniejszała, że nieraz zdarzało się, iż August III odprowadzonym był tylko na widowisko, a w teatrze ledwie kilku dworzan i to z obowiązku służby zostawało przy jego boku, wraz z orszakiem zaproszonych umyślnie panów. *Figle niemieckie*, jak zwyczajnie nazywano ten teatr, nie mogły zwabiać ani szlachty ani mieszczan warszawskich, kupców zaś niemieckich szczupłe było grono.

Stanisław August w pierwszym roku wstąpienia na tron, przedsięwziął otworzyć stały teatr w Warszawie jako swéj stolicy. Zaczęto więc zbierać młodzież, którąby wykształcić można było na aktorów. Polecono pośpiech, aby woli nowego króla co rychléj dogodzić. Zgromadzone pospiesznie towarzystwo aktorów, nie mogło odpowiedzieć wymaganiu sztuki: znalazł się wszelako tu potężny talent komiczny w artyście Świeżawskim, który długo potém był prawdziwą sceny polskiéj ozdobą.

Król zwrócił wtedy uwagę na liczny orszak dworzan, kogoby wybrać i przeznaczyć do napisania komedyi na piérwsze otwarcie już urządzonego teatru. Wybór jego padł na Józefa Bielawskiego, Fligiel-adjutanta buławy wielkiéj księztwa Litewskiego, znanego temu monarsze z drobnych okolicznościowych wierszyków.

Bielawski zaszczycony tak świetnym dla siebie wyborem, mając sobie polecony pośpiech, zabrał się z całym zapałem do pracy, i w ciągu dni kilkunastu komedyę *Natręty* wykończył.

Jakkolwiek na owe czasy cena biletów była dość wysoką, nowość niesłychana, dozwolony udział tak szlachcie jak mieszczanom wspólny za opłatą, zgromadził tłum widzów. Rozchwytano wszystkie bilety, i skoro mrok zapadł, na godzinę przed otworzeniem widowiska, cały gmach teatralny był w oblężeniu. Ci, co mieli bilety stanęli w gęs-

[1]) Tynf ówczesny miał wartość złp. jeden i groszy ośm, wedle Tad. Czackiego.

tych zastępach przy wnijściach do teatru, większy tłum oczekiwał na przybycie króla i jego orszaku na ulicy.

Mrok już był ciemny, gdy z uderzeniem szóstéj godziny na zamkowym zegarze, z bramy Krakowskiéj wyjechało konno kilku hajduków z pochodniami rozpalonemi; za niemi przed poszóstną karetą biegło dwóch laufrów w trzewikach i pończochach: kapelusze ich ozdobne w długie pióra strusie, ubiór pstry i kusy, wielce bawił zebrany lud na Krakowskiém Przedmieściu i dalszych ulicach. Biegli oni szybko przed karetą, potrzaskując co chwila małemi pejczykami.

Stanisław August włosy mając spudrowane i zwinięte w bujne a składne loki, wychylał głowę z uśmiechem wdzięcznym i kłaniał się ludowi, który głośne a serdeczne wykrzykiwał wiwaty dla króla. Wszyscy byli błogiéj nadziei, że dobre czasy z jego panowaniem wrócą. Młody i Piast miał i czas przed sobą i przychylność całego narodu. Otwarcie teatru polskiego było (jak się zdawało wszystkim) zapowiedzią świetnéj przyszłości dla kraju.

Karetę monarchy otaczał oddział jazdy gwardyi królewskiéj, a za nią ciągnął się rzęd długi pojazdów panów zaproszonych i dworzan. Okrzyki wiwatowe towarzyszyły królowi przez całą drogę, przy samym teatrze spotęgowały się silniéj, bo i tłum był liczniejszy.

Po wysłanych dywanami schodach wszedł Stanisław August do loży królewskiéj bogato przystrojonéj: cały teatr był illuminowany. Na widok króla wszyscy zgromadzeni powstali i głośnym go okrzykiem pozdrowili; kobiety wystrojone połączyły swe głosy pieszczone, powiewając z niesłychanym zapałem to chustkami, to wachlarzami, znajdując w nim najdorodniejszego i najpiękniejszego mężczyznę i do tego bezżennego. Szlachta kontuszowa która przemagała w owe jeszcze czasy na parterze, podrzuciwszy w górę czapki, szczęknęła głośno szablami. Szczęk żelaza w krzepkich dłoniach, przydzwonił radosnym okrzykom. Stanisław August w całym wdzięku młodości, zwany przez damy zbliżone do dworu *Apolinem*, z upromienioném od szczęścia obliczem, wychylił się z loży i wdzięczny wszystkim oddał pokłon.

Na dany znak zabrzmiała orkiestra i przeciągłe okrzyki umilkły; kortyna się podniosła: widowisko rozpoczęto. Scena przedstawiała górę *Parnasu*, z niéj powoli zeszła *Thalia* muza komedyi, a zbliżywsię do loży królewskiéj, z niskim pokłonem, tak zaczęła przemowę swoją:

„Ja co od tylu wieków z łona wszystkich krajów,
Wzdychałam do zniszczenia Sarmackich zwyczajów,
Przecięż dotąd nie mogłam z dopuszczenia bogów,
Wyśmiać mądrym widokiem tak grubych nałogów,
W których leżała Polska nie bez urągania,
Wyglądając twojego królu panowania.
Bo nie było, ktoby mi dał życie w Warszawie;
Tobie ten los zostawił honor Stanisławie,

Abyś idąc przykładem *Wielkiego Ludwika*,
Pozwolił mi tchnąć duchem polskiego języka.
Mnie, którą wiek osłabił i ujął rzeźwości
Odważam się po polsku uczyć w méj starości,
Aby tém dostateczniéj umysł twój wspaniały,
Mądry królu, świat poznał z potomnością cały."

Słowa te wywołały grzmiące brawa i okrzyki; wzniecali je co chwila dworzanie, szambelani i piękne panie, bo kontuszowcy na parterze zasłyszawszy że tam mowa o *grubych sarmackich* zwyczajach, które chcą wyszydzać, zaczęli szemrać i [z]żymać się coraz bardziéj. Gniew ich ochłonął nieco gdy spuszczono kortynę i orkiestra na nowo zagrzmiała hucznego poloneza.

Komedya Bielawskiego podobała się powszechnie, nie szczędzono oklasków i widowisko jak najpomyślniéj się skończyło. Okrzyki równie radosne towarzyszyły z powrotem królowi do samego zamku.

Dalsze dzieje teatru narodowego opowiemy obszerniéj we właściwém miejscu, i bliżéj przypatrzymy się *Krasińskiemu placowi;* teraz pójdziemy za przedłużeniem ulicy Święto-Jurskiéj.

Kończyła się ona równo z obszerną w poprzek idącą tak zwaną: *Nalewki*, która swe imię wzięła od dawnych skrzyń i naczyń nalewkami zwanych, a do wodozbiorów i zaczerpywania wody używanych.

Tu nie znać już było Warszawy, gdyż murowanéj kamienicy nie ujrzałeś; wyglądała ta ulica jakby przedmieście małéj mieściny, gdzieś w zapadłéj okolicy Mazowsza położonéj.

V.

Ulica Nalewki.— Dworek historyczny. — Doktor Lafonten. — Żywa umarła. Książe Józef z pod Blachy.—Grenadyer.—Muranów.—Targ koński.

Nalewki. jak zasięgam pamięcią, z rzadka gdzie drewnianemi dworkami zabudowane były: ulica niebrukowana, pełna na wiosnę i jesień błota i kałuży, ale za to pierś tu oddychała świeżém, wiejskiém powietrzem, bo każdy dworek otaczał mniejszy lub większy ogród owocowy i warzywny: nie brakło w nich bzu i kwiatów, które balsamiczną woń rozlewały. I w tych skromnych dworkach odgrywały się zajmujące dramaty, z których jeden podamy, opowiedziany nam przez działające w nim głównie osoby.

Pan Ignacy Zadora był właścicielem dworku na Nalewkach prawie wprost Krasińskiego ogrodu. Domek to był drewniany, nizki, okolony parkanem i obszernym ogrodem. Odznaczał się też między innemi szczególną schludnością: miał ściany czysto wybielone, okiennice na zielono pomalowane.

Za otwarciem furtki od ulicy, uderzało oczy obszerne, czyste podwórze z pompą do wody na środku, co było wtedy osobliwością. Zdobiło go kilka lip i klomby bzu włoskiego.

Nad drzwiami głównemi był ganeczek, po którym piął się latem zielony powój. W pobliżu pompy zaczynał się ogród, pełen drzew owocowych, z kępinami starodrzewu, teraz już bez właściwego wdzięku, były to bowiem początki jesieni 1806 roku.

Liście z drzew opadły zeschnięte, wichura pomiatała niemi to po podwórzu, to po nad dachem dworku, to po ulicy niebrukowanéj. Deszcz ze śniegiem zmięszany od dwóch dni padał. Pusto i ponuro było na obszernym placu przed dworkiem pana Ignacego, który go tak starannie na wiosnę tego roku odnowił, poślubiając młodą i piękną pannę Klarę, którą od kilku lat ukochał. Szczęście i spokój każdy mu dzień pożycia umilały, obok żony pełnéj powabu, łagodnéj, cichéj i umiejącéj słodką wzajemnością odpłacać mężowi miłość i przywiązanie.

Ale od miesiąca, niespodziana troska uderzyła na to ciche a skromne ustronie. Pani Klara złożona ciężką chorobą, nie mogła powstać z łoża. Doktor zmieniał co drugi dzień recepty, ale lekarstwa nie skutkowały; gdy coraz jawniejsze było niebezpieczeństwo, przyzwano sławnego Lafontena.

Noc ostatniego października, odjęła wszelką nadzieję utrzymania choréj przy życiu. Mąż w rozpaczy nie odstępował jéj łoża, gdy nad ranem zajechał doktor Lafonten.

Pan Ignacy patrzał w jego oblicze, jak w tęczę, czy nie wyczyta jakiéj iskierki nadziei; ale doktor wziął za białą rękę, badał puls, który coraz bił słabiéj, aż wreszcie ustał zupełnie.

Lafonten długo spoglądał w twarz umierającéj, z któréj znikały słabe rumieńce. Oblekała to piękne oblicze blada barwa śmierci wraz z jéj lodem. Lafonten puścił rękę trzymaną, która opadła bezwładnie na krawędź łóżka.

Postał chwilę jeszcze i smutny, z opuszczoną głową na piersi, wyszedł zadumany i odjechał. Za powrotem do domu, a mieszkał na Podwalu, nakreślił słów kilka w swoim dzienniczku.

Wiadomość o zgonie pani Zadorowéj szybko rozbiegła się po mieście. Nie było zwyczaju wtedy przenoszenia zwłok przed pogrzebem do kaplic kościelnych, spoczywały one w domu, gdzie zmarły zakończył życie i ztąd przenoszono je na karawan żałobny.

W pierwszym pokoju ustawiono katafalk skromny, otoczony jarzącemi świecami. Na drugi dzień zajechał dwukonny karawan, który przewiózł ciało zmarłéj na cmentarz Powązkowski. Złożono je w miejscowym kościołku dla późnéj pory i niewykończenia grobu, w którym miało być pogrzebane.

Podług ówczesnego zwyczaju, zdjęto wieko zabite i trumnę ustawiono na nizkim katafalku.

Złamany rozpaczą mąż nieszczęśliwy, zbliżył się i pocałował z płaczem w czoło ukochaną małżonkę: przyjaciele zaledwie potrafili oderwać go od jéj trumny.

Nazajutrz rano naznaczono nabożeństwo żałobne i pochowanie zwłok w grobie świeżo przygotowanym. Pan Ignacy wrócił o dobrym zmroku do pustego dworku, wraz z młodym wyrostkiem Piotrem, który pełnił obowiązki lokaja. Służąca, zastępująca młodszą i kucharkę, przeniosła się na noc do swéj siostry, w sąsiedzim domu, bojąc się ducha zmarłéj pani.

Piotrek jeszcze przywiązany do swych państwa, podzielajac boleść w domu, na pogrzebie płakał, jak bóbr rzewnemi łzami, a zaproszony przez forysia pana starosty do ogrodka przy cmentarzu, lubo nie wiele wychylił kieliszków, dobrze jednak podcięty, wrócił do miasta.

Zadora przeszedł się smutny po wszystkich pokojach, które mu się teraz wydawały tak smutne, ponure, gdy za życia ukochanéj Klary były tak miłe i wesołe.

Łoże małżonki stało puste, otoczone doniczkami bujnéj geranii. Usiadł przy kominku i zawołał na Piotrka, ażeby drewek przyniósł dla rozniecenia większego ognia, bo uczuł nagle dreszcz zimny i przenikający.

Piotrek, zataczając się dobrze, zebrał ostatnie siły, naniósł kilka naręczy polan dębowych i brzozowych, ale zmęczony, jakby pracą niezwyczajną, upadł na swe łóżko i twardo zasnął.

Do późnéj nocy przesiedział nieszczęśliwy wdowiec przy kominku, aż osłabiony, czując jakby niknące siły, sparł głowę na poręczy krzesła, zaczął drzemać. Jak długo tak marzył, nie wiedział, gdy go nagle niezwykły rozruch z przedpokoju rozbudził, a wkrótce usłyszał, jak Piotrek biegnie z pośpiechem do jego sypialni, rozbijając się po drzwiach i ścianach.

Ogień zgasł na kominku, ciemność nieprzejrzana okalała w około: zerwał się na nogi i zbliżył do łóżka, aby skrzesać ognia z krzesiwa, gdy Piotrek stanął w drzwiach sypialni i zaczął ochrypłym i niewyraźnym od strachu głosem wołać:

— Pa, pa, pa, panie! pa, pa, panie! pa, pa, pani przyszła!

Zadora zadrżał na te słowa, trzymając krzesiwo, krzyknął na Piotrka:

— Skrzesz prędko ognia!

Ale Piotrek, lubo orzeźwiony nieco głosem pana, tak drżał cały, że zamiast stalką uderzać w krzemień, kaleczył tylko palce sobie, wciąż jedne powtarzając słowa:

— Pa pa panie! pa pa pani przyszła!

Pan Ignacy wyrwał mu krzesiwo, prędko rozdmuchał próchno zatlone i siarniczką gorejącą zapalił świecę. Blask jéj przeraził go, gdy spojrzał na Piotrka, ktory zbladły jak trup, z sinemi ustami,

z wyłupionemi oczyma, drżąc cały jak w febrze, teraz ciszéj wciąż bełkotał:

— Pa pa panie! pa pa pani przyszła!

Zadora zapalił kilka świec pozostałych od katafalka zmarłéj, a dając jednę w rękę Piotrkowi zawołał:

— Idź i drzwi otwórz!

Posłuszny chłopak wyszedł chwiejącym krokiem z sypialni, ale gdy usłyszał bicie we drzwi i straszny głos z ganku:

— Piotrek! otwieraj mi prędzéj!

Nogi stracił, upadł jak długi i świeca zagasła.

Wtedy pan Ignacy sam pospieszył do przedpokoju.

* * *

W kościółku Powązkowskim spoczywały zwłoki zmarłéj Zadorowéj; cztery świece woskowe gorzały przy katafalku i słabo rozświecały pomrokę w świątyni.

Dziad kościelny, czuwający przy nim drzémał w ławce, gdy go poświst wichury, co zatrząsł oknami i drzwiami rozbudził.

Przetarłszy zaspane oczy, powstał i zbliżył się do katafalka. Przypatrując się zmarłéj, dostrzegł na jednym palcu, grubą, złotą obrączkę ślubną; umierająca bowiem z całą przytomnością umysłu, prosiła usilnie męża, ażeby została z tą drogą dla siebie pamiątką pochowaną. Przywiązany małżonek spełnił to jéj ostatnie życzenie.

Na widok tak łatwéj zdobyczy, oczy dziada zajaśniały szczególnym blaskiem, wziął jednę świecę, obszedł cały kościół, a przekonany, że nie masz nikogo, wrócił do katafalku i chciał z palca ściągnąć obrączkę; ale trudne to było zadanie, wpiła się bowiem w ciało.

Już dobył noża i chciał odciąć palec, ale przypomniał sobie, że zwłoki w odkrytéj trumnie muszą pozostać do nabożeństwa porannego i trumna dopiéro do grobu niesiona zabitą zostanie: łatwoby ktokolwiek dostrzegł jego występek.

Stanąwszy więc na stopniach katafalku, kolanem przycisnął piersi zmarłéj a z palca z całą siłą zaczął ściągać obrączkę.

Przy pierwszém naciśnieniu piersi, usłyszał jakby cichy jęk dobywający się z ich głębi, a trup zmarłéj roztworzył oczy i podniósł głowę. Na ten widok dziad wydaje okrzyk trwogi i ucieka, kiedy ocucona z letargu pani Klara, przyszedłszy do przytomności zaczęła wołać, ażeby wrócił, obiecując mu sowitą nagrodę.

Dziad, który w ucieczce dwa razy się przewrócił i rozbił, usłyszawszy jéj głos ochłonął z przestrachu i zwolna wraca do katafalka. Pani Zadorowa siedząc w trumnie, wyciągnęła doń ręce:

— Nie lękaj się mnie dobry człowiecze—wyrzekła ujmującym głosem—widzisz że żyję i nie jestem upiorem. Pomóż mi wydobyć się z tych miejsc, od męża sowitą nagrodę otrzymasz. Nogi mi skostniały od zimna...

Dziad oprzytomniawszy, podał jéj ręce i wydobył z trumny.

Pani Klara zaczęła drżéć z zimna, narzucił więc na nią obszerny swój płaszcz dziadowski i oboje ruszyli z kościołka powązkowskiego.

Wichura ustała, chmury co okrywały cały horyzont, zaczęły się rozpływać i księżyc drogę oświecił. Przy samym dopiéro dworku Zadory, wiatr gwałtowny zadął, gdy pani Klara, zziębniętą ręką pochwyciła za klamkę i dobijąć się zaczęła do mieszkania swego.

Długo stać musiała i użyć do pomocy pięści silnego dziada, zanim się dobudzono podpiłego Piotrka.

Zadora poznał głos ukochanéj żony, radość i podziwienie naprzemian go wzruszały. Otwiera drzwi z pośpiechem, i cofa się nieco na widok wchodzącéj w obdartéj czapce i płaszczu dziadowskim. Klara rzuca się w objęcia małżonka, a wysilona wrażeniami téj nocy omdlewa.

Zadora przenosi ją do sypialni, składa na łożu i zajmuje się jéj otrzeźwieniem: wprędce odzyskała przytomność. Pan Ignacy przy pomocy dziada suty na kominku rozniecił ogień, a Klara rozgrzana parą szklankami gorącego lipowego kwiatu, zaczęła opowiadać przygody swoje.

Dziad hojnie wynagrodzony opuścił dworek, a Zadora zaczął szukać Piotrka. Po długiém śledzeniu odkrył z pod łóżka dwie jego nogi wystające: za tym śladem znalazła się reszta. Wyciągnął go z ukrycia, a Piotrek który nieco ochłonął z piorunującego przestrachu, powstał, drżąc jeszcze jak w febrze.

— No! chodź tchórzu! – rzekł Zadora—i zobacz że pani zdrowa, bo to był sen a nie śmierć. Pójdź, pani chce cię zobaczyć.

Piotrek nieśmiejąc panu odmówić, zcicha i na palcach zaczął się za nim skradać do sypialni, jakby do śpiącéj: ale ujrzawszy ją żywą z rumieńcem chociaż słabym na bladém jeszcze obliczu, wyłupił oczy i w niemém jakby zachwyceniu stanął na progu.

Pani Klara wyciągnęła do niego rękę.

— Zbliż się do mnie—rzekła miłym jak zwykle głosem—i powitaj panią swoję.

Na te słowa Piotrek drgnął cały, orzeźwiał, jednym skokiem stanął przy łożu, a ukląkłszy, zaczął całować podaną rękę zanosząc się od rzewnego płaczu.

Nazajutrz całe miasto wieść obiegła o cudownem zmartwychwstaniu zmarłéj. Przyjaciele i sąsiedzi składali powinszowania, jedni z prawdziwéj życzliwości, drudzy wiedzeni ciekawością ujrzéć *żywą po śmierci.*

W kilka dni przed dworek Zadory zajechało kilka pojazdów wykwintnych: z pierwszego wysiadł *książe Józef z pod Blachy*, z drugich jego towarzysze.

Książe powinszował Zadorze, którego ojca znał dobrze z kampanii 1792 roku, a patrząc na powabną jego małżonkę, któréj wdzięki,

żywy teraz rumieniec przykraszał, wyraził, że nic nie straciła z powabów swoich przechodząc tak smutne zdarzenie, i dzięki niebu że na ziemię naszą piękna wróciła istota.

Doktor Lafonten na przyniesioną wiadomość o tym wypadku, porwał za swój *Dzienniczek* i w nim odczytał co zapisał przed kilką dniami: „Ulica Nalewki, Zadora. Choroba dziwna: pogrzeb wstrzymać.“

Ale przy natłoku chorych, zapomniał téj przestrogi udzielić Zadorze.

We trzy lata w początkach ciepłéj jesieni, niezwykłe życie ożywiało stolicę Księztwa Warszawskiego. Był to rok 1809.

Zadora zmęczony odpoczywał w ogrodzie przy swoim dworku, żona kwitnąca zdrowiem, pieściła dwuletniego syna, gdy wszedł nieznajomy żołnierz z licem ogorzałém w wysokiéj niedźwiedziéj bermycy, z krzyżem srebrnym na piersiach.

Widać, że znał dobrze miejscowość, bo zajrzawszy do dworku, zwrócił się do ogrodu, a stanąwszy przed małżonkami, pozdrowił w milczeniu salutując prawą ręką do czoła. Zadora i pani Klara, z podziwieniem spojrzeli na grenadyera: ten stał wyprostowany nie mówiąc słowa; ale gdy chłopczyna wyciągnął doń rączki z anielskim uśmiechem, nie mógł dotrwać w spokoju: przykląkł przed panią Klarą, a całując rączyny dziecięce, ze łzami w oczach drżącym od wzruszenia głosem przemówił:

— Nie poznajecie państwo swojego Piotrka?

Na te słowa Zadora porwał go w swoje objęcia i zaczął ściskać serdecznie. Pani Klara pocałowała go w głowę.

— No! mój Piotrusiu, teraz cię już pod łóżkiem nie szukałbym pewnie.

Piotrek, dzisiaj *pan kapral*, smutnie potrząsnął głową i odrzekł:

— Z łóżkiem się od lat trzech już nie widziałem, chyba wtedy, gdym leżał ranny w lazarecie. Przechodząc przez Warszawę, zaraz poszedłem zobaczyć moje kochane państwo, któregom tyle lat nie widział. Jakaż to dla mnie radość że was zdrowo widzę, i mogę popieścić waszego syna.

Przy obiedzie na którym razem u stołu siedział, opowiadał przebyte koleje od czasu gdy przywdział mundur; bitwy pod Toruniem, Górą, Sandomierzem i Jedlińskiem, gdzie ranę otrzymał. Wystrugał dla *paniczyka* pałasz drewniany i karabinek.

Nazajutrz kompania jego wychodziła z Warszawy, wcześnie więc opuścił dworek, opatrzony obficie przez panią Klarę na drogę.

Już go więcéj nie ujrzeli, zginął w roku 1812 jako kapitan nad *Berezyną*, gdzie ostatni cios zniszczenia odebrała wielka armia Napoleona I-go.

Od tego zdarzenia cicha ulica Nalewki nabrała rozgłosu pomiędzy mieszkańcami Warszawy, a dworek Zadory stał się miejscem historycznem dla miasta, gdyż do niego przyrosła tradycya, przyozdo-

biona fantazyą o żyjącéj po śmierci, którąśmy opowiedzieli wiernie, bez żadnych dodatków.

Ulica ta z prawéj strony od Krasińskiego placu idąc, dosięgała jak i teraz Muranowa [1]), obszernego placu, na którym oddawna bywały *targi końskie*. Zwykle po targu rannym na Pradze, przeprowadzano konie na ten plac, który się nagle ożywiał nie tylko gwarem, ale i krzykiem harcujących na siodle czy oklep, dla okazania dziarskości rumaków na sprzedaż wystawionych. Badacz fizyognomii i charakterów ludzkich, zarówno jak rysownik, mieli tu obfite zasoby do chwytania typowych postaci, roznamiętnionych to nadzieją zysku spodziewanego, czy téż prawdziwego zamiłowania do tych szlachetnych zwierząt, które tyle usług człowiekowi oddają. Targi te szczególniéj w letnią porę, co piątek przeciągały się do późnéj nocy, lubo je wcześniéj żydzi opuszczali z powodu nadchodzącego szabasu.

Z lewéj strony Nalewki zamykał gmach zwany arsenałem.

Gmach ten w niczém swéj postaci zewnętrznéj nie zmienił, jak był na początku naszego stulecia. Za Stefana Batorego mieścił się tu szpital wojenny, Władysław IV zamienił go w zbrojownią. Urządzeniem jéj zajmował się słynny Grodzicki, generał artyleryi, czyli jak wówczas nazywano *starszy nad armatą*. Część wszelako arsenału, mieściła się w XVII wieku w budynku „prochowni," o któréj już wspominaliśmy i dawne podanie starych mieszczan warszawskich, przechowało godne pamięci wspomnienie.

Kiedy zaszła trzydniowa bitwa pod Pragą z Karolem Gustawem i Elektorem Brandeburskim w dniu 18, 19 i 20 lipca 1655 roku, królowa Marya Ludwika, przypatrując się od téj zbrojowni z wyniosłości ponad rzeką walce, spostrzegła, że z murów téj małéj warowni, nacierających Szwedów po drugiéj stronie Wisły, skutecznie razić można. Kazała więc wyłożyć konie ze swéj karety, dwa działa z arsenału sprowadzić i zająwszy się sama dobrém onych ustawieniem, celnemi strzałami niemałą im klęskę zadała.

Nie jedyny to przykład energii téj królowéj. Słynna z piękności, zakochana w urodnym *Sinq-Marsie*, który na rusztowaniu skończył życie, oddana głębokiéj boleści, za staraniem kardynała Richelieu'go poślubioną została Władysławowi IV. Król ten w lata zaszły, ociężały z otyłości, na pierwszy widok swéj nowéj małżonki, ktorą znał tylko z przesłanéj przez Richeliego miniatury, przyjrzawszy się jéj bliżéj, wyrzekł tak głośno do posła francuzkiego, że słowa jego usłyszała:

---

[1]) Kronikarz Warszawy F. M. Sobieszczański, wyprowadza nazwę Muranowa, od wysepki w Wenecyi *Morano*, z któréj rodem był pierwszy właściciel téj miejscowości Józef Belloty Włoch. Pierwotnie miejscowość ta nazywała się właśnie Murano.

— I toż to jest owa wasza piękność zawołana?

Ugodzona w serce boleśnie, pragnęła pocieszyć się wpływem na rządy państwa, ale Władysław IV z początku zaraz surowo się uleczył z téj zachcianki. Po jego zgonie, poślubiła brata Jana Kazimierza i wśród nieszczęśliwéj doli kraju, była dlań niemałą podporą.

Marya Ludwika nie jedno to wspomnienie zostawiła po sobie w Warszawie: była ona fundatorką kościoła i klasztoru Panien Wizytek na Krakowskiém-Przedmieściu.

Jeżeli arsenał, zamykający ulicę Nalewki, w murach swoich stoi jednostajny; zewnętrzny przystrój jego wielce się zmienił.

Od ulicy Długiéj, oprócz kilku topoli przy chodniku na wybrukowanym placyku, leżały kule armatnie, ułożone gustownie. Wewnątrz w dużéj sali, była właściwa zbrojownia, przystrojona ze smakiem artystycznym z rozmaitéj broni tak palnéj, jak siecznéj. Oglądałeś tu lance, chorągiewki i szable szwoleżerów z pod *Somo-Sierra*, jak z legionów: wiele zabytków dawnéj zbroi, karabiny rozmaitego kształtu i kalibru, stare działa i śmigownice szwedzkie.

Widok wnętrza téj pięknéj sali, jak i zewnętrzny samego gmachu arsenału, zachował nam w albumie swoim *Jan Piwarski* w kolorowanych rycinach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

STANISŁAW MONIUSZKO

I

SZTUKA MUZYCZNA NARODOWA.

STUDYUM ESTETYCZNE.

PRZEZ

Bolesława Wilczyńskiego.

WSTĘP.

Znaczenie w sztuce ducha narodowego.

Nie łatwém jest określenie stanowiska mistrza w sztuce, wobec panujących nam sprzeczności estetycznych, w obec zbyt rozrzuconych kierunków tworzenia. Gdzie istotne sądów podstawy? Na to pytanie nie odpowiedzą już stare zasady, a nowe jeszcze nie dojrzały, nie przeszły przez próby ścierających się ze sobą opinij. A przecież piękno to rzecz wiecznotrwała, jeno wzrok nasz się zmienia i siły duchowe wciąż przeobrażają. Zbyt częste a pośpieszne sądy, przecinają węzeł naturalny między pięknem a człowiekiem. Wszak one tak biednie, tak niedorosło wyglądają wobec związku świętego, niepokalanego, któremu dusza ślubuje; wszak ta pargaminowa postać codziennych sędziów nie jest w stanie jednego natchnienia obudzić, jednéj lutni nastroić, a jednak pysznie wyrokuje i wtrąca się. Ale wiek nasz jest właśnie chwilą przeobrażeń. On niczemu nie ślubuje i niczém się nie wiąże. Jego hasłem niezależność indywidualna, w imię któréj daje ze siebie na wszystkie strony po cząstce, bo mu wydatkiem na wszystkie kierunki życia starczyć trzeba. Więc pragnie wiedzy, kształci się przez sądy, a zwołuje trybunały do rozstrzygania rzeczy, którym udzielać się wyłącznie niéma czasu. Sądźmyż kiedy tak jest, lecz niech nam

wolno będzie spodziewać się przebaczenia od téj Opatrzności, która uczucie piękna w duszy człowieka złożyła, i pobłażania od zawsze drogich nam posłanników sztuki.

Moniuszko był twórcą narodowéj muzyki. Otóż sąd wymagający bliższego oznaczenia, ile w tym przymiocie mistrza jest zasługi. Czém sztuka narodowa wobec powszechnéj? Znamiona powszechności sztuki są najprzód w umiejętności tworzenia. Sztuka jest przedewszystkiém pięknem, a piękno jest natury ogólnéj; nićma ojczyzny innéj, jak ojczyznę ducha. Formy sztuki muzycznéj wyrabiały się przez szkoły, a przez estetyczną umiejętność strzeżonemi były. One w nas wykształciły przedewszystkiém pojęcie piękna, wydelikatniły zmysł, wypiastowały dla uroków i wdzięków uczucie. Epoka klassyczności była estetyczną dla umysłu szkołą. Wszak przez długie lata wybrana przez bogi Olimpu Italia, była tajemnic sztuki uprawnioną dziedziczką. Tam się wszystkim rozdawała wiedza, tam kształcił się smak mistrzów i narodów. Dziś w szeroko rozpostartém po wszystkich ziemiach umnictwie, nie dopatrzćć już rygorów jedności szkolnéj, bo formy klassyczne poddały sie wpływom rozlicznych usposobień ducha, rozmogły się zakresem, zolbrzymiały poezyą. Wszakże, pomimo to, ów duch szkoły przewodniczyć im nie przestaje, a to w postaci ogólnéj mądrości estetycznéj, raz jako sama umiejętność, raz jako krytyki powszechnéj sąd. Nic się nie może trwałego w sztuce narodzić, coby przez tę próbę nie przeszło, coby nie miało na sobie tego ojcowstwa ducha cech widomych, bo tu najpiérwszém zadaniem jest doskonałość twórcza.

Z innéj znów strony znamiona powszechno sztuki leżą w saméj naturze ducha ludzkiego, usiłującego zdążać do najwyższych, do ogólnych sfer idealności. Są w jaźni naszéj rzeczy, których treść nie jest zależną od miejscowych warunków bytu, które są atrybucyą człowieka a nie narodu. Idealność, jako uczuć zacność, jako dobro moralne i piękność duszy, jest wszędzie tą samą idealnością. Jednostka do niéj się podnosi, a przez wzrost ów zrzuca ze siebie skorupę ciasną, miejscową, przerabia się z typu rodzinnego na typ ludzki. Podobnież cała psychologiczna charakterystyka człowieka nosi na sobie cechy ogólne, skoro ją sobie idealnie ważymy. Cnota, występek, rozum, uczucia, namiętności, mając barwy różne wobec historyi i wychowania, przyjmują jednostajną farbę przed majestatem prawa, religii i moralności. Człowiek, pod sztandarem idei cywilizacyjnéj, dąży do uogólnienia się, bo jeden jest cel wszystkich celów i jeden doń gościniec prowadzi. Więc ta dążność jego ducha musi się odbić i w sztuce. Jakoż najwyższém jéj zadaniem jest ideał ogólny, ludzki. Ona wszystkie przełamuje miejscowe tamy, a mając wzrok w górę podniesiony, usiłując prześcignąć biédy i drobiazgi żywota, staje na słonecznéj wyniosłości, gdzie do wspólnych promieni prawa moralności i religii, jeszcze swój promień piękna dodaje.

Tyle wiemy o sztuce ze strony jéj powszechnéj wartości. Ale ma ta wartość granice, poza któremi świat mglisty, niepewny, bez barwy i fizyognomii. Ludzkość ma znaczenie zbiorowe. Kto ją chce oglądać, musi zejść na ziemię, a wzrokiem spotkać się z krajem i narodem, z nieprzebranemi kształtami życia, z barwą i postacią człowieka w jego własnym domu. Jednostki pojedyńcze gubią się w ideałach powszechnych, skoro te przekraczają granice; one tam swą

jażń tracą, zacierają znamiona swoje. Zadaleko zaszły ideały powszechne, kiedy jednostki narodowe już się w nich nie rozpoznają, nie czują pulsów swoich. Takie chwile bywały w dziejach, a zmuszały narody do cofania się w siebie, do odradzania duchem własnym. Właśnie teraz przytomną nam jest jedna z chwil takich. W wieku XVIII filozoficzne mędrkowanie wyciągnęło z domu wszystkie jednostki na wielkie pole kosmopolityzmu. Ów humanitarny polot, tak wzniosły a obiecujący, zamienił się w marzenie, jak skoro mu odebrano podstawę rzeczywistą, narodową. Wśród marzeń gubić się zaczęła prawda i dlatego teraz zachodzi potrzeba, by rozczarowane jednostki narodowe wróciły do siebie, do swych ognisk i tradycyi, by się odrodziły przez przeszłość własną, a nabrały ciała i krwi z życia własnego. Ideały powszechne są urojeniem, skoro się zanadto uogólniają. A wszakże sztuki piękne tembardziéj muszą miéć swoje kształty i oblicza, swoje tętna i barwy, ile że one się rodzą z miłości serca, więc z tysiącznych pulsów organicznych, na które wpływa ukochany kraj, swoja natura, swoje groby i wspomnienia. A wszakże miłość tylko w cieple rodzinném kwiatem kwitnie i owocem ciąży. Poezya i muzyka rodzą się na łonie narodowém; one się tam chowają i macierzystą piersią karmią. Dostąpiła poezya polska wieszczéj korony, że umiała ze źródeł narodowych czerpać; przeciwnie, poezya francuzka odszukać się nie może wśród socyalnego romansu. Toż i muzyka włoska obumiéra, że dawno już wyschły jéj źródła narodowe, że lud włoski śpiewa poprawne urywki z oper, ale nie tworzy natchnieniem własnéj pieśni. Bo poezya i muzyka są najbliższemi organami ducha narodowego. Ich formy w sztuce są za idealne, aby same przez się na długo ostać się mogły; więc potrzebują przesiąkać tą melodyą i rytmem, tą fantazyą i wyobraźnią, co mają siłę ruchu, co krwią się rumienią i życiem drgają. Dążność sztuki do najogólniejszych ideałów jest w naturze jéj ducha i to właśnie stanowi wysoką jéj wartość. Ale baczmy, że to tylko dążność a nie istota, szczytne usiłowanie, lecz nie sam żywot. Są idealne wyniosłości, których sztuka dosięgłszy, już daléj iść nie może bez zagubienia się we mgłach przestrzeni; a przecież jéj posłannictwem jest żywot, nieprzerwany ruch w tworzeniu. Szekspir w poezyi, Beethoven w muzyce, stanęli na najwyższych szczytach sztuki. A gdzieżby się miał wznieść poeta, sztukmistrz, któryby jeszcze wyżéj od nich w idealności stanąć zapragnął? Otóż to są momenta wielkie, ale jedyne i rzadkie, w których sztuka już naprzód nie kroczy, lecz wraca ku życiu, ku jego różnokształtnym i różnobarwnym objawom. To są najwyższe jéj wysiłki, poza któremi już same widać choroby ducha twórczego. Tam z jednéj strony szerokie roztwiera ramiona ów ckliwy idealizm, co niedawno minioną estetykę w senną pogrążał gorączkę, a z drugiéj podnosi głowę widmo nieograniczonego indywidualizmu romantycznego. Jak jedno jest chorobą szału, tak drugie chorobą pychy, bo pychą jest indywidualizm bez właściwych granic. Kto w bajronizmie zdrowie dla ducha znajdzie? Kto Liszta indywidualne w muzyce natchnienia odgadnie? Tam poezya nienawiści, więc zjadliwy trąd ducha; tu zamęt bez miary, przez który nie poezya ludzka, ale wyniosłe, osobiste urojenia mistrza przeglądają. Szekspir i Beethoven stoją na horyzoncie twórczego ducha jak dwaj bogowie, jedyni w naszéj epoce, nieprześcignieni w dążności, niezwalczeni na stanowisku powszechném ideałów.

Sztuka odradza się najprzód przez rozliczne objawy fantazyi ludów. To co nazywamy szkołą, co nam w danéj historycznéj chwili jako umiejętność przewodniczy, wynikło kiedyś z fantazyi ludu wybranego, uposażonego. On w formach pięknych zawarł jaźń poetyczną, wyśpiewał rodzinną pieśń swoją, a tworząc wedle natchnienia, nie miał pretensyi narzucać komubądź kształtujące się i doskonalące w jego wyobraźni ideały. On tworzył dlatego, że mu się objawił duch tradycyi, że wzrok jego obaczył piękno, a dusza uszczęśliwieniem i miłością zadrżała. Czy Grecya wiedziała że jéj fantazya będzie przez wieki pięknego tworzenia wzorem? Czy Italia budząc się do sztuk pięknych miała przeświadczenie o tém, że na długie lata szkołę powszechną zakłada? Bez wątpienia że nie, wszakże to się odbywało prostą logiką rzeczy: w Grecyi i we Włoszech fantazya narodu silniéj się objawiła, piérwéj zakwitła i dojrzała, niż w innych dotkniętych niemowlęctwem ludów. Dobroczynne wpływy historyi i natury, potém wychowanie i owa Opatrzność, co rozdawnictwem duchowéj fortuny mądrze zarządza, zamieszkały w tych ziemiach na chwilkę i z nich to urosł ów orzeł-duch, co sobie na wszystkich kończynach ziemi pałace budował. Więc sama fantazya uposażonego ludu zamieniła się w prawo, stężała szkolną atmosferą, a zdobyła sobie moc prawodawczą, o ile, że do czynienia miała z otaczającą ją naokoło nieudolnością. Wszak fantazya północna jeszcze nocném marzeniem natury spowitą była, kiedy lud włoski już słoneczne oglądał geniuszu swego dzieła. Obacz Krasnacha czasy; one już reformacyi dotykają, a jakież to ubóstwo fantazyi, jaki słaby lot wyobraźni w tworzeniu! To były piérwsze w sztuce kroki nowego plemienia, które sobą być zapragnęło. Przecież te kroki spotężniały i dziś już do mety dobiegły, a lud germański swój panteon buduje i szkołę uposaża. Otóż sztuka powszechna kształci, rozdmuchuje żary, rozwija umysłu dźwignie i do lotu fantazyę sposobi; ale nie powinna tłumić istoty duchowéj, nie ma odbierać skrzydeł, któremi naród do krainy ideałów sam wzlecieć, swoją własną ma prawo podnieść się siłą. Wspaniała i piękna dojrzałość zdobi dziś skronie pracowitych ludów aryjskiego plemienia. Dlaczegożby im wszystkim nie było wolno okazać się tam czém są? W naszéj słowiańskiéj ziemi tyle obfitych ziarn poezyi, takie bogactwo żywota, taka oryginalność rzeczy, że byle dzielność duchowa się wzmogła, byle Opatrzność łaskawie spojrzała, a już te ziarna pięknym plonem wyrosną. Nie wiele ludów tak poetyczną fizyognomią mają jak słowiańskie ludy. Ich fantazya nie śmiało z domu wygląda wobec starszéj braci, a nie umié sobie radzić, że jeszcze sama dobrze się nie zna. Dlatego wielkiéj jest zasługi mąż, który w duszę narodu zajrzéć i skarby jego w sztuce przedstawić umié. On jest geniuszem, co do rzeszy możnych koryfeuszów świata, nowowyświęconego posłannika wprowadza. Takimi są pod względem narodowéj fantazyi: w poezyi Mickiewicz, w malarstwie Matejko, w sztuce muzycznéj Moniuszko. Co Mickiewicz nazwał swobodą w tworzeniu, lubo było w istocie wypowiedzeniem służby zalegającym dom nasz obcym skieletom, ale było przedewszystkiém wielką siłą poety, wynikającą z dojrzałéj w jego duchu pieśni, z jasnowidzenia, w którém cała postać narodu przed nim stanęła. On tę postać obaczył w takiéj formie, w takim ruchu i harmonicznych rysów dostroju, w jakich jéj nikt inny nie widział. Dlatego wprowadził poetyczność naszą do wielkiego koła europejskiéj poezyi,

jako wieszcz humanitarny, którego posłannictwem było piękność ducha narodowego światu oznajmić.

Krom odradzania się z fantazyi, sztuki się odmładzają żyjącą w narodach prawdą. W czasach stężenia sztuki na szkołę, na powszechność, więc w chwilach jéj inercyi, gaśnie powoli pochodnia, która kiedyś duszę do twórczéj fantazyi zapaliła, pozostawiając jeno coraz bledszy cień po sobie. Te czasy już nie dopuszczają stykania się sztuki z różnolicowemi objawami prawdy, rugują z przed niéj świeży karm życia, bo mają dogadzać wybranym, uprzywilejowanym, tym, których cywilizacya w pewne niezależne od narodowości koło towarzyskie wplata. Żywioł prawdziwy, narodowy, wydaje się być zanadto twardym dla delikatnie rzeźbionych formułek piękna. On drażni wytwornie wykształconą wrażenność. Patrz na dramat z niedawno minionéj epoki klassyczności francuzkiéj, jaki piękny i wypolerowany co do kształtów, a jak zmyśla ideę, mięszając osoby i fizyognomie rzeczy w anachroniczym nieładzie. Dlatego dramat ów nie wzruszał sumienia, łzy nie wyciskał i nie budził do czynów szlachetnych; on samém pięknem czarował. Teraz, gdy wszystkie warstwy społeczne w sztuce uczestniczyć zapragnęły, trzeba jéj się rachować z poezyą życia, z prawdą, co w piersiach ludów spoczywa. Dzisiejszy uczestnik nie napoi duszy samém artystycznem pięknem; on przez piękno sztuki, niby przez doskonało zwierciadło, chce obaczyć swą własną, żywotną postać, a przez to samo zwierciadło ujrzy również oblicza obcych sobie rodów. Sztuka przez umiejętność i przez szlachetną dążność swoją podnosi prawdę życia do ideału powszechnego, a tém samém nadaje jéj indygenat obywatelstwa, po którym ją wszędzie poznają. Bo taka jest psychologiczna natura człowieka, że lubo on wiele z siebie na rzecz wspólną daje, to wszakże sam chce być osobą, rodziną, narodem, więc prawym dziedzicem udzielonych sobie i zapracowanych bogactw. On się niemi szczyci i troskliwie je chowa, jak ów pan, co ojcowizny nie zmarnował i majątku jéj jeszcze przysporzył na własnéj ziemi. Tam go tedy szukać trzeba, w jego domowém wnętrzu poznawać, by się dowiedzieć jak serce bije, czém myśl się karmi, jakie są bogactwa natury i ducha, w jego poetycznym zbiorniku streszczone.

Owoż temi kilkoma słowy estetycznego poglądu, niech mi wolno będzie zarysować postawę w sztuce mistrza naszego. Moniuszko był przedewszystkiém jednym z tych rzadkich mistrzów, co w naszéj zamętnéj dla sztuk pięknych epoce, potrafili błędne drogi mijać. On był apostołem prawdy, bo w prostocie ducha tam tylko swoje natchnienia kierował, gdzie serce jego harmonię dla siebie znachodziło, gdzie dźwięki życia wtórowały jego własnym dźwiękom, zgoła odtwarzał to tylko, co dobrze znać i kochać można. On był geniuszem, bo potrafił poezyę narodu wpleść w wieniec powszechnego piękna, bo dał oglądać ideał ducha narodowego i razem z tém w panteonie sztuki mistrzowskie dzieła złożył. Wypada tedy w bliższym rozbiorze przypatrzeć się mu jako poecie i sztukmistrzowi, stawiając go raz wobec poezyi któréj był tłumaczem, raz wobec sztuki saméj.

I.

Źródła poetyczności polskiéj. Literatura XIX wieku.

Moniuszko był poetą. Jest w jego muzyce ów szczytny a głęboki polot ducha, co umié cudowną siłą symbole sztuki przenikać, co mówi, rzeźbi, maluje i śpiéwa, a z taką prawdą i pięknością, że słuchacz mimowolnie pyta czyli to muzyka, czyli poezya? Bezwątpienia, że mistrz nasz stoi na tém samém estetyczném stanowisku, co niemieccy kompozytorowie, którzy muzykę na równi z najwyższemi zadaniami poezyi stawiają. Lecz ta poezya muzyczna Niemców, lubo w istocie zdumiewa potęgą, przecież łatwo granice sztuki przekracza. Sztuka muzyczna niemiecka niejednokrotnie zapomina, że jest muzyką, zapiera się fizyologii tonów i form estetyczności. Moniuszko przeciwnie, umiał być poetą, nie wychodząc wcale po za kres, jaki sztuce jéj własne przepisują prawa. Dlatego nie znaleźć w nim zbytku zabronionych rzeczy, nie dopatrzéć romantyki indywidualnéj, gotyckiéj, co to się prześciga w łamaniu materyału, w przesadzaniu miary i wagi, w niweczeniu harmonii, byle wielkość poetyczną osiągnąć, byle dogodzić wysforowanéj z karbów zdrowego uczucia wyobraźni. Zdrowiem się odznacza twórczość Moniuszki, bo téż i poetyczność polska, zwłaszcza ta, któréj mistrz był tłumaczem, zdrowiem, wigorem tchnęła. Więc ktoby chciał sądem swoim zarzucać mistrzowi brak siły w harmoniczném tonowaniu, już sądziłby o nim fałszywie, ze stanowiska niemieckiéj muzyki, któréj poetyczny romantyzm wcale do naszéj poetyczności niepodobny. W słowiańskiéj fantazyi pathos, mistyczność i tragika, nie grają téj saméj roli, co u germańskich i romańskich ludów. One tracą u nas na sile, na wewnętrznéj psychologicznéj barwie, ale zyskują na uczuciu, które łagodzi surowość i ich nieprzełomność, a daje im rumieniec krwi i piękność ciała na zewnątrz. Ztąd te krańcowe żywioły w naszéj poezyi nigdy się daleko nie unoszą, owszem, można powiedzieć że je co chwila przerywa ta błogość, ta luba harmonia uczucia, niedopuszczająca duszy do zbytecznych wyprężeń, nie dająca jéj trwożyć się bez pociechy, płakać bez osiągnięcia radości. Patrz na Dziady Mickiewicza. Tam właśnie odbiła się psychologiczna strona fantazyi, która tworzywa wyobraźni sercem zaprawia, a głęboko odczutą prawdą piętnuje. Na cmentarnym obchodzie stykają się żywi i umarli, a obcują ze sobą i spowiadają cierpienia i wyznają winy, aby się wzajemną obdarzyć pociechą. Jak klimat nasz, oraz atmosferyczna natura nieba, nie grożą, nie straszą, jeno naprzemian: to zlekka się chmurzą, to pogodnie jaśnieją; tak w psychologicznych przymiotach ludów słowiańskich leży ta piękność duszy, umiejącéj cierpienia i bóle w pogodę zamieniać. Tę samą piękność znaleźć w życiu,

w obyczaju, w poezyi, a więc staje się ona i w muzyce harmonicznych dźwigni podstawą. Bo harmonia w sztuce muzycznéj jest tłem, psychologiczną atmosferą, niby światłocieniem, który wyraża nastrój, duchową naturę rzeczy, mających się na tém tle ukazać. W tém sztuka idzie za wskazówkami narodowego ducha, skoro ma być prawdziwą, to jest na poetyczności, lecz nie na saméj szkole opartą.

Wszystko w muzyce Moniuszki uderza czémś nowém, niezwyczajném. Ta barwność kolorytu i ciepło liryzmu, ten ruch promienny fantazyą, ta obrazowość i przedmiotowość przepyszna, zapowiadają już świat poezyi inny, odmienny od tego, do któregośmy nawykli. Odebrane od muzy włoskiéj i francuzkiéj wychowanie, nauczyło nas pięknie sztukę pojmować, ale téż odtąd każda rodzinna nuta nasza mimowolnie trąca o jakąś romansową strunę, co się nam z tém wychowaniem wkradła. Bo podnosząc poezyę ludową do ideału, mistrzowstwo nasze znajduje się na gruncie téj poetyczności skażonéj, obcym zaprawionéj smakiem, co nas oderwała od wspólności z ludem, co nas rzuciła w objęcia wykształconéj, ale osłabiającéj duszę romantyki, i która rodzinę naszą w wytworny a czułostkowy salon przeobraziła. Salon i jego egzotyczne wonie przebijają się we wszystkich utworach pięknych z XVIII wieku, bo salon był regulatorem olimpijskich darów, bez niego nic w świecie sztuki się nie działo. Dziś jeszcze nie potrafilibyśmy zanucić jednéj piosenki, aby się w niéj nie odezwał przybłędny ton romansowy. Z innéj znów strony, nie dość jest wziąć sam motyw, lub sam rytm narodowy i przetworzywszy go pięknie ale z cudzoziemska, miéć prawo nazwać to sztuką swojską. Trzeba téj sztuce dać formę wybitną, całość osobniczą, bo tylko przez tę całość przeglądać może istota i natura ducha narodowego. Wszak nawet mazur i polonez nowoczesny nie jest istotnym obrazem duszy narodu. Szopen odtworzył go w ideale, w poemacie; lecz taneczny typ zaginął wraz z samym tańcem, z żywotnym kształtem obyczaju. Pozostał jedynie skielet, w którym ledwie dalekiém echem woła przeszłość, ile że wiele dopełnionych zmian społecznych, jak łańcuch gór, stanęło między tą przeszłością a nami. Od szczérości i prostoty, od ruchu i życia oddzieliły nas: tu zepsuty smak, rozsiadający się zbytkiem i sztuczną elegancyą, tam smutna poezya łez i gorzkich żalów.

Zkąd się wziął geniusz, który umiał uchylić napływowy słój, zajrzéć we wnętrze narodowéj duszy i ukazać ją czystą, niepokalaną a pełną treści? Wytłumaczyć to może tylko wiara w cudowną moc intuicyi poety, oraz wiara w nieśmiertelność ducha, który z życia przechodzi w pieśń, by przez pieśń znowu życiem się narodził. Otóż nie można twórczości Moniuszki rozumiéć inaczéj, jak przez tę poezyą, która, lubo w nas na każde zawołanie tętni, niby zgłuszona, niby na chwilę zdrętwiała, nie jest nam wszakże dość przytomną, aby jéj głównych nie przypomniéć rysów.

Źródła poetyczności polskiéj leżą w tém, co najpiękniejszego słowiańskie wytworzyło plemię—w rodzinie. Tam się skupiła dusza, tam rosła w siłę i ztamtąd światłem zabłysła. Męzką była ta rodzina, bo ją taką ukształtowały najdawniejsze pojęcia Słowian. Wedle ich praktycznego rozumu, niewiasta jest istotą zależną, nie mającą praw i tytułów, jakie drugiéj służą połowie. Ztąd przez długie lata podrzędném było stanowisko kobiéty, a jéj bierność w rolach społeczeństwa naszego, mądrością słowiańską się usprawiedliwiała. To obwarowanie władz niewiasty, usuwające ją z widowni czynów, zacieśniało témsamém jéj świat, zamykało przed nią rzeczywistości pole. Ona przystała na tę wyznaczoną sobie ciasność, ale téż szukać gdzieindziéj poczęła powietrza i przestrzeni, tworząc dla siebie świat inny, niezależny, wyższy od względów społecznych, bo całkiem duchowy, posażniejszy od świetnych płci pięknéj przywilejów, bo z ducha pokory, z cichéj a skromnéj pracy wynikający. Otóż najpierwszą téj pracy zdobyczą jest wielka siła, wielki hart duszy, jako owoc ciągłego skupiania się w sobie. Jakiż to szereg ofiar i poświęceń, z dobrą wolą a w zacnéj myśli poniesionych! Jaka zupełność i szczerość ustępstw, spełnionych w imię zgody i jedności rodzinnéj! W tym właśnie kierunku ukształciły się jéj władze; więc naturalność rozsądku, prostota i jasność myśli, a nadewszystko ta ogromna władza serca, ktorą pospolicie siłą przeczuwania zowiemy. Typem historycznym takiéj niewiasty jest królowa Jadwiga; ona nie jest wyjątkiem, ale prawdziwie polską kobietą: bo jak królowa dla ojczyzny składa ze swych miłości ofiary, tak w cichém ustroniu rodzinném nie jeden się spełnił czyn godny tego królewskiego przykładu. Historya tych czynów nie śledziła i nie zapisała; wszakże wcześniéj czy późniéj, nie obejdzie się słowiańskich dziejów nauka, iżby nie zajrzała w tajniki sprężyn psychologicznych, z których urosły fakta. Naturalném następstwem skupienia się i oderwania od ponęt światowych było to, że kobiéta polska znalazła się w świątyni dusz czystych, gdzie najzacniejsze królują miłości. Ona uszlachetniła i ku wzniosłym ideałom skierowała przyrodzoną słowiańskiemu plemieniu tkliwość i czułość serca. Patrzmy na jak wzniosłym szczycie stawia macierzyństwo i jakim blaskiem otoczyć je umié. Wszak macierzyństwo kobiety w Polsce tak piękną rolę miało, że naród, jedynie popędom uczucia posłuszny, za szczególną patronkę postać Boga-Rodzicy wybrał. A że Ją poetycznie sobie uprzytomnił, że wyjątkową czcią i uwielbieniem otoczył, wynikało to z pojęcia macierzyństwa, z osobliwego rozkwitnięcia u nas posłannictwa matki. Ztąd téż, jeśli włoskie malarstwo pojęło Bożéj Matki postać jako idealną dziewiczość, wpatrzoną w swoją własną przyszłość, to sztuka nasza odtworzyła ją raczéj matką, troskliwie spoglądającą w przyszłość dzieciątka swego. Boć niéma zapewne tak poetycznie czystych, a tak z pięknoty wybranych ideałów, jak te, które matka tworzyć jest w stanie. Moc ducha ją ogarnia a obdarza natchnieniem, za przy-

czyną którego odkrywa się przed nią złota księga żywota, odsłaniają się moralnych prawd tajniki. Trąćmy pamiętne karty nasze, a obaczymy, niby w oddaleniu, jak pięknie ona nas uczy pacierza, jak troskliwie oczyszczone składa w sercu ziarno cnoty, jak łatwo w młodocianéj wyobraźni odtwarza świat cały, maluje naturę i jéj powaby, a jaką prostą mową najgłębsze rozwiązuje myśli zagadnienia. Nigdy w późniejszym wieku nie słyszymy takiéj mowy, nigdy nie spotykamy tak samo promiennego słowa. Ztąd każde nowe pokolenie w Polsce pomném było tych w dziecięcym wieku odebranych natchnień, a żadnemu nie zacierało się w życiu oblicze matki, pełne wieszczéj mądrości.

Jakąż nutą zagra pod skrzydłem takiego macierzyństwa miłość płciowa, ów najgłówniejszy i jedyny poezyi romantycznéj rozsadnik? Zapewne, gdy z gruntu słowiańskiego urośnie drzewo swojskiéj filozofii, gdy pomiędzy konarami tego drzewa poznamy psychologię i estetykę z naszych własnych zasad ukształtowane, wówczas się dowiemy, jak dalece odmienne wiązadła otaczają duszę i umysłowe zdolnosci nasze, jak dorodnie a samodzielnie słowiańska ziemia myśl swoją pleni. Dzisiaj tymczasem nie rozumiemy, by miłość w psychice ludzkiéj mogła się mieścić w inném otoczeniu jak w romantycznem; owszem, pojmujemy miłość nie jako kwiat z kwiatów, lecz jako namiętność upięknioną, podniesioną. Więc wyprowadzamy jéj rodowód z ciała, z zakonów, które nakazały jednéj płci mieć się do drugiéj w stosunku naturalnym. Bez wątpienia, że ma ów rodowód racyonalność za sobą, bo się opiéra na prawdzie dotykalnéj, widoméj, usprawiedliwiającéj się badaniem natury, do któréj człowiek należy. Ale baczmy, czyby nie miała miłość innych kryteryów, równie sprawiedliwych, a jednak odmiennie na jéj ukształtowanie się wpływających. Czyby nie było odnoszeniem się piękna duszy do piękna duszy, a to z niejakiém zapomnieniem praw i atrybucyi ciała. W istocie, jest w życiu człowieka wiek, gdzie dusza tak patrzy i słyszy, iż dla niéj niknie fizyologiczna strona obrazów i dźwięków. Dlaczego ją koniecznie, i to w przedmiocie najczystszych, najpłodniejszych uniesień, do tego fizyologicznego sprowadzać fatalizmu? Wszak ona nawet nie uwierzy doświadczonym nauczycielom swoim, oburzy się przeciw ich teoryom i kłam im zada, bo ona na prawdę widzi i czuje od nich inaczéj. Wydrzyj jéj gwałtem ten dar widzenia, a obaczysz jak gorzko zapłacze, jak się uczuje być odartą z bogactw, pokrzywdzoną i na biedne pustkowie ziemi przeniesioną. Ona z surowych nauki zakonów wiele wyniesie praktycznych pożytków, nauczy się życia w jego różnorakich gałęziach, nabierze hartu, wykształci się mądrze; ale zostaną w jéj wiedzy rzeczy nie rozjaśnione, bo z niemi związki porwała, bo się stała duszą anatoma, co doskonale system żywota wyłożył, jeno ostatecznéj przyczyny jego dopatrzéć się nie może. Otóż taka dusza podniosła, nieraz sobie pytanie zada, dlaczegoby miłości z moralnych praw nie wywodzić? Wszak prawda tak

dobrze tu jak tam spoczywa, a nie można jéj do równoważnika sprowadzać, niepodobna zbyt uniwersalnie systematyzować, bo ją Bóg rozsiał pomiędzy ludźmi i narodami, dając ją nie całą, nie doskonałą, lecz różne z niéj przymioty i różne strony a odcienia. Tę doskonałość prawdy my możemy okiem ducha objąć, lecz nigdy systematem jéj nie ułowiemy. Dlatego historyozofii przyszłém zadaniem będzie, wykazać, o ile nauki filozoficzne miéć powinny na sobie narodowe cechy i jak dalece na tym gruncie opierać je trzeba. Bezwątpienia, że wiele sobie szkody czynią słowiańskie plemiona .zbyteczną czcią idealizmu. Idealizm, jest jednostronnością, nader niebezpieczną w zastosowaniu do bytu społecznego. Wszakże, jeśli konieczną jest reforma wyobrażeń i życia, to ją oprzéć należy raczéj na pięknym gruncie plemiennym, niż na obcym materyalizmie. Toż ów materyalizm, w imię sztandaru naukowéj prawdy, gasi płonące w duchu człowieka tajemne światło. Przecież nie należy mu dawać wiary, jakoby to światło, syntetyczną siłą zwane, szkodliwie wpływać miało na analityczny rozwój umiejętności. Ono w istocie nie pozwala tylko na stawianie zbyt spysznionych gmachów w dziedzinie doświadczeń i spekulacyi ludzkiéj. Wywraca nielitościwie jedne po drugich, przeznaczając na trwałość jedynie nabytki, które jego promieńmi przeniknąć się dały. Kto się odważył targnąć na odkrycie Kopernika? A ileż nie runęło olbrzymich, niby wielce nie omylnych systemów, które w oczach naszych jedna ręka stawiała, druga natychmiast burzyła!

Rozważmy, jak stoi w życiu ludów słowiańskich jedno z pojęć, które nigdy w system nie dało się ująć. Duchowy pierwiastek miłości tak wiele w Polsce ważył, że niejednokrotnie spotkać można było silne jéj węzły, nietylko między mężem a kobiétą, ale między téj saméj płci osobami. Gdzie znajdziesz przykład braci ślubnych? Gdzie taki wypadek jak ów, że pan Piotr zapozywa przed sądy pana Pawła, swego sąsiada, jako ten mu wyrządził krzywdę niesłychanie bolesną, jako się z nim nie pożegnał, odjeżdżając w podróż daleką? Związki duchowe, w takiém prawdy ważeniu, otrzymają sankcyę obowiązującego prawa, przechylając względy krwi i temperamentu na swoją stronę. Moralność, nie jest tu wyzwolonym a na sobie samym opartym arbitrem, jak to z nowoczesnych teoryi wynika, ale się wznosi obronną dla człowieka twierdzą, na silnéj opoce zasad zbudowaną. Jestto przywilejem słowiańskich ludów, że u nich moralność z poetycznością związana; jedna z drugiéj wychodzi, owszem, bez moralności niéma u Słowian poezyi. U nas miłość nie była romansem, w takiém znaczeniu, jakie się wyrobiło na Południu i Zachodzie; ona wolna od namiętności, od czczych upałów sentymentalizmu i od lubieżnych a egzaltowanych zachwytów, bo ją kobiéta umiała postawić na zacnym a trwałym piedestale uczuć wyższych. Miłość w sercu dziewicy naszéj, wyrastała pośród rzeczywistego podniesienia się jéj do wszystkiego co piękne i szlachetne. Ona była

niby wonią, niby tchnieniem tych kwiatów duszy, które zowiemy miłością Boga, kraju i rodziny. Z tego ogrodu wychodził właśnie ów oddech, co to serce do serca przyciąga, co wiąże dwie istoty ślubem pięknym, nie rozerwanym, wiecznotrwałym. Dziewica polska czyni swą miłość zależną od moralnego kodeksu, który w jéj duszę matka wszczepiła. Ona swém kochaniem nie wyjdzie po za koleje rzetelnego gościńca, przy którym ją uczucia i obowiązki trzymają; nie poniży się żadnym względem samolubnym, nie odstąpi bogów swoich rodzinnych, aż się przekona, że miłość jej z niemi się godzi, że może ją wpleść w wieniec czci i drogocennych kochań swoich, że jéj bogdanek również godnie swoją miłość stawia. Ona potrzebuje przedewszystkiém czcić go i poważać, zanim umiłować zdoła; chce w nim widzieć męża, umiejącego dać czynnne świadectwo swojéj wyższości: więc patrzy w jego duszę i umié przeniknąć ile w niéj jest prawdy, ile zacności a pięknych przymiotów. Dziś jeszcze u ludu, jeśli nie zawsze w jego obyczaju, który się przeobrażał w miarę napływania ekonomicznych warunków bytu, to w poezyi i w moralném wyznaniu, znajdziesz tę miłości idealność, że ona nie wynika z samego dwojga istot zbliżenia, jeno że się stroi na ten ton stosunków rodzinnych, gdzie ideałami są prawa Boskie, rodzicielskie i prawa czystéj moralności.

Psychologiczną cechą naszéj niewiasty była nadzwyczajna słodycz i rzewność. W tych dwóch przymiotach wyraziła się cała treść jéj charakteru. One są wynikiem gotowości do ofiar i wewnętrznéj potrzeby zadość czynienia im; są muzyką harmonii, jakie się w jéj sercu zestroiły; są wizerunkiem wewnętrznego spokoju, niby stanu anielstwa, gdzie rażące sprzeczności ukołysane, a dusza hymn szczęścia śpiéwa. Wszak w smutnéj piosence naszéj dziewicy nie znajdziesz rozpaczy, ale dziwną rzewność, która nie wyraża rozdarcia duszy, lecz raczéj lubowanie się w poetycznéj tęsknicy. Rzewność dźwięczy w jéj mowie, przegląda w spojrzeniu i w rysach twarzy. Ztąd ten urok niewiasty polskiéj, jakiemu sarmatyzm nasz oprzéć się nie mógł. Pod urokiem topniał pancerz wiarusa, gięła się rubaszność i buta szlachcica, że ich urzekał ton serdeczny głosu i błyszcząca w oku niewieściém piękność duszy.

Otóż tak poetycznie założony fundament rodziny, przyniósł ten owoc krajowi, że złe nie dosięgło go do rdzenia, lecz się przesunęło po wierzchu, po życiu publiczném. Zaszumiało to życie publiczne pustym wiatrem, a wyszargało się i zmarniało na służbie u możnowładnych, u zatrutych pychą panów. Bo téż dworactwo, lubo było wyższą szkołą, niby akademią, szafującą polorem, ogładą i nauką publiczną; ale téż wlewało kropla po kropli w duszę narodu ową truciznę samolubstwa i ambicyi, która miała późniéj zupełnie sejmującego szlachcica wynaturzyć. Wszakże, pomimo to, dom polski został nietkniętym, bo profanacyi zasad nie dopuściła niewiasta, uzbrojona zasłużoném sobie prawem strzeżenia ognia świętego.

Jeśli niewiasta polska przedstawia tę poezyę duszy, co niewidzialna a jednak czynna, to ojcowie nasi w historyzmie znaczą się przeważnie fantazyą. Spójrzmy tylko w przeszłość, a obaczymy jak tam pełno obrazów życia, jak się one barwią bogato, jaki ruch mają oryginalny a dzielny, jak się te obrazy roją, to w życiu publiczném, to domowém: rzekłbyś istna arcydzieł pędzla galerya. Pełno tu jaskrawéj wyobraźni, pełno sztukmistrzowstwa żywego, tego, co to w każdéj chwili tworzy typy i postacie, układa sceny, a iskrzy się przepychem, a błyszczy grą świetną i wspaniałą. Ojcowie nasi tworzyli żywy obraz, artystyczną epopeę życia, ale nie byli w tém podobni do średniowiecznych rycerzy. Kiedy fantazya średniowieczna wraz z rycerstwem znika, że po dopełnieniu wypraw krzyżowych pozostało to rycerstwo błędném, oderwaném od rzeczywistéj idei, w Polsce ma ona tyle wigoru, iżby dość późno, bo już za czasów Stanisława-Augusta, stoczyć walkę z napływającą obcą, nieprzyjazną sobie obyczajowością. To pochodzi ztąd, że rycerska fantazya narodu polskiego miała trwałą ostoję w poważném posłannictwie, udzieloném przez cywilizującą się i azyatyckiém barbarzyństwem zagrożoną Europę. Jakoż, lubo fantazya ta czepiła się rzeczy niebezpiecznych, zawracając głowę politycznemu rozumowi, niemniéj przeto ma ona swoje piękne strony, mianowicie tam, gdzie nie wybujała szarą swawolą, gdzie poważnym a szlachetnym stężała obyczajem. Patrz na dom staroszlachecki, na tę gościnność malującą się w tysiącznych kształtach; na ten humor tryskający iskrami; na tę rubaszność w obejściu sarmacką, niby zamaszystą a jednak mającą w sobie jakiś wdzięk przyjemny, malowniczy; na tę cześć dla kobiéty, co się tak dosadnie w mowie i zachowaniu wyraziła. Owoż obaczysz, jak u naszego protoplasty wszystko na wierzchu, jak on nic ukryć nie może; nie umié swéj myśli i swych uczuć tłumaczyć inaczéj, jeno ruchem, obrazem, wystawnością, zgoła całą jaźń swoją przez plastykę odtwarza. Czuje on w sobie zarzewie niewieściéj poezyi i dlatego jest poetą, umié kochać co zacne, czcić co piękne, umié chować tradycye i cenić piękności a dary natury, a wszystko to do wrodzonéj sobie fantazyi odnosi. Że tedy wpływa nań dusza czuła, dlatego fantazya jego ma tyle moralnéj treści, łatwo się zapala do czynów szlachetnych, do wspaniałości, spełnia ucieleśniony widok cnót domowych i obywatelskich. On jest urodzonym sztukmistrzem, powołującym poezyę domu swego do życia. Jan z Czarnolasu, którego dom i postać odmalowała Tańska, jest typem takich poetów, bo on nietylko z pióra, ale i z życia był poetą. Lubo fantazya polska w rozliczne strzelała kierunki życia, lubo w rycerskiéj lubowała się sferze, to wszakże głównem jéj gniazdem było życie domowe. Tam, w tém ukochaném gnieździe, gdzie nie wygasłemi oczyma patrzą pozagrobowe pamiątki, gdzie duch ojcowskiéj przeszłości serdecznym przemawia głosem, zawieszał Polak chętnie swój oręż, a wsłuchując się w słodycze téj mowy, wpatrując się w ja-

sne oblicze wspomnień, wygładzał mars twarzy i snuł nieprzerwaną sieć uświęconego obyczaju. W rodzinném gnieździe fantazya buduje poetyczny zakon, krystalizuje się w przejrzyste a całe w sobie, skończone rysy żywota. Wszystka treść, co się rozlewała nie ujętą a burzliwą strugą po świecie, biegła do rodzinnéj zagrody, jak oderwane cząstki do krystalicznéj macierzy swojéj. Tam się ona odżywiała, uzupełniała i przeobrażała, tam się czuła być sobą. Dom polski był od najdawniejszych czasów prawdziwą sybillą, gdzie się chowała mądrość i poetyczna treść narodu.

Baczmyż tedy, jakie są psychologiczne cechy naszéj staropolskiéj poetyczności. One są pełne charakteru, a wcale odmiennie wśród powszechnéj poczyi odbijają. Nie znaleźć tu podobieństwa do owéj romantyki germańskiéj, co z pośrodka ciemnych lasów, z otchłani mórz, z górskich gniazd się rodzi. Tam kraj się piętrzył dzikim krojem natury, a fizyognomia jego sępiła się strasznym wzrokiem, nakazując milczenie, narzucając grozę duchowi ludzkiemu. To też fantazya człowieka, snuła tu roje widzeń i zagajała potężne dramata. Ona sięgała do téj idealności oderwanéj, rozstrzelonéj, indywidualnéj, co jak siedzący na skalném urwisku baron, czepia się szczytów i ostępów, co niepokojem i trwogą oddycha, a czarną chmurą na niebie zalega. Taką poetycznością napojone legendy germańskie, taka poetyczność podziwem i strachem przejęła duszę Rzymian, wstępujących zwycięzko w progi północnego barbarzyństwa. Jakoż pod tém przewództwem wrażeń kształtujące się uczucie, odznacza się ową sentymentalnością indywidualną, która ztąd wynika, że człowiek więcéj na siebie samego się zwraca, bo się nie opiera na miłości przedmiotowéj rzeczywistéj, ale na urojonéj i przywidzianéj. Natura, nie spoląc się ślubnie z duszą Germana, nauczyła go chować puls serdeczny, usposobiła do marzeń. Odosobnione, zziębnięte, co chwila przez macierz odpychane uczucie, przenosi się w sferę urojenia i łatwo staje się egzaltacyą, żywioną raczéj pokarmem umysłu, niżeli krwią serca. Uważ, jakie ztąd skutki w dziejach miłości i stanowiska kobiety. W wiekach średnich, germańska niewiasta odbiera cześć nieumiarkowaną, jest bożyszczem na całopalnych ołtarzach, na których w ofierze składają się wszystkie myśli, uczucia i czyny drugiéj połowy rodzaju ludzkiego. Nagle spada, a wyrzucona ze świątyń rzekomej miłości, przechodzi w niewolą, i jako narzędzie praktycznego rozumu, nawet śladów dawniejszéj czci nie przynosi z sobą. Otóż jak cześć tak i upadek, wynikły z niesprawiedliwości serca, z braku rzetelnéj intuicyi ducha. Z innéj znów strony, daleko nam było do owéj gorącéj a namiętnéj, rozkosznéj, epikurejskiéj poezyi ludów południowych, co umiała wdzięki i uroki w naturze upatrzéć, a hołd miłosny i cześć im oddała. Spokojnie oddycha duch ziemi naszéj. Jemu przestronno w tym kraju lekko zarysowanym, gdzie ani skwar dopieka, ani dzikie echo pulsów człowieka nie powtarza. Tu czeladka swobodą żyje, bo jéj piersi nie gniotą

zmory i fantasmagorye natury, jéj wrażeń nie czarują lazury nieba, nie porywają ogniste słońca promienie. Tu duszy nie wstrząsają zbyt silne krwi pulsacye, ani uwodzą zbyt rozpierzchłe marzenia. Więc wyobraźnia i uczucia są tu ześrodkowane, zbierają się u centrów, u saméj prawdy życia. Romantyka nasza, nie ma téj siły lotu i téj potęgi dramatycznéj, co gdzieindziéj poezyą stanowią, ale się odznacza wielką prostotą, nadzwyczajną prawdą uczucia. Tu sentymentalność jest naturalna, szczera, wylana a prosta, bo wynika z prawdziwych, rzeczywistych miłości. Weźmy przykład z sielskiéj poetyczności. Życie tworzy obraz sielanki nie dla samych wdzięków, jakto w nowoczesnéj sielankowéj iści się poezyi; ale dlatego, że człowiek ukochał pracę koło roli, że mu miły stan wieśniaczy, że na łonie dobroczynnéj a pięknéj natury spoli się ślubem braterstwa z ludzkością, że tu jest sobą samym, więc w pełni używania harmonii życia, w pełni tworzenia swego własnego światka. Tak samo na gruncie prawdy wyrasta każda inna poetyczność, że jéj ideałem jest prawdziwy przedmiot miłości Boga, miłości ojczyzny i miłości rodzinnéj. Ztąd ta szczerość uczucia w naszéj poezyi, która nic nie ukrywa, nic nie udaje; ztąd również ów jéj zapał ku sferom szlachectwa duszy, ku podniosłości idealnéj. Moce poezyi naszéj, spoczywają w prostocie a rzewności uczucia i w szlachetnéj podniosłości umysłu. Inną znów cechą naszéj romantyki, jest nieporównana żywość wyobraźni. Nigdzie nie znaleźć takich oryginalnych typów, wytwarzających z siebie pełen treści, pełen niewyczerpanego bogactwa poemat. Mnóstwo o tém rzeczy w historycznych wspominkach. Dość przytoczyć rzeczpospolitę Babińską, ów utwór fantazyi, gdzie udział królewska biorąc osoba, nadawała wesołemu pomysłowi charakter dziwnie piękny i malowniczy. W późniejszych czasach taki charakterystyczny poemat żywemi zgłoskami pisze Radziwiłł „panie kochanku", a cóż za poetyczna postać owego Wacława Rzewuskiego, co niby nieszczęśliwą miłość swoją miał na pustyni Neżdu tłumić, a stał się arabskim emirem i hasał farysem po stepie i bohaterzył na poetycznym Wschodzie, że jego wyobraźnię arabska zapaliła fantazya! Żywość wyobraźni mieni się różnobarwnemi kolory, roztaczając po całym obszarze kraju scen tysiące. Toż w jednym pamiętniku z dawnych czasów znaleźć ich całe roje można. Weź Reja lub Paska do ręki, a obaczysz co się posypie charakterystycznych obrazów. Kiedy więc téj polskiéj poetyczności wiązadła są tak wybitne, kiedy się ona opiera na rodzinie, na miłości i obyczaju, nie dziw, że nosi na sobie charakter pewnéj całości, niby artystycznego skończenia. Formy życia tak się wyraźnie a harmonijnie ułożyły, że dotknij go z jednéj strony, a już bogaty i cały w sobie obraz stanie. Weź każdy z obrazów litewskich Chodźki, jaki pełny, doskonały i cały w sobie. Takim artyzmem na wielką skalę odtworzony „Soplica", „Listopad", „Murdelio" a potém „Pan Tadeusz", „Mohort" i innych mnóstwo. To są portrety pełne artystycznéj doskonałości, bo już

samo życie i każda w niém postać, wypełnioną znaczyły się treścią. W „Panu Tadeuszu“ każdy rozdział daje obfity przedmiot dla pędzla, w każdéj scenie napić się serce może radości z oglądania rzeczy pięknych i wzniosłych, a zawsze charakterystycznie malowniczych.

Otóż poetyczność ta przeminęła w rzeczywistości, a teraz przychodzi nam obejrzéć się, aby ją odtworzyć w sztuce, a przez sztukę ożywić oschłą prozę życia i dopomódz do przetrawienia na swoje tego, co nam z obczyzny, z nowego czasu, z postępowych idei naleciało. Poczyna na tém polu pracę literatura XIX wieku. Wzniosłym pomnikiem czasu stoi ona przed nami, jako odbicie, jako streszczenie myślą tego wszystkiego, co historyczną było prawdą, a co się przypruszyło pyłem nowéj, obcéj nam literatury. Jak powstał ten pomnik? Zkąd się wzięły arcydzieła Chodźki, Rzewuskiego, Krasińskiego, Brodzińskiego, Mickiewicza i Pola? Zkąd ów ogromny zbiór poematów i pieśni, które, można powiedzieć, cały kraj w natchnieniu tworzył? Wszak nie było dotąd ani psychologicznych studyów w nauce historyi, ani archeologicznych badań, tych, co są niezbędnym materyałem, księgą wiadomości dla literata i artysty. Bezwątpienia, że samo uzdolnienie wiele tu pomogło. Wyobraźnia zaczepiała o lada książeczkę z dawnych czasów, o lada pamiętniczek, a znalazły się też i ustne podania, a tu i owdzie żył jeszcze starzec mchem wspomnień porosły, a gdzieś sterczał jeszcze dawny obyczaj, co osiwiał w służbie i na gracyalistę przeszedł. Niemałą w tém odtwarzaniu gra rolę sama, jak się rzekło, obrazowość, skończoność rodzinnego życia polskiego. Ono miało siłę organiczną i dlatego uwydatniło się z całą szczerością a prawdą w najmniejszym objawie. Łatwo to życie schwycić, łatwo po cząstkach i ułomkach poznać całość, bo te ułomki same dopowiadają całości. Jeśli już wiele wynieść można z samych przysłów, tak oryginalnych a charakterystycznych, to z jednego pamiętnego pisemka, z kroniczki, z kilku listów i dokumentów archiwalnych, można szczegółowy charakter miejsca i czasu odtworzyć. Sam język i jego formy malownicze, są już zwierciadłem, w którém się cała postać przeszłości portretuje. W nim żywo stoją wszystkie kontury, załomy, ruchy i odcienia ducha narodowego, od najdawniejszych aż do naszych czasów. Więc czego nie dotknąć z objawów, wszędzie odnaleźć można syntezę poetyczności, która w każdéj kropelce żywota słonecznym odbija się promieniem. Łatwo też ją odnajdzie w sobie samym każdy, kto przędzę narodowych tradycyj zachował, kto piersi swojéj nie ostudził i rodzimych penatów z niéj nie wygnał.

Jedném z wielkich źródeł dla twórczego ducha, który z początkiem bieżącego wieku rozpoczął swą pracę, jest zawsze przytomny, zawsze pełną krynicą poezyi obdarzony lud. Jeśli klassy oświecone wybiegają poza granicę kraju, aby zdobyć naukę i przywieźć nowe zasoby wiedzy; jeśli pracują na polu powszechnéj postępowości, aby pod starą nie zapleśniéć strzechą i zmienić co nieużytecznem a złém

się okazało; więc jeśli ze sfer uczucia wchodzą na drogi kędy rozum, wola i energiczna czynność czuwają, to lud się chowa wyłącznie pod opieką serca, a mieszka w starém, mchem porosłém obozowisku obyczaju. On tam niezdobyty, nieprzełamany, a pełen pamiątek i odwiecznie przechowywanych rzeczy. On jest depozytorem narodowości, bo się broni od obcych wpływów, bo mu obyczaj rodzimy jest wiedzą i nauką, a w postęp nie wierzy. Do ludu staczają się, jak gdyby w ciepłą dolinę na zimowe leże, wszystkie, na rozległych wzgórzach narodowego historyzmu wylęgłe, obyczaje. Tam znaleźć można najpierwotniejsze i najpóźniejsze formy, całą genealogią rzeźby życiowéj, jak się ona w całym narodzie wykrawała i ustępując miejsca nowym rzeczom, na zachowanie do ludu schodziła. Toż w mowie ludowéj znajdziesz duszę téj rzeźby. Nic tak potężnie głosem całéj przeszłości do nas nié przemówi, jak słowo i pieśń ludowa. Poetyczny nasz lud był ogromną skarbnicą dla literatury XIX wieku i dla sztuki krajowéj, a przyszłość w tych skarbach nierównie większe jeszcze słowiańskiéj twórczości bogactwa przeznacza. Toć wielkiéj są zasługi tacy pracownicy, jak Wójcicki i Kolberg, wyświecający duszę ludu w powieściach, podaniach, pieśniach i melodyach, bo oni skupiają rozpierzchnione żywioły poetyczne dla przyszłéj sztuki słowiańskiéj.

Jakkolwiek z tą sprawą odrodzenia się stało, to pewna, że literatura XIX wieku, jest wielką epoką, w któréj nasz idealizm, sycony oddawna w uczuciu, ale rozrzucony i bez formy, zaczął nabierać ciała. Wpłynęła na to psychologicznie dojrzałość myśli, więc zwrócenie się na siebie i poznanie siebie samych. Zbudzone sumienie postrzega, że nie dość jest miéć idealną piękność w sercach, lecz trzeba tę piękność przetopić na żywokształt, by była początkiem dobréj pracy po duchu. Odtąd téż poczyna się zarobek własny, pełen nadziei dla mocy twórczych, pełen przyszłości dla sztuki.

Jakie jest znaczenie dawno wyrzeczonego zdania, że co ma odżyć w pieśni, musi umrzéć w rzeczywistości? Zdanie to nie koniecznie należy brać dosłownie, bo ze śmierci nic stworzyć żywego nie można, bo między pieśnią a życiem musi być związek, a jest nim właśnie zawsze ten sam duch, który wciąż jednym tchem żyje, pomimo, że go siła czasu nieraz w głąb zapędzi. Jako umarłe pojmować możemy tylko życie, które w bardzo daleką przyszłość odsunięte, już i ognie swoje całkiem wygasiło i rysy a kształty zupełnie zatarło. Popiołom takiego życia należy się cześć bezwzględna. Więc świętokradztwo popełnia sztuka, skoro się waży zazierać do katakumb, naruszać spokój, galwanizować ciała duchem, który im obcy jest. Takiego świętokradztwa dopuszczamy się względem starożytnego świata. Otóż znaczeniem Szyllerowskiego aforyzmu, nie co innego być może, jeno to, że poeta i sztukmistrz nie mogą odtwarzać dobrze, sumiennie a doskonale, jak tylko rzeczy, które przed ich wzrokiem spełna się przesunęły, które się obramowały w dokonaną całość, a otrzymały światło i cień z gó-

ry, z oddalenia. W tém leży przyczyna, dla któréj sztuka każdego czasu, przedmiot swój najchętniéj z mniéj lub więcéj oddalonéj przeszłości bierze; więc z tego co się już stało, co się chociażby świéżo spełniło. W tém leży niebezpieczeństwo lub krótkotrwałość tendencyjnych i spółczesnych ideałów w sztuce, w tém również leży ważność historycznego piękna. Rycersko-epiczny poemat „O wojnie chocimskiéj", dlatego tak niespożytą pięknością uderza, że lubo go autor jeszcze w dobie wielkich czynów tworzył, lecz na sam wypadek dopiéro z wierzchołka czasu patrzał. Wacław Potocki w pięćdziesiąt lat po spełnionym fakcie swój poemat począł. Wiemy jak wiele znaczącym jest wpływ saméj historyi jako nauki. Ona utrzymuje nić żywota, nie pozwala odbiegać a gubić się duchowi wśród zamętów czasu, a kształci wyobrażenia i moralność społeczną, a rozszerza zakres myśli, uczuć i czynów. Owoż sztuka pomocną jéj jest z téj strony, że wpływa bezpośrednio na duszę, że jest w stanie potęgować i do ideału podnosić te wizerunki żywota, które historya w ich rzeczywistym nieładzie przedstawić musi. Artysta umié oczyścić fakt każdy z otaczającéj go przypadkowości, i dlatego wciska do duszy naszéj miłość dla pięknie spełnionych czynów, i owszem, odsłaniając psychiczną księgę żywota na tych jéj kartach, które są najwybitniejsze, najznakomitsze, uczy nas spoziérać nietylko w przeszłość, ale i w przyszłość. Zważyć nadto trzeba, że odradzanie przeminionych rzeczy odbywa się wedle pewnego starszeństwa w sztukach. Duch najpierwéj w słowie każdego narodu da znać o sobie. Zanim symbole i plastyka pochwycą tony a rysy przedmiotów, musi je piérwéj pędzel i liryka słowa odtworzyć; bo symbole i plastyka już wymagają pewnéj syntezy gotowéj, pewnych kształtów i rysów urobionych, których im właśnie dostarczy poemat, epopeja, powieść, pamiętnik. Piękna literatura jest pośredniczką między poezyą życia a poezyą sztuki. Ona stoi na granicy między abstrakcyą a konkrecyą, więc ma już ułowioną pewną kształtność, pewną foremność rozpierzchnionych w życiu rzeczy; ale tym kształtom brak jeszcze wytworu, artystycznego skupienia; brąk tych wielkich centrów wystających w sztuce, a mających przemówić do ducha żywym organem, przez ciało i krew, przez ruch i ton. Sztukmistrz otrzymuje potrącenie z otaczającego świata, zbiéra wzory z przedmiotowości, z natury, ale ducha swego musi wykształcić, musi podnieść i nasycić tym karmem, który już z myśli ludzkiéj wynikł, a stoi bogatym skarbem w otaczającéj sztukmistrza umysłowości. Inaczéj nic wielkiego, nic oryginalnego nie stworzy; nie będzie mistrzem, ale uczniem, skazanym na posłuszeństwo dla szkoły. Kompozytor muzyczny, szukając piękna przedmiotowego, wsłuchuje się w ruchy i grę natury; on chwyta jéj głosy i rytmy, a przeświadcza się jaką to tęsknotą śpiewa zawieszony w ciszy podniebia skowronek, jak szemrzą strumienie i huczą lasy, jak nuci pachołę w polu, jaką ochotą tryska swoboda w weselu. Ale jeśli ów kompozytor niéma wykształcenia wyższego, on nic zrozumié tego

chóru natury, nie przerobi go w duszy na ideał, nie odnajdzie w nim myśli Bożéj, która to ma znaczenie, że wszystkie objawy przyrody dopiéro w duchu człowieka na wzniosłą wartość, na szlachetną piękność się przerabiają. Takim trybem wszędzie powstawało piękne tworzenie, z poezyi życia przez poezyę myśli; takim téż trybem i nasza rozwija się sztuka. Nasza literatura piękna zamienia się teraz w malarstwo i muzykę, to jest we właściwą sztukę, w któréj coraz pełniejszym objawem rośnie styl, forma i charakter swojskiego mistrzowstwa. Matejko i Moniuszko stoją tu już jako geniusze zupełnie samodzielni, jako mistrze-przewodnicy, których stanowisko zanadto jest ważne i wzniosłe, aby można było mało usprawiedliwionym sądem o ich dziełach wyrzec.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd prassy peryodycznéj

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Rok 1873.

W Europie Zachodniéj już od pół wieku datuje się rozrost obszerny i wpływ potężny dziennikarstwa na opinią publiczną. Codziennie, rzeklibyśmy, co godzina, co chwila rzuca ono pełnemi garściami to wyroki na objawy życia, to wezwania do czynów, to nowe pomysły, a liczne i coraz liczniejsze tłumy chwytają chciwie ten pokarm duchowy, zaciekawiają się, roznamiętniają, czasem się gorszą, ale w każdym razie są pociągane szybko i skutecznie ku sferom intellektualnym, wznoszą się bezwiednie prawie z otchłani ciemnoty do wyższéj krainy życia umysłowego. Wszakże od czasu do czasu dają się słyszéć głosy, protestujące przeciwko temu rozwielmożeniu się prassy peryodycznéj: literaci i artyści przytaczają długie szeregi sprawozdań o jednym i tym samym utworze częstokroć najzupełniéj sprzecznych; politycy i filozofowie niejednokrotnie widzieli w gazetach narzędzia obłędu; spekulanci finansowi z łatwością umieją zjednywać i do służenia osobistym swym interesom zaprzęgać najwymowniejszych czasem redaktorów, a pod działaniem przeróżnych ukrytych sprężyn i tajemniczych wpływów, nieraz prassa staje się chaotycznym gwarem wzajemnie ścierających się dążności i zasad. Niechże się gdziekolwiek nadwątlą moralne i obyczajowe podwaliny społeczeństwa, wnet prassa taka traci z oka wzniosłe cele

oświecania dróg życia praktycznego i umysłowego, sieje rozmyślnie fałsze i podstępne rady, goniąc za chwilowym, materyalnym zyskiem. Przed kilkoma tygodniami widzieliśmy, że jeden z najpopularniejszych monarchów Europy dał napomnienie dziennikarzom swojéj stolicy, którzy przyszli winszować mu jubileuszowéj rocznicy panowania. Przedstawiciele prassy północno-niemieckiéj musieli téż zjechać na naradę, aby uchwalić środki zaradcze przeciwko szerzeniu rozmyślnych fałszów i bezczelnemu plagiatowi.

U nas prassa peryodyczna nie miała takiego rozwoju jak na Zachodzie. W ostatnich dopiéro dziesięciu latach wzrost jéj wzmógł się znakomicie, a liczba czytelników powiększyła się niezwyczajnie. Nie możemy jeszcze być dumni z tego stanu, bo Szwajcarya przy 2½ milionowéj ludności ma pism 400; w maluczkiéj Danii przy 1,717,000 mieszkańcach dziennik Dagbladet ma 6000, a gazeta Dags-Telegrafen 18,000 prenumeratorów. Wszakże i nasza chudoba zasługuje na obliczenie, i z naszą produkcyą prassy peryodycznéj policzyć się trzeba, a trzeba témbardziéj, że pochłania już większą część sił literackich kraju, że ilość wychodzących książek oryginalnych nie wzrasta w odpowiednim stosunku. Czytająca publiczność nasza karmi się dziś przeważnie ulotnemi artykułami, trzeba więc baczyć na wartość podawanéj ogółowi strawy, rozpatrzéć o ile prassa nasza pilnuje celów dobra społecznego.

I.

NIWA [1]).

W piérwszéj odezwie swojéj „Do czytelników Niwy" redakcya napisała na swym sztandarze ponętną dewizę: „wiedza to potęga", odwołała się przedewszystkiém do młodzieży, „która nie zatarła w sobie popędów do dobra piękna i prawdy" i przemówiła do niéj znanemi słowy Mickiewicza: Młodości, ty nad poziomy etc. Opowiedziała szczerze (w kronice miejscowéj), w jaki sposób powstał piérwszy plan założenia pisma, jak zgromadzenie u jednego ze starszych kolegów uniwersyteckich zawołało jednogłośnie „złożymy kapitał wszyscy, choćby od ust sobie odejmując" i oświadczyła, że organ swój poświęca „uprzystępnianiu nauk."

Przemowa taka nie mogła nie trafić do serca czytelnikom i rzeczywiście, o ile nam wiadomo, nowe pismo wraz z dewizą, historyą fundacyi i składem redakcyi zostało nader przychylnie przez publiczność powitane. Nikt nie gorszył się nieco surowym sądem o społeczeństwie naszém, które zdaniem redakcyi jest uważane „za społeczeństwo nie mające światła wiedzy, a co gorsza, nie chcące promieniami jego rozjaśnić dróg, po których postępowaćby należało."

[1]) Ze względu na techniczne wymagania drukarni i redakcyi, przegląd niniejszy sięga tylko do 15 października z. r.

Surowość sądu częstokroć jest oznaką energicznéj miłości, gorącéj chęci służenia społeczeństwu. Przyjęto chętnie „wyznanie wiary literackiéj“ chociaż punkt piérwszy zostawał w pewnéj sprzeczności z zakończeniem, gdyż zawierał twierdzenie, że w literaturze „klejnoty fantazyi nie są tak nieodbicie potrzebne jak skarby wiedzy,“ a przecież przytoczona „Oda do młodości“ jest właśnie klejnotem fantazyi i była zapewne „nieodbicie potrzebną,“ żeby zagrzać młodzież do współpracowuictwa i popierania „Niwy.“ Na pilniejszą uwagę zasługiwała tylko rozprawa o naturze wiedzy, zamieszczona na początku artykułu, ale wrażenie jéj było jeszcze zbyt niezupełne, iżby rozmaite koła czytelnilków mogły sobie jasno zdać sprawę z przekonań naukowych i filozoficznych redakcyi. Obecnie, gdy charakter pisma wyjaśnił się dostatecznie, zwrócimy uwagę na te ustępy.

Redakcya powiada, że szczytném zadaniem wiedzy jest poznanie praw, rządzących zjawiskami. Na to zgoda. Ale zaraz potém dodaje hazardowniejsze zdanie, że prawo „stanowi pokarm duchowy człowieka.“ Tu już w umyśle naszym budzi się obawa, czy redakcya nie myśli karmić ducha samemi tylko prawami? Na taki pokarm, nie chcemy się godzić, boby duch musiał zasklepić się w najsurowszych i najzimniejszych abstrakcyach, żyć i przebywać wśród posępnych pojęć o świecie mechanicznym, skurczyć się i zmaleć do rozmiarów jakiejśćiś niezbyt imponującéj siły, poruszającéj „człowiekiem-maszyną.“ Zakończenie okresu wzmaga nasze podejrzenia, gdyż redakcya dała do zrozumienia, że ogranicza cały obszar wiedzy kordonem nauk stosowanych.

Powtarzany wciąż w nader wątpliwych określeniach wyraz „prawa,“ cytata z Buckle'a, wzmianka o prawach gromadzonych przez statystykę i „inne nauki antropologiczne“ służą już za wskazówkę, że redakcya postanowiła krzewić i popularyzować pomysły tak zwanych pozytywistów i to krańcowego odcienia, najbardziéj zbliżających się do materyalizmu.

Rozstrząśnijmy teraz działalność redakcyi w głównych działach jéj pisma, a przedewszystkiém zacznijmy od działu naukowego, ponieważ, według niejednokrotnych oświadczeń redakcyi, nauki mają stanowić główną podstawę, rdzeń pozytywizmu.

Dział ten otworzył się w roku zeszłym obszerną w ośmiu numerach drukowaną pracą p. Juliana Ochorowicza, p. t. „*Duch i mózg*, studyum psychofizyologiczne.“ Jestto zestawienie i ocena przeróżnych zdań, jakie wygłosili anatomowie i fizyologowie o sprawach układu nerwowego i siedlisku duszy. Celem głównym jednak jest wykazanie „téj prawdy,“ że „możemy oznaczyć i ocenić siłę duchową w mózgu [1]).“ Opis mózgu, objaśniony rysunkiem, rola mlecza pacierzowego, działanie nerwów i zwojów, odznacza się niepospolitą ja-

[1]) Niwa, nr. 1, str. 5.

snością i żywością wykładu, obfituje w śmiałe, jaskrawe porównania, w szybkie, doraźne zastosowania np.: „Otóż takim sekretarzem mózgowego zwierzchnika jest móżdżek. Duch mózgowy pobudza do ruchu, ale sekretarz móżdżkowy porządkuje ruchy... Bez móżdżku niéma artysty co prawda, ale z drugiéj strony, nie wiele wart taki artysta, co oprócz móżdżku nié ma nic więcéj.“ „Ale tam gdzie jest ciepło, światło, elektryczność, a w dodatku dwa serca młode, nerw jedenastéj i dziesiątéj pary; tam o *magnetyzm... serca* nie trudno“ [1]). Podobne zwroty, przy werwie i potoczystości stylu, czynią artykuł naukowy bardzo przystępnym i zajmującym dla szerszego koła czytelników, nie oswojonych z naukami przyrodniczemi. Gdyby p. Ochorowicz ograniczył się samą tylko stroną anatomiczną i fizyologiczną, mielibyśmy tylko słowa uznania dla jego talentu literackiego, a raczéj pedagogicznego. Nie ograniczył się jednak, owszem śmiało wkroczył na niezmierzone obszary filozofii i zagaił rzecz o duchu.

Przytoczywszy kilka ustępów ze Starego Testamentu na dowód że w „całéj niemal Azyi (uogólnienie trochę za pośpieszne) uważano w owych czasach duszę za jakiś dech żywotny, gaz, płyn lub płomień,“ p. Ochorowicz robi uwagę ogólną „że pojęcia starożytnych we względzie siedliska duszy były o wiele *pozytywniejsze*, aniżeli późniejsze pod wpływem mistycyzmu i scholastycyzmu rozwijane“ [2]). W jakiém znaczeniu użytym jest tu wyraz „pozytywniejsze“? Czy nie w znaczeniu bardziéj materyalne? Wyrażenia p. O. o istocie ducha są tak sprzeczne, że niepodobna o nich złożyć ścisłego, a nawet jasnego określenia. „Duch to wewnętrzny świat zjawisk... to siła, wyrażająca się zmysłowo w ruchach, cząsteczkach mózgu, w ruchach mechanicznych mięśni, w słowie i w czynie“; przyczyną ruchów życia roślinnego jest „siła żywotna, nie duch“; nie potrzeba przyjmować „odrębnéj duszy mleczowéj, pomagającéj *duchowi mózgowemu*.“ „Niepodobna, mówi Rudolf Virchow, obok przyrodzonego mechanizmu mlecza, przypuszczać jeszcze istnienie odrębnego, nie anatomicznego, albo jak to chętnie zwykli mawiać *niemateryalnego* działacza, któryby czuł, myślał, pożądał, działał“ [3]). „To tylko pewna, że wszystkie bez wyjątku sprawy myśli, pamięci, wyobraźni i rozumu, wszelkie wyższe moralne uczucia, wszelkie stany najwyższéj samowiedzy, przejawiają się w tkance szaréj.“ Lélut powiada, że wiedzieć i zrozumieć te cuda, jakie dzieją się w mózgu jest niepodobieństwem, bo zrozumieć to wszystko, byłoby to odgadnąć, zrozumieć, czyja ręka wyniosła te światy z nicości.“ Przytaczając te słowa, stawia pytanie w inny sposób: „Czy poznamy czém jest prze-

---

[1]) Niwa, nr. 6, str. 129.
[2]) Niwa, nr. 1, str. 5.
[3]) Niwa, nr. 1 str. 4; nr. 5, str. 103; nr. 4, str. 81.

strzeń, czas, duch, materya, *siła rządząca światem*, ów *ruch* nieskończony, *nieśmiertelny*“ etc. Zbadano szybkość myśli, zdołano *oznaczyć mechaniczny równoważnik pracy umysłowéj* (chociaż „próby Hirna *zdają się* nie pozostawiać pod tym względem wątpliwości“), obliczono liczbę wyobrażeń i pojęć zasadniczych na kilkadziesiąt tysięcy [1]) (co prawda obliczenie nie grzeszy zbyteczną, pedancką drobiazgowością). Z tych i tym podobnych wyrażeń, tudzież z wygłoszonéj niejednokrotnie nadziei, że fizyologia rozwiąże najbardziéj tajemnicze zagadki, rodzi się w umyśle czytelnika mniemanie, że pojęcia p. Ochorowicza o duchu, są bardzo zbliżone do pojęć Vogta, który przyrównywał wytwarzanie myśli „do wydzielin wątroby i nerek“: tymczasem w zakończeniu rozprawy znajdujemy wymowny ustęp o sprzecznościach pomiędzy materyą i duchem; czytamy, że „myśli nikt nie zważył, nikt dla niéj szalek nie wymyślił“; napotykamy lekką protestacyą przeciwko zdaniom Vogta, Moleschotta i Feuerbacha, a w końcu przytoczone słowa Libelta, który zapewne zdziwił się niepomału, jeżeli się dowiedział, że mu się kiedyś udało zredagować ustęp, przydatny dla pozytywisty. Co większa, p. Ochorowicz pozwala każdemu, a nawet i pozytywiście wierzyć w nieśmiertelność duszy, nie pozwala tylko „powiedzieć wprost, że nią jest lub nie jest“ Czy sam wierzy? pytać nie mamy prawa, gdyż wyraźnego oświadczenia złożyć nie chciał i wierzącego czytelnika do wyrzeczenia się téj wiary nie zmuszał. W przytoczonym wyżéj ustępie (ze str. 154) przyznał wprawdzie przymiot nieśmiertelności jednemu tylko ruchowi, ale duch zajmuje oddzielne, autonomiczne miejsce obok przestrzeni, czasu, materyi, siły rządzącéj światem (jestto zapewne Bóg w pozytywnéj szacie), a nawet obok nieśmiertelnego ruchu. Jak to zrozumieć, jak tych pięć pojęć uporządkować i spoić? nie widzimy sposobu. P. Ochorowicz wcisnąwszy taką łamigłówkę w szarą tkankę czytelnikowi, usadowiwszy prawie tuż obok siebie dwa sfinksowe frazesa („czy to ma znaczyć, że dusza nie jest nieśmiertelną?... Prawdopodobieństwo faktyczne i domniemana konieczność logiczna pozwalają tworzyć teorye czysto materyalistyczne, i to nietylko pozwalają, ale wprost wymagają tego“), wolał zabrać głos w imieniu nauki i „na pytania natrętne“ odpowiedzieć przesławnym frazesem skeptyków: *nie wiem*.

P. Ochorowicz wié przynajmniéj dlaczego drukował swoję rozprawę, dlaczego na tytule napisał „Duch i Mózg“ nie poprzestając na samym mózgu? Co do czytelników, sądzimy, że niejeden się znajdzie, co na powyższe pytanie odpowié równie złowieszczém „nie wiem.“ A do rzędu tych czytelników należéć będą ci wszyscy, którzy wiedzą, że fizyologia zajmuje się sprawami organizmu cieles-

---

[1]) Niwa, nr. 10, str. 240; nr. 7, str. 154, 155; nr. 10, str. 241.

nego i w tym tylko kierunku ma rozległe pole odkryć i zdobyczy doświadczalnych, że duszę ludzką bada psychologia, a pojęcia o duchu, istocie, czy „sile rządzącéj światem“ przestrzeni, czasie etc. bada i porządkuje metafizyka, któréj p. Ochorowicz bardzo nie lubi i nazywa „kołowacizną,“ a która jest jednakże umiejętnością ważną; że niepochwytność rzeczonych pojęć najogólniejszych i najwyższych nie zwalnia bynajmniéj filozofa, uczonego, a nawet po prostu człowieka myślącego od obowiązku obeznania się z temi pojęciami, chybaby nie chciał znać i uszanować żadnéj nauki, bo niemasz żadnéj nauki, któraby własną swą zasadę, piérwotny swój punkt wyjścia wytłumaczyć mogła, że ani historya, ani żadne doświadczenia „pozytywne“ nie wykazały, aby gdziekolwiek istniéć mogło cywilizowane społeczeństwo bez wiary w nieśmiertelność duszy; więc i pozytywiści, jeśli zakładają pismo w celu dobroczynnego działania na społeczeństwo, nie powinni, a nawet nie mają prawa podkopywać téj wiary zwątpieniem.

Druga obszerniejsza oryginalna praca wyszła z pod pióra p. Piotra Chmielowskiego i nosi tytuł: *Geneza fantazyi*, szkic psychologiczny (nr. 15—23). „Dążnością nauki dzisiejszéj jest obalić psychologią feudalną.“ Założenie autora zawiéra się w tych słowach: „czy fantazya jest odrębną władzą ducha, wielce odskakującą od innych, czy téż przeciwnie, jest tylko jedną z form naszéj duchowości, w niczém się radykalnie nie odróżniającą od wszystkich innych przejawów.“ Domyślny czytelnik może już teraz odgadnąć odpowiedź! Po cóż to subtelne wyróżnianie rozmaitych władz ducha, kiedy wszystkie one mieszczą się w jednéj tkance, a ta cała tkanka jest szarą? Przejrzyjmy tylko punkty wytyczne w wywodzie p. Chmielowskiego:

„Wszystko przemawia zatém, że (prócz znanych pięciu zmysłów) posiadamy jeszcze zmysł szósty, tak zwany (nie wymienia autor przez kogo?) zmysł mięśniowy (muskułowy). Zmysły te stają się skarbem myśli naszych... wrażenie jest spłynięciem się w jedno kilku czuć t. j. podrażnień nerwowych.“ Od wrażeń przechodzi autor do wyobrażenia... portmonetki (przykład ten z zamiarem zapewne został dobrany dla skuteczniejszego zgromienia „psychologii feudalnéj“ dla dosadniejszego scharakteryzowania psychologii i estetyki pozytywnéj); nareszcie pojedyńcze wyobrażenia autor kojarzy i jednym tchem wygłasza cztery prawa owego kojarzenia wyobrażeń (associatio idearum) [1]). Ot i cały mechanizm duchowy. Dodawszy do tego „walkę o byt“ i „wybór naturalny“ [2]) nie potrzeba już nic więcéj wiedziéc dla zrozumienia wszelkich stanów duchowych od snu D-ra Szokalskiego przy piecu na nierównym materacu [3]), aż do fantazyi twórczéj Mickiewicza, Słowackiego, Göthe'go, Danta e tutti quanti.

---

[1]) Niwa, nr. 15, str. 52, 53. [2]) Nr. 15, str. 55. [3]) Nr. 18, str. 125.

Wniosek ostateczny brzmi w tych wyrazach: „Fantazya jestto taki proces myślenia, w którym wyobrażenia zmieniają się i kombinują pod kierunkiem naszych uczuć i namiętności na podstawie assocyacyi swobodnéj,“ kiedy rozum jest procesem myślenia, w którym wyobrażenia zmieniają się na podstawie assocyacyi „skrępowanéj jedném lub kilku pojęciami, które miano praw noszą.“ Tym sposobem p. Chm. sprowadził zjawiska umysłowe do „jedności świadomości“ [1]). Gdybyśmy poprzestać zechcieli na skromniejszych wymaganiach pod względem ścisłości określeń, to w przytoczonym wniosku, nie znaleźlibyśmy może nic nadzwyczajnego, nic sprzecznego z najpospolitszemi wnioskami nawet filozofów „metafizycznych.“ Skala uogólnień jest nieograniczoną, sięga i do jedności zjawisk ducha i do jedności przyrody, i do jedności wszechświata etc. Nic tu nie stoi na zawadzie, żebyśmy mieli wzbraniać p. Chmielowskiemu wygłaszać jedność świadomości. Nawet skromniejsi poeci, *irritabile genus vatum*, możeby się udobruchali, przeczytawszy po niezbyt grzecznéj rozprawce o ich halucynacyach takie zapewnienie: „wraz z nimi napawamy się wszystkiém, co wzniosłe, piękne, szlachetne i prawdziwe.“ Owóż musimy ostrzedz tych łatwowiernych ludzi, że nie we wniosku ostatecznym mieści się sens moralny rozprawy. Patrzcie, p. Chm. tak nie lubi „owych dytyrambicznych zachwytów, podnoszących umysł ludzki do nieskończoności,“ że nie przebacza nawet „trzeźwo na rzeczy patrzącemu psychologowi“ (Despine) następnych słow, niezgodnych z pozytywizmem: „jestto natchnienie, jestto owo *quid divinum*, które jest geniuszem wynalazców w poezyi, w sztukach i w zastosowaniach wiadomości naukowych.“ Najpilniejszą troską dla p. Chmielowskiego, gdy wyprowadzał rodowód fantazyi, było to, aby „rodowego jéj drzewa nie oprzéć o niebios stropy“ [2]).

Nie widzimy najmniejszego podobieństwa wchodzić w szczegółową dyskussyą co do wartości przytaczanych w każdéj rozprawie argumentów. Z tego powodu, jak poprzednio p. Ochorowiczowi tak obecnie panu Chmielowskiemu musimy ofiarować kredyt nieograniczony co do zasadności doświadczeń, co do prawidłowości indukcyi; musimy przyjąć w dobréj wierze wszystkie wyrocznie „znakomitego“ Taine'a, znakomitego Bain'a, a nawet „znakomitego popularyzatora filozofii, Lewesa“ (znakomitego... chyba ztąd że jak sam oświadcza, pisał historyą filozofii, będąc jéj nieprzyjacielem i że ta niechęć nie pozwoliła mu ich przestudyować należycie). Wolno nam tylko założyć protest przeciwko ogólnéj konstrukcyi pomysłów pana Chmielowskiego i mistrzów jego. Mechanizm assocyacyi i reprodukcyi wyobrażeń jest bardzo prosty, to prawda, ale też jest

---

[1]) Nr. 23, str. 246 i nr. 15, str. 52.
[2]) Nr. 16, str. 77; nr. 23, str. 247.

bardzo nieociosany i do analizy wyższych i subtelniejszych spraw ducha nieprzydatny. Wystarcza on tylko do wiązania i grupowania pojedyńczych wrażeń, ale do oznaczenia stosunku pomiędzy wrażeniami, do kierowania pojedyńczemi aktami wyobraźni, potrzebna jest czynność wyższa, poznanie przestrzeni i czasu, których żaden zmysł a nawet wynaleziony przez pana Chmielowskiego szósty zmysł mięśniowy, do świadomości podać nam nie może. A po nad tą władzą porządkującą, zwaną rozsądkiem, subtelniejsza analiza psychologiczna dopatruje jeszcze wyższych władz ducha (rozum, intuicya etc.), ale wstępując po tych szczeblach, wypadłoby dojść aż do niebieskich stropów, i dotknąć najdrażliwszéj strony autora rozprawy. Zamykając na tém protestacyą niniejszą, dodamy tylko, że znajomość nauk doświadczalnych i fizyologii nie wymaga bynajmniéj stosowania do praw ducha tak rubasznych procederów, jakim jest np. miażdżenie fantazyi twórczéj mechanizmem assocyacyi wyobrażeń. Dla przykładu możemy przytoczyć chociażby Lotze'go który napatrzył się nie mało na szarą tkankę i ośrodki nerwowe a jednak umiał stosować do analizy ducha subtelniejsze procesy [1]).

Trzecią oryginalną, równie jak dwie poprzednie w odbitkach powtórzoną pracą jest *Kwestya językowa* przez Ad. Ant. Kryńskiego. Rozprawa ta ma na celu spopularyzować spostrzeżenia naukowe zasłużonych językoznawców naszych, szczególnie księdza Malinowskiego. Zadanie to wykonał pan K. z talentem. Kwestya gramatyczna (o pisaniu *ym*, zamiast *ém* w rodzaju nijakim, w przp. 6-ym liczby pojedyńczéj) jest wyłożona tak powabnie i lekko, że czytać ją może bez natężenia uwagi najmniéj oswojony z gramatyką czytelnik. Tezę główną popierał pan Kryński spostrzeżeniami ze studyów własnych. Co do zasadności wniosków ukazały się w paru pismach protestacye (jedna z takich protestacyj zamieszczoną była i w naszém piśmie, w zeszycie majowym). Gdyby jednak pan Kryński poprzestał na wymownėm przedstawieniu swoich poglądów filologicznych, gdyby nie zażądał natychmiastowego wprowadzenia swych prawideł w wykonanie; gdyby Niwa wydrukowała rozprawę jego pisownią jak drukują się artykuły ks. Malinowskiego w Pamiętniku Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, ale nie zmieniła ortografii w całém swém piśmie: nie mielibyśmy redakcyi nic do zarzucenia. Każdemu wolno wygłaszać wszelkie opinie naukowe; owszem najbardziéjbyśmy pragnęli, aby literatura polska naliczyć mogła jak najwięcéj rozmaitych poglądów i teoryj w każdym dziale

---

[1]) Co do stosunku, jaki zachodzi pomiędzy czuciem, wrażeniem, assocyacyą wrażeń, rozsądkiem i rozumem, warto rozważyć rozdziały II i III księgi drugiéj, tom I Mikrokosmus (Leipzig 1869, 2-te Auflage str. 189—269, a szczególnie 257—260).

wiedzy, ale nie wolno osobistéj opinii pisarza narzucać obcesowo ogółowi; niewolno wyrokom zaprzeczanym i nieprawomocnym dodawać klauzuli egzekucyjnéj. Jakkolwiek pan Kryński wyszydza porównanie języka z żywym organizmem (co nie przeszkadza mu zresztą stosować darwinowskiej walki o byt i wyboru naturalnego do zacisznych przeobrażeń językowych): to jednak nie ulega wątpliwości, że mowa ustna i pisana jest zjawiskiem bardzo złożoném, że nosi na sobie niezatarte piętno poprzednich stanów historycznych, że miewa swoje narowy, które szanować należy, chociaż ze stanowiska teoryi mogą się zdawać dziwacznemi. Dlaczegóż Francuzi nie przestają pisać po trzy lub cztéry głoski na wyrażenie jednego dźwięku, dlaczego Anglicy nie uregulują swojéj dziwacznéj pisowni, którą oni sami tylko odcyfrować umieją? Nikt nie zaprzeczy, że w polskiéj pisowni, a nawet w samém abecadle zawiera się mnóstwo rzeczy nielogicznych, a jednak pewni jesteśmy, że naród nie przyjmie nowego, bardzo logicznego zapewne abecadła, którém ks. Malinowski chce nas obdarzyć, a które potargałoby węzły łączące pokolenia potomne z całą dawniejszą literaturą. Ganimy więc energicznie nowatorski zapęd Niwy, tém bardziéj że wprowadziła kilka innych zmian, nieusprawiedliwionych aż do dziś dnia nawet żadnym artykułem, nie popartych żadnemi motywami. Wynika ztąd zamiast naprawy tylko skażenie języka, boleśne i groźne szczególnie dla młodzieży. Jakiż to zamęt powstaje w głowie nieświadomego sporów gramatycznych młodzieńca, gdy widzi że trzy pisma drukują jakoś inaczéj, niż wszystkie inne, że w samych tych pismach nawet można znaleźć rozmaite sposoby pisania, np. gdy obok zjadszy zamiast zjadłszy; francuz, helen, anglik bez wielkiéj litery, zatym, potym, gieneza, znajduje geneza, intelligencyja, zwietszały (po razy kilka) i t. p.

Z innych artykułów działu naukowego znajdujemy jeszcze pięć studyów oryginalnych: „Belgia i Belgowie“ T. T. Jeża, „Dwaj poeci włoscy“ (Giusti i Leopardi) pana Tomasza Zawadyńskiego (jestto właściwie studyum literackie, nie naukowe) „Słoweńcy kraj i dzieje“ przez Bronisława Grabowskiego, „Rzeczy ludowe w obec nauki etc. przez Wł. Nowickiego, „O elektryczności“ przez Aleksandra Głowackiego; kilka artykułów sprawozdawczych (o kongresie statystycznym w Petersburgu i archeologicznym w Brukselli), o dziele Afanasjewa „Poetyczne poglądy Słowian na przyrodę“; jeden fragment z filozofii, bardzo pobieżnie i pretensyonalnie napisany p. t. „Zasada i zastosowanie indukcyi“ przez Feliksa Bogackiego; rzecz o szpitalach galicyjskich przez D-ra Dobieszewskiego i kilka artykulików tłumaczonych z Fowlera, Kielberga, Korna. Artykuł Korna p. t. „Znaczenie przypadku w życiu ludzkiém“ jest godzien uwagi; zawiera się protest przeciwko przenoszeniu Darwinowskiéj „walki o byt“ do społeczeństwa ludzkiego. Klementyna Royer, tłumacząc na język francuzki dzieło „O pochodzeniu gatunków, dodała od siebie przed-

mowę, w której szydzi nielitościwie z wszystkich usiłowań około polepszenia bytu ludzi opuszczonych od losu, z wszystkich starań nad słabymi i upośledzonymi przez samą naturę.“ Taka troskliwość jest, zdaniem p. Royer, gorsza niż bezpłodny sentymentalizm. Co więcéj, uważa ją za krzywdę niczém nieusprawiedliwioną, jaka się popełnia na silniejszych, gdyż ci w takim razie przynoszą się na ofiarę słabszym. Daléj uważa ją za bunt przeciwko odwiecznym prawom natury; za sprzeciwianie się wreszcie tym czynnikom, zapomocą których urzeczywistnia się postęp w naturze, a który w podobnyż sposób winien się spełniać i w ludzkiém społeczeństwie“ [1]). P. Korn, jakeśmy powiedzieli wyżéj, zbija te wnioski i walczy z darwinistami, twierdzącymi „że wszystko, cokolwiek dokonywa się na świecie, jest wypływem niezłomnych praw natury, wiodących najkonsekwentniéj ku wiadomemu sobie celowi.“ Zamieszczając ten ustęp, redakcya Niwy zapewne chciała uspokoić publiczność, że radaby była ochronić społeczeństwo od dobrodziejstw Darwinowskiego dogmatu; ale czemuż nie przyszło jéj na myśl, że równie szkodliwém być może stosowanie „walki o byt“ do psychologii, gramatyki, estetyki?

Otóż i cały arsenał naukowy Niwy z roku 1872; pozostaje nam dodać tylko, że liczba wszystkich artykułów tego działu wynosi 21.

Przystępujemy do roku 1873.

Na wstępie zaznaczyć musimy widoczny upadek produkcyjności redakcyi w tym dziale względnie do roku ubiegłego. Z szczupłego zasobu prac oryginalnych, dwie tylko rozprawy p. Antoniego Okolskiego, professora uniwersytetu tutejszego, noszą cechy właściwe pracom naukowym. Jedna z nich: „*O kassach oszczędności*“ zawiera historyą tych zakładów w Anglii, Francyi, Niemczech i w kraju, wraz z dokładną charakterystyką statystyczną i prawną. Szczególnie nauczającém jest urządzenie kass pocztowych w Anglii. Wykazawszy mały rozwój i wady w urządzeniu kass naszych, autor żąda, aby każde miasto i każda gmina miała swoję kassę, połączoną, dla zmniejszenia kosztów administracyi, z zarządem gminnym, lub z zarządem pocztowym. Rozumowanie jest poparte długim szeregiem faktów ekonomicznych i obfitemi informacyami z literatury francuzkiéj, niemieckiéj, angielskiéj. Druga rozprawa p. t. *Wykształcenie fizyczne narodu* traktuje o zmaleniu teraźniejszego pokolenia, o słabém wyrobieniu mięśni i o sposobach wzmocnienia organizmu. Do najskuteczniejszych należy naturalnie gimnastyka. Wykład jest wyczerpujący, może nawet aż zanadto w stosunku do natury tematu. Autor nie miał tu szczególnych uprzedzeń do zwalczania; czytelnik

[1]) Nr. 2, str. 28.

zapewne dałby się przekonać argumentacyą Pestalozzego, Jahna, lub pierwszego lepszego hygienisty; historya ćwiczeń gimnastycznych w Grecyi, Rzymie, w wiekach średnich jest może zbytkownem narzędziem dowodzenia. Rozprawa wygląda raczéj na monografią specyalną, niż na artykuł skromnego czasopisma popularno-naukowego. Zkądinąd znowu skłonni jesteśmy do przypuszczenia, że rozprawy szanownego professora nie były umyślnie dla Niwy pisane i trafiły do niéj jakimś przypadkiem. Czytając je, nie znaleźliśmy wcale ani sakramentalnych wyrazów walka o byt, wybór naturalny, pochodzenie gatunków, ani cytat z Milla, Taine'a i Bain'a.

Chyba dla zneutralizowania wrażeń po brzemiennych erudycyą argumentach p. Okolskiego zamieściła Niwa w dziale naukowym gawędę pani Elizy Orzeszkowéj p. t. „*O jednéj z najpilniejszych potrzeb społeczeństwa naszego,*“ bo innego celu dopatrzéć niepodobna. Najdomyślniejszy czytelnik nie zdoła odgadnąć, jaką to naukę wykłada, do jakiego fakultetu zalicza siebie szanowna autorka. Jakaż to jest ta najpilniejsza potrzeba, tak tajemniczo i nęcąco wypisana na tytule? Ba, nie takto łatwo zdobywają się tajemnice. Łaskawy czytelnik zechce naprzód dowiedzieć się, że wyrażenie „walka o byt“ pojętą być może (przez poetkę naturalnie) „jako współubieganie się istot myślących o jak najdoskonalsze uzewnętrznienie siebie samych, o jak najszersze roztoczenie koła prawych działań i dobroczynnych wpływów, o zdobycie jak największéj summy téj potęgi, tego szczęścia i trwałości, jakie są wynikiem światła, wiedzy, usiłowań rozumu, pracowitości rąk i niezłomności woli“ etc. etc. Dowié się następnie że już dzisiaj „siła fizyczna spadła z piedestału,“ że „jeżeli kiedykolwiek ogólna społeczność ludzka idealnie (sic) urządzoną i usposobioną zostanie, znikną z powierzchni ziemi wojny, podboje, walki na pięści i armaty etc.“ [1]); potém, że autorka połączy pracę ręczną z walką o byt, że rozjaśni sposobem indukcyjnym pożytki, jakie praca przynosi bytowi społeczeństw a przez dedukcyą sprawdzi indukcyą [2]); potém dowie się jeszcze rozmaitych rzeczy, których dla braku miejsca wypisać tu niepodobna, aż nareszcie po ośmiu tygodniach oczekiwania i cierpliwego czytania, spadnie zasłona z tajemnicy i z po za niéj ukażą się następne wyrazy: „Dla zaradzenia panującemu u nas zastojowi pracy rąk, dla pchnięcia ku temu obszernemu, a zaniedbanemu działowi pracy téj części ludności, która wyrzeka lub w przyszłości wyrzekać będzie, że brak jéj pola działania, niezbędną jest instytucya publiczna,—po prostu szkoła, w któréjby każdy bez względu na wiek, stan, wyznanie, a jeśli można i na płeć, znalazł odpowiednie zdolnościom swym i chęciom środki wy-

[1]) Nr. 25, str. 4 i 5.
[2]) Nr. 26, str. 35.

chowawcze, do któréj każdy z łatwością trafić mógłby, któréj powaga, kompetencya, stosowne obsadzenie nauczycielami pociągałyby, zachęcały i dopomagały usiłowaniom ludzi dobréj woli i zdrowego rozsądku [1]).“ Znajdzie się może jaki niewierny Tomasz, coby posądził sprawozdawcę o fałszowanie tematu autorki; niechże przeczyta własne jéj wyznanie: „Powstanie takiéj szkoły powinno zajmować jedno z pierwszych miejsc w myślach i wnioskach ludzi, dbających o dobro ogólne; ono to jest tą pilną naglącą potrzebą społeczności naszéj, którą miałam na myśli, kreśląc tytuł niniejszego pisma.“ Następnie jeszcze przez sześć tygodni (w ogólnéj summie czternaście) autorka przemawia do publiczności z niewyczerpaną obfitością, z niepohamowaną potoczystością okresów, spadających na biédną głowę czytelnika jak lawina alpejska. Co się tam mieści, to jest nowa tajemnica, a kto ciekawy, niech sam przeczyta, lub niech się spyta redakcyi, dlaczego to drukować zaczęła i dlaczego wbrew zwyczajowi po dwakroć dokończenie zapowiadała [2]).

Niemniéj trudno jest odgadnąć, co ma do czynienia w dziale naukowym artykuł p. Zawadyńskiego p. t. „W galeryi Pitti.“ We Florencyi jest pałac, niegdyś do Medyceuszów należący, w tym pałacu jest galerya obrazów, do téj galeryi poszedł pan Zawadyński z nudów; (“Nudziłem się bardzo“ stoi wyraźnie na początku), obejrzał obrazy i baje sobie o tych obrazach lub o malarzach, powtarza „to jedynie, co mi do ucha wyszeptała fantastyczna wspomnień czarodziejka.“ Sam autor bynajmniéj nie myślał o birecie uczonego, owszem jest tak skromny, że nazywa swój artykuł „szkicami dorywczemi,“ zapewniając, że nie myślał iść w zawody nawet „z przewodnikami po muzeach i galeryach [3]).“ Nie domyślamy się nawet, jakim sposobem p. Zawadyński zdołał sobie zjednać owacye Niwy, bo pozytywizm jego jest bardzo podejrzany: nazywa nudnemi rozprawy „o uszczęśliwieniu nieochybném rodzaju ludzkiego za pomocą kooperacyi,“ (jeden z najdroższych tematów redakcyi, jakto będziemy widzieli niżéj) rozpisuje się o czystości natchnień artystycznych i t. p.

Do naukowego typu zbliża się poniekąd studyum literackie p. A. G. Bema p. t. *Słowo o satyrach Krzysztofa Opalińskiego.* Autor dziwnie zaczyna swą pracę: „Nikt pewno nie zaprzeczy, że przedmiot nasz jest trupiém ciałem, skończonością czasów przeszłych nacechowanym, a więc ideałem dla aleksandryjsko-rozbiorowego ducha [4]).“ Jeśli mu utwory przeszłości są tak nie miłe, że aż

---

[1]) Nr. 28, str. 78.
[2]) W numerze 29, str. 104 i w N-rze 30 str. 125.
[3]) Nr. 27, str. 64.
[4]) Nr. 26, str. 28.

cuchną trupem, po cóż zabiera się do studyowania ich? Któż go zapędza do téj wstrętnéj dla niego trupiarni? Wszak wolno każdemu chociażby przez całe życie spacerować po ogrodzie Saskim, Łazienkach, Bielanach; wolno żyć wrażeniami tak dalece spółczesnemi, żeby dzisiaj zapominało o dniu wczorajszym, a nie troszczyło się o jutro. Są wprawdzie ludzie, którzy ślęczą w starych księgach, są i tacy, którzy spędzają całe dnie w trupiarni, ale ci wszyscy, albo dostrzegli jąkąś nitkę, wiążącą minione wieki z dniem dzisiejszym i na teraźniejszość patrzą jako na summę czynników zupełnie żywych, energicznie działających, chociaż zrodzonych przed sektami i tysiącami lat; albo pragną na trupie odgadnąć tajemnicę życia. I ci, i owi wtedy tylko pracują skutecznie, jeśli ich ożywia miłość dla obranego przedmiotu, i ci, i owi nie ulękną się „aleksandryjsko-rozbiorowego ducha.“ Téj właśnie miłości ani dla przedmiotu, ani dla ludzi, co się tym przedmiotem zajmowali, nie znajdujemy wcale w duszy, czy w „sile“ pana Bema. Ukończywszy swą pracę w maju 1871 roku (jak głosi przypisek na str. 80) dodaje blizko dwie szpalty na ocenę rozprawy pana A. Bełcikowskiego, która się ukazała w marcu 1872 w „Świcie“ lwowskim. Nie szczędzi tu autor swojemu koledze ostrych przycinków, znajduje „zupełny bezrząd logiczny..... koliste a nie określone określenia... brak kości krytycznéj“ etc., chociaż w końcu oświadcza, że się „zgadza poniekąd z autorem w ogólnéj ocenie satyr Krzysztofa Opalińskiego.“ W odsyłaczach autor téż pałaszuje na prawo i na lewo, kto mu się pod pióro nawinie; dostają się cięgi nawet poważnym imionom: „tylko bardzo stronny, z przedsięwziętą myślą przystępujący do czytania badacz, jak np. Szajnocha, może się tego chorobliwego dopatrzéć znamienia [1]).“ Po takich śmiałych faits d'armes początkującego pisarza, nie śmiemy wdawać się w ocenę jego własnéj pracy in merito. Poprzestając na zewnętrznéj formie powiemy tylko, że rozprawa składa się przeważnie z wyjątków, opatrzonych krótkiemi komentarzami nietyle historyczno-literackiéj co filozoficznéj treści; np. „Są to gawędy niepostępowego szlachcica, miłującego jedynie przeszłość.“ „Mówca sam nie wié czego chce, błądząc po niepowrotnych szlakach przeszłości.“ Rząd logiczny i kanciastość określeń określających w porównaniu z panem Bełcikowskim zapewne wolnemi są od wszelkiego zarzutu, np. „Skarga na zbytki obszerny, a ledwo przysunięty do założonego przedmiotu przedstawia nawias.“ Treść satyry VIII ks. II. „Wspierajcie księży, budujcie kościoły, módlcie się, a Bóg wam w waszém mieniu i zamiarach dopomoże! Oto dydaktyczna a smutna treść téj satyry.“ „Określiliśmy na wstępie Opalińskiego, jako postać stwarzającą dobę i łączącą dwa rożne między sobą stu-

[1]) Nr. 28, str. 81, przypisek.

lecia; powiedzieliśmy przytém, że jest on wcieleniem rozwojowego szczytu rzymskości w dziejach satyry polskiéj.“ [1]). A ku końcowi surowy krytyk niepostępowego i niepozytywnego Opalińskiego udobruchał się jakoś, bo powiada: „Nasz satyryk jest umiarkowanym, uczciwym a oświeconym artystokratą. Postępowiec zarazem (tak, tak z pewnością) i zachowawca ilekroć kwestye społeczne rozwiązuje, często jedne prawdy zaciera drugiemi, a satyry na duchowieństwo są wymownym téj dwulicowości wyrazem“ [2]). Gdyby zaś ktokolwiek chciał czerpać naukę z artykułu, radzimy miéć pod ręką wydanie oryginalne satyr, bo w przytoczeniach jest mnóstwo błędów np. „Energi jéj zamiast Energiey, in scitia zam. inscitia [3]). Nie jestto zapewne winą autora, lecz drukarni, która mu w spisie rzeczy wytłoczyła tytuł rozprawy: „Słowo o satyrach Krzysztofa Okolskiego,“ awansując za to Antoniego Opalińskiego na professora Uniwersytetu Warszawskiego; w każdym razie jednak ostrożność zbyteczną nie będzie.

Więcéj niż od pana Bema nauczyć się można od p. Sigmy z króciuchnéj notatki noszącéj napis: *Akademia Nauk w Krakowie*. Jestto szkic historyczny b. Towarzystwa Naukowego i wykaz celniejszych publikacyi tegoż Towarzystwa.

A teraz czy nie zechce czytelnik poznać się z pozytywistami jeszcze pozytywniejszymi, bo wprost w imieniu nauk przyrodniczych przemawiającymi? Żałuję mocno, że nie mogę wymienić ich nazwisk, gdyż artykuły nie są podpisane; muszą pochodzić z łona saméj redakcyi.

Przegląd postępów nauk przyrodniczych. Ponieważ „uczeni specyaliści tak zwanych humaniorów, dumném okiem spoglądający dawniéj z wysokości ablativus absolutus, lub wiérszy przemoralnego Horacego, zaczynają coraz bardziéj zaszczycać nauki przyrodnicze swą względnością“, redakcya przeto postanowiła podawać przeglądy postępów nauk przyrodniczych (z pism zagranicznych) dla prawników, matematyków, inżynierów, agronomów, tudzież nauczycieli, wykładających humaniora [4]). Referent podaje treść badań dokonanych w dziedzinie antropologii czyli archeologii przedhistorycznéj. Prawdę rzekłszy, nauczyciele humaniorów mogli powziąć wiadomość o tym przedmiocie z artykułów drukowanych już dawniéj w Bluszczu (Człowiek kopalny przez Niewiadomskiego), w Tygodniku Illustrowanym (Ludzie przedhistoryczni przez T. K.) i w Bibliotece Warszawskiéj (Kongres antropologiczny w Bruxelli przez Hodiego); mogli przeczytać w saméj Niwie przed kilkoma miesiącami obszerny

[1]) Nr. 30, str. 130. Nr. 32, str. 175, Nr. 34, str. 223. [2]) Nr. 34, str. 224. [3]) Nr. 32, str. 174. [4]) Nr 31, str. 150.

artykuł Jeża (Kongres w Bruxelli): wszakże jeśli to ma służyć ku większéj chwale nauk przyrodniczych i ku starciu łba ablativusowi absolutowi, niechże i tak będzie; czytajcie, kto ciekawy! Sprawozdanie jest obszerne, mogłoby nawet być krótszém i treściwszém; podaje dosyć dużo szczegółów o jaskiniach, mieszkaniach nawodnych, kiokenmeddingach, wykopaliskach w Polsce i o dziwy! całą treść artykułu archeologicznego p. Zawiszy z Biblioteki Warszawskiéj. Sprawozdawca zawsze przemawia w imię obecnego stanu nauki, stanowczo, kategorycznie: nigdy go widocznie nie trapił robak powątpiewania. Do poparcia wniosków jego wybornie posługują filologiczne wywody Geigera (szkoda, że te nie mają wielkiego miru u filologów); powtarza bez najmniejszego zastrzeżenia obliczenia chronologiczne Arcelina, oparte na ścisłych np. przypuszczeniach, że przedmioty rzymskie datują się od 1500 do 1800 lat, osady zaś rzek są równe w równych czasach, chociaż do ostrożności powinna go była napędzić o parę wiérszy niżéj wytknięta błędność obliczeń Agassiza, (co do wieku kości ludzkich, znalezionych we Florydzie, podanego na 100,000 do 135,000 lat). Znajdujemy tu przytoczenia z Lepsiusa, że pewne narzędzia żelazne w Egipcie, pochodzą z czasów III dynastyi manethońskiéj, która panowała od 4449 do 4235 r. przed Chr., i że Egipcyanie używali żelaza na 4000 lat przed Chr.[1]) Zachodzi tu jakieś nieporozumienie. Ze znanych nam dzieł Lepsiusa, wiemy, że w obliczeniu chronologii egipskiéj, nie posuwał się po za rok 3892 przed Chr., a z jego Königsbuch dowiadujemy się, że III dynastya panowała od r. 3338 do r. 3124. Chybaby w innych jakich, nieznanych nam dziełach, Lepsius zmienił swój system chronologiczny, tak długo i wytrwale broniony przeciwko innym egiptologom, albo źródła sprawozdawcy nie są dosyć pewne. Sprawozdanie kończy się wnioskiem o założenie muzeum archeologicznego w Warszawie i takiegoż towarzystwa z historyków, archeologów i przyrodników. Wniosek to jest dobry i na poparcie zasługuje.

O znaczeniu Hygieny dla pojedyńczego człowieka i dla społeczeństwa. Jest to pogadanka wielce popularna o wpływie mieszkań, ruchu, mydła, golenia bród, małżeństwa, gimnastyki i t. p. na zdrowie człowieka. Informacye, jakich autor udziela czytelnikowi, są dosyć znane w mniéj nawet z hygieną obeznanych sferach; w artykule co do materyi medycznéj, czyli raczéj hygienicznéj, nie dostrzegliśmy pomysłów oryginalnych, lub nowych spostrzeżeń i faktów. Wynagradza autor za to bogactwem pedagogicznych i filozoficznych poglądów. Może dla sprostowania poetyczno-darwinistowskich marzeń p. Orzeszkowéj, oświadcza wręcz, że „cała kwestya walki

[1]) N-r 31, str 150, N-r 32, str. 177, 178.

o byt człowieka sprowadza się do pokarmu.“ Przyznać należy, że określenie takie jest najzupełniéj trafne, jasne i w prostocie swojéj o wiele dokładniejsze od innych ozdobniejszych określeń, zamieszczanych niejednokrotnie w Niwie. Ale któż odgadnie powody i pobudki zapamiętałéj nienawiści autora do nauczycieli, do deklinacyj, konjugacyj, a nawet do szkół w ogólności? „Szkoły nie dają żadnéj edukacyi, szkoły służą zaledwie za miejsce wpajania w pamięć młodzieży deklinacyj i konjugacyj łacińskich i greckich i, niestety, wielu innych, jeszcze szkodliwszych i niepotrzebniejszych pojęć“. „Najczęściéj uczniowie wytężają nad bezładnemi i niepotrzebnemi wiadomościami słabe i niewyćwiczone swoje mózgi i wychodzą ze szkoły osłabieni, bladzi, bezkrwiści, cierpią na bicie serca, wczesne hemorojdy, rozdrażniają piersi, nabawiają się suchot i stają się ofiarą szkolnéj rutyny [1])“. „Istnieje tutaj jeszcze inny wpływ szkodliwy, być może najsilniejszy ze wszystkich: jest to nadmierna działalność umysłowa. O, gdyby rodzice wiedzieli i widzieli, jaką ceną zdrowia fizycznego synowie ich uzyskują złote medale, listy pochwalne przy przejściu z jednéj klassy do drugiéj; gdyby przewidywali, jakiemi smutnemi następstwami niemocy i osłabienia umysłowego, zagrażają ich dzieciom zbytnie noce przesiadywane nad książką lub kajetem; z pewnością, nie tak goniliby za tą mrzonką i woleliby, aby ich synowie mniéj znali niepotrzebnych dla nich klassyków, a więcéj cieszyli się zdrowiem i większym rozwojem zdrowego rozsądku i przenikliwości, kształconéj naukami przyrodniczemi i doświadczalnemi.“ W zakończeniu autor pogodził Feuerbacha z Chrystusem i, przedstawiwszy swój ideał człowieka, woła po łacinie (tak, w klassycznéj łacinie): „Ecce homo“ [2]). Kiedy już do tego przyszło, że te słowa nie przywodzą nam na pamięć uroczystéj, przejmującéj chwili, w jakiéj wyrzeczonemi były: toć zawołajmy i na autora: „Ecce homo!“ Nadając wykrzyknikowi temu stosowne do okoliczności znaczenie, zaniechamy z nim wszelkiéj dyskussyi, opuścimy zrozpaczoną sprawę przedmiotów klassycznych i pozwolimy wierzyć, że nauki przyrodnicze wymagają miernéj tylko działalności umysłowéj, bez przesiadywania nad książką i kajetem. Poczuwamy się jednak do obowiązku odwołać się do redakcyi z zażaleniem, że bez żadnéj kontroli i korrekty wpuszcza na łamy swego pisma takich autorów, którzy aż do chwili autorstwa nie pokonali w sobie wstrętu do szkoły, nie przebaczyli nauczycielom swoim, że ci pragnęli nauczyć ich trochę grammatyki.

W dziale naukowym jest jeszcze biografia *J. S. Mill'a*, zamieszczona z powodu śmierci jego. Zapewne biografia należy do rzędu prac historycznych; tylko powinnaby być obszerniejszą i dokładniejszą, żeby się do działu właściwie naukowego zaliczyć dała.

---

[1]) N-r 31, str. 148. N-r 35, str. 243. [2]) N-r 35, str. 244.

Zadanie nasze staje się teraz trudniejszém. Pozostaje nam jeszcze drugie półrocze 1873 r., a w chwili, kiedy to piszemy, nie posiadamy jeszcze spisu rzeczy i nie wiemy, jakie mianowicie artykuły redakcya zaliczy do działu naukowego. Co do jednego, którego autorem jest p. Okolski, domyśliliśmy się i zdaliśmy już sprawę wyżéj. Drugim będzie zapewne „*Hipnotyzm*", artykuł o chorobliwych czynnościach nerwów. Tłumaczą się tu niektóre zjawiska somnambulizmu, magnetyzmu i wytknięte są szachrajstwa spirytystów. Nieznany autor poprzestaje na swoim przedmiocie, nie wdając się w wielkie kwestye filozoficzne i społeczne. *Kilka słów o rasowości* podają wiadomość o niektórych pracach antropologicznych, oraz program Towarzystwa Etnologicznego w Londynie. Sprawozdanie to zawiera parę ciekawych wiadomości. Zwrócimy tylko uwagę autora, że czasem niepotrzebnie nadrabia fantazyą. Powiada naprzykład, że „rozmiar niniejszego artykułu nie pozwala nam szczegółowiéj wyjaśnić warunków cywilizacyi, o których tak często wspominamy" [1]). Chętniebyśmy pozwolili powiększyć ten rozmiar dwakroć i trzykroć, ile mu się podoba, byle taką bagatelkę należycie wyjaśnił. Zresztą sam wyznaje nieco niżéj, iż nauki przyrodnicze „nie wiele jeszcze w tym względzie zdziałały".

Z innemi artykułami jest trudniejsza sprawa. Może naukowym ma być artykulik pedagogiczny p. Henryka Wernica: *O wychowaniu i naukach pomocniczych*, aleśmy go nie zrozumieli, pomimo kilkakrotnych powtarzań się autora. *Nieporozumienie co do pewnych wyrazów* p. Rajchmana, jest właściwie okolicznościową deklaracyą z powodu posądzania pozytywistów o materyalizm. Zapisujemy konkluzyą: „1-e, wyrazowi materyalizm nie odpowiada żadna teorya, chyba tylko gruba nieświadomość, 2-e, materyalizm praktyczny czyli obyczajowy nie ma żadnego związku z dynamizmem w psychologii, z monizmem w przyrodzie, a w szczególności z teoryą Darwina". Wnioski te przyjmujemy chętnie, z tém wszakże zastrzeżeniem, że historya filozofii zna nie jeden system materyalistyczny, i że pojęcia filozoficzne oddziaływają na praktykę życia, na obyczaje. Zresztą żądanie poszanowania *dla uczonych* „bez względu na to, czy są monistami, czy dualistami, darwinistami, czy antidarwinistami", jest zupełnie legalne i wykonywaném być powinno w każdém społeczeństwie cywilizowaném.

Nie możemy dać zdania o rozprawie p. Bobrzyńskiego „*O dawném prawie polskiém*" dopiero zaczętéj, ani o artykule p. t. „*Artyści i Artyzm*" jeszcze nieukończonym. Treść i tok wykładu przypomina „Genezę Fantazyi". „*Listów o Literaturze*" p. Orzeszkowéj, ponieważ nierychło zapewne się skończą, nie czytaliśmy.

Oprócz wyszczególnionych tu prac oryginalnych, dział naukowy Niwy zawiera artykuły tłumaczone: trzy z Taine'a (o Byronie,

[1]) N-r 40, str. 87.

o Marku Aureliuszu) i Meyer'a: O powstawaniu ruchów, z Oppenheimera: O wpływie klimatu na człowieka, Tyndalla O cieple i prelekcyą Fowlera „O Hunterze.“ Sprawozdania z tych artykułów podawać nie widzimy potrzeby.

Taką jest strona naukowa „Niwy". Oglądając ją jednym rzutem oka, widzimy, że redakcya usiłowała najbardziéj uwydatniać znaczenie nauk przyrodniczych, że prace w piśmie zamieszczone, noszą czasem cechy talentu literackiego, lecz po większéj części zawierają szczupły poczet faktów naukowych, a dużo nieobmyślanych uogólnień, zawadzających o inne, obce przedmiotowi sfery; dużo niewłaściwych deklamacyi, przechodzących czasem w żart niewczesny. Artykuły, dotyczące filozofii, sztuki, nauk społecznych, (oprócz kilku wyszczególnionych wyjątków), zdradzają brak niezbędnego przygotowania i zamięszanie w pojęciach filozoficznych. W każdym razie ogół artykułów naukowych nie imponuje czytelnikowi.

Drugą ważną stronę Niwy, stanowią artykuły wstępne, w których redakcya zwraca się wprost do publiczności, przeważnie w kwestyach społecznych z radami, napomnieniami, skargami. Żeby jednak znaczenie i charakter ich uwydatniły się jaśniéj same przez się, bez ciągłych komentarzy, przejrzyjmy poprzednio inne działy. Tu atoli będziemy zmuszeni odwołać się do zaufania czytelnika, że krótkie wzmianki nasze opierają się na ścisłém brzmieniu wyrażeń, gdyż przytaczanie frazesów i stronnic, rozszerzyłoby niniejsze sprawozdanie nad zakres możliwych rozmiarów.

Krytyka z r. 1873. Rozbiór dzieła p. *Czernego* (*Zawiązki państwowe i kościelne Czech, Polski i Węgier*), jest oparty wyłącznie prawie na dyalektycznych, nie zaś na historycznych dowodach; sąd jednak jest bardzo surowy: „umiejętność historyczna ani na jotę nie zyskała w skutek pojawienia się Zawiązków." „Dlatego mimo wszelkiéj naszéj dobréj woli, sine ira et studio, musimy panu Czernemu odmówić godności pedagoga (prowodyra) narodów, tak jakeśmy dziełku jego odmówili nazwiska pracy ściśle naukowéj". Sąd prof. Pawińskiego o tém samém dziele (Bibl. War. za październik 1872), jest o wiele przychylniejszy. P. *Mecherzyński* swoją *Historyą literatury polskiéj dla młodzieży* „żadnéj ani piśmiennictwu, ani młodzieży nie wyświadczył przysługi". Zarzuty są nie zawsze słuszne, są i drobiazgowe; forma zaś dochodzi do grubiaństwa: „jak mógł puszczać je na pośmiewisko" „apodyktyczne wyroki cnego arystarcha", „znanego plagijatora Leona Rogalskiego" i t. p. Jedna z tych krytyk niepodpisana wcale i tylko w tekście autor jéj wzmiankuje o swojéj „kronice węgiersko-polskiéj;" druga podcyfrowana inicyałami (K. K.). *Warszawski rocznik literacki* znalazł spokojniejszą,

i łagodniejszą ocenę. Niesłychanie gwałtowną i grubiańską jest recenzya broszurki p. *Krupińskiego* p. t. *Wczasy Warszawskie.* Są tu np. takie wyrażenia: paradoksy, blichtr postępowości, p. K. skleja dość niezręcznie jakieś frazesy, oklepane frazesy, majaczenia, absurda, szkoda na nie papiéru i farby drukarskiéj i t. p. Ponieważ przedmiot pracy p. Krupińskiego (odbitka ze znanych artykułów „Wieńca), stanowią krótkie, ogólne szkice spółczesnych kierunków filozoficznych, więc zarzuty recenzenta mogły być równie ogólne i bynajmniéj nieprzekonywające dla czytelnika odmiennych przekonań. Główną pobudką do uniesień, była niezgodność zapatrywania się na materyalizm, utylitaryzm i kwestyą kobiecą; nie daje to prawa do tak zuchwałego pomiatania pisarzem, oddawna już znanym zaszczytnie publiczności. „Niwa“ wydaje téż odbitki ze swoich artykułów, a przecie oburzałaby się, gdyby ktoś jéj powiedział, że psuje farbę drukarską.

Dziwne kryteryum krytyczne zastosował nieznany krytyk do pracy *K. Wł. Wójcickiego* p. t. *Ostatni klassyk.* Strofuje autora za sympatye do epoki Brodzińskiego, gdyż w epoce téj „oświata, popychając do krańcowych dążeń i próżnych godeł, nie dozwalała odrazu wejść na tory zdrowego, pozytywnego postępu. Mglisty poranek po średniowiecznéj nocy zachęcał do marzeń, modlitw i poświęceń. W końcu dodaje, że język rozprawy „grzeszy czasami niepoprawnością“. Tego zarzutu przynajmniéj nikt dotychczas p. Wójcickiemu nie czynił; dziwnie zaś wyglądają takie słowa pod piórem recenzenta, który sam pisze: „przetopić pracowicie we własnym umyśle, rozwitym (!) pod światłem dnia dzisiejszego.“ „*Dla ideału*“ powieść *Maryi Szeligi* „jest, jak się zdaje, gorączkowéj sennicy wypłodem“. Nie poprzestając na zdaniu o książce, recenzent (A. G. B.), dotyka wcale bez potrzeby osobistości swojéj ofiary, domyślając się, że „na dnie jéj utworu dopytać się można pierwocin własnego autorki uczucia.“

Przychylne, acz krótko motywowane sądy znaleźliśmy o *Gawędach matki* p. *Dzieduszyckiéj*, *Mocy prawnéj dowodu ze świadków* p. *J. Ostrowskiego*, *Hydraulice Kucharzewskiego.* Rzadko atoli można spotkać się z tak gorącemi pochwałami, z tak płomiennym zapałem, jak w podpisanéj przez p. Henryka Elzenberga recenzyi dzieła pana *Prądzyńskiego*, „*O prawach kobiety*: „czytasz, myślisz, znowu odczytujesz, zastanawiasz się i znowu powracasz do tych kartek, na których każde niemal słowo podyktowane jest widocznie przez uczucia szczytne, na hołd zasługujące. Kończąc, raz jeszcze stokrotne autorowi składamy dzięki za szacowny dla literatury polskiéj nabytek“ i t. p. Rozumiemy zresztą ten zapał, gdy autor utrafić zdołał w pia desideria „Niwy“, co do kwestyi kobiecéj, i gdy dzieło jego odznacza się w istocie wielkiemi zaletami. Ale trudno nam pojąć pochwalną i zachęcającą wzmiankę [1]) o tłumaczeniu *Lubbocka (Człowiek przed-*

[1]) N-r 26, str. 45.

historyczny z 50 tomowego wydawnictwa), tłumaczeniu skażoném tak cudackiemi błędami, jak np.: „dziki nie użyje strzały, która raz nie miała końca“ (qui a manqué le but) i t. p.

Gruntowniejsze, pracowitsze i z godnością napisane krytyki, należą do p. Ad. Ant. Kryńskiego o dziele *Malkowskiego: Pomniki języka Polskiego*, oraz nadesłana z Krakowa przez p. Zakrzewskiego, prof. uniw. Jagiell: *O wydawnictwach komissyi historycznéj Towarzystwa Naukowego Krakowskiego* (recenzent sam jest członkiem téjże komissyi).

Polemika, czyli tak zwane *Odpowiedzi*. Filozoficzne opinie i wprowadzona przez Niwę reforma pisowni wywołały rozmaite zarzuty; kto czytał, chociażby parę takich odpowiedzi, ten dostrzegł zapewne, że w ostatnich latach wszelkie spory literackie, a nawet naukowe, przybrały charakter bardzo gwałtowny i po większéj części osobisty. Stało się to klęską prawdziwą. Redakcye rzucają publiczności jakieś filipiki, obrażające najdroższe instynkty człowieka cywilizowanego, a przy bliższém rozpatrzeniu się pokazuje się, że jedna, a czasem i obie strony działają poprostu w złéj wierze. Taki stan rzeczy nie zdejmuje wszakże odpowiedzialności moralnéj z tych pism przynajmniéj, które chcą się utrzymać ną stanowisku poważném, które nastroiwszy się do wyższego kamertonu, objawiają dążność do kierowania opinią publiczną.

W roku zeszłym Niwa odpowiadała na zaczepkę Gazety Warszawskiéj, która wzięła żywo do serca niebezpieczeństwa ze zmiany pisowni wynikające. Pobudki Gazety najzupełniéj podzielamy, lecz docinek osobisty i niewłaściwe wyrażenie „reformatorów z ulicy Franciszkańskiéj“ potępiamy. Niwa w odpowiedzi swojéj (N-r 20) zbijała z wielką żywością filologiczne wywody p. Korotyńskiego i miała do tego prawo, ale przyczepiając p. Korotyńskiemu imiennie przezwiska „ulicznika warszawskiego“ „płytkości umysłowéj“ i t. p. ubliżyła stanowisku pisma naukowego, a nawet słuszności, gdyż p. Korotyński zastosował nie literacką nazwę do ciała zbiorowego, do Redakcyi, któréj skład nigdy nie był do publicznéj wiadomości podany, któréj członkowie zatém nie czuli obrazy osobistéj; redakcya zaś usiłowała publicznie sponiewierać imię p. Korotyńskiego. Jakież nareszcie wynikły ztąd następstwa? Czy „Niwa“ odstraszyła Gazetę, lub czy jéj szacunek dla siebie nakazała? Bynajmniéj. Taż sama G. W. w N-rach 42, 46 i 47, zamieściła nową „korrespondencyą z ulicy Siennéj, N-r 11“. Pan Kryński w odpowiedzi swojéj gromił argumenty przeciwnika swojemi argumentami; ale czyż argumentacya jego zyskała na używaniu takich wyrazów, jak „dziwolągi, absurda, czcza frazeologia“? Czy było też niezbędném i potrzebném dla sprawy 6-go przypadku przymiotników, gwałtowne zdzieranie maski z opponenta, który podpisał tylko swój adres, a którego p. Kryński nazywa po nazwisku? Jeśli jednak

wytłumaczyć sobie można to demaskowanie ze strony p. Kryńskiego, ponieważ własne jego nazwisko figurowało w korrespondencyi G. W, toć nie pojmujemy wcale taktyki redakcyi, która dodaje osobną odpowiédź, już wcale nienaukową, a zakończoną najdotkliwszym, osobistym docinkiem, obcym przedmiotowi dyskussyi. Jeszcze mniéj taktu widzimy w odpowiedzi p. Adamowi Mieczyńskiemu (N-r 31 „wzgarda, głupota“).

Przyzwoitą w tonie i poważną w toku rozumowania jest odpowiédź p. Ochorowicza, p. Goldbergowi na recenzyą jego, zamieszczoną w Bibliotece Warsz. W tém miejscu wypada usprawiedliwić odmowę redakcyi naszego pisma, co do umieszczenia głosu p. Ochorowicza. W odmowie téj kierowała się bynajmniéj nie jakiemiś względami na osobę krytykowanego autora, nie żadną niechęcią dla niego, lecz względem na czytelników swoich. Recenzya nie zawierała żadnych obelg, żadnych krzywdzących osobę insynuacyj; restytucya więc moralna potrzebną nie była. Przedmiot sporu „Wstęp do Biblioteki filozofii pozytywnéj“ obejmuje zaledwo 80 stronnic, na rozbiór zaś téj broszury Bibl. Warsz. ze swych szczupłych ram ofiarowała 17 stronnic bardzo ścisłego druku, a rzecz sama, dzieje całéj filozofii powszechnéj, jest tak olbrzymia, że polemika mogłaby przeciągać się do nieskończoności bez nadziei stanowczego załatwienia i bez pożytku dla czytelników. To téż odpowiédź p. Ochorowicza, nie przekonała nas bynajmniéj, że Parmenides wywodził wszystko z powietrza, lub że pisał księgę „o zjawiskach zmysłowych“, (bo napis: ta pros doxan, znaczy o mniemaniach), że Demokryt, atomista i naturalista swojego czasu, stoi w związku umysłowym z sofistami, którzy uczyli głównie retoryki, że zna nader ważny sąd Platona o Anaxagorasie, jako filozofie materyalistycznym (Phaedo, XLVI ed. Firmin Didot str. 76, 77) i t. p. Nie przekonał téż nas p. Ochorowicz o gruntownéj znajomości filozofii, kiedy odsyła czytelnika do „rozpraw Platona, Arystotelesa, Teofrasta“, nie wskazując dokładnie ustępów i każąc mu gonić wiatr w polu. Sprawdzanie za pomocą podręczników Schweglera, a nawet Rittera dla piszącego o przedmiotach filozoficznych jest niedostateczne; trudno jest nie uwikłać się w błędy, jeśli się nie zna, przynajmniéj z grubszego, systematów filozoficznych w oryginale.

Objawy upamiętania się, napotykamy dopiero w ostatnich numerach „Niwy“, w artykule „Filozofia i nasze dziennikarstwo.“ Po raz pierwszy w dyskussyi nie czujemy tu żądła miłości własnéj i zawziętości względem opponenta (jest nim w tym razie p. H. S. z Wieku). Artykuł czyta się nawet z wielkiém zajęciem, dzięki talentowi literackiemu i werwie autora. Nie znaczy to jednak, aby filozofia jego była filozoficzną. Powiada: „Wierzymy w logikę.“

„Ażeby miéć więcéj od innych (prawdy), potrzeba być pozytywistą [1])." A logikę czyż pozytywiści stworzyli? Czy Plato (pierwszy wynalazca wyrazu: „dyalektyka"), czy Arystoteles (wynalazca syllogizmów dedukcyjnych, a bardzo skromne zalety przypisujący indukcyi), czy tylekroć pomiatani przez autora Hegel i Krause byli pozytywistami? „Odrzućmy na dziś owe niedościgłe pytania o istocie rzeczy, a zajmijmy się zjawiskami. Może owe odcięte gałęzie wiedzy odrosną prędzéj, niż się spodziewamy, i co ważniejsza odrosną zdrowe. Tymczasem pogodźmy się z indukcyą" [2]). Zdawałoby się, że autor chce wyłącznie indukcyą zalecić; tymczasem na następnéj stronnicy powiada, że Spinoza poczynił odkrycia „właśnie drogą spostrzeżeń i dedukcyi". Więc i dedukcya jest dobra. Czy operacya odcinania pewnych gałęzi wiedzy wyszłaby umysłowi ludzkiemu na pożytek, czy te gałęzie odrastałyby późniéj, spierać się o to nie będziemy nadaremnie, gdyż silne żywimy przekonania, że umysł ludzki nie da wykonywać na sobie takiéj operacyi, ale przywołać musimy całą uwagę czytelnika na ustęp bardzo ważny, który stanowi, zdaje się, charakterystyczną cechę pozytywizmu „Niwy." Ustęp ten brzmi dosłownie: „Dlaczego istnieje taki, nie zaś inny porządek rzeczy, dlaczego światem rządzą prawa, nie zaś dowolność i przypadek? Ba! trzebaby pogadać z przedwieczną istotą, żeby się tego dowiedzieć; kto może niech sobie wyrabia audyencyą. Dla nas wystarcza ta wiadomość, że są prawa, i że się zmienić nie dadzą."

Owoż tu właśnie jest kamień obrazy pomiędzy wami, panowie pozytywiści „Niwy" i pomiędzy tymi wszystkimi, którym dajecie miana „idealistów, metafizyków" „kołowacizny metafizycznéj" i t. p. Wy wierzycie (dotychczas jeszcze na kredyt), że wykrywszy „chemiczny skład białka"; obejrzawszy szarą tkankę mózgu przez jakiś nieskończenie od dzisiejszego doskonalszy mikroskop; odkrywszy szósty zmysł „mięśniowy" zrozumiecie mechanikę świata, że ta mechanika podobną jest do „młyna parowego" [3]), a co do owego „węgla", który machinę w ruch wprawia, nie chcecie sobie głowy łamać. Przypuszczając, że istnieje Istota Przedwieczna, traktujecie Ją à la Béranger, przedrwiwając sobie pocichu z wydeptanych Jéj pantofli, i żałujecie dla Niéj nawet dwu czcionek od większych liter. My wraz z nimi, z tamtymi ideologami, metafizykami etc., wolimy najprzód uznać istnienie Istoty Przedwiecznéj, aby wyglądać, „jak trzeźwi pomiędzy pijanymi" [4]); wolimy za pomocą procesu logicznego przypisać Jéj wszystkie przymioty najwyższéj doskonałości, a potém już spokojnie badać i ciała martwe, i tajniki życia, i dzieła téj potęgi,

[1]) N-r 44, str. 186. [2]) tamże. [3]) N-r 40, str. 85.

[4]) Tak powiadał Arystoteles o Anaxagorasie, który zrobił pierwszą próbę wprowadzenia do filozofii *Νοῦς*.

która nie jest „ani okrągłą, ani kwadratową, ani ciężką, chociażby tylko, jak wodor, ani barwistą, ani bezbarwną," a którą my duchem, nie siłą zowiemy. A badać radzi jesteśmy i za pomocą przesławnéj waszéj indukcyi i za pomocą niemniéj dobréj dedukcyi i za pomocą intuicyi; bylibyśmy radzi wynaleźć jeszcze dwa, trzy, a chociażby i dwieście sposobów badania: żadnego uronić nie chcemy, żadnéj „gałęzi wiedzy" amputować nie będziemy.

Dział korrespondencyi jest bogaty. W każdym prawie numerze znajdujemy listy albo z Galicyi (przez Weredyka), albo z Krakowa, Poznania, Torunia, Wiednia, Gorycy, Paryża, Petersburga, Mohylewa nad Dnieprem, a nawet z Afryki. Godną uwagi szczególnie jest korrespondencya ze Lwowa przez B. L. (w N-rach 25, 27, 30 i 33), zawierająca dokładny obraz całego czasopiśmiennictwa galicyjskiego.

Nie będziemy przeglądali działu poezyi, reprezentowanéj przez p. Mirosława Dobrzańskiego, zaledwo w kilku maluczkich utworach ani Luźnych Notatek, ani Bibliografii bieżącéj. Przejdziemy wprost do stosunków bezpośrednich redakcyi ze społeczeństwem, t. j. do „artykułów wstępnych", uzupełniając je przy sposobności wyjątkami z „Kroniki."

W **Artykułach wstępnych** redakcya użycza rad, napomina, wskazuje drogi, tłumaczy najwyższe zasady swoje i najwyższe pojęcia, którym służy. Dla łatwiejszego zoryentowania się, podzielimy je na dwie grupy: I) na artykuły dotyczące kwestyj ekonomicznych i życia praktycznego, II) na artykuły filozoficzne i teoretyczne.

I) *Arykuły ekonomiczne i społeczne.* Redakcya zwraca baczną uwagę na instytucye kredytowe, jakie w ostatnich czasach powstały u nas. Zachęcała publiczność do popierania Towarzystwa Wzajemnego Kredytu (N r 3), kontrolowała sprawozdania Banku Handlowego, zajmowała się Towarzystwem Kredytowém miasta Warszawy; wytknęła błędy w prowadzeniu Stowarzyszenia Spożywczego „Merkury," domagając się przyciągnięcia robotnika przez ułatwienia, co do opłaty wniosków, jako to: potrącanie składki z dywidendy i ofiarowanie kredytu na produkty żywności za poręczeniem fabrykanta, rozrządzającego płacą robotników (N-r 6). Radziła bankom publicznym zawiązać stosunki z rolnikami, za pośrednictwem agentów nie zaś przez kosztowne filie (N-r 19). Wykazywała dobroczynne owoce działalności stowarzyszeń spółdzielczych i proponowała zacząć od utworzenia stowarzyszeń pomiędzy szewcami, stolarzami, kapeluśnikami i t. p. (N-r 40). Skreśliwszy historyą ubezpieczeń w kraju naszym i wytknąwszy wady, zachęca Warszawskie Towarzystwo Ubezpieczeń od ognia rozszerzyć zakres swych czynności i przyjmować ubezpieczenia na życie, oraz od gradu (N-r 11). Zanotujemy tylko, że wartość rocznéj produkcyi przemysłu krajowego, oszacowaną jest zbyt wysoko na 80 przeszło mil.: (po dokładniejsze informacye odsyłamy do artykułu p. Bociarskiego, ogłoszonego w Bibl. Warsz. za kwiecień b. r.). Badając

przyczyny drożyzny papiéru, zapytuje spółkę Mirkowską o powód bezczynności i wzywa do zawiązania Towarzystwa Akcyjnego celem założenia wielkiéj papierni według programatu podanego przez Przegląd Tygodniowy (N-r 5). Następnie Redakcya rozbierała organizacyą spółki pod firmą „Połączona praca kobiet“ N-r 9), śledziła czynności stowarzyszenia subiektów handlowych, przypominała potrzebę urządzenia giełdy zbożowéj (kronika, Numer 25), ostrzegała kilkakroć o niebezpieczeństwie nabywania w kantorach pożyczek premiowych na raty, ogłosiła konkurs na dzieło „O tegoczesnym u nas handlu zbożowym“ (N-r 7): żądała założenia towarzystw prawniczego i pomocy naukowéj (N-r 39); zarzuciła społeczeństwu naszemu bierność (N-r 14) i w artykule p. t. „U siebie“ pytała co robić? Dlaczego istnieje taka przepaść pomiędzy Warszawą i prowincyą? Dlaczego miasteczka nie posiadają sprzedaży książek, kantorów komissowo-informacyjnych, instytucyj kredytowych takich przynajmniéj, na jakie zdobyły się Grójec, Kutno, Płock, Kalisz?“

Jakkolwiek odpowiedź i rada niejednemu zda się niepraktyczną (bo projekt ustanowienia jakichś korrespondentów, którzyby donosili o potrzebach każdéj miejscowości nie jest nawet o tyle rozwinięty, żebyśmy wiedzieli kto ma ustanowić takich korrespondentów, gdzie ich wynajdzie, jaką da im instrukcyą, z jakich funduszów wypłaci im zwiększone honoraryum i t. p.): to jednak ogólne wrażenie tego podziału jest bardzo dla usiłowań redakcyi korzystne. Spostrzeżenia zwykle są trafne, rady zdrowe, potrzeba radzenia o smutnym stanie ekonomicznym społeczeństwa naszego leży jak na dłoni; pracom więc redaktorów Niwy w tym zakresie należy się uznanie.

Mniéj korzystnie, zdaniem naszém, prezentują się artykuły społeczne. Już to sama racya bytu sześciu artykułów (Bogate mieszczaństwo, Mieszczaństwo średnie; trzy artykuły p. t. Ziemianie, oraz Znaczenie wielkiego miasta) jest dla nas nie zupełnie zrozumiałą. Udeterminowanie znaczenia tych wyrazów nie było rzeczą pilną, bo pokazuje się, że pod niemi Redakcya Niwy pojmuje zupełnie to samo, co wszyscy. Danych ani historycznych, ani statystycznych, ani prawnych, ani nawet spostrzeżeń oryginalnych psychologicznych nie znaleźliśmy tu w ilości potrzebnéj do wywołania jakiegokolwiek wrażenia w umyśle. Wszystkie te rozprawki noszą cechę mówek kaznodziejskich. Bardzo żywo bierze redakcya sprawę kobiét do serca. Prócz licznych luźnych wycieczek poświęciła téj sprawie osobny artykuł (Nr. 10), z dosyć obszernym rozbiorem zdań Mill'a, Buckle'a, Legouvé'go, Despine. Wymowne słowa Supińskiego (I, dopisek 6) nie zachwiały zdaniami redakcyi. Zapisawszy na początku surowy frazes: „Piérwsi mężczyzni zakuli obroże niewoli na szyje piérwszych kobiét“ wygłasza w zakończeniu zasadę, że należy kobiétę kształcić jak mężczyznę, dopuścić ją do *wszystkich* kierunków pracy. Można więc rozumiéć, że kobiéty są zdolne i do rachunku różniczko-

wego i do czyszczenia armat i do służby w kawaleryi i do zasiadania w sądzie apelacyjnym etc. etc. Paragraf ten jest może zbyt obszerny, gdy zważymy, iż według świadectwa saméj redakcyi „fizyologia nie zbadała jeszcze natury niewieściéj.“ W obec gorących wykrzykników Niwy, nie śmiemy wzbraniać damom ani urzędów, ani foteli w parlamentach, a tém bardziéj wstępu do szkół męzkich. Boimy się tylko, żeby zachęcone do algebry uczennice nie zarzucały swoim doradcom zmarnowanych nieprodukcyjnie na próbę kilku lat czasu. Obawę tę obudziła w nas ta okoliczność, że nagrodzone już patentem od redakcyi niektóre autorki nie były w stanie zrozumieć należycie teoryi Darwina. Drugi artykuł pod napisem: „Klauzurowe wychowanie kobiét“ zawiéra mnóstwo zbyt dosadnych metaforycznych wyrażeń: „wychowanice Sercanek odciskając kolanami doły przy drzwiach kościołów, wylizując ich posadzki i żując godzinami antyfony“ (Nr. 41) podpadają „ogniom żądz cielesnych“, doznają „okropnych męczarni.“ Wszystko to jest zanadto melodramatyczne, do udowodnienia tezy niepotrzebne, owszem nawet szkodliwe, a cały artykuł w zastosowaniu praktyczném może być zwrócony chyba do Galicyi, która zapewne Niwy nie czytuje, boć w Królestwie nie istnieje obecnie żadna szkoła za kratą klasztorną. Gdyby redakcya chciała trafić do przekonania kilkunastu indywiduów, przyznać musimy, że najniewłaściwszym przemówiła do nich językiem.

W artykułach „Praca organiczna“ (Nr. 25); „Jeszcze o pracy organicznéj (Nr. 42); „Geniusze i masy“ (Nr. 23); „Postęp“ (Nr. 26) ukazują się zarysy tych kształtów, jakie Niwa pragnęłaby nadać społeczeństwu. Nowym dla niéj ideałem jest: „wyzwolenie mas, zrównanie, sprowadzenie do jednakowego mianownika, zestosunkowanie odpowiednie praw i obowiązków.“ Praca organiczna w nowéj postaci zależy na „walce przeciwko ciemności, a raczéj przeciwko monopolowi.“ Jestto następstwo konieczne „zniesienia niewolnictwa społecznego.“ Podług nas postęp zdobywa się zarówno walką fizyczną jak i moralną. „Co się tyczy nowoczesnego zadania pracy organicznéj, nieporozumienie żadne zachodzić nie może. Nieporozumienia przedewszystkiém i przeważnie urabiają się w obozach staréj daty, posiadających pełno basł symbolicznych i formuł mistycznych, z któremi ludziom kategoryi pewnych wygodnie było bardzo“ [1]). Do zdań tych wielce ogólnikowych i nie wyraźnych dodamy taki tylko komentarz, że nie jasno nam się przedstawia to „zrównanie“ jakiego Niwa żąda. Obecnie istnieje nierówność pod wieloma, ba nawet pod wszystkiemi względami w stosunku i układzie warstw społecznych. Pomijając samo określenie „równości“ jako zasady, musimy jeszcze uwzględnić, że czynność równania odbywać się może dwojako: albo

[1]) Nr. 25, str. 2 i 3.

przez ściąganie z wyżyny tych wszystkich co nad innymi górują, albo przez podnoszenie niżéj stojących ku wyższym szczeblom. I to i owo się praktykowało na świecie. Piérwszy sposób był stosowany w epoce żakieryi, wojen chłopskich, koliszczyzny, buntu Pugaczewa, rewolucyi francuzkiéj XVIII w. i nareszcie przez komunę paryzką w 1871 r. Druga droga jest bardzo powolna i dokonywa się przez historyczny rozwój narodów przy warunkach zdrowia społecznego. W zakończeniu redakcya niby oświadcza się za rozwojem spokojnym, powiada bowiem, że „położenie rozpaczliwe nie istnieje w żadnym względzie"; ale jakże tu rozumiéć pracę organiczną bez jakichkolwiek organizmów, któreby tę pracę prowadziły, kiedy z tego samego artykułu widzimy, że dawniéj pracę organiczną prowadziły np. kościół i państwo? Jakoś to więc trudno zrozumiéć, że praca organicza ma być wykonywana: „w gabinecie uczonego, przy stoliku literata, w kancelaryi męża stanu, w biurze specyalisty, za warsztatem rzemieślnika, na niwie rolnika, po fabrykach, po zakładach wszelakiego rodzaju, na salonach pałacowych, pod strzechami lepianek ubogich (a nawet) na lądach, na morzach, w powietrzu, pod ziemią" [1]). To już będzie chyba praca chaotyczna, a jeżeli ma być organiczną, to ją chyba nie „Niwa" swoim artykułem zorganizuje.

Trochę jaśniéj zarysowuje się ideał społeczny „Niwy" w dalszych artykułach. Dowiadujemy się najprzód że Niwa „nie wątpi o postępie", następnie że równość wobec Boga dał nam Chrystus, równością wobec prawa obdarzyła nas historya ośmnastu wieków; lecz że brakuje nam jeszcze równości społecznéj. Bodaj że główną cechą téj równości ma być inna, niż dzisiaj organizacya pracy. No, ale jakaż to ma być praca? Szczęściem posiadamy w tym punkcie wyraźną deklaracyą: „Praca, w odniesieniu do człowieka jednego, ma na celu *wyzyskanie* towarzystwa, wyzyskanie społeczeństwa, wyzyskanie narodu własnego, ludzkości całéj na korzyść indywiduum pojedyńczego, i żeby celu tego dopiąć, otaczać się musi sposobami uszykowanemi w harmonijną konsekwentność [2])." Gwałtu! Co to ma znaczyć? Czy znacie znaczenie wyrazów polskich? Przyzwyczailiśmy się oburzać na plantatora amerykańskiego za to, że wyzyskuje muszkuły kilku lub kikunastu murzynów; czytaliśmy tyle złorzeczeń na episierów i fabrykantów za wyzyskiwanie klasy wyrobniczéj; boimy się nawet pojedyńczych ludzi, którzy posiadają wprawę do wyzyskiwania kieszeni bliźniego: a tu dopiéro każda jednostka otrzymuje prawo wyzyskiwania i społeczeństwa i narodu. Kwestya czy społeczeństwo zechce istnieć przy takiéj powszechnéj szarpaninie, przy takiéj *bellum omnium contra omnes*. Sytuacya staje się jeszcze

[1]) Nr. 25, str. 4.
[2]) Nr. 42, str. 129.

groźniejszą, gdy zważymy, że Niwa najwyraźniéj oświadcza się przeciwko „ofiarom, poświęceniu,“ jako faktowi wyjątkowemu, który „zgodnym być może z naturą jakiéjś jednostki, ale nie obowiązującym dla ogółu t. j. dla przeważnéj większości.“ „Brać za prawidło postępu stan gorączkowy, byłoby rzeczą dość hazardowną, a w każdym razie nielogiczną“ [1]). Tak tedy żyjemy w społeczeństwie pozytywném bez ofiar, bez gorączki, bez poświęcenia; wyzyskujemy wszystkich sposobami uszykowanemi w harmonijną konsekwentność; osiągamy równość społeczną, a nawet, żeby nam psoty geniuszów spokoju nie mąciły, żyjemy bez geniuszów. Massy mają nad nimi pierwszeństwo praktyczne; przytém redakcya stanowczo oświadcza: „wolimy ażeby każda grupa jednostek miała swoje małe słoneczko“ [2]). No, są wprawdzie wyjątki, bo jakież prawidło może się bez wyjątków obyć? I Niwa uznaje wielkości, używa nawet wyrażeń „genialny myśliciel, wielcy myśliciele“ i t. p., ale to stosuje się tylko do Comte'a i Milla, rzadko bardzo do pozytywistów *minorum gentium*. Wracajmy jednak do idylli społecznéj, skreślonéj piórem pozytywisty. „Teraz przypatrzmy się poważnemu mieszkańcowi miasta, gdy idzie do teatru. Pracował ciężko dzień cały, wartoby wieczorem umysł znękany otrzeźwić przyjemném wrażeniem... Cały dzień wertował Milla, więc zapewne nie zmarnował czasu bezużytecznie. Posyła tedy po bilet, dowiedziawszy się, że grać będą bardzo piękną i poważną sztukę“ [3]). Ale postępując za poważnym mieszkańcem trafiamy już do drugiego poddziału. Przerywamy więc idyllę dla względów niezbędnéj systematyczności.

II) *Artykuły filozoficzne.* W dziale tym czytelnik znajdzie, prócz znanych już maksym i koncepcyi, nową olbrzymią ideę—utylitaryzm. „Wielcy myśliciele dzisiejsi uważają utylitaryzm jako główną podstawę moralności i sprawiedliwości społecznéj. Tendencyjność pozytywna w zakresie sztuki jest największym objawem kierunku utylitarnego; dlatego téż odpowiada nawybitniejszym znamionom ducha spółczesnego, który nie w mglistych teoryach teologicznych, ale w istotném rozkrzewieniu się pomyślności fizycznéj i równowagi moralnéj widzi prawdziwe szczęście ludzkości“ [4]).

„Chociaż część stosowana pozytywizmu, w któréj między innemi mieści się i etyka, czyli nauka postępowania pozostaje dotychczas w zaniedbaniu i nie wiele możnaby wskazać dzieł, przedmiotowi temu wyłącznie poświęconych“ [5]); jednakże Niwa podaje już zastosowania i w postępowaniu i w sztuce i w literaturze. Tém większy zaszczyt: toruje sobie nowe drogi.

---

[1]) Nr. 26, str. 27. [2]) Nr. 23, str. 244. [3]) Nr. 31, str 146.
[4]) Nr. 36, str. 269. [5]) Nr. 29, str. 99.

W określeniach abstrakcyjnych utylitaryzm „Niwy“ wygląda nawet wcale sympatycznie. Wymaga on niby „ażeby wszystkie czynności nasze zmierzały do jednego celu: do rozwoju i udoskonalenia, a w rezultacie do uszczęśliwienia najprzód danego społeczeństwa, a następnie i całéj ludzkości. Utylitaryzm nie rozczłonkowuje społeczeństw na pojedyncze jednostki, ale skupia je w całość, każe działać w myśl i dla dobra téj całości“ [1]). Bardzo bylibyśmy radzi, żeby utylitaryzm takie właśnie przyniósł owoce. Niestety! inaczéj wygląda on w zastosowaniach. Jako modła moralności i sprawiedliwości występował on już w ideale społeczeństwa i wątpimy bardzo, czy podawana za cel wszystkich dążeń równość sprowadzi taką wzajemną pomiędzy ludźmi życzliwość, taki pokój, żeby nie dochodziło od czasu do czasu do „walki fizycznéj.“ Redakcya zastosowała swoję zasadę jeszcze do literatury i do sztuk pięknych (artykuły: Utylitaryzm w literaturze nr. 18, Estetyczne i społeczne znaczenie teatru nr. 31, 33, 36). Cóż na téj zasadzie zyskujemy? Obaczmy.

„Porzuciwszy raz mrzonki o nadziemskim rodzie natchnienia, powinniśmy zastosować do niego te same wymagania, jakich żądamy od każdéj innéj działalności z zakresu handlu, przemysłu“ i t. d. Redakcya szydzi z zasady „sztuka dla sztuki“ i powiada: „czy artysta szuka natchnienia w starożytnéj Grecyi, czy w wiekach średnich, czy na Wschodzie, wszystko to jedno, byle nam przedstawił ideał. My się nim będziemy zachwycali, będziemy się wpatrywali w boskie oblicze ideału, którego artysta jest natchnionym kapłanem... i będziemy płacili za te urocze ideały.“ W Genezie fantazyi spotkaliśmy się z portemonetką, w Genezie natchnienia znajdujemy zestawienie z handlem, nareszcie w Genezie wrażeń słuchacza spotykamy się znów z targiem o zapłatę za ideały. Z takich genez rodzić się muszą chyba nie muzy, lecz koszlawe muzięta (przepraszamy za neologizm, ale pozytywiści z Muz szydzą). „Artysta przed wykonaniem swego dzieła powinien powziąć jakiś cel *społeczny:* utwór jego powinien mieć tendencyą. Cóż bowiem może przedstawić większy i wspanialszy ideał, jak urzeczywistnienie dobra społeczeństwa? Na to niéma odpowiedzi: każdy zgodzić się musi, że w takiéj dążności jest najwyższe podniesienie sztuki, a nie jéj upadek“ [2]). Nie, my przynajmniéj nie zgadzamy się. Do rozstrzygania kwestyi przemysłu np. bawełnianego, przetworów roślinnych, a nawet cukrowarskiego; do rozważania bilansów handlu wywozowego i przywozowego; do załatwiania spraw leśnych, rolnych, spadkobierczych, sądowych tak cywilnych, jak kryminalnych, a nawet kwestyi o prawomocność małżeństwa, jedném słowem do wszelkich kwestyj społecznych, artystów i poetów nie wzywamy i wzywać nie potrzebujemy, chociażby się otrząsnęli z wytykanéj im na oczy „niezaradności,

[1]) Nr. 18, str. 121. [2]) Nr. 18, str. 122.

mazgajstwa.“ Obliczać, ile za ideały ma publiczność zapłacić artyście, nie pozwalamy, i artystów takich w najmizerniejsze kąty historyi literatury, lub sztuki zapędzamy. Nareszcie najwyższym ideałem sztuki jest dla nas nie dobro (bo dobro jest ideałem etyki), lecz piękno a najcnotliwszy utwór wyszydzimy, zasykamy, jeżeli w nim piękna nie znajdziemy. Zresztą bądźmy szczerzy. Redakcya Niwy chce „kąpać poezyą i belletrystykę w nurcie myśli zdrowych“, a na prawdę nie wierzy wcale w możność istnienia u nas poezyi. Pociesza wprawdzie poetów, że w życiu „znajdą się materyały do szerokiego poematu“, ale dodaje znaczący nawias: „jeżeli go ktoś wyśpiewać jeszcze zdoła.“ Gdyby sztukę lubiła i ceniła (o czci nie mówimy), nie wydałaby na nią tak łacno wyroku śmierci. Tak, najwyraźniejszego wyroku śmierci, zredagowanego w tych wyrazach: „albo literatura pójdzie ręka w rękę z najdroższemi naszemi interesami, zarówno materyalnemi jak duchowemi; albo też pozostanie w tyle, odśpiewując stare litanie nieutulonego żalu i bezmyślnego majaczenia. W piérwszym wypadku przyjmiemy ją do swego towarzystwa (szczęśliwa!) i cenić będziemy narówni z innemi użytecznemi produkcyami; w drugim zaś niech umiéra: nam jéj nie potrzeba“ [1]).

Ale cóż robi nasz poważny mieszkaniec miasta po kupieniu biletu do teatru? „Przyzwyczaił się on czerpać naukę z dzieł gruntownych, które z całą powagą i sumiennością rozstrząsają przedmiot badany na kilkuset stronnicach; więc nie łudzi się nadzieją wyciągnięcia gruntownych wiadomości z trzechgodzinnego przedstawienia. Jestto człowiek zacny i uczciwy, więc nie potrzebuje przykładów budujących między kulisami, wśród sztucznego światła kinkietów. Wyszedłszy z teatru, zastanawia się nad nową myślą, grupuje koło niéj wiele innych, porównywa je, kombinuje, zestawia i dochodzi nareszcie (zgadnijcie panowie, do czego?) do nowego psychologicznego prawa, które mu posłuży za przedmiot do cennéj rozprawy“ [2]). No, to jeszcze nic tak strasznego te prawa, rosną sobie jak grzyby po deszczu. Ej! żeby się tylko nie znaleźli tacy niedowiarkowie, coby zawołali: „takież to tam i prawa, takaż tam i rozprawa!“

W cztery tygodnie późniéj Redakcya ogromnie jakoś rozczuliła się dla sceny. Z początku jeszcze się sroży i powiada: „Estetyka idealna grzeszyła i jeszcze dzisiaj grzeszy pewnym sentymentalizmem naukowym... przeceniała godność artystycznéj działalności ducha ludzkiego.“ „Wygłosimy... orzeczenie, że sztuka powstała z przyrodzonego instynktu człowieka do uprzyjemnienia życia, że głównym jéj celem jest dostarczenie zabawy“. Ale zaraz potém nazywa ją już

[1]) Nr. 18, str. 124. [2]) Nr. 31, str. 147.

„Lukulusową strawą ducha dla estetycznych smakoszów“, przypisuje teatrowi krzewienie pierwiastków uczuciowych i „idealnych“ (tak) a nawet wciskanie ziarn wiedzy „w najgłębsze komórki mózgu“ (o których zresztą p. Ochorowicz w swojéj rozprawie nic nam nie powiedział). Wtém przed rozbujałą myślą autora staje groźne widmo Szekspira, a za niém powstaje cień starego Homera i niespodzianie nawijają się pod pióro psalmy hebrajskie. Jestto zapewne dziwne zjawisko kojarzenia wyobrażeń, bo cóż mają do czynienia Homer, a szczególnie psalmy hebrajskie na scenie, obok Szekspira? Ale w każdym razie skutek jest wyborny. Redakcya najniespodzianiéj przyznała scenie „znaczenie dodatnie, chociażby nie przynosiła żadnych korzyści moralnych“ i w dodatku zadyktowała że, dramat... musi odzwierciedlać... poglądy na sprawy życia jednostek i narodów“ [1]). Tak więc trafiliśmy prostą drogą do estetyki idealnéj, boć odzwierciedlanie w żadnym razie tendencyą nie jest.

Zakończmy na tém sprawozdanie z estetycznych i filozoficznych poglądów redakcyi. Mamy jeszcze rozważyć artykuł pod tytułem: „Pozytywizm i pozytywiści“ (Nr. 29), napisany w obronie przeciwko napadom prassy. Jest w nim dużo rozdrażnienia, wiele wyrażeń gwałtownych, godności pisma naukowego ubliżających, chociażbyśmy nawet na szalę położyli nieprzyzwoitość niektórych dowcipów Kuryera Warszawskiego i Gazety Polskiéj; nie będziemy przytaczali tych poswarek, bo obchodzi nas tylko bieg rozumowania.

Niechęć do pozytywizmu, zdaniem redakcyi „Niwy,“ jest następstwem „stanu apatycznego omdlenia albo nerwowéj gorączki“ w jakiém pogrążone jest społeczeństwo nasze, stanu „gdzie pojęcia gonią jedne za drugiemi w bezustannym pośpiechu, zadyszane i z sił opadające, gdzie zamęt przekonań doszedł do rozstroju, a zmienność wyobrażeń wyprawia taniec dyabelski w mózgach ludzkich.“ Straszna to dyagnostyka, jeżeli tylko prawdziwa! Ale na czémże ją opiera redakcya? Znaleźliśmy dwa argumenty: 1) historyą umysłowości naszéj od czasów Dekarta, 2) odpychanie pozytywizmu i zohydzanie go przed publicznością.

Co do 1-go, winą jest naszego społeczeństwa, że przyjmowało spirytualizm Dekarta i Leibnitza, potém sensualizm Condillac'a i encyklopedystów francuzkich; potém system Kanta, Szellinga i Hegla; potém tak zwana filozofia polska, potém „mdły i astmatycznego życia idealny realizm.“ „Doliczywszy drobne strumyczki, nazywające się jeden filozofią katolicką, drugi spyritualizmem nowszéj szkoły francuzkiéj, będziemy mieli w najgrubszych zarysach obraz chaosu“ etc. My w tém ani nieszczęścia, ani chaosu nie widzimy. Jakiż z cywilizowanych krajów Europy nie podlegał wpływowi wiel-

[1]) Nr. 33, str. 193, 194 i 195.

kich prądów filozoficznych? Przy najlepszych nawet chęciach, czyż mógł jakikolwiek kraj przejąć się pozytywizmem, dopóki twórca jego, Comte nie narodził się jeszcze? A wszystkie te kierunki żyją i dziś jeszcze we wszystkich społeczeństwach cywilizowanych; dlaczegóż my jedni tylko mamy pozostawać w stanie „apatycznego omdlenia, lub nerwowéj gorączki"?

Co do 2-go można i „bez nikczemnéj taktyki" i bez „tępego konserwatyzmu" odrzucać pozytywizm i walczyć z nim, jako z systematem szkodliwym. Odrzucać, dlatego że u samych apostołów jego znajdujemy nadzwyczajną i niecierpianą w żadnym systemacie filozoficznym mętność pojęć i niedokładność określeń. „Pozytywizm wymaga znajomości nauk specyalnych... Nauki i nic więcéj!... Dopóki więc nauki szczegółowe istnieć będą jako najwyższa chwała rozumu ludzkiego, dopóty też mieć będzie znaczenie i pozytywizm. Dla pozytywisty powagą jest tylko badacz naukowy... I to właśnie stanowi potęgę i wieczną żywotność pozytywizmu... O własnéj sile, a raczéj o sile wszystkich ludzi, zgłębiających naukę, dąży do zdobycia prawdy, ufny w nieomylne zwycięztwo: porażką jednego ucznia, nie zachwiewa jego podstaw; wyjęcie jednéj cegiełki nie rujnuje całego gmachu". Taka apoteoza świadczy wprawdzie o wielkiéj, rzeklibyśmy pobożnéj czci dla pozytywizmu, ale dowodzi zarazem fanatycznego zaślepienia, kiedy redakcya nie spostrzegła się że zagarnęła w swoje objęcia całą wiedzę ludzką, całe życie umysłowe ludzkości od najpierwszych wieków; nie spostrzegła się, że nauki istniały, rosły, zdobywały nieomylne zwycięztwa na tysiąc, dwa i cztery tysiące lat przed wynalezieniem nawet wyrazu „pozytywizm." Czytamy raz, że pozytywizm wymaga znajomości nauk specyalnych, a potém że pozytywizm jestto najwyższy sposób uogólniania rezultatów przez owe specyalne nauki zdobytych. Co stwierdzone zostało doświadczeniem, to stanowi zasługę i tytuł do nazwy powagi." Cóż znaczy nazwa nauk specyalnych: czy tylko na doświadczeniu opartych, to jest doświadczalnych, experymentalnych; czy wszystkich w ogólności, badających jednę zasadę? Jeżeli mamy rozumieć pierwsze pojęcie, w takim razie pozytywizm jest kalectwem naukowém, bo nie obejmie ani nauk czysto matematycznych, ani większéj części nauk prawnych, posługujących się wywodem logicznym, częstokroć bez względu na doświadczenie i zastosowanie. Sam Comte przecie chwali Archimedesa i Apolloniusza, za opracowanie teoryi przecięć ostrokręgowych, chociaż doświadczeniem sprawdzone zostały dopiéro we 2,000 lat przy zastosowaniu do żeglugi [1]). Jeżeli się oświadczymy za drugiém pojęciem, w takim razie pozytywizm nie będzie tylko „najwyższym sposobem uogólniania," ale téż musi narówni postawić „wyszczególnianie" (dedukcyą). Oba zaś pojęcia obok siebie w logicznem określeniu spokojnie zmieścić się nie mogą.

[1]) Auguste Comte–Cours de philosophie positive 2de ed. 1864, I, 53.

Walczyć można, napadać na te teoryc z punktu szkodliwości należy. Redakcyą gniewa się, że ogłoszono jéj naukę za „burzycielkę dobrych obyczajów, sprawczynię zatraty wszystkich wielkich myśli i szlachetnych popędów, któremi się kierowało społeczeństwo dążąc do prawdy i chwały.“ Cóż dziwnego, że czytelników „Niwy“ ogarnia taka trwoga, jeśli znajduje nie ponętny wcale ideał społeczeństwa pozytywnego, zaszkicowany przed chwilą, z powątpiewaniem o nieśmiertelności duszy i o Istocie Przedwiecznéj, z wyszydzaniem ofiary, poświęceń, natchnienia artystycznego, z wyrokami śmierci na poezyą i belletrystykę i t. d. i t. d.? (wszystko to zaznaczono już wyżéj). Jakąkolwiek wartość mają dawne systematy filozoficzne i nauki dawniéj uprawiane, w każdym razie wyrobiły one w społeczeństwie naszém to przekonanie, a przynajmniéj poczucie, że praca wszelkich władz ducha jest godną poszanowania, że zewnętrznemi węzłami społeczeństwa są: prawo i obowiązek; że wewnętrzną najpotężniejszą i najszlachetniejszą spójnią rodzaju ludzkiego jest miłość, która się karmi właśnie ofiarą i poświęceniem, a która w naturalnym swoim rozwoju przechodząc od pojedyńczego człowieka przez rodzinę, społeczeństwo, naród, dochodzi aż do ludzkości, do wszystkich przeszłych i przyszłych pokoleń, do wszelkich najwznioślejszych idei, chociażby nawet do niebieskich stropów. Cóż dziwnego, powiadamy, jeżeli się przeraża, widząc jak redakcya reprezentująca „młodą prassę“ na miejscu dawnych wiar i nadziei, na miejscu zrozumiałego już dla wszystkich wyrazu „miłość“ wymawia obcy jakiś wyraz (utylitaryzm), do którego potrzeba przyczepiać mnóstwo komentarzy, (co prawda, strasznie naciąganych), żeby zatrzéć w nim treść egoistyczną i napiąć na szlachetniejsze kontury? Przeczytawszy uważnie całe dzieło zbiorowe redakcyi, widzieliśmy wiele myśli i zdań, z których bezpośrednio wynika materyalizm i — egoizm. Pan Rajchman każe nam wierzyć, że „materyalizm praktyczny czyli obyczajowy“ niema nic spólnego z dynamizmem, monizmem, darwinizmem. Nie myślimy tu wyrokować o wartości teoryi, jakie się dyskutują w najwyższych sferach naukowych, ale twierdzimy, że pismo popularno-naukowe, jeśli się wyraża tak niejasno, że teorye jego są pojmowane przez czytelników jako materyalistyczne, musi też przyjmować w pokorze posądzenie o „materyalizm praktyczny,“ boć po to tylko wychodzi, aby zasady swoje w społeczeństwie zaszczepiać, do praktyki życia wprowadzać.

Redakcya protestuje niejednokrotnie przeciwko posądzeniom o poziome i nieszlachetne dążenia. „Uznaje razem z innemi, że nabytki duchowe ludzkości są najwyższą jéj chwałą i najwznioślejszą cechą... Pozytywizm nie usuwa surowych obowiązków względem ogółu. Jeżeli potrzeba oddać część, a nawet całość swego interesu na korzyść ogólną, to się nazywa w pozytywizmie nie ofiarą, nie poświęceniem, słowami wielkiemi, lecz spełnieniem obowiązku... I wówczas robi to bez hałaśliwych wykrzykników, nie przybierając

bolejącéj miny ofiary, nie namaszczając swych skroni chryzmatem poświęcenia.“ „Pragnąc oświaty mass popularyzujemy wyniki badań naukowych, nie lekceważąc i nie potępiając z góry ani jednego objawu jaki życie z sobą przynosi“ [1]). Z radością przyjmujemy takie oświadczenie, wdzięczni za nie jesteśmy, chociaż nie widzimy jaką drogą logika może doprowadzić do takich czynów wyznawcę zasad powyżéj zaznaczonych. Przynosi ono zaszczyt osobistemu charakterowi członków Redakcyi, chociaż nie usuwa w zupełności niebezpieczeństwa z podawania czytelnikom poniżających ducha pomysłów i godeł złowieszczych.

W ciągu długiéj téj pielgrzymki po kartach „Niwy“ nie wiele znaleźliśmy sposobności do wynurzania sympatyi dla głoszonych w niéj zasad, ani nawet uznania dla jéj prac naukowych i filozoficznych. Nie znaczy to wszakże, żebyśmy chcieli wytrącać pióro młodym naszym współtowarzyszom na polu czasopiśmiennictwa. Owszem należy się im jeszcze podzięka za gorliwe pilnowanie interesów materyalnych społeczeństwa, za nieustanną zachętę do pracy, a nawet za rozbudzenie w czytającym ogóle interesu do filozofii. Krzyk oburzenia, jaki się z piersi ich wydarł kilkakrotnie, jest niewątpliwém świadectwem, że sami oni lepsi są, niż ich zasady, lub raczéj, niż ich kierunek naukowy. Znaczną zresztą część odpowiedzialności moralnéj przenieść musimy na wyjątkowe i nie normalne położenie, w jakiém życie ich postawiło. Położenie to skreślili oni wymownie w artykułach dotąd umyślnie nie wymienionych, mianowicie: „Niemoc intelligencyi“ oraz niektóre ustępy artykułu: „Artyści i artyzm.“ „Teraz może literat w wytartym tużurku wypracowywać iskrzące się dowcipem i tryskające humorem fejletony, spoglądając z apetytem na kajzerkę i serdelek, jedyny wieczorny posiłek“ [2]). „Ludzie, powie on wam, zastanówcież się, że ja, mając do rozporządzenia dziennie trzy godziny, wolne od zarobku na chléb przez cały rok, nie przeczytam więcéj nad pięć kronik, kiedyż więc poznam wszystkie źródła i kiedyż z nich ułożę obraz dziejów?“ [3]). Słusznie przypominając, że Darwin, Buckle, Helmholtz, Tyndall, Huxley, Mill, Niebuhr, Grote, Mommsen etc. „nie tracili swych sił na szarpaniu się z ubóstwem,“ „że żadna otchłań nie pożarła tyle szczęścia człowiekowi, ile ubóstwo,“ Niwa domaga się założenia Towarzystwa Pomocy naukowéj, któreby „ludziom poświęcającym się jakiejkolwiek gałęzi umiejętności udzielało pożyczki, dawało zapomogi,

---

[1]) Nr. 29, str. 100 i 101.
[2]) Nr. 43, str. 162. [3]) Nr. 38, str. 26.

wyznaczało fundusze na naukowe podróże, zakupywało rękopisy prac znakomitych“ i t. d. Tu Redakcya Niwy dotknęła jednéj z najboleśniejszych ran społeczeństwa naszego. Z całego téż serca łączymy głos nasz z jéj głosem i popiéramy jéj projekt. Pragnęlibyśmy zachęcić przedewszystkiém ludzi zamożnych, arystokracyą rodową i pieniężną; która okazuje zawsze gotowość do ofiar na cele dobroczynne, aby wzięła do serca losy młodzieży, garnącéj się do nauk i literatury, aby dobrowolnie opodatkowała siebie na poratowanie najdroższych interesów społecznych.

Tadeusz Korzon.

OPIEKUN DOMOWY.

Pismo tygodniowe, sprawom wychowania, rzeczom społecznym i sztukom pięknym poświęcone.

Pismo to, niegdyś illustrowane, po kilku przewrotach w składzie swych władz kierowniczych, zapowiedziało w d. 27 marca 1872 roku „wprowadzenie stanowczych reform“ w swych szpaltach. Jakoż w kilka tygodni późniéj, otrzymało nowy napis: „sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone“ z nowemi rubrykami („Ślady życia“), a d. 24 kwietnia w podpisie redaktora zamiast nazwiska „Bogumił Aspis,“ wyczytaliśmy nazwisko p. „Henryka Perzyńskiego.“ Ukazujące się na kartach samego pisma podpisy pp.: Piotra Chmielowskiego, A. G. B., A. G. Bema i innych naszych znajomych z poprzedniego rozbioru, wskazały niewątpliwie, że Opiekun Domowy stał się kolonią Niwy, organem pozytywizmu warszawskiego.

Wkrótce wszakże ujawniło się tu zjawisko dość pospolite w dziejach kolonizacyi, że kolonia zaczęła się oddalać od metropolii, modyfikować znaczenie jéj godeł, a czasem stawać z nią nawet w stosunku widocznéj sprzeczności. Czy to ze względu na inne cele, czy to skutkiem odmiennego otoczenia i obecności innych nieobecnych w Niwie żywiołów; propaganda pozytywizmu ukazuje się tu w zarysach o wiele łagodniejszych, w tonie umiarkowańszym. Już w pierwszym artykule wstępnym z b. r. p. Piotr Chmielowski oświadczył, że „ani nauka ani życie nie mogą miéć za podstawę czynników krańcowych;“ w zakończeniu przytoczył nawet słowa Krasińskiego i bylibyśmy zapomnieli o wyznaniach wiary autora, gdyby wycieczka przeciwko „poświęceniu anielskiemu,“ nie przywiodła nam na pamięć wykładanej w Niwie teoryi utylitaryzmu [1]). Z biegiem czasu

[1]) Nr. 1 „Na krańcach“ str. 3.

różnice stają się coraz widoczniejszemi, czynniki uczuciowe odzywają się coraz głośniéj, metoda indukcyjno-przyrodnicza w dyskussyi o kwestyach społecznych, zaciéra się coraz bardziéj. W lutym redakcya powiada: „Szanujmy przeszłość, ale nie hołdujmy jéj bezwzględnie [1]); w marcu Dr. Gustaw Doliński pisze [2]): „My nie starzy jeszcze, przejęci jesteśmy mnóstwem wyobrażeń i uczuć starych, z których sami sobie zdać sprawy nie umiemy... Jak gdyby cudownym wpływem umiemy czegośmy się nie uczyli; pamiętamy rzeczy, których nie widzieliśmy, czujemy w duszy uczuciem ludzi, których znać nie mogliśmy. Ojcowie nasi pytają nas, dlaczego w wieku pełnym życia chodzimy pochyleni i milczący? Oto bo dzieje ludzkości żyją w nas, wieki zeszłe ciężą nad nami.“ (Szkoda tylko, że p. Doliński nie ostrzegł przypiskiem lub cudzysłowem, iż wymowne te słowa należą do Micheleta, a przekład ich na język polski do Supińskiego: Pisma, wydanie 1872 roku, tom I, str. 208). W maju czytamy: „Nie zapierajmy się, że wierzymy w miłość, że małżeństwo pojmujemy jako związek krwi i ducha“ (to coś trochę więcéj jak funkcya nerwów 10éj i 11éj pary). „Opowiadaj, matko, dziecięciu dzieje kraju, wybieraj z nich obrazki, które jako wzór cnoty, zasługi, rozumnego poświęcenia i gorącéj miłości spraw społecznych służyć mogą“ [3]). W lipcu: „Nie przeczymy bynajmniéj, że więcéj nieraz można przeczuć, aniżeli zimnym rozsądkiem wykombinować“ [4]). Dnia 1 sierpnia dowiadujemy się że: „nauka języka greckiego nie jest rzeczą godną potępienia“ [5]). Nareszcie dnia 7 sierpnia z powodu grassującéj w Warszawie cholery i nieostrożnego zachowywania się klass nieoświeconych, redakcya oświadcza: „przemówienie z ambony uważamy za środek bardzo skuteczny. Działanie duchowieństwa w tym razie byłoby bardzo pożyteczne“ [6]).

Ostatni ustęp mógłby już służyć za ekspijacyą wielu grzechów popełnionych przez pozytywizm przeciwko kościołowi, mógłby wyjednać jeżeli nie zupełną absolucyą, to przynajmniéj pochwałę u srogiego nawet spowiednika. Naturalnie trzeba tylko trochę wyrozumiałości, albowiem poprawa grzesznika nie może dokonać się nagle. Od czasu do czasu przebieży prąd pozytywizmu Niwiarskiego, przeleci jak huragan, zamąci i rozkołacze głowę uspokojonego przed chwilą czytelnika. Tak np. z artykułu „Anachoreci“ dowiadujemy się, że tém imioniskiem obdarzeni są „dziwni ludzie... dzieci stare, wychowańcy przekonań, co idą w grób. W ich głowach posępnie, ciemno, a głucho... Anachoreci zamieszkują prowincyą, a przedewszystkiem wioski i mniejsze miasteczka.“ Potém coś o pawiach i papugach społecznych, o Niesieckim i Paprockim, o starym Krakowie i Galicyi etc [7]). P. A. Głowacki zapewnia że: „do szczęścia ludzi więcéj

[1]) Nr. 9, str. 66. [2]) Nr. 12 W pierwszych szeregach str. 90. [3]) Nr. 19, Żona i matka, str. 145, 146. [4]) Nr. 30, str. 234. [5]) Nr. 33, str. 259. [6]) W kwestyi zdrowia Nr. 35 str. 274. [7]) Nr. 11.

przyczynia się jedna godzina gimnastyki, niż cała doba próżnych gadanin z dziedziny pseudo-filozoficznych spekulacyj“ [1]). P. A. G. Bem w artykule „Powołanie wieszcze“ uczy nas, że to powołanie „wyciska na umysłach piętno bierności psychicznéj“ (dotychczas widziano zawsze w wieszczach twórczość, był to więc gruby błąd). Wprawdzie główne pociski padają na „rymoklectwo,“ ale konkluzya przybiéra ogólniejsze rozmiary. „Zdrowy, pozytywny prąd wieku odbiera dziś poezyi naczelne nad umysłami panowanie. I słusznie, szalone są bowiem i błędne drogi téj przewodniéj gwiazdy: wiedzie w górne sfery, a nierząd zostawia na ziemi, darzy niby tytaniczną siłą, a zwykłą energią w stosunkach życiowych odbiéra.“ [2]) Artykuł w mowie będący, wywołał zarzuty w Kuryerze Warszawskim, na które redakcya dała gwałtowną odpowiedź, zapewniając, że miała na myśli tylko rymokletów i że prawdziwych wieszczów poważa. Rozpoznawszy sprawę, zestawiwszy napis tytułowy z zakończeniem, przyszliśmy do wniosku, że Redakcya Opiekuna nie była szczerą, a gwałtowność odpowiedzi nie była usprawiedliwioną.

Tyle co do naczelnego kierunku pisma. Przejdźmy teraz do strony jego realnéj.

Tak samo jak w Niwie, redakcya przemawia do publiczności bezpośrednio w *artykułach wstępnych*. Z tych godnemi są uwagi następne: *1. Aplikanci sądowi;* na podstawie danych statystycznych oraz z uwzględnieniem nowéj reformy sądownictwa redakcya wykazuje, że 290 zatwierdzonych obecnie przez Kommisyą Sprawiedliwości aplikantów, oraz 259 studyujących w uniwersytecie prawników, będą mieli w perspektywie zaledwie 27 posad, z których połowę przeszło zajmą aplikanci przybywający z Cesarstwa. Ponieważ w roku 1872 wstąpiło na wydział prawny znów 82 słuchaczy, przeto redakcya ostrzega, że mogą doznać bolesnego zawodu, gdy po ukończeniu studyów ujrzą się w konieczności aplikować po lat dziesięć bezskutecznie. Jest wprawdzie sposób polepszenia bytu przez wyjazd do Cesarstwa (jakoż w r. 1873 wyjechało do Petersburga lub Moskwy 10 a kilku innych ma za tamtymi podążyć), „lecz środek ten przedstawia pewne ujemne strony... Człowiek młody przedstawia pewien kapitał, jaki społeczeństwo na jego wychowanie i wykształcenie wyłożyło... kapitał ten powinien być po pewnym czasie zwrócony.“ Z tych powodów redakcya radzi: „rzucajcie wydział prawny i jedźcie do szkół technicznych, przemysłowych, handlowych i t. p. Aplikantom sądowym cofnąć się już trudniéj, wy ratujcie się póki czas“ [3]). Z powodu tego artykułu wynikło starcie z Gazetą Polską, któréj współpracownik zrobił zarzut, że Opiekun każe „wszystkim rzucać wydział prawny.“ Redakcya Opiekuna udawała się do Redaktora Gazety Pols-

[1]) Nr. 20, str. 155. [2]) Nr. 21, str. 163. [3]) Nr. 6 str. 43 i 44.

kiéj z protestacyą, a gdy odpowiedź zamieszczona w Gazecie nie była zadawalającą, Opiekun zamieścił obszerny wywód sprawy, oskarżył Gazetę Polską „że artykuł Aplikanci sądowi sfałszowała i nie sprostowała;“ przyczem niepożałował kilku ostrych docinków. Przyznajemy, że artykuł Opiekuna był napisany w najlepszych zamiarach i z dostateczną gruntownością; protestacya usunęła zarzut jednostronności: wolelibyśmy jednak, żeby redakcya zmiarkowała swoje uniesienie i nie posuwała się aż do zapisywania się na fałsz, boć zakończenie nie zawierało w sobie zastrzeżenia o „młodzieży niezamożnéj“ i przez samą energiczność wyrażeń mogło się wydać komuś bezwzględném. Nie ma tu jeszcze złéj wiary ani fałszerstwa; jest tylko nieporozumienie. 2. *Nasi robotnicy*; p. Al. Głowacki studyuje bardzo starannie obecne położenie téj klassy. Ogólną liczbę robotników w Królestwie oznacza przypuszczalnie na 105,000, produkcyą jednego robotnika na 714—750 rs. rocznie; stan intellektualny zdaniem jego jest smutny, gdyż do szkół niedzielnych uczęszczało chłopców 6,108, do szkoły rzemieślniczéj w Łodzi tylko 144. „Któż zaprzeczy, że właśnie w nizkim stanie naszego przemysłu, leży źródło zależności naszéj od Niemców i że w podniesieniu téj gałęzi gospodarstwa społecznego leży przyszłość nasza“ [1]). To interesujące studyum kończy się wymienieniem pp. Gaszczyńskiego, który założył szkołę stolarstwa, Ig. Godlewskiego, który w fabryce Lilpop, Rau i Ska założył kassę pożyczkową, oraz pp. Rauera krawca i Rossbauma szewca, którzy przyjęli nauczycieli do swych terminatorów. 3. *W sprawie ludu, karczma.* Z dat statystycznych pokazuje się, że w Warszawie jeden szynk przypada na 351 ludzi czyli na 7 domów; w miasteczkach stosunek ten jest jeszcze gorszy np.: w Opocznie 1 na 83, w Kozienicach 1 na 80 osób. Autor pyta czy dziś, kiedy losy ludu złożono w jego własne ręce, jest lepiéj, niż dawniéj i odpowiada: „Nie lepiéj.“ Wytyka niewłaściwe postępowanie urzędników gminnych i zaznacza, iż w gubernii płockiéj było 95 urzędników karanych lub napominanych, a tylko 19 bez zarzutu. Żąda aby na te urzędy powoływano ludzi godnych, oraz aby policya rozciągnęła ściślejszą straż nad szynkami. 4. *Nasi włościanie.* Tu zaznacza się nieposzanowanie własności, zakorzenione w charakterze włościanina, które znów wyrobiło „dziwny odcień skrytości i niedowierzania;“ daléj obłudę, wiarę w czary, ciemnotę, pijaństwo. Do umoralnienia prowadzić mogą cztery czynniki: kościół, szkoła, urząd gminny i dwór. „W wioskach gdzie nié ma i nie było dworków szlacheckich, ciemnota jeszcze większa, a obejście się przypomina ludy świeżo odkrytego archipelagu.“ Autor domaga się przedewszystkiém oświaty, „uczenia chociażby z przymusem,“ dodania wykładu prawa gminnego i urządzeń instytucyi gminnéj;

---

[1]) Nr. 7, str. 50.

oddzielenia władzy administracyjnéj od sądowéj. „Prawo i własność są to dwie fundamentalne podstawy bytu społecznego“ [1]). Nie znajdujemy już téj trzeźwości sądów i tego spokoju badawczego w artykule p. t.: *Czeladź dworska.* Zamiast faktów i rysów, czerpanych z życia, czytamy tu górno-lotne frazesy np.: „Śpi jeszcze dusza w tém niemowlęciu cywilizacyi... Szlachetna z gruntu słowiańska natura, wzdryga się na samą myśl nieprawą, a z tém większą ochotą lgnie do tego, co piękne, i ukochane i jasne“ [2]). Rady odznaczają się téż zupełnym brakiem praktyczności: np. autor każe brać dzieci na naukę do dworu i najzręczniejszym parobkom uczyć je jak pług prowadzić, kosić, jak naładować furę zbożem; każe dawać wygodne pomieszkania, podwyższać cenę płacy, wyznaczać nagrody, urządzać kassy emerytalne, nie wykazując środków ku temu.

W innych artykułach znajdujemy mnóstwo najrozmaitszych projektów, np. projekt stypendyum imienia Mickiewicza i składki na pomnik; projekt Banku Związkowego Rolniczego, którego założenia i gwarancyi powinien, zdaniem autora, podjąć się Bank Handlowy Warszawski; projekt stowarzyszenia nauczycieli i nauczycielek prywatnych z kapitałem utworzonym ze składek rublowych rocznych i obowiązkiem płacenia emerytury (wszakże opierając rachunek na 1,000 uczestników, autor nie mógł wykazać zasobów mniéj więcéj dostatecznych na utworzenie funduszu emerytalnego); projekt stowarzyszenia naukowego, oparty również na wątłéj podstawie, że 1,000 uczestników da po 30 kopiejek miesięcznie i że tym sposobem powstanie dochód 24,000 złp.; projekt pracowni naukowych prywatnych z kosztorysami (chemicznéj i anatomicznéj po 450 rs.); projekt podziału przyrodników w Uniwersytecie Warszawskim na chemików, biologów i mineralogów etc. Żaden z tych projektów dotychczas nie był zrealizowany; skromniejszy zaś, ale praktyczniejszy pomysł odczytów 10-groszowych dla rzemieślników, wspólnemi usiłowaniami Redakcyi Opiekuna i Gazety Rzemieślniczéj, zamienił się w czyn i doznał świetnego powodzenia.

W artykule p. t.: *Kwestya językowa,* Redakcya uznaje, że „społeczeństwo ma prawo domagać się takiego porozumienia (w kwestyi pisowni nowotnéj) w imię jednego z najdroższych swych interesów, w imię całego młodego pokolenia, obałamuconego mieszaniną najróżnorodniejszych prawidełek, podawanych przez każdego z nauczających na własną rękę“ [3]). Z tego powodu odzywa się „jednocześnie do wszystkich miejscowych redakcyj z propozycyą miejscowego porozumienia się.“ Odezwa ta wyszła nieco zapóźno, gdyż Opiekun poprzednio już przyjął był pisownią Niwy, nie bacząc widocznie na „prawo społeczeństwa“ i na „jeden z najdroższych jego interesów.“

[1]) Nr. 42, str. 330, 331. [2]) Nr. 39, str. 307. [3]) Nr. 13 str. 98.

Wbrew oczekiwaniom redakcyi, głos jéj pozostał bez skutku, boć niepodobna było wyglądać takiego skutku, aby redaktorowie warszawscy poważyli się rozstrzygać specyalne kwestye filologiczne i narzucać decyzyą swoję prowincyom. W końcu wymienić jeszcze możemy artykuł p. t.: *Szkoła i zdrowie*, gdzie zaleca się system ławek szkolnych pojedyńczych z pulpitami ruchomemi, pochylanemi na 40°—20° podług wzoru Ziebreicha, przyjętego w Inst. Królewskim W. Brytanii. Jestto system zbliżony do ławek amerykańskich i szwedzkich; szkoda że w artykule nie podano opisu dokładnego, który do zrobienia takiéj ławki jest niezbędny. Reszta artykułów zawiera uwagi moralne, słowa zachęty, serdeczne pogadanki z czytelnikami, ale treści ich podać nie jesteśmy w stanie.

Dział drugi stanowią *artykuły naukowe i literackie*. Znajdujemy tu kilka pogadanek pedagogicznych pp. F. K. i Henryka Wernica; jako to: „*O mechanicznym sposobie uczenia dzieci*," „*O przyzwyczajaniu dzieci do pracy*," *Gawędy o wychowaniu*," „*Zabawki dziecinne*," „*Dla matek o chorobach dziecinnych*," „*Froebel i ogródki dziecinne*" i kilka tłumaczonych: „*Co mają czynić szkoły*" z Piltza, „*Nawyknienia i nałogi, wyjątek z dzieła znakomitego rossyjskiego psychologa ś. p. Konstantego Uszyńskiego*" (który dowodzi, że nawyknienia nie są wrodzone lecz się nabywają w niemowlęctwie) i „*Wychowanie ze stanowiska antropologii, z rossyjskiego*." Dotykają one po większéj części wieku niemowlęcego i wychowania pierwotnego; podawane rady są zwykle trafne, ale wykład (np. metody Froebla) jest zbyt pobieżny, żeby z niego praktyczne można było wyciągnąć zastosowanie. Redakcya zapowiedziała wydawnictwo 25 książek „najniezbędniéj w wychowaniu domowém potrzebnych, których w piśmiennictwie naszém znaleźć niepodobna." Dzieła te mają być oryginalnie pisane, „za które autorom dwa razy tyle co za przekłady płacić potrzeba", a ponieważ cena całkowitego wydawnictwa na rs. 6 oznaczoną została, przeto Redakcya potrzebuje 1300 prenumeratorów na pokrycie kosztów (125 arkuszy druku) [1]). Zapowiédź ta wywołała odezwę p. Arcta, księgarza z Lublina, który prowadzi podobne wydawnictwo p. t. „Systematyczny kurs nauk" pod kierunkiem p. Jeskiego i przeznacza je téż dla dzieci od 3-ch do 14 lat. Tak więc dzieci nasze doznają troskliwości dwu firm wydawniczych; na współzawodnictwie tém nie stracą wszakże, owszem zyskają zapewne; to téż obu wydawnictwom życzyć możemy powodzenia.

Gdy przytoczona powyżéj odezwa do redakcyj warszawskich w przedmiocie ujednostajnienia pisowni pozostała bez odpowiedzi, p. A. G. Bem zamieścił artykuł p. t. „*Nasza ortografia w ogólnym zarysie spornych punktów.*" Znaleźliśmy tu streszczenie wywodów

[1]) N-r 38.

znanéj już rozprawy p. Kryńskiego z kilkoma dodatkami nowemi, które jednak nie wywierają zbyt silnego na umysły opozycyjne wrażenia. Uderza tylko pewna poufałość, jaką autor obdarza potentatów naszéj literatury filologicznéj. Kopczyńskiemu, lub raczéj, jak się w inném miejscu wyraża „księdzu Onufremu," pomimo wielu jego błędów, przyznaje „względną nieśmiertelność." „Uznajemy jednak za stosowne dodać nawiasem, że ks. Malinowski różni się nieco z *naszą szkołą*" [1]). Czyjaż pierś nie wydmie się dumą, gdy się dowie, że posiadamy przecież w Warszawie *naszą* czy *waszą*, czy też *ich szkołę*, z którą taki językoznawca, jak ks. Malinowski układa się o zgodność lub różnicę zdań! Podziękujmyż p. Bemowi za tę radośną nowinę i prośmy, aby imienny skład téj szkoły podał co rychléj do wiadomości powszechnéj, iżby mieszkańcy m. Warszawy i przedmieścia Pragi mogli uczcić godnie tak znakomitych luminarzy.

Znajdujemy następnie dwa artykuły o Mickiewiczu: jeden ułożony podług świeżo wydanéj korrespondencyi, drugi tłumaczony z rossyjskiego ze wspomnień P. Polewoja, który wyraża najmocniejsze przekonanie, że Mickiewicz, wypłacając się za doznawaną uprzejmość „wdzięcznością, pozostał najmocniéj przywiązanym do swoich moskiewskich przyjaciół" [2]). Oba artykuły nacechowane są głęboką czcią dla wielkiego poety. Stosunkowo obszernych rozmiarów, bo w 17 numerach jest artykuł, czyli raczéj szereg artykułów p. t. *Nasi powieściopisarze:* o Jeżu, Zacharyasiewiczu, Pługu, p. Marrené-Morzkowskiéj i Elizie Orzeszko. Najlepiéj wyszli na téj lustracyi Jeż, Marrené i E. Orzeszko, bo pierwszy jest „przodownikiem myśli trzeźwéj, pozytywnéj" [3]), druga, że w poglądach swoich na życie, jest uczuciową racyonalistką i doradza przy pielęgnowaniu dobrych natchnień, zupełny rozbrat ze czczą marą złudzeń. „Jako socyalistka wystąpiła p. Eliza w b. r. z artykułem drukowanym w Niwie p. t.: „O jednéj z najpilniejszych potrzeb naszego społeczeństwa". Myśli tu wygłoszone, stanowią skromny szczyt rozwojowy socyalistycznego wykształcenia naszéj powieściopisarki, a jedyną wadą artykułu jest zatarta *nieco* poetyczném gadulstwem systematyczność i niedostatek cyfr" [4]). To téż pomimo wytkniętych usterek p. A. G. Bem mianuje ją pożyteczną kapłanką pióra. Panią Marrené obsypuje téż hojnie p. Walery Przyborowski pochwałami, ponieważ „przekonała w końcu czytelnika, że pogoń za ideałami, które są próżną bańką mydlaną, jest wierutném głupstwem, nie wartém i torby sieczki nawet" [5]). Mniéj zapału budzi Adam Pług, chociaż i on zasłużył w końcu na wniosek, że „dalekim jest od uznawania teoryi piękna dla piękna" [6]).

---

[1]) N-r 22, str. 171, 172. [2]) N-r 18. str. 141. [3]) N-r 4, str. 32. [4]) N-r 35, str. 278. [5]) N-r 14. str. 111. [6]) N-r 11. str. 86.

Ale p. Zacharyasiewicz dostał od p. Chmielowskiego cięgi bolesne. „P. Z. był poetą. Śpiewał czule, tęsknie i melancholicznie. Kiedyniekiedy pieśni swoje kończył gorzkim uśmiéchem ironii," zapożyczonéj od Heinego. „Czy P. Z. jest zawsze rozumnym i doświadczonym lekarzem, czy czasem nie daje kartki wyjścia ze szpitala zaledwie napół uzdrowionym, a może nawet chorym? Wyroki jego przez połowę zaledwie dałyby się za prawdziwe uważać" etc. [1]).

Znajdujemy jeszcze kilka artykułów z nauk przyrodniczych „*Co to jest życie*" podług Huizinga, gdzie znów rozbieraną jest kwestya: „czy protoplazma myśli" i znów czytamy „rzetelną odpowiédź: nie wiemy" [2]). „*Słówko o przesądach w medycynie*" przez D-ra G. Dolińskiego, podające bardzo elementarny zarys organizmu i stanu chorobliwego. „*Odzież pod względem hygienicznym*" podług D-ra Reklama, od którego pomiędzy innemi rzeczami dowiadujemy się, że „kalosze należy zdejmować nie zaraz po przybyciu z otwartego powietrza do pokoju, lecz dopiero po kwadransie czasu i późniéj" [3]) i nareszcie tłumaczenie z niemieckiego „*O przedwczesném siwieniu włosów*" przez D-ra Pincusa. Jest tu recepta do farbowania włosów, którą, jako najstarszy organ tak zwanéj „staréj prassy" odczytaliśmy z wielkiém zajęciem i pośpieszamy podać do wiadomości osób interesowanych: „Zalecamy więc mycie głowy odwarem z bobu zwyczajnego, z kory pokrywającéj orzechy włoskie, z ogonków liści bluszczowych, z kory wierzbowéj i t. d. [4]). To tylko nas dziwi, na co się przyda taka recepta w piśmie pedagogicznem; zapewne już nie dzieciom, ale pedagogom siwiejącym i łysiejącym. Równie zagadkowym dla nas jest artykuł „*Niemcy i Słowianie*," którego autor trwa w naiwném mniemaniu, że dzisiaj historya powszechna nie zwraca należytéj uwagi na uniwersalnego znaczenia fakty takie, jak rozwój parlamentaryzmu w rzeczypospolitéj, na tolerancyą religijną tamże w XVI wieku, nareszcie na walkę z islamizmem etc., lub że w naszéj literaturze są tylko dzieła tłumaczone i przerabiane z niemieckiego [5]).

Znaczną część każdego numeru zajmują *utwory belletrystyczne*: do września ciągnęła się powieść Maryi Szeligi p t. *Hrabina Elodya*, któréj oceniać tu dla braku miejsca nie możemy. Mniejszy utwór p. Jacentego Brony p. t. *Wieczorem i Rankiem* jest arcydziełem zachwalanego w Opiekunie realizmu. Oto próbka stylu: „Zakochany byłem jak kot... mówmy prawdę, jak student. I dawałem dowody téj miłości okiem, ręką, nogą." W dalszym ciągu zwierzeń swoich przed publicznością, szanowny autor zawiadamia nas, że jest żonaty, że ma kobiecinę, jak grosz... 30,000 rs. posagu i synka dwumiesięczne-

[1]) N-r 21, str. 167. [2]) N-r 42, str. 335. [3]) N-r 39, str. 310.
[4]) N-r 20, str 156. [5]) N-r 22, str. 175; N-r 26, str. 205.

go, a za te zasługi, za te niepospolite przymioty serca i umysłu posypały się nań rozmaite zaszczyty, pomiędzy innemi „zawezwano go na współpracownika do Tygodnika Illustrowanego, Kroniki Rodzinnéj, Biblioteki Warszawskiéj i Ogniska Domowego“ [1]). Co do „Ogniska Domowego,“ nie w porę wybrał się p. Brona z przechwałką, bo właśnie na odwrotnéj karcie Redakcya Opiekuna zaliczyła to pismo „do czerni wyrodnych gatunków bajronizmu,“ co do Biblioteki zaś nie radzilibyśmy p. Bronie korzystać z wezwania, jeśli nie chce się narażać na następstwa z wyjaśnienia pomyłki, w jaką popadł zapewne przypadkowo. Do belletrystyki też zaliczamy kilka „Gawęd“ i parę artykułów wstępnych T. T. Jeża, który tak serdecznie pobratał się z pozytywistami, że uwierzył nawet „w naukę przyszłości—socyologią“ [2]).

Obszerną rubrykę zajmują *Korrespondencye*. Trafiają się pomiędzy niemi listy wielbicieli i wielbicielek Redakcyi, podzięki i zachęty, drukowane z dyplomatyczną dokładnością, trafiają się obszerne wykłady „walki o byt;“ ale są też zajmujące informacye z rozmaitych części kraju: do takich zaliczamy szczególnie z Ireny i z pod Myszéj Wieży.

Dział krytyki p. t. *Biblioteczka Domowa* jest prowadzony w tonie łagodniejszym i umiarkowańszym, niżeli w Niwie. Recenzenci Opiekuna stają nawet czasami w ostréj sprzeczności z macierzą swoją. Tak np. oceniając Historyą Literatury Mecherzyńskiego, którą Niwa potępiła w najbardziéj grubijańskich wyrażeniach p. J. M. K. powiada: „możemy w każdym razie zalecić książkę p. M. do domowego użytku, tém więcéj, że prócz wyżéj wymienionych zalet, odznacza się prawdziwie uczciwą tendencyą i wolnemi od przesądów poglądami“ [3]). Widać, że i przy używaniu metody pozytywnéj można dojść w rezultacie do wniosku, że białe jest czarném, a czarne białém. Bardzo wiele uwagi i miejsca poświęca Opiekun wydawnictwom Przeglądu Tygodniowego tak w rubryce krytyki, jak i w śladach życia; recenzenci muszą czasem wykrzykiwać: „A jakiż język w tłumaczeniu!“ Chyba nikt korrekty nie prowadził, nikt rękopismu nie przeglądał [4]). „O błędach językowych i stylowych zaledwie wspominam; znajdują się one niemal w każdym wierszu“ [5]). Nie przeszkadza to jednak zalecać tych okazów smutnego kalectwa czytelnikom swoim; zwykle na końcu czytamy frazes: „Mimo tych wszystkich niedostatków, książka może być przeczytaną z pożytkiem i nie jeden błędny przesąd sprostować może.“ Frazes ten zmienia się na entuzyastyczną pochwałę, jeżeli tłumaczenie jest lepsze.

---

[1]) N-r 20, str. 157. 158. [2]) N-r 10, str. 74. [3]) Nr. 11, str. 88. [4]) N-r 22, str. 176. [5]) N-r 40, str. 319.

Ostatnią rubrykę stanowi odcinek p. t. „Ślady życia,“ bardzo ruchliwy i urozmaicony, a tak obfity, że część jego wylewa się po za brzegi na ostatnią stronnicę p. t. „Rozmaitości.“ Pomiędzy listami, wzmiankami o dziełach, odezwami od czytelników, artykułami polemicznemi i pomniejszemi projektami, które do artykułów wstępnych nie weszły, czytaliśmy co miesiąc ocenę każdego numeru Biblioteki Warszawskiéj. Dostrzegliśmy tu dążność wręcz przeciwną z usposobieniem recenzentów 50-tomowéj Biblioteki Przeglądu Tygodniowego. Najczęściéj napotykamy tu wyrażenia „zeszyt... nosi na sobie właściwą temu miesięcznikowi cechę archeologiczną“ [1]), kiedy w samym zeszycie nie było ani jednego artykułu z archeologii, która powiedzmy nawiasem w r. 1873 bez porównania obszerniéj była traktowana w Niwie; lub „nosi na sobie przeważnie starożytnicze, niewzruszone piętno... nadaje wyraźniejszy nieco naukowy połysk rzecz: p. u. Mimosa przez D-ra Strasburgera [2]), chociaż p. Strasburger jest towarzyszem podróży naukowéj D-ra Haeckla lub „zeszyt nie odznacza się wielkiém urozmaiceniem“ [3]), a tymczasem nie zwraca uwagi ani na piśmiennictwo, ani na wiadomości literackie. Dopiero w N-rze 42 jeden artykuł ożywił przecie „sztywne dotychczas karty Biblioteki.“

Dla uzupełnienia pojęcia o cechach Opiekuna Domowego musimy jeszcze zwrócić uwagę na głos Redakcyi do „staréj prassy“ i do publiczności, objęty artykułem XXXII Śladów Życia w nr. 32.

Redakcya uskarża się, że Kuryer Warsz., Kronika Rodzinna, Wiek i Gazeta Polska występują namiętnie przeciwko młodéj prassie, „która ma być przyczyną gorszących zajść, krzewicielką wrogich spo-„łecznemu porządkowi idei. Czy to się zdarzy kradzież, czy zabój-„stwo, czy skandal uliczny, wszystkiemu temu któż winien?... młoda „prassa. Postawmy kwestyą we właściwém świetle. Póki w łamach „pism figurowała polityka, póki sprawy Chin, Japonii, Egiptu, Włoch, „Francyi lub Niemiec były przedmiotem dysput i rozpraw; póki żadna „żywotniejsza kwestya, kraj obchodząca nie została poruszoną: póty „nie było polemiki zaciętéj, bo o cóż byłoby się spierać... Kilka „nowych pism prowadzonych przez wychowańców b. Szkoły Głównéj „lub Uniwersytetu Warszawskiego, rozpoczęło ów zwrot do rzeczy „swojskich, a za ich przykładem poszły pisma dawniéj istniejące. „Dziś wszyscy musimy poruszać kwestye społeczne, sprawy nasz ogół „obchodzące i więcéj dokładać pracy... Przekonania i opinie wygła-„szane przez młode pióra, najpierw zostały przyjęte pogardliwém „milczeniem, następnie tolerowane z konieczności, późniéj nawet „chwalone, rzadko kiedy popierane, a dziś potępiane bezwzględnie. „I stanęły na przeciw siebie dwa obozy drażnione bez ustanku, wyro-

---

[1]) N-r 30, str. 234. [2]) N-r 35, str. 274. [3]) N-r 39, str. 307.

„dziła się stara i młoda prassa i poczęła szarpać wzajemnie“. Następnie redakcya powołuje się na swoje odpowiedzi Kuryerowi i Gazecie Polskiéj, jako na dowód umiarkowania. „Dajcie nam dowód, „szanowni panowie, wykażcie, gdzieto u nas znajdujecie tendencye „zgubne dla kraju; dowiedźcie, czy choć jednę myśl naszę lub projekt, „choćby najpożyteczniejszy, poparliście, przyłożyli doń rękę i zasta- „nówcie się jeżeli łaska, kto to właściwie rozmazuje skandal... Nasze „przekonania filozoficzne i społeczne stały się celem pocisków, pasz- „kwilów i drwin, nasze dobre chęci żądzą reklamy i kolonizacyą sławy, „głos prosto z serca idący frazesem.“ Potém następują już połajanki.

Nie posiadamy mandatu od Kuryera, Gazety Polskiéj i Wieku, tylko z poczucia obowiązku obywatelskiego odpowiemy na przytoczone tu słowa.

Założenie wśród literatury obozu zwanego „młodą prassą“ jest zjawiskiem niezwykłém i anormalném. Młodość posiada wiele powabów, ale nie jest bynajmniéj tytułem do wywierania wpływów na literaturę lub społeczeństwo, nie daje rękojmi niezbędnéj dojrzałości przy wygłaszaniu teoryj filozoficznych. Dziwi nas że redakcya pisma, które ma rozciągać „Opiekę“ nad „Domem“ uznała za stosowne zaprezentować się z chorągwią umajoną w równianki, nie pomnąc, że młodą przecież wiecznie nie będzie, że hasła stronnictw i godła pism powinny być obmyślane na czas dłuższy, niż trwać może wdzięk przemijający młodocianéj twarzy.

Najzupełniéj uznajemy i w rozbiorach tak Niwy jak Opiekuna wykazaliśmy, że obie te redakcye zwróciły pilną uwagę na interesa społeczeństwa, szczególnie materyalne, że okazały ruchliwego ducha inicyatywy. Wszakże wyjaśnienie niechęci organów starszych nie jest zgodne z rzeczywistością: przenikliwszy czytelnik dostrzeże nawet w samym wykładzie Redakcyi brak spójności pomiędzy zdaniami: „opinie wygłaszane przez pióra młode były... nawet chwalone, rzadko kiedy popierane, a dziś potępiane bezwzględnie.“ Sam przymus do poruszania kwestyi społecznych, któremu się przecie „stara prassa“ już poddała, nie może tłumaczyć tak gwałtownego przejścia od popierania do potępiania. Istotna przyczyna leży głębiéj, mianowicie w zasadach i wskazówkach zastosowań. To nam tłumaczy cały rozwój walki: najprzód milczenie dopóki sam tylko Przegląd Tygodniowy pisał swoje echa, na które odpowiadać godność osobista nikomu nie pozwalała; potém tolerowanie, a nawet chwalenie kiedy wystąpiły z piérwszémi numerami Niwa i Opiekun, nareszcie potępianie w miarę jak się ich zasady filozoficzne uwydatniały i rozwijały.

Redakcya oburza się na niegrzeczne zaczepki i skandaliczne żarty. Zapewne że się te nie zgadzają z powagą literatury, ale żeby skarga mogła być wysłuchaną, trzeba było młodéj prassie powstrzymać się od połajanek w odpowiedziach swoich, od wybryków wesołego humoru, np. p. Jacentego Brony i t. p.

Redakcya żądała dowodu zgubnych tendencyj; staraliśmy się dowody te o ile okoliczności pozwalały uwydatnić. Radzi bylibyśmy przekonać się, że słowa nasze padły nie na opokę, że w przytoczonych wyżéj zboczeniach tkwiły błędy rozumowania, nie zaś woli.

Redakcya uskarża się na brak poparcia co do proponowanych projektów. Zdaje się, że skarga ta wynika téż z nieporozumienia. Opiekun i Niwa, rzeczywiście podają dużo projektów, ale niepodobna wymagać zrealizowania ich dla wielu przyczyn, a po większéj części dla niedokładności samych projektów. Zapewne, pomysł jest wielką rzeczą, lecz dzieli go jeszcze cała przepaść od czynu.

Redakcya uskarża się, że jéj „głos prosto z serca zwano frazesem.“ W istocie, czytaliśmy wiele słów gorących, nawet całych artykułów wstępnych, napisanych z serdecznem uczuciem, z młodzieńczym zapałem. Gdy jednak w artykule takim nie znajdujemy faktów naukowych, wzorów zdjętych z życia, spostrzeżeń doświadczonego umysłu, musimy nazwać najwymowniejsze wyrazy deklamacyą, frazesem, gdyż do przekonania naszego nie przemawiają. Mamy przed oczyma rejestr 42-ch waszych artykułów wstępnych z b. r., a z czterech zaledwo mogliśmy pożywną treść wyciągnąć, o 20 niewiele dało się powiedzieć, przy 18-tu zaś sprawozdawca musiał położyć napis: „Deklamacya.“

Dodajmy w końcu, że obozowanie ,,młodéj prassy“ pod osobnemi chorągwiami nie przynosi ani jéj, ani społeczeństwu istotnych korzyści. Jeśli dla niéj drogiemi są zdobycze naukowe, interesa oświaty, dobro społeczeństwa, czyż nie lepiéjby było pracować wprost pod temi hasłami, nie zobowiązując się do krępujących sumienie przymierzy, do taktyki, potrzebnéj stronnictwom politycznym, ale bezowocnéj w walkach literackich, naukowych i filozoficznych? Gdyby Niwa i Opiekun Domowy, uwagę tę uwzględniły, z pewnością uchroniłyby się od wielu pomyłek i zarzuciłyby niewłaściwą nazwę „młodéj prassy.“ Nie rozpaczamy zresztą o przyszłości tych organów, boć naturalnym biegiem czasu same one postarzéć muszą, jeśli tylko nie wynajdą za pomocą metody indukcyjnéj, eliksiru wiekuistego odmładzania się.

Oglądając przedstawiony tu materyał jednym rzutem oka, wnioskujemy, że Opiekun Domowy nie ogranicza się zakresem pism pedagogicznych, lecz rozciąga swą działalność na sfery ekonomiczne, finansowe, sądowe, oraz kontroluje sprawy powszedniego życia, szczególnie miasta Warszawy. Strona pedagogiczna nie jest nawet najwydatniejszą; piérwszeństwo przyznalibyśmy raczéj działowi korrespondencyi, ruchliwemu odcinkowi („ślady życia“) i belletrystyce; dział naukowy składa się z samych prawie tłumaczeń i wyciągów. Dla dobra czytelników życzyćby należało, aby Redakcya pracowała pilniéj nad literaturą pedagogiczną i starała się o gruntowniejsze prace dydaktyczne. Treść pisma jest bardzo urozmaicona, ale traktowanie przedmiotów, skutkiem szczupłości rozmiarów, jest zwykle bardzo pobieżne, lekkie, czasem powierzchowne. Redakcya,

zdaje się, nie zdała sobie sprawy, do jakiego koła czytelników przemawia: obok artykułów dla matek, pisuje przemowy do aplikantów sądowych lub do studentów uniwersytetu; troszczy się zarówno o dzieci 3-letnie (w ogłoszoném wydawnictwie), jak o staruszków siwowłosych (w przytoczonym wyżéj artykule D-ra Pincusa). Wynika ztąd pewna niezgodność stylu i wykładu: jedni autorowie uważają za stosowne zniżać się do wyjaśniania najelementarniejszych pojęć o organizmie człowieka, do tłumaczenia, co znaczy wyraz pracownia chemiczna; drudzy nie wahają się poruszać najwyższych zagadnień z biologii, specyalnych kwestyj gramatycznych i t. p. Nie jest ona wolną od uprzedzeń stronniczych, poczuwa się do obowiązku popierania wszelkich wydawnictw swojego stronnictwa, lecz, o ile stać jéj odwagi, usiłuje podawać sumienne informacye. Broni zasad Niwy, lecz je łagodzi w zastosowaniach i ogrzéwa cieplejszém uczuciem.

Tadeusz Korzon.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Tradycye bulgarskie odkryte przez Werkowicza.—Przeszłość i teraźniejszość Bulgarów, według badań pani Dory d'Istria.—Dzieło pana Aubertin uwieńczone przez Akademią francuzką.—„L'esprit public au XVIII siècle".—Charakter powieściopisarstwa niemieckiego.—Powieść polityczna: „Um scepter und Krone", p. Samarow'a.—„Von Brandeburg zum Bismark" pani Ludwiki Hessekiel. Vor dem Gewitter p. Ludwika Habicht'a.—Powieść filozoficzna Pawła Heize'go: „Kinder der Welt."—Nowy poeta francuzki Vinot: „Poemes et Fantaisies; Donna Juanna."—„Oncle Sam" komedya Wiktoryna Sardou.—„Pan Alfons" pana Aleksandra Dumas.—Przyjęcie do Akademii francuzkiéj nowego członka p. de „Viel Castel."—Wspomnienie generała Segur. Jego pamiętniki w ośmiu tomach.—Kalendarze francuzkie: Maciéj z Dromy i „Le Bon Liegeois i t. p."—Wystawa wojenna w Berlinie.—Kurs professora Aleksandra Chodźko, o tradycyach odkrytych przez Werkowicza.

Odkrycie uczonego Bulgara Werkowicza wywołało wielkie wrażenie w świecie literackim i naukowym po obu stronach Bałkanu, i w samejże nawet Grecyi. Francuzkie ministeryum oświecenia zajęło się żywo tym przedmiotem. Mówimy tu o odkrytych skarbach z dziejowego życia Bulgarów, ich podaniach, mytach i pieśniach

bohatérskich. Podług pana Werkowicza, owe pomniki stanowią jakby łącznik pomiędzy tradycyami Aryów w Azyi i Europie: dotyczą one szczególnie mytu Orfeusza.

Pierwsi krytycy europejscy, którzy zajęli się zbadaniem téj rzeczy, lubo zaprotestowali w wielu względach przeciw wnioskom, jakie wyprowadza z odkryć swoich uczony bulgarski, przyczynili się wiele do nadania im rozgłosu.

Łatwo wytłumaczyć tak sympatyczne zajęcie się ogółu tą sprawą. Idzie tu o podania starożytne, o wątek tradycyj mytycznych. Jakkolwiek słuszność mają ci, którzy występują przeciw nadużyciom w krytyce historycznéj żywiołu poetycznego i uczuciowego, niemniéj przecież i bezstronni pozytywiści muszą ostatecznie wyznać, że myty są najprawdziwszym objawem dziejowego życia społeczeństw. Nie ulega téż wątpliwości, że gdybyśmy potrafili dobrze ocenić myty ludów, określilibyśmy najlepiéj ich prawodawstwo i wszelkie ich stosunki, czyto między sobą, czy téż z innemi ludami. Tak utrzymywał Mickiewicz, mając głównie na uwadze Bulgarów.

Imię Mickiewicza przychodzi nam mimowoli na myśl, gdy mowa o dzisiejszych odkryciach w Bulgaryi, gdyż on przeczuł je pierwszy i dał silny pochop badaczom, wskazując im prawdziwą drogę poszukiwań.

Zaraz po przybyciu do Stambułu, wielki poeta dopominał się u jednego z ziomków, zajmujacego się etnografią, by mu dostarczył źródeł sekty Bogumiłów. Wiadomo, że w Europie Bulgarya pierwsza dała początek sektom religijnym w XI wieku. Fakt ten niezmiernie wielką ma doniosłość w historyi ludów europejskich; dotąd bowiem sekty religijne objawiały się tylko w Azyi i w Afryce. Bulgarzy zatem, są jakby ojcami wszystkich sekciarzy europejskich, a najprzód Albigensów. Uczony W. A. Maciejowski określił całą ważność tego zagadnienia w tomie pierwszym „Piśmiennictwa polskiego.“ Mickiewicz pragnął na miejscu zbadać tę rzecz gruntownie, podnosząc ją do znaczenia historyozoficznego.

Często wielki poeta powracał do przedmiotu, silnie nalegał na etnografa naszego o udzielenie mu źródeł dotyczących wspomnionéj sekty. Zostawiamy na boku ich szczegółowe rozumowania, do których Bogumiłowie dali powód, zapisujemy tylko ostatnią konkluzyą.

Na zapytanie dlaczego przywiązuje tak wielką wagę do sekty bulgarskiéj, Mickiewicz odpowiadał głęboko poruszony, jakby pod wpływem wyższego jakiegoś natchnienia:

— Czy wiész, gdybyśmy znali doskonałe określenie sekty Bogumiłów, jak ją pojmowali sami Bulgarzy, byłoby to najważniejsze odkrycie dla całéj Słowiańszczyzny, prawdziwe jéj odrodzenie się w duchu!

Etnograf nasz przypomniał, że Bulgarzy nie byli Słowianami, lecz Turanami.

— Wiém o tém—odrzekł wielki poeta—ale każde zbadanie mytu na ziemiach słowiańskich, będzie pożyteczniejsze nad wszelkie odkrycia z dziedziny lingwistyki, literatury, prawodawstwa i historyi politycznéj, gdyż ułatwi Słowianom poznanie najgłębszéj ich przeszłości, wskaże duchowe ich różnice od obcych plemion, a tém samém, da im poznać prawdziwe drogi na przyszłość.

Śmierć przerwała badania poety-historyozofa o Bulgaryi.

Przypomnieliśmy zdanie W. A. Maciejowskiego i Mickiewicza, aby wykazać tém lepiéj wielką wagę dzisiejszych odkryć, tyczących się świata bulgarskiego, świata, którego prawdziwe znaczenie wskazali obaj uczeni nasi w sposób najwybitniejszy.

W rzeczy saméj, aż do ich wystąpienia, wszyscy lingwiści i historycy literatur słowiańskich, jak sam Szafarzyk, ubolewali jedynie nad ubóstwem Bulgarów, nad ich językiem pokaleczonym, odartym z formuł gramatycznych, już przed tureckim podbojem; litowali się nad ich literaturą tak biédną, nie opartą na żadnéj tradycyi narodowéj. Bulgarzy—mówiono—wiedzą tyle tylko o przeszłości własnéj, ile się nauczyli od Rzymu i Bizancyum, albo z kronik kijowskich.

Nie możemy dziś jeszcze powiedzieć, o ile ważne odkrycia w Bulgaryi odpowiadają myślom Mickiewicza, o ile przyczynią się do wyświecenia zasady, położonéj przez W. A. Maciejowskiego; to jednak nie ulega wątpliwości, że oni pierwsi dali silne pobudki do nowych badań, formułując ważność historyi bulgarskiego narodu, szczególniéj Mickiewicz, który nauczył samychże Bulgarów, że mają uważać świadectwa cudzoziemców o swojéj przeszłości jako rzeczy zupełnie dodatkowe, a szukać powinni ducha narodu swego na własnéj tylko ziemi, w własnych tradycyach i mytach.

Zabytki odkryte przez Werkowicza, z jego wyjaśnieniami drukują się obecnie w języku bulgarskim i w języku francuzkim. Będzie obowiązkiem naszym zdać szczegółowo sprawę z téj publikacyi w swoim czasie. Dziś dajemy tylko kilka najstarożytniejszych podań; zawdzięczamy je nowéj pracy o Bulgaryi pana Alberta Dumont pod tytułem: *Bułkan i Adryatyk*. Krótkie te ustępy cechują silnie indywidualizm plemienia w jego mytycznych pojęciach. Pierwszy z nich opowiada małżeństwo Wulkany ze słońcem:

„Ziemia zstąpiła w głąb' jaskini i płacze, bo niema już zboża w swych składach, ani garstki siana dla bydła. Wkoło pusto i ciemno. Oddawna słońce nie oświeca już ziemi. Wodzowie ludów jęczą, nie wiedzą sami, jak wykarmią drużyny swoje. Umyślili wreszcie iść na koniec świata do króla królów i wezwać jego rady.

Wielki król przyjmuje ich godnie, wyprawia im ucztę wspaniałą. Wino płynie potokiem; wodzowie przepominają ludów swoich i głodu i twardéj zimy. Piękna Wulkana świeci urodą w pośród dziewic. Wodzowie pytają siebie wzajem, który z nich ją zaślubi? Piękna wybiera króla Brahira.

Inni wodzowie przypominają sobie wtedy, że głód trapi ciężko ich kraje: zalewają się łzami.

Tymczasem pomiędzy nich przybywa siostra słońca.

— Brat mój—rzecze—nie oświeca już ziemi, cały dzień siedzi w domu, nie wyjrzy z swéj ciasnéj izdebki. Ani matka, ani ja, nie możemy go rozerwać. Zaklina się, że nie spojrzy na pola, ni na krowy, jeśli nie ujrzy w domu swoim pięknéj Wulkany, którą spostrzegł raz z wysokości niebios i pokochał gorąco.

Wodzowie wszyscy przyrzekają, że oblubienica Brahira będzie małżonką słońca.

— Dziś wieczorem—rzecze posłannica—zastawcie jak zwykle stół do uczty; niechaj wino wszystkie napełni czasze. Gdy zasiądziecie w około stołu, gwiazdy zaśpiewają chór weselny; połączcie z nim pieśń waszą; uczcijcie piękność Wulkany i potęgę mojego brata. Wkrótce gwiazdy poruszą się z miejsc swoich, połączą się razem i w kształcie kolébki spłyną z wysokości niebiosów. Kiedy kolébka stanie nad stołem, niech piękna Wulkana położy się w niéj bez obawy. Kołyszcie ją długo, przyśpiewujcie pieśni godowe.

Nadeszła noc, królowie są u stołu, gwiazdy opiewają chwałę słońca. Kolebka połyska na wysokości niebios, kołysze się lekko w przestrzeni i pomału spływa na ziemię. Skoro Wulkana wstąpiła w nią cała drżąca, uniosła się w eteryczne przestrzenie.

Matka słońca wyszła sama doić krowy. Zażądała od podwładnych swoich, aby jéj znieśli, co mają najlepszego. Zastawiono stół przy ognisku. Słońce z matką i siostrą przyjmują piękną Wulkanę. Długo jedzą, lecz mówią mało. Wreszcie słońce tak wyrzecze do matki:—Droga matko, dziś wieczorem nie zostanę w twojéj komnacie, poprowadzę oblubienicę moją do wielkiéj sali: tam odtąd zamieszkam z nią razem.

W poranku uszczęśliwione słońce poszło spojrzéć na swoje trzody. Kiedy przebiega pola spotyka się z Brahirem. Szalony Brahir znieważa słońce! nie zna strasznéj jego potęgi. Ugodzon kamieniem pada i kona, klątwa jego rozlega się po górach.

Szczęśliwe dni płyną w domu słońca, wesele panuje na ziemi. Pola falują zielonym kłosem, na żyznych łąkach pasą się liczne trzody; a jednak Wulkana tęskni za domem rodzicielskim. Słońce widzi ją zapłakaną, lituje się jéj doli, powróci ją druchnom, powróci drużynie!

Gwiazdy tworzą promienistą kolebkę, Wulkana spływa z nieba do domu króla królów. Wkrótce małżonka słońca daje życie synowi; syn ten będzie sławnym bohatérem.

Ledwie zrodzony rwie się do wielkich czynów, dosiada konia, zbiéra młodą drużynę. Powiedzie ją w dalekie kraje, tam kędy płynie biały Dunaj, kędy mieszka lud dziki: domem jego czarna jaskinia, orężem jego kamień.

— Nie płaczcież wy—rzecze do matek—że was synowie opuszczają; nie płaczcie wy siostry za braćmi. Idziem pomiędzy dziki lud, nauczym go uprawiać rośliny, posiewać żyzne pola; kiedyś mężowie i niewiasty tego kraju błogosławić będą waszych synów i braci.“

Według pana Dumont utwór ten, mimo całéj niedokładności, jest niezaprzeczenie oryginalnym. Maluje cywilizacyą pasterskiego ludu odnoszącą się do czasów niepamiętnych.

„Mytologia słowiańska—dodaje krytyk—zaledwie że się tu pojawia, skrzywiona, pomięszana z podaniami odrębnego całkiem rodzaju: ani Serbowie ani Grecy nié mają nic podobnego.“

Niemniéj oryginalna jest pieśń o Orfeuszu. Bulgarzy z okolicy zwanéj Despoto-Glanina, sławią Orfena biegłego grajka, który zachwyca lud, łagodzi obyczaje barbarzyńców i doskonałością sztuki swojéj umié pokonać złowrogie duchy powietrzne. Tradycya nawet o Eurydyce znajduje się w tych pieśniach. Żona Orfeja zowie się Orfeniza. Grajek zdobywa ją mimo niezliczonych trudności, z których wychodzi zwycięzko, dzięki małéj fujarce (świerce). Traci Orfenizę, wynajduje ją znowu, walczy o nią z Samowillami, nakoniec w tryumfie unosi ją do nieba.

W jednéj z pieśni Orfen przedstawiony jest jako nauczyciel rodu ludzkiego.

„Orfen nie długo został w niebie, wyśpiewał tylko pieśń Bogu na podziękowanie, że go wybrał jako mistrza dla ludzi i zestąpił na ziemię. Poszedł prosto do kraju złowrogich wiedźm Judasek i począł grać na flecie, grać piosnkę czarodziejską i oczarował Judaski tak że jakby martwe popadały na ziemię. Ptaki téż gromadziły się wkoło niego, równie oczarowane siłą pieśni. Wonczasto podniósł jednę z Judasek i wypytywał ją o tajemnicę wszelkich sztuk; ona nie wiedząc sama co mówi odkryła mu wszystkie po kolei, tak że w dniu jednym wszystkich się wyuczył, gdyż Bóg mu dopomagał. Skoro ich się wyuczył odleciał trzymając świerkę w ręku i tak w ciągu jednego dnia obiegł szeroką ziemię. Gdziekolwiek ukazał się nauczał ludzi sztuk i wszyscy ich się wyuczyli i patrzyli na niego jak na Boga. Myśleli, że Bóg sam zestąpił na ziemię dla nauczania ludu.“

Orfen powraca do kraju Judasek, pojmuje z nich jednę w małżeństwo i zostaje wielkim królem ziemi.

„I rozesłał Judaski jedne w rozpadliny gór, drugie w głębiny wód, inne wśród fal powietrznych, gdzie do dziś dnia przebywają i zwodzą ludzi. Orfen opiewał ich kraj, miał wielką moc synów i córek, które ten kraj zaludniły. Żył całe lat tysiąc, poczém poszedł prosto do nieba, gdzie zapewne żyje po dziś dzień.“

Cykl dotyczący Orfeusza stał się głównym przedmiotem walki pomiędzy Słowianami i Grekami. Miejscowość, gdzie Werkowicz odkrył te pieśni, Despoto-Glanina, położona w Macedonii przyczyniła

jeszcze trudności. Spór pochodzi ztąd, iż Bulgarzy uważają Macedonią za kraj niemniej rodzimy dla siebie, jak prowincye między Bałkanem a Dunajem. Heleni oburzają się na takie, jak mówią, zachcianki barbarzyńskich Turanów. Pani Dora d'Istria gorąco wystąpiła w obronie Macedonii na rzecz heleńskiego plemienia. Nie mogli Grecy znaleźć lepszego rzecznika, któryby z większą powagą i sympatyczniejszym talentem podjął ich sprawę przed sądem Europy.

Dora d'Istria przypomina, że Bulgarzy nie są Aryami, ale Turanami, „cząstką plemienia fińskiego" (une fraction de la race finnoise). Niekiedy jednak zowie ich *Finno-Słowianami*, przyszedłszy bowiem z nad Donu Bulgarzy podbili jak wiadomo kilka pokoleń słowiańskich, które się tu schroniły parte ich naciskiem. Ściśle określa autorka rumuńska jeograficzne położenie Bulgarów w państwie tureckiém. „Nazwa Bulgarya — mówi ona — niéma jednakiego znaczenia dla wszystkich: Turcy nie znają jéj w podziałach administracyjnych kraju. W opinii ludów zachodnich Bulgarya oznacza kraj między Dunajem a Sawą od północy, a Bałkanem z południa. Przekroczywszy Bałkan, Bulgarzy rozleli się po Tracyi i Macedonii. Ale tak samo, jak żaden roztropny mąż stanu hiszpański nie rości praw do kolonij Iberyjskich w Gallii, ani nawzajem mąż stanu francuzki nie wdziera się do kolonii galskich na Iberyjskim półwyspie, tak też i ze strony Bulgarów byłoby istném szaleństwem posuwać swoje zachcianki za obręb szerokiego kraju zwanego powszechnie Bulgaryą; kraju do którego wpuścili niebacznie Tatarów, Turków i Wołochów, podczas gdy sami przerzucali awanturnicze drużyny za Bałkan w głąb krajów, do których inne chrześciańskie ludy mają odwieczne i niezaprzeczone prawa. Jeżeli słyszymy z podziwem, gdy Bulgarzy mówią o starożytném Bizancyum Helenów, jako o przyszłéj stolicy swojéj, niemniéj dziwić się wypada, kiedy chcą przeistoczyć Macedonią Filipa, Arystotelesa i Aleksandra w prowincye państwa fińsko-słowiańskiego. Podobna przesada kompromituje sprawę Bulgarów przed trybunałem Zachodu, który przyznając Słowianom to co im należy, nie przypuszcza zesłowiańszczenia całéj Europy ze szkodą narodów, które zasłużyły się znakomicie cywilizacyi świata."

Walka zawzięta, któréj tak żywy obraz daje nam pani Dora d'Istria, toczy się między Bulgarami a Grekami od czasów, kiedy pytania narodowości poruszone zostały w Europie. Publikacye Werkowicza lubo nie wyszły jeszcze, rozżarzyły już płomień na wielką skalę, jak to widoczna w dziennikarstwie ateńskiém i bulgarskiém. Co do nas, ważny ten spór zostawiamy na boku; zajmuje nas głównie charakter cywilizacyi bulgarskiéj, jak się objawia w ich pieśniach i podaniach mytycznych.

Dora d'Istria szerokie otwiéra nam pole do badań w tym rodzaju. Zobaczmy jak określa ogólnie żywioł bulgarski objawiający się w pieśniach.

„Mimo, że w pieśniach Bulgarów widzimy rozmaite wpływy, jakie oddziaływały na ten lud od czasu osiedlenia jego pod Bałkanem, spostrzegamy tu jednak silne odbicie ducha finno-mongolskiego. To plemię więcéj nierównie od Aryów europejskich żyło w ściśléj jedności z istotami niższego rzędu. Ptak, który zna wszystkie powietrzne szlaki, biegun wiatronogi, co prześciga ptaka w locie, dziki zwierz, co pomyka nocą wśród szuwarów: wszystko to odpiętnowało się wydatnie w duszy koczownika błądzącego po stepach. Zwierz nie budzi w nim pogardy, ale raczéj współczucie połączone niekiedy z trwogą.“

Wiadomo że w pieśniach i podaniach ludów aryjskich ze skłonnościami rolniczemi, zwierzęta i ptaki odgrywają także wielką rolę; wykazał to obszernie nasz znakomity etnograf K. Wł. Wójcicki w swoich *Zarysach Domowych*, określając entnografią kraju naszego. Ale u Bulgarów zwierzęta pojawiają się w osobnym, potwornym charakterze. Tak samo Bulgarzy przerobili na swój sposób mytyczne podania Serbów; Willa naprzykład bulgarska okazuje się zawsze w groźnéj i okrutnéj postaci.

W jednéj pieśni widzimy Samowillę jak buduje miasto w obłokach: nic potworniejszego nad ten obraz. Miejsce belek zastępują kadłuby wyborowych bohatérów. Inna pieśń ukazuje zbudowaną basztę w powietrzu. Samowilla skrzętna jak gospodyni bulgarska siedzi pochylona nad krosnami. Tka sukno z ciał czarnookich małżonek, płótno z ciał młodych dziewic o białém licu. Na pokrycie dachu swéj baszty żąda siedmdziesięciorga małych dziatek. Przestraszeni starcy z Praskowa wchodzą w układy z okrutną budowniczką. Oddają jéj całą górę porosłą bujnemi świerkami. Samowilla wdziera się na wierzchołek. Przez trzy dni zalewa ziemię deszczem, przez trzy dni dmucha i pod tchnieniem jéj piersi walą się z korzeniem jodły i sosny. I pokryła niemi olbrzymią basztę swoję.

Inna znów pieśń uwydatnia walkę chrześciaństwa z pogaństwem. Jan Popo ufny w własną siłę urąga zarówno starym i nowym bogom. Idzie orać zagon w dzień wielkanocny. Spotyka Samowillę. Zdumiona tak zuchwałym pomysłem radzi mu, aby wrócił do domu. Popo nie słucha rady.

— Idź precz Samowillo!—rzecze zniecierpliwiony—bo inaczéj zsiądę z wiatronogiego bieguna, wezmę cię za złocistą kosę, przytroczę do siodła i uwiozę jak brankę.

Samowilla wpada w gniéw, rzuca się na bohatéra, chce mu wyssać czarne źrenice. Popo czyni jak zapowiedział, porywa Samowillę, zanosi do domu. Zdaleka woła na matkę:

— Wyjdź z chaty stara matko, prowadzę ci małżonkę moją Samowillę.

Zgoda nie długo trwała: Samowilla ucieka z domu, unosi z sobą ochrzczonego zaledwie syna.

Niezliczone podania krążą o tych złowrogich istotach sprzysiężonych na zgubę ludzką. Jedna z nich Georgina stacza walkę z bohatérem Dimo; powala go skrzydłami, wybija mu zęby, wyżéra oczy. Dimo okrutnie zbity gra na fujarce tak cudnie, że Samowille oczarowane pieśnią oddają mu w małżeństwo Georginę.

Niemniéj ważną rolę jak Samowilla odgrywają w poezyi bulgarskiéj trójgłowe smoki. Niejedna pieśń opiewa straszne ich zapasy między sobą. Dwaj oto smoki biją się na wierzchołku góry, a dwie rzeki krwi czarnéj spływają z niéj w dolinę. Okrutniéj jeszcze obchodzą się z ludźmi. Wśród burzy piorunów i błyskawic spadają na wieś, porywają matkom najdzielniejszych synów. Tak oto dwaj smoki po walce, która trwała całe trzy dni i trzy noce unoszą sierotę Prodana. W głębi jeziora przebywa smok wiecznie zgłodniały; codzień pożera człowieka; pożarł już wszystkich mężów, przyszła koléj na dziewy: między niemi pożarł i córę królewską. Widzimy nawet i smoków zakochanych. Jak młodzian bulgarski bez wstrętu poślubia Samowillę, tak znów dziewa bulgarska nie wzdryga się na związki ze smokiem. Jedna pieśń opiewa piękną Hoinę przez lat dwanaście zakochaną w okrutnym potworze.

Zwykle przedstawiają Bulgarów, jako uległych Turkom, nietylko z konieczności, ale nawet i w duchu. Uderza w rzeczy saméj ta uległość, szczególniéj gdy ich postawimy obok Bośniaków, Serbów i Albańczyków. Niektórzy badacze, a między nimi Viquesnel i Dora d' Istria stawiają pytanie, ażali jedność turańskiego pochodzenia Bulgarów z Turkami nie wpływa na złagodzenie ich wzajemnych stosunków. Viquesnel w swojém dziele: *Coup d'oeil sur les Slaves*, twierdzi stanowczo, że tak jest. A jednak są pomiędzy pieśniami i takie, które pokazują zaciętą nienawiść podbitych ku zaborcom. Przytaczamy z nich jednę:

„O stary Joanie z Bardyanu! świat mówi, że masz siła ludzi. —Mam ich paszo, mam ich z łaski Boga. Dwustu kosarzy siecze moje siano, reszta czeladki w domu.

„O stary Joanie z Bardyanu! lud mówi, że masz siła wołów. —Mam ich paszo, dość z łaski Boga: sto wołów orze pola moje, resztę sprzedaję na rzeź.

„O stary Joanie z Bardyanu! ludzie mówią, że masz siła koni? —Mam ich dość paszo z łaski Boga: trzydzieści z nich chodzi w uprzęży, źrebców tabunowych nie policzę.

„O stary Joanie z Bardyanu! ludzie mówią, że masz mnogie trzody.—Mam je paszo, mam z łaski Boga: pięćset owiec doję na mléko, jałowizny nigdy nie liczyłem.

„O stary Joanie z Bardyanu! mówią, że masz siła pieniędzy. —Mam ich paszo dostatkiem z łaski Boga: samego złota pięćset worów, srebra nie rachowałem nawet.

„O stary Joanie z Bardyanu! zjadaj ty twoje trzody, lecz podzielmy się złotem.—Proś o nie w imię Boga, a posypnę niém szczo-

drze. Jeśli zaś chcesz je wydrzeć przemocą, mam sto szablic zawieszonych na ścianie, trzysta karabinów gotowych do użytku!“

Wszystkież te pieśni takie straszne? nigdzież nie dopatrzyć śladów uczucia ludzkiego? Tak nie jest; znajdujemy niekiedy rzewniejszą piosenkę, liczba takich jednakże bardzo mała. Dajemy z nich jednę na próbę.

„Masz-li braci, masz-li siostry? Masz-li ojca i matkę? Mam ja ojca i matkę, mam ja siostrę i brata. A gdzie brat twój? może Turek uprowadził go do niewoli? Dragana smutno odpowie na to: kiedy Turcy naszli tę ziemię, poturczyli młodych Bulgarów. Mój brat był też na wojnie, już mija lat trzydzieści, jak nie widziałam brata! Ej Dragano niewolnico, poznasz-li brata jeśli go zobaczysz? Gdybym go zobaczyła, poznałabym odrazu po krzepkiéj piersi i głowie poranionéj. Wtedy Janczar zagadnie Draganę: co ma brat twój na głowie? Mój brat ma na głowie szramę od cięcia szabli. Janczar zapyta znowu: a co brat twój ma na krzepkiéj piersi? Mój brat ma głęboką bliznę, ugodzon strzałą w krwawym boju. Tu Janczar odkrywa pierś szeroką, ukazuje szramę na głowie i rzecze smutno do Dragany: powstań siostro, idźmy do domu, idźmy do domu powitać starą matkę!“

Właściwych jednak pieśni miłosnych tak powszechnych u Serbów i innych słowiańskich plemion, nie znaleźć wcale u ludu bulgarskiego. Brak mu jak się zdaje poczucia piękności estetycznéj, poczucia tak wysoko rozwiniętego u sąsiednich Hellenów. Bulgar, pozytywista w najwyższym stopniu, żeniąc się, ma przedewszystkiém na celu pożytek materyalny. Matki same utwierdzają synów w takiém usposobieniu. W jednéj pieśni widzimy jak matka radzi synowi, aby nad dziewczynę o *różaném licu* przełożył wdowę z dwanaściorgiem dzieci, *jeżeli ma znaczny majątek*. Młode dziewczęta podobnież rozumują. „Zgorzéj, zgorzéj chłopoze—śpiewa dziewczyna—zgorzéj, zgorzéj cały, obróć się w marny popiół! Niech matka nie wyda mnie za ciebie, boś ubogi, boś ubogi i nie masz swego domu!“

Niebezpieczeństwo z tak pozytywnego kierunku nie mniejsze jak z egzaltacyi wprost przeciwnéj. Ludowe pieśni bulgarskie świadczą o chciwości młodych dziewcząt, które za złoto gotowe sprzedać zawsze swoje wdzięki. Mimo to, życie małżonków upływa spokojnie i bez zgorszenia przy domowém ognisku.

Mówiąc o żywiole narodowości bulgarskiéj, jaki się objawia w mytach i pieśniach, trudno pominąć wpływu tradycyi serbskich. Marko Kralewicz, mityczny bohatér Serbów, równie upowszechniony i między Bulgarami, ci jednak o tyle przemienili postać królewicza, o ile przemienili serbską Willę na marę własnéj fantazyi.

Rozmiary naszego sprawozdania nie pozwalają nam zatrzymywać się dłużéj pomiędzy Bulgarami. To cośmy powiedzieli zdaje nam się dostatecznem, aby czytelnik wyrobił sobie sam zdanie o indywidualizmie tego narodu. Czekamy z niecierpliwością zapowie-

dzianéj publikacyi Werkowicza i sądów o niéj specyalnéj krytyki. Kończymy rzecz kilku uwagami nad stanem instrukcyi ludu bulgarskiego, t. j. nad zagadnieniem najważniejszém w historyi każdego społeczeństwa.

Zostawiwszy na stronie Turków, którzy dotąd nie trudnili się wcale instrukcyą podbitych ludów chrześciańskich, cztery narody wpływały głównie na rozwój oświaty u Bulgarów: Grecy, Rumuni, a w ostatnich czasach Serbowie i Madyary. Z tych wpływów najważniejszy grecki ż powodu wielkiéj liczby Greków, osiadłych po dwóch stronach Bałkanu. Postęp zatém oświaty u Greków może dać miarę postępu jéj między Bulgarami, jeśli uwzględnimy wielką różnicę w pochodzeniu i tradycyach.

Jak wiadomo, gminy chrześcian pod panowaniem Turków używają wielkich praw autonomicznych. „Wszyscy rajasy, t. j. nie muzułmanie—mówi pan Dumont—podzieleni są na gminy według religii. Każda gmina używa zupełnego samorządu; w sprawach administracyi wewnętrznéj całkiem jest niepodległą. Rada gminna reprezentuje ją wobec Porty. Demokracya w najszerszém znaczeniu wyrazu stanowi zasadnicze prawo tychże gmin; liczba zatém szkół, ich urządzenie, zależy wyłącznie od gminy.“ O postępie instrukcyi ludowéj między Grekami sądzić można z przysłowia: wieś grecka bez didaskala (nauczyciela) jest tak wielką osobliwością, jak dolina bez gór. Bulgarzy w tym względzie wiele zawdzięczają Grekom, przeciw którym dziś tak zaciętą podjęli walkę.

Zważmy, naprzykład, co mówi p. Dumont o instrukcyi Bulgarów w prowincyi Philipopoli, która liczy do stu tysięcy ludności męzkiéj: „Otwarcie szkoły w Philipopoli, roku 1850 stanowi ważny i nadzwyczaj pomyślny wypadek. Szkoła ta utworzyła już przeszło czterdziestu nauczycieli, którzy poświęcali się wyłącznie nauczaniu. Dziś prowincya ta liczy dwadzieścia pięć szkół przygotowawczych, sto dziewięćdziesiąt ośm elementarnych szkółek, z tych ośmnaście dla dziewcząt. Bulgarzy ofiarują na to rocznie około 133,000 franków. W roku 1866 utrzymywali oni pięciu uczniów w Paryżu, czterech w Wiedniu, siedmiu w Rossyi, dwóch w Anglii i czterdziestu w Konstantynopolu.“

Szkoły bulgarskie są dziś w kwitnącym stanie. W samém Philipopoli zbudowano obszerne muzeum, otwarte roku 1866; w Tatar-Bazardzik przeznaczono niemniéj na szkoły okazały budynek. Ogólnie rzec można, że trudno znaleźć wioskę bulgarską, któraby nie miała szkółki, utrzymywanéj z dobrowolnych ofiar mieszkańców.

W téj chwili oto przychodzą nam nowe materyały, wyjaśniające poszukiwania Werkowicza. Dozon, konsul francuzki z Bośnii, w raportach ogłoszonych w dzienniku urzędowym i w *Annales des*

Missions, daje ciekawe szczegóły, rozjaśniające przedmiot. Dla przyszłych badaczy ważném jest jego spostrzeżenie, iż Werkowicz rozpoczął swoje poszukiwania w celu już najprzód obmyślanym; postanowił bowiem wynaleźć dowody, jakoby Słowianie byli pierwotnemi mieszkańcami Tracyi, a prawdziwemi twórcami cywilizacyi heleńskiéj, cywilizacyi, któréj mytem był słowiański Orfeusz!!

Należy, jak widać, pan Werkowicz do téj licznéj plejady słowianofilów, którzy w usta Adama i Ewy kładli słowiańskie słowo, a Babilon mienili babiém łonem Semiramidy. Szafarzyk w przekładzie rozprawy Surowieckiego: *O pochodzeniu Słowian*, utrzymuje, że nasz uczony powstrzymał badaczy w zbyt gorącym ferworze; pokazuje się jednak, że niedostatecznie ich powstrzymał. Bądź co bądź, ludzie takiego zapału, jak Werkowicz, są także pożyteczni; niekiedy wprawdzie posuwają się za daleko w wywodach, ale rzucając częstokroć zbyt śmiałe hipotezy, poruszają ważne pytania, z których poważna krytyka nieraz korzystała, albo korzystać będzie.

Pan Dozon rozpatrywał pilnie foliały Werkowicza, obejmujące do dziewięćdziesięciu tysięcy wierszy. Aby tém pewniéj przekonać się o prawdziwości dowodów, zawiązał stosunki z ludem bulgarskim. Podania i pieśni, jakie zasłyszał z ust wieśniaków, utwierdziły go w przekonaniu, że owe zbiory Werkowicza, mają charakter autentyczny.

Według tradycyi ludowéj—mówi Dozon—Orfeu był niegdyś królem Bulgarów; onto poprowadził ich do kraju, który obecnie zajmują. Przy dźwięku zaklętéj jego fletni, przebyli bezpiecznie wody Euxynu. Pod dowództwem Orfena, Bulgarzy opanowali kraje przybałkańskie i ujarzmili tubylców. Kiedy Orfeu uczuł się blizkim skonu, błagał Boga, aby nie przysyłał mu bogini śmierci Mory, którąby mu ucięła głowę, ale raczéj boginię Żywą. Pan wysłuchał prośby. Żywa napoiła konającego zielem żywota, a on uleciał w niebo i tam do dziś dnia służy Bogu.

Oprócz podań o Orfeuie, znalazł p. Dozon w licznych pieśniach bulgarskich imię Aleksandra Macedońskiego. Oto jedna z nich opiewająca śmierć sławnego konia Bucefala.

„Dano cudownego konia—konia cudownego z byczą głową ojcu młodego Aleksandra. Wielka moc królów zgromadziła się w Białym Grodzie, aby zobaczyć i dosiąść tego konia. Wszyscy usiłowali dosiąść go, ale żaden mu nie podołał.

Młody Aleksander, kiedy wyrosł, jeździł na owym koniu. Przebiegał na nim dalekie krańce świata. Burzył potężne państwa, dotarł do Indyj. Król Indów zwołał silny zastęp. Aleksander zapędził się na koniu swoim w pośród ciżby zbrojnych Indyan. Zniósł całe wojsko, naścinał głów bez liku. Wonczas koń jego ciężko ugodzony, powalił się na ziemię, ale powstał w lot, i ocalił Aleksandra. Pewien, że pan jego bezpieczny, powalił się znowu i skonał.

Wspomnienie Aleksandra Wielkiego mąż być dowodem, że muzułmańscy Bulgarzy z Rhodopu, u których właśnie przechowały się owe podania, pochodzą wprost od Macedończyków? Imię bohatéra macedońskiego, przebiegło całą Azyą i Europę: znajdujemy je nawet na ostatecznych krańcach Zachodu w pieśniach trubadurów hiszpańskich. Kroniki polskie pełne téż opowieści o zapasach naszych z tym bohaterem i z ojcem jego Filipem. Sam *Bucefał*, tak znany u nas, nie świadczyż wymownie, że i pan jego musiał żyć kiedyś w tradycyach naszych. Co zaś do Orfeusza, nie przypominaż go ów olbrzym Orfeusz, o którym mówią nasze klechdy? Wprawdzie nie czarował on dźwiękiem fletni, ale podejmował Herkulesowe prace, przenosił góry, a tak miał tkliwe serce, że kiedy zapłakał nad zmarłą matką, łzy jego napełniły ogromną przepaść i utworzyły słone morze.

W naszych podaniach o Aleksandrze i Orfeuszu, czyżby nowy jaki Werkowicz nie znalazł dosyć danych na udowodnienie, że dziadowie nasi dali początek cywilizacyi greckiéj? To, co mówimy, świadczy tylko, że się lękamy, ażali w odkrytych tradycyach archeologa bulgarskiego, nie znajdziemy zbyt wiele naciągania. Nie przesądzajmy jednak rzeczy, ale czekajmy na zapowiedzianą publikacyą.

Pomiędzy dziełami uwieńczonemi przez Akademią francuzką w końcu zeszłego roku, wspomnieliśmy pracę przez Karola Aubertin pod tytułem: *L'esprit public au dix huitième siècle.* Dziś powiemy obszerniéj nieco o téj znakomitéj publikacyi. Ocenił ją wraz z Akademią i ogół czytelników: pierwsze wydanie rozbiegło się w mgnieniu oka, drugie wyszło co tylko z pod prassy. Uczony autor, professor historyi w wyższéj szkole normalnéj, wziął sobie za zadanie zbadać wiek XVIII z nowéj zupełnie strony; postanowił go ukazać w takiém świetle, w jakiém przedstawiał się współczesnym z téj właśnie warstwy społeczeństwa, która po raz pierwszy występowała wówczas do życia publicznego i z massy biernéj przeistaczała się w zbiór myślących i działających jednostek. Za materyał do dzieła swego użył autor pamiętników i korrespondencyj współczesnych od roku 1715 do 1789.

Nad żadnym wiekiem nie napisano tylu foliałów, jak nad owym tak ważnym wiekiem ośmnastym, który dokonał największego w nowożytnych dziejach przewrotu, który ideę demokracyi, oderwaną dotąd, wprowadził w życie całego społeczeństwa i uczynił podwaliną przyszłego porządku rzeczy: słowem, który, według wyrażenia poety, wydał to cudowne dziecko, co *w kolébce urwało łeb hydrze, a młodzieńcem zdusić wnet miało centaury!* Tyle, powtarzamy, napisano już o tym wieku, że zdawało się niepodobieństwem, aby coś więcéj powiedzieć o nim było można. Pan Aubertin

odkrył jednak nową kopalnią pełną drogocennego kruszcu; w tém leży wielka jego zasługa, nagrodzona przez Akademią, oceniona przez ogół czytający.

Wielu krytyków zajmowało się szczegółowo literaturą XVIII wieku, wielu innych badało jego filozofią; liczni historycy snuli wątek dziejowych zdarzeń, jakie zaszły w tych czasach: inni postawili na piedestałach wielkich koryfeuszów i wkoło tych słońc ugrupowali całe plejady planet. A jednak mimo tylu prac, wiek XVIII-ty okazywał jeszcze nie jednę ciemną stronę. Wiadomo było, jakie drogi zuchwali myśliciele wytykali spółczesnym, lecz nie było wiadomo, w jaki sposób owi współcześni prostaczkowie puścili się pasmem tych dróg stromych i nieudeptanych; nieznany był ten proces wewnętrzny, jaki przeistaczał powoli ich ducha i usposabiał ich do wystąpienia w szranki, skoro trąba uderzy hasło. Pan Aubertin zapełnił próżnią, wydobywając na jaw cały szereg notat listów i zapisków, kreślonych poprostu, bez retorycznych ozdób, ręką nieprzywykłą do pióra.

Wiek XVII-ty, słynny wiek Ludwika XIV, wydał wielką moc pamiętników; lecz te kreślili wielcy panowie dworscy, albo członkowie parlamentu, gdyż ci wyłącznie brali udział w zarządzie państwa: mieszczaństwo siedziało spokojnie za kramem, lub u warsztatu, nie mięszając się wcale do spraw publicznych. Wiek XVIII dopiero wyrwał ich umysł za obręb tego koła: roztrzeźwił ich niejako. Odtąd widzimy ich, jak skwapliwie chwytają za pióro, jak dzień po dniu, godzina po godzinie zapisują wszystko, cokolwiek przesunie się pod ich okiem, jak kreślą odebrane wrażenia. „Polem ich obserwacyi—mówi p. Aubertin—ulica, plac targowy, kościół, przedsionek trybunału, kantor kupca, gabinet adwokata, Sorbona, słowem bruk paryzki." Nie szukać nam w tych prostych zapiskach wyższych poglądów politycznych, nie dopatrzéć w nich śladu owych ukrytych sprężyn, co poruszały machinę rządową. Widzimy w nich tylko zewnętrzne odbicie faktów, poznajemy, w jaki sposób patrzał na rzeczy ogół w chwili, kiedy zmysł publiczny, zbudzony w massach, wstrząsnął ich wyobrażenie, rozniecił iskrę w każdém sercu.

Do tychto serc prostych kołacze p. Aubertin, pełen wiary, że w nich dopuka się sumienia narodowego; takichto świadków powołuje on przed sąd przyszłych pokoleń—świadków tém wiarogodniejszych, że nie przywykli jeszcze srermierzyć słowem i rzucać go na wiatr bezmyślnie dla igraszki! Dziennikarstwo nie nauczyło jeszcze téj sztuki mieszczan paryzkich XVIII-go wieku!

Takie to zapiski i listy ogłasza p. Aubertin, dopełniając je własnemi uwagami. Długi szereg tych cennych dokumentów, rozpoczyna dziennikiem niejakiego Buvat, nieznanego kopisty z Biblioteki królewskiéj, który za 500 fr. rocznéj płacy, ślęczał dnie całe nad przepisywaniem starych foliałów w wielkiéj sali nieopalanéj zimą, gdzie, jak mówi, spadały rzędem od belek ogromne sople lodu, istne

lampiony! W owéjto zmrożonéj atmosferze, przyszła mu gwałtowna chęć spisywania wypadków publicznych. Biédny autor oddał swój pamiętnik kardynałowi Fleury, spodziewając się słusznie wynagrodzenia. Kardynał odłożył go *ad acta*, sądząc, jak tylu innych, że aby kreślić historyą swoich czasów, potrzeba być czémś więcéj, niż ubogim, nieznanym kopistą.

Po dzienniku Buvata, następuje mnóstwo innych zapisków; przedstawiają one razem nieprzerwany ciąg zdarzeń. Autor z wielką zręcznością umié zestawić i zczepić pojedyńcze ogniwa tego łańcucha, jedną stroną sięgającego czasów rejencyi księcia Orleanu, drugą początków wielkiéj rewolucyi. Całość stanowi ważne dopełnienie historyi XVIII-go wieku, jaką nam przekazali filozofowie, mężowie stanu i literaci.

Pan Aubertin wykazuje dowodami, że wbrew ogólnym sądom, wpływ filozofów nie zaraz oddziałał na masy. W pierwszych latach XVIII wieku, literaci i filozofowie nie używali wziętości tak powszechnéj, jaką zdobyli późniéj. Woltera zwał pogardliwie Saint Simon „rodzajem osoby z pewnego świata, *une éspèce de personnage dans un certain monde.*" Zaczém duch filozofów porwał umysły, wprzód ogarnął je duch krytyki i opozycyi. Wpływ ten pochodził od członków parlamentu i Jansenistów: onito byli dyrektorami i heroldami opinii publicznej. Pan Aubertin kreśli żywy obraz walk parlamentu z dworem, walk, które poruszyły do gruntu lud paryzki. Ulice miasta pełne burzliwéj gawiedzi, przypominały niekiedy starożytne forum. Zatargi powtarzały się bez ustanku zwłaszcza pomiędzy rokiem 1728 a 1733; już za Ludwika XV rozdrażnienie przeszło niejako w stan chroniczny. Razu jednego— mówi autor—parlament prześladowany przez dwór, wsparty siłą opinii publicznéj, postanowił zbiorową dymisyą. Dziewięć izb zgromadzonych: trzystu ośmiu członków podpisało, z wyjątkiem kilku imion niższego sądownictwa, słowem cała palestra, porwana silnym prądem, poszła w ślad parlamentu. „Niechno tylko ktoś spokojniejszy otworzył usta, gorętsi głuszyli go natychmiast. Wolno panu wyłączyć się i shańbić—krzyczano na gwałt—rób jak chcesz, ale żaden z nas nie poda ci bratniéj ręki!" I oto członkowie opuścili razem siedm sal, wyszli wszyscy, jak jeden. Dostojni mężowie postępowali parami z okiem spuszczoném w ziemię wśród niezliczonych tłumów, zalegających przedsionki pałacu. Publiczność, patrząc na nich, wołała na głos: „Oto prawdziwi Rzymianie, *patres patriae*"! Ktokolwiek widział ten pochód, musi przyznać, że był prawdziwie uroczysty i przejmujący; oklaski rozbiegły się po sali, wołano: „Niech żyje parlament!"

Pan Aubertin wziął ten obraz z pamiętnika naocznego świadka, Barbiera. Tenże kronikarz opisuje zacięte spory Jansenistów i potężną ich propagandę. „Cały Paryż—mówi on—mężczyźni, kobiéty, dzieci, gardłują za ich doktryną, lubo nie wiedzą, o co idzie;

wszyscy opierają się, wrzeszczą, jakby opętani przez dyabła. Nieświadome rzeczy kobieciny, sługi nawet, gotowe dać się rozsiekać w drobne części.“

Barbier trwoży się na widok téj wzrastającéj opozycyi, a ilekroć widzi na ulicy zakłócony porządek, powraca do domu niespokojny. „Nie daj Boże—zapisuje w dzienniku pod takim wpływem—nie daj Boże, aby lud miał się kiedyś rozhukać. Niełatwo sprowadzić go do sfory: straszny zaprawdę motłoch paryzki, gdy sobie nabije czémciś głowę!!“

Roztropny ten mieszczanin pojmował wybornie stan rzeczy: dopatrzył on z daleka wzbierającą chmurę, nim sypnęła gradem i piorunami!

Pan Aubertin daje z kolei niemnéj ciekawy pamiętnik księgarza Hardy, dociągnięty do początków wielkiego przewrotu. Księgarz Hardy, to prawdziwie typowa postać. Zagorzały Jansenista pozostał wierny tradycyom parlamentu. Widział z oburzeniem jak wpływ nowych doktryn filozoficznych zaciera pomału w umysłach wpływ mistrzów, których czcił i kochał za młodu. Filozofowie byli w jego oczach „koryfeuszami bezbożności.“ W opiniach politycznych, Hardy był szczerym rojalistą. Nie cierpiał ministrów lecz szanował tron i królewską osobę. Rad jednak poglądał na zacięty opór parlamentu, pragnął reform, widział w nich jakby zbawczą kotwicę.

Hardy, z radością patrzał na pierwsze dnie rewolucyi, przyklasnął im gorąco. Byłto co się zowie człowiek ośmdziesiątego dziewiątego roku. Wzięcie Bastylii bynajmniéj go nie zatrwożyło: podał zwycięzcom bratnią rękę. Widział Paryż upojony szałem radości, gdy się rozległa wieść o tém „cudownem zwycięztwie.“ Wieczorem zapalił w oknach rzęsistą illuminacyę... Drżał tylko na myśl, czy Wersal nie uderzy podstępnie na Paryż; ta bojaźń patryotyczna zganiała mu sen z powiek. Dnia jednego posłyszał z wielką trwogą, że Wersal, aby pozbyć się burzliwego Paryża, postanowił puścić go z dymem. „Miasto uwiadomione o tym haniebnym zamiarze jęło na gwałt zatykać okna piwnic; zaczęto już bowiem rzucać w nie palne materyały!“

Pamiętnik Hardego zawiera mnóstwo najciekawszych szczegółów z téj epoki. Opowiada, naprzykład: jak wpośród wzburzonych ulic, pełnych zbrojnego ludu, przeciągały tłumne procesye z chorągwiami. Hardy obliczył wszystkie: żadna nie uszła jego bacznego oka. Roje pielgrzymów niosąc pobożne wota zdążały do kościoła ś-éj Genowefy pomiędzy dwoma szeregami gwardzistów narodowych. Jedne szły z Belleville, drugie od przedmieścia ś-go Antoniego, inne z dalszych dzielnic Paryża: niosły ciasta i kwiaty. Każdy batalion nowéj milicyi niósł chorągiew do poświęcenia. Bohatérowie bastylii toczyli w wielkim tryumfie arcydzieło sztuki stolarskiéj, które wyobrażało wielką twierdzę; zdobyte sztandary powiewały na basztach.

Wszyscy przepominali wzajemnych nienawiści, nadzieja ożywiała serca. „Księża, mnichy, robotnicy, żołnierze, obywatele i obywatelki, wszystko to tłumnie wdzierało się na stromą górę.

Rysy te skreślone ręką naocznego świadka, odkrywają nowy całkiem widnokrąg badaczom téj wielkiéj epoki; rzucają nowe światło na umysłowy stan ludu w roku 1789. Ale dziennik urywa się nagle w dniu 14 października. Co się stało z Hardym? nikt nie wié. Może umarł, może oniemiał z boleści, patrząc na straszną powódź krwi, w któréj utonęły piękne jego nadzieje! To właśnie marzenie czyni go témbardziéj typową postacią, żywém uosobieniem tego mieszczaństwa, które przygotowało rewolucyą, lecz nie umiało jéj prowadzić, i przerażone własném dziełem wypuściło z rąk wodze a dozwoliło podjąć je zagorzałym reformatorom.

Pan Aubertin wielką położył zasługę: wydobył on z ukrycia te pojedyncze rysy, zestawił je w jednę całość i utworzył z nich pełen życia obraz, malujący XVIII wiek z nowéj zupełnie strony.

Obok skromnych zapisków mieszczan paryzkich widzimy w tym zbiorze i listy wysoko położonych osób, jak dwaj kardynałowie Dubois i Bernis; znajdujemy tu nawet kilka listów Maryi-Teresy do Maryi-Antoniny, nie zamieszczonych w *Korrespondencyi cesarzowéj*, o któréj mówiliśmy w swoim czasie.

Listy księdza Dubois, przyszłego kardynała i ministra, pisane do rejenta księcia Orleanu, pokazują nam w jaki sposób przed stupięćdziesięciu laty przebiegli dyplomaci wywiązywali się z poleconych im missyi. Książe, wkrótce po objęciu rejencyi, aby ugruntować tém lepiéj swoję władzę, wyprawia poplecznika swego do Londynu w roku 1716. Idzie mu o zjednanie sobie króla Jerzego i pierwszego ministra Stanhop. Nikt zręczniéj nie poprowadzi układów jak Dubois, gotów w razie potrzeby przyjąć na siebie całą odpowiedzialność, nie kompromitując bynajmniéj rządu.

Ciekawa ta odyssea, pełna przygód i rysów fantastycznych, wydaje nam się dziś niemniéj bajeczną, jak wędrówka Ulissesa po morzach, a jednak własnoręczne listy kardynała świadczą, że nie jest pustym wymysłem. Dubois opuszcza Paryż w najgłębszéj tajemnicy; zamienia szaty z wiernym sługą: obaj przybierają obce nazwiska. W Londynie równie tajemniczo odwiedza posła francuzkiego, ukrywa się w jego stajniach, jako amator koni. Odwiedza potém pierwszego ministra lorda Stanhop. Udaje przed nim chorego; przejeżdża niby to przez Londyn do jakichś wód uzdrawiających. Kiedy zręcznemi pochlebstwy uchwycił zimnego Anglika za serce, a raczéj za miłość własną, wyjawia mu nazwisko swoje.

Ofiaruje wtedy 600,000 funtów z warunkiem, że Stanhop popierać będzie sprawę rejenta. Minister odmawia oburzony. Dubois nie zraża się tém wcale: pisze do księcia, że skoro złotem nie można nic dokonać, należy utopić w bordeaux i w szampanie sumienie ministrów angielskich.

Niedosyć jeszcze na tém, Dubois działa przez kobiéty: uderza w najsłabszą ich stronę. Widzimy z listów, jak sprowadza z Paryża przepyszne suknie; błękitne dla blondynek, dla brunetek przetykane złotem i purpurą. Aby sztywne angielki widziały jak użyć tych strojów, domaga się z Paryża wielkiéj lalki przybranéj od stóp do głów z całym szykiem paryzkim.

Drobnemi środkami doszedł Dubois do wielkich rezultatów: ugruntował rejencyą. Nie przekupił on lorda Stanhop, ale złowił go w matnią... Korzystając z przysłowia: *in vino veritas*, wyciągał go zręcznie na słowa, przez co stał się panem sytuacyi. Spostrzegł to wszystko Stanhop, ale niestety po niewczasie. „Przyjacielu —mówił—tyś mnie doprawdy oczarował!“ Dubois powtarza te słowa księciu, nalegając usilnie aby palił wszystkie jego listy. Rejent nie spalił ich jak widać, ale skrył tak głęboko, że przez lat sto pięćdziesiąt żaden z badaczów (a tylu ich było) nie zdołał ich wynaléźć.

Korrespondencya kardynała Bernis z Choiseulem nadzwyczaj téż ciekawa. Czytając te listy z czasów wojny siedmioletniéj, gdyby nie data, możnaby niekiedy sądzić, że pisane przed trzema laty, że przez omyłkę tylko nakreślono Rossbach zamiast Sedanu.

Z rozdartém sercem kardynał patrzy na nieszczęścia Francyi; klęska pod Rossbach przepełnia go niewymowną goryczą. W roku 1757 pisze rozpaczliwie do Choiseula, że Francya nieprzygotowana do wojny; że niéma ani generałów, ani żołnierzy, ani żywności, ani amunicyi, a co gorsza, nie domyśla się nawet tego braku! Francuzi gardzą nieprzyjacielem, pewni, że go pokonają w piérwszéj bitwie! Dowódzcy obiecują zwycięztwo!

Z listów kardynała widzimy, że dwór głośno domagał się wojny; idee rewolucyjne zagrażały: potrzeba było wielkim tryumfem zatrzymać państwo staczające się w przepaść i zagłuszyć krzyki niechętnych. Rzucono się zatém w awanturę, którą Francya drogo przypłaciła.

„Nie mamy nawet dobréj karty Wogezów!—dodaje Bernis.— Należałoby do gruntu przemienić taktykę wojskową. Gdzie znaleźć ludzi? gdzie znaleźć człowieka, który powróci nam dawną energią, wydźwignie kraj z odmętu? Potrzebujemy pana! *il faut un maitre ici!*“

I czémże są ludzkie przewidywania? Jedna chwila strąca narody w przepaść, jedna podnosi je do szczytu chwały. Francya upadła, woła Bernis, gdzie szukać człowieka, co ją dźwignie z odmętu? A oto kiedy pisał te słowa, na skałach Korsyki zrodziło się dziecię, które miało potęgą geniuszu powstrzymać dawny bezrząd, zbudzić w narodzie energią i popchnąć kraj nowemi tory.

Listy Maryi-Teresy przytoczone przez pana Aubertin, świadczą z jaką trwogą cesarzowa przeczuwała zbliżającą się katastrofę, jak pragnęła zażegnać grom, zaczém ugodzi w głowę córki.

„Staraj się, pisze, podnieść umysł pożytecznem czytaniem, potrzeba ci tego bardziéj niż komukolwiek. Unikaj zbytniéj poufałości, nie bądź kumoszką, zajmuj się poważnemi sprawami, strzeż się dworskich pochlebców.“

W innym liście matka wymawia królowéj, że jéj fryzura wsparta na piramidzie piór i wstążek ma trzydzieści sześć cali wysokości. „Pani córko, dodaje, prostota lepiéj uwydatni twój urok i bardziéj przystoi królowéj.“

Pan Aubertin nie pomija najdrobniejszych rysów; pokazuje jakim sposobem społeczeństwo XVIII wieku szło do zguby drogą potrząśniętą kwiatami. Z drugiéj znów strony odkrywa silną reakcyą w narodzie, gwałtowną potrzebę reform. Nie apoteozuje on rewolucyi 1789 roku, ale tłumaczy jéj konieczność. „Wszystko, mówi, rozprzęgało się, potrzeba było potoków krwi, stoczonéj przez konwencyą, potrzeba było żelaznéj ręki Napoleona, aby pochwycić naród w karby.“

Powieść niemiecka zupełnie nowy przybiera kierunek. Z mglistéj sfery fantastycznych i uczuciowych uniesień, gdzie krążyła tak długo, zstępuje coraz bardziéj do ziemskiéj rzeczywistości. Miejsce rozmarzonych Werterów zastępują w niéj bohatérowie innego zupełnie rodzaju, bohatérowie, którzy są wprawdzie pod słońcem, ale o których w powieści nie śniło się dotąd ani filozofom, ani prostemu czytelnikowi.

Coby rzekł Szyller, genialny twórca sławnego aksyomatu: *co ma odżyć w pieśni, musi zamrzéć w rzeczywistości*; coby, powtarzamy rzekł wielki Szyller, gdyby zobaczył ujęte w ramy powieści tak żyjące postacie jak cesarza Wilhelma, księcia Bismarka z całą plejadą ministrów i generałów? Widzimy jednak te dziwy w ośmiotomowym romansie wysoko położonego, jak mówią, autora, zakrytego pseudonimem Samarowa. Romans ten pod tytułem: *Dla berła i korony*, (Um Scepter und Krone), osnuty wkoło wypadków wojny prusko-austryackiéj, zakończonéj klęską Sadowy, ma głównie na celu propagandę idei pruskiéj pomiędzy wszystkiemi warstwami społeczeństwa, temi nawet, które nie czytują dzienników ni broszur politycznych.

Nie myślimy rozbierać téj powieści zapewne nie obcéj czytelnikom naszym, gdyż ukazała się już od roku; wypadki jéj zresztą znane powszechnie: któż nie czytał biuletynów wojennych z roku 1866? Temat zaś odpowiada słowo w słowo bajce Lafontaina: o wilku, któremu jagnię mąciło wodę w zdroju. Samo nawet hasło jednego z głównych bohatérów powieści: *la force prime le droit* nie jestże parafrazą Lafontenowskiego argumentu w bajce: *La raison du plus fort est tousjours la meilleure.*

Nie sądźmy jednak, żeby w téj realistycznéj powieści brakło sentymentalnych ustępów. Do tych należy chwila, kiedy pierwszy minister przy ognisku domowém z żoną i córką słucha z zachwyceniem żałobnego marsza Bethowena granego biegłą ręką pana Keudell: „Wszyscy troje czuli się głęboko poruszeni. Pan Bismark zataczał wzrokiem wkoło, jakby nagle zbudzony ze snu. Kilka minut stał nieruchomy, a potém wyrzekł sam do siebie:

— Jak umrę, niechaj dusza moja ulata do niebios otoczona harmonią takich dźwięków!

I zatopiony w myślach wyszedł z pokoju, wkrótce przywołał pana Keudell.

— Przyjacielu — rzecze — oto instrukcye do naszych posłów w Wiedniu i Frankfurcie; racz wysłać je jąk najspieszniéj.

— Natychmiast—odrzecze pan Keudell i rzucił okiem na papiéry—Ekscelencyo! to wojna!—zawoła przerażony.

— Tak jest, wojna—powtórzył spokojnie minister—a teraz dobranoc; zmęczony jestem: moje nerwy potrzebują spoczynku.

Żałobny marsz Bethowena tworzący jakby prolog powieści, stanowi zarówno jéj epilog. Tu miejsce jego właściwsze wyznać trzeba, w obec trupów zaścielających pobojowisko Sadowy.

Za powrotem do Berlina pan Bismark otoczony kołem rodzinném, prosi znów pana Keudel, aby zagrał ulubionego marsza. Słucha go znów, głęboko poruszony.

— Wielu naszych dzielnych padło w boju—wyrzecze z cicha kiedy umilkł akord ostatni—ale krew ich nie spłynęła na próżno; wchodzimy w nową erę pełną wielkich nadziei dla nas. Niechajże dysonanse przemienią się w doskonałą harmonią, niech zjednoczenie całych Niemiec nagrodzi nam trud i ofiary!

Hrabina zwraca tkliwie wzrok na małżona, a pan Keudel uderza nowy akord; zaczyna hymn rycerski, który ukrzepiał niegdyś duszę wielkiego reformatora Niemiec. Pan Bismark składa ręce, podnosi oczy w niebo, szepcze stłumionym głosem:

Eine feste Burg ist unser Gott
Eine starke Weter und Waffe.

Powieść ta drukowana w popularnym dzienniku *Ueber Land und Meer*, rozbiegła się w mgnieniu oka po całych Niemczech; rozrywano ją sobie; minęły bowiem czasy, kiedy Heine mówił w przedmowie do jednego z dzieł swoich: „Nie lękaj się czytelniku niemiecki, nie idzie tu o politykę, lecz o filozofią, gdyż ta szczególnie cię obchodzi.“

Powieść *Um Scepter und Krone* nie zrodziła się sama jedna na tém świeżo wytrzebioném polu powieściopisarskiéj literatury. Wojna prusko-austryacka wydała dwa inne romanse polityczne. Piérwszy z nich utworu pani Ludwiki Hesekiel p. t. *Von Brandenburg zum Bismark*, obejmuje przeciąg czasu od roku 1848 do 1866. Au-

torka wierna, jak widać, konserwatywnym zasadom, dowodzi w powieści, że ministerym Brandenburg-Manteuffel uratowało Prusy od krwawego przewrotu i przygotowało im drogę do zjednoczenia całych Niemiec. Okazuje autorka wielki takt w walce z liberalném stronnictwem. Dokładna znajomość charakteru działających osób świadczy, że pani Hesekiel musiała obracać się w najwyższych kołach politycznych.

Pan Ludwik Habicht, autor drugiego romansu *Vor dem Gewitter* (Przed Burzą), staje na bezstronniejszém stanowisku. Chłoszcze zarówno konserwatystów jak i liberałów, jednym i drugim rzuca przed oczy gorzką prawdę.

Wielkie powodzenie, jakie znalazły polityczne powieści w Niemczech da niewątpliwie popęd do nowych utworów w tym kierunku. Krwawe dramata z wojny francuzko-pruskiéj dostarczą nieprzebranéj do nich osnowy. Na polach Sedanu, Wörthu i Wissemburga wzrosło tyle wawrzynów, warto upleść z nich belletrystyczne wieńce; tyle trupów zasłało pobojowiska, godzi się na ich cześć zagrać marsz pogrzebowy!

Rzućmy teraz okiem na powieść filozoficzną. Ostatnim jéj wyrazem jest trzytomowy romans p. t. *Kinder der Welt* (Dzieci Świata). Dlaczego taki tytuł? Oto autor, p. Heysse, wziął sobie za cel wyrugować z umysłów odwieczny, jak utrzymuje, przesąd, że ateizm źle wpływa na moralność jednostek i społeczeństwa. Chce on usilnie dowieść, że dzieci świata, które uwierzyły w świat, ukochały go, położyły w nim jedyną nadzieję, lepsze stokroć i szczęśliwsze od tych, które się mienią dziećmi bożemi. W grupie osób wprowadzonych do powieści, wszyscy ludzie wiary: pastor, ojciec rodziny, stara wdowa i inni są to albo umysły ograniczone, albo obłudnicy, albo nawet zbrodniarze. Całe światło skierowane na bezbożników: w nich tylko szukać cnoty i poświęcenia! Gdyby przynajmniéj autor loiczniejszym był w wywodach, gdyby nakręcił rzeczy stosownie do założenia swego. Ale jakież to cnoty owych bohatérów nowéj szkoły? Mąż porzuca wierną i przywiązaną żonę dla jakiéjś awanturnicy, w któréj się dawniéj kochał; ta awanturnica, opuszczona z kolei, zakończa życie samobójstwem. Takie to cnoty owych dzieci świata, którym autor dał za godło słowa pożyczone od Katulla, zakończające powieść: żyjmy i kochajmy!

Nie myślimy rozbierać powieści: jéj treść to istny haos. Są tu i estestetyczne rozprawy nad muzyką, poezyą, malarstwem i filozoficzne dyskusye nad systematami Spinozy, Hegla i t. p. Co do głównéj myśli i tu autor nie okazał samodzielnéj twórczości. Rozwinął on poprostu w popularnéj formie romansu sofizmat, wypowiedziany niedawno przez Straussa w piśmie: *Neuer Glaube*, gdzie naczelnik nowéj szkoły filozoficznéj w jednym artykule wyrzuca Stwórcy świata niedoskonałości, jakie spostrzega w Jego dziele, w następnym zaś

mieni ten świat wielkiém laboratoryum, kędy się wyrabia prawda, piękno i sprawiedliwość.

Nie piérwsza to powieść autora. Pan Paweł Heysse berlińczyk należy do zdolniejszych niemieckich pisarzy. Ma lat czterdzieści kilka. W młodości przebywał czas jakiś we Włoszech; tam, pod wpływem południowego słońca, rozwinął się i zakwitł jego talent. Późniéj, w roku 1854 powołany został do Monachium na professora literatury. Krótko jednak zajmował katedrę; łatwo zgadnąć, że wolnomyślne jego opinie wzbudziły nieufność przeciw niemu w wierzącéj Bawaryi. Odtąd poświęcił się wyłącznie literaturze, jął pisać powieści i dramata. Piérwsze jego nowelle z życia społeczeństwa włoskiego zwróciły powszechną uwagę, chwalono w nich świeże obrazy i niepospolity dźwięk w stylu. Poważniejsza jednak krytyka zarzuciła autorowi niemoralność. W jednéj np. powieści p. t. *Beatrice*, widzimy piękną włoszkę zakochaną w niemcu. Małżeństwo ma nastąpić, ale nieprzewidziana okoliczność powołuje narzeczonego do kraju. Przezorni rodzice, nie pewni czy niemiec powróci, nakłaniają córkę do innych związków. Beatrice ulega, lecz nie tłumi w sercu dawnych uczuć, nie walczy nawet z sobą. Niemiec powraca, niestety! zapóźno, w dniu kiedy ukochana poprzysięgła wiarę innemu. Beatrice pozostaje przecie, wierną dawnéj miłości; niemiec przebywa w domu jéj potajemnie. Byłoby przyszło do jakiéjś katastrofy: śmierć włoszki spokojnie kończy sprawę.

Na zarzuty krytyki berlińskiéj, autor odpowiedział nowym zbiorem p. t. *Moralische Novellen*. W tych powieściach rozwinął paradoks, że zwyczajne przepisy moralne zobowiązują tylko prostaczków: geniusz może i powinien wyłamywać się z pod ich prawa!

Nigdzie jednak autor nie przeprowadził tak systematycznie swych teoryj, jak w ostatnim romansie: *Kinder der Welt* Romans ten *filozoficzny*, zarówno jak wspomniany wyżej romans polityczny *Um Scepter und Krone*, doskonale charakteryzują wielką część dzisiejszego niemieckiego społeczeństwa; oba dopełniają się wzajemnie, oba są żywym obrazem pojęć i dążności niemieckiego narodu. Z jednéj strony widzimy silny rozwój pangermańskich zachcianek, z drugiéj rozkład nurtujący w łonie rodzin, niszczący podwaliny porządku społecznego.

I gdzieżto owe Niemcy, wysławiane niegdyś przez panią Stael! I gdzież to owa czystość obyczajów, owa religijność, owa pobożność, jeszcze niedawno rzucana wbrew Europie tak systematycznie, tak natarczywie, że Europa uwierzyła w końcu owym przechwałkom! Jakież było w tym względzie obałamucenie umysłów w saméj Francyi, ilużto naśladowców znalazła pani Stael w apoteozowaniu moralności niemieckiéj! Przed samą oto chwilą wojny, znana poetka francuzka panna Luiza Sieffert, stała się echem tego powszechnego poklasku. W roku 1870 ogłosiła ona w *Przeglądzie Dwóch światów* idyllę dramatyczną p. t. *Rektor Bertholdus*. W tejto słodkiéj sie-

lance wysławia naiwnie autorka obyczaje patryarchalne i szlachetne dążności tychże samych professorów pruskich, którzy wkrótce potém jęli z taką zaciętością usprawiedliwiać gwałty.

Panna Sieffert przestraszyła się własnego obłędu. Wyznała publicznie winę swoję w przedmowie do świeżo wydanych utworów, między któremi znajduje się i ów *Rektor Bertholdus*. Oto jéj protestacya:

„Rektor Bertholdus objęty w skromnych ramach jest w oczach moich dowodem owego zaślepienia, jakie wszyscy dzieliliśmy co do Niemców. Wierzyłam, gdym to pisała, że są poza Renem umysły szlachetne, młode serca pełne zapału, co pielęgnują przy ognisku domowém kwiat poetycznych marzeń, wyrastający na prostych ścieżkach życia; słowem, że są tam ludzie zamiłowani w pracy, zacni, tkliwi, pełni szlachetnéj dumy. Jakież było rozczarowanie nasze! W piérwszéj chwili słusznego gniewu chciałam przenieść pole akcyi w inną zupełnie stronę świata! Ale co raz napisano, zwłaszcza wydrukowano, niechże tak pozostanie. Niech ta skromna winietka zarysowana lekko na marginesie Fausta, świadczy przynajmniéj o mojém szczerém uwielbieniu dla prawdziwego arcydzieła; niech okaże, z jakiéjto wysokości czczych ułud potrzeba nam było zstąpić przy zetknięciu się z prawdziwym geniuszem germańskim, którego wyrazem były u nas gwałty i okrucieństwa!“

A jednak, dodamy od siebie, mamyż sądzić, że społeczeństwo niemieckie nie wyjdzie z obłędu, jaki go dziś opanował? Trudno mu, bardzo trudno otrząsnąć się z fałszywych teoryi, propagowanych systematycznie od pół wieku i przez mężów stanu i przez filozofów. Trudność zwiększyła się tém właśnie, że owe teorye, zastosowane do pojęcia narodowości i dziejowego posłannictwa ludów mają w sobie część prawdy. Jesteśmy jednak mocno przekonani, że przyjdzie czas, kiedy zabłyśnie prawda w pełnym blasku i oświeci umysły i sprostuje sumienia. Już i dziś wśród hałasu i wrzawy tryumfatorów, wśród okrzyków rozpaczy pokonanych ofiar, słyszéć się dają pojedyńcze głosy, świadczące, że nasza wiara nie jest płonna.

Poezya francuzka, jak mówiliśmy już nieraz, odznacza się z saméj natury swojéj charakterem pozytywnym. Dziś ten charakter widoczniejszy niż kiedykolwiek. Młoda szkoła nie szuka ideałów w świecie oderwanym, ale wzięła sobie za cel poetyzować ziemską rzeczywistość i podnosić ją do ideału. Widzimy tę dążność w utworach Coope'go i Manuela, którzy nie jeden obrazek rodzajowy odtworzyli z życia robotników, a nawet żebraków paryzkich. Ten zwrot pozytywny czyż grozi upadkiem poezyi? Nie sądzimy bynajmniéj. Poezya musi iść rwana ogólnym prądem! A małoż to rośnie kwiatów na ziemi, małoż kłosów faluje na łanach? Jest

z czego zaprawdę splatać wieńce! W każdéj zresztą kropelce rosy kołyszącéj się na źdźble trawy, na listku drzewa, odbija całe niebo. Do poety należy pochwycić ów mały światek odbity w kropli, światek tak w sobie pełny, tak uroczy.

Teoretycy pozytywni spotkali się we Francyi z poetami na wspólnéj drodze i doskonała między nimi panuje harmonia. Jedni nie zaprzeczają prawa drugim. Poeci nie przeklinają tam bynajmniéj śmiałych karczowników, trzebiących dla przyszłości nowe drogi. Ludzie czynu nie urągają poetom, nie wołają: precz ze sztuką, precz z pieśnią! Jedni i drudzy czują, że dla wszystkich dość jest miejsca pod słońcem.

I czemuż to przypisać? Oto, że pozytywizm francuzki nie jest bynajmniéj nihilizmem, że oba te kierunki niezgłębiona rozdziela przepaść.

Do liczby poetów trzymających się ściśle ziemi, przybył we Francyi nowy krzepki zapaśnik. Mówimy tu o panu Vinot. Zbiór ulotnych jego poezyi wyszedł niedawno p. t. *Poèmes et Fantaisiès*. Każdy w nim utwór pełen męzkiéj siły nacechowany samodzielném piętnem. Zasługuje szczególnie na uwagę pieśń tryumfu, opiewająca Prometeusza, zwycięzcę okrutnych i zawistnych bogów, Bohatér potężnym zamachem rozkruszył już więzy, zdusił krwawego sępa co szarpał mu wątrobę.

Rozczochrane kędziory jéżą się w około:
Istny las, co porasta strome góry czoło!
Stoi na szczycie skały tak wielki, tak srogi;
Pod tytanem opoka zatrzęsła się z trwogi.
Dreszcz grozy przez powietrza płynie fale sine,
Zadrżały lwy i głową zjeżyły szczecinę,
Wiatr pustynią ich poryk roznosi szalony.
Sęp wpił się w jego trzewia morderczemi szpony,
Rozwarł dziób, prosto w oczy zanurzył mu ślépie,
Syty krwi, już na tryumf w czarne skrzydła trzepie.
On oburącz go schwycił za gardziel szeroką:
Aż zwisły sępie szpony, dziób rzygnął posoką.
Ale męki obrazem nie jemu paść oczy!
Kopnął nogą: ptak martwy w przepaść się potoczy;
Powstają nieme bogi, srom wskroś ich przenika,
Po raz piérwszy ich zmogła dzielność śmiertelnika!
Oko zbiega się z okiem milcząco, ponuro,
A gdy zorza pół nieba zapali purpurą,
Kroczą, niby z pod mogił, widma tajemnicze,
Tylko na marmurowo-blade ich oblicze
Łzy trysły jak przez szczerbę skał potok wytryska,
Rozpacz szarpie ich duszą, chwila sądu blizka.
Niezbłagana Nemezis ostrzem miecza znaczy
Szlak wiecznéj ich żałoby i doli tułaczéj;

Załkali niesmiertelni, drgnęła ziemia cała:
Głuchym, przeciągłym jękiem nad nimi załkała.

W innem miejscu tak poeta wyraża się o ludzkości z krzepką wiarą w jéj przyszłość, ufny w siły spoczywające w jéj łonie.

Choć brniesz pod skrzydłem śmierci w czarnéj nocy cieniu
Ludzkości, sił żywotnych dość jeszcze w twém rdzeniu!
Matko, tyś wszystkich kwiatów nie wydała z łona;
Ślepo ku lepszym słońcom wyciągasz ramiona!
Wierzę w twą wielką przyszłość, chcę wierzyć i muszę,
Bo sok twój życiodawczy przepełnia mi duszę;
Jam twém mlekiem przeczystém poił pierś spragnioną,
Rwał owoc otulony twych liści koroną.
O! nie próżno, gdy śledzę twych pochodów ślady,
Płaczę i na myśl moją pada pomrok blady;
Lecz wierzę, bo chcę wierzyć w twoją przyszłą dolę,
Chcę dzielić twoje prace, twe trudy i bóle;
I ta wiara nie zgaśnie, dotrwam w niéj do końca,
Dopóki mi nad głową nie zgasną te słońca,
Ogniska siły twórczéj, żywiciele światów,
Płomień czystéj miłości i czysta woń kwiatów!

Tomik p. Vinot wielkie sprawił wrażenie w Paryżu. Najsurowsi krytycy przyklasnęli mu z zadowolnieniem i zawołali: mamy prawdziwego poetę! Zachęcony takiém przyjęciem, Vinot natychmiast po pierwszym tomiku, rzucił w świat drugi pod tytułem: *Donna Juanna*. Jest to utwór fantastyczno-dramatyczny, nieprzeznaczony wcale dla teatru, złożony z osobnych scen, połączonych z sobą słabym węzłem. Nie brak tu zapewne pięknych ustępów, ale całość chybiona. Sam wybór przedmiotu niezbyt szczęśliwy. Bohaterka poematu, donna Juanna, jest to niewieści don Juan, niższy pod każdym względem od bajronowskiego. Wstrzymujemy się od rozbioru. Przypuszczamy, że młody poeta miał w tece jeden z początkowych utworów swoich i spostrzegłszy wrażenie, jakie sprawił na publiczności świeżo wydanym tomikiem poezyi, rzucił za nim w świat pierwsze próby niewytrawionego pióra.

Gdyby *Donna Juanna* miała być w rzeczy saméj utworem późniejszym od pięknych poezyj, o których wspomnieliśmy powyżéj, byłby to dla nas wymowny dowód, jak ciężko zdolnemu nawet poecie wytrwać na stanowisku pozytywném i niestoczyć się w gruby realizm.

Po dwuletniém oczekiwaniu, Paryż zobaczył nareszcie komedyą Wiktora Sardou *l'Oncle Sam*, na deskach teatru Vaudeville. Sprawdziło się na niéj w części przysłowie nasze: „gdzie wiele przygotowań, tam nic z dyalogu.“ Sprawdziło się w części powtarzamy, gdyż

trudno zaprzeczyć sztuce wszelkiéj wartości; tém bardziéj trudno zaprzeczyć talentu p. Sardou. Ale ten właśnie talent sprawia, że sądząc takiego autora, krytyka ma prawo być wymagającą.

Jak wszystkie niemal sztuki Wiktora Sardou, *Oncle Sam* ma mnóstwo zalet, a obok tego mnóstwo niedostatków. Wybornie też wyraził się o nim dowcipny krytyk Sarcey. „Tyle jest dodatniéj strony w sztuce, że lękam się sądzić jéj zbyt surowo; tyle jest stron słabych, że boję się przechwalić ją nad miarę.“

Wuj Sam, jest ostrą krytyką obyczajów amerykańskich. Autor chłoszcze w niéj dotkliwie społeczeństwo nowego świata. Jak wiadomo sztuka napisaną była dla amerykańskiego teatru i przedstawioną przed dwoma laty w Nowym Jorku, gdzie poruszyła do żywego umysły i obudziła silną polemikę dziennikarską. Pan Sardou w chwili podrażnienia, po klęskach kraju swego, mszcząc się na Stanach Zjednoczonych za obojętność okazywaną Francyi, rzucił im w oczy własny ich obraz, zmieniony w karykaturę.

Rzecz rozpoczyna się nadzwyczaj żywo. W pierwszym akcie teatr przedstawia pokład wielkiego statku parowego na rzece Hudson. Podróżnicy dzielą się na grupy. Murzyni roznoszą chłodzące napoje; muzyka irlandzka przygrywa w oddaleniu. Ów statek na Hudsonie, jest to na małą skalę, jakby nowa arka Noego. Jak tamta obejmowała zwierzęta wszelkiego rodzaju, tak ten obejmuje próbki amerykańskiego społeczeństwa. Są tu i wojskowi, którzy nadali sobie sami tytuły półkowników i majorów; są i adwokaci, szukający chciwie spraw skandalicznych; są posiadacze rozległych bagnisk, nawiedzanych rokrocznie żółtą febrą, którzy czyhają na łatwowiernego przybysza; są tu i predykatorowie wędrowni i prezydenci filantropijnych towarzystw, i ajenci elektoralni, i dziennikarze polujący na nowiny, i młode panny polujące na mężów, słowem jest tu w miniaturze cała Ameryka, przedstawiona ze śmiesznéj strony.

Na pierwszym planie widzimy grupę złożoną z samych Francuzów; wśród tych odznacza się młodzian dorodnéj postawy, Markiz Robert de Rochemove. Rej w grupie prowadzi pani Bellamy kobieta złośliwa, dowcipna, wielomówna. Usta jéj nie zamykają się na chwilę. Przebywa ona od lat kilku na półkuli nowego świata; dała się złapać, jak tylu innych; kupiła obszar ziemi, na którym zamiast zboża, rodzą się tylko chmary żab; mści się też bez litości na Jankesach, szydzi z nich gorzko, miesza z błotem całą Amerykę. Młody Markiz od czasu do czasu chciałby powstrzymać zbytni jéj zapęd; przypomina niedawne dzieło pana Tocqueville.

— Wierz mu pan! zawoła złośliwa kobieta—pan Tocqueville ulepił fantastyczną Amerykę z cukru! ani słowa prawdy w jego dziele!

Tém jedném słowem: *Ameryka z cukru*, Sardou ośmieszył dzieło Tocquévilla, może je nawet zabił w opinii publicznéj. Broń sarkazmu straszną jest dla Francuzów!

Drugi akt odbywa się w jednym z pierwszych hotelów Nowego Yorku. Podróżni ze statku zebrani tu wszyscy w wielkiéj sali. Do znanych postaci przybywają dwie nowe: Samuel Tapplebot, znany powszechnie *wuj Sam* i syn jego Ulysses.

Wuj Sam, to prawdziwy typ amerykańskiego przemysłowca, spekuluje na wszystkiém; nie przebiera w środkach, byle zyskać pieniądz. Najprzód handlował zapałkami, potém sprzedawał miotły, potém szuwaks, wzbogacił się na kakao, zbankrutował na tytuniu i znów się utuczył soloną wieprzowiną, nakoniec spanoszył na guanie. Dziś zakłada banki, buduje drogi żelazne, nadaje nazwisko swoje miastu, które ma wielką przyszłość, lecz jeszcze nie istnieje.

Syn Ulysses, bezczelniejszy jeszcze, przybiega w tryumfie do ojca, oznajmia bez ogrodki, że nakoniec dopiął swego: ogłosił bankructwo, zrujnował mnóstwo wierzycieli. Tłum otacza go, wszyscy podają mu ręce, wysławiają niezrównaną jego zręczność, winszują powodzenia.

Następna scena przedstawia połów panien na mężów, zwany w Ameryce *flirtation*. Panny siedzą w sali hotelowéj na miękkich fotelach i kozetkach, otoczone rojem młodzieży. Na pierwszym planie widzimy dorodną parę; Miss Sahrę bratankę wuja Sam i Markiza Rochemore. Młody Francuz tkliwy, poetyczny, rozkochany; Sahra zimna, oblicza tylko złoto. Młodzian wysławia wdzięk amerykanki, ona pyta go, czy bogaty.

— Kocham cię!— woła zapaleniec z najwyższém uniesieniem.

— Czy pan masz bankiera w Nowym Yorku, pyta pozytywistka, czy posiadasz w kraju obszerne pola i winnice?

Zadowolniona, jak widać, z odpowiedzi, wydobywa pugilaresik, żąda napół żartem, napół seryo, aby młodzian zapisał własną ręką, że ją kocha, że pragnie ją poślubić. Gdy to uczynił, chowa spokojnie książeczkę do kieszeni i namawia młodzieńca na przejażdżkę do Saratogi.

Serce amerykanek nie tak twarde, jak je zrazu ukazywał p. Sardou. Szczera miłość Francuza oddziała na serce ukochanéj w sposób, w jaki promień słońca oddziaływa wiosną na lody.

Po trzech dniach pobytu w Saratodze, Sarah przerażona własném uczuciem, ucieka potajemnie do Nowego Yorku. Gardzi sama sobą, rumieniec wstydu pokrywa jéj czoło. Powodem jéj wstydu nie jest bynajmniéj owa przejażdżka sam na sam, z zakochanym młodzieńcem; w obyczajach amerykańskich rzecz to zwyczajna: nikt nie ma prawa dziwić się temu ani gorszyć. Sarah boleje nad dawném postępowaniem, nad okazywaną zrazu chciwością. Czuje, że zasłużyła na pogardę tego, którego ukochała duszą całą. Francuz przybiega w te tropy: następuje scena prawdziwie dramatyczna, pomiedzy młodą parą. Sarah przepomniała już zimnych rachub; być lub nie być kochaną, to dla niéj hamletowskie *To by or not to by!* Każde jéj słowo tchnie najwznioślejszém uczuciem. Metamorphoza

dopełniona; miłość dokonała cudu, przeistoczyła zimną Jankeskę w eteryczną Ofelię.

Rzecz kończy się, naturalnie, małżeństwem; mniéj naturalnie autor wprowadza różne epizody, jak procesa i pojedynki, bez których w mniemaniu pana Sardou, obraz amerykańskich obyczajów, nie byłby przedstawiony w pełném świetle.

Cała sztuka pełna wrzawy i efektów scenicznych, któremi autor zastępuje ubóstwo dramatycznéj akcyi, jest, powtarzamy surową krytyką, a raczéj skarykaturowanym obrazem amerykańskiego społeczeństwa.

Pan Sardou wysnuł wątek swéj komedyi z humorystycznéj powiastki p. t.: Buterfly (motyl), malującéj życie Jankesów: autorem téj powiastki p, Assolant. Krytycy podchwycili naśladownictwo; nuż chłostać za plagiat. Najdotkliwszym był pocisk samego pana Assolant, który ogłosił w dziennikach list otwarty do pana Sardou. Dowcipny powieściopisarz skarży się, że autor komedyi postąpił z nim *po amerykańsku*: wziął bowiem utkane przezeń sukno i wykroił z niego kurtkę na miarę własną. Domaga się połowy dolarów. Nie wiemy jak się rzecz zakończy. Nie pierwsza to już sprawa pana Sardou. Przypominamy sobie kilka lat temu z powodu *Fernandy* podobną reklamacyą wdowy po Ancellocie. Sardou wykręcił się zręcznie dowodząc, że Ancellot wziął do komedyi swojéj gotową myśl z powiastki Diderota i przerobił ją po swojemu. Diderot więc był przedmiotem podwójnéj eksploatacyi. Szczęściem dla autora *Fernandy*, że sławny encyklopedzista nie pozostawił spadkobierców.

Aleksander Dumas kilka miesięcy temu, po upadku *Żony Klaudyusza*, zarzekał się najuroczyściéj, że zrywa zupełnie z teatrem, że nie napisze już żadnéj komedyi dla publiczności, która zrozumiéć go nie chce i nie umié. Wkrótce jednak ochłonął z gniéwu, świadczy o tém świeżo przedstawiony w *Gymnase: pan Alfons*. Sztuka doznała najchlubniejszego przyjęcia, gdyż napisana po mistrzowsku z prawdziwą znajomością tajemnic dramatycznych.

Autor wyprowadza znów na widownią przestępną żonę w obec małżonka, który trzyma w ręku jéj losy. Wina to wprawdzie dawna; młoda kobieta odkąd została żoną, nie ma na sobie cieniu skazy, a jednak to wina z rodzaju tych, jakich mężowie zwykle nie przebaczają. Idealny mąż, stworzony w wyobraźni p. Dumas, rozgrzesza przestępną z kapłańskiém jakoby namaszczeniem, podnosi ukorzoną z ziemi, osłania ją powagą własną, a co więcéj, powagą prawa.

Wszystkie działające osoby przedstawione sympatycznie ze strony dodatniéj, Pan Alfons tylko, nowy Don Juan, schłostany bez litości.

Paryż zatrząsł się od oklasków. Tryumf Dumasa był zupełny, tém zupełniejszy, że nie ustąpił na krok od teoryi, którą niedawno sąd powszechny potępił tak surowo; autor przybrał tylko myśl swoją w estetyczniejsze formy. Artyzm czarodziejski wywiera urok! tém większa zatém odpowiedzialność artysty, im potężniejszy jego talent.

Nie wchodzimy w szczegóły nowego dramatu: czytelnicy znają go zapewne z dziennikarskich sprawozdań.

W dniu 27 listopada, Akademia Francuzka przyjmowała nowego członka, pana de Viel-Castel. Zkąd pochodzi, że tego rodzaju uroczystości tak wielką mają wagę we Francyi? Tym razem naprzykład, wielkie dzienniki, jak Temps, tu odłożyły na bok sprawę Bazaina, tak żywotną i tak dramatyczną, zwłaszcza w dniach ostatnich a poświęciły kolumny swoje mowom akademików! Dlaczego w żadnym innym narodzie takie biesiady naukowe, nie mają podobnego znaczenia? Tu właśnie Francuzi okazują się prawdziwemi spadkobiercami w duchu wytwornych Ateńczyków. Nie ma w Europie narodu, u któregoby miłość harmonii, miłość estetycznego piękna tak wysoko była posuniętą, a zarazem tak upowszechnioną, jak między Francuzami. Ta właściwość ich geniuszu, nie datuje się wcale od świetnych czasów Ludwika XIV; nie stworzyli jéj Richelieu ani Mazarin, twórcy i opiekunowie akademii. Geniusz ten odbija już w wiekach rycerstwa, co więcéj, nawet w pierwotnych mythach Gallów, jak to przyznawali zwycięzcy ich Rzymianie. Dzisiejsi Francuzi tak samo dają się powodować harmonii słowa, jak najdalsi ich praojcowie, którzy stworzyli ideał najwyższéj siły, nie w postaci Herkulesa, walącego Pelion na Ossę, ale w postaci wymownego Ongiusza, z którego ust wychodziły złote łańcuszki, przyczepione do ucha słuchaczom!

Ta właśnie miłość piękna i harmonii, czyni Francuzów nadzwyczaj wybrednemi pod względem sztuki krasomówczéj. Wymagają szczególnie téj sztuki od czterdziestu nieśmiertelnych, stojących na straży języka. Biada akademikowi, który przy pierwszém wystąpieniu, nie umié nawiązać zręcznie owych czarodziejskich łańcuszków, i ujarzmić uwagi wybrednego auditoryum!

Pan Viel-Castel, siedmdziesięcioletni starzec, wytrawny dyplomata, pracowity szperacz, autor *Dziejów Restauracyi* objętych w piętnastu tomach, p. Viel-Castel, nie zadowolnił nikogo przy pierwszém wystąpieniu. Głos jego ochrypły, wymowa utrudzona, w przykry sposób działały na ogół. Kiedy odczytywał pochwałę poprzednika swego, dziewięćdziesięcioletniego generała Segur, nie jeden ze słuchaczów powtórzył zapewne: „niech umarli grzebią umarłych.“

Odpowiedź pana Marmier, dyrektora akademii, chłodna téż była i wymuszona. Trudne w rzeczy saméj zadanie, przy takiém jak dziś wzburzeniu umysłów, mówić o Restauracyi i jéj dyplomatycznym historyku. Sam galski Ongiusz nieby tu nie poradził!

Jeżeli wrażenie jakiego doznali słuchacze, nie było wcale dodatniém, jeżeli w mowach dwoch akademików brakło owéj soli attyckiéj, tak miłéj Paryżanom, ktokolwiek jednak odczytał z uwagą obie mowy, znalazł w nich nie jeden szczegół zajmujący. Łatwo też było czerpać w bogatych zasobach, jakie przedstawiało długie pasmo dni generała Segur.

Wspominaliśmy już o tym nestorze akademików francuzkich, przed kilku miesiącami, z powodu jego śmierci. Godzi nam się przecież poznać trochę bliżéj tego, który dobrze znał ojców naszych, w Sommo-Sierra i w Warszawie, który walczył obok nich, a późniéj rad poświęcał im pióro! Dodajemy więc jeszcze kilka słów, o tym mężu prawdziwéj zasługi.

Zrodzony w arystokratyczném gnieździe, wśród dostatków i blasku dworskiego, młody Segur doświadczył od dziecka najsmutniejszych przemian losu. Miał lat dwanaście, kiedy rodzony dziadek jego, marszałek Francyi, minister wojny z czasów Ludwika XVI, wtrącony do więzienia, uszedł zaledwie gilotyny, skutkiem upadku Robespierra. Cała rodzina Segurów, zamieszkała w Chatenay pod Paryżem. Ojciec zarabiał na kęs chleba, pisując artykuły do dzienników. Ubóstwo w domu tak było wielkie, że nie starczyło zasobów na oddanie chłopca do szkoły. Chciwy nauki młodzieniec, pracował sam, światły ojciec był mu jedynym przewodnikiem.

W miarę jak wzrastał, dusza jego rwała się do czynu, ale przesądy rodowe zamykały przed nim wszelkie drogi. Wyrwał się nakoniec z tego koła, i tu dał pierwszy dowód dzielności charakteru. Widział tylko Francyę zagrożoną: przed tą myślą umilkły wszelkie względy.

Jednego poranku (miał wtedy lat dziewiętnaście)| szarpany tysiącem sprzecznych uczuć, sam niewiedząc co przedsięwziąć, poszedł do Paryża z kijem w ręku i tłomoczkiem na plecach. Staje u rogatek, widzi niezwykły ruch na ulicach, porwany falą wzburzonego ludu dostaje się do Tuilleries. Był to pamiętny dzień 18 brumaira. Bonaparte przemawiał właśnie do żołnierzy w wielkim dziedzińcu przed pałacem. Widzi Segur, strojny, buńczuczny pułk dragonów, zabierający się do pochodu: czeką tylko na hasło.

Krew zakipiała w sercu młodziana. „Ja będę żołnierzem! woła gwałtownie poruszony, i bez chwili namysłu, pędzi na ratusz, zapisuje się w liczbę ochotników.

Napół umundurowany powraca do Chatenay, wyznaje przed dziadkiem co uczynił: czoło starca nagle spochmurniało.

— Uchybiłeś!—rzecze poważnie—dawnym tradycyom twego rodu, ale stało się... jesteś żołnierzem w armii republikańskiéj: służ jéj gorliwie i zaszczytnie... krok twój stanowczy, cofnąć go niepodobna!

Łzy polały się strumieniem po licach młodego ochotnika. Rozbrojony niemi starzec, wyciągnął jedyną rękę jaka mu pozostała jeszcze (drugą urwała kula pod Laufeld) przycisnął wnuka do piersi.

— Masz oto—rzecze—dwadzieścia luidorów, na więcéj zdobyć się nie mogę; wystarczą ci na pierwsze potrzeby. Idź! służ wiernie pod sztandarem któryś obrał! Staraj się przynajmniéj utrzymać nieskażoną cześć domu twego!

Młodzieniec pośpieszył na pole bitwy; wkrótce wysłużył sobie stopień oficera. Walcząc pod generałem Moreau, dzielił z nim niechęć ku pierwszemu konsulowi. Z boleścią jednak słyszał nieraz, jak dowódzca jego urągał pogardliwie wojsku dawnéj monarchii Burbonów. Zniewaga wyrządzona czci dziadka, przepełniała goryczą młode serce.

W tymże samym czasie, kiedy Moreau deptał wszelkie dawne zasługi, pierwszy konsul, dowiedziawszy się o niedostatku w jakim żyje stary marszałek Segur, przéznacza mu odpowiednią pensyą. Starzec przybywa z podziękowaniem do Tuilleries. W chwili kiedy wchodzi do sali posłuchalnéj, na znak Bonapartego, gwardya prezentuje broń, dobosze biją w bębny, a bohatér nowego wieku schyla z poszanowaniem głowę, przed jednym z dzielnych weteranów wieku zeszłego!

„Ta nadzwyczajna sprzeczność—mówi Segur w pamiętnikach swoich—między pogardliwemi słowy generała Moreau, a głębokiém poszanowaniem, jakiém pierwszy konsul otoczył dziadka mego, odbiła się żywo w zranioném sercu mojém. Uprzedzenie znikło. Spostrzegłem, że znajdę w Bonapartym właściwą pomoc i opiekę, jak ją znajdowało tysiące podobnych mnie rozbitków, ocalonych z rewolucyjnéj powodzi.“

Odtąd losy generała Segur łączą się najściśléj z losami cesarza. Przebiegł Europę wzdłuż i w poprzecz, w ślad Napoleońskich orłów. Pokryty bliznami, wytrwał do końca przy sztandarze. Walczył pod Lipskiem, toczył krew na polach Szampanii, w ostatnich zapasach ściganego zewsząd olbrzyma. Za czasów Restauracyi, usunięty z widowni, zmienił oręż na pióro, i stał się, jak słusznie powiedziano, Homerem owéj piętnastoletniéj epopei. Mistrzowski jego obraz kampanii 1812 roku, który otworzył mu drzwi akademii, jest przepysznym poematem, przy całéj ścisłości historycznéj. Na czele dzieła pomieścił autor te słowa Eneidy:

„O! prochy Illionu! o wy cienie towarzyszów moich, biorę was na świadectwo, jako w paśmie klęsk waszych, nie cofałem kroku, ani przed strzałami nieprzyjaciół, ani przed wszelkiém inném niebezpieczeństwem, i gdyby losy moje tak przeznaczyły, gotów byłem umrzéć razem z wami!“

Dzieło to niesłychany znalazło rozgłos, potrąciło bowiem najżywotniejszą strunę serc francuzkich, rozbudziło tysiące wspomnień! Czytano je ze łzami. Wiadomo jaki urok wywierało imię Napoleona, za czasów monarchii lipcowéj. Łatwo ztąd wnosić, jaką chwałą

okrył się historyk-poeta, który unieśmiertelnił piórem swojém, ostatnie tryumfy i klęski wielkiéj armii.

Segur wydał za życia, kilka zaledwie rapsodów z wielkiéj epopei napoleońskiéj. Pierwszym z nich: Zapasy Macdonalda w kraju Grizonów, drugim: Kampania dwunastego roku. Niepoprzestając na tém, pragnął on przekazać potomnym, całkowity obraz piętnastoletnich a olbrzymich tryumfów, zakończonych olbrzymią klęską. W tym celu jął pisać pamiętniki własnego życia. Chcąc wywiązać się z trudnego zadania, sumienny pisarz nie poprzestawał na buletynach wielkiéj armii, przechowanych w archiwach wojennych; nie starczył mu także wątek własnych wspomnień, wiernie przechowany w pamięci. Szukał on starych towarzyszów broni; w swobodnéj z nimi pogadance, przepędzał dnie i lata. „Przebiegałem—mówi on —wsie i miasta Francyi, kołatałem w progi starych wiarusów: u jednego bawiłem godzinę, u drugiego dzień, czasami tydzień cały, stosownie do wagi i obfitości ich wspomnień. I przynosiłem z tych wycieczek wielkie zeszyty, pełne zapisków, z oznaczeniem dat i nazwisk osób, od których zdobyłem owe skarby.“

Takim to sposobem utworzyły się ciekawe pamiętniki, objęte w ośmiu wielkich tomach. Segur wydrukował je za życia, lecz chował w ukryciu cały nakład; spadkobiercy dopiéro stosownie do ostatniéj jego woli, puścili w obieg, w kilka tygodni po śmierci autora, tę znakomitą publikacyę.

Dziewięćdziesięcioletni starzec okazał przy schyłku dni swoich, tęż samą siłę ducha, jaka znamionowała go od najpierwszéj młodości. W roku 1870, kiedy Prusacy szli na Paryż, rodzina błagała go ze łzami, aby opuścił blizką oblężenia stolicę.

— Chcecież, odpowiedział na to, abym ja, stary wiarus, dawał drugim przykład dezercyi?

I został przy domowém ognisku. Niezdolny udźwignąć już oręża, działał na innem polu: hojną ręką rozsiewał dary w czasach nędzy powszechnéj, i świat nie byłby wiedział o tém, gdyby nie łzy, któremi wdzięczny lud oblał mogiłę dobroczyńcy.

Podczas panowania komuny, drżącą ręką kreślił myśli filozoficzne i religijne. Patrząc z oburzeniem na gwałty komunardów, w gorącym wierszu rzucił im w oczy straszną klątwę.

Dnia jednego, trzech delegowanych demagogicznego komitetu, wchodzi niespodzianie w progi starca. Przemawiają groźno. Generał powstaje z krzesła, nie rzekłszy nic ukazuje drzwi śmiałkom: cofnęli się jakby rażeni gromem.

Do ostatniéj chwili życia zachował całą świeżość umysłu i niezwyczajną energią. Nie opuszczał nigdy zebrań akademickich. Pobudzał kolegów do działania: „Marsz! naprzód!—wołał na uczonych—jak niegdyś na żołnierzy w Sommo-Sierra! Kiedy wchodził do sali akademickiéj, wsparty na ramieniu wiernego sługi, wszyscy

członkowie akademii powstawali z miejsc na powitanie czcigodnego weterana.

Mimo całéj powagi i ścisłości historycznéj, z jaką p. Viel-Castel opowiedział żywot zmarłego poprzednika, żałować przychodzi, iż dzielny szermierz miecza i pióra, nie znalazł w nim godnego siebie apologisty.

W kronice rozpoczynającéj rok nowy, nie będzie od rzeczy powiedzieć słówko o francuzkich kalendarzach. Wbrew ogólnéj dążności do postępu, kalendarze paryzkie trzymają się najściśléj zasad konserwatywnych. Wszelkie nowatorstwo na tém polu nie przynosi pożądanych owoców. Napróżno pierwsi literaci usiłowali zaprowadzić reformę i zmienić kalendarz w ozdobne literackie album. Juliusz Janin wydawał przez kilka lat noworocznik p. t. *Almanach de la litterature et des Beaux Arts*; pismo upadło, mimo rzeczywistéj wartości, mimo sympatycznego imienia redaktora. Nakładzca stracił na przedsiębierstwie 34,000 franków.

Utrzymuje się dotąd kalendarz ozdobnie illustrowany p. t. *Les Parisiennes*, lecz ten oddawnaby nie istniał, gdyby go nie popierała Anglią. Cały nakład wychodzi za morze.

Każda niemal redakcya dziennika, równie jak każdy większy zakład księgarski, wydaje swój własny kalendarz. Widzimy tu broszury rozmaitéj miary i kształtu, w rozmaitych tytułach jak: *Kalendarz proroczy, komiczny, lunatyczny, astronomiczny, strzelecki, spiewaczy, tłumacz snów* i t. p. Wszystkie one razem nie znajdują tyle pokupu, ile dwa najpopularniejsze ze wszystkich: *Kalendarz Macieja z Dromy* i *Liegeois*. Pierwszy z nich wydawany przez księgarza Plon, rozchodzi się w 300,000 egzemp., cena jego zmienia się stosownie do oprawy, od 30 centimów (15 groszy) do franka. Maciéj z Dromy nie sadzi się na utwory literackiéj wartości, ale przepowiada pogodę i słotę, daje doświadczone rady gospodyniom: owéj to stronie praktycznéj zawdzięcza niesłychaną wziętość.

Le bon Liegeois, najcharakterystyczniejszy ze wszystkich, zachował wybitne cechy starego kalendarza. Niegdyś używał on wszechstronnéj popularności, obecnie zdetronizowany przez *Macieja*, ustąpił stanowczo z salonów i buduarów, a przeszedł na poddasze robotnika. Króluje on wyłącznie po straganach paryzkich, gdzie sprzedają go w ilości 100,000 przeszło egzemplarzy. Cena jego nadzwyczaj niska, 15 centimów, zniża się jeszcze po Nowym roku; największy też znajduje pokup w oktawę ś-éj Genowefy, kiedy lud odbywa pielgrzymkę do patronki Paryża.

Wydawcy aby odpowiedzieć upodobaniu swoich klientów, zamawiają z umysłu gruby, szary, twardy papiér, jakiego już nigdzie nie widać: moc stanowi główną jego zaletę. Łatwo pojąć jak na takim papiérze wydają się litografie i drzeworyty. *Le Bon Liegeois* daje także poezye; oto kilka próbek w przekładach:

Gdy ci latem zbraknie siły,
Idź gdzie chłodek wieje miły;
Nie chodź tylko po upale
A spać będziesz doskonale.

Dobry obiad, miękkie łoże,
Co człek więcéj żądać może?
Zapal ogień na kominie:
Twarda zima wnet upłynie!

Za poezyą idą przepowiednie, w tym naprzykład rodzaju:

„Jeżeli widzisz księżyc osnuty mgłą, (jak u nas zowią w lisiéj czapce) przyjdą niechybne słoty. Jeśli opasany czerwonym obłokiem, będzie wiatr. Jeżeli żółty, będą burzo z gradem i piorunami. Jeżeli w lecie księżyc ma jasne rogi, nieomylna pogoda; jeżeli mętne, znak deszczu.

Po tych wróżbach przychodzą ciekawe skazówki co do charakteru osób, stosownie do planety pod jaką się rodziły. Szczęśliwi ci którzy przyszli na świat w styczniu albo w lutym!

Osoby urodzone pod Rybami—mówi kalendarz—mają powierzchowność piękną, wzrost dorodny i kształty pełne. *Jeżeli fortuna nie posłuży*, potrafią zwalczyć los pracą i oszczędnością. Szczęśliwi będą w małżeństwie.

W kwietniu wróżba staje się mniéj pomyślną.

Ci którzy się rodzą w kwiétniu pod Bykiem, mają charakter dumny i mściwy; lubią uciechy i zabawy, jednakże nie do zbytku; chętnie przebywają w porządném towarzystwie: są oszczędni i panienki bywają bardzo skromne.

O sierpniu tak mówi kalendarz;

Urodzeni pod znakiem Panny, chętnie oddają się miłości, ale umieją panować nad sobą i nie popełnią nic zdrożnego. Życzę panienkom aby często myślały o świętéj swéj patronce!

Kto chce miéć spokój domowy i ład w gospodarstwie, niech się nie żeni z panną zrodzoną w grudniu; posłuchajmy dlaczego:

„Ci którzy rodzą się pod Koziorożcem, żyją bardzo długo i przemysłem wyrabiają sobie dobrobyt; kobiéty zaś lubią nadzwyczaj tańce i muzykę, mają zdolność do wszelkich sztuk i nauk, ale żadna z nich nie będzie dobrą gospodynią!“

Le bon Liegeois wychodzi nie w samym tylko Paryżu; każda prowincyonalna stolica przerabia go na swój sposób, i wydaje na szarym mocnym papiérze z grubemi bohomazami: to niezbędny warunek pokupności.

Jeżeli taki stan kalendarzy nie świadczy o postępie na tém polu, wymownym jest na to dowodem, jak dalece francuzki lud miłuje swe odwieczne tradycye.

W Berlinie otworzoną została wystawa pierwsza w swoim rodzaju, nazwana wojenną. Od lat trzech cesarz Wilhelm rozkazał zbierać wszystko, co w jakimkolwiek kraju napisano o wojnie prusko-francuzkiéj, jak niemniéj wszystkie ryciny, drzeworyty, fotografie aż do obrazków jarmarcznych, po kilka centimów, któremi słynie alzackie miasto Epinol. Ta kollekcya wkrótce tak olbrzymie przybrała rozmiary, że niepodobna było pomieścić jéj w żadnym prywatnym zbiorze, chociażby nawet i cesarskim. Z tego powodu cesarz darował ją publicznéj, berlińskiéj bibliotece. Wprzód jednak urządzono wystawę tych zbiorów: dochód z niéj przeznaczono na inwalidów wojennych.

Publiczność przegląda chciwie te kollekcye. Zajmują szczególniéj powszechną uwagę, niezliczone pisma illustrowane, tak niemieckie, jak francuzkie i angielskie, oraz miliony karykatur, w których najżywotniéj uwydatniło się uczucie dwóch przeciwwalczących ludzi. Julles Favre, zwany przez Niemców *Plaksą z Ferrieres*, najsilniéj rozbudził werwę satyryków niemieckich. Jak Francuzi szydzili z łysiny księcia Bismarka, tak znów Niemcy z bujnéj czupryny Favra. Między karykaturami niektóre nawet przedstawiają samego cesarza Wilhelma, ściągającego zégary, lub téż w postawie śmierci z ogromną kosą w ręku.

W chwili, kiedy wysyłamy kronikę naszą, dowiadujemy się, że p. Aleksander Chodźko, prof. języków i literatur słowiańskich w *Collége de France*, obrał za przedmiot wykładu w tém półroczu tradycye bulgarskie, odkryte przez Werkowicza; prof. Chodźko ma oczywiście więcéj materyałów, dotyczących téj zapowiedzianéj publikacyi, niżeli ich do téj pory ogłoszono.

CYPRYAN WALEWSKI.

W części starego Mazowsza, we wsi *Miłonicach* obwodzie Gostyńskim a województwie Mazowieckiém, urodził się dnia 19 września 1820 r. z ojca Michała b. pułkownika w. p. i Konstancyi z Bagniewskich [1]). Pierwiastkowe wychowanie do lat jedenastu, pobierał w domu pod okiem dobranych nauczycieli: jeżeli ci umieli w dziecinnych jego latach zaszczepić zamiłowanie do nauki, wpływ ojca i matki oddziałały silnie na ukształtowanie się jego charakteru.

Pierwszy, dawny wojak, zahartowany w trudach obozowych, energiczny i surowy, nauczył swoim przykładem syna, do poważnego zapatrywania się na życie. Matka, niewiasta pobożna, pełna miłości i poświęcenia, od kolébki wdrażała uczucia religijne i domowéj moralności, których treścią było owo staropolskie przysłowie:

„Oddaj co czyje, każdemu:
Bogu, ojczyźnie, bliźniemu."

Był to okres, w którym jeszcze tradycya dawna istniała w całéj pełności żywotnéj, która nie odstępowała domowych ognisk rodzinnych, snuła się jak ta pajęczyna *Babiego-lata*, co gdzieś zwrócił kroki, czy spojrzenie, wszędy i zawsze widziałeś pasma téj przędzy białéj a czystéj, którą lud nasz uważa za nici z kądzieli Matki Boskiéj, przeznaczonéj do okrycia ciała sierot i opuszczonych od świata istot.

Tradycya ta w starym dworze Walewskich, miała dobre przytulisko, była to skarbnica domowa, w którą syn po ojcu dorzucał nowe nabytki do pradziadowskich pamiątek. Przesiąkły nią, jak wyraża poeta, i powały tego dworu.

W żywém słowie przechowywała ona wspomnienia dziejów ubiegłych, a w nich brany udział jednostek z téj rodziny, przygody pojedynczych jéj członków, krewniaków i przyjaciół.

Wrota gościnne tego dworu stały otworem, jak i serca gospodarstwa na przyjęcie każdego, i gość podejmowany szczerze i otwarcie, przynosił z sobą wieści ze świata dalszego, a pacholę młode chciwe

[1]) Wiadomości poniżéj podane, czérpiemy z własnoręcznego *pamiętnika*, jaki pozostał w rękopismach zmarłego badacza.

wrażeń, wzbogacało już wiedzę swoją coraz nowemi nabytkami, nie z książek, ale z przemawiającego silniéj żywego słowa.“

Tu ono, nie wychodząc poza progi rodzinnego dworu, uczyło się poznawać, co zacne i szlachetne, co było z prawdą a Bogiem, a co zasługiwało na wstręt i pogardę szlachetnéj duszy.

Od lat dziecinnych, w téj atmosferze pełnéj życia i najpiękniejszych porywów, kąpał swego ducha młody Cypryan i ztąd poczerpnął główne czynniki charakteru swego, który w późniejszych latach umiał pożytecznie rozwinąć, tak w spełnianiu obowiązków obywatelskich, jak w zawodzie literackim.

Przy skończeniu lat jedenastu życia, oddany został ze starszym bratem Władysławem do konwiktu warszawskiego księży Pijarów na *Żoliborzu*. Rektorem był wówczas powszechnie poważany ksiądz Ciastowski.

„Ubrano nas (pisze w swym pamiętniczku) w mundury, a te były kurtki granatowe z niebieskim kołnierzem i białą wypustką, guziki białe, spodnie granatowe z białą wypustką; na święta mieliśmy fraki takie same wojskowym krojem, a do tego czapki granatowe z lampasem niebieskim i białemi wypustkami. Tu pozostawaliśmy przez dwa lata do końca lipca 1833 roku, to jest do czasu, w którym ten konwikt zamknięto.“

Dla ukończenia szkół pomieszczonym został w gimnazyum wojewódzkiém w Warszawie na Lesznie; przeszedłszy klass ośm na wydziale technicznym, w roku 1838 wyjechał na Uniwersytet do Dorpatu, gdzie już brat jego starszy Władysław, pobierał nauki i otrzymał stopień kandydata nauk dyplomatycznych.

Przykry jednak klimat tego miasta, nie dozwolił Cypryanowi ukończyć całego kursu i po trzech latach pobytu, zmuszony był wrócić do rodzinnego gniazda, aby u wód krajowych szukać polepszenia nadwątlonego zdrowia.

Pokrzepiony krótkim wypoczynkiem, osiadł w Warszawie i niezwłocznie wszedł na aplikacyą w roku 1841 do komissyi rządowéj spraw wewnętrznych i duchownych, i w wydziale administracyi ogólnéj, pozyskawszy urząd sekretarza, do r. 1847 w téj władzy pozostawał.

Kochając naukę i pragnąc w dalszém życiu poświęcić pracę badaniom dziejów i literatury ojczystéj, w roku 1842 postanowił zwiedzić za granicą to wszystko, co, jak sam wyraził, „uważał dla siebie za niezbędne do dalszych swych studyów.“

Pierwszém miastem był Poznań, w którym powziął wskazówki do dalszéj naukowéj podróży; następnie zwiedził Berlin, Drezno, Lipsk, gdzie poznał się z Bobrowiczem wydawcą wielu dzieł polskich. Obejrzawszy Magdeburg, ztąd Elbą na statku parowym przybył do Hamburga, właśnie we dwa miesiące po strasznym pożarze.

„Miasto, (pisze Walewski), miało postać zburzonego grodu, i wszystko, co się nazywało *starém miastem*, zgorzało. Sam widziałem jeszcze miejscami wydobywający się ogień z piwnic, który gaszono.“ Ztąd wsiadłszy na okręt parowy angielski, zwiedził miasteczko Cuxha-

wen, a po kilku dniach pobytu, holenderskim okrętem powrócił na ląd stały do Amsterdamu, gdzie się poznał z historykiem Andrzejem Moraczewskim z Wielkopolski.

„Jedna mowa zbliżyła nas ku sobie, a otwartość jego i dobroć, związały nas ściśléj z sobą, chociaż była różnica znaczna wieku, bo wyglądał przynajmniéj na mego ojca."

Odtąd razem przybyli do Haarlem, a następnie zwiedzili Lejdę, Hagę i Roterdam, a przez Antwerpią przybyli do Bruxelli.

„Tu poznałem się z Joachimem Lelewelem, bawiącym ciągle w tém mieście. Mieszkał wtedy na ulicy *du Chaine* pod N-rem 26 na drugiém piętrze. Miał jeden pokój o dwóch oknach; zajęty ciągle pracą i ta zgarbiła go nieco i zeszronowaciała. Jednak był żywy i oko nader bystre; przytomność umysłu zadziwiająca, przytem pamięć niesłychana. Byłem sam świadkiem, kiedy Moraczewski współwydawca *Starożytności Polskich* w Poznaniu, oddawał przypisany mu egzemplarz i ten przyjąwszy z wielkiém ukontentowaniem, rozwarł książkę i począł czytać jeden artykuł Moraczewskiego. Z pamięci wytknął mu błędy nawet małoznaczące."

Z Bruxelli zwiedzili razem Ostendę, a za powrotem już się rozdzielili; Moraczewski pojechał do Paryża, Walewski przez Akwizgran i Kolonią, puścił się Renem dla widzenia zachwalonych jego wybrzeży, nie był jednakże niemi zachwycony.

„Daleko piękniejsze, (pisze sam), podług mnie są okolice Dunaju i Niemna, aniżeli Renu, bo w okolicach Renu, nie to przedstawia się, co natura dała, jeno je wygórowana sztuka upiększyła. Tu chwalimy tylko smak ludzi nad brzegami zamieszkałych; okolice zaś Dunaju i Niemna przedstawiają samą dzikość natury ubarwioną gdzieniegdzie to zaczepionemi na spadzistém wzgórzu zamkami, to miastami lub nakoniec osadami wiejskiemi. Okolica nadreńska łudzi oko, tamte zaś nakazują dla siebie poszanowanie."

Po drodze zwiedził kąpiele w *Ems* i *Wiesbaden*. W ostatniém zatrzymał się dłużéj i tak dom gry opisuje.

„Z początku wielką znajdowałem przyjemność w przypatrywaniu się obrotom rulety, jak w jedném oka mgnieniu przechodziły stosy złota z rąk do rąk. Rozważywszy jednakże, co z tego wypływa i do czego prowadzi, obmierziłem grę sobie i pozyskałem na całe życie dobrą naukę. Malarz, znalazłby tu wiele charakterystycznych rysów w obliczach graczy, malujących tę podłą i nikczemną chęć złota, które łudzi jego oko, a sam widok stosów, rozrzuconych po całym stole, łechce każdego namiętność i zachęca do spróbowania szczęścia."

Zwiedziwszy Moguncyą, Darmstadt, Hejdelberg, gdzie dłużéj się zatrzymał, aby posłuchać wykładu słynnych wówczas professorów tamecznego uniwersytetu; udał się do Strasburga, gdzie obejrzawszy szczegółowo słynną katedrę, wraz z kolegą swoim z Uniwersytetu Dorpackiego, księciem Liewen, wszedł na sam prawie wiérzchołek wyniosłéj wieży, zkąd widok cudowny go zachwycał.

Z Bazylei zrobił wycieczkę do Szafuzy, dla widzenia sławionego wodospadu Renu. W Monachium zatrzymał się blizko cały miesiąc, poświęcając czas na przeglądanie biblioteki królewskiéj, robienie notat z dzieł rzadszych, oraz zbiorów znakomitych pędzla i dłuta, nagromadzonych w tém mieście. Wiedeń i jego okolice zabrały mu kilkanaście dni czasu, bo pragnął wszystko, co godne do widzenia obejrzéć; nareszcie przybył do Krakowa.

Pierwszy raz oglądając ten gród starożytny, zachwycony jest jego pamiątkami starożytnemi, jak i tylu wieków wspomnieniami. Po półrocznéj wreszcie podróży wrócił do Warszawy.

„Osiadłszy w niéj na dobre, naciągnąłem na warsztat moje prace i przedsięwziąłem opisać życie sławnych Polaków, czerpiąc ze źródeł najprawdziwszych, i o ile można najdokładniéj, a jakie zostawili dzieła z krytyką odpowiednią dołączyć, mając za wzór wiekopomne dzieło Ossolińskiego p. t. „Wiadomości historyczno-krytyczne."

Wśród rozpoczętych prac, zapragnął bliżéj poznać towarzystwa warszawskie.

„Ze wszystkich domów (pisze), które stały otworem dla porządnéj młodzieży, było zawsze kilka, co w pewne dni przyjmują, jak pp. Łuszczewscy w słynne, poniedziałkowe wieczory; w piątki zaś przyjmuje pani Katarzyna z Lipińskich Lewocka. Umié ona wesołemi opowiadaniami rozmowę podtrzymywać, a obejściem bez różnicy, wieczory uprzyjemniać. Jest ona autorką; brat jéj rodzony Tymoteusz Lipiński nadzwyczaj pracowity, ciągle pisze i wydaje różne pisma. Jakiś czas bawiła w Warszawie pani Balińska, córka sławnego Jędrzeja Sniadeckiego, a małżonka Michała Balińskiego wielce zasłużonego w literaturze. Kobięta z wielkiemi zdolnościami, światła, największe upodobanie znajdowała w naukach stosowanych; myślałbyś że przeto nudne z nią towarzystwo, lecz przeciwnie najmilsza i najweselsza w rozmowie. Pełna zdrowego rozsądku, jak najlepiéj myśląca, dnie całe mógłbyś z nią na rozmowie przepędzać, a nie znudziłbyś się nigdy. Takichto kobiet, jak najwięcéj nam potrzeba! Wyjechała w czerwcu 1844 roku do Wilna. W podobnym rodzaju jest i ksieni kanoniczek Karsznicka, osoba licząca przeszło lat sześćdziesiąt, lecz zawsze wesoła, pełna głębokich wiadomości, zdrowy sąd wydająca o rzeczy i obejmująca z wielką szybkością równającą się młodzieńczéj, wszystko co słyszy lub czyta. Towarzystwo jéj zawsze jest przyjemne i nauczające, nie jednéj rzeczy nauczyć się można. W téj szkole wykształciło się wiele panien kanoniczek. Z prawdziwą téż nieraz przyjemnością spędzam godziny z nią na rozmowie."

Bywając w wielu towarzystwach, znalazł wstęp i do domu wojewody *Nakwaskiego*. Żona jego *Anna z Krajewskich*, córka słynnego instygatora za Stanisława Augusta, znaną jest w literaturze naszéj. O niéj pisze Walewski:

„Miałem sobie pozwolony od pani Anny Nakwaskiéj pamiętnik jéj młodości p. t. „*Moje wspomnienia od 1794 do 1810*, dotąd w rękopiśmie będący. Jako o autorce należy mi więcéj powiedzieć. Wystaw-

my sobie osobę 64 lat wieku mającą, dobrego wzrostu, przyjemną w rozmowie, osobę należącą do typowych postaci niewiast polskich XVIII wieku, wybornie przedstawiającą dawną gościnność. Lubi wiele mówić, z prawdziwą też przyjemnością można słuchać, gdy się rozgada o czasach upłynionych, a wybornie je maluje. Pisała najprzód po francuzku; wytłumaczyła w tym języku pierwszą powieść księżnéj Wirtembergskiéj: „*Malwina czyli domyślność serca*," po polsku zaś „*Czarną marę*," „*Powieści niedzielne*" i kilka innych. Ze wszystkich jéj pism, które czytałem, żadne mnie tyle nie zajęło, co jéj wspomnienia. Wprawdzie nie znajdziesz w nich wypadków politycznych i historycznych, ale odkryjesz to, czego gdzieindziéj nie napotkasz. Bywając po różnych domach wyższych i do nich należąc, zostawiła nam zarysy tego towarzystwa miłe i przyjemne do czytania, przenosząc każdego w tamte czasy."

Pisząc Walewski te słowa nie spodziewał się że nie długo ściślejsze stosunki zwiążą go z rodziną Nakwaskich.

Posłuchajmy co mówi w swoim pamiętniku:

„Zima 1846 roku będzie dla mnie miłém wspomnieniem, gdyż wtedy zawiązałem bliższą znajomość z osobą, którąm sobie upodobał i zapragnął podzielać z nią na przyszłość los jaki wypadnie. Dotąd jednak jestto dla mnie zagadką, nie wiedząc, czy z jéj strony również tego samego spodziewać się mogę. Osoba ta jest bardzo miła, uprzejma, wesoła, częstokroć do pustoty i żywa. Dowcip jéj wielki, lecz niekiedy złośliwy, bywał wymierzany zwykle przeciw młodzieży, co ją otaczała. Wymagała szybkiéj odpowiedzi, z równém odbiciem jak był pocisk. Pomimo woli i chęci, bo zawsze bez namysłu wypowiadała nie jednemu bolesną prawdę, na którą zwykle odpowiedzieć nie umiał. Ileż to razy wzruszyć trzeba było ramionami litując się nad biedakiem, a niekiedy nawet stanąć w jego obronie. Dziwny miała sposób walczenia, bo jeżeli mową nie potrafiła kogo zbić z toru, to swemi ognistemi oczami i potém spieszném nader wypowiedzeniem swych myśli, najczęściéj umiała najmocniejszego pokonywać nieprzyjaciela. Jeżeli kobiéty posiadają bystrość dowcipu, to ona go w całéj pełni posiadała; rzucała nim zwykle w towarzystwie na wszystkie strony, nie bała się nigdy najtrudniejszéj nawet rozmowy i zwykle dotrzymywała pola. Wprawdzie nie lubiła się wdawać w uczone rozmowy, nie dlatego ażeby się czuła za słabą; lecz powiedziałbym że umiała nauki wyżéj oceniać, jak jéj rówiennice. Kto ona jest, niech zostanie dopóty tajemnicą, dopóki zagadka nie będzie rozwiązaną."

Tą osobą była *Karolina* Nakwaska wnuka autorki *Wspomnień*, którą w rok późniéj zaślubił.

Pamiętniczek swój nie ciągle prowadził, albowiem są przerwy pomiędzy 1845 a 1847 rokiem. W nim też znajdujemy ślady mozolnych prac Cypryana Walewskiego, które pozostały w rękopiśmie, albowiem o nich nie wspomniał przed najbliższymi przyjaciołmi.

Tak pod rokiem 1845 pisze:

„W końcu tego roku podjąłem się napisania dziełka p. t. *Rys historyczny dyecezyi lubelskiéj.* Ksiądz Broniewski opisał tę dyecezyę i nadesłał ogromny stu arkuszowy rękopism, pełen dobrych rzeczy, lecz przepełniony mnóstwem drobnostek, które mu się jako księdzu zdawały zawsze nader ważnemi do zachowania szczegółami. Nikt podjąć się nie chciał, aby z tego ogromu prawdę wygrzebać, dopełnić ją, sprawdzić daty historyczne i we właściwéj szacie światu pokazać. Praca to była nader mozolna i gdyby nie chęć przysłużenia się czémkolwiek literaturze naszej, nigdy nie byłbym się tego podjął.“ Rok téj pracy poświęcił i po długiéj przerwie w swym dzienniczku pisze:

„Skończyłem opis dyecezyi lubelskiéj, miałem nadzwyczajną nad nim pracę: całkowicie przerobić go musiałem, porobić dopełnienia do historyi miast, którą niedokładnie zamieścili autorowie *Starożytnéj Polski.*“ Rys to charakterystyczny zmarłego pisarza, jaki znajduję w jego dzienniczku. Po opisie tak szczegółowym wnuczki autorki *Wspomnień*, przywiedzionym powyżéj, która gorące uczucie obudziła w młodém jego sercu, zaraz poniżéj, a jednym pociągiem pióra skreśloną znajduje nowe studya, które równocześnie rozpoczął:

„Po ukończeniu jednéj pracy wziąłem się teraz do innéj, nieco jeszcze trudniejszéj (mówi na początku r. 1847), mało znanéj części literatury naszéj. Tą jest akademia Zamojska. Zmarły professor a następnie bibliotekarz Ordynacyi Zamojskich, *Ignacy Lojola Rychter* miał sobie polecone od Ordynata, aby zajął się dziejami akademii Zamojskiéj. Jął się do tego żwawo i w krótkim czasie chciał to dzieło wystawić na widok publiczny, lecz śmierć przerwała najlepsze jego chęci. Mówię chęci, bo zdaje mi się że choćby żył jak najdłużéj, to sądząc po jego materyałach, trudnoby mu było to razem drukiem ogłosić. Za pośrednictwem Antoniego Cyprysińskiego, Ordynat pozwolił mi zająć się przejrzeniem pozostałych rękopismów po Rychterze, dotyczących akademii Zamojskiéj. Z téj jednak całości wybrałem jeszcze część taką, którą uważałem za najważniejszą i za niezbędnie potrzebną: t. j. wyjaśniającą literaturę oddzielnéj zupełnie od innych szkoły akademii Zamojskiéj. Zbieram więc materyały do żywotów znakomitych téj akademii professorów, jak równie studentów, którzy cośkolwiek napisali i umyśliłem ułożyć *Spis bibliograficzny* wszystkich pism w Zamościu wydanych. Literatura akademii oddawna już skończona, istnienie jéj znikło i dawna jéj świetność zamieniła się w zaledwie dziś słyszaną szkołę, utrzymywaną dotąd przez ordynacyę w Szczebrzeszynie. Postanowiłem każdego pisemka tytuł na osobnéj wypisać kartce, oznaczając od góry rok, nazwisko autora jeśli wiadome, miejsce druku; pod tém cały wypisał tytuł: dać opis pisma bibliograficzny, treść tego i zdanie krótkie o jego wartości. Sądzę, że w ten sposób najłatwiéj byłoby zebrać naszą bibliografią, bo mając ją chronologicznie spisaną na pojedynczych kartkach, łatwo porządek jéj przemieścić, czy to podług autorów, czy podług miejsca druku, czy nawet gdyby kto chciał i podług materyi.“

Na tych słowach kończy się dzienniczek Walewskiego: co go spowodowało do zaniechania go, nie wiadomo. Nie możemy opuścić słów, które położył na czele tych wspomnień swoich, gdyż najlepiéj malują nam szlachetny, staropolski charakter zgasłego męża.

„Wszystko (pisze we wstępie swoim) zaczynać powinniśmy od Boga, a mianowicie też w trudniejszych razach i w wypadkach tak ważnych jak jest ta myśl, którą przedsięwziąłem. Uciekam się też do Ciebie Panie Boże z prośbą, abyś w każdym razie, kiedy wezmę za pióro i tu co zapisywać zechcę, natchnął mię zdrową myślą, dobrą radą i uczynkiem. Ma to być dziennik mego życia, wprawdzie dla mnie samego służący za naukę, abym w późniejszém życiu przeczytawszy ustępy z niego, przekonał się, jakie to były płoche myśli i lekki sąd o rzeczach.“

To, o czém wspomina zamykając swój dziennik, stało się od początku roku 1847 głównym celem pracy Walewskiego i zadaniem życia jakie sobie położył. Tego celu nigdy z uwagi nie spuszczał i wszystkie odtąd wolne chwile zgromadzaniu zasobów do *Bibliografii polskiéj* poświęcał [1]).

W roku 1847 poślubiwszy Karolinę córkę Henryka i Karoliny z Potockich Nakwaską, porzucił służbę rządową i osiadł w majątku swéj żony we wsi Nakwasinie w gubernii i powiecie płockim.

Lubo to były piérwsze kroki w zawodzie rolniczym, który za dalszy cel swego życia obrał, potrafił wkrótce obznajomić się z głównemi zasadami gospodarstwa wiejskiego. Zaprowadziwszy ład, porządek i systematyczność, uzdolnił się w parę lat do tego stopnia, że gdy spadł na niego ciężar administracyi dóbr Mała-wieś, z kilkunastu składających się folwarków, wywiązał się godnie i uczciwie z przyjętych obowiązków i potrafił przez to zjednać nietylko zadowolenie, ale i wdzięczność całéj rodziny swéj żony.

Wśród mozolnéj pracy prowadząc tak wielkie gospodarstwo, wkrótce pozyskał sobie miłość, szacunek i poważanie współobywateli, którzy wszelkie spory i nieporozumienia, pod ostateczne jego rozstrzygnienie oddawali. Powołany na urząd sędziego pokoju (od r. 1859 do 1862) spełniał te obowiązki sumiennie i gorliwie. Po śmierci żony, która zmarła w roku 1867, zapragnął ciszy i spokoju ażeby się oddać ulubionym pracom, do których zgromadzał przez lat wiele potrzebne zasoby. Dwadzieścia lat utrudzającéj gospodarki, wśród ciężkich nieraz okoliczności wzmocniły ten zamiar. Jakoż w roku 1869 sprzedał swój majątek i przeniósł się na stałe mieszkanie do Warszawy. Sprowadził swój znakomity księgozbiór, który zgromadzał od ćwierć wieku z górą z wytrwałą troskliwością i zajął się jego uporządkowaniem.

---

[1]) Szczegóły biograficzne z niniejszego życiorysu podaliśmy poprzednio w „Kłosach“ nr. 441, dając krótkie wspomnienie o zmarłym badaczu przy jego portrecie.

Teraz cały swój czas poświęcał wyłącznie pracom literackim. Jeszcze na wsi zajęty gospodarstwem, wyjeżdżając do wód zagranicznych starał się we wszystkich znaczniejszych miastach przejrzeć dokładnie biblioteki. Zawiązał stosunki ze wszystkiemi znakomitszemi antykwaryuszami i gdziekolwiek było co ważnego do dziejów i literatury ojczystéj, już wcześnie o tém wiedział i nie żałował wydatku dla nabycia rzadkości bibliograficznych.

Po osiedleniu się stałém w Warszawie, dla pomieszczenia wygodnego swych zbiorów, a zarazem cichego zakątka do pracy, nabył dom odpowiedni przy ulicy Złotéj (Nr. 17) i tu już z całą swobodą oddał się ulubionym zajęciom.

Nawykły do rannego wstawania, wczesne godziny poświęcał układaniu notat bibliograficznych i ich uzupełnianiu, późniejsze przedobiednie chwile trawił tak w bibliotece publicznéj jak i innych większych księgozbiorach, skrzętnie poszukując pożądanych dla siebie wiadomości.

Choroba organiczna już go gnębić coraz więcéj zaczęła, powiększała ją praca ciągła, bez któréj żyć nie mógł. Kaszel astmatyczny coraz był większy i nie zmniejszyły go ani wody Emskie, ani cieplejszy klimat.

Przez trzy lata ostatnie coraz gorzéj wracał z zagranicy. W roku zeszłym wyjechał do Szwajcaryi, gdzie bawił parę miesięcy: za powrotem stan się zdrowia tak pogorszył, że pomimo wszelkich starań, już nadziei ocalenia nie było.

W tak smutnym stanie najboleśniejszą rzeczą było dla niego, że coraz mniéj mógł czytać i coraz mniéj pisać.

Ulubioną jego pracą, któréj wiele lat poświęcił, była w obszernych rozmiarach monografia *Marcina Kromera*, z któréj część tylko Biblioteka Warszawska ogłosiła. Całe więc dzieło oddzielnie postanowił drukować. Spełnił swój zamiar i chociaż już martwiejącą ręką korrektę ostatnich arkuszy sam dopełnił. Literatura polska zyskuje w tém dziele jednę z najdokładniejszych monografii, którą śmiało obok „Wiadomości historyczno-krytycznych“ I. M. Ossolińskiego położyć możemy, tak co do ogromu erudycyi jak i wyczerpania samego przedmiotu.

Cichy a skromny pracownik nie upędzał się nigdy za próżnym rozgłosem, tak w gronie obywatelskiém jak i w zawodzie literackim. Trzeba było moralnego przymusu i przyjacielskiego nacisku, ażeby znaglić śp. Cypryana do drukowania w *Bibliotece Warszawskiéj* pierwszéj jego monografii: „*Jan Łaski reformator kościoła*,“ któréj dał nadpis: „Wiadomości historyczno-bibliograficznéj.“

Szacowna ta praca wyszła też oddzielnie i zwróciła powszechną miłośników literatury polskiéj na siebie uwagę. W dziejach reformacyi XVI wieku, wielką rolę odgrywa ów Łaski, synowiec arcybiskupa, sam biskup, a następnie wróg katolicyzmu i najgorliwszy jego prześladowca. Jakkolwiek biegły bibliograf F. M. Sobieszczański w wielkiéj *Encyklopedyi powszechnéj* S. Orgelbranda, podał nam więcéj szczegółowy życiorys, dość jest z nim porównać monografią Cypryana Walewskiego, ażeby się przekonać jak potężną erudycyą uzbrojony, zabrał się do téj

tak wydatnéj postaci, ilu szczegółami uposażył, i spis prac piśmiennych Łaskiego wzbogacił.

Od roku 1860 jako członek redakcyi *Biblioteki Warszawskiéj* nie przestawał wspiérać jéj oprócz wymienionych już dwóch monografii, sprawozdaniami o ważniejszych publikacyach tak historycznych jak literackich. Pomiędzy temi rozbiorami wymienić musimy sprawozdanie o pełném wartości dziele D-ra Teofila Żebrawskiego członka Akademii Umiejętności w Krakowie: „Bibliografia piśmiennictwa polskiego z działu matematyki i fizyki oraz ich zastosowań“ (Kraków 1873 roku), w którém uznając całą jego wartość, uzupełnił i wskazał niektóre braki i opuszczenia.

Najobszerniejszych rozmiarów z prac zgasłego badacza jest: „*Bibliografia polska*,“ którą zamierzał sam wydać, i któréj poświęcił najpiękniejsze lata młodości, większą połowę swego życia. Bibliografia ta tém więcéj zasługuje na uwagę, że każde dzieło o którém pisze, miał w ręku i dobrze go przejrzał.

Nadto przy tych notatach bibliograficznych zamieszczał treść dzieła, sąd o niém i wiadomość o jego autorze. Przekonany o wartości swéj pracy, oceniając należycie jéj znaczenie dla badaczy dziejów piśmiennnictwa polskiego, z rzewnym smutkiem zwracał ku niéj myśl swoją, że nie podoła jak zamierzył ogłosić jéj drukiem [1]).

Wiedział o zbliżającéj się ostatniéj chwili, wiedział, że wszelka pomoc lekarska już daremna; zachowując do ostatka całą przytomność umysłu, przygotował się do niéj jako dobry chrześcianin, pożegnał z bratem i przyjaciołmi i w dniu 25 listopada 1873 roku we wtorek o godzinie siódméj wieczorem zakończył życie.

Na parę tygodni przed zgonem otrzymał list od Karola Estrejchera, w którym mu donosił, że oczekuje nań krzesło akademickie w Krakowie. Ukazując te słowa najbliższemu ze swych przyjaciół, smutnie zwiesił głowę na piersi, i wyrzekł cichym głosem: „Inne miejsce Bóg mi naznacza: cichy grób na cmentarzu Powązkowskim.“

Zgon ś. p. Cypryana Walewskiego bolesne obudził uczucia w sercach tych wszystkich którzy go bliżéj znali i ocenić umieli w nim szlachetność charakteru, podniosłe myśli i zacność duszy [2]). Literaci

---

[1]) Drogocenny ten rękopism, owoc tak długich studyów i mozolnych Cypryana Walewskiego nie zaginie dla nas, albowiem brat Władysław jedyny spadkobierca zgasłego, znający dobrze jego znaczenie, już udzielił go chętnie Karolowi Estreicherowi bibliotekarzowi Uniwersytetu Jagiellońskiego i członkowi Akademii Umiejętności w Krakowie, ażeby zużytkował do swego pomnikowego dzieła: „Bibliografii polskiéj.“

[2]) Dobrze tę szlachetność malujący, chociaż drobny rys przywiodę, dopiéro po jego śmierci wiadomy. W domu który nabył przy ulicy Złotéj, wolny pokoik odnajął jednemu z niezamożnych uczniów Akademii, za rs. trzy mie-

znajdowali u niego zdrową radę i pomoc niemałą w jego znakomitéj bibliotece. Z miłą chęcią użyczał z niéj dla pracowników dzieł zażądanych, i uprzejmie dawał wskazówki gdzie znaléźćby mogli potrzebne dla siebie zasoby, bo ogrom wiadomości potemu zdobył przy studyach swoich bibliograficznych, zgromadzając tak własny księgozbiór wyłącznie poświęcony dziejom i literaturze ojczystéj, jak przepatrując pilnie biblioteki krajowe i zagraniczne.

Zwłoki zgasłego męża spoczęły na cmentarzu Powązkowskim w najdawniejszéj jego części, w pobliżu miejscowego kościołka.

Warszawa, dnia 13 grudnia 1873 r.

K. Wł. Wójcicki.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Zarys dziejów literatury polskiéj na podstawie badań najnowszych pracowników, nakreślił Adam Kuliczkowski. Nakładem Karola Wilda. Lwów 1872.

Bogactwo umysłowe jednostek, zarówno jak materyalne, uważane są przez ogół krajowy za jego zaletę spólną, bogactwo spólne; nie dziwmy się więc, że pisma oceniające i zbliżające szczegóły tego bogactwa, lub jaśniéj mówiąc, że gałąź historyi literatury, jest, jak i była przedtém, jedną z najwięcéj popularnych u nas gałęzi, nawet przed kilką laty, (jak na to zwracaliśmy tu już kiedyś uwagę), kiedy powszechną była u nas i w literaturze i w handlu księgarskim stagnacya, nowe zarysy dziejów literatury krajowéj nie przestawały się były u nas ukazywać i to nieraz własnym nakładem księgarzy.

---

sięcznie. Kiedy w roku 1872 grożono podniesieniem komornego, C. Walewski napisał te słowa do swego młodego lokatora: „Ponieważ pan masz pokój widny, obszerny i ciepły, mianowicie jak napalisz, to z uwagi, iż jako gospodarz winien jestem jak największe ściągnąć dochody: postanowiłem więc panu podnieść komorne w ten sposób, że od dnia pierwszego października 1872 roku będziesz opłacał miesięcznie rubla, czyli na kwartał trzy ruble. Za zgodność poświadczam, *Walewski*. Warszawa d. 30 listopada 1872 roku.

A jednak mimo tę popularność i tę ilość publikacyi podobnéj treści, żadna z nich nie odpowiedziała dotąd potrzebie powszechnéj i nowy utwór, którego napis przywiedliśmy, nie jest wcale zjawiskiem zbytecznem.

Zarys obecny dziejów literatury p. Kuliczkowskiego, od największéj części utworów poprzednich tego rodzaju, odróżnia się mianowicie tém, iż najprzód jest obrazem czyli wykładem swego przedmiotu szykownym i harmonijnym, iż przedstawia lubo na małą skalę, treść zupełniejszą od wielu i wreszcie, a nadewszystko tém, iż w rozwinieniu przedmiotu, jest kreśleniem zdań własnych niepożyczanych, tojest opieraniem tych zdań na istotnéj i bliższéj znajomości pisarzy i pism ocenianych.

Obraz dziejów literatury polskiéj, rozdziela p. Kuliczkowski ze względu, jak mówi, na idee, które w niéj występowały na następujące trzy wielkie epoki: *scholastyczną* od początku literatury do połowy wieku XVI-go; *klassyczną* od roku 1500 do r. 1820 i wreszcie od r. 1820 do naszych czasów, epokę *narodową*.

W przedstawieniu epoki pierwszéj, autor mówi o pierwotnéj oświacie Słowian, o pierwszych poetycznych zabytkach niektórych spółplemion i wreszcie o kronikach najdawniejszych zabytkach języka, oraz wieku kwitnienia akademii Krakowskiéj. Okres drugi klassyczny, rozdziela na trzy podokresy, tojest czas kwitnienia literatury, (wiek zwany złotym), czas jéj upadku (okres makaroniczny) i wreszcie okres „Stanisławowski i Księstwa Warszawskiego", który zowie w nawiasie pseudo-klassycznym. Epokę trzecią ostatnią, autor nie dzieli na żadne podokresy, lecz za to mówi o niéj najobszerniéj, jako stosunkowo najbogatszéj i oczywiście najlepiéj sobie znanéj. Jak w całym obrazie, tak i w kreśleniu téj epoki, autor sposobem najwięcéj u nas ulubionym, zajmuje się częścią nietylko bibliograficzną, lecz i biograficzną wzmiankowanych pisarzy; nieraz nawet z przewagą mniéj proporcyonalną, (ile w zarysie) téj ostatniéj, zdania o charakterze pism i pisarzy wyprowadza z bliższéj ich znajomości i oznacza (zdaniem naszém trafnie) i ogólną charakterystykę głównie rozwiniętych śród tego okresu gałęzi, t. j. historycznéj, poetycznéj i filozoficznéj. O gałęzi *historycznéj* między innemi wyraża, iż od czasu Naruszewicza charakteryzuje ją głównie opieranie się na krytyce faktów, i że ztąd odznaczyło ją mianowicie bogactwo monografii i zbiorów źródeł; o *poezyi*, iż w tym okresie „ogarnia pieśń" cały naród, jego wierzenia, miłości, nadzieje, oraz, iż jest już wielką i prostą, jak podanie ludu, to znów pełną natchnienia proroczą i nawet filozoficzną, i mistyczną; o *filozofii*, iż filozofia nasza (po roku 1830), wyrasta na gruncie nowéj filozofii niemieckiéj, w szczytności i subtelności dosięga wyżyn swojéj mistrzyni, a nawet się kusi o jéj prześcignienie. Mówiąc o poprzedniéj epoce klassycznéj, a mianowicie o początku obecnego stulecia, autor za główną wadę umysłowości ówczesnéj kraju uznaje zbytnie przejmowanie się obczyzną (franko-

manią). „Zamiłowanie obczyzny, mówi, doszło było w tym czasie prawie do bezrozumnego bałwochwalstwa: z ciała zwleczono suknie przodków, z duszy wiarę przodków, z mowy język przodków"; przeciwnie ową ostatnią epokę, oznacza, jako górującą nad wszelką dawną. Dawniéj, mówi, piśmiennictwo polskie, choć rozwijało się czasem bardzo świetnie, to jednak nie było tak rzeczą całego narodu, jak obecnie. Znamieniem obecnéj literatury, jest téż jéj szczególne bogactwo. Poezyą narodową wydał dopiéro wiek XIX, epopeja i dramat teraz dopiéro zakwitły, nadto, przybyła powieść i filozofia. Każdy dział piśmienniczy ma licznych pracowników, pomiędzy któremi nierzadki geniusz (str. 274). Wzgląd na to każe nawet autorowi (łączącemu w kreśleniu obrazu, różnorodne idee) odłączyć się od pessymistów domowych i oglądać przeciwnie nad społecznością, któréj umysłowość kreślił, istnienie opieki duchowéj, „wystąpienie, mówi, tylu genialnych na każdém polu pracowników, jest zapewne dziełem Opatrzności, bo natchnienie spływa łaską z góry i z góry pochodzi wielka zdolność."

W obecnym zarysie literatury, otrzymaliśmy więc słowem dziełko, które jest zdolne i szczegółowiéj, i wcale trafnie zaznajamiać z przedmiotem swoim, tak nieznającego go dotąd krajowca, jak cudzoziemca. Mówiąc to jednak, nie chcemy zarazem twierdzić, iżby ten skreślony obrazek, był już i ściśle dokładnym i był bezbłędnym. Im obszerniejszy może być danéj książki użytek, tém więcéj i ujemne jéj strony nie powinny być omijane i zacierane, i dlatego zwrócimy tu uwagę na niektóre w obrazie tym, już większego, już mniejszego nawet znaczenia omyłki lub opuszczenia.

A najprzód nie znajdujemy wcale, iżby ów podział literatury na dwie epoki scholastyczną i krytyczną był charakteryzującym przedmiot i trafnym. W piśmiennictwie pierwszéj epoki, które do czasu założenia akademii Krakowskiéj, składało się wyłącznie prawie z kronik, pieśni duchownych i ustawodastwa, a zatém aż do wieku XV-go, cóż było scholastycznego? W głównych następnie utworach piśmiennych epoki drugiéj, jako to w *Trenach* Kochanowskiego, *Wizerunku* i *Zwierciedle* Reja, w *Victorii Deorum*, *Roxolanii*, *Worku Judaszowym* Klonowicza, w charakterystyczniejszych utworach Górnickiego i Orzechowskiego (*Quincunx*) i t. p, cóż było klassycznego? W istocie uczynionego podziału nie znajdujemy nawet wcale odbicia téj objawionéj przez autora zasady, iż „idea literatury łączy się ściśle z faktami politycznemi" (str. 3). Od roku 1500 do 1820 przez ileż zmienionych faktów politycznych przechodził naród, a jednak według autora przez ten czas cały przechodził tylko w literaturze *jeden i tenże okres* klassyczny.

Następnie z przedstawienia epoki pierwszéj, czytelnik nie poweźmie bynajmniéj o jéj właściwych cechach i jéj cząstkowém bogactwie, rzetelnego wyobrażenia.

W przedmowie autor mówi: „dokładne rozpatrzenie się w skarbach literackich, poznanie ich nie ze słychu ani z czyjejś wzmianki, ale z własnego rozczytywania, oto pierwsze i najgłówniejsze poznania literatury źródło". Przestroga to bardzo słuszna i żałować wypada, iż przy skreślaniu obrazu epoki pierwszéj autor jéj nie miał w pamięci. Jest modą u naszych historyków literatury, iż mówiąc o jéj pierwszym okresie, mówią wiele i przytaczają wyjątki z *Pieśni Igora* i *Królodworskiego rękopisu*, czyni to i pan Kuliczkowski. Wyznajemy, iż nie rozumiemy téj mody; jestże to dla przypominania i dla dowodu, iż ludy spółplemienne były wtedy bogatszéj, niż nasz fantazyi? Cóż właściwie odznaczyło mianowicie u nas ów pierwszy okres? oto przedewszystkiém wartość *kronik* i w końcu głośność prac i wykładów w nowo-utworzonej akademii Krakowskiéj. Aby ocenić wartość ówczesnych naszych kronik *Galla i Kadłubka*, dosyć je przyrównać do ówczesnych kronik spółczesnych, np. niemieckich w zbiorze Pertza. Kronika Galla, nie było to suche wyliczanie chronologiczne wypadków, lecz był to różnostronny, ożywiony obraz w danych latach dawnego kraju, był to poemat, w którym bohatér jego Bolesław III ze swemi wadami, przymiotami, cechami, przedstawił się jako bohatér epopei, z różnicą, iż szczegółami jéj była ścisła prawda dziejowa. Kronika znowu mistrza Wincentego, był to utwór, który w wykładzie swym, bogactwem spekulacyjnych uwag, wymową, poezyą, wyniósł się nad utwory wieku; ta wyjątkowość pióra charakterem jest wszystkich czterech ksiąg kroniki i ostatecznie sprawdza jedność ich autora; na te cechy i tę wysokość *piśmiennych* zalet téj kroniki, wskazywali nawet w ostatnich czasach sami historycy z powołania i cudzoziemcy, (jak np. Zeisberg), tém więcéj więc nie powinien był ich pomijać historyk literatury. Otóż albo mylimy się bardzo, albo autor zarysu w tych głównych utworach epoki nie rozczytywał się wcale. Przystępując bowiem do wyliczania i charakterystyki kronik mówi: „Kronikarz postępuje porządkiem lat zamykając pod datą każdego roku wszystkie ważniejsze znane sobie zdarzenia; tymczasem jestto właśnie stroną ujemną kronik Galla i Kadłubka, iż jest w nich zupełny brak chronologii. Charakteryzując następnie bliżéj kronikę Galla, autor wyraża tylko: „Wielbi Krzywoustego, dalekim jest jednak od pochlebstwa" (str. 35). O kronice zaś Kadłubka te tylko słowa: „Kronika ta zawiera cztery księgi, piérwsze trzy są pióra Mateusza herbu Cholewa. Kadłubek podejmując na rozkaz Kazimierza Sprawiedliwego pracę Mateusza, napisał do niéj wstęp i dołączył czwartą księgę, ułożoną sposobem opowiadania" (str. 35). Mówiąc niżéj o wieku kwitnienia Akademii Krakowskiéj autor wspomina tylko nazwiska niektórych akademików bez wymieniania nawet tytułów ich prac. Autor zarysu, przedstawieniu epoki 1-éj poświęcił stronnic 40, mówi tu już o świecie Słowian, już dziejach krajowych, wyjątkom z pieśni Igora i rękopisu Królodworskiego poświęca całych kart kilka, przy-

stąpiwszy zaś z kolei do właściwych produkcyi okresu, nie mówi o nich nic, albo tak jak nic.

Dodajmy też tu z okoliczności szczegółów tego okresu jeszcze jedną uwagę. Po Kadłubku wspomina autor o kronice *Boguchwały* i jéj kontynuacyi przez Baszkę. Długosz który wyliczał troskliwie wszystkie zasługi wzmiankowanych przez siebie duchownych, lubo wspomina o wszystkich Boguchwałach poznańskich, nie mianuje żadnego autorem kroniki; nikt też u nas do końca XVIII wieku nie znał żadnéj Kroniki Boguchwały a tylko Kronikę Baszki, dopiéro Sommersberg znalazłszy w swym egzemplarzu Kroniki Baszki te słowa: „w tymże czasie ja Boguchwała miałem sen“ etc. całą kronikę uznał za Kronikę Boguchwały i pod tém nazwiskiem ją wydrukował; niemogąc zaś wytrącić nawiska Baszki uznał go tylko za kontynuatora; lecz słowa powyższe o śnie znajdują się w tymże kształcie i w innych kroniczkach, a na kwestyę tę i wyłączne autorstwo Baszki całéj kroniki zwrócił, właśnie dobitną uwagę Mosbach w swéj uczonéj broszurce *Godysław-Paweł*. Mówiąc znowu o najdawniejszym zabytku języka polskiego, Psałterzu *Floryańskim*, autor Zarysu mówi: „*Niéma wątpliwości* iż Psałterz ten był w posiadaniu Jadwigi a następnie szedł spadkiem w rodzinie Jagiellonek do Katarzyny żony Zygmunta“ (str. 39). Twierdzenie to dziwnie brzmi obok tego objaśnienia, które przed parą laty ogłosił *Nehring* w broszurce o tym Psałterzu, iż na okładce jego znajduje się napis łaciński z roku 1557 w tych słowach: „Psałterz ten w tym roku jest własnością Bartolomeo Siess, który go nabył od kupca włoskiego“ chociażby więc istotnie ostatecznie był własnością Katarzyny, nie mógł iść nieprzerwanym spadkiem od Jadwigi. Rozprawa Mosbacha Godysław-Paweł jest z roku 1867, Vincentius Kadłubek Zeissberga z roku 1869, dziełko o Psałterzu floryańskim Nehringa z roku 1871; mniéj właściwie wyraził więc w napisie p. K. iż jego Zarys „na podstawie badań najnowszych pracowników jest przedstawiony.“

Daleko charakterystyczniéj, i owszem dokładniéj niż w jakim innym zarysie literatury przedstawionym jest przez autora okres drugi; więcéj mianowicie niż w innych zwróconą tu została uwaga na treść łacińskich naszych poezyi, i znaczném jest że o większéj części głównych pism tu wzmiankowanych mówi autor z własnego o nich sądu; zrobiliśmy jednak uwagę, że w szczegółach tego przedstawienia, za mało widać, a raczéj prawie nie widać wpływu tak bogatego przyczynku do dziejów literatury jak dzieło Mecherzyńskiego „*Historya wymowy*,“ oraz innych studyów licznie w tych ostatnich latach czynionych nad pisarzami téj epoki; z drugiéj zaś strony za mniéj właściwe poczytujemy wtrącane do obrazu liczne wypisy z przekładów poezyj łacińskich, Kochanowskiego, Symonowicza, Klonowicza i innych, jakkolwiek pięknego pióra Syrokomli, w Zarysie dziejów literatury, ile w zarysie, jeżeli wystarczało miejsce na przytoczenia, właściwszém bołoby przytaczanie oryginalnych wyjąt-

ków ze wzmiankowanych poetów; czytelnik bowiem obecnie zaznajamia się nie z oryginalną, właściwą każdemu z nich dykcyą, lecz z dykcyą Syrokomli.

Najobszerniéj i najtrafniéj, powtarzamy, przedstawioną jest charakterystyka pism i pisarzy z ostatniego spółczesnego nam okresu, a jako najwięcéj odznaczone wskazujemy na zdania, z poetów o autorze Iridiona, z historyków o Szajnosze, z filozofów o Gołuchowskim. Pomijając jednak trafiające się autorowi małe biografijne omyłki, jako to gdy mówi np. o tymże Gołuchowskim, że „osiadłszy w Garbaczu oddał się wyłącznie zajęciom literackim," gdy przeciwnie autor ten osiadłszy w Garbaczu oddał się wyłącznie przez lat trzydzieści zajęciom ekonomicznym z zaniedbaniem literakich (do filozofii wrócił dopiéro w trzech ostatnich latach życia), lub iż Janocki umarł w roku 1780, kiedy ten jeszcze w roku 1782 kończył trzeci tom „Janocianów", że Andrzéj Śniadecki (zamiast Jan) obrany był rektorem Uniwersytetu Wileńskiego, że główna dramatyczna czynność Korzeniowskiego przypada na czas pobytu jego w Charkowie (gdzie nie napisał podobno żadnego dramatu), pomijając, mówimy, także i tym podobne drobne omyłki, dodać także wypada że i w samych charakterystykach krytycznych najnowszych pisarzy czyni autor nieraz pomyłki, to jest wyraża zdania, które są raczéj brzmiącym frazesem, nie rzetelną charakterystyką.

Tak np. charakteryzując talent powieściowy Kraszewskiego pan Kuliczkowski mówi, „*Stern*, *Walter-Skott*, *Richter*, *Hoffman*, *Irwing*, byli dlań mistrzami w sztuce"(str. 360.) Cechą odróżniającą talent Sterna był błędny humoryzm, Walter-Skotta plastyczność dziejów dawnych, Hoffmana fantastyczność, Richtera spekulacya; żadna zaś z tych cech nie jest charakterystyką powieści Kraszewskiego, których barwą jest przedmiotowość praktyczna: głównym mistrzem Kraszewskiego była i jest Natura, w którą się umiał wglądać, a jeżeli przytém co do formy zapatrywał się i na jakie obce wzory, tedy bardziéj na powieściotwórców francuzkich, nie zaś któregokolwiek z wymienionych pisarzy.

Objaśniając charakterystękę pisarzy przez porównania, autor mówi, między innemi: „Michał Grabowski i Michał Czajkowski uzupełniają poniekąd szkołę ukraińską objawiając wiele pokrewieństwa, pierwszy z Goszczyńskim, drugi z Bohdanem Zaleskim" (str. 364). Któżby sądził iżby salonowy powieściotwórca i krytyk Michał Grabowski mógł być przyrównanym do śpiewaka dzikich scen zamku Kaniowskiego, a autor krwawych scen Kirdżali i Wernyhory, do mistycznego słowika ukraińskiego.

Dając charakterystykę prac Słowackiego, autor między innemi mówi: „Balladyna zasługuje jako olbrzymia kreacya na szczególniejszą uwagę, poeta przedsięwziął w niéj zidealizowanie legendowych podań narodu." Wiadomo iż treść Balladyny wziętą jest z balladki Aleksandra Chodźki o Siostrach i Malinach, a tuzinkowa ta gminna

anegdotka z któregoś zakątka Litwy, nie ma i nie może mieć pod żadnym względem pretensyi, uchodzić za legendowe podanie z dziejów pierwotnych Lechii.

Na str. 294 charakteryzując wpływ poezyi Mickiewicza na poezyę krajową, pan Kuliczkowski mówi między innemi: „Najwybitniejszymi przedstawicielami jego kierunku byli: Ant. Edw. Odyniec, Stef. Witwicki, Stef. Garczyński, Antoni Gorecki, Franciszek Morawski.“ Jestto szczególna uwaga. Trzej ostatni nietylko nie byli najwybitniejszymi ale żadnymi naśladowcami Mickiewicza; Gorecki i Morawski poprzedzili go (*Domek mojego dziadka*, tego ostatniego był raczéj naśladowaniem *Gawęd Pola*) zaś Garczyński był poetą spekulacyjnym.

W oddziale filozofii, autor charakteryzując dzieła Trentowskiego mówi między innemi: „*Myślini* zbudowaną jest cała w duchu Hegla“ (str. 415). Objaśnienie to nie jest wcale objaśnieniem rzetelnego charakteru tego utworu. Celem loiki Trentowskiego było owszem obalenie loiki Hegla przez postawienie wypadkowych momentów téj ostatniéj (idei wiedzy) za momenta dopiéro przeczące. Walka ta i zasada były właśnie dyalektycznie charakterem głównym wszystkich filozoficznych pism Trentowskiego.

Co do ogólnéj treści tego ostatniego okresu literatury dodajmy téż: iż niektóre jego gałęzie jak np. lekarska, rolnicza, gospodarska i t. p. (jakkolwiek dotykane w poprzednich okresach), w obecnym zupełnie są pominięte, i że jakkolwiek co do wielu szczegółów o pisarzach galicyjskich i poznańskich z lat ostatnich, „Zarys“ p. Kuliczkowskiego jest bogatszy nad inne, tedy znowu literatura polska z ostatnich lat dziesięciu w jedném z głównych jéj ognisk, w Warszawie, jéj ruch, i nawet główni jéj w różnych gałęziach przedstawcy, zdają się być nawet nieznani autorowi.

Dziełko pana Kuliczkowskiego powtarzamy więc, jestto kompendium harmonijne i samoistne, mamy nadzieję iż może go spotkać los, jaki nie spotkał dotąd żadnego dzieła o historyi liter. pols. z wyjątkiem Lesława Łukaszewicza, to jest iż będzie miało ponawiane wydania, i dlatego téż właśnie sądziliśmy iż może nie będzie zbytniém wyrażenie i uwag kilka powyższych, z których wypada: że jeżeli kompendium to jest dokładne, nie jest jednak pod każdym względem dokładne, i że jakkolwiek autor jego jest pisarzem krytycznym, jest jednak tylko do pewnego stopnia krytycznym.

X.

Systematyczny kurs nauk, przeznaczony do pomocy w wychowaniu domowém dla dzieci od lat 3 do 15, ułożył August Jeske. Warszawa, 1873/4 r.

Nigdy początkowa szkoła, domu rodzicielskiego zastąpić nie może. Pewnik ten aż nadto jest jasny, aby dowodzenia wymagał. Szkoła elementarna, szkoła dla młodszych dzieci w pewnym względzie tylko w pomoc przychodzi. W tych razach, gdzie się dziecko pod okiem matki wychowywać i kształcić nie może, uciekamy się do tych, co nam zastąpić mają w przewodniczeniu w sprawie wychowania i wykształcenia pierwotnego. Ale i to zastępstwo możliwe jest także tylko przy pewnych warunkach, kiedy już chłopczyk lub dziewczynka wzrosną tak, że do szkółki chodzić mogą. Tymczasem w pierwszym okresie, który się poczyna znacznie wcześniéj, a mianowicie od chwili, gdy dziecko świadomie na świat spoglądać zacznie, dom i kierownictwo matki stają się niezbędnemi. W ogóle wszakże im dłużéj umiejętna ręka matki kieruje pierwszemi dziecka krokami, tém zbawienniéj to dla dziecka. Aby to wychowanie i kształcenie domowe istotnie pożytecznem było, trzeba *rozumnego* kierownictwa, trzeba pojąć, że pierwsze podstawy muszą być trwałe i rozumne, aby się na nich cała przyszła budowa utrzymać mogła, że następna praca winna być w pewnym porządku prowadzona, aby się w głowie i sercu dziecka składna i ładna złożyła całość. *Rozumne* kierownictwo staje się tu najważniejszém zadaniem. Ale jak je pojmować, jakiéj trzymać się drogi, jak dojść do tego pożądanego celu, który wszyscy dobrzy rodzice mają na widoku? zapyta nie jeden sprawą wychowania dziecka zajęty ojciec, nie jedna matka. Na takie pytania odpowié pedagogika, która po długich pracach w nowszych czasach, zacząwszy od Pestallozego na właściwe weszła już zdaje się tory. Pierwsze kształcenie dziecka musi być oparte na zasadach zgodnych z naturą umysłu dziecka. Metoda powinna odpowiadać najzupełniéj warunkom, wśród których odbywa się stopniowe rozwijanie świata umysłowego w tym małym człowieku, który się chłopcem lub dziewczynką nazywa. Pestallozi ważną zaprowadził zmianę, najnowsze jednak usiłowania pedagogów do nierównież lepszéj już doprowadziły metody. Metoda ta wypłynęła z głębszego pojmowania psychologicznych procesów w nas się dokonywających. Filozof Schopenhauer nie mało się przyczynił do uzasadnienia téj metody. Wywody jego w téj mierze, zebrane w jego pomniejszych pracach filozoficznych, oto są następujące:

„Wszystkie nasze pojęcia powinny płynąć z poglądania: więc wprzód poglądać trzeba, spozierać, a potém dopiero tworzyć pojęcia. Taka jest właściwość naszego umysłu. Jeżeli się więc umysł tą drogą rozwija, jak np. u człowieka, któremu za jedynego przewodnika i książkę służy doświadczenie, wtedy człowiek taki wié dobrze, z jakich przedmiotów powstały te pojęcia, jak które pojęcie zastępuje przedmiot, z którego

wypłynęło. Takie wychowanie możnaby nazwać wychowaniem naturalném.

Tymczasem przy sztucznem wychowaniu, rzecz dzieje się odwrotnie; przez uczenie, czytanie zapychamy dziecku głowę pojęciami, nim się dziecko światu bożemu przyjrzy, nim go pozna. Następne doświadczenie ma dopiéro swym materyałem te wszystkie czcze pojęcia wypełnić, ale zanim to nastąpi, już dziecko błędnie stosuje te pojęcia, sądzi błędnie o rzeczach i ludziach, błędnie na nie spogląda i błędnie się z niemi obchodzi. Ztąd wynika, że wychowanie rodzi owe przewrócone głowy, ztąd płynie, że nieraz w młodości po długiém uczeniu się i czytaniu, wstępujemy w świat bądź prostakami, bądź zarozumialcami i zachowujemy się bądź lękliwie, bądź zarozumiale, bo mamy głowę napchaną pojęciami, które usiłujemy w świecie zastosować, ale je niemal zawsze błędnie stosujemy. Jest to owoc wychowania, które się wręcz sprzeciwia naturalnemu rozwijaniu naszego ducha, kiedy wprzód otrzymujemy pojęcie, a późniéj poznajemy przedmioty, kiedy nauczyciele, miasto rozwinąć w dziecku zdolności, aby samo poznawało, sądziło, pojmowało i myślało, starają się jedynie o to, aby dziecku napchać głowę cudzemi a gotowemi już myślami. Następne doświadczenie znów ma ciężką pracę, bo musi prostować sądy wynikłe z błędnego stosowania pojęć. Ta praca rzadko się udaje. Ztąd pochodzi, że uczeni tak mało mają zdrowego rozumu, który u nieuczonych tak często spotykamy."

Schopenhauer mówi w tym razie jasno i przekonywająco. Trzeba, kształcąc dziecko, dać mu poznawać świat otaczający w sposób najwłaściwszy. Poglądanie, spozieranie stanowi tu rzecz pierwszą i najważniejszą, poczém dopiéro idzie wyrabianie pojęć. To poznawanie świata zewnętrznego, odbywać się powinno drogą, że tak się wyrazimy indukcyjną od rzeczy najprostszych stopniowo do więcéj złożonych, od pojęć najelementarniejszych do więcéj powikłanych. Całe zadanie nauczyciela polega na tém, aby w tym rzędzie wprowadzanych do umysłu dziecka pojęć, nie było przeskoków, przerw rażących; wszystko wysnuwać i wszystko rozwijać należy, stosownie do tego powolnego a prawidłowego rozwijania, jakie w naturze spostrzegamy. Każde pojęcie powinno wnikać do młodéj główki tylko za pomocą wrażenia, wywieranego przez przedmiot naocznie oglądany. Dziecka umysł będzie nie zbyt zasobny w pojęcia, ale każde pojęcie będzie dokładniejsze i gruntowniejsze. Dziecko przywyknie rzeczy mierzyć swoją własną miarą, nie zaś obcą.

Taka metoda już dawno w Niemczech i innych krajach znalazła w pierwotném wychowaniu zastosowanie. Licznych pedagogów imiona spotykamy na tém polu. Ulepszano w wielu względach tę metodę, rozbierano ją ze stanowiska naukowego: jedni dopełniali ją, inni zbogaceni doświadczeniem kładli pod nią trwalsze podwaliny. Dziś dzięki usiłowaniom Diesterwega, Langethala, Kraussa, Hardera metoda ta w elementarném wychowaniu, jeśli nie jest jeszcze powszechnie panującą, to przynajmniéj mnogich a mnogich zjednała sobie zwolenników. Harder wyłożył w swoim podręczniku teoretyczno praktycznym główne zasady,

które mniéj więcéj w zarysach już wyżéj streścić usiłowaliśmy. Niemcy nazywają ten sposób uczenia Anschaungs-unterricht, Anglicy lessons on objects. Jedna i druga nazwa, każda w swoim języku, rzecz dobrze objaśnia. Po polsku trudniéj oznaczyć tę metodę: możnaby ją nazwać metodą rzeczową, przedmiotową: pan August Jeske używa nazwy metoda poglądowa.

U nas już dawniéj cząstkowe robiono usiłowania w celu przyswojenia téj metody i wprowadzenia jéj do wychowania domowego. Te ułamki, te okruszyny, które nam od czasu do czasu dawano, chybiają celu. Tu trzeba całości, którąby przełamać umiała zakorzeniony tradycyjny zwyczaj kształcenia dziatwy. Całość łatwiéj przekona. Systematycznie, na rozumnéj zasadzie rozwinięty kurs nauk dla młodego wieku, da możność zupełnego zastosowania tego *poglądowego* kształcenia. Owoż z takim systematycznym kursem wystąpił p. August Jeske. Większa część już wykonana, brak tylko kilku jeszcze książeczek, a całość niebawem się złoży. Tę metodę tak powszechnie uznaną w Niemczech, w Szwajcaryi, gdzie tak wzorowo prowadzoną jest oświata elementarna, tę metodę przeniósł na nasz grunt powołany już wyżéj autor. W naszéj literaturze, gdzie znów na téj niwie dotychczas nie wiele jeszcze zrobiono, pożądaną byłaby w każdym czasie piśmienna praca rozumnego pedagoga. O ile serdeczniéj ją witamy dziś, gdy sprawa wychowania domowego coraz większą liczbę rodziców poważnie zajmować zaczyna, dziś, gdy coraz drożéj za naukę szkolną płacić wypada, dziś, gdy nieraz, z powodu rozbudzonego do uczenia się popędu, w szkołach dziatwa nasza pomieścić się nie może. Zamiast tych podarków kolędowych zbytkownych, a przemijającéj wartości, o ileż korzystniéj byłoby kupować ojcom lub matkom te przewodniki dla młodego pokolenia, aby się rodzice sami oswoili z tą rozumną drogą prowadzenia piérwszego w domu wykształcenia. W przekonaniu o ważności wielkiéj domowego wychowania, gorąco popieramy prace pedagogiczne p. Jeske. Szczerze pragnęlibyśmy, aby we wszystkich domach przystęp znalazły, bo metoda owa jestpowszechnie uznaną, a tę metodę z prawdziwém zamiłowaniem i umiejętnie zastosował autor.

Praca matki nad dziecięciem nie zaczyna się bynajmniéj od uczenia abecadła. Nim dziecko dojdzie do tego wieku, że zacznie się pisanemi zajmować dźwiękami, już jego umysł winien być odpowiednio przygotowany. Już z końcem 3-go roku rozpoczynać się ma praca matki. „Najważniejszym ze wszystkich peryodów wychowania elementarnego, powiada autor, jest niewątpliwie peryod przedelementarny.“ W tym celu przygotował p. Jeske cztery podręczniki dla matek: 1) *Pedagogikę elementarną;* 2) *Piérwsze kroki dziecka*, czyli wykład zajęć i rozrywek dziecięcych; 3) *Świat* i *Dzieci*, czyli naukę o rzeczach (już wyd.); 4) *Równiankę*, czyli zbiór powiastek dla maleńkich. Wszystkie te podręczniki są z sobą w związku jak najściślejszym. W *pedagogice*, są słowa autora, rozwijamy treściwie teoryą wychowania elementarnego: przechodzimy tu z matką cały zakres wychowania, tłumacząc jéj każdy

najdrobniejszy szczegół, każdą metodę i zasadę pedagogiki tegoczesnéj; w *Pierwszych krokach dziecka* przechodzim już z pola teoryi do czynu, do samejże *nauki* i *pracy* z dzieckiem trzyletniém; oczywiście nauka ta ogranicza się tu do *rozrywek* i *zajęć praktycznych*, których celem jest rozwój ciała, zmysłów i duszyczki dziecka z pierwszego uśpienia i niemowlęctwa; wreszcie w *Nauce o rzeczach* wprowadzamy dziecko po maleńku do przybytku *nauki* i *wiedzy elementarnéj*, oprowadzamy je po całym obszarze świata, tłumaczymy każdy objaw życia i pożytku, kładąc tym sposobem piérwsze fundamenta do przyszłego gmachu nauki szkolnéj; nakoniec w *Równiance* podajemy matce do ręki zbiorek *powiastek* ułożonych według wymagań pedagogiki spółczesnéj: książeczka ta stanowi w pewnéj mierze *dopełnienie* tamtych poprzednich i mieści spory materyał powiastek i opowiadań, których tamte objąć nie mogły. Tak więc dziecko jeszcze przed rozpoczęciem mozolnéj nauki czytania i pisania zaczyna pomału oswajać się z nauką i pracą: nie rozrzuca się bezowocnie, nie plącze w rozwoju ducha, nie zraża późniejszym nawałem wymagań; słowem, rozwija się, myśli i pracuje systematycznie. Owe przejścia opłakane, jakiemi się rozpoczynała dotychczas nauka dziecka, nie istnieją tu wcale, bo dziecko nie wié, nie przeczuwa nawet, że przechodzi z jednego stopnia na drugi. „Elementarz“ nie będzie tu dla niego ową zmorą, która mu przykrzyła naukę, odstręczała od pracy i kłóciła spokój umysłu. Dziecko prowadzone trybem kursu niniejszego nie cofnie się przed niczém, bo umysł włożony do nauki i uwagi nie będzie się lękał niespodzianek, owszem, chwyci ich się chciwie i poszuka sobie w nich odpowiedniego zajęcia.

Wolno się spodziewać, że autor wkrótce z obietnicy się wywiąże co do wszystkich czterech zapowiedzianych podręczników, z których dopiéro jeden się ukazał, odnoszący się do okresu nazwanego przedelementarnym.

Szereg podręczników mających służyć w wychowaniu *elementarném* jest pełniejszy. Rozpoczyna się od *A, B, C, czyli nauki czytania i pisania.* Nauczyciel ma tu sobie podane jak najdokładniejsze wskazówki, jak ma zagaić piérwsze elementarne swojego wychowańca kształcenie. Poznanie głosów poprzedza tu wszelką naukę liter i sylabizowania. Dziecko wprzód głosy oddzielne poznaje: a, e, i, o i t. d. w ciągu 27 lekcyj, poczém dopiéro przystępuje do czytania t. j. do poznawania oddzielnych liter wyrażających znane już dziecku głosy. Powoli litery te składa w zgłoski, ale odrazu, nie sylabizując i tym sposobem przechodzi bezpośrednio do czytania łatwiejszych kombinacyj zgłosek. W trzeciéj części tego podręcznika mieszczą się opisy, powiastki, bajki i zagadki, jako materyał służące do czytania. Do odpowiednich ustępów dołączone są drzeworyty wykonane podług rysunku Andriollego. Do nauki pisania przedstawione są wzory kaligraficzne, również metodycznie w dość znacznéj liczbie przedstawione.

Po *Nauce czytania i pisania* następuje „*Mała Stylistyka*“ zawierająca materyały i wskazówki metodyczne do piérwszych ćwiczeń styli-

styczno-gramatycznych. Nazwa stylistyki, dana temu podręcznikowi, nie powinna odstraszać nauczyciela. Nie jestto stylistyka w wyższém znaczeniu. Oto autor tak usprawiedliwia nazwę i jéj konieczność. Naukę języka zacząć powinniśmy od maleńkich dzieci, ale zacznijmyż ją racyonalnie i metodycznie. Nie poczynajmyż od gramatyki, bo ta powstała przecie dopiéro z myśli i mowy; lecz zaczynajmy ją od stylistyki, która właśnie od myśli i mowy zaczyna. Uczmy więc wpiérw dzieci nasze *myśléć* i *mówić*. To początek wszelkiéj wiedzy, a témbardziéj nauki języka macierzystego. Jeżeli chcesz, aby ci dziecko napisało proste zdanie, daj mu wyraz: chceszli mu dać wyraz, pokaż mu wpiérw *przedmiot*, a z przedmiotem dopiéro i *myśl* i *wyraz* się dobędzie. Do piérwszych zatém pojęć dziecka trzeba się dobywać drogą zmysłów: niéma bowiem (jak opiewa stara prawda) niczego takiego w umyśle naszym, coby się wpiérw w zmysłach nie zrodziło. Ażeby więc dziecko mogło zdobyć się na kilka wyrazów a potém je napisać i spoić w sąd zdrowy i jasny, trzeba mu wpiérw kazać poglądać zmysłami na przedmioty i od tego elementarnego punktu zacząć powinna stylistyka swoje *a*, *b*, *c*.

Za stylistyką idzie *Mała Gramatyka* języka polskiego dla dzieci, *Arytmetyczka* dla dzieci, *Arytmetyka* na podstawie rachunku pamięciowego, wreszcie najświeższa praca zamyka tymczasowo szereg tych podręczników, praca p. n. „Geografia." Geografia nie zaczyna się tu od tych znanych nam jeszcze z lat młodych definicyj, które nie jednemu dziecku zaciemniały głowę, np. co jest geografia, co biegun, południk, równoleżnik, zwrotnik Raka i Koziorożca. Tu się geografia zaczyna od pokoju, w którym się dziecko uczy, przebywa. Tu dziecko poznaje na najbliższych otaczających je przedmiotach stosunki przestrzeni, położenie jednego przedmiotu względem drugiego. Tu od najprostszych pojęć stopniowo dochodzi się do zrozumienia, co jest ulica, wieś, miasto, powiat, gubernia i kraj cały. Tu dziecko stawia swoje piérwsze kroki i z koła mniejszego do coraz rozleglejszego przechodzi. Tu na małéj przestrzeni wsi lub miasta przypatruje się rzece, wyniesieniu lub górze i tu zdobywszy sobie jasne i określone pojęcia, swobodniéj je na szerszéj przestrzeni stosuje. Wprzód dziecko poznaje swoję wieś lub miasto, swój powiat i kraj, nim zacznie powtarzać owe nazwy tak dziwnie brzmiące dla młodego ucha jak Zambezi, Babe-el-Mandeb i t. p. Kiedy swój kraj polski pozna, idzie dziecko do sąsiednich, i wtedy dopiéro na téj podstawie z pewném przygotowaniem przystępuje do poznawania stosunków naszego planety, astronomicznych, fizycznych, a wreszcie do obznajmienia się z Europą i innemi częściami świata. Niewielkie rysunki tu i owdzie do wykładu dołączone, rzeczy trudniejsze bardzo dobrze wyjaśniają.

Po geografii ma się jeszcze kilka innych ukazać podręczników. Mamy nadzieję, że się niebawem złoży pożądana całość. Co dotychczas autor wypracował i drukiem ogłosił, daje nam najzupełniejsze prawo spodziewać się, że się i z następnéj części podobnież chlubnie jak z piérwszéj wywiąże. Ceny pojedyńczych książeczek są przystępne.

Wydanie jest staranne, każda książeczka oprawna; rysunki są udatne. Geografia kosztuje 45 kop. czyli 3 złp., podobnież „Nauka czytania i pisania;“ „Arytmetyczka“ 2 złp. Najdroższą jest *Nauka o rzeczach*, kosztuje 8 złp. czyli 1 rs. kop. 20 z powodu, że jest obszerna i dużo kolorowych obejmuje rycin.

Wrócimy jeszcze z czasem do tego samego przedmiotu, stosownie jak nam się sposobność zdarzy. Na dziś jednak możemy już ogólną zamknąć uwagą, że w osobie p. Augusta Jeske widzimy zdolnego na polu literatury pedagogicznéj pisarza. Prace jego powoli dobiją się właściwego uznania. Już nie brak słów zachęty, które się tu i owdzie czytać w pismach naszych zdarza. Bo też kogo bliżéj przedmiot ten zajmuje, niech zajrzy do tych książeczek, niech się w nich rozczyta, niech się nad wstępnemi słowami autora zastanowi, czy go przedewszystkiém nie chwycą za serce te gorące słowa, jakiemi autor przemawia do rodziców, by dziatwę swą rozumnie wychowywać i kształcić chcieli. Ile tąm uczucia szczerego, niekłamanego, a jaka miłość przedmiotu! Taka zacna w każdém słowie przebija dążność. O, jak najwięcéj takich, coby tak o naszych dziatkach pamiętali! Na téj ciężkiéj niwie piśmienniczéj pracy, gdzie tyle znoju, zawodu, gdzie cię ani czcza sławy żądza, ani nędznych zysków nadzieja nie podnieca; gdy spotykasz dusze, co tak gorąco swój przedmiot ukochały, to nowa wstępuje do serca otucha, W samym wykładzie autor celuje jasnością, darem przystępnego wyłożenia przedmiotu. Wszędzie widzisz rozumną myśl, która kierowała układaniem tych opowieści, bajeczek, tych przykładów, a wszystko to wysłowione językiem bardzo starannym, potoczystym. Ta staranność o mowę dobrą, czystą i piękną, podwójną stanowi zaletę w książkach poświęconych pierwszemu, elementarnemu wychowaniu.

P.....

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Grudzień 1873.—Ruch wydawniczy książek, niespodziewanie się rozwija i przybiera znakomite rozmiary. Kiedy dotąd prassa stawała na przeszkodzie handlowi księgarskiemu książek, obecnie sama mu silnie dopomaga. W zeszycie grudniowym naszego pisma, wspomnieliśmy już o wydawnictwie Redakcyi *Kłosów*, „Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiéj," teraz w *Tygodniku Illustrowanym* ukazał się prospekt, z zapowiedzią wydawnictwa powieści *Zygmunta Kaczkowskiego*, poparty obszerną oceną tych utworów w témże piśmie.

Michał Glücksberg wydawca *Bluszczu*, wydaje *Pismo Święte* w przepysznéj edycyi dla katolików z rysunkami Gustawa Dore'go, a w przekładzie Jakóba Wujka, obecnie ogłosił prospekt z temiż rysunkami i w takimże formacie dla chrześcian ewangelików, z tekstem ścisłym według *Biblii Gdańskiéj*. Nadto do *Bluszczu* przywiązaném jest wydawnictwo zbiorowe powieści J. I. Kraszewskiego, wychodzące we Lwowie, które w niższéj cenie prenumeratorowie pomienionego pisma otrzymują.

Przegląd Tygodniowy rozpoczynając Seryą drugą swego wydawnictwa zapowiada XII tomów dodatku i oddawna ciągnącą się Encyklopedyą podręczną, a nadto ogłosił prenumeratę na 50 tomów (?), ale z podwyżką o jednego rubla; przeszły bowiem zbiór 50 tomików, kosztował tylko pięć rub. sreb.

Redakcya *Opiekuna Domowego* podobnież prenumeratorom daje XII tomów bezpłatnego dodatku i ogłasza wydawnictwo, poświęcone wyłącznie *wychowaniu domowemu*, w 25 tomach, w cenie rub. sr. 6 w Warszawie, rub. sr. 7 kop. 50 na prowincyi. Treść podana każdego tomu, zapowiada pożyteczną publikacyą.

Czasopismo *Przyroda i Przemysł* wydało jako dodatek, *Księgę wynalazków przemysłu i rękodzieł* tom pierwszy, drugi zapowiedziany w zeszytach.

Z wychodzących dotąd pism czasowych, wszystkie zapowiedziały dalsze na rok 1874 wydawnictwo. Z pociechą odczytaliśmy prospekt pisma ludowego *Zorzy*, w którym znajdujemy, że liczba jéj czytelników w roku bieżącym w stosunku do lat ubiegłych, wzrosła w dwójnasób. Piękna to nagroda dla tak starannéj Redakcyi pisma poświęconego najliczniejszéj warstwie naszéj społeczności.

— *Wiek* ogłosił w odcinku swoim, zajmujące *Ostatnie chwile Kazimierza Brodzińskiego*, z opowiadań Deotymie, przez A. E. Odyńca. Drogocenne to szczegóły do życiorysu i charakterystyki wielkiego poety.

— Nakładem G. Sennewalda księgarza wyszły dla młodocianego wieku, w starannéj i ozdobnéj edycyi książki: 1) *Mały poszukiwacz złota w Kalifornii.* Opowiadanie dla młodzieży przez Fryd. Gerstäckera, przekład z niemieckiego Stan. Milkowskiego. 2) *Po szkolnym roku.* Powieść naukowa dla dzieci przez A. Castillona, professora Kollegium ś-éj Barbary w Paryżu, przekład Jana Chęcińskiego (z 37 rycinami). Obie drukowane w zakładzie typograficznym J. Ungra, zalecają się ciekawą i pouczającą treścią.

— Nakładem Michała Glücksberga wyszło znane oddawna, a zawsze żywo zajmujące dzieło I. H. Campe'go: „*Robinson Kruzoe*," przekład z niemieckiego, ozdobiony sześcioma kolorowanemi rycinami.

— Z drukarni S. Orgelbranda Synów wyszły z dziewięcioma rycinami: „*Wieczory w Ojcowie*, czyli opowiadania Grzegorza o dawnych czasach Rzeczypospolitéj polskiéj, spisane przez Lucyana Siemieńskiego" wydanie trzecie. Warszawa 1874 (w 8-ce str. 318). Znaną jest oddawna ta zajmująca książka, któréj treść sam napis wskazuje. Popularyzuje dzieje Polski od pierwotnych wieków do końca panowania Stanisława Poniatowskiego.

— Nakładem i drukiem S. Lewentala wyszły: „*Gawędy i satyry Wacława Szymanowskiego.*" (Warszawa 1873 roku w 12-ce str. 135).

— Z drukarni Gubernialnéj wyszedł: „Program wystawy płodów rolniczych i gospodarskich odbyć się mającéj w Warszawie, w miesiącu wrześniu 1874 roku." (Warszawa 1873, w 8-ce str. 34).

— Nakładem Fr. Rydzykowskiego, wyszły napisane przez Jerzego Prawdzica, dwa dziełka poświęcone młodocianemu wiekowi: 1) Zbiorek przystępnych wiadomości z mechaniki, a mianowicie o sile i jéj zastosowaniu, o tarciu, o budowie i o użyciu maszyn w ogólności, (w 12-ce str. 50). 2) Kilka opowiadań i komedyjka dla młodzieży średniego wieku. (Warszawa, drukiem A. Pajewskiego 1873, w 12-ce str. 104).

— T. B. Macaulaya *Dzieje Anglii*, wyszedł tom VI w przekładzie panny Narcyzy Żmichowskiéj.

— W czasopiśmie historycznem Sybla (*Sybels historische Zeitschrift* w ostatnim numerze r. 1873) mieści się przekład jednego z obrazków z pamiątek Soplicy, a mianowicie ustęp poświęcony księciu Radziwiłłowi Panie Kochanku. Przekładu dokonał prof. Wrocławskiego Uniwersytetu Roepell.

— Literatura dramatyczna wzbogaca się coraz nowemi utworami i to nie pośledniéj wartości. Oprócz Asnyka dramatu *Rienzi*, wydanego w Krakowie, we Lwowie odegrano dramat *Przeor Paulinów* (obrona Częstochowy). Dekoracye przedstawiają widok nocny twierdzy, kościoła na Jasnéj Górze i obóz szwedki. Wnętrze kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiéj odznacza się wiernością i przepychem kolorytu. Dekoracye te malował artysta Fabiański. Do tegoż teatru przesłał Józef Szujski nową tragedyę z dwóch części p. n. *Maryna Mniszchówna*. Pierwsza część w czterech odsłonach nosi tytuł: „Dymitr pierwszy“ druga zaś w sześciu odsłonach: „Dymitr drugi.“

— W Krakowie wyszła: *Wisła*, *księga zbiorowa*, ku uczczeniu 25 letniéj rocznicy na polu dziennikarskiém Pawła Stelmacha (w 8-ce str. XXIV, 350). Myśl tę szlachetną podjął Wł. hr. Koziebrodzki, znany pisarz dramatyczny, ażeby gorliwego pracownika, jakim jest Paweł Stelmach na Szlązku Austryackim uczcić godnie i w tym celu w roku zeszłym rozesłał pomiędzy literatów zaproszenia, ażeby poparli jego pomysł. Z życzliwą chęcią i pomocą czterdziestu jeden towarzyszy pióra, stanęło do urzeczywistnienia tak zacnego zamiaru i księga ta wraz z popiersiem Pawła Stelmacha, rylca Jana Styfiego Warszawianina, wyszła w staranném edycyi w Krakowie z drukarni W. Korneckiego. Oprócz znanych pisarzy już oddawna na niwie literackiéj z autorek mamy tu utwory Seweryny Duchińskiéj, Maryi Ilnickiéj, Waleryi Marrené i Pauliny Wilkońskiéj. Ogłoszona prenumerata na to dzieło, znalazła w Galicyi silne poparcie. W dniu 8 grudnia 1873 roku, przypadał jubileusz *Gwiazdki Cieszyńskiéj*: natenczas z przewodniczącym Wł. hr. Koziebrodzkim w komitecie zebranym już poprzednio, przybyło grono pisarzy i obywateli do Cieszyna i wraz ze Szlązakami, mając na czele Jerzego Cienciałę, delegata do Rady Państwa, udało się do skromnego mieszkania redaktora gwiazdki Cieszyńskiéj. Hr. Koziebrodzki, gorącą przemową powitał dostojnego jubilata i cześć mu rodaków wyraził; poczém doręczono mu 3501 złr. i 33 cent., zebranych z prenumeraty po odtrąceniu kosztów wydawnictwa, jako też i własność reszty egzemplarzy pozostałych *Wisły*.

— Na wzór znanéj z przepysznego wydania monografii Katedry Krakowskiéj na Wawelu przez biskupa Łętowskiego, dwaj kapłani X. Ignacy Polkowski i X. Jan Korytkowski kanonik metropolitalny

Gnieźnieński, ogłosili prospekt na dzieło illustrowane p. n. *Katedra Gnieźnieńska*, któréj opisem zajął się i dokonał X. J. Polkowski. Dzieło to wyjdzie w VI zeszytach, z 25 tablicami fotodruków, które obejmą najważniejsze zabytki, jakie ta świątynia Pańska, jedna z najdawniejszych obejmuje. Równocześnie wydaną zostanie oddzielnie: *Monografia Katedry Gnieźnieńskiéj*, dawniéj przez zmarłego kanonika X. Józefa Walkowskiego opracowana, a pozostająca dotąd w rękopiśmie.

— W Krakowie zawiązał się komitet, który już poczynił odpowiednie kroki u władz miejscowych dla uzyskania pozwolenia na wystawienie pomnika Adamowi Mickiewiczowi. Składki są otwarte na ten cel i oczekują pomocy ludzi dobréj woli, którzy umieją oceniać geniusz i zasługi zgasłego wieszcza.

— *Biblioteka Jagiellońska* otrzymała w tych dniach w darze od księdza kanonika Wyszyńskiego, posiadacza znakomitéj, polskiéj biblioteki przyrodniczéj i teologicznéj, dzieło w wielkiéj wartości Stef. Falimierza p. t.: „O ziołach, mocy ich i o paleniu wódek z ziół, o olejkach, rzeczach zamorskich, o stawianiu baniek, o puszczaniu krwi i t. d. Kraków 1534." Książki téj pierwszéj tego rozmiaru (kart 321), jaka wyszła w języku polskim, jedyny, kompletny egzemplarz znajduje się tylko w Bibliotece Ossolińskich. D-r Adryan Baraniecki ofiarował także Bibliotece Jagiellońskiéj 80 dzieł i 227 broszur, odnoszących się do medycyny, nauk przyrodniczych i wojskowości, oraz 300 broszur, odnoszących się do balneologii zagranicznéj.

— *Lwów.* Zapowiedziane prospektem wydawnictwo *Estetyki* D-ra Karola Lemckego, podług czwartéj edycyi oryginału niemieckiego, w przekładzie Bronisława Zawadzkiego, z 58 rycinami w dwóch tomach, nakładem księgarni lwowskiéj Gubrynowicza i Schmidta już się ukazało w naszych księgarniach. Wydanie nadzwyczaj ozdobne, druk i papiér odpowiedni, a ryciny z niezwykłą starannością wykonane i czysto odbite. Z utworów polskich artystów, mamy tu w drzeworytach: Zaśnięcie N. P. Maryi," rzeźba na drzewie Wita Stwosza; z obrazów: „Zgon Barbary," J. Simlera i „Kazanie Skargi" Jana Matejki.

Akademia techniczna otrzymała od dyrekcyi wystawy wiedeńskiéj, dla muzeum przy nowo utworzonéj katedrze mineralogii i geologii w darze znaczną ilość okazów. Między innemi ministerstwo rolnictwa darowało ze swego pawilonu piękny zbiór geognostyczny z Bukowiny, prócz większych mineralogicznych okazów z różnych skarbowych kopalń. Arcyksiąże Albert ofiarował zbiór geologiczny ze swych posiadłości na Szlązku i w Krakowskiém, zawierający piękne skamieniałości. Zbiór ten urządzony podług prac Hehennegera w części zachodnich Karpat, posłuży jako poradnik dla porównawczych badań górskich.

W dniu 9 grudnia 1873 r. odbyła się jubileuszowa uroczystość 200-letniego istnienia Towarzystwa młodzieży handlowéj. Na uroczystości znajdowali się: książe Sapieha i hr. Gołuchowski; p. Pieniążek przeczytał swoją drukiem w tych dniach ogłoszoną rozprawę, zawierającą dzieje Towarzystwa. Z różnych stron Galicyi, a nawet z zagranicy nadeszły telegramy z powinszowaniami od różnych Tow. handlowych. Ustanowiono fundusz, z którego corocznie dostanie się losowaniem jednemu członkowi 600 złr.; majątek Towarzystwa składa się z 8,000 złr. Składka miesięczna wynosi tylko 50 centów, a wpisowe 5 złr. Członków jest 160.

Zawiązało się Stowarzyszenie przyrodników polskich za staraniem professorów techniki i uniwersytetu. Nosić będzie nazwę: „Polskie stowarzyszenie przyrodników imienia Mikołaja Kopernika."

Zbioru powieści J. I. Kraszewskiego wyszło już tomów 48, trzy ostatnie obejmują powieść: *Złote jabłko*. Na czele piérwszego jéj tomu czytamy pod datą: „Lipiec, 1873. Drezno." „Autor powieści téj, przyznać się musi, dla objaśnienia jéj, że nie zawsze siedział za stolikiem otoczony papierem i książkami. Od r. 1837 do 1856 był wiejskim gospodarzem, dzierżawił, kupował i sprzedawał ziemię, jeździł regularnie na Dubieńskie kontrakty, zajmował się swojemi i cudzemi interesami. Przypatrzył się więc z blizka temu frymarkowi posiadłościami, jaki się corocznie odbywał i z żywego życia powieść swą wyczerpnął. Jest ona owocem studyów i doświadczenia. Współcześni, którzy sobie przypomną Wołyń przed 1852 r. poznają w „Złotem jabłku" część przynajmniéj znanych im, lubo nieco może odmienionych i uzupełnionych postaci. Śmiesznêm być może gdy się autor przyzna do tego, że powieść własną po latach przeszło dwudziestu przeczytał z przyjemnością. Bardzo prosta w pomyśle i wykonaniu, jest ona obrazkiem, w którym więcéj prawdy niż sztuki, i może dlatego że się nie starano o wielce kunsztowną jéj budowę, że wzorowano z natury, zająć potrafi czytającego. Nic nie przesadzając, możemy ją dziś nazwać powieścią historyczną, choć w chwili gdy się ukazała była tylko skromnym obyczajowym obrazkiem."

Wyszła obszerna rozprawa Edmunda Starkla p. n. *Dział szkolny na wystawie powszechnéj w Wiedniu 1873*, która zasługuje na uwagę naszych pedagogów.

— *Wojciech Sowiński*, autor wydanego w roku 1857 *Słownika muzyków polskich* w języku francuzkim, ogłosił obecnie prospekt, na druk po polsku téjże pracy p. n. *„Słownik muzyków polskich dawnych i nowoczesnych*, oraz miłośników sztuki muzycznéj, zawierający krótki rys muzyki w Polsce, opisanie dawnych instrumentów i t. p.

— Ludność mazurska w Prusiech Zochodnich o wiele jeszcze dotąd przewyższa ludność niemiecką. *Bromberger Ztng.* podaje, że w powiatach: Szczytnickim, Olsztyńskim, Nidborskim i Ostrudzkim ludność polska wynosi 73 procent ogólnéj ludności; w powiatach zaś: Jansburskim, Leckim, Sonborskim, Oleckim i Ełskim 76 procent.

— Wyszło w Paryżu wydanie drugie *Korrespondencyj Adama Mickiewicza* nakładem księgarni luksemburskiéj, któréj właścicielem jest Władysław, syn poety. Wydawca podzielił korrespondencyę swego ojca na dwa tomy, umieszczając w pierwszym listy pisane przez poetę, a w drugim do niego i o nim pisane.

— *Ryszard Andrée* w Lipsku ogłosił rozprawę o *Serbach Łużyckich*: Das Sprachgebiet der Lausitzer Wenden von XVI Jahrh, bis zur Gegenwart.“ My posiadamy znakomitą monografię Bogusławskiego o Serbach Łużyckich, wydaną nakładem J. Ohryzki w Petersburgu.

— D-r Uppenkamp, dyrektor gimazyum Poznańskiego, wydał *historyą Chojnic* w Prusach dawniéj królewskich w języku niemieckim, które nosi dziś nazwę Konitz. Miasto to w czasie wojen z krzyżakami, często jest wspominane w naszych kronikach.

— Do najznakomitszych dzieł XIX wieku należy bez wątpienia wychodzące obecnie w Medyolanie pod redakcyą Franciszka *Vallardi* kolosalne wydawnictwo pod tytułem: *L'Italia* sotto l'aspetto fisico, storico, letterario, artistico, militare e statistico, con speciale riguardo al l'industria et al commercio. Wyszło już 500 zeszytów cztero-arkuszowych w wielkiém in-quarto, a tyleż jeszcze wyjdzie zapewne, zanim dzieło ukończoném będzie. Składa się ono z trzech części: 1) z encyklopedyi królestwa włoskiego historyczno-geograficzno-statystycznéj. (Dizionario corografico illustrato, etc.); 2) Z osobnych traktatów (i trattati speciali sull'Italia) o historyi, literaturze, sztuce, geologii, mineralogii, zoologii i statystyce Włoch; 3) z ogromnéj mappy Włoch (podług skali 1—600,000) i atlasu złożonego ze 150 mapp choreograficznych, historycznych, geologicznych, etc. Dla przykładu przytoczymy program działu historyczno-literackiego. Znajdujemy tu: wstęp ogólny o metodzie badań historycznych przez Pasquale Villari, rzymską historyę przez professora Franciszka Bertolini (jest już 21 zeszytów), historyą Italii pod barbarzyńcami, tegoż autora; historyą miast i posiadłości feudalnych (comuni e signorie) przez Franciszka Lanzani (11 zesz.), historyą obcych panowań przez Ant. Cosci (12 zesz.), historyą nowoczesną przez Aug. Franchetti. Redakcyą działu tego prowadzi Pasquale Villari. Wszelkie odkrycia i spostrzeżenia spółczesnéj nauki, wszystkie dzieła znakomitszych historyków niemieckich są zużytkowane jak najstaranniéj. Historya literatury składa się też z literatury rzymskiéj, skreślonéj przez prof. Cesare Tamagni, a po jego śmierci przez Franc. d'Ovi-

dio prof. w Bolonii (10 zeszt.) oraz z literatury włoskiéj pp. Bartoli i G. Invernizzi. Wszędzie gruntowność i bogactwo zasobów naukowych zadawalnia najsurowsze wymagania; w wielu ustępach wskazówki i spostrzeżenia oryginalne podnoszą wartość prac ogłoszonych. Część opisowa Włoch zdumiewa również rozległością planu i metodą wykonania. O każdéj prowincyi, gminie, wsi, o każdém mieście był naprzód napisany artykuł przez jakiegoś uczonego, ktory otrzymał we właściwym czasie zaproszenie od p. Vallardi. Artykuł taki po przepisaniu w kilku egzemplarzach fracta pagina, był posyłany do władz gminnych (sindaco) oraz do wykształceńszych mieszkańców opisywanéj miejscowości z prośbą o nadesłanie poprawek i uwag w ciągu miesiąca. Wszystkie prawie władze i osoby wezwane spełniły tę prośbę chętnie i pospiesznie, nadsyłając przytém fotografie pomników, gmachów, rysunki herbów etc. Wypadało wszakże niejednokrotnie żądać dokładniejszych wyjaśnień. Dopiéro po dokonaniu tych wszystkich czynności przygotowawczych redagowano artykuł na nowo i oddawano do drukarni. Łatwiéj jeszcze zrozumiemy cały ogrom kosztów i poniesionych trudów, skoro zważymy, iż liczba takich artykułów wynosić ma 60,000. Zewnętrzna strona wydania odpowiada wartości treści. Jestto dzieło pomnikowe, jakiego dotychczas żaden naród nie posiada. Powinno się znajdować w każdym większym księgozbiorze.

— *Książka kieszonkowa historyczna*, wydawana pierwotnie przez zmarłego niedawno Fryderyka Raumera, obecnie zaś przez Riehl'a (Historisches Taschenbuch etc. Leipzig. Brockhaus 1873, str. 415 w małéj ósemce) zawiera: pamiętnik generała Macka o sławnéj kapitulacyi Ulmu w 1807 roku, studyum Webera o wieku odrodzenia i Rabelais'ie, napisane popularnie i żywo, bardzo ciekawą rozprawkę Feliksa Dahn'a p. t. Społeczeństwo i państwo u Germanów w epoce wędrówki ludów, parę studyów literackich z XVI wieku i szkice z życia „komedyantów" w zeszłém stuleciu.

— *Pomniki przyjaźni pomiędzy znakomitymi mężami i kobietami* przez Fr. v. Hohenhausen (Schöne Geister u. schöne Seelen oder Denkmale der Freundschaft etc.) zawiera szkice stosunków sercowych Humboldta, Chateaubriand'a, A. W. v. Schlegla, Goethego etc. Jest tu pomiędzy innemi szkic p. t. „Król Stanisław II polski i pani Geoffrin." Pani Geoffrin nie była ani piękną, ani dowcipną, ani bardzo mądrą, ale miała wyborne serce i prowadziła salon w Paryżu, w którym zgromadzały się wszystkie znakomitości owoczesne. Bywał tam Stanisław Poniatowski, jako podróżujący młodzieniec. W pieniężnych kłopotach doznał delikatnej pomocy od pani Geoffrin i powziął dla niéj przyjaźń serdeczną. Zostawszy królem, zaprosił sześćdziesięcioletnią już przyjaciółkę swoję do Warszawy. Przybyła i tu otworzyła téż salon. Autor przytacza parę listów, nie wskazując wszakże źródła, zkąd je wyciągnął. A dokładności informacyi jego nie zawsze ufać można. Tak np. księcia Józefa przechrzcił na Antoniego Poniatowskiego.

— Dr. J. *Kelle*, professor uniwersytetu w Pradze Czeskiéj, zgromadziwszy bogate materyały z archiwów austryackiego ministeryum oświecenia i wielu bibliotek, wydał książkę pod tytułem: *Gimnazya jezuickie w Austryi* (Die Jesuiten-Gymnasien in Oesterreich. Prag. 1873 str. XVI, 276). Kierownictwo szkół w Austryi dostało się jezuitom w pierwszéj połowie XVIII wieku; po zniesieniu Towarzystwa Jezusowego w 1773 roku, szkoły ich były też zniesione; lecz gdy Pius VII przywrócił zakon, rząd austryacki oddał jezuitom szkołę pedagogiczną i gimnazyum w Tarnopolu w 1820 r., kollegium w Gleisdorf w Styryi 1829 r. etc. Z mnóstwa przedstawianych przez autora faktów układa się nader smutny obraz pedagogiki w tych szkołach praktykowanéj, jużto ze względu na obsadzenie katedr, już ze względu na metody wykładowe. Na posady nauczycielskie zwierzchność jezuitów posyła nowicyuszów, bez względu na ich chęć lub niechęć; ci musieli wykładać kolejno w czterech klassach, pisywać łacińskie ćwiczenia (np. poematy o pająkach, lub szarańczy), a potém przechodzić do kursów teologicznych, gdzie z nauczycieli sami stawali się uczniami, żeby zasłużyć na święcenia kapłańskie i godność professa. Największy nacisk kładziono na język łaciński, tak dalece, że pomimo nalegań rządu, język niemiecki pozostawał zawsze w zupełném zaniedbaniu; ale i łacina była wykładana w ten sposób, że uczniowie nie mogli z niéj korzystać do poznania literatury klasycznéj. Dawano pisarzy starożytnych w przerobionych, i to najdziwaczniéj, wydaniach, np. Przemiany Owidyusza przerobione według Biblii przez O. Bernarda Pannagla, który oświadczał że przeróbka jego dotykała „tylko treści, nie formy," dowodząc zarazem, że gdy Owidyusz czerpał swoje obrazy z Genezy i spogańszczał Biblią, więc z równą słusznością można jego dzieło przerobić na chrześciańskie. Do wykładu zaś języka greckiego używano w gimnazyum raguzańskiém jeszcze w 1868 roku wyciągu z instytucyi Grether'a p. t. Rudimenta linguae Graecae.

— Ukazały się dwie surowe krytyki Sickel'a (Monumenta etc.) i Stumpfa (über die Merovinger Diplome etc.) na nowy tom *Monumentów Germaniae Pertza* (Diplomatum imperii tom I). Niemcy szczycili się tém wielkiém wydawnictwem materyałów do historyi swojéj i uznawali je za dzieło narodowe. Owóż ten ostatni tom, według zdania wymienionych pisarzy oraz pana Longnon (w Revue critique Nr. 31 do 34) i pism literackich niemieckich zawiera mnóstwo błędów naukowych, nazwiska pisarzy nie istniejących (np. Erharda komentarz do dyplomatyki), grube braki etc. Wydanie jest tak złe, że musi być przedrukowane na nowo.

— *Historya Penna* założyciela Pensylwanii (History of William Penn etc. Berlin. Asher 2 t. 1872) przez Hepwortha *Dixon'a*. Pierwszy apostół tolerancyi religijnéj ściągnął na siebie niechęć Macaulay'a za to, że był stronnikiem Jakóba II Stuarta. Dixon broni go zwy-

ciężko od zarzutów znakomitego historyka i budzi w czytelniku żywe sympatye dla swego bohatéra.

— *Gotthard Lechler* professor teologii i superintendent w Lipsku, wydał obszerne dzieło p. t.: „*Jan Wicliff* i *Dzieje przygotowań do reformacyi.*“ Na tę pracę autor poświęcił całe życie. Do przedstawienia nauki angielskiego reformatora zużytkował czterdzieści nieznanych dotychczas rozpraw autentycznych jego z wiedeńskiéj Staatsbibliothek.

— Na dzień 5-ty marca 1875 r. robią się już przygotowania we Włoszech do obchodu czterechsetletniéj rocznicy urodzin Michała-Anioła Buonarotti. Komitet wezwał miasto Florencyą aby wzniosło posąg; na domie w Caprese, gdzie się urodził wielki artysta, oraz na domie we Florencyi, gdzie mieszkał, mają być umieszczone tablice z napisami; hr. Pafferini gromadzi korrespondencyą Michała-Anioła, która będzie wydaną ozdobnie.

— W. H. Bleek zamieszkały w Kaplandzie zebrał bogate materyały (4,000 stronnic in 4-to) do słownika *Buszmenów*, których język dotychczas wcale był filologom nieznany.

— *Materyały do historyi miasta Paryża* wydawane przez *Alfreda Franklina* (Paris, Léon Willem 1873). Piérwszy tomik zawiéra dokument p. t. „Estat, noms et nombre de toutes les rues de Paris en 1636.“ Z rozprawy wstępnéj dowiadujemy się, że dawna [illegible] Paryża z czasów rzyr źródłosłów ten był najzupełniéj właściwym. W wiekach średnich Paźródryż nie posiadał ani bruku, ani ścieków, ulice zaś pokryte były tak grubą ryż warstwą śmieci i gnoju, że się utworzyło przysłowie: „ce tint comme boue warde Paris.“ Plądrowały téż bez przeszkody po całém mieście wszelkie de łzwierzęta domowe. Filip August kazał położyć piérwszy bruk przed zwiswoim pałacem, bo uprzykrzyły mu się wyziewy pochodzące z kałuży. swoOd 1350 r. zabrania[illegible] przez Od opactw(Emila *Laveleye* (Des causes actuelles de guerre en Europe et de l'arbitraopad12-cie ge. Bruxelles, Muquardt 1873). Autor jest „przyjacielem pokoju;“ 12-A jedna[illegible] mieszkańców dochodziła już do 280000. Z powodu A jniechlujstwa wszelka epidemia przybierała groźne rozmiary. W 1410 r. niecmorowa zaraza zabrała 100,000, w 1450—40,000, w 1465—40,000 morludzi, w 1510 r. umierało po 1000 osób dziennie. Dopiéro w drugiéj ludzpołXVII umierało po 1000 osób dziennie. Dopiéro w drugiéj połowie XVII wieku wprowadzono oświetlenie ulic; było wtedy 6500 latarni.

— *O przyczynach wojny w Europie i o sądzie rozjemczym* przez Emila *Laveleye* (Des causes actuelles de guerre en Europe et de l'arbitrage. Bruxelles, Muquardt 1873). Autor jest „przyjacielem pokoju;“

rozgląda się w obecnym stanie Europy i dowodzi, jak niezbędném, oraz jak łatwém jest urządzenie wysokiego sądu, któryby wszelkie starcia pomiędzy mocarstwami rozstrzygał i wybuch wojny usuwał. Dzieło to obfituje w szlachetne pomysły.

— M. H. *Reynald: Historya Hiszpanii* od śmierci Karola III do naszych czasów (Histoire de l'Espagne, wchodzi w skład wydawnictwa Bibliothèque d'Historie contemporaine), stawia czytelnikom przed oczy nauczający obraz upadku pierwszorzędnego niegdyś mocarstwa.

— *Dzieje dążeń do zjednoczenia Niemiec* przez Karola Klüpfel (Geschichte der deutschen Einheitsbestrebungen 2 t. Berlin, Springer), obejmuje epokę 1848—1871 r. i zawiera wiele szczegółów cennych dla historyka i publicysty.

— M. E. *Revillout:* Sur le mouvement des esprits dans les premiers siècles de notre ère. Vie et sentences de Secundus, d'après divers manuscrits orientaux etc. (Paris. Imprimerie Nationale). Jest to przyczynek do historyi pierwotnego chrystyanizmu i wpływów wschodnich: gnoscytyzmu, kabbały i t. p.

— *Roczniki obserwatoryum meteorologicznego na Wezuwiuszu*, wydawane przez *L. Palmieri* (Annali del Osservatorio meteorologico vesuviano), obejmuje opis naukowy zjawisk meteorologicznych od 1840 aż do 1873 r. Wydawnictwo to, przerwane przez czas jakiś, ma teraz wychodzić stale, dzięki gorliwości i zapałowi naukowemu p. Palmieri, który poświęca badaniom na Wezuwiuszu długie lata i niemałe nakłady.

— *Autobiografia* J. S. *Milla*, ukazała się w pierwszém wydaniu; odbita w 3,000 egzemplarzy, ale w ciągu 6-ciu dni już książka ta wyczerpaną została.

— „W notatkach słowiańskich“ (Notizie letterarie slave) w piśmie miesięcznem p. t. *Rivista Europea* znajdujemy wiadomość o studyum *René Lavollée* nad poetami polsko-łacińskiemi: „La poesie latine en Pologne; sprawozdawca mówi pomiędzy innemi o autorze: „Studyuje on szczególnie dzieła Kochanowskiego (Sarbievius), którego przezwano Horacym nowożytnym” (zeszyt grudniowy 1873, str. 199). Wątpimy, żeby autor specyalnego studyum mógł popełnić tak gruby błąd, jakim jest połączenie dwóch wielkich poetów w jednéj osobie. Wolimy przypuścić, że błędu tego dopuścił się sprawozdawca, który nie słyszał zapewne, że Kochanowski był wielkim poetą nie łacińsko-polskim, ale czysto-polskim.

— *Fasti Censorii.* Quos composuit et comentariis instruxit Dr. Car. de *Boor.* Berlin 1873. Weidmann, 100 str. Autor zbija powszechnie przyjęte (pomiędzy innymi i przez Mommsena) mniemanie, że urzędowanie cenzorów rzymskich trwało pięć lat, dowodząc że nawet w piérwszym wieku po nar. Chr. trwanie téj władzy ograniczało się terminem $1^1/_2$ rocznym. Błąd powstał z niewłaściwego wyrażenia Diona Kassyusza o 5-letniéj władzy cenzorskiéj ofiarowanéj cezarom.

— O *Towarzystwie Petersburskiém Osad Rolnych* i Przytułków Rzemieślniczych przez *Walentego Miklaszewskiego.* Warszawa 1873, str. 35. Zeszłéj wiosny autor zwiedzał niedawno założoną (w 1871 r.) osadę rolną dla nieletnich przestępców o 14 wiorst od Petersburga. Składa się ona jeszcze z dwu tylko domków (prócz mieszkania dyrektora i budowli gospodarskich); liczy obecnie 43 wychowańców. Kierują zakładem znani pedagogowie Al. Gerdt (dyrektor) i Teodor Rezner (pomocnik). Przyjąwszy na siebie jednocześnie obowiązki „ojców," zwalczają oni z poświęceniem i powodzeniem złe skłonności swoich wychowańców. Oprócz dokładnego opisu osady, rozprawka niniejsza zawiera rozbiór odnośnych artykułów prawodawstwa.

— R. *Roesler.* „Ueber den Zeitpunkt der slavischen Ansiedelung an der utern Donau" (Wien 1873 Gerold. str. 52), dowodzi że Słowianie ukazali się w Mezyi około 557 r. i zbija mniemanie, że cesarz byzantyński Justynian był Słowianinem z pochodzenia.

— Od nowego roku w Nowym Yorku zacznie wychodzić Przegląd międzynarodowy (International Review) pod redakcyą p. Leavitt'a. Wielu znakomitych pisarzy europejskich otrzymało zaproszenia do współpracownictwa.

— Pod szumnym tytułem „*Księga książ*, gwiazdy z nieba myślicieli i poetów" (Das Buch der Bücher. Teschen. Verlag v. Prochaska) pan Egon Berg ogłasza aż w 32 zeszycikach aforyzmy, zebrane z przenajrozmaitszych pisarzy (w liczbie 372), podzielone na 36 rozdziałów, na spisanie których poświęcił, jak powiada, pół-życia. Mają one być „Biblią rodzinnego ołtarza, świątynią serca;" my wszakże przejrzawszy dwa piérwsze zeszyciki moglibyśmy zalecić je chyba belletrystom, poszukującym szumnych epigrafów, jakie dawniéj zapisywano zwykle na czele pojedynczych rozdziałów.

---

† W dniu 24 grudnia 1873 r., w sam dzień wigilii Bożego-Narodzenia, zakończył życie, licząc 76 lat wieku ***Franciszek Maciejowski,*** b. członek Warszawskich departamentów rządzącego senatu, b. professor zwyczajny szkoły głównéj warszawskiéj, czło-

nek Najwyższéj komissyi egzaminacyjnéj. Po ukończeniu szkół pijarskich w Warszawie, we Wrocławiu przy pomocy stryja swego Wacława Aleksandra, znanego historyka, przyspasabiał się do nauk uniwersyteckich. W r. 1817 zapisany w poczet studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, uczęszczał na wydział prawny i zarazem był adjunktem biblioteki uniwersyteckiéj, przy boku J. S. Bandkiego, który mu naukowo wiele pomagał. Na zadany temat przez Uniwersytet Warszawski, odpowiedział rozprawą łacińską: „*De judicüs apud veteres Romanos*, za którą otrzymał medal srebrny. Oprócz wielu rozpraw prawnych, ogłoszonych w naszém piśmie, wydał oddzielnie: *Wykład prawa karnego* w ogólności, z zastosowaniem Kodeksu Kar Głównych i Poprawczych od 1 stycznia 1848 w Królestwie Polskiém obowiązującego (Warszawa 1848). *Zasady prawa rzymskiego podług instytucyj Justiniańskich*; (Warszawa 1861 r.). Uniwersytet Jagielloński, oceniając te prace, udzielił autorowi dyplom doktora prawa w r. 1862. Prawy i szlachetny w charakterze, spełnił godnie obowiązki obywatela swojego kraju.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca *Józef Berger.*

STANISŁAW MONIUSZKO

I

SZTUKA MUZYCZNA NARODOWA.

STUDYUM ESTETYCZNE.

PRZEZ

Bolesława Wilczyńskiego.

(Dalszy ciąg.)

II.

Rodzina, wychowanie, rysy charakteru Moniuszki.

Stawiając muzyczną twórczość Moniuszki w obec poetyczności polskiéj, więc w koniecznym stosunku do téj literatury odrodzenia, któréj muza jego jest córą duchową, oznaczamy mu właściwe stanowisko w dziejach rozwijania się myśli twórczéj u nas. Wszakże nadmienić wypada, że ów lirnik, co w symbolach melodyi i harmonii zawarł obraz rodzinnéj poezyi; że ta dusza, z któréj tysiące iskier tryskało, a wszystkie cudownie się mieniły w sceny i postacie znajome, w narodową modłę myśli i uczuć; że ta, mówię, zacna postać mistrza, sama nosi na sobie pewne cechy osobnéj, tradycyjnéj charakterystyki. Moniuszko był przedewszystkiém duszą czułą, jak na pieśniarza przystoi, ale otaczała jego osobę atmosfera narodowa, nieskażona, która zdradzała, że w sercu jego pozawieszane były zawsze drogie pamiątki, że w wyobraźni tkwił dostojny a pełen treści historyczny obraz przeszłości. On tak tworzył jak żył i ztąd niezrównana piękność, nieśmiertelna przyszłość dzieł jego.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

Patrzmy, tam w dziecięcym wieku opromienia go ród pełen zacności, roztaczający naokoło siebie żywe wzory domowéj i obywatelskiéj cnoty. Ów poczet Moniuszków, z których jeden włość swoją obdarza wolnością i oświatą; drugi z poświęceniem przewodzi młodzieży szkolnéj, inni dwaj odznaczają się na polu sztuki i nauki: ten poczet dostojnych stryjów naszego mistrza, zanadto wiele ważył światłem, cnotą i pięknemi czyny, aby w duszy spadkobiercy swojego nie odezwał się tym samym chórem szlachectwa prawego. Nie potrzebował Stanisław mozolić się szukaniem wzorów życia, bo je miał przed sobą w nieocenioném bogactwie duchowego posagu. A wszak to do szczęśliwych należy Opatrzności darów, że człowiek może ominąć drogę walk, że mu oszczędzone są misterye duchowego łamania się ze sobą. Jakaż to piękna duma, jaka słoneczna jasność rośnie w nim, gdy obejrzawszy się poza siebie, powiedzieć może: „Tam stoi dom mój, a ludno w nim i pięknie, i światła tam i Bożego skarbu dużo, a wszystko na co spojrzę, przemawia sercem i słowem mądrém. Więc święcę sobie ten światek mój, bo mam się na co obejrzéć, bo szczęśliwie i pełno mi w duszy, skoro zaczerpnę słodkiego ztamtąd napoju i gorzkiéj a pustej chwilki w życiu nie zaznam.“ Ta sama duma prowadzi człowieka do bogacenia siebie samego w przymioty i zasługi, by nie zgasło światło domu jego, by również na przyszłość spadkobiercom zajaśniał. Więc lubo w społeczeństwie waży tylko własna zasługa, nabierając publicznie znaczenia indywidualnéj wartości, to wszakże w istotném wyznaniu sumienia, odnosimy wielką część tych zasług do wzorodawców naszych. Takie wyznania oddalają pychę, a obdarzają duszę śliczną wonią skromności. Skromnym też był mistrz nasz i nie rzucał nigdy na widok ceny swojego pracowania. Owszem, zdawało się że ją skrywał, że nie widział duchowego państwa swego, które go władzcą serc czyniło. On żył i tworzył miłością i dlatego nie pragnął zbyt wiele; dość że osiągał wewnętrzne zadowolenie i kilku przyjaciół szczere uznanie. Toż żadne publiczne wystąpienie nie obeszło się bez przełamywania skrupułów, bez ofiar serca, którego dziewiczość wstydem płonęła, ilekroć miał ktoś jego bicia rachować, jego tajne miłości odsłaniać. Ztąd też ów spokój wewnętrzny, któremu twórca nasz całą pełnię posiadania siebie winien. Nie znaleźć w jego dziełach śladów zwracania się na indywidualizm, interesowania skargą, wypowiądania własnych dolegań i rozdwojeń, którą to nutą nie jeden poeta do współczucia trafia, ale traci tém samém moc przedmiotowego władania uczuciem i myślą.

Pod zasłoną ducha skromnego i pod opieką spokojnego sumienia, mógł Stanisław śmiało rozglądać się w tym swoim domu, a przyswajać sobie to, co ze skarbów w nim znalazł. Więc najprzód spłynęła nań wielka gorliwość co do kształcenia umysłu, co do bogacenia wiedzy. Żadna z umiejętności nie była mu obcą, i owszem nadzwyczajna miłość dla nauki cechowała w nim tę samą rodową umysłu

podniosłość. Przez całe życie skupował księgi, gromadził zbiory, a był najbardziéj przyrodoznawstwa lubownikiem. I nie dziw, jest w naturze, w jéj tajemnicach, w jéj ustroju organicznym, niezmiernie wielki świat poezyi. Lubo nauka odkrywa nam sam jéj żywot materyalny, to przecież myśl człowieka umié w odkryciach tych spostrzegać ducha, a im więcéj w stosunki natury wgląda, poznając jéj ciało i krew, nerwy i pulsa, im lepiéj widzi cudowny porządek i doskonałą zjawisk równowagę, tém bliżéj jest owego najwyższego źródła poezyi, którém jest miłość dla Stwórcy i stworzenia. Wszakże najchętniéj Stanisław piękną uprawiał literaturę. Mickiewicz był mu ojcem w poezyi, ile że poetyczne gniazdo, z którego się wzniósł ów orzeł-duch, było mu z blizka znaném, on sam był uczestnikiem téj plenności, jaką zostawił po sobie uniwersytet wileński i tego szczytnego zapłodu, jakim z ręki Śniadeckich, Żwana i wielu innych mężów nauki i serca, szerokie pola porosły. Dlatego najchętniéj śpiewał Mickiewicza, że znał wszystkie struny duszy poety. Muzyka jego tak się do duszy wieszcza stroiła, takiém natchnieniem i artystyczném wykończeniem stawała, że niéma zaprawdę słów do wyrażenia piękności, jakiemi w poetycznym swym ślubie, dwie muzy dwóch mistrzów jaśnieją. Było tedy w naszym pieśniarzu ześrodkowanie się najszlachetniejszych upodobań umysłu, co tém więcéj do szczęśliwych domu jego wpływów odnieść należy, że dom ten otoczony był przyjaźnią i szacunkiem ludzi światła. Miał co słyszéć i czemu się przypatrywać Stanisław, gdy dom rodziców jego tacy jak Lelewel otaczali przyjaciele. Z innéj znów strony ktoby przypuścił, że w wieku filozoficznego racyonalizmu, w dobie obojętności religijnéj znajdzie się dusza pełna wiary czystéj, sumienie żądne tego światła z góry, w którego mądrości zapisane jest prawo doskonałéj równowagi między człowiekiem wewnętrznym i otaczającym go światem. Był Stanisław serdecznie, gorąco religijnym. Pobożność regulowała wszystkie czyny i zatrudnienia jego, a to tak dalece, że przed każdém ważniejszém wystąpieniem publiczném, przed rozpoczęciem pracy, rzewnie, głęboko się modlił. Więc o ile umiał się podnieść do pięknéj modlitwy, o tyle ta piękność modlitwy napełniała nawzajem serce uszczęśliwieniem i myśl w trzeźwość a siłę zbroiła. Modlić się, w prawdziwém słowa znaczeniu, jestto samo co tworzyć. Kto czuje w sobie pełnię wewnętrzną, ten rad ją składa na ołtarzu, na którym dobroć nieskończona króluje. Wszakże ten tylko umié tworzyć własny w modlitwie poemat myśli i uczuć, kto wolnością ducha poza granice formułek wybiegł, a komu daném jest majestat prawd idealnych własnym oglądać wzrokiem. Taki człowiek staje się poetą, uplatającym swój psalm z darów umysłu, z upragnień serca. Pięknie a wspaniale w wyobraźni naszéj odtwarza się świat idealny. Trzeba mu tedy również piękne składać ofiary, co się téż staje wyższą potrzebą wszystkich, nieumiejących pojmować sceptycznéj głuchoty duchów. Znajdziesz tę piękność modlącego się człowieka

we wszystkich religijnych utworach Moniuszki, a są one pełne téj prostoty, któréj tajemnice dziś zaginęły w kościele, wśród przepychu instrumentalnego i romantycznego skażenia. Bo i do téj pracy sposobił się Moniuszko, nietylko przez wgłębianie się w wielką epokę religijnéj muzyki, lecz poetycznie, więc przez rozwijanie swych natchnień na polu polskiéj religijności. Z wielkiém też upodobaniem wczytywał się w Pismo Święte, a zamierzał muzyczną oratoryą żywot patrona swego i patrona Polski wyśpiewać. Otóż ta pobożność, niby troskliwa domu Moniuszkowego ochmistrzyni, przeniosła na swém ręku duszę szczęśliwego potomka czystą, niewynaturzoną, z dalekiéj przeszłości w świat nowy. Zgoła, dość z każdéj strony dotknąć życia naszego mistrza, by uczuć naokoło niego tę promienność poważną, zasłużoną, która mu szła z daleka, a piętnowała wszystkie stosunki, a była nawet pewnego odosobnienia powodem. Wystarczał Moniuszce dom i przekazane mu skarby, i dlatego nie potrzebował niewolniczo do obcych sobie naginać się form życia. A jednak obaczymy w dziełach jego jak leciał duchem naprzód, bo z wiarą patrzył w postęp, bo umiał oceniać zacność usiłowań czasu, niechybną wartość celów i coraz lepszą przyszłość społeczną.

Patrzmy jeszcze w ten dom Moniuszki. Tam bliżéj serca postać ojca, którą osobliwy charakteryzuje typ wojskowy. Próżnobyś szukał marsa na czole, dzielności w postawie, piorunnego słowa na ustach. Tu wzrok gdzieś w dal zapuszczony, a uczucie gdzieś głęboko w piersi ogniskiem rozłożone. Oblicze to na zewnątrz gra poważną myślą, nastrojoną do wielkich tonów serca; ale też uśmiecha się dowcipem, tryska szczerym humorem i wesołością, bo to żołnierz z czasów Napoleona i artysta-malarz z zamiłowania. Stoi przy nim młodziutki Stanisław i wzrok topi w oblicze, bo ojciec właśnie rodzinne wskazuje mu cnoty, bo mu żywém słowem piękne maluje domu portrety. On, każdym rankiem pociągnie chłopca do siebie, i z księgi pamięci, z kart doświadczenia, wyjmie dlań naukę. Taka nauka osiądzie żywostanem na sercu i na młodéj wyobraźni i już nigdy jéj nic nie przyćmi. Ona ma tę nieporównaną siłę, jakiéj sama przez się nie posiada książka, że uczy z przykładu, że z serca w serce, z myśli w myśl trafia, że młoda latorośl rośnie na pniu tym zdrowo i prosto, bo się w jéj umysł nie wkradnie wątpliwość, bo jéj nie podetnie rozumowych pokus trucizna. Tysiące sprzeczności z książkowéj rośnie nam nauki. A któż je sprostuje? Oto właśnie ten w nas osiadły pełnomocny sędzia, którego wyroki nabrały mocy w gruntownych początkach uczenia się naszego. Moc ta najpierwéj ze szkoły nabywa się ojcowskiéj i macierzystéj, ale nie pod przewodnictwem książki pisanéj, lecz w otwartéj księdze rodzicielskiego żywota, w jego wskazówkach, w jego prawdziwéj, niekłamanéj mądrości. Skłamie nam zawsze książka, skoro nas nie nauczono jéj czytać. Otóż, jeśli najchętniéj i z największém zamiłowaniem odsłaniał ojciec synowi dzieje ojczyste, to już niewyczerpanym był w opowiadaniu

o téj przeszłości, w któréj brał jeszcze udział, o ulubionych *dawnych czasach*. Dawne czasy, to charakterystyczna nuta w naszéj staropolskiéj poetyczności. Ona brzmi smętnie i zawsze westchnienie sprowadza, a lubo się z niéj stary bajarz rzeźko otrząsa, to miło mu do tego nawracać tonu, że w nim tkwi przejście do wesołości, do otusznéj gawędy. Z drugiéj znów strony, te dawne czasy przedstawiają obrazowość, w któréj się żywa lubuje wyobraźnia, a któréj nie jesteśmy w stanie w bieżącéj ułowić chwili. Ztąd to ów częsty wykrzyknik o tém że *dawniéj lepiéj bywało*, bo w istocie poza nami widzimy pełnię rzeczy skończonych, wdzięczny obraz życia, gdy czas obecny pod tajemniczą zasłoną oblicze swoje kryje. Tam wyroki spełnione, tu niepewne ich wyczekiwanie. Taką nutą najwyższego poetycznego nastroju, napiętnował Kaczkowski gawędę starego Murdeliona z Nieczują. Mieli ludzie dawnéj daty osobliwy dar artystycznego opowiadania. Wśród codziennéj prozy naszego życia, wśród towarzyskiego przymusu sponiewierał się i dar ów, lecz nie dawno jeszcze, w dobie ostatnich ścierań się rzeczy nowych i starych natrafić można było na typ mówcy, co miał w głowie scen nie mały zapas, a jak je raz poruszył, to się rozgrzéwał sercem, a toczył rzecz z całą grą fantazyi, pięknie i z ogniem, cało, skończenie i z plastycznym wyrazem. Umiał on zainteresować, pociągnąć uwagę słuchacza, a skoro go już miał za sobą, wpadał w natchnienie i grał na jego duszy tak, jak własne wspomnienia mu przygrywały. W téj mowie miało każde słowo swoją ekspresyę, swój ton i swój ruch, czego dziś właśnie najbardziéj się wystrzegamy, iżby nie obrazić absolutnego tyrana, który w salonie bożkiem form zakrólował. Więc opowiadał wojak jak to było i jak bywało, a przed ciekawą wyobraźnią ukochanego chłopięcia przesuwał cały kalejdoskop barwnych scen i wizerunków od ręki. Nie przewidywał zapewne, że poetyczny umysł żywi, że jest pośrednikiem pomiędzy przeszłością i artystyczną duszą, która ma kiedyś tą samą przemówić w sztuce mową. Wsiąkała ona w młodą wyobraźnię i układała się tym samym tonem, tym ruchem i kolorytem, ile że już sama treść obrazów kształtowała fantazyę i nieporównaną mistrza naszego zdolność w przedmiotowem tworzeniu. Bo też szczególny w muzyce Moniuszki znać dar opisywania, zwłaszcza przez grę ruchu i wypowiadanie sceny. Zda się że słyszysz nieraz ten sam ton rubaszny a szczery, co swoje krótko a zwięźle powiedział, i widzisz ów ruch co wąsa pokręcił i gracko podsadził, a teraz dumnie prowadzi swą damę, to szepce jéj jakieś słodycze, to słucha melodyi jéj głosu. Owszem, w niejednym utworze urośnie ci przed oczami tak żywy a raźny obrazek, że aż do łez radości przysporzy. A przecież wiemy, że ta strona talentu Moniuszki była i w obcych postrzeżoną, bo umieli ją wysoko ocenić nawet mało w malowniczości ruchu smakujący Niemcy. Był Stanisław szczególną czcią dla mowy polskiéj przejęty. Ta ojców naszych mowa, na któréj pochwałę Kopczyński dość słów nie znajduje, a nad

jéj poniżeniem smutnie boleje, rzucała urok na duszę naszego śpiewaka. W szkołach lubił pięknym popisać się wierszem, a zwłaszcza dramatycznego zakroju deklamacyą. Tak Szopen lubował się w deklamacyi muzycznéj. Lubo tedy oba mistrzowie schodzą się ze sobą co do usposobienia, wszakże w saméj różnicy ich upodobań tkwi ogromna talentów różnica. Bo gdy marzycielski Szopen szukał w symbolach muzycznych dla swych ballad wyrazu, to umysł Moniuszki zachwycała potęga i trzeźwość słowa poetycznego.

Już na samém sercu, a oburącz doń przyciśniony, leży wizerunek matki naszego śpiewaka. Wszak ona go pierwszéj uczyła nuty i pierwszą pieśń w duszy składała. A musiały być tony téj pieśni rzewne, bo bardzo matka swego jedynaka kochała. Wielka pojętność i czuła organizacya dziecięcia, a z drugiéj strony miłość ukształconéj matki, ten szczęśliwy zestrój warunków, wypełniając dwoje jestestw tém wszystkiém, co jest w uczuciach najdelikatniejszego, najidealniejszego, słusznie pobudza do szukania w poezyi, w sztukach pięknych najwłaściwszéj mowy. Można powiedzieć, że ogólnie matek naszych słabostką jest wyszukiwanie w dzieciach talentu muzycznego i wprawianie ich do téj sztuki, chociażby z wielkiém zaślepieniem; tyle ma ona w sobie tajemniczych rozkoszy, zadawalniających psychiczne macierzyństwa potrzeby. A obacz, jakto matka muzyki uczy. Ona się nie opiera zbyt surowo na szkole; nie umié władać techniczną jéj stroną; nie ma odwagi i sposobów, aby psychiczną jedność swą z dzieckiem rozerwać, a stanąć, jako mistrz nauczyciel, mający się do ucznia raczéj wolą, rozumem, zgoła samodzielną indywidualnością swoją. Byle elementarną udzieli wiadomość, a już co prędzéj śpieszy sztukę na mowę swą zamienić. Więc z mozołem przejdzie suche elementa, troszcząc się nie tyle o zewnętrzną doskonałość, ile o idealną wartość piękna. Ona nie ugruntuje gammy, nie odsłoni zawiłych trudności harmonii, ale niezrównaném natchnieniem zrozumié melodyą, przeleje w duszę jéj liryczną wartość, wypieści jéj nieuchwycone, anielskie koloryty. Nie ma trudniejszéj rzeczy w muzyce, a zwłaszcza w dzisiejszém kompozytorstwie, nad prawdziwą, nieudaną melodyjną twórczość. Melodya płynie z natchnienia, z czystéj krynicy napełnionych poezyą uczuć, a przecież tę krynicę nielitościwie wysusza zbyt wszechwładna, zbyt scholastyczna filozofia techniki. Powinien sztukmistrz być mądrości muzycznéj koniecznie świadom; lecz skoro w niéj saméj szukać będzie piękności sztuki, jeśli się nauczy budować, ale nie potrafi mówić, a raczéj, gdy się nie postara o rozdmuchanie w sobie treści poetycznéj, wtenczas twórczość jego będzie jałową, biedną, a sztucznie się pstrzącą, a pysznie nadętą. W Niemczech sztuka muzyczna odmienne ma od naszych psychologiczne wiązadła. Tam jéj nie poczyna miłość matki jak u nas, ani piękna natura i namiętna melomania uczuć, jak we Włoszech. W ich praktycznéj rodzinie trzeba, iżby dziecię istotny okazało talent do sztuki, a wówczas idzie na gruntowną naukę do ojca muzyka, do miejscowego

organisty, albo ją poczyna odrazu w instytucyi, ile że w Niemczech nie rozumieją poetycznie luźnego kształcenia i jąk dla każdéj umiejętności, tak i dla sztuki muzycznéj ustanowioną jest obowiązująca prawidłowość. Siła poetyczna w sztukmistrzowstwie germańskiém nabywa się z wiekiem; więc wówczas, gdy dusza już dostatecznie dojrzała, aby mogła zajrzéć w wielkie przepaści wewnętrznego natchnienia. My do téj poezyi nie jesteśmy w stanie dorość, jak również Niemcy do naszéj się nie zbliżają. Lubo dojrzałość duchowa jest wszędzie warunkiem rozkwitu, to jednak nie wszędzie ma rozkwit jednakowe przymioty, więc niejednakowym będzie pod względem kształtu, barwy i woni kwiatu. Gorącym kolorem zaiskrzy się kwiat na południu, gdy ciemna tajemniczość farby powlecze go na północy; a jeśli jednemu skąpo jest woni, bo się cały w sobie chowa, to inny odurzy zapachem. A zkąd te różnice, jeśli nie od promieni słonecznych i od macierzystéj gleby? U plemion słowiańskich, tém słońcem i tą glebą jest życiodawcza moc poezyi rodzinnéj, która głębokie zapuszcza korzenie już od dzieciństwa samego. Ztamtąd spada ta dobroczynna rosa, co niezmiernie delikatną powłoką odznacza kwiaty w duszy. Jakoż istotnie delikatność uczucia jest jedną z cech naszego usposobienia. W skromnych dziejach naszego sztukmistrzowstwa obaczysz ją na pierwszym planie. Komorowskiego pieśń stroi się do najsubtelniejszych liryki poetycznéj odcieni, a już Szopena dusza była całkiem z drogiego kruszcu i filigranu. Patrz jaka to lekkość i anielski wdzięk w melodyach, gdzie serce do szczęścia, do radości wzywa; jaka delikatność skargi, gdy się chce pożalić i smutkiem zapłakać; rzekłbyś, że artysta nie miałby odwagi zbyt rozpasaném weselem i zbyt ponurą żałobą porazić słuchacza. Dlatego z jego utworów, zwłaszcza mniejszych, pisanych w jaśniejszych chwilach życia, zachodzi cię jakiś pyłek eteryczny, drogocenny bo rzadki, niepospolity, bo tylko ukształconemu udzielający się smakowi. Jest to wysoka artystyczność duszy, która z natury i z wychowania swój przymiot bierze. Niewieścia delikatność duszy, to niby owa promienistość nieuchwycona, co idzie z przymglonego nieco nieba, a piętnuje wszystkie przedmioty barwą napoły niedojrzałą, a jednak uroczo piękną. Ona się boi zbyt gorącego słońca i deszczu i burzy. Człowiek zbyt delikatny, zbyt drażliwy w uczuciach, boi się mocnych orkanów życia, nie wytrzymuje wielkich przeciwieństw, nie stawi pociskom bohaterskiéj piersi, bo oneby go okropnie rozdarły, a zbyt głęboko do pokojów duszy sięgły. Więc stroni od nich, unika pospolitych gościńców, gdzie tłok i wrzawa, a staje się arystokratą uczuć. Taki człowiek niezdolen do energicznych czynów, ale czując wiele i wznosząc się myślą wysoko, roztacza na około siebie treść szlachetną i wzniosłą. Sztukmistrz z takiém usposobieniem, nigdy nic wielkiego rozmiarem nie stworzy, nie obejmie całéj w sobie idei, ale za to w małym światku swoich pomysłów i w chwilach wybranych, podniesie się do wysokości

szczytnéj, niepospolitéj. Owoż taką niewieścią delikatnością był obdarzony Szopen. Lecz wcale rzecz się ma inaczéj, skoro delikatność duszy miarkowaną jest poczuciem własnego męztwa, własnéj dzielności charakteru. Nie ma nad ów przymiot szlachetniejszego w człowieku. Taki przymiot sposobi nas do bardzo pięknych stosunków życia, znosząc trudności i dotkliwe kolizye węzłów towarzyskich. On ustanawia niezmierną łatwość wchodzenia w każdą obcą osobistość, dzielenia jéj uczuć, rozumienia jéj potrzeb duchowych, a z innéj strony daje umysłowi pewną przenikliwość i wielką zdolność spostrzegania rzeczy zakrytych dla pospolitego wzroku. Twórczość Moniuszki napiętnowana jest delikatnością uczucia, ale obaczymy, że ona jest w nim męzką, że nie odbiera mu władzy trzeźwego, dojrzałego nad ideałami sztuki panowania. Owszem, delikatność uczucia, charakteryzując w nim słowiańską duszę, nie idzie zadaleko, nie sięga onych rozmiarów, które w chwilach zwątpienia opanowywały poetyczną muzę naszą. On całą duszą stoi przy zdrowiu ludowém i przy historycznéj przeszłości, a umié wiele spostrzegać, bo matka, miłością swą dając mu słowiańskiéj uczuciowości znamię, nie osłabiła męztwa zbyteczną i nieumiarkowaną pieszczotą. Delikatność cechowała wszystkie stosunki naszego mistrza, co bardzo dobrze scharakteryzowało jedno z pośmiertnych wspomnień, przytaczając, że Moniuszko miał tak wysoko uszlachetnione uczucie dla kobiety, iż w żadném zbliżeniu się do niéj nie przekroczył granic przyjaźni i szacunku.

Krom delikatności uczucia, odziedziczył Stanisław po matce nadzwyczajną pogodę umysłu. Rzadki ów przymiot bywa udziałem ludzi, u których wewnętrzne dary ducha są w wielkiéj zgodzie, a których stan moralny stawia po za obrębem drobiazgowych życia kłopotków. One kłopotki rosną w olbrzymy u duchów niespokojnych, niezgodnych, niepewnych siebie, bo się im zdaje, że świat samemi kolcami posiany, że ziemia umyślnie dla nich piołun rodzi, a ludzie z owéj goryczy napój im gotują. Otóż człowiek pogodny od takich wolnym jest złudzeń. On, nad drobiazgiem życia panuje swą własną harmonią, poczuciem swéj moralnéj jedności; więc w państwie swojém nie zna piołunów, bo umysł broni go od nich, że zawsze jasno w duszę spogląda. Tacy ludzie są wyższemi duchami, a przelatują po ziemi podobni do aniołów, których się chwast nie ima, a którym ciernie nie sprawiają zbyt krwawych, rozdrażniających bólów. Nigdy zanadto nie dotknęła Stanisława przeciwność żadna. Z najboleśniejszym zawodem godził się prędko, a pocisk odbijał się od jego duszy słabém, nikczemném złudzeniem. Ztąd widziałeś go, jak umiał być swobodnym, szczęśliwym i zadowolnionym. Mało się udzielał i mało mówił, ale skoro się znalazł w ochocie, uderzył cię zawsze ujmującym humorem, zadziwił spostrzeżeniem, przejął dziwną pogodą, łagodnością i spokojem sądu. Przy takiém usposobieniu sporo mu szła sprawa tworzenia, bo mając już w sobie tyle

piękna na zawołanie, jedynéj rzeczy wymagał, biorąc pióro do ręki: pogody i piękności od otaczającéj go natury. Więc skoro to miał, skoro chór lata dosłyszał, lub tylko promień słoneczny obaczył, dość mu było kilkunastu dni pracy do napisania większych rozmiarów dzieła. Flisa, napisał w podróży paryzkiéj. A tworzył prawdziwie poetycznie, unikając przysłuchiwania się sobie i mistrzowania za pomocą własnego uwielbienia. Nie znaleźć w Moniuszce śladów lubowania się swojém natchnieniem, a choć nie używał fortepianu do kompozycyi, wiemy, jaką nam dawał techniki doskonałość.

Taka była duchowa straż domu Moniuszkowego. We wspomnieniach jego stoi ów rodzinny wiejski dworek, skromny, mało różniący się od otaczających chatek wieśniaczych, co mu się pałacem być zdawał, tyle w nim uroku i treści pięknéj [1]). A wyglądał w istocie ten dworek nie jako pan, lecz jako brat pomiędzy wieśniaczemi towarzyszami, a taka go otacza prostota, tak go pięknie posaży natura, dając cienistość lasu i barwność łąki, i prześliczną harmonią krajobrazu, iż nie dziw, że w wyobraźni odtworzył się spokojnym, lubym, we wszystko obfitującym światkiem. Tam wsłuchiwał się Stanisław w wiecznie młodą a niewyczerpaną pieśń natury, spolił się z ludem jéj kochankiem, a uczył się poznawać ich miłość, ich ślub poetyczny. Kto z młodu nie słyszał mowy i nie widział uścisków tych dwojga kochanków, kto nie przyłożył duszy do ich żywota, ten nie zrozumié poezyi w jéj najprawdziwszéj, niepokalanéj barwie. Poezya natury niezbędnym jest pokarmem dla poety i sztukmistrza. Jeśli nieubłagany rydwan cywilizacyi, w tryumfalnym swym pochodzie depcze piękność dla pożytku; jeśli w imię zacnéj idei ludzkości przebiega Bożą ziemię, zamieniając ją na porządną, produkcyjną, lecz bezbarwną szachownicę; to poeta wzniesie wzrok swój ku niebu, poleci na morza, wyprawi pielgrzymkę do oszczędzonych przez cywilizacyą królestw natury. Tak Mickiewicz szukał natchnień w Krymie i na włoskiéj ziemi, Lamartine na Wschodzie, niemieccy poeci w licznych uroczyskach i kniejach prastaréj Germanii. Tam do nich sama mówiła o sobie przyroda; tam ci poeci ślubowali jéj miłość, aby wydrzéć tajniki jéj ducha. Lecz jeśli poeta koniecznie musi wiązać się duchem z naturą, a szuka dla niéj wyrazu w swém własném, indywidualném natchnieniu, to pomnij, że lud od wieków nierozłącznie z nią zespolony. Jego tworzywo nieforemne i potworne, jego myty i legendy są jak górskie formacye, jak kopulacye skał,

[1]) Urodził się Moniuszko 1819 r. w małéj wiosce Ubiel, położonéj w Mińskiém, niedaleko Śmiłowicz, głównéj siedziby dwóch ostatnich tego rodu pokoleń. Tam spędził wiek dziecinny, więc najpiękniejszą dobę wrażeń, która się przeciągnęła aż do lat dwunastu, to jest do czasu, w którym Stanisław z pod skrzydeł matki i ze swobód natury, szczęśliwie uchowany, na szkolny mozół idzie.

a kupią się w olbrzymią massę poprzez wieków warstwy. Tak samo bezforemną jest i potworną natura dla sztuki. Poeta, artysta, muszą przetwarzać duchem, oczyszczać z potworności tak robotę natury, jak twórczą robotę ludu; ale zważ, że duch natury nabiera już poetycznéj krasy w uściech ludowych, on tam najpierwéj przychodzi do myśli i uczucia człowieka. Poezya ludowa jest pierwszym stopniem przetwarzania się ducha natury na ducha sztuki i dlatego nie godzi się jéj lekceważyć poecie. Posłuchaj górskich krain Styryi, co ci tam prastare echa przez poezyą ludową powiedzą; przyłóż słuchu do Powiśla, do Nadniemeńskich okolic, do Zabużańskich stepów, jakie ci lud pokaże poetyczne wód, lasów i jarów dzieje. W tych kopulacyach fantazyi ludowéj, odnajdziesz saméj natury tajniki, więc jéj związki z człowiekiem, jéj żywe wpływy na wyobraźnią czujną, na serce młode. Tam pierwszy raz ukaże ci się jaźń natury w całéj swéj potędze. Wszak pomijając już arcyważne w poezyi znaczenie mytów i legend, weź tylko pieśń i mowę ludu i obacz, jak on w nich prawdziwie a poetycznie naturę określa. On najlepiéj nazwać umié śpiéw ptasząt, szum gajów i strumieni, ryk burzy, wzrost roślin; on tworzy co chwila brzmienia, doskonale odpowiadające dźwiękom i ruchom zjawiskowym, a umié uplastycznić tęsknotę i ból serca, radość i wesele duszy, bo te jego psychiczne stany ściśle z naturą związane, bo je tłumaczy tym samym stanem chmurnego lub jasnego nieba, porównywa do gwałtów, spokoju lub wdzięków przyrody. Dlatego poeta i sztukmistrz, jeśli mają karmić się treścią natury, to témbardziéj poznać się powinni z jéj najpierwszym tłumaczem, z tym, co im da widzieć misterye jakich nigdy nie posiądą sami. W wieku powszechnego filozofizmu i krytycznego na rzeczy patrzenia, musi i poeta stracić na téj szali, gdzie rozum przeważył, a zepchnął poezyą z życia w osobny światek sztuki. Wśród takiéj przewagi, poeta zapuszcza się w głąb' siebie samego, wpatruje się w przepaście ducha, staje się poetą-filozofem, ale już mu trudno się nagiąć do poezyi przedmiotowéj. Trzeba mu téj kąpieli natury i ludu, jeśli chce przemówić słowem żywém, pięknością stworzoną.

Otóż takim poetą nauczył się być od dzieciństwa Moniuszko. On znał lud i jego poezyą, bo z dzieciństwa, z wychowania, nie przywykł stronić, lecz zbliżać się doń duszą. Miłość i wiara w poczciwość ludu cechowała życie jego. Ztąd w mowie muzycznéj niezrównana zdolność malowania natury; ztąd to przeważne upodobanie w ludowym rodzaju muzyki, w pieśni. Pieśń najlepiéj jego pierwszym natchnieniom odpowiadała, i dlatego, zanim się dorobił wyższych stopni tworzenia, wysnuł w piosence, w balladzie, w kantacie najpiękniejszą treść swoją. Milda i Wundyny napisane są pod wrażeniem studyów, jakie na Żmujdzi odbywał. Jest żmujdzki lud niezmiernie muzykalnemi obdarzony instynktami; wiedział o tém Moniuszko, a śpieszno mu było usłyszéć tam rzecz rzadką w mu-

zykalności ludowéj, to jest śpiéw chóralny. Otóż długo słuchał tych oryginalnych, dziwnie poetycznie układających się chórów, a wyniósł ze żmujdzkich odwiedzin mitologiczne utwory, które pozostaną na zawsze charakterystyką niezmiernie duchem wyosobionego ludu, ile że w innych kompozycyach Moniuszki już nie znaleźć prawie śladów téj saméj melancholicznéj harmonii. Ale wszystkie bogactwa mowy ojczystéj były mistrzowi naszemu znane, że się on z miłością wsłuchiwał w nieprzebraną ludowego goworu muzykę. Kraj rozlega się obszarem, a mieni się krajobrazami, z których każdy inną ma fizyognomią, więc inne tętna i dźwięki mowy inne. W leśnéj okolicy nauczysz się mowy łowieckiéj, usłyszysz wyraz puszczy i gospodarstwa leśnego; tam, gdzie się szerzą łany, gdzie gościniec i jarmark, gdzie ludno i wesoło, stanie przed tobą barwna ziemianina mowa; duch stepu zawiedzie tęsknotą i w słowie człowieka głębię samotności roztworzy; podgórza i porzecza, przemówią niepodległą a hardą, niby zdziczałą górala i flisa fantazyą; a wszędzie znajdziesz treściwą i poetyczną symbolikę, wypowiadającą coraz inszą harmonią stosunek człowieka do natury. Otóż ta symbolika jest przedewszystkiém muzyczną; bo lubo lud chętnie używa farby w swéj mowie, to nierównie mu łatwiéj nazwać rzecz po jéj ruchu, po głosie i rytmie. On nie tak dobrze spostrzega kształty, grę cieniów i barw, która to gra dopiero się udziela wyobraźni pod wpływem umysłowego rozwinięcia, a wymaga, iżby na nią wzrok patrzéć umiał; lecz doskonale schwyci melodyą, ton, wibracyą, że w nich tkwi sam ruch, najwyraźniejsze świadectwo życia. Ztąd niezmiernie ścisły stosunek muzyki do mowy ludowéj, a zwłaszcza w pieśniarstwie, w opisowéj, charakterystycznéj i zgoła w sztuce, noszącéj imię narodowe. W muzyce Moniuszki uderzającym jest ten stosunek. Zbiór pieśni jego, to epopea mowy, w jéj rozlicznych odcieniach miejscowych, w jéj naturalném, prostém a wysoce poetyczném bogactwie przez sztukę odtworzona.

Pięknie, jasno i szczęśliwie chowała się dusza mistrza, który miał tyle treści narodowéj zrozumiéć, ukochać i w sztuce odtworzyć. A patrzmy, te wpływy rodzinne, te duchy domowe, taką czuwały nad nim opieką, że w żadnéj życia chwilce nie dały wychowankowi swemu inaczéj czuć i myśléć, jeno po swojemu [1]). One mu to-

[1]) Naukę muzyki rozpoczął Moniuszko u Freyera w Warszawie. Wszakże dopiéro w 17 roku życia kierunek artystyczny stanowczo był przezeń obrany. Wówczas udał się do Berlina, gdzie pod okiem znakomitego przewodnika chórów, Rungenhagena, w dwuletnim zakresie czasu studyów dopełnił. Ztamtąd wrócił do kraju i osiadł w Wilnie, a na spotkanie los mu przygotował całą przyszłość ciernistego znoju, w obec zupełnéj pod względem artystycznym społecznéj głuchoty. Czy dostateczną była ta odrobina czasu, by wykształcić i umocnić mistrza? Powyższa okoliczność dowodzi, że geniusz Moniuszki nie

warzyszyły na wielkich drogach świata, więc wszędzie gdzie niby czarowne hurysy, rozstawione są ponęty sławy i życia. Tym hurysom łatwo się oddaje nie jeden nowowierca w sztuce, że nie zniesie cierniowej pracy, że nie potrafi tworzyć bez wawrzynów i korzyści. On tam pobieży gdzie gwarno a ludno, gdzie poklask i fortuna, gdzie wszystkie oczy zwrócone, a nie przemówi mową, która mało jeszcze obiecuje słuchaczy. Na to trzeba szlachetnéj odwagi i gorąco miłującego serca, wszakże nie samych oderwanych zapałów dla sztuki, lecz pełnego, treściwego, humanitarnie uzbieranego skarbu uczuć. Wysoce uzdolniony, wiedzą artystyczną uposażony, mógł Moniuszko, g'woli upajającym roszkoszom sztuki, dać się ukołysać cherubinom z obcego nieba. Takie ustępstwo usprawiedliwiłoby się zbyt szczupłym zasobem środków i materyałów, jakiemi w swojém mógł rozrządzać gnieździe. Wszak samo dramatyczne ubóstwo sceny polskiéj, mogłoby do tego skłonić mistrza, który był w sile na wielką skalę rzeczy tworzyć. Wszak mógł mu słówko apostazyi szepnąć ów blask, jaki bił w Niemczech od Liszta, w Paryżu od Rossiniego i Aubera. On się z nimi widział, mówił o sztuce, przypatrzył się zblizka ich aureoli, ale się stawił godnie, z całą dumą i niepodległością wieszcza swojego kraju. Lubo tedy nie miał na sobie książęcéj aureoli, ale w nim książęcia poznali ci właśnie bracia w sztuce i cześć mu złożyli. A było tak, że gdzie jeno wypadkiem, w obec koła mistrzów, spotkałeś kompozycyę Moniuszki, usłyszałeś, niby cichy szmer, wyraz podziwu i głębokiego dlań uznania. Otóż ten podziw i uznanie sprowadzała mu własna samodzielność w sztuce, narodowa cecha i swoja wiara. Żadne względy, najcięższe nawet artystycznego bytu warunki, nie były w stanie przełamać tego, co było szlachetną, wzniosłą stroną duszy Moniuszki. Był on swoim narodem dumny, a chciwy przyspożenia chwały krajowi. Ztąd nieustanna praca, zazdrosna pięknych owoców, która czynnie a z miłością po wytkniętéj sobie drodze zdążała. Miał Moniuszko od muzy swojéj wyłączone chwile na wspieranie młodych talentów, na dyrekcyę sceny, na zbieranie co piękniejszych utworów religijnéj muzyki polskiéj. Dlatego, jeśli od lat młodych już był ukochanym

---

pragnął wtajemniczać się w ducha sztuki, która, wspaniale na obozyznie królując, gromadziła niezliczone w około siebie zastępy uczniów i zwolenników. Trzeba mu było jedynie ścisłéj nauki zdobyć zasadę, bez względu na ich estetyczny w niemieckiém mistrzowstwie rozrost. Otóż faktyczne świadectwo, że Moniuszko, równie jak Szopen, samodzielnością wyszedł na mistrza. On umiał badać objawy sztuki i własnym sądem je cenił, owszem, przez całe życie szperał w arcydziełach, w stylach i szkołach wszelkiego czasu; lecz czynił to z pomocą własnego, samoistnego rozsądku, który na chwilę nie dał mu odbiódz od rodzinnéj, wszczepionéj mu z życiem intuicyi.

mistrzem na Litwie, gdzie krzewił sztukę, śpiéwał i uczył, to przed końcem życia słyszał całéj Słowiańszczyzny hymn chwały i widział uwity dla siebie z słowiańskich nieśmiertelników wieniec.

III.

Sprawa sztukmistrzowstwa w Polsce. Znamiona ludowego tworzenia. Dwa psychologiczne przymioty stylu słowiańskiego. Pieśniarstwo i muzyka religijna Moniuszki.

Sztuka w Polsce nie wyrobiła swéj własnéj fizyognomii, nie ukształtowała historycznie i tradycyjnie typów piękna. Lubo to piękno uprawiał naród, lecz on nie maczał dłań czoła w artystycznym znoju, nie dał jednéj iskierki ognia swego. Sztuka w Polsce kupowaną była za pieniądz, zatargowywaną przez szlachetną możnych dumę; więc była dla narodu niby sprawioną suknią, bogatą, ozdobną, ale z cudzego materyału i cudzym pomysłem skrajaną. Dwie strony ma sztuka: stronę idealną, to jest treści duchowéj, którą przedstawia i stronę umnictwa, to jest typów zewnętrznych, form, zgoła piękna samego w sobie. Niéma twórczości, skoro którejkolwiek z nich braknie, a tém mniéj jeśli zabraknie téj drugiéj strony, artystycznego przysposobienia, daru kształtowania, władzy widzenia i odczuwania piękna w stworzeniu. Patrzmy jak pod wpływem tego daru przechodzą sztuki na własność człowieka. Weźmij z ich dziejów jakibądź styl i sprobuj go dokładnie, wyczerpująco określić. Nie dokażesz tego za pomocą saméj krytyki estetycznéj, bo się znajdziesz w zamętnym labiryncie, gdzie wszystkie danego stylu drogi i objawy są pomieszane. Musisz zejść do psychologii a historyi i wówczas się dowiész jak każdy naród, odbierając potrącenie od tradycyi lub otaczającéj go piękności, odtwarzał sztukę po swojemu, piętnował ją naturą ducha i umnictwa swego. Ani myśléć na drodze estetycznego badania dowiedzieć się zkąd idą formy gotyki. A wszakże jest rzeczą pewną, że je natchnął duch chrześciański, a wytwarzał coraz inny umnictwa nastrój. Bo wcale inną pięknością znaczą się one na północy niż na południu, więc tam z saksońska i germańska, tu z romańska i włoska, ówdzie z arabska i maurytańska. Z tego daru przetwarzania na podobieństwo swoje rosły zawsze, jeśli nie osobnicze formy, to różne style, niby psychologiczne w piękne odcienia, dające sztuce fizyognomią, jako wyraz własności miejscowéj. Fizyognomia utworów świadczy po wszystkie czasy o uzdolnieniu, o twórczéj sile i artystycznych każdego narodu władzach. Otóż tego świadectwa naród polski, w ciągu historycznego bytu swego nie mógł pozyskać, bo dary twórcze spoczywały w nim nie rozwinięte, nie powołane do czynu. Jedne po drugich następowały pokolenia, a za-

dne nie wiedziało o spadkobierstwie estetyczném, o obowiązkach względem sztuki. Naród polski, gdzieindziéj wzrok swój kierował, innym sprawom służył, a sztukę chciał już gotową nabywać. Więc ją cudzą uprawiał ręką, obcą przyzywał pomoc, lub swoją czeladź w mistrzowstwo wprawiał zagraniczne. Głośném było światu imię Krakowianina Wita Stwosza, a on był przecież wyznawcą sztuki gotyckiéj, jednoszkolnym z Dürerem, tak dalece, że w rzeźbie jego niepodobna dostrzedz jakkolwiekbądź odznaczających się słowiańskich pierwiastków. To samo powiedzieć można o uprawiających *ars italiana* roratystach, a więc i o księdzu Gomółce, którego muzyka najzupełniéj tchnie szkołą Palestryny. Miał nam włoskie w kościele śpiéwanie wprowadzić ów Grzegorz z Sanoka, rycerz, poeta i uczony, który wiele z wyniesienia się swego pięknemu zawdzięczał głosowi. To samo znaczenie miała sztuka jezuicka i owa obczyzną świecąca, a przez pańskie dwory uprawiana, teatralna sztuka. Więc jeśli słusznie archeologowie utrzymują, że w Polsce były sztuki, to również słusznie ze strony psychologicznych badań twierdzić można, że Polska na sztukę się nie zdobyła, bo ona w istocie twórczego geniuszu w dziedzinie piękna nie okazała.

Przyczyną tego niedostatku była zawsze owa w naturze słowiańskiéj nieumiejętność miarkowania idealności, czyli brak równowagi między sercowym idealizmem, a zbyt powolnie rozwijającemi się władzami rozumu. Umysł słowiański chwyta w lot najwznioślejsze idee, zapala się do nich; ale nie umié je ucieleśniać, nie przykłada się do nadania im organicznego, trwałego bytu. Złotemi zgłoskami zapisane w nim idea wolności człowieka; ale, że ją zapisuje idealnie, więc bez prawa, które człowieka w stosunkach społecznych ogranicza, bez wspólnéj ugody, ztąd wpada w aberracyę i przeciwko własnéj wykracza idei. Żadne plemie tak poetycznemi oświadczynami nie zapewniało ojczyzny o swéj dla niéj miłości; ale to miłość idealna, więcéj bohatérska niż rzeczywista, bez umiłowania prawa i instytucyi państwowéj, bez pojęcia ekonomii, przemysłu, zgoła materyalnych dźwigni kraju. Żadne plemie nie zapaliło tak wcześnie u siebie pochodni wiedzy; żadne tak świetnie nie poczęło epoki naukowych dorobków. Czechy i Polska mądrością zasłynęły wtenczas, gdy społeczeństwa europejskie zupełną ślepotą dotknięte były. Ale umysłowość czasu Jagiellonów, lubo widziała prawdy, mające we dwa wieki późniéj ukazać się na Zachodzie, była jedynie idealnym blaskiem intuicyi, niby wspaniałą na horyzoncie łuną, która wraz przygasnąć miała, nie zostawiając trwałych śladów po sobie. Nie pragnął bowiem naród mądrością oświecić drogi swoje, nie stosował nauki do czynu, nie rozwijał jéj i obojętnie patrzał jak marniało światło, jak jego uczeni na wiatr drogie ziarna rzucali. Jedna idea rodziny, pięknego i całego dostąpiła w Słowiańszczyznie rozwoju, a co po zanią, więc idee społeczne i w ogóle życia publicznego ład, z rozlicznym narostkiem czasu historycznego, ze świetnie

poczętych, stawały się mniéj lub więcéj mglistemi i niepewnemi, bez stężałego kształtu i utrwalonéj barwy. Zejdźmy do pojęć. Wszystkie instytucye polityczne i społeczne spoczywają w Polsce jedynie na wzniosłéj podstawie moralnéj. Patrz na sejm: on nie stanowił prawa organicznego, nie był uposażony siłą kształtowania niewzruszonych form bytu społecznego i państwowego. W stanowczych chwilach on-li przedsiębrał piękne idee, a uchwalał odnoszące się do niéj czyny, co przez wykonanie dopiéro formy nabrać miało. Ależ to wykonanie jedynie od moralnéj powinności, od dobréj woli obywateli zależało. Więc pierzchały formy, bo wstręt czuł każdy Polak do wyrażania przez nie swéj narodowéj treści, bo się lękał być zanadto w wolności ducha krępowanym, bo przedewszystkiém wiedział że formy, kazić muszą czystość idei i jéj pierwotną piękność na poniewierkę wskazują. On w biegu historycznym uważał, ile to tradycyi przyniosły formy z dalekich wieków już w zepsutym stanie, ile wielkich natchnień ducha zbladło w materyalnym symbolu, ile z nich pognębił ów wyniosły geniusz twórczy, który dla formy nieraz tę cześć wyzyskiwał, jaką powinna była zawarta w niéj otrzymywać idea. Toż nigdzie idee ludzkie, prawdy niezmienne, nie przetrwały w takiéj czystości, nigdzie tradycye nie pałały tak żywą wibracyą, jak w Słowiańszczyznie. One nie w formach, lecz chowane były w sercach, we czci, w moralnym każdéj generacyi wzroście. Tak był szczytnie pojmowany żywot społeczny u Słowian, a zwłaszcza u Polaków. Ale jakże to wiele w téj dla organiczności pogardzie tkwi ujmy! Nie może społeczność na saméj idealnéj ostać się tradycyi. Niech przyjdą klęski, niech rydwan państwowy zaczepi o chmury, z których burze i szarugi rozleją; niech się wkradnie zaraza, lub jeno głos historyi do ruchu, do zmiany zawoła; dość-li wówczas będzie saméj idealnéj tradycyi, by się przed grozą zasłonić? Wszak gdy znikli bohatérowie co ją w świętéj czci chowali, to gdzież ich zapis? Wtenczas koniecznem następstwem jest rozprzężenie, zwykle zdradą, odstępstwem przez opinią zwane, który to fakt logicznie w historyi narodu świadczy, o ile spójnia społeczna nie zdoła się utrzymać na saméj sumiennéj, jedynie prawem Bozkiém określonéj moralności. To żywot szczytny, wspaniały, ale nie dziejowy. Organiczna robota społeczeństwa stoi jak wał ochronny, lub jako port, przy którym statek drużno się skupia. Naród nie traci z oczu swojéj idei, bo mu ją w złéj godzinie pomnikowa praca przechowuje. Gdy taką pracą obwarowany, wtenczas przeważna, życiodawcza tradycya nie będzie zamierać razem z ludźmi którzy ją posiadali i nowe generacye nie będą zmuszone mozolnie jéj szukać gdzieś w ukrytych żyłach, w pieśniach i podaniach, bo ona stoi jawnie i żywotnie jak posag, jak otwarta dla wszystkich pokoleń księga. Wszak każda młoda, świéżo przybyła generacya, niéma mocy poznawania ducha narodowego po znakach utajonych, idealnych. Tam gra wyobraźnia, chciwa wsiąkania wiedzy

i kształcenia uczuć za pomocą rzeczy stworzonych. „Gdzie moja ojczyzna! woła młody spadkobierca, nie widzę jéj jasno, jeno sercem i wrodzoną mi przeczuwam tęsknotą, bo nie wiém gdzie są pomniki i niespożyte dzieła, z którychbym mógł słowo narodu mego wyczytać.“ Więc ciśnie się do téj młodéj duszy świat obcy; ona musi oglądać formy, symbole, zgoła zewnętrzny organizm rzeczy, bo bez nich do krajów ducha nie znajdzie nigdy drogi. Nigdzie tak wiele form nie płużyło napływowych jak w Polsce. Że wspomnisz każdą niemal od XVI wieku epokę, ileż pstrych i rozczochranych czarownic błąkało się po kraju w dziwnych postaciach jakiéjś obcéj nauki, obcego organu i obcéj kultury. Odpychał je zawsze duch stary, lecz przyjmowała wyobraźnia młoda. Wszak ta walka, głucha i nie rozjaśniona w historyi, datuje z dawna. Patrz na czasy Hozyusza i Skargi.

Otóż, co w sprawie ogólnych organicznych robót społecznych; to samo przez się i w dziedzinie sztuki iścić się musiało. Wznoszą się w Polsce okazałe świątynie, a w nich chwała niebios muzyką i malowidłem uczczona. Wszak to jedynie się dzieje z pobudek saméj idealnéj religijności narodu. Podobnież mnożą się warowne zamki g'woli rycerskiéj idei i przepyszne a zapełnione rozlicznym kunsztem pałace, dla oddania hołdu powagom cywilizacyi. Lecz nie wynika z tych pobudek samodzielna twórczość; nie zamieniają się te idee przez sztukę w ideał własny, narodowy, a panują jedynie ze stanowiska ogólnego. Bałwochwalstwem, w mniemaniu umysłu polskiego, musiała być wszelka twórczość plastyczna. To téż ta wielka powaga jego, ta ogromna przestrzeń ducha, która tylko w poezyi godnie mieścić się mogła, z pogardą na drobny światek sztuki poglądała. Obraz treści religijnéj, o tyle miał istotnéj wartości w Polsce, o ile się zalecał, nie artystyczną pięknością, lecz urokiem poezyi, cudownością, mocą duchową. Byzanckie malowanie, sztywne i niezdarne, dotąd u ludu w wysokiéj jest czci, że je tworzył poetyczny duch chrześciański, lecz nie pogańskiéj sztuki artyzm. Niémasz nic dziwniejszego jak sprzeczność pomiędzy duchem narodu a naleciałą mu sztuką. Wystawmy historycznie sobie jakto nieskładnie wyglądała polska rodzina w onym z włoska wyróżniającym się pałacu; jaka rażąca niesforność pomiędzy szczerością i braterstwem w obyczaju, a z germańska hardym i odludnym zamkiem; jaki smutny widok téj niezgody między czystością i wstydliwością uczuć, a rzuconą w oczy rzeźbioną lub malowaną Afrodytą. Dlatego téż tę sprzeczność godziła niejednokrotnie samowolna, niesmaczna fantazya, niemająca z estetyką nic wspólnego. Krzysztoporski Ossolińskich zamek wspaniałością i niesłychanym znaczył się sztuki przepychem; ale w nim przedewszystkiém uderza butna dumnego pana fantazya. Tu ilość okien do ilości dni w roku, pokoje do tygodni zastosowane, a cały upstrzony pretensyą do wielmożności i rodowéj genealogii magnata.

Pełno herbów, klejnotów i wysterczonych znaków, niby hieroglificzna symbolika, co wszystko razem zamienia architekturę na wystawę rozkiełznanego zbytku i na szumnych tytułów tablicę. Tak uprawiana sztuka, nie wychodząc z ducha, nie może stanowić własności, owszem, jest sprzeczną z życiem i dziwną próżnią od życia odbija. Patrzmy jak lekkomyślną i wietrzną jest obecnéj naszéj społeczności uprawa sztuki. Ów dyletantyzm powszechny, tak mało rzetelny a tyle płochy, jest zmyśleniem umnictwa, które nie idzie z tradycyi i historyi, które się utrzymuje nie przez zamkniętą w dziełach twórczych ideę, lecz w imię zewnętrznych cywilizacyi warunków. Wszak mało nas te idee w artyzmie obchodzą, mało w nie wnikamy, bobyśmy nawet szczerze a bez wstrętu hołdować im nie mogli, jako zupełnie obcym. Ztąd nie dość pojmujemy prawdziwą wartość sztuki; ona téż, niby strojna lalka, dziecinnym umizgiem uśmiechnięta, słusznie w pojęciach ludzi poważnych, na miano zabawki u nas sobie zarabia. Dziwnie, w obec téj naszéj artystycznéj eklektyki, wygląda powaga historyczna, owa pełnia duchowa, oczekująca swego rozwiązania w formach, swego prawdziwego ucieleśnienia. Należy nam tę powagę ducha z powagą sztuki pogodzić, a zaniechawszy dziecinnéj zabawy, uprawić sztukę umiejętniéj i prawdziwiéj. Wówczas obaczymy, co jest w niéj wielkiéj wartości, więc ją sercem poczcimy, a gdy rzetelna miłość nad jéj kolebką zapłonie, będziemy coraz częściéj oglądać geniuszu swojskiego narodziny. Tymczasem rzeczywistość co do sztuki tak stoi, że kiedy obczyzna oderwała nas od wspólnéj pracy z ludem, to znamion swojskiéj twórczości u ludu szukać trzeba.

Że każdy z nowoczesnych sztukmistrzów naszych do źródeł ludowych schodzić musi, a zapewne że nie po typy i wzory piękna, lecz po psychologiczną charakterystykę, tedy wypada przypatrzéć się bliżéj tym w surowém umnictwie ludowém zalegającym znamionom. Owóż tam, od wieków omszałym zabytkiem architektury religijnéj, stoi modrzewiowy kościołek. On strukturą swoją przypomina nieco gotykę, a nawet chciano tu właśnie tego północnego stylu widzieć pierwiastki. Zdaje się jednak, że daleko pomiędzy niemi do jakiegobądź spokrewnienia. Tu niéma myśli głębokiéj, wielkiéj ogromém zewnętrznym, ale jest pewien nastrój uczucia, które prostotą i chrześciańską skromnością wiarę swoją ujawnia. On nie przemawia zbyt zmysłowém figurowaniem symbolów, nie poraża ducha wyniosłością zewnętrzną, ani go odrywa od idei, namnożoną religijnych godeł przedmiotowością. Dość że stoi zdala, w poetyczném a wybraném ustroniu, otoczony kształtnym wieńcem lip; dość że ma wieżyczkę i krzyżyk, a chowa w sobie Bożéj-Matki wizerunek, by widok jego rozrzewniał uczucie i myśl ku czystéj idealności chrześciańskiéj kierował.

Innym architektury krajowéj surowym typem jest ów dworek mieszkalny, którego wzór do najpóźniejszych przechował się czasów,

zwłaszcza tam, gdzie cudzoziemska nie postała pokusa. Wszak on pochodzi jeszcze z czasów powszechnego braterstwa w narodzie, więc z błogosławionéj epoki, w któréj nie rozumiano by szlachcic na zagrodzie potrzebował równać się wojewodzie. Tu w plastycznym obrazie czytasz cały poemat narodowego obyczaju, poemat stosunków, w jakich mieszkaniec znajduje się do swego nieba, do natury i ludzi, do zatrudnień i upodobań. Wszystko tu wymowne a serdeczne. Na przodzie stoi obszerny ganek, a na jego szczycie dewiza w chrześciańskim duchu. Tu się odbywają pierwsze zadatki gościnności; tu szczera gawęda z kmieciem; więc jest niby otwartym od środka duszy przysionkiem. Czy bawisz w wesołéj a obszernéj komnacie gościnnéj, czy z okien alkierza oglądasz panoramę dobytku i gospodarstwa, czy zwrócisz baczność na przemyślną wygodę i na kwieciste domu umajenie; wszędzie wielka prostota, urok lubego spokoju, wesele i myśli poczciwość. Siła obyczaju, równie jak natura kraju, jest wielką dźwignią w sztukach. Patrz na owe we włoskiéj architekturze arkady przyziemnego piętra, poza któremi długie ciągną się korytarze. One powstały z upowszechnionego w rzeczachpospolitych włoskich zwyczaju gromadzenia się na placach i ulicach. Tu każdy mógł wchodzić swobodnie, chronić się od skwaru, używać spoczynku, schadzki i rozmowy. Że solidarność życia była w tych wolnych miastach nader rozwiniętą, a sam obyczaj piękny i poetyczny, tedy objawił się on w budownictwie, raz jako obowiązkom publicznym zadość uczynienie, raz jako piękność w sztuce. Również z obyczaju powstały owe galerye i różnego kształtu przystawki, które tyle wymowy włoskiemu nadają stylowi. Toż siła obyczaju i do pysznych w Polsce pałaców nieraz się wciskała, a najbardziéj znacząco w wydziale gościnności. Ztąd jeden z pisarzy XVII wieku słusznie mówi, że „w Polsce, gdzie *hospitalitas* płuży i jeden drugiego objada, budynek bez stołowéj izby obejść się nie może.“ A cóż za butna fantazya w pałacowém urządzeniu tych kardynalnie ważnych izb stołowych! Kazanowskich pałac, niegdyś w Warszawie z niezmiernie bogatego i fantastycznego urządzenia znany, mieścił w samym środku salę jadalną, najokazalszą ze wszystkich, niby serce, mające całemu królować organizmowi. Tamto zebrani goście dziwowali się sztucznym, wytryskującym z winem fontannom, magicznym stołom i innym, które gościnność wymyśliła, przyborom. Otóż tu, sama materyalna strona obyczaju, bo już gościnność ze szczerości serca przechodzi na marnotrawny zbytek i na dogadzającą sobie próżność. Owszem, można powiedzieć, że o ile w domku polskim obyczaj poematem utkwił, więc całym zarządził stylem architektury, o tyle w zamkach i pałacach, obyczaj, odzierany z poezyi, przechodził z wolna pod rządy napływającéj ze sztuką mody. Bo wyznajmy, czyli widok herbowego pałacu nie przyczynił się do skoszlawienia prostéj duszy szlachcica na samolubstwo i pychę, czy na

zagranicznym buduarze nie ciąży wina ułatwienia nam romansowych pokus.

Ale w żadnym objawie tak wymownie nie utkwił psychologiczny przymiot polskiego ludu, jak w poezyi i muzyce. W tém obojgu, nierozdzielnie zespoloném tworzywie, spisany cały żywot, cała piękność duszy słowiańskiéj. Gnieździł się od wieków w Słowiańszczyznie duch poezyi, a szaty jego tak białe i czyste, a promień tak jasny i niebiański, że się ta poezya wszystkiemi znamiony w rzeszy ludów wyróżnia. Ona nigdy obcym tchem nie dała się skazić, i obcéj farby nie przyjęła. Patrz, na południu żyje lud wielkiéj przeszłości, co nie może zapomnieć swego „Kosowego pola," swego Lazara i Marka i ukochanéj carycy Milicy. Serbia snuje poemat dziéjów, a tworzy swą epopeę z zadziwiającą wiary młodzieńczéj otuchą. Dla niéj słoneczny blask życia tylko na chwilę pobladł; jéj waleczni bohatérowie gdzieś tylko docześnie spoczęli. Tam ślepiec roznosi po kraju pieśń ważną, niby homeryczny wieszcz, uszlachetniony chrześciańską ideą, podniesiony do prawdy, o całą przepaść mitologicznéj cudowności greckiéj. Krom téj bohatérskiéj poezyi, śpiéwa Serbia niezrównanéj piękności romans życia, przeczystą sielankę uczuć. Bo Serbia, to stołeczna siedziba tego orlego w Słowiańszczyznie ducha, co umie mówić natchnioną, niepokalaną mową bogów. Tam królestwo muzyki ludowej, niby symfonia poezyi, bo nawet formy języka w muzyczną zamieniły się piękność. Ztamtąd na wszystkie ziemie Słowian rozchodzą się tony i akordy symfoniczne. Jakoż w głuchych przestworzach stepu rusińskiego, kędy wielkie przeszły boje, kędy z rozhulanego życia sam jęk wiatru pozostał, przeważa się pieśń w stronę głębokiego liryzmu. Tu smutne marzenie, żałobne rozpamiętywanie, na miejscu bohatérskiéj otuchy, przygrywa. Bo téż odbyte na téj ziemi dramaty gdzieindziéj owocem dojrzały, innym krajom pomyślność przyniosły. Tu nic nie pozostało krom bujnego pola i zarosłych kurhanów. Inne odłamy symfonii w polskiéj rozbrzmiały ziemi. Pogoda myśli i swobodny nastrój uczucia, tworzą nieprzebrany ruch poetycznych obrazków, mieniących się różnemi barwy, a odznaczających się zwięzłością i niezmierną siłą plastyki. Pieśń polskiego ludu tętni żywością rytmu, błyszczy doraźną swobodą natchnienia. Tysiące ich rośnie w jednéj chwili, a wszystkie przeniknione ruchem duszy, zdają się być tworzone czarodziejską iskrą przelatującéj z myśli do myśli fantazyi. Jednakże pomimo te charakterystyczne różnice i miejscowe odcienia, symfonia poezyi słowiańskiéj stanowi pewną całość, pewną jednolitą spójnię. Jéj tony wszędzie się rozchodzą, jéj myśl wszystkim udziela się cząstkom plemienia. Wszak i na Ukrainie znajdziesz ślepca lirnika, i na lechickiéj ziemi zabrzmi ton smętny. Owoż, odbywa się ta spójnia za wpływem moralnego, wszędzie jednostajnego gruntu, z którego pieśń wykwita. Słowianie wcale nie mieli popędu do uspołeczniania się w miastach, do ześrodkowywania swojéj cywilizacyi w centrach

sztucznie utworzonych. Miasto było im zawsze obcém, że chłonie prostotę obyczaju, że rozwiązuje stosunek człowieka do rodziny i natury. Ztąd dawno już postrzeżono brak w słowiańskiéj poezyi pierwiastku humorystycznego i satyrycznego. Przecież to są skazy, które się wyradzają w zaprawioném goryczą sercu; przecież sama satyra jest formą myślenia, co jak zły owad, rozmnaża się z posuchy. W mieście poetyczność chwastami zgłuszona. Tam się uprawia próżna z idei i zepsuta śpiewka rodzajowa; tam się gnieździ uszczypliwy docinek, co jak robak toczy poczciwość serca, zatruwa trzeźwość myśli i ludzkość uczucia. Dlatego poezya nasza taką czystotą, tak wzniosłą idealnością od poezyi ludów zachodnich się różni, że nie zaprawiona złym wyziewem egoizmu, tego, co się ukrywa pod postaciami dowcipu i komiczności. Skoro lekka i wesoła, piosnka słowiańska z niewinnéj a szczeréj radości płynie. Nie zaczepiając niczyjéj sławy, ona raczéj w ochocie i w prawdziwém uszczęśliwieniu śpiéwaka swą treść czerpie. Z drugiéj strony, również nie nową jest uwaga, że pierwiastek spirytyczny, tak znakomicie wypełniający poetyczną innych plemion, a zwłaszcza germańską, twórczość, wcale jest pieśni naszéj obcym. Więc nie godzi ta pieśń na wrażenność, nie turbuje wyobraźni, nie mąci sumienia i nie trwoży serca. Co stanowi właściwy a wielce oryginalny poezyi słowiańskiéj przymiot, to ów zawarty w niéj piękny stosunek człowieka do otaczającéj go natury, który się wyraża przez podnoszenie życia przyrody do godności duchowych. Tu rośliny, zwierzęta, strumienie i rzeki, obcują z człowiekiem, mają duszę, składają prześliczny świat, wcale nie fatalny, nie straszny w zjawiskich, ale pełen dźwięków, dobra i pożytku. Człowiek go zna we wszystkich szczegółach: każdy kwiatek inną zaleca się mu duszą, każdy strumyczek inaczéj mówi, każde żyjątko inaczéj do serca przypada. Lecz wyższym nad to przymiotem jest ta moralność, ta podniosła poezyi zacność, która historyczne iści mniemanie, jakoby ludy słowiańskie zdawały się przyjmować religię chrześciańską, to jest chrzest miłości i zasadę nieśmiertelności duszy, jako rzeczy nie nowe, zdawna przeczute. Owe przymioty, są zapewne psychicznym Słowiańszczyzny darem; chcąc atoli scharakteryzować i sentetyczném mianem poezyę nazwać, trzeba ją odnieść do stanu społecznego, którego ład w naturze plemienia leży. Ów ład był pastersko-rolniczym, więc pastersko-rolniczym jest przeważnie duch słowiańskiéj poezyi.

Zwróćmy się do muzycznéj strony ludowego poetyzowania i patrzmy jak logicznie a naturalnie kształtują się formy, jak głęboko leży charakterystyczny ton melodyi. Zbiór religijnych pieśni przez X. Mioduszewskiego dokonany, wskazuje jako jedne z nich dopuszczone w śpiewaniu kościelném, praktyką się utrwaliły; inne znów poza kościołem, w prastaréj tradycyi zwyczajowéj istnieją. Jest tych pieśni niezliczone mnóstwo, a wszystkie tworzone natchnieniem, rozsypane od wieków po kraju, rozniosły śpiewem miłość i wiarę ludu

naszego. Pastorałki i kolendy, prowadzą swój początek od najdawniejszych czasów, kiedy naród w rolnictwie i pasterstwie swój żywot toczył, kiedy pieśnią pobożną się weselił, a nie umiał inaczéj swych psychicznych zadawalniać potrzeb. Pastorałka była ulubionym pasterskim dramatem, odgrywanym na cześć Dzieciątka Bożego, zaś kolenda niosła ze sobą pozdrowienie, wesołą ochotę, wyraz jedności i braterstwa chrześciańskiego. Te melodye, raz śpiewane, raz na dudach i lirze wygrywane, pełne są prostoty i czystości uczucia. Ale wszystka naszego ludu religijna muzyka wraz ze słowa poezyą, jest niby echem duszy, która głęboko czuje, lecz uczucia prostotą formy objawia. Takiemi są kantyczki i hymny, owe nieznane gdzieindziéj z piękności natchnienia, których nie krytyką rozumu, lecz sercem słuchać należy. W żadnéj nucie tych pieśni nie znajdziesz palącego gorąca, nabożnego szału i egzaltacyi, bo tu przedewszystkiém tchnie szczera niewinność. Jeden ton rzewny w melodyjnym porządku, wystarcza na wagę uczucia. On swój urok na całą pieśń rozlewa. Otóż w miarę rozwijania się życia, w miarę uspołeczniania się i nabiegania w narodzie warunków cywilizacyjnych, przechodziła melodya pastersko-religijna w coraz inną formę, nie tracąc pierwiastku swego. Ona przeszła najprzód w rozliczne rozgałęzienia obyczajowości, w pieśń obrzędową, weselną, potém w rycerską. Wszak pieśń o Boga-Rodzicy długo wiodła hufce polskie do boju. A gdy monarchizm europejski siłę zbrojną reguluje i rytm marszowy porządkiem ruchów ma rządzić, ta sama nuta pobożna w marcialną przybiera się rytmikę. Obacz taniec: tam znów utajona melodya religijna, ile że wszystkie praktyki nabożne z czasów pogańskich, obejmowały sobą pląsy przy śpiewaniu, co téż w formie zwyczaju i do chrześciańskich przeszło czasów. W dawniejszéj muzyce polonéza, który początek bierze z tak zwanego *koła*, a kształtował się przez różne fazy towarzyskiego życia, znajdziesz wyraźne do kolendy podobieństwo. Prześliczna pieśń „Bóg się rodzi," znana kolenda „W żłobie leży" i mnóstwo innych, mają nawet to samo *tempo* poważne, uroczyste, na trzy wymiary, niby tryumfalne Zbawiciela przyjście na ziemię. Bo takie same szlachectwo poruszeń odbywało się w duszy ludu dla ukochanéj wiary, jakie się odbywało późniéj w uprzywilejowanéj społeczności dla narodowéj idei. Więc zmiany rytmiczne, były w tych przeobrażeniach melodyi wyrazem społecznych przeobrażeń narodu; ale zostawał sam nastrój, sam ton melodyi, niby utajony przewodnik w rozwijającym się ruchu historyi. W rytmie, odtętniały wszystkie mnożące się pulsa żywota, od dzieciństwa aż do dojrzałości, nie naruszając wcale natury ducha, który takiém a nie inném natchnieniem melodyjném dał świadectwo o sobie. Rytm jest w muzyce siłą organiczną. Jeśli harmoniczna fundamentalność rzeźbi piérwszą formę, niby plan i podstawę muzycznéj kompozycyi, to rytm daje téj kompozycyi szczegółowe rysy, wykończenie i duszę. Dobrze prowadzona rytmika wypowie wszystkie ruchy serca, odsłoni fizyognomię i dramatyczność postaci. Takie tu nad-

zwyczajne podobieństwo symboliki do prawdy, że skoro kompozytor dziwacznie pojętą lub oderwaną romantyką, nie wykoszlawia rytmów, muzyka jego na serce młode, niewypowiedzianych wpływów zdolną się staje. Wtenczas potrzeba tylko jednego słowa, aby nagromadzony w duszy, a jeszcze niemy zapał, zamienić w czyn szlachetny. Niepodobna zaprzeczyć, że w polonezie przebija dawna rycerskość polska. Przez rytmiczną wymowę widzisz tu wspaniałość rycerza, jego poważną męzkość i niezależność; ale w melodyi znać rzewność i prostotę serca, znać względem niewiasty patryarchalną prawość uczucia. Czyż to nie istotny wizerunek prawdy? Rycerskość była w Słowianizmie żywiołem nabytym, naleciałym wraz z obcymi Lechów i Czechów rodami. Te rycerskie rody urządziły państwa, zawiązały waleczne szlachectwo, ale się całkiem stopiły w słowiańską jednię moralną i psychologiczną. Różność odbiła się pięknie spojoną dwoistością, tak w historycznym duchu narodu, jak we wszystkich jego poetycznych objawach. Rycerskość przewodzi pasterstwu, a to ostatnie łagodzi nawzajem butę szlachecką. To też dzisiejszy kompozytor, podsłuchujący rodzimą melodyę, sam nie wié o tém, że odtwarza ducha pieśni pastersko-rolniczéj, owéj w kolébce narodu poczętéj. By nie wykoszlawić prawdy i przedstawić w sztuce rzetelny rozwój melodyi, ów kompozytor, powinien w historycznym i w społecznym kształcić się żywocie. Tam on obaczy jak się wyrobiła piękna strona rycerstwa, jak się ukształtowało nieznane gdzieindziéj a pełne powagi i dostojności oblicze narodu, jak stanął słowiański duch wobec władzy i społecznych urządzeń. To są dzieje niezmiernie żywotne, pulsujące, zewnętrzne. Ale one opierają się na bardzo dawnych, głęboko w słowiańskiéj duszy leżących psychologicznych przymiotach. Sztukmistrz powinien związków tych doczytać się w poezyi, dopytać się w dziejach. Tylko tą drogą stworzyć on może mnóstwo form oryginalnych, świeżych, mających wartość geniuszu narodowego. Takim sztukmistrzem był w całéj pełni znaczenia Moniuszko.

Przytoczyłem objawy ludowego tworzenia jedynie w celu przekonania się, jakie mogą być psychologiczne sztuki swojskiéj znamiona. Wszakże wypada zwrócić uwagę na to, że sztuka w Słowiańszczyznie nie wszystkiemi drogami piękna objawić się może. Sztuka, jako wyraz wyzwalającego się ducha ludzkiego, ma swoje przemiany i wyzwolenia. Jeśli duch, nie dość zrazu wolny, wygląda na świat wzrokiem cielesnym i bogaci się przez kształty, w tenczas sztuka również uczepiona materyi, urośnie cudami plastyki, wypowie treść ludzką przez piękno form i kolorów. Lecz w miarę wielmożnienia serca i myśli w człowieku, w miarę coraz potężniejszego usamodzielniania się ducha w świecie natury, sztuka coraz bardziéj od materyi oddzielać się będzie, a już narodzi się coraz idealniejszą pięknością w symbolach. Miała skulptura swą wielką epokę w Grecyi; malarstwo szczytu dosięgło na włoskiéj ziemi. W kilku chwilach historyzmu, w kilku momentach życia południowych ludów zamknęła się plastyka i teraz skulpturę i malarstwo może myśl narodowa sobie

przysposabiać, lecz nigdy doskonalić. Bo nic już doskonalszego nie stworzyć nad grecką rzeźbę, nad włoskie malarstwo. Tam była intuicya piękności widomych, dotykalnych, ale swój okres skończyła, przechodząc w sferę coraz idealniejszego piękna. Ztąd też, jeśli plastyka nasza, a zwłaszcza architektura i rzeźba, dotąd się nie rozwinęły na gruncie swojskim, to one zostaną tém czém są, zapomnianym zabytkiem religijnego i obyczajowego tworzenia przez lud. Owoż ta okoliczność zdaje się tłumaczyć zacofanie się słowiańskich plemion w rzeczach sztuki. Im brak zdolności do wytwarzania myśli przez plastykę. Plemiona słowiańskie milczały w epoce wielkich dzieł snycerskich, architektonicznych i malarskich, jak gdyby wyczekiwały chwili, w któréj będą mogły innym przemówić organem, poezyą słowa i muzyką. Dotknij ich serca a obaczysz jak tam pełno wibracyi i tonów. One się chcą wyłonić przez piękno myśli i przez uczuciowy symbol muzyki. Ludy słowiańskie nie tyle mają poczucia dla piękna zewnętrznego, ile zapału dla piękna moralnego. Tu serce ciepłe, wolne od egoizmu, miłością ludzką przejęte, a zawsze w harmonii z życiem zewnętrznem, szuka manifestacyj podniosłych, więc co do sztuki raczéj się w takiéj objawi, która jest natychmiastowym wyrazem duszy, która może być pełną i czynną wigoru duchowego zwiastunką. Poezya słowiańska jest najszczytniejszą manifestacyą serca, bo jest nietylko sztuką piękną, ale mądrością ducha, z któréj czyn wyniknąć może. Taką też powinna być muzyka. One obie zaprowadzą do sztuki dramatycznéj, do téj, która najprawdziwiéj dzieje życia przedstawi. Ztąd też i malarstwo słowiańskie o tyle ceny będzie miało, o ile się da do słowiańskiéj nagiąć poetyczności, wszakże właśnie dlatego, że w oryginalnym uprawione stylu, nie będzie mogło rościć pretensyi do doskonałości, do prymowania na plemiennym Olimpie. Czystość i prostota poetyczna potrzebują form idealnych, nienamacalnych, które same jedne mogą wyrażać ducha bez omamiania zmysłów, bez każenia przyrodzonéj intuicyi.

Otoż głównemi znamionami jakiemi styl sztuki naszéj odznaczyć się powinien, są: prostota i czystość. Jakie ich w dziełach piękna znaczenie? Wystawmy sobie dwa arcydzieła. Jedno z nich uderza nadzwyczajną siłą rzeczy, podbija wrażenność i czułość bez oporu, niejako fatalnie. Tam idea spotęgowana wielką, głęboką indywidualnością mistrza. On nie naruszył prawdy, ale ją duchem swoim, niby prochową miną rozsadził, a wydał na jaw mocami umiejętności swojéj. W jego kompozycyi, w układzie, w rysach i kolorycie, tkwi nadzwyczajny, niezwykły wyraz przedmiotu. On cię zupełnie zewnętrznymi środkami sztuki podbił, tak dalece, że nie jesteś w stanie na zimno sądzić, przejęty zapałem dla przedstawionéj rzeczy. A jednak, gdybyś mógł ochłonąć i filozoficznie na arcydzieło spojrzéć, obaczyłbyś że tu większe są środki niż sama idea, że mistrz, w swéj egzaltacyi, zbyt przesadnie i gwałtownie traktował przedmiot; więc znalazłbyś, że sama idea jakkolwiek jest zacną, przecież zanadto hałasu sprawia. Nie możesz jéj własnym sądem zmierzyć, własną

myśli przytomnością do uczucia podać; ale musisz ją przyjąć silnie narzuconą sobie. Wszakże takie spostrzeżenia są nader trudne, prawie niepodobne, bo sztuka przedewszystkiém działa na wrażenność i uczucia, regulując częstokroć i sąd wedle tych samych dźwigni. Owszem, jeśli artysta w potęgowaniu swojém umiał zachować estetyczną równowagę, to uczestnik odda mu się bezwarunkowo, jako niewolnik oddaje się bez apelacyi panu swojemu. Ztąd to z upływem czasu formuje się często w wyobrażeniach ta nabrzmiała, przesadna postać prawdy, którą umysłowi podała sztuka, a którą przerażeni racyonaliści do właściwych granic sprowadzać muszą. Patrz na obrazy Kaulbacha, słuchaj muzyki Wagnera, jakie tam siły olbrzymie pod względem form, kolorytów, cieniów i kontrastów. Hugonowska szkoła dramatu i Dumasowska romansu, odznaczają się w wysokim stopniu takowemi siłami. Zdaje ci się że jesteś w świecie tytanów, że oglądasz czarnoksięzkie fantasmagorye ludzkości. To są wielkie style sztuki, niezmiernie dalekie od prostoty, których celem jest poetyczne potęgowanie idei. Teraz patrz na to drugie arcydzieło. Ono cię nie wabi, nie ciągnie ku sobie, jeno czeka aż się uspokoisz, wejdziesz w siebie i przygotujesz ducha do artystycznéj komunii. Bo tu mistrz, lubo indywidualnie ideę w siebie wsiąknął, ale ją odtworzył małemi środkami; więc ją samą na piérwszym planie postawił, jéj nieuchwycone przymioty umiał geniuszem swoim uwydatnić. Dlatego, lubo przedmiot cię nie porywa, lecz im dłużéj z nim przestajesz, tém jaśniéj ukazuje ci się głębokość i wielkość idei. Możesz przez długie godziny patrzéć, możesz nieskończenie do dzieła powracać, a nigdy ono cię nie znuży; przeciwnie, zawsze idealną treścią myśl i serce wypełni, zawsze w nim coś nowego ze świata idealności odkryjesz. To styl prostoty, rzadki jak drogocenna perła, którym nacechowane produkcye trwają wieki, nie tracąc nigdy wartości. Bo jeśli w tamtych większa jest siła zewnętrzna, uzmysłowienie, to w tych cudownie z pod pióra, pędzla lub tonów, urasta siła wewnętrzna ideału; jeśli w tamtych uczestnik jest niewolnikiem mistrza, to w tych staje się istotą wolną, jego bratem po duchu. On się czuje być podniesionym do godności ucztowania przy stole pańskim, a jako wolny szlachetnieje, staje się prawdziwym wielbicielem ideału, więc poetą i artystą. Styl taki wymaga prawdziwéj, nieudanéj głębokości uczucia, więc nie podżeganych zapałów, nie buchających ogni, lecz ducha religijnie spokojnego, poetycznéj wyobraźni i delikatności uczuć.

Pod nazwą czystości w stylu, sztuka słowiańska da nam ową wybraną dostojność poetycznéj myśli, która nie ścierpi żadnego pogaństwa, żadnych wątpliwych wartości ideału, a tém mniéj podnoszenia do niéj lada na śmietniku życia znalezionéj istności zdrętwiałéj, bez ducha. Więc przedewszystkiém sztuka nasza przez moralne przejdzie oczyszczenie. Mickiewicz miał zadziwiającą prostotę w stylu, ale czystym być zaczął dopiero od czasu, jak wstąpił na grunt zupełnie polski, kiedy swą z germańska tragiczną muzę na narodowy przetopił poemat w Tadeuszu. Słowiańska dusza nie

potrafi wielbić nagości w pięknie, że nie zna kapłanów, którzyby ją z artystycznych słabostek rozgrzeszać mieli; ona nie zna cynizmu, usprawiedliwiającego się względami na urok, na mistrzowstwo, na bezwarunkową piękność. Znakomitsi malarze nasi, zwłaszcza ci, co dla artyzmu swego szukali myśli narodowéj, mają styl czysty. Fredro, jeśli gwoli komedyi dopuszczał się mniéj wybranego żartu, to go okupić umiał tak szlachetną myślą, takiemi wonnościami poezyi, że żart ów, ledwie spostrzeżony, raczéj na karb polskiego humoru policzonym jest. Dlatego, jak skoro na scenie naszéj rozwinie się dramat prawdziwie słowiański, wówczas uczucie publiczne przestanie być na mamidła teatru wystawione, przestanie się dławić nieczystą strawą z laboratoryum francuzkiego. Czystość stylu w sztuce, daje jéj wartość podobną religii, zaś brak czystości poniża ją do znaczenia pozytywnéj pożytkowości, jak to mieć chcą francuzcy estetycy.

Tą tedy prostotą i czystością stylu odznaczają się wszystkie utwory Moniuszki. Płyną jego melodye, jak wody polskie, tyle rozmaite co do ruchu i zwierciadła, a takie nam miłe, że nie szarpią ziemi, nie szaleją nurtem, nie chłoną serdecznéj rolnika pracy. Nigdy melodya Moniuszki nie odznacza się zbyt odstępnym od tonikalnéj generyczności porządkiem; nie plącze się w melizmatach, nie ciągnie ku zbyt miękkim, osłabiającym atrakcyom, jak również nie rzuca się pomiędzy ostremi, rażącemi odległościami. Tém mniéj téż skłonną jest do ciągłego łamania rzeźby swéj w harmonicznych podstawach. Tu nie znajdziesz onych silnie rozstrojonych akordów, co jak pędzel Salvatora, jak słowo Bajrona, jędze boleści i moralnego zgnębienia do duszy prowadzą. Dość mistrzowi, że jedném wybraném odznaczeniem tonowém zarysuje stan, scharakteryzuje naturę swojéj melodyi. Odznaczeniem tém będzie lekki dysonans, umiarkowana modulacya, lub téż najczęściéj pełen wdzięku a wymowy kontrapunktyczny koloryt. Takie odznaczenia rzucają promień na cały rysunek i dziwnie pięknie, szlachetnie poezyą pieśni uwydatniają. Więc nie znaleźć tu natłoku krzywych linij, nie dopatrzéć ruchu przez ciągłe łamanie się harmonii, bo to ruch wewnętrzny, ukryty, niewłaściwy słowiańskiéj szczerocie duszy. A nic tak muzyce słowiańskiéj nie wstrętne, jak ruch myśli, wyrażający się przez nieskończone figur harmonicznych snowanie. Prostota umié miarkować zbytek i oględnie rządzi niebezpiecznemi siłami romantyki. Ztąd posiada klucz do tajnych skarbów pieśniarstwa, ma władzę tworzenia niewyczerpanéj obfitości co do melodyj. To téż tryskają pieśni z duszy naszego mistrza, a coraz insze, coraz świeższe, jak kwiaty polskiego błonia, jak czarodziejki naszych poetów. Moniuszko wymowę swą, powierza rytmice i wieloznacznikom melodyjnego trwania tonów. On mistrzem na tém polu, bo każdy ton jego śpiewania nabiera coraz odmiennego życia, staje się wyrazem żywostanu, mową. Dlatego mistrz przeważnie odwołuje się do artystycznego uzdolnienia, do intuicyi i czucia wykonawcy. On go

ustanawia nader ważnym pośrednikiem między sobą a słuchaczem; chce przedewszystkiém, iżby był poetą, aby w prostocie stylu umiał odnaleźć piękność narodowéj myśli, a przez liryzm muzyczny oddał treść uczuć rodzimych. Więc wymaga od śpiewaka szlachetnéj deklamacyi, prawdziwych łez, nieudanéj radości, jako rzetelnych objawów natchnienia. Przez tak rozumiane pośrednictwo muzyka nabiera mocy przedstawiania prawdy. Słuchaj w „Strasznym Dworze“ pieśni Stefana do matki. W niéj taka moc uczuć rodzinnych, że śpiewak musi się stać w istocie synem, a odczuć w sobie całą wagę macierzystego węzła. Ta pieśń, lubo nie należy do akcyi, lubo jest tylko wspomnieniem, wszakże całemu panuje dramatowi; zdaje się, że drogi cień matki, wywołany przez syna w stanowczéj godzinie życia, staje w dramatycznym obrazku, jako duch opiekuńczy, jak wyrocznia, jak posąg.

W pieśniach Moniuszki, w muzycznych jego poemacikach, przebija wielka prostota i czystość stylu. Pieśń ma skromne znaczenie pod względem sztuki; ona jest maluczką całostką, niby ułamkiem z wielkiego dramatu życia. Ale właśnie, jako ułamek, ona ma tę wartość,, że należy do całéj w narodzie prawdy, która się objawiła zbiorowo, w małych utworach myśli. Ta prawda, rozprysła w tysiączne produkcye natchnienia, niby wytrysk źródłowy, co w niezliczone rozrzuca się kropelki, a każda z kropelek macierzystą ciąży wagą i każda w sobie pryzmat słoneczny odbija. Franciszek Schubert jest wielkim pieśniarzem, że z lirą w ręku śpiewał chwałę poetycznego wezbrania, które z niemieckiego idąc natchnienia, świetną w epoce Goethego i Schillera rozrzuciło się strugą. Więc każda pieśń jego nosi w sobie cząstkę téj siły źródłowéj i słoneczny blask czasu odbija. Podobnież zbiór pieśni Moniuszki jest cenną księgą lirnika, co chwalił poetyczne wezbranie natchnień krajowych. Wszak ostatni czas w literaturze naszéj był chwilą wielkiego strun naprężenia, wielkiego rozpłomienienia myśli. Któż nie tworzył, kto nie przyłączył się do tego chóru, co po długiéj niemowie odzyskał władzę głosu? Poeta czy żołnierz, mędrzec czy rolnik, młodzieniec czy starzec, każdy szedł do świątyni Apollina, aby sobie namaszczenie uprosił, i każdy też ułożył wonny lub barwny, bogaty lub skromny swoich myśli wianek. Niezliczone mnóstwo jest tych wianków, a ktoby je w całość zebrał, mógłby oglądać ducha ludu-poety. Otóż tę całość wyśpiewał Moniuszko. Znajdziesz w jego pieśniach myśl rodzimą, rozdrobnioną na cząstki, uosobioną w małych dramacikach a obrazkach życia. Tu najdrobniejsze rysy i pulsów uderzenia, mają swoje odbicie; tu każda figurka, niemieszcząca się w wielkim obrazie, dostępuje odznaczenia i staje na pierwszym planie. Więc odtworzył lirnik całą galeryą obrazków, od życia wiejskiego, od rozmowy chłopka z naturą, aż do hymnu i ballady. A są te obrazki tak wybrane z czystością, taką promienieją szlachetną podniosłością myśli i treścią poczciwą, że w najmniejszym jeszcze znajdziesz moralną

piękność i zacny promień ducha. Jest tych pieśni bardzo wiele, bo to był serdecznie ulubiony rodzaj kompozycyi, niby poufne westchnienia i domowy śpiéw naszego mistrza. On pieśnią przenosił się w rozliczne stosunki życia, weselił się, tęsknił i marzył. Obok drobnych piosneczek, są tu na większą skalę muzyczne poemata, a wszystkie owe sielanki i pieśni litewskie, obrazki ludowe i obrazy dramatyczne, urocze kwarteciki i duety, tak pięknie z myśli i treści wybrane, tak rozmaite co do melodyi, formy i muzycznéj ślicznoty, że niepodobna dać jednym przed drugiemi pierwszeństwa. Wszystkie atoli mają cechę prostoty i przejrzystéj jasności w stylu. Mistrz nie szuka swéj nuty w oderwanéj fantazyi, nie upiększa poezyi marną błyskotką muzyczną, więc nie zagłusza myśli poetycznéj. On pojął stosunek poezyi do muzyki, a nadając słowom karmin tonacyi, siłę ruchu i liryczną wymowę, umié martwe słowo czarodziejsko ożywić, w urok piękności przywdziać. To słowo nie traci wagi w jego pieśni; piękno śpiéwu i trzeźwość słowa, stanowią tu ślubną parę, tém doskonalszą, im ściśléj spojoną. Dlatego pieśń Moniuszki trzeba umieć nietylko muzycznie, ale i poetycznie wypowiedzieć, trzeba ją odcieniować i całą odtworzyć, więc z ciała i ducha wyrzeźbić. W żadnéj nie znajdziesz kompozytorskiéj pretensyi lub przesady, ale dobraną miarę myśli do uczuć, prawdy psychicznéj do jéj dramatycznego objawu. Boleść i tęsknota, łza i wesele, głosy serca i głosy natury, znajdują tu swój wyraz prawdziwy a piękny. Moniuszko jest tak dbałym o ten ślub prawdy z pięknem, że lubo muzyczna forma jego pieśni jest sama z siebie wykończoną, to przecież nie można jéj rozumieć bez poetycznéj treści. Uważmy dla przykładu tę małą ślicznotkę kwartetową, gdzie pierwszy dwuwiérsz śpiewany pewnym rubasznym goworem, bo to przylecieli sokołowie i namawiają kukułeczkę lecieć z sobą w świat. W następnym dwuwiérszu mieni się kwartet w ten sposób, że kukułeczka sama śpiewa główną, pełną tęsknoty melodyą: onaby rada z sokołami polecieć, ale jéj sadu i gniazdeczka żal. Gdy tak śpiewa kukułka i swoją melodyą na głównym stawia planie, sokołowie tymczasem zostają w cieniu i pianissimo towarzyszą jéj przeciągłém *aaa*..., jakby ją chcieli ukołysać, rozmarzyć, do lubego lotu zachęcić. Niewysłowionéj poezyi jest ów pomysł muzyczny, a dużo w nim treści, bo w następnym czterowiérszu, sokołowie zamieniają się w pany, kukułeczka w dziewczynę, sad i gniazdeczko w rodzinę i ojczyznę.

Sztuka muzyczna, oparta na harmoniczności, najwięcéj ze wszystkich sztuk nosi na sobie cechy chrześciańskiego pochodzenia. Ztąd łatwo pojąć, dlaczego każdy z jéj pomazańców poczuwa się do obowiązku poczczenia téj jéj kolébki. Prawie każdy z mistrzów próbuje sił swych na chórze kościelnym, lubo nie każdy rozumié, że wolno tam wstępować tylko mistrzowi, obdarzonemu prostotą myśli i czystością uczuć. Haydn i Mozart zakończyli epokę religijnéj twórczości, któréj wzniosłe tradycye w archiwach włoskiego chowają

się mistrzowstwa. Haydn i Mozart, to prawie ostatni wyznawcy niepokalanego stylu, a prostota i czystość tyle w nich ważą, że się rozlewają na wszystkie ich dzieła, nawet na te, poza chórem kościelnym tworzone. I stało się w istocie tak, jakoby w obec romantycznéj powodzi i rozprzęgania się wiary w ludzkiém tworzeniu, geniusz sztuki chciał dać wielkie świadectwo o istotném muzyki pochodzeniu, zaprotestować przeciw obrazie jéj majestatu. Widzieliśmy wszakże, że była walka, a w walce, inne przemogły geniusze. Myśmy wszyscy po ich stronie stanęli i dziś nie umiemy żywić ducha niepokalaną pięknością sztuki, oceniając zaledwie jéj wartość na zimno, przez mglistą historyi opinią. Otóż w obec tak usposobionéj muzykomanii, dziwném zdaje się być zjawisko mistrza, który, pomimo swą sławę, chce być posłusznym synem tradycyi. Takim synem jest nasz Moniuszko. On, nad wszystkie swoje natchnienia wzniósł się w modlitwie i najszczytniejsze stworzył piękno ofiary świętéj. Bo jeśli światu dał treść, która ze świata mu przyszła, to przed Stwórcą złożył samą czystość i nieskazitelność duszy, powierzył spowiédź tego wszystkiego, co w nim było wyższe, niepodzielne.

Ziemie słowiańskie umieją chować tradycye i niełatwo zaplenić się dają w swém łonie indyferentyzmowi. Patrz, że lud polski nie umié się modlić inaczéj, tylko uczciwie, prosto a serdecznie. On nie dopuści w swoim kościele teatralnéj pompy. On stworzył sobie zakon, wyrażony w nieprzebranych własnego natchnienia pieśniach kościelnych, a zakon ów, obowiązuje narodowego sztukmistrza. Dlatego téż nigdzie indziéj tak się nie utrwaliły tradycye Palestryny, jak w naszym kościele, że ten rodzaj stylu najbardziéj odpowiada ogólnéj całego narodu pobożności. Ale niezmiernie ważną, osobistą mistrza naszego zasługą jest, że swoją muzykę religijną tworzył w czystéj ekspressyi chrześciańskiego sztukmistrzowstwa. Głos ludzki i organ, to cały muzyczny przybór jego ekspressyi. Pomimo że dzielnie całą rzeszą instrumentów rządził, on nie wprowadził do kościoła żadnego z tych, które się rażąco duchowi modlitwy przeciwią. Głos ludzki uposażony jest nadzwyczajną pięknością wibracyi. W nim dźwięczy owo życie ducha, owa pełność indywidualnego uczucia, któréj żaden instrument naśladować nie może; bo instrument jakkolwiek wydoskonalony, nie jest organicznie człowiekowi poddany. On istnieje na zewnątrz z mnóstwem wad i niedostatków, głuchy i martwy, co jeśli duszą swoją wirtuoz na życie zamienia, to przecież jest w tém życiu coś galwanicznego. Instrument powołany jest do wibracyi samą siłą muskularną człowieka, więc odbija raczéj jego zewnętrzne pulsa, a staje się łatwo narzędziem jego krewkości, namiętnych drgań ciała. Takiemi są przed innemi smyczkowe instrumenta, wyrażające dramatyczny liryzm. Głos ludzki przeciwnie, jako niezależny od zewnętrznych motorów ruchu, stanowi bezpośredni organ ducha i ztąd ta jego wielka moc wyrażania idealności, boskiéj natury człowieka. On, jedynym może być tłumaczem najwyższych, naj-

szczytniejszych uczuć. Podobnież dźwięk organowy tak jest urządzony, że na jego wibracyą nie wpływa wcale krewkość wirtuoza. Tu sztuczność jest doskonale obmyśloną i nie ma w istocie pomiędzy narzędziami, równie jak organ, poezyi religijnéj odpowiedniego. Wszak ta poezya jest przedewszystkiém zapomnieniem cieleśności, poskromieniem w człowieku jego ziemskich ruchów w obec majestatu ducha. Szłusznie więc głos ludzki i organ są jedynemi w sztuce muzycznéj tłumaczami religijności. Z téj strony pojął Moniuszko zadanie muzyki w kościele. A lubo jego utwory zdają się być jedynie skromną a cichą pobożnego człowieka modlitwą; lubo nie uderzają materyalnie uwagi, toć właśnie dla téj skromności i prostoty, dla niepokalanéj piękności stylu, są one wysokiéj ceny. Artysta czy poeta, wielki czy maluczki, idź słuchać téj modlitwy, a obaczysz jak mimowolnie złożysz ręce i rozgrzejesz się sercem, jak zapomnisz ziemi i wszystkich jéj biédnych wielkości: krytycznych sędziów i pysznych mocarzy sztuki, bo się znajdziesz w obec czystéj jasności idei, w obec pobożnie uniesionego ducha. Słuchaj tych hymnów do władcy świata, do Zbawiciela i Matki Najświętszéj, a obaczysz czy będziesz w stanie sądzić i po ziemsku myśléć, opromieniony światłem duchowéj prawdy, uroczony widokiem godności sztuki. Owe hymny i psalmy, pozdrowienia i prośby do nieba, nie mają zaiste, dla głębokości uczucia, równych sobie w sztuce.

Możnaby powiedziéć, że w modlitwie, w prośbie, Moniuszko wzniósł się najwyżéj, że najszczytniejsze są jego utwory, wyrażające bezpośredni stosunek człowieka do Boga. Tam on jest najwięcéj sobą, niezależnym od tekstu i liturgicznéj figury. Do rzędu tych najgłębszego uczucia modłów odnieść należy „Pieśni żałobne", przy cichéj mszy śpiewane, któremi mistrz swą wyśpiewał boleść i religijnie uczcił najdroższéj matki pamięć. Baczmy, że lubo ofiara żałobna nie przestaje być figurycznością, lecz gdy w niéj tkwi intencya, przeto dla téj intencyi ona w śpiéwach ustępuje z ducha ścisłéj symboliki. Tu nabożeństwo przyjmuje na się, w obec ofiary świętéj, charakter wyłącznéj modlitwy człowieka, pośredniczy pomiędzy nim a niebem w najserdeczniejszéj ze wszystkich próśb, bo w prośbie o pokój dla zmarłych. Ztąd Rekwijalną Mszę Moniuszki należy również odnieść do najgłębszych z jego utworów religijnych, bo w niéj mógł on wyrazić rzewność ludzkiego żalu i razem podniosłość uczucia. Ta msza, na cztery głosy z chórem pisana, jest tak głębokiém, tak pełném serdecznéj poezyi dziełem, że słowo za słabe do wyrażenia dlań pochwały. Trzeba to słyszeć, trzeba przyjąć w siebie nieporównaną harmonią, co w natchnionym zestroju śpiewa i boleść ziemską i bożostan ducha. Czémże są mszalne utwory Moniuszki? One są pełném prostoty wyrażeniem symboliki liturgicznéj. Nie ma nic równie trudnego w sztuce, jak dobréj mszy napisanie. Największy talent, zwłaszcza z dzisiejszych, rozbija się o szkopuł, którym jest wyrażenie myśli mszalnego nabożeństwa. Weźmy za przykład Glorię

i słuchajmy tego wybuchu radości, który u wielu kompozytorów w próżną, pogańską hałaśliwość przechodzi. A przecież to radość nie ziemska, jeno hymn chwały, którą w cherubowém uniesieniu chór ludzki śpiewa. Patrz jaka pogoda i zachwyt w Gloryi Moniuszki. Podobnież Hosanna w mszy Piotrowińskiéj, zda się być chórem Aniołów, tyle tam ubłogosławionego szczęścia. Jakaż to pokora i cisza modlitwy w obec tajemnicy ofiarowania! Jakie głębokie wezbranie wszystkich myśli i uczuć, a jednanie się z niebem w Baranku Bożym! Msza Piotrowińska, pełna natchnienia poetycznego, jest oraz pod względem formy niezrównanie piękną. Tu harmonia jasno i szlachetnie się toczy; głosy występują pojedyńczo, niby wezwanie do hymnu, potém się zaciągają kolejnie, aż złożą chóralną podniosłość harmonii, gdzie niknie osoba człowieka, uduchowniona Chrystusową miłością. Bo téż w istocie miłośnie te głosy się kojarzą. Słodycz płynie tu z serca do serca, a delikatny krój rzeźby harmonicznéj, zda się odsłaniać przed tobą Rafaelowskie widzenia niebian.

Nie można powiedzieć, aby religijna Moniuszki muzyka tchnęła tą wielkością co ludzkość ogarnia, co polotem myśli i formą wyraża ogrom ideału. Tu nie znaleźć kolosalnie pojętych tryumfów kościoła, jak to Stolica Apostolska w poezyą ludów wszczepiła. Prawda, że jest w Moniuszkowém tworzeniu wyraz powszechnéj, chrześciańskiéj idei, ale téż znacząco przebija uczucie rodzime i pewien pierwiastek słowiańskiéj, zamkniętéj w sobie, idealności. Znajdziesz w każdéj pieśni, w każdéj jego harmonii pewien typ ludowy, a co do formy, zanadto skromną dążność kompozytora, który wcale nie ma pretensyi zewnętrznym prostać okazałościom, który nic innego nie chce, jeno w rodzinnym kościele pięknie, nabożnie, po chrześciańsku zaśpiewać. Dlatego, jakkolwiek muzyka kościelna Moniuszki wielką ma wartość, ale jéj poetyczno-religijna cenność przeważnie w słowiańskich zapisuje się sercach. Tak się rzecz ma dzisiaj. Wszakże nie można o przyszłości wyrokować. Uczucia religijne przygasają na Zachodzie i próżną, w obec idei, okazała się być dążność kościoła, do tryumfalnéj wspaniałości. Więc Słowianizmu posłannictwem zdaje się być utrzymanie chrześciańskiego życia w sercach ludzkich, a w zamian za udzieloną nam cywilizacyą, kto wié, czy się nie przyda spragnionym pokoju obcym narodom słowiańska religijność, jéj prostota i pierwotna czystość.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WARSZAWA

I JÉJ SPOŁECZNOŚĆ,

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA.

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

VI.

Pałac Mostowskich.— Ludwisarnia. — Plac Krasińskich.— Teatr narodowy.— Józef Bielawski. — Scena i artyści dramatyczni. — Wojciech Bogusławski.— Marcin Szymanowski.— Kudlicz.— Wolski.— Werowski.— Piasecki.— Ledóchowska.—Leontyna Żuczkowska.—L. A. Dmuszewski.— Józef Zdanowicz.— Nowakowski.—Kurpińska.— Balet.— Tragedyo klassyczne.—Zmiana pojęć.— Scena liryczna Fr. Morawskiego: „Sen poety."—Homer i Ossyan.

Ulica Długa właściwą miała nazwę, bo w tym okresie (1800 do 1830) była najdłuższą niemal ze wszystkich, kiedy Nowy-Świat, niezabudowany należał więcéj do przedmieść Warszawy.

Arsenał frontem do ulicy Długiéj zwrócony, po prawéj stronie był przedzielony uliczką od wielkiego gmachu zwanego pałacem *Mostowskich*. Własność niegdyś Hilzenów z Inflant, następnie Mostowskich, gdy przeszedł na własność rządową, przerobiony został z niemałym nakładem na pomieszczenie Komisyi rządowéj Spraw wewnętrznych i policyi. Front zdobiły płaskorzeźby dłuta Norblena, wyobra-

żające rolnictwo, godła przemysłu z kunsztami połączone oraz policyę: na szczycie wznosił się orzeł.

Z lewéj strony arsenału, przez wązką także uliczkę przedzielona stała Ludwisarnia, co dotąd swój dawny kształt zachowała, w któréj naprawiano broń uszkodzoną i wyrabiano nową. Po téj połaci ciągnął się rzęd bez przerwy kamienic murowanych aż do placu *Krasińskich*.

Plac ten raz przez swój pałac, jeden z najpiękniejszych budynków Warszawy, powtóre przez gmach teatralny, w którym scena narodowa mieściła się i rozwijała blizko przez pół wieku, stał się miejscem dla Warszawy historycznem.

Teatr swoją zewnętrzną postać zachował po dawnemu: upstrzyły go teraz liczne sklepy żydowskie, gdy przedtém miejsca jakie zajmują, stanowiły obszerną sień wchodową. Scena była obszerna, i jak na ludność ówczesną, miejsca dostatecznie dla lubowników teatru.

Loże były wygodne parterowe, pierwszego i drugiego piętra i kilka galeryowych; krzeseł nie było, a cały dół zajmował parter stojący, do którego bilet pojedyńczy kosztował cztery złp.; późniéj wniesiono do niego trochę ławek, a w ostatnich dopiéro latach, ukazało się kilka tylko rzędów krzeseł.

Parter i paradyz stanowiły właściwych ukształconych widzów i dobrych sędziów, każdego utworu dramatycznego, jaki się pojawił na scenie.

Paradyz, zajmowali akademicy i młodzież szkolna. Jak pierwsi tak drudzy strzegli pilnie tam ulubionego miejsca Stanisława Staszica, ażeby nikt go zająć się niepoważył. Lubo się zdarzało, że Staszic dla zajęć pilnych w ministerstwie spraw wewnętrznych, nie przyszedł na widowisko, miejsce to niezajęte, zawsze nań oczekiwało.

Oświetlenie było ze świéc woskowych, późniéj dopiero zaprowadzono żyrandol z lampami olejnemi.

Teatr wiązał się silnie ze swą społecznością, i nigdy się lepiéj nie da zastosować ta piękna myśl Jana Nepomucena Kamińskiego, wypowiedziana w prologu na otwarcie sceny lwowskiéj, jak do tego właśnie okresu o którym mówimy.

„Wiek swój pokrzywdza zdaniem zardzewiałem,
Kto czczéj zabawy szuka w niéj powodu;
Silniéj niż dusza rozmawia się z ciałem,
Rozmawia *scena* ze sercem narodu.
Jeden tam węzeł dwie strony kojarzy,
Co jedna czuje, druga ma na twarzy.“

Teatr wpłynął przeważnie na zamiłowanie literatury dramatycznéj, na rozszerzenie dobrego smaku, obudził życie literackie, albowiem oprócz wywołania nowych utworów dla sceny, obudził krytykę.

Jakkolwiek pierwszą myśl stałego teatru zawdzięczamy Stanisławowi Augustowi, który go tak okazale, jakeśmy widzieli, otworzył,

dalsze jego utrzymanie i rozwój odpowiedni duchowi czasu i współczesnych wypadków, jest dziełem wyłącznem Wojciecha Bogusławskiego. Mąż godzien posągu przed gmachem teatrów warszawskich. Stanisław August naśladując dwór francuzki, zapragnął widowisk scenicznych, z tą myślą się nie taił, nawet nadworny poeta Bielawski wypowiedział ją w swym prologu [1]); ale wkrótce zdał całą sprawę sztuki dramatycznéj w ręce swego kamerdynera Ryxa, i teatr jak prędko

---

[1]) Nie możemy milczeniem pominąć tego pisarza, raz jako autora, którego komedyą otwarto pierwszy stały teatr w Warszawie; powtóre, jako wydatnéj postaci na dworze królewskim i w piśmiennictwie tego okresu.

Nie znamy szczegółów życia Józefa Bielawskiego, ani powodów, które skłoniły Stanisława Augusta, że jemu powierzył napisanie komedyi na uroczystość otwarcia teatru polskiego. Bielawski pisywał drobne okolicznościowe wierszyki, które pojedynczo wychodziły, ale te żadnéj wartości nie miały. Dowcipny szambelan Kajetan Węgierski, wziął go za cel szyderstwa swego; nie zapomniał o nim w poemacie swoim „Organy," i komedye jego pomiędzy najlichszemi utworami literackiemi umieścił. W liście zaś do księdza Węgierskiego, tak się o nim i ówczesnych pisarzach dramatycznych wyraża:

„Od Baltyckiego morza, ku śnieżystym Tatrom
Wiedzą, że pan Bielawski otworzył teatrum;
I słusznie się tym chełpi zaszczytem niezmiernym,
Że był pono natenczas, jak mówią, odźwiernym.
Gniew ubogich autorów na warszawskiéj scenie,
Krzywdę czyni Thalii, hańbę Melpomenie;
Jeden z nich, co przez długi czas swą wenę chował,
Mówią, że nową jakąś sztukę wygotował:
I z tego na zabawę potrafim korzystać,
On, trochę nas ponudzi, my, możem wyświstać!"

Ujął się za potyranego twórcę „Natrętów," drugi szambelan, potężny talentem Trembecki. Pod imieniem Bielawskiego puścił kilka wierszy w obieg, które (zanim się prawdziwy autor wydał) podniosły Bielawskiego w oczach czytającéj publiczności. Pod jego też imieniem napisał wiersz jako odpowiedź na pociski Węgierskiemu, z którego podamy małe wyjątki:

„Lekkomyślny młodzik! napaść twoją hardą,
Raz odciąwszy, na resztę patrzałem z pogardą;
Lecz gdy twoja swawola nie znajduje końca,
Biorę pióro i siebie i drugich obrońca.

Od Baltyckiego morza, ku śnieżystym Tatrom,
Wiedzą, żem pierwsze polskie otworzył teatrum;

otwartym został, równie prędko byłby zamknięty, gdyby nie poświęcenie Bogusławskiego.

Kilka słów wspomnienia życia tak czynnego, tu najwłaściwiéj podamy:

Gdzie, przepisanéj wierszem trzymając się drogi,
Przepuściwszy osobom, wyśmiałem nałogi."

Z dalszego ciągu tego wiersza, dowiadujemy się, że Bielawski pisał wierszyki na cześć i w hołdzie pięknym oczętom; że sławił cnoty Izabelli (Czartoryskiéj); że złorzeczył owéj nocy listopadowéj, w któréj konfederaci porwali króla z Warszawy, wreszcie, złośliwą zwracając mowę do Węgierskiego, tak pisze:

„Wielka rzecz, żeś tłumaczył prozę Marmontela: (pow. moralne)
Ta się znikoma praca dla żaków oddziela,
Wiemy oraz że twoja muza znamienita,
Pisała też i wiersze których nikt nie czyta;
Wart Achil być podanym wiekom przez Homera,
Wart i Homer takiego śpiewać bohatéra;
Obydwa siebie godni, obydwa wieczyści:
Tyś *organistów* godzien, ciebie *organiści*."

Przymówka do jednego z największych utworów Węgierskiego, poematu komicznego „Organy." Reszty tego wiersza nie przytaczamy, bo kończy się kijową pogróżką. Niedosyć, na krytykę komedyi „Natrętów," taką Trembecki napisał odpowiedź Węgierskiemu, w imieniu ich autora:

„Byłbym cię nie znał, ale pióro cię wydało,
Co z kiepska po węgiersku Woltera przebrało;
Żałuję jego losu że w tak śmiesznym stroju,
Pójdzie na papiloty ciemnego pokoju."

Wiadomo jakim był zwolennikiem Woltera Węgierski, i jak go ochotnie gdzie mógł tylko naśladował.

Odetchnął swobodniéj Bielawski pod tarczą obronną Trembeckiego, bo go odtąd nie napadał więcéj Węgierski, lubo za każdém spotkaniem lubił zeń żartować. Bielawski bywał na uczonych obiadach czwatkowych w Zamku u króla, bywał tam jako szambelan i Węgierski. Raz wśród gwarnéj rozmowy, nagle się uciszyło, bo król miał nadejść. Węgierski w téj chwili spostrzega Bielawskiego.

— Ach!—zawołał—powiem téż panom jaki napisałem Bielawskiemu nagrobek.

— Słuchamy! słuchamy!

Urodzony w roku 1760 we wsi Glinnie pod Poznaniem, nauki pobierał w szlacheckim konwikcie księży Pijarów w Warszawie. Gdy odbywał ostatni popis ukończonych nauk, obecny temu biskup Sołtyk, książe siewierski, tyle był zadowolony wszechstronną zdolnością mło-

---

Węgierski zadarł głowę w górę, jak miał zwyczaj, i z napuszeniem wydeklamował:

„Tu leży Bielawski, szanujcie tę ciszę,
Bo jak się obudzi, komedyę napisze!"

Powszechny śmiech zabrzmiał po sali zamkowéj, który wkrótce uśmierzyło przybycie króla.

Że utwory Bielawskiego nie zasługiwały na szyderczą poniewierkę Węgierskiego, zaraz zobaczymy. Nie miał on wzorów żadnych w literaturze naszéj, pisał po Franciszku Bohomolcu, którego przeróbki z Moliera, z uwagą ciągłą że to młódź szkolna ma przedstawiać, a zatem z opuszczeniem ról kobiecych, za początkowe próbki zaledwie liczyć można. Bielawski na szerszą skalę rozwinął swoje komedye, i nieraz umiał pochwycony z natury charakter trafnie i szczęśliwie oddać. Bacząc na czas w którym pisał, komedye jego można uważać za piękny i wiele rokujący zawiązek sztuki dramatycznéj, która wchodziła teraz w potrzeby życia społecznego.

Szyderstwa Węgierskiego wytrąciły mu pióro z ręki. Tadeusz Mostowski (w przypisach do poezyi Węgierskiego 1803 r.), maluje nam Bielawskiego jako człowieka uczciwego, bez żółci, i zabawnego w posiedzeniach. Dożył późnego wieku. Urodzony za Augusta III, już w męzkim wieku był obecnym koronacyi Stanisława Augusta, wiernie mu służył przez cały ciąg panowania, przeżył go jak i starą Rzeczpospolitę. Patrzał na wielkie zmiany krajowe, i za czasów Księztwa Warszawskiego umarł mając lat 70 wieku, w 1809 roku. Przejrzyjmy chociaż pobieżnie obiedwie Bielawskiego komedye, które się cieszyły niemałém powodzeniem na pierwszym naszym teatrze.

I. *Natręci*, komedya z rozkazu Najjaśniejszego Stanisława Augusta króla Polskiego, Wielkiego Książęcia Litewskiego napisana i na widok dnia 19 listopada 1765 roku w Warszawie wystawiona. (Warszawa, str. 123, oprócz przypisu i prologu, w 12ce).

Bielawski w przypisaniu królowi poniższém, tak o téj komedyi pisze:

„Że przyjmiesz królu pióra mego pracę,
Słabe pierwiastki, nadziei nie tracę;
Bo umysł wielki i dusza wspaniała,
Zastąpić błędy będzie mi umiała.
Który *Natrętów* gdy pokazać chciałem,
W pisaniu za cel, Twe rozkazy miałem;
Ani blask sławy dobył we mnie weny,
Do otworzenia pierwszéj w *Polszcze* sceny.

dego Bogusławskiego, że go wziął jako pazia do swego boku. Wkrótce książe biskup kraj zmuszony był opuścić, a Bogusławski wszedł do pułku gwardyi litewskiéj; lecz gdy go ominął stopień wyższy, na

---

Boby to były próżne me zapędy,
Wystawiać słabém piórem cudze błędy;
Które im żywiéj czyj rozum maluje,
Tém je delikatniéj słuchający czuje.
Wyższym ten honor duszom zostawiony,
Sięgać w rodakach wad przez wszystkie tony;
Mnie dosyć chwały, gdy świat powie cały,
Że się *Natrętem* stał poeta śmiały.
Królu! coć dało tron błogosławieństwo;
Gań we mnie rozum, a nie posłuszeństwo.
Bo nie chcąc woli Twojéj się uchylić,
W jéj dogodzeniu przyszło się pomylić;
Więc twarz odwracaj od tego uroku,
A pozwól, zmierzyć chęć autora, oku;
Który za pierwszą pracy swojéj cnotę,
Nie styl, nie myśli, lecz niesie ochotę;
Wszak ma nie z siebie najmilszy darunek,
Lecz z ręki, która daje swój szacunek.
Jak i ja znając niezdatność mój sceny,
Szukam w Twych ręku, sercem dla niéj ceny;
Tobie zaś wieczna chwała ztąd zostanie,
Że Twe, błąd w kraju zmaże panowanie.
Możesz być wyrok piękniejszy od tego,
Poprawić ludu obyczajność swego.
Niech Francuz wielkość czci swego Ludwika,
Warszawa imię Ciołka (herb Poniatowskich) dziś wykrzyka;
Wielbi wieśniaczek, stany się radują,
Że w Stanisławie, Ludwika znajdują."

Bielawski widać znał słabość króla, który pragnął naśladować Ludwika XIV i w tym celu teatr otworzył; ztąd w obu komedyach, po kilkakroć znajdujemy porównanie Stanisława Augusta do władzcy francuzkiego, a król mile zawsze przyjmował to pochlebstwo.

Komedya *Natręci* pisana z rozkazu jego, miała wyjaśnić wydatniejsze wady krajowe, ale Bielawski zdradza się, bo wyraźnie mówi, że teatr otwarty nie dlaczego innego, jak dla zniesienia *sarmackich zwyczajów* i grubych *nałogów*, co Polskę podały w urągowisko! Główną też zaprawdę myślą było Poniatowskiego, wszystko co było narodowością, najprzód szyderstwem zohydzić, a następnie wyplenić, sądząc, że gdy się naród wyprze własnego obyczaju i zwyczaju, wtedy stanie na drodze postępu i wielkości przyszłéj. Smutna, nieroz-

który zasłużył istotnie, oburzony niesprawiedliwością, porzucił stan wojskowy i zwrócił się ku scenie krajowéj.

W kwiecie wieku wprowadzony do teatru przez szambelana dworu Wojnę, wystąpił poraz pierwszy na scenę warszawską w roku 1778 w tłumaczonéj przez siebie komedyi p. n.: „Fałszywe poufanie.“

---

ważna i zgubna dążność! Mimo to autor poszedł inną drogą, albowiem Paryżanina wystawił w karykaturze, a za polskością silnie trzymał.

Natręty nie są bynajmniéj komedyą w dzisiejszém znaczeniu. Żadnego tu niemasz nietylko węzła dramatycznego, ale układ cały niezręczny. Jakkolwiek myśl główną wziął Bielawski z Moliera, wszystkie postacie wprowadzone na scenę, w niczém nie są naśladowane, ale odwzorowywane z postaci krajowych. Komedya pisana prozą, przeplatana miejscami wierszem. Treść jéj następna:

Hrabia, zakochany w Lucyndzie, miał się z nią widzieć o umówionéj godzinie w Ogrodzie Saskim; ale Cześnik natrętnik porywa go gwałtem na drodze i wiezie do państwa Łowczych, gdzie zasadzony do kart, nie mógł stanąć w ogrodzie. Oczywiście kochanka srodze zagniewana; hrabia przez Pontalskiego posyła guwernantce Lucyndy złoty zegarek, aby ją ukoiła w gniewie, sam zasiada do pisania listu. Ale zaledwie cztery wiersze nakreślił, wpada doń pierwszy z *natrętów*, Skarbnik. Jestto postać samochwała, który ma się za dowcipnego i rozumnego, co lubi kobiety i umié ich wdzięki ocenić, szukający wyższych towarzystw, a przytem łakomy na cudze przysmaki. Zaledwie potrafił go się pozbyć, gdy pomimo oporu służącego Węgrzynka, wpada szlachcic Wietrznikowski. Dobrze w nim odmalował Bielawski ową ubogą szlachtę, co pełna dumy rodowéj (bo i Wietrznikowski jest pra-pra-pra-prawnukiem tego, co po zabiciu króla Władysława pod Warną, tak się stał strasznym Turkom, że dotychczas na jego wspomnienie drżą wszystkie meczety w Stambule) próżniaczyła na bruku warszawskim, i żyła z opatrzności Bożéj. Szermujący odwagą, a przytém pieniacz, pełne kieszenie mający przywilejów, kłamca wierutny, przymawia się o zapomogę, a gdy go hrabia pyta czém może służyć, odpowiada:

— Konikiem, pasikiem, żupanikiem, pieniążkami, i co Jaśnie Wielmożny Pan przyda *ex liberalitate sua.*

Datkiem pieniężnym uwalnia się przecie od drugiego *natręta.* Odetchnąwszy spokojniéj, zasiada do pisania listu do Lucyndy, gdy znów wbiega przemocą się wdarłszy Drużyłowski, nędzny wierszokleta, a jak zwykle przytém zarozumiały, co dla rymu przekręca sens i wyrazy. Deklamuje z zapałem liche wiersze, i wypowiedziawszy cały swój nowy utwór, przecież odchodzi. Zmęczony natrętami, niemając wiadomości od Pontalskiego, idzie go szukać i na tém kończy się akt pierwszy. Akt drugi także w mieszkaniu hrabiego. Pontalski radosną przynosi wiadomość, że wszystko dobrze sprawił. Guwernantka będzie go wspierać, a że stryj Lucyndy i opiekun, *upodobał sobie staruszek, fartuszek* owéj guwernantki, pomoc jéj tém większą ma wagę. Hrabia,

Pierwszy ten występ zapowiedział znakomitego artystę. Potężny jego talent rozwijał się stopniami, i działać zaczął przeważnie na podniesienie i udoskonalenie teatru. Pierwszy Bogusławski, powziąwszy myśl wprowadzenia na scenę opery polskiéj, ułożył w większéj

---

ukończywszy przecie list rozpoczęty na początku pierwszego aktu, teraz swemu powiernikowi czyta. Posłuchajmy więc tego języka miłości razem z Pontalskim, z okresu pierwszych lat panowania Stanisława Augusta:

„Życia i duszy ukontentowanie,
Przyjm pełne żalów to moje pisanie;
I pozwól, aby szczęśliwszem zrządzeniom,
Mogłem się cieszyć dziś twojem widzeniem,
Którego wczora serdecznie żądałem,
W moim, od ciebie oddaleniu ciałem!
Ani mię strofuj żem chybił godziny,
Bom jest bez winy.
Dowiesz się kto mię téj pociechy zbawił,
Żem się na miejsce umowy nie stawił;
Chciéj tylko proszę na mniejsze me męki,
Do łez otarcia zbliżyć ślicznéj ręki.
Niech jeszcze choć raz w mojéj ciężkiéj bidzie,
Z tobą się widzę, nim mi umrzeć przyjdzie;
Téj łaski żebrzę, i o to cię prosi
Ten, co w swych piersiach ściska cię i nosi.“

Pontalski, mając sowitą przyrzeczoną nagrodę, ze sztuką materyi dla guwernantki, śpieszy popierać sprawę brabiego, który radby po trudach odpocząć chwilę; gdy Serdecki, podobnie jak pierwsi *natręci*, przemocą wchodzi i przedstawia mu Paryżanina Sapienczykowicza. Jak Serdecki jest postacią z owych czasów, co poniewierając wszystkiém co swoje, dla Francyi i dla Paryża jest z nieopisaném zachwyceniem, tak figura Sapienczykowicza, niezawodnie musiała być pochwyconą z żywych oryginałów, jakich na bruku warszawskim niebrakło. Posłuchajmy niektórych ustępów z jego rozmowy.

„*Monsieur le Comte*, czy nie będzie miał za złe, że mi język francuzki bardziéj *faworyzuje*, bo to u nas którzy z Paryża *retourniujemy*, łatwiéj o tysiąc słów francuzkich, niż o jedno polskie. *Voila le diable*, otóż to z waopanami mówić, którzy żadnéj *tenturyi* nie macie, *metampsicosophysicosmologii*, to słowo więcéj *signifikuje*, niż waopan ze swemi płucami *komprenować* możesz, to jakbym wszystko powiedział *scyjencyi*, która jest kluczem do *uniwersalnych decyzyjów*.“

Wspomniałem już, że Bielawski mając z polecenia króla, karcić *sarmackie obyczaje*, wbrew zupełnie poszedł: owóż z téj sceny ustęp pomiędzy Paryżaninem a hrabią. Rzecz godna uwagi, że gdy w naszym okresie, hrabiowie

części pieśni do opery Franciszka Bohomolca: „Nędza uszczęśliwiona“ do któréj muzykę napisał Maciéj Kamiński; przedstawiał ją z powszechnym zapałem publiczności i oklaskami. Tym sposobem zakorzeniony przesąd, że nasz teatr własnéj opery mieć nie może, szczęśliwie i chlubnie zwy-

---

w utworach literackich są stroną ujemną społeczności; Bielawski wystawia z owych czasów hrabiego jako typ prawości i zdrowego rozsądku.

Paryżanin. Monsieur le Comte, czy będziesz wacpan wierzył, że dopiéro trzy dni jakiem w *Polszcze*, a już grubo powietrze, mało mi nosa nie rozsadzi; i com go tylko wsadził w tę zakwaszoną *aurę*, zaraz zaczął kichać, przepryskiwać: téj migreny nos mój nie znał w Paryżu, i gdyby go nie *sakrował* zapach pomady delikatném powietrzem paryzkiém nagniecionéj, byłoby podobno i po nosie.

Hrabia. Co to złego wacpanu ojczyzna uczyniła, że ją z jéj powietrzem, zwyczajami i ludźmi tak wyklinasz, która cię na swém łonie wykarmiła! Podobnéj niewdzięczności żadna z matek nie odebrała od syna swego, przecież to każdy wzdycha do gniazda swego!

Paryżanin. Mnie ojczyzna nic złego nie uczyniła, ale te golenia głów, te wiązki siana pod nosami, *inkomodują* wzrok mój.

Hrabia (z gniewem). Mospanie! co zwyczaj z sobą przynosi, nie podpada żadnemu pośmiewisku; ale kiedy potrzeba przymusi do oskrobania nożem głupstwa zarosłéj głowy, wtenczas jest się z czego śmiać i za co wstydzić. To my, wasz zawrót głowy, zbytki paryzkie, w cierpliwości znosimy, a wam nawet nasz strój oczy psuje. Żal się Boże że wacpan Polaka imię na sobie nosisz.

Paryżanin. Jam téż w Paryżu nie powiedział, żem się w Polszcze rodził, która nie wydaje wielkich ludzi.

Pozbywszy się natrętów, hrabia w ostatniéj scenie czyni gorzkie wyrzuty zaślepieniu rodziców, co nie dbają o wychowanie przynależne dzieci swoich.

— Wy to ojcowie! (mówi) jeszcze w kolébce wybudowaliście dom niesławy i pośmiewiska krwi waszej.

Akt trzeci i ostatni w Ogrodzie Saskim najmniéj ma zajęcia. Hrabia, przy pomocy guwernantki godzi się z Lucyndą. Podczaszy stryj i jéj opiekun a wielbiciel guwernantki chętnie na związek małżeński zezwala. Przewija się tu jeszcze bez potrzeby figura paryżanina. Podczaszy zapowiada sutą ucztę weselną, gdy schodzą się wszyscy *natręci*. Państwo młodzi zostawiają ich na scenie i na tém kończy się sztuka. W *Epilogu* Bielawski zwraca znów uwagę do króla:

„Królu! z którego czoła przeglądają cnoty,
Któż nie widzi żeś *Polszcze* przywrócił wiek złoty?
Któryż z niewdzięcznych synów ze mną dziś nie wyzna,
Jak wiele ci już winna kochana ojczyzna!

ciężył. Następnie przełożywszy wiele oper francuzkich i włoskich, jak w roku 1781 operę *Sachiniego*: „Dla miłości zmyślone szaleństwo," dnia 13-go lipca 1780 roku, wystawił operę z muzyką *Passiellego* p. n. *Fraskatanka* czyli *Dziewczyna zalotna*. Pierwszy to był przykład

---

Kiedy przy wielkich pracach, które berło daje,
Szukasz jeszcze poprawić w nas złe obyczaje;
Oby od tylu wieków, co świat na nas ciska,
Grubego sarmatyzmu zmyłeś pośmiewiska!
Otwierasz dziś *teatrum*, polskich wad i błędów,
Niemniéj chwalebne dzieło twych wielkich zapędów,
By każdy jak w zwierciadle przejrzał się w nałogu
I był odtąd obrazem podobniejszy Bogu.
To tylko gorszy rozum, że słabe udanie,
Nie umiało zabawić oka twego Panie?
Bo niezręczność polskiego do *teatrum* ciała,
Nigdy ludzkich nałogów nie kopijowała.
Ty piérwszy, Stanisławie, przez miłość narodu,
Szukasz drogi widoków lepszego w nim płodu,
I chcesz aby przykładem wszystkich inszych krajów,
Wyzuł się, pod twą władzą, ze złych obyczajów.
Co cię za chwała królu z téj poprawy czeka?
Gdy lud twój doskonałą w dzieje postać człeka:
Gdy pijak z kartownikiem i łakomca stary,
Próżniak, natręt, pochlebca, pozna swe przywary:
Będą o tém potomne wieki wspominały,
Czego w Polszcze dokonał umysł twój wspaniały;
Nam zaś, największą będzie ztąd honor i sława,
Żeśmy na tronie czcili *Piasta Stanisława*."

Pomijając płaskie pochlebstwo, które jako spuścizna jezuickich panegiryków nie mogła opuścić tak nagle naszego piśmiennictwa, widzimy z tego *epilogu*, że jeżeli w samój komedyi głównéj myśli podanéj z góry, Bielawski się nie trzymał, to miał ją na uwadze tak w prologu jak w epilogu. Co za smutny okres czasów, w ktorym król i wszyscy tron otaczający i społeczność myśląca wierzy, że to, co zachowuje obyczaj stary, narodowy, jest barbarzyńskiém, że *lud dopiéro wdzieje doskonałą postać człeka* pod panowaniem tego, co ten obyczaj wygna i przestroi wszystko z cudzoziemska.

Nadzieje jakie wyrażał na początku i w końcu swéj komedyi Bielawski o królu Piaście, nie bierzemy zupełnie na karb pełzającego pochlebstwa: nietylko autor *Natrętów*, ale i naród cały cieszył się świetną przyszłością i w młodym Stanisławie Auguście pokładał wielkie nadzieje. Niedziwota! wszakże to dopiéro było w rok po koronacyi w Warszawie.

II. *Dziwak*. Komedya w trzech aktach, na dzień trzeci Augusta, przez Józefa Bielawskiego, Fligel-adjutanta Buławy Wielkiéj W. Księztwa Litew-

przedstawienia w polskim języku, opery z wielkiemi aryami i chórami. Dzień ten zapisał się trwałemi zgłoskami w kronice teatrów naszych, a głównie w dziejach opery sceny polskiéj.

Najchlubniejsze przyjęcie tych usiłowań Bogusławskiego nie wystarczało jego zamiarom i chęciom: chciał on na wyższym jeszcze

---

skiego napisana i na teatrum J. K. M. wygrana R. P. 1766 (w Warszawie, w drukarni Mitzlerowskiéj: w 12-ce, str. 179 oprócz wstępu i prologu). Jeżeli w układzie swoim komedya ta nielepsza od „Natrętów," to bezporównania niższa, co do odmalowania wprowadzonych charakterów. Główna figura *Dziwaka* całkiem chybiona: jestto bowiem tylko tetryk i grubijanin; żona jego przedstawiona jako typ złości, niestosownie wprowadzona na scenę, reszta postaci mgła i przesadzona: ztąd mniéj nawet ma komiczności od „Natrętów." Ale daleko przechodzi piérwszy utwór Bielawskiego co do stylu swobody i naturalności dyalogu, w użyciu przysłów narodowych tak przyrosłych do stylu komedyi, w czém jest Zabłocki mistrzem nieporównanym. Komedyę tę przypisał autor księciu Augustowi, Aleksandrowi Czartoryskiemu wojewodzie i generałowi ziem ruskich. W przypisie tym na czele wyraża: „Jeżeli Ludwikowi XIV mógł ofiarować Molier swych „Natrętów," témbardziéj ja W. Ks. M. „Dziwaka" mego, który winienem krwi jego fortunę i talent."

Podobnie jak w „Natrętach" na czele znajdujemy:

Prolog.

Apollo pełen żalu czeka na Merkuryusza na górze Helikonu, którego Jupiter drugim powrotem wysłał na ziemię szukać Thalii Muzy komedyi, która się obłąkała z Parnasu. Apollo w długim monologu wyraża wierszem swą boleść z powodu zniknienia ulubionéj Muzy: cały Parnas jest w smutku i szczęście jego zatrute, a Muza skryła się w taką sferę, że nawet oko Jupitera dośledzić jéj nie może.

„Ach! gdziekolwiek cię miłość nauk, w którejś wzrosła,
Czy do Greków, do Rzymu, czy do Chin poniosła:
Wróć na łono twojego Muzo Apollina,
Bo bez ciebie ciężka mu jest i jedna godzina!"

Kiedy tak żałośnie narzeka, kiedy ma *z bólu wyzionąć na wiatr z ciała duszę*, postrzega Merkuryusza, który za rękę pięknego zbiega prowadzi.—Kędyś była?—pyta radosny Apollo.—Thalia w prawéj ręce trzymając portret króla Stanisława Augusta, pokazując gu, odpowiada:

Tryumfuj! znowu'm łaską jego dziś odżyła,
Bo cokolwiek natura cnót zawiązać może,
W królu, wszystkie w nim znajdziesz dziewięć Muzów, Boże.
A czego, moc języka wyrazić nie zdoła,
To wyczytasz tak z oczu, jako z tego czoła.

stopniu widzieć scenę krajową, i po długich staraniach i mozolnéj pracy, wystawił w końcu roku 1793 wielką operę, całą w recytatywach p. n. *Axur król Ormus*, z muzyką Salierego. Nadzwyczajny zapał z jakim ta opera przyjętą została przez publiczność, podwoił

Apollo patrząc na portret, zdziwiony zapytuje:

Co mówisz? alboż Polska, to męztwa mieszkanie,
Pod tak mądrego króla poszła panowanie?

Thalia.

Już to drugi rok mija, jak z chwałą narodu,
Rządzi Polską, szukając w niéj lepszego płodu,
By handel z naukami kwitnał w niéj i prawa:
Ten jest umysł wielkiego z czynów Stanisława,
Który nie dość że fundusz dla fabryk zgotował,
Lecz i szlachcie rycerską szkołę wybudował.
Zgoła, cokolwiek kunsztów Europa liczy,
Wszystkie sobie zaszczepić w ojczyznie swéj życzy.
Jego to cnót powabem rzadkich zachęcona,
Wykradłam się z twojego Apollinie łona,
I na zazdrość złym bogom tylem dokazała,
Żem w Polszcze komedyę szczęśliwie zasiała.

Apollo.

Więc pospieszaj czémprędzéj na Parnas Thalijo!
Niech ci Muzy na tryumf nowy laur uwiją,
I niech już dobędą się z smutnych powiek oczy,
Z których żal łzy dotychczas wyciska i tłoczy.
Niech Jupiter, niech niebo, mych żalów świadkowie,
Obaczą wieniec chwały na twéj Muzo głowie.
Pójdź-że! (wkłada jéj laur na głowę).

Thalia do króla.

Ach! gdyby bóstwa mego nie było potrzeba,
Wyrzekłabym się królu! dla ciebie i nieba!

(*Do Apolla*).

Przynajmniéj, nim na Parnas piérwszy krok uczynię,
Zbliż się do króla usty wielki Apollinie!
I podziękuj, że jego dzisiaj duch wspaniały,
Pozwolił mi łaskawie zerwać wieniec chwały,
Któren ja na ołtarzu wiecznéj sławy razem,
Zawieszę między bogi i z jego obrazem.

gorliwość Bogusławskiego i nasunął mu zarazem myśl utworzenia na większy rozmiar opery polskiéj. Wkrótce przeto po tém, bo zaraz w następnym roku 1794 ujrzała Warszawa na swojéj scenie, oryginalną operę Bogusławskiego, z muzyką Jana Stefaniego: „*Cud mniemany* czyli *Krakowiacy i Górale.*“

Apollo do króla.

Królu! którego pełne wspaniałych onót czyny,
Będą wielbić po niebie Muzy téj godziny;
Przyjm z ust rządzcy Parnasu na podziękowanie
Wiek długi, od żądania dłuższe panowanie.
Niech stuletniego wieku los na cię wypadnie
Z rąk Tego, który życiem wszystkich królów władnie.

(Do słuchaczy).

Tobie zaś ztąd Sarmato wieczna cześć i sława,
Że mój Parnas czcić będzie wielkość Stanisława.
Honor, którego Jowisz z monarchów żadnemu
Nie pozwolił dotychczas, jak tobie piérwszemu:
Bo póki bogów, nieba, lat stanie i czasu,
Póty twego imienia nie zmażą z Parnasu.

Merkuryusz do Apolla.

Wyjdź Apollinie! już czas bym wrócił do nieba,
Gdzie rachunek z mych godzin oddać będzie trzeba.

Apollo.

Idźmy! kiedy się już nam dostało téj chwały
Widzieć króla, którego mądrość czci świat cały.

Apollo, Thalia, Merkuryusz.

Idźmy! wychodźmy! (odchodzą).

Skończony prolog, teraz zaczyna się komedya. Kokoszewski dziwak mając za żonę Złośnicką z charakteru i nazwiska, córkę swoją Lucyndę, pomimo danego słowa, nie chce wydać za Grzeczniewicza, ale pragnie połączyć ją z Gajdeckim, parafianinem, nieokrzesanym gburem, lecz zamożnym i gospodarzem. Bielawski w téj komedyi więcéj się skłania na stronę Stanisława Augusta zwolenników i ubiera Gajdeckiego w strój polski, a Grzeczniewicza w nowomodny strój francuzki, stawiając go za wzór wyższego wychowania i charakteru. Kokoszewski wyrzuca córce kochającéj Grzeczniewicza, że powietrze warszawskie inspirowało jéj nienawiść do polskiéj sukni, która przedtém Turkom tylko straszna była, a nie białym głowom; ale przewagę widzi w końcu przy cudzoziemskim stroju i sprawdza to, co mu córka odpowiada:

Komuż nieznaną jest jéj treść, któż nie słuchał z rozkoszą téj muzyki tak prostéj, a jednakże tak silnie trafiającéj do serca? Komuż obcą była w owéj epoce, ta śpiewka *studenta*:

„Świat srogi, świat przewrotny,
Wszystko na opak idzie,
Kto nie wart, pan stokrotny,
A człek poczciwy w biédzie“ i t. d.

„że Grzeczniewicz w francuzkiéj sukni, polską duszę nosi.“ Ten mając wstęp wzbroniony do domu kochanki, dostaje się raz jako pielgrzym i leczy chorą Lucyndę zdejmując z niéj urok; drugi raz przebrany wraz ze służącym swoim za kupców norymberskich z Warszawy. Lucynda poznaje kochanka w kupieckim stroju i w radosném uniesieniu wykrzykuje:

— Cóż to ja widzę? Bodajżeś kata zjadł, jak mnie pięknie oszukał!

I na oświadczenie Grzeczniewicza odpowiada:

„Prędzéj rzeki z swych źródeł wypłyną, ptaki śpiewać zapomną, niżeli dla ciebie serce moje wzdychać przestanie, téj jest mocy we mnie kochanie.“

Ojciec dziwak, zawzięty dawniéj przeciw Grzeczniewiczowi, oburzony na Gajdeckiego zręcznie osnutą plotką, zezwala w końcu na wszystko i każe na nowo suty obiad gotować, gdy piérwszy przygotowany na zaręczyny z Gajdeckim, żona w uniesieniu i złości zniszczyła w kuchni. Zwolennik narodowości, choć pragnie aby zięć przyszły zrzucił z siebie niemieckie *findrymandry*, a wdział kontusz i żupan, zapuścił wąsy i głowę kazał podgolić; daje się zwyciężyć téj zasadzie tak powszechnéj naówczas, a powtórzonéj w „Dziwaku“: „że suknią ani psuje, ani poprawia obyczajów!“ W scenie, kiedy Grzeczniewicz przebrany za Norymberczyka, towary swoje rozkłada i książkami *Dziwaka* częstuje, dowiadujemy się, że piérwsza komedya *Natręty*, bardzo się podobała, a *Skarbnik*, brat jego, taki nam cel i zadanie komedyi podaje.

„Na komedyi nie wyśmiewają osób ale nałogi, które koniecznie w nas poprawić trzeba i jeżeli na angielskich teatrach królów wystawiają, na francuzkich książąt i hrabiów, na włoskich i niemieckich margrafów i baronów, a czemuż na naszych nie mają wystawiać szlachty i urzędników, dla zważania w nich nieszlachectwa, nie urzędu, ale błędów, które należą grubym wiekom i które z poniżeniem imienia polskiego, wytykają nam wszystkie narody. Mospanie bracie! winniśmy nieśmiertelną wdzięczność rządowi dzisiejszemu, że na nowo otworzył źródło do poprawy złych obyczajów, na których łonie przez tyle wieków zasypiała ojczyzna nasza. Komedya Greków, Rzymianów, Francuzów, Angielczyków, wyłamała z rąk grubych nałogów, a tém większe na kraj nasz ściągnie pożytki, im, że nietylko w nim poprawi obyczaje, ale zastąpi niedostatek języka, na który się wielu skarży, a większa daleko liczba kole oczy sztukowaniem go francuzkiemi lub łacińskiemi *makaronizmami*.“

Mamy tu ślad wyraźny jak się szlachta jątrzyła na ówczesne pismo peryodyczne *Monitora*, gdy *Skarbnik* brat *Dziwaka* na jego piorunowanie przeciw temu organowi prassy ówczesnéj, odpowiada:

To też śpiewano ją w całym kraju, jak i wiele innych z téj opery, która wsparta talentem Bogusławskiego, grającego studenta, doczekała się w pośród najwyższych oznak zadowolenia, stu kilkadziesiąt przedstawień. Nietylko w Warszawie znanym był jako znakomity artysta dramatyczny i pisarz: Kraków, Lwów, Wilno, Grodno, Dubno, Poznań, Gdańsk i wiele miast innych, gdzie tylko się pokazał ze swoją truppą, podzielało z zapałem oklaski Warszawy, wspierało usiłowania Bogusławskiego. Od roku 1780 kolejno zwiedzał on te miasta, walczył odważnie z przeciwnościami, a nieraz z pokątną zawiścią, ażeby tylko wskrzesić i ustalić scenę polską w kraju, która już się ku upadkowi chylić poczęła. Nakoniec śmiałém i otwartém postępowaniem zwrócił Bogusławski uwagę króla Stanisława Augusta, który polecił mu, aby się udał ze swojém towarzystwem do Grodna, i otworzył tam teatr w czasie sejmu 1784 roku. Po ukończeniu zakreślonych przedstawień powrócił do Warszawy; nie mogąc zaś dla stawianych sobie przeszkód, rozpocząć widowisk, wyjechał ze swymi artystami do Wilna. Tu przyjęty z radością i szacunkiem przez

---

— Panie bracie! gdybyś znał szacunek tych piór, które pocą się na ukołysanie w nas dzikich humorów, na zmazanie podłości, uporu, próżnowania i gnuśności w wielu obywatelach; na wyłamywanie nas z rąk namiętności, któréj zadatki wyglądają z czołów naszych, na obalenie w nas *sentymentów* nieludzkości i grubiaństwa: wielbiłbyś i piszących i wiek, któremu zostawiła Opatrzność staranie i honor do wydźwignienia imienia polskiego; ale że te ziarnka padają na opokę, trudno za to winować te tak pożyteczne pismo, boby to było gniewać się na słońce, że nocne ptaki światła jego znosić nie mogą."

Dziwak, znalazł równie dobre przyjęcie na teatrze jak i *Natręty*. Śmiano się serdecznie z Kokoszkiewicza, kiedy budząc *węgrzynka* (służącego swego) sam się przewrócił, a przygniótł go ten wyrostek. Stękał leżąc i wołał, aby go podniósł; ale węgrzynek udając że go nie poznaje, każe mu dla większéj pewności po nocy, czy to on sam, czy to pan jego, aby kichał, łajał i ziewał, co wszystko wśród gniewu i przekleństw robi z przymusu biédny Kokoszkiewicz (akt I, s. 3 i 4). Ta scena dla mało wymagającéj ówczesnéj publiczności była pełna komizmu i zawsze ją hucznemi okrywano oklaskami.

Na tych dwóch utworach skończył nasz autor zawód pisarza dramatycznego. Bacząc na powolny rozwój teatru polskiego, godzimy się na zdanie F. Bentkowskiego, jakie wydał o tym pisarzu („Hist. lit. polskiéj" T. II, s. 527): „Bielawski po Bohomolcu jest piérwszym, który w swych sztukach więcéj gustu i teatralnéj zalety połączył, tudzież trafniejszym w wystawieniu obrazów charakterystycznych okazał się. Śmiało rzec można, że gdyby w tym stosunku postępował nasz teatr jak z Bielawskim powstał, nie powinniśmy się uskarżać na brak dobrych sztuk oryginalnych; lecz że więcéj znalazło się krytyków niż takich coby coś lepszego napisali, scena komiczna nie bardzo zbogaconą została."

ceniących talent naukę i poświęcenie dla sztuki, już miał zamiar na zawsze tam pozostać, gdy w roku 1790, rozkazem króla wezwanym został do Warszawy, gdzie Stanisław August nadał jego towarzystwu tytuł: „*Artystów narodowych*," a Bogusławskiego zaszczycił godnością „*Dyrektora królewskich widowisk*."

Była to chwila stanowcza, chwila w któréj zajaśniała przyjazna gwiazda dla sceny krajowéj; pojął to dobrze Bogusławski, i wyjednał dla siebie wyłączny przywiléj i przedsiębierstwo widowisk krajowych. W trzech latach następnych za jego staraniem odbudowano grożący upadkiem gmach teatralny, a doborem dzieł i artystów, podniósł scenę do najwyższéj na owe czasy doskonałości. Król oceniając jego pracę i starania, zarówno jak talent, wspiérał te zacne usiłowania i nie małemi zaszczycał go względami, zapraszając do zamku na uczone czwartkowe obiady.

Zdarzyło się że raz u stołu siedział obok dumnego kasztelana***. Ten słysząc króla łaskawie do artysty przemawiającego i zowiącego go po nazwisku, myślał że to jakiś magnat uczony lub dworzanin królewski. Chcąc więc mu okazać grzeczność swoję, korzystał z najpierwszéj przerwy w rozmowie i rzekł do niego:

— Jaka to szkoda mości dobrodzieju, że u nas w Polsce taka bywa konfuzya imion rodowitych!

— W czémże to, panie kasztelanie i komu szkoda? — zapytał artysta.

— Otóż samemu waćpanu dobrodziejowi, chociaż pierwszy raz mam honor go widzieć i słyszeć jego nazwisko, a już mnie to obchodzi, że się tak właśnie zowie jakiś tam szerepetka, kuglarz, co to mości dobrodzieju na teatrze udaje, przedrzeźnia i ludzi śmiészy.

— Właśnie to ja sam nim jestem—odpowié żywo wzruszony Bogusławski—co czasem hrabiów, czasem kasztelanów... błaznów udaję, mości dobrodzieju.

To mówiąc przybrał zupełnie jego ton i hardą minę.

Zdarzenie to wybornie nam malują owe czasy i pojęcia o sztuce dramatycznéj.

Zaburzenia w roku 1794 spowodowały upadek sceny warszawskiéj, i zniszczyły prace i starania tyloletnie Bogusławskiego. Artyści rozproszyli się, a opuszczony dyrektor, zabrawszy swój księgozbiór teatralny wyjechał do Krakowa, gdzie powziąwszy wiadomość, że artyści polscy zgromadzili się we Lwowie, pospieszył za nimi i tu zawarłszy umowę z przedsiębiercą niemieckiego teatru otworzył scenę polską. Gdy pomyślnie rozwijać się zaczęła, wśród letniéj pory 1796 roku, Bogusławski wsparty hojnością Kazimierza hr. Rzewuskiego i obywateli Lwowa, wystawił piękny i obszerny amfiteatr, w ogrodzie książąt Jabłonowskich. Nowość ta powabiła liczną publiczność, która się tłumnie cisnęła na te widowiska, powtarzane kilkakrotnie w tygodniu. Tak świetném powodzeniem w obu teatrach cieszył się aż do połowy roku 1799, w którym niepomyślne wypadki dla sceny

polskiéj, zmusiły go Lwów opuścić. Pobyt jednak Bogusławskiego w tym grodzie nie był bezowocnym, bo wywołał dwóch dzielnych współpracowników i pisarzy, jakimi byli Jan Nepomucen Kamiński i Aloizy Żółkowski.

Gdy powrócił do Warszawy, objął na nowo przedsiębierstwo teatru, a następnie udał się ze swém towarzystwem do Poznania i Kalisza. W Kaliszu wystawił nowy i obszerny teatr, uzyskał nawet przywiléj dziesięcioletni na dawanie widowisk. Niemogąc się jednak w nim utrzymać, po długiéj tułaczce w różnych miastach, przybył do Warszawy 1809 roku, gdzie podawszy projekt ustanowienia dyrekcyi rządowéj teatru i założenia szkoły dramatycznéj, na wezwanie króla saskiego a księcia warszawskiego, po otrzymaniu od niego na lat cztery przywileju na widowiska teatralne, rozpoczął nowe usiłowania do rozwoju sceny, lubo przewidywał że zachwiać się będzie musiała. Jakoż sprawdziły się jego przeczucia, ciągłe przechody wojsk różnych narodów w latach 1812 i 1813, nie dozwoliły mieszkańcom Warszawy myśléć o zabawach i teatrze.

Bogusławski nie mając żadnéj pomocy ze strony dyrekcyi rządowéj, zamknął widowiska sceniczne w dniu 30 kwietnia 1814 r., a przedsiębierstwo teatru narodowego ustąpił zięciowi swojemu Ludwikowi Osińskiemu [1]).

Odtąd zdaleka od zgiełku stolicy, używał w sędziwym wieku tego spokoju, za którym tyle od lat młodych wzdychał. Tu zajął się zebraniem, poprawą, ułożeniem i wydaniem prac swoich dramatycznych. Ogłosił je téż drukiem w XII-tu tomach: (Warsz. 1820—23 r.). W sześć lat późniéj, zakończył w tém cichém ustroniu życie dnia 23 lipca 1829 roku [2]).

---

[1]) O zasługach L. Osińskiego dla sceny krajowéj, mówiłem w mojéj monografii: „Ostatni Klassyk“ (Warszawa, 1872 r.).

[2]) Dzieła dramatyczne w XII tomach zostaną zawsze chlubnym pomnikiem pamięci Bogusławskiego. W nich mamy *dzieje* teatru skreślone, pełne ciekawych szczegółów (T. I—IV), z których widzimy ile przeszkód miał do zwalczenia, jak wielkiego potrzeba było poświęcenia, wytrwałości, aby doszedł do zamierzonego celu. Mamy tu obok tego życiorysy artystów naszych, co podpierali usiłowania Bogusławskiego: jak: *Owsińskiego*, *Truskulawskich* małżonków, *Barbary Sierakowskiéj*, *Karola Świerzawskiego*, *Salomei Deszner*, *Andrzeja Mierzyńskiego*, *Jasińskiéj*, *Hempińskiego*, *Franciszki Pierożyńskiéj*, *Kaczkowskiego* i *Potroneli Drozdowskiéj*. Sześćdziesiąt sztuk obejmuje powyższe dzieło, do dwudziestu pozostało w rękopiśmie. Co wydał jednakże Bogusławski, okazuje jak pojmował wysokie znaczenie sztuki dramatycznéj i sceny narodowéj. Dwie tylko sztuki oryginalne umieścił w tym zbiorze: „Henryka VI na łowach“ i „Spazmy modne.“ Opera zaś *Cud*, czyli *Krakowiaki* i *Górale*, wyszła z rękopismu w Berlinie 1841 (w 8-ce, str VIII, 102),

Jakkolwiek zdał dyrekcyą teatru narodowego zięciowi swemu, nie porzucił jednakże sceny, i od czasu do czasu ukazywał się na niéj. Ostatni raz wystąpił na pożegnanie z wielbiącą go publicznością w dniu 10 listopada 1827 roku w roli *Fryderyka Wielkiego*, w komedyi p. n. *Koszyk wiśni.*

Społeczność tego okresu umiała godnie oceniać poświęcenie i zasługi Bogusławskiego. W dniu 23 kwietnia 1803 roku, gdy Warszawa była miastem prowincyonalném pruskiém, wielbiciele teatru, zebrani w jedno grono z artystami dramatycznemi, świetnie obchodzili uroczystość imienin jego. Z rana odegrano serenadę, a po złożeniu Bogusławskiemu powinszowania, zaprosili go na obiad i przedstawienie teatralne, przygotowane w salach pałacu Radziwiłłowskiego, (Paca, na Miodowéj ulicy).

Na to widowisko rozdano bezpłatnie bilety zwolennikom sztuki dramatycznéj i obywatelom Warszawy. Odegrana komedya p. n. *Aktorowie na Elizejskich polach*, pomnożoną została stosownemi piosnkami przez jéj autora L. A. Dmuszewskiego. Muzykę do niéj napisał Józef Elsner. Na balu, który ten obchód zakończył, rozdano goszczącym popiersie Bogusławskiego, sztychowane przez Ligbera z dwuwierszem L. Osińskiego:

„Krzywdzące głos ojczysty, marzenia umorzył;
Pisał, grał, i grających na czas późny stworzył.“

Pierwszy wiersz stosował się do niemałéj zasługi Bogusławskiego, że sam tłumacząc opery włoskie i z wielkim nakładem przedstawiając, przekonał nie tylko rodaków ale i cudzoziemców, że możemy mieć własną operę, i obejdziemy się bez sprowadzania za drogie pieniądze italiańskich śpiewaków.

Pomnę z ostatnich jego wystąpień studenta w Krakowiakach i Góralach i Starego Horacego w tragedyi Kornela. Wyniosła postać, twarz szlachetna rzymskich prawdziwie rysów, wyrazista, choć głos już rozbity, silne wrażenie na młodych umysłach zrobiła, patrząc na starca, co na téj scenie tyle lat wiernie wytrwał, i tyle dla niéj pięknych zasług położył. Grzmot oklasków powitał jego zjawienie, i był zarazem należnym hołdem. A wtedy bardzo rzadkie bywały

---

we dwanaście lat po śmierci autora. Utwór ten, jeżeli znalazł słuszny poklask na scenie, wydatne zajmuje stanowisko w dziejach literatury polskiéj. Bogusławski bowiem piérwszy wyprowadził na scenę lud polski w całéj prawdzie i prostocie. Wspomnieć tu winienem o zapomnianéj komedyi Bogusławskiego w dwóch aktach wierszem, którą napisał jako ciąg dalszy „Powrotu posła“ J. U. Niemcewicza; wyszła z druku w Warszawie 1791 r. pod napisem: „*Dowód wdzięczności narodu.*“

oklaski. Całą sztukę słuchała uważnie publiczność, nie śmiejąc żadnym szmerem przeszkodzić artystom. Po skończonej sztuce, jedném przywołaniem tylko i jednym oklaskiem składała im swoje podziękowanie. Za zjawieniem się aktora na scenie także nie klaskano, chyba że ukazał się po długiéj nieobecności, albo też witano sędziwego Bogusławskiego.

Pod jego sterem, a następnie L. Osińskiego, zebrało się grono wybornych artystów; jak w tragedyi: Marcin Szymanowski, Bonawentura Kudlicz, L. A. Dmuszewski, Antoni Zieliński, Werowski, Jastrzębski, a późniéj genialny Piasecki. Z kobiét: Józefa z Truskulawskich Ledóchowska, Nacewiczówna, Żółkowska (matka), Leontyna Żuczkowska, Emilia Werowska. W komedyi: Żołkowski, Zdanowicz, Nowakowski, Niwiński, Wojciech Szymanowski, Damse; Kurpińska, Teresa Palczewska znakomitego talentu, Jankowska i Żółkowska (córka) późniejsza Kostecka. Krótko bardzo zagościł na scenie, pełen zdolności komik Górecki, zmarły w kwiecie wieku. W operze: Elsnerowa, Dmuszewska, Zdanowiczowa, Szczurowska, Eleonora Stefani, Aszpergerowa, Wagnerowa, późniéj Mejerowa, Gładkowska, Wołkow i Rywacka; ze śpiewaków: Jan Szczurowski, który przeszło do lat siedmdziesięciu zachował głos silny (bas) i dźwięczny, Żyliński, Polkowski, Romanowski, Krzesiński, Walenty Kratzer, Aszperger.

Wszyscy wymienieni artyści tragiczni byli wzrostu dobrego. Szymanowski odznaczał się większą tuszą, dlatego w poważnych rolach wyglądał poważnie. Organ silny, dźwięczny, posługiwał mu więcéj do ról pełnych zapału i uniesień, niż do czułych i miękkich. Nie umiał on czule i rzewnie przemawiać, ale zapał, gniéw, głośną rozpacz, wybornie oddawał. Forma tragedyi klassycznych była w takim rodzaju, że wszystkie podobne do siebie pod względem rozbudzonych i wywiedzonych na scenę namiętności, różniły się tylko treścią przedmiotu obranego. Wymagały one deklamacyi głośnej, wyraźnéj; poruszenia aktorów były naprzód obliczone: sztuka tu, nie natura i samodzielność artystyczna, dawała przepisy do każdego ruchu, podniesienia głosu, układu własnéj postaci i deklamacyi. Bo tragedye zaprawdę były deklamowane ale nie grane podług dzisiejszego naszego pojęcia o sztuce dramatycznéj. Nie zużywał artysta siły żywotnéj jak dziś na scenie; największą rolę oddał dokładnie, ale wewnątrz na chłodno, a jeżeli była wielką, to jéj długość opłacał co najwięcéj chwilową chrypką. Inaczéj teraz grają nasi artyści w dramatach: wskazane namiętności rolą i charakterem, wywołują grę twarzy, oczu, głosu, muskułów, rozbudzają je w całéj postaci i tém rozbudzeniem trawią własne siły organiczne. W dawnym naszym teatrze, głównem zadaniem była pamięć, silny organ, wprawa, i oznajomienie z deskami teatralnemi.

Po Szymanowskim, Kudlicz zajmował piérwsze miejsce; niższy nieco wzrostem, pomimo całéj niewdzięczności organu, bo szeplenił, pokazał na sobie co może silna wola i talent. Kudlicz nietylko

w tragedyach występował, i w komedyach znakomicie się odznaczał; zrozumienie każdéj roli i prawda w oddaniu przyjętego charakteru, cechowały wydatnie tego artystę. Gwizdany z początku dla szeplenienia, stał się wkrótce ulubieńcem publiczności i wzorem dla młodych aktorów. Role starców w tragedyi, w komedyi podżyłych mężów, lub zgnębionych już wiekiem i charakterystyczne, to były właściwe dla Kudlicza.

Wolski, nie miał dwóch poprzednich zdolności, lubo pod względem wykształcenia umysłowego stał od obu daleko wyżéj. Wzrostem i postacią zbliżał się do Szymanowskiego. Role poważne dobrze oddawał, nie zepsuł żadnéj, ale téż podnieść jéj wyżéj nie umiał: nie brakło mu zrozumienia roli ani wdzięcznego organu, ale brakło talentu.

Najpóźniéj ukazał się na scenie warszawskiéj Werowski, odrazu w tragedyach i dramatach, objął role pierwszych kochanków. Któż z nas nie zapamięta owych świetnych tryumfów tego artysty, kiedy wystąpił w roli *Rodryga* w tragedyi *Cyd*, Kornela, przekładu L. Osińskiego.

Przyodziany w lśniącą zbroję, czyto opowiadał zwycięztwa odniesione nad Maurami, czy ów sławny ustęp, kiedy był pewny miłości Xymeny:

„Powstańcie teraz wszystkie potęgi, choć z piekła!
Ach! tą lubą nadzieją ręka ośmielona,
Na wszystko się odważy i wszystko pokona."

Drżały deski teatralne pod jego stopami, bo jak wzrostem górował wielu, tak postawą całą, do ról bohatérskich stworzony. Zapał w grze, deklamacya dobitna, wywoływały zawsze grzmot oklasków pochlebnych.

Wiadomo, jak wdzięcznie czytał Osiński: nikt mu nie wyrównał; najbliższym w pojęciu rzeczy i oddaniu myśli był Werowski, gdy się pozbył śpiewnego, litewskiego akcentu. Umiał on głos swój nawykły do silnéj deklamacyi tragedyj klassycznych, w dramatach miękczyć i urobić w rzewność: dość wspomnieć role w tragedyi Szyllera: *Miłość i Intryga*, i w dramacie Kotzebue'go „*Nienawiść ludzi i żal*."

Werowski, zająwszy wysokie stanowisko w gronie aktorów teatru narodowego, nie miał współzawodnika do czasów zjawienia się Piaseckiego. Werowski stał prawie na wyłomie, kiedy tragedye klassyczne już blednąć zaczynały przed dramatami romantycznemi, które coraz więcéj zyskiwały zwolenników. Pomimo to, role Lionela, w *Dziewicy Orleańskiéj* Szyllera, *Dobromira*, *w Matce rodu Dobratyńskich*, Zbigniewa, w tragedyi tegoż nazwiska z chórami J. U. Niemcewicza, wskazywały, że równie dobrze pojmował pierwszych, jak i drugich znaczenie. Ze wszystkich ówczesnych artystów dramatycznych, czytał i pracował najwięcéj, piękny zgromadził księgozbiór i zapalonym

był zbieraczem rzadkości bibliograficznych. Połowę zawsze dochodu ze swego benefisu, poświęcał na książki. Żaden z ówczesnych tragicznych aktorów nie był więcéj troskliwym, co do zachowania wierności i prawdy w ubiorze, w jakim miał odegrać swoję rolę: w téj troskliwości jeden mu tylko wyrównywał komik Józef Zdanowicz.

Werowski studyował bacznie, jeśli nie miał rycin pod ręką lub drzeworytów w starych dziełach, medale nawet i z nich dobierał kostium najodpowiedniejszy. Jeszcze w pełności swego zawodu dramatycznego, znalazł współzawodnika godnego siebie, młodego Piaseckiego, który wkrótce prześcignął swego mistrza. Werowski, zachodząc w lata, powoli ociężał, a przy nabieraniu tuszy musiał młodsze role zdawać Piaseckiemu.

Był to rzeczywiście genialny artysta, górujący talentem po nad wszystkiemi. Śmiało wystąpił w szranki swego zawodu, i gdy po Werowskim ukazał się w roli *Cyda*, publiczność dorazu poznała, że nic na zamianie osób nie straciła.

Jak dla każdego artysty i artystki najniewdzięczniejszą jest rzeczą brać role już znajome i ograne, chociażby przez niższe od siebie talenta: cóż dopiero mówić, jeżeli młody aktor, na pierwsze wystąpienie podejmuje postacie po zdolnych poprzednikach swoich. Śliska to bardzo droga i wielce niewdzięczna: doświadczył Piasecki w roli *Cyda*, téj prawdy na sobie. Publiczność przyzwyczajona do gry Werowskiego, nacechowanéj potężnym głosem i donośną deklamacyą, ową siłą atletyczną całéj postawy, nie zważała, nie zrozumiała cieniowania wyższego, obmyślanego głęboko w grze Piaseckiego; pomimo przecież tego, że te studya w charakterze *Cyda* wydatnością swoją nie zwróciły uwagi powszechnéj, gra Piaseckiego zyskała zasłużone pochwały i oklaski.

Odtąd każde wystąpienie młodego artysty przekonywało widzów o znakomitym talencie, o téj wyższéj umiejętności w zgłębianiu ról sobie powierzanych i dobywaniu z nich niedostrzeżonych przez innych piękności. Pamiętam go w roli *Hamleta*, gdy po powrocie z zagranicy wystąpił. Publiczność była zachwyconą, ale starzy artyści teatru narodowego, swego zdziwienia a nawet oburzenia nie taili, że piérwszy Piasecki na scenie, w chwili, gdy duch ojca mu się pokazuje, poważył się tyłem do widzów obrócić, co było wbrew wszelkim ówczesnym przepisom i przyjętym zwyczajom.

Nietylko na polu tragedyi i dramatów zajaśniał Piasecki: wyższa komedya miała w nim godnego reprezentanta. Deklamacya jego wielce się różniła od wszystkich: gdy potrzeba, silna i energiczna bez krzyku i wysilenia głosu, miała rzewność w ustępach tkliwych i w miękkim głosie, zciszonym, jakąś niewypowiedzianą łzawość. Długi czas, ba, może nie jeden wiek przeminie, nim podobny artysta, jak Piasecki ozdobi naszą scenę [1]).

---

[1]) Z późniejszych artystów najwięcéj zbliżył się do Piaseckiego Józef Komorowski, aktor z rzeczywistym talentem dramatycznym. Z początku

Na czele artystek tragicznych stała Józefa z Truskulawskich Ledochowska. Z rodziców artystów dramatycznych wystąpiła na scenę prawie w dziecinnych latach. Spadkiem po matce swojéj słynnéj aktorce otrzymała rzeczywisty talent. Hrabia Ledochowski rozkochany w niéj poślubił ją, lecz wkrótce porzucił, ofiarując znaczną summę, aby zezwoliła na rozwód i wróciła do rodzinnego tylko nazwiska. Artystka chętnie dała się skłonić do rozwodu, ale odmianę nazwiska stanowczo odrzuciła. Wysokiego wzrostu, smukłéj i składnéj postaci, piękną i kształtną miała nogę, a ręce drobne, jak utoczone. Oblicze więcéj okrągłe, oczy czarne, pełne życia i ognia spojrzenie. Zajmowała ciągle na scenie naszéj role pierwsze tak w tragedyach żon i kochanek, jak w dramatach i komedyach. Mniéj jéj talent wydatniał w tych ostatnich; komedya też w naszych czasach dopiero zajęła wynioślejsze znaczenie, w ową porę pośledniejsze miała stanowisko i główne role spoczywały na męzkich charakterach. Niełatwém też było zadaniem dla aktora, występującego w tragedyach klassycznych, przejść do ról w komedyi i w niéj z ciężkiéj, poważnéj deklamacyi, z trzynasto-zgłoskowego wiersza, na swobodną, potoczną rozmowę. Ledóchowska, zrodzoną była na artystkę tragiczną: ruchy składne i poważne, głos już wyrobiony do wiérsza, każde wzięcie się odpowiednie po temu zawadzało w swobodzie gry i życie tak potrzebném przy oddaniu roli w komedyach. Jedna tylko Leontyna Żuczkowska (późniejsza Halpertowa), co zapomniawszy o tragedyach klassycznych jaśniała jako wzór jedyny gry mistrzowskiéj w komedyach i dramatach nowoczesnych, ale powtarzamy, zapomniawszy tragedyj klassycznych.

Ledóchowskiéj siły już zabrakło, kiedy przedstawiała rolę: *Joanny d'Ark, w Dziewicy Orleańskiéj.* Tłumaczył z Szyllera dramat ten Andrzéj Brodziński starszy brat Kazimierza, w owych czasach, gdy prawidła *jedności miejsca i czasu*, ściśle w tragedyach szanowano. Brodziński naiwnie uniewinnia Szyllera z niezachowania tych prawideł, z danéj nawet nazwy *tragedyi romantycznéj*, (jakby grzéchu), a w końcu wyznaje, że nie tłumaczył, ale tylko naśladował oryginał. Oddał też cały dramat długim, trzynasto-zgłoskowym wierszem, w którym zginęły wszystkie ustępy liryczne i miara do tego liryzmu zastosowana [1]). To też w ostatnim akcie, kiedy Joanna wznosi gorącą modlitwę do Boga, zrywa więzy i biegnie swoim na pomoc: już głos

---

naśladowca, następnie po długiéj pracy i studyach samodzielny artysta. W samém rozwiciu i dojrzałości wielkich zdolności, śmierć zbyt wczesna, wydarła go polskiéj scenie.

[1]) Dramat ten, dopiéro w mistrzowskim przekładzie dał nam w całéj piękności poznać A. E. Odyniec. Niestety! pomimo wskrzeszenia późniéj w wiele lat *Dziewicy Orleańskiéj*, zawsze używano lichego tłumaczenia, które już umiano napamięć.

Ledóchowskiéj nie starczył, była to zbyt forsowna dla niéj rola. Za to, ileż prawdy, jakież przerażenie wywoływała w owéj sławnéj, sennéj scenie w Szekspira *Mackbecie*, gdy z krwi ręce obmywała. Téj sceny już żadna po niéj artystka z równym urokiem nie zagrała. Z Ledóchowską występywała razem Żółkowska, żona komika, a w końcu jéj zawodu panny: Nacewiczówna i uczennica Ledóchowskiéj, młoda Emilia Werowska córka tragika.

Równocześnie ukazała się na scenie teatru narodowego Leontyna Żuczkowska. Młoda i w całém znaczeniu tego wyrazu piękna i urocza, obdarzona najwdzięczniejszym organem, wyniosłéj postaci i składnéj; twarz rysów regularnych i cudnie odbijających ze sceny. oczy duże, niebieskie, jaśniejące ogniem młodości; wszystkiém obdarzyła ją natura, co stanowić może wielką artystkę. Pomimo tych jednakże zalet i przymiotów, długo stała w cieniu na uboczu, odsuwana znaczeniem i powagą Ledóchowskiéj, która się jéj lękała i to słusznie, jako groźnéj współzawodniczki. Wypadek szczególny zdarzył, że powierzono jéj rolę staréj cyganki *Viardy* w lirycznéj dramie P. A. Wolfa z muzyką Karola M. Webera p. n. *Precyoza*, przełożonéj pięknym wiérszem przez Józefa Dyonizego Minasowicza. Roli się téj podjąć żadna z aktorek nie chciała, bo trzeba było scharakteryzować i umalować się na brzydką i starą cygankę. Żuczkowska młoda i piękna, śmiało tę postać przyjęła na siebie. Było to dnia 17 marca 1827 r. Pierwsze to było téj artystki wystąpienie w większéj roli. Licznie zebrani widze z podziwieniem patrzyli na typ prawdziwéj cyganki, która z taką naturalnością przedstawiała starą gospodynią téj bandy wędrownéj. W akcie III, gdy z Granda hiszpańskiego szydzi i śmieje się w głos z ukrytą zemstą, gdy przy śniadéj, jak miédź twarzy, połyskała gorejącém spojrzeniem i ukazała zęby białe, jak kość słoniowa—uniesiona, zachwycona publiczność, nie mogła pohamować swego zapału. Odtąd Żuczkowska przełamała nieprzebyte dotąd dla siebie zapory i spiesznie postępowała naprzód, aby zająć pierwsze, a należne dla siebie miejsce na scenie teatru narodowego.

Ogniwem wiążącém tragedyą klassyczną z komedyą i nowoczesnym dramatem był Ludwik Adam Dmuszewski. Jak mi sam opowiadał, że z Litwy przybył do Warszawy w zamiarze przedarcia się do legionów we Włoszech, ale poznawszy Bogusławskiego i mając wrodzony pociąg do sceny, stanął w rzędzie aktorów teatru narodowego. Nie było rodzaju sztuki dramatycznéj, w któréjby on nie grał. Miewał główne role w operach, zarówno jak w komedyach, niepoślednie zajmował miejsce w tragedyach i dramatach. Giętki ten talent, umiał sobie zjednać względy publiczności, mile był zawsze widziany na scenie. Pamiętamy go w saméj sile wieku i zawodu, kiedy ciągle grał i pisał dla teatru. Nie mało Dmuszewski przyłożył się do rozkrzewienia zamiłowania sztuki dramatycznéj w kraju, przeważne w niéj położywszy zasługi.

Na czele artystów komedyi, stał ulubieniec całéj publiczności Aloizy Żółkowski: o tak wydatnéj postaci nietylko na scenie, ale i na tle ówczesnego okresu, powiem oddzielnie.

Nad Żółkowskiego, co do rzeczywistego talentu komicznego, wyższym był niezaprzeczenie Józef Zdanowicz, lubo nie miał ani takiéj łaski u widzów, ani takiego rozgłosu. Średniego wzrostu, szczupły, drobnych rysów twarzy, obliczem swojém i melancholicznćm spojrzeniem, przypominał wiele Kazimierza Brodzińskiego. Dobry znawca muzyki i sam grający, występował i w operze w rolach charakterystycznych, a głównie komicznych; przecież głównćm jego polem była komedya. Dość tu nam wspomnieć rolę Lisiewicza w *Geldhabie* A. Fredry, albo Wtorkiewicza w *Przyjaciołach* tegoż. Organ miał słaby, ale głos pomimo to dźwięczny i wybornie urobiony do oddania każdéj myśli, każdego uczucia.

Nie mogę pominąć w rzędzie wyższych artystów i Nowakowskiego późniejszego dyrektora sceny Lwowskiéj, co tak wielki rozgłos pozyskał, chociaż w miernéj sztuce p. n. *Chłop milionowy*. Śpiewki jego *miotły*! *miotełki*! powtarzały tysiące ust: z murów Warszawy rozbiegły się, jak ptaki po całym kraju. Ryciny Jana Lewickiego, na których Nowakowski był oddany w téj roli, jak pochylony pod swemi *miotełkami*, przyśpiewuje różne strofki, które były pod nim litografowane. Występował na naszéj scenie w kilku komedyach, ale nie poznaliśmy go w rolach *polonusów*, bo wtenczas nie napisał jeszcze Fredro swojéj *Zemsty*, i nie dał nam pełnego życia *Cześnika*.

Do artystów komedyi należał Aszperger, który we właściwych sobie rolach mile był od publiczności widziany.

Z aktorek komedyi pierwsze miejsce w rolach drugiego rzędu zajmowała Kurpińska, żona zasłużonego dyrektora opery przy teatrze narodowym i kompozytora. Małego wzrostu, ale składna i zgrabna, z obliczem miłém i powabném, pełna życia i wdzięku, czyto w rolach onych dawnych *subretek*, czy młodych panien, skromnych niewiniątek, albo zuchowatych, śmiałych dziewcząt, czy rzewnych a łzawych młodych dziewic: wszędzie ze zrozumieniem i pojęciem właściwego charakteru, nietylko go umiała oddawać z całą prawdą i ułudą, ale wydobywała piękności ze swój roli, co tylko może wyższy talent.

W rolach gospodyń, kobiét wiekowych i bab wygadanych, z wielkiém powodzeniem występowała Jankowska.

Żółkowska, żona artysty i matka żyjącego komika, jakkolwiek brała rolę w tragedyach klassycznych, nieraz jednakże widzieliśmy ją i w większych komedyach.

Operę polską składali w tym okresie: *Szczurowski*, *L. A. Dmuszewski*, *Wejnert*, *Zdanowicz*, *Żyliński*, *Kratzer*; śpiewaczki: *Dmuszewska*, *Elsnerowa*, *Aszpergerowa*, *Mejerowa*, *Eleonora Stefani*, *Rywacka*, *Gładkowska* i *Wolkow*, krótko na scenie bawiąca. Balet był dopiéro w zawiązku. Dnia 3 sierpnia 1820 roku, na pierwsze

przedstawienie dano balet układu dyrektora baletu Ludwika Tiery, *Mars* i *Flora*, z muzyką Karola Kurpińskiego. Licznie zebrała się publiczność, aby ujrzéć to niewidziane na scenie teatru narodowego widowisko. Szczególniéj zachwycił wszystkich marsz zastępów zbrojnych *Flory*, z małych dziewcząt złożonych, jak ciągnęły armaty, z których do Marsa i jego towarzyszy w pełnych uzbrojeniach, strzelały różami. Długie i świetne powodzenie miał ten balet.

Do téj części sztuki scenicznéj należeli: Tiery, Pion Maurycy, przezwany Moris, Aniela Polichnowska, Antonina Palczewska, Karolina Bizos, Teresa Palczewska, Julia Mierzyńska i Dąbrowska.

Polichnowska najpierwsza w solach się ukazywała; do pierwszych baletniczek liczyła się wkrótce Antonina Palczewska, gdy jéj siostra Teresa przeszła na artystkę dramatyczną; Dąbrowska słynęła z piękności; imię zaś Mierzyńskiéj do dziśdnia się przechowało przy mazurze, który ma właściwą melodyą, a przez nią był tańczony z nieporównanym wdziękiem i urokiem.

Jak grono liczne utalentowanych artystów podpierało scenę teatru narodowego, tak niemniejszą pomocą byli dwaj dyrektorowie opery: Józef Elsner i Karol Kurpiński; szczególniéj Kurpiński, który do wielu oper oryginalnych a napisanych przez J. U. Niemcewicza, L. A Dmuszewskiego, Żółkowskiego i w. i. muzykę podkładał.

Jeżeli aktorki teatru narodowego mało się udzielały poza obręb kółka swego, zato aktorzy mieli rozgałęzione stosunki przyjacielskie, i szerokie koło zwolenników poza sceną. Tak Żółkowski, jak Kudlicz, Zdanowicz, Dmuszewski, Werowski, Wolski i inni zbliżeni byli do literatów ówczesnych. Kudlicz był blizkim przyjacielem Kazimierza Brodzińskiego, Żółkowski, jak Dmuszewski wraz z Bogusławskim sami należeli do pisarzy. Wolski, doskonale posiadający język francuzki, pracował oddawna nad słownikiem francuzkim ogromnych rozmiarów.

Ten stosunek przyjacielski między aktorami i pisarzami, błogie dla sceny narodowéj wydawał skutki: aktorzy zapoznawali się przy ich pomocy z biegiem i rozwojem nie tylko piśmiennictwa krajowego, ale i obcego, szczególniéj w gałęzi dramatycznéj; literaci zaś zyskiwali na obznajomieniu się ze sceną, i z jéj potrzebami. Pierwsi podsuwali myśl do utworu scenicznego, drudzy go wykonywali. Taki węzeł braterstwa widzimy głównie co do podniesienia opery na teatrze narodowym. Kazimierz Brodziński z pełnym talentu Józefem Elsnerem dyrektorem opery, pracowali nad rytmicznością języka polskiego i rozszerzaniu umiejętności podkładania wierszy pod muzykę: wydali w tym względzie pracę wspólną [1]); Brodziński sam tłumaczył libretta,

---

[1]) Dzieła tego wyszła tylko część pierwsza w Warszawie 1818 roku, w 4oe, p. n.: *O metryczności i rytmiczności języka polskiego.*

jak i członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Jan Kruszyński i inni. Dominik Lisiecki, z gronem młodszych wierszopisarzy brał się do przekładu komedyj wierszem z francuzkiego, którym aktorzy podołać nie potrafili. Jak jedni tak drudzy, niemając na myśli choćby najmniejszego zysku, bo teatr nic nie płacił, a drukarz dawał całe honoraryum jedynie egzemplarzami; wiedzeni byli tylko czystą chęcią podpierania sceny narodowéj, bo w tém widzieli korzyść dla ogółu społeczności.

Osiński, objąwszy dyrekcyę teatru narodowego, zapoznał publiczność polską z arcydziełami literatury dramatycznéj francuzkiéj, ale zarazem i tragedyami oryginalnemi Aloizego Felińskiego, Franciszka Wężyka, komedyami i dramatami J. U. Niemcewicza. Zarzucają teraźniejsi krytycy wielkie błędy tragedyom naszym klassycznym. Generał Sokolnicki wystąpił w *Pamiętniku Warszawskim*, z oryginalną krytyką, bo wierszem i prozą, na *Ludgardę* Ludwika Kropińskiego, zarzucając jéj (co było prawdą) niepojęcie ojczystych dziejów. Nie myślimy ich bronić, powiemy tylko, że w swoje czasy wzbudzały one taki zapał i uwielbienie, jak arcydzieła dzisiejsze: a może więcéj umiano się lubować takiemi ustępami, w których odkryto piękność, moc, czy prawdę w poetycznéj szacie; uczono się ich na pamięć, powtarzano z upodobaniem. Mniéj często dbano o formę zewnętrzną, jak zadawalano się treścią więcéj, która do serca i myśli społeczności tego przypadała okresu.

Najlepszy tego dowód mieliśmy w tragedyi Ignacego Humnickiego: *Żółkiewski pod Cecorą*, utwór daleko słabszy od dramatów Wężyka i Felińskiego, a na pierwsze przedstawienie wyparto orkiestrę i widzowie zajęli jéj miejsce [1]).

---

[1]) Humnicki urodzony w r. 1798 w Sandomierskiém, zasilił scenę teatru narodowego trzema dramatami, które były przedstawione. Ogłosił te utwory wierszém: 1) „Goworek wojewoda sandomierski“ dramat w pięciu aktach wierszem; (Kraków, 1817 r.); 2) „Edyp,“ tragedya w pięciu aktach wierszem (Warszawa, 1818 r.). 3) „Żołkiewski pod Cecorą,“ tragedya oryginalna wierszem (Warszawa, 1818 r.). Wszystkie jużby krytyki dzisiaj nie wytrzymały; ostatnia tragedya, ciesząca się jaknajświetniejszém powodzeniem na scenie: „Żółkiewski pod Cecorą,“ zawdzięcza tak wielkie przyjęcie, kilku zwrotom zręcznym, gorąco przemawiającym do serca owoczesnéj społeczności. O téj ostatniéj tragedyi, przywiodę tu sąd poważny Jana Woronicza, biskupa krakowskiego. Humnicki przesłał mu bilety prenumeracyjne, ażeby zebrać fundusz na druk „Edypa“: owóż co pisze ten znakomity mówca i poeta, w liście swoim pisanym do autora, z Krakowa d. 27 listopada 1825 roku r. Podajemy go z autografu, który mamy przed oczyma.

„Zdziwi zapewne WMP niniejsza odpowiedź na list jego 29 sierpnia pisany. Jeśli WMP wiadome są moje zatrudnienia, łatwo potrafisz ocenić tak

Wieleśmy mieli tłumaczeń komedyi wierszem, głównie z francuzkiego. Molier przypominał się często na scenie warszawskiéj w przekładach F. S. Dmochowskiego i Fr. Kowalskiego, a Kudlicz w roli Skąpca zbierał grzmiące oklaski. W naszych oczach już po roku 1830, ten sam znakomity artysta, pewny na powodzenie swoje dawne, wystąpił w téjże roli, ale przyjęcie chłodne przekonało go, że Molier już nie dla naszych czasów.

Aleksander Fredro, z oryginalnemi komedyami pojawił się w ostatku na naszéj scenie. Przedstawiano na teatrze narodowym nie mały ich szereg: *Geldhaba*, *Cudzoziemszczyznę*, *Mąż i żona*, *Przyjaciele*, *Damy i huzary*, *Zrzędność i przekora*, *Pierwsza lepsza*, *List*

---

długą zwłokę. Bilety na prenumeratę „Edypa“ jeszcze nie są rozdane, spodziewam się to uczynić za przybyciem niektórych familii, mających téj zimy krakowską publiczność pomnożyć. Czytając niedawno tragedyą „Żółkiewskiego,“ więcéj się o tém przekonałem, że Gazeta Literacka przed kilką laty wydawana w Warszawie, czyniąc rozbiór téj sztuki, mogła zachować większą sprawiedliwość w jéj ocenieniu. Nie pamiętam nawet, czy taż Gazeta uczyniła jaką wzmiankę o życiu Żółkiewskiego, które wspomnioną tragedyę poprzedza. Wyznać jednak potrzeba, że jeżeli sama tragedya wyświeca w WMP. talent rymotwórczy, tedy wstęp do niéj wykazuje obywatela, przejętego czuciem, które szlachetnych tylko dusz jest udziałem. Oddając WMP. tę należną sprawiedliwość, utaić nie mogę mojego żalu nad Zygmuntem III, którego WMP. zgodnie z duchem dzisiejszych pisarzy niemiłosiernie zacinasz. Trudno zapewne usprawiedliwić wszystkie polityczne błędy jakich się Zygmunt dopuścił, lecz czyż można temu uwierzyć, że jego pobożność była fałszywa? Jeżeli bowiem był obrońcą religii panującéj i wyznawanéj od swego narodu, jeżeli się stosował do jéj przepisów; jeżeli Władysławowi nie chciał być powodem do jéj odrzucenia; jeżeli poszedł za przykładem swych poprzedników, odrzucających niekiedy u nóg składane korony: byłże to skutek fałszywéj pobożności? Jabym mniemał, że nie fałszywa, lecz prawdziwa w Zygmuncie pobożność, radziła Władysławowi nie odstępować Bogu zaprzysiężonéj wiary, nie czynić nic przeciw sumieniu i przekonaniu, nie poniżać nakoniec charakteru królewskiéj duszy, w sposób, jakiego żaden z katolickich monarchów nigdy się nie dopuścił. Z drugiéj strony, roztropność i przenikliwość mogła wskazać Zygmuntowi, że Władysław, albo się nie ostoi przy ofiarowanéj mu koronie, albo straci nadzieję do korony polskiéj. Chcąc Zygmuntowi zadać pobożność fałszywą i udaną, albo mówiąc wyraźniéj, chcąc go nazwać *hypokrytą*, trzeba się zdobyć nie na domysły, ale na pewne i mocne dowody, co dotąd nienastąpiło. Takie to miałem uwagi, czytając w życiu Zółkiewskiego artykuł o Zygmuncie. Zwierzając się z niemi przed WMP. daję mu wielki dowód mojéj otwartości. Zresztą, nigdybym ich WMP. nie natrącał, gdybym nie był pewien, że je WMP. mile przyjmiesz, jako od tego, który go prawdziwie cenić i szacować umié.“

J. Woronicz.

i *Panieńskie śluby*. Poczet tych sztuk już dawał dokładne wyobrażenie o potężnym talencie autora, publiczność jednakże owoczesna obojętnie je przyjęła, pomimo że grane były wybornie. Z nich najwięcéj się podobała tylko *Cudzoziemszczyzna* i Dmuszewski w roli Radosta.

Obojętności téj nie widzimy innego powodu, jak tylko w tém, że zbyt żywe jeszcze wzory i obrazy naszéj społeczności oddawał. W chwili, gdy Fredro wystąpił, już szał romantyczny zajmował młode głowy. Ballady i romanse pełne sentymentalności niemieckiéj, i ów *Werter* Getego (w tłumaczeniu Kazimierza Brodzińskiego) zastąpiły pasterskie *Floryana* i miłosno-rycerskie pani Żenlis powieści.

Teatr prowadzony przez gorącego zwolennika literatury francuzkiéj, chociaż nie przedstawiał komedyj oryginalnych jednego z najlepszych dramatycznych pisarzy Fr. Zabłockiego, ani Drozdowskiego z końca XVIII stulecia, pomimowolnie, nieznacznie zaczął ulegać nowym prądom, powiewającym od Zachodu. Romantycznéj treści dramata, pojawiły się pierwéj na scenie teatru narodowego *(Dziewica Orleańska* Szyllera, *Matka rodu Dobratyńskich*) zanim poezya romantyczna pokazała się w książkach.

W roku 1818 na korzyść Towarzystwa Dobroczynności, Franciszek Morawski napisał scenę liryczną p. t.: *Sen poety*, w któréj poeta się ukazuje trzymając w ręku poezye *Homera i Ossyana*, sam nie wiedząc któremu przyznać pierwszeństwo. Oto początek téj sceny.

Któregoż w laur świetniejszy potomność przybierze:
Czy ciebie Ossyanie, czy ciebie Homerze?
(*Patrząc na księgę Homera*):
Ty, coś na greckiéj lutni mężne głosząc roty,
Powtarzał wrzawę bojów i Jowisza grzmoty;
Wzniosłeś kolos twój chwały na Achilla grobie!
Coś świat ten, w całéj jego wystawił ozdobie,
Głosił wielkość człowieka, same bogi głosił,
Jakżeś duszę zapalał! myśli moje wznosił!
Uczułem godność wieszcza, tyś mi wlał natchnienie,
I śmiałem aż do nieba, męzkie podnieść pienie!
(*Patrząc na księgę Ossyana*):
Ty zaś, co na północnéj i samotnéj skale,
Na cichszéj lutni ciężkie rozwodziłeś żale;
I zawsze bladéj nocy otoczony mrokiem,
Topiłeś smutne myśli w dumaniu głębokiém;
Bliższy tkliwéj natury, mniéj świetny od Greka,
Przez łzę tylko patrzałeś na świat i człowieka:
Jakże, jakżeś mnie często z Homerem rozdzielał,
Jakżeś lubą posępność w duszę moją przelał!
Jak często razem z tobą winiąc los okrutny,
Twém czuciem rozczulony, twoim smutkiem smutny;

Na pustynie, na skały, biegłem nocną dobą,
Razem błądzić i dumać i zapłakać z tobą!

Scena ta wywarła silne wrażenie na młode umysły: przypominano sobie przekłady Ossyana przez Krasickiego, Kniaźnina, Tymienieckiego; zaczęto je pilnie odczytywać, bo Homera dobrze ze szkół jeszcze znaliśmy, szczególniéj *Iliadę* w pięknem tłumaczeniu Fr. Dmochowskiego. Znajdowano w tym śpiewaku *Kaledonii*, coraz nowe piękności, a co główna, że do serca przemawiał, i każdy, jak dobrze powiedział Morawski, jego *czuciem był rozczulony*.

Zaczęła nowa zorza poranna prześwitywać na horyzoncie duchowym, gdzie obok arcydzieł literatury francuzkiéj, pojawiały się nieznane i z innych stron świata. Teatr narodowy już nas z niemi potrosze zaznajomił.

Przychodzi nam teraz wspomnieć obszerniéj o jednym z artystów dramatycznych, ozdobie sceny narodowéj, któregośmy tylko tu nazwisko wymienili.

VII.

Radoszyce. — Wieś Jakimowice.— Obozowisko.— Młody Alojzy.— Powrót do domu.— Pustkowie.— Przybycie do Lwowa.— Dependent u adwokata Józefa Dzierzkowskiego. — Pojawienie się Wojciecha Bogusławskiego we Lwowie. — Postanowienie.— Ucieczka.— Przybycie do Warszawy.— Pierwsze występy na scenie Teatru Narodowego.— Aktor i pisarz.— Zgon Alojzego Żołkowskiego. Pot-pourri i Momus.

W małém miasteczku drewnianém Radoszycach, na staréj krakowskiéj ziemi, które się szczyciło najdawniejszym murowanym kościołem z początku XI wieku, całą noc z 17 na 18 listopada 1794 roku, trwał gwar głuchy, łuna wielka rozświecała daleko.

Było to obozowisko szczątków wojska polskiego, które równo ze świtem pociągnęło na zachód miasta, do wioski Jakimowice.

Wieś ta leży tylko o pół mili za Radoszycami; mimo to, postępujące oddziały stawały nieraz, bo wiatr mroźny ciął w oczy, to wznosząc pył gęsty z piasczystéj okolicy, to pędził zadymkę śnieżną, zawiewającą wszelki ślad gościńca.

W połowie drogi musiały się zatrzymać wszystkie oddziały, bo zawieja tak wielka powstała, że o kilka kroków już nic dopatrzéć nie można było.

Przodowy oddział skierował do pobliskiego lasu, za nim poszły inne; tu wśród gęstwiny drzew odetchnąć można było swobodniéj. Wiatr przykry wiał, śnieg tylko biały uścielał coraz grubiéj ziemię. Na dane hasło, w środku niemal tego lasu, stanęły wszystkie oddziały: tu wktótce nadeszła chwila straszna i bolesna, złożenia broni i rozsypki nierozdzielnych dotąd towarzyszów, w różne strony świata.

Batalion z regimentu generała Potockiego, uszczuplony walką i trudami, składał się zaledwie z kilkudziesięciu ludzi. Między temi odznaczał się rzeźwy siedmnastoletni młodzieniec, twarzy okrągłéj, oczu wypukłych, wzrostu średniego. Z dziwną pogodą umysłu znosił trudy wojenne: w boju stał mężnie, przy ognisku obozowém dowcipem i humorem rozweselał, a nieraz do serdecznego śmiechu pobudzał towarzyszów broni. Mundur niebieski z zielonemi wyłogami, spodnie takiéjże barwy z zielonym lampasem, kapelusz okrągły z daszkiem, strojny w czarne pióro, torba borsucza i ładownica na białych pasach, na ramieniu karabin bagnetowy, stanowiły jego ubiór i uzbrojenie. Składnie wyglądał młodzieniec w takim przyborze; swobodny w ruchach, zdawał się i teraz, że nie doznaje żadnego utrudzenia. Ale oblicze jego, z wyrazem zawsze wesołości, a na świeżych ustach uśmiechu, sposępniało dnia tego. Kiedy oddział stanął w uboczy leśnéj, i rozpalono ognisko, siadł przy niém, otulił się płaszczem, opuścił głowę na piersi.

— No! cóż Alojzy!—zawołał dowódzca oddziału—i ty osowiałeś! pociesz nas przecie choćby trochę.

Na to wezwanie młodzieniec podniósł duże oczy i spojrzał na mówiącego, ale słowa nie odrzekł, zbladł tylko, łzy trysnęły, zakrył oblicze i głośnym zaszlochał płaczem. Towarzysze broni osłupieli na ten widok: przerażenie ich tém większe było, że nigdy młodego Alojzego tak rozrzewnionego nie widzieli. Przypomnieli sobie chwilę obecną i jedni połączyli łzy swoje z jego łzami, drudzy w niemej rozpaczy załamali ręce.

Wicher szumiał górą bijąc o wierzchołki starych jodeł, sosen i dębów. Naraz usłyszano z dala głuchy odzéw trąb i bębnów. Powstali wszyscy: była to godzina złożenia broni i rozsypki na cztery strony świata. Młody Alojzy na piérwsze hasło zerwał się na nogi i w gotowy dół usłany śniegiem złamawszy bagnet rzucił swój karabin, pałasz, ładownicę i kaszkiet, zachowawszy z niego tylko pióro: z borsuczéj torby dobył czapkę, a włożywszy ją na głowę, odszedł do ogniska. Towarzysze broni poszli za jego przykładem i stos broni i rynsztunków zarzucili ziemią. Skoro wyszli na brzeg lasu, uścisnęli się w milczeniu i z załzawionemi oczyma, każdy pojedynczo poszedł w swoją stronę.

Młodzieniec nasz był to *Alojzy Gonzaga Żółkowski*, ruszył w strony Nowogrodzkie, w rodzinne gniazdo. Długą miał i przykrą podróż, ale młodość i nadzieja ujrzenia swego skromnego dworku, w którym się wykołysał, gdzie najmilsze lata dziecinne spędził, ujrzenia sędziwych rodziców dodawała mu sił i krzepiła w trudach.

Po kilkunastu dniach dobił się przecie wśród srogiéj zimy do stron wyglądanych. Zdala rozpoznał wioskę i dworek na wzgórzu stojący, ocieniony lipami, tak zielonemi latem, tak obnażonemi teraz z liścia. Dojeżdżając na furce chłopskiéj, gnał co siła, aby prędzéj stanąć. Przejeżdża małą wioseczkę, zeskakuje we wrotach dwor-

skich, ale jakże się zdziwił, gdy nie ujrzał nikogo na podwórzu, a we dworze drzwi zamknięte. Daremnie dobijał się do nich niecierpliwie: nikt nie otwierał. Trwoga jakaś dziwna przejęła go dreszczem: nie mógł się utrzymać na nogach, upadł na dębową w ganku ławę. Po długiéj chwili stary domownik dowiedziawszy się że gość jakiś przybył do dworu, z oddalonéj oficyny nadszedł, a poznawszy młodego panicza zaczął z płaczem całować jego ręce.

— Gdzież rodzice?—zapytał.

Starzec spojrzał nań smutnie, a potém wskazując na poblizki kościołek i cmentarz

— Tam!—odrzekł—spoczęli oboje!

Młody żołnierz padł na ławę i głośnym zaryczał płaczem. Starzec patrzał z boleścią na niego, a gdy się nieco uspokoił.

— Czekali, wyglądali panicza—mówił—a co tam nasz Alojzy robi? czy żyje? zdrów, czy nie ranny, a broń Chryste, może zabity. Na tę myśl wszyscyśmy płakali rzewnie jak bobry, i zaraz to w domu przed krzyżem, to do kościoła na modlitwę, aż Bóg dobry łzy nasze osuszył i serca pocieszył. Jegomości zmarło się naprzód, niedługo za nim poszła i nasza święta pani... a każde umierając błogosławiło panicza.

Słuchał tych słów biédny teraz sierota z osłupiałym wzrokiem: długo siedział nieruchomy na ławie, aż starzec dobytym kluczem z zapasa drzwi gankowe otworzył i wprowadził swego panicza do rodzinnego dworku.

Alojzy spojrzał w około, wszystko było po dawnemu: ten sam porządek, też sprzęty. Ciepło było w izbach, bo czuwał nad domem wierny sługa, tylko zgasłe głownie leżały na kominie niedopalone. W sypialni rodziców na klęczniku stał stary krucyfiks drewniany, upadł przed nim krzyżem, zgnębiony niedolą młodzieniec, ukląkł przy nim osiwiały starzec; tamten z płaczem i modlitwą łączył skargę sieroctwa, ten z załzawioném okiem błagał Boga o szczęście opuszczonego sieroty. Po kilku dniach, dowiedział się że wkrótce musi i to schronienie opuścić, była to bowiem dzierżawa, która się kończyła z Nowym Rokiem. Dziedzic odbierał napowrót swoją własność. Kiedy rozmyślał nad przyszłym losem swoim: odbiéra list od rodzonego stryja generała Żółkowskiego, stale mieszkającego we Lwowie, w którym przyzywał go do siebie, zapewniając jako synowcowi swą pomoc i opiekę. Nie było nad czém wiele rozmyślać, wziąwszy cząstkę przypadłą z pozostałości po rodzicach, która zaledwie pokryć mogła koszta podróży do Lwowa, pożegnawszy rodzinne kąty wsiadł na chłopskie sanie i przeżegnany krzyżykiem od starego domownika, ruszył w świat z błogą nadzieją, że ujrzy jeszcze kiedyś ukochane okolice. Próżne marzenia! los go w inne dalekie i nieznane pogonił strony, otwierając mu obszerne pole do ukazania talentu i zdobycia sławy, o któréj nie śnił nawet dotychczas.

Przyjęty serdecznie od stryja, odetchnął po trudach obozowych i podróży zimowéj. Troskliwy generał o przyszłość swego synowca,

upatrując w nim rzadkie zdolności, wybrał mu zawód jako najkorzystniejszy prawnika i oddał go do kancelaryi sławnego na owe czasy adwokata Józefa Dzierzkowskiego.

Przejście ze swobodnego, pełnego zapału, wrażeń i nadziei zawodu żołnierza, na ciche, pracowite, bezbarwne życie przykute do stolika wśród foliałów akt zapylonych, nie było łatwém zadaniem dla młodego Alojzego, ani odpowiedniém do jego zdolności i charakteru.

Surowy zwierzchnik, mniéj wyrozumiały na wiek młodzieńczy, sławny nauką, jak otyłością ciała adwokat Józef Dzierzkowski nie znał sposobów innych na kierowanie powierzonych sobie, jak rygor bezwzględny i ciągłą pracę [1]).

Miejsce więc takie i zawód nie mogły niczém przywiązywać Żółkowskiego, aby w nich wytrwał. Jakoż obrzydził sobie pracę, w któréj się z musu oddawał rozmyślając co przedsięwziąć na przyszłość.

Kiedy tak dumał, nagle rozbiega się wieść o przybyciu do Lwowa Bogusławskiego dyrektora teatru narodowego w Warszawie, który na początku 1795 r. w styczniu do stolicy Królestwa Galicyi i Lodomeryi zjechał. Piérwsza myśl błysnęła mu z tą radosną wiadomością: „a gdybym ja został aktorem," ale odegnał ją od siebie; nazajutrz zawitała doń na nowo, już ją począł więcéj rozważać: wreszcie stała się jego ciągłém marzeniem.

Bogusławski tymczasem nie zalegał pola pomimo braku garderoby, zbrojowni, biblioteki i przyborów teatralnych, które mu przetrzymywali niemcy blizko dwa miesiące na komorze; przedstawia operę *Fraskatankę*. Żółkowski biegnie na to widowisko, dzieli powszechny zapał, łączy swój okrzyk i oklaski z licznym tłumem widzów. Zapowiedziano wkrótce wielką operę *Axur:* z bijącém sercem nasz kancelista oczekiwał godziny widowiska. Wychowany w zaścianku szlacheckim, skromnym, następnie w obozie; zamieszkawszy we Lwowie, bywał czasami na teatrze polskim pod zarządem Morawskiego; ale trupa jego szczupła i z mniéj zdolnych aktorów złożona: tymczasem w *Axurze* występowali już chlubnie w kraju znani artyści. Śpiewaczki: *Jasińska, Rutkowska, Kossowska;* tenorzyści: *Kaczkowski, Nowicki, Rutkowski;* basiści: *Szczurowski, Każyński, Baranowski*

---

[1]) Józef Dzierzkowski był najotylszym w całéj Galicyi. Karetę musiał miéć na urząd zrobioną, stosowną do swéj tuszy. Synowiec jego rozgłośny powieściopisarz *Józef Dzierzkowski*, z którym mnie łączyły ścisłe stosunki przyjaźni w Galicyi (1832—1833), w czasie pobytu mego we Lwowie, opowiadał mi wiele szczegółów o swoim stryju; ale nacisk kładł zawsze na to, że surowość jego dla młodzieży sprawiała, iż rady jego i opieka zawsze jéj na najgorsze wychodziły i ani jeden z wychowańców, miłego o nim nie zachował wspomnienia. Obejście surowe, bezwzględne, wpłynęło także i na dalsze kroki młodego Alojzego Żółkowskiego.

i inni, dawali rękojmię dokładności przedstawienia. Jakoż opera ta przeszła wszelkie oczekiwania Żółkowskiego, zapał jego do zawodu dramatycznego stał się teraz wyłącznem i jedyném marzeniem. Z tą myślą krył się jednakże przed zaufanymi sobie, bo znał jakie przesądy trwały przeciw artystom, czyli jak wówczas zwano: *aktorom*. Doszła do Lwowa wieść, że w Warszawie pod okiem króla Stanisława Augusta nie chciano zmarłego aktora pochować na cmentarzu. Bogusławski, który bywał na *czwartkowych uczonych obiadach* w zamku, zaledwie potrafił wyjednać, za wpływem samego króla, że zwłokom artysty dramatycznego nie odmówiono grobu na poświęconéj ziemi.

W mozolnéj i ciężkiéj pracy Żółkowski przetrwał jeszcze rok 1795 i następny. W roku 1797 postanowienie jego było niecofnione: przekonany że ani u stryja nie otrzyma pozwolenia, ani témbardziéj u swego zwierzchnika, w tajemnicy zrobiwszy skromne przybory, skrycie Lwów opuszcza i piechotą po większéj części odbywając podróż, staje u celu swego w murach Warszawy.

Miasto przestawszy być stolicą wielkiego państwa, smutny przedstawiało widok. Zamek królewski opuszczony, milczący, jak i pałace magnatów. Dawny gwar i życie uciekło, ale teatr miał powodzenie; droga cena zboża, łatwy odbyt, dostatek pieniędzy, wabiły szlachtę wiejską do Warszawy: onato głównie i jedynie wspierała jeszcze dawną stolicę Rzeczypospolitéj i zapewniała byt narodowéj scenie.

Teatr narodowy był właśnie pod zarządem znakomitéj artystki *Truskulawskiéj*. Żółkowski przyjęty w grono jéj aktorów, wkrótce zyskuje rozgłos, który z każdém wystąpieniem powiększa liczbę jego zwolenników. Imie Żółkowskiego dotąd nie znane staje się celem poszukiwań na afiszu przez publiczność: w któréj sztuce tylko występuje, tłum widzów przepełnia salę teatralną. W krótkim przeciągu czasu staje się ulubieńcem mieszkańców Warszawy i wszystkich miłośników sceny narodowéj. Usłyszany głos jego za kulisami już gwar i śmiech wesoły obudzał w publiczności. Współtowarzysze w sztuce błagali Żółkowskiego zawsze, aby w ich benefisach występował, równie jak pisarze dramatyczni, aby jakąkolwiek w ich utworach rolę przyjął; bo jak pierwsi, byli pewni pełnego teatru, tak drudzy, powodzenia sztuki: umiał bowiem rzecz nic nie znaczącą podnieść i uświetnić, a przedmiot suchy natchnąć życiem i świeżością.

Oprócz gry na scenie pracował dla niéj piórem: literatura dramatyczna pomnożoną została przez niego *siedmdziesięciu czterema* sztukami, pomiędzy którymi są oryginalne, jak opera: *Szarlatan*, komedya: *Świątynia nudów*, i kilka napisanych do czasowych okoliczności, w kraju bowiem zachodziły niespodziewane przemiany: scena narodowa zespolona z nim jedném życiem, wiernie wypadki chwilowe odbijała. Wiele tłumaczył i naśladował, z tych ważniejsze: *Wszystkowiedz*, *Dwóch Sieciechów*, *Pałac Lucypera*, *Guwerner*, *Mali protektorowie*, *Kozieł*, *Czaromysł*, *Dwóch Piotrów*, wszystkie znalazły dobre przyjęcie, bo je nieraz sam autor wspierał potężnym talentem. Humor, wesoły

dowcip po za scenę, szlachetność charakteru, dodawały wagi talentowi dramatycznemu. W czasach, w których literatura ojczysta ledwie słabe dawała oznaki życia, bo ją gwar wojenny tłumił; w całéj naszéj społeczności *żywe słowo* stanowiło wszystko, zastępując książki i gazety.

Wieści z pola bitew, zwiastujące zwycięztwo lub klęskę, kraj przebiegały; każdy wypadek, tąż się drogą upowszechniał. Gazety ówczesne, słaby w sobie odcień zachowały téj nawały wiadomości, wypadków, chwilowych zdarzeń, anegdot, to rubasznych, to wesołych, to naznaczonych prawdziwym humorem. Do rzędu tych ostatnich należały niewątpliwie *dowcipki*, jak je zwano Żołkowskiego. W miejscach, gdzie się artyści przed otwarciem teatru i po scenie zbierali, obywatele Warszawy i ziemianie, literaci, wojskowi, wykształceni kupcy i rzemieślnicy, dobijali się usilnie o miejsce, aby tego artystę zobaczyć i posłyszéć mówiącego. A Żołkowski, z całą swobodą umysłu, bez przygotowania, jakby od niechcenia, korzystał z każdéj okoliczności aby błysnąć dowcipem, *facecye* sypał jak z rękawa, a obecni, głośnym, serdecznym śmiechem wtorowali wielkiemu artyście. Każdy dowcipek nazajutrz cała Warszawa powtarzała, listy roznosiły go po kraju, szlachta nasza, w zapadłém Polesiu, na Pokuciu, czy w Wielkopolsce i Krakowie, znała ztąd Żołkowskiego imię, chociaż go na scenie nigdy nie widziała.

Zakład, jaki zrobił i wygrał, że po linie, z parteru pójdzie na paradyz (a wówczas sztukmistrze, właśnie po wyprężonych linach, ze sceny na paradyz wchodzili) jakoż zjadłszy *lina* (rybę) zwyczajnemi schodami zeszedł na oznaczone miejsce, był długo ulubioną wszystkich dykteryjką.

W saméj sile męzkiego wieku, na lat kilka przed zgonem, Żołkowski zaczął uczuwać wewnętrzne, nader dotkliwe boleści. Zanadto ufając czerstwości własnego zdrowia, mniéj zważał na nie, i zbywał uśmiechem rady troskliwych przyjaciół, żeby pomyślał o wczesnym ratunku. Scena była jego żywiołem, nie mógł się od niéj oderwać; dręczony bólem, występował zawsze z tém pogodném obliczem, z tym swobodnym humorem, tak, że publiczność rozweselona jego grą i dowcipami, nie mogła dostrzedz wewnętrznych cierpień, jakich doznawał w chwili gdy teatr cały trząsł się od śmiechu i powszechne brzmiały oklaski. Żołkowski w tém przejęciu, w tych oklaskach szukał ulgi i osłody w bólach, one przygłuszały w nim cichy jęk, ciche westchnienia.

Dyrektor ówczesnego teatru narodowego Ludwik Osiński, troskliwy o zachowanie dla sceny takiego artysty, ułatwił mu podróż do wód zagranicznych. Żółkowski przeczuwał swój zgon blizki; udał sie do wód szlązkich, ale ratunek był zapóźny. Za powrotem ukazał się na scenie podwakroć, i w sile wieku zakończył dni swoje, w po-

czątkach września 1822 roku. W sześć lat po jego zgonie wydano oryginalną jego operę: „*Szarlatan* czyli *Wskrzeszenie umarłych*," (Warszawa 1828). Jestto libretto, do którego muzykę napisał Karol Kurpiński. Do wydania tego dołączono wielce trafiony wizerunek artysty, a pod nim dwuwiersz:

Mistrzowskim w sztuce swojéj postępując torem,
Był rozkoszą słuchaczów a grających wzorem!

Dochód z rozprzedaży tego dziełka obrócono na wystawienie Żołkowskiemu pomnika grobowego na cmentarzu Powązkowskim.

Pod cieniem wówczas wierzby, wyrosłéj w pośród granitowych kamieni, na takimże głazie, wyryto napis: „*Aloizy Gonzaga Żołkowski, artysta i autor dramatyczny, żył lat 45, umarł dnia 11 września 1822 roku.*"

Śmierć Żołkowskiego wywołała żal powszechny, nietylko w Warszawie ale w całym kraju; była to bowiem postać tak wydatna i popularna, że ktokolwiek zechce malować z tego okresu naszą społeczność (od 1800—1822 r.) musi obszerniejsze poświęcić wspomnienie temu artyście. W pismach on téż swoich, głównie humorystycznych, niemało zarysów wybornych do malowidła téj społeczności zostawił. Musimy więc tu zwrócić uwagę na jego działalność literacką.

Najpierwszém Żołkowskiego pismem drukowaném jest: „*List do JP. Dmuszewskiego artysty dramatycznego polskiego*," datowany z ulicy Piwnéj, na 1-ém piętrze pod N-em 14-ym, d. 8 lutego 1804 roku, (arkusz w kroju małym ćwiartkowym bez miejsca druku).

Nie wiemy czy Dmuszewski wystąpił publicznie, zwracając uwagę naszego komika, że robi niepotrzebne dodatki, gdy w końcu widowiska jak zwykle bywało na dzień następny, zapowiadał przedstawienie teatralne, czy téż uwagi swoje udzielił mu tylko poufnie. Z toku wszelako całego listu, pokazuje się, że żadnéj do Dmuszewskiego nie miał urazy, na zarzuty zaś, nietylko przez niego robione pragnąc odpowiedzieć, list swój wydrukował. W nim, na zarzut niewczesnych żartów, broni się wyjątkiem z ulubionego wówczas pisarza dramatycznego *A. Kotzebue'go*.

„Żart nie może być niewczesnym, żart bowiem sprawuje uśmiech; uśmiech jest dowodem radości, radość jest uszczęśliwieniem ludzi, a szczęśliwość nigdy się nie sprzykrzy: a zatém żart nie może być niewczesnym" [1]).

---

[1]) Przechodzi następnie po szczególe, otwarcie, artystyczne grzechy; ustęp ten charakteryzujący młode pióro i mniéj doświadczone Żołkowskiego, w całości przywiedziemy.

1° po komedyi *Trzpiot*, wyszedłem anonsować, mając zające na plecach, fuzyą i inne myśliwskie okoliczności; powiedziałem: „ponieważ mi tędy po

Z tego listu widzimy, że już w roku 1804 był ulubieńcem publiczności, a ufając w jéj względy, dozwalał sobie dodatków na scenie, za które go karcił Dmuszewski. Po skończeniu sztuki Dmuszewski uważał, że aktor skończył swoją rolę, a wedle przyjętego wówczas zwyczaju, wychodząc przed kortynę, winien w postaci własnéj zapowiadać widowisko następne. Żołkowski przeciwnego był zdania, i jak zapamiętamy dobrze, do końca swego zawodu, nigdy go nie zmienił. Ale nietylko w tych zapowiedziach robił swoje dodatki, wśród sztuki saméj, gdzie tylko nadarzyła mu się sposobność. Ucho-

---

drodze, wypada mi iść do mojego zamku, a zatem donoszę razem, że będzie w przyszły czwartek i t. d.“ Cóż tu jest złego? Nie pokłóciłem się ja z panią Zrzędnicką? nic także jéj nie mówiłem że idę do zamku? Może źle, że zające niosłem, jakże miałem je zostawić, kiedy zające lubię.

2⁰ Po *Tom-Dzonie*, grając w téj komedyi *Padrycza*, który pstrym gada językiem, *alias*, oboy mięsza z swoim, anonsowałem z łacińska: „*proxima die habebimus honorem dare* etc. a na ostatku rzekłem: „*Bona nocte praecor.*“ To u ciebie źle, że ja życzyłem dobréj nocy.

3⁰ Na mój benefis anonsując gadałem: „Na benefis Jpana Żołkowskiego damy“ etc. Prosił mię pan Żołkowski abym mówił za nim, jestem jego przyjacielem.“ To znowu było fortelem, bo śmieléj można mówić za kim, jak za sobą. Ale to nie jest grzechem, i po tém nawet jest piękna figura stylowa, i tak, jak kocham ciebie, daleko piękniéj, Alojzy kocha ciebie!

4⁰ Po komedyi *Zamieszanie*, jak wiész byłem *Spiochajło*, przy końcu zasnąłem w moim własnym pokoju, kurtynę podniesiono. Zaczęto klaskać, przebudzają mię, tedy chcę anonsować, ale sen mię morzy znowu, i cóż ja winien że siedząc w krześle przebąknąłem słów kilka.

5⁰ Na ostatku wczoraj anonsując na benefis pana Zielińskiego, któremu wszelkich pomyślności życzę, powiedziałem: „Gorliwy ten artysta, jest pełen nadziei, i dobrze że ma nadzieję, bo ja zaręczyłem mu, że będzie miał dobry benefis. Cóżto, nie mogęż ja ręczyć, będąc sam obsypany tak niezmierną łaską od publiczności, a nie wiele położywszy zasług? Ale mi na to wszystko zarzucisz, że artysta wychodzący przed kortynę anonsować, już niéma na sobie tego charakteru jaki udawał, i jest tylko prostym telegrafem, przyszły spektakl donoszącym? Otóż bajki to są mój panie. Czemuż kiedy wraz ze sztuką, aktor kończy swój charakter, czemuż mówię ten co zginie, nigdy nie anonsuje? Wszakże wszyscy wiedzą że się doprawdy nie zabijamy, jeżeli powiédz, dla lepszéj illuzyi, toż samo i mnie służy.

Jak ty zacny kolego chcesz we mnie wmówić, że ja jestem już Żołkowskim, kiedy jestem przed kortyną? Widziałże kto JPana Żołkowskiego, na ulicy w zielonym galonami szamerowanym fraku, z wielką na łbie peruką i harbejtlem? albo jak w „Zamięszaniu“, z kornetem na głowie, z podwłośnikiem, prześcieradłem opasany, rużu pełno na gębie, krysek, rysów? I to ja mam być? nie! to jest zawsze *Drągajło*, *Spiochajło*, *Padrycz* etc.

dziło to tylko jednemu Żołkowskiemu, którego miłość, uwielbienie i pobłażliwość publiczności otaczały.

W roku 1811 w przerwach nieoznaczonych wydawał *gazetki* pisane, które rozrzucane w kilku egzemplarzach, natychmiast tysiące rąk przepisywało, i po całym kraju tym sposobem rozpowszechniano. Od roku już 1806 za wnijściem armii francuzkiéj i Napoleona I-go do Warszawy, dla sceny niemało pracował. Teatr narodowy bowiem pilnym był strażnikiem owoczesnych wypadków, i jak w zwierciedle odbijał je na scenie swojéj. Utwory dramatyczne które wówczas wywoływały zapał i oklaski, dziś zaprawdę nie wytrzymają krytyki, ale i z dzisiejszych rozgłośnych chwilowo, niewiele przepłynie progi naszego wieku. Mimo to, tamte mają cenę zacnéj dążności, podniosłych uczuć, odbijając nie jednę chwilę w życiu narodu.

Gazetki Żołkowskiego zdawały się zapowiadać przyszłego redaktora nieporównanych pism humorystycznych, jakiemi się okazały *Potpourri* i *Momus*.

W literaturze starożytnéj polskiéj nie brakło narodowych dowcipów. Zaraz z pierwszymi śladami drukowanych książek polskich, mamy co do tego widome dowody. Słynął z dowcipu *Rej* z Nagłowic, za Zygmunta I-go słynął z wyższego może jeszcze *Stańczyk*, nadworny trefniś tego króla, równie jak *Smolik* dworzanin. Niebrakło dowcipów i *Janowi Kochanowskiemu*. Pisarze z XVI-go stulecia, nadali oddzielną nazwę w literaturze tego rodzaju utworom. Rej zwał je *figlikami*, Kochanowski i następcy jego *fraszkami*, a niektórzy *burleszkami*. Z upadkiem oświaty, literatury i spodleniem ojczystego języka w XVII wieku, i dowcip staropolski znika; wskrzesza go dopiero w satyrach Krasicki i kończy w dziejach upadłéj Rzeczypospolitéj.

Zmieniły się czasy, w charakterze narodu wielkie szczerby, napływ obczyzny wynikł, zmieniło się samo położenie kraju, dowcip ażeby mógł być zrozumianym i ocenionym należycie, musiał się zastosować do tych przeważnych warunków.

Ocenił je należycie Żołkowski, a jego *farsy* i *fraszki*, tak trafiały do wszystkich, że równy uśmiech wywoływały u kontuszowców, wychowańców jeszcze jezuickich, jak i u tych, co już w nowszych czasach się zrodzili.

Gazetki te pisane znał każdy zwolennik literatury ojczystéj, która w owe czasy najmniéj pokazując życia w drukowanych dziełach (wyjąwszy utworów dramatycznych) w takich świstkach pisanych odbijała się najwymowniéj. Żołkowski, jako redaktor dwóch wyżéj wspomnianych pisemek, oddał językowi polskiemu niezapomniane przysługi.

Jakież to są przysługi? zapyta może nie jeden: czyż Żołkowski zdobył dla niego nowe prawidła, jaką prawdę, i do gramatyki polskiéj co dodał?

Odpowiemy na to: prawideł żadnych nie zdobył, do gramatyki polskiéj nic nie dodał, ale zdobył wielką prawdę, która oczy narodowi otworzyła, bo on pierwszy, ukazawszy całe bogactwo ojczystéj mowy, dowiódł przykładem, że jeżeli język nasz jest skarbnicą, do wydania poważnych, męzkich, rzewnych i najwyższéj poezyi myśli i uczuć: śmiało w lekkości, dowcipie i w igraszce słów, może się spiérać z mową francuzką, salonową, a tak w każdym rodzaju jest wyższość po stronie narodowego języka. On to głównie położył zasługi, że zapaleni zwolennicy francuzczyzny, pomiatający macierzystą mową, zaczęli cenić jéj wartość, przekonani z własném zadziwieniem że to, co uwielbiali w języku francuzkim, znaleźli w *zgrubiałym* i *ciężkim*, jak go zwali, własnym. Rozpływali się nad *kalamburami*, nad grą wyrazów zręczną; a śmiejąc się z dowcipu, korzyli w duchu i nawracali do rodzinnéj mowy.

Tak *Pot-pourri* jak *Momus*, samodzielnością pomysłów, jak i układu swego jest zupełnie oryginalném dziełem i wyłączną własnością Żołkowskiego; ztąd nie może być przetłumaczonym na żaden obcy język, tak jak każdy prawdziwie narodowy utwór, gdyż w przekładzie, cała jego wartość zniknęłaby zupełnie. Pisma te Żołkowskiego są dziś osobliwością bibliograficzną: gdy zaś były długi czas wielką uciechą duchową społeczności naszéj, gdy uważano je za najdoskonalszy utwór dowcipu i humoru i były najpopularniejszemi w całéj Warszawie, bliżéj je rozpatrzéć musimy.

W roku 1821 zaczął wydawać *Pot-pourri*. (*Pot-pourri*. Tom I. Warszawa w drukarni przy ulicy Ś-go Jerzego, N-r 1782, 1821 r. w 12-e str. 40). Od miesiąca lipca tegoż roku, wydawał go już pod swojém imieniem.

Pot-pourri przez Aloizego Żołkowskiego. Tomik I, Warszawa w drukarni Wandy i Kuryera 1821 (w 12-ce str. 96).

Lubo to dalszy ciąg poprzedniego, dał mu nadpis tomiku I-go zapewne dlatego, że pisemko swoje zaczął dzielić na numera. Numerów takich od lipca do września 1821 r. wydał dwanaście.

Od numeru 2 na czele kładł wspomnienia śmieszne, jakby na żart Kuryerowi Warszawskiemu, który dawał różne wspomnienia z dziejów krajowych. Żołkowskiego wspomnienia były w tym rodzaju jak np. *Mucha Bonę ukąsiła. Rzepicha w rąbku. Esterka w atłasie. Wjazd rury do barszczu. Zaślubiny i rozwód ze sławą. Starosta żyda wypędził i t. p.*

W drugiéj części *Pot-pourri* ogłosił przemowę następną *do czytelników podpurowych*.

Gdy wielkość, nauka, mienie,
Rozkosz, sława i znaczenie
Są urojeniem zwodniczém;
Cóż za dziw, że fraszki moje,

O które nie wiele stoję,
Są mniéj, aniżeli niczém!

Mimo to wiedział dobrze, że *fraszki* jego bawią rodaków, co daje do zrozumienia w czterowiérszu:

„*Jeszcze słówko.*"

Co orzeźwi, co ucieszy,
Co łagodzi, co rozśmieszy;
Mimo to, co mądrzy plotą,
Dobréj chwili jest istotą,

I daléj pod tymże napisem:

Użyjmy dobréj chwili, mimo zdania gminne,
Śmiéchy, żarty, zabawki czułe a niewinne
Niechaj liczbę zbyt małą dni naszych przedzielą,
Źli się silą weselić, dobrzy się weselą.

Wyszydzając nasze zfrancuziałe panie w N-e V-ym wydrukował: „*Styl modny:* pani hrabina pisze do swojego stryja." (zachowując pisownią oryginału).

Kochany Stryjażku!

„Onegdaj *returniowałam* z Karlsbadu; wody tamtejsze pomogły mi nieco, lecz cierpię jeszcze chwilami *migrenę* i *wapory*. Za granicą można się *perfectement* bawić: *vrement*, bez najmniejszéj *żenady*. Cały *grande monde*, dający *bon ton*, znajdował się w kąpielach. *Zewur mersuie* za przysłane dzieła; pisownia szarmancka, a szczególniéj *j* długie, podoba mi się bardzo, będą one dla mnie najprzyjemniejszą *lekturą*. Zostaję *Contes* Grymasniczka. *P. S.* Stryjażku! czyby nie można zfrancuzczyć mego nazwiska. Stryjaszek człowiek oczytany, proszę o tém pomyślić."

Dziś z niedowierzaniem czytamy takie listy, wątpiąc, czy kiedy istnieć mogły, a jednakże w owe czasy nie były one rzadkością, jak i tego rodzaju nietylko hrabiny, ale i szlachcianki zamożniejszych domów.

W tém pisemku wprowadził wiérsze jedno-sylabowe, jako odpowiedź tym, którzy utrzymywali, że ten rodzaj w polskim języku, jest niepodobny. Przywiedziem parę na wzór.

I.

Recepta na jednę syllabę.

Świat nasz jest kat.
Ty, co znasz świat,

Patrz, jak masz być,
I na nim żyć.
Kwiat, co trwa dzień
Lub tak, jak cień
Tak jest nasz wiek,
Tak jest i człek.
Co go znał Rzym,
Znikł jakby dym;
Co go laur krył,
Jakby nie był.
Tak też ów Lach,
Co niósł śmierć, strach,
Kark przed nim giął,
Ten go też wziął [1]).
Bo nie trwa lud
Przez sejm, gmin, trud,
Przez wał, broń, mur,
Lecz przez cnót zbiór.
Pers, Grek i Rzym
Znikł tak, jak dym;
Masz więc znieść cios,
Bo tak chciał los.

II.

Skąpiec.

Grosz, jest mój Bóg!
Ten mi jest wróg,
Co mi rzekł: *daj!*
Bij mię i łaj,
Lecz, gdy co dasz,
Wnet mą chęć masz.
Gdyś wszedł w dom mój
Mów, żeś już jadł;
Gdy masz chléb swój,
Jam ci jest rad!
Lecz Bóg cię broń,
Byś miał w swą dłoń
Wziąść mi mój grosz:
Wtenczas się sróż,

---

[1]) Przypomnienie *legionistów*, którzy za Napoleona I-go na Kapitolu straże trzymali.

Siecz mię i pal,
Jam jest, jak stal:
Nic ci nie dam,
Choćbym pękł sam!

Po wydaniu tych dwóch tomików *Pot-pourri*, zmienił nazwę swego pisma, na *Momusa* z dodatkiem „pod Redakcyą Aloizego Żołkowskiego" z tém godłem:

„Trochę wesołéj pustoty
Nie nazwie nikt pewnie grzechem,
Bo wszakże i bóstwo cnoty
Z wdzięcznym malują uśmiéchem!

W redakcyi *Momusa* te zmiany zaprowadził, że częściéj dawał *szarady* i dodał dział nowy: *Dwój-znaczniki i równo-znaczniki, czyli kalambury i ekiwoki.*

Na czele, pierwsze takie umieścił:

Kto ma najwięcéj *odwagi* w Warszawie? (albo odwagi, tojest męztwa, albo *od-wagi* czyli od miary)!

Strudzony *pod-różą* spoczywa.

Widziałem *parę* wołów w powietrzu.

U-łani mleko wydoili.

Sto-pniów, można dostać za sto talarów.

(Francuzko polski). Ile ma lat? *Il est malade.*

W tym rodzaju kalambury mieściły się w każdym numerze.

Z wiérszy największy rozgłos miał opis *Wyspy wszelkiéj pomyślności*, utwór pióra Żołkowskiego. Gdy nie wiele drukowano egzemplarzy *Momusa*, a okazał się w pierwszym zaraz numerze 1821 roku; rozkupiono wszystko, co wyszło z pod prassy i na tysiące rąk przepisywano. Radowała się nim Warszawa, raczył się i kraj cały, bo pocztą porozsyłano w różne jego okolice. Przypomnijmy sobie ten Raj dla smakoszów.

Ledwie co niepiękniejsza od *Raju Adama*
Jest to kraj *delicyi*, jest to rozkosz sama.
Wśród wiecznéj wiosny leży miasto zbudowane,
Cudowne i przyjemne, wałem opasane;
Wałem darnią okrytym: na jéj liść pieszczony
Składał się tywtyk, jedwab', aksamit strzyżony;
A choć się czasem zdarzy, że niebaczne stopy
Nie wiedząc o zakazie przejdą te okopy,
Przecież miasto zapłaty, zamiast uwięzienia,
Za karę, trzy jedynie wydaje westchnienia.

Domy są o dwóch piętrach. w każdém oknie ganek
Schody z bułek *siedleckich* [1]), a okna z łazanek:
Lecz jak bo téż są czyste łazanki tamtejsze,
Niż szkło czeskie, niż kryształ sto razy czyściejsze.
Firanki z naleśników, frenzle z makaronów,
Zamki z szynek, półgęsków, klucze z salcesonów.
Wewnątrz dużych pokojów są przesmaczne meble,
Jakie chyba angielskie mogą zdziałać heble!
Tam, po trudach światowych śmiertelnik spoczywa,
Na noc kładzie się w pasztet, pasztetem przykrywa.
Na ścianach wiszą torty, gdzie mądry cukiernik,
Wyrył, co zdziałał *Cezar*, co odkrył *Kopernik*.
W doniczkach rośnie bigos, lub potrawka z kury,
Podług uprawy ziemi i nasion natury;
Bowiem ziemia téj wyspy jest cudnéj zalety:
Posiać kostki z kotletów, zrodzą się kotlety;
A kędy żyto, owies, albo jęczmień wschodzi,
Zaraz się téż na niego wpodle kupiec rodzi.
Daléj, chcąc się rankową rozerwać gonitwą,
Wchodzi golić cerulik, floransową brzytwą.
Sama taca przybywa, na niéj czekolada,
A *Zefir*, by ją studzić, na imbryczku siada;
To dmucha w filiżankę, to bikszkopty macza:
Wtém, sto kamerdynerów dokoła otacza,
Daje bogate suknie w różne cukry tkane,
Kieszenie duże, liczne, gruszkami napchane.
Zamiast guzików pączki pulchne z powidłami,
Człowiek je czasem zrywa, żyje guzikami;
Wychodzisz na ulicę, alić tam, szerokiém
Wali się porter, wino i płynie rynsztokiem.
W boku kawa *lewantcka*, a śmietanka w tyle,
Kożuszki zaś latają, jak u nas motyle.
Błoto z konfitur, lodów, a bruk tego miasta,
Jest w piérogi leniwe i francuzkie ciasta.
Nie żałuje tam człowiek, chociaż się pośliźnie,
Bo choć czasem upadnie, zawsze czegoś liźnie.
Restauratorów nie ma, ani *Tabl'a d'Hota*,
Lecz gdy apetyt brzuchem w południe szamota,
Wraz *nimfy* stół stawiają, przynoszą obiady,

---

[1]) W *Siedlcach*, na Podlasiu, słynął piekarz z wypieku bułek, które pokup ogromny znalazły. Przeniósł się następnie do Warszawy; bułka duża doskonałéj białości i smaku, kosztowała pięć groszy polskich ówczesnych. Żadne dzisiejsze w tym rodzaju pieczywo, nie może się równać z ową *bułką siedlecką*.

I żeby się człek najadł, służą mu *Najady* [1]).
Las szparagów tuż dąży za dzielną pieczenią,
Tu się bielą sandacze, tam raki czerwienią;
Kielich pełen szampana, sam do gościa biega,
Rozmowa idzie śmiało, nikt się nie wystrzega,
Bo zacniejsze tu szpiegi nie z naturą wilczą,
O dobrém częściéj wspomną, pewno złe zamilczą;
Gdy kto kichnie przy stole, zdarzenia nie tracą:
Sto tysięcy mu życzą i zaraz je płacą.
Wreszcie piwo z węgrzynem dłoń do siebie nęcą,
Ledwo zeszły z obrusa już się w głowie kręcą.
Minąwszy porę dalszą, w wieczór nakształt wiatru
Na kołach watowanych spieszą do teatru;
Zamiast zwykłych biletów albo kontramarki,
Parter daje karmelki, *paradyz* sucharki.
Tam widzę cudne rzeczy. W grze aktorów zgodność,
Na *Parterze* wspaniałość, w krytyce łagodność,
A w ložach orszadowych, zajętych przez wdzięki
Słyszę hasło do *brawa* od łaskawéj ręki.
Budy *suflera* nie masz, lecz jak szpilki główka,
Takie małe aniołki poddają im słówka;
A na tańce, śpiewanie, zachwyca się dusza
I w górę się wznosi, jak *ród Machabeusza* [2]).

Żółkowski widząc jak publiczność została zachwyconą jego *Wyspą pomyślności*, napisał wkrótce i wydrukował w *Momusie: Kępę utrapienia*; ale ta już nie tyle się podobała!

W tém piśmie nad *farsami* swemi, dał stały napis *Fraszek*, wyraz przez Jana Kochanowskiego pierwszy raz użyty. Pisał w *Momusie* bajki, odznaczające się satyryczną dążnością. Pisemka tego wydał trzy tomiki i na ostatnim skończył literacki swój zawód. Choroba nieuleczona wytrąciła pióro pełne talentu, nienaśladowanego dowcipu i najszlachetniejszych dążności.

Przejdziemy teraz szczegółowo *farsy* i *fraszki*, obu pomienionych pisemek, w pewien ład ułożone, aby czytelnik mógł miéć pojęcie jasne o wartości i dowcipie ich twórcy.

Stanowisko Żółkowskiego i pojęcia jego literackie, górowały nad współczesnemi wysoko. W latach bowiem 1820—1821, zaledwie

---

[1]) „*Najady*, nimfy, najedzeniem władające." (Przypisek A. Żółkowskiego)

[2]) Pod tym tytułem dawano dramat na teatrze narodowym, przetłumaczony przez Kudlicza. Pierwszy raz zręczna maszynerya wywołała podziw w publiczności, zawsze tłumnie się zbierającéj na to widowisko. W ostatniéj scenie cały ród Machebeuszów, który wyginął wśród dramatu, wznosił się w obłokach: do téj chwili odnosi się napomknienie Żółkowskiego. Scena ta obok rozrzewnienia i łez, wywoływała grzmot oklasków.

nieśmiałym głosem Kazimierz Brodziński zagajał rzecz o romantyczności; Mickiewicz jeszcze się nie pojawił, a Żołkowski żartami swemi uderzał na uświęconą *klassyczność*.

Dając niektóre wyrazy *Nowego słownika* pod Arystotelesem, takie dał objaśnienie.

„Jest to pistolet, którym wszyscy pedanci strzelać zwykli: nabity jest klassycznością, a najczęściéj wymierzony bywa przeciw naturze."

Znudzony ciągłemi to porównaniami mytologicznemi, to wiérszopisów zwrotami dziwotwornemi, pisze: „Dawna mytologia upadła, cały Olimp już się rozszedł, jeden tylko bożek *Pan*, cześć na ziemi odbiera jeszcze. „Szczęśliwi poecil oni wiedzą, jak się doliny *śmieją*, pagórki *swobodne* okazują *czoła*, dla nich księżyc nie pospolite, ale *srebrne* śle promienie, jedne im tylko *mruczą* strumyki."

Kiedy pisał swoje *farsy*, chcąc mir dla nich wyjednać u klassyków, dowodził, że „*Farsa*, robienie farsy znane już było u starożytnych; wszakże *Lukan* pisał *Farsalią*."

Zadaniem pierwszém każdego, wstępującego w szranki literackie były tłumaczenia i to głównie z literatury francuzkiéj. Mnożyły się ztąd liche przekłady i o nich to powiedział w *Momusie:*

„Zły tłumacz podobny jest do lokaja, który zlecenie pańskie niegodziwie opowiada"

Czując przewagę uprzedzeń klassyków, zażartował z nich dowcipnie.

„Nic jak klassyczność! nic jak klassyczność! a raczéj naodwrót klassyczność jak *nic*, a przynajmniéj loteryjna, bo w niéj więcéj *niców*, niż *czegoś*."

Kiedy oburzył poważny areopag warszawskich literatów, rzuceniem zdania że:

„Klassyczność jest feudalizm, romantyczność liberalizm."

Zaraz w następnym numerze swego pisma, uspokoił zajątrzonych powyższym żartem:

„Jeżeli romantyczne dzieła Szyllera są tak smaczne, jak kapłony naszego Szyllera w Warszawie, to powinni wszyscy przejść na stronę tego poety [1])."

Zwolennik sceny narodowéj, pragnąc jéj postępu i rozwoju, szydził z przyjętych formułek, w których mieścić się musiała i poważna tragedya, i wesoła komedya.

„Cała różnica (pisze) między komedyą a tragedyą jest ta, że w komedyi amant bierze kochankę czasem nawet z posagiem, a w tragedyi nigdy jéj nie dostaje."

---

[1]) Szyller w owe czasy traktyernik, mieszkający na Długiéj ulicy, słynął z pieczenia wybornych kapłonów.

Załączył razem dwie recepty, na ich zrobienie i pisanie [1]): przytoczę tu receptę na komedyę:

„Weź młodą panienkę, jednego kawalera, jednego nieznajomego, jednę pokojówkę i jednego chciwego opiekuna; zmieszaj to wszystko jak najmocniéj, dorzuć do tego dwanaście uncyj bufonady i pół uncyi dowcipu, a nawet mniéj jeżeli można. Pozwól dziewczynie przez niejaki czas dręczyć kochanka, niech się przez kilka aktów waha, a nakoniec z podziwieniem obudwóch niech za niego idzie, a jeżeli przymieszasz do tego jeszcze wesele, niejakie tańce, trochę piosneczek, cały pojedynek i garść policzków, tedy będzie mikstura jedna z najlepszych: *probatum est.*“

Możnaż było dowcipniéj wyszydzić te uświęcone przepisy tak zwane klassyczne, których nikt z piszących nie śmiał przestąpić.

Patrząc na miernotę wielu prac literackich, żartował sobie z zarozumiałych autorów, którzy tłumacząc z francuzkiego wcale nie wyborowe pisma, sądzili że swe imiona unieśmiertelnią.

„Pewien autor (pisze Żołkowski) chce swe dzieło przypisać potomności, drudzy jednak wątpią, aby doszło podług tego adresu.“

Szanując podania dziejowe mówi: „Tradycya historyczna nic nie bierze, owszem podaje; ale tradycya sądowa wszystko zabiera i tu dopiéro historye się dzieją.“

Wielu zaczęło się rzucać do badań Słowiańszczyzny, a język słowiański za pierwotny wszystkich ludów i najdawniejszy uważać. Zażartował sobie z tych przedwczesnych domysłów.

„Język słowiański (mówi) ma być najpiérwszy. Już za Jowisza, kiedy Minerwa miała się z głowy jego urodzić, to on rzekł z ruska: *czoło mene rwe*, i ztąd zrobiła się Minerwa.“

Za jego czasów żyło wielu wychowańców jeszcze jezuitów, tych w jedném gronie wielce rozweselił żartem, który nazajutrz w *Momusie* wydrukował.

„Stary Alwar powiada, że kobiétki płoche należą do *generis feminini*, skromne zaś dziewczęta są *generis neutrius*.“

Nie brakło i wtedy krytyków, którzy się chętnie ze złośliwością popisywali i z wypłowiałemi często zdaniami. Żołkowski nie lubił takiego rodzaju recenzyi.

„Krytyka (pisze) jest jak odra: które dzieło dostanie, to zaraz na wszystkich kartach plamki się pokażą; ale czas wszystko zaciera.“

„Kiedy suknia jest już stara, to ją dopiéro łatają, a krytyka najnowszemu dziełu łatki przypina.“

„Kule są ołowiane, lane i drukarskie litery także; dlatego też zapewne oboje wojują, piérwsze zabijają, drugie zgryzą tylko.“

---

[1]) Receptę Żołkowskiego na napisanie tragedyi klassycznéj podałem w pracy mojéj „Ostatni klassyk“ (Warszawa, 1872 r.).

Sam jednakże lubił maleńką łatkę przypiąć czasami: wychodziły wówczas *Ćwiczenia naukowe*, organ Liceum Krzemienieckiego, do których redakcyi należeli Tymon Zaborowski, Teodozy Sierociński i wielu innych. Żołkowski o nich napisał:

„*Ćwiczenia naukowe* są rozmaite, zawsze jednak lepsze od góry, niż od dołu.“

Oceniając wartość *Brukowych wiadomości* wileńskich, pisze jakby z żalem:

„My nie mamy innych „brukowych wiadomości“, tylko kurz albo błoto.“

O *Kuryerze Warszawskim* wyraża:

„Kuryer Warszawski jest dobry katolik, jednak cały tydzień biega, w sobotę szabasuje“ (bo wówczas w sobotę pisemko to nie wychodziło).

Lubo literatury oryginalnéj powieściowéj prawie nie było, za to nie brakło romansów tłumaczonych z francuzkiego; dlatego napisał Żołkowski:

„Dawniéj *Godzinki* jedynie do modlitw służyły, a teraz Godzinki na romansach trawią.“

Pisemka Żołkowskiego rozrzucone z początku pojedyńczemi numerami, to pisanemi to drukowanemi, od roku 1821 zaczęły wychodzić stale przy Tygodniku *Wanda*, naprzód jako *Pot pourri*, a późniéj p. n. *Momusa*.

O tém wydawnictwie w następny sposób uwiadomił czytającą publiczność:

„Wanda, która dotąd leżała w mogile, teraz będzie co tydzień wychodzić na przechadzkę literacką. A że damy nie ruszą się żeby ktoś za niemi nie szedł, przeto i za Wandą będzie łaził Momus.“

Przewijały się jeszcze tak w kraju, jak w saméj Warszawie postacie w ubiorach staropolskich. Oto jest szereg fraszek w tym przedmiocie, równie jak i ze wspomnień przeszłości.

„Tak często kontusze brano na wyloty, że już prawie wszystkie wyleciały, a przynajmniéj nie wiele ich widać.“

Lepiéj przebrać się po polsku, niżeli przebrać za Polaka.

Przedtém była moda chodzić z wylotami u rękawów, a teraz są kieszenie na wyloty.

Że młodzież nie nosi teraz *pasów*, to nic nie szkodzi, ale jednakże nosi kamizelki w *paski:* zawsze są to wspomnienia narodowe!

Dziwna rzecz że się ludzie *płaszczą*, czemu nie *kontuszą*, albo *żupanią?*

Kapelusz da się różnie zastosować, a czapka zawsze swój kształ zachowuje.

Rumel-pikieta jest bardzo miłosierna dama, nie jednemu daje *kapotę*, choć ten nie po polsku chodzi.

Człowiek podobny do *czamarki*, wyszedł na świat, bo ma różne *potrzeby*.

Dawniéj Polacy mieli *głowy golone*, a teraz kieszenie.

Wszystko się z czasem odmienia, wprzódy golono głowy dla mody, a dziś je golą za karę.

Jedni *poloneza parami* tańczą, a Wieliczka *solo*.

Jestto osobliwością w muzyce, że *trio* ozdobiło poloneza i trio mu zaszkodziło.

Królowa Bona nie dość że za życia dokuczała Polakom, lecz jeszcze w pareset lat przysłała *Bony* żeby jéj imie nie wyszło z pamięci.

Dawniéj był *Kazimierz Wielki*, a teraz tylko Kazimirki, Kazimirki [1]).“

Znane jest w całym kraju przysłowie: *Śpiewać Tadeusza*. Jestto wyrażenie mające rozległe w naszym języku znaczenie. Śpiewać Tadeusza, oznacza toż samo, co śpiewać *Gorzkie żale*, zawsze to pieśń smutku, niedoli i żałoby. W pogróżce nawet komu że będzie śpiewać Tadeusza, jestto zapowiedzenie groźby, kary, czy ucisku, albo jego trosków w niedalekiéj przyszłości. Ztąd czytamy:

„Co to za kompozytor muzyki *Tadeusz?* Musiał być bardzo sławny, że wszyscy jego piosnkę śpiewają.“

Z powodu zwyczaju przypinania klocków w *Środę popielcową*, tak pannom, jak nie żonatym, pisze:

„Panny choć to niby delikatnéj kompleksyi, a jednak w *Popielec* kloce dźwigały.“

Modą było naonczas pomiędzy naszymi paniami nosić na głowach siatki z przędzy zwanéj pokrzywki i ztąd Momus ostrzega:

„Ostrożnie z kobiétami, bo ich siatki są z *pokrzywki* robione.“

Ulubioną narodową potrawą jest tak zwana potrawa: *Bigos hultajski* z kwaśnéj kapusty i mięsiw różnych złożona. Jan Drozdowski komedyopisarz z czasów Stanisława Augusta, dał jednéj z najlepszych swych komedyi napis: *Bigos hultajski:* Żołkowski zwolennik téj potrawy pisze:

„Wszystkie czyny hultajów są złe, wyjąwszy bigos hultajski.“

Pamiętał dobrze jeszcze zwyczaj utrzymywania na wielkich dworach Laufrów, którzy przystrojeni bogato i w kapeluszach z piórami, biegli przed karetami pańskiemi [2]).

„Laufrów skasowano, ale za to wiele biegłych ustanowiono, a bryftregier z nich najbieglejszy.“

Nie brakło jeszcze w owe czasy chwalców jezuitów, ztąd pisze:

„Jezuici zadawali studentom *pensa*, a *expensa* sami brali.“

Z wigilii Bożego Narodzenia i opłatków przywiązanych do téj uroczystości, bierze wątek do swych fraszek:

---

[1]) Gatunek lekkiego sukna, będącego wówczas w wielkiéj modzie.

[2]) Patrząc lud warszawski często na takich laufrów wytworzył przysłowie, które się dotąd utrzymało: *Biegać jak Laufer.*

„U nas tylko raz w rok bywa *wilia*, a miasto Wilno ma zawsze Wilią, szkoda tylko że więcéj sosu jak ryb: jest tam i *Wilejka*, ale to zapewne dla uboższych.“

„*Opłatki* co na kolędę przynoszą, dosyć są lubione; ale na *opłatki* które do kassy zawieźć trzeba, to mruczą ludzie.

„W niektórych krajach przy rogatkach musi być zawsze *wilia*, bo zawsze tam jakieś *opłatki* biorą i niemi się łamią.“

Zawichrzenia polityczne których sceną były Włochy, Hiszpania i Turcya, gdzie wrzała walka krwawa Greków o niepodległość, dawały powód częsty Żołkowskiemu do fraszek bardzo trafnych, które z ust do ust przelatywały po całym kraju. Część ta obu pisemek przez współczesnych najwyżéj była cenioną, teraz pozostała tylko wspomnieniem i całe dla nas zajęcie straciła. Wiele nawet fars dla dzisiejszego czytelnika, są hieroglifami nieodgadniętemi. Niektóre z nich tylko powtórzymy, jak z czasów wojny greckiéj i ówczesnych wypadków.

„Nowo narodzone dzieci biédnych Greczynek nie znały dotąd innéj kąpieli, jak łzy swoich matek.“

„U Turków można widzieć piękny *rząd*, ale na konie“ [1]).

„Grecy Turkom *buty szyją* nie zważając na to, że oni w pantoflach chodzić zwykli.“

„Grecy *awansują* na Turków, a więc tacy więcéj znaczyć powinni, na których się *awansuje*.

„Grecy wołają o wolność, a Turcy ofiarują im *wolnice*“ [2]).

„To imie *Jan* szkodzi Turkowi i tak dawniéj *Jan* im pod Wiedniem zaszkodził, a dziś *Janina* im dogryza“ [3]).

„Grecy dziesięć lat bili się o *Helenę*, ciekawa rzecz długo też wojować muszą o swoją wolność. Jeżeli nie będą mieli do czynienia z *Trójoą* (jak za Homera), to sam na sam dadzą sobie radę.“

„Dziwna rzecz że na morzu flota turecka tak się skurzyła, że ją Grecy trzepać musieli“ [4]).

„Grecy w swoich odezwach wzywają cienie przodków z dawniejszych czasów, widać że w późniejszych nie mają co wybrać.“

„Turcy nie wierzą w *krzyż*, a jednak wielu z nich dostało po *krzyżu* i zaczynają się żegnać z Europą.“

„Jak się Turcy wyprowadzą do Azyi, to może komorne stanieje w Europie.“

---

[1]) Starzy Polacy całe ubranie na wierzchowego konia na które się wysadzali, nazywali *rzędem*, albo zwyczajniéj *rządem*.

[2]) *Wolnicą* nazywano jatki rzeźnicze, gdzie zabijają bydło i wystawiają mięso na sprzedaż.

[3]) Mowa tu o głośnym baszy *Janiny*, który równocześnie z wybuchem greckim powstał przeciw władzy sułtana i wielki postrach rzucił na Stambuł.

[4]) Grecy bowiem odnieśli wówczas znakomite zwycięztwo na morzu.

„Francuzi (mówią) lekki naród, jednak go zdmuchnąć nie można było. Muzułmanie zaś lud ciężki, a kto wié co się z niemi stanie. Polityka ma silne miechy.“

„Nowiny jak Araby nie mają stałéj siedziby: niedawno w Neapolu osiadły [1]), a teraz już się do Konstantynopola przeniosły.“

„Astronomowie przepowiadają, że gdzie teraz jest *wschód*, to będzie *zachód*, ale trzeba wielkiego *zachodu*, koło tego *wschodu*.“

Żołkowski wierzył wraz ze wszystkiemi że Turków wypędzą z Europy, taka była wówczas powszechna wiara. Patrząc się na rewolucyjne wybuchy i ich skutki, pisze:

„Rewolucye są niby *zapusty* wolności, cóż kiedy po każdych zapustach *wielki post* nadchodzi.“

„Rojalizm zawsze będzie miał górę nad *liberalizmem*, bo lepiéj płaci.“

Z powodu niewoli Napoleona I-go robi porównanie:

„Dawniéj *Helenę* porwano, teraz porwała *Helena*.“

Jakby patrzył w przyszłość, napisał:

„Europa ma *Węgry*, i to jest jéj jedyna słabość.“

Więcéj do naszego kraju stosowanych fars przytoczymy:

„*Rzeczypospolite*, właściwiéj *rzeczy niespolite* nazywać się powinny, gdyż ich teraz mało liczymy.“

„Dlatego Polska długo nie pokazywała się na mapie, że była rozebrana.“

„Dawniéj był król Łokietek, a teraz kraj.“

Warszawa, w któréj od lat tylu zamieszkał Żołkowski, jéj gmachy, ulice, przedmieścia i okolice dawały mu wątek do fraszek i gry wyrazów. Kilka tu ich przywiedziemy:

„Rozum, pamięć i wola, są trzy różne, ale nieoddzielne dary: Warszawa atoli w tém się nie zgadza, bo ma tylko Wolę, a dwóch pierwszych wiosek jeszcze nie wybudowano.“

„Tylko nasza stolica może jeździć i chodzić do *Woli*, a żadna inna tego niedokaże“ (Wola wieś pod Warszawą),

„Gdy inne stolice burzą się, Warszawa zachowuje się spokojnie, bo ma *sza* w sobie.“

„Pewien jegomość dosyć na Warszawę zakrawa, bo ma *Bagatelę* w głowie, *Fawory* u panów, a *Czyste* w kieszeni.“

(Są to wille w okolicach bliższych Warszawy, które dotąd zachowały też same nazwy).

„Kto ma w gardle *Nalewki*, pewno buduje *Utratę* w kieszeni.“

(*Nalewki* ulica, *Utrata* karczma na gościńcu pod Warszawą, ulubione stanowisko mazurów jadących do miasta lub wracających).

„Ci co mieszkają na ulicy *Miodowéj* to są *miodowniki*, a na *Leszno*, *naleśniki*.“

---

[1]) W Neapolu właśnie wybuchło powstanie, które wojska austryackie bez rozlewu krwi wprędce przytłumiły.

„W Warszawie w lecie jest tylko jedna ulica *Chłodna*, a w zimie wszystkie."

„Mogą wszystkie ulice podupaść, ale nasza ulica *Pańska* będzie zawsze *Pańska* ulica."

„Póki tylko damy odwiedzać się będą, i *Wizytki* egzystować nie przestaną" (Wizytki klasztor z kościołem w Warszawie).

„Król Zygmunt kontent że teraz głośniéj mówią, bo i on coś usłyszéć może" (stosuje się do posągu Zygmunta III przed zamkiem warszawskim).

„Nie mamy Turków w Warszawie, ale *świętych tureckich* pełniuteńko."

„Wisła teraz stoi, nic nie mówi i ludzie po niéj jeżdżą, a kiedy *puszcza* to nie puszcza."

Pisał to w czasie tęgiéj zimy, kiedy jak wyraził: „Niedawno wielki budownik postawił nie w poprzek, ale wzdłuż Wisły most z lodu."

„Patrząc z księżyca na ziemię, to tylko Warszawę widać, a reszty kraju trudno dojrzéć."

„Osobliwie Kraków jest urządzony, bo jego *przedmieście* jest w Warszawie, a on sam aż pod Karpatami."

Już za czasów Żołkowskiego cena mieszkań poczęła wzrastać.

„Czy kamienice na drożdżach sa robione, że tak rośnie komorne?—pyta czytelników *Momusa*."

I wtedy był zwyczaj co dotrwał aż dotąd, że na piérwsze reduty (maskarady) damy nasze nie przychodziły, aż dopiéro od trzeciéj gromadnie zaczęły uczęszczać. Z tego powodu pisze z użyciem gry wyrazów:

„Damy mają w sobie cokolwiek tchórzostwa! na pierwsze reduty nie idą, a na ostatnie śmiało wpadają, przynajmniéj u nas w Warszawie."

Po mieście naszém uwijało się dużo Andrychowiaków obnoszących w sieciowych workach, włoskie orzechy na sprzedaż. Właśnie zaburzenia we Włoszech zwracały uwagę powszechną. Żołkowski do tych wypadków robi zwrot zwykłym sobie sposobem. „Włoskie orzechy, pisze, są bardzo głośne, bo zdaleka słychać jak je przez ulicę niosą."

Największą Żołkowski usługę oddał naszemu językowi grą wyrazów, pokazawszy dowodnie nieznane dotąd jego zasoby i bogactwo. Pismami swemi przekonał nawet zagorzałych, że co uwielbiali w języku francuzkim dwuznaczniki, kalambury, grę dowcipną wyrazów, tego w mowie naszéj nie braknie, czy to rubasznych, czy najwyższym nacechowanych smakiem i przyzwoitością. Trzeba było do tego znać doskonale język ojczysty, miéć na zawołanie otwarty cały jego skarbiec; jakoż Żołkowski okazał się mistrzem w téj rzeczy. Wiedziony szczególném natchnieniem, samodzielnie w swoich farsach i fraszkach, z ktorych się śmiano, zaczął uczyć naród, giętkości i bogactwa pol-

skiego języka. Różnych przedmiotów jak widzieliśmy używał potemu, podamy tu z téj gry wyrazów przebrany poczet:

„Musi być już stara Galicya, kiedy aż Brody ma.

W Poznaniu tylko w zimie Warta stoi, a innych czasów nie.

Kto chce jechać do wód szlązkich, musi pierwéj przebyć *Odrę*.

Były cesarz Francuzów, w każdéj *NB*. zostawił cyfrę swoją, (Napoleon Bonaparte).

Polskie nazwiska po większéj części kończą się na *ski*. Gdyby kto głośno się zaparł swojego *ski*, toby sławne wyrzekł słowo (Niemoje-ski).

Kościół bezpiecznie może się nazywać *Modlin*. (Modlin forteca przy ujściu Narwi do Wisły o cztery mile od Warszawy, miejscowość wybrana przez samego Napoleona I-go).

Wielu jest życzeniem aby porządek alfabetyczny doznał niejakiéj odmiany. I tak, smutny radby żeby było po *ć-h*, staruszka życzy żeby *k-w-k*, żołnierz nie chce więcéj jak w pół *q*, a gmin naturalnie *o-w-c* i tak daléj...

Zwykle mówią że uczeni *gotują się* na to lub owo, ale czasem nie dogotują się, i dlatego mamy wielu *nie dowarzonych*.

Kalendarze wychodzą zawsze z tytułem: na *Rok Pański*, podobno przyszły wyjdzie na rok: *chudo-pacholski*.

Dlatego wojsko ma *racyę*, bo bierze *racye*.

Podług teraźniejszego słownika, *obywatel* pochodzi od tego, że się bez wielu rzeczy obywać musi.

Cywilni także komenderują *prezentujcie!* to jest prezenta dawajcie!

Kij nigdy się nie modli, a jednak bywa na *pacierzach*.

Króliki najbardziéj lubią siedzieć między kapuścianemi głowami.

Zwłoki człowieka bywają pochowane, ale *zwłoki* obiecujących zawsze żyć będą.

Wtenczas nos jest *podkuty*, kiedy *goździki* wącha.

Przekreślić *laskę*, to się zrobi *laska*.

Każda *egzekucya* bywa smutna, wyjąwszy *egzekucyę* testamentową.

Mózg człowieka uczonego jest zawsze z postem, bo ma *oléj* w głowie.

Pewien jegomość chce przystać do matematyki, już mu przeglądają *dwa boki proste*, chciałby dla siebie dostać *kąta*, a zato przyrzeka służyć za *prostopadłą*, przed każdą wyższą osobą.

Poeci nieraz się z tém odzywają że ich muzy karmią. Muzy są panny, a panienki nie karmią chyba jaką ptaszynę, kotka lub pieska.

Ci którzy kobiétom robią *atencye*, są *Ateńczykami*, a ci co ich gryzą, są *Gryzony*.

Sądząc o ilości urzędników z nazwiska tylko, zdaje się że *komorników* [1]) jest najwięcéj w Warszawie, a *patronów* w niebie.

Przed burzą fizyczną można się schować do *pokoju*, a burza polityczna od *pokoju* zaczyna.

Gdyby *sprawiedliwość* cyrulikiem była, toby pewno od fawerytów golić zaczęła.

Czyniąc rozbiór chemiczny wyrazu *feudalizm* tak wypadnie: ktoś chciał udawać coś większego niż był istotnie, *udanie* nazywano przed laty *udalizm*, mówiąc głośno *Fe!* i z tego zrobił się *feudalizm*!

Ponieważ gmin zwykle *grafom* zarzuca kamienność serca, przeto kiedy *grafy litują się* nad nim, to zowie się *litografią* [2])

Tylko pochodniom wolno miéć *zapalone głowy*.

Ci którzy przy rogatkach *macają*, szukając ukrytych towarów, mogliby się nazywać *Macedończykowie*.

Prawda że talent *zachwyca*, ale talent złodziejski najwięcéj *zachwyca* niż inne.

Pieczenia bywa zawsze na końcu, ale *pieczeniarze* pierwsi wszędzie.

Ludzie nierzetelni powinni się rachować do cechu *powroźników*, bo zawsze *kręcą*.

Mężczyzna *piersiami* broni kraju, kobiéta karmi *piersiami* jego obrońcę, więc *piersi* zawsze *piersi* [3]).

Dlatego jest wojna, bo pokój *zawarty* nie *otwarty*, a gdyby zawsze otwarty, toby wszyscy w *pokoju* mieszkali.

Wtedy biédny *ma-gnat*, kiedy kość ogryza.

Nadzieja powiada, że temu prędzéj spełnią się *nadzieje*, kiedy kto dobrze *nadzieje*.

Polityka, choćby sto *pokojów* zrobiła, to sama zawsze siedzi w *gabinecie*.

Zima jest stronnikiem demagogów, bo ile razy nadejdzie, zaraz *lód* panuje.

Lombard musieli wynaleźć *Lombardowie*, a gotowizna zapewne pochodzi od *Gotów*; dlatego téż podobno z mody wychodzi jako starożytna architektura.

Znawcy harmonii powiadają, że w muzyce małżeńskiéj byle się *oboje* zgadzały, to mniejsza o inne instrumenta.

---

[1]) Miał tu na myśli nie urzędników *komorników*, ale potrzebujących mieszkania, dzisiejszych *lokatorów*, których wówczas zwano komornikami.

[2]) Próby litograficzne jak i sam wyraz wprowadził pierwszy do kraju i Warszawy Al. hr. Chodkiewicz, na parę lat przed *Pot-pourrim i Momusem*, rzecz więc i wyraz nowy objaśniał Żołkowski po swojemu.

[3]) Wyraz ten pisać się powinien *pierwsi*, ale Żołkowski napisał tak jak zwykle się wymawia dla gry wyrazów.

Pewien woli *talią* kobiét, niż *talią* kart, choć w kartach aż cztery są damy.

Merynosy są jedyni cudzoziemcy, których my strzyżemy, a nie oni nas.

Do krawiectwa, szewstwa, stolarstwa i cerulictwa biorą się nawet piérwszéj *dystynkcyi* ludzie. I tak jeden drugiemu *kurtę skroił*, ten temu *buty szyje*, tamtemu *stołka przystawiono*, a wszyscy prawie jedni drugim *oczy mydlą*.

Powiadają że ten a ten jegomość mocno się *zaszargał*, jakże to być może kiedy on zawsze karetą jeździ?

Kapitaliści są *niewiniątka*, bo nic nie winni.

Teraz nie ta prassa *winna*, co wino wyciska, ale wcale inna *prassa*.

Prawo ma swoje *brzmienie*. Jestto instrument który także daje się nastrajać.

Od koziego mléka można utyć, a od saméj *kozy* schudnąć.

Cielęta muszą teraz wiele dokazywać, bo ustawnie odbijają się nam o uszy te wyrazy, stanowi-*ciele*, urządzi-*ciele*, zwodzi-*ciele*, poprawi-*ciele*, wierzy-*ciele*, ciemięży-*ciele*, burzy-*ciele*.

Jeden pytał przyjaciela swego: Jak się masz? Żona zdrowa? Dzieci czy się *chowają*? Tak—odpowié—jak goście przyjadą, wszystkie się za piec *chowają*."

Żydzi tak licznie rozsiedleni w naszym kraju, obfitym byli zasobem do fars Żółkowskiemu, znał ich dokładnie przebiegi, i umiał je oddać dowcipnie. Za jego czasów, gęsto jeszcze siedzieli arendarze po karczmach, ta główna plaga zubożenia ludu wiejskiego. Mieli oni tysiące sposobów do rozpajania kmieci naszych, dlatego dobrze powiedział:

„Żyd nie chce nikogo miéć na kwaterze, ale na kwaterkę radby każdego zaprosić."

Kiedy już wiadomém było prawo zabraniające żydom posiadania szynków, Żołkowski w Momusie zaraz napisał:

„Można pozwolić ażeby żydzi trzymali *szynki*, ale wieprzowe, to się ich sami wyrzekną."

W ogóle mówi o tem plemieniu:

Z żydami ciężko przyjść do *końca*, bo to naród bez *końca*, taki liczny.

Żydzi nie chcą grać w *szachy*, tylko w *szachry* i dobrze im idzie.

Izraelici lubią każde *branie*, wyjąwszy *branie* na żołnierzy.

Ślusarze już nie będą robić szrub z żelaza, ale z żydów, bo ci się wszędzie *wszrubują*.

Chcąc ucywilizować żydów, nie trzeba ich uczyć naszego języka, ale trzeba nam wszystkim uczyć się po żydowsku, to się nie damy oszukać.

Żydzi do *trefnego* się nie biorą, tylko do *trafnego*, i dlatego wszędzie *trafią*.

Żydzi chcą iść do wojska, ale w sześciu na jego żołnierza."

Do ostatniego działu, należą rozrzucone w obu tych pisemkach rozmaite zdania, myśli, dowcipki i anegdoty. Oto z nich kilka:

„Inna serca *geografia* a inna *geografia* ziemi. I tak kraj ma granice ziemi, miłość do kraju jest bez granic.

Reputacya, to jest moralna peruka, pod którą czasem, ani jednego uczciwego włoska nie znajdzie.

Dobrze że ludzie pozbywają się sumienia, bo na cóż trzymać to co człowieka gryzie!

Z każdéj *własności* da się człowiek łatwo wywłaszczyć, ale z *miłości własnéj* nigdy, i nigdy nawet na to statutów nie będzie.

Były *głowy do pozłoty*, ale jak świat zmądrzał, to teraz wyciąga *ręce do pozłoty*.

Lepiéj jest mieć *nos miedziany* niż *miedziane czoło*, tak mówił amator kufla.

Młodzież choćby najbardziéj demokratycznych trzymała się maksym, jednak za orderem *podwiązki* wzdychać nie przestanie.

Ponieważ pijany sam iść nie może, więc jego język chodzi, ale *w pantoflach*, żeby pana nie obudził.

Niémasz tego *złego* coby na *dobre* nie wyszło, wyjąwszy *złych* butów, bo te nigdy na *dobre* wyjść nie mogą.

Cicho! cicho!—wołał burmistrz naszego miasteczka—jakże czy waćpaństwo nie będziecie cicho? Jużeśmy z tuzin procesów odsądzili a ja z nich ani słowa nie zrozumiałem jeszcze.

Uboga kobiéta prosiła jakiegoś pana aby raczył przyjąć jéj syna do usług. A i zacóż chce on do mnie przystać?—zapytał.—Dla niego wszystko jedno, odpowiedziała matka, czy za stróża, lokaja, czy za murzyna.

Będę zakonnicą i zakonnicą być nie przestanę! mówiła młoda panienka. Myślałby kto, że ona chce wstąpić do klasztoru, gdy przeciwnie, nie jest to bynajmniéj jéj wolą. Owszem kocha się w młodym oficerze od ułanów i dlatego bardzo naturalnie jest za *konnicą*, to jest trzyma stronę *konnicy*.

Jakto! niéma dyablów? a niéma! Szkoda! bo któż naszego dzierżawcę porwie? Tak mruczał sobie chłopek nakładając fajkę.

Czy widziałeś zaćmienie słońca? Widzialne widziałem, ale niewidzialnego nie widziałem.

Pójdź, zobacz na kompasie która godzina? Chłopiec przyniósł kompas do izby i powiedział: niech pan sam obaczy, bo ja się na tém nie znam."

Wracając z pogrzebu z cmentarza Powązkowskiego, rzucą pytanie z gorzkim i bolesnym uśmiechem czytelnikom swego Momusa:

„Co téż zrobił najlepszego cmentarz, że tak wiele ma krzyżów?"

Nie przeczuwał że w rok późniéj w téjże ustroni zmarłych, sam się na wieczny spoczynek położy.

Żołkowski stanowiskiem swojém jako artysta dramatyczny i pisarz, stał się historyczną postacią Warszawy i jéj społeczności w okresie, który się ciągnął przez lat blizko dwadzieścia.

VIII.

Plac Krasińskich.—Pałac Krasińskich.—Ogród.—Uroczystości narodowe.—Jan Woronicz.—Msza *modna* w kościele księży Pijarów i przechadzka w ogrodzie Krasińskich.—*Suchy-las*.—Kawiarnia.—Stare podanie.—Dom i mieszkanie Joachima Lelewela.—Dziennik Warszawski.—Dom i uliczka Raczyńskich.—Dom Karoli'ego.—Traktyernia Szyllera.—Sławne kapłony.—Gmachy pijarskie.—Szkoły.—Kanarek.—Ksiądz Ciastowski prefekt.—Ksiądz Wojciechowski profesor.—Majówki.—Pomiary.—Nagrody.—Drukarnia.—Towarzystwo Przyjaciół Muzyki.—Bartłomiej Czychy zakrystyan.

Przed teatrem narodowym rozwijał się obszerny *plac Krasińskich*, rozleglejszy niż dzisiaj, bo go nie zacieśniała duża budowla [1]) od Ś-to-Jerskiéj ulicy.

Tu było jedyne miejsce uroczystości narodowych w czasie istnienia Księztwa Warszawskiego.

Książe Józef Poniatowski, genérał Henryk Dąbrowski, na nim odbywali parady wojskowe; tu się odbywał poważny obchód poświęcania chorągwi nowych pułków, któremu przewodniczył Jan Woronicz namaszczony kapłan i wielki poeta. W owych chwilach podnosił on głos wymowny, wskazując ważność obrzędu i święte obowiązki prawego rycerstwa.

Wspaniały pałac, który tego placu jest największą ozdobą, wystawił w roku 1693 Jan Bonawentura Krasiński referendarz koronny i starosta warszawski i przy nim ogród założył. Jest to budowla ze wszystkich gmachów Warszawy najpiękniejsza; o niéj téż niedaremnie Żółkowski w *Momusie* napisał:

„Miłośnik cudzoziemszczyzny, gdy przyjechał do Warszawy i obaczył piękny pałac Krasińskich, spytał, czy on jest w Warszawie budowany, czy téż z zagranicy sprowadzony."

Od imienia założyciela cała ogromna posiadłość przybrała wraz z ogrodem i placem przed gmachem, nazwę *Krasińskich*.

Pałac ten, zostający w rodzinie Krasińskich przez lat siedmdziesiąt dwa, w roku 1765 odstąpiony został skarbowi Rzeczypospolitéj, który ogród nanowo urządziwszy, otworzył go na użytek publiczny. Od téj pory został on najupodobańszą przechadzką dla Warszawian, a od 1814 roku był najmodniejszém miejscem, gdzie się zbierał cały świat elegancki naszego miasta. W każdą niedzielę i święta w pobliskim

[1]) Gdzie obecnie mieści się Trybunał Cywilny i Sąd Kryminalny.

kościele księży Pijarów odbywała się msza ostatnia przed południem, Muzyka dobrana i chór śpiewaków towarzyszyły wśród tego nabożeństwa. Msza kończyła się około dwunastéj w południe, na którą zgromadzała się *śmietanka* towarzystwa warszawskiego. Panie wystrojone wedle ówczesnéj mody, młodzież również, przepełniali całą tę świątynię.

Przy końcu nabożeństwa, całe grono męzkie wysuwało się najprzód i szykowało we dwa rzędy na ulicy od wielkich podwoi, zostawiając obszerne i wygodne przejście dla płci pięknéj, która przechodziła do ogrodu Krasińskich, wiodąc za sobą roje swoich zwolenników.

Dziś ogród ten opuszczony przez *świat wyższy*, który się przeniósł do *Saskiego* ogrodu, był nadzwyczaj ożywiony, najgwarniéj w niedziele i święta; ale nie stał pustkami w dnie nawet powszednie. Było to miejsce ulubione dla mieszkańców Warszawy do przechadzki od wiosny do późnéj jesieni. Ileż te drzewa, gdyby mogły mówić, nie naliczyłyby nam ciekawych zdarzeń, czułych spojrzeń, serdecznych westchnień i słów gorących, a poetycznych ze słownika *klassycznego*, w których *Wenus*, *Kupidyn* z kołczanem i strzałami, i *Zefir* pierwsze miejsce zajmowały. W obocznych aleach, gdy główną wielki świat opanowywał, pod cieniem gęstych liści drzew wybujałych, *mały światek* szukał wytchnienia, światek mniéj zamożny, ale serdeczniejszy i więcéj prawdą żyjący. Tu się najczęściéj zawiązywały pierwsze znajomości pomiędzy młodzieżą, kończące się zwykle ślubem w następne zapusty.

W samym pałacu do roku 1815 mieściły się najwyższe władze rządowe; następnie *sąd najwyższéj instancyi:* tu się odbywał *sąd sejmowy*.

Pamiętam z dawniejszego okresu, rzęsisto uillumiuowany gmach Krasińskich i bramę wchodową do ogrodu. U jéj szczytu w wielkim transparencie widziałem literę *N*, cyfrę Napoleona I-szego, a pod nią przechadzał się wymierzonym krokiem z bronią na ramieniu, tęgi grenadyer, w bermycy niedźwiedziéj, którego wzrost atletyczny, oblicze poważne a surowe, z czarnym, zawiesistym wąsem, wyryły się głęboko w mojéj dziecięcéj pamięci. Było to w roku 1811.

Plac Krasińskich nie cały był zabrukowany, to téż w czasie występu wojska w dniu imienin Napoleona 1-go, księcia Józefa Poniatowskiego, lub jakiéj uroczystości szczególnéj, gdy przypadło to po deszczu lub odwilży, dobrze się zabłociło.

W narożnym domu, w jednéj linii z pałacem Krasińskich, był *odwach* oficerski, na który gdy oddział do zluzowania co dnia przychodził z doboszem, chór mu zawsze gawiedzi towarzyszył, a szczególniéj chłopiąt małych od rzemieślników, tak zwanych *ulicznikow*, którzy w takt bębna zręcznie maszerowali.

Po lewéj stronie teatru, już od ulicy Długiéj, przedzielona tylko wąziutką uliczką, stoi kamienica pod N-rem 546, zwana *Suchy-las*,

naprzeciw kościoła Pijarskiego. Miała ona w tę porę swój rozgłos, z powodu mieszczącéj się w niéj kawiarni, która słynęła z najwyborniejszéj kawy, i ztąd była miejscem licznego zgromadzenia zwolenników tego napoju. Ale niemałe grono stanowiło gości, przybywających jedynie w pragnieniu przepędzenia czasu mile i przyjemnie; tu bowiem zbierali się aktorzy przed widowiskiem w teatrze i po niém.

Tu zaglądał często Żółkowski, a stałym gościem był Ludwik Adam Dmuszewski, obok którego zasiądało kilku jego współpracowników i zwolenników, co mu składali pozbierane z całego dnia nowiny miejskie, jako redaktorowi *Kuryera Warszawskiego.* Szła miła pogawędka aż do uderzenia na zegarze trzech kwadransów na siódmą, pory rozpoczęcia się wkrótce teatru, którą po widowisku jeszcze przeciągano.

Do *Suchego-lasu* przywiązane było stare podanie, że nazwę swą wziął dlatego, iż był tu las ze starodrzewów, rzeczywiście suchy. Mój ojciec znał sędziwego mieszczanina z Mostowéj ulicy, który mu opowiadał jeszcze za życia króla Stanisława Augusta, że w młodych leciech biegał tu na grzyby i rydze; że rosły sosny ogromne, a dęby tak grube, iż we czterech podrostków, wziąwszy się za ręce, żadnego pnia objąć nie zdołali. Ów mieszczanin liczył wówczas z górą lat ośmdziesiąt.

Las ten łączył się kiedyś z borem po nad brzegami Wisły szumiącym.

Z pewnych już wiadomości mamy, że na początku XVII wieku, był tu ogród i dwór *Suchym-lasem* zwany, który Szwedzi za Karola Gustawa zniszczyli, burząc warowne mury i baszty Warszawy. Nabył go następnie Mikołaj Prażmowski, biskup łucki i kanclerz wielki koronny, a przechodząc z rąk do rąk później, od Antoniego Gaszyńskiego szambelana Stanisława Augusta, odkupiła rodzina Prażmowskich [1]).

Rzęd kamienic za *Suchym- lasem* w jednéj linii idący, ciągnie się aż do Freta ulicy; pomiędzy temi, najrozleglejszy dom Eblerta (N-r 543 A i B), w którym mieściło się do dwóch tysięcy mieszkańców; za nim o parę kamienic pod N-rem 540 dom Lelewela, w którym na pierwszém piętrze przemieszkiwał Joachim Lelewel.

W roku 1825 rozpocząłem opis historyczny Warszawy, jako mego gniazda rodzinnego, bo wówczas, oprócz szczupłego wspomnienia tego miasta w opisie *Starożytnéj Polski* Tomasza Święckiego, wydanym w roku 1816, nie mieliśmy żadnéj monografii. Ukończyłem go we dwa lata i wtedy będąc współpracownikiem *Dziennika Warszawskiego*, wychodzącego w miesięcznych zeszytach pod redakcyą Jana Kazimierza Ordyńca, dałem mu wspomnienie historyczne: „Warszawa pod panowaniem Jana Kazimierza." Ordyniec rękopism mój zaniósł do Lelewe-

[1]) W „Taryfie miasta stołecznego Warszawy 1821 r." dom ten N-r 546 oznaczony, zapisany jeszcze jako własność Gaszyńskiego.

la, który go przejrzał i uwagi swoje ołówkiem popisał, z żądaniem, abym przyszedł do niego.

Było to w maju 1827 roku. W pod wieczór wybrałem się do niego. Zastałem go siedzącego przy oknie i pochylonego nad rytowaniem mapek do *Dziejów Polski*, które przygotowywał właśnie, z przypisaniem dla swoich synowców.

Skoro drzwi otworzyłem, powstał zaraz, a kiedym wymówił swoje nązwisko, podał mi rękę uprzejmie i prosił, abym usiadł na kanapie, sam zabrał miejsce na bocznėm krześle.

Uprzejmość tak niezwykła, tak mnie przejęła, tak głęboko wzruszyła, że nie wiedziałem jak usiąść i co mówić. Zaczynałem rok dwudziesty życia, a chociaż już w świecie przetarty i nie z jednego pieca chléb jadłem, opuściła mnie odwaga. Słyszałem tyle o Lelewelu, przeczytałem wszystkie jego prace, zacząwszy od *Eddy* i *Mateusza Cholewy*; aureola wielkości imienia i sławy tego męża, pochylała mą głowę do czci i pokłonu.

Po chwili, gdym oprzytomniał nieco, Lelewel sam rozpoczął rozmowę o czasach Jana Kazimierza, o swojéj pracy, którą był zajęty, a gdym mu rzucił parę pytań historycznych, rozwiązawszy je jasno, dodał: „takie jest tylko moje zdanie.“

Gdym go żegnał, dopierom się rozejrzał w jego mieszkaniu. Był to wielki pokój na pierwszém piętrze o dwóch oknach od ulicy Długiéj; przy drugim od drzwi, stał stół założony papierami i rycinami; leżały blachy miedziane i rylce. Przy środkowéj ścianie stała kanapa, przed nią stół i kilka krzeseł. Ściany wszystkie założone były szafami z pulek tylko otwartych, a w nich pełno książek, ale mało oprawnych.

Ściany, o ile wolne od nich były, miały kolor żółty; całe umeblowanie bardzo skromnie wyglądało.

Kiedym wyszedł uradowany z przyjęcia, stanąłem przed tą kamienicą. Tak samo skromnie zewnątrz wyglądała i żadnych ozdób, żadnéj rzeźby, gładkie ściany, jak i pokój historyka tąż samą farbą żółtą były pomalowane.

Odetchnąwszy z głębokiego wrażenia, zacząłem rozważać rozmowę i słowa wyrzeczone przez Lelewela. Te pierwsze odwiedziny, nauczyły mnie skromności. Człowiek tak wielkiéj nauki, jeżeli rozjaśniał zawiłość, dodawał: „to takie tylko jest moje zdanie!“ O! niech Bóg dobry zapłaci mu za tę naukę, która mi w życiu była drogocenną skarbnicą! Odtąd często go odwiedzałem i późniéj rad był słuchać, gdym mu składał sprawozdanie o wędrówkach po kraju, w Tatrach i Słowiańszczyźnie w celu zbierania pieśni, podań i zwyczajów ludowych. Słuchał z zajęciem opowieści od czasu, do czasu dodając urywkowo: „To ciekawe, to znam, o tém nie wiedziałem, to się i mnie przyda.“

Lelewel wówczas zaczynał rok czterdziesty pierwszy, od lat dwudziestu znanym był jako tłumacz *Eddy* Skandynawskiéj, a od

szesnastu, jako pierwszy krytyk dziejowy, przez wydane w roku 1811 „*Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa.*“

Średniego wzrostu, chudy, ubierał się oryginalnie. Nosił buty węgierskie z cholewami po wiérzchu spodni, frak zwykle staro-świeckiego kroju i płaszcz szaraczkowy z peleryną, zą który nie wiem, czyby żyd „*dał dukata*,“ jak liczono wtedy.

Głowę okrywał wytartym kapeluszem i tylko w wielkie mrozy zmuszony do wyjścia, używał ciepłéj czapki.

Szedł zwykle pochylony nieco, ze spuszczoną głową: oblicze miał pociągłe, nos długi, rumieniec na twarzy familijny wraz z braćmi dwoma, (pomiędzy któremi wielkie zachodziło podobieństwo), lubo nieco bledszy od ciągłéj pracy. Oczy duże, niebieskie, które wiernie oddawały wszystkie uczucia serca i duszy. Widziałem go późniéj w chwilach najważniejszych w jego życiu, kiedy w niezwykły wpadał zapał; te oczy zapalały się ogniem niesłychanym, świeciły i rzucały blaski, jak dwa jaśniejące brylanty.

Służyły one mu dobrze do ciągłéj i bezustannéj pracy; pisał téż drobnym maczkiem, ale bardzo czytelnym.

Po upadku poważnego organu prassy, jakim był *Pamiętnik Warszawski*, wychodzący pod redakcyą Kazimierza Brodzińskiego, Fryderyka hr. Skarbka i Skrodzkiego, wszystkich professorów uniwersytetu warszawskiego; od czerwca 1825 roku, dwaj młodzi pisarze, Maurycy Mochnacki i Michał Podczaszyński zaczęli wydawać w zeszytach miesięcznych: *Dziennik Warszawski.*

Pismo to silnie podpierał pracami swojemi Lelewel. Zaraz w pierwszym tomie wydrukował rozprawę swoją: „*O pieniądzach w Trzebuniu* blizko Płocka, wykopanych w roku 1824“ i do nich sam rytował odpowiednie tablice. Następnie dał rozprawy: „*O historyi, jéj rozgałęzieniu i naukach związek z nią mających*“ i „*Uwagi nad wpływem prawa rzymskiego na polskie i litewskie.*“

Pierwsi założyciele *Dziennika Warszawskiego* zamknęli swe wydawnictwo w czterech tomach w połowie 1826 roku. Mochnacki przeszedł do redakcyi *Gazety Polskiéj*, Podczaszyński na stałe mieszkanie do Paryża, gdzie zaczął przygotowywać owo przepyszne wydanie dziesięciu tomów w jednym, dzieł Ignacego Krasickiego. Wtedy przybyły z Litwy Jan Kazimierz Ordyniec bibliotekarz Ordynacyi hr. Zamojskich pismo to daléj zaczął prowadzić, mając przyrzeczoną stałą pomoc Lelewela.

Jakoż udzielił zaraz Ordyńcowi nową swoją pracę, którą ten wydrukował w zeszycie na lipiec 1826 r. Osobliwą to była rozprawa p. n. *Ocalenie Polski za króla Łokietka.* Osobliwą, bo w niéj po raz pierwszy w poetycznym nastroju, poważny ą suchym stylem dotąd piszący historyk, stylem téż poetycznym przemawia. Wyrywano ją sobie do czytania i starannie ustępy niektóre przepisywąno. Oto jéj początek.

„Skandynawskie na północy Skaldy z westchnieniem biorę lutnią przypominać przeszłość! Jęcząca północ rada udzielać czułą łzę wspomnieniom! W cierpiącém i melancholiczném tchnieniu wznawia pamięć swoich bohatérów i rycerzy, znajduje ulgę i wypoczynek w cnotach walecznych ojców. Blade światło upłynionych wieków, nie rozwesela rozczulonego serca, ale odświeżony promyk jego, słodko przejmuje zacniejsze uczucia. Tak przeszłość ludzi zajmuje, a ta przeszłość śpiewów północy przedmiot, jest równie udziałem historyi. W niéj są niecofnione już, zaszłe przemiany ludzkości, w niéj zadatki niepewnéj przyszłości. Różne wrażenia, nieraz dolegliwe, przeszłość działać zdolna. Gdzie w niéj powstanie gmachu jakiego, bez wielolicznych ruin i upadków? Gdzie tryumfy cnoty bez odraźliwych dzikości i przestępstw! Zniechęcony ku ludziom człowiek, oburzony tém, upada na umyśle. Lecz historyk nie poddaje się pozorom, albo saméj tylko złéj wróżby pochmurnym widokom. Wystawia na wstręt i ohydę, gwałty i wykroczenia; wypoczywą na cichéj cnocie, często cierpiącéj, która jednak w trwałym bycie swoją błogość znaleźć może, o swojéj prawości nie wątpi. Łączy on i spaja wieki, oczekuje większego doświadczenia, które się staje dalszéj potomności udziałem. I nie zawsze samo rozerwanie i upadki w przeszłości dostrzega: nie zawsze jedynie przerażające widoki, rozpatrującego się w dziełach zajmują. Znajduje on więcéj przyjemne obrazy, odradzającéj się ludzkości, postępującéj i ulepszonéj kultury, ocalonych narodów i państw, ochronionéj i podźwignionéj budowy. Bez ruin wstrzymane i skruszone ciosy, położone tamy zgubnym zamachom, naprawiony gmach i nowe życie jemu nadane. Ku tym widokom, chcemy zwrócić baczność naszą, nad niemi zastanowić uwagę, albowiem dzieje, różne tego przykłady wskazują."

Rozprawa ta wielki rozgłos dała *Dziennikowi Warszawskiemu.* Do końca roku 1828, Lelewel uposażył to pismo dwiema pracami: „Otwarcie kursu historyi powszechnéj w Cesarskim Uniwersytecie Wileńskim dnia 4 stycznia 1821 roku przez Joachima Lelewela" i ogromnych rozmiarów rozprawę p. n.: *Dzieje bibliotek*, które się ciągnęły przez kilka tomów Dziennika Warszawskiego. Od roku 1829 nie widzimy już w tém piśmie żadnych prac Lelewela.

Naprzeciw, z drugiéj strony ulicy wznosił się pałac Raczyńskich, z napisem na czele wielkiemi literami: „*Dom Raczyńskich.*" W nim zamieszkiwał Ignacy Raczyński arcybiskup gnieźnieński, którego tytułowano księciem [1]).

Od nazwy tego pałacu, który przechodził do ulicy Podwale, wązka uliczka obok, przybrała imie Raczyńskich. Pusty to zaułek,

---

[1]) Rząd nabywszy pałac ten od Raczyńskich, przeznaczył go na pomieszczenie ministerstwa sprawiedliwości.

bo żadne drzwi nie wychodziły, a kilka tylko zakratowanych okien z obu stron gładkich murów przeglądało.

Z drugiéj strony, równie na też dwie ulice przeciągał się dom pod Nr. 560*b*, własność zamożnego jubilera Karoli'ego. Front główny miał od ulicy Długiéj, wewnątrz obszerne podwórze, a od strony Podwala, ogródek. Pomiędzy tym ogródkiem a podwórzem stał dworek parterowy, w którym się mieściła traktyernia Szyllera. Słynął on głównie z pieczonych kapłonów tuczonych i wybornie przyrządzanych.

Najpopularniejszy tych czasów (ostatnie lata Księztwa Warszawskiego i pierwsze Królestwa) wierszopis warszawski Molski, wysławiał wierszem tego Szyllera i jego kapłony, przenosząc go ponad wieszcza Germanii. Za kapłona pieczonego płacono po złp. 6, co na owe czasy stanowiło już gruby pieniądz; zwolenników jednak Szyllerowi nie zabrakło, i zaledwie mógł wystarczyć żądaniom. Proszone też obiady i kolacye tu się odbywały a pierwsze w nich miejsce zawsze kapłony zajmowały.

Przez dom Karolego od Podwala ogródkiem pomienionym, było przejście publiczne na ulicę Długą. Ponieważ ogródek ten wyniesiony był wysoko, schodki ułatwiały wnijście obok kręgielni, ciągle prawie zajętéj przez graczy. Przejście to było wielkiém ułatwieniem dla studentów pijarskich, którzy mieszkali w częściach Starego-Miasta, na Podwalu i przybocznych ulicach. Po téjże saméj połaci ulicy Długiéj, ciągnęły się gmachy pijarskie, obejmujące szkoły wojewódzkie, klasztor i kościół.

We wspomnieniach młodych lat moich, kościół ten wyrył się najwyraźniéj; w nim bowiem przez lat prawie ośm jako uczeń modliłem się codziennie, wyjąwszy wakacyj: tu z dziecinnéj doby przeszedłem do młodzieńczego wieku, patrząc w obraz ukrzyżowanego Chrystusa w wielkim ołtarzu.

Obraz ten silne wrażenie wywierał na umysły tak dziatwy, jak i starszych. Zbawiciel rozpięty na krzyżu, a w dali, jakby w ogniu Jerozolima. Ileż ku niemu nie ulatywało z tych zastępów klęczącéj młodzieży serdecznych westchnień, gorących modlitw a nieraz i łez, gdy troska przygniatała, gdy ciężka choroba rodziców albo rodzeństwo dotykała, gdy śmierć zajrzała za domowe progi, zagrażało sieroctwo w śród Bożego świata, wreszcie gdy obawa o promocyę i nagrodę była.

Wnętrze tego kościoła niczém się wydatniejszém nie odznaczało. Z pomników jeden tylko koło ołtarza zapamiętam. Był to wspaniały grobowiec z czarnego marmuru a osoby z białego wyrobione, Jana Tarły, wojewody lubelskiego i sandomierskiego, generała ziem podolskich, który za Augusta II odprawiał poselstwa do papieża i Rzeczypospolitéj holenderskiéj. Przyłożył się on wiele do budowy kollegium szlacheckiego księży Pijarów w Warszawie, i z tego

głównie powodu, pomnik który mu małżonka jego Zofia z Krasińskich położyła, znalazł miejsce wydatne w téj świątyni.

Wielkie budowle zajmowały szkoły i klasztor z obszernemi podwórzami i ogrodem.

Pierwsze trzy klassy to jest pierwsza, druga i trzecia, ostatnie z podwójnemi oddziałami mieściły się na dole, okna ich wychodziły na ulicę Długą; na piętrach były klassy czwarta, piąta i szósta.

Latem o siodméj, zimową porą o wpół do ósméj rano, uczniowie wszystkich klass parami, pod nadzorem gospodarzy professorów przechodzili do kościoła na mszę poranną, po któréj wracano na lekcye.

Między dziesiątą a jedenastą było wolne wytchnienie *dziesięciu minut*, w których młodzież rozbiegała się to na podwórza, to do wielkich podwoi wchodowych od ulicy, gdzie stały przekupki z koszami ciast, pierników, obwarzanków lub owoców, które zakupywali ci ze szczęśliwców, co mieli gotówkę, albo umieli sobie u nich *kredyt* wyrobić.

Każda klassa miała prezesa i kassyera, oraz radców do każdéj ławki. Uczniowie najlepiéj się uczący i sprawujący dostępowali tego zaszczytu.

Prezes siedział na pierwszém miejscu w pierwszéj ławce, za nim kassyer i dopiero pierwszy radzca.

Prezes słuchał lekcyi kassyera i pierwszego radcę, zapisując stopnie w oddzielnéj na to książeczce, która następnie pokazywała się wyznaczonemu do tego professorowi. Radzca połowę swéj ławki przesłuchiwał dlatego, że drugą miał pod swoim nadzorem w każdéj ławce pod-radzca, którego także przesłuchiwał. Oczywiście że tak prezes, jak radzcowie i podradzcowie, mieli swoje małe *obrywki* od koleżków, którzy się lekcyi nie nauczyli, a pragnęli dobrego stopnia w książeczce; łapówki te występowały dopiero jawniéj na dziesięć minut, gdy przy koszykach przekupek panowie prezes, radzcy i podradzcowie, raczyli się ciastami lub owocami, za które *plebs* ławkowy płacił.

Kassyer w zawiadywaniu swojém miał dziennik klassy, kredę i gąbkę do tablicy: to były skarby powierzone jego pieczołowitości.

Przy drzwiach wchodowych od sieni w każdéj klassie stała ławka oddzielna wzdłuż ściany i miała techniczną nazwę *oślej ławy*. Smutna to była i straszna zarazem ta ława, bo z niéj rzadko się który wyśliznął, aby nie powędrować w gorsze miejsce, na którego wspomnienie drżała skóra.

Długi korytarz wiódł do trzech klas niższych na dole, a w jego środku były duże drzwi, wiodące do małego wewnątrz klasztornego podwórka, gdzie się mieściła drwalnia. W niéj panował *Kanarek*, tak zwany stróż i zarazem wykonawca kary naznaczonéj przez księdza prefekta szkoły. A był za moich czasów prefektem ksiądz Ciastowski pijar, dobrego wzrostu, dobréj tuszy, blondyn, białéj płci,

ale groźnéj postaci i oblicza. Gdy głos podniósł, febra porywała biédnych uczniów, taka go powaga otaczała i postrach. Jeżeli wszedł do któréj klassy w czasie lekcyi, złą to było wróżbą dla niéj, bo wnet ośla ławka zaludniała się, a z niéj marsz żałobny do drwalni i pewna operacya Kanarka.

A Kanarek ów był to chłop pleczysty, na jednéj dłoni mógł zasiąść wygodnie każdy z uczniów. Straszny napozór, w gruncie najłagodniejszy człowiek. Surowego oblicza, ponuro mrukliwy, jeżeli miał oznaczone plagi dyscypliną wymierzyć, najprzód pilnie wpatrywał się w swego delikwenta i podług jego natury miarkował siłę uderzeń.

Jeżeli było to pacholę drobne, wątłe, prawie nie czuło jego razów: gdy chłopak był krzepak, czerstwy z rumieńcami, przylepiał *pro memoria* lepiéj, ale zawsze z ojcowskiém uczuciem, bo sam miał chłopczynę co się uczył u Pijarów i był w piérwszéj klassie, szanować też musiał jak sam wyrażał, kolegów swego jedynaka.

Jeżeli który ze skazanych mógł mu zręcznie wsunąć dziesiątkę, albo co lepsza złotówkę, ze szczególną atencyą spełniał egzekucyę. Kazawszy się wyciągnąć dobrze na pieńku, których tam w zapasie nie mało było po klocach drzewa do opału sprowadzanego, zamaszysto podnosił dyscyplinę, ale leciuchno ją spuszczał i sam jęczał i stękał za biednego ucznia.

Pomimo wstrętnego obowiązku jaki spełniał, wszystkie trzy klassy lubiły go, bo od czwartéj mieszczącéj się na drugiém piętrze, kara cielesna nie istniała wcale. To téż biédacy z dołu wzdychali gorąco, aby się co rychléj wydostać na to piętro mogli i być pewnymi, że dyscyplina nie będzie świstać nad uchem i z kanarkiem już skończona sprawa!

Ksiądz prefekt Ciastowski pomimo że niósł z sobą postrach i przerażenie, był kochanym i poważanym dla swéj sprawiedliwości. Nieraz stawał z obroną za uczniami, gdy się zdarzyło, że przeciwna strona bez taktu postępowała [1]).

---

[1]) Ksiądz Jakób Ciastowski, syn mieszczanina z Sarnowa, w dawném województwie Poznańskiém, urodził się w roku 1791. Oddany do szkół księży Pijarów w Rydzynie, zdolnościami i nauką się odznaczył. Przywdziawszy suknię zgromadzenia pijarskiego, wyświęconym został na kapłana 1816 roku, po przebyciu nowicyatu i pełnieniu wówczas już obowiązków nauczyciela języków niemieckiego, francuzkiego, historyi powszechnéj i jeometryi. W roku 1822 wybrany rektorem szkoły wojewódzkiéj radomskiéj, i w tymże samym roku powołanym został do Warszawy do szkół, gdzie poznałem go jako prefekta za rektorstwa zacnego i drogiego méj pamięci ks. A. Kamionowskiego. Nazwyczajony do wczesnego wstawania do pracy, już o piątéj rano z modlitwy wspólnéj ze swą bracią zakonną, do północka był czynny. Około godziny ósmémj spotykałeś go na korytarzach gmachu szkolnego, i młodzież, która się

Od piérwszéj klassy zacząwszy, mieliśmy obok malczyków i chłopów dorosłych a nawet w piérwszéj klassie żonatego, który już miał dwuletnią córkę. To téż patrzyliśmy nań jak na raroga. Zwał się Kwapiszewski i to imie głęboko wyryło się w méj pamięci.

W drugiéj klassie nie brakło rośléjszych uczniów: między tymi był Stanisław Bogusławski, o całą głowę wyższy odemnie, znany późniéj z talentu komedyopisarz.

W trzeciéj klassie wykładał historyą powszechną polską i język polski ks. Wojciechowski, ale nie mszalny. Łapczywy był strasznie na skórę uczniów. Oryginalna to była postać: nizki, chudy, wyżółkły na obliczu, trochę ułomny, prawe bowiem ramie miał niższe. Słaba głowa, bo wykładał tylko z książek i kazał się uczyć miejsc zakreślonych napamięć. Kiedy wpadł w gniéw, co mu się często zdarzało, nie inaczéj jak go w tych słowach do ucznia wyrażał:

— Orszle! biku! kapconie!

Mieliśmy kolegę Domańskiego, był to najwyższy nietylko z naszéj klassy, ale i ze szkół całych, a przytém odpowiedniéj tuszy. Chłop silny że sztaby żelazne łamać, ale zdolności bardzo małe. Za to złote serce, łagodność gołębia; ztąd cieszył się miłością wszy-

---

już wtedy gromadzić zaczynała, czuła jego obecność, zachowując się najciszéj, a bywało jéj zawsze około tysiąca i więcéj. O godzinie wpół do ósméj wychodzili uczniowie dwójkami do kościoła, na czele nauczycieli gospodarzy klass, poczynając od klassy najmłodszéj. W podwojach świątyni stał ksiądz prefekt jako dowódzca, przestrzegając porządku i sforności defilującego przed nim tego ruchliwego *liliputów* wojska. Czytał potém mszę świętą, lub jéj był obecny z młodzieżą, która chórem pełnym śpiéwała zwyczajne pieśni kościelne, lub wykonywała mszę kompozycyi Kurpińskiego lub Elsnera. Żadna niedziela ani święto nie przeminęły, bez wykładu przypadającéj ewangelii, którą sam lub jeden z professorów duchownych podejmował. Po mszy świętéj w tym samym porządku wracała młodzież do swoich klass i oczekiwała na lekcye professorów, którzy za uderzeniem we dzwonek, na miejscach swoich znajdować się byli powinni. Kiedy sam ks. Ciastowski nie był zajęty dawaniem lekcyi w któréj z klass wyższych, przechadzał się po korytarzach szkolnych i kontrolował, czy wszystko i wszędzie szło swoim trybem i ładem. Gdzie tylko usłyszał niezwykły gwar który mącił ciszę należną, albo krzyki swawolne, wchodził wtedy do klassy. Samém ukazaniem się we drzwiach, uciszał gawiedź niesforną, siejąc strach i popłoch między winowajcami. Tak mu przechodził dzień powszedni na służbie szkolnéj, i nie pozostawało nawet czasu do przechadzki koniecznéj po pracy ciągłéj. Po skromnéj wieczerzy i po krótkiéj gawędzie z kolegami, oddawał się znowu studyom naukowym, które się po za północ przeciągały, przygotowaniu na lekcye dnia następnego i poprawie ćwiczeń szkolnych. Do wykładu literatury klassycznéj używał najlepszych wydań opatrzonych komentarzami biegłych filologów i wykład ten staranny równał

stkich współkolegów. Siedział wysoko na jednéj z ostatniéj ale najwyższéj ławce.

Ksiądz Wojciechowski przybywszy do klassy już rozdrażniony, cały swój gniéw wywarł na niego, a gdy ten napadnięty niesłusznie, zaczął się swoim zwyczajem uśmiechać, zeskoczył z katedry i groźno zawołał:

— Domański! orszle! biku! kapconie! wychodź tu na środek!

Domański się podniósł i zwolna stawiał jak słoń nogi poważnie aż podłoga trzeszczała. Miał na sobie lekki surducik (bo mundurów wtedy nie było) i białą, jak pamiętam, kamizelkę.

Ksiądz professor widząc że wychodzi, podbiegł, otworzył drzwi do sieni. Niestety! ujrzeliśmy podwoje okute do drwalni, téj stolicy *kanarka*.

Domański stał już na środku.

— Wychodź za drzwi! krzyknął na niego, ale ten stał nieruchomy jak kolos.

Gdy po kilkokrotném wezwaniu nie ruszył się z miejsca: przyskoczył doń, schwycił go za białą kamizelkę, w téj nadziei że go wyrzuci za drzwi. Ale Domański ani drgnął, kamizelka się rozpięła

---

się akademickiemu. Kurs historyi powszechnéj układał podług najsławniejszych autorów niemieckich i francuzkich (pozostał w rękopiśmie). Z zajęciem słuchała młodzież tego wykładu, bo wygłaszał go zawsze z pamięci, jaśnie i dobitnie, piękną nadewszystko, płynną mową polską. Przez Uniwersytet Warszawski zaszczycony został stopniem Doktora filozofii i magistra sztuk pięknych, a przez komissyą wyznań i oświecenia publicznego, mianowany członkiem Towarzystwa ustanowionego do układania książek szkolnych. Pamiętał swoich uczniów, i wielu ich po ojcowsku witał; doznałem tego sam, gdy z Podlasia przywiezioną pszenicę sprzedałem do Krasnobrzega, zwykle zwanego Żoliborzem. Był ks. Ciastowski wtedy rektorem i płacił mi za ziarno należność. W kilka lat gdym wrócił z zagranicy, zastałem go w klasztorze dawniéj Jezuickim na Świętojańskiéj ulicy. Już Żoliborz był zajęty na cytadellę warszawską (w r. 1832), i w tym szczupłym budynku musiał mieścić i pozostałych księży, i ogromną bibliotekę tak z Żoliborza jak z gmachów Długiéj i Miodowéj ulicy, które w roku 1834, przeznaczono na Sobór Ś-éj Trójcy. Gospodarzył jak mógł najużyteczniéj, aby ten kościół, który żadnych ołtarzy i ozdób właściwych już niemiał, na przyzwoitą świątynię Bożą zamienić. W wielkim ołtarzu pomieszczono ten sam obraz Ukrzyżowanego Zbawiciela, przed którym tysiące młodzieży przez wiele lat modliło się gorąco i korzyło. Inne, ozdobiły poboczne ołtarze. Trapiony smutną myślą, że już jest ostatnim tego zgromadzenia przełożonym, w sile męzkiego wieku, bo liczył dopiéro 46 rok życia, a w zakonie 29, dnia 18 czerwca 1837 roku zakończył życie. Prawy i świętobliwy kapłan, mąż uczony, światły przewodnik i opiekun młodzieży, był wzorem dla innych.

a ksiądz Wojciechowski, który głową nie dotykał jego ramienia, sam wyleciał za drzwi i nie oparł się aż o podwoje drwalni.

Cała klasa huknęła głośnym śmiechem, a pan professor skonfundowany wróciwszy z téj niespodzianéj wycieczki, kazał mu iść na swoje miejsce.

Oskarżył Domańskiego potém przed prefektem, ale ksiądz Ciastowski zbadawszy całą sprawą, zręcznie ją zatarł.

Ksiądz Wojciechowski jako nie mszalny, lubo zawsze intonował w kościele pieśni pobożne, a na to hasło wszyscy uczniowie na daną nutę chórem odśpiewywali, wystąpił ze Zgromadzenia zanim skończyłem Pijarskie szkoły, a uciuławszy sobie nieco grosza, ożenił się i na wsi gospodarował.

Do ulubionych professorów za moich czasów należał młodziutki ksiądz Szelęwski, wykładający język polski. Zdolności nie wysokie, ale dar nauczania wielki i umiejętność zachęcania młodzieży do gorliwéj pracy. Szczególniéj kochany był ksiądz Andraszek, postawy jak Ciastowski, tylko tuszy większéj, a na licach silniejszych rumieńców; wykładał język grecki i łacinę. Sarbiewski był jego ulubionym poetą, kładł on go jeżeli nie wyżéj, to na równi z Horacym. Nie mały mir mieli professorowie Lieder języka niemieckiego, jak Coché francuzkiego, a z nimi zacny Szwajnic. Z młodych pijarów Wolicki matematyk, Klonowski wykładający historyą powszechną, Politowski w niższych klassach geometryą, autor *Geografii Królestwa Polskiego* i w kwiecie wieku Antoni Waga naturalista, dziś szronem sędziwych lat ubielony. Z mówców na kązalnicy zapamiętam jedynie księdza Jakubowskiego (dotąd żyjącego proboszcza u Ś. Krzyża w Warszawie), który kazaniem na uroczystość Matki Boskiéj, nie zatarte wspomnienie w pamięci méj zostawił.

Najwyższą uroczystością w szkołach dla uczniów były wycieczki *majowe* i tak zwane *pomiary*, kiedy w piérwszych wszystkie klassy brały udział; w drugich tylko wyższe: czwarta, piąta i szósta.

Majówki zwykle w samych początkach maja, jeżeli czas był ciepły i wiosna się w całéj pełności rozwinęła, bywały wycieczkami w dalsze okolice Warszawy, jak do Bielan, Willanowa i Natolina. Pomiary już bliższe miejscowości wybierały, ażeby dość było czasu do zastosowania praktycznie tego, co wykładali professorowie matematyki w klassach. Na majówkę szło się lekko z węzełkiem tylko przysmaczków danych z domu, na pomiary brano okute chorągiewki, kije i łańcuchy, wraz ze stoliczkami niezbędnemi do pomiarów mających się wykonać. Piérwsze miały za cel tylko zabawę, odetchnienie wiosennem powietrzem, gdy się ziemia rozmaiła, drugie z wycieczką w wiejskie okolice i naukę. Na jedne i drugie młodzież z utęsknieniem oczekiwała i gromadnie się zbierała.

Egzamina odbywały się w wielkiéj sali, gdzie się mieściła liczna biblioteka w ogromnych szafach zamkniętych. Był to zbiór szacowny i bogaty.

Nagrody, uczniowie trzech klass niższych otrzymywali w laurach. Na arkuszu papieru zielono malowany laur otaczał wiersz stosowny, poniżéj imie i nazwisko ucznia, który tę nagrodę otrzymywał, a daléj podpisy wizytatora szkół, rektora i professorów. Trzy wyższe klassy od IV do VI odbierały nagrody w książkach pięknie oprawnych, z takiemiż napisami i podpisami, wyjąwszy, że już tego wiersza nie było.

Drukarnia pijarska mieściła się w tychże zabudowaniach na dole od podwórza. Przez długie lata wiodła ona rej pomiędzy wszystkiemi zakładami typograficznemi w kraju, dopóki Natan Glücksberg nie założył większéj i ozdobniejszemi drukami nie wydarł jéj pierwszeństwa. Pomimo to drukowała ona bardzo wiele książek szkolnych i z nich nie mały zbierała dochód.

W końcu istnienia Księztwa Warszawskiego zawiązało się w r. 1814 „Towarzystwo przyjaciół muzyki“, które co niedziela o godzinie jedenastéj rano, mszę wielką grało z towarzyszeniem chóru śpiewaków. Ta msza, jak wspomnieliśmy, zwabiała zawsze mnóstwo mieszkańców Warszawy, głównie z klass wyższych.

Opuszczając te mury, króre w pamięci tak głęboko się wyryły, muszę wspomnieć o skromnym braciszku Zgromadzenia księży Pijarów, Bartłomieju Czychy'm, którego postać pociągająca i łagodna, z uśmiechem na twarzy, tak żywo staje zawsze przed oczyma, gdy potrącę myślą o owe miłe czasy szkolne.

Czychy rodem był z Moraw, a zbliżony mową i charakterem do nas, przylgnął całą duszą do zgromadzenia zakonnego, którego suknię nosił.

Wszyscy co odbierali nauki w tych szkołach pijarskich znali go doskonale. Pracowity ten braciszek powierzony mając dozór kościoła, w oczach małych uczniów miał wielkie znaczenie. On to bowiem dobierał z licznego grona proszących się i żebrzących studentów, tych, co mieli służyć do mszy św., wręczał im mszał i potrzebne przybory, ubierał w komżę.

Czychy, na znak wielkiéj łaski, brał z sobą na wysoką wieżę do nakręcania zegaru, przeznaczał również w dnie uroczyste do usługi nabożeństwa, dozwalał mieścić się na chórze i wybierał do bicia we dzwony, do czego zawsze miał nawał ochotników. Postać to była, co po księdzu rektorze i księdzu prefekcie, najwięcéj się wdrażała w studencką pamięć. Łagodny, wyrozumiały, umiał dziwnie wszystkich malców zbiegających do zakrystyi, chęci i pragnienia zaspokoić. Trudno było wszystkim ochotnikom dać zajęcie od razu: ci, którzy z niczém wracać musieli, nie smutnieli, bo Czychy tego pogłaskał, tamtemu obiecał dać ważniejszy urząd, jak wyrażał, w dzień inny: ten dostał obrazek lub opłatki, tamtego wpuścił na chór, lub kazał uprzątać w zakrystyi, choć w niéj zawsze było czysto i porządnie. Wysokiego wzrostu, twarzy pociągłéj, chudy, jakkolwiek powolny był w ruchach, wszystko szło gładko i składnie. Kochali go

wszyscy, szczególniéj trzech niższych klass studenci, bo ci byli najskwapliwsi do posług kościelnych. Już zacząwszy od czwartéj klassy mniéj zaglądali do zakrystyi, zostawiając to zajęcie młodszym. W troskach, strapieniu, nie jeden znalazł w Czychy'm pocieszyciela, co otarł łzę młodą i chmurę zgryzoty zażegnał. Sam przypominam sobie, jak wkrótce po zapisaniu w rzęd uczni pijarskich do klassy drugiéj, przystrojony w komżę wraz z towarzyszem wyszedłem dumnie z zakrystyi i zadzwoniłem, poprzedzając księdza Politowskiego professora matematyki, co miał mszę świętą odprawiać. Nie umiałem wówczas służyć do mszy, ale liczyłem na mego towarzysza, co od roku już usługiwał i jak pacierz wszystko umiał. Ukląkłszy przeto mruczałem, naśladując odpowiedzi mego kolegi, ale podstęp się nie udał, bystre ucho księdza professora odkryło nieuka. Po mszy wchodząc do zakrystyi, poczułem rękę jego na mojém uchu i zakręcenie niém tak silne, aż mi łzy trysnęły.

— To ty... ty... (nieprzyjemny przydomek opuszczam) nie umiész do mszy służyć, rzekł z wolna ciągnąc jeszcze za ucho: naucz się na drugi raz!

Czychy widział i słyszał wszystko, kazał mi się zatrzymać, a gdy ksiądz professor wyszedł na śniadanie, wtedy pocieszał mię w ciężkiém strapieniu, dał książeczkę w któréj cała msza była w pytaniach i odpowiedziach, pogłaskał, otarł łzy dziecięce i w końcu dodał jeszcze piękny obrazek. Nazajutrz wziął mnie z sobą na wieżę do zegaru, a tak troskę bolesną rozwiał dobrocią swoją.

Szacunek i wdzięczną pamięć każdy z uczni zachowywał dla niego, czy złożywszy egzamin dojrzałości opuszczał szkoły pijarskie, aby w uniwersytecie poświęcić się wyższym naukom, czy przywdziewał mundur wojskowy, czy pracował jako urzędnik lub oddawał się pracy obywatelskiéj ziemiańskiéj. Jeżeli który z nich odwiedzał te gmachy szkolne, gdzie tyle wspomnień najpiękniejszych lat życia zostawił, nie przepomniał żaden wstąpić do kościelnéj zakrystyi i wchodził do niéj ochotnie, aby powitać i pozdrowić życzliwie braciszka Czyche'go, którego postać wplatała się tak silnie w owe rzewne wspomnienia młodości.

Czychy posiadał gruntownie język niemiecki i łaciński: ulubionemi dziełami jakie w tym ostatnim języku czytywał, były księgi o *Magii*. Książe Józef Poniatowski, który go znał osobiście, kiedy w czasie wypraw Napoleona I-go przechodził Morawy, znalazłszy tam rodzinę Czyche'go, przysłał mu od niéj ukłony i pozdrowienie. Wypadek ten wielce ucieszył skromnego Zakrystyana i rad o niém zawsze wspominał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nowe prawo hypoteczne pruskie.

PRZEZ

Feliksa Zielińskiego.

Zmiany w prawodawstwie kraju zajmującego w Europie tak przeważne stanowisko jakie zdobyły sobie Prusy, winny zwracać na siebie uwagę nie samych tylko specyalistów, lecz i ogółu oświeconéj publiczności.

Co do prawodawstwa hypotecznego pruskiego zachodzą nadto miejscowe względy, czyniące pożądaném u nas powszechniejsze obznajomienie się z jego zasadami.

Względy te wypływają po części z blizkiego sąsiedztwa, z powiązania stosunków majątkowych wielu mieszkańców naszego kraju, ze stosunkami osób zamieszkujących w Prusach; w części znowu ztąd, że systemat obowiązujących u nas urządzeń hypotecznych przejęliśmy z Prus. Ustawa hypoteczna pruska z r. 1783 wraz z dopełniającemi ją postanowieniami, obowiązywała nawet czas jakiś w części kraju pod panowaniem pruskiém zostającéj. Z wprowadzeniem kodeksu Napoleona przeszliśmy pod systemat hypoteki kodeksowéj, a gdy ta okazała sią niedogodną, wydane zostało w r. 1818 prawo hypoteczne oparte w głównych swoich zasadach na systemacie pruskim. Zmiany i uzupełnienia prawa z r. 1818 w późniejszych czasach wprowadzone nie naruszyły głównych jego podstaw, tak, że dotychczas rządzimy się zasadami uświęconemi ustawą hypoteczną pruską z r. 1783.

Koleje jakim uległy w samych Prusach, przejęte przez nasze prawodawstwo z Prus zasady, nie powinny więc ze względów naukowych i praktycznych pozostać dla nas obojętnemi. Do zwrócenia uwagi w obecnéj chwili na stan prawodawstwa hypotecznego pruskiego, pobudza ta jeszcze okoliczność, że prawodawstwo to po licznych częściowych zmianach uległo w r. 1872 ogólnéj reformie. Ustawa hypoteczna z r. 1783 przestała obowiązywać, w miejsce jéj wstąpiły z dniem 1 października 1872 r., w Prusach, a właściwie w téj ich części, w któréj obowiązywała rzeczona ustawa i landrecht, prawa i urządzenia hypoteczne opatrzone sankcyą monarszą w d. 5 maja 1872 r. [1]).

Podając wiadomości o téj reformie w piśmie przeznaczoném dla ogółu ukształconéj publiczności, nie tajemy przed sobą trudności zadania. Nie możemy przypuszczać u wszystkich naszych czytelników téj znajomości ogólnych zasad prawa, a w szczególe urządzeń hypotecznych, któraby bez wstępnych wyjaśnień czyniła zrozumiałemi zasady reform pruskich. Chcąc obudzić w czytelnikach interes do przedmiotu mało im znanego, nie możemy téż wchodzić w szczegóły ważne zapewne, ale których ważność tylko specyaliści zrozumieć i ocenić zdołają. Postaramy się rzecz specyalną uczynić dla ogółu przystępną, co jeśli nam się powiedzie bez zbytniéj ujmy w technicznéj dokładności przedstawienia, uważać będziemy cel zamierzony w téj pracy za osiągnięty, pozostawiając ściślejszy rozbiór przedmiotu naszym pismom prawniczym, których to jest właściwém, a dotąd ile nam wiadomo, nie spełnioném zadaniem.

W pracy niniejszéj przyjęliśmy porządek następujący. Po ogólnym rzucie oka na zadanie prawa hypotecznego i na sposoby jakiemi w przeszłości zadanie to rozwiązać starano się, skreślimy stanowisko dawniéj obowiązującego prawa pruskiego i tkwiące w niém, jako téż i nie zależne od jego zasad pobudki, które skłoniły rząd pruski do przedsięwzięcia zupełnéj reformy

[1]) Wydanie zupełne nowych ustaw hypotecznych pruskich wraz z pierwotnemi ich projektami, następnemi zmianami redakcyi, motywami, rozprawami w izbach i t. d. wyszło p. t. „Die preussischen Grundbuch und Hypotheken gesetze vom 5 Mai 1872 nebst Materialien.“ Urkundlich geordnet von F. Werner Kreisgerichts Direktor. Berlin 1872, u Kortkampfa. Części dwie. Dzieło to przywodzić będziemy w ciągu niniejszéj pracy po imieniu wydawcy Wernera.

ustaw hypotecznych. Przejdziemy następnie różne koleje podjętéj około téj reformy pracy; przypatrzymy się zewnętrznemu kształtowi nowego prawodawstwa, zwracając uwagę na jego redakcyą, nakoniec przedstawimy w głównéj treści przepisy nowego prawa, wskazując jakiemi środkami starano się w niém rozwiązać zadanie, jakie sobie prawodawcy wytknęli, i jaki udział w tém rozwiązaniu przyjęły różne czynniki prawodawcze.

Rzućmy najprzód okiem na zadanie prawa hypotecznego.

Kto wchodzi z właścicielem nieruchomości w umowę, potrzebuje wiedzieć nasamprzód, czy ten kto mu się za właściciela przedstawia, jest istotnie właścicielem? Może nim być, a przecież niebezpiecznie byłoby wchodzić z nim w układy, bo na własności jego mogą być oparte prawa osób trzecich, w części lub w całości szacunek nieruchomości wyczerpujące, czyli inaczéj mówiąc, właściciel nieruchomości może być właścicielem obdłużonym. Mamy zaś interes dowiedzieć się, czyli właściciel nieruchomości, z którym chcemy wejść w umowę, jest obdłużony? dla tego, że jakkolwiek według ogólnéj zasady, każdy za swoje zobowiązania odpowiada całym swoim majątkiem, to przecież prawa wszystkich ucywilizowanych krajów, dozwalają właścicielom nieruchomości opierać bezpieczeństwo wierzycieli na szacunku nieruchomości, z takim skutkiem, że wierzyciel dawniejszy, dawniéj na nieruchomości ubezpieczony, ma pierwszeństwo przed wierzycielem późniejszym. Przez nadanie wierzycielowi prawa specyalnego do zaspokojenia z nieruchomości, właściciel tejże usuwa pewną część swego majątku od dochodzenia późniejszych wierzycieli. Wchodzący więc z nim w umowy mają interes upewnić się, jaka część szacunku nieruchomości jeszcze nie przekazana, pozostaje w rozporządzeniu właściciela.

Z tego pobieżnego zarysu stosunków, które prawodawstwo hypoteczne ma urządzać, widzimy jakie są zadania tego prawodawstwa. Urządzenia hypoteczne zmierzać powinny do tego, aby każdy, komu służy tytuł prawny, mógł osiągnąć zabezpieczenie swego prawa w oznaczonym stosunku pierwszeństwa; obok tego potrzeba, aby każdy komu na tém zależy, mógł bez

szczególnych zachodów powziąć dokładną wiadomość, jakie prawa na nieruchomości i od kogo? nabyć może.

Te dwa główne zadania, które prawodawstwo hypoteczne rozwiązać winno, odpowiadają dwóm zasadom prawa hypotecznego, które technicznie zowią się zasadami specyalności i jawności. Specyalność stanowi istotę hypoteki; jawność jest jéj głównym warunkiem.

Loiczny wywód przedmiotu wymaga postawienia na pierwszém i naczelném miejscu zasady specyalności, lecz rozwijając przedmiot koleją jego przejawów, napotykamy naprzód wymaganie jawności. Zanim nabędziemy prawa, musimy naprzód mieć wiadomość, jakie prawo nabyć możemy? Ztąd téż w rozbiorze zasad prawa hypotecznego, zwykle zasada jawności stawianą bywa na pierwszém miejscu.

Widzieliśmy, że potrzeba jawności odnosi się w prawie hypotecznem do dwóch głównych punktów. Potrzeba aby ci, których to obchodzi, mogli powziąć wiadomość, kto jest właścicielem nieruchomości, i jakie są prawa osób trzecich na nieruchomości oparte. Potrzeba ta zachodzi w każdym stanie społeczeństwa. Lecz z natury rzeczy wypływa, że środki jawności różnić się muszą w różnych epokach rozwoju społecznego. W pierwotnym stanie społeczeństw jawność osiągała się przez akta uroczyste na zebraniach ludowych odbywane; późniéj akta te zawierano, jeszcze nie bez pewnych uroczystości, przed urzędem publicznym; późniéj nakoniec uroczystości znikły: zastąpiło je świadectwo pisma.

Musimy na chwilę zboczyć od głównego naszego zadania przedstawienia zasad nowego prawa hypotecznego pruskiego i krótkim rzutem oka objąć historyą przedmiotu. Skłania nas do tego okoliczność, że przy układaniu nowego prawa pruskiego, historyczne reminiscencye, jak się przekonamy, ważną odegrały rolę.

Wiadomo, że prawodawstwa nowoczesnych ludów Europy mają dwa główne źródła: prawo rzymskie i samorodne prawa różnych narodów, ich prawo zwyczajowe. Sprowadzając do najprostszego wyrażenia kwestyą stosunku w prawodawstwach europejskich prawa zwyczajowego do prawa rzymskiego, wykazując ogólną ideę kryjącą się pod powłoką szczegółowych fak-

tów, powiedzieć możemy, że nowoczesne ludy europejskie rządziły się pierwiastkowo swojemi zwyczajami odpowiedniemi ówczasowemu stopniowi ich społecznego rozwoju. Późniéj kiedy za wzrostem ludności i cywilizacyi stosunki między ludźmi zaczęły tracić swoją pierwotną prostotę, dawne zwyczaje nie wystarczały. Chwytano się więc zasad prawa rozwiniętych w społeczeństwie tak wysoko w cywilizacyi posuniętém, jakiém było rzymskie w swojéj późniejszéj epoce, a gdy miejscowe zwyczaje nie straciły przytém zupełnie swojéj powagi, powstała ztąd najróżnorodniejsza mięszanina zasad często z sobą sprzecznych prawa rzymskiego i krajowego, jednocześnie w zastosowaniu będących.

Gdybyśmy znali więcéj niż to przy braku źródeł jest możliwém, prawo rzymskie w pierwotnych jego zawiązkach t. j. w czasach kiedy było prawem społeczeństwa mało jeszcze w cywilizacyi posuniętego, jestem dość przekonany, że zasady tego prawa w wielu razach okazałyby się podobne, jeżeli nie te same, z zasadami praw zwyczajowych nowoczesnych ludów na tym samym stopniu rozwoju społecznego zostających. Różnice, sprzeczności nawet, zachodzące między zasadami prawa rzymskiego a zasadami praw zwyczajowych, skłonny jestem przypisywać nie tyle szczególnym właściwościom jednego i drugiego z tych praw, jak raczéj téj okoliczności, że prawo rzymskie w tym kształcie w jakim nas doszło, jest prawem społeczeństwa zostającego w epoce zupełnego rozwoju a nawet chylącego się już do upadku, kiedy prawa zwyczajowe są prawami ludów młodzieńczych, w części jeszcze z barbarzyństwa nie wyszłych.

Prawnicy, zwłaszcza niemieccy, skłonni podnosić, nawet z przesadą, odrębną właściwość swojego prawa narodowego, uważają, że prawo niemieckie w tém się w zasadach swoich różni z prawem rzymskiém w przedmiocie form nabywania własności nieruchoméj, iż główną wagę przywiązuje do jawności aktu nabycia, t. j. względu, który według nich prawu rzymskiemu miał być obcy. Takie zapatrywanie się na stosunek obu praw weszło do urzędowych motywów nowéj ustawy hypotecznéj pruskiéj (Werner II, s. 12). Według tych motywów, charakterystyczną cechą prawa niemieckiego przy sprzedaży i obciążaniu nieruchomości być miało to, że do przeniesienia

własności nieruchomej lub jéj obciążenia nie wystarczały ani umowy, ani wydanie przedmiotu lub wykonywanie prawa rzeczowego, jak w prawie rzymskiém, ale że potrzeba było w tym celu aktu publicznego (oeffentlicher Akt), który w późniejszych czasach spełnienie swoje otrzymywał przez wpisanie do ksiąg publicznych. Różnicy téj nie zaprzeczam zupełnie, ale na stosunek dwóch praw, rzymskiego i niemieckiego, odmiennie zapatruję się od urzędowych motywów.

I w Rzymie równie jak w Niemczech były pierwotnie w użyciu akta publiczne, uroczyste (legis actiones) jako forma przeniesienia własności ściśle rzymskiéj. Kiedy państwo rzymskie składało się tylko z miasta i jego okręgu, przeniesienie własności mogło się odbywać publicznie, uroczyście, na zebraniu ludowém. Najdawniejsza forma przedaży, tak zwana mancypacya, nosi ślady takiego stanu rzeczy. Druga forma przedaży ściśle rzymska (in jure cessio) była przedażą pod formą sporu i przysądzenia sądowego, odbywaną w Rzymie w obec pretora, na prowincyi w obec rządzcy téjże (prezesa). Urzędowy charakter téj drugiéj formy, mojém zdaniem nowszéj, dochował się téż dłużéj, i dlatego właśnie dawano nad nią, jak pisze Gajus, w potocznem użyciu pierwszeństwo mancypacyi, która w dawnéj już epoce straciła znamiona aktu publicznego, zastępując obecność publiczną obecnością świadków przedstawiających odróżnione w prawodawstwie Serviusza Tulliusa klassy społeczeństwa [1]).

---

[1]) Porównaj Gajus, Comm. II § 25 i Scholie do Gaja przez Gansa w tłumaczeniu Rzesińskiego s. 178. Arnold, Cultur und Recht der Römer 1868, s. 178 uważa sprzecznie z Gansem formę in jure cessio za dawniejszą od mancypacyi. Ale co do czasów tak odległych, przy braku świadectw, opierać się możemy tylko na ocenieniu saméj natury przedmiotu, a ta, według mojego uważania, każe mancypacyą uznać za dawniejszą od in jure cessio. Że mancypacya pierwotnie odbywała się na zebraniu ludowém, to wnosić możemy i ztąd, iż w niektórych szczególnie ważnych wypadkach np. przy arrogacyi, taka jéj forma dotrwała późniejszych czasów. Przy mancypacyi brano metal na wagę, co dowodzi jéj pochodzenia z czasów, kiedy bite pieniądze nie były jeszcze w użyciu. Świadectwo jéj istnienia mamy już w prawie XII tablic. Stwierdza jéj dawność uwaga, że przy wyliczaniu przez prawników rzymskich form nabycia, mancypacya zawsze jest kładziona na pierwszém miejscu, przed in jure cessio.

Widzimy ztąd, że w wymaganiu aktu publicznego, uroczystego, dla przeniesienia własności, niéma nic coby za cechę charakterystyczną prawa niemieckiego uważać należało. Jawność była i jest zawsze przy przeniesieniu własności potrzebną, tylko ta jawność, jak już nadmieniliśmy, w różnym stanie społeczeństwa i przy różnym stopniu wykształcenia powszechnego osiąga się różnemi środkami.

Pierwszym z tych środków jest zawieranie publiczne aktów uroczystych. Lecz stan rzeczy którego właściwością jest taki środek zapewnienia jawności aktów nabycia, przeminął już dawno, nietylko w Rzymie ale i w Niemczech. Motywa urzędowe nowego prawa pruskiego przywodząc historycznie ten środek jawności, uważają za właściwość prawa niemieckiego w późniejszych czasach przenoszenie własności przez wciągnięcie aktu do ksiąg publicznych. Środek ten jawności nie był przecież obcy późniejszemu prawu rzymskiemu [1]); w nowoczesnéj Europie zastosowanie jego było dość powszechne, nad czém nie tu miejsce rozszerzać się; ani w tém więc nie widzimy cech odrębnéj właściwości prawa niemieckiego.

Jakiekolwiek są przecież różnice zapatrywania się naszego od poglądu urzędowych motywów pruskich na historyą przedmiotu, nie ulega zaprzeczeniu, że pod wpływem formalizmu prawniczego wyrobiły się w Niemczech dwie odrębne teorye w kwestyi form przeniesienia własności. Jedna opierała się na prawie rzymskiém takiém, jakie było w ostatniéj epoce swego rozwoju, w ustawach cesarskich, t. j. w formie w któréj prawo rzymskie stało się wzorem i podstawą prawodawstw europejskich. Otóż w tém prawie zasadą było, że do przeniesienia własności rzeczy, nie dość jest umowy między stronami zawartéj, że potrzeba nadto i wydania przedmiotu, którego

---

[1]) Porów. Arnold s. 190 i przywiedziony przez tegoż w przypisku 54 Rudorff w Zeitschrift für geschichtliche Rechtswissenschaft z roku 1846. 13. s. 189—190.

Nadmieniam, że coś podobnego do in jure cessio t. j. zbycie własności pod formą sporu i przysądzenia sądowego było znaném i w Niemczech. P. Werner II s. 89 i przywiedzione tam dzieło p. Labandt p. t. „Die vermögensrechtlichen Klagen.

własność ma być przeniesioną, tak jak potrzeba posiadania rzeczy dla jéj nabycia dawnością. *Traditionibus et usucapionibus sed non nudis pactis dominia rerum transferuntur L. 20 C. de pactis.*

Druga teorya uważana za czysto-niemiecką wymagała dla przeniesienia własności nieruchomej ustąpienia téj własności na rzecz nabywcy aktem publicznym do ksiąg wciągniętym. To ustąpienie własności nazywało się technicznie w staréj niemczyznie „Auflassung“, a w średniowiecznéj łacinie „resignatio [1]).

Teorya pierwsza stała się w Niemczech że tak rzeczem urzędową, przeszła do wykładów prawa powszechnego niemieckiego, opartego na rzymskiém; teorya druga zachowała swoje znaczenie mianowicie w urządzeniach miejskich.

W Prusach zaprowadzono już w roku 1722 księgi mające zapewnić jawność prawa własności i jego obciążeń. Urządzenie to ostatecznie rozwinięte zostało przez ustawę hypoteczną z roku 1783. Lecz myliłby się ktoby mniemał, że przez zaprowadzenie ksiąg hypotecznych teorya rzymska wymagająca obok umowy wydania rzeczy, dla przeniesienia własności, straciła w prawie pruskiém swoje znaczenie. Jestto owszem właściwością tego prawa, że wychodząc nieraz z dwóch zasad z sobą sprzecznych, stara się utrzymać równe znaczenie obudwu.

---

[1]) Porów. Heineccius. Akademische Reden etc. wydanie 4-te s. 370... die sogenannte resignatio judicialis oder die gerichtliche Auflassung. Wyraz resignatio miał jeszcze znaczenie zrzeczenia się. Rezygnacya w obu znaczeniach ustąpienia własności i zrzeczenia się przeszła i do naszego języka. Obacz Lindego słownik pod wyrazem Rezygnacya. Linde tłumacząc rezygnacyą przez zrzeczenie się, ustąpienie, odsyła przytém do wyrazu *wzdawać*. Pod wyrazem *wzdać* Linde przywodzi wyrazy wzdany, wzdanie, powzdanie, spuszczenie.

Technicznym wyrazem polskim tłumaczącym rezygnacyę, Auflassung, jest *wzdanie*; lecz gdy ten wyraz wyszedł z użycia, niemiecką Auflassung, która niespodziewaną koleją wypadków, doszła w nowem prawie pruskiém do tak ważnego znaczenia, należałoby jak mniemam oddać przez rezygnacyę, wyraz w dawném naszém prawie używany. Linde w swym słowniku przytacza różne wyrazy niemieckie na oddanie polskiego wzdanie, pomija przecież nazwę Auflassung będącą wyrażeniem technicznem.

Dutkiewicz rozbierając przedmiot przeniesienia własności w szacownem swojém dziele p. t.: Prawo hypoteczne, mówi (str. 59).

„*Prawo pruskie nie wymaga co do dóbr nieruchomych wydania*, ale wymaga wciągnięcia tytułu nabycia do księgi hypotecznéj; kładzie to wciągnienie za warunek możności rozporządzenia i w stosunkach z każdym trzecim tego tylko za właściciela uznaje, kto ma na siebie tytuł własności uregulowany.“

Pierwsze z tych orzeczeń nie jest nacechowane zwykłą u Dutkiewicza dokładnością. Dutkiewicz ścieśnił swój pogląd na prawo pruskie, zapatrując się zbyt wyłącznie na przepisy ustawy hypotecznéj z roku 1783. Nie zwrócił uwagi na to, że Kodeks pruski (Landrecht) późniejszy od Ustawy hypotecznéj uświęcił w części I tytule 10 § 1 zasadę przeciwną, według któréj do przelewu prawa własności (bez względu czy rzecz jest ruchomą czy nieruchomą) potrzeba oprócz przynależnego tytułu, rzeczywistego wydania rzeczy.

Zapatrywanie się prawodawcy pruskiego na zasady sterować mające przy przeniesieniu własności, było nie jasne. Nie zdawano sobie sprawy z istotnéj sprzeczności dwóch zarówno w prawie uświęconych zasad. Zadaniem było tak władz kierujących rozwojem prawodawstwa jako téż sądownictwa pruskiego, określić ściśléj w jakich razach jedna, w jakich druga zasada ma być stosowaną, lub téż czyli jedna drugiéj ustąpić winna.

Władza prawodawcza nie oddzielona od wykonawczéj w Prusach do połowy prawie bieżącego stulecia, z początku przechyliła się na stronę zasady jawności; tradycyi, wydaniu rzeczy, nadawała w systemacie prawnym podrzędne znaczenie. Późniéj atoli, od roku 1815 zaczęła przechylać się na stronę teoryi rzymskiéj uświęconéj w Landrechcie.

Sądownictwo (Najwyższy Trybunał) od początku poszło za teoryą rzymską; ostatecznie uświęciło jéj moc obowiązującą w prawie pruskiém wyrokiem ogólnego zebrania Najwyższego trybunału z dnia 5 marca 1854 r., tak iż odtąd zasadą prawa stosowaną bezspornie w sądownictwie pruskiém stało się:

że własność nieruchomości nabywa się nie przez wciągnięcie do ksiąg wieczystych, lecz przez wydanie przedmiotu;

tylko zatém właściciel znajdujący się w naturalném posiadaniu nieruchomości, może zbyć nieruchomość, bo tylko taki właściciel może dopełnić jéj wydania; natomiast wpisany do ksiąg wieczystych właściciel, któremu nieruchomość wydaną nie została, może z trzeciemi będącemi w dobréj wierze wchodzić ważnie w umowy, skutkiem których jest obciążenie nieruchomości, o ile do takiego obciążenia posiadanie nieruchomości nie jest potrzebne.

Taka wykładnia prawa sterująca wyrokowaniem sądownictwa pruskiego, nie zyskała przecież w literaturze prawnéj pruskiéj przychylnego uznania. W praktyce skutkiem téj wykładni był zamęt w stosunkach prawnych.

Motywa urzędowe nowego prawa hypotecznego, w celu, jak mniemam, osłonięcia powagi najwyższego sądownictwa krajowego, starają się wykazać, że wykładnia przez Najwyższy trybunał przyjęta nie zostawała w sprzeczności z przepisami prawa. Oceniając jak należy pobudki téj obrony, nie uznajemy jéj za dostateczną. Niezależni od względów miejscowych nie wahamy się wyrzec, że wykładnia Najwyższego trybunału berlińskiego nie była odpowiednią duchowi i potrzebom czasu.

Co innego jest wykładać prawo z katedry, objaśniać myśl jego w naukowych rozprawach, co innego z krzesła sądowego stosować prawo, rozstrzygając sporne kwestye.

Wykładnia naukowa może i powinna na równych zupełnie szalach ważyć powody skłaniające do takiego lub innego rozumienia prawa; a jeżeli żaden z tych powodów nie przeważa, może nawet w ostatecznym wyniku uznać myśl prawa za wątpliwą. Sądy w wykładni prawa powodować się winny, zdaniem naszém, nie samemi tylko teoretycznemi względami. U nas zwłaszcza, gdzie od sądzenia wymawiać się nie mogą przywiedzeniem, że prawo milczy, że jest ciemne lub niedostateczne, sądy powinny, jeżeli wyrazy prawa są wątpliwe, a w takich tylko razach wykładnia ma miejsce, dawać przewagę takiéj wykładni która zasady prawa godzi z rzeczywistemi potrzebami życia. Probierzem, czyli wykładnia sądowa weszła na tór właściwy, jest dalszy postęp prawodawstwa, który zasady przez wykładnią sądową wytworzone zatwierdza lub obala. Otóż

że wykładnia prawa Najwyższego trybunału berlińskiego weszła na tór potrzebom czasu nieodpowiedni, najlepszym dowodem jest, iż dalszy postęp prawodawstwa pruskiego przejawiający się w nowéj ustawie hypotecznéj, uchylił zasadę wytworzoną przez wykładnię sądową [1]).

Zamęt w prawie hypoteczném pruskiém tkwiący wjego zawiązku, rozwinięty przez nieodpowiednią potrzebom czasu wykładnię sądową, nadwerężając zasadę jawności, stał się jednym z głównych, lubo nie jedynym powodem wydania nowych przepisów prawodawczych.

Przebieżemy pokrótce inne pobudki znaglające do stanowczéj reformy prawa hypotecznego w Prusach.

Jawność stosunków własności gruntowéj, osiąga się w dzisiejszym stanie społeczeństw, przez wciągnienie aktów tych stosunków dotyczących do ksiąg publicznych, gdzie każdy, komu na tém zależy, akta te przejrzéć może. Jawność jest zupełna wówczas, jeżeli nie ma wyjątku od zasady, iż tytuły prawne, na których opierają się prawa rzeczowe dopiero od wciągnienia ich do ksiąg publicznych, stają się obowiązującemi względem trzecich. Trzeci mają w tym razie rękojmię, że przejrzawszy dokumenta w księgach publicznych złożone, a do pewnéj nieruchomości ściągające się, osiągną zupełną wiadomość o stanie hypotecznym téj nieruchomości.

Lecz rozmaite prawodawstwa dopuszczały od téj zasady wyjątków, tak zwanych hypotek tajnych i t. p.; ztąd w pismach

---

[1]) Pozwolę sobie przywieść tu z dziejów dawniejszych naszego sądownictwa przykład wykładni na tor nieodpowiedni potrzebom czasu wprowadzonéj.

Prawo o Towarzystwie Kredytowém Ziemskiém z r. 1825 nie wspomniało nic o tém, czy w razach sprzedaży nieruchomości przez Towarzystwo, postąpienie czwartéj części nad osiągnięty na licytacyi szacunek, przy sprzedażach sądowych dozwolone, ma miejsce lub nie?

Wynikła stąd kwestya, czy w sprzedażach przez Towarzystwo dokonywanych relicytacya dopuszczoną być może? Wykładnia sądowa kwestyę tę w sposób przeczący rozwiązała tak, że potrzeba było osobnego przepisu prawa (z r. 1853), aby uchylić zasadę wytworzoną nieodpowiednio potrzebom czasu przez wykładnią sądową. Por. Ekonomista r. 1866 część I, artykuł pod t.: Materyały do historyi Tow. Kred. s. 233, 234.

prawników zasada jawności bywa rozbieraną głównie pod względem wyżéj przywiedzionym.

Ale zasada jawności, oprócz strony prawnéj, ma jeszcze inną, że tak rzeczem faktyczną stronę nie ledwie tyle, co pierwsza ważną, a w dziełach naukowych mniéj uwzględnianą.

Przeglądanie dokumentów w przedmiocie pewnéj nieruchomości sporządzonych, jest rzeczą wymagającą częstokroć nietylko wiele czasu, lecz i specyalnéj znajomości przedmiotu. Nie dosyć bowiem poznać przez odczytanie wszystkie akta do pewnéj nieruchomości ściągające się, a akta te są czasem tak liczne, że zapełniają po kilka grubych woluminów; trzeba jeszcze być dość obznajmionym z prawem, aby ocenić, które z tych aktów są prawne, a do których, jako nieodpowiednich przepisom prawa znaczenia przywiązywać nie należy, lub też które z tych aktów są jeszcze ważne, a które upadły już w swéj mocy.

Ażeby ułatwić i urzeczywistnić faktycznie jawność stosunków własności gruntowéj, dawne prawodawstwo pruskie zaprowadziło tak zwane u nas wykazy hypoteczne, t. j. tabelki, w których wpisuje się treść aktów do nieruchomości odnoszących się w takich punktach, o których wiadomość jest dla trzecich osób potrzebną. Zbiór takich tabel dla nieruchomości pewnego okręgu zowie się w Prusach: Grundbuch.

Ten skrócony obraz stanu hypotecznego nieruchomości, jest w stosunkach własności gruntowéj, tak w Prusach, jak u nas—z tą tylko różnicą, że wykazy są u nas dołączone do pojedynczych ksiąg nieruchomości, a nie w jeden ogół dla całego okręgu zebrane—podstawą jawności, jéj urzeczywistnieniem faktyczném. Zawiłość stosunków ludzkich jest jednakże tak wielką, że zdarza się, u nas przynajmniéj, iż nawet skrócony obraz stosunków hypotecznych czyli wykaz, jest tak obszernym i zaciemnionym przez mnóstwo obciążeń, przelewów, subintabulatów, ostrzeżeń, odsyłaczy i t. d., że tylko prawnik i to mający ciągłą praktykę wykazów hypotecznych, potrafi nie zgubić się w tym labiryncie.

Ażeby odczytanie wykazu hypotecznego czyniło zbytecznem dla osób trzecich rozczytywanie się w samych aktach, których treść do wykazu wciągniętą została, zdawało się potrzebném, iżby prawność aktów uprzednio przez sąd rozpoznaną została,

i ażeby tylko z aktów zatwierdzonych, t. j. za prawne uznanych treść do wykazu wciągniętą była. Inaczéj odczytanie wykazu czyli treści, nie zwalniałoby od odczytania samych aktów, bo z treści do wykazu wciągniętéj o ważności lub nieważności samego aktu przekonać się nie można.

Takim sposobem z rozwiniętéj zasady jawności, wywiązała się trzecia główna zasada prawa hypotecznego pruskiego, zasada prawności (Legalitaets prinzip), t. j. zasada, że do wykazu hypotecznego mogą być wciągnięte treści z takich tylko aktów, które przez sąd właściwy za prawne uznane zostały. Zasada prawności przy systemacie wykazów hypotecznych, była wynikłością naturalną. Z jéj zastosowania wywiązały się przecież niedogodności przez prawodawstwo nieprzewidziane.

Sądy przy rozpoznawaniu aktów, z których treść miała być wciągniętą do wykazu hypotecznego, działały kolegialnie, a kolegialne działanie jest z natury swojéj nieco ociężałe. Przez zasadę legalności, pośpiech w interesach był nieraz na zwłokę narażony. Kolegia złożone z członków sądownictwa przywykłych do prawnego zgłębiania, przedstawionych przez strony sporów, skłonne były stosować ten sam sposób roztrząsania przy rozpoznawaniu niespornych aktów dobréj woli, odmawiały zatwierdzenia aktom, które mogłyby wprawdzie zostać uchylone, gdyby spór o ich ważność wytoczony został, lecz które przy zgodném usposobieniu stron, mogły także ostać się w swéj mocy. W takich razach sądy działaniem swojém wywoływały czasem spory, którychby bez tego nie było. Zdarzało się to tém łacniéj, że prawo uczyniło członków sądu odpowiedzialnemi za szkody, jakieby z niewłaściwego zatwierdzenia aktu wynikły; unikając téj odpowiedzialności, członkowie sądu okazywali się bardzo, czasem nawet nadto skrupulatnemi przy rozpoznawaniu aktów. Wreszcie obok niejednostajnego tłumaczenia prawa, co jest rzeczą nieuniknioną, w decyzyach ich zachodziła chwiejność [1]).

---

[1]) W początkach mojéj praktyki sądowéj przed laty przeszło trzydziestu, miałem takiéj chwiejności w działaniu władz hypotecznych u nas ciekawy przykład, który, wyznaję, uczynił mnie już wówczas bardzo chłodnym dla zasady prawności hypotecznéj.

Powierzenie sądom rozpoznawania prawności aktów przez strony zawieranych, uważać można było za oddanie czynności od dobréj woli stron zawisłych pod nadzór i kontrolę sądów. Zasada prawności, zjednała téż sobie w Prusach nie zbyt pochlebne przezwisko zasady kurateli (Bevormundungs prinzip).

Taki stan rzeczy, narażając na zwłokę i utrudniając obrót stosunków majątkowych na własności gruntowéj opartych, znośnym był a przynajmniéj nie wywoływał zbyt głośnych zażaleń, dopóki wypożyczanie kapitałów na hypoteki, było jeśli nie jedynym, to przynajmniéj głównym środkiem bezpiecznego umieszczenia kapitału, dopóki właściciele nieruchomości nie spotykali spółzawodnictwa na targu pieniężnym, co do kapitałów stałego umieszczenia poszukujących. Ale położenie targu pieniężnego uległo zmianie niekorzystnéj dla właścicieli nieruchomości, zmianie stopniowéj i powolnéj w trzecim i dalszych dziesiątkach naszego stulecia, przyspieszonéj i raptownéj w dziesiątku szóstym i siódmym. Coraz więcéj zaczęło się okazywać na targu pieniężnym papierów, które przedstawiając równe bezpieczeństwo, co wierzytelności hypoteczne, miały nad niemi

---

Pracowałem w jednym z wydziałów hypotecznych. Wydziały te, jak wiadomo, składają się z dwóch członków sądu i pisarza, który ma także głos stanowczy. Zdarzyło się, że pisarz wydziału, w którym pracowałem, wyjechał za urlopem na ferye. Zastępstwo jego powierzone zostało dwóm miejscowym rejentom, którzy urządzili się w ten sposób, że jeden z nich zasiadał przez dwie pierwsze godziny posiedzenia wydziału, drugi przez dwie następne.

W kwestyi dość często wówczas pod rozpoznanie wydziału przychodzącéj, czyli kara pieniężna za niedotrzymanie umowy, w aktach pożyczki zastrzegana, może wejść do wykazu hypotecznego lub nie? zdania dwóch członków sądowych wydziału były podzielone. Dwaj rejenci, zastępujący pisarza, byli także odmiennego zdania. Wynikło ztąd, że jeden i ten sam wydział, na jednem i tém samém posiedzeniu, z małą tylko zmianą w komplecie, odmawiał wpisania do wykazu hypotecznego kar konwencyonalnych od 10 do 12 godziny, a zatwierdzał takie wpisy od dwunastéj do drugiéj w miarę tego, który rejent uczestniczył na sessyi. Decyzya w ostatecznym wypadku zależała od referentów; według tego jak który był stronnikiem czy przeciwnikiem zatwierdzenia kar konwencyonalnych, przedstawiał akt w pierwszéj lub drugiéj połowie audyencyi i otrzymywał podpis przygotowanéj przez siebie decyzyi.

Wyznać należy że zasada prawności doprowadziła w tym razie do skutków przez prawodawcę zapewne nie przewidywanych.

tę niezaprzeczoną przewagę, że były przedmiotem znajdującym zawsze gotowych nabywców, przechodziły z rąk do rąk bez formalności i kosztów, a przynosiły równy, często nawet wyższy procent od wierzytelności hypotecznéj, z czém łączyła się szansa zysku na wylosowaniu, premiach i podniesieniu się kursu.

W tych okolicznościach nietylko stopa procentu od pożyczek na hypotekę doszła do wysokości przedtém w Prusach niepraktykowanéj, ale nawet po najcięższych warunkach trudno było o kapitał. Członek Izby Panów von Kleist Retzow w swojéj mowie (Werner II s. 83), oznaczył tę podwyżkę procentu w Prusach ze czterech do siedmiu procent, i zaświadczył niemożność czasem się wydarzającą, dostania pieniędzy na pewną hypotekę nawet po téj ostatniéj stopie.

Jednocześnie własność nieruchoma i rolnictwo, więcéj niż kiedykolwiek, zaczęły potrzebować kapitału. Własność potrzebowała więcéj kredytu, niż dawniéj, bo cena jéj poszła w górę; ztąd nabywcy, dzielący się spadkobiercy i t. d. potrzebowali zaciągać pożyczki dla spłaty szacunku, będące głównem źródłem obdłużenia hypotecznego, w większéj niż dawniéj wysokości. Rolnictwo potrzebowało téż więcéj kredytu, bo coraz kosztowniejszym nakładem, wprowadzano doń coraz nowe ulepszenia.

Zwiększona potrzeba kapitału przy pogorszonych warunkach pieniężnego targu, utrudniając pożyczki hypoteczne wywołały zażalenia na wadliwy stan hypoteki pruskiéj i ogólne żądanie stanowczéj reformy prawodawczéj, od któréj oczekiwano, łudząc się niezasadną, ale łatwą do wytłumaczenia nadzieją, poprawy stosunków kredytowych.

Oprócz wytkniętych powyżéj dwóch pobudek reformy prawa hypotecznego pruskiego z zasadami tegoż prawa związek mających, t. j. sprzeczności naczelnych jego przepisów i wytworzonych ztąd przez wykładnią sądową zasad narażających na szwank jawność hypoteczną, tudzież zasady prawności za daleko posuniętéj, były jeszcze dwie inne ważne okoliczności więcéj formalnéj natury, które stały się przynaglającemi pobudkami ogólnéj reformy prawa hypotecznego pruskiego.

Obrót interesów stał się więcéj szybki, niż był dawniéj: dążność do uruchomienia wszelkich stosunków, otrzymała w nowszych

czasach przewagę. Téj dążności nie odpowiadały przepisy dawnego prawa hypotecznego pruskiego, przeniknione duchem zupełnie odmiennych stosunków. Formy tworzenia dokumentów hypotecznych, przelewu wierzytelności i t. d. były ciężkie, nieporadne, zdawały się obmyślone raczéj w celu unieruchomienia kapitałów hypotecznych, niż w celu ułatwienia ich obrotu na targu pieniężnym. Wszystkie te formy zwiększały koszta sądowe i stempla, odstręczając tém więcéj kapitał od umieszczeń hypotecznych. Uznano potrzebę temu zaradzić.

Z biegiem czasu wywiązała się jeszcze inna niedogodność. Każde prawo po dłuższym upływie czasu od jego wydania, traci swoją pierwotną przejrzystość i potrzebuje przelania w nową formę. Od chwili wydania prawa hypotecznego w r. 1783, nagromadziło się tyle do niego dodatków, tak zwanych w Prusach nowelli, reskryptów objaśniających, uzupełniających i t. d., że to samo już zrodziło potrzebę nowéj kodyfikacyi. Ale stanowczym w téj mierze względem stało się nagłe i znakomite powiększenie się obszaru państwa pruskiego skutkiem wypadków 1866 i 1870 r. Zamierzono dojść w tym kraju do jedności prawodawstwa; jeżeli można zamierzono rozciągnąć moc obowiązującą tego prawodawstwa do całych Niemiec, pod wodzą Prus zjednoczonych. Nieporęcznie było wprowadzać nowych mieszkańców do starego gmachu, który przez częste przybudowy, pozostał jako tako mieszkalnym dla tych, którzy w nim wzrośli i do jego niedogodności przywykli, ale w którym osadzić nowych przybyszów było niepodobna, gdy ci mieli po części swoje własne mieszkania nowsze i lepsze niż to, do którego sprowadzićby się musieli. Porzucając styl figuryczny, powiemy, że prawo hypoteczne pruskie wyprzedzone zostało przez prawodawstwa niektórych innych krajów niemieckich, a mianowicie meklemburskie, na które już dawno w samych Prusach zwracać zaczęto uwagę [1].

---

[1]) W roku 1846 Dr. Goetze jeden z najwięcéj cenionych prawników pruskich, złożył ministrowi sprawiedliwości sprawozdanie o prawie hypotecznem meklemburskiem, na skutek polecenia otrzymanego jeszcze w roku 1844. Zajmujące to sprawozdanie wydrukowane zostało w dziełku p. t. „Die Reform des Hypothekenwesens. Zwei amtliche Berichte von Dr. Goetze. Berlin 1857."

Skreśliliśmy główne pobudki skłaniające rząd pruski do przedsięwzięcia stanowczéj i zupełnéj reformy prawodawstwa hypotecznego. Przypatrzmy się teraz działaniu warsztatu prawodawczego, na którym ta robota wykonaną została, idąc w téj mierze za przewodem sprawozdawcy komissyi izby panów, Dra von Gossler (Werner, II, s. 36—37).

Zamiar zupełnego przeistoczenia prawa hypotecznego pruskiego, nie od razu powzięty został, ani téż wykonanie jego rychło nie nastąpiło. Jeszcze w roku 1853 ministeryum przedstawiając izbom częściowe reformy prawa hypotecznego, wyrzekło: „że nienależy zmieniać naczelnych zasad prawa hypotecznego, będących podstawą kredytu i długiém doświadczeniem wypróbowanych.“ To zdanie podzielały wówczas obie izby sejmowe, jak się okazuje ze sprawozdań ich kommisyj, w przedmiocie wniosku rządowego. Atoli zaprowadzona w roku 1853 częściowa reforma jakkolwiek pożądana i z uznaniem przyjęta, nie osiągnęła zamierzonego skutku, poprawienia kredytu nieruchomości. Życzenie zupełnéj reformy prawa hypotecznego zaczęło się ogólnie objawiać; pierwszy swój urzędowy odgłos znalazło w rezolucyi izby panów z d. 28 kwietnia 1857 r., do któréj podnietą stały się w części pisma p. Goetze, upraszającéj rząd o przygotowanie i przedstawienie izbom nowego prawa hypotecznego, na wskazanych w rezolucyi zasadach. Wszakże ówczesny minister sprawiedliwości Simons, w wygotowanym przez siebie memoryale, na podstawie złożonych mu zdań wyższych magistratur sądowych, oświadczył się przeciw projektowanéj reformie, uważając „że skutki téjże byłyby raczéj szkodliwe, niż korzystne dla kredytu.“ Rzecz na ten raz skutku nie wzięła, pomimo, iż pod dniem 14 marca 1860 roku, izba deputowanych uchwaliła rezolucyę, podobnéj co rezolucya izby panów z roku 1857 treści.

Dr. Goetze uwzględnił w swych pismach także hypotekę w Pomeranii dawniéj szwedzkiéj (Neu Vorpommern) i w mieście Bremie.

Nadmienić tu należy, że dla téj części Pomorza wydaną została nowa ustawa hypoteczna pod d. 21 marca 1868, którą uważać można za próbę niejako pojęć i zasad sterujących przy wydaniu praw z d. 5 maja 1872 r.

Nie mogąc się doczekać przedłożenia projektu rządowego, niektórzy deputowani sami w tym przedmiocie wzięli inicyatywę, przedkładając na kadencyach sejmowych 1861 i 1862 r. dwa przygotowane przez siebie projekta nowego prawa hypotecznego. Projekta nie przyszły pod dyskusyę: tyle jednakże zyskano, że w d. 25 lutego 1863 r. wyszedł Najwyższy rozkaz gabinetowy t. j. rozkaz królewski, polecający ministrowi zająć się reformą prawa hypotecznego z największym ile można pośpiechem. W wykonaniu tego rozkazu ułożony został projekt nowego prawa hypotecznego w r. 1864. Ogłoszono go drukiem, przesłano do opinii wyższym sądom, władzom zawiadującym rolnictwem i uniwersytetom, lecz wywołał tyle uwag, wytknięto w nim tyle usterków, że myśl przedłożenia go izbom porzuconą została. Izba panów ponowiła wtedy i to jednomyślnie swoją rezolucyę z r. 1857, wzywając rząd pod d. 16 grudnia 1867 r.o przedstawienie na najbliższéj kadencyi sejmowéj projektu nowéj ustawy hypotecznéj na zasadach w r. 1857 wskazanych. Teraz dopiéro w kadencyi sejmowéj z r. 1868/9 rząd przedłożył izbie deputowanych wygotowane przez siebie projekta nowych ustaw [1]), a gdy na téj kadencyi z powodu krótkości czasu do dyskusyi nad niemi nie przyszło, rząd przedłożył projekta nieco jednak przejrzane w kadencyi 1869/70. W téj kadencyi obradowała nad niemi izba deputowanych i przyjęła je z małemi zmianami, lecz znów zabrakło czasu do przeprowadzenia projektów przez izbę panów. Zaszłe następnie wypadki wojenne odroczyły załatwienie tego przedmiotu tak, że ostatecznie projekta nowych ustaw hypotecznych po ponownem ich przejrzeniu w kadencyi 1871/2, przedłożone zostały izbom prawodawczym i przeszły przez ich obrady. Nie obeszło się przytém bez pewnych scyssyj. Projekta wniesione najprzód do izby panów spotkały tam zaciętych przeciwników. Główny z tych projektów po obszernéj trzydniowéj dyskusyi (5, 6 i 7 luty 1872 r.) przyjęty wprawdzie został przez izbę panów, lecz

[1]) Projekta te wydrukowane zostały wraz z motywami p. t. Die Preussischen Gesetzentwuerfe ueber Grundeigenthum und Hypothekenrecht nebst Motiven, herausgegeben vom Koeniglichen Justiz— Ministerium. Berlin, 1869, u Deckera.

z licznemi i ważnemi zmianami wprowadzonemi do projektu przez komisyę izby. Komisya izby deputowanych usunęła znaczną część tych zmian, przywracając przepisy projektu rządowego.. Izba deputowanych obradując nad projektem na posiedzeniach z d. 11 i 12 marca tegoż roku, poszła w swoich uchwałach raczéj za wnioskami swojéj komissyi niż za uchwałą izby panów, sama téż wprowadziła do projektu niektóre zmiany. Projekt wrócił pod powtórne obrady izby panów, która na posiedzeniach z d. 19 i 20 marca przyjęła go w redakcyi uchwalonéj przez izbę deputowanych.

Przyjęcie głównego projektu roztrzygnęło o losie projektów z główną ustawą związek mających. Całkowite nowe prawodawstwo hypoteczne uzyskało sankcyę monarszą pod d. 5 maja 1872 r. Termin jego mocy obowiązującéj oznaczono od d. 1 października tegoż roku.

Takim sposobem po długich i zmiennych kolejach stanęło nareszcie nowe prawodawstwo hypoteczne pruskie. Zanim rozbierzemy po krótce treść jego przepisów, zanim wskażemy jakiemi środkami usiłowało rozwiązać wytknięte sobie zadanie, jaki udział przyjęły w tém rozwiązaniu różne czynniki prawodawcze, wypada nam zapoznać czytelników z zewnętrzną stroną nowego prawodawstwa.

Prawodawstwo to składa się z pięciu oddzielnych ustaw, z których piérwsza i główna ma tytuł: „Ustawa o nabywaniu i obciążaniu rzeczowem własności gruntowéj, kopalni i samoistnych uprawnień“ [1]).

Ustawa ta zawiéra rozdziałów pięć, paragrafów siedmdziesiąt dwa. Rozdział piérwszy mieści w sobie przepisy o nabywaniu własności gruntowéj; rozdział drugi mówi o pra-

[1]) W oryginale: Gesetz ueber den Eigenthumserwerb und die dingliche Belastung der Grundstücke, Bergwerke und selbstaendigen Gerechtigkeiten.“ Przełożyliśmy „selbstaendige Gerechtigkeiten“ przez samoistne uprawnienia. Jest tu mowa (por. Werner II, s. 35) o istniejących dawniéj prawach wyłącznych do wykonywania pewnych procederów i t. p. Prawa te po większéj części zniesione zostały. Jako dotąd istniejące wymieniają motywa, przywileje na prowadzenie aptek nadane przed prawem z d. 2 listopada 1810 roku i młyny pływaki. Nowa ustawa utrzymuje hypoteki tych zakładów w dawniejszych czasach założone.

wach rzeczowych na własności gruntowéj; rozdział trzeci o prawie hypoteki i długu grunt ciążącego; rozdział czwarty o prawie własności kopalni i o samoistnych uprawnieniach; rozdział piąty mieści przepisy ogólne.

Ustawa druga nosi tytuł: „Urządzenie ksiąg gruntowych (Grundbuchs-ordnung). Zawiéra rozdziałów siedm, paragrafów sto czerdzieści trzy; przydane są do niéj formularze.

Ustawa trzecia ma tytuł: „Taryfa kosztów hypotecznych (Kostentarif für Grundbuch-sachen)". Paragrafów ma ta ustawa jedenaście.

Ustawa czwarta ma tytuł: „Ustawa o formie umów w przedmiocie rozdzielania własności gruntowéj" (Gesetz ueber die Form der Vertraege durch welche Grundstücke zertheilt werden). Ma paragrafów trzy.

Ustawa piąta ma tytuł: „Ustawa w przedmiocie opłat stemplowych od niektórych wniosków czynionych przed urzędami hypotecznemi" (Gesetz betreffend die Stempel Abgaben von gewissen bei dem Grundbuchamte anzubringenden Antraegen). Paragrafów ma szesnaście.

Niektóre z podanych tu zatytułowań grzeszą niezręcznością swéj formy; mianowicie piąte stanowi szczyt nieporadności redakcyjnéj, rażącéj nas tém więcéj, że przyzwyczailiśmy się do krótkiéj i dobitnéj stylizacyi francuzkiéj, pod któréj wpływem urobił się nasz nowoczesny styl prawodawczy. Dla nieznających języka niemieckiego dodamy, że staraliśmy się w tłumaczeniu tych zatytułowań zbliżyć się nieco do utartéj u nas terminologii. Przełożone zupełnie dosłownie brzmiałyby w jeszcze dzikszy sposób.

Wyszukane intytulacye nie świadczą zbyt korzystnie o talencie redakcyjnym, w utworze nowego prawa. Jakkolwiek styl prawodawczy w Prusach w nowszych czasach wiele zyskał na przejrzystości, a nawet doszedł pewnéj elegancyi, musi jeszcze kilka kroków na drodze postępu uczynić, zanim dorówna prostocie i jasności stylu prawodawczego innych krajów.

O rzeczywistym postępie techniki prawodawczéj w Prusach przekonać się można z porównania ustawy drugiéj p. t. „Urządzenie ksiąg gruntowych" z ogólną ordynacyą hypoteczną z r. 1783. Zakres obu tych ustaw jest jednakowy; przedmiot

wyłożony jest w nowéj ustawie w tym samym niemal porządku co w ordynacyi; główna różnica polega na tém, że pominięto w nowéj ustawie podział na tytuły. Ale gdy ordynacya hypoteczna zawiéra w ogóle paragrafów 458, liczba ta zeszła w nowéj ustawie do mniéj niż trzeciéj części, bo do paragrafów 143.

Dodamy w tém miejscu, że zbiór Wernera zawiéra w części piérwszéj oprócz ustaw stanowiących nowe prawodawstwo hypoteczne, nadto jeszcze instrukcye ministeryalne w celu wykonania tych ustaw wydane.

Przystępując do skreślenia treści nowego prawodawstwa, przypomnijmy pokrótce zasadnicze jego zadanie.

Zadanie to polegało na tém, że z trzech zasad na których opierał się systemat prawa hypotecznego pruskiego, jawności, legalności i specyalności, zasada jawności zwichniętą została w dawném prawodawstwie, w części skutkiem sprzeczności tkwiących w przepisach prawa, w części przez kierunek jaki przyjęła wykładnia sądowa;

że zasada legalności okazała się w zastosowaniu obrot interesów tamującą i chwiejną;

że nakoniec zasada specyalności nie była dość ściśle przeprowadzoną. O tym ostatnim punkcie nie wspominaliśmy dotąd dlatego, że nie należał do kwestyi głównych. Szczegółowe ulepszenia, jakich co do zasady specyalności prawo hypoteczne wymagało, szczupłe tylko zajęły miejsce tak w nowych ustawach, jak w obradach izb prawodawczych. Wymienimy je w krótkości przy podaniu treści nowego prawodawstwa.

Zasadniczą więc kwestyą dla nowego prawodawstwa było: osiągnąć korzyści wynikające z zasady jawności w najwyższym jéj rozwoju, ograniczając zasadę legalności ile tylko być może.

Trudność w rozwiązaniu tego zadania polega na tém, że jak wykazaliśmy, zasada legalności była właśnie uwieńczeniem zasady jawności i umożliwiała najwyższy rozwój téj ostatniéj zasady w prawie pruskiém, rozwój, którego skutkiem było, że dość przejrzéć tak zwany wykaz hypoteczny, czyli tabelaryczne streszczenie aktów do własności gruntowéj odnoszących się, aby miéć dokładny obraz stanu hypotecznego, niepotrzebując rozczytywać się w samych aktach. Ażeby zaś wykaz hypoteczny spełniał to swoje przeznaczenie, zdawało się dawniejszym prawodawcom koniecznem, iżby legalność aktów,

których streszczenie do wykazu hypotecznego wciągniętém być miało, uprzednio przez sądy rozpoznaną została. Inaczéj wykaz hypoteczny byłby tylko indeksem, summaryuszem aktów, lecz nie usuwałby potrzeby obznajmienia się z temi aktami, w celu osobistego przekonania się przez interesantów, czyli akta na które się wykaz powołuje, miały lub nie cechy prawności i zachowały moc obowiązującą.

Trudność tu wytknięta, na pierwszy rzut oka zdaje się być nie do usunięcia, bo leży w saméj naturze przedmiotu.

Nowe prawodawstwo pruskie powzięło jednak śmiały zamiar osiągnięcia korzyści jawności, przy uniknieniu zawikłań wynikających z zasady legalności.

Dla dopięcia tego zamiaru, posłużyły następne ideje w części wyrobione w pismach prawników, w części uświęcone już przez niektóre prawodawstwa, mianowicie meklemburskie [1]).

Prawa rzeczowe będące przedmiotem hypoteki, wynikają z umów. Kto np. chce nabyć wioskę lub dom, musi zawrzéć umowę o kupno i przedaż z właścicielem, a dopiéro w wykonaniu téj umowy może otrzymać przepisanie na siebie tytułu własności w wykazie hypotecznym. Kto pożycza na nieruchomość, musi zawrzéć umowę o pożyczkę z właścicielem i w skutek téj umowy, staje się wierzycielem hypotecznym. Uważana z tego stanowiska hypoteka, jest przydatkiem do umowy głównéj; ma jak się prawnicy wyrażają, naturę akcessoryjną. Ważność prawa hypotecznego zależy tu od ważności saméj umowy, a ztąd rozpoznaniu sądowemu, które wpis hypoteczny uprzedzić winno, podlega nie sama tylko kwestya prawności nabycia hypoteki, lecz i kwestya prawności umowy, któréj zabezpieczeniem ma być wpis hypoteczny.

Ale już w tym systemacie, który był zastosowany w dawném prawodawstwie hypoteczném, zdarzało się, że prawo hypoteczne oddzielając się od umowy będącéj jego podstawą, sta-

---

[1]) Jednóm z tych pism prawniczych, które mamy pod ręką jest: „Die Reform des Hypothekenwesens als Aufgabe des norddeutschen Bundes von Ernst Immanuel Bekker“ Berlin, u Reimera 1867; p. to pismo s. 14 i motywa nowéj ustawy hypotecznéj, u Wernera II, s. 21—23.

wało się samoistném. Zdarzało się to wówczas, kiedy tytuł na mocy którego wpis hypoteczny uskuteczniony został, skutkiem okoliczności z umową związku niemających stracił moc swoją, upadł, a jednak wpis hypoteczny wykreślony nie został. Przypuśćmy np., że wierzyciel hypoteczny stał się z innego jakiego interesu dłużnikiem swego dłużnika na summę równą, lub większą od téj, któréj sam jest wierzycielem. Wzajemne należności stron znoszą się samém przez się prawem. Wierzytelność więc dla któréj zapisaną była hypoteka, przestała istnieć przez potrącenie, nie przeto jednak ustało jéj zabezpieczenie hypoteczne. Ażeby to ostatnie z wykazu hypotecznego wykreślone zostało, na to potrzeba oddzielnego żądania czyli wniosku, a dopóki taki wniosek uczyniony nie został, wierzyciel mógł ważnie summą swoją rozporządzać, przelać ją na kogo innego tak, jak gdyby wierzytelność jego istnieć nie przestała.

W przytoczonym wypadku samoistność zabezpieczenia hypotecznego, pomimo ustania długu, trwała aż do uczynienia wniosku o wykreślenie wpisu hypotecznego, ustawała z chwilą tego wniosku. W razie hypoteki nie już indywidualnéj, lecz zabezpieczającéj papiery na okaziciela, jak to ma miejsce przy pożyczkach towarzystw kredytowych, samoistność wpisu hypotecznego była nawet zupełniejszą, bo nie można było czynić wniosku o wykreślenie wpisu, chociażby wierzytelność wzajemna właściciela dóbr względem posiadacza listu zastawnego, specyalnie, jak to miało miejsce w Prusach, na jego dobrach zabezpieczonego, przenosiła wartość tegoż listu.

Tak rozwijało się w prawnictwie niemieckiém pojęcie hypoteki, jako prawa samoistnego, nie zależącego od umowy z któréj wynikła. Było to, jak się motywa nowéj ustawy wyrażają (Werner, II, s. 23) przeniesieniem do prawa hypotecznego, pojęć prawa wekslowego niemieckiego. Jak weksel, chociaż wynika z jakiéjś umowy, tworzy jednak dług samoistny, tak hypoteka miała się stać wekslem rzeczowym (Real Wechsel), ustanowienie jéj, miało być wolnym aktem woli właściciela [1]); przez wolność rozumiano tu niezależność od pobudek.

[1]) Die Bestellung der Hypothek ist der freie Willensakt des Grundbesitzers. Werner II s. 23.

Tak jak sąd handlowy zasądza żądanie zapłaty wekslu, byle tylko weksel posiadał wymagane prawem formalności i warunki, nie wdając się w rozpoznawanie stosunków, które do wystawienia wekslu doprowadziły; podobnie i przy wpisach hypotecznych, rozpoznanie sądowe ograniczyć się winno w tym systemacie do prawności żądania wpisu hypotecznego, nie wchodząc w ocenienie prawności umowy, z któréj wpis wyniknął. Działanie sądowe w czynnościach hypotecznych zstępuje w ten sposób z roli właściwéj sądownictwu cywilnemu do roli sądownictwa handlowego w procesie wekslowym.

Wynikłości z tak postawionéj zasady, sięgają bardzo daleko. Nie możemy ich rozbierać w tém miejscu po szczególe, gdy zamierzyliśmy nadać niniejszemu pismu zakres raczéj historyczno-prawodawczy, niż ściśle prawniczy. Na jedno tylko z ważniejszych następstw zwrócimy uwagę.

Kto wystawia weksle, może wystawić weksel na siebie i dla siebie, t. j. weksel płatny przez wystawiającego i na jego własne zlecenie. Weksel taki wchodzi w obieg przez przelew, czyli indos i wówczas dopiéro otrzymuje rzeczywiste znaczenie. Uznawszy samoistność zobowiązania hypotecznego, zrobiwszy z niego weksel rzeczowy, oddzieliwszy osobistość dłużnika od odpowiedzialności rzeczowéj, nadawszy że tak rzeczem, oddzielną osobistość własności nieruchoméj, wypadło postanowić, że można na swojéj nieruchomości posiadać wierzytelność hypoteczną. Wniosek ten z postawionéj naczelnéj zasady wynikający, przyjęło już prawodawstwo meklemburskie. W ślad za niém poszła nowa ustawa pruska. Właściciel może zatrzymać dla siebie jeśli tego żąda, pewne miejsce w hypotece, którém rozporządza bez względu na wpisy hypoteczne wcześniejsze od daty jego przelewu.

Wyłożone tu pojęcia stały się teoretyczną podstawą nowego prawodawstwa pruskiego w projekcie rządowym. Ale projekt ten poszedł w wytkniętym kierunku daléj, niż to wynika z przywiedzionych powyżéj uwag.

Dotąd mówiliśmy o uznaniu za prawo samoistne wierzytelności hypotecznych, którym dawniejsze prawo przyznawało tylko charakter akcesoryjny. Lecz ustawy hypoteczne, biorąc ten wyraz w znaczeniu, jakie przywiązujemy do niego w naszéj

terminologii prawnéj, obejmują w sobie urządzenia odnoszące się nie tylko do właściwych hypotek, czyli prawa zastawu na nieruchomościach, ale i do wszelkich innych praw rzeczowych, do nabycia saméj nawet własności. Wszystkim prawom zapisanym w wykazie hypotecznym, nadajemy nazwę praw hypotecznych.

Z tych praw, najważniejszém jest samo prawo własności. Otóż przedstawione przez nas powyżéj uwagi, odnoszące się do wierzytelności hypotecznych, nie dotykają jeszcze téj kwestyi, czy rozporządzenie samą własnością, podobnie jak rozporządzenie wierzytelnościami hypotecznemi, ma pod względem hypotecznym polegać na gołém oświadczeniu stron, czyli téż przeniesienie własności w hypotece nastąpić może tylko skutkiem umowy, która w takim razie ze względów jawności, winnaby podlegać rozpoznaniu sądowemu.

Jedném słowem, powstała kwestya czy, kiedy już wierzytelność hypoteczna stała się wekslem rzeczowym, takim wekslem ma stać się i sam tytuł własności?

Kwestyę tę, projekt rządowy pruski rozstrzygnąć zamierzył na stronę uruchomienia własności, zachowując przytem jednakże niejaką różnicę nie w zasadzie, lecz w formach.

Do przeniesienia hypotecznego prawa własności, tak jak do przeniesienia wierzytelności hypotecznych, miało wystarczać samo oświadczenie woli stron; w tém zasada co do przeniesienia obu praw, jest jedna i ta sama. Lecz w systemacie projektu, oświadczenie woli w przedmiocie przeniesienia wierzytelności hypotecznych, nie podlega żadnym szczególnym formalnościom; czasami nawet może nastąpić przez proste oddanie z rąk do rąk kawałka papieru, tak zwanego listu gruntowego, podobnie jak obiegają papiery wystawione na okaziciela. Przeciwnie dla przeniesienia hypotecznego prawa własności, potrzeba oddzielnego aktu zeznanego przed urzędem hypotecznym, a obejmującego oświadczenie się stron co do samego tylko przeniesienia prawa własności.

Twórcy projektu starali się przytém wykazać, że ich sposób widzenia ma głębokie podstawy w przeszłości historycznéj, rzecz nową starali się osłonić dawnemi, przestarzałemi nawet

wyrażeniami. Twórcy projektu przedstawiali, jak o tém na początku niniejszego pisma nadmieniliśmy, że w dawném prawie niemieckiém, do przeniesienia własności nieruchomej, nie potrzeba było, jak to przepisywało prawo rzymskie, wydania rzeczy, że do tego przeniesienia wystarczała rezygnacya urzędowa własności, zwana *Auflassung* i wciągnięcie téj rezygnacyi do ksiąg wieczystych. Ztąd uważali jako zwrot tylko do dawnych szczero-niemieckich pojęć, jeżeli projekt ich w paragrafie pierwszym stanowił że:

w razie dobrowolnego zbycia, własność nieruchoma nabywa się przez samo wciągnięcie do księgi gruntowéj przelewu własności, następujące na podstawie rezygnacyi i w łączności z takową.

Uzasadniać przywiedzionemi uwagami przepis projektowany, było to łączyć, na bardzo wątłéj podstawie, nowatorstwo z archaizmem, w sposób wielce charakterystyczny dla czasu i miejsca, w których powstał projekt nowego prawa.

Przeciwnicy projektu dla których ta właśnie kwestya stała się kamieniem obrażenia, położyli tamę temu podszywaniu się pod staro-niemieckie formy, przywodząc nie bez zasady (Sprawozdanie kommisyi izby panów. Werner, II, s. 41):

„że zbycie własności i akt jéj rezygnacyi, było w dawném prawie niemieckiém jedno i to samo; że nigdzie nie spotyka się umowy o zbycie odrębnie od rezygnacyi symbolizującéj wydanie rzeczy“ dlaczego twierdzili:

„że rezygnacya w projekcie nowéj ustawy nie ma nic wspólnego z rezygnacyą znaną w dawném prawie niemieckiém; że byłoby to utworzeniem zupełnie nowego prawa, dla którego w żadném prawodawstwie nie ma wzoru; że przez przyjęcie takiéj zasady, zerwanoby z kilkowiekowym rozwojem prawa jaki wykwitł na gruncie niemieckim niezawiśle od jurisprudencyi rzymskiéj, w sprzeczności z dotychczasowém zapatrywaniem się na szczególną ważność własności nieruchomej w obrotach majątkowych i dla ogólnego publicznego interesu.“

Różnicę między rezygnacyą w dawném prawie i rezygnacyą wprowadzoną przez projekt, musiał acz niechętnie i nie bez

częściowego zaprzeczenia uznać i kommisarz rządowy D-r. Förster, broniący w Izbach projektu [1]).

Pod tą uczoną formą, bez któréj rzadko się obejdzie w dyskussyach niemieckich, przejawiał się spór sprzecznych z sobą a namiętnych, bo w teraźniejszości źródło swe mających dążności.

Myśl przeciwników projektu wypowiedział najprościéj i najjaśniéj były minister sprawiedliwości hrabia Lippe, przy powtórnéj dyskussyi nad projektem w izbie panów w słowach (Werner, II, s. 144):

„Jakim sposobem przychodzimy do takiego formalizmu? Prosto dlatego, żeśmy się przyzwyczaili obchodzić się z własnością gruntową jak z towarem kupieckim przechodzącym z rąk do rąk; że nie troszczymy się o utrzymanie stanu posiadaczy ziemi. Cała dążność nowszych czasów zmierza ku temu, aby systematycznie zniszczyć wszelkie różnice stanów, jakie wyrosły na gruncie historycznym; całe nasze prawodawstwo popiera ten kierunek; projektowany przepis o nabywaniu własności, jest niczém więcéj jak tylko wypływem takiego kierunku.“

Słowa hrabiego Lippe pozostały bez odpowiedzi, ale nie znalazły tym razem echa. Nam nastręczają uwagę, że właściwém zadaniem prawodawstwa, jest urządzać stosunki ludzkie jak je czas wyrobił i z sobą przynosi; że prawodawstwo nie powinno sztucznemi środkami ani przyśpieszać, ani tamować rozwoju tych stosunków, ani wyprzedzać swego czasu, ani pozostawać się za nim w tyle: w obu razach usiłowania jego jeśli nie pozostaną bezowocne, przyniosą więcéj szkody niż pożytku [2]).

---

[1]) P. Werner II s. 71. Słowa kommisarza rządowego „Ja, meine Herren, die alte deutsche Auflassungstheorie wollen wir heute nicht rekonstruiren“ z czém porównać odpowiédź referenta Kommisyi Izby wyższéj s. 89 i replikę kommisarza rządowego s. 92.

[2]) Hrabia Lippe w swéj mowie, powołał się na Lasalla i innych socyalistów; właściwiéj może mógł był przytoczyć, że projekt rządowy, starający się utrzymać w słowach związek przeszłości z teraźniejszością, treścią swoich przepisów przypomina nie tyle staro-niemieckie ustawy, jak raczéj prawo rewolucyjnéj Francyi z 9 Messidora roku III. Por. dzieło pana Jules Levits: De la réforme hypothécaire en France et en Prusse. Paryż u Videcoqa 1852 s. 21. Ta uwaga bylaby może bardzo nie na rękę wielbicielom staro-nie-

Wyłożyliśmy, w stosunku do rozmiarów niniejszego pisma dość obszernie, naczelną zasadę nowego prawodawstwa hypotecznego pruskiego. Zasada ta otrzymała nazwę zasady zezwolenia, *das Konsens-Prinzip*. Pozostaje nam wskazać pokrótce, jak ta nowa zasada technicznie w przepisach projektu przeprowadzoną została i jakim te przepisy uległy zmianom w ciągu obrad prawodawczych.

Przywiedliśmy już przepis paragrafu pierwszego projektu, według którego własność nieruchoma nabywać się miała przez zaciągnięcie do wykazu hypotecznego rezygnacyi téj własnośc w łączności z takową.

Przepis ten uległ w ciągu obrad małéj tylko redakcyjnéj zmianie, polegającéj na wykreśleniu wyrazów „w łączności z takową.“

Drugi paragraf prawa objaśnia, co się ma rozumiéć przez tak zwaną rezygnacyę.

Jest to według wyrażeń prawa, oświadczenie przez zapisanego do ksiąg właściciela złożyć się mające, że zezwala na przepisanie tytułu własności na nowego nabywcę, obok oświadczenia nabywcy, że tego przepisania żąda. Oświadczenia te winny być złożone przed urzędem hypotecznym ustnie i jednocześnie.

Widzimy, że nie ma w tym przepisie wcale mowy o złożeniu aktu sprzedaży i tym podobnych tytułów w przedmiocie przeniesienia własności sporządzonych, do ksiąg wieczystych. Akta te według projektu rządowego, miały pozostać hypotece zupełnie obce. Składanie ich zdawało się niepotrzebném, gdy urząd hypoteczny prawności ich rozpoznawać nie miał; ograniczyć się był winien do rozpoznania prawności złożonego przed nim oświadczenia.

Przepis ten był ścisłym wynikiem przyjętéj naczelnéj zasady; jak w ogóle redakcya projektu odznaczała się żelazną, że tak rzeczem, konsekwencyą, nie cofającą się przed ostatecznemi wynikłościami naczelnéj zasady, wypowiadającą je nawet w sposób nader jaskrawy (por. § 7 projektu).

---

mieckich tradycyj. Lecz o prawie Messidora w motywach projektu i rozprawach Izb pruskich nie znaleźliśmy wzmianki.

Przepis paragrafu drugiego projektu dał powód do przeciągłych i zaciętych sporów. Oświadczyli się przeciw niemu nietylko przeciwnicy zasady projektu, lecz i umiarkowani oponenci. Komisya izby panów żądała dodania wyrazów „obok przedłożenia aktu w przedmiocie zbycia własności.“ Poprawka ta przyjętą została przez izbę panów, lecz odrzuconą w izbie deputowanych, a gdy redakcya przez tę ostatnią uchwalona utrzymała się przy powtórnych obradach izby pąnów, paragraf drugi przeszedł bez zmiany.

Zdawałoby się ztąd, że żadna modyfikacya w przeprowadzeniu zasady w tym punkcie nie nastąpiła.

Ale z dwulicowością prawodawstwa pruskiego nigdy nie można być dość ostrożnym. Jest to, można powiedzieć, charakterystyczną cechą tego prawodawstwa. Jakkolwiek wyraźny przepis znajdujemy w jednéj ustawie pruskiéj, nigdy nie można być pewnym, czy niéma w inszéj ustawie tego kraju, lub może nawet w téj saméj, zasady przeciwnéj.

Kommisarz rządowy w ciągu dyskusyi w izbach stale opierał się wszelkim poprawkom redakcyi paragrafu drugiego. Nawet trafna uwaga deputowanego p. Winter (Werner II, str. 122), że gdy stronom wolno jest w drodze sądowéj zaskarżyć dopełnioną rezygnacyę, mają interes prawny w ujawnieniu z jakiéj umowy ta rezygnacya wynikła, nie zdołała skłonić p. komisarza do żadnego ustępstwa. Jednakże późniéj przyjęto bez sporu w paragrafie czterdziestym ósmym drugiéj ustawy p. t. „Urządzenie ksiąg gruntowych“ następny nie znajdujący się w projekcie ustęp:

Przy rezygnacyi strony interesowane mogą uczynić wzmiankę, z jakiego interesu prawnego rezygnacya wypływa i wolno im podać do akt w wypisie lub kopii, sporządzony o tym interesie prawnym dokument.

Taką poprawkę wniósł w izbie deputowanych na posiedzeniu z d. 12 marca 1872 deputowany Schmidt, popierając ją uwagami podobnemi do przedstawionych przez p. Winter przy dyskussyi paragrafu drugiego głównego prawa. Kommisarz rządowy przyjął tę poprawkę celem łatwiejszego, jak mówił, uzyskania przyzwolenia izby panów (Werner II, s. 194—195).

Gdy znowu paragrafy piérwszy i drugi ustawy o opłatach stemplowych (Werner I, s. 123), poddają opłacie wartościowéj (1%) oświadczenia rezygnacyi, zwalniając to oświadczenie od opłaty w razie złożenia aktu sprzedaży, przeto już z tego względu przewidzieć się daje w praktyce wynikłość, że strony czyniąc sądową rezygnacyę, składać będą do akt umowy, których rezygnacya jest wypływem, a przypadki przeciwne nie złożenia umowy do akt, stanowić będą bardzo nieliczne wyjątki.

Nowatorstwo, jak widzimy, wywalczywszy uznanie swojéj zasady dla honoru broni, cofnęło się przed interesem finansowym, więcéj może niż przed przywiedzioną potrzebą uzyskania przyzwolenia izby wyższéj.

Jeżeli na ten koniec przyjść miało, to wartość wytworzonéj przez nową ustawę pruską rezygnacyi, staje się nader problematyczną. W największéj liczbie przypadków będzie to próżna i do niczego nie prowadząca formalność, dla stron uciążliwa, bo narzucona im przez prawo.

Porównajmy np. stan rzeczy jaki jest u nas z postępowaniem, jakie w Prusach na podstawie nowego prawa będzie koniecznem. U nas strony mogą zeznać akt kupna i sprzedaży przed księgami wieczystemi, w kancelaryi hypotecznéj. Akt ten obejmie zarazem wniosek o przepisanie tytułu własności. W ten sposób rzecz będzie za jednym zachodem skończona. Jeżeli akt sprzedaży zawarty zostanie poza obrębem kancelaryi hypotecznéj, strony do niego wchodzące mogą upoważnić albo siebie wzajemnie, albo osobę trzecią do wniesienia tego aktu do hypoteki. Potrzeba w takim razie osobnego wniosku, lecz nie potrzeba nowego aktu.

W Prusach przeciwnie, przed urzędem hypotecznym umowy o sprzedaż spisywać nie można. Prawo pozwala, co najwięcéj, podać taki akt do urzędu; lecz to podanie aktu nie jest dostateczném. Prawo wymaga sporządzenia oddzielnego aktu przed urzędem hypotecznym, zawierającego samo tylko zezwolenie na przeniesienie własności, czyli rezygnacyę. Akt ten winien być zeznany przez obie strony do aktu kupna i sprzedaży wchodzące, ustnie i jednocześnie. Strony mogą wprawdzie zastąpić się przy tym drugim akcie przez pełnomocników, ale każda strona musi miéć oddzielnego pełnomocnika. Poprawka

wniesiona w kommisyi izby deputowanych, aby wolno było stronom ustanowić jednego pełnomocnika, wzorem prawa heskokasselskiego z r. 1828, nie została przyjętą (Werner II, s. 189).

Akt rezygnacyi ma istotne znaczenie tylko wówczas, gdy strony albo nie zawarły umowy na piśmie o sprzedaż, albo takiéj umowy sądowi nie złożyły, co jak wykazaliśmy, rzadko tylko miejsce mieć będzie. W innych razach żądanie sporządzenia dla celów hypotecznych odrębnego aktu, kiedy istnieje już akt sprzedaży, jest formalnością bezowocną.

Techniczne przeprowadzenie nowéj zasady prawa w przedmiocie przeniesienia własności, nie zdaje się nam szczęśliwie obmyślaném. Zgadzamy się z dążnością nowego prawa, ograniczenia ile można zasady legalności hypotecznéj, ale sposobu w jaki ta dążność w przepisach nowego prawa się przejawiła, nie możemy uznać za odpowiedni potrzebie.

Na ten niekorzystny wypadek usiłowań prawodawczych wpłynęła w części dążność trzymania się jak najdaléj od zasad kodeksu francuzkiego, w części chęć w swojéj podstawie bardzo wątła, budowania na swojskim, niemieckim gruncie. Ostatniego zamiaru twórcy projektu nie dopięli; pozostała w prawie jako zabytek staroświecki nazwa „Auflassung“, lecz tylko nazwa, bo co pod nazwą się kryło, uległo przemianie swojéj istoty. Natomiast twórcy projektu szczęśliwie ominęli zasady kodeksu francuzkiego, tylko wiedzeni fatalnością ciążącą na usiłowaniach prawodawczych pruskich w nowszych czasach, nieświadomie może, zbliżyli się do innego wzoru francuzkiego, do prawa hypotecznego rewolucyjnéj Francyi.

W zastosowaniu naczelnéj zasady nowego prawodawstwa do wierzytelności, projekt rządowy (§ 15), obejmował przepis, że prawo hypoteki powstaje przez wpis do księgi gruntowéj, na podstawie zezwolenia właściciela w wykazie zapisanego.

Zasada zezwolenia (Bewilligung), występuje tu pod właściwą swoją nazwą, nieprzystrojona, jak przy przeniesieniu własności, ze staroniemiecka terminem Auflassung. Wszakże, i co do tego rozporządzenia, przyszło do kompromissu. Ustępstwo rządowe było nawet w tym razie ważniejsze, przynajmniéj w słowach, i łatwiéj uzyskać się dało, niż co do kwestyi przeniesienia własności. Zgodzono się bowiem na wniosek kommisyi

Izby Wyższéj, ażeby (jak opiewają §§ 18 i 19 prawa), odróżnić dwa rodzaje wierzytelności: jedną, która pozostała przy dawnéj nazwie prawa hypoteki; drugą, dla któréj utworzono nazwę długu gruntowego (Grundschuld), któremu z początku chciano ze staro-niemiecka dać nazwę Handveste, lecz wyrażenia tego zaniechano, jako wyszłego z użycia (Werner II s. 112). Dług gruntowy jest w nowém prawie tém, czém według projektu miała być hypoteka, t. j. długiem, wpisanym do wykazu wprost na podstawie zezwolenia właściciela, bez ujawnienia przyczyny długu. Przeciwnie hypoteka jest w nowém prawie wierzytelnością, co do któréj dokument, z którego wynikła, musi być sądowi przedstawiony. Dokument ten stanowi podstawę prawa, lecz excepcye ze stosunku osobistego płynące, mogą być stawiane przeciwko trzeciemu nabywcy pod tytułem obciążliwym takiéj wierzytelności, tylko o ile były mu osobiście wiadome lub z wykazu są jawne.

Ostatni ten przepis wprowadziła do projektu kommisya Izby deputowanych, jako poprawkę redakcyi, przyjętéj przez Izbę Panów, wedle któréj przeciw wierzytelności hypotecznéj służyć miały wszelkie bez ograniczenia środki obrony, płynące ze stosunku prawnego dłużnika z wierzycielem (Werner I s. 21 kolumna 2 § 36). Skutkiem przyjęcia téj poprawki, główna różnica długów gruntowych i hypotek upadła; podział wierzytelności na dwa te rodzaje, zeszedł do tak małego znaczenia, że jak się wyraził przy rozprawach nad projektem deputowany Baehr „zaledwo śmieszności uniknąć zdoła" (Werner II, s. 132). Pod względem form zewnętrznych, pozostały jednak znaczne różnice między hypoteką i długiem gruntowym [1]).

---

[1]) Poprawka kommisyi Izby deputowanych uzasadniona została uwagą, iż Izba wyższa chciała utrzymać formę hypoteki, znaną w dawniejszém prawie pruskiém, a nie wprowadzać nic nowego. Dawne zaś prawo (Landrecht I 20 §§ 423 i 424), stanowiło właśnie to, co mieści w sobie poprawka. Zdaje się ztąd, że sądy pruskie nie rozróżniały, jak chce u nas Dutkiewicz (prawo hypoteczne s. 69—75) między warunkami wynikającemi z natury aktu, które nie potrzebują być ujawnione w wykazie i warunkami wynikającemi z zastrzeżeń umowy; gdy rzecz szła o nabywców pod tytułem darmym, pozwalały excepcyi z obu warunków bez różnicy.

Skreśliliśmy koleje, przez jakie przeszła naczelna nowego prawa zasada zezwolenia i oparte na niéj przepisy w ciągu obrad nad projektem w izbach prawodawczych. Nie obeszło się przy tém, jak widzieliśmy, bez wahania się, bez kompromisów, skutkiem czego lubo zasada utrzymaną została, weszło do redakcyi wiele niepotrzebnych zawiłości.

W każdém prawie, oprócz przepisów wynikających z głównych jego zasad, mieszczą się jeszcze rozporządzenia, bądź w związku z głównemi zasadami zostające, lecz z nich wprost nie wypływające, bądź czysto szczegółowe.

Przechodziłoby zakres niniejszéj pracy, gdybyśmy rozporządzenia, zwłaszcza ostatniego rodzaju, w nowém prawie pruskiém zamieszczone, pojedynczo przedstawiać chcieli.

Nadmienimy tylko, że skutkiem ograniczenia zasady legalności było, iż prowadzenie ksiąg hypotecznych odjęto kollegiom sądowym, pozostawiając je jednakże sądownictwu. Przy każdym sądzie miejskim lub powiatowym istnieć ma Urząd hypoteczny (Grundbuchsamt) pod zawiadywaniem naczelnika z sędziowską kwalifikacyą, noszącego tytuł sędziego hypotecznego (Grundbuchsrichter) z przydaniem mu pisarza (Buchführer) i kancelaryi. Decyduje sam tylko sędzia, lecz wpisy w wykazie podpisywane być winny przez sędziego i przez pisarza. Odpowiadają oni subsydyarnie poszkodowanym za pomyłki, jakichby się w pełnieniu swych obowiązków dopuścili. Wrazie niemożności otrzymania od nich wynagrodzenia szkody, odpowiedzialnym jest za nią skarb publiczny. Ważny ten nowy przepis wprowadziła do projektu rządowego, w którym zamieszczony nie był, izba deputowanych na wniosek deputowanego Baehra (§ 29 Urządzenia hypotecznego).

Wykazy hypoteczne wszystkich nieruchomości jednego okręgu hypotecznego są w Prusach objęte w jednéj księdze zwanéj Grundbuch, z przeznaczeniem osobnych dla każdéj nieruchomości foliów. Dokumenta do każdéj pojedynczéj nieruchomości odnoszące się, utrzymywane są oddzielnie. Nowe prawo stanowi, że zbiór tych dokumentów winna poprzedzać dołączona do nich kopja odnośnego wykazu hypotecznego. Utworzy się przez to coś podobnego do naszych ksiąg wieczystych, oddzielnych dla każdéj nieruchomości, co jest także wła-

ściwością hypoteki meklemburskiéj. Będzie wszakże podwojona praca zapisywać tę samą treść raz w Grundbuchu, drugi raz w wykazie do akt dołączonym.

Zaprowadzenie długów gruntowych pociągnęło za sobą utworzenie listów gruntowych. Listy te wystawione są na rzecz wymienionego w nich posiadacza, którym może być i sam właściciel nieruchomości. Mogą być ustąpione trzeciemu przez przelew in blanco, to jest z pozostawieniem miejsca nie zapełnionego czyli okienka na imię cessionaryusza, i mogą w ten sposób być daléj przelane. Przepis ten jest analogicznym z przepisem prawa wekslowego niemieckiego, które nie dozwala wprawdzie wystawiania wekslów na okaziciela, lecz dozwala indosować je in blanco.

Nadto do listu gruntowego może być dołączony, o czém w liście gruntowym czyni się wzmiankę, talon z kuponami procentowemi; (poprawka izby deputowanych).

Do ważności przelewu tak długów gruntowych jak hypotek, nie potrzeba ujawnienia hypotecznego cessyi.

Dla wierzytelności hypotecznych tworzone są także, czego jednak wierzyciel zrzec się może, listy hypoteczne, do których dokument hypoteczny się dołącza. Wierzytelności hypoteczne nie mogą być cedowane in blanco; do listów hypotecznych talon z kuponami się nie dołącza.

Zasada specyalności zyskała w nowém prawie ściślejsze rozwinięcie przez postanowienie, wzorem prawa meklemburskiego, że wszelkie należności do hypoteki wpisanemi być mające, muszą być co do wysokości swéj (przynajmniéj co do swego maximum) liczebnie oznaczone, i że na piérwszéj stronnicy wykazu (u nas dział pierwszy) mają być wzmiankowane numera matrykuły kadastralnéj poszczególnych pertynencyi z wymienieniem ich rozległości.

Wszelkie uszczuplenia powierzchni w tenże sposób winny być odpisywane.

Prawo meklemburskie posunęło daléj jeszcze rozwój zasady specyalności, nie dozwalając hypotekowania jednéj należności na dwóch lub więcéj nieruchomościach. Nowa ustawa pruska nie przyjęła tego przepisu.

Koszta czynności hypotecznych przepisami nowéj ustawy znacznie zmniejszone zostały.

Ułożone na tych zasadach nowe ustawy hypoteczne, otrzymały moc obowiązującą w téj tylko części Prus, w któréj obowiązywała dawna ordynacya hypoteczna i przepisy Landrechtu. Lecz przy obradach nad nowém prawodawstwem nie tajono, że jest powołaném w przyszłości do wyższych przeznaczeń. „Mniemam," powiedział członek izby panów Dr. Schulz, którego słowami zakończymy niniejszą pracę, (Werner II str. 77) „że niniejsza ustawa hypoteczna jest tylko tymczasową, i że zastąpiona zostanie przez ustawę hypoteczną niemiecką."

Przegląd prassy peryodycznéj

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Rok 1873.

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

życia społecznego, literatury i sztuk pięknych.

Przystępując do oceny czasopisma, uznajemy za rzecz istotnéj wagi ująć własny tego pismą pogląd na przyświecającą mu ideę, na charakter społecznych jego zadań, na doniosłość osiągniętych skutków.

Jakiém w téj mierze jest zapatrywanie się Przeg. Tyg. opowiemy własnemi jego słowy, a to dla tém zupełniejszego zachowania prawdy w treści i barwach.

„Jesteśmy jako w akordzie harmonijnym nuta jedna, śmiém dodać nuta nadziei! Tak. Wszędzie społeczność zarobiła, gdzie tylko na polu pracy zjawia się idea młodości, że nadmienię tylko młode Niemcy, młodą za Ludwika-Filipa, Francyą, młodą falangę poetów Mickiewiczowskiéj epoki." Głosi redaktor Przeglądu o młodéj prassie (Nr. 14, str. 107).

„Niesłychana moc rozumowania, ścisłość matematyczna wywodów, wszechstronność poznania, czyniły Milla *gruntującym* na niespożytych zasadach nową filozofią pozytywną."

„Przegląd Tyg. od piérwszych kart swoich wspierał się na kierunku filozoficznym, którego Mill jest najwybitniejszym reprezentantem" (Nr. 20 str. 155).

„Kiedyś, po latach kilkudziesięciu lub więcéj, pozytywny kierunek wyda może swojego poetę, Mickiewicza swojego czasu, którego pieśń potężnym zabrzmi głosem i dokończy odrodzenie rozpoczęte przez wiedzę." Z zapałem woła pan Antoni Pilecki (Nr. 35 str 275).

„W obec wspaniałego ruchu piśmienniczego, w obec rozległéj działalności wydawniczнéj, w obec tak znacznego pomnożenia literackiéj produkcyi, w obec najświetniejszych wysiłków i najszlachetniejszych dążeń, w obec tych, mówimy, tytułów do zasługi młodéj prassy, powyższe oskarżenie musiało okryć swych autorów niesławą." (Nr. 32 str. 251). „.....działalność naszéj inteligentnéj młodzieży, która głównie obecną koléj ogółowi wykreśliła, musi być dobroczynną, skoro ten ogół na swéj nowéj drodze wiele już zarobił, a jeszcze nic nie stracił. Tak, powtarzamy, nic nie stracił, chociaż potwarcze pióra wiele już aktów zejścia wiekowym cnotom napisały" (Nr. 33 str. 258).

Mamy więc tu do czynienia z odłamem téj orléj potęgi, co okiem słońca ludzkości całe ogromy przenika z końca do końca, co nam obiecuje znakomity dorobek w sferze myśli, w głębiach odrodzonéj wiedzy, na polu społecznego trudu. Obecnie zaś dźwięczna ta nuta nadziei, wprowadza ogół nasz na nowe dobroczynne tory życia.

Oto jest wspaniały, rozległy obraz idei podstawowéj i działalności młodéj naszéj prassy, obraz własnego jéj pędzla.

Dzisiaj zaiste, w naszéj trudnéj kolei życiowéj, w téj epoce powszechnego wycieńczenia ducha, niepodobna było stworzyć piękniejszego, potrzebom naglącym chwili obecnéj bardziéj odpowiedniego ideału.

Czy to czarowna na skwarnym stepie oaza, czyli téż optyczne mamidło, zwodniczo nęcące strudzonych i spragnionych pątników?

Poszukamy na powyższe pytanie odpowiedzi w bliższém rozpatrzeniu treści Przeglądu, to jest w oszacowaniu żaliczki, jakie Przegląd daje społeczeństwu na poczet zapowiedzianych przezeń świetnych widoków dorobku.

Zaczynamy od *artykułów wstępnych* i *kwestyj bieżących*. Zagadnienia społecznego żywota tu mają znaleźć rozwiązanie; a dodatnie zasady i poglądy organiczne redakcyi—swój wyraz. W dziale tym piérwsze miejsce należy się szeregowi artykułów zatytułowanych: „Praca u podstaw". (N-ra 10, 11, 12, 14, 16, 18 i 24). Tu są badane nasze społeczno-ziemiańskie sprawy: stan ich obecny, zadania przyszłości i środki do osiągnięcia takowych wiodące.

„Reforma włościańska nie wydała na naszym gruncie tak jak gdzieindziéj szczęśliwych, a nawet rzec można zdrowych owoców a to z powodów: 1) ciemnoty i niedojrzałości ludu, 2) niedojrzałości i nieprzygotowania do reformy obywateli ziemskich.

W sprawie téj cały ciężar obowiązków złożonym być musi na element oświeceńszy, to jest na obywateli ziemskich. Dla dobra ogółu, kmieci i własnego, winni oni środkami, ustawą niewzbronionémi, zdobyć wpływ na sprawy ludu i jego życiowy rozwój, nawiązać pomiędzy nim a sobą pasmo ścisłych spójni.

Tak więc dopiéro wtedy, gdy obywatele zaczną murować fundamenta społeczne, pracować u dołu, gdy zajmą się ludem, jego oświatą i interesami; gdy swemi zasługami wyrobią sobie wpływ i zaufanie: wtedy dopiéro, mówimy, ustrój gminny wydać może dla wszystkich jéj elementów i całego kraju rzeczywiste zyski“ (Nr. 10 str. 74 i 75).

W ogóle wykład przedmiotu jędrny i jasny, o stylu ozdobnym, oparty niby na tle, jak i przytoczony dopiéro ustęp wskazuje, gorąco postępowém. Dlaczego jednak pomimo tego wszystkiego pozostaje wrażenie nie zadawalniające? Owoż, w całém tém rozpoznaniu stosunków ziemiańskich, w ocenieniu sytuacyi obecnéj, w poczytaniu win i zwaleniu odpowiedzialności za nie na jeden tylko z żywiołów ustroju ziemiańskiego, tkwi jakaś dziwna, niewytłumaczona, rzeklibyśmy, tendencyjna jednostronność.

Jednostronność ta, przebraną jest w szaty gołębiéj naiwności. My nie dotkniemy téj szaty rozbiorem, chcemy ją tylko dać poznać za pomocą wyjątków z artykułu. Przy określeniu stanowiska władz gminnych i jéj stosunku do władz administracyjnych, czytamy: „Jako urzędnik administracyjny podlega wójt zwierzchniéj władzy naczelnika powiatu i sądów, zależność ta jednak ściśle jest przez prawo określoną. Oto artykuł ustawy: „Wójt gminny obowiązany jest wypełniać wszelkie *prawne* zlecenia naczelnika powiatu, sędziego pokoju, władz sądowych, oraz wszelkich innych władz, w *zakresie służących im atrybucyj wydane*“ daléj: „Żadnych *stanowych* ograniczeń prawo przy określeniu wyborów nie postawiło. Naczelnik może uznać wybranych za nieodpowiednich do urzędowania, w tym razie mają miejsce powtórne wybory. Gdyby zebranie gminne ponownie obrało sobie tych samych reprezentantów, a ten znów uznał ich za niestosownych, rzecz rozstrzyga gubernator, bądź zatwierdzeniem wybranych, bądź téż naznaczeniem trzecich wyborów, które już będą ostateczne i decydujące“ (Nr. 11 str. 81).

Surowo tedy karci artykuł klassę oświeceńszą ziemian, za niekorzystanie z tego samorządu, tak mocno uwarunkowanego i usankcyonowanego przez ustawę.

„Wartość ustaw wszelakich zależną jest wielce od ich wykonania. Najlepsze prawa nie przynoszą należytego pożytku gdy są źle i niedbale wykonywane“ (str. 82).

„Społeczeństwo zaś jest jedynie właściwym wykonawcą nadanych mu praw, (str. 89 Nr. 12).

Idźmy daléj za poglądami artykułu na sprawę oświaty ludowéj.

„Wyrzekania na niemożność rozwoju pozostaną zawsze smutnym dowodem moralnego ubóstwa, tém smutniejszym, jeżeli paragrafy ustaw dowodnie twierdzą, iż tylko absenteizm społeczeństwa obwiniać tu trzeba“ (Nr. 12 str. 89).

Artykuł obwinia duchowieństwo i obywatelstwo, że nie skorzystały z inicyatywy, która w ich ręku złożoną była, i nie przymnożyły szkółek wiejskich; jest i poparcie tego twierdzenia datami statystycznemi ilości szkół, bez wskazania atoli źródła.

A wszystko to, mniema autor, rozbijało się o kwestyę braku funduszów, punkt słaby naszych obywatelskich uczuć (str. 90).

Daléj z zachwycającą lekkością serca, darzy szykaną miniony zwrot umysłów, chęci, usiłowań ku oświacie ludu. Przypatrzmy się tedy pełnéj wdzięku odprawie jaka się tym usiłowaniom od Przeglądu dostała.

„Każdy z nas pamięta ów prąd ku ludowéj oświacie w piérwszych latach szóstego dziesiątka bieżącego wieku.

„Pisma nasze były przepełnione deklamacyami o poświęceniach panów i nadobnych pań, o ofiarach niesionych z pracy osobistéj na ołtarze oświaty ludowéj. Lecz zbiérano wtedy przez parę miesięcy dzieciaków wiejskich po izbach dworskich lub w sieniach i pokazywano im litery... a i to nie trwało dłużéj nad śniég na majowém słońcu (str. 90).

Nakoniec, „o wytwarzaniu funduszów szkolnych, mianowicie unieruchomionych, wołamy wielkim głosem i zachęcamy wszelkiemi środkami“ (Nr. 14 str. 105).

„Wszystkie pomyłki naszego ukształconego ogółu leżą w tém, że naglony koniecznością do ofiar, spodziewa się natychmiastowego takowych uznania ze strony klass niższych i ciemniejszych“ (s. 106).

A jednak dla składania ofiar potrzeba pewności wielkiéj i gruntownego przeświadczenia, że ofiara celu swojego nie chybi; że zużytkowanie jéj przynosić będzie rzeczywisty dla społeczeństwa pożytek. Gdy tymczasem na téjże saméj stronnicy jest wystawiony przykład gminy, która grunta ofiarowane na szkołę przez obywatela wydzierżawia i od kapitału zabiéra do swéj kassy kupony.

Autor kończy swoję zachętę do współdziałania w sprawie oświaty ludowéj twierdząc: „Władze szkolne aż nadto dobrze pojmują, iż w prawnych granicach nadzór ludzi wykształconych, nakazany przez ustawę, może być tylko pożądanym. Z téj więc strony nietylko żadnéj przeszkody, ale pomocy raczéj spodziéwać się należy (str. 106).

Taki kierunek zapatrywania uwydatnia się rownież w artykule wstępnym: „Nasze drogi bite“ (Nr. 25). Po wykazaniu nędznego ich stanu w naszym kraju powiada, że fundusze na drogi bite idą do kass

skarbowych i wszelkie odnośne do nich przedsiębiorstwa robót oddawane są drogą licytacyi. Zdawałoby się, że Przegląd w tym razie przynajmniéj uwolni od odpowiedzialności obywateli ziemian; ale pomysłowość redakcyi umié i tu zastosować poczytalność do obywateli i do staréj prassy, stawiając takie wymaganie: „Obywatele powinni byli stawać na licytacye i pomagać rządowi w wykonywaniu kontroli nad prowadzeniem robót. Inaczéj w téj mierze postępuje zagranica. Tam każdy kto płaci podatek dba o to, żeby szedł ku pożytkowi ogółu.“

Prassa zaś peryodyczna, myśląc o sprawach cudzych, zapomniała podać myśl obywatelom: podjąć się wspólnemi siłami budowy dróg“ (str. 194).

Tak jest silną młoda wiara w pomysł gazeciarski. Sądzi, że dotyla potworne ekonomiczne zadania, jak budowa wszystkich dróg, przez pewien stan narodu rozwiązać może lada projekcik. Autor nie troszczy się o to, że rolnik przy dzisiejszym stanie gospodarstwa znajdzie aż nadto do czynienia na swych polach, a wielce zawodną mogłaby stać się dla niego droga przedsiębierstw inżynierskich. Daléj autor nie uznaje za potrzebne dowiedzieć się, czy zarząd kommunikacyi ogłaszał licytacye, a więc czy obywatele ziemscy mogli stawać lub nie stawać. O ile wiemy, pierwsza od 1869 r. licytacya odbyła się dopiéro we wrześniu, a więc we dwa miesiące po wydrukowaniu artykułu. Cel téż jego był widocznie chybiony, gdyż obywatele, a nawet przemysłowcy nie stanęli do licytacyi, która z tego powodu nie przyszła do skutku.

Widocznie braknie autorowi zrozumienia ekonomicznych względów kwestyi, obok wcale niepozytywnéj wiary w potęgę dziennikarskiéj inicyatywy. Owoż i w całéj téj jednostronności poglądów, którą tu zaznaczyliśmy, jest niby niezrozumienie elementarnych warunków bytu i społecznego uwarunkowania. Jeżeli zaś użytą ona była jako podnieta do dobrego, jako argument do przekonania trafić mający, to użycie takiego środka nie możemy uważać za szczęśliwe. Zaufanie ludzi zastanawiających się, stronić musi zawsze od wszelkiéj naciągniętéj argumentacyi.

W dalszym ciągu „Pracy u podstaw“ Przegląd rozprawia, nie zawsze z należytą znajomością rzeczy, o znaczeniu zadań duchowieństwa (Nr. 16), o użyteczności gminnych kass pożyczkowych i oszczędności (Nr. 18) tudzież o potrzebie rozciągnięcia patronatu dworu, obywatela na średnio-wioskową intelligencyą, to jest pisarza gminnego, nauczyciela elementarnego, ekonoma i dzierżawcę, celem moralnego i umysłowego ich podniesienia i wykształcenia na obywateli kraju. Barwność stylu i obfitość trafnych argumentów, jakie napotykamy w téj seryi artykułów wstępnych, żywo przypomina dzieła Józefa Supińskiego, którego imię jest wymienione w kilku miejscach (np. Nr. 16).

W tém miejscu widzimy potrzebę założenia protestacyi, chociażby w kilku słowach, przeciwko nadużywaniu przez pozytywistów warszawskich imienia jednego z najznakomitszych i czci najgodniejszych pisarzy naszych. Wielki ten myśliciel wspomina wprawdzie że „myśl poszukiwania na téj drodze praw rządzących społecznością nasunął mu Comte“ [1]), ale własne jego wywody przekonają każdego uważniejszego czytelnika, że co do treści ducha swojego stoi on na antypodach względem patryarchy pozytywistów francuzkich i angielskich. „Podzielenie wszech rzeczy, zatém wszech świata, wszech istnienia na świat powszechny i na świat ludzki;“ odróżnianie ustawiczne i ścisłe materyi od ducha [2]); uznanie że pragnienie, wola i rozsądek „mają zaród wrodzony“, zaród „wlany przez Stwórcę w człowieka“ [3]); dostrzeganie w życiu społeczném „kierunku, nakreślonego palcem Przedwiecznego“ [4]); głębokie pojmowanie historyi, jakie znajdujemy szczególnie w teoryi zasobu i kapitału; nareszcie ta wzniosła i surowa moralność, która przebija się w każdym ustępie, zaczepiającym o stosunki człowieka do społeczeństwa: czyż te przynajmniéj pojęcia, że nie podniesiemy innych jeszcze dosadniejszych różnic, zostają w jakiémkolwiek powinowactwie z teoryami Przeglądu i całego pozytywizmu warszawskiego?

Następnie idzie odczyt publiczny jednego z najczynniejszych członków redakcyi Przeglądu, pana Świętochowskiego: „O średniém wykształceniu kobiét“ (Nra od 14—18).

Autor broni praw kobiety do kształcenia się wyższego, na równi z mężczyzną (str. 115). Istniejący systemat edukacyi kobiecéj, uważa jako systemat Tańskiéj, która jakoby dowodzi: „iż jéj płci nie przystoi nauka“ i wprost radzi swym współrodaczkom, ażeby się „strzegły mądrości.“

Podług niéj, kobieta jest istotą z natury swéj ułomną, stworzoną do cierpień, poddaństwa i usług mężczyźnie. Sama przez się jest zerem, nabierającém wartości dopiéro w połączeniu z jakąś cyfrą: Na imię jéj—nic. Służebna uległość, pobożna ślepota, milcząca abnegacya, tkliwy idyotyzm, niewiara w swe siły—oto ideał niewieści narysowany piórem Tańskiéj.“ Kobiety nasze dostrzegły zapewne, że zdania ich zacnéj mistrzyni podane tu są w karykaturze, a jednak ani p. Świętochowski, ani jego współtowarzysze w kwestyi emancypacyi nie podali dotychczas takiego szeregu dzieł kształcących i umoralniających kobietę, jakim obdarzyła literaturę naszę Tańska. Możnaby przynajmniéj przedstawiać publiczności nowe zasady, bez poniewierania prac dawnych.

---

[1]) Pisma V, 15. [2]) IV, 10 oraz II, 125 np. „ani materya wejdzie w skład świata ludzkiego, ani ludzkie potęgi: pojęcia, myśl sąd, wola udzielą się fizycznemu światu“ etc. [3]) V, 65 i 79. [4]) II, 127.

W dalszym ciągu spotykamy trafne ujęcie rysów ujemnych, obecnie średnio wychowanéj kobiéty, a także bilans nauki dla trzech odmian średniego wychowania i przedstawicielki takowych w życiu, dosadnie i dosyć wiernie skreślone.

Daléj dokończenie rozprawy tegoż autora zatytułowanéj: „Kwestya małżeńska (Nra 46, 48, 50 r. 1872, Nr. 3, r. 1873), któréj początek i ciąg dalszy zamieszczone były w ostatnich numerach roku 1872. Wierny stanowisku pozytywnemu, za pierwotną i zasadniczą przyczynę małżeństwa uważa autor fizyczną skłonność płci; że obecnie małżeństwo „jestto spółka mężczyzny z kobietą zjednoczona i utrzymywana ogniwami fizycznych popędów, moralnych uczuć i rodzinno-społecznych celów“ (str. 362, Nr. 46). Spółka ta opiera się na miłości, t. j. na pragnieniu połączenia swego istnienia z inném istnieniem, które dostarczy przyjemności fizycznych, duchowych i pomoże do spełnienia pewnych celów życia. Innemi zaś czynnikami téj spółki są: wykształcenie i kapitał, to jest procentująca zdolność; przy dzisiejszym stanie jéj rozwoju i pieniądze. Takim jest określony przedmiot spółki, rozwiązaniem zaś jéj powinien być tylko rozwód, a nie separacya. Czytelnik nie będzie zapewne wymagał od nas naukowego lub filozoficznego komentarza do téj teoryi małżeństwa, która odstępuje wprawdzie jaskrawo i od kodeksu Napoleona, i od wszelkich prawodawstw europejskich, i od prawa kanonicznego wyznań chrześciańskich, ale nową i oryginalną nie jest. Powiemy tylko autorowi: gdybyś pan zechciał obeznać się z teoryami prawnemi, tudzież z historyą instytucyi małżeńskiéj w dawnym Rzymie i u narodów nowożytnych, poznałbyś niewątpliwie, jak dalece sprzeczném jest z obowiązkami dobrego obywatela, podważać chociażby pobieżnemi artykułami, jednę z najkardynalniejszych podstaw społeczeństwa naszego.

Widzieliśmy pogląd pozytywny na jednę z kwestyj moralno-filozoficznych, zobaczmy dopiéro jak się pozytywizm w osobie p. Antoniego Pileckiego zapatruje na poezyą (Nr. 34 i 35).

W obec pozytywnego kierunku naszéj umysłowości, autor przyznaje poezyi prawo bytu, pod warunkiem zgodności jéj z duchem wieku. A wiek ten przedstawia niewyczerpane źródła poetycznego żywiołu; śmiało nawet powiedzieć można, jest on poetyczniejszym od przeszłych wieków. Same ideały poetyczne znakomicie się udoskonaliły. Dlą nas postać Achillesa i wielu innych bohaterów Grecyi więcéj wstrętną niż piękną wydać się musi. Prosty nasz wieśniak jest nieporównanie szlachetniejszym i rozsądniejszym od nich. Wszakże z tego nieba optymistycznych nadziei czytelnik spadłby odrazu, gdyby przejrzał utwory niektórych poetów „Przeglądu“ np. „Typy“ p. Bogumiła Aspisa, umieszczone na czele Nru 50. W tym monologu dramatycznym, skąpiec wyrzuca mnóstwo wykrzykników bardzo energicznych, ale nie sklejonych kitem składni rządu i składni zgody. Kropki, kréski, znaki zapytania, kursyw i gwiazdki, używane

w wielkiéj obfitości, nader mało dopomagają czytelnikowi do zrozumienia sensu [1]).

Wspomnieć jeszcze wypada pomiędzy artykułami wstępnemi: „Wspomnienie poświęcone 1872 r.“ Tu się wielkie oddają pochwały nieboszczykowi: za wytrwałe dążenie do zaspokojenia praw i potrzeb własnych siłami własnemi; za zachwianie kredytu umysłowego blichtru, za to wreszcie, że 1872 r. był na wskroś postępowym. W końcu się jednak redakcya spostrzegła, iż w nazbyt sielankowe wpadła usposobienie i unieść się dała prądowi idealizacyi, więc na odrobienie sypnęła porządną dozę epitetów ostrych.

Wstępne artykuły zatytułowane: „Kretowiska“ (N-ra 32, 33) mają charakter bardziéj polemiczny, zmierzają do obrony własnéj wobec napomknieniem tylko wskazanych dotkliwych dla redakcyi oskarżeń; skierowane są również do ugodzenia przeciwników. Dowodzenie o nieprzedajności naszéj prassy z powodu, iż obejmując nie wielkie koło ludności, nie nastręcza zyskownych sposobności przekupstwa, jest słabe, krytyki nie wytrzymuje i niczego właściwie nie dowodzi. Za niém wylewa się całym potokiem obelżywych napaści na wrogie sobie pisma. Baterye są skierowane głównie, zdaje się, na Kuryera Warsz. i prassę galicyjską.

Ten obelżywy ton, to namiętne traktowanie przeciwników, silenie się na retorykę połajanki, dowodzą gniewu Przeglądu; Francuzi zaś z gniewu zwykli o winie wnioskować.

W artykułach z powodu stuletniéj rocznicy zniesienia zakonu Jezuitów (N-ra 34 i 35), Przegląd, złożywszy jubileuszową dań zakonowi swojéj wzgardy i bardzo oklepanych rekryminacyi, nie wyświecił atoli ani ich konstytucyi, ani stanowiska zakonu wszechstronnie dziejowego, ani znaczenia, wpływów i działalności współczesnéj.

W N-rach 37, 39 i 41 znajdujemy artykuł p. t. „Żydzi“ napisany pod wpływem broszury p. Jeleńskiego (O skierowaniu żydów do pracy w rolnictwie). Autor probuje zastosować teoryą Darwina o przemianie gatunków do „dziedziny ducha“. Nic wiele mu ona w téj kwestyi dopomogła, bo gdy przyszło do zapytania: „gdzież lekarstwo na tę chorobę?“ pokazało się, że słabo wierzy w zwrot żydów do rolnictwa, i że musi upominać się u rządu o „wyjątkowe środki“ jakie zastosował już zarząd miasta Kijowa „usuwając z obrębu miasta tych żydów, którzy nie posiadali dawniejszych tytułów do

---

[1]) Oto mała próbka:

Czart go może wziąść w swą rękę
I—jeszcze męczyć!?...
Łby głupie!..
A posty, a msze, a nieszpory,
A od czegoż to jest, *panie!?*

korzystania z praw miejscowego obywatelstwa.“ Zresztą w artykule zestawiono kilka ciekawych danych ze statystyki, a główny nacisk położono na szerzenie oświaty za pomocą „Towarzystw Izraelskich“. W N-rze 42 zaleca się rzemieślnikom warszawskim jako wzór do naśladowania Gewerbe-Verein Rygskie i „Artel“ założona też w Rydze przez robotników Rossyan. W N-rze 47 doradza się młodzieży handlowéj założenie własnego stowarzyszenia z kassą pożyczkową, kantorem informacyjnym, resursą i czytelnią. W N-rze 48 kobiétom, aby się uczyły aptekarstwa. W N-rze 52 rozbiór listu pasterskiego JW. Walentego Baranowskiego, odznaczający się niezwykłą, jak na Przegląd, powściągliwością wyrażeń i spokojem rozumowania.

Oto jest szereg główniejszych wstępnych i w kwestyach bieżących artykułów Przeglądu, że pominiemy drobniejsze okolicznościowe odezwy redakcyi. Z tych ostatnich zresztą zaznaczyć tu musimy bez komentarza odezwę o nowém wydawnictwie 50-tomowém (zapewne znów 50-broszurowém, bo 4—5 arkuszy druku, nie nazywa się tomem) z d. 14 września, w któréj pomiędzy iunemi godnemi studyów frazesami, znajduje się taki np.: „Czy mamy nadal bić postępowym taranem 200,000 tomów w zapleśniały mur ciemnoty“ (N-r 37, szp. środkowa) i serdecznie naiwną pogadankę z czytelnikiem z N-r 49 p. t.: „Coś w miejsce zawezwania do prenumeraty,“ w któréj redakcya oburza się na zarzucaną, jéj „wprost nieuczciwość“ a na uwagę łaskawego interlokutora: „Ale bo palnęliście *kilka* bąków“ — odpowiada: „A palnęliśmy..... ale czy na zasadzie dwóch, a *nawet jednego* tomu, który dostarczył naszym serdecznym materyału do krytyki, godzi się znęcać nad *resztą* 50-cioma?“ (szczególna co prawda artymetyka: przecie 50 - 2=48 lub 50—1=49, ale zkądinąd wiemy, że jeszcze dwóch tomów Lubbocka (Początki cywilizacyi) częstokroć zrozumiéć nie można etc. etc.): W końcu znacznie pokorniejszym tonem redakcya obiecuje nadal za podwyższoną opłatę dawać „dzieła znakomite“ z przytoczeniem nazwisk tłumaczy, program ściśle wyegzekwować, dodatki ulepszyć i tłumaczenia zastąpić oryginalnemi powieściami: Michała Bałuckiego (Z obozu do obozu) oraz Anonima (Przeżyci).

Po przejrzeniu tedy szczegółów tego działu zaznaczyć musimy, że w kwestyach społeczno-ekonomicznych nie znaleźliśmy ani wielkich idei, ani świetnéj pomysłowości, ani genialnych projektów odbudowy ustroju społecznego. Jest tylko trochę mniéj lub więcéj udatnie wypowiedzianych społeczno-pozytywnych dezyderyów, którym przecie cudownie twórczéj mocy przyznać niepodobna.

Dział naukowy, w którym odbićby się powinna owa część dla nauki tylekroć głoszona i do „katechizmu domowego“ (N-r 38, str. 316) podawana, nie figuruje jako osobna rubryka w spisie artykułów. Tworzymy go więc sami, żeby obejrzéć cały materyał erudycyi Przeglądu, zgarniając tu odrazu aż trzy poddziały, wyszczególnione w Spisie: *Filozofią*, *Nauki przyrodnicze* i *Z dziedziny nauki*. Zapisanych tu jest 18 artykułów, ale w téj liczbie figuruje 7 krytycznych „ocen“; 8) „Teorya lodników“ Tyndalla jest króciuchném sprawozdaniem (na

trzech szpaltach) o I-m tomie Biblioteki Międzynarodowéj; 9) „Kilka słów o piérwotnéj gminie“ przez B. Limanowskiego jest téż krótką notatką sprawozdawczą o kilku dziełach (Bonnemère'a, Sumner Maine'a, Nasse i artykule: Emila de Laveley z Revue d. d. M.); tu zresztą znajdujemy kilka własnych uwag i wniosków autora; 10) „Zmysł piękna u zwierząt“ jest plagiatem artykułu p. Levêque z *Revue des deux Mondes* (15 lipca), przyczém tłumacz, nie wymieniwszy źródła i zabrawszy autorowi bez ceremonii cały wykład, wywrócił całkiem na nice ostateczne wnioski; 11) „Ustrój materyi“ przez p. W. Niewiadomskiego jest krótkiém sprawozdaniem z teoryi Tyndalla o świetle; 12) Tegoż pióra jest jedyny obszerniejszy artykuł o dziele Darwina: „Pochodzenie człowieka i wybór płciowy“; 13) W siedmiu numerach ciągnął się przekład ustępu z „Intelligencyi“ Bain'a. Jakkolwiek zdaniem „ech“ (s. 323) Bain jest nieśmiertelnym, to jednak można byłoby ów przekład odesłać do dodatków lub do 50-tomikowego wydawnictwa, nie zawalając szczupłego tekstu tłumaczeniami; 14) O Döllingerze i jego szkole (bez podpisu autora) trochę informacyi z zastrzeżeniem że te „ruchy religijne... są... dziwnym i przyznajmy szczerze wstecznym objawem“; 15 i 16) Krótki opis życia, odkryć i znaczenia w historyi nauk przyrodniczych X. Bichat'a i Lamarck'a, w końcu 17 i 18) dwa niewątpliwie oryginalne artykuliki p. Skorkowskiego p. t. „O małżeństwie ze stanowiska hygieny“ (3½ szpalty), oraz „Apogalaktyzm i jego skutki“ (około 8 szpalt). W piérwszym, zagaiwszy rzecz od Eskulapa i Hygiei, oświadczył na przedostatniéj szpalcie, że nie chce „potrącać kwestyi specyalnych“; rzeczywiście, podał téż parę cyfr statystycznych z Bertiglion'a (które można znaleźć w każdym podręczniku statystyki) o śmiertelności rocznéj mężczyzn i kobiét, a potém znowu wpadł do Rzymu, Turcyi, Francyi i zajrzał aż na ucztę Baltazara. Drugi artykuł, z imponująco uczonym tytułem, zawiera naukę dla matek, że szkodliwém jest niekarmienie dzieci własną piersią; apogalaktyzm więc znaczy odstawienie dziecka od piersi. Zakończenie odpowiada tytułowi, autor bowiem woła w najwyższém uniesieniu: „Potrzeba nam jak najwięcéj zdrowéj wiedzy i światła... światła strumieniami!!!“ (s. 247).

Jakkolwiek silnym może być effekt tych trzech zamaszystych wykrzykników, toć nie ulega wątpliwości, że strumienie nie spłyną z takiego działu naukowego, gdybyśmy nawet wcielili do niego „Profile“: Szekspira podług Tain'a, Stuarta Mill'a, J. Liebieg'a i Manzoni'ego w przekładzie Mierzejewskiego (nie wiadomo z jakiego oryginału). Sprowadzając rzecz do właściwéj miary, moglibyśmy ten dział naukowy Przeglądu porównywać, co do ilości spotrzebowanego materyału chyba z licznemi notatkami naukowemi gazet politycznych lub Kuryera Warszawskiego, który wszakże doznaje od Przeglądu nader upakarzającéj pogardy, jako „świstek brukowy.“ To tylko nie ulega wątpliwości, że całoroczny zasób nauki przyrodniczéj

Przeglądu nie wyrówna tygodniowemu zeszytowi: Revue Scientifique, ulubionéj skarbnicy jednego ze stałych jego współpracowników.

Przejdźmy teraz do działu literatury polskiéj.

Zwraca tu najprzód uwagę rozbiór obszerniejszy dzieła Ochorowicza: Pogląd ogólny na filozofią pozytywną (N-ra 2, 3, 4). Dosyć zasadnie wykazane są sprzeczności w broszurze p. Ochorowicza. P. Bogacki autor rozbioru bez ceremonii jednak zabiera do swego obozu wszystkich, kto mu się tylko podoba z uczonych: „Tak tedy nie od Comte'a i od Śniadeckiego (Jana) (jak utrzymuje p. Ochor.) datuje się istnienie pozytywizmu. I Kepler i Galileusz i Kopernik i Newton i Bichat i Cabanis i Voltaire i Bacon i Rousseau i t. d. i t. d. byli pozytywistami, że już nie będę wyliczał mnóstwa innych nazwisk (N-r 6—9, str. 21).

Daléj idzie obszerniejszy rozbiór dzieła Prądzyńskiego: O prawach kobiéty, w którém wiele się stawia zarzutów pod względem historycznego traktowania przedmiotu; ale oddają się pochwały rozdziałowi o ekonomicznem wyzwoleniu kobiéty i w ogóle dla całości.

Z zajęciem się czyta jak wszystko, co się legendowéj postaci wielkiego wieszcza dotyczy, artykuł: Korrespondencya Adama Mickiewicza (N-r 9—13). Zebrane w nim są pobieżnie niektóre rysy prywatnego życia i stusunków poety.

Na sympatyczną wzmiankę zasługuje recenzya powieści p. t. „Siostrzenica księdza proboszcza“ Bałuckiego, w któréj to recenzyi p. Kotarbiński stawia względem belletrystycznych autorów wymagania zdrowe i czyste (N-r 15 i 16, str. 116). „Niezbyt jeszcze dawno uważaliśmy Dumasa za apostoła społecznego, porwani jędrną siłą jego dramatycznéj wymowy. Teraz jednak rozważywszy dokładnie istotę wpływów i rzeczywistéj użyteczności utworów belletrystycznych, przekonaliśmy się, że całe to namaszczone kaznodziejstwo ulatuje bezskutecznie z pustym dźwiękiem słowa, zostawiając po sobie w umysłach czytelników nie zarody pożytecznych idei, ale denerwujące wrażenia zmysłowe.“

Ocena piérwszych zeszytów „Panteonu wiedzy ludzkiéj“ Trentowskiego, ma się rozumiéć, nieżyczliwa (N-r 32 i 33), a nadto okolicznościowe recenzye jeszcze 19-tu dzieł i broszur wypełniają dział niniejszy; przy którym dodatkowo wzmiankujemy o sprawozdaniach ze sceny naszéj wraz z rozbiorem samych dzieł sztuki, tak np. o Marion Delorme, Mazepie, Poskromieniu złośnicy i t. d.

W dziale literatury zagranicznéj główne miejsce zajmują tłumaczenia: O Szekspirze podług Taine'a, Stuart Mill również z Taine'a, Powiastka Sand, Obłoczek różowy. Co się zaś tyczy przeglądów piśmiennictwa niemieckiego, angielskiego, francuzkiego, hiszpańskiego i t. d., to panuje tu opłakana jałowość. Z tych przeglądów ani o literaturze, ani o umysłowości, ani o społeczeństwie, a nawet i o kilku wzmiankowanych w nich dziełach powziąć nie można najmniejszego wyobrażenia; nieco żywotniejszym jest przegląd literatury

węgierskiéj. Rubryka ta mogłaby być nader ważną i pożyteczną, w obecnym jednak kształcie, zapożyczając wyrażenie od Przeglądu, zapytać można: po co to czernienie bibuły? Tu też nadmienić wypada o takichże samych prawie pod względem wartości, acz nielicznych korrespondencyach Przeglądu, z których lwowskie zaznajamiają nieco z objawami wydatniejszemi tamecznego życia.

Pozostają jeszcze: *polemika i echa*, najżywotniejsza i najbogatsza w materyał część Przeglądu Tygodniowego. Niestety! bogactwo materyału przygniata nas i odbiera wszelką możność ułożenia dokładnego obrazu téj części. Obrachowawszy się z miejscem i czasem, zmuszeni jesteśmy poprzestać na krótkiéj charakterystyce, na kilku próbkach, na skromnych wypisach z wielkiéj całości.

Czasem echa pochwytują zręcznie wady społeczeństwa naszego (np. w N-rze 17, str. 134 o grze kartowéj, w N-rze 6, str. 43 o balu krakowskim i t. p.); czasem poleca wydawnictwa nawet firm współzawodniczących, (np. Historyą Attyli Thierrego w wydaniu Gazety Polskiéj), zwracając przytém uwagę czytelnika na swój heroizm („Nie będziemy, jak obłudni nasi nieprzyjaciele odmawiać pożyteczności dziełu, dlatego, że wychodzi ich nakładem" N. 44, str. 346) lub książki pp. Komarnickiego i Karłowicza (Nr. 42); czasem przemawiają dobrotliwie, gdy znajdą błąd w tłumaczeniach innego wydawcy (np. o błędach p. Swieżawskiego); czasem chwalą nawet Bibliotekę Warszawską (N. 51): ale te rzadkie wyjątki giną w potopie pocisków na inne pisma, wykrętnych popisów dowcipu kronikarskiego, szykany dla przeciwników i reklam dla własnego wydawnictwa.

Wkraczając na ten rozległy plac tracenia wszelkich „obskurantów, namaszczonych mandarynów, obłudników, nieuków," posłuchajmy najprzód ponurych jęków dzwonu pogrzebowego na pogrzebie naszéj Biblioteki Warszawskiéj. Dnia 23 marca „echa" po raz pierwszy wspomniały o niéj, ale wcale nie o treści i wartości prac naukowych, wydrukowanych w trzech pierwszych zeszytach 1873 r. Przedmiotem rozbioru jest powieść „Amalia," któréj druk ukończył się w 1872 r. Zkądże taka troskliwość o powieść, kiedy, jak wiadomo, Biblioteka jest pismem naukowém? Oto, echa chcą wiedzieć, kiedyż Biblioteka powié o tém, co się dzieje nad Wisłą? są rzeczy i sprawy bliższe dla nas (np. „Teorya lodników" zapewne zasilających Wisłę!). Namozoliwszy się nad rozmaitemi przypuszczeniami, recenzent woła rozpaczliwie: „Ostatecznie, czy miała (Biblioteka) cel jakikolwiek? Tak jest, miała... Prenumeratorowie lubią takie rzeczy; Biblioteka lubi i potrzebuje prenumeratorów, zatém Biblioteka robi to, co lubią prenumeratorowie. Każdy *broni się od śmierci*, jak może (N-r 12, str. 93)." Tak więc miecz sprawiedliwości „Przeglądu" zgładził nas ze świata; jesteśmy już pogrzebani; przemawiają w téj chwili nie współpracownicy Biblioteki, ale widma, cienie, ci ludzie planetarni, których zdumiewające peregrynacye po planetach dał nam poznać Przegląd w jednym ze swych 50 tomów („Nazajutrz po śmierci"). Nie tak straszne, ale niemniéj złośliwe wyroki zawisły nad głową

p. S. W. „nieśmiertelnego korepetytora z Gazety Polskiéj“ (N-r 7, str. 52) „wyławiacza gramatycznych usterek, rycerza-krytyka, trębacza na cztery rogi,“ którego repertoar „sięga aż trzech zupełnie różnych specyalności“ pedagogiki, filologii słowiań. i estetyki, (a które to specyalności zwykły się mieścić jednak na jednym fakultecie w uniwersytetach). Ztąd jest nazwany p. S. W, wszystko-wiedzem i zakwalifikowany do najciekawszych okazów, mogących na wystawie wiedeńskiéj figurować (str. 165). Redaktorowi Gazety Rolniczéj, echista ofiarował „dyplom na prawo noszenia zaszczytnéj oznaki z świętojańskiego kartofla“ (str. 54). Bolesnego zawodu doznał Przegląd na p. H: „Pisarz ten, nieznany dawniéj, pierwszemi występami obałamucił nas zupełnie. Zdawało się bowiem, że jest to umysł świeży, gorący, silny naturalną zdolnością, rozwinięty nauką, a co więcéj niespity idealogicznemi odwarami niemieckich mózgów“ (N-r 7, str. 51). Ale jak tylko echista przejrzał, wnet uczynił należytą restytucyą za swe obałamucenie; ujrzał już w p. H. „olbrzymią pyszałkowatość z maleńką wiedzą, krzykliwe, frazeologiczne wykrętasy, plagiatorstwo“ etc., a w końcu nazwał go „zapalczywym kogutem literackim“ (N-r 47, str. 470—472). Niepodobna spisać wszelkich przycinków i grubiańskich połajanek, jakie się dostawały pismom antipozytywnym: na wzór przytoczymy jeden tylko frazes: „Chińszczyzna jest nam znaną o tyle tylko, o ile się z nią spotykamy w szpaltach Kłosów, Kuryera War., Kroniki Rodzinnéj i kilku jeszcze pism innych, oddanych przeważnie sprawie propagowania obskurantyzmu w społeczeństwie naszém“ (N-r 46, str. 461).

Znajdujemy daléj wyniosłą naukę, udzieloną p. Młynarskiemu za uwagi, jakie się ośmielił o odczycie p. Wiślickiego wypowiedzieć: „Panie Młynarski, majstrze ciesielski! ile razy rzecz będzie szła (?) o belkowanie, o obróbkę drzewa, my słuchać cię będziemy z uwagą, a gdy rzecz pójdzie o pedagogice, to racz ty panie słuchać tych, którzy temu przedmiotowi długie poświęcili godziny.“ (s. 78). Znajdujemy i konwulsyjny śmiéch z Przeglądu katolickiego (N-r 32, s. 250 i polemikę z Kroniką Rodzinną w takim tonie, że należy przeciwnika oddać do jakiéj szkoły, gdyż o niczém nie ma wyobrażenia (N-r 34).

Przytoczone tu wyjątki wystarczają w zupełności do skonstatowania faktu, że Przegląd Tygodniowy wprowadził tak grubiańską i niesumienną polemikę, jaka nigdy znaną w druku nie była, o ile sięga pamięć nasza, co do piśmiennictwa peryodycznego u nas.

Reklama stanowi nader wybitną stronę nietylko ech, ale i tekstowych działów „Przeglądu;“ któż nie zna dobrodusznego i kordyalnego tonu w prospektach, który mu jedna serca prenumeratorów „otworzyste do samych kieszeni“? Po prospekcie pisze się w echach: „A więc rozpoczęliśmy to wydawnictwo... Lecz oni nie skończą... Nie mamy tajemnic... Ale przekład!.... powierzyliśmy go ludziom, posiadającym dobrze obadwa języki i znającym przedmiot, a w trudnych razach radzimy się specyalistów.“ (N-r 1, str. 2). W N-rze 2

napomyka się w echach, że nasza publiczność zmądrzała, że *ma gdzie poszukać* trochę pożywniejszéj strawy" (str. 14), a na str. 16 aż dwa oświadczenia od redakcyi do abonentów, w N-rze 3 tylko obwieszczenie u dołu i małe informacye w odpowiedziach; w N-rze 4 w echach: „odnośnie do wydawnictwa naszego 50 tomów, mamy honor objaśnić etc." (str. 30); w N-rach 5 i 6 tylko ogłoszenia; w N-rze 7: „Pierwsza edycya wyd. 50 t., rozkupioną została" etc. oraz zawiadomienie o wyjściu kilku tomów (str. 54) i t. d. Godném uwagi jest serdeczne polecenie „Dyetetyki dziecięcéj" w przekładzie p. M. Kw., zaczynające się od słów: „Są książki, które jak chléb powszedni, powinnyby być przystępne dla każdego," a w końcu: „Wyjątkowo więc odbiliśmy jéj pewną ilość egzemplarzy i oddajemy ją po niepraktykowanie nizkiéj cenie 10 kop. (20 gr.) za egzemplarz, z prośbą, aby *przyjaciele ludzkości* zechcieli się zająć rozszerzeniem jéj między ludem. Jest ona do nabycia w naszéj redakcyi i we wszystkich księgarniach." (N-r 17, str. 131, 132). Niedługo potém nieprzyjaciel ludzkości, p. Doliński w Opiekunie Domowym, a więc w piśmie niepodejrzanem o obskurantyzm śmiał napisać: „Ale jakiż język w tłumaczeniu! Chyba nikt korrekty nie prowadził." (Opiek. Dom. N-r 22). Potém w artykule tekstowym, pod napisem: Od redakcyi (N-r 37), ukazał się przytaczany już frazes o postępowym taranie 200,000 tom. gdy wtém „robotnicy literaccy Kur. War. i Kron. Rodz., rzucili się do wyszukiwania trufli" (błędów przekładu). Echista tłumaczy dlaczego w zarysach Anglii, „Przewodnik Murray'a" nazwany jest Gwidonem Murrayem, a Włochy Italem i widzi w przeciwnikach „zapienioną niemoc, skaczącą do oczu ludziom, którzy jednym naciskiem swéj stopy rozdeptaćby ją mogli" (N-r 41). W N-rze 47, echista broniąc wyrażeń tłumacza, że prowincya francuzka Beauce, jest Beocyą, księztwo Walii Galią, etc., wnioskuje „iż Kronika uważa Taine'a za książkę, Kuryer War. za osobę, a Przegląd za rybę." Wszakże pod wrażeniem polemiki „ze świstkiem brukowym" Redakcya uznała za stosowne złożyć dziwną deklaracyą w formie odpowiedzi na list tajemniczego p. Wacława P., wydrukowanéj drobném pismem, ale grubéj, co do treści. Dokument ten przytoczyć winniśmy in extenso: „Do wszystkich. P. Wacławowi P. Artykułu pańskiego, wymierzonego przeciwko Kuryerowi War. drukować nie możemy. Za wiele zaszczytu, aby pismo nasze wchodziło na servo w polemiki ze świstkiem brukowym. Nielogiczność sądzenia 50 tomów na zasadzie nie przez Kuryer wykrytych błędów w jednym z tomów zbyt jest rażącą, aby kogo w błąd podobna napaść mogła wprowadzić. Tłumaczem odpowiedzialnym głównie za błędy przekładu, jest p. Paulina Fechner, znana współpracowniczka Kłosów, Kroniki Rodzinnéj i innych pism. Szczegół ten uszedł uwagi sz. krytyków. Natomiast na zasadzie cudzych błędów, oskarżono o nieuctwo współredaktorów Przeglądu, którzy *nigdy w życiu nie widzieli na oczy* przekładu p. Fechner. *Wydawnictwo 50 tomów bowiem tyle ma wspólnego z Przeglądem, że wychodzi w jednéj drukarni nakładem*

jednego wydawcy. Widocznie jednak *sumienni* nasi przeciwnicy pragną usprawiedliwić przysłowie: „Kowal zawinił, ślusarza powieszono.“ Zresztą sami się przyznają; kretowiska zasypały im oczy. Od walki biorącéj sobie za zasadę żydowskie oko za oko, ząb za ząb, usuwamy się, my bowiem pozytywiści wyznajemy! nowszą Chrystusową maksymę, która snać w kierujących Kuryerkiem Warsz. jeszcze nie przesiąkła dostatecznie. Przyjmijcie p. Wacławie P. szczere podziękowanie za twe wyrazy sympatyi.“ (N-r 38, str. 394). W tym samym N-rze trzy pierwsze karty zajęte są wymowną rozprawą o prawdzie prywatnéj i prawdzie publicznéj, gdzie autor przetrząsa głąb' sumienia Thiers'a, który będąc rojalistą, mógł być jednocześnie prezydentem rzeczypospolitéj! Na końcu autor woła: „Bądźmy prawdziwi!“ (str. 299). Deklaracya powyższa nie przeszkodziła jednak redakcyi Przeglądu ogłosić znów serdecznéj pogadanki na czele N-ru 49 p. t.: „Coś w miejsce zawezwania do prenumeraty.“ (już wzmiankowanéj poprzednio).

Powstrzymujemy się od nazywania rzeczy po imieniu i od określania wpływów podobnéj przedsiębierczości wydawniczéj na moralność społeczeństwa. Dodamy tylko, że Przegląd mieni się sam „najżywotniejszą i uczciwą częścią młodego pokolenia“ (N-r. 50, str. 396 [1]).

Z przedstawionych tu zarysów dziennikarskiéj działalności „Przeglądu Tygodniowego“ wyciągamy następne wnioski:

Uznalibyśmy zasługę redakcyi tego pisma w poruszaniu licznych stron społecznego życia naszego, gdybyśmy znaleźli w jéj artykułach niezbędne przygotowanie, rzetelną znajomość stosunków krajowych, historycznego ich rozwoju i wymagań naukowych. Tymczasem „Przegląd“ ma na myśli jakieś społeczeństwo abstrakcyjne; radzi, nie oglądając się, czy kto z rady jego skorzystać zdoła; gromi nie pytając, czy istnieje rzeczywista wina; buduje więc gmachy na piasku, częściéj mąci, niż rozjaśnia pojęcia czytelników.

Uznalibyśmy gorące odezwy do ogółu o cześć dla nauki, uznalibyśmy pochopność do zbogacania literatury wydawnictwami, gdybyśmy w całorocznym komplecie znaleźli chociaż jednę pracę istnie naukową, oryginalnie napisaną przez współpracowników Przeglądu, a w tłumaczeniach, gdybyśmy znaleźli sumienny przekład autorów obcych, bez błędów lub nieumiejętnego przekręcania.

Nigdy zaś nie uznalibyśmy tych środków, jakich „Przegląd“ używa do szerzenia rzekomej wiedzy pozytywnéj w społeczeństwie naszém. Przesadne deklamacye o zasługach „młodéj prassy“ w rozbudzeniu ruchu naukowego i literackiego; szumne zapowiedzi (np. Encyklopedyi lub 50-tomikowego wydawnictwa); wypieranie się

---

[1]) Robimy zastrzeżenie, co do paginacyi w cytatach. Pisaliśmy zawsze numer stronnicy, jak jest wydrukowanym, chociaż w kilku miejscach paginacya Przeglądu jest fałszywa; tak np. po str. 303, następuje 394, a po 349 następuje 450, kiedy końcowe numera dochodzą tylko do str. 416.

redakcyi, gdy jest pociągniętą do odpowiedzialności; przyznawanie się do zasług, kiedy się pisze do prenumeratorów; umieszczanie w tekscie reklam, drukowanych zwykle poza ramami gazet lub w osobnych dodatkach; najwyraźniéj sprzeczne oświadczenia, obrachowane chyba na brak pamięci i nieuwagę czytelników,—zacierają różnicę pomiędzy godziwém i niegodziwém i poniżają zacność powołania literackiego.

Nie uznajemy, potępiamy sposób traktowania współzawodników i przeciwników, oraz kierunek nadany krytyce. Komuż nie wiadomo, że do czasu ukazania się „Przeglądu Tygodniowego“ w literaturze naszéj ściśle przestrzegano grzeczności, a nawet uprzejmości, chociażby względem przeciwników, że dowcip nie zniżał się nigdy do brutalnéj dyalektyki. Krytyka była czasem powierzchowna, czasem okazywała zbyteczną skłonność do pochwał, ale nie spekulowała na poniewieraniu pracy literackiéj lub naukowéj. Wprowadzając zasadę „walki o byt“ do literatury naszéj (bodaj przed wygłoszeniem téj zasady dla królestwa zwierzęcego w teoryi Darwina), Przegląd Tygodniowy w imię „postępu,“ światła, nauki, „obalania murów ciemnoty,“ wprowadził mowę i zwyczaje najzupełniéj sprzeczne z elementarnemi zasadami cywilizacyi. Krytyka nie zyskała na gruntowności, a zbyt często, niestety! przybiera cechy zawiści i jednostronności, która nie uwzględnia w ocenianém dziele sumy włożonego w nie trudu, ważności zadań, stopnia użyteczności (nie bacząc na zgodność lub niezgodność z zasadami pozytywizmu) i przeciwnie podnosić nie zaniedbuje miernoty, jeżeli ta wyszła z warsztatów własnego stronnictwa. *B.*

PRZYRODA I PRZEMYSŁ

Tygodnik popularno naukowy, 1873 rok, drugi istnienia.

Potrzebę i użyteczność pisma rozpowszechniającego znajomość przyrody i praw nią rządzących, ocenia już u nas opinia publiczna dostatecznie, uznając w pracy ten kierunek mającéj niezmiernie ważne czynniki współczesnéj cywilizacyi i krzepkie podpory bytu społecznego. Wiadomo jest wszystkim, że największe wieku naszego wynalazki, podające coraz nowe w ręce człowieka sposoby do owładnienia potężnemi siłami przyrody i przemienienia tych najczęściéj groźnych działaczy w posłuszne narzędzia, są prostym wypływem badań naukowych; nie wielu wszakże zwraca uwagę, że nawet egzystencya rodu ludzkiego, nie będzie mogła wiecznie polegać na saméj tylko łasce natury, lecz coraz większym trudem i umiejętnością będzie musiała jéj zasoby zdobywać. Przytém pomimo uznania ważności nauk przyrodzonych, mało dotąd wyrobiło się w większości jasnych poglądów, czego po nich oczekiwać, czego domagać się należy.

Jedni żądają od pracowników na tém polu prawdziwych recept bezpośrednie przynoszących korzyści, inni trwożą się kierunkiem ich dążności, mogących jakoby podkopać podstawy moralne człowieczeństwa i zepsuć wielowiekową cywilizacyjną pracę, stawiającą ludzkość na dzisiejszéj wyżynie. Obu krańcowych tych mniemań błędem wspólnym jest, niedostateczna znajomość rzeczy. Gdyby pierwsi zechcieli się lepiéj obeznać z historyą największych wynalazków, przekonaliby się, że bezpośrednie sięganie po złoto, po kamień filozoficzny, nie udawało się nigdy; że przeciwnie samém zamiłowaniem nauki kierowane badanie natury, wnikanie w jéj tajemnice dla zrozumienia ich, przynosiło z czasem obok zarobku duchowego, nieprzewidywane wcale w stosowaniu owoce. Drudzy powinniby mieć więcéj wiary w losy ludzkości, któréj koleje nie mogą zależeć od przemijających zjawisk, lub zmiennych prądów; lecz jak wszystko w naturze stałym i nieprzełamanym podległe są prawom. Ludzkość żyje, potrzebuje więc ciągle świéże pierwiastki przerabiać, i każdemu wiekowi właściwe rysy przyjmować: są to zwykle zmiany powolne, od czasu do czasu zdarzają się też mocniejsze zwroty w przeróżne strony, i znowu praca wewnętrzna na wyrobienie i zużycie przeznaczona. I pozytywizm *naukowy* dzisiejszy ani jest ostatnią formą umysłu ludzkiego, ani zagraża przewrotem całéj przeszłości; lecz jak inne odżyłe zwroty myśli ludzkiéj, spełni cały okres swego rozwoju i niewątpliwy pożytek przyniesie. Dotąd ma jeszcze wszystkie przymioty i wady młodości, działalność i odwagę, ale też niepotrzebnie niekiedy wyzywającą postawę i zarozumiałość; nie przypuszcza w gruncie rzeczy, aby niemiał rozstrzygnąć wszystkich trudności i dociec pierwszych przyczyn wszech rzeczy: z czasem przekona się, że na rozległém polu badań umysłowych wiecznie się znajdzie coś do zebrania, lecz do ostatecznych granic nie dotrze się nigdy, bo toby już było zakończeniem wszystkiego.

Nauki przyrodzone, które dziś z takiém powodzeniem rozwijają się, przyjęły stanowczo charakter pozytywny, w znaczeniu metody postępowania; nie wiążąc się żadnemi względami ubocznemi dążą śmiało do celu który osiągnąć pragną: zbadać wszystko w naturze, co tylko udoskonalonym sposobom badania przystępném się okaże; zaprzeczać im prawa do tego byłoby i nierozumnie i daremnie. Taki wszakże przywiléj nauki może być udziałem tylko intelligencyi wykształconych nauką; nie przesądzając odległéj przyszłości, w obecnym składzie społecznym jestto bardzo nieliczna cząstka. Większość średniego ukształcenia, ma wprawdzie niemniejsze prawo do korzystania z wzrostu nauk; ale co za potrzeba ciągnąć tłum ciekawy, namiętny a niedostatecznie przygotowany do saméj pracowni nauki, gdzie będzie wnosić tylko przeszkodę i zamięszanie w robocie, a bardzo prawdopodobnie zamiast pożytku, wyniesie ztamtąd szwank jaki na zdrowiu, lub kalectwo. Stosowność i wybór to są dwa konieczne warunki, od zachowania których zależy cały pożytek, jaki

z popularyzowania nauk na ogół spływa. Pracownicy na tém polu nie powinniby nigdy zapominać najpierwszych zasad fizyologii, że co w danym wieku i w daném usposobieniu jest zdrowe i wzmacniające, to samo w okolicznościach niestosownych szkodzi. Porównanie nie jest dowodem, ale obudza baczność. Jaki np. pożytek być może z głoszenia hypotez, chociażby znamię geniuszu noszących, które z czasem być może doprowadzić mają do największych odkryć, ale które nie zostały jeszcze należycie rozwinięte i próby czasu nie wytrzymały? Zaostrzenie ciekawości, odpowié kto, do rzeczy wyższych? Czyż sama ciekowość bez narzędzi, bez znajomości metod badania doprowadza do czego innego jak do błędu, a co gorszém jest, nazwyczaja do nieporządku w głowie, zarozumiałéj płytkości lub bezmyślnéj gwałtowności w mniemaniach. Obudzać ciekawość to mało: kierować nią trzeba, aby poziom naukowy rozszerzyć i podnieść. Zadanie trudne, które tylko przy zachowaniu wymienionych już względów, da się wypełnić wyborem rzeczy mających prawdziwą wartość naukową i zacność, tudzież umiejętném stosowaniem ich do usposobień społeczeństwa dla którego są przeznaczone. Czy Przyroda i Przemysł zadaniu temu podoła, mamy uzasadnione przekonanie, że wystarczające ma do tego zasoby. Pismo to, po przełamaniu trudnych zawsze początków, przebyło próbę dwóch lat użytecznéj egzystencyi, ma pracowników zdolnych i stojących na stopniu odpowiednim wysokości współczesnej nauki. Daje świadectwo wyrobienia i dojrzałości w poważniejszéj formie i większém umiarkowaniu, co w tym roku mianowicie, w rozbiorach piśmiennictwa krajowego, jest widoczném.

Ogólny ten pogląd na znaczenie téj publikacyi w obec potrzeb naszych bieżących, na pożytek jakiego z pomocą czasu, przy trafnym wyborze przedmiotu i stosowném przelaniu go w powszechny obieg oczekiwać od niéj należy, powinienby zaspakajające sprawić wrażenie na ukształconéj publiczności, chcącéj wiedzieć o summie ruchu umysłowego w kraju. Szczegółowy przegląd artykułów tego pisma obchodziłby mógł raczéj specyalistów; wymienimy tu więc tylko prace odznaczające się, a bliższą nieco zwrócimy uwagę na artykuły traktujące rzeczy krajowe.

Rozpoczyna dobór artykułów treści ogólnéj, zwracających uwagę na znaczenie nauk przyrodzonych, zatytułowany *„Nauka i lud“* w krótkim tym zarysie dobrą kierowanym dążnością, wykazano przystępnie co jest celem prac popularyzujących naukę i jaki ztąd pożytek. Dwa artykuły: *„Cel i środki myśli naukowéj,“* tudzież zaczęty w roku przeszłym *„Ogólny pogląd na obecne stanowisko fizyki“* napisane samodzielnie, lecz w formie rozpraw ściśle naukowych, mają na względzie wybraną tylko część czytelników o wyższém naukowém wyrobieniu. W krótkim artykule *„O znaczeniu nauk przyrodniczych w wychowaniu średniém,“* mocno przedstawiona jest potrzeba wprowadzenia wykładów tych nauk do zakładów naukowych

średnich; nie zależy to od nas, a przecież czujemy że obecne potrzeby społeczeństwa wymagają w każdym zawodzie życia obeznania się z temi naukami.

Z pomiędzy artykułów popularnych na pierwszém miejscu wymienimy dwie prace Tyndalla „*Woda w jéj* (?) *postaciach* i *Siedm lekcyi o elektryczności*“ jako wzór metody i wdzięku w wykładzie. Nie naszą wszakże rzeczą rozwodzić się tu z pochwałami: imie autora zajmuje już dostojne miejsce w historyi cywilizacyi nowoczesnéj. Obok tych wzorowych artykułów, postawić można odczyt popularny Pettenhoffera „*O stosunku powietrza do odzieży*“ i z Richardsona streszczony „*Sen i objawy halucynacyjne*“ wymagający już pewnéj znajomości fizyologii. Zbliżony poniekąd przedmiotem ale odmiennie traktowany artykuł z Littrego: „*Opętanie, jasnowidzenie i wywoływanie duchów w obec nauki,*“ jest anegdotyczny, dość jaskrawy dla effektu, o który możnaby sądzić więcéj troszczy się autor, niż o podniesienie poziomu pojęć w nieoświeconym tłumie; godzi się przeto powątpiewać o stosowności dla nas takiego traktowania rzeczy: w innym tonie mógłby z pożytkiem trafić do niejednego prostaczka, wyżsi ukształceniem już nie potrzebują u nas pod tym względem nauki. Jako bardzo dobre wymienić należy z tego oddziału artykuły: „*Zjawiska powietrzne,*“ „*O słońcu,*“ tudzież w obszerniejszych ramach artykuł: „*Stanowisko geologii jako nauki.*“

Takie artykuły naukowe, jak: O samorodnych ruchach roślin, O Bakteryach, Fizyczna podstawa życia (Huxleya), Badania kosmologiczne, dostarczyły niewątpliwie czytelnikom Przyrody nie mało materyału do wzbogacenia wiedzy i rozszerzenia zakresu myśli; dokładny wykaz wszystkich, przechodziłby zakres tego przeglądu.

Artykułów z dziedziny przemysłu dwa tylko podano: „*Farbiarstwo* i *Szklarstwo,*“ obadwa napisane ze znajomością rzeczy i dające o niéj jasne pojęcie.

O wartości innych artykułów, sąd nie da się w krótkich rysach zawrzéć, o jedne wynikłby spór nie w miejscu i dotąd przedwczesny, więc nieprowadzący do niczego; inne wymagałyby szczegółowego i ściśle naukowego rozbioru, do czego sprawozdawca ogólny może nie poczuwać ani dostatecznych środków, ani obowiązku, od którego tylko w takim razie nie godziłoby się usuwać, gdyby należało wytknąć błędy grube lub szkodliwe, reszta jest zadaniem pism specyalnych i kompetencyi innego sądu podlega. W sposobie wszakże prostéj informacyi, nie od rzeczy będzie jeszcze o niektórych pracach namienić. „*Badanie życia*“ z Prayera: życie, które stanowi niewyjaśnioną dotąd zagadkę, nie wiele i tutaj wyjaśnioném zostało, a przykłady sprowadzenia życia do stanu zupełnego zawieszenia jedne są dawno znane i pewne, inne wątpliwéj wiarogodności, jak np. o ludziach, zagrzebujących się w ziemi na całe miesiące i wracających potém do życia, lub o nasionach zbożowych, co znalezione w mumiach powschodziły. Darwina: „*Wyraz stanu duszy u zwierząt,*“ ma

wszystkie zalety i wady tego niepospolitego autora, nieporównany talent obserwacyjny i zawiłość w wywodach. Dzieło czyta się z zajęciem i wywołuje niejako przypomnienie spostrzeżeń własnych.

„*Teorya Darwina rozwinięta p. Haeckela.*“ Jest to ciąg dalszy rozpoczętego w roku przeszłym streszczenia dzieła Haeckela, *Natürliche Schöpfungsgeschichte*, przetłumaczonego już na język polski. Dzieło to obejmuje cały obszar życia organicznego na ziemi, wymaga po czytelniku odpowiedniego przygotowania naukowego, jakiego u nas nawet średnie zakłady naukowe (gimnazya) nie dają. Ztąd, znaczna liczba czytelników, garnąca się z podrażnioną ciekawością do téj lektury, nie odnosi z niéj żadnego pożytku: jest to poprostu ciekawość zgorszenia, bodziec, jak wiadomo tém silniejszy, im poziom ukształcenia niższy, o czém statystyka handlu książkowego dowodnie świadczy. Haeckel, naturalista znany z badań ściśle naukowych, należy przytém do tych namiętnych szermierzy, w których przekonaniu na drodze postępu stać należy w postawie wyzywającéj; w pewném rozumieniu jest to dogmatyk i fanatyk swego systematu, rycerz walczący z widmem fanatyzmu systematów, które już bądź co bądź, wiek namiętny przebyły. Z intencyą więc dał dziełu pełnemu treści, formę o ile się dało popularną, zaprawiając je tu i owdzie ustępami nieodpowiedniemi godności nauki. Dla człowieka wyższego nad te małostki i obeznanego z materyałem, przegląd ten rozwoju życia w naturze, nie jest bez uroku.

O kilku artykułach, rozwijających według teoryi transformistycznéj pochodzenie człowieka, rozmyślnie sądu żadnego nie objawiam, nie dlatego, ażebym przedmiot ten miał za błahy, lecz że długiego jeszcze potrzeba okresu badań, któreby więcéj światła nań rzuciły; w obecnéj chwili tylko niecierpliwość lub uprzedzenie odważyć się mogą na stanowcze wyroki. Naczytaliśmy się zresztą wszyscy już do przesytu tych niedojrzałych domysłów, tych chełpiących się z rodu zachwytów, pobożnych oburzań się, mniéj lub więcéj dowcipnych żartów, a w bardziéj zamkniętych szrankach nauki, tych nieumiarkowanych *pro* i nieudolnych *contra*. Powinnaby się już tém wszystkiém na czas jakiś wrażliwa gawiedź zaspokoić. Niechby się zresztą i bawiła owemi pomnikami sztuki przeddziejowéj, wizerunkami mamutów, siekierkami kamiennemi, aby tylko umiała przytém cenić dzieje i owoce dojrzałéj cywilizacyi rodu ludzkiego, a w wywodach o jego początku nie traciła poczucia, że jeżeli transformacya nastąpiła zupełna, włożyła ona na człowieka obowiązki, od których bydlęta są wolne, i brzemienia tego, bez zostania napowrót bydlęciem, człowiek zrzucić z siebie nie może.

Przejdźmy nakoniec do artykułów, mających bezpośredni związek z potrzebami kraju. Jest ich stosunkowo za mało; z pomiędzy nich odznacza się znajomością i zamiłowaniem przedmiotu artykuł „*Stan ogrodnictwa krajowego.*“ Przedstawia w nim autor jasno i praktycznie pożytek téj gałęzi gospodarstwa, tudzież sposoby

podniesienia jéj u nas. Zachęcić to może nie jednego do szukania środków uprzyjemnienia sobie pobytu na wsi, do powiększenia wygody, urozmaicenia płodów kawałka swéj ziemi; obok zachęty, znajdzie tam i wskazówki, jak się wziąć do tego.

Niemniejszy interes obudzałby art. „*Owoce w lesie*," rzucona w nim myśl pożyteczna przy widocznie niknących w kraju zasobach leśnych; lecz czy rozwinięcie pomysłu jest zastosowane do warunków miejscowych, można mieć niejakie wątpliwości; przynajmniéj znaczna część proponowanych do uprawy gatunków drzew nie jest odpowiednia naszemu klimatowi. Że ajlant udaje się dobrze w okolicach Odessy, a orzech włoski w południowych Niemczech, nie idzie za tém, aby i u nas było im równie bezpiecznie. Wielkiéj dla rolnictwa krajowego wagi kwestya „*O znaczeniu stacyj doświadczalnych*" (chemicznych) potrącona jest tylko dosyć obcesowo. W rzeczy saméj wielkie trudności urzeczywistnienia przedsięwzięcia tak pożytecznego wywołają bezwątpienia nie jednę jeszcze w tym przedmiocie rozprawę, sama redakcya Przyrody obiecuje podać artykuł o sposobie urządzenia po kraju stacyj doświadczalnych. Być może trafi na środki niegwałtowne a skuteczne. Innych artykułów, traktujących rzeczy krajowe, nie można także pominąć. Dwa o rybach krajowych „*Lin* i *Okuń*" przez E. M. (pracownika zgasłego w kwiecie wieku i wyrabiania się naukowego), świadczą o erudycyi, bo na znawstwo z osobistych badań czasu zabrakło; błędów przeto w tych artykułach nie ma, ale jest zbyteczność, na usunieniu któréj zyskałyby. Z innego bezwątpienia zródła wyszedł artykuł „*Zużytkowanie wody w hodowli ryb*" pobieżna wiadomość o rybołowstwie morskiém, zakończona uwagami, niby zastosowanemi do krajowego gospodarstwa rybnego. Artykuł w ogólności słaby, zawiera prócz tego prawdziwe niedorzeczności, z którychby sama redakcya pisma, przy zwróceniu uwagi na prace sobie udzielane, powinna i mogła je była oczyścić. Jak przeoczyć takie np. rzeczy: w Chinach złota rybka (karaś chiński), dochodzi do siedmiu stóp długości i waży do 200 funtów. Chińczycy napełniają skorupy jaj kurzych ikrą zapłodnioną, zalepiają otwory zrobione w celu wydostania białka i żółtka i podkładają tak napełnione skorupy pod kurę dla wylęgania (str. 481). Lin o śliskiéj skórze, ma nawet być rodzajem doktora wodnego i z tego względu szczupaki go oszczędzają (?), a chore ryby dotykają się go, aby się wyleczyć szlamem, pokrywającym jego skórę (str. 482): dosyć o tém. Podobna baczność redakcyi przydałaby się i w innych artykułach, jak np. w opisie akwaryum berlińskiego, a mianowicie: ptak nasz zwany batalionem, nie ma w skrzydłach żadnych kolców. Egipcyanie starożytni nie mogli znać ibisa czerwonego.

Słuszność nakazuje w krótkich przynajmniéj słowach oddać świadectwo widocznemu postępowi w oddziale krytycznym Przyrody; nie spotkaliśmy w tym roku ani jednego przykładu nieumiarkowania, o które w roku przeszłym nie bez zasady opinia publiczna Przyrod ę

obwiniała. Przeglądy nowo-ukazujących się płodów literatury krajowéj, odznaczają się w tym roku sądem spokojnym co do formy, chociaż gdzie należało niepobłażliwym, bez sarkazmu nawet tam, gdzie się do tego nastręczała sposobność (N-r 42).

Zakończyć trzeba to sprawozdanie wytknięciem dających się częściéj dostrzegać błędów językowych i dziwactw pisowni. Wyrażenia uchwycić *nicie* dziejów powszechnych (N. 13, str. 152), śpiewano *pieśnie* religijne (21, 251), zamiar *spełz* na niczém (22, 267), drut telegrafu *zamilk* (27, 322), są nowościami w odmianach imion i słów. Rzeczowniki przyswojone z łaciny, a mające tam rodzaj nijaki, u wszystkich naszych pisarzy wzorowych mają w liczbie mnogiéj zakończenie na *a:* organa czucia, fakta niezaprzeczone; narzucanie tu końcówki *y*, jest nowością wciskającą się natrętnie, a żadnéj językowi nieprzynoszącą korzyści.

W N. 2 pomieszczono artykuł: *Garnek* Papina, jestto przyrząd, od którego przedewszystkiém wymaga się wytrwałości i mocy, garnki gliniane najmniéj przymiotem tym są obdarzone, naczynie do gotowania z miedzi nazywa się kociołkiem. N-r 19, Wystawa wiedeńska. „Pałac przemysłu rozpada się na trzy części," ma to znaczyć: obejmuje trzy oddziały. W innych miejscach różne całości rozpadają się na części, zamiast dzielić się; zwrot przyjęty z niemieckiego niby to obrazowy, lecz w naszéj mowie rażący najczęściéj niestosownością. N. 29 obejmuje część artykułu: „Wypadki badań historyi rozwoju ludzkości" i w jednym tym ustępie zawiera wyrażenia: muszle przedziurawione *wciągnięte* na nitkę stanowić miały naszyjnik, str. 346. Komuby wyraz nanizane wydał się przestarzałym, użyłby tu wyrazu nawleczone. Piszczałka zrobiona ze *stawów* nóg jelenich; staw to połączenie kości. Piérwotni mieszkańcy Francyi *zdradzają* wyraźny pociąg ku sztukom pięknym: wszystko na téj saméj stronicy. Ostatni ten zwrot we francuzkim języku zkąd jest wzięty, niéma tego ohydnego znaczenia, jakie w naszym do każdéj zdrady zawsze przywiązujemy; zdradzać zaś pociąg do rzeczy pięknéj u nas, póki język podobnym wpływom opierać się zdoła, pozostanie bez sensu. Na następnéj str. 347 Wykopaliska pozwalają nam *śledzić za* powstawaniem dzieł sztuki. Obce to językowi naszemu wyrażenie i stanowczo błędne, jest najnowszym naszym nabytkiem i każdy co zna język i jego koleje, z dokładnością wskazać potrafi epokę jego wprowadzenia. Dotąd mówiliśmy badać rzecz jaką, iść w ślad za czém, wreszcie śledzić pewne tajemnice, lub śledzić początków czego; lecz nigdy śledzić za czém. Jak łatwo przy braku baczenia nowości się przyjmują, świadczą nowe druki, a i w Przyrodzie nie na jedném miejscu z przybyszem tym spotkać się można.

W sprawie pisowni doszliśmy do anarchii; w takim stanie rzeczy ci co patrzą głębiéj i daléj nie bywają nigdy kierownikami, namiętność i mocniejsze płuca zapewniają czasowe powodzenie, ostatecznie rozstrzyga czas. Tém niemniéj jest obowiązek ostrzegać

sumienie publiczne, że złe przychodzi tu osłonione pozorem nauki, pod godłem dwuznaczném gramatyki porównawczéj. Zarzut nie jest wymierzony do ludzi oddanych badaniom językowym na polu czysto teoretyczném, zaopatrzonych we wszystkie środki jakich postęp lingwistyki dostarcza; zadaniem ich jest zbieranie materyału naukowego, przygotowanie projektów do praw, które wszakże dopóki ich naród nie przyjmie lub nie odrzuci, obowiązującéj mocy miéć nie mogą, témbardziéj nie powinny obrażać zwyczaju narodowego. Pod tém mianem rozumiemy owoc kilkowiekowego wyrobienia i kultury, stanowiący indywidualność narodu historycznie zapracowaną i najsłuszniéj wyróżniającą go o tyle, że mu téj własności ani gramatyka porównawcza zaprzeczać niéma prawa. Zarzut przeto pada na poplecznikow przekraczających zawsze granice zakreślone przez mistrzów, szpecących niecierpliwością poważne ich prace; pada także na tych co nie umieją ocenić odpowiedzialności, jaką na siebie biorą bałamucąc młodzież nie mogącą jeszcze w tych rzeczach miéć zdania.

Że u samych reformatorów niéma jedności, w całéj spółczesnéj literaturze to widać. W dwóch np. tylko numerach Przyrody 20 i 21 znajdujemy: hipoteza gienijalna, kilka bilijonów mil gieograficznych, bo niby to wrodzoną mamy skłonność do zmiękczania spółgłosek gardłowych. W istocie słyszymy często i *giemba* i *gięś*, ależ ukształcenie skłonność tę usuwa i skłonnościom takim nie schlebiać, ale na wodzy je trzymać należy. Na zasadzie tejże skłonności sam nawet Kepler zostałby Kieplerem. Nadużycie joty w wyrazach przyswojonych, lubo jak się zdaje doszło do granic i w tym jednak względzie panuje chwiejność. W tymże numerze po owych bilijonach, proporcyjonalny, materyjalny, jest odezwa saméj redakcyi, gdzie po wyrazach astronomija, meteorologija i jeszcze kilku podobnie zakończonych, idzie zaraz zoologia, higiena, dział bibliograficzny, a znów potém fizyjologia, specyjalistów i obok geografija, geologija, (bez zmiękczenia *g*) wszystko to w ośmiu wierszach. W następnym numerze jota zupełnie odmienną gra rolę, w wyrazach: trochojda, cyklojda, trochojdalny, widoczny owoc uczenia czytać bez syllabizowania. Tamże: pochodzi od alkalojdu opium. Jeżeli ma już być obserwatoryjum, laboratoryjum, dlaczegoż ten wyjątek dla opium, owszem według gramatyki porównawczéj należałoby powiedziéć od opijumu. Pisownię tę Przyroda przyjęła w tym roku nagle od nr. 11, nie tłumacząc się z tego przed czytelnikami, nie ostrzegłszy ich nawet. Pozwoliła tém samém robić o pobudkach domysły, nasuwają się najprędzéj powab nowości i pociągająca siła przykładu, przy niedostatecznem rozważeniu czy reformy te obecnie korzyść jaką przynoszą, a w przyszłości do czego prowadzą. Przy nawale prac bieżących mało dziś lubimy odczytywać rzeczy dawniejsze, a jednak warto jest zajrzéć do dzieł Jana Śniadeckiego; umysł to dziwnéj trzeźwości i wyrobienia, i nie może być błahém co

o tych rzeczach przed pół wiekiem wyrzekł w rozprawie swojéj o języku polskim.

Uprzedzając zarzut że w tym przeglądzie na kwestyą języka jako uboczną, zamocny położyłem przycisk, odpowiem najprzód że jéj wcale za podrzędną nie mam; myśl jest materyałem, lecz język wyłącznem narzędziem naszéj umysłowéj pracy i nieodłącznym jéj wartości warunkiem. Przytém przyjmując zadanie, którego potrzebę widzę, lecz w którém mało powabu znajduję a odpowiedzialność oceniam, godziło mi się wynagrodzić to sobie wypowiedzeniem przekonań najmocniéj mię obchodzących. O kierownikach zaś Przyrody sądzę, że przy czynném podążaniu na równi z postępem cywilizacyi nowoczesnéj, obok prac około zaspokojenia twardych potrzeb społeczności i natury ludzkiéj, nie stracą z uwagi potrzeb odmiennego zupełnie porządku, lecz do równowagi moralnéj niezbędnych i do szczęścia pewnie więcéj niż sam dostatek koniecznych.

A. Walecki.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Genewa.—Tradycyjny obchód Eskalady.—Wspomnienie o Juliuszu Słowackim. Eglantyna. — Poemat w Szwajcaryi. — Dzieło p. Ducleusion: O ceramice galskiéj.— Otwarcie kursu prof. Franka w Kollegium francuzkiém.— Agassiz. Dzieło p. Violet le Duc: Histoire d'une maison.—Dramat Jan Thomery pp. Augier i Sandeau.—Przegląd satyryczny w teatrze Château d'Eau.—Szkoła archeologiczna w Rzymie.—Nowe odkrycia starożytnych zabytków w Atenach. Śmierć Franciszka Hugo, tłumacza Szekspira—Listy Teofili do Fernig adjutanta generała Dumourier. — Doroczne posiedzenie Towarzystwa Jeograficznego w Paryżu. — Odpowiédź autorowi Świata Słowiańskiego.

Kronikę tę piszemy w Genewie, tym maleńkim Paryżu, różniącym się tylko od prawdziwego, wspaniałym widokiem na Montblanc i błękitném zwierciadłem Lemanu.

Genewa z całym swym kantonem, obejmuje ledwie 80,000 ludności, z któréj większa połowa przebywa w mieście. A przecież

ten mały zakątek ziemi, to istny krater wulkanu; od czterech wieków wyrzuca on ze swego wnętrza myśl ludzką, jakoby płomienistą lawę, myśl przybraną w najrozmaitsze formy, oddziaływającą w sposób niekiedy ujemny, niekiedy znów dodatni, ale zawsze potężny na rozwój cywilizacyi europejskiéj.

Stan obecny umysłów w Genewie wymownie świadczy, że ognisko wulkanu bynajmniéj nie wytlało; widoczne tu nawet objawy przesilenia. Co będzie, przyszłość pokaże. Dziś oznaczyć tylko można dwa główne prądy, wstrząsające tutejszém społeczeństwem: jeden z tych prądów zewnętrzny, wypływa z olbrzymiéj walki Francuzów z Niemcami; drugi nurtujący wewnętrznie, wynika z pobudek religijnych.

Wojna francuzko-niemiecka oddziałała silnie na całą Szwajcaryą, porywając w rozmaitym a częstokroć sprzecznym kierunku umysły Szwajcarów francuzkich, włoskich i niemieckich. Dążenia centralistyczne rządu, mają na celu przeciwważyć takiemu rozstrojowi. Wiadomo jednak, a my zblizka patrzyliśmy na to, że w katolickich kantonach Szwytz, Uri i Unterwalden, kantonach, które wydały Tella, utworzyły związek i gorąco utrzymują tradycye miejscowe, ludność z największém oburzeniem patrzy na owe centralistyczne dążności, zowiąc je poprostu *bismarkowskiemi zachciankami.*

Co zaś do prądu religijnego, łatwo pojąć, że w Genewie, głównem gnieździe Kalwina, przy politycznem rozgorączkowaniu umysłów, pytania religijne przybrały dziś charakter namiętnéj walki. Nikt tu już nie wzniesie zapewne stosu nowemu Serwetowi; walka obecna objawia się w formach zgodniejszych z prawami postępu, niemniéj ona przecież żarliwą i skutki jéj niemniéj silnie odbiją się na kartach przyszłych dziejów. Walka widoczna tu co chwila. Dostrzegamy ją na każdym kroku, nawet w tradycyjnych uroczystościach, jakie obchodzą Genewczycy na wzór innych miast i miasteczek szwajcarskich. Niedawno oto byliśmy świadkami zabawy ludowéj, zwanéj *Eskaladą.* Jest to przypomnienie sławnego w dziejach tutejszych zdarzenia, kiedy Genewa obroniła się własną siłą, napadnięta znienacka w r. 1602 przez czyhającego na nią książęcia sabaudzkiego.

Genewczycy przez trzy blizko wieki obchodzili pamiątkę zwycięztwa ojców z mniejszą lub większą gorliwością, stosownie do wypadków politycznych; bywały nawet czasy, że ją całkiem zaniedbywali. Około roku 1840 pod naciskiem zdarzeń, które wstrząsały Europą, a szczególniéj Francyą, Genewa odnowiła obchód Eskalady i dotąd powtarza go corocznie dwunastego grudnia, to jest w dniu odniesionego tryumfu. Uroczystość tegoroczna odbyła się nadzwyczaj świetnie przy najpiękniejszéj pogodzie wieczornéj.

Historya Eskalady zawarta cała w wierszu, który przytaczamy w przekładzie:

Było to tysiąc sześćset drugiego:
Sabaudczyki grodu dobiegą,
Zbrojna gromada
Pomyka w cwał;
Hurmem przypada
Pod twierdzy wał.

Wielkie drabiny wsparli o mury,
Śmiało po szczeblach drą się do góry:
Stójcie junaki!
Daremny trud...
Dą wam się w znaki
Genewski lud!

Nie tracim głowy. Ha! Bogu chwała,
Waleczny żołnierz skoczy do działa;
Z paszczy wybieży
Ognisty strzał,
Potok krwi świeżéj
Okopy zlał!

Cisną się tłumy z dala i z bliska,
Niewiasta sagan schwyta z ogniska;
Wróg za drabinę:
W łeb go co sił!
Garnek czuprynę
Jak czepiec skrył.

W mieście na postrach dzwon z wieży bije,
Zrywa się gawiedź na łeb, na szyję;
Choć wiatr grudniowy
Z północy wiał,
Nikt nie skrył głowy,
Płaszcza nie wdział.

Śpieszą przy blasku smolnych pochodni,
Biją się dzielnie, boso, bez spodni;
Huk, wrzawa, krzyki!
Nim błysnął dzień,
Sabaudczyki
Wycięte w pień!

Mamy przed sobą zbiór złożony z dwudziestu czterech pieśni, poświęconych wspomnionéj uroczystości. Jedne z nich pisane języ-

kiem czysto francuzkim, drugie narzeczem używaném w okolicach Genewy, właściwie mówiąc sabaudzkiém. Jedność narzecza nie wstrzymywała nienawiści Genewczyków ku górskim sąsiadom. Z pomiędzy tych pieśni wybierzemy jednę jeszcze; w niéj bezimienny poeta bardzo dowcipnie zastosował do okoliczności starożytną bajkę, o stłuczonym dzbanku mléka, którą Lafontaine upowszechnił w Europie, a którą znajduje Max Müller u Aryów azyatyckich.

Dzbanek mléka.

Chłopek na targ niesie gliniany dzban mléka,
Oblicza na palcach jąki go zysk czeka:
Trzy srebrniki—rzecze—dałem gospodyni,
Wnet mi trzykroć tyle dzban mléka uczyni.

Kupić za to kurę ochota mnie bierze,
Niechże mi co rano zniesie jajko świéże;
A potem kurczęta wysiedzi mi wiosną:
Spieniężę, gdy z kurcząt kokosze wyrosną.

Kupię sobie za nie białych owiec kilka,
Będę pasł pod gajem i chronił od wilka;
A kiedy owczarnią ujrzę jagniąt pełnę,
Kupię konia z rzędem za sprzedaną wełnę.
Będę sobie hasał z wieczora i z rana!
Ludzie jak zobaczą wezmą mnie za pana.

I chłopek gdy przyszłość oblicza daleką,
Potrącił o kamień, rozlało się mléko:
Zapłakał, nie pora już myśléć o zysku,
Siadł smutno na ławie przy zgasłém ognisku.

* * *

Tak mówi i książę gdy przez Alpy kroczy:
Gdy w mury Genewy wpił jastrzębie oczy.
—Zdobędę gród—rzecze—wszystko w ład się mota,
Lud sypnie mi w darze całą górę złota.

Pogonię jak wicher ku krajom bogatym,
Krew brata Burgunda pomszczę nad Moratem;
Bern zetrę na miazgę i po dniach niewielu
Powionie mój sztandar z murów Newszatelu.

Po zgliszczach Zurychu rozwalę z kolei,
Wieżyce Szafhuzy, bramy Bazylei;
Ztąd pomknę w kraj Franków piorunową chmurą,
Gdzie Burbon się odział Walezych purpurą.

On wpoprzecz kamieniem stoi mi na drodze,
Dumnego Bearna w pierś mieczem ugodzę;
Zasiędę tron Franków, pokonam Hiszpany,
I rzymskim mnie królem wykrzykną Germany.
Trupami Anglików zawalę cieśninę,
Za morze w kraj Indów po złoto popłynę.—

Tak książę myśl pyszną zapędza daleko,
Wtém utknął o kamień, rozlało się mléko!
Genewczyk się nie dał, daremna z nim praca,
Więc książę ze wstydem za góry powraca!

Zostawiliśmy uroczystości genewskiéj nazwę *Eskalady*, gdyż nie znajdujemy w języku naszym wyrazu odpowiedniego. *Eskalader* znaczy wdzieranie się na mury. W pochodzie przez miasto licznego orszaku przybranego w stroje współczesne, drabiny odgrywały rolę najważniejszą. Niesiono je na czele. Sławna matka Royaume, przedstawicielka patryotek genewskich, które lały ukrop na głowy Sabaudczyków, jechała na ośle, trzymając w ręku tradycyjny sagan. Kat Tabaran, jechał konno w płaszczu szkarłatnym, z mieczem podniesionym do góry. Ważna to osobistość w téj sprawie: on nazajutrz po zuchwałéj napaści, wieszał rycerzy sabaudzkich na szubienicach ciągnących się brzegiem Rodanu.

Eskalada genewska dała pobudkę do wielu dzieł literackich, tak dramatów jak bohatersko-komicznych epopei; co zaś do pieśni, tych liczba wzmaga się z każdym rokiem. Dzisiejsi Sabaudczycy obecni w Genewie, przyjmują w uroczystości chętny udział. Czas zatarł wzajemne nienawiści, zresztą, jeśli ktokolwiek zagraża dziś Genewie, to pewno nie Sabaudya, ani dom sabaudzki.

Mimo walk różnego rodzaju, Genewa okazuje się dziś w nadzwyczajnym wzroście. W roku 1834 Juliusz Słowacki w listach do matki, przyrównywał to miasto do Kamieńca Podolskiego. Ludność wynosiła wtedy około 24,000 mieszkańców; dziś liczba ta wzrosła w dwójnasób, obręb zaś miasta rozszerzył się w nieskończenie większym stosunku. Dwadzieścia kilka milionów darowanych przez księcia brunświckiego posłuży do upięknienia i tak już dziwnie pięknéj Genewy i do powiększenia w niéj liczby instytucyj tak naukowych jak filantropijnych, na których i teraz nie zbywa. Stan wychowania publicznego kwitnie tak tu, jak i w całéj Szwajcaryi; akademią nawet tutejszą zamieniono niedawno na uniwersytet. Tym sposo-

bem ma Szwajcarya oprócz kilku akademij, cztery wszechnice: w Zurichu, Bernie, Genewie i Bazylei.

Rzecz jednak godna uwagi, że w Genewie, w tém ognisku światła i wszelkich swobód, towarzystwo literackie zabroniło wstępu kobietom. Nie rozumiemy podobnego zakazu w mieście, gdzie wolno im rozwijać wszelkie idee; jakoż rozwijają je na konferencyach publicznych.

Z obowiązku korrespondenta pragnęlibyśmy poznać się bliżéj z tutejszą publiczną biblioteką i z nowemi wydawnictwami. Biblioteka bardzo bogata istnieje już i rośnie od czterech wieków. Imię pierwszego założyciela daje zakładowi temu szczególny urok. Był nim znany w dziejach Genewy, Bonivard. Któż nie zna tego więźnia Czyllonu, wsławionego piórem autora Nowéj Heloizy i Byrona? Według ogólnego mniemania, więzień Czyllonu jest jeśli nie najznakomitszym, to najrzewniejszym z utworów Bajronowskich. Korsarze i Giaury porywały wyobraźnię czytelników, Boniward wzruszył do głębi serca i łzy wyciskał z pod powiek. Porównywają go z Ugolinem Dantego.

Widzieliśmy w tutejszéj bibliotece kronikę miasta Genewy, rękopis in folio, skreślony własną ręką Bonivara. Czemu ta kronika nie była drukowaną? łatwo domyślić się powodu. W ciągu sześciu lat, kiedy nieszczęśliwy więzień jęczał w murach Czyllonu, reforma ustaliła się w Genewie. Bonivard lubo walczył za niepodległość miasta przeciw książętom Sabaudyi, nie przestał być jednak gorącym katolikiem. Kronika jego pisana była pod wpływem tych przekonań.

Ileżbyśmy powiedzieć mogli o téj pięknéj Genewie rozsiadłéj nad błękitnym Lemonem, któréj stopy oblewa jak łza przeczysty Rodan. Gdzie rzucisz okiem, kamienny albo spiżowy pomnik przemawia o zasłudze wielkiego Genewczyka. Tu Rousseau pogląda z wyspy w Montblanc pokrytą wiekuistym śniegiem; tam Candolle, professor botaniki, co zasłynął w Paryżu obok Cuviera, patrzy z piedestału na cedry i palmy, które posadził w ziemię wiotką płonką, wyrosłe dziś w olbrzymów. Na każdym domu, w którym urodził się mąż wsławion czy tó piórem jak Rousseau, czy to dłutem jak Pradier, widzimy tablicę marmurową z oznaczeniem daty urodzenia i skonu. Papiersia artystów i uczonych, jak Sismond Sismondi, Saussure, że pominiemy tylu innych, zdobią długą galeryę genewskiego muzeum; imiona ich wyryte na rogach ulic, przypominają młodym pokoleniom zasługę i chwałę praojców. Słowem, na każdym kroku spostrzegamy tu wielką miłość tradycyi, wielkie poszanowanie pamięci tych, co pracowali dla dobra publicznego. Genewczycy, równie jak inni Szwajcarzy, co do szacunku przeszłości idą obok Anglików, Holendrów i Skandynawów. Czy ta wielka cześć dla tradycyi posunięta w owych krajach do fanatyzmu, przeszkadza w czémkolwiek prawdziwemu postępowi? Wymowną na to dają od-

powiedź te nawet kraje, które zerwały nić własnych tradycyi, przyklaskując szczerze ich działaniom.

Nad owe imiona, drogie tubylcom, znajdujemy tu inne, droższe nierównie dla nas; te lubo nieuwiecznione dłutem ani rylcem na placach i ulicach Genewy, przyrosły niemniéj do jéj murów, a silniéj jeszcze przyrosły do serc naszych. Wszyscy niemal wieszcze z téj nieśmiertelnéj plejady, co nam tak jasno przyświeca, wszyscy niemal przebywali w Genewie. Tu Bogdan nastrajał swą złotostrunną lirę; tu Adam, patrząc w błękitne oczy Ewuni, snuł w myśli wątek narodowéj epopei, w któréj miał uwiecznić jéj pamięć; tu nieodstępny towarzysz i wierny przyjaciel jego Odyniec śpiewał nad Arwą urocze pieśni swoje; tu młodziuchny Zygmunt poprobował po raz pierwszy sił własnych w liście do Bonstettena, o stanie literatury polskiéj od wieku XVI, drukowanym w Bibliotece Genewskiéj, gdzie z młodzieńczym zapałem podnosi zasługę naszych szermierzy pióra. Tu Juliusz Słowacki rozwinął z całą potęgą skrzydła do twórczego polotu. Pamiętajmy, że z pomiędzy jego pieśni najcudniejsze te, które utworzył nad Lemanem: tu wreszcie na jednym z cmentarzów widzimy grobowiec Klaudyny Potockiéj, któréj poetyczno-anielską postać tak godnie a tak świetnie podniósł niedawno czcigodny Odyniec, na stronnicach Biblioteki Warszawskiéj.

Wspomnieliśmy imię Juliusza, nad niém zatrzymamy się dłużéj; imię to w myśli naszéj zrosło się niemal z Genewą. Młody poeta najdzielniéj tu śpiewał, bo tu przebolał najwięcéj. Cześć nasza dla jego talentu poetycznego sprawiła, żeśmy pragnęli sięgnąć do gruntu w pobudki natchnień, jakie czerpał w Genewie. Szczęśliwe okoliczności posłużyły nam nad wszelkie oczekiwania. Żyje tu jeszcze osoba, która w wielkiéj części było dla Juliusza tém, czém Ewunia była dla Adama. Poznaliśmy ową Eglantynę, o któréj tyle czytamy w listach Juliusza do matki, wydanych lat kilka temu, dzięki staraniom professora Małeckiego.

Nie owa to już Eglantyna, jaką wspomina tylokrotnie Juliusz, mieniąc ją swym opiekuńczym aniołem; nie owa to Eglantyna, z którą zrywał fiołki w Pâquis, któréj wypowiadał wszystkie tajniki serca swego pod cieniem stuletnich jodeł, która w dniu imienin przyniosła mu pierścionek, symbol wiecznéj przyjaźni. Wprowadzeni do jéj domu ujrzeliśmy siedmdziesięcioletnią matronę w żałobie, w czarnych okularach pokrywających oczy zagasłe od lat wielu. Na obliczu jéj, w każdym ruchu maluje się powaga, złączona z nieporównaną słodyczą. Rysy pociągłe pełne znaczenia, przypomniały nam wyryte w medalionie popiersie Klaudyny; na ustach zwiędłych spoczywa łagodny uśmiech, znak prawdziwéj dobroci. Mimo wieku zachowała dwa rzędy równych i drobnych ząbków, które niegdyś zapewnie świeciły jak dwa sznurki pereł w koralowéj oprawie. Głos jéj czysty, śpiewny, wnika do głębi duszy jakby dźwięk zaklętego dzwonka. Nie dziwimy się bynajmniéj, że ten pieszczony głosik

podniesiony rzewném i głębokiém uczuciem, mógł niegdyś oczarować poetę. Co najwięcéj nas uderzyło, a szczególniéj było nam pożyteczném, to niesłychana jéj prostota, cechująca prawdziwie wyższy umysł.

Pożyteczną, mówimy, była nam owa prostota pani de Lupé, tak dziś zowie się Eglantyna. Trudném było w rzeczy saméj położenie nasze. Jak tu przystąpić do głównego wątku naszych odwiedzin? Jak wspomnieć imię Juliusza w obec nieznanéj nam osoby? Jak tu przypominać chwile dawno ubiegłe, od których dzieli nas przepaść lat czterdziestu? Lękaliśmy się dotknąć bolesnéj rany, lub posłyszéć zimne słowo, niedopuszczające dalszych badań. Nie mieliśmy na usprawiedliwienie nasze słów wyrzeczonych przed laty kilku do Ewuni, że uczucia jéj i pamiątki należą nie do niéj tylko, lecz do narodu; bo wszakże naród Ewuni nie jest narodem Eglantyny. Tak sądziliśmy z razu, a przecież z pierwszego słowa Genewki, odgadliśmy, że kraj Juliusza został dla niéj jakby drugą ojczyzną.

Eglantyna sama z nieporównanym taktem złamała pierwsze lody. Sama rzekła zaraz po powitaniu: „Wiem co was tu przyprowadza: chcecie zapewne posłyszéć coś o waszym wielkim poecie.“ Tak pani—odrzekliśmy na to—Juliusz w rzeczy saméj należy do gwiazd przyświecających jasno na poetycznym widnokręgu naszym. Drogą nam jego pamięć, drogiemi nam ci, którzy urokiem współczucia koili to serce stęsknione za domem, za rodziną!

— Prawdaż to—zagadnęła—że wydano listy poety? Czyż imię moje wspominane w tych listach, dało powód do jakichciś domysłów?

— Wydano w wielkiéj części listy Juliusza—odrzekliśmy—imie twoje, pani, często w nich wspominane, równie jak imię czcigodnéj matki twojéj, a wspominane z uczuciem prawdziwéj przyjaźni i najwyższego szacunku.

— Tak jest—odparła—matka moja kochała go jak syna!

Nie wchodząc w ścisłe określenie uczuć, jakie łączyły Juliusza z Eglantyną, widzimy, że prawdziwa przyjaźń stanowiła główne ich piętno. Ktokolwiek czytał owe listy nie wątpi, że była chwila, w któréj ta przyjaźń przeszła w inne, ponętniejsze dla młodych serc uczucie; to jednak pewna, że jeśli kwiat miłości uwiądł pod wpływem czasu i oddalenia, przyjaźń za to przetrwała święcie w obu sercach. Juliusz do śmierci widział w Eglantynie prawdziwą przyjaciółkę. Pisywał do niéj listy, powierzał jéj troski swe i nadzieje. Eglantyna ze swéj strony przechowała do dziś dnia pamięć Juliusza otoczoną niezgasłym urokiem. Mąż jéj nawet, pułkownik de Lupé, którego zaślubiła w dość późnym wieku, podzielał szczerze te przyjazne uczucia.

W ciągu dwugodzinnéj, a miłéj nad wyraz pogadanki, opowiadała nam Eglantyna wiele ciekawych szczegółów o życiu i charakterze młodego przyjaciela. Był on nadzwyczaj staranny tak w ubraniu jak we wszystkiém co go otaczało. Mimo że zasiłki, jakie otrzy-

mywał od matki i od wydawców, nadzwyczaj były szczupłe, nie brakło mu nigdy pieniędzy. Porządny w prowadzeniu rachunków, strzegł się najmniejszego długu; nic nigdy nie potrzebował od nikogo, sam jednak chętnie przychodził w pomoc drugim, o ile pozwalała na to możność.

Ciekawa to strona charakterystyki poety naszego. Jakże wymowną mamy w niéj odpowiedź na teorye zwolenników *cyganii* literackiéj, które czas jakiś niestety grasowały i w Warszawie, a które stawiały za pewnik, jakoby ład w życiu tamował polot twórczych skrzydeł, jakoby geniusz rozwijał się najdzielniéj w dymnéj knajpie, lub w zaduchu brudnego poddasza.

Cichy, smętny, melancholiczny poeta nasz pracował bezustanku. Jeśli strudzony porzucił na chwilę pióro, wygrywał na fortepianie ulubione melodye, niekiedy znów chwytał ołówek albo pędzel i kreślił pełne wdzięku szkice, to z otaczającéj go a tak bogatej przyrody, to niekiedy ze wspomnień zachowanych w sercu głęboko. Z pomiędzy tych ostatnich darował Eglantynie wykonany gwaszą widok botanicznego ogrodu w Krzemieńcu, gdzie zbiegły jego dziecinne lata. Pod rozłożystemi topolami stała maleńka ławeczka, na któréj siadywał zwykle z matką.

Wyjeżdżając do Rzymu, zostawił u Eglantyny szkatułkę pełną drogich dla niego pamiątek. Były w niéj listy matki, ulubione jego książki, i stary, przywieziony z kraju zegarek. Wszystko to wraz z widokiem Krzemieńca, wierna przyjaciółka złożyła po śmierci poety w ręce pani So....., która przyrzekła wręczyć matce te drogocenne skarby.

Juliusz unikał towarzystwa z młodzieżą. W liczbie znajomych ziomków przebywających w Genewie, nie znalazł prawdziwego przyjaciela. Całą ufność położył w Eglantynie: tłumaczył jéj listy od matki, rozmawiał z nią o domu, wtajemniczał ją we wszystkie stosunki swoje. Późniéj kiedy opuścił Genewę, pisywał do niéj to z Włoch, to ze Wschodu, to nakoniec z Paryża. Te listy przechowywała Eglantyna starannie, późniéj dotknięta ślepotą, oddała je do zachowania mężowi. Po śmierci pana de Lupé, zbiór ten cały zaginął. Ktoś jak widać, korzystając z jéj kalectwa zabrał autografy, które w miarę wzrastającéj sławy Juliusza, nabierały coraz to większéj wagi.

— Kto wié—mówiła do nas—może te listy znajdą się jeszcze, równie jak szkice kreślone jego ręką. Poproszę przyjaciółki, aby przejrzała pilnie wszystkie papiery moje.

Dała nam nawet do zrozumienia, że gdyby się cośkolwiek znalazło, ofiarowałaby nam chętnie cząstkę owych zabytków.

Pozostał jéj tylko jedyny list pisany z Ziemi Świętéj; znać list ten chowała osobno. Pismo na nim zupełnie zatarte, odczytać go niepodobna. Zlany był, jak mówiła, octem w kwarantannie, dlatego papier tak pożółkł, litery tak wyblakły.

Pokazywała nam portret Juliusza, wykonany w Rzymie 1836 r. ręką jego wuja Januszewskiego. Akwarella oprawną w ramki wisi jak widać w jéj pokoju. Piękny to bardzo portrecik: rysy pociągłe, delikatne, nadzwyczaj regularne, wyraz oblicza smętny, zadumany; nie dopatrzyć najmniejszego zarostu. Z pod okrągłéj czapeczki greckiéj świéci wysokie czoło; po obu stronach wybiegają na skronie pukle ciemnych, wijących się włosów; oczy ciemne, szeroko roztwarte, wzrok głęboki, znaczący. Takim był Juliusz w dwudziestym piątym roku życia, gdy przebywał w Genewie. Eglantyna podziwiała nadzwyczajne podobieństwo wizerunku. Rysy też same, jak w znanym medalionie dłuta Władysława Oleszczyńskiego; całość jednak więcéj jeszcze przypomina nam portret Bajrona w jego młodzieńczych latach.

Wszyscy w domu kochali Juliusza, wszyscy odgadywali w nim coś wyższego. Kochała go szczególniéj maleńka Matyldka, pięcioletnia siostrzeniczka i wychowanka Eglantyny. Poeta zabierał ją często do pokoiku swego i paląc fajkę rozpowiadał jéj fantastyczne powieści. Obiecywał dziewczynce, że jak urośnie ożeni się z nią i zawiezie ją do Polski, a kraj to prawdziwych cudów, piękniejszy od Szwajcaryi i wszystkich krajów świata!

— Pojedziemy tam—mówił—prześliczną karetą, okna w niéj całe z rożowych karmelków. Pola nasze i łąki posypane cukrem zamiast śniegu; po Wiśle pływają statki ukute ze szczerego złota, oświecone płomieniami palącego się ponczu!

Matyldka wierzyła tym cudownym powieściom, a kiedy Juliusz odjechał gwarzyła ciągle o nim, pytała ciotki rychło wróci i weźmie ją do Polski.

Nie wrócił już poeta, ale Matyldka w kilka lat potém zamieszkała z rodzicami w Paryżu. Tam widywała znów Juliusza. Nie był to już ów piękny młodzian, którego znała w Pâquis: lica jego pożółkły, oko zapadło, w ustroju duchowym większa jeszcze nastąpiła przemiana. Myśl poety nowy przybrała kierunek, spoważniała, skupiła się w sobie, oderwała od ziemi!

Do ostatnich chwil życia utrzymywał Juliusz stosunki z rodzicami Matyldy, która pod okiem jego wyrosła z dziecka na dorosłą pannę. Eglantyna widywała go także za każdym pobytem w Paryżu. Do końca odbiérała jego listy, wiedziała zawsze, gdzie przebywa, dzieliła wszystkie jego pociechy i cierpienia.

W marcu roku 1849 odwiedził rodziców Matyldy po długiém niewidzeniu. Wszyscy spostrzegli w nim nadzwyczajną zmianę; cera jego zżółkła jak pergamin, oddychał z trudnością; kaszel co chwila przerywał mu mowę, Stan taki szczerze zaniepokoił przyjaciół: odwiedzili go w kilka dni potém, zastali mocno chorego w krześle. Obiecał jednak, że w przyszły poniedziałek przyjdzie do nich na obiad. Tego dnia właśnie skonał.

Eglantyna z żywém zajęciem opowiadała nam te szczegóły; lubo niewidoma, czuła instynktowo, że z niemniejszém zajęciem słuchaliśmy jéj opowieści. Wierna pamięci Juliusza utrzymuje ona życzliwe stosunki z jego rodakami, rada szczerze kiedy ją odwiedzają. Powtarzała mnóstwo znanych nam dobrze nazwisk. Między innymi widywała téż Mickiewicza z żoną i dziećmi, podczas gdy zajmował katedrę łaciny w Lozannie.

Kiedy Juliusz żegnał ją poraz ostatni w roku 1844, jakby przeczuwając, że nigdy jéj więcéj nie zobaczy, prosił aby po śmierci jego jeśli ziomkowie zwiedzający Genewę zechcą poznać miejsce gdzie mieszkał, chciała objaśnić ich w tym względzie, ukazując skromny pokoik w Pâquis.

Nazajutrz po długiéj rozmowie z panią de Lupé zwiedziliśmy ów dom na przedmieściu, w którym pani Patteg, matka Eglantyny utrzymywała niegdyś pensyę. Była to pensya różniąca się w tém od innych, że znajdowały do niéj przystęp jedynie tylko osoby zalecone pochlebnie gospodyni. Do liczby ich należał Juliusz. Obszerny dom ze śmiercią pani Patteg oddawna przeszedł w inne ręce. Zdarzenie miéć chciało, że jest w tej chwili cały do wynajęcia. Korzystając ze sposobności przedstawiliśmy się odźwiernéj jako kandydaci na lokatorów: to nam dawało prawo do przejrzenia wszystkich zakątków obszernéj dwupiętrowéj kamienicy. Z niemałém podziwieniem odźwiernéj minęliśmy wielką salę jadalną i piękniejszy salon z balkonem, a pobiegliśmy co żywo na drugie piętro do maleńkiego pokoiku z oknem wychodzącém na wschód: byłto niegdyś pokoik Juliusza. Napróżno odźwierna chciała nas ztąd odciągnąć dowodząc, że ten pokoik należy do najskromniejszych w całym apartamencie. Domyśliła się w końcu, że jest w tém jakaś tajemnica, i ujęta otrzymanym datkiem usunęła się grzecznie, zostawiwszy nas w ubogim pokoiku.

Ubogi on, to prawda; ściany wylepione żółtym papiérem w kwiatki, nie w karmazynowo-zieloną kratę, jakto było przed laty czterdziestu. Widok z niego nawet mniéj rozległy. Okno wychodzi na ogród, jak niegdyś, lecz ogród ten zmalał podobno o część szóstą. Pobudowano na nim gmachy drogi żelaznéj. Ze stuletnich świerków, dębów i sosen, pod których cieniem poeta zbiérał fiołki z Eglantyną, pozostały tylko dwie jodły, nieme świadki przeszłości.

W izdebce puściéj jeszcze niż w ogródku. Z położenia ścian i dwóch okien snadno było odgadnąć gdzie stało owo biórko czeczotkowe i ten ogromny fotel, w którym poeta całkiem tonął, tak że go widać nie było, jak pisze w liście do matki: ze wszystkich sprzętów został tylko piec niewielki okrągły.

Ileż tu obrazów zrodziło się w téj twórczéj wyobraźni, ile uczuć grało w tém płomienistém sercu, ile brzmiących dźwięków zlało się pod piórem poety w ten metaliczny rym, który zapewnia mu

jedno z pierwszych miejsc w liczbie naszych nieśmiertelnych mistrzów słowa!

Długo staliśmy w oknie obróconém na wschód, w stronę, w którą poeta z niemniejszą zapewne poglądał tęsknotą, z jaką my w nią dziś poglądamy! I przed oczyma naszemi przesunęło się zwolna pasmo trzyletnich zdarzeń, uczuć i myśli, pod których wpływem dojrzała myśl wieszcza, duch jego spotężniał i przez twardą życia opokę wyżłobił sobie nowe drogi w świat ideału!

Dzięki szczegółowym listom Juliusza do matki, téj genialnéj pani Becu, którą poetycznością nie ustępowała bynajmniéj synowi, dzięki znakomitéj biografii pióra professora Małeckiego, życie Juliusza przestało być tajemniczą zagadką: każda jego chwila wydatnie określona. Łatwo nam téż przyszło w miejscu gdzie poeta żył i cierpiał, odtworzyć sobie w myśli ten trzyletni wątek usnuty z łez i marzeń, przetykany brylantami fantazyi, a niekiedy złotą nitką uczucia.

W owym to skromnym pokoiku pod ciepłą atmosferą domu pani Patteg, Juliusz czuł się swobodniejszym niż w zgiełku wielkiego miasta.

„Lepiéj mi, pisał, w Genewie niż w Paryżu!“ Miléj mu było jeszcze kiedy zrażony obojętnością z jaką rodacy przyjęli pierwsze utwory jego pióra, wyczytał tu w jedném z pism genewskich, najchlubniejsze uznanie ich wartości.

Lepiéj mu tu było niż w Paryżu! Ale pytamy, byłże gdzie zakątek na ziemi, gdzieby ten nowy Prometeusz mógł się czuć prawdziwie szczęśliwym. Duch twórczy rwał go w te wyżyny, których nie dano dosięgnąć śmiertelnikom; sęp pychy wyżerał mu wnętrzności; tęsknota za matką, za rodzinném ustroniem, trawiła mu serce gorączkowo: „zatrzymuję pióro, mówi kończąc list jeden, bo zaczęło pisać już łzami.“ Niekiedy znów wpadał w bezwładność stokroć jeszcze od łez boleśniejszą. „Czasem, pisze, tak jestem odrętwiały, że chciałbym droga matko, aby mię pokąsały pszczoły twojéj pasieki!... Smutno mi, bardzo smutno.“

W takiém usposobieniu Juliusz wczytywał się w Szekspira, Dantego i Bajrona. W pierwszym badał tajemne sprężyny dramatu, drugi przenosił go w mistyczne sfery ducha, trzeci najpotężniéj w tych czasach porywał i zapalał młodzieńczą jego wyobraźnię. Skrzywdzilibyśmy Juliusza zowiąc go Bajronistą; słusznie u nas ośmieszono tę nazwę. Juliusz zresztą pełen samodzielnéj siły twórczéj, nie potrzebował naśladować nikogo. Przekonani jesteśmy, że w warunkach, w jakich żył, z rodzajem geniuszu jakim był obdarzony, gdyby nawet nie słyszał o Bajronie, byłby wydeptał sobie szlaki podobne do tych, jakiemi szedł wieszcz Albionu. Ponieważ jednak przyszło mu żyć po Bajronie, a co ważniejsza nad owym Lemanem, nad którym unosił się jeszcze płomienisty duch mistrza, możnaż się dziwić, że Juliusz musiał bądź co bądź ulegać jego wpływom?

Chciwie też młody poeta chwytał żywe tu jeszcze podania o Bajronie. Z upodobaniem rozmawiał ze starym majtkiem Maurycym, który woził słynnego wieszcza po jeziorze, odwiedzał ze czcią willę w Cologny, leżącą w rozkoszném zaciszu nad błękitnym Lemanem, gdzie przed dwudziestą laty Bajron wyśpiéwał trzecią część Child Harolda, gdzie utworzył Manfreda i więźnia Czyllonu. Łatwo zrozumieć z jaką pogardą, z jakim gniewem Juliusz patrzał u stołu na Anglików, którzy zagadnieni przezeń o Bajrona, wyznawali z prostotą, że nie wiedzą nic o nim.

Bajron nie wystarczał jednak poecie naszemu: pragnął on zasilić ducha swojskim a więc żywotniejszym pokarmem. Błagał matkę, aby mu przysłała Jana Kochanowskiego. Otrzymał wkrótce upragnione księgi, tém droższe, iż z przypisami ojca. Czytał je chciwie, w trenach dopatrywał niezrównane piękności. Żale wyśpiéwane tak cudnie, z taką prawdą i prostotą, z tak głębokiém poddaniem religijném musiały oddziaływać na duszę poety, jako zbawienny antydot przeciw rozpaczliwym uniesieniom Bajrona, jakiemi czuł się do zbytku przesyconym.

Pieśni Jana z Czarnolasu kołysały błogo rozgorączkowaną myśl poety, przenosiły ją do własnego zakątka: „Szczęśliwy, pisał do matki, kto nigdy nie traci z oczu komina ojcowskiego, kto jak liść uwiędły padnie u stóp drzewa, na którém wyrósł!“

„Jak ten Jan Kochanowski, mówił daléj, spokojny był i szczęśliwy w swéj chacie z żoną i dziećmi! Pod wyniosłą lipą Czarnolesia musiał sobie w lecie zasypiać i do téj lipy tak piękne wiersze pisał. Prawdziwie zazdroszczę mu jego chaty, lipy, żony, dzieci... i czasów w których żył!...“

Pod wpływem Kochanowskiego, duma nawet Juliusza stała się spokojniejszą, straciła dawną gorycz. Przestał rzucać bajronowskie gromy na społeczeństwo, uczuł bowiem, że po wszystkie czasy wieszcz który orlemi skrzydły szybuje nad poziomem nie może być przez wszystkich zrozumianym. Alboż Jan nie powiedział:

Sobie śpiéwam nie komu, bo któż jest na ziemi,
Coby serce ucieszyć pieśniami chciał memi?

Przeczuł niemniéj Juliusz śladem Jana, że popiół kości jego nie będzie pogardzony. Wyraził to w jednym z swych listów:

„Czasem chodząc po samotnéj alei ogrodu, przy świetle księżyca, mam jakieś uczucie samotnéj dumy, które mnie pociesza. Ludzie którzy mnie teraz zapominają, może będą kiedyś pamiętać o mnie. A kiedy przyjdą tutaj wygrzebywać popioły leżące po zielonych cmentarzach, może sobie i mnie wezmą i zaniosą do mojéj ziemi. O takim teraz marzę powrocie.“

Niekiedy Juliusz rzucał się cały w filozofię niemiecką: byłto czas panowania Hegla, najsmutniejszy dla pisarzy naszych. Wiado-

mo, że Niemcy sami nie rozumieli mistrza swego; co zaś do Polaków, to można powiedzieć ogólnie, że im bardziéj króry z nich pielęgnował i uprawiał w sobie ducha narodowego, a chciał zarazem przejąć się duchem Hegla, tém smutniejszych doświadczał wpływów takiego eklektyzmu. Wybornie stan ten określił Juliusz w jednym z listów do matki. „Gdybym się nie lękał zanadto romantycznego porównania, powiedziałbym, że podobny jestem do psa, co się sam za ogon chce złapać i kręci się długo na jedném miejscu, nakoniec smutny wywraca się i usypia pod kominem!“

Na krótko jednak usypiał nasz poeta. Jak przeciw szałom bajronizmu znalazł przeciw wagę w Kochanowskim, tak przeciw mrzonkom Hegla znalazł leczący a niechybny środek w Piśmie Świętém. Czytał je też z wielką pilnością; zwłaszcza kiedy czuł w duszy dręczący smutek, zamykał się w izbie i cały zatopiony w Biblii, czerpał w niéj ukojenie i siłę do nowych zapasów.

Nagie ściany téj samotnéj izdebki stawiły nam przed oczy wszystkie wpływy, jakie działały na myśl i wyobraźnię wieszcza naszego, podczas gdy pierś jego, istny krater wulkanu, wyrzucała z siebie tak płomienne utwory jak Mazepa, Kordyan, Balladyna! Ale obok tych wpływów działających na myśl i wyobraźnią, były inne, działające na serce młodzieńca.

Juliusz przybył do Genewy z raną w sercu jeszcze niezabliźnioną. Kiedy niedorosłym młodzianem przebywał w Wilnie u boku tkliwéj i dziwnie poetycznéj matki, pokochał on całą potęgą pierwszego uczucia osobę znacznie od siebie starszą, która jeśli nie podzielała owych uczuć, nie odtrącała ich jednak, a tym pozorem wzajemności kołysała duszę poety. Ową Beatryksą Juliusza, pierwszą przewodniczką w bramy Edenu była panna S....., słynna późniéj na Wschodzie jako towarzyszka zturczonego autora Wernyhory. Jéj to wspomnienie drgające jeszcze w głębi serca, młody poeta uwiecznił w *Godzinie myśli*.

Widziałem go przy stopach dziewicy anioła,
Czarnemi weń oczyma patrzyła i bladła
Myśląc o dziecka życiu, bo z wielkiego czoła
Przyszłość mu nieszczęśliwą jak wróżka odgadła;
Więc odwracała oczy, a wtedy łzy lała,
Przed nią dusza dziecięcia jako karta biała
Czerniła się na wieki miłością daremną:
Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną
Ze wspomnieniami szczęścia! chciała zbroić niemi
Przeciwko własnéj duszy i czczym złudom ziemi...

Wkrótce potém pamiętam, o księżyca wschodzie,
Smętne dziecię wśród ciemnéj dębowéj ulicy
Siedziało pochylone przy stopach dziewicy;
Z drzew opadały liście i w całym ogrodzie

Zaledwie kilka kwiatów szronami srebrzystych,
Na niebie ledwie kilka gwiazd zabłysło mglistych,
Księżyc płynął samotny, las szumiał daleki.
Tego wieczora dziecię ustami drżącemi
Anioła snów dziecinnych żegnało na wieki;
A potém bladą twarzą upadło do ziemi,
Jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące,
Bo dziecię miało dumę wielkiego człowieka
Przeczuciem nakarmioną. Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetna okrzykiem ludzi, a z temi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem;
Serce jak kryształ w setne poryło się skazy,
I tak wiecznie zostało!

Aby zagładzić skazy tego spękanego serca, aby przywrócić kryształowi pierwotny połysk, potrzeba było delikatnéj, jakoby macierzyńskiéj dłoni: taką dłoń miała tkliwa Eglantyna. Uczucie jéj dla Juliusza miało w rzeczy saméj charakter macierzyński. Starsza od niego o lat kilka, jak matka cieszyła się rosnącą jego sławą, jak matka przeczuwała dla niego wielką przyszłość, jak matka zganiała chmury z jego czoła i ścieżki jego posypywała kwiatem, i w utęsknioną duszę wlewała słodki balsam pociechy. Myśl jéj krążyła bez ustanku około Juliusza, a uczucie jéj rosło w miarę cichych poświęceń, jakich on codziennym był celem.

A Juliusz kochałże Eglantynę? Wprawdzie nie wyznaje on tego w żadnym liście do matki, jednak wspomina ją bezustanku, tęskni, gdy na czas jakiś oddaliła się do Paryża, czyni ją powiernicą wszystkich trosk i nadziei swoich; chodząc z nią pod cieniem świérków, mówi jéj o rodzinie, o kraju; nieprzystępny zwykle i zimny, w Eglantynie tylko pokłada ufność całą; uśmiecha się do niéj, jak do matki: przy niéj czuje się swobodny, prawie szczęśliwy.

Byłaż to przyjaźń? byłoż to kochanie? Juliusz sam nie byłby zapewne potrafił na to odpowiedzieć.

Tak upłynęło lat dwa. Uczucie Juliusza pozostało jednakiém. Czyż jednakiém zostało uczucie Eglantyny? Czyż pod wpływem czasu nie rozwinęło się, nie dojrzało? Bądź co bądź, to pewna, że poznanie Juliusza z Maryą W..... przybyłą do Genewy było istnym piorunem, który wstrząsnął do gruntu życiem trojga istot. Rodzina W. składała się z matki, trzech synów i dwóch córek. Starsza z nich siedmnasto letnia Marya, uczennica Fielda, obdarzoną z natury artystyczną zdolnością, cudnie grała na fortepianie. Wysoko ukształcona zrozumiała poetę, odczuła jego samodzielny geniusz. Poeta uległ pod czarem téj, która przemawiała językiem jego, żyła jego życiem, myślała jego myślą! Atmosfera domu pani W. przypo-

mniała mu dom matki. W towarzystwie rodaków, pierwszém jakie spotkał w Genewie, dusza poety odżyła jakby cudem.

I tułacz zobaczył kraj miły, rodzony,
Gdy księżyc się wznosił na polach czerwony;
W noc nawet i ślepy poznałby te stepy
Po kwiatów rodzinnych zapachu.

Nadeszło lato. Rodzina W. umyśliła zwiedzić najpiękniejsze okolice Szwajcaryi. Juliusz zaproszony do grona turystów, przyjął udział w wycieczkach z niewymowną radością. Tu widzimy go w pełni szczęścia, jakiego nie zaznał od lat wielu. Marya istna czarodziejka przemieniła posępnego poetę w wesołego a nawet w pustego młodzieńca. Przybrany w bluzę szarą płócienną, wyszywaną zielonym jedwabiem, obciśnięty pasem ze skóry, w wielkim słomkowym kapeluszu z powiewną wstęgą purpurową, z góralskim kijem w ręku, Juliusz wyglądał na jakiegoś sielankowego bohatéra.

Z rozkoszą poeta opisuje matce tę podróż. Opowiada jak opłynęli statkiem błękitny Leman, zatrzymując się co krok, to w Coppet, sławnéj siedzibie pani Staël, to u podnóża Meillerie, zkąd St. Preux pisywał najpiękniejsze listy do Heloizy, to w sklepieniach Czyllonu; jak potém kopali się przez wiekuiste śniegi św. Bernarda, jak podziwiali sławny wodospad Gressbach, i wschód słońca z wierzchołka Rigi; jak ze czcią pochylili głowę w kaplicy Tella.

Cudniéj jeszcze poeta wyśpiéwał tę wędrówkę w poemacie pod tytułem *W Szwajcaryi*; to najcelniejszy klejnot w jego poetycznéj koronie; Marya wyłącznie tu panuje, ona świeci tu jak promienista gwiazda: poeta widzi zidealizowany jéj obraz, w spadających kaskadą wodach Aaru.

Tam ją ujrzałem, i wnet rozkochany
Że z tęczy wyszła i potoku piany
Wierzyć zacząłem, i wierzę do końca,
Tak jasną była od promieni słońca.
Tak pełna w sobie anielskiego świtu,
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu!
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niéj moje oczy,
A za tym zmysłem, co kochać przymusza
Poszło i serce, a za sercem dusza.
I chciałem do niéj przez kaskadę lecieć,
Bo się lękałem, że jak widmo blade
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
I rozstopi się, i zgaśnie, i zniknie.
I byłem jak ci, co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moją.

I tak raz pierwszy spotkałem ją samą,
Pod jasną tęczy różnofarbnéj bramą;
Powiew miłości owiał mnie uroczy,
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy!

Świat cały znikł przed oczyma poety. W przeczystych falach jeziora widzi tylko odbitą postać Maryi.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami,
I nie wiém czy tam była łódź pod nami!
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać;
A ona tak mnie prowadziła wszędzie.
Ach! ona była jak śnieżne łabędzie!
Była jeziora błękitnego panią,
Płynęła lecąc, łódź leciała za nią;
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
Za tą jasnością rybek korowody,
I z pluskiem do niéj rzucały się z wody!

W kaplicy Tella, Juliusz jedynie widzi Maryą; szczęśliwy, słyszy niby z ust jéj pierwsze wyznanie, a może tylko marzy o niém i marzenie staje się dla poety słodką rzeczywistością.

Pod ścianą z opok i pod wieńcem borów,
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica... Jest próg, tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta uznali
Że się już dawno sercami kochamy;
A pod tym progiem są na wodzie plamy
Od sosen, co się kołyszą na niebie,
I od skał cienia, gdzie mówiąc do siebie
Wbite do wody trzymaliśmy oczy;
A pod tym progiem fala tak się toczy,
I tak swawolna i taka ruchoma,
Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy,
I przybliżała łącząc je rękoma,
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
Ach! fala taka szalona i pusta,
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni!
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jedném światła objąwszy nas kołem,
Zmięszała niby anioła z aniołem.
Gdy myślę—boleść dręczy mnie niezmierna,
Falo! niewierna falo! a tak wierną!

Poprzestajemy na tém: gdybyśmy chcieli wybrać cudne kwiaty z owéj równianki uwitéj na cześć Maryi, musielibyśmy powtórzyć trzysta z górą wierszy, z których składą się prześliczny poemacik.

Skończyła się urocza podróż, ale nie skończyło się z nią szczęście Juliusza. Zdarzenie chciało, że za powrotem do Genewy pani W. z rodziną nie mogąc znaleźć odpowiedniego domu, zamieszkała chwilowo w Pâquis u pani Patteg.

Przyszła jesień; wiatr strząsał pożółkłe liście z dębu u okien Juliusza, mgła przysłoniła góry: poeta nie wiedział o tém, w duszy jego pogodnie było, promienisto! Długie wieczory zbiegały mu jak sen przy ciepłém ognisku pani W.; pieścił ucho to melodyą Fielda, to słodszym jeszcze gwarem rodzinnéj mowy! Niekiedy z pustotą dziecięcą grywał w zająca z panienkami i trzema ich braćmi. Częściéj jeszcze pochylony nad krzesłem Maryi, snuł wraz z nią jasny wątek marzeń, przetykany kwiatami fantazyi.

„Panna Marya, pisał wtedy do matki, zapłynęła także trochę w kraj ideału, i o niczém nie marzy, jak o pustelniczym domku nad rzeczką, o czarnéj sukience, o lekarstwach dla chłopków, o topolach szumiących nad pustelnią, a nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem. Tym mnichem kartuzem mam być ja, nie kto inny. Dowodzę jéj czasami, że jakiś podkomorzyc w kraju, dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi, wybije z głowy pustelniczy domek, a ja nie będę mógł kartuzowém wspomnieniem zdobyć liliowéj duszy dla aniołów.“

„Nie uwierzysz mamo, dodaje, jak ta podróż po Szwajcaryi wpłynęła wiele na wewnętrznego mnie, a jak ja mówię na wewnętrznego we mnie anioła. Zdaje mi się, że myśli moje odmłodniały!“

Uproszony przez Maryę dnia jednego nakreślił te słowa w jéj albumie.

Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w łąkach smutno biją trzód zbłąkanych dzwony,
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali,
Tam byli kiedyś razem i tam się rozstali!
A po latach wróconym ojczyznie pielgrzymom,
Bławatkami gwiaździste kłaniały się żyta,
Jechali błogosławiąc chat wieśniaczych dymom,
Wszyscy pod jeden ganek. Matka, siostra wita
Synów, braci, przyjaciół, są wszyscy! są wszyscy!
Przy jednym siedzą stole, przy czarach nalanych
A wczoraj tak dalecy, a dzisiaj tak blizcy,
I nikogo nie braknie... oprócz zapomnianych!
Młoda Marya do tańca każe stroić lutnię,
I usiadła, spoczywa—nagle do sąsiada
Rzekła: „Ach kogoś braknie!“ Tu podkówka utnie
W takt mazurka. „On umarł!“ sąsiad odpowiada.

„Cichoż na jego grobie?"—„Słowików gromada
Śpiéwa na srebrnéj brzozie cmentarza, tak smutnie,
Że brzoza płacze!"

Smutny ten wiersz skreślony w chwili, kiedy nadzieja uśmiechała się tak ponętnie, byłże poetyczną fantazyą? byłże tajemném przeczuciem? Nie wiemy!... To wiemy tylko, że w kilka dni potém Juliusz nagle opuścił Genewę, gdzie przebywała jeszcze Marya, że istny pustelnik zagrzebał się w górach niedaleko Czyllonu. Professor Małecki widzi przyczynę tego odjazdu w gwałtownym stanie jego duszy, targanéj miłością dla Maryi a współczuciem dla Eglantyny, gasnącéj niby lilia na podciętéj łodydze. O ile ten domysł prawdziwy, kto odgadnie? To jednak pewna, że dramat, który odbył się wtedy w duszy trzech istot, pełniejszy był, wyższy nastrojem duchowym, nad wszystkie dramata, jakie stworzył geniusz naszego poety. Sama ucieczka jego w miejsca gdzie Byron czerpał natchnienia do obrazu straszliwych mąk więźnia Czyllonu, następnie rychły wyjazd na Wschód i ów poemat *Ojciec zadżumionych*, stworzony pod skwarném tchnieniem pustyni, wszystko to tłumaczy wymownie gwałtowny stan umysłu i uczuć Juliusza. Wzniosły duch nie upadł pod naciskiem walki; bóle i zawody rozmogły polot twórczych jego skrzydeł i pchnęły go w nieznane dotąd sfery. Literatura nasza winna tym walkom i temu tryumfowi arcydzieło, którém poszczycić się może w obec literatur europejskich, a którego początek zawdzięcza Genewie.

I cóż dodamy jeszcze o Maryi? Oto, że w rok potém, Juliusz otrzymał mylną wieść, jakoby oddała rękę wielkiemu artyście naszemu Szopenowi. Uniesiony gniéwem, rzuca w liście do matki gorzki sarkazm. Nie mamy książki pod ręką, nie pomnimy zatém słów, ale rzecz została nam w pamięci. „Jeśli to prawda—mówi poeta—że po śmierci duchy tych, którzy kochali jednę istotę, mają się złączyć w jedność, nie chcę być Aniołem ze skrzydłami, jak pedały, z zębami, jak klawisze!" Ta niechęć odbija i późniéj w innym liście, w którym wyrzuca matce, że jeśli nie rozumie jego poetycznych utworów, to dlatego, że muzyczne utwory Szopena, rozkołysały wyobraźnią jéj w innym zupełnie kierunku! Przebaczmy tak niesłuszny sąd rozdrażnionemu sercu poety.

Co do Eglantyny, uczucie, jakie Juliusz miał dla niéj, przybrało charakter głębokiéj i niezmiennéj przyjaźni. I ona także czci jego pamięć, rada gdy słyszy o wzrastającéj sławie jego imienia, śmiało bowiem może powiedzieć, że zrozumiała ten geniusz wprzód, niż zrozumieli go właśni nawet ziomkowie.

Między najnowszemi dziełami uderzyła nas archeologiczna praca pana du Cleusion pod tytułem: *De la poterie gauloise; étude sur la*

collection de Charvet. Autor wziął za godło słowa naszego sławnego starożytnika Joachima: „Historya ceramiki, to historya ludzkości całéj.” Historya ta przecież, jako nauka zaledwie rozwija się z powijaków. Ciekawe w tym względzie uwagi autora, należy on do tych wytrwałych karczowników, torujących nowe drogi w dziedzinie naukowéj.

„Zacząłem—mówi p. C.—w roku 1867 wyczytywać z trudnością napisy tak mało znane ceramiki galskiéj. Zwiedzałem pilnie muzea, tak wtedy ubogie w okazy sztuki garncarskiéj z czasów pradziadów naszych; przebiegałem z Kluny do St. Germain, to znów do etnograficznego muzeum w Luwrze; rysowałem, porównywałem, rozpatrywałem każdy przedmiot i nieraz wieczorem wracałem do domu zrażony ubóstwem plonów moich.”

„Przeglądając codziennie moje nieliczne notaty, zbierane tu i owdzie, pochylałem smutno głowę, mówiąc sam do siebie: „A przecież Galia musiała mieć sztukę własną! Miała ją niewątpliwie, a jeśli znaleźć nam gdziekolwiek jéj ślady, nie szukać ich w medalach, naśladujących greckie i rzymskie medale; nie szukać ich w orężu: ręka, która uderza i morduje, nie zdoła odtwarzać przyrody; nie szukać ich w metalowych ozdobach, naszyjnikach, bransoletach i tym podobnych przedmiotach zbytku i niewieściéj zalotności. Szukajmy wyrobów garncarskich!”

„I przeglądałem znów urny w Saint Germain, odłamy skorup w Sévres i Kluny, przerzucałem w bibliotekach publicznych księgi Bronniarta, Maryata i setki innych: wszystko to jednak nie posuwało mnie na krok daléj. Aż oto, kiedym przebiegał gmach wystawy powszechnéj na Polu Marsowém, uderzyły mnie w oczy nagromadzone licznie garncarskie wykopaliska.”

Nie myślimy iść w trop za uczonym archeologiem, powiemy tylko, że przyglądając się pilnie wyrobom ceramicznym różnych wieków i różnych ludów, przyszedł do wniosku, że aby dobrze oznaczyć na czém polega indywidualizm Gallów, potrzeba nasamprzód poznać jakie są ogólne cechy w objawach sztuki u wszystkich ludzkich plemion.

Porównanie wyrobów sztuki doprowadziło autora do porównania dalekich od siebie ludów w ich obyczajach, których sztuka licznym jest wypływem. Zobaczmy, naprzykład, jak porownywa obrzędy pogrzebowe u Hindów, Hebrajczyków i Gallów.

„W Indyach starożytnych, dusza zmarłego, brała udział w uczcie pogrzebowéj. Przyjdź tu—woła Rig-Weda—przyjdź tu odwieczną drogą, po któréj szli niegdyś ojcowie nasi; zasiądź na téj wyżynie pobożnie dla ciebie wzniesionéj; wnijdź do tego domostwa: przyoblecz się w błyszczące ciało. Yamo! pozwól, niechaj umarły zstąpi tu i uczestniczy w libacyach porannych i wieczornych!”

Późniéj, kiedy wdowa, która po śmierci małżonka nie chciała, aby usta jéj wyrzekły nawet imię innego mężczyzny, kiedy przybrana w sygnety, uwieńczona w drogie kamienie, wsparta na ramieniu

brata, wstąpiła na stos pogrzebowy i wśród buchających płomieni białemi ramiony objęła zimne ciało i na ustach trupa złożyła ostatni pocałunek: wtedy Bramini, dopełniali tradycyjnego obrzędu. Było to zwykle w pośród lasu, na polanie samotnéj i milczącéj, nad brzegiem wązkiego strumienia. Zebrana licznie rodzina, zasiadała wkoło na murawie i czytała pobożne księgi. Bramini strojni w girlandy kwiatów, zapraszali żebraka do uczty świętéj, a najstarszy z rodu podnosił głos ku drogim cieniom, które kołysały się w powietrzu nad głowami żyjących. I spożywano ucztę złożoną z ryb, ciasta, ryżu i czarnéj soczewicy, spełniano czarę wonnego likworu, poczém następowały śpiéwy.

U hebrajczyków, kiedy złożono ciała zmarłych na łoże potrząśnięte wonnym aromatem, kiedy poniesiono je na dolinę Jozafatową; kiedy tłum obleczon w ciemne szaty, posypawszy czoło popiołem, zanucił hymn żałobny i spalił na grobie wonne zioła: wszyscy powracali do domu umarłego, łamali chléb i spełniali razem czarę pociechy. Podczas uczty żałobnéj, jeden z obecnych powtarzał smętnym i jednotonnym głosem:

„Śpiewam w obec krwi i ubitych mężów, w obec krwi bohatérów! Łuk Jonatana nigdy się wstecz nie cofał! Miecz Szawula nie powracał nigdy bezczynnie. Szawul i Jonatan mili i ukochani za żywota, nie rozłączeni w śmierci. Lotniejsi w biegu, niż lwy. Góry Izraela płakać wam nad Szawulem, on was przyoblekał w szkarłaty, życie wasze napełniał rozkoszą, ozdabiał złotem szaty wasze! Poległ Jonatan w boju śmiertelnie ugodzony. Jakąż boleścią napełniasz mnie Jonatanie, drogi mój ojcze? Twoja miłość dla mnie była wielką! Legli obaj, jak bohaterowie porażeni piorunem wojny!"

W Galii nakoniec, kiedy poniesiono na wzgórek zwłoki umarłego, obwinięte wielką, białą płachtą, kiedy położono go z obliczem zwróconém ku wschodzącemu słońcu, bardowie jęli śpiewać pieśń pogrzebową. Pieśń ta w dziwny sposób tak tonem, jak układem i obrazami przypomina wschodnie psalmodie. Oto jéj słowa:

„Śpiewam przed Geruntem, który był biczem nieprzyjaciół. Widziałem konie zbryzgane białą pianą, zanużone we krwi po kolana. Pod natarciem wielkiego Esbina syn Pubo nie cofał się wstecz. Kiedy krew toczyła się potokiem, kosił wojowników jak trzcinę. Nigdy nie cofnął kroku! Był to orzeł potężny, dzielny, wspaniały, zwycięzki w pogoni żarłocznego dzika Heudelina. O Gwenie! tyś orłem krążył po nad korytami rzek naszych!"

Autor przegląda potém zabytki ceramiki różnych ludów, porównywa je z sobą, przytacza znów słowa Lelewela, okazujące wielką ważność tych pomników:

„Ustaw rzędem na jednéj półce — mówi nasz znakomity starożytnik — wszystkie wyroby garncarskie, wykonane przez ludzi, od dnia, kiedy ręka człowieka poczęła lepić glinę, a z tych wyrobów poznasz gałęzie rodu ludzkiego, ich małżeństwa, wędrówki, po-

mieszanie szczepów, przedstawiające się wybitnie w pewnéj formie, profilu, sposobie wykonania, kolorycie lub pokoście." (Lelewel list do Benjamina Fillon str. 3).

Pan Cleusion zakończa rzecz oddaniem hołdu naszemu historykowi, który natchnął mu pierwszą myśl do ważnéj, naukowéj pracy. Powtarzamy jego słowa:

„Poważny głos odezwał się na długi czas przed naszym wołając: „Oto droga!" My odpowiedzieliśmy tylko na głos światłego cudzoziemca, powołujący „żarliwych i młodych." Nie chcąc spoczywać na brzegu drogi zapuściliśmy się bądź co bądź ścieżkami wskazanemi przezeń „śmiałym i przenikliwym," a lubo pozbawieni zapewne tego jasnowidzącego wzroku, jakiego on wymaga, poszliśmy na oślep tym torem.

„Zamiłowani w owych grubych, garncarskich wyrobach nieokrzesanego ludu, które są w oczach naszych wyrazem cywilizacyi naszego plemienia, pragnęlibyśmy udowodnić wschodnie pokrewieństwo, jakie nam uczony mistrz oznacza i zatknąć gdzieniegdzie drogoskaz na stepie, prowadzącym Galią do starożytnych siedzib Aryów.

„Przeczuwał to Briseux, gdyż poeci mają często prawdziwe objawienia przeszłości, kiedy wyrzekł:

Wschodnich Aryów jest synem nasz ród długowłosy,
Na Landach naszych dzwonią złote podań kłosy.

Nasz uczony starożytnik, któremu Francya zawdzięcza źródłowe dzieło o *Numizmatyce galskiéj*, położył, jak widzimy, kamień węgielny do przyszłych badań nad galską ceramiką.

Mówiliśmy już nieraz o silnéj walce, jaka odbywa się we Francyi pomiędzy pozytywizmem a spirytualizmem. Ten ostatni potężnych ma rzeczników w professorach Kolegium francuzkiego: z pomiędzy tych Adolf Frank, zajmujący katedrę *prawa natury i narodów*, stał się oddawna prawdziwym ulubieńcem francuzkiéj publiczności. Pełen wymowy, znajduje on zawsze słowo poruszające do gruntu serca. Mowa, jaką wyrzekł przy otwarciu kursów bieżącego półrocza, okrytą była, jak zwykle oklaskami. Zostawiamy na boku zastosowania polityczne, których było w niéj może nazbyt wiele, powtarzamy tylko ustęp, w którym professor maluje dzisiejszy stan Francyi pod względem umysłowym, moralnym i artystycznym.

„Prawdaż to—zapytuje mówca—że przyszliśmy do zgrzybiałości? jak to wmawiają w siebie nieprzyjaciele nasi, jak sami przyjaciele myślą, może w cichości ducha? Niektóre symptomata mogłyby nasunąć tę myśl stronniczym i zbyt pochopnym do potępiania sędziom! Oto najważniejsze: niepohamowana miłość zbytków i uciech; na-

miętność podnoszona do znaczenia prawa, zrzucająca z siebie jarzmo obowiązku; teatr zamieniony w szkołę zepsucia; powieść w malowidło bezecnych intryg; materyalizm panujący w literaturze, w nauce, w sztukach pięknych, w filozofii.

„Trudno ukryć te fakta, skoro na nieszczęście istnieją. Przeczyć im byłoby niebezpiecznie, bo jakże pomódz choremu, który nie zna lub nie chce uznać własnéj choroby? Ale nie powiększajmy nic, nawet ułomności i występków naszych. Te, które wyliczyłem, nie tak są straszne, nie tak głęboko zakorzenione, jakby to sądzić można. Jeżeli istnieje u nas, jak u wszystkich wysoko ucywilizowanych narodów, miłość zbytków i uciech, widzimy tu zarówno i to nie w mniejszych rozmiarach miłość pracy i oszczędności; w obec nieszczęść naszych, daliśmy wymowny tego dowód. I komuż to, pytam, jeśli nie politykowi pruskiemu, mistrzowi arcypozytywnemu mistycznego króla, przyszłoby na myśl żądać kontrybucyi wojennéj w ilości pięciu miliardów? Ale energia, siła produkcyjna kraju i patryotyczna ufność zwyciężonych, przeszły jeszcze bezprzykładną chciwość zwycięzcy!

„Mała zaledwie cząstka ludności robotniczéj, mierzy prawa swoje miarą próżnych zachcianek i karmi się nieurzeczywistnionemi mrzonkami. Lud wieśniaczy pragnie tylko podsycać swój zagon krwawym potem, a znając wartość najmniejszego kęska ziemi szanuje własność w cudzém ręku, jakby chciał, aby i w jego ręku była uszanowaną.

„Przyznaję, że wiele, zbyt wiele naszych sztuk teatralnych i romansów, nie bierze za cel budować widza lub czytelnika i budzić w nim zamiłowanie cnoty. Ale są za to inne utwory, podpisane imionami wielkich koryfeuszów literatury współczesnéj, które tchną przeciwnym duchem, ą następując po sobie w małych przerwach, oczyszczają skażoną przez pierwszych atmosferę. Nie wszyscy zresztą uczęszczają na teatr, nie wszyscy czytają romanse. Ludność wielkich miast, dla któréj te rozrywki dostępne w szczególny sposób, przedstawia zaledwie maleńką cząstkę ogólnéj ludności kraju.

„W obec literatury lekkiéj nie zapominajmy o poważnéj literaturze, obejmującéj historyą, krytykę, poezyą, badania erudycyjne; o literaturze, która karmi i zaszczyca nasze akademie, nasze wyższe szkoły, nasze najpoważniejsze przeglądy, a która śmiało stanąć może obok literatur narodów najdaléj posuniętych pod względem światła. Jeżeli są u nas filozofowie pozytywiści a nawet materyaliści, nierównie za to większa liczbą tych, którzy wygłaszają z katedry i wykładają w cenionych powszechnie książkach zasady wzniosłego, a zarazem niepodległego spirytualizmu. Ktokolwiek zechce, może tu posłyszéć wymowny ich głos, odtętniający silném echem w naukowych naszych zakładach. Toż samo powiem, co do artystów. Są zapewne pomiędzy niemi tacy, których dzieła, acz pełne talentu, zgorszyły nie jeden wzrok, zwłaszcza nieprzywykły do licencyi pędzla i dłuta;

ale i sztuka poświęcona czci ideału, znalazła także przedstawicieli swoich. Ci ostatni oceniani u nas w szczególny sposób, śmiało nawet rzec mogę popularniejsi, niż zwolennicy sztuki realistycznéj; w życiu ich bowiem nie dopatrzéć rozbratu z myślą. Najwiarogodniejsze świadectwa dozwalają mi twierdzić, że sztuka francuzka bez różnicy szkoły, zajęła dziś najpierwsze miejsce w świecie."

Prelekcya ta znakomitego professora tak dalece uderzyła umysły w Paryżu, iż niektóre myśli rzucone w niéj stały się przedmiotem osobnych konferencyi.

Nauki przyrodnicze straciły jednego z tych olbrzymów, którzy stanowią epokę w postępie wiedzy ludzkiéj. Mówimy tu o zmarłym Agassizie, sławnym geologu, paleontologu i zoologu, zaciętym przeciwniku szkoły Darwina. Agassiz był z rodu Szwajcarem; urodził się w bliskości Genewy w kantonie Vaud roku 1807, nauki pobierał najprzód w własnym kraju w Bienne, Lausannie i Zurichu, następnie uczył się anatomii w Heidelbergu od sławnego Tiedemana, embryogenii w Monachium od Dollingera, zasad klasyfikacyi od Okena, botaniki od Martiusa. W Wiedniu odbywał studyum nad rybami nadesłanymi z Brazylii, poczém udał się do Paryża, gdzie zawiązał ścisłe stosunki z Cuvierem i Humboldtem. Cuvier wysoko oceniał naukę młodziana, przekazał mu zebrane przez siebie materyały do klasyfikacyi ryb przedpotopowych.

Po śmierci Cuviera, Agassiz powrócił do Szwajcaryi: tu objął katedrę nauk przyrodniczych w Newszatelu, badał zarazem lodowiska Aaru i znakomicie posunął naukę w tym przedmiocie. Następcy jego sformułowali dokładniéj teoryą gleczerów, ale Agassiz piérwszy utorował im drogę.

Wyżéj jednak niż w geologicznych badaniach podniósł się Agassiz w zoologii: na tém polu twórczy jego geniusz okazał całą dzielność. W dziecinnych jeszcze latach przebywając nad Moratem, pilnie przepatrywał ryby tego jeziora. Późniéj wzbogacony nauką zdobytą w piérwszych wszechnicach niemieckich, wrócił do ulubionego przedmiotu. Wydał wraz z professorem Vogtem dzieło o rybach żyjących w wodzie słodkiéj. Następnie rozpoczął badania nad przedpotopowemi rybami. Dzieło *Recherches sur les poissons fossiles*, postawiło go w rzędzie piérwszych uczonych tego wieku. Uważają tę pracę, jako godne dopełnienie paleontologicznych badań Cuviera.

Agassiz stał niewzruszony jak skała wśród gwałtownego prądu porywającego dzisiejsze pokolenie przyrodników na drogi transformizmu. Utrzymywał on stale i wierzył głęboko, że w niepojętym dla rozumu planie stworzenia, nic niema chwiejnego, nic ruchomego, że wszystko tu doskonale określone, stanowcze, wiecznotrwałe. Przyjmował zupełne zniknienie jednéj fauny zastąpionéj nowym szeregiem tworów. Nie pytał jakim sposobem, dlaczego odbywały

się te przewroty: zaznaczał je tylko. Zwierzęta były to w jego oczach litery tajemniczego alfabetu, każda z tych liter miała właściwą sobie formę, właściwy rozmiar i nie ulegała przemianie. Transformacya następowała z czasem, ale nie czas ją spełniał; nie spełniała jéj ewolucya wewnętrznych sił właściwych organizmowi. Darwinizm był w jego oczach najniebezpieczniejszym szkopułem dla nauki, jako sprowadzający ją na nieskończone bezdroża.

Amerykanie, którzy jakkolwiek sami mało okazują siły twórczéj w wydziale nauk, umieją przecież oceniać ludzi geniuszu, powołali Agassiza roku 1846 na professora zoologi w uniwersytecie New Cambridge koło Bostonu. Tam oddali mu do rozporządzenia ogromne summy, okręty, nawet obszary ziemi, ułatwiając mu realizacyą wielkich jego pomysłów. Urządzone przezeń muzeum w Cambridge, stało się pod względem ichtyologicznym najbogatszą kollekcyą w świecie. W ostatnich czasach bogaty Amerykanin oddał mu wyspę na założenie zoologicznego ogrodu. Umiał też Agassiz korzystać ze szczodrobliwości nababów amerykańskich. Rozsiewał on tysiące ksiąg i broszur: z tych jedne przeznaczał dla uczonych, drugie dla prostaczków, nawet dla dzieci. Potężny ten umysł nie spoczywał na chwilę, tworzył i zawsze tworzył.

Rozporządzając wielkiemi bogactwami żył sam nadzwyczaj skromnie. Nie zostawił majątku, ale olbrzymią sławę, dobrze zasłużoną życiem steraném w pracach, tak pożytecznych dla ludzkości.

Agassiz żył w ścisłéj przyjaźni z Longfellowem i Lowellem, słynnymi poetami nowego świata. Lubo kochał przybraną ojczyznę, w któréj przeżył ćwierć wieku, z rozrzewnieniem wspominał zawsze swoję piękną Szwajcaryą.

I Szwajcarya niemniéj chlubi się chwałą Agassiza, jako jednego z wielkich synów swoich.

Znany francuzki starożytnik, a zarazem architekt Violet le Duc, autor cenionéj powszechnie publikacyi p. t. *Dictionaire d'Architecture*, świeżo ogłosił dzieło: *Histoire d'une maison*, w którém wziął sobie za cel spopularyzować naukę budownictwa domów wiejskich. Życzylibyśmy bardzo wydawcom naszym, aby zajęli się przyswojeniem téj zajmującéj pracy w polskim przekładzie, z zastosowaniem do potrzeb miejscowych; bez tego bowiem zastosowania dzieło utraciłoby u nas na ważności praktycznéj, o którą szczególnie chodziło i samemu autorowi.

Rzecz cała przedstawiona w powieści w sposób żywy, pełen zajęcia. Autor wprowadza nas do obszernego dworu wiejskiego w okolicach Berry: mieszka tu pan Gaudelau z żoną i młodszą córką. Starsza córka niedawno zamężna wyjechała z mężem w daleką podróż, która przeciągnie się rok cały. Paweł Gaudelau szesnastoletni młodzian pobierający nauki w Paryżu, przybył do rodziców na wa-

kacye. W piérwszych dniach wszystko zajmuje go i bawi, zwiedza pilnie stajnie i obory, przebiega park wzdłuż i wpoprzek, zapuszcza się do lasu, słucha opowieści starego gajowego. Ale ojciec cierpi na podagrę, siedzi w krześle i czyta dziennik. Matka haftuje w krosnach; kiedy niekiedy cicha łza upadnie jéj z oka, gdy pomyśli o nieobecnéj córce. Deszcz pada; Paweł zaczyna się nudzić: żal mu Paryża, a nawet szkolnych murów.

Wtém przychodzą wieści od podróżnych. Te listy przypominają panu Gaudelau zamiar oddawna powzięty, rozbierany nieraz w poufałych rozmowach z żoną: chciałby zbudować dom w poblizkiéj posiadłości, którą dał w posagu starszéj córce.

— Daj temu pokój, błagam cię!—zawoła matka. Czyż to nasz zamek nie dosyć obszerny; alboż się w nim nie pomieścimy wszyscy razem z dziećmi i wnuczętami, jeśli je nam Bóg ześle? Niechże Marya zostanie ze mną po długiém a tak smutném rozłączeniu. Mąż jéj przy zajęciach swoich nie może przebywać zawsze na wsi. Jak ona biédaczka wytrwa w samotnym domu?

— A ty nie radziłażeś sobie—odrzecze mąż—kiedy w początkach związków naszych ważne obowiązki powoływały mnie co chwila do stolicy? Zajmie się gospodarstwem domowém i zasmakuje w niém, skoro pojmie odpowiedzialność spoczywającą na jéj barkach. Wierz mi.... widziałem jak najściślejsze związki rodzinne rozprzęgały się wskutek przebywania zamężnych córek przy rodzicach. Młoda kobiéta chce być wszechwładną panią w domu własnym, uczucie to zdrowe i godziwe; nie należy mu stawać w poprzecz. Marya opływałaby u nas we wszystko, mąż jéj byłby rad, widząc ją pod naszą opieką, a jednak nie byłaby u siebie. Jak dla panienki właściwe tylko miejsce przy boku macierzyńskim, tak dla zamężnéj kobiéty najwłaściwsze we własnym domu: u matki nawet staje się jakby gościem. Przypuśćmy nawet, co przypuścić trudno, że podobny stan rzeczy nie wywołałby żadnego starcia, nie ulega przecież wątpliwości, że wypłynęłoby ztąd zaniedbanie praktycznych życia obowiązków, opieszałość, lenistwo, nakoniec nudota i niebezpieczne jéj skutki.

Słowa te przekonały żonę.

— Masz słuszność! — rzekła z westchnieniem i podała rękę mężowi.

Paweł tymczasem siedział pod oknem i przewracał niedbale karty książki, przysłuchując się pilnie rozmowie rodzicielskiéj. Nagła myśl powstała w jego głowie. Zaczyna marzyć o tym domu, widzi go to w kształcie gotyckiego zameczku z wieżyczkami, to w formie szwajcarskiego szaletu, otoczonego zielenią z pięknym rzeźbionym gankiem. Przypomina sobie jak niedawno młody jego krewny architekt z powołania, kreślił przy nim na tablicy plany rozlicznych domów. Pragnąłby wyrazić własną myśl na papierze, ale potrzeba najprzód wiedzieć jakiego domu pragnie siostra. Ojciec wyprawia co żywo depeszę do Neapolu streszczoną w kilku słowach:

„Paweł chce zbudować dom dla Maryi, przyślijcie program.“ Nazajutrz nadchodzi odpowiedź: „Wyborna myśl Pawła. Na dole sień, salon, pokój jadalny, kuchnią, spiżarnia; piérwsze piętro: sypialnia, gabinet do pracy, garderoba, parę gościnnych pokoików, wygodne wschody, szafy w murze.“

Na tych danych Paweł wziął się do dzieła. W samą porę młody architekt przyjeżdża na czas jakiś w odwiedziny do krewnych. Ogląda niekształtny zarys, wiele zapewne widzi w nim błędów, lecz nie myśli zrażać młodziana. „Weźmiem się—rzecze—obadwa do roboty.“ I przeglądają pilnie program, wybierają miejsce właściwe na budowę. Paweł nakreśla plan, co krok spotyka nową trudność, ale biegły architekt nie spuszcza pracy z oka, przełamuje zwycięzko wszelkie zapory. Przechadzając się z Pawłem po parku, wtajemnicza go w sztukę budownictwa; te rozprawy stanowią dokładny kurs elementarnéj architektury. W miarę jak wybiegają w górę wzręby domu, Paweł obznajmia się coraz lepiéj z przedmiotem. Wkrótce architekt znajduje w nim istotną pomoc, powierza mu dozór nad budową. Co wieczór młodzian zdaje sprawę mistrzowi swemu z dokonanéj w przeciągu dnia roboty. Cała ta część dzieła skreślona wybornie. Oddawna już pan Violet le Duc nastaje surowo na oderwany i zbyt teoretyczny charakter w nauce architektury, jak ją wykładają po szkołach, z zupełném niemal zaniedbaniem strony praktycznéj. Architekt według niego powinien być sam doskonałym cieślą i mularzem, a nadto posiadać inne pomocnicze wiadomości. Dzieło jego ma na celu zapełnić brak, jaki widzi w szkolnych wykładach.

Budowa domu wzrasta, ale niespodziewane okoliczności zatrzymują nagle jéj postęp. Wojska niemieckie zalewają kraj; architekt, który mógł służyć sprawie powszechnéj jako biegły inżynier, zaciąga się do armii, pośpiesza nad Loarę. Paweł zbyt młody, aby pochwycić oręż, pozostaje w rodzicielskim domu; pracuje przecież gorliwie, przyrzekł bowiem architektowi, że przetłumaczy codzień jednę stronnicę z dzieła Witruwiusza.

Po skończonéj wojnie inżynier przybywa znów do krewnych; Paweł zabiéra się z powrotem do Paryża: zachęcony próbą pragnie poświęcić się nauce architektury. Dom prawie już dokończony. W rok potém młodzian pzzybywa na wakacye; mury tymczasem wyschły, czas zająć się wewnętrznem urządzeniem. Paweł wprowadza w tryumfie siostrę do wygodnéj siedziby, jaką dla niéj zbudował.

Plany i rysunki starannie wykonane w drzeworytach zdobią tę piękną i pożyteczną pracę.

Historya domu przeznaczona dla młodzieży, odznacza się tém głównie, że nie jest prostą wulgaryzacyą nauki, ale że ją napisał prawdziwie uczony specyalista. Pan Violet le Duc wiedziony miłością dobra powszechnego, chciał zestąpić z wysokich sfer w jakich

zazwyczaj krąży i przemówił w sposób jasny, prosty, zrozumiały, dla najmniéj przygotowanych umysłów. Najpoważniejsze pisma francuzkie przyklasnęły szczerze autorowi.

Na afiszu teatru francuzkiego zabłysły połączone imiona dwóch akademików: mówimy tu o świeżo odegranym dramacie *Jan Thomery*, który Augier przerobił z powieści Juliusza Sandeau. Streszczoną tę powiastkę daliśmy w jednéj z zeszłorocznych kronik naszych. Dzięki nieporównanie pięknym scenom, dramat wycisnął gorące łzy z oczu widzów i wywołał pełne uniesienia oklaski. Znajdziemy w nim zapewne niejedno uchybienie przeciwko scenicznym prawidłom: błędy to nieuchronne w każdym utworze dramatycznym przerobionym z powieści. Pomimo tych drobnych niedostatków przekonani jesteśmy, że Jan Thomery długo zajmować będzie publiczność paryzką.

P. Augier zachowując główną osnowę, zmuszony był zaprowadzić małe zmiany, jakich dramat wymaga. Lubo treść znana czytelnikom naszym, powtórzymy ją w kilku słowach, tak, jak dwaj autorowie przedstawili ją w sztuce.

Akt piérwszy rozpoczyna się w zamku Thomery. Stary hrabia oczekuje dwóch synów, którzy wysłużywszy w Algierze lata służby wojskowéj, powracają do rodzinnego gniazda. Domowa tradycya Thomerych nakazuje wszystkim członkom rodu, ćwiczyć się w rycerskim zawodzie. Najstarszy syn Jan wysłużył już w wojsku przepisane lat siedm i dziś pomaga ojcu w gospodarstwie.

Hrabia stoi w ganku z żoną, z córką i synem Janem. Opodal dają się słyszéć tony ligawki. Cała wieś wyległa naprzeciw żołnierzy afrykańskich: poczciwe Bretony wiodą ich pod dach rodzicielskiego domu. Dźwięki brzmią coraz bliżéj, nakoniec dwaj synowie rzucają się w objęcia ojca.

— Możesz ich uścisnąć—rzecze hrabia do żony. Zaszczytnie bowiem, jak ich naddziady, spłacili dług ojczyźnie.

Następują gorące powitania.

— Dzieci moje!—wyrzecze znowu ojciec—uścisnęliście matkę waszą, myślmy teraz o téj wspólnéj macierzy, któréj winniśmy wszystko: niech żyje Francya!

Te słowa poruszyły do gruntu serca widzów. Głęboka cisza panowała w sali, nikt nie śmiał przerwać oklaskiem sceny tak uroczystéj. Raz po raz tylko odzywało się stłumione łkanie.

Krótko trwa szczęście połączonéj rodziny. Jan Thomery nudzi się przy ognisku domowém: ojciec wyprawia go do stolicy. Młody Breton wpada najprzód w sidła pięknéj baronowéj, która wtajemnicza go w uroki wytwornego życia paryzkiego. Potrzeba pieniędzy, prowadzi go na giełdę. Jan wygrywa, pełnemi garściami chwyta złoto; z gorączkowym szałem rozrzuca je w około siebie. Wchodzi

w stosunki z ludźmi bez czci i wiary; pożycza nieskażonego imienia do najhaniebniejszych przedsięwzięć. Postawiwszy raz stopę na niebezpiecznéj pochyłości, stacza się coraz to głębiéj w przepaść. Doprowadzony w końcu do bankructwa, odtrącony od progów domowych, postanawia ratować się haniebném małżeństwem; ma niebawem zaślubić córkę milionera, zbogaconego krzywdą nieprzeliczonych ofiar. Pomijamy szczegóły: smutny wątek bezpraw, intryg i matactw zapełnia trzy akta aż do końca czwartego.

Akt piąty odbywa się na wybrzeżu Sekwany wprost akademickiego pałacu. Wojna wre, klęski biją gradem na Francyą, Paryż gotuje się do obrony. Jan wchodzi na scenę w towarzystwie jednego z godnych siebie przyjaciół. Ów towarzysz porwany ogólnym prądem, zrywa z życiem, jakie dotąd prowadził; zaciągnął się już do wojska, za kilka dni wyruszy w pole. Wyrzuca on gorzko Janowi, że w chwili tak ważnéj chce opuścić Paryż i Francyą: Jan zbywa go cyniczném szyderstwem.

Nagle daje się słyszéć pieśń Bretonów, ukazuje się zbrojny oddział, staje we dwa szeregi. Jan zadrżał, zachwiał się, osłupiał, jakby uderzon gromem. Na czele oddziału widzi starego ojca i dwóch braci; zrywa się, biegnie pomiędzy ochotników, porywa za karabin.

Tu następuje krótki dyalog, tak dramatyczny w powieści. Powtarzamy go dla dopełnienia obrazu.

Stary hrabia przegląda oddział, wywołuje po imieniu szeregowców.

— Komendancie! przepomniałeś o jednym z twych żołnierzy!

— Jak ci imię?

— Jan!

— Kto jesteś?

— Człowiek najgorszego dotąd życia!

— Czego chcesz?

— Umrzéć zaszczytną śmiercią!

— Dobrze!

Następuje chwila milczenia.

— Jan Thomery!—zawoła starzec drżącym głosem.

— Obecny!—odpowié syn.

I kurtyna zapada.

Trudno opisać jak głębokie wrażenie sprawił na widzach ów dramat. Piąty akt zarówno jak piérwszy przyjęty był z niewymownym zapałem! Publiczność paryzka spragniona obrazu zdrowych uczuć, przepomniała w obec nich drobnych uchybień przeciw sztuce. Krytyka podniosła te usterki, ale zarazem znalazła gorące słowa współczucia dla autorów, jak niemniéj surową dała przestrogę koryfeuszom panującéj dziś szkoły. Powtarzamy słowa Sarceya: zasługują te słowa na uwagę, gdyż są wyrazem uczuć, wielkiéj części społeczeństwa francuzkiego.

„Patrząc na łzy płynące z tylu oczu— mówi krytyk—słysząc łkania wydzierające się z tylu piersi w końcu piérwszego aktu, za-

pytałem w duchu sam siebie: Jakto? prosty obraz zacnéj i kochającéj się rodziny, pełnéj zdrowych i szlachetnych uczuć, porusza do głębi wszystkie serca, a nasi pisarze dramatyczni nie chcą pojąć tego nowego zwrotu? Żaden z nich nie myśli wydobywać złota z téj bogatéj kopalni?

„Rzecz niepojęta! Cała dziś nowa szkoła zamyka się w grubym realizmie, z upodobaniem rozbiera najnikczemniejsze namiętności. Rozgrzebuje zatrute bagniska i upada okryta śmiesznością! gdy tymczasem żywy obraz uczciwych obyczajów nakreślony po prostu, zapewniłby jéj powodzenie. O jakże to trudno odtworzyć w sztuce nowy prąd objawiający się w ideach, obyczajach, w życiu społeczeństwa. Sztuka dramatyczna, gdy raz wyżłobiła sobie tór na gościńcu, idzie nim wciąż na oślep. W dniu, kiedy Dumas wprowadził na scenę *Damę kameliową*, sprawił, sam nie wiedząc o tém, smutny przewrot w tradycyach teatralnych. I kędyż jest młody autor, który uszczknie prosty fiołek i jednym rzutem zmieni na długo oblicze sztuki dramatycznéj.“ *Exoriare aliquis!*

Jak zwykle przed końcem roku, pomniejsze teatra paryzkie dają humorystyczno-dramatyczne przedstawienia, zwane przeglądami. Jeden z tych przeglądów w teatrze Château d'Eau, pobudził do śmiéchu cały Paryż.

Są wyrazy, których nadużywać się nie godzi, a których Francuzi w rzeczy saméj zbyt często nadużywają. Do tych należy wyraz: wolność. Niedawno teatr St. Martin przedstawiał melodramat pod tytułem: *Wolni*; bohatérem jego sławny Lambro, dowódzca Suliotów w wojnie greckiéj. Sztuka ta niezbyt udatna znikła nie zadługo z afiszu, ale Sulioci ukazali się znowu w przeglądzie teatru Château d'Eau.

Dumaine jeden z koryfeuszów melodramatu, rodzaj szekspirowskiego Fallstafa, wpada na scenę z oddziałem żołniérzy greckich; wszyscy krzyczą razem: „Wolni! wolni!“

Długo rozprawia Dumaine, ilekroć wyrzecze wyraz: wolni, Sulioci podnoszą ręce w niebo i przerywają mu okrzykiem: Wolni!

Nagle przybiega Grek raniony śmiertelnie. Nie traćcie—woła—ani minuty, ani sekundy; do oręża! jeśli chcecie umrzéć wolni!

— Wolni!—odpowiada chór.

Na to Dumaine rzecze grobowym głosem:

— Przyjaciele! nie tracić nam ani minuty, ani sekundy, jeżeli chcemy umrzéć wolni!

— Wolni!—powtarza chór z uniesieniem.

— A więc—rzecze Dumaine—powiem wam bajkę o słowiku i jaskółce, bajkę tłumaczoną z greckiego wierszem wolnym.

— Wolnym!—przywtarza chór Suliotów.

Zaczyna bajkę. Za każdym wiérszem, kula niewidzialna, wymierzona z po za kulisów, godzi w nowego Suliotę. Za czém Dumaine dokończył bajki, żołniérze polegli do jednego.

— Trzeba mi pogrzebać tych zuchów—woła Dumaine i spostrzega woźnicę.

— Woźnico!—pyta—jestżeś wolny?

— Wolny!—krzyknie woźnica—podnosząc w niebo rękę z biczem.

Na to hasło trupy Suliotów zrywają się z ziemi i odpowiadają chórem: Wolni! wolni!

Wyborna to krytyka na tych, którzy, jak to szczególniéj zdarza się we Francyi, szafują wielkiemi słowami, nie rozumiejąc prawdziwego ich znaczenia!

Zmienia się przedmiot: dyrektor teatru siedzi w biurze swojém; oznajmiają mu, że trzy aktorki ubiegają się o piérwszeństwo w roli Agnieszki z Meranu.

— Niech przyjdą! radbym je posłyszéć.

I trzy panienki wchodzą razem, wszystkie ubrane jednakowo, jeden mają głos, też same rysy twarzy. Zaczynają po kolei wielką tyradę z drugiego aktu. Każde ich poruszenie jedno i toż samo, ich uśmiéch nawet jednakowy. Słowem najbieglejsze oko nie dostrzeże różnicy między niemi. Ostra to krytyka na metodę przyjętą w szkole dramatycznéj, która zabija indywidualizm i nie dozwala samodzielnie rozwijać się talentowi.

Inny obraz do łez poruszył widzów. Scena przedstawia pusty plac miasta na wschodnich granicach Francyi. Słychać na lewo oddalające się dźwięki trąb wojennych. Gdy te całkiem prawie umilkły, przybywa garstka ludzi, jeden do drugiego nie rzecze ani słowa. Spoglądają tylko na lewo, a widząc, że nie ma już nikogo na drodze, dają znak nowym przybyszom. Nagle od prawéj strony garnie się tłum i niebawem zapełnia scenę. Każdy w ręku trzyma wiązkę kwiatów lub gałązkę zieloną. Rozmykają się okna, z każdego powiewa trójkolorowy sztandar, a w oddaleniu na prawo słychać marsz wojskowy na inną odegrany nutę. Muzyka przybliża się. W chwili, kiedy dowódzca oddziału występuje ze szpadą podniesioną do góry, zasłona spada w najgłębszém milczeniu. Na scenie nikt nie rzekł słowa, żaden okrzyk, żadna pieśń, nie dały poznać, o co idzie. Publiczność zrozumiała alluzyą, odpowiedziała grzmiącym oklaskiem. Ustęp ten łatwo zgadnąć. nosił tytuł: *Libération du sol.*

Zakończyły widowisko żywe obrazy, odtworzone z najcelniejszych dzieł sztuki, podziwianych na tegorocznéj wystawie. Podobała się szczególnie grupa *Matki z dziecięciem*, z obrazu Bonnata i *Ostatai strzał*, z obrazu Neuvilla.

Francuzkie ministeryum oświecenia publicznego, ustanowiło kilka miesięcy temu w Rzymie kolegium wyższych nauk archeolo-

gicznych. Nowa szkoła rokuje bogate plony; metropolia bowiem starożytnego świata, posiada wspaniały zbiór pomników, zdobytych niegdyś zwycięzkim orężem. Młodzi erudyci, przygotowani w tym zakładzie, wysyłani będą następnie do Grecyi, gdzie, jak wiadomo, Francya ma oddawna podobną szkołę archeologiczną w Atenach.

Owa szkoła ateńska pod dyrekcyą sławnego archeologa Burnoufa wielkie już położyła zasługi. Jéj uczniowie odkryli we wnętrzu ziemi mnóstwo zabytków cywilizacyi greckiéj, i co rok zbogacają świat naukowy nowemi zdobyczami. Niedawno oto jeden z nich uczony Lebeque, nadesłał do Paryzkiéj „Akademii Napisów," rozprawę o wykopaliskach w Delos; dzięki jego zabiegom odkrytą została świeżo sławna świątynia Apollina Cyntyjskiego, oraz dwie inne świątynie, Jowisza i Minerwy. Inny uczeń pan Ruel, nadesłał uczoną dysertacyą o starożytnych portach Grecyi i o szańcach otączających Pireum. Trzeci nakoniec, pan Rayet, odkrył świeżo w Azyi Mniejszéj prawdziwe skarby archeologiczne. Przywiezione właśnie przez niego posągi i płaskorzeźby z Miletu, Heraklei i innych równie słynnych miejscowości, wzbogacą niezadługo starożytne muzeum Luwru. Ważne te poszukiwania dokonane były nakładem Rotszyldów, którzy zdobyte pomniki ofiarowali na rzecz narodową.

W chwili, gdy to piszemy, dowiadujemy się, że na posiedzeniu akademii napisów, sekretarz odczytał list pana Bournouf do ministra oświecenia publicznego, w którym oznajmia odkrycie starożytnego cmentarza naprzeciw królewskiego pałacu w Atenach, jak niemniéj ślady odwiecznych murów, które opasywały niegdyś miasto. Odkryte grobowce zamykają w sobie nadzwyczaj ciekawe przedmioty; między innemi urny rzeźbione dłutem z czasów najświetniejszéj epoki. W sarkofagach niewieścich znaleziono trzy srebrne zwierciadła i puszkę różu wybornie zachowaną.

Rozdzierający to był widok dla Paryża, kiedy Wiktor Hugo siedmdziesięcioletni starzec, pochylony pod ciężarem lat i boleści, odprowadzał w ostatnich dniach grudnia na cmentarz zwłoki ostatniego syna swego. Z trojga gorąco ukochanych dzieci wielkiego poety, przed laty dwudziestu umarła jedyna córka, opłakana łzami ojca i rzewną jego pieśnią; trzy lata temu po klęskach Francyi skonał starszy syn Karol: dziś nieszczęśliwy ojciec rzucił garść ziemi na oczy Franciszka.

Zmarły Franciszek Hugo znany w literaturze, godnie nosił imię, jakie przypadło mu udziałem. Zawód pisarski rozpoczął od dzieła p. t. *Normandya nieznana:* jestto ciekawa monografia wyspy Yersey, gdzie długo przemieszkiwał z rodzicami. Po tém pierwszém wystąpieniu idąc za zdaniem ojca, że przekład arcydzieł wzbogaca literaturę narodową, zabrał się do ważnéj pracy przekładu dzieł

Szekspira. Tłumaczenie to uznane za najlepsze ze wszystkich, jakie wykonane były we Francyi, dało poznać Francuzom całe bogactwo Szekspirowskich dramatów.

Franciszek Hugo nie poprzestał na sumiennym i wiernym przekładzie utworów mistrza. Badał on niemniéj stare kroniki, z których wielki dramaturg brał osnowę do swych arcydzieł, przerabiając je po swojemu. Do każdéj sztuki przełożonéj dodawał jako wstęp najdokładniejsze studyum, pełne ciekawych spostrzeżeń, rzucające nowe światło na przedmiot.

Po wydaniu dzieł Szekspira w dwunastu wielkich tomach, tłumacz zachęcony powodzeniem, rozpoczął inną, niemniéj ważną pracę: postanowił przyswoić literaturze francuzkiéj utwory przedszekspirowskich dramaturgów. Przekład Fausta z Marlowa był piérwszym owocem téj ledwie rozpoczętéj a tyle rokującéj pracy, którą śmierć przerwała zbyt wcześnie.

Pan Bonhomme ogłosił drukiem korrespondencyą panny Teofili de Fernig, adjutanta generała Dumourier z obszerną przedmową i przypisami. W czasach wojen Rzeczypospolitéj, kapitan Fernig dowodził kampanią ochotników, dwie córki jego Felicyta i Teofila walczyły pod ojcowskim sztandarem. Młodsza z nich przeszła wkrótce do sztabu generała Dumourier. Listy jéj pisane do krewnego Teodora Audeval, oficera wielkiéj armii, składają cały tomik. Znajdujemy w nich opis awanturniczych przygód śmiałéj amazonki, tak na polu bitwy, jak przez długie lata wygnania; w niczém jednak nie przyczyniają się do rozświetlenia epoki, znanéj dokładnie z licznych pamiętników. Literacka wartość listów bardzo mała. Gdyby panna Fernig służyła w sztabie Dumouriera w epoce dawniejszéj niż tylokrotnie opisane wojny Rzeczypospolitéj, gdyby dzieliła poprzednie jego wyprawy, listy jéj lubo nieudolną kreślone ręką, miałyby zwłaszcza dla nas wielką prawdziwie doniosłość.

Towarzystwo jeograficzne paryzkie odbyło doroczne posiedzenie: zagaił je admirał de la Roncière le Nourry prezes Towarzystwa, wspomnieniem poprzednika swego zmarłego Chasseloup-Laubat, poczém sekretarz Maunoir odczytał roczne sprawozdanie z prac Towarzystwa i w ogólności z postępu nauk geograficznych w ciągu roku 1873.

Rozprawa ta wypowiedziana z wielkiém życiem, zadowoliła wszystkich, tak uczonych specyalistów jak i mniéj przygotowaną publiczność. P. Maunoir oprowadzał słuchaczów swoich po całéj kuli ziemskiéj: to zapuszczał się w lody bieguna północnego z Hallem

i Nordemskildem; to w głąb Azyi środkowéj, w ślady Garniera, Ney-Eliasa i Fedczenki; to w skwarne pustynie afrykańskie z Nachtigalem, Poncetem, Schweinfurtem i Beckerem; to do Australii, Nowéj-Gwinei, Ameryki północnéj i południowéj, z innymi podróżnikami: wskazał nakoniec postęp nauki kartograficznéj w rzomaitych krajach świata.

Następnie pan de Rivoire w słowach pełnych zapału oddał cześć zasługom zmarłego Juliusza Poncet i jego poprzedników, którzy jak on poszukiwali źródeł Nilu. Zakończył posiedzenie p. Simonin: mówił on w zajmujący sposób o handlowych wyprawach Włochów w średnich wiekach i stosunkach ich z najdalszym Wschodem. „Co było, będzie znowu!“—dodał mówca— i na dowód ukazał nową pracę Lessepsa, plan drogi przez Azyą środkową, zdeptaną już siedmset lat temu pochodami włoskich karawan. Lokomotywa zastąpi dziś wielbłądy, bepieczeństwo otoczy podróżników wystawionych niegdyś na tysiące najsmutniejszych przygód, a Zachód poniesie na wschód nie stropy, pełną cywilizacyą, w zamian za piérwsze brzaski, jakie mu ztamtąd zaświtały.

Grzmot oklasków na cześć Lessepsa świetnie zakończył posiedzenie.

W grudniowym zeszycie Biblioteki Warszawskiéj wyczytaliśmy korrespondencyą p. Léger. Autor *Świata słowiańskiego* zarzuca nam nieznajomość francuzkiego języka i na dowód cytuje wyjątek ze słownika Littre'go. Nie samego tylko autora kroniki, pomawia p. Léger o nieuctwo; zarzut ten dotyka zarówno i ogół czytelników polskich: tak bowiem tylko tłumaczyć można śmiałość, z jaką przytacza tu słowa Littre'go świadczące zupełnie za nami.

Gdyby to oskarżenie pochodziło od piérwszego lepszego belletrysty, moglibyśmy zostawić je bez odpowiedzi; ale pamiętajmy iż p. Léger był wice prezesem towarzystwa lingwistycznego w Paryżu. Musimy więc wobec takiego antagonisty oczyścić się z zarzutu wyjaśniając rzecz bliżéj.

Pan L. podnosi cytacyą Littrego: *Traian cherchait le mérite modeste*; ale w cytacyi téj przymiotnik idzie po rzeczowniku, co zupełnie rzecz zmienia. Przymiotnik przed rzeczownikiem w francuzkim zwłaszcza języku, nadaje mu cechę ujemną; niekiedy nawet przeistacza całkiem jego znaczenie: weźmy naprzykład *bon homme*, *un homme bon*; *sage-femme*, *une femme sage* i t. p.

Co więcéj, wyrażenie *modeste* zastosowane do człowieka inne ma znaczenie niż gdy się stosuje do rzeczy lub idei. Skromność jest niewątpliwie cnotą w człowieku, bo człowiek obdarzony wolną wolą, gdy chce może być pysznym; jeśli nim nie jest, ma zasługę. Inaczéj ma się rzecz, gdy mówimy o skromnych zaletach człowieka.

Trajan szukał zasługi skromnéj, to jest nie szukał blasku; ale żaden historyk nie wyrzekł, jakoby skromne były zasługi Trajana.

Weźmy istotne znaczenie wyrazu *modeste;* pokrewne mu wyrazy *moderé, modique, mediocre* wybornie go określają; wszystkie malują średniość a nawet niższość. Powołujemy się tu na p. Littré; oto jego własne określenie na téjże saméj stronnicy, którą przytacza p. Léger. „*On dit modeste: en parlant des choses mediocres, simples sans eclat...*“ (Używamy wyrazu *skromny*, gdy mówimy o rzeczach miernych, prostych, bez blasku).

Poprzestajemy na tém określeniu, idźmy do konkluzyi.

Uczony professor Chodźko, znakomity tłumacz poezyi nowogreckich, autor pierwszéj gramatyki perskiéj, może być z charakteru i z woli własnéj, człowiekiem najskromniejszym w świecie; tém wyżéj podnosi to jego zasługę, bo jak wyrzekł Bossuet a przytoczył Littré: „*L'univers n'a rien de plus grand, que les grands hommes modestes.*“ (Świat nie zna nic większego, nad wielkich ludzi skromnych). Ale ta właśnie skromność professora Chodźki, nie upoważnia nikogo, a témbardziéj tego, *kto się mieni jego uczniem*, aby głęboką jego naukę, określać nazwą skromnéj erudycyi.

Sprawiedliwość każe nam dodać, że p. Léger który w swoim *Świecie słowiańskim* tak się oburza na prawodawczą izbę francuzką, na senat, na ministeryum, za zmianę tytułu: Katedry *języka i literatury słowiańskiéj* w *College de France*, na tytuł: *języków i literatur słowiańskich*, sam przecież w ogłoszeniu prywatnego kursu, który wykłada w tym roku przy ulicy de Lille, użył nie pierwszéj, ale ostatniéj denominacyi.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Estetyka D-ra Karola Lemckego, prof. szkoły sztuk pięknych w Amsterdamie. Podług 4-go wydania oryginału niémieckiego, przełożył Bronisław Zawadzki. Z 58 rycinami. Dwa tomy. Lwów 1874.

W r. 1865, młody docent uniwersytetu Hajdelbergskiego i zarazem poeta pieśni ludowych Karol Lemcke wydał dzieło p. t.: „Populäre Aesthetik.“ Dzieło to zrazu nie znalazło wielkiego uznania u ludzi fachowych. Zarzucano mu brak systematycznego wykładu, brak ścisłych

definicyi i logicznego rozwoju przedmiotu. Przyznano jednak potoczystość i piękność wykładu. Ztémwszystkiém dzieło to doczekało się w przeciągu ośmiu lat czterech wydań i nadto sprawiło, że autor powołanym został do zajęcia katedry estetyki w znanéj szkole sztuk pięknych w Amsterdamie. Dziś, gdy professor innemi, ściśle naukowemi pracami z dziedziny estetyki i historyi sztuki, zjednał sobie dobre imię w nauce, krytycy i na jego dzieło pypularne patrzą z innego stanowiska. Widzą, że jego popularne wywody. mają za podstawę ściśle naukowy pogląd na piękno i jego objawy, że wiele trudnych kwestyj estetycznych rozbiera jasno, przystępnie i objaśnia licznemi przykładami, zaczerpniętemi z historyi sztuki: jedném słowem, że dzieło Lemckego jest estetyką naukowo-popularną w najlepszém znaczeniu tego słowa. Piękny przekład tego dzieła na język polski, dokonany przez p. B. Zawadzkiego, stanowi bardzo pożądany nabytek dla naszéj literatury, która, oprócz znanych dzieł Libelta i Kremera, nie posiada żadnych prac donioślejszych w zakresie estetyki. Należy téż pochwalić, że tłumacz wybrał do przekładu nie jakąś estetykę ściśle naukową, lecz dzieło naukowo-popularne. Ściśle naukowe estetyki niemieckie, napisane są zawsze w duchu pewnéj szkoły filozoficznéj; są specyalném rozwinięciem zasad tego lub owego systematu filozoficznego; z téj przyczyny podobne dzieła, mogą mieć istotną wartość dla tych, którzy obeznani są dokładnie z najnowszym rozwojem nauk filozoficznych. Zastęp zaś podobnych specyalistów, u nas jest bardzo szczupły, a prócz tego do niego należą zwykle uczeni, znający o tyle obce języki, że się obejść mogą bez tłumaczeń dzieł, dotyczących ich specyalności. Tłumaczenia mają na oku nieuczonych specyalistów, lecz dyletantów w naukach i profanów, tak zwanych ogólnie wykształconych, a ci zwykle nie wdają się w żadne subtelności naukowe i filozoficzne, nie czytają obcych dzieł w celach naukowéj krytyki, lecz pragną oświecić swój umysł i nauczyć się czegoś nowego. Dla nichto potrzeba dzieł naukowo-popularnych, rozwijających dany przedmiot jasno, przystępnie i pouczająco, bez drobiazgowego wykładu wszystkich naukowych szczegółów. Prawda, że o podobne dzieła naukowo-popularne, w których przystępność wykładu nieuwłaczałaby godności nauki i jéj wymaganiom, bardzo trudno. I w zakresie estetyki podobne dzieła są rzadkością. Estetyka zaś Lemckego należy do rzędu takich dzieł wyjątkowych; potrafiła ona w sposób jak najszczęśliwszy zjednoczyć piękność i przystępność wykładu, z dokładnością i gruntownością w rozwinięciu zasadniczych pojęć i teoryj estetycznych. Żeby dać czytelnikowi jasne pojęcie o charakterze dążności i treści tego pięknego dzieła, przytoczymy tutaj niektóre wyjątki.

Tłumacz sam charakteryzuje to dzieło bardzo trafnie w sposób następujący: „Dzieło Lemckego, mówi w przedmowie, jest w całém pierwotném znaczeniu słowa estetyką, t. j. nauką o *patrzeniu na świat*. Opierając się na wrodzonych uczuciach piękna, dobra i prawdy, wysnuwa autor széreg praw estetycznych, za których wskazówką dopatrzéć się zdołamy w łupinie zjawisk przelotnych i przypadkowych, jądra wie-

czystéj prawdy i wieczystego piękna. Nie o spekulacye uczone chodziło tu autorowi, ale o życie. Wskazuje on i objaśnia cały świat wrażeń od cichego wrzosu, co przebywa swój żywot bez celu, aż do kopuły Brunelleschiego, która podaje echo sztuki wiekom. Naprawia on i prostuje nasze poznanie i uczucie." Co do stanowiska naukowego, estetyka Lemckego ma na celu zająć miejsce pośredniczące pomiędzy idealizmem, pielęgnowanym głównie w Niemczech i realizmem, stanowiącym charakter estetyki francuzkiéj. Idealizm, jakkolwiek „wysnuł i ustanowił najgłębsze podstawy estetycznéj wiedzy," z tem wszystkiém jednak „nie troszczył się o świadectwo natury na potwierdzenie swych doktryn," Pozytywizm zaś „oparł estetykę jedynie na zmysłach i poza piękną formą dzieł sztuki, po za kształtem i barwą obrazu, nie chciał dopatrzéć idealnego zapłodnienia." „Ztąd, mówi daléj tłumacz, przepaść. Książka Lemckego chce być pośrednikiem."

Pierwszy tom całego dzieła, rozpada się na dwie części: 1-sza *Pojęcie i zakres estetyki*, 2-ga *Piękno w naturze*. W części pierwszéj, oprócz historycznego rozwoju pojęcia, zadania i metody estetyki, napotykamy bardzo ciekawy rozbiór uczuć estetycznych, szczególniéj uczucia *piękna*, *wzniosłości*, *tragiczności i komiczności*. Wyczerpującéj definicyi i systematycznego rozwinięcia pojęcia piękna, estetyka Lemckego wprawdzie w sobie nie zawiera, ale za to opisuje uczucie piękna w sposób tak charakterystyczny i rozwija różnorodne warunki piękna tak jasno i przystępnie, że czytelnik bezpośrednio odczuwa wszystkie pierwiastki estetyczne, wchodzące w jego skład i odtwarza takowe w swoim umyśle. *Piękno jest ideą w zjawisku*, *jest wolnością w porządku*, *jednością w wielości*, *harmonią istoty i zjawiska*, *treści i formy*, *ideału i rzeczywistości*, jest wyrazem *charakterystycznym* zjawiska, oto różne orzeczenia piękna, które autor szczegółowo rozwija, chcąc dać czytelnikowi jasne pojęcie o pełni różnorodnych warunków prawdziwego estetycznego upodobania. Jest to, według nas, postępowanie bardzo trafne, odpowiadające szczególniéj celom dzieła popularnego, gdyż takim sposobem czytelnika wprowadza się bezpośrednio do wspaniałego przybytku piękna, bez wymagania, aby poprzednio suszył sobie głowę nad oderwanemi definicyami.

Obszerny opis *piękna w naturze* i jego objawów charakterystycznych tak w świecie nieorganicznym (ruch, dźwięk, światło, powietrze, ogień, woda, ziemia), jako też w świecie organicznym (roślinność, królestwo zwierząt, człowiek, historya), stanowi jednę z najciekawszych i najbardziéj pouczających części całego dzieła. Podzielamy w tym względzie zupełnie zdanie tłumacza, który mówi, że te ustępy dzieła, mają wartość nieocenioną, gdyż przechodząc szczegółowo wszystkie formy stworzenia, uczą nas, jakiém okiem należy na nie patrzéć, jakie z ich widoku wynosić uczucia. Rozdziały te mają nadto wielką doniosłość praktyczną dla każdego miłośnika piękna, szczególniéj zaś dla poetów i artystów wszelkiego rodzaju. Rozdziały te uczą, jak należy dopatrywać piękna w każdém zjawisku, dają nam nader ważne

wskazówki psychologiczne, jakie wrażenia i uczucia estetyczne, łączą się z pewnemi zjawiskami i kształtami przyrody. Świadomość ta zaś jest jednym z koniecznych warunków wywołania zawsze takich efektów, jakich potrzeba dla dopięcia różnorodnych celów artyzmu.

Oto przykład potwierdzający te słowa. Estetyczną stronę światła Lemcke charakteryzuje w następujący piękny sposób (I, 117): „Przypatrzmy się niektórym rodzajom światła. Noc gwiaździsta! Świat owinięty pomroką, ale tam na górze haft świetlany. Srebrzyste powieki gwiazd wabią nas ku sobie. Od ciemnéj ziemi podnosi nas tęsknota ku światłu, wlewając pociechę, że noc straszliwa nie opanowała przecież wszystkiego, że jest gdzieś jeszcze światło i radość życia. Światło jednak, tam w górze, rozproszyło się na tysiące gwiazd. To rozrywa nas; rozpływamy się. Skupienie ducha ustąpiło; owłada nami usposobienie łagodne, rzewne, które pod drżącym blaskiem gwiazd stałych, nabiera jeszcze miękkości i nieokreśloności. Od ciemnéj nędzy życia odwracamy się, kąpiąc duszę w błogości niebieskich pociech, które nam płyną z wniosłéj nieskończoności przestworów. Dlatego ludom wszystkich czasów, noc gwieździsta wydawała się czémś piękném i świętém, dlatego spoglądał człowiek zawsze ku gwiazdom z tęsknotą i błogą nadzieją. Coś jednak więcéj, aniżeli urok światła spływa ku nam ztamtąd: oto nieskończoność, którą widzimy; rzesza światów niezmierzona, nieobjęta nawet dla wyobraźni. Wzniosłość przejmuje świętym dreszczem. Nawet myśl o niéj wydałaby się chaosem, gdyby tam wszystko nie miało swych dróg zakreślonych, i gdyby harmonia i porządek wszechświata, uczucia trwogi nie zmieniały w uczucie bozkiéj wzniosłości. Tylko kometa nas przeraża, psując napozór ład niebieski i rodząc przypuszczenie, że może kiedyś dzień nadejdzie, w którym porządek bozki rozchwieje się, a samowola i chaos opanują wszechświat. Stałe planety więcéj w nas budzą skupienia i spokoju. Ciągnie nas ku nim już nie jakaś rozpływająca się, bojaźliwa tęsknota, ale cichy, spokojny, łagodny polot duszy. Tém silniejszym on bywa w świetle *księżyca*. Wzrok nasz zwraca się w górę ku wielkiemu, niebiosom władnącemu ognisku, które płonie spokojném, omgloném światłem. Noc i dzień spływają się, blask powłoczysty osiada mgłą osrebrzoną na niebie i ziemi. Uczucia światła i mroku łączą się: tu zmierzch z głębokim rysunkiem cieniów, tam promienne oko niebios. I my się rozpływamy wówczas w powodzi uczuć i rozmarzenia. Noc przeszła. Księżyc i gwiazdy bledną. Zmierzch poranny, niepewnością swojego światła fantastyczny, oblewa ziemię. Na niebie jawią się pierwsze jaśniejsze zwiastuny dnia. Szerzy się pragnienie tego, co ma nadejść. W całéj naturze czuć oddech rozbudzenia. Kwiaty, które w nocy zamknęły swe kielichy, otwierają je. Zwierzęta zaniepokojone, szczególniéj drużyna powietrzna, ptaki. Wszystko wita poranek tonami swéj mowy. Wiatr nawet cuci się z drzemki i z chłodu nocy wyciąga ramiona ku ciepłym tchnieniom poranku. I tak wśród głośnéj radości stworzenia, wschodzi napowrót promienne światło życia. Trwoga ustępuje. Światło słońca

jest ciągłą dźwignią życia. Świecąc jednak za jasno, za jaskrawo, drażni zbytecznie, dając się uczuć dotkliwie nieumiarkowaném wytężaniem naszych nerwów. Rozpraszając zaś wszelką ciemność, ma pewne pokrewieństwo ze siłą rozumu. Okazuje wszystko w kształtach jasnych, pewnych; niczemu nie da się w mgle rozpłynąć, nie każe nam domyślać się, zgadywać, śnić, przeczuwać. Tak pozbawia wszelkiéj czynności wyobraźnią, a budzi trzeźwy pogląd i pracę myśli."

Tom drugi obejmuje trzecią część całego dzieła, traktującą o *sztuce.* Sztukę autor określa, jako *uzmysłowienie ideału*, t. j. tego co w zjawisku jest wieczystą prawdą i koniecznością. Dzieli ją na dwie główne grupy: na sztuki niższe czyli *techniczne*, i sztuki wyższe czyli *piękne.* Sztukom technicznym, t. j. właściwie rzemiosłom estetycznym, poświęca osobny, bardzo zajmujący rozdział, który rozwija szczegółowo myśl, że piękno wprowadzać należy wszędzie, a przedewszystkiém w samo życie; że wszystkie rzemiosła, wyrabiające przedmioty, które stanowią nasze najbliższe otoczenie, jako to garncarstwo, stolarstwo, ślusarstwo, przedewszystkiém zaś krawiectwo, dążyć powinny do połączenia pożytku z dobrym smakiem zadosyćuczynienia warunkom estetycznego upodobania. Wymaganie bardzo sprawiedliwe, któremu jednak dotąd starała się zadość uczynić jedna tylko Francya, lecz w sposób niezadawalający zawsze prawdziwy zmysł piękna, jak to pokazuje moda francuzka, grzesząca tak często manierą i przesadą. Do sztuk wyższych, autor zalicza znane sztuki piękne: architekturę, rzeźbę, malarstwo, muzykę i poezyą. Teoryą każdéj z tych sztuk, autor przedstawia w sposób jasny, piękny, przystępny, i jak na dzieło popularne dość dokładnie. Najobszerniéj opracowana poezya, dla któréj autor, będąc sam poetą, okazuje szczególne zamiłowanie. W naszéj publiczności obudza bezwątpienia szczególny interes teorya malarstwa, muzyki i poezyi. Ta ostatnia, będąc ogólną podstawą uczucia estetycznego, zajmuje bardzo ważne miejsce w rzędzie środków estetycznego wykształcenia młodzieży obojéj płci. W tym celu możemy zalecić naszéj publiczności naukę poezyi, wyłożoną w estetyce Lemckego, a to najprzód dlatego, że nauka ta zawiera w sobie piękny wykład głównych gatunków poezyi, wraz z charakterystyką najznakomitszych utworów poetycznych; daléj dlatego, że tłumacz bardzo zręcznie zastosował ten wykład do naszych potrzeb, doborem pięknych przykładów z poetów polskich: wreszcie dlatego, że oprócz dzieła Cegielskiego, które jednak już się nieco zestarzało, nie posiadamy żadnéj dobréj teoryi poezyi. Nowsze prace w tym kierunku, są tylko bardzo nieudolnemi przeróbkami Cegielskiego. W wykładzie innych sztuk pięknych estetyki Lemckego, zasługują na szczególną uwagę: historyczny rozwój stylów architektury, jasny wykład estetycznych zasad malarstwa, wreszcie bardzo trafna i pouczająca charakterystyka różnorodnych materyałów i narzędzi muzykalnych, począwszy od ludzkiego głosu.

Piękne wydanie dzieła, ozdobione wybornemi rycinami, odpowiada w zupełności jego treści estetycznéj.

W. W. W.

Wykład ekonomii społecznéj przez D-ra Leona Bilińskiego, professora nauk politycznych przy Uniwersytecie Lwowskim. Tom II, Lwów. Nakładem autora.

Tom I-szy wyżéj wymienionego dzieła wyszedł we Lwowie przed kilką miesiącami. Jakkolwiek nie był on rozbieranym w Bibliotece Warszawskiéj, wspomnimy o nim tylko w kilku słowach, gdyż szczegółową jego ocenę podaliśmy w inném piśmie, moglibyśmy więc tu powtórzyć tylko uwagi tam zrobione.

Tom I poświęcony był części teoretycznéj ekonomiki; autor dał w nim streszczenie najnowszych wyników badań na tém polu, czerpiąc swe wiadomości bezpośrednio ze źródeł. W ostatnich czasach nastąpił w nauce ekonomiki przełom stanowczy, autor poszedł za kierunkiem nowszym. W chwilach reformowania pewnéj nauki zdarza się często, że burzą jéj podstawy dawniejsze, nie zawsze stawiając nowe na ich miejsce. To samo powtarza się nieraz przy dzisiejszém zrywaniu z dawnemi tradycyami ekonomicznemi. Wyraziliśmy zdanie, że p. Biliński nie zawsze wolnym jest od tego zarzutu, a za dowód przytoczyliśmy to co mówi o cenie. Zbija on twierdzenie jakoby stosunek podaży i popytu rozstrzygał zawsze o wysokości ceny, ale nie podaje dlaczego wpływ modyfikujący wywierają w jednym wypadku koszta produkcyi, w drugim reprodukcyi, to znow użyteczność przedmiotu i t. d.; nie bierze pod uwagę, że tworzenie się pojęcia o wartości pewnego przedmiotu i jego cenie jest operacyą czysto duchową, że nie tylko natura przedmiotu ale i nasz cały rozwój duchowy, na oznaczenie wartości tegoż przedmiotu, wpływ wielki wywrzeć może.

Zarzut ten odnosi się także do kwestyi z nauką o cenie w ścisłym związku zostających, jak co do zarobku i t. d.

Zrobiliśmy w dalszym ciągu ogólną uwagę, że niesłusznie pominiętemi zostały źródła obce; powstały wskutek tego niekiedy niedokładności, jak to staraliśmy się wykazać przy rozbiorze nauki o walucie mięszanéj, gdzie nie zostało uwzględnione zapatrywanie Wołowskiego, będącego jednakże powagą w tych materyach.

Wyraziliśmy wreszcie pewne wątpliwości co do sposobu, w jaki pan B. usystematyzował swój przedmiot. Z przyjemnością wyczytaliśmy w przedmowie do tomu II, że autor uznał niektóre z naszych uwag za niezupełnie niesłuszne. Tom II zajmuje się kwestyami wielkiéj praktycznéj doniosłości. Rozebraną w nim jest kwestya robotnicza, kwestya stowarzyszeń, towarzystw przedsiębierczych, wreszcie znajdujemy w nim naukę o bankach.

Autor miał sposobność studyowania z blizka zgubnych następstw nierozsądnéj spekulacyi, która w dzisiejszych czasach głównie zwróciła się do wszelkich form, pod jakiemi występuje idea assocyacyi. Przytacza w tym także tomie bardzo wiele ciekawych danych co do ostatniego przesilenia finansowego w Wiedniu. Szuka sposobów zapobieże-

nia na przyszłość podobnym katastrofom; sądzimy jednakże, że nie zawsze na właściwą drogę się zwraca. Tak na str. 39 mówi: „nie byłoby może od rzeczy, ażeby państwo poprostu wzbroniło wszelkiéj gry na dyferencyą, i nietylko, jak dotychczas, odmawiało pretensyom z gry téj prawa egzekucyi, lecz (ponieważ tamto nie starczyłoby) karami zagroziło graczom.“ Zakaz taki byłby niewykonalnym; upozorować grę giełdową byłoby bardzo łatwo. Nieoględna spekulacya ma przyczyny głębsze, cały ustrój społeczny ją wyradza; chwyta się ostatnich wyników, nie starając się o umoralnienie społeczeństwa; byłoby niebezpiecznem dla państwa i dla całego gospodarstwa krajowego, gdyż kapitały wyszłyby za granicę, gdyby zakaz był skutecznym; w większéj jednakże liczbie wypadków, wszelkie utrudnienia byłyby obchodzone i gra giełdowa témby była zgubniejszą, im bardziéj potajemnieby się odbywała. Wybuch takiego przesilenia jest strasznym dla tych, których dotyka, ale dla całego gospodarstwa społecznego jest tém, czém burza dla okolicy przez którą przechodzi; pozostawia po sobie w niektórych miejscach smutne ślady, ale oczyszcza na czas jakiś powietrze. Tak i w gospodarstwie, pewnego kraju przesilenie usuwa mnóstwo fikcyjnych wartości, które im dłużéj krążą, tém więcéj szkodzą ogółowi; na przyszłość zaś ostudza gorączkę spekulacyjną. W kwestyi banków autor przeciwny jest wolności emissyi banknotów; na zdanie to i argumenta przytoczone na jego poparcie zgadzamy się w zupełności; możność zalania kraju banknotami najróżnorodniejszych banków, których bilansów publiczność dokładnie znać nie może, jest wolnością bardzo korzystną dla założycieli banku ale nie dla ogółu; zresztą bank centralny przez zakładanie filii może zadość uczynić potrzebom danéj okolicy.

Przy rozbiorze materyi o bankach znajdujemy na str. 74 zdanie, na które zgodzić się nie możemy. Autor powiada: „Wielkie klęski grożą społeczeństwu, skoro massa pieniądza papierowego pomnoży się po nad potrzebę gospodarstwa społecznego. Przedewszystkiém bowiem kruszec w takim razie zaczyna uciekać za granicę w tym samym stopniu, jak staje się zbędnym w obec noty, która żadną miarą nie mogąc posiadać kursu za granicą, musi koniecznie szukać pomieszczenia w kraju. Gdy już tym sposobem kraj ogołoci się z kruszcu, to jest z właściwego pieniądza, wówczas dalsze mnożenie not obniży wartość takowych, zatém wzniesienie ceny wszystkich towarów ku strapieniu ogółu konsumentów. A gdy wreszcie nota (czy to rządowa, czy bankowa) otrzyma od rządu kurs przymusowy, to ceny towarów muszą urość jeszcze bardziéj, szlachetny zaś kruszec da się z zagranicy przywabić jedynie wysoką nadwyżką w cenie po nad nominalną swą wartość.“ Usunięcie się kruszcu z kraju nastąpi tylko wtenczas, gdy banknoty będą miały zapewniony kurs przymusowy. Bez tego wszelkie bilety bankowe reprezentować tylko będą kruszec i będą miały wartość o tyle, o ile w każdéj chwili na kruszec będą mogły być wymienione.

W materyi kredytu ziemskiego, nie sądzimy z panem B. ażeby względy praktyczne przemawiały za bankami hypotecznemi a przeciw

stowarzyszeniom. Zgadzamy się na zdanie pana B., że towarzystwo akcyjne skuteczniéj działać może aniżeli stowarzyszenie, o ile idzie o ubezpieczenie od klęsk; zakres działań w tym razie jest różny niż przy udzielaniu kredytu ziemskiego, idzie wtedy o niezamykanie obrotu kapitałów w pewnéj ciasnéj sferze; pożar lub gradobicie dotknąć może znaczną ilość osób sąsiadujących z sobą: jeżeli one wszystkie są stowarzyszone, to zdarzyć się może, że stowarzyszenie to nie będzie w stanie spełnić swych zobowiązań. Względy te ustają, gdy idzie o kredyt ziemski, a jedna stanowcza okoliczność zdaniem naszém przemawia przeciw bankom hypotecznym; dążą one do tego, by kapitały wziąść jak najtaniéj, wypożyczyć je jak najdrożéj, wpłynąć więc mogą na podniesienie stopy procentowéj przy pożyczkach hypotecznych. Stowarzyszenie dłużników zaś do osiągnięcia zysków nie dąży. To co p. B. na obronę banków hypotecznych przytacza, kwestyi zdaniem naszém nie rozstrzyga. Małym rolnikom Towarzystwo kredytowe udzielać zarówno może pożyczek jak i bank hypoteczny, jeżeli te własności mają hypoteki urządzone. W przeciwnym razie, o kredycie ziemskim właściwie mowy być nie może. Na domy, stowarzyszenia dłużników mogą udzielać pożyczek, a dowodem tego istniejące w Warszawie Towarzystwo kredytowe miejskie. Udzielanie pożyczek na summy hypoteczne i uruchomianie w ten sposób własności ziemskiéj, da się zastąpić przez odpowiednie urządzenie prawa hypotecznego, jeżeli właściciel nieruchomości z hypoteką urządzoną, otrzymuje od zwierzchności hypotecznéj listy hypoteczne z oznaczeniem ich porządku na swoją własność, które dowolnie może zbywać i puszczać w obieg. Tak się dzieje od dawna w wielu kantonach szwajcarskich, w Bremie, a obecnie i w całych Niemczech. Trudnienie się lokowaniem kapitałów na nieruchomościach właściwie i w zakres banku hypotecznego nie wchodzi, może się tém zająć każdy inny bank. Powtarzamy wreszcie dwie uwagi, które w recenzyi naszéj o tomie I zamieściliśmy. Że przy rozbiorze podręcznika ekonomicznego iść nam nie może o zastanawianie się nad szczegółami, co do których różne zdania są możliwe, gdyż dojść można do różnych rezultatów, opierając się nawet na jednych podstawach. Uwaga druga jest zarazem życzeniem, ażeby przy następnych wydaniach, germanizmy, które często w obu tomach napotkać można, były usunięte. Zwracamy też uwagę autora na błąd na str. 54, który jest tylko widoczną pomyłką drukarską: wyraz „mniéj“ w piątym wierszu od góry, zastąpionym być powinien przez „więcéj.“ Mówimy o następnych wydaniach, gdyż na nie praca p. B. zasługuje. Wykład jest jasny, przystępny; autor dał dowody dokładnéj znajomości najnowszéj literatury ekonomicznéj, którą umiejętnie zużytkować potrafił. Oba więc tomy tego dzieła usilnie interesującym się tym tak żywotnym przedmiotem, a w szczególności młodzieży uniwersyteckiéj zalecamy.

Dr. K. Strasburger.

Rękopism Jana Głogowczyka.

Zwiedzając jeden klasztor, który z dawnéj świetności zachował tylko poważne mury, znalazłem na składzie nad kaplicami stos książek pokrytych kurzawą i pajęczyną. Było to kilkaset dzieł drukowanych z XV i XVI wieków, pomiędzy któremi uwagę zwrócił foliał rękopiśmienny oprawny w drzewo pokryte skórą. Na odwrotnéj stronie okładki przeczytałem: *Magistri Joannis Glogovien. sum.* Z pobieżnego przerzucenia kart dowiedziałem się, że kodeks zawierał kilkanaście dzieł treści matematycznéj i astronomicznéj różnych autorów, a pomiędzy niemi i prace samego Jana Głogowczyka. Dla przechowania téj jeszcze pamiątki działalności ojczystéj, zamierzyłem podać w krótkości opis kodeksu. Tom in folio zawiera kart nieliczbowanych 329, pismo piękne z końca wieku XV, pisane kilku odmiennemi charakterami; ostatnia data wspomniana jest r. 1497, papier z znakami wodnemi spółczesnemi, znanemi z ksiąg bibliograficznych Lelewela. Rysunki są liczne: niektóre kolorowane, jako to: widoki piramid, domów, wież i t. d.

Rękopism rozpoczyna się (kart: 1—65) dziełem stanowiącém niby wstęp do słynnych tablic króla Alfonsa:

Introductorium in tabulas Illustris Alfonsi romanorum et Castelle regis; kończy się zaś słowami:

Qualit. vero rotunde tabule form. d. eclipsibus aut hebreor: nunc causa brevitat. subside. sed in tractulo speciali de eclipsibus videat ne tamen alma Universita. Crac. tabular. comunes h. b. premissa sunt—proquibus deus gloriosus sit benedictus in secula seculor. Amen. Anno d. 1470 in vigilia s-cti Trinitatis.

Czy jest to dzieło Jana Głogowczyka czy innego autora, trudno dziś rozstrzygnąć; w każdym razie jak z wyrazów końcowych widać, było pisane dla szkoły głównéj krakowskiéj. Nawiasowo zaznaczymy że na początkowéj karcie powiedziano, iż za sporządzenie tablic król Alfons zapłacił fl. 1,000,000; Bayle podaje mniejszą sumę, tylko bowiem fl. 400,000; Vossius zaś (*De Scient. Mathem.* p. 180) zmniejsza i tę summę do fl. 40,000. Mając na względzie ówczesną wartość pieniędzy, sądzę że nasz uczony krakowski najdaléj odbiegł od prawdy. Następują potém (kart: 61—85): *Textus theoriarum Gerhardi Kremonensis* i Arytmetyka (kart: 85—134): to samo dzieło Jana Głogowczyka, które p. Żebrawski przytacza na str. 54: jest tu wstęp którego brakuje w rękopiśmie biblioteki krakowskiéj, sądząc z początkowych słów rękopismu podanych przez uczonego krakowskiego bibliografa. Dziełko kończy się słowami: *Et sic est finis Cracovie studio deus ergo est benedictus.* Zatém idą (k. 139—192): *Tractatus de Spera*; trzy dzieła Marcina Polaka, inaczéj Króla z Przemyśla czyli z Żurowicy; (o tém Królu wspomina p. Żebrawski str. 29):

a) *Modum arismetrar.* etc. *b) Tractatus proposicion. magistri Martini Regis. c*) Geometrya. Dzieła o Muzyce Jana de Mur; Wykład

trzech ksiąg Euclidesa; *Cognitio de pausis temporibus; Computus norimbergensis.* (a. d. 1473) i *Compotus philosophicus* zajmują k. 192—282.

Ciekawszemi są dla nas przedostatnie dzieła jako owoc pracy samego Głogowczyka (k. 282—307). Są to kalendarze przepowiadające wypadki na lata 1477 i 1478: piérwszy z nich ma początkową literę ozdobnie kolorowaną; widać tak z tego, jako i ze starannego pisma, że kalendarze te były przedmiotem szczególnego trudu i zabiegów naszego polskiego uczonego.

a) Cadencia eclipsis solaris partialis ut stellarum et siderum mundo inferiori impressa a. d. 1478 current. sup 17 gradu Leonis peracte per Maystrum Johannem de Glogovia majori pro honore dei famaque inclite universitatis studii Crac. comu. deniq. homin. utillitate feliciter prenosticata. Ustęp jeden poświęcony Polsce: *De statu incliti Regni Polonie racione Eclip. et gente sua. b)* Accidencia Stellarum a. d. 1477 currente in mundo inferiori nutu dei ventura pro honore dei famaque incliti studii famosissime urbis Cracovien. et communi hominum utilitate per M. Johanem de Glogovia major. sub compendio comportata.

Ostatni traktat nosi tytuł następujący:

Contingentia et accidentia ex stellis hoc anno dom. 1467 currente nutu dei ventura pro laude et honore dei et toc. celestis Jerarchia fama et incremento nominatissimi. studii Cracoviensis per M. Johem. Stercze de Qweisch comportata et tandem per prefatum magistrum solis 15 marcii in publico auditor. Collegii artistar. divulgata.

J. T. L.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Warszawa.* Styczeń 1874 roku. Najważniejszym objawem ożywionego ruchu handlu księgarskiego, jest *spółka wydawnicza księgarzy* warszawskich, którą zawiązały najpierwsze firmy naszego miasta, jak Gebethnera i Wolffa, Michała Glücksberga, Maurycego Orgelbranda, Gustawa Sennewalda i E. Wendego. Mamy już spółki ogłoszenie, w którém na początku czytamy:

„Prawdą jest niezbitą, że oświata prowadzi społeczeństwo do dzielności duchowéj i przyczynia się do podniesienia bytu materyalnego. Potężną zaś dźwignią oświaty jest literatura. Szybki rozwój nauk w ostatnich czasach u wszystkich prawie narodów, skierował literaturę na tory wiedzy ścisłéj, poważnéj. I u nas również jakkolwiek nieśmiało, cała działalność piśmiennicza, rozszerzając swój zakres, przybiera jednocześnie poważniejszy charakter; jednakże w obec przodujących cywilizacyi narodów, zostajemy jeszcze ciągle w położeniu brata młodszego względem starszych. Stanowisko takie nakazuje nam dążyć do samodzielności, a w dążeniu tém doświadczenie starszych jest najpewniejszą wskazówką. Zdaniem naszém, z poglądu na piśmiennictwo rodzime, wypływa dla pracujących na téj niwie, a zatém i dla wydawców zadanie: *przyswajać literaturze krajowéj dojrzałe owoce wiedzy i starać się własnemi siłami, własną pracą sprostać rozwojowi obcych piśmiennictw, a wyrobiwszy miejscowe siły, przeważnie na nie liczyć; nadto spożytkować te z istniejących już prac umysłowych, które się stały chlubą naszą, lub korzystnie się odznaczyły.*

Stanowisko nasze, jako księgarzy, daje nam ciągłą sposobność poznawania kierunku literatury i potrzeb umysłowych ogółu. Zaradzenie tym potrzebom, jest głównym celem zawiązanéj obecnie spółki wydawniczéj."

Położywszy sobie takie zadanie, spółka wydawnicza księgarzy, wyliczyła szereg dzieł, które już przygotowała i wkrótce wyjdą z pod prassy. Składają się one głównie z przekładów, zastosowanych do naglejszych potrzeb społecznych, obchodzących każdego myślącego czytelnika, czy to ziemianina, czy mieszkańca miejskiego. Oto szczegó-

łowy ich poczet: 1). Schlosser F. C., Historya XVIII i początku XIX wieku, 8 tomów. 2). Krasicki Ignacy, Dzieła. 3). Szekspir Wil., Dzieła dramatyczne, pod redakcyą J. I. Kraszewskiego. 4) Z Biblioteki Międzynarodowéj, wychodzącéj w Paryżu, Londynie i Lipsku: *a)* Tyndall Jan, Woda, jéj kształty i przeobrażenia, jako obłoki i rzeki, lód i lodniki; z oryginału przełożył Karol Jurkiewicz, prof. zwycz. Cesarskiego Warszaw. Uniwersytetu. *b)* Marey, E. J. (prof. w Collège de France). Machina zwierzęca, przenoszenie się zwierząt po lądzie i powietrzu, przełożył prof. Bronisław Znatowicz. *c)* Bagehot Walter, Przyroda i społeczeństwo, przełożył Herman Benni. 5). Wagner Rudolf, Technologia chemiczna, 2 tomy, przełożył prof. Grabowski. 6). Settegast, Chów zwierząt, przełożył Alex. Trylski. 7) Settegast, Nauka żywienia zwierząt, przełożył Ludwik Bogucki. 8) Heyden, Nauka o nawozach, przełożył Robert Brühl. 9) Baumeister, Chów trzody chlewnéj, przełożył Robert Brühl. 10) Z odczytów za granicą drukiem ogłaszanych: *a)* Oppenheimer D-r Z., Wpływ klimatu na człowieka. *b)* Bohn, Szczepienie ospy. *c)* Müller Aug., Jak powstały pierwsze istoty organiczne, i jak z nich następnie wytworzyły się gatunki. *d)* Virchow Rudolf, Pokarmy i artykuły spożywcze. *e)* Bluntschli Założenie Unii Amerykańskiéj w r. 1787. *f)* Steinthal, Myt i religia. *g)* Waldbrühl Wilhelm, Wiara i czary w obec badań przyrodniczych. *h)* Smoller G., O wynikach statystyki zaludnienia i obyczajów. *i)* Perty O pasożytach w naturze organicznéj. *k)* Cohn F., Światło i życie. *l)* Helmholtz, Popularno-naukowe odczyty z nauk przyrodzonych. *m)* Claus C., Pszczoły.

Zwrócić winniśmy uwagę, co do nowego wydania dzieł Krasickiego, że *spółka* winna się ściśle trzymać pierwotnego wydania przez Fr. Dmochowskiego w X tomach, z których zrobił jednotomowe Michał Podczaszyński w Paryżu, z dopełnień zaś, jakie Natan Glücksberg w ośmiu tomach ogłosił, przy nowéj swéj edycyi tychże dzieł, należałoby dodać komedye Krasickiego.

— Jan Kanty Gregorowicz, redaktor *Tygodnika Mód* i *Przyjaciela Dzieci*, wydał nową pracę p. n.: „*Pierwsza książeczka na gwiazdkę dla dzieci wiejskich i miejskich z dodaniem wierszyków różnych autorów.*" (Warszawa 1874 w 16-ce str. 134).

— Znany z talentu malarz Tytus Maleszewski wystawił w księgarniach warszawskich dwa portrety naturalnéj wielkości, litografowane w Monachium: Stefana Czarnieckiego i Jana Kochanowskiego. Pierwszy narysował wedle oryginalnego olejnego portretu, przechowanego w Berlinie i ten wszystkie cechy właściwe téj wielkiéj postaci nosi; drugi odtworzył podług jedynego popiersia poety, jaki dotąd istnieje na jego grobowcu w *Zwoleniu*.

— *Żywoty Świętych na wszystkie dni roku* przez ojca Prokopa kapucyna, wychodzą w zeszytach z przydaniem starannie wykonanych rycin. Obecnie już wyszedł zeszyt drugi tego dzieła, które w całości ma być ukończone w ciągu r. b.

— Z drukarni J. Bergera wydanie naszéj redakcyi obejmuje: 1) Hrabina Kosel. Powieść historyczna J. I. Kraszewskiego, dwa tomy; 2) Serbia. Zarysy historyczno-etnograficzne, skreślił A. Pawiński (Warszawa, w 8 ce, 1874 r.).

— Korrespondent Gazety Warszawskiéj z Rzymu (nr. 14 z d. 20 stycznia r. b.) poświęca ostatni swego listu ustęp, o pracach poetycznych i rzeźbiarskich autora *Zachwyconéj* i *Błogosławionéj*.

„Rozpisawszy się o sztuce, nie zdołam wstrzymać się od wzmianki o rzeczach bliżéj nas obchodzących. Sztuka, to jest dla naszego skołatanego umysłu dno Pandory, na którém pozostało kilka kropelek kordyału przeciwko złamaniu ducha lub utonięciu w bezmyślnym materyalizmie. Dopóki będziemy zajmowali te wyżyny, stanowisko nasze pozostanie niezdobytém, a rozczynniki wspólnego życia parujące jak zgniłe wyziewy z nizin upadku i ścielące się chyłkiem po niektórych poziomych piśmidłach, niknąć będą pod świeżym i zdrowym podmuchem, co przelatuje na wysokościach, podwiewem niewiadomych skrzydeł naszych aniołów stróżów.

Pełną piersią, wiewem tym odetchnąłem, kiedy przed kilku dniami Teofil Lenartowicz czytał mi we Florencyi ustęp ze swego „Założenia Poznania.“ Wielka trylogia skończona i kraj nasz posiada już własną wspaniałą epopeję pisaną. Reklam układać nie umiem, na dworaka mię nie stać, nawet na dworaka geniusza, a jednak wyznać szczerze muszę, iż wieszcz nasz przeszedł sam siebie w tym niezrównanym śpiewie o napadzie barbarzyńców na światowładną Rome. Ta słowiańska marmurowa dziecina, która główkę podnosi na płaskorzeźbie kolumny Trajana, ta biédna ofiara rzymskiéj niewoli, która chwyta wytężoném swém uchem z kamienia tentent stu tysięcy koni, co zamordowaną jéj rodzinę pomścić lecą, ten świat dziki, konny, rozhukany, wyjący jak burza, w obec owego innego świata, togowych konsularnych postaci, cezarów upojonych falernem, pochlebstwem, miłością i apoteozą, cudnych branek z całéj ziemi i białych posągów, tych równie cudnych brańców z Hellady; i ta rozkosz i ta niepamięć, przetykane purpurą, pieśniami poetów i niewolą, i te kadzidlane dymy co wzlecieć nie mogą i ciężko się czołgają przed cezarem po marmurowych posadzkach, niby wonny rąbek boskości i bezwstydu; i ten sen przesytu na szczycie potęgi i szczęścia kołysany rytmem lutni, fontan i pocałunków; i ten rozwścieklony wicher stepowy, co się wdziera w samo serce tego świata cudów i arcydzieł; i te różnobarwne marmury rozniesione na kopytach pędzących tabunów; i to straszne zburzenie miasta i rozpierzchnienie Olimpu; i te trupy leżące pokotem na stratowanych posągach; i ta ogromna jak wielkość Romy i krwawa jak purpura cezarów łuna nad panią narodów, co gore; i ten ryk straszliwy zemsty i tryumfu, wyrywający się na widok ze stu tysięcy piersi synów zamordowanych gladyatorów i lecący przez laury i mirty z kłębami dymu, ze rżeniem rumaków, z wirami iskier, z jękiem ofiar i pękających harf... cały ten słowem niebotyczny dramat zapasów między dzikim światem słowiańskim a światem klassycznym

Rzymu i Hellady ma wypukłość płaskorzeźby, koloryt Tycyana, ruch wezbranego potoku, a język Kochanowskiego i Adama.

Jednocześnie we florenckim kościele *Santa Croce*, w tym włoskim Panteonie, gdzie długim rzędem nieśmiertelnych imion stoją pomniki Michała Anioła, Galileusza, Machiawela, Dantego, Ameryka Vespucyusza, Alfierego i tylu innych, stanął nad grobem od kilkudziesięciu lat tam pochowanéj hrabiny Cieszkowskiéj, matki filozofa, pomnik z marmuru i spiżu przez Lenartowicza, którego dzieło Italia przyjęła do tego swego Panteonu, mniéj wspaniałego może niż ten, gdzie się rozlega pieśń poety, a który ma za ściany Tatry, bory, rzeki i mórz dwoje."

— Dla zbadania pasma Kordylierów i zachodniego ich spadku pod względem klimatologicznym, geograficznym i środków komunikacyi, rząd rzeczypospolitéj peruwiańskiéj ustanowił komisyę, któréj przewodnikiem mianował p. Władysława Folkierskiego, znanego ze swych prac matematycznych, a między innemi z wydanego przed kilku laty rachunku różniczkowego.

Z Folkierskim udało się do Peru kilku innych polskich inżynierów, a pomiędzy innemi jako sekretarz pan Władysław Kluger. Miejscem pobytu komisyi będzie miasto Lima.

— We wsi Kobylinach pod Krakowem, przy spuszczaniu jednego ze czterech stawów zwanych „na łączkach", pozostałych z jeziora niegdyś zalewającego całą dolinę (350 sążni długą a 50—70 szeroką), otoczoną pokładami skał wapiennych, lasem obecnie porosłych, znaleziono narzędzie kamienne z piaskowca w kształcie ramienia, dwiema nierównemi kulami zakończone, które służyło w pierwotnych czasach do rybołóstwa. Zabytki takie znajdują się w Danii, opisuje je Nilsson w dziele „Das Steinalter" Hamburg 1868; zwie on je „Netz oder Angelsenker". Egzemplarz wydobyty w Kobylinach dostał się Uniwersytetowi Jagiellońskiemu. P. Żebrawski objaśnienie jego dopełnił topograficznym opisem miejscowości i nazwał je „zatopkiem."

— W pierwszych dniach stycznia r. b. odbyło się w Poznaniu zebranie Tow. Przyjaciół Nauk, zagajone przez D-ra Libelta. Z odczytanego przez p. Feldmanowskiego sprawozdania okazało się, że Towarzystwo w ostatnich czasach wzbogacone zostało darami różnych osób, w książkach, rycinach, monetach, medalach i wykopaliskach, między któremi najznaczniejszym jest dar p. hr. Mielżyńskiéj z Miłosławia, składający się z 5,000 rycin, akwareli i szkiców po mężu swoim Sewerynie. Co do czynności naukowéj sprawozdawca oświadcza, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy przeszło 600 tomów dzieł przeszło przez ręce czytelników, a obecnie 130 t. znajduje się w rękach publiczności. Daléj kazał konserwator własnym nakładem zrobić 12 tablic fotografii w 12-tu egzemplarzach, z samych prawie bronzów i dostarczył 10 takich tablic obejmujących około 100 przedmiotów, ks. Tadeuszowi Lubomirskiemu w Warszawie, który z professorem Przyborowskim pracuje obecnie nad wydaniem dzieła archeologicznego z epoki kamiennéj i bronzowéj. Nadto, zakupiono kilkanaście rzadkich dzieł do biblioteki i pewną liczbę dzieł wymienio-

no za duplikaty ze zbioru bar. Rastawieckiego. W końcu sprawozdania wspomniał, że zbiory Towarzystwa zaczynają budzić coraz większe zajęcie w uczonych innéj narodowości.

Majątek Towarzystwa wynosi: w kasie tal. 669; w listach zastawnych 4 proc. tal. 6,600, w akcyach bazaru tal. 500; fundusz Lelewela tal. 128 gotówką i procent od tal. 273 zabezpieczonych na zakładzie ś. p. Cegielskiego, pozostałość pomnikową Klonowicza tal. 110.

Roboty około budowy muzeum dotąd nie rozpoczęte dla braku funduszów, uwięzionych w Tellusie, wynoszących w gotowiźnie tal. 5,160 i 1,200 tal. w listach zastawnych. Referent oświadczył, że sprawa funduszu z zapisu ś. p. Bredkrajcza (na gimnazyum w Poznaniu) w niczém dotąd nie postąpiła; zebranie uchwaliło aby zobowiązać p. Niegolewskiego do poparcia téj sprawy, w myśli dawniejszéj uchwały. Postanowiono, aby przyszły Rocznik Towarzystwa obejmował wyłącznie rozprawy treści lekarskiéj; wydział Tow. lekarski ma do tego gotowy materyał. Do zarządu na następne trzy lata wybrano przez głosowanie kartkami te same osoby, a mianowicie: pp Libelta, St. Koźmiana, Mateckiego, Świderskiego i Feldmanowskiego. Na członków Towarzystwa przybrano: pp. Golskiego, Cieślewicza, Radońskiego i Boeninga, doktorów.

Zbiory tegoż Towarzystwa obejmują bibliotekę liczącą przeszło 20,000 tomów; muzeum posiadające kilka tysięcy wykopalisk z gliny, szkła, kamienia, spiżu, miedzi, żelaza, prawie wyłącznie w Księztwie Poznańskiém znalezionych; rozmaite pamiątki, zbiór broni starożytnéj, kilkanaście wyrobów sztuki dawniejszéj, piękny i cenny zbiór numizmatów, galeryę obrazów (230) olejnych, akwarel, miniatur, gwaszów i około 10,000 rycin, szkiców oryginalnych, studyów rysunkowych, fotografii, drzeworytów i t. d.

Obecnie rozpoczęto spis tych zbiorów: wykopaliska uporządkowano, z bronzów zrobiono fotografie, które można nabyć za zwrotem kosztów. Obrazy rozwieszono w domu Towarzystwa. Spis biblioteki rozpoczęto od dokumentów pargaminowych, których jest 62, najdawniejszy z r. 1282. Mnóstwo dokumentów papierów pisanych i drukowanych, liczne karty, obwieszczenia, rozporządzenia i t. d., podzielono na przedmioty i ułożono je chronologicznie. Inne dokumenta ujęto w następujące działy: 1) Sprawy wojskowe (począwszy od Stefana Batorego); 2) Materyały do historyi ekonomii i administracyi krajowéj; 3) Materyały do historyi kościołów i duchowieństwa w Polsce; 4) Sprawy sądowe grodzkie i trybunalskie sięgające XVI wieku; 5) Dyaryusze sejmowe i uniwersały w oryginałach po części jeszcze drukiem nie ogłoszone; 6) Znaczny zbiór tak zwanych *Silva Rerum* z XVII i XVIII wieku. Z dokumentów osobne działy stanowiących, ciekawy jest zbiór materyałów do historyi lat 1806, 1807, 1808, 1809 i 1812, pozostały po generale Amilkarze Kosińskim. Są tam odezwy, dokumenta działań wojennych, spis oficerów legionu 3-go, dokumenta tyczące się rozgraniczenia Ks. Warszawskiego od Prus, listy od generałów, odezwy od ministrów wojny, treść listów do rozmaitych władz i podkomendnych tegoż generała i t. p.

Jest tam także zbiór materyałów do historyi wolnomularstwa w Polsce; oryginalne lub odpisane dokumenta tyczące sprawy synów króla Jana III Aleksandra i Konstantego o sukcesyę; listy prywatne królów polskich: Władysława IV, Jana Kazimierza, Stanisława Leszczyńskiego i Fryderyka Augusta; 48 listów L. Kamienieckiego do ks. Józefa Poniatowskiego w sprawach prywatnych; listy Czackiego, Staszica, Krasickiego, Mrongowiusa; materyały do statystyczno-etnograficznego opisu W. Ks. Poznańskiego i t. d.

Zbiory te Towarzystwa, dostępne są obecnie publiczności trzy razy w tydzień.

— Redakcyą Tygodnika Wielkopolskiego objął Władysław Chotomski, syn znanego autora przenicowanéj Enejdy Wirgiliusza i wielu poematów humorystycznych, który niemałe położył zasługi w rozwoju prassy peryodycznéj od r. 1818, jako gorliwy współpracownik Brunona hr. Kicińskiego.

— W Poznaniu nakładem I. K. Żupańskiego, wyszło nowe wydanie: „*Wzorów prozy, wedle rodzajów i kształtów chronologicznie zebranych*," przez Rymarkiewicza.

— Najświeższym utworem Matejki znajdującym się obecnie na wystawie krakowskiego Tow. sztuk pięknych jest mały obrazek jak ćwiartka dużego arkusza papieru, przedstawiający Maćka Borkowicza herbu Napiwonie, wojewodę poznańskiego, którego Kazimierz Wielki za rozboje i rabunki kazał na głodną śmierć wtrącić do lochu w zamku Olsztyńskim, na odwet za pastwienie się nad ofiarami, które popadły w ręce wojewody. Obraz przedstawia otwór do piwnicy z wstawioną doń drabiną, po któréj schodzi człowiek w karmazynowym żupanie, dość otyłéj tuszy. Twarz jego i oczy ponure, czoło nizkie, wargi rozwinięte, noszą piętno zwierzęcéj dzikości i okrucieństwa. Stróż czy oprawca, żylastą ręką podtrzymuje kratę żelazną, która się ma zamknąć za winowajcą; żołnierze w żelazo zakuci, snać przyprowadzili zbrodniarza; jeden z nich trzyma wiązkę siana, mającą wraz z wodą napełniającą konew' miedzianą, służyć za pożywienie skazanemu. Jest tam także jakiś piękny młodzian, w berecie z piórami, jakby wyglądający kogoś z dali—może ułaskawienia królewskiego, którego też może oczekuje i zbrodniarz, ociągający się niejako ze zstąpieniem do swego grobu za życia. Postać ta młodzieńca stanowi kontrast z resztą obrazu, i ponurość jego jeszcze podnosi.

— Pan Michał Boniecki zajmuje się pożyteczną pracą i wydaje Szkice historyczne, z których część trzecia wyszła w tych dniach z druku pod tytułem: *Książęta szlązcy* z domu Piastów. Przyczynek do historyi rodzin panujących w Polsce, zebrany i ułożony przeważnie z niemieckich źródeł, od roku 1610 - 1675.

— Już opuścił prassę i znajduje się w księgarniach naszych tom szósty *pism Kazimierza Brodzińskiego*, których poprawném i kompletném wydaniem zajął się gorliwie J. I. Kraszewski pisarz panujący dziś w naszéj literaturze jako szczególne zjawisko, świetny licznemi zasługami

świetniejszy talentem niewyczerpanéj twórczości, a przytém niezmordowany w pracy. Tom ten obejmuje dalszy ciąg prozy, literaturę polską, od r. 1822—1829, to jest kurs estetyki w dwóch częściach, i listy o literaturze polskiéj.

— ***Na stypendyum imienia Kopernika*** przysłano do naszéj redakcyi rs. 39 od familii Jeniczów, to jest od Klementyny ze Skarbków Jeniczowéj rs. 5, od Olimpii Jeniczowéj rs. 10 i od Ludwika Jenicza rs. 24.

— *Die geografische Lage der Hauptstädte Europa's* von J. G. Kohl (Leipzig. Veit 1874, str. 496 in 4-to) Dzieło to godném jest uwagi geografów, historyków i polityków. W organizmie żywéj istoty tworzy się serce lub zwój w tém miejscu, gdzie się łączą liczne naczynia lub nerwy. Takiemi środkowiskami organizmów państwowych są wielkie miasta. Autor założył sobie wyjaśnić związek pomiędzy przyrodniczemi cechami krajów, ich historyą i znaczeniem stolic. Zacząwszy więc od Konstantynopola, obszedł całą Europę przez Lizbonę, Dublin, Edynburg aż do Petersburga i Moskwy; rozglądając się po wszystkich drogach, wychodzących z danego miasta, po wszystkich rzekach okolicznych, po ważniejszych cechach orograficznych, społecznych i historycznych. Tym sposobem przychodzi częstokroć do interesujących wniosków i kombinacyi. Dla przykładu wymienimy rozdział poświęcony Warszawie. Znajdujemy tu pogląd na główne epoki historyi polskiéj ze stanowiska geograficznego. Skreśliwszy charakterystykę wodozbiorów Odry i Wisły, powiada, że państwo Polskie zaczęło się tworzyć w okolicy Gniezna, kiedy ludy niemieckie parły ku zachodowi; gdy zaś potém uderzyły na Słowian i podbili Słowiańszczyznę Nadelbiańską, stolica Polski przenosi się do lepiéj zabezpieczonego Krakowa. Połączenie się z Litwą i konieczność zbliżenia się do Wilna, pociągnęła królów do Warszawy, która, oprócz dogodniejszych warunków politycznych, posiadała ważne dogodności geograficzne, jako punkt środkowy wodozbioru Wisły, jako miejsce, gdzie zbiegały się wszystkie dopływy w kształcie wachlarza. Obecnie kanały, łączące Wisłę z Niemnem i z Dnieprem, oraz koleje żelazne, biegnące ku północy, wschodowi i ku morzu Czarnemu, nadają jéj ważne znaczenie handlowe i wróżą przyszłość pomyślną. Zwraca téż uwagę na znaczenie jéj pod względem strategicznym i umysłowym. W datach historycznych dostrzegliśmy jeden tylko błąd, że Kazimierz W-ki przedsiębrał wyprawę do Moskwy. Czasem trafiają się kombinacye naciągane i dziwne, np. w porównaniu półwyspu Appenińskiego do Korei, Tybru do rzeki Hang-Kiang i Rzymu do miasta Hanyang, ale częściowe usterki nie pozbawiają autora zasługi za wykonanie trudnego i wybornego planu.

— Zimna krytyka historyczna, nielitościwie kruszy najbardziéj urocze utwory wyobraźni ludowéj. Obecnie przyszła koléj na Arnolda Winkelrieda, owego bohatéra Szwajcaryi, co to w bitwie pod Sempach miał zgarnąć lance austryackich rycerzy i wbił je w pierś własną, żeby towarzyszom swoim otworzyć drogę do środka nieprzyjacielskich szeregów. Już

w 1860 r., prof. uniw. wiedeńskiego Ottokar Lorenz zakwestyonował wiarogodność tego podania. Świeżo zaś wyszło dzieło D-ra Otto Kleissner'a *Die Quellen der Sempacher Schlacht* u. die *Winkelriedsage*. Göttingen 1873. Dieterich (68 str.), w których autor, zestawiwszy kroniki austryackie ze szwajcarskiemi, sprowadza bohaterskie zwycięztwo Szwajcarów do bardzo prozaicznych przyczyn: zbyt ciężkiego uzbrojenia, strasznego upału i ucieczki jednego oddziału austryackiego

— *Poetik, Rhetorik und Stilistik* von Wilhelm *Wackernagel*. (Halle 1873. Buchhandlung des Waisenhauses, str. 452 in 8-vo). Jest to pośmiertne wydanie odczytów uniwersyteckich, mianych w Bazylei jeszcze w 1836 r. Wszystkie rodzaje poezyi i prozy są gruntownie rozebrane, z szczególnym atoli względem na wymowę duchowną, gdyż wykładów tych słuchali studenci wydziału teologicznego. Kierunek teologiczny odbija się też na przewodnich poglądach autora.

— Gorliwy badacz źródeł historyi polskiéj Henryk Zeissberg wydał kronikę gwardyana Franciszkanów krakowskich Jana Komorowskiego p. t. *Johannis de Komorowo* tractatus cronice fratrum minorum observancie a tempore Constanciensis con ilii et specialiter de provincia Polonie. Wien. Gerold's S. (129, i str. 8-vo maj.)

— Firma Spaarman w Lipsku drukuje 6-te przerobione i uzupełnione wydanie Encyklopedyi Pierer'a p. t. *Pierer's Universal-Konversations-Lexikon*. Dzieło to wychodzi zeszytami (po 6 sgr.); całość składać się będzie ze 180 zeszytów, czyli 18 tomów; cena zatém wyniesie 36 talarów. Do tekstu dołącza się około 200 kart statystycznych, matematycznych, geograficznych i t. p.

— Redakcyą *Przeglądu Belgijskiego* (Revue Belgique) obejmuje teraz znakomity professor z Liège, Emil de Leveleye wspólnie z hr. Goblet d'Alviella i Eugeniuszem van Bemmel.

---

† Dnia 11 stycznia r. b. zmarła w dobrach swoich w Miłosławiu w Księztwie Poznańskiém ***Seweryna*** z Wilkxyckich hr. ***Mielżyńska,*** rok zaledwie przyżywszy czcigodnego swego małżonka. Spadkobierczyni cnót jego była wzorem poświęcenia i obywatelskiego macierzyństwa. „Bóg nie dał jéj potomstwa, pisze J. I. Kraszewski przyjaciel domu dostojnych nieboszczyków, lecz przeznaczył za piastunkę niedoli: wszyscy nieszczęśliwi byli jéj dziećmi. Lecz któż to życie wypowié? Ono się rzeczywiście wyda wkrótce legendą cudowną tym, co nie patrzali na nie. Ten dom pełen rozbitków, ta rodzina ubogich sierot, to zajęcie opuszczonemi, już się nie powtórzą nigdy. Znakomitych i świętych niewiast nie brakło tutejszéj ziemi, ale mało miała takich jak zgasła pani

ta, co unikała oczu, co broniła się chwale zasłużonéj, któréj skromność obrażała cześć jéj oddana. W chwilach prawdziwego gniewu pozbawia nas Bóg takich istot. Schodzą jedna po drugiéj jak hr. Mielżyńscy, te jasne gwiazdy nasze... Kto zastąpi tych ludzi? Dłonią może, sercem nigdy. To, co czynili, było mniejsze jeszcze nad to jak czynili. Poszli oboje po nagrodę za cnoty."

Testament zmarłych małżonków rozdaje cały lub prawie cały ogromny ich majątek na cele użytku publicznego. Spadkobiercą (pewnie częściowym) i wykonawcą testamentu naznaczony jest Józef hr. Mielżyński, który ma moc dobrania sobie czterech mężów do pomocy; wykonanie woli zapisodawców nie zaraz ma nastąpić, przynajmniéj nieco do wszystkich legatów. Z wiadomych dotąd zapisów ma być 2,000 tal. gotowizną prócz renty stałéj, a nadto drogocenne zabytki dla Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk; Towarzystwu Poznańskiemu pomocy naukowéj dla dziewcząt polskich, zapisali tal. 1,000 płatnych za lat 4; takiemuż Towarzystwu w Prusach Zachodnich na utrzymanie ochrony i ochroniarki w Ryńsku i na inne instytucye przekazali procent od 100,000 talarów.

† Dnia 13 stycznia 1874 r. umarł w Warszawie ś. p. ***Stanisław Świetlicki*** doktor medycyny w wieku lat 34. Urodzony na Litwie, kształcił się w b. Akademii medyko-chirurgicznéj w Warszawie, następnie w Heidelbergu. Od 1867 roku pełnił obowiązki asystenta w klinice wydziału medycznego b Szkoły Głównéj. Prace swe naukowe pomieszczał w czasopiśmie „Klinika" w tom. I, II, V, VIII. O chorobach wątroby, o katarze żołądka i in. Prócz tego umieścił w dodatku do Kliniki t. I str. 40 tłumaczenie rozprawy: Działanie fizyologiczne naparstnicy przez A. Legros. Nauka straciła w osobie ś. p. Świetlickiego zdolnego pracownika, a społeczeństwo obywatela. Nietylko wyższe zdolności w obranym zawodzie, ale niepospolite przymioty serca jednały śp. Świetlickiemu przyjaźń i życzliwość powszechną.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj
Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.
Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Bergera, w Warszawie przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 619.
Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Января 1874 г.

STANISŁAW MONIUSZKO

I

SZTUKA MUZYCZNA NARODOWA.

STUDYUM ESTETYCZNE.

PRZEZ

Bolesława Wilczyńskiego.

(Dalszy ciąg)

IV.

Cecha artystyczna polskiego tworzenia.—Rozbiór pieśniarstwa Moniuszkowego.—Język polski w muzyce.—Moniuszko i Szopen.

Zaznaczywszy w stylu Moniuszki dwie główne cechy ducha słowiańskiego, chcę teraz zwrócić uwagę czytelnika na inny przymiot, więcéj osobisty, odnoszący się do charakterystyki geniuszu, lubo niemniéj od usposobień narodowych zawisły.

Już od rozwinięcia się sztuki chrześciańskiéj, nauczyła nas estetyka odróżniać dwie odmienne strony, niby dwa przeciwne bieguny, w rzeczach artystycznéj indywidualności. Starożytny Fidiasz i nowoczesny Michał-Anioł, to dwa wielkie polusy, objawiające się bezustannie w sztuce, jako wyraz téj właśnie psychologicznéj polarności ducha ludzkiego, którą historya na wielką ukazała skalę. Bo odkąd się ona na historycznym globie wyrobiła, poczęła teraz ta polarność odbijać się w usposobieniu plemiennem, narodowém, a przedewszystkiem bardzo znacząco w pojedyńczych indywidualnościach. Patrzmy na jéj objawy, niezależnie od szkoły i rutyny, a więc tam, gdzie

Polskiego Archiwum Muzycznego

geniusz się produkuje z całą swobodą posiadania siebie. Patrzmy jak sobie radzi ów śmiałek, co duchem swoim chłonie przedmiotowość, a w zewnętrzne uroki nie wierzy. Przedmiotowość jest mu nietylko materyałem do pięknego przerobienia; on ją musi zupełnie przegotować w sobie, zburzyć, zgnieść, aby na nowo odtworzyć wcale po swojemu, na podobieństwo téj modły idealnéj, którą wyobraźnia jego poczęła. Ztąd przekonany jest, że to tylko piękne, co całkiem z jego ducha wyszło, co jest jego modłą, rezultatem własnego, wyosobnionego, ale nie uogólnionego widzenia. On nigdy nie wychodzi z siebie, nie chyli czoła przed majestatem stworzonych rzeczy, nie zapomina swéj wewnętrznéj jaźni dla poetycznych upojeń w królestwie prawdy. To bezwzględny subjektywista, niejako samolub w sztuce, któremu królestwem własny świat wewnętrzny. On przed innemi kocha własne idee, a tworzy uosobioną filozofią pojęć i wyobrażeń. Więc nie on miłością do prawdy, lecz prawda do niego się zbliży, by wedle jego woli, wedle subjektywnego wzoru na ideał się przerobiła. Dlatego téż, oglądający jego produkcye uczestnik, nie będzie wprowadzony do tajników królestwa natury, nie będzie widział piękności i prawdy w państwie przedmiotowém, lecz czołem uderzy przed mistrzem i przedewszystkiem jego myśl w artyzmie podziwi. Więc nie tyle przedmiot co samego artystę poczci, bo on tu swego ducha, swą osobistość uwydatnił.

Zupełnie inaczéj zaprodukuje się geniusz, którego miłością upojona dusza szuka ślubów z zewnętrznym światem. Taki sztukmistrz pragnie jednoczenia się, wzajemnego przez miłość dopełniania. W nim prawda i piękno kojarzą się wzajemnym ku sobie pociągiem, więc równoprawnie, swobodnie, bez przymusu, prawie bez wiedzy artysty, który mało chce wiedzieć o sobie. Przez pryzmę miłości on mnóstwo widzi rzeczy, a wszystkie wydają mu się być już pięknemi, jakby nie wiedział że one w jego duszy pięknieją. Więc jego tworzenie, to ciągła produkcya miłosnych ślubów, obraz kochania się artysty w przedmiotowości. Zawsze swojemi hurysami zajęty, on zdaje się chcieć tylko przedstawić ich urok, powiedzieć jak go czarują, co mówią i szepcą do serca. Więc się prawie zasłania przed światem, ukrywa swoją indywidualność, bo mu się zdaje, że wszyscy, byle miłość mieli, mogą to samo widzieć, bo mu zresztą idzie o to, iżby świat kochał jego hurysy i ślubił się z niemi, jak on się ślubi. On wspólnie z uczestnikiem zwraca wzrok na zewnątrz i mówi: patrz jakie to piękne! Taki geniusz widzi niezmiernie wiele, a jego produkowanie jest tak zewnętrzne i przedmiotowe, że się w istocie zdaje uczestnikowi, jakoby w utworach oglądał samą prawdę, jakoby przedstawiona idealność istniała z całym urokiem piękna w rzeczywistości.

Takie są dwa przeciwne usposobień artystycznych bieguny. One istnieją na krańcach téj kulistéj przestrzeni, po któréj duch świata przebiega, a zapładnia stan, niejako temperaturę mającéj się ucieleśniać w dziełach sztuki idei. Więc rozliczne w danych czasach mogą być tych usposobień objawy, wzajemne stosunki i odcienia,

a wszystkie mają wyższą racyę bytu, od zewnętrznego niezależną kierownictwa. Raz stanie duch na saméj granicy, zapędzony do najdostępniejszych punktów, kędy powietrzem organicznie oddychać może; to się ku obu nakłoni kierunkom, dając téj lub tamtéj stronie przymiotów przewagę; to znów w nieodgadnionych związkach zagubi określną charakterystykę swoją. Zgoła mnóstwo z takowych prądów urośnie cech tworzenia, a skrzętna krytyka estetyczna, uzbiéra je i opiętnuje i wielmożną nazwą ochrzci. W szeregach powszechnéj krytyki staną mistrze i ich dzieła, jak pułki, pod sztandarami idealizmu, realizmu, indywidualności, przedmiotowości i wielu innych jeszcze. Gdybyś przez tę estetyczną krytykę kształcić sąd i pięknie chciał duszę z robotą mistrzów spolić, zginąłbyś pierwéj w sprzecznościach i niepodobieństwach, zanimbyś tajemnice sztuki rozwiązał. Darmo przymierzać nazwę do rzeczy. Aż dziwno się staje, jak nie przylega jedno do drugiego, jak z pod analizy wymyka się co chwila utwór lub serya utworów. Bo krytyka powszechna istnieje właściwie dla syntetycznych celów nauki, dla tych, co są ogólne, filozoficzne, humanitarne. Ona wskaże drogi, jakiemi duch ludzki szedł do krajów ideału; rozświeci w nauczających się massach pojmowanie piękna, jako pierwiastku Bożego; lecz żadnéj iskry nie rozbierze na cząstki analityczne, a tém mniéj zdolną jest ducha twórczego, zwłaszcza narodowego, swoim kierować apriorycznym rozkazem. Nie krępuj mię, duch powié, i nie sil się zrozumiéć tajonych przezemnie popędów; bo nie wiesz czém ci zabłyszczę i jaką zagadką oczy zawiążę. Moją ojczyzną wolność, a kraj to wspaniały, królewski, do którego niéma być wstępu doktorom i prawodawcom. Skoro wnijść pragniesz, musisz swą togę i ciężkie zrzucić sandały. Pokażę ci wtenczas rzeczy cudowne; lecz widok ich zakryję, jak tylko skórą powleczesz się doktorską.

Jakoż w istocie, niech jeno chętka zdejmie nas dać każdemu z poetów polskich nazwę, a krytyką powszechną, suchą i apodyktyczną rozstrzygać o ich utworach, obaczymy jak dalece to trudne i niepodobne zadanie. Patrz, tu szereg stoi rzekomych realistów, że dotykali żywota historycznego i natury, a rzeźbili swój przedmiot posągowo, utaczali go z prawdy. Malczeski, Bohdan i Pol spozierali na fizyognomię tradycyi, a odtwarzali ją przedmiotowo, dotykalnie. Lecz czyliż tylko rzeźbę w ich utworach znajdujesz? Czy nie gra tam głęboka muzyka, która echem z daleka płynie, lub z własnéj ich piersi rozbrzmiewa? Wszak w ich realizmie żadnego niémasz podobieństwa do tego, którym dzisiejsza krytyka mianuje dzieła zdrobniałe, upadłe. Po innéj stronie stoi szereg wieszczów-filozofów, a bije od nich idealistycznego pożaru łuna. Zaliczysz do tego rzędu Mickiewicza, Krasińskiego, Garczyńskiego, a łatwo poznasz, że ci poeci w ideałach swoich jakąś przyszłość, niby nową społeczność na celu mają. W ich wzroku pełno w dal spoglądającéj siły, na czole gwiazda prorocza jaśnieje. Są tedy indywidualni, subjektywni. Lecz bliżéj się przypatrz. Tam w sercu gore ogień

miłości, a jéj zarzewia zdaleka idą. Ona ich wiąże z chowanemi w zanadrzu obrazkami, którym co chwila chciwie się przypatrują. Od tych to obrazków moc wieszcza im spływa. Co dosłyszał Krasiński z tonów serca, co widział scen, odgrywanych przez duchy ludzkie, jakoby przez przeszłość i przyszłość, tego w zwyczajnéj mowie nawet wypowiedzieć nie mógł, taki mu brak był rzeczowników. Mickiewicz fantazyą strzelał na wsze strony, a gromadząc do sztuki ogrom myśli filozoficznéj, roztapiał nieraz jaźń swoją w miłości, w przedmiotowém tworzeniu. Że nie pogardził zaściankiem, tedy w polskim domu, w polskiém przysłowiu, dała mu się oglądać prawda i piękność szczerozłota.

Tak się mienią i gmatwają przed czystą analizą krytyczną nasze znakomitości poetyckie. A przecież, nie można im odmówić dzielnéj potęgi w tworzeniu; owszem, artyzm poetów polskich dosięga szczytu doskonałości. Jakże tę doskonałość nazwać, jak określić epokę twórczą, która tyle arcydzieł poezyi wydała, a teraz przymioty swoje innym przekazuje sztukom? Oczywiście, że dla słusznego a wyczerpującego sądu, trzebaby zejść do samego spodu ducha, do historyi narodu, do natury kraju, oraz do wielu innych jeszcze wpływowych czynników. Wszakże nim to kiedy nastąpi, wolno jest chociaż pobieżne uczynić spostrzeżenie, że głównem podścieliskiem, na którém wszystkie rozwijały się u nas poetyckie geniusze, była miłość. Ona wspólnym węzłem łączyła natchnienia, więc i fantazyą ku ukochanym kierowała przedmiotom. Nasza poezya, głęboko humanitarna z jednéj, jest przedmiotową z drugiéj strony. Cała literatura XIX wieku ma ten charakter. W niéj spoczywa wyraz myśli i uczuć, świadectwo czujności ducha naszego w obec najżywotniejszych zadań ludzkich; ale podstawą jéj przeszłość, tradycya narodowa. Więc co mamy z obrazów, co wiemy o życiu narodowém, co stanęło przed nami w nieprzebranych kształtach obyczaju, w pięknie pojętych wizerunkach cnoty rodzinnéj i obywatelskiéj, to winniśmy temu, przedmiotowo tworzącemu geniuszowi. On poskromi osobistą wyniosłość, skryje jaźń i wielmożność swoją przed wielbioną oblubienicy postacią i dlatego umié widzieć prawdę, przekłada ją nad urojenie i złudę. Mniéj lub więcéj gorąca miłość, mniéj lub więcéj jasne prawdy widzenie, oto rzetelny chrzest, z którego krytyka polska wziąć imiona dla swych mistrzów winna. Wszak w liryzmie poezyi naszéj znać tę oryginalną cechę, że on nie wynika z indywidualnych miłości poety, lecz z umiłowania rodziny ojczystéj i rodziny powszechnéj, niby pieśń serca o ziemi swojéj i o braci ludzkiéj.

Godzi się tedy sądzić, że narodowe usposobienie fantazyi polskiéj, miłością karmionéj, przeważnie dotąd było natury przedmiotującéj. Najcenniejsze arcydzieła poezyi i sztuki są z tego kierunku. Indywidualizm poetów naszych nie jest osobistym, jest narodowym. Po tém poznać rzetelnie polskich mistrzów. Bo skoro który zakonu nie uznał, a wyszedł duchem na gościniec, kędy samotne pielgrzymy chodzą, czujesz to, jak fałsyywie gra ton jego, jak się wyróżnia w akordzie i przykro duszę uraża. Nasi bajroniści nieraz harmonią poezyi

narodowéj psowali. Geniusz Słowackiego, łatwo odszczepiający się od tradycyi, nie jedną zmarszczką dziewicze czoło muzy polskiéj naznaczył. A nigdy się nie dowiesz, czego chcą ci samotnicy, dokąd wiodą i na kogo pociski rzucają. Francuzka krytyka, nie znając ani tajemnic polskiego tworzenia, ani tajemnic historyi narodu, zawyrokowała o Matejce, że nie jest poetą, że jest realistą. Jakże śmiesznie brzmi w uszach naszych ów wyrok niepodobny! Mamyż słuchać tyle niesprawiedliwych sądów, nie apelując do trybunału własnéj krytyki estetycznéj?... Umysł polski lubuje się w otaczającéj go przedmiotowości; on jéj da kolor liryczny, zabrzmi w około całą orkiestrą uczuć, lecz jéj zostawi kształty prawdziwe, misternie w jawność ujęte. W nim zdaje się być zaklętym ów tajny robotnik, co kiedyś żywemi zgłoskami pisał poema, a teraz to samo w pieśni powtarza. Wszak i w języku naszym on się oddawna utaił i w wyobraźni ludu stroi nie lada pochwytne a czarodziejskie obrazki.

Moniuszki muzyka jest cała przedmiotową, cała z obrazów złożoną. On w liryzmie przedstawia serce ludzkie malowniczo, figurycznie, a czyni to, jak gdyby sam stał na stronie, niby uczestnik sceny. Tu nie mistrz, ale duch narodowy zdaje się być muzyki jedynym twórcą. Uczucia w jego utworach krwią się, rumienią i żyją przez działające myślą a sercem osoby. Nigdy mistrz nie pozwoli sobie oderwać ich od prawdy, lub im swe własne dać pulsa. Nie znaléźć w nim momentu zapomnienia się, a tylko coraz szczytniejsze natchnienie i doskonalszy wyraz, w miarę własnych sympatyj, w miarę silniejszego zespolenia się jego duszy z przedmiotem. Dlatego mógł Moniuszko odtworzyć tonami to tylko, co znalazł w naszéj literaturze pięknéj, co mu podała wspaniale królująca poezya nasza. On, całą jéj treść wyśpiéwał, a szedł w ślad za rozwijającym się geniuszem. W szeregu dzieł jego widać wyraźnie, jak wstępował za wieszczką aż na wysokie szczyty, bo od piosenki sielskiéj przyszedł do poematu w Widmach i jeszcze śmieléj sięgnął, śpiéwając jedno z najpoetyczniejszych widzeń naszego orła na brzegach Krymu. Widma i Sonety krymskie nie mają sobie podobnych w całéj literaturze muzycznéj. Taki jest właściwy kierunek drogi Moniuszki. To droga pieśniarza na wielką skalę. On nie stworzył dramatu, bo go nie znalazł w literaturze i na scenie teatru. Niepodobna zatém twierdzić czy miałby zdolność po temu; to pewna, że mniemany dramat naszego mistrza, stanął jako obraz historyczny lub spółczesny, jako poemat w scenicznym rozwoju, pełen bogactwa formy i treści, lecz właściwych dramatycznéj sztuce nie mający przymiotów.

Chcąc mieć pojęcie o niezmiernie oryginalnym Moniuszkowym artyzmie, trzeba zejść najprzód do pieśni jego. Tam skoncentrowane wszystkie pierwiastki, które na szerokie rysy sztuki urość miały; tam w rozrzuconych całostkach jaśnieją wszystkie kreacye, natchnienia i wizye mistrza. Piosnki Moniuszki są miniaturkami jego wyższych utworów. Więc w tych całostkach trzeba go najpierwéj widzieć. Wszak on wyśpiewał naszego ludu wesela i smutki, odma-

lował jego ruchy i fizyognomią; potém śpiewał poezyę rodziny naszéj, a z przezroczystych tonów, niby z kwiatów uczucia, utworzył nie jedną czarowną postać, co swą pięknością zdaje się być z krainy marzenia, a jednak jest domu naszego mieszkańcem. Taką jest Zosia w dwóch pieśniach. A są te poetyczne kreacye tak pełne uroku, tak się wciskają do serca i wyobraźni, że niepodobna nie kochać ich w pieśni. Ma tę własność sztuka muzyczna, że daje żywą syntezę, niby pięknie skoncentrowaną treść przedmiotu. Słowo nie posiada téj mocy. Wieleby trzeba słów powiedzieć, z wielu stron postać przedstawić, zanim ona stanie kreacyą skończoną i da o sobie świadectwo. Bo musiałbyś prawić o jéj zaletach, odkryć utajoną w niéj treść, ukazać ją w czynie, co jest sprawą nie łatwą, a co się nieraz przez cało-tomową powieść przewlecze. Otóż sztuka muzyczna odrazu tę syntezę pochwyca, a w kilkunastu taktach całą, ze strony psychologicznéj, stawia kreacyę. Nie obaczy jéj słuchacz wzrokiem trzeźwego umysłu, ale odczuje sercem, właśnie tak, jak po przeczytaniu pięknéj książki, odczuwa syntetyczne tony, które w niéj zagrały. Zosia w pieśni nietylko jest dziewczyną pustą, jak to chce miéć Mickiewicz. Ona jest lubém dziewczęciem polskiém, kochajacém i poczciwém, którego niewinna pustota z przepełnienia radości wynika. Otóż w téj umiejętności syntetyzowania jest Moniuszko nieporównanym mistrzem. Jeśli serdecznym obrazkiem łatwo się zapładnia jego wyobraźnia, to on już ma dla niéj właściwą tonacyę, ruch i koloryt, co uzupełnia doskonałe obramowanie, niezrównana skończoność formy. Wszak umiejętność ramowania przedmiotu jest wielce ważnym w obrazowéj sztuce warunkiem. Słuchacz czy widz ma przeświadczenie, że już poza ramami nic niéma, że wszystko się mieści w ich obrębie; więc nie rozbija swéj uwagi, nie tęskni do nieznanego. Romantykom brak tego daru. Naszemu Szopenowi przychodziła nieraz pokusa zawiesić duszę słuchacza na jakiéjś niepewnéj, niedokończonéj nucie, prowadzącéj w nieznaną dal uczuć, w rozwiewną sferę marzenia. Moniuszko przeciwnie, umié swój przedmiot skończyć i dlatego w każdéj drobnostce jego dużo serca, myśli i obrazu. „Pieśń wieczorna“ jest jednym z drobnych urywków sielankowych Syrokomli. Poezya nie wiele maluje, bo to króciuchna spowiedź dziewczęcia o chatce, o marzeniach w polu, o powrocie do domu. Już Moniuszko wystawił tu sobie poezyę wieczoru polskiego, a tak pięknie ten sielski romans z tonów ułożył, że słuchacz zdaje się widziéć ów przy zachodzie słońca domek, przed którym zebrana pod lipą rodzina cieszy się pospołu, a po dobréj pracy śpiéwa pieśń spokoju, jako harmoniję wieczoru w naturze z wieczorną ciszą w duszy. Więc mimowolnie przypomni sobie gdzieś widziany lub naczytany obrazek, przy którym nadto pieśń da słyszéć wieczorną modlitwę rodziny polskiéj. Tyle tu rojeń dla wyobraźni, która przez kochające serce z przedmiotem się spoli. W ten sam sposób syntetyzował Moniuszko mnóstwo postaci, muóstwo wizerunków, o których poezya natrąca, a które muzyka obrazowo

rozwija. Bo w kilku chwilach słuchacz odrazu obejmuje i ton melodyi jako treść uczucia, i harmoniczne figurowanie jako zewnętrzną fizyognomię, i ruch rytmiczny w akompaniamencie jako żywotną sytuacyę. Wiersz o „Prząśniczce“ rozstrzelony, ledwie jedną z wesołych myśli dziewczęcia sielskiego powiada; muzyka zaś tęsknią prząśniczkę maluje przy kołowrotku, którego ruch, oraz piękny a żywy rysunek zajęcia, z ruchem myśli i rzewnym nastrojem uczucia związany, magicznie dopomaga do poetycznéj całości obrazu. To są sposoby znane w sztuce muzycznéj i każdy kompozytor do używania ich skory. Ale nie każdy może im podołać, boć trzeba miéć talent do tego, trzeba miéć i duszę wsłuchaną w najdrobniejsze tony życia i wysoki artyzm, umiejący godzić ze sobą tętna ruchu i głosy liryki. Do wielkich tryumfów swoich zaliczyć może sztukmistrz udaną w tym rodzaju kompozycyę. Nie idzie bowiem o naśladowanie wszystkich ruchów zewnętrznych, jak to w operze często się powtarza. Są ruchy zanadto fatalne, nie szlachetne, nie piękne, których muzyka produkować nie powinna. A potém trzeba uważać, iżby ruch przedmiotowy rozwijał się bardzo względnie do melodyi, bo on jest tylko figurycznością, któréj całkiem panować powinna osoba wewnętrzna, jéj myśl i uczucie. Patrzmy jak szlachetnie, jak artystycznie maluje Moniuszko naturę. Jego wiosna i dąbrowa, szmery strumyków i ptasząt śpiéwy, odbijają się w melodyi, niby w swojém zwierciedle, właśnie tak, jak cała natura pięknem się odbija w duszy człowieka. Tu nie znajdziesz pretensyonalnych kombinacyj harmonizowania, odskakujących jak sztuczny szych od myśli melodyjnéj. Dlatego Moniuszko odtworzył całą tę sielankową poezyę, nieporównaną, pełną wielkiéj wartości, którą myśl Lenartowicza i Syrokomli poczęła. To epopea ludu naszego, wizerunki jego duszy, spolącéj się pięknemi a przeróżnemi śluby z naturą. Co Syrokomla i Lenartowicz z dźwięków słowa, to Moniuszko wypowiedział z czystych dźwięków muzyki, a jak najobfitszą u nas ta sielankowość poezyi, tak téż kompozycye pieśniarza naszego roją się sielskiemi obrazkami.

W sprawie liryzmu, mistrz nasz, postępując z wrodzoną sobie delikatnością uczucia, również posiada dziwną zdolność unaoczniania wibracyj serca. On potrzebował wystawić sobie w żywostanie każdą scenę sercowych manifestacyj. Jego łzy są tak dotykalne, tęsknoty tak malownicze, krzyk duszy tak pełen drżenia, że słyszysz to wszystko z prawdy, a sam zatęsknisz i zapłaczesz, przejęty grą uczuć do żywego. Słuchaj początku uwertury Halki. To ciężkie westchnienie, niby serdeczny prolog bajarza, który ze smutną przychodzi wieścią i ulgę sercu czyni, bo bardzo smutną ma powiadać historyą. W takiém wewnętrznych stanów unaocznianiu, niezmiernie wiele prawdy. Mistrz nie nadużywa głębokich tonów ani je umieszcza dla effektu, bez usprawiedliwienia. Ledwie jeden ton głębszy w pieśni, a i on przygotowany naturalnym tokiem melodyi, bo wyraża stan natężenia, więc jest charakterystycznem, koniecznem na-

brzmieniem uczucia w danym odcieniu psychologicznym. Szopen w wysokim stopniu posiadał dar ów, bo to przymiot polskiéj liryczności przymiot serca zawsze rzewnego i w każdéj chwili skorego do pięknych a szlachetnych poruszeń. Muzyka w sztuce staje się taką, jaką jest muzyka serca w żywotnych objawach.

Moniuszko nie pokuszał się o rozwiązywanie wielkich, dramatycznych zadań, tych, które są głęboką tajemnicą ducha ludzkiego, a które prowadzą sztukę do wystawiania ciemnic i otchłani, gwałtów i orkanów straszliwych. Takich zadań nie nastręczała mu dość jasno ani prawda historyczna, ani społeczna w swoim kraju. Wszakże mu się podarzały sceny z dziedziny dramatu, a w tych się mistrz lubował. Z małéj próbki obaczmy, jak Moniuszko zabierał się do wyrażenia dramatycznych elementów. Patrzmy na tę scenę, co się odbywa wśród gromadki chłopców, dziewcząt i starszych w karczmie. Wszyscy zasępieni, grajkowie zamilkli, bo przeleciał duch smutku i zatruł wesele, i spraliżował ochotę. Tym duchem jest nieszczęsny Maciek, co tu przyszedł z własnéj natrząsać się biédy. On sam został na świecie, z ciężką boleścią w sercu, z czarną chmurą nad sobą. Gdy tak wszyscy nie swoi, to płaczą, to wzdychają, woła Maciek do grania i do ochoty przyzywa. Więc hula zapamiętale, na złość się śmieje i wykrzykuje. „Co mam nie być wesoły, kiej mi zdechły dwa woły? Spaliły się stodoły, kłopot sobie nie zadam, kędy zboże poskładam; bo je grady złożyły, pocięły, zmłóciły. Co mam nie być wesoły? mój majątek dwa doły, a w nich żona z dzieckiem złożona. Grajże dudko wesoła! Toć nikt na mnie nie woła, nikt nie czeka stęskniony w méj chałupie spalonéj. Więc tańcuję najszczerzéj, jutro pójdę w żołniérze." Tak tedy walczy, przeciwstawiąc szałowi boleści szał zapomnienia. Już wszyscy smutkiem zmożeni, dziewczęta się popłakały, grajek skrzypkę strzaskał, a Maciek wciąż tanem się zatacza i sobie urąga. Otóż tu ironia głęboka, która prostego chłopka stawia w nader dramatycznéj sytuacyi. Tę ironią możeby nie jeden kompozytor pojął, jako wewnętrzny człowieka bój z samym sobą. jako wrzawę tonów w duszy. Więc oddałby ją psychicznie, nieruchomo, mocą harmonicznych rozstrojów. Moniuszko ją pojął naturalnym obrazem, a przedstawił tak, jak się sama maluje w plastyce i w ruchu. On zarysował smutek gromadki, potém puścił w tan Maćka, przerywając co chwila jego zatoczysty krakowiak sprzeczną adażią żalu. Tylko lekki ton goryczy tkwi w nucie tanecznéj; resztę dopowiada kontrast między bolesnym nastrojem adażiów, a skocznym rytmem głównego motywu. Taż sama nuta taneczna, dramatyzując się w finale, kończy obraz rozdzierającym widokiem skończonéj walki, ucichającym tonem wesołości, która pod ciosami boleści i rezygnacyi zamiera. Więc z pomocą prostéj i naturalnéj muzyczki, masz przed sobą całą scenę duszy w żywéj, prawdziwéj grze ruchu. Oto najbardziéj oryginalna strona geniuszu Moniuszkowego. Mało który z mistrzów, odważyłby się na tak prosty wyraz rzeczy, zwłaszcza, że sztuka

posiada w harmonii olbrzymie środki ekspressyi. Ale pod tą prostotą kryje się właśnie wielki geniusz, obdarzony siłą postrzegania, który swą sztukę tak umiejętnie prowadzi, że ona doskonale wtóruje rzeczywistym objawom serca polskiego, to jest owym obrazowym, zewnętrznym, przez ruch i fizyognomią wyrażającym się dramatom duszy. Tam nic nie ma zamaskowanego, tam poza ruchem i fizyognomią nie istnieją rzeczy, któreby potrzeba było harmonicznemi tłumaczyć orkanami. Za to też trzeba stworzyć w sztuce nadzwyczajną siłę i bogactwo życia, co się odnosi do sprawy oryginalnego geniuszu narodowego.

W wyższym szeregu piosennych utworów stoją ballady Moniuszki. Tu już duch nieco odmienny, bo szersza kompozycyi sfera. Mickiewicz, w swoich balladach i romansach, potrącił o tę sentymentalno-tragiczną macierz poezyi, która germańskiemu przewodzi duchowi; ale zachował obrazy i uczucia swojskie, jeno nieco skosmopolityzowane, wyprowadzone na obszerniejszy gościniec fantazyi. W muzyce znać-li ten powszechniejszy nastrój kompozycyi; lecz ona nie traci na oryginalności, nie przestaje być piękną przez piękność rodzimego geniuszu. Ma ballada charakter epiczno-dramatyczny. Fantazya tworzy tu obrazy napoły opowieścią, napoły czynnym udziałem osób. Wszakże muzyka rozstrzyga tę połowiczność i daje balladzie całkiem dramatyczną fizyognomią. Tu opis zmienia się w czynną akcyą osób i dlatego ballada przedstawia w muzyce niezwykły interes, że jest całym, skończonym dramacikiem. Takiemi są ballady Moniuszki, arcydzieła przedmiotującéj fantazyi. Zadziwiający tu ruch obrazów. Zmieniają się one, wiążą z sobą i charakteryzują, tworząc ład sceniczny, doskonały wyraz i prześliczną łączność rzeczy. Moniuszko umié z każdego słowa wyciągnąć obrazek i na żywą zamienić scenę. Obraz *Powrotu Taty* przedstawia na początku stroskaną żonę. Jéj uczucia szukają ulgi w macierzyńskiéj rzewności, więc się przelewają na dziatwę i z kolei w nutę religijną przechodzą. Tworzy się obraz modlitwy o szczęśliwy powrót ojca i męża. A jakaż to modlitwa! jak czysto z serca płynie ten paciérz, który matka dzieciom natchnęła! Wszak ta nuta wychodzi wprost z jéj tęsknot, bo jest w istocie tém samém natchnieniem, wypowiedzianém przez dzieci w paciérzu za miastem. Potém radosne powitania i scena zbójców niezmiernie żywo odmalowane. Pełną prawdy jest postać starszego zbójcy, On straszny, mówi tonem przerażającym, istny niecnota, w swém rzemiośle zaprawiony. Lecz w miarę opowiadania swego, uczucie w nim szlachetnieje, bo czyn wspaniałomyślny rozjaśnił duszę, bo jego serce paciérzem dzieci wzruszone. Pięknie i logicznie mistrz tę zmianę oddał. Rytm i figuryczność zostają te same, bo to ta sama postać surowa, nawykła do nieprawości; więc szorstka w ruchu i mowie; wszakże melodya i ton mowy, stają się coraz jaśniejsze, coraz harmoniczniejsze, malując stan duszy, jaki się w zbóju przez

rodzinne wspomnienia objawił. Nuta modlitwy powraca raz w kontrapunkcie, raz w otwartéj melodyi, prześlicznie modulowana, wiążąc z sobą dwa fakta: paciorek dzieci i nawrócenie zbrodniarza. Moniuszko nie umiał wyrażać myśli niepewnéj, nieszczeréj, powleczonéj gazą sentymentalizmu, lub zaprawionéj mdłą wonią romansu. Nie powiodła mu się scena kochanków w „Czatach", bo to scena wcale nie polska, rozwlekła, czułostkowa, którąby potrzeba barwą lubieżnych tonów malować. Otóż téj barwy nie posiadał na swéj palecie i ztąd wpadał w przymus, ilekroć się znalazł w obec przedmiotu romansowéj natury. On potrzebował ruchu obrazów, czynności szczeréj, a przedewszystkiém myśli jawnéj, dobrze określonéj, więc takiéj, któréj piękne pochodzenie i cel szlachetny, nic do obsłonienia nie przedstawiają. Ballady Moniuszki, o ile wielką mają wartość w sztuce, o tyle noszą na sobie oryginalną cechę twórczości polskiéj, że są obrazowe, przedmiotowe, że są płodem nadzwyczajnéj żywości władz twórczych. „Świtezianka," „Trzech Budrysów," „Rybka," „Magda karczmarka," są zaiste dziełami wielkiéj piękności w obec sztuki powszechnéj, ale już nieocenionego znaczenia dla narodowéj sztuki. Każda z nich zawiera jeden z rojących się w poezyi wizerunków myśli, każda przynosi na skrzydłach pieśni cudowną opowieść z ludu i z życia. Takiemi są ballady Szopena, uprzymiotowane nie dość jeszcze cenioną, nie dość rozumianą polską twórczością. Miał Szopen nadzwyczaj żywą a subtelną wyobraźnią; jego widzenia i uczucia roiły się w sceny, które trzeba odgadnąć i odczuć, a umieć tak w wykonaniu odtworzyć, jak się one ułożyły pod ręką mistrza; więc przedewszystkiém przedmiotowo, z pewną prostotą i naturalnością gry, którą wirtuoz powinien więcéj zewnętrznie, w duchu właściwéj poetyczności, niż indywidualnie prowadzić. Fatalne przekonania pomiędzy wykonawcami o indywidualizmie artystycznym, przywiedzionym aż do krańcowego zbytku fantazyi, żadnemu z mistrzów tyle krzywdy nie czynią, co Szopenowi. Bo jeśli przedmiotowe widzenia Szopena są za nadto subtelne, za mało rdzenne i dokończone, to tém bardziéj reprodukcya ich powinna być wypełniającą, poetyczną, narodowo-piękną.

Mocą sercowéj intuicyi, Moniuszko z dziwną prawdą widział psychiczne ducha ludowego odcienia. On chwytał jaźń wewnętrzną, nastrój duchowy i umiał zaśpiewać szczególną pieśń każdéj szczególnéj miejscowości. Melancholiczna rzewność cechuje w jego pieśniach duszę litewskiego mieszkańca, bo to dusza tkliwa, pamiętna prastaréj przeszłości, a zwłaszcza czasu panowania bogów, którym tyle na ołtarzach złożyła miłości, tyle najpiękniejszych darów przyniosła. Wszak z tą pamięcią bogów wiąże się czynów bohaterskich pamięć. Więc co wypowiedziała Witolorauda, co dosłyszał mistrz z odwiecznego echa gajów, co się rozległo chórem nad wodami Niemna i Dźwiny, to wszystko zebrał, przeniósł na karty pieśniarstwa, a odtworzył z ducha, z tętnic ludowych. Melancholiczna tkliwość, liryczna

powściągliwość w ruchu, pewna monotoniczna barwa, nader znacząco cechują to pieśniarstwo. Owszem, romanse Moniuszki, pełne melancholicznego nastroju, zdają się zawsze z ducha litewskiéj pochodzić muzyki. Ten sam nastrój gra w Mickiewicza romansach. Niepodobna téż uwagą pominąć, o ile takie utwory jak pieśń do Wilii, arye Kaźmierza w Hrabinie i Pielgrzym z Sonetów Krymskich, są pokrewnemi sobie, z jednéj romansowéj macierzy natchnieniami.

Wcale odmiennie rysuje się ukraińska dusza. „U nas inaczéj!“ śpiewał Bohdan Zaleski. I miał słuszność, bo tu dusza dziwnie zadumana i rozżalona. Potrąć ją, a obaczysz jakie ci wyda tony głębokie, żałośnie zawodne, niby głos z grobu porwany wiatrem, rozhulany po stepie, a potém odbity w duszy człowieka jednym przeciągłym jękiem. Dumka ukraińska to dramatyczny poemat stepu, w którym nie tyle żywioł miłości, ile żywioł wiecznéj, nieokreślonéj tęsknoty przemaga. Tu czumak na szlaku śpiewa jak zrozpaczony samotnością potępieniec, któremu sam na sam ciężko żyć na świecie. Tu płaczka zawodzi na pogrzebie i wieczornica głębokim ciągnie minorem, bo jéj przez cały dzień smutno było, bo jéj wzrok nie spotkał ani drzewka, ani ptaszyny i serce nie rozmawiało ani z naturą, ani z człowiekiem. Kozacką najczystszéj barwy pieśń odznacza zawsze ton daleki, głęboki. To charakterystyczne *portamento* trzeba w ustach teorbanisty słyszéć, jak porwane siłą przelatującego gammę głosu, zda się znamionować duszę, co w przepaście uczuć namiętnie się rzuca.

Już mnóstwem dorodnych melodyj wyśpiewuje kraj nadwiślański. One nie tak porywające, nie głębokie, ale pełno w nich różnobarwności i ruchu, bo tu każdy kącik zaludniony, pełno przedmiotów i życia, pełno kwiatów i owoców i światła i cieniów. Tu dusza szczęśliwa i swobodna, nie obciążona westchnieniami, więcéj pochopna do wesela niż do smutku, tryska brylantowemi ognikami radości. W nucie mazowieckiéj i krakowskiéj nie znaleźć zbyt chmurnych tonów, ani całą piersią wyrzuconéj żałoby; tu żal i tęsknota przelecą na chwilkę, dotkną serca lekkim tonem i znów dusza wesoła. Stan taki podaje się do najpiękniejszéj strony w wymowie muzycznéj, do modulacyi, do zmian tonicznych, co zwłaszcza przez falowanie dwóch trybów: majorowego i minorowego, doskonale charakteryzuje przyrodzoną łatwość poruszania się duszy. W pieśniarstwie Moniuszkowém roją się te piosenki, a wszystkie krótkie i nader rozmaite, dają nadto pewną miarę rytmicznego bogactwa, że są wizerunkami rzeźkiéj i obfitéj fantazyi, która nigdy nie spoczywa, która wciąż na zewnątrz coś nowego wytwarza. Takim jest krakowiak i mazur.

Krom tych miejscowych odcieni ducha ludowego, ze szczególném jasnowidzeniem wchodzi mistrz w charakterystyczne stany osób. Patrz jak tu muzyka dosadnie maluje dzielność żołnierską, jak piękną i krzepką przedstawia starość, jakie wymowne „Marzenie“ i rozdzierający smutek „Obłąkanéj“. Z wielkiém natchnieniem mistrz

wyśpiewał artystyczne nadzieje i zawody „Lirnika wioskowego“ w czterech pieśniach, z których trzecia jest perłą kompozycyi. Z równém też natchnieniem pojął męzką duszę Kochanowskiego, tę duszę, co umiała głęboko a po chrześciańsku nad stratą Urszulki boleć. A wszystko tak prawdziwie, a razem delikatnie ze szczegółów odcieniowane, że masz przed sobą nietylko doskonale schwyconą manifestacyę duszy ludzkiéj, ale ta manifestacya oddana ze strony najszlachetniejszéj. Ztąd w jego muzyce piękność jest wyższa od sensualnego piękna tonów muzycznych. Chcąc w Moniuszkowych utworach smakować, trzeba się pozbyć sensualnych nawyknień co do słuchania muzyki; trzeba się podnieść do ideałów poezyi i słuchać piękności muzyki przez poetyczną podniosłość myśli i serca. Przewaga poetyczności w muzyce jest dziełem bardzo niedawnych wzrostów sztuki. Ona stanowczy kierunek bierze od Beethovena, a rozwija się li na Północy, właśnie tam, gdzie sama duchowość poezyi najsilniéj się objawiła. Wszakże posłanników téj nowéj sztuki bardzo szczupły zastęp, bo tu nie wystarcza już nauka tonów i tradycyjne tajemnice artyzmu. Tu czegoś więcéj trzeba: geniuszu, wsłuchanego w prawdziwe harmonie życia, w nieprzebrane melodye serca ludzkiego. Do tego wybranego zastępu muzyko-poetów zaliczony być winien nieśmiertelny Moniuszko, zawsze przecież z tém odznaczeniem oryginalném, plemiennem, o którém w niniejszym rozdziale mowa.

Niepodobna pominąć uwagą, że utwory Moniuszkowe cechuje nadzwyczajna solidarność muzyki i języka, co także świadczy o jego przedmiotującym, oryginalnie polskim talencie. Jego pieśń traci w przełożeniu na obcą mowę; wygląda jak gdyby jéj odjęto drugą połowę, niby pień, na którym wzrosła. Są między mowami wielkie muzyczne różnice i wielce odmienne stopnie ich pokrewnienia się z muzyką. Mowa italska kształtowała się eufonicznie, z przeważnemi względami na akustyczną fizyologię, więc melodyjnie, tonicznie. Tu gramatyka, mając baczenie na wdzięk i artystyczną płynność języka, urabiała jego formy tak miękko, iżby one udzielały się wrażeniom niezmiernie ułagodzoną brzmiennością. Więc wyrzucała szorstkie szelesty, oczyszczała głos z niepięknych współbrzmień, dając słowom uroczą wypukłość, niby cudowną rzeźbę niewieścią. Ztąd też w téj mowie zupełny brak ruchu i energii; jéj obrazy nie jędrne, nie wytryskujące ze słowa, ale symbolicznie w dźwiękach utajone. Najpiérwsze wrażenia italskiéj mowy dają słodką nieruchomość, jako symbolikę namiętnie rozkosznych uczuć, pozujących wytwornie, giętko, upajająco. Dlategoż mowa italska niknie w muzyce, że jest sama muzyką; ona spływa z tonami w jedną melodyę, w jeden strój, pełen aukustycznego wdzięku, a w ślubie tym nie oddzielają się wyraźnie trzeźwa treść od symbolu, rzeczownik od swéj idealności muzycznéj. Dlategoż i ruch w muzyce italskiéj nie wynika z zewnętrznych, przedmiotowych ruchów, ale jest jedynie ryt-

miką melodyi, niewolną, nie wyswobodzoną, poddaną zupełnie uczuć liryzmowi. Tu rozmaitość ruchu jest raczéj rezultatem klassycznego stylu, brawurą mistrza, ile że i dramatyczność włoska więcéj na wyrzuceniu głosu, na wibracyi dźwięku, niż na obrazowości polega.

Wiele inaczéj z muzyką się spolą mowy germańskiego szczepu. Tu ogromna energia i ruch niezwykły, ale one wewnętrzne, nie fizyologiczne, lecz psychologiczne. Mowy germańskie nie mają nic do zaprodukowania akustycznego, bo tu sama szorstkość i nieczystość wibracyi, pełno dyssonansów głoskowych i drażniących szelestów. Siły mowy skoncentrowane tu są we wnętrzach psychicznych języka; one olbrzymie, potężne, a poznasz je nie z pięknych kształtów, nie z barwy i dźwięku, lecz z treści, głębokim zarysowanéj rylcem. Mowy germańskie nic nie mają z melodyą muzyki wspólnego, bo jak ruch w nich jest tajemniczy, ukryty, wyrażony przez dyssonanse słowa, tak ruch muzyki niemieckiéj nie rytmiką, lecz harmonicznym zapładnia się dyssonansem. Że dyssonans nie porusza pojedyncze tony ale akordy, tedy muzyka w sztuce germańskiéj chętnie odstępuje od melodyjnego związku ze słowem, zamieniając się na samodzielną muzykę harmonii, na pełną energii i psychologicznéj treści, olbrzymią mowę chóralną.

Polski język nie pozuje na akustyczne powaby, niéma pretensyi do zbytku melodyjnego. Owszem, jego chrzęsty i twarde spółgłoski oznaczają pewną męzkość, pewien hart wibracyi, która w połączeniu z czystą intonacyą głosek, daje mowie rzeźki lecz miły wyraz, razem poważną i lubą fizyognomię. Tu pełno ruchu i rozmaitości przedmiotowéj; każde słowo rdzennie i treściwie przedmiot nazywa. Ono go chwyta ze strony obrazowéj, więc mnóstwo tu farby i kształtów, rysów, postaci i figur rozlicznych. Rzecznik polski, byle umiał dobrze swéj mowy użyć, wypowié swoją ideę samemi obrazami; one mimo jego wiedzy z każdego słowa wytrysną. W dawnéj rozmowie towarzyskiéj, w gawędzie chłopka polskiego, wszystko o czém mowa, rusza się i żyje, a nadto takim żywotem, jak go polska wyobraźnia pojmuje, więc zdrowym i krzepkim lecz nie nerwowym, poetycznym lecz nie abstrakcyjnym. Ztąd wielka rozmaitość naszéj mowy, ile że w niéj panuje niewyczerpana swoboda pod względem słów użycia. Tu fantazya znajduje obszerne pole do wyrażenia treści, więc od wspaniałéj powagi i dostojnego tonu, stroi się z wielką łatwością w przeróżne szaty humoru, miłości, zgoła we wszystkie światła i cienie, któremi wyobraźnia szafuje. Samo przez się malownicze, słowo nie potrzebuje wielkich przydatków i rozwlekłéj frazeologii by rzecz zarysować. To go oswobadza, rozwiązuje jego czynność i dlatego pozwala mu służyć do składania niezliczonych obrazków, postaci i ruchów, wedle bogactwa i żywości fantazyi. Patrz jaka rozmaitość języka w naszéj literaturze pięknéj z czasów ostatnich: tu kwiecistość nieporównana, tam prostota i jasność, ówdzie ogień i siła, a każdy poeta wypowiada wszystką treść swoją, nie

znajdując trudności do odtworzenia najoryginalniejszych rzeczy, do ugrupowania najrozmaitszych widzeń. Brak polskiemu językowi wyrażeń filozoficznych, nazw abstrakcyjnych i wielka mu z tém na dzisiaj biéda. Za to w stosunkach życia rzeczywistego, więc w związkach serca i w ślubach z naturą, mowa nasza pięknie i bogato uposażona. Ona ma postać poetyczną i poetycznie się zaleca, więc przedewszystkiém z obfitéj treści objektywnéj, pięknie malującéj ruchy i dramaty życia. Że przechodziła nie przez artystyczne, lecz przez poetyczne kształcenie, tedy brak jéj elegancyi i delikatnego cieniowania; wszakże ma za to niezrównaną swobodę ruchu, intuicyjną obrazowość i powagę słowa.

Otóż ta mowa dziwnie pięknie przy muzycznéj odbija melodyi. Ona ją dopełnia, stawiając obok miękkiéj symboliczności uczuć, tych uczuć trzeźwą, obrazową stronę. Nie masz nic równie doskonałego jak zestrój dwóch sztuk idealnych, dwóch najszlachetniejszych umysłu i serca tłumaczy: mowy i muzyki w logicznym do siebie stosunku. Wśród swobodnego, a jednak łącznego rozwijania się obojga, słuchacz ma sobie zarowno umysł jak serce zajęte; bo muzyka, z pomocą treściwego słowa, odsłania cudownie swą symboliczność, zaś słowo, z pomocą muzyki, pięknością wciska prawdę do duszy. Taka męzka mowa i taki jéj do muzyki stosunek, to znakomita dla sztuki dramatycznéj dźwignia.

Rozumnie i estetycznie spoli Moniuszko poezyę słowa z muzyki poezyą. Lubo jego melodya już sama przez się jest polskiéj natury, toć słuchacz jeszcze bardziéj ją za swoją bierze, jeszcze więcéj ją kocha, że przejmuje organ myśli poetycznéj, że mu sztuka razem prawdę i piękno uczuć przedstawi. Mistrz nasz znał naturę języka. Jego formy muzyczne idą w doskonałéj parze z językowemi formami, co już stanowi ważnéj zasługi tytuł. Wszak to praktyczne rozwiązanie teoryi, nad którą zdawna francuzka i niemiecka mozolą się szkoły, nie dając sobie rady z licznemi formułkami, z nieugiętą przepisowością swoich języków. Patrz, jaka swoboda metryczna, jaka obfitość form, jaki piękny a logiczny w kompozycyach Moniuszki porządek. Kompozytor nie odrywa się ani na chwilkę od estetycznéj spółki, nie zapuszcza się w oderwaną symbolikę, ale prowadzi swoje muzy łącznie w ślubnéj harmonii. Słowo polskie daje utworom Moniuszki trzeźwość, stanowczość i powagę poetyczną; zaś muzyka ze swéj strony dorzuca to, co ma pięknego, co z delikatności, z idealnych uroków na uduchownienie słowa dać może. Umiał téż Moniuszko wartość języka uwydatnić, a w danych razach tak stanął ze swoją melodyą, że słuchacz już nie samo idealne tonowanie, ale ma sobie podaną swéj mowy muzykę. Uważ w „Halce" aryę stolnika. Tam dużo instrumentalnéj krasy, malującéj uprzejmość gospodarza i uroczystość chwili, dużo uradowania i jakiejś lubéj, rozrzewnionéj serdeczności. Ale pniem, na którym te orkiestralne brylanty świecą, jest sama szczerość i powaga staropolskiéj oracyi: „o mościwi mi

panowie!“ Tam każde słowo waży i z téj wagi zdaje się bezpośrednio wychodzić owa czarodziejska moc muzyki, owe idealne rysunki sercowych wzruszeń, niby orszak cherubinów i symbolicznych piękności w około poważnego obrazu. Cherubiny tłumaczą co się w sercu osoby dzieje, ale naoczność serca musi być przez samą fizyognomię przedstawioną. Z tego względu jest muzyka Moniuszki prawdziwą melopeą, rozwiniętą przez nadzwyczajne dzisiejszéj sztuki wokalne, harmoniczne i instrumentalne dźwignie.

Dwóch mistrzów w sztuce muzycznéj wydała nam ostatnia epoka poetyczności polskiéj: Moniuszkę i Szopena. Świetny to wieniec chwały, który przez nich muzom krajowym się dostaje. Wszakże już dlatego samego godzi się, iżby te muzy, tak wspaniale na wstępie obdarowane, bliżéj się przypatrzyły estetycznemu swych mistrzów szlachectwu. Pomimo wspólność pochodzenia, pomimo ten sam charakter twórczości, Szopena geniusz wiele od Moniuszkowego się różni. Szopen należy do liczby tych wybranych romantyków, których formy muzyczne duchem najidealniejszéj poezyi natchnione. Pod względem melodyi Szopen jest nawet najpierwszym i jedynym. On piękno śpiewu tak znaczącém uczynił, do tak wielkich godności poetycznych podniósł, że nikt przed nim, a zapewne że nikt jeszcze po nim nic podobnie idealnego nie stworzył. Wynika to z owych wysokich polotów poezyi polskiéj, które w pewnych momentach znalazły się aż na granicy egzaltowanego idealizmu, a które to momenta w marzycielu muzycznym, niewysławioną, nienaśladowaną zaznaczyły się pięknością. W natchnionéj melodyi Szopena jaśnieją przymioty duszy polskiéj, ale już sławą najpromienniejszą: prostota i czystość swą apoteozą, uczucia anielskim wyrazem, sama miłość wyróżnia się delikatnym karminem, jak gdyby była oczyszczeniem téj, co wszystkie wypełnia serca i zbyt ziemskim rumieńcem płonie. Szopen śpiewał same delikatności duszy, same wybrane tęsknoty, żale i radości. W jego niewieściém sercu tworzył się świat tak dostojnych piękności, że ich zapewne przez obrazki Szopenowskie nie obaczy kto inny, tylko wielką delikatnością uczuć uposażony poeta. On nie może być rozumianym jak tylko przez wysoko artystyczne dusze, bo jego melodya, to najsubtelniejsza tkanka widzeń i uczuć, niby w niebieskich obłoczkach odbita prawda piękności życiowych. Otóż w tém on jest różnym od Moniuszki, który więcéj czerpał z saméj prawdy, z istoty życia, i lubo delikatny w uczuciach, śpiewał to, co jest żywym przymiotem serca, co trzeźwą duszy treścią. W idealizowaniu Moniuszko nie dorównywa Szopenowi. On nie pokusiłby się o równie romantyczne traktowanie prawdy i nie umiałby może przedstawić postaci narodowéj w tak idealnéj fantazyi, jak to uczynił Szopen w swoim polonezie. On nie malował tak idyllicznie, w tak illuzyjnéj perspektywie chłopka tańcującego w karczmie. Moniuszko nie patrzył z oddalenia i nie zarzucał na żywot zbyt idealnéj obsłony.

Szopen przeciwnie, patrzył wzrokiem niewieścim, więc do marzącéj i niezwykle delikatnéj duszy swojéj, domierzał uczucia i obrazy ukochanego ludu.

Sfera poematów Szopena niezmiernie wysoko się wznosi. Nieraz myśl jego zrywa wędzidła świata, unosząc duszę, uczucia i wyobraźnię w przestrzeń bezbrzeżnéj egzaltacyi. Tam nawa jego buja swobodnie; tam upojony widzeniem, on rozmawia z bogami. Usłyszysz z ust jego niezwykle silne słowa, których wyrzec kto inny nie miałby odwagi, które ci się wydadzą bluźnierstwem, rzuconém na czczone przez pospolitą rzeszę świętości. Znów cię wprowadzi w szafirowe pałace, kędy pieśń cherubinów rozdźwięcza, a jest ledwie przypomnieniem ziemi. Nikt też lepiéj nie zrozumiał Szopena, jak rodzony mu brat po duchu, Kornel Ujejski. Patrz jak sobie podali ręce w preludyach, jak je wyłożyć umiał poeta. To samo powiedzieć należy o Sonacie (dzieło 35), któréj dwie części: marsz żałobny i finał, znalazły na język polski wytłumaczenie. Kroczy za trumną straszny mocarz żalu. A raczéj nie kroczy, bo go wiodą pod ręce; on pijany i okropnie rozdarty, nie wié nawet dokąd go prowadzą. Tylko jęk dzwonów, przeraźliwie w piersi uderzając, przypomina mu, że stracił skarb drogi. Bóg go zdeptał, wszakże on większy od Boga, bo jest królem boleści. Lecz oto anielska melodya drugiéj części marsza przerywa szał i myśl do nieba podnosi. To beatyfikacya uczuć, wspomnienia niebiańskich przymiotów ukochanéj, poetycznie egzaltowane uczczenie pamiątek, zostawionych przez nią w sercu. I znów trumnę niosą, a on wściekły, woła: precz z drogi! chce się rzucić w grób żywcem. „Ty grabarzu, by takiego pogrześć króla, ile chcesz mój bracie?“ A któż go wstrzymać może? Wszak nikogo nie prosił o życie, więc ma władzę wyjść z niewoli. Owoż tak okrutnym wystawił poeta obraz bólu w marszu żałobnym. Finał jest dalszym ciągiem lirycznéj historyi tego mocarza. Otoczony przez czarodziejki, że mu chłodziły serce zranione, przyrzeka im sławę. Bo on twórca mocny, a kto go dotknie—nieśmiertelny. Więc płyną jasnowłose, ciemnowłose, a czeka ich sława, że dotykały serca wielkiego mistrza. Miłości im nie da, bo ta co duszę jego rozumié, w wiecznym śnie leży.

Dowiedzieć się jednak trzeba, że ta dusza, co tak wysoko syciła się poetyczną egzaltacyą, zapadała w wielkie z sobą niezgody. Szopen potykać się musiał o życie, o treść jego rzeczywistą; owszem, sam widział piękność żywotną, tę, która ma za sobą powagę prawdy, a któréj ideały roztaczają się wielkiemi, olbrzymiemi ducha ludzkiego tworami. On nieraz chciał im sprostać, pokuszał się o odtworzenie jakiéjś większéj idei w sztuce, a oto zamiast siły, przychodził mu na pomoc ów rozpieszczony geniuszek, co cudowne improwizował wierszyki, ale na walny poemat zdobyć się nie mógł. Szopen był żeńskim geniuszem. W estetycznem władz twórczych gatunkowaniu, żeńskie geniusze odznacza pewna sprzeczność, ztąd się wyradzająca, że więcéj

czują i widzą, niż mają do wyłonienia się mocy. Pełno jest w takich duszach rzeczy nieodpowiednich ich siłom i dlatego jeśli z jednéj strony żeńskich geniuszów produkcye mgłą zasłonięte będą, to z drugiéj też produkcye okażą na jaw ich stan rozdwojony, indywidualny, niepojęty dla ogółu. Geniusz żeński nie widzi jasno, nie umié regulować swoich miłości i odnosić je do właściwéj przedmiotowości. On kocha całém sercem, lecz nie ogarnia istoty swoich miłości. Więc nie umié sobie zdać sprawy ze swoich utęsknień i niéma dość siły na zaspokojenie ich. One też nieraz buntem się wzmogą i straszliwym dyssonansem w duszy zaryczą. Szopen, nieraz znajdował się pod brzemieniem niczém nie spowodowanego ciężaru. Wszystko zewnętrzne, co go obchodzić mogło, uśmiechało się doń pomyślnością i szczęściem, a on jednak pełen goryczy i zniechęcenia. Otóż to stan moralnego roztroju, którego przyczyną jest sam wewnętrzny niedomiar władz psychicznych. Szopen, nigdy nie umiał nazwać swoich utęsknień, ani wskazać sobie do kogo się odnoszą miłości serca jego. Te miłości tak się gmatwały, że niepodobna oznaczyć jakie były w jego życiu granice miłości syna, kochanka, przyjaciela, sztukmistrza. On je wszystkie łączył w jeden zwój nadzwyczajnych upragnień, nieświadomie tłoczących serce, uciskających trzeźwość moralną. Usposobienie to odbiło się w niejednéj kompozycyi Szopena tak niesfornemi rysami, tak odstępną symboliką, że nie wytłumaczyć ich ani ze strony poezyi, ani ze strony sztuki. Ztąd nieudolność Szopena co do odtwarzania rzetelnie pięknych, naturalnych obrazów, że każdy moment poetyczny wnet się przeradza w jego wyobraźni na niezwykłe widzenie. Wszak nie we wszystkich nokturnach Szopenowskich znajdziesz piękno, które każdy, jako uczestnik romansów natury z człowiekiem, wyobrazić sobie może. Tu nie malowniczą ciszę i spokojne marzenie, ale obaczysz wśród nocy jakieś oderwane widziadła, senne postacie i cienie, to znów świetne orszaki lub rozdzierające dramaty. Więc dla uniknienia sprzeczności między przedmiotową nazwą, a zawartą w niéj treścią, trzeba iżby wirtuoz i słuchacz te same widzenia mieli. Toż nierównie mniéj niż romantycznéj przedmiotowości, mógł Szopen podołać tym zadaniom sztuki, które wynikając z tradycyi klassycznéj, przynoszą ze sobą warunki skończonéj, doskonałéj formy. Tu już niezbędny spokój i panowanie nad sobą. Sonata zupełnie się nie powiodła naszemu idealiście. A miał on upodobanie do artystycznych wielkości, zwłaszcza do tych, co szerokim stylem, wspaniałym ruchem i świetną znaczą się koloraturą. Wszakże on te wielkości umieszczał najczęściéj w drobnym zakresie formy, więc tworzył nieustosunkowaną proporcyę pomiędzy zadaniem sztuki a swą fantazyą, co również na sprzeczność, na niemoc wygląda. Wiele utworów Szopena nosi na sobie cechę niedokończonéj, rozrzuconéj obrazowości. Poczęta cudownem natchnieniem kompozycya, czaruje zrazu słuchacza, wprawia w stan lirycznych słodyczy, obiecując mu wiele z całości, z treści poetycznéj; lecz

nagle solidarny stan natchnienia urywa się, bo mistrza napadły osobiste cierpkości, lub mu się ukazał jakiś obraz o szerokich rozmiarach, wyniosły a oderwany. Nie dziw tedy, że słuchacz Szopena nieraz jest postawiony na rozstajnéj drodze, że nieraz żal cierpi do mistrza za przerwaną rozkosz, za niedokończoną piękność. Jakże się od tych ostatnich wyróżniają te prześliczne całostki, które mistrz tworzył w chwilach szczęścia i spokoju, kiedy dusza nie zaznała jeszcze roztrojów, lub kiedy od nich na chwilę uwolnić się umiała. Tam piękność tworzenia Szopenowskiego jest nieocenionéj wartości, zwłaszcza ze względu na idealną prostotę i czystość melodyi. Że stykanie się z siłami życia drażniło tę delikatną duszę, przeto Szopen chętnie się zamykał w sferze wybranéj, dostojnéj, lecz ciasnéj. On nie mógł dostać na wielkiéj arenie sztuki, nie poetyzował z naturą, z ideałami powszechnemi, ale się obwarowywał szczupłą i niedostępną towarzyskiego koła granicą. Salon, zwłaszcza ów polski, który tak pięknie ostatniemi czasy wyidealizował poetyczność naszą, lecz przybrał się we formę obcą, był Szopenowskiego artyzmu opiekunem. Ztąd ta dwoistość w jego kompozycyach: duch miłości rodzimych i forma częstokroć nie swojska, zbyt romantyczna, wytworna, ale nie jasna. Nie dziw tedy, że jakkolwiek Szopen miał atrybucye wiekiego mistrza, przecież nie mógł się zdobyć, jak na maluczką formę poematu; nie mógł rządzić, jak tylko jedynym, indywidualnie mu poddanym instrumentem.

Moniuszki twórczość męzkim odznacza się przymiotem. On wzrokiem spokojnym ogarniał całą jaźń polską, historyczną i społeczną, a w swéj duszy słyszał poetyczny chór rodzinnéj ziemi. Już sam bogaty zbiór pieśni jego stanowi muzyczną epikę, w małych, skończonych całostkach. One mogą być wielce ważnym materyałem dla każdego kształcącego się w ojczystéj sztuce muzyka, bo z nich niewątpliwie dałyby się czerpać motywa do dramatycznéj w duchu polskim kompozycyi. Jakoż owa w działalności Moniuszki epoka piosenna, która mu całą młodość zajęła, była przygotowaniem do téj drugiéj epoki, w któréj dojrzały geniusz, miał zbiorowemi organami sztuki zarządzić i dać krajowi wielkich rozmiarów sceniczne poematy.

V.

Sprawa dramatu polskiego. Jego żywotne źródła. Moniuszko i Fredro. Liryczny motyw i charakterystyczność są dźwigniami opery Moniuszki. Znaczenie lirycznego motywu. Halka. Hrabina. Straszny Dwór. Flis i Verbum nobile.

Sprawa dramatu, równie jak sprawa ogólnéj sztuki, gorąco zajmuje umysły polskich badaczy, którym idzie o to, czy są w łonie narodowego ducha dramatyczne pierwiastki. Otóż, zaczepiając tę sprawę, niepodobna pominąć rozwijających się dzisiaj o sztuce

teatralnéj pojęć filozoficznych i nie przymierzyć tych pojęć do rzeczywistości. Prawią myśliciele, że teatr jest równie wysoką społeczną instytucyą, jak kościół i szkoła. I mają zupełną słuszność. Dramat, w swéj istotnéj wartości, jest unaocznieniem przez sztukę wszystkich zadań ludzkości, jéj przymiotów i popędów, jéj walk i usiłowań. Skoro wiek nasz, zatroskany wskazaniem najlepszych i najprawdziwszych dla ludzkości kierunków, nie zaniedbuje żadnego przymierza między myślą, uczuciem i sumieniem z jednéj, a czynami z drugiéj strony, miałżeby pozostać obojętnym na jednę z najważniejszych instytucyj, która przez żywą, organiczną siłę piękna na to przymierze wpływa? Człowiek przejrzały, zużyty, obejść się może bez widoku strony pięknéj w życiu. Jego zgrzybiałego serca i stwardniałego sumienia już nie poruszy to, co się zaleca grą i obliczem. Tylko zużyte społeczeństwa zakopują się w martwych literach mądrości, przeżuwając minione wrażenia, przypominając przebrzmiałe dźwięki. Przeciwnie, społeczeństwo młode, wpatrzone w przyszłość, uposażone wigorem żywotnym, nie ma cierpliwości samą głuchą nurtować księgę; ono ją źle zrozumié, skoro zawartéj treści nie przegląda w zwierciadle, nie przymierza do prawdy i do własnéj duszy. Jego władze żywe, pulsa drgające, dają się najlepiéj powodować wrażeniami natychmiastowemi, posiadającemi tajemniczą moc uszlachetniania, zagrzewania do czynu. Kazalnica, katedra i trybuna z jednéj, zaś teatr po drugiej stronie, oto najdzielniejsze instytucye społeczne. Nigdy utajeni nauczyciele, co są bez głosu i fizyognomii, nie przemówią do serca, bo ich mowa nie drga żywém natchnieniem, jeno cichym, nieruchomym szeptem z myśli do myśli przechodzi. Temi instytucyami Grecya się rządziła, gdy była w całéj pełni żywota i dlatego stała nierównie szczytniéj pod względem uczuć i czynu, niż późniéj, gdy zachorzała na głuchą mądrość i duszę swą metafizycznéj dyalektyce wydała.

Sztuki dramatyzują się w naszym czasie. Jak w wiekach średnich było umnictwo wyrazem idei mistyczno-religijnéj, jak przez odrodzenie wstąpiło na połowiczną drogę między pogańską a chrześciańską idealnością, tak dziś poezya, muzyka, malarstwo, chcą wyrażać ideały ludzkie, prawdę życia; więc zstępują do głębin ducha, rozwierają tajemnice serca, wskazują moralne piękno. Dramatyczność sztuki najbardziéj zajmuje dzisiejszego uczestnika, bo to czas po temu, czas jego wyzwoleń, w którym grają wszystkie tętna, dawno tłumione upragnienia i niepoznane echa wewnętrzne. Ów uczestnik obojętnie spojrzy na renesansowe arcydzieło, ale zapałem się przejmie dla ruchu i czynu w sztuce, bo on czyn dzisiaj najlepiéj rozumié, bo to naciągnięta struna chwili obecnéj.

Owóż, gdy zasada ruchu i czynu zdaje się być na dobie w rozwijaniu się nowoczesnéj idealności, słusznie, że koryfeusze społeczni zwracają na ów kierunek uwagę, że chcą korzystać z usposobień ducha i podnieść teatr do znaczenia wysokiéj moralnéj

instytucyi. Lecz baczmy, że to pojęcie sztuki, jakkolwiek nie bez wpływu na pojedyńcze usiłowania, jest w ogóle na stopniu szlachetnych życzeń, więc raczéj teoryą, niż praktyką się utrzymuje. Praktyka wskazuje, że dramat żywotny, narodowy, aby miał potęgę moralną i wpływ niezaprzeczony, musi wychodzić ze społeczności zdrowéj, pełnie rozkwitającéj. Ta tylko społeczność zarabia sobie na dramat, która ma byt polityczny i moralny, a odznacza się jednią i spójnią, niby artystycznie uorganizowana całość, gdzie każdy człowiek jest razem obywatelem i osobą, członkiem i całostką. Tymczasem narodowości obecne trapi zbytnia niecierpliwość temperamentu. Ich postęp nacechowany ruchem gorączkowym, niespokojnym i peryodycznie burzliwym. Ztąd ciągłe zahaczanie się bytu, tamowanie samodzielności, ujarzmianie osoby, którą co chwila krępuje narzucony sobie ucisk, ów w różne postacie przybrany doktrynujący tyran. Dlatego każda produkcya dramatyczna nosi na sobie tę cechę gorączkową: jest niedokończoną, wytworzoną z przejściowéj chwilki. Jako poród paroksyzmowy, oua nie może starczyć na dobę pokojowéj intermitencyi i na odwrót. Wynika ztąd powódź spekulacyjnéj miernoty, która lotem chwytany fałsz za prawdę podaje, a jest raczéj wyrazem publicznego epikureizmu, niż szkołą moralną.

Wglądając bliżéj w istotę dramatu, spostrzegamy, że konieczną dźwignią jego jest z jednéj strony swobodnie czyniący świat uczuć i namiętności, z drugiéj filozoficzna intuicya. Tamte stanowią przedmiot, niewyczerpane zbiorowisko faktów, różnolicowość żywota. Serca grają, duchy obliczem występują, czyny w szeregi następstw się wiążą. Ale trzeba iżby ta treść żywota miała swoje świeczniki u góry, więc owe natchnione wieszczki—moralność i poetyczny geniusz, które na fakta pozierają, a umieją ich związki duchowe odgadnąć, kierować ku celom wzniosłym, zgoła w widoku dobra przedstawiać. Prawda ludzka, spoczywająca na dnie sumienia, a ujawniona przez intuicyą, dostępuje godności ideału i niespożytéj wartości nabywa. Te dwie dźwignie zdają się być sprzecznemi. Trudno nam pojąć istnienia w jednéj jaźni społecznéj tak doskonałéj równowagi, jak ta, gdzie obok żywych uczuć i namiętności, pochodnia światła jaśnieje. A przecież był w rzeczywistości wzór téj równowagi. On pobudzającém świadectwem pozostał w przekazanych nam starożytnego świata pomnikach i z niego to czerpią myśliciele nasi, gdy ogół żyjący, pomimo swéj chrześciańskiéj wyższości i może właśnie dlatego, jeszcze do żadnéj równowagi nie przyszedł. I nie dziw. Oto z dzisiejszych społeczeństw, jedne mają uczucia i namiętności, ale brak cierpią wyższéj intuicyi; innym jest dane poczucie moralności i jasne rzeczy widzenie, lecz za to okazują życie znieruchomione, zgnębione; tamtych trapi sceptycyzm i materyalizm, tych osłabiają choroby serca. Francuzka społeczność pięknym i bogatym posagiem uczuć obdarzona. Lecz że jéj filozofia, owa niegdyś potężna siła moralna, przestała być natury budującéj, jeno rozprzęga i rozkłada, przeto

uczucia zamieniają się tu w szał namiętności, w burzę czynów. Życie przedstawia widok zakotłowanéj amalgamy, gdzie rzeczy czyste i brudne, piękne i szkaradne, obok siebie wirują, a nie masz ktoby to mądrze rozgątunkował; owszem, poeta i sztukmistrz zanurzają rękę w amalgamę, dobywając ztamtąd perłę i szmaty bez należytego rozbioru. Tu dramat tak mało ma dodatnich warunków, że myśliciele francuzcy, zwłaszcza owi pozytywnéj szkoły, zupełnie wątpią o wyższém, moralném teatralnéj sztuki znaczeniu.

W obec tych zachodnich zwątpień, stoi filozofia słowiańska ze swą wieszczą naturą. Ona prosta, bo uczuciowa, czém właśnie nad systematami zachodnich mędrców tryumfuje. Bo czyliż filozofia Kantów i Heglów nie zagląda dzisiaj do dworka staropolskiego, gdzie pełno powag i świętości, spokoju i szczęścia, choć ich nikt palcem nie dotykał, jeno miłością i wiarą tworzył? Wzrok serca obaczył tu wszystkie absoluty, które się wymknęły metafizykom i bezwzględnym czcicielom rozumu; oni téż w odmęt wpadli, choć prawdy duchowe tak blizko nich leżały. Ale ta mądrość słowiańska, niby sfinks wśród bieżącego ruchu umysłów, wygląda, jak gdyby zamkniętą w sobie była. Ani historya, ani żadna z nauk biologicznych, nie umieją wytłumaczyć wynikającego z niéj życia. Co znaczą, z jakiéj idei, z jakiéj siły ducha wychodzą owe splątane na pozór czyny, które niewidzianym przykładem zaparcia i poświęcenia, niesłyszanym krzykiem rozbicia świat zapełniają? Są w tych przykładach jakieś wielkie, lecz nie dość odsłonięte rzeczy. Nie dziw, że lęk zdejmuje naszych poetów i sztukmistrzów, ilekroć im wypadnie dotknąć przeszłości i faktów, o których mało mają wieści rzetelnych, naukowych, a wiele sądów dowolnych i sprzecznych. Brak słowiańskiéj mądrości czegoś, co rządzi, organizuje i skupia w obec wypadków codziennego i historycznego żywota; brak jéj nadewszystko pierwiastku rozumowego, co zapobiega smutnéj konieczności zamykania ducha, a uczy praktycznéj używalności darów wewnętrznych. Słusznie tedy zamknięty duch woła o rozum i naukowe ćwiczenia, bo tylko przez pełnią władz urość może w życiu słowiańskich narodów pełnia czynna i kreacyjna. Taki zestrój władz duchowych, to niby płciowy związek, z którego mnóstwo rodzi się rzeczy, a między innemi geniusz wynalazku i sztuki. Spokojnie i błogo we wnętrzu człowieka, gdzie burza porządku nie mąci i na próżnią nie wymiata. Co chwila układają się tam miłostki, odbywają się schadzki, rysują wrażenia. Niechże je w tym ruchu pochwyci rozum i wykształcona wyobraźnia, a już stanie do bytu rzecz piękna lub użyteczna.

Tymczasem, przy tak niedomierzonych warunkach w udzielnych społeczeństwach, niewątpliwie łatwiéj jest stworzyć dramat powszechny, ogólno-ludzki, niż narodowy. Tam obszerniejsze pole, jaśniejszy zakres czynów i dążności, wyrazistszy ruch zewnętrznych działaczy i wewnętrznych sprężyn. Tam panują pewne niewzruszone zasady,

do których, pomimo chwilowe bunty, zawsze ludzkość powraca. Jakoż, nierównie snadniéj na horyzoncie powszechnym stają przeciw siebie owe dwie majestatu dramatycznego moce: psychologia czynów i duch poety-mędrca. Ale czy pewna jest, że w takiéj kreacyi zasmakuje ów wyzwalający się uczestnik cywilizacyi, który pragnie, iżby sztuka dotknęła jego sukni i ciała, iżby drasnęła skalpelem duszę jego, a zbliska podała fotografią twarzy i ruchu?

Niepodobna wiedzieć, jakiém okiem spojrzy na czyny a na wielkie wypadki historyczne filozofia słowiańska; wedle jakich zasad moralnych a estetycznych, utworzy się pojęcie polskiego na wielką skalę dramatu. Obaczmy jednak, jak on się rysuje sam przez się, w obec upowszechnionych i obowiązujących obecnie praw tworzenia. Skoro duch ludzki umié tak wznieść się wysoko, że uznaje nad sobą moc wyższéj woli, skoro serce tworzy sobie świat obowiązków tak prawomocnych, że każde przeciw nim wykroczenie staje się własnym ciężarem—to już takiemu duchowi nie co innego, jeno same harmonie są pożądane. Łatwo wówczas godzi się serce z najcięższemi warunkami życia, a spokojnie przyjmuje ciosy, bo umié godzić nieprzejednania, osładzać kwasy, ujarzmiać ostrość stosunków. Tam stępione żądze, bo serce, co potrzebuje dawać, nie umié namiętnie pragnąć; więc nieznane mu hydry nienawiści, zazdrości i zemsty, zgoła szarpiąca nędza człowieka. Wnijdźmy do takiego ducha, a obaczymy, że jeśli w danéj chwili zaszumią tam grozy i ozwą się jęki, to wnet nastąpi cisza i jasna pogoda, która nie dopuści na jaw rozdwojenia, nie da rozpasać się biedzie, aby na zewnątrz zbyteczną szarugą rozlała. Więc cały dramat odbędzie się w tajemnicy, w obec jedynego świadka, w obec duszy saméj. Ów dramat rozleje się smutkiem na obliczu, skargą lub żalem w słowie, wybuchnie nawet gwałtownym czynem, ale nigdy nie spadnie zbyt nizko, nie pociągnie za sobą ducha w odmęt przepaści. Taką jest natura polskiego serca. W czynach możnych paniąt polskich, w odegranych przez nich dramatach historycznych, znać zaślepioną dumę, która wypiastowała w sobie zbyteczną na urazy drażliwość. Ale ich czyny, lubo niecne, mają zawsze za sobą tę dodatnią stronę, że nie przez materyalną poduszczone nędzę. Dlatego, choć owe rokosze mąciły i osłabiały kraj, lecz nie upodlały samych aktorów, którym téż łatwo przychodziło obudzić w sobie skruchę, przejrzéć, przeprosić, a serdeczną zgodą rozterk zakończyć. Przy takich warunkach psychicznych, dramat nie zaciąga się w fatalne, w nieprzejednane następstwa. On traci na sile, bo mu brak wielkich sprzeczności i ciężkich bojów widzialnych; bo mu niestaje pełnéj i rozwiniętéj karyery dla cnoty a zbrodni. Poetyczną treścią roztacza się dramat Augusta i Barbary. Pełno tu uczuć, nadziei i zawodów, pełno przeszkód i walk. Ale wszystkie one leżą w tajemnicy, lub czynią łagodnym ruchem, nie manifestując na jawie wyraźnego gwałtu. Tu grają rolę przedewszystkiém piękne dusze, wzniosłe charaktery. Szlachetnym jest August, prześliczną

dusza Barbary, dostojnie się stawią posłowie, a osobliwie Boratyński. Cała rzecz idzie prawie bez intrygi, prostym a uczciwym torem. Jakoż, pomimo piotrkowską opozycyą, naród się godzi z wolą królewską, a nawet zacięci przeciwnicy: Stadnicki i Kmita, niosą mu w końcu pojednanie. Najtragiczniejszym jest moment, kiedy naród, przekonany stałością Augusta, upieszczony słodyczą Barbary, zbliża się do niéj, aby swoją nacieszył się królową. Tymczasem Barbara, mając blizki swój skon przed oczami, cała utrapiona złowrogiém przeczuciem, lubo sercem królować pragnie, to jednak szuka samotności, staje się cierpką i niełaskawą. Taki stan rzeczy mógłby wyrodzić nader tragiczne kollizye, ile że już biegały szepty, posądzające Barbarę o nieużytą dumę i o chciwość królewskich zaszczytów. Wszakże konflikta rozwiązują się przez łagodność serca, przez zgadzanie się z wolą Najwyższą i przez poczciwość charakterów. Naród spokojnie przyjmuje zawody swoje, usprawiedliwiając królowę chorobliwą melancholią usposobienia. Wszystko się dzieje we wnętrzach aktorów i ledwie kilkoma skargi rzecz na jaw wychodzi. Jakież tu niepodobieństwo do tragedyi Romea i Julii, równie z miłości snowanéj, lecz na nienawiści dwóch rodzin opartéj! Nie znaleźć w czynach Polaków tego pierwiastku w stanie wypełniającym, konsekwentnym; owszem, można powiedzieć, że go wcale w silniach uczucia nie widać. On w jednéj epoce historycznéj występuje, jako namiętność polityczna, lub zatarg ambicyi, więcéj szkodzący idei społecznego porządku, niż zasadom moralności chrześciańskiéj, więcéj w barwie publicznego niesnasku, niż zjeżonego złością charakteru. Taką była niechęć między domem Zborowskich a kanclerzem Zamojskim. Straszny to był hałas i zawichrzenie, chmara języków, oszczerstw i procesów. Ale w téj gmatwaninie, gdzie więcéj głowy mąciły, niż same uczucia popychały, nie wyśledzisz sprężyn silnie naciągniętych, a logicznie do mety wiodących. Jakoż, między innemi tego dramatu okolicznościami, błaga po trzykroć Zamojski prowadzonego na śmierć Samuela Zborowskiego, a to stojąc przed kościołem, o odpuszczenie mu w imię Boga, z powodu wydanego wyroku. Przecież to mąż stanu, który karze w imieniu prawa, karze gwałciciela bezpieczeństwa publicznego, a jednak nie czuje się dość zwolnionym z ciężaru, dość usprawiedliwionym w obec sumienia. Fakt ów aż nadto świadczy, jak dalece polska natura potrzebuje gwałty sercowe naprawiać, jak nie może długiego znieść rozdwojenia. Żalem przejmowały Zborowskich uronione przez nich, a ofiarowane Zamojskiemu zaszczyty. Wszakże tak czyny Samuela, jak zmowy a pogróżki Krzysztofa, więcéj wartogłówstwem i wyuzdaną ambicyą, niż ciemnym charakterem napiętnowane. Prawda, że z rozszalałéj ambicyi panów, wysnuwały się straszne czyny w późniejszym okresie dziejowym. Jednym z takich jest dramat, zakończony tragiczną Gertrudy Komorowskiéj śmiercią. Lecz jakże tu wyrodzony charakter głównéj osoby! Jak wcale nie reprezentuje

natury słowiańskiéj, jest wyjątkiem, a raczéj potwornym wyrodkiem. Ów dumny pan, co nie znosi połączenia syna z prostą szlachcianką, toć to wyrafinowany okrutnik, który na zimno, z chytrością Wandala, układa swój zamach zbrodniczy. On nie ma natury polskiego szlachcica, który, jeśli gwałt popełnia, to z porywu, jeśli uderza, to bez podłego namysłu a zawsze w otwartém polu. Jakoż cała uknowana przez wojewodę scena masek, zakończona uduszeniem ofiary, przenosi nas w kraje południowe, przypomina *wendettę i brawów* włoskich. Ledwie wiarę dać poecie „Maryi" można, gdyby nie wieść, że się to dzieje na Ukrainie, gdzie szlachcic polski bez miary dziwaczył, gdzie duch kozaczy do tragicznéj miłości, oraz do mścicwych czynów niezmiernie skory. Tam świeżą opowieścią żyje mnóstwo faktów podobnych temu, jako syn zabija ojca, który również na wołanie dumy, chłostą znieważa jego kochankę chłopkę. Takich dramatów znajdziesz wiele w górach, na kończynach słowiańskich, więc wszędzie tam, dokąd przez ruch ludów , staczały się różne, niepodobne do siebie pierwiastki, a gdzie sam duch słowiański dziczał i wynaturzał się. Biorąc na uwagę czyny, z ambicyi panów i z namiętności politycznych wynikające, pomnieć zawsze należy, jako to się działo wonczas. gdy do reszty przewrócony rozum szlachty, nie był już w stanie żadnéj legalności moralnéj pojmować, gdy rozhulana wyobraźnia, daleko po za granice narodowych przymiotów polskie unosiła serce. Boć wcale inaczéj to serce biło, gdy na nie przybłędne nie padały skazy. Aglomeracye cywilizacyjne, lubo się kupiły w kraju, lecz nigdy ich wstrętne pierwiastki nie wsiąkały w naturę polską. Zaszumiały, zbałamuciły głowę, dużo rzeczy nawywracały; lecz skoro naród opamiętał się, a zajrzał do swéj duszy, pokazał zawsze, że w nim grunt nie był zepsuty. Patrzmy na słowiańską stronę naszéj historyi, na rycerskie Piastów, na wylane z dobroci Jagiellonów czyny, na jasne Żółkiewskich, Czarnieckich i Sobieskich dusze; na uczucia takich mężów, jak Kordecki, Rejtan i Pułaski. Tam działa jaźń szczeropolska, która we wszystkich chwilach historycznego żywota, tysiące zapładniała dramatów. Każdego z nich otacza aureola poetyczności słowiańskiéj, czystość i prostota duszy, a każdy w związkach rodzinnych, w domowych świętościach, w poszanowaniu tradycyi, nabiera wątku do czynów. W czasie potrzeby cecorskiéj ponosi Żołkiewski niesłychany trud wojskowy. Widzisz na polu dziejowém wielkiego męża, okrytego wiekopomną chwałą. Lecz przyłóż światła do karty historyi i spytaj, co zasilało owego tytana w boju z przeciwnościami; co mu dawało męztwo i bezprzykładne zaparcie? Wszak nie rachunek ambicyi ani pustka sławy, ani żadna wielkość ziemska; wszak się ucierał nietylko z pohańcem, lecz z własném, rozkiełznaném wojskiem. To nie Wallenstein, ani Kondeusz, ani Napoleon. To słowiański bohatér, w którego duszy trójpłomienna pali się ofiara: czci religijnéj, ojczyźnie i świętościom rodzinnym. W przeddzień klęski szle jeszcze

do żony głębokie wyznanie uczuć, cieszy się jéj pisaniem i wreszcie upomina, iżby jéj zbyteczną nie okryła żałobą śmierć starca, który za wiarę i ojczyznę poległ. Czy może być więcéj wzniosłe, więcéj poetyczne bohatérstwo?! Sobieski bił jedną ręką Turków, zaś drugą przyciskał listy ukochanéj żony do serca.

Ztąd, poglądając na to nasze życie słowiańskie, na stosunki bytu historycznego i społecznego, niepodobna upatrzeć kontrastu w czynach, bo ich w uczuciach niémasz. Ktoby chciał, nie wedle poetycznego zmyślenia, lecz prawdziwie jakiś z żywota polskiego obramować wypadek, nie zdołałby w sprzecznych kollizyach postawić jakiebądź z uczuć, naprzykład miłość. U Słowian miłość jest żywiołem, posiadającym niezmierną siłę kreacyjną; ona oświeca i ogrzéwa; jéj promienie, to nie ów ogień fizyczny, co pali materyę zblizka, a w okół ma ciemność i zimę; to kosmiczna siła słońca, która ze wszystkiego życia cieplik do harmonii swojéj przyzywa. Widok miłości polskiéj nigdy nie budzi zazdrości, jeno rozrzewnia i uszlachetnia. Ona inne ma przymioty niż ta, o któréj zachodni psychologowie mówią, że jest od nienawiści blizką. Bo téż południowe i zachodnie namiętności są właśnie owym ogniem ześrodkowanym, co się równie dobrze pali, czy go miłość czy nienawiść podsyca. W słowiańskich ziemiach nie znaléźć odrodzonéj Dalili, ani podobnego jéj potwora o dwóch sercach, o dwóch przeciwnych, niszczących istotę ludzką uczuciach. Patrz, gdzie tylko się spełnia czyn niegodny a ścierają się namiętności, tam nigdy miłość nie postanie; ona o sto mil ucieka, jak gdyby od splamienia uchronić chciała swą słowiańską sukienkę. Nigdy téż, jak to się iści w dramacie hiszpańskim, włoskim, francuzkim, ona nie stanie na wyłomie. Tam miłość, podobna do komunistki, prowadzi bój o wszystkie sprawy człowieka, a nie da mu odetchnąć, upajając bezustanku przytomność jego. Słowiańska sztuka mogłaby o zdanie sprawy zawezwać zachodnią, dlaczego miłość płciowa ma być jedyną dramatycznéj poezyi osią? Czy nie smutną tu gra rolę kobiéta, stając się nieustanném narzędziem chuci i namiętności, zwierzęcą sprężyną życia, centrem, około którego coś ma koniecznie wirować? Wszak to zabytek wieków średnich, szwalerskiego romansu. Tam owe centrum stanowiło piękno idealne, które sobie wyobraźnia w kobiecie postaciowała, czyniąc ją niejako bałwanem, przedmiotem czci dla egzaltowanéj fantazyi. Lecz dzisiejszego wieku wyobraźnia, od wszelkich illuzyi daleka, wystawia sobie kobiétę wcale inaczéj, więc jako człowieka, mającego też same prawa, też same moralne przymioty. Jeśli tedy w powieści, w dramacie, w lada drobnostce scenicznéj, uważa ją jako nieuniknioną sprężynę intryg, ubliża tém samém jéj ludzkiemu charakterowi, poniewiera najpiękniejszą stroną miłości. Dziwnie wygląda ów romansowy *deus ex machina* w formach sztuki naszego wieku, i kto wié czyli on nie przyczynia się do moralnych biéd, jakie kobiéta w ogniskach cywilizacyi znosi. Wszak w tych ogniskach,

gdzie wielki dzwon sumienia na gwałt uderzył, jeszcze dość świéże są kwiaty i miękkie kobierce, któremi w pięknéj literaturze wysłana przepaść kobiécie.

Z przytoczonych wskazówek wolno wnosić, że dramat polski wcale upowszechnionym warunkom sztuki nie odpowiada w życiu. Uczucia wielkie, głębokie, układają się tu lirycznie; one nie zapładniają treści, któraby bezwarunkowo w akcyę przechodziła; lecz raczéj, unosząc się ku sferom moralnego piękna, beatyfikują tém samém wewnętrzny stan ducha. Jest w uczuciu polskiém niepowściągniona dążność do skupiania się, do tworzenia sobie świata psychologicznego, w którym głównym motorem, jak to z wielką prawdą wyrzekł Mickiewicz, jest natchnienie. Niéma ważnych czynów bez natchnienia; owszem, duch polski zdaje się usypiać, skoro go opuszcza ów geniusz skrzydlaty, mocen jednania ducha człowieka z duchem najszczytniejszych humanitarnych idei. On martwieje, skoro mu ruch wypadków dziejowych paraliżuje dążność do posięścia harmonii, skoro racyonalizm odcina mu prostą drogę do Boga, mędrkowanie rozwiązuje czystą moralność, polityka zasłania bezwzględną prawość. Wtenczas objawia się w nim pewna siła nieruchoma, potężna w odpieraniu nawałnic zewnętrznych, ale zamykająca wszystkie przysionki, któremi czyn na jaw wychodzi. Wtenczas cały dramat ducha wyléwa się liryką, przez poezyę i muzykę, jako najwłaściwsze symbole wezbranego uczucia, jako protestacye przeciwko gwałtom materyi, jako świadectwa wielkiéj siły opornéj. Czémże jest czyn w chwili natchnienia? On jest bezwątpienia rezultatem rozgrzanego serca i różne z wierzchu ma barwy; lecz w swéj syntezie jest jednaniem wszystkiéj treści żywota w widoku przewodnich ideałów; jest wykonywaniem szlachetnéj akcyi, mającéj na celu kojarzyć uczucia w pewne wiązania zgodne, wolne od następstw niepewnych a złowrogich, a osłonione tarczą opiekuństwa domowego: wiarą religijną, miłością ludzką, czcią obyczaju. Człowiek jest tu pełną osobą, uposażony nadzwyczaj obfitą treścią, a swobodny w działaniu. Każdą wydatniejszą indywidualność cechuje bogate uzdolnienie i jéj tylko właściwa oryginalność psychiczna. Ztąd téż, poglądając na żywot polski, na tę mnogość czynów, co rozruchem i gwarem historyczny zapełnia obraz, zdawałoby się, że w nim moc snuje się dramatów, że co chwila tryskające sceny i gwałty, prowadzą za sobą grozy i następstwa tragiczne. A jednak, lubo każda osoba wolnością czynu obdarzona, to razem z tém nosi w sobie konieczność prostego i jasnego rozstrzygania stosunków, a to w duchu usposobienia narodowego, w duchu pojednania i przewodnich harmonij. Plączą się czyny, krzyżują napozór, lecz całą ich psychologiczną logikę tamuje łatwy i prosty rozejm, nastąpiony w skutek zawsze obecnéj idealnéj powagi uczuć. Niech tę powagę potrąci lada drobnostka, lada jeden wybuch płomienia, a wnet on całego ducha ogarnie. Jedno tylko słowo wyrzekł Kordecki i drobną napozór rzecz uczynił; był stałym w dopełnieniu

obrony Częstochowy. Że jednak słowo dobył z wewnętrznych żarów, że czyn miał wielką siłę natchnionego ducha, wnet ogień ogarnął zdrętwiałe serca Polaków, którzy już Szwedom ojczyznę i sławę dawali. Jak gdyby z pod ziemi wstał olbrzym, siłą własnego ducha nagle spotężniał i, martwy a głuchy przed chwilą, teraz straszliwym gromem oślepionego powalił przeciwnika. Wszak takich dramatów bez liku w historyi, więc i w życiu prywatném one ten sam noszą charakter. Tragiczne narodu polskiego momenta zaliczać należy do tych, które estetyka wyprowadza nie tyle z własnéj winy osób, ile z przeciążającéj winy wypadków, z zewnętrznych, silnie wpływających kollizyj. Do utworzenia się w sztuce podobnych dramatów, potrzebne jest światło historyczne, niemniéj jak znaczne punktów obserwacyjnych oddalenie. Umysł od uprzedzeń wolny, serce bez goryczy, sumienna bezstronność—oto niezbędne przymioty dziejowego w takowym kierunku dramatopisarza. Co do zatargu, nie można go inaczéj w polskiéj społeczności pojmować, tylko jako nieporozumienie, które się kończy stłumieniem głosów egoizmu, zapomnieniem osoby dla osiągnienia harmonii. Takie pojęcie doskonale przedstawił Fredro w swoich szczeropolskich utworach scenicznych. W „Zemście za mur graniczny“ strasznie się najeżyły przeciw sobie uczucia. Zdawałoby się że na gwałty zakrawa, tyle tu zawziętości i groźby. Wszakże, gdy dramat snuje się naturalnie i bez wysilonych powikłań, gdy słuchacz, po skończeniu rzeczy, nie spostrzegł nawet jaki zewnętrzny wypadek sprowadził rozwiązanie—okazuje się, że to rozwiązanie w samychże tkwi osobach dramatu. Jakoż z porządku wypada scena spotkania się cześnika z rejentem, a to w samém sercu cześnikowém, bo w progach jego domu. Zrazu milczenie i poryw niemy. Ale po chwilce, zda się jak gdyby duch słowiański przeleciał i natchnął te pełne wagi, prawdziwie polskie słowa: „Nie wódź mnie na pokuszenie, ojców moich wielki Boże! Wszak gdy wstąpił w progi moje, włos mu z głowy śpaść nie może!“ I otóż sam nieznaczny fakt, że nienawistny sąsiad przekroczył domowy próg cześnika, ułatwił rozstrzygnięcie zatargu i harmonią zakończył sercowe burze. Takiego rozwiązania nie posiada żadna inna, tylko polska teatralna sztuka. Nigdzie dramat niema tak pięknéj i szlachetnéj fizyognomii, bo to wyraz charakteru narodowego, gdzie z jednéj strony czyni towarzyska wolność osoby, zaś z drugiéj humanitarność jéj uczuć. Ale też dlatego, niepodobna znaleźć w życiu narodowém wiązadeł do przeprowadzenia intrygi na wielką skalę, to jest takiéj, w któréjby grały sprzeczne kollizye i namiętności gwałtowne. Autor Mazepy szpetnie wynaturzył postacie i wykoszlawił prawdę historyczną, że chciał na wzór Szekspira, z narodowych pierwiastków wielką utworzyć tragedyę. Wszak on wpadł w tę dziwną sprzeczność, że nie będąc w stanie z namiętności, z głębin psychologicznych snować swojéj rzeczy, dał jéj mimowolnie motywa komedyi, a jednak strasznie tragicznie owe najeżył motywa; więc poszarpał osoby, jak gdyby

gwałtem wciągając je do gry, któréj nie rozumieją. Ztąd głusza i niemoc tego utworu tak rażące, że pomimo liryczne poezyi piękności, wykształcony słuchacz ze wstrętem mu uczestniczy. Tu wypadki akcyi a siły słowa są udane, naciągnięte i dlatego z uczuciem uczestnika nie mają nic wspólnego. Dramat narodowy raczéj na charakterach, niż na intrydze się opiéra, a jako taki, łatwo się zamienia w obraz, malujący piękność ideałów społecznych. Nierównie więcéj warunkom narodowym odpowiada ta forma, którą dla łatwego i harmonijnego rozwiązywania, mianem komedyi odznaczają w sztuce. Ona sama przezsię wykwita w każdym zakątku życia polskiego. Więc tém właściwsze jéj w teatrze naszym rozgoszczenie, że, niezależnie od walnych chwil historyi, na których sceniczny wyraz powolnie sztuki pracują, życie narodowe skrzy się niezmiernie oryginalną a obfitą treścią; ono pełne ruchu i plastyki, a zawsze poetycznie się roztacza, chociażby je brać tylko po wiérzchu.

Takiéj natury dramat widział w życiu narodowém Moniuszko. Wyobraźnię sztukmistrza potrąciły te same wizerunki, jakie się przedstawiły autorowi „Ślubów panieńskich," a intuicya serca, która i poetę i dramatycznego muzyka wiodła w głąb' ducha, odkryła im tajemnice polskiego w sztuce tworzenia. Oba odczuli się psychologicznie w téj głębi; oba znaleźli się na tym samym gruncie idealnego rozwiązywania stosunków życia. A nie jest wcale uwidzeniem to porównanie Fredry z Moniuszką. Jest w utworach komedyopisarza tajemnicza siła poezyi, która przejmuje słuchacza uszczęśliwieniem, najwyższą radością, że mu pozwala wewnętrzną jasność rzeczy oglądać. Bo patrz jaka tu wielka swoboda i indywidualna godność osoby; jaki ruch żartki i ognisty, a zawsze protekcyą rodowych penatów osłonionyl Wzniosłość liryczna gra muzyką serca, a łatwe znajduje w komedyi miejsce, że poeta nie jest satyrem ani doktrynerem, że wolny od przycinku, roztacza swój humor szlachetnie, opiéra go na moralności. Więc podnosi uczucia, obudza w uczestniku budujący tok myśli, zaszczepia w nim miłość ludzką. Komuż sympatycznie nie zaleciły się owe postacie, tak różne z charakteru, a tak serdecznym i ciepłym pędzlem namalowane? Taki sam przymiot cechuje operę Moniuszki. Wszak muzyka nie zepsuje podobnego rodzaju kreacyi, ale ją więcéj do ideału zbliży. Muzyka upiększy swobodę ruchu, uduchowni lirykę serca, zidealizuje humor, odrzuci co jest szorstkiego w słowie, a nadewszystko, w kompozycyi motywów i form, okaże najwymowniéj harmonię stosunków. Był podobny rodzaj sztuki, a zakwitł w czasach dobrego smaku i zniknął pod przewagą tragicznych pretensyj muzyki. Jego ostatnimi przedstawicielami Cimarosa, Rossini i Mozart. Lecz w Moniuszkowych formach nie sam tylko artystyczny smak: tam przedewszystkiém żywy obraz polskiego ducha. Wiele ruchu, wiele motywu i rytmicznéj swobody, ale to wszystko tak pięknie się wiąże, tak poetyczny ma plan, że słuchacz nie ponosi żadnego trudu, by w symbolach muzy-

cznych oglądał wcielenie ideału, piękność życia narodowego. Odznacza harmonię Moniuszki nadzwyczajny spokój, jasność i czystość wiązania. Chóry w jego operach noszą na sobie cechę narodowéj idealności, ile że w wielu razach, napiętnowane charakterem religijnym, zdają się wyobrażać ową ideę opiekuńczą, która na horyzoncie słowiańskim niby przewodnia gwiazda świéci. Ztąd mistrz nasz osiąga wysoki przywiléj, jaki dotąd jedynemu przypadł w udziale kompozytorowi dramatycznemu. Jego utwory, równie jak Mozartowskie, nie są na krótkotrwałość skazane. Lubo od tych różne poetyczném natchnieniem, to ze strony artystycznéj zalecają się tym samym spokojem, rzadkim w sztuce tworzenia, że nie poszarpią wrażeń, nie osłabią duszy. Sporo im dana moc uszczęśliwiania słuchacza, którego serce zawsze zapałem i wyobraźnia młodzieńczym urokiem mistrzowi odpowié.

Treść muzyczną dla swoich dramatów znajdował Moniuszko w życiu obyczajowém. To jedyna muzyka polska, przyrodzona charakterowi narodowemu. Wcale inne światy dają Włochom muzykę sceniczną. Tam miłość kochanków, namiętność i romans na akcyę się składają. Uczucia południowe rodzą się wśród miłosnego uścisku; one do uścisku poetycznie tęsknią i za uścisk tragicznie walczą. Więc ruch mają tam, gdzie pierś do piersi, usta do ust zbliżone. Kraj włoski, zawsze pod urokiem pięknego nieba, rozkoszną falą wód kąpany, niezmiernie wpływa na wyobraźnię mieszkańca. Ma on, co tylko natura najwytworniejszego dać może: luby błękit stropu, marzenie nocy i morskie zwierciadło. Więc daleki od ponoszenia wpływów dolegliwych, ukołysany, rozpieszczony, wszędzie widzi samą rozkoszną stronę miłości. Ona mu jest słodkiém objawieniem natury. Tak gwiazdy błyszczą, jak gdyby chciały wyrzec lubieżne słowo kochania; tak wody uroczo płyną, jak gdyby na dnie ich pełno miłośnic było; tak światła i cienie grają, jak gdyby chciały tworzyć same cuda kształtów, miękką rozkoszą powlekając ziemskie przedmioty. Nie dziw tedy, że południowego mieszkańca miasto pociąga ku sobie. W mieście on całą piersią oddycha, bo może swoje uczucia mieniać, może promienie miłości z siebie dawać i wzajemnie odbiérać. Tylko wzajemność go zadawalnia, że w niéj namiętne kołysania i ogniste podniety uczuć znajduje. Plastyczna piękność miasta jest tém samém słowem objawienia, które tu człowiek w naturze pochwycił, a w architekturze urzeczywiścił. Miasta włoskie tak wiele miłości w swoją plastykę wkładały, że nic nie było pospolitszego w ich stosunkach, jak zacięte wojny, wynikłe z zazdrości, że które z nich większą zamożnością co do dzieł sztuki zasłynęło. Tu ludno i strojnie; wdzięczy się sztuka, wdzięczy i pozuje człowiek, a wśród tych zalecanek, niby artystycznéj biesiady, serce tęskni do swojéj pary i w parze hymn szczęścia tworzy. Ale to hymn zmysłowy, namiętny. Z duetu dwojga kochanków zrodzony, on z plastyką się mięsza, w jéj powaby się wplata, jak gdyby był na głos wytłumaczo-

ną architekturą i malowidłem. Pieśń rozdźwięcza na ulicy, w gondoli i pod oknami pałacu, bo potrzebuje być koniecznie słyszaną, koniecznie musi zmysłowe budzić wibracye. Tak samo ruch i układ człowieka i cała intryga akcyi, zażegają się w blizkich oddechach, w uderzających o siebie wibracyach. Dlatego, jeśli pieśń włoska jest więcéj zmysłową niż idealną, więcéj artystyczną niż poetyczną, to również akcya i cała treść dramatu ma tę samą cechę artystyczną, wytwarzającą się z wykształconéj przez romańską cywilizacyę psychiczności: z gwałtów kochania i nienawiści, któremi miasto pełne.

Polskie miasta bardzo niewiele miały wspólnego z duchem narodu. Wydziedziczone z jego opieki, stały otworem dla wszelkiéj obcéj zgrai, dla państwa i cygaństwa, z rozlicznych krajów naleciałego. Miasto słowiańskie chybabyś poznał z nieładu i rozlicznie fałszowanego żywota. Dlatego też polskie melodye, równie jak cały żywot słowiański, rozścielają się na błoniach i polach, bo ich czystości tam nikt nie naruszy, bo wynikają z ciepła natury i z serca, które samo przed sobą potrzebuje spowiedzi. Więc rozbrzmiewają w ustroniach, gdzie echa duszy jaśniéj się odbiją, gdzie głosy natury czystą i prawdziwą harmonią zawtórzą. Pieśń polska wynika z duszy, która przedewszystkiém wiele z siebie dawać pragnie. To ją czyni prostą a serdeczną i dlatego najlepiéj jéj w zagrodowéj ciszy, przy polnéj robocie, w lesie i w rodzinnéj chatce. Tam matki przy kolébce natchnienia, rzewne śpiewy dziewcząt, chóry weselne i obrzędowe. Taka pieśń jest promienną pięknością obyczaju. Sam obyczaj polski, prosty a poetyczny, rozsiedział się na wsi i tam sobie piękne światy zbudował. Pełno tu ruchu i treści, a wszystko ma ów charakter bezinteresownego na zewnątrz uczuć wyléwania. W gościnności polskiéj, w godach weselnych, w obrzędach i zwyczajach, przoduje serdeczne życzenie; wypełnia je zawsze wspaniałomyślny dar tego wszystkiego, co tylko najżywiéj wyobraźnia z głębi uczuć wyjmie. Darami serca spełniony obyczaj polski, darami też najbardziéj kwitnie poezya i muzyka. Obyczaj sielski przedstawia całą niemal obrazową treść dramatu. Tam się skupiły najistotniejsze sprężyny życia, tam najwybitniejszy wyraz charakteru. Ztąd nie dziw, że ilekroć dotknie Moniuszko tego obyczajowego świata, to mu się sypią melodye i przeróżne rytmy i bogate figury a tony muzyczne, bo tu w istocie moc wielka muzyki. W operach Moniuszki usłyszysz nie jednę pieśń, która ci wiejską zagrodę przypomni. A owe rytmy, któremi mistrz tak dzielnie władał, tak pięknie postacie i ruchy malował? Muzyka Moniuszki niéma ruchu dramatycznego, ale ma ruch charakterystyczny. Żwawo idzie ballada o pani Twardowskiéj; ona cała w ruchu karczemnym, któréj lepiéj w ideale wystawić nie można, jak przez taniec chłopski. A zważ, że jak chłopek tańczy, tak samo gwarzy i tak samo wszelkiéj wesołości dramatycznéj zażywa. Ztąd w téj balladzie taka obrazowość doskonała, że słyszysz wyraźnie karczemną wrzawę, a potém figle i dziwy i znów

śmiéchy, chichoty, rubaszne zanoszenie się gwaru. Ta ballada, na chóry z orkiestrą ułożona, jest wzorem rodzajowéj, charakterystycznéj muzyki.

W formie polonezowéj Moniuszko niezmiernie wiele wyraził, bo to forma streszczająca w sobie najgłówniejsze i najobfitsze rysy historycznego wizerunku polskiego. Masz tam najprzód całą, jednolitą postać szlachecką: rycerskość, dumę, wspaniałość, niezależność i wiele jeszcze rzeczy. Tu znajdziesz obraz sejmowania, potém obrazki serdeczności, miłych zalotów, a nadewszystko wyraz powagi i przewodnictwa, jakiemi mąż w domu znaczył. Taniec polski uplastycznia najbardziéj żywot narodowy, ile że on nie był formą salonową, konwencyonalnie ukutą, jak klassyczne tańce francuzkie, ale był poematem, w którym Polak wynurzał cały ogień swéj duszy, stając się tém, czém jest w rodzinie i w Rzeczypospolitéj. Jak krakowiakom towarzyszy improwizowana śpiewka, tak polonez musiał zawsze natchnąć oracyę, którą prewodyr zagajał. Moniuszko tak sobie upodobał tę formę, że niéma prawie dramatycznego utworu, gdzieby nie umieścił choć głównych jéj rysów. On niemi malował powagę i szlachetność, lecz gdy mógł cały poemat rozwinąć, widzisz to, jak mistrz w swoim znalazł się żywiole, jak wyobraźnia jego zna wszystkie odcienia, jak dusza w narodowych lubuje się pięknościach. On w téj formie panem, a tak długo ją trzyma na scenie, dopóki wszystkich rysów i szczegółów nie wyczerpie. Obacz polonezem zarysowany wstępny chór w „Halce“. Co pięknych tam rzeczy, co darów i życzeń, co godności i poezyi w ruchach, to zapewne tylko wielkie zdolne jest stworzyć natchnienie. W „Hrabinie“ dość że chorąży słucha bajów podczaszyca, iżby Moniuszko polonezem tę szlachetną postać dziadunia scharakteryzował. Ztąd téż niepodobna aktorowi być przy téj muzyce niemym i biernym, nie okazać życia w mowie, w postaci i obliczu. A jakież dopiéro szczęście uczestnika ogarnia na ów widok harmonii i ruchu i obrazu! Mazur w „Halce“ wyciska łzy radości, tyle tam szczerego ognia i obrazowéj poezyi. Takiego mazura nie stworzy, kto niéma intuicyi ducha narodowego, kto nie wié że on cały wynikł z zapału, z tego samego, co z nadzwyczajną siłą i w poważniejszych objawiał się czynach. Prostota nuty a wielka energia akcentu—oto wszystko, co ów mazur napozór zawiera; a jednak jest tu coś więcéj: duch narodowy z natchnionych motywów i z planu kompozycyi wytryskający. Uważ wstęp, co nie jest jeszcze mazurem, jeno zatoczystém wezwaniem, niby rozgrzewaniem tancerzy, którym ochoczo w koło zebrać się trzeba. Następują dwie wymowne pauzy, niby chwila niemiéj gotowości, po któréj całą siłą akordów wybucha atak taneczny. Nic pyszniejszego nad ów wstęp, pauzy i początek mazura. Tu artystycznie streszczony cały ruch animuszu, jak się on z wewnętrznych zapałów wykrzesza, t. j. żwawo, nagle, odrazu z potężną siłą ognia. Idą potém lekkie i powietrzne figury; znów inne blask, a inne luby

wdzięk roztaczają; te w rzewną nutę na chwilę wpadną, by nową strzelić ochotą. Lecz nad wszystkiemi panuje główny motyw, ów dzielny, co natchnionym atakiem na początku zagrał. On niknie i oddala się i znów na wiérzch wychodzi, istnie walny przewodnik tanecznego ducha, w obec indywidualnéj każdego tancerza swobody. On rozproszoną młodzież skupi koło siebie, przypominając gromadną naturę tańca każdemu, ktoby chciał własnéj fantazyi, lub miłosnym pofolgować ponętom.

Otóż tak wiele jest w polskim obyczaju muzyki, że nietylko owa taneczna dramatyczność, lecz cała niemal w Moniuszkowych operach liryka, ma obyczajowy i rodzinny charakter. Wsłuchując się w tę lirykę—w pieśni Jontka i Halki, Kazimierza, Broni i Stefana, dosłyszysz zawsze serdeczną spowiedź i pełne darów wiązania. Zawsze wypłynie z nich wzniosła modlitwa, lub godzien ideału narodowego chór dramatyczny. Co poetyczniejszego nad chór o „biednéj Halce"?. Tam z wypadków dramatu zebrane uczucia grają tak głębokim żalem a wielką rezygnacyą, że równie natchnionego chóru w żadnéj obcéj nie znaleźć liryce. W operach Moniuszki przebija przedewszystkiém sielskość poezyi. Jéj zaletą nie jest owa spańszczonéj natury ckliwa drobiazgowość i uboga symetrya, ale swobodna różnobarwność i bogactwo w prostocie. Polskie lipy i kwiaty, kłosy, strumienie i gaje, zdają się nam być bracią duchową. One w wyobraźni naszéj mienią się we wdzięczne kreacye, że rozmawiały i ucztowały z naszymi ojcami, że zawsze stawały do obrazków życia, że do nich mnóstwo przyrosło rodzinnych tchnień duszy. Melodye Moniuszki mają to samo znamię w sztuce. Jego każda pieśń jest piérwéj poezyą niż sztuką tonów, piérwéj wypowie cały skarb uczuciowéj idealności, niż na swój kształt zwróci uwagę. Ztąd taka jéj polskość. Halka, Hrabina, Straszny Dwór, Verbum nobile, Flis i Jawnuta, są dziełami istotnie polskiéj sztuki. Z Paryą poczyna się rozejm. Geniusz, potrącony dramatycznemi wizyami czasu, nasycony duchem olbrzymiéj tragiczności muzyki niemieckiéj, zapragnął twórczość swą skosmopolityzować. Więc oddala się od ogniska poezyi narodowéj, szuka akcyi i uczuć przepaścistych. Widzimy go wdającego się w głębokość, dbałego o wielkie rysy, ale razem z tém spostrzegamy walkę uprzywilejowanego języka ze światem natchnień zupełnie różnym, dziwne rozdwojenie w spokoju polskiego pieśniarza. Maleje już polot fantazyi, co jedném tchem genialną całość tworzył; mistrz stawia estetyczną zagadkę, a tém samém zdradza sprzeczność, jaka w duchu jego zagrała.

Główną opery Moniuszki osnową jest motyw. W lirycznym motywie leży siła mistrza, wykładająca wszystkie psychologiczne szczegóły akcyi, wszystkie odcienia uczuć. Tu zawsze poetycznie natchniona muzyka, z głębi serca idąca. Motyw, w znaczeniu prawdziwie muzycznem, nie jest kreacyą wyobraźni ani artystycznéj intelligencyi. Te dają mu właściwą formę, ruch rytmiczny, zgoła zewnętrzny, arty-

styczny przymiot. Melodyjna istota motywu leży nierównie głębiéj— w tajemniczych drganiach serca. Gdy człowiek na posuchę nie wydał swych piersi, gdy nieoględnie, na korzyść rozumnéj mowy, nie zabił w sobie duchowego jéj piérwiastku, w tenczas rozbrzmiewają w nim wewnętrzne głosy, których płynne wibracye, sięgając do wyobraźni i inteligencyi, uszlachetniają je, dają ich poruszeniom wyższy stopień, namaszczają ich czynność znamieniem idealném. Taki jest prawdziwéj liryki początek. Bez muzyki niéma lirycznéj poezyi, bo myśl sama przez się sucha i spekulacyjnéj natury, rozścieła się płazem po ziemi i nigdy ofiarnym dymem nie strzeli w górę, jeśli jéj nie rozgrzeje ognisko w piersiach chowane. Muzyka ma tę moc, że zażegna krewkość, wydelikatni nieczuły i gruby nerw mózgowia. Ona w sercu wylęgnione i miłością poczęte dzieciątko, złoży na opiekę umysłu, by pięknie urosło; ale sama wybierze dlań krasę, więc co najczystszego w myśli, co najdostojniejszego w formach wyobraźni. Nigdy mowa człowieka tak pięknemi i wieloznaczącemi, jak w lirycznéj poezyi, nie zabrzmi słowami. Hagadyczna mowa hebrajska, gdzie każde słowo ogromnym symbolem znaczy, przez psalmodyę tę symboliczność otrzymała. Więc motyw muzyczny jest źródłem prawdziwéj liryki, przyczyną wzniosłego ruchu myśli. Bez niego poczęta poezya liryczna błąka się po manowcach i nie przystaje do duszy ludu, nie wsiąka w organizm narodu, jako pusta i głucha. Bez niego i muzyka staje się tylko ruchem tonów, co chociaż okaże artystyczną piękność, fantazyę, logikę i umiejętność w tworzeniu, ale zawsze niemoc sercową zdradzi. Łatwo zrozumieć jak to w ustach dawnych gęślarzy tworzył się cudowny świat słowa, skoro rzucimy okiem na pracę nowoczesnych kompozytorów, tych zwłaszcza, którzy istotném natchnieniem swą lirykę tworzą. Nie mało się biedził szlachetny a poetyczny umysł Romaniego, że mu Bellini kazał stroić myśli do kamertonu motywów swoich. Wagner sam je dostraja, a obacz jaki tam wybór słowa, jaka niezwykła moc poezyi. Moniuszko również był względem współpracujących poetów wymagającym. Wolski i Chęciński, tworząc dlań dramatyczną osnowę, musieli odczuwać mistrza intuicyę, by nie odstąpić od macierzy i trafić niejako do saméj polskiego muzyka sybilli. Z tych pierwszy miał osobliwy dar nastręczenia scen najliryczniejszych, najobficiéj muzycznych, a zawsze szczeropolskich, pełnych ducha narodowego.

Skoro tak jest, że uczucie muzyczne zapładnia lirykę poezyi, to motyw nie jest czémś oderwaném, nie jest szczęśliwą kombinacyą tonów, z fantazyi wyjętą, z artystycznéj inteligencyi wytworzoną. On nie jest naśladowaniem ruchów, co utrzymują niektórzy estetycy francuzcy, bo stałby się wtenczas tak przypadkowym, jak eolskiéj harfy wietrzne poruszenie. Motyw jest samoistnym ruchem wewnętrznych sprężyn ducha. On jest w lirycznéj poezyi żywą ideą, gdzie słowo jednostronnym wykładnikiem, zaś muzyka pierworodnym symbolem. Pierworodność staje się powodem tajemniczéj, cudownéj

siły motywu. Téj pierworodności szukają u ludu mistrze muzyczni, których na ideę nie stać; więc zstępują do zbiorowisk samorodnéj intuicyi, podsłuchują lud przy zabawie i przy zajęciu, a chwytają jego kreacye żywcem. Stefani nie znał źródeł, zkąd motyw płynie narodowy; on nie miał intuicyi własnéj, a chcąc się przysłużyć, zapożyczył muzykę u ludu do swoich Krakowiaków i Górali. Dlatego utwór ten nie jest dziełem geniuszu, któryby miał sobie objawioną ideę, ale jest pięknie ułożonym sielskich motywów zbiorkiem. Kurpiński i Dobrzyński, mistrze ciepłego serca, lecz obcą zaślepieni szkołą, ztąd słabi i maluczcy, ilekroć narodowych przyszło im dotknąć tonów, wcale nie znali słowiańskiego znaczenia motywu.

Obecna szkoła muzyczna odznacza się ubóstwem motywów, bo to epoka w któréj ruch myśli bardziéj rozumowy niż uczuciowy. Patrzmy na formy sztuki niemieckiéj. Tam poemat opiera się na jednym pomyśle, na który kompozytor rzuca zimny wzrok inteligencyi. Więc rozrabia go, ćwiartuje na cząstki, a stawia w retorycznych kontrastach, krążąc koło jednéj idei aż do wyczerpania jéj przymiotów. Jest w tém obrazek ducha germańskiego, przeważonego na stronę umysłowéj spekulacyi, a lubującego się w logiczném rozwijaniu podanego sobie tematu. Wszak podjęty przezeń chrześciańskiéj idei temat, nie tyle zalągł się w uczuciu, ile rozplenił naokoło siebie mnóstwo rysunków myśli, która krąży nieustannie, zakreśla mniejsze i większe łuki, ale tém samém skazuje siebie na nieskończoną robotę, nie mogąc nigdy środka dosięgnąć. Tak też co do sztuki, symfonia niemiecka, jako rozumne i logiczne usystematyzowanie idei, wyobraża dramat. Tu konieczny rozwój wewnętrznych organów i zewnętrznych czynników, ściągających się do jednego centrum idealnego, którym jest właśnie motyw. On tu główną myślą, przenikającą wszystkie momenta, wszystkie gry rozczłonia. Mistrz na samo zdobywa się rozwijanie zadania. Jego siły poetyczne, w wyobraźni chowane, dźwigają ogromne światy, budują mistykę tonów. Więc całą potęgą muzyki uderza na wyobraźnię słuchacza, jak gdyby chciał wstrząsnąć ducha, dostać się do głębi sumienia. Bezwątpienia że tego nie osiąga, ale samém podobieństwem formy przypomina dramat, niby w ideale spotęgowaną i z jednego motywu wynikającą spójnię czynów. Piękno sztuki dosięga tu wielkiego szczytu, jako wizerunek myśli ludzkiéj w idealnéj tonów obłoczy. Snuje się myśl, mieniając cudowne kształty, to się roi i do marzeń wznosi, to gra i czynnie figuruje, to niby się plącze i gubi, to znów nić swą rozwija, by na wierzch gotową tkanką wypłynąć. Nie może być gra myśli ludzkiéj w piękniejszéj formie, w doskonalszym ideale oddaną. Wszakże, pomimo swą znakomitą cenność, muzyka ta zdradza ubóstwo lirycznie natchnionego ducha i dlatego przez słowiańską sztukę naśladowaną być nie może. Co dla spekulacyjnego umysłu jasne i zrozumiałe, tego nie pojmie prosty a wieszczy umysł słowiański. On zawsze w muzyce niemieckiéj upatrzy powikłanie urywanych frazesów, aber-

racyą figur harmonicznych, które tyle mają do muzyki jego podobieństwa, co ideologia myśli niemieckiéj do treściwości słowiańskiego myślenia. Duch słowiański wydaje ze siebie mnóstwo idei: on je rzuca hojną ręką bogacza, który wié, że mu w skarbie nigdy cennéj monety nie zbraknie. Patrz na orkiestralny poemat Moniuszki. Jego „Bajka“ w niczém nie podobna do niemieckich tego rodzaju poematów. Tu pełno motywów treściwie poczętych, niby jednym tchem z uczucia wytworzonych. One się nie wiążą w systemat, nie przedstawiają całości symfonicznéj, ale za to każdy z nich jest wieszcza poetyczną pieśnią. Nie naruszając wydanych z uczucia piękności, fantazya artysty lekkie im tylko zakreśla łączniki, jak gdyby pierwodztwu natchnienia cześć niosła, jak gdyby zbytkiem artyzmu dotknąć nie śmiała tego, co z tajemnic serca wyszło. Bajka, to ulubiony twór fantazyi Słowianina. On w niéj mistrzem, że umié wiązać rzeczy ziemskie z nadziemskiemi, że wyobraźnią tworzy kryształowe pałace i zaczarowane księżniczki, ale w tych kryształach i czarach mieści uczucia własne, rzewne a poczciwe. Posłuchaj rapsodycznego opowiadania na Rusi, a zwłaszcza na kozackiéj Ukrainie. Rzecz się toczy o jakimś bohatérze, o wojnie i strasznych wypadkach, o niewoli i krwawych zapasach, a toczy się tak, że obraz na obraz trafia i z obrazu się snuje. Wszystkie je łączy głębokie westchnienie, zwrót bajarza na siebie, zgoła liryczne uczucie. Sam ton opowieści jest barwą liryczną powleczony, smętnie zatoczysty, pełen piersiowéj wibracyi. Umiał Szewczenko tę formę a ton schwycić i dlatego jest nieporównanym, oryginalnym kozackiego ducha poetą. Więc w „Bajce“ Moniuszki może wyobraźnia słowiańska widzieć pieśń historyczną, może rapsod, może rusińską *kazkę*, gdzie bajarz nie pojmuje dramatycznego grupowania powieści, ale tworzy uduchowioną liryzmem epopeję, to jest rodzaj poezyi, którego wzoru nigdzie nie znaleźć, jeno w Słowiańszczyznie. Nie może być kompozycya muzyczna więcéj słowiańską.

Owoż w operach Moniuszki znać przedewszystkiém pierworodność motywu. Jego piérwszy popęd jest uczuciowy, wieszczy. Ztąd posiada ten przymiot, że się odrazu wciska do duszy, jako przekonywająca prawda, jako naturalny a doskonale odgadniony charakter osób i sceny. Odśpiewany w duszy kompozytora motyw zda się rozgrzewać myśl jego i wyobraźnię; więc w spółce z niemi zapładnia liryczną ideę, t. j. kreacyę, gdzie wszystkie czynniki ducha twórczego, fantazya i artyzm, do serdecznego mają się natchnienia. Słuchacz téj muzyki nie może brać za samą fantazyę lub za artystycznych form piękność. Tu muzyka jest idealnie wyłaniającą się mową, gdzie przedewszystkiém liryczny dostrój twórczości panuje. A jaka tu obfitość motywów! Jeden z drugiego się rodzą, snując ideę z idei, a nie masz nigdzie miejsca próżnego, tylko nieustanny ciąg motywowania cieniującego z nadzwyczajną delikatnością najlżejsze rysy uczuć, najdrobniejsze szczegóły sceny. Nawet recytatywa Moniuszki ma-

ją charakter liryczny. One są również śpiewnemi motywami, jak gdyby deklamacyjna suchość recytacyi nie odpowiadała wieszczym nastrojom mistrza, którego każde słowo musi iść z ducha. Co słowiańskiego jest w tém motywowaniu, to wielka swoboda z jaką mistrz przechodzi z jednéj idei w drugą, spoląc ze sobą najrozliczniejsze rytmy i koloryty. Barwy melodyj rozwijają się u niego na podobieństwo barw tęczowych, nie dając nigdy uczuć wrażenia sprzeczności, lubo częstokroć sprzeczne łączy ze sobą rzeczy. Na tém właśnie polega artyzm Moniuszki. Opera jego stanowi wydatną oryginalność, właściwą narodowemu geniuszowi, że w niéj nie znaleźć podobieństwa do włoskich kwadratur, kunsztownie wykończonych, przedstawiających niby galeryę muzycznych kompozycyj. Jakaś wieczna świeżość, niespożyta i niesprzykrzona piękność osłania jego utwory, że motywa nie do saméj odnoszą się wyobraźni, że nie zużywają się przez pamięć, nie starzeją przez tysiącznych ust reprodukcye; a z drugiéj strony otacza je zawsze aureola wieszczego słowa, że mistrz nie obnaża i spekulacyjnie swego natchnienia nie rozbiera. Nazwyczajony do włoskiego stylu słuchacz, chciałby nie jedno melodyjne natchnienie miéć sobie powtórzoném, tyle w nich zachwycił piękna; ale mistrz przechodzi w coraz inne sfery melodyj—on nie tyle artyzm muzyki, ile poetyczną ideę rozwija; więc zostawia melomana nie w upojeniu co się łatwo zużywa, lecz w stanie wyższego zainteresowania, które tylekroć go ogarnie, ile wykonaniu dzieła przytomnym będzie. Jak Tadeusza można czytać bez końca, tak opery Moniuszki z nieustającym interesem słuchane być mogą.

Ze względu na poetyczność muzyki, na solidarność motywów, na powagę słowa i akcyi, opera Moniuszki zblizka dotyka estetycznych celów, o jakich marzył Glück i które wprowadza do sztuki Wagner. Zachodzi ta różnica, że opera polska nie odpowiada warunkom dramatu, że jeszcze niéma przed sobą otwartéj drogi do wielkich zadań poezyi; ale téż i ta druga odznacza ją różnica, że nierównie prościéj estetyczne pomija sprzeczności. Obaczymy to na inném miejscu, tu zaś jedném zdaniem streszczamy, że opera naszego pieśniarza jest scenicznym poematem, na który głównie, przeważnie i prawie jedynie składają się żywioły: liryczny i charakterystyczny.

Przegląd prassy peryodycznéj

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

Rok 1873.

PISMA LEKARSKIE.

Różnorodne potrzeby społeczeństwa muszą miéć swój wyraz w piśmiennictwie krajowém. G'woli tym wymaganiom, powstają obok siebie i rozwijają się liczne specyalne organa w różnych kierunkach wiedzy ludzkiéj, wypełniając tym sposobem lukę w prassie peryodycznéj specyalnéj.

Już samo istnienie prassy peryodycznéj specyalnéj w kraju naszym, dowodzi faktycznie poczucia owych różnorodnych potrzeb pracy organicznéj, i zarazem daje świadectwo o stopniu kultury krajowéj. Jeśli bowiem piśmiennictwo w ogólności uosabia umysłową potęgę danego społeczeństwa, to z tém większą słusznością mamy prawo zasadę tę stosować do prassy peryodycznej specyalnéj. Tu bowiem nie tylko się ujawnia stan każdéj nauki w szczególności, nadto jeszcze dowodnie się okazuje, o ile nauka ta samoistnie się rozwija, czyli, do jakiego stopnia jest przyswojoną w danym kraju. Atoli chcąc dokładnie wykazać proces owego, że tak powiemy spolszczenia nauki, musimy przyjąć na uwagę warunki, wśród których nauka u nas rozwijać się musiała. Warunki te nie były zewszech miar sprzyjającemi. Wiedza bowiem na podobieństwo światła fizycznego, do rozwoju swego wymaga nie tylko dobrze zasilanego ogniska, lecz i właściwéj otaczającéj atmosfery. Tych to właśnie zasadniczych podstaw wiedzy zabrakło nam po ostatecznem zamknięciu, jednego naówczas ogniska nauki, akademii wileńskiéj. W prawdzie, młodzież nasza w ciągu 25 pokoleń naukowych, licznie uczęszczała do uniwersytetów cesarstwa i zagranicą, wszakże czerpiąc naukę z wielu źródeł i hołdując wcale odmiennym kierunkom, adepci jéj nie byli w stanie utworzyć szkoły naukowéj. Rozstrzelone tym sposobem siły naukowe, najczęściéj nikły bezowocnie, nie przynosząc istotnych korzyści dla wiedzy narodowéj. Nic przeto dziwnego, jeśli

i obecny rozwój prassy peryodycznéj specyalnéj, odbitéj światłem Zachodu dotąd świeci. W tak krótkim czasie, od którego istnienie Szkoły Głównéj datuje się, jestto niemałym dowodem postępu z naszéj strony, że możemy to światło wiernie odbijać, tylko bowiem dobrze polerowane powierzchnie mają tę własność; wszelkie zaś inne zachowują się odmiennie: pochłaniają światło, lecz go wcale napowrót nie oddają.

Pomiędzy pismami specyalnemi, już to liczebnością, już to bogactwem treści, widocznie wyróżniają się pisma lekarskie. Dla nich więc bezwątpienia, w tym dziale naczelne miejsce należy.

W roku bieżącym wychodziły następujące pisma lekarskie: 1) Gazeta Lekarska, 2) Przegląd postępu nauk lekarskich, 3) Medycyna i 4) Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego.

Przedewszystkiém musimy uprzedzić czytelnika, że przegląd prassy lekarskiéj dla większego koła publiczności przeznaczony, nadto w piśmie zbiorowém, nie może być szczegółowo traktowanym. Podajemy tu tylko zarysy ogólne naukowéj działalności pism lekarskich.

I.

W czasopismach specyalnych podobnie jak i w organach innego charakteru, o wartości pisma stanowią: artykuły wstępne, prace oryginalne, kronika zagraniczna, dział krytyki naukowéj, wreszcie stosowny układ pomiędzy oddzielnemi częściami całéj budowy naukowéj pisma, dający świadectwo o porządku i systemacie, jakiego Redakcya trzyma się. Ta jest skala, wedle któréj chcielibyśmy ocenić naukową wartość czasopism lekarskich w ogólności. Wszakże dla wyżéj przytoczonych powodów, poprzestać musimy na ogólnikowéj wzmiance, podając tu tylko pogląd objektywny, względnie do postawionych przez nas wymagań krytyki.

Artykuły wstępne w tygodniku przeznaczonym dla użytku lekarzy praktycznych, przeważnie postrzeżeniom z praktyki lekarskiéj są poświęcone. Dział ten dla lekarza jest niezmiernéj wagi: jużto dlatego, że podaje opis wypadków niezwykłych, tak pod względem przebiegu jak i zakończenia; jużto że obznajmia nas z nową metodą badania i leczenia choroby, o co głównie nam chodzi. Owóż w Gazecie Lekarskiéj pomiędzy artykułami porządnie opracowanemi, nie bez pewnéj wartości naukowéj, spotykamy niekiedy postrzeżenia luźne, opisy wielce szczęśliwych kuracyj, nie sprawdzonych dostatecznie przedmiotowém badaniem, jakiego w tym razie wymaga nauka. W prace tego rodzaju obfituje kazuistyka NN. 1 (o cholerze), 3 i 4 (o nerwobólach), 21 (o białkomoczu) i 25 (o szczękościsku).

Wprawdzie liczba tych rzekomo naukowych spostrzeżeń jest nieznaczną w stosunku do innych, tym sposobem strona ujemna maleje w zestawieniu z dodatnią; atoli w piśmie zostającém pod redak-

cyą zasłużonego w piśmiennictwie lekarskiém Professora, pragnęlibyśmy widzieć więcéj doboru i krytyki. W organie naukowym, każdy artykuł musi być naukowo traktowanym. Wyjątki zatém z téj ogólnéj zasady jakkolwiek rzadkie, rzucają wszelako cień na charakter naukowy pisma.

Lubo powiedzieliśmy na wstępie, że między specyalnemi czasopismami prassa lekarska pierwsze miejsce trzyma, nie idzie zatém żebyśmy tu spotykali przeważnie prace oryginalne, lub studya samodzielne w pewnym kierunku przeprowadzone. Studya podobnego rodzaju, pomimo wielu innych warunków, wymagają podziału prassy lekarskiéj wedle oddzielnych specyalności, jak to ma miejsce zagranicą, gdzie istnieją organa poświęcone wyłącznie: fizyologii, chemii, gynekologii, otiatryi, pediatryi i t. p. Nic podobnego nie mamy w naszém piśmiennictwie lekarskiém. Z tego względu musimy stale powiększać listę prenumeratorów czasopism lekarskich, wychodzących zagranicą, dając im przezto warunki trwalszego bytu.

Nie dotyczy to wyłącznie materyalnych warunków. Nasi autorowie chcąc by celniejsze prace ich, w pismach polskich drukowane, znalazły należne uznanie uczonych Zachodu, muszą je w przekładzie do pism obcych przesyłać.

Wyżéj przytoczone powody usprawiedliwiają poczęści nieznaczną liczbę rozpraw oryginalnych w Gazecie Lekarskiéj. Na przeszło 40 artykułów z kazuistyki lekarskiéj, zaledwie 9 do rzędu prac oryginalnych policzyć można. Piérwsze miejsce pomiędzy niemi należy się umiejętnie opracowanym rocznym sprawozdaniom ze szpitali Drów: Narkiewicza-Jodko, Rothego, Wygrzewalskiego (z Piotrkowa), Ignatowskiego (z Ciechocinka), Wyrzykowskiego (z Solca).

Jedyne cztery naukowe rozprawy Drów: T. Zdzieńskiego, L. Neugebauera, Z. Cywińskiego i aptekarza Karpińskiego, mają cechę prac oryginalnych większego zakresu. Atoli piérwsza z nich: „Rzut oka na środki i dyetę wzmacniającą," dochodząca do stanowczo negatywnych wyników terapii szkoły wiedeńskiéj, wiele traci ze swéj wartości. W piśmię przeznaczoném dla użytku lekarzy praktycznych, prace podobnego rodzaju winny miéć charakter *naukowo - praktyczny;* rozprawa zaś Dra Z. ma cechę wyłącznie *naukowo-teoretyczną*. Gdyby Dr. Z. zechciał zachować granicę pomiędzy terapią a hygieną i dyetetyką włącznie, piękna praca jego zajęłaby bezwątpienia naczelne miejsce w Gazecie Lekarskiéj. Autor bowiem krytycznie i ze znajomością nowszych badań na polu fizyologii doświadczalnéj, przedstawia ciekawą i wielce zawiłą kwestyę, assymilacyi pokarmów w organizmie ludzkim.

Bardziéj jeszcze teoretycznego znaczenia, jest artykuł Dra Neugebauera: „Kilka słów o potworach podwójnych, czyli bliźniakach zrosłych." Praca ta jużto dla samego przedmiotu, jużto dla sposobu traktowania, kwalifikowałaby się raczéj do wydania w kształcie oddzielnéj monografii, zkąd zarówno przyrodnik jak i lekarz, mógł-

by czerpać pracowicie uzbierany materyał o różnych postaciach potworności. W tygodniku zaś lekarskim, mającym na celu śledzenie postępu medycyny stosowanéj, praca podobna przeważnie historycznego charakteru, nie przedstawia szczególnego interesu dla lekarzy praktycznych.

Do prac większego znaczenia, w Gazecie Lekarskiéj zamieszczanych, należą: rozprawa Dr. Z. Cywińskiego (z Wilna) p. t.: „Przyczynek do operacyjnego leczenia zawinięcia powiek.“ Znany nasz okulista krytycznie przedstawia istniejące dziś metody operacyjne téj uciążliwéj choroby, i w końcu podaje przez niego ulepszony sposób postępowania operacyjnego. Metoda Dra Cywińskiego, zaleca się prostotą i praktycznością stwierdzoną dowodnie w jego licznéj praktyce.

Artykuł aptekarza Karpińskiego: „Praktyczne wskazówki do wyrabiania wód mineralnych i gazowych“ pożądanym jest zarówno tak przez lekarzy jak i aptekarzy, dla swéj naukowo-praktycznéj wartości.

Następującą stałą rubrykę Gazety Lekarskiéj stanowi *kronika zagraniczna*. Jak sama nazwa wskazuje, spotykamy tu prace wyłącznie z obcéj literatury czerpane. Są to celniejsze monografie i prelekcye w tłumaczeniu lub streszczeniu podawane. Umiejętny wybór i ściśle naukowy wykład, wielce zalecają dział ten w Gazecie Lekar., żałować tylko należy że nie zawsze się odznacza starannym przekładem. *Wiadomości bieżące* o nowych środkach lekarskich zamykają treść Gazety Lekarskiéj.

Działu bibliografii i krytyki nie spotykamy wcale w Gazecie Lekarskiéj. Pomijano w niéj milczeniem wszelki ruch piśmiennictwa lekarskiego poza redakcyą objawiający się. Była to wielka luka w piśmie peryodocznem specyalném. Lukę tę wszakże Redakcya spostrzegła i wydając w roku bieżącym *Dodatek bezpłatny* bibliografii i krytyce lekarskiéj poświęcony, zaradziła złemu.

Życzyćby tylko należało, by ukazywanie się jego było bardziéj co do czasu określone; dotąd bowiem nie wiemy jakiego porządku w tym względzie Redakcya ma się trzymać.

Oprócz dodatku bibliograficznego, Gazeta Lekarska dołącza prenumeratorom swoim jako dodatek bezpłatny: Historyą szpitali i zakładów dobroczynnych, oraz opisanie Królestwa Polskiego pod względem lekarskim.

Nadto staraniem redaktora i wydawcy Gazety Lekarskiéj prof. Girsztowta, wychodzi „Biblioteka umiejętności lekarskich“ złożona z dzieł wyborowych bądź oryginalnych, bądź przyswojonych naszemu językowi. Podług zapowiedzianego programatu, w tym roku wyszło Biblioteki umiejętności 200 arkuszy druku. Kolosalne to wydawnic-

two obejmuje już przeszło tysiąc arkuszy druku i wzbogaciło piśmiennictwo lekarskie wielce cennemi dziełami. Jestto pierwsza publikacya tego rodzaju w naszéj literaturze naukowéj.

Nie możemy tu pominąć jednego zarzutu, jaki spotykaliśmy kilkakrotnie w pismach publicznych, a mianowicie, że prof. Girsztowt w dalszém rozwinięciu „Biblioteki umiejętności lekarskich," rozszerzył ją nad początkowy zakres. Tym sposobem wydawnictwo to przyjęło większe rozmiary, niż to zrazu początkowy program zapowiadał. Skutkiem tego zdarzały się wypadki, że prenumerator otrzymywał takie dzieła, które już posiadał w oryginale.

Nie wątpimy, że redakcya w tym wypadku, przy obustronnéj dobréj woli, gotowa porozumieć się, z każdym oddzielnie ze swoich prenumeratorów; wszelako dla uniknienia tego w przyszłości, godziłoby się redakcyi określić stanowczo zakres swojego wydawnictwa, nadając mu tém granice skończoności, które bez tego mogłoby stać się nieskończoném, jak to z istoty samego przedmiotu wynika.

Nie chcemy dłużéj zatrzymywać się nad tém małém nieporozumieniem redakcyi z kilku swemi prenumeratorami; potrąciliśmy to tylko przygodnie: wolimy raczéj podnieść głos uznania zasługi człowieka, co własną inicyatywą i niespożytą energią, potrafił uorganizować i prowadzić tak olbrzymie przedsięwzięcie. Kto zna nieodłączne w tym razie trudności tak pod względem wyboru pisarzy, jak wyrobienia i ujednostajnienia naukowéj terminologii; ten bezwątpienia będzie wyrozumialszym dla wielu usterek, jakie podobne wydawnictwo pociągać musi.

II.

Na tém wszakże nie kończy się działalność wydawcy Gazety Lekarskiéj. Na podobieństwo roczników wychodzących w Niemczech, Anglii i we Francyi, mających na celu przedstawienie rocznego postępu nauki lekarskiéj, prof. Girsztowt od lat dwoch wydaje „Przegląd postępu nauk lekarskich." Nowa ta publikacya wychodzi w pięciu zeszytach po 10 arkuszy każdy, co rocznie wynosi 50 arkuszy druku.

Niepodobna nam dziś wiele wymagać po tém świéżo narodzoném piśmie; jest i to już niemałą zasługą wydawcy, że pismo to u nas istnieje, zwłaszcza gdy cena jego więcéj niż o połowę jest niższą od podobnych przeglądów zagranicą wychodzących. Dotąd „Przegląd postępów nauki lekarskiéj" pozostawia bardzo wiele do życzenia. Te tylko części „Przeglądu" które są redagowane przez odnośnych specyalistów, dobrze się przedstawiają; inne zaś wcale nie korzystnie. Redakcya z konieczności rozdając kilka naraz rozległych przedmiotów jednemu sprawozdawcy, czyni to pismo wyłącznie kompilacyjném i pozbawioném wszelkiéj samodzielności, względem podobnych publi-

kacyj zagranicznych. Pojmujemy, że podobne roczniki muszą być w ścisłéj od siebie zależności, bylibyśmy przeto bardziéj wyrozumiali w tym razie, gdybyśmy w całym układzie „Przeglądu“ więcéj znajdowali harmonii pomiędzy różnemi działami medycyny i więcéj staranności pod względem ujednostajnienia języka. Godzi się wszakże mniemać, że redakcya pojmująca doskonale te wady, zdoła w przyszłości ich uniknąć, wówczas niewątpliwie „Przegląd postępu nauk lekarskich“ nabędzie wielkiego znaczenia w naszém piśmiennictwie lekarskiém.

III.

Jakkolwiek znaczne są wydawnictwa Gazety Lekarskiéj, atoli nie wystarczają one rozbudzonej potrzebie nabywania wiedzy ogółu lakarskiego. Tym sposobem obok Gazety Lekarskiéj i zupełnie niezależnie od niéj, wychodzi inny tygodnik lekarski pod tytułem: „Medycyna,“ redagowany przez Drów Rogowicza i Benni.

„Medycyna“ wychodzi w miejsce dawnéj „Kliniki,“ w tym samym zakresie i kierunku. Jestto pismo poświęcone przedewszystkiem dla lekarzy praktycznych, i przyznać należy, że redakcya dobrze pojmuje i wywiązuje się ze swego zadania.

Stosownie do zapowiedzianego programatu, naczelne miejsce w „Medycynie“ zajmują postrzeżenia lekarskie, bądź w szpitalach, bądź w praktyce prywatnéj zebrane. Postrzeżenia te wyróżniają się w ogóle pod względem wyboru i staranności w opracowaniu. Jeśli zdarzają się tu prace mniejszego znaczenia, to prawie nigdy nie spotykamy w „Medycynie“ postrzeżeń luźnych, żadnéj wartości nie mających. Natomiast niektóre z nich kwalifikują się jako prace oryginalne nie bez pewnéj naukowéj wartości; takiemi są postrzeżenia Drów: Talko, Rogowicza, Benni, St. Markiewicza, Dobrzyckiego, Jurasza i wielu innych.

Artykułów właściwie oryginalnych znajdujemy zaledwie kilka. Pierwszeństwo pomiędzy niemi oddać musimy pracy Dra Heringa p. t.: „Studya nad gruźlicą.“ Wprawdzie Dr. Hering podał tu tylko streszczenie z pracy swéj większych rozmiarów do Pamiętnika Towarzystwa lekarskiego przeznaczonéj, atoli z tego już co tu czytelnik znajduje, może ocenić całkowicie rzetelną wartość całéj pracy. Studya nad gruźlicą na drodze doświadczalnéj z całą ścisłością naukową przeprowadzone, stanowić będą piękny przyczynek do prac fizyologii patologicznéj w kraju naszym.

W dalszéj kolei do prac oryginalnych pewnego naukowego znaczenia odnieść należy: spostrzeżenia z praktyki szpitalnéj D-ra Talko p. t.: „Zmiany w oku przy cierpieniach mózgowych;“ sprawozdanie D-ra Dymnickiego z przypadków przymiotu leczonych w Busku; D-ra Janiszewskiego (z Lublina) „O zanurzaniu (Immersio) i znaczeniu tego środka w chirurgii zachowawczéj i D-ra St. Markie-

wicza „Kilka słów o pasożytach roślinnych i o ich znaczeniu botanicznem i patologicznem," oraz kilka innych artykułów tegoż autora.

Wyżéj wzmiankowana rozprawa Dr. St. Markiewicza, jest gruntownem zestawieniem naukowych poszukiwań w ostatnich latach na tém polu dokonanych. Na podstawie tych badań autor uwydatnia, że teorya pasożytnego pochodzenia chorób zakaźnych, czyli teorya swoistych zarazków ustrojowych, nie może się ostać dziś w obec krytyki ściśle naukowéj. Gruntowne przedstawienie botanicznéj i fizyologicznéj strony kwestyi parasityzmu wielce zalecają tę pracę.

Tenże Dr. Markiewicz (z Soczewki) jeden z najbieglejszych pisarzy na polu piśmiennictwa lekarskiego, ma sobie stale powierzony dział krytyki czasopism lekarskich wychodzących w polskim języku. Dział ten stanowi ważną część „Medycyny." Podnosząc i uwydatniając najważniejsze kwestye z innych pism lekarskich, staje się niejako przeglądem bieżącym literatury peryodycznéj i tém nadaje pismu szczególną żywotność i właściwą mu cechę. Chcąc pojąć nieodłączne w tym razie trudności krytyki, należy sobie jasno przedstawić cały obszar wiedzy lekarskiéj w jéj rozlicznych gałęziach, nadto ścisły związek tych umiejętności z naukami przyrodniczemi. Nie dziwi nas przeto bynajmniéj, jeśli spotykamy tu niekiedy mniéj wyczerpujące rozbiory, obok innych gruntownie i z wielką znajomością rzeczy pisanych. Zadziwia nas raczéj, że krytyka ta nie jest wolną uprzedzeń aprioristycznych względem Gazety Lekarskiéj. Ponad poziomem téj stronniczości, pragnęlibyśmy widzieć naszego światłego krytyka. Cenimy wielce jego „przedmiotowe rozbiory," z tém większą zatém przykrością odczytujemy te, w których się odbija jego indywidualne usposobienie.

Oprócz krytycznych rozbiorów czasopism lekarskich polskich, stanowiących stałą rubrykę „Medycyny," znajdujemy tu niekiedy rozbiory pojedyńczych dzieł lekarskich wychodzących w polskim języku. W ogólności, dział krytyczny w „Medycynie" dostatecznie jest uwzględniony. Idzie tylko o to, by on nie przeszedł właściwego mu zakresu, jak to bywa niekiedy z polemiką w szpaltach „Medycyny" prowadzoną (NN. 5, 6, 7, 9).

Inną stałą rubrykę „Medycyny" stanowią sprawozdania z różnych Towarzystw lekarskich. Dział to niezmiernie ważny, bo obznajamia czytelników z najbardziéj żywotnemi kwestyami medycyny w Anglii, Austryi, Francyi, Niemczech. Sprawozdania te, jak również i pewne specyalne działy, są redagowane w Medycynie przez stałych członków korrespondentów; a mianowicie: medycynę publiczną i krytykę czasopism redaguje Dr. St. Markiewicz, sprawozdania z Towarzystw francuzkich podaje Dr. Lewandowski (z Radomia); angielskich, Dr. Fritsche (z Częstochowy); austryackich, Dr. Wł. Krajewski (z Wiednia); niemieckich, tenże niewyczerpany Dr. Markiewicz (z Soczewki); epidemiologię prowadzi Dr. Munkiewicz (z Ro-

sławla), okulistykę Talko (z Lublina), ginekologię Dr. Rogowicz, dermatologię Dr. Wł. Krajewski, elektroterapię prof. Nawrocki i t. d.

Tym sposobem, mając z góry zapewnionych sobie współpracowników, pismo nabiera pewnéj harmonii pomiędzy różnemi działami medycyny i pewnéj jednolitości w kierunku, co jest wszakże rzeczą niezbędną dla każdego specyalnego organu.

W ogóle, w układzie pojedynczych części spotykamy w Medycynie pewien porządek i staranność, tak pod względem formy (języka), jak i pod względem treści, czyli doboru artykułów.

Przy tych dodatnich stronach, z tém większą przykrością znajdujemy w szpaltach Medycyny, korrespondencye i listy, rzucające niekorzystne światło, nie już na wydawnictwa Gazety Lekarskiéj, lecz na samą jéj redakcyę. Bez wątpienia, słuszne są poniekąd zarzuty stawiane redakcyi Gazety Lekarskiéj—ignorowania przez nią innych czasopism i wydawnictw w kraju naszym wychodzących; atoli z drugiéj strony, ten sam zarzut możnaby wymierzyć przeciwko redakcyi „Medycyny,“ która również milczy o wydawnictwach Gazety Lekarskiéj i jeśli niekiedy o nich się odezwie, czyni to jedynie dla wykazania ich ujemnéj strony. Stojąc na gruncie neutralnym, pragnęlibyśmy widzieć obie redakcye zdążające zgodnie, w szlachetném współzawodnictwie, na polu nauki. Tam zaś, gdzie jest panowanie nauki, namiętności miejsca mieć niepowinny.

IV.

Do czasopism lekarskich w kraju naszym wychodzących, należy jeszcze Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego. Jestto najstarsza u nas publikacya naukowa, wychodzi zeszytami raz na kwartał.

Dotychczas Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego nie cieszył się zbytecznem uznaniem pomiędzy lekarzami. Będąc wyłącznym organem Towarzystwa Lekarskiego, zamieszczał rozprawy członków tegoż Towarzystwa, częstokroć mało interesu dla lekarzy praktycznych przedstawiające. Niemniéj i naukowa wartość drukowanych w Pamiętniku artykułów, nie zawsze odpowiadała powadze jedynéj u nas reprezentacyi naukowéj. Niejednokrotnie Towarzystwo lek. starało się zaradzić złemu, wszakże różne półśrodki w tym celu przedsiębrane, nie doprowadziły do pożądanych rezultatów.

Pamiętnik Tow. lek. potrzebował radykalnéj reformy. Tym razem reforma dotknęła nie już redakcyi tylko, lecz i saméj ustawy Pamiętnika. Po długich bezowocnych usiłowaniach, dochodząc przyczyny złego, znaleziono, iż tkwiła ona w zasadzie samego wydawnictwa. Pismo bowiem specyalnéj treści, nadto będące organem Towarzystwa naukowego, jeśli ściśle ma odpowiadać swemu prze-

znaczeniu, musi stać na wysokości dzisiejszéj nauki. Wydając zaś zeszytami miesięcznemi, jak dawniéj, niepodobna było je stale oryginalnemi pracami zasilać, ztąd niekiedy spotykaliśmy tu prace, któreby miejsca w Pamiętniku mieć nie powinny.

Owóż dla zaradzenia wadliwości z saméj ustawy pochodzącéj, Towarzystwo lekarskie postanowiło na przyszłość wydawać „Pamiętnik“ raz na kwartał. Tym sposobem zyskało możność, należytego wyboru, i bacznéj kontroli naukowéj artykułów w Pamiętniku zamieszczanych. Jednocześnie z reformą ustawy, nastąpiła zmiana redakcyi. Nową redakcyę objął prof. Nawrocki. Przyznać należy, że wybór ten był bardzo szczęśliwy i nie zawiódł naszego oczekiwania. Pod światłym kierunkiem zusłużonego w nauce męża, Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego uległ rzeczywistéj metamorfozie. Sądząc po pierwszych zeszytach, nie pozostaje dla nas wątpliwości, że redakcya jasno zadanie swe pojmuje i umié je należycie wypełniać. W tym nowym kierunku postępując, „Pamiętnik“ stanie się prawdziwym wyrazem Towarzystwa naukowego, i jedynym samodzielnym organem nauki lekarskiéj w kraju naszym.

Niepodobna nam tu zastanawiać się nad poszczególnym rozbiorem artykułów w trzech pierwszych zeszytach znajdujących się; chcemy tylko zwrócić uwagę na bardziéj wydatne prace oryginalne.

Naczelne miejsce w pierwszych dwóch zeszytach, zajmuje rozprawa Dra Heringa p. t.: „O stosunku gruźlicy do zapalenia.“ O pracy téj wzmiankowaliśmy już wyżéj, tu tylko dodać winniśmy, że rozprawę niniejszą Towarzystwo Lekarskie Warszawskie uwieńczyło nagrodą imienia Dra Helbicha.

Dr. Hering wykonał cały szereg doświadczeń na zającach, królikach i morskich świnkach w celu sprawdzenia: o ile wszczepione rozmaite produkta gruźlicze, oraz ciała obojętne (jak wata, papier, kauczuk), są w stanie wywołać ogólną gruźlicę, czyli suchoty. Wyniki tych badań, 82 doświadczeniami sprawdzone, są mniéj więcéj identyczne z takiemiż innych badaczów téj ważnéj kwestyi, a mianowicie: że, gruźlica polegająca na jednoczesném występowaniu w rozmaitych narządach, jest *zaszczepialną;* dla sprowadzenia jéj, wystarcza wywołanie zapalnego serowatego ogniska; *specyficzności gruźlicy* na podobieństwo jadu ospy, tyfusu, nosacizny etc. *przyjmować nienależy* i t. d. Lubo Dr. Hering nie daje nam nowych poglądów, kto atoli zna chaotyczny zamęt jaki jeszcze przed kilką laty w téj kwestyi w nauce panował (co właśnie i pobudziło czcigodnego ofiarodawcę do wyznaczenia premium), ten niewątpliwie uzna całą zasługę naszego rodaka, który umiejętnie potrafił ominąć wszelkie szkopuły, jakie na drodze swych badań natrafiał, by dojść do możliwie wiernych rezultatów.

Nie wątpimy, że rozprawa Dr. Heringa, którą obecnie wydał autor w języku niemieckim p. t.: „Histologische und experimentelle

Studien über die Tuberculose," dozna niemniéj sympatycznego przyjęcia i da świadectwo o samodzielnym badaczu naszéj wszechnicy.

Niemniéj ciekawe i nauczające, pod względem naukowym są prace Drów H. Hoyera, J. Baranowskiego, Wł. Brodowskiego, J. Kosińskiego, Modrzejowskiego, Kramsztyka, T. Mokrzyckiego, Wł. Orłowskiego, oraz sprawozdanie Drów F. Nawrockiego i H. Dobrzyckiego. Nie mogąc szczegółowo zatrzymywać się nad każdą z nich, jakbyśmy tego życzyli, chcemy tylko słów kilka powiedzieć o pracy prof. Hoyera, („Nowy przyczynek do historyi szpiku kostnego") wyróżniającéj się z pomiędzy innych, tak pod względem przedmiotu badania, jak samodzielnych wyników, do jakich doszedł nasz uczony fizyolog.

Przed pięcioma laty poruszona kwestya fizyologicznego działania szpiku kostnego, wywołała do dziśdnia liczne prace i żywe rozprawy w naukowych zgromadzeniach. Od początkowego postawienia téj kwestyi na porządku dziennym, prof. Hoyer nieprzerwanie prowadził badania swoje w téj mierze. Już w roku 1869 prof. Hoyer zdołał odkryć i wykazać niezależnie od innych badaczy, pewne nieznane dotąd stosunki fizyologiczne, co do zgodności pomiędzy budową histologiczną śledziony i szpiku kostnego, a tém samém o podobieństwie funkcyj fizyologicznych wzmiankowanych organów, (na przemianę morfologiczną krwi), wnioskował. Ważne to w nauce odkrycie prof. Hoyer pośpieszył ogłosić w czasopiśmie niemieckiém (Centralblatt für die med. Wiss. 1860, N. 16 i 17 p. t.: Zur Histologie des Knochenmarkes), niewiedząc zgoła nic, że został już uprzedzony przez prof. Neumanna z Królewca, który poszukiwania swoje w N. 15 tegoż pisma ogłosił. Do téj ostatniéj publikacyi o któréj tu mówimy, zmusiły szanownego prof. już to rzekome zarzuty Dra Feigla z Królewca, jużto ignorowanie przez tegoż pierwszeństwa pewnych postrzeżeń naszego fizyologa.

Nie będziemy wchodzić w dalsze szczegóły téj ze wszech względów ważnéj dla każdego fizyologa rozprawy. Ciekawych odsyłamy do samego „Pamiętnika;" tu tylko dodać winniśmy, że w ostatnich czasach przez prace Neumana, H. Hoyera, Waldeyera, Wł. Brodowskiego, kwestya ta wyszła z zakresu badań wyłącznie fizyologicznych i stała się przedmiotem ścisłych poszukiwań anatomo patologicznych, rzucających swiatło na patogenezę pewnych chorób.

Uwydatniając znaczenie dwóch większych oryginalnych rozpraw w „Pamiętniku" drukowanych, sądzimy że dostatecznie wykazaliśmy charakter naukowy tego pisma. Na 14 artykułów zamieszczonych w Pamiętniku Towarzystwa lekarskiego, 10 z nich należy do prac oryginalnych, a dwa stanowią wielce zajmujące sprawozdania z celniejszych rozpraw z literatury lekarskiéj niemieckiéj. Stosunek ten daje wymowne świadectwo o wartości Pamiętnika, jak niemniéj o naukowém wykształceniu lekarzy w kraju naszym.

Dr. Szyszłło.

PRZEGLĄD SĄDOWY I GAZETA SĄDOWA.

1873 r.

Od 1-go października 1868 r. zaczęło wychodzić pod tytułem: *Przegląd Sądowy*, pismo popularno-naukowe, poświęcone teoryi i praktyce prawa. Miało być peryodycznie miesięcznem, z czasem jednak stało się kwartalnikiem, i w takiéj postaci ukazywało się w roku zeszłym.

Podług pierwotnego programu, redakcya idąc za wzorem licznych tego rodzaju pism zagranicznych, pamiętna świetnego przebiegu oddawna ustałéj *Temidy*, pragnęła dokładnego pojęcia i rozpowszechnienia nauki. Do prac tego rodzaju łączyć się miały przykłady rozumnego stosowania prawa, jako życie społeczne w najbliższém zetknięciu z ustawą i magistraturą, a jurisprudencya krajowa, jako pomoc dla wszystkich poświęcających się stosowaniu prawa.

Sama nazwa pisma, dopuszczała artykuły odnoszące się do zdarzeń sądowych, spraw obudzających zajęcie, wiadomości statystycznych, kroniki sądowéj, obron łączących ważność przedmiotu prawnego z starannością opracowania.

Redakcya nie wątpiła, że pismo jéj nietylko istnieć, ale wzmagać i umacniać się może w stosunku do skali poczucia obowiązków, w stosunku do sił żywotnych nauki i poświęcenia, których być zamierzała widocznym obrazem.

Były to więc i cele piękne i zadanie niełatwe; miały je dźwigać siły żywotne nauki i poświęcenia, oraz poczucie ogólne obowiązku. Im większe zatém były owe siły, tém mniejsze poświęcenie—i przeciwnie. Zdaje się jednak, iż zaszedł w wydawnictwie Przeglądu, wypadek ostatni.

Tak przynajmniéj wnosić należy z dwunastu ostatnich zeszytów od 1-go października 1872, z których tu zamierzamy zdać ogółowo sprawę. W zeszytach tych spotykamy kilka artykułów naukowych, jeden krytyczny, jeden biograficzny, jeden nekrolog, a resztę zajmuje: wykład procedury cywilnéj, sprawozdanie z czynności IX D. R. S., jurisprudencya, kronika i głos naczelnego prokuratora przy otwarciu czynności sądowych; ten ostatni tłumaczony z rossyjskiego.

Dwie jeszcze z owych naukowych rozpraw są tłumaczone z francuzkiego, a zdaje nam się, że i rzecz o odpowiedzialności rejentów, choćby niedosłownie, z podobnego źródła powstała (Vergé: de la résponsabilité des notaires).

Tym sposobem Przegląd Sądowy z ubiegłego roku jest raczéj rodzajem podręcznika technicznego, nie zaś przewodnikiem nauko-

wym, w teoryi i praktyce prawa, co głównem jego zadaniem być miało i być powinno.

Zapowiadanego *dodatku*, obejmować mającego zbiór praw obowiązujących od daty zniesienia Dziennika praw w królestwie Polskiém, to jest od 1/13 czerwca 1871 r., który prenumeratorowie otrzymywać mieli, dotąd, o ile nam wiadomo, nie otrzymali, a wolelibyśmy zbiór ten w samym tekscie nawet Przeglądu widzieć, zamiast wielu rzeczy tłumaczonych z obcego; i byłoby to rzeczywiściéj użyteczném dla czytelnika. Z czegóż tu więc wyprowadzać miarę do ocenienia owych sił żywotnych i naukowych, o których redakcya w swym programie mówi?

Nie możemy tu czynić szczegółowego rozbioru prac wzmiankowanych, zwrócimy tylko uwagę, że oprócz artykułów o *znaczeniu i systemie filozofii prawa*, i o *prawach spadkowych małżonków podług K. C. P.*, inne nie wiele cech naukowości przedstawiają, a i w praktyce nie więcéj użytecznemi być mogą.

Zdaje się więc, że redakcya ani nie dosyć była *pamiętną świetnego przebiegu Temidy*, jak się do tego w programie swym zobowiązywała, ani téż nie arcy szczęśliwą w wynalezieniu *wzoru w tego rodzaju pismach zagranicznych*.

Pozostawiając teoryę prawa *Przeglądowi Sądowemu*, a naukę jego *Bibliotece umiejętności prawnych*, *Gazeta Sądowa* rozpoczęła swoje istnienie w miesiącu kwietniu r. z. jako pismo peryodyczne tygodniowe, które miało być łącznikiem wymiany myśli, dla prawników, a współcześnie czynić zadosyć potrzebom całego społeczeństwa.

W przeglądzie niniejszym zamierzyliśmy właśnie zdać sprawę z półrocznéj działalności red. Gaz. Sąd.; krótki to przeciąg czasu na to, aby wszechstronnie rozwinąć mogła pierwotny swój program. Każda jednakże całość, jeżeli ma być organiczną, w każdéj cząstce składowéj odbijać musi cechy swe rodzajowe.

Z tego téż punktu patrzéć będziemy na wartość wspomnionego czasopisma, wykazując w krótkości wybitniejsze strony teoryj w niém wygłaszanych.

Gazetę Sądową rozpoczynają dwa artykuły wstępne (Nr. 1): *O władzy sądu w tłumaczeniu prawa*, i *Kilka słów o znaczeniu prawa w społeczeństwie*.

Są to rozprawki ogólniejszego zakroju, mające na celu wyjaśnienie podstaw dotyczących pytania: czém jest prawo w ogólności dla każdego członka społeczeństwa, i jak je tłumaczyć winien w zakresie swéj atrybucyi sędzia wyrokujący?

Rzecz o tłumaczeniu prawa zdawałaby się być tłumaczeniem z obcego języka, tak przynajmniéj wyrażenia w niéj użyte (na długi czas przed tém, nim wydał swoje ustawy jakikolwiek prawodawca, deklarować prawo i t. p.) wnosić upoważniają. Zrzeczono się tu wykazania zasad naukowych tłumaczenia prawa, których przecież

głównem zadaniem jest rozświetlanie istoty ducha ustawy danéj, a więc i tłumaczenie prawa. Pomięszano wiele prawideł o stosowaniu prawa i kodeksowém tłumaczeniu umów, bez uczynienia linii rozgraniczającéj. Chciano tylko wykazać, dokąd zachodzi władza sądu w tym względzie, ale nie powiedziano, gdzie się zaczyna. Konkluzyą wywodu, iż władza sędziego kończy się tam, gdzie się zaczyna wola prawodawcy, możnaby odwrócić przeciwnie, i byłoby to z większą precyzyą.

Ale jakąkolwiek nadamy wartość temu poglądowi, uczynić musimy dwa zastrzeżenia: mianowicie jedno co do tego, jakoby w kraju naszym po zniesieniu instytucyi kassacyjnéj nie miało miejsca odnoszenie się do prawodawcy, skoro sam autor zaraz wyjaśnia, że władza ta zostawioną została R. Senatowi, tylko w innym kształcie— a drugie zastrzeżenie co do tego, jakoby władza sądu w tłumaczeniu prawa karnego bezwarunkowo była wyłączoną. Co do ostatniego zastrzeżenia wyjaśnimy kwestyę na właściwém miejscu.

W artykule o znaczeniu prawa, wszystko chciano powiedzieć z precyzyą i jasnością. Absolutném wydało nam się zdanie, jakoby tylko *może* ekonomiści i naturaliści zrozumieli poniekąd, jakie ma znaczenie świadomość związku między nauką a życiem. Co do prawników uczyniono tu tylko wybitniejszy wyjątek dla starożytnego Rzymu. Otóż zdaje nam się, że autor nie uwzględniwszy wcale szkoły historycznéj prawnéj, naraził swój wniosek na zarzut nieścisłości.

Do tego znowu, aby prawo urzeczywistnianém było przez społeczeństwo samo, o ile możności *dobrowolnie* i z coraz większą *świadomością*, uzupełnilibyśmy zdanie autora, iż to się stać może nietylko wyłącznie przez należyte rozpowszechnianie i umacnianie wiedzy prawnéj, ale i przez rozpowszechnianie oraz umacnianie zasad moralności.

W rozprawce: o kierunku naukowym naszych prac prawniczych autor zdając sprawę z sześćdziesięciopięcioletniéj działalności prawniczo-naukowéj, dochodzi do wniosków bezwarunkowo ujemnych. Niceśmy, podług niego w dziedzinie téj, a przynajmniéj bardzo mało uczynili. Zapewne, że w tak ścisłém pojęciu uważając, musielibyśmy przyjąć wnioski jego.

Ale pomija on u nas ważne rezultaty saméj nauki, na polu prawodawczém urzeczywistnione; np. ustawę naszą hypoteczną, prawo cywilne z r. 1825, kodeks karny z r. 1818, których same motywa urzędowe pokazują, iż i badania naukowe nie pozostawały w kraju tak bezwzględnie nieruchomemi. Ale nam, ze względu na punkt ogólnego zapatrywania się autora, o co innego w tém miejscu chodzi.

Uznawszy zupełny u nas rozbrat między teoryą i praktyką, a nie wytłumaczywszy przyczyn takiego stanu, odrzuciwszy metodę dogmatyczną, przebiegłszy mimochodem historyczną, wskazuje nam autor inne na przyszłość drogi skuteczniejsze, mianowicie metodę

filozoficzną i porównawczą. Ale czém jest ta metoda, wcale nie wyjaśnia; a przecież od wyboru metody zawisło powstawanie nawet samych systematów filozoficznych, a wybór jéj zależy od przyjęcia pewnéj teoryi poznania. Ma to być zapewne system realistyczny, bo tak autor określa filozofię, jakiéj pragnie.

W rzeczach tak ważnych i rozległych nie można sumarycznie zdania wypowiadać, bo może powstać wniosek bez motywów.

Dziś już historya i filozofia muszą iść ręka w rękę, jako nierozłączne sposoby badania prawa. Metoda porównawcza nie da się ująć jako coś odrębnego, wyłącznego, bo i tu filozofii a nawet historyi ominąć niepodobna.

Pessymizm, z jakim autor patrzy na prawodawstwo francuzkie, nieda się niczém usprawiedliwić, bo najprzód sam je uważa za najwięcéj postępowe, i sam téż w domówieniu swojém, jako ideał i modłę dla prawników naszych wskazuje działalność naukową zachodniéj Europy; a już tego przynajmniéj Francyi odmówić nie zdoła, że na Zachodzie prawodawstwo i prawoznawstwo jéj idzie przed innemi.

Z rzeczy ogółowszéj treści spotykamy trzeci i ostatni artykuł o stosunku nauk prawnych do innych nauk. Jestto bardzo pobieżne streszczenie mowy prof. Kasznicy mianéj w r. z. przy akcie uroczystym, i poglądów jego znanych już po większéj części.

Dział literatury i krytyki arcy skromny w swéj objętości i treści. Rozebrano tu: Układ i metoda prawa politycznego i polityki ustroju I. B. Oczapowskiego. O sposobach obejmowania tronu, K. Mejera. Moc prawna dowodów ze świadków w postępowaniu karném, Ostrowskiego. O koniecznéj obronie, Jaszewskiego i O wieczystéj dzierżawie, K. Mejera. A nadto z ważniejszych kwestyj zamieszczono monografię o małżeństwie cywilném.

Rozbiory te są to rzeczywiście sprawozdania z uwagami zdających sprawę, są tak indywidualnemi i po większéj części parafrazowanemi, iż dla nauki stają się obojętne. W dziale noszącym tak rozległy napis, wolelibyśmy znaléźć rzecz bez tytułu, niż vice-versa.

Wyjątek tu zrobić można co do rozbioru pierwszéj z prac wymienionych, w którym sprawozdawca przynajmniéj jasno stawia zarzuty systematyce nowéj autora. Najwyższym nabytkiem ostatniéj systematyki w umiejętnościach państwowych jest oddzielenie kwestyj prawnych od politycznych; tymczasem układ pana O. wydziela z tych umiejętności prawo polityczne, oddziela od prawa organizacyjnego część jego nierozdzielną, prawo administracyjne, a za to łączy, nielączne z sobą prawo i politykę.

Choćby się kto nie godził na podobne kryteryum, to przynajmniéj widzi, o co recenzentowi chodziło.

Nie możemy podobnego wyjątku uczynić co do recenzyi broszurki o wieczystéj dzierżawie. Autor utrzymuje, iż stosunek dzierżawy wieczystéj nieznanym jest kodeksowi Napoleona, a prawa, z których się zrodził, przez kodeks ów uchylono. Sprawozdawca powtarza

to samo twierdzenie, ale we wstępie swojego rozbioru. Nie wiadomo więc, czy przekonanie takie sam z siebie wypowiada, czy też z motywów autora. Ale nie o to tu chodzi.

Ważniéjszém jest pytanie, podług jakiego prawa dziś oceniać należy stosunek ten prawny? Tu recenzent znowu się łączy z wnioskami autora, iż w myśl Ustawy przechodniéj do kodeksu Napoleona, po uchyleniu praw dawnych, należy go oceniać podług specyalnych przepisów, już po zaprowadzeniu kodeksu wydanych.

Teorya taka byłaby niemożebną w praktyce. Stosunki bowiem dominii divisi, jako zabytki wprowadzonych do nas z Niemiec stosunków, w kodeksie francuzkim szczegółowo nie określone, polegają głównie na umowie; o ile jednak źródło to do ich określenia nie wystarcza, należy stosować przepisy prawa ogólnego, dotyczące stosunku prawnego najwięcéj zbliżonego. Wieczysta dzierżawa najbardziéj jest zbliżoną do kupna i sprzedaży; dzierżawy też takie, podług wyrobionéj w sądach zasady, nie ulegają warunkom dzierżaw czasowych ale przepisom o sprzedaży, mogą być rozwiązywane z tytułu pokrzywdzenia, podlegają trzydziestoletniemu przedawnieniu i t. p., a nawet Ust. hyp. dla tego rodzaju własności podzielonéj dozwala urządzania hypoteki.

Definicyi p. Mejera, że własność jestto wyłączne prawo, służące osobie do rzeczy, prawnym sposobem nabytéj, zgodnie z recenzentem nie podzielamy; wolimy dawną rzymską, a najlepiéj naszę kodeksową (A. 544).

Ale również trudno się zgodzić bez narażenia się na zarzut: „piękne za nadobne“ na wywód krytyka następującéj osnowy: „dotąd każdemu prawnikowi było wiadomém, że określenie takie, znaczyło stosunek, przez który osoba, jako *podmiot czynny* prawa, nie odnosi się do rzeczy wprost dla jego wykonania, ale za pośrednictwem osoby drugiéj, która jest *subjektem biernym* prawa i t. d.“

Rzecz o małżeństwie cywilném jest monografią źródłowo napisaną, bez konkluzyi wprawdzie, ale też i bez tendencyj owych dziś tak głośnych bezwyznaniowych wyznawców idei bezwyznaniowego państwa.

Stosunek artykułów teoretycznych z prawa cywilnego do takichże artykułów z prawa kryminalnego ma się jak 17 : 18, oprócz kilku, więcéj ekonomiczno-prawnéj natury. Okolicznościowość i pobieżność tych prac tłumaczy się naturą pisma peryodycznego. Są pomiędzy niemi nieraz same fakta przez sprawozdawców podawane bez konkluzyi, np. o instancyi apelacyjnéj w sprawach małżeńskich, o potrzebie zmian w formowaniu wykazów hipotecznych. Są zdania zupełnie indywidualnéj wartości, a nawet konkluzye wręcz sobie przeciwne, np. o zastrzeżeniach hipotecznych, o analogii w prawie karném. Redakcya przyjmuje tu rolę świadka obserwującego walkę toczącą się między swemi szermierzami, nie decydując się, po czyjéj stronie ma stanąć. Zrzeka się więc dobrowolnie swego najważniejszego przywileju, ale za to staje w odpowiedzialności pod skutkami

milczącego zezwalania. A jednak w procesie arcb. Ledóchowskiego, nawet tak oderwanego znaczenia dla siebie, redakcya uznała za właściwe (nr. 23) dodać, czy przyjąć zdanie, iż słusznie do oskarżonego stosowano § 15 Ustawy.

Nie myślimy tu szczegółowo rozbierać teoryj w dziale tém wypowiedzianych, ale zwrócimy uwagę na jaskrawsze z nich i skrajniejsze, np. na rozwiązanie pytania: *jaka jest sankcya prawna przepisu A. 210 K. C.?* Chodzi tu o to, jakim środkiem prawnym zmusić można żonę do powrotu, opuszczającą samowolnie dom mężowski? Autor tego przeglądu prawa i komentatorów jego, wyszedłszy ze stanowiska moralnego, oburza się ze szlachetnością wyznawcy miłości małżeńskiéj, odrzuca bezwarunkowo zdania: Dalloza, Mourlona, Delsola, Marcade'go i widzi w użyciu rygoru prawnego *manus militaris* w zniewoleniu żony do powrotu, przymus osobisty kodeksowy z różnicą tylko miejsca i trwania; a idąc *za duchem wolności osobistéj* i starożytnéj zasady, że nikt nie może być zniewolonym do czynienia, konkluduje, iż wbrew twierdzeniom Marcade'go, zasada owéj wolności osobistéj i przepis A. 1142 K. C. F., t. j. obowiązek wynagrodzenia szkód i strat (pieniężnych) z niewykonania umowy, jedynie w takim razie stosowanym być może.

A jeżeli żona nic nié ma? Ha! to *lex imperfecta*... trzeba przywrócić rozwód z prawa 1825 r.

Oto treść rozumowań i konkluzya wnioskodawcy.

Czy to nie z deszczu pod rynnę? Naprowadzenie zbaczającego na drogę obowiązku i prawa nie jest przymusem osobistym w takiém znaczeniu, jak go autor pojmuje, jest raczéj rygorem prawa. Każda wolność osobista jest zamienną za poszanowanie wolności społecznéj, a rękojmią dla niéj jedyną jest wykonywanie prawa. Sędzia stojący na straży interesów społecznych nie znajdzie się w walce z *wyobrażeniami uczucia* i wolności indywidualnéj, jak to autor uważa, kiedy spełni wolę prawa na rzecz całości rodziny i porządku społecznego. Użycie to środków prawnego zniewolenia, dążącego do utrzymania nienaruszalności tego moralnego przedewszystkiém węzła, do powrócenia nieraz matki niemowlętom, matki może chwilowo zbłąkanéj, leży często w jéj własnym interesie. Musi więc obierać z dopuszczalnych, środki najskuteczniejsze. Czyż szkody materyalne mogą zastąpić krzywdy moralne, niepowetowane niczém, i czy akcya o straty pieniężne przedstawia pożądany i natychmiastowy skutek, jaki tu być musi, jeżeli żona nic nié ma, albo ma za wiele?

Sankcya więc rozbieranego przepisu leży w moralném i prawném principium tego stosunku, a więc w użyciu środka przymusu, jeżeli moralny nie wystarcza. Lepiéj więc podobno radzi Dalloz i inni tego samego zdania komentatorowie.

Kwestya ważności aktów notaryalnych dotyczących alienacyi osad włościańskich, nie zdaje nam się należycie postawioną. Czy akt notaryalny nabycia lub zastawy osady włościańskiej, może być

uznany za nieważny z tego tylko powodu, że do aktu nie zostały dołączone dowody stanu włościańskiego nabywcy lub zastawnika, chociaż zkądinąd *nie ulega wątpliwości*, że on jest stanu włościańskiego?

Jestto pytanie nie nastręczające kwestyi; odpowiedź płynie z samego prawa:

Akt będzie ważny, bo nieważności z tego tytułu prawo nie zastrzegło, a rejent może uledz odpowiedzialności, bo go toż samo prawo odpowiedzialnym za to czyni.

Co do znaczenia świadków przy akcie urodzenia, autor zdaniem naszém, nie rozwiązał swego założenia, stwierdził tylko własne przekonanie, że między czyniącym oświadczenie przy akcie urodzenia, a świadkami obecnemi tylko, jest stanowcza różnica i mięszać ich charakterów razem nie można. To prawda, ale w czém ta różnica, wcale nie wyjaśniono. Nie odpowiada na to pytanie i samo zakończenie, iż rzeczą niemożliwą jest żądać od świadków wiadomości, których dostarczyć nie mogą i których prawo od nich nie wymaga.

A więc o czémże świadczyć winni?

W kwestyi postawionéj nie chodzi tu o różnice między osobami, ale o odpowiedzialność świadka za rzeczywistość tego co poświadcza, co sam piszący z A. 78 K. C. wyprowadza. Świadek nie może być niemym, inaczéj zginęłaby wszelka rękojmia prawna, a świadek stałby się komparsem w komedyi. Okoliczność pewnéj lub domniemalnéj świadomości świadka o przeciwnym stanie rzeczy podawanéj do aktu, wpływać może jedynie na stopień jego odpowiedzialności, od któréj w zasadzie zwolnionym być nie może.

Niektóre pytania poruszano nawet zbytecznie, np. czy można sprostować akt małżeństwa pod względem nie uczynienia w nim wzmianki o zawarciu intercyzy, skoro nakaz prawa jest tu bezwarunkowy i nieważność wyraźnie zagrożona.

Z działu prawa kryminalnego w artykuliku „O aktach oskarżenia“ dziwne czytać się dają propozycye autora. Żąda on dla ulepszenia procedur i organizacyi sądów, takiego porządku w sprawie karnéj:

Sąd naprzód komunikuje akta sprawy z relacyą prokuratorowi swemu. Prokurator sporządza akt oskarżenia, poczém akta mają się przesłać obrońcy (nie dając do wiadomości obwinionemu aktu oskarżenia); obrońca składa odpowiedź na oskarżenie. Prokurator następnie na audyencyi przedstawia akt oskarżenia, poczém obwiniony i obrońca mówić mogą *dopóki zapragną;* potém znowu prokurator mówić może dopóki zapragnie, bo ma miejsce obok prezydującego przy oddzielnym stole. Tu znowu obwinionemu i obrońcy jeżeli zażądają, odpowiedź musi być dozwolona, poczém prokurator przystępuje do wniosków o zastosowaniu kodeksu karnego; następnie jeszcze znowu obwiniony lub obrońca mogą składać protestacyą przeciw unormowaniu kary lub surowszemu uwolnieniu.

I jeszcze nie koniec; *trzeba być konsekwentnym w zupełności*, jak się wyraża projektodawca. Jeżeliby prokurator wśród rozpraw zmienił *myśli napisane*, to powinien nowe zamieścić, bo tu idzie nie o walkę zdań indywidualnych, ale o dyskusyę wyświetlającą prawdę. Kontradyktoryjność (taka?) usuwa mimowolne uprzedzenia bądź pessymistyczne prokuratora, bądź optymistyczne obrońcy.

Zdaje nam się, że kontradyktoryjność taka, doprowadziłaby do kontradykcyj i zamięszania, dla których podawany projekt byłby punktem wyjścia arcy wygodnym.

Obszerny stosunkowo rozbiór A. 159—160 K. K. o wstawianiu się sądów co do złagodzenia kary, z konkluzyą, aby w takim wypadku sąd przedewszystkiém oznaczył, jaka kara obwinionemu grozi, a potém proponował złagodzenie, wydał nam się trudem wyższym nad potrzebę, skoro przepis rzeczonego artykułu 160, wyraźnie stanowi, iż *zdanie* instytucyi sądowéj pośredniéj, winno być senatowi przedstawione.

W artykuliku: O potrzebie uwzględniania § 528 O. K. P. i odpowiedniego proc. austr., nie rozbierając wartości objawionego zdania, samo wyrażenie się autora: „że praktyka sądowa przeciw zakazowi prawa niejednokrotnie wykracza“, a przypisek redakcyi: „sądzimy, iż (w danym razie) sąd apelacyjny powinien tak, a tak wyrokować, zdają nam się co najmniéj niewłaściwemi, zwłaszcza, jeżeli jak tu, wyrok sądu był ostatecznym. Teorya podobnéj dowolności byłaby nawet niebezpieczną insynuacyą.

Co do analogii w obowiązującém u nas prawie karném, jeden autor mówi o analogii przestępstwa, drugi przeciwny o analogii karalności z A. 156 K. K. dlatego porozumieć się im trudno. Przepis prawa jest wyraźny. W tém miejscu oprócz dowodów w rozprawce (nr. 24) wskazanych, wspomnieć dodatkowo należało jeszcze o prawie znoszącém karę osadzania w klasztorze, podług którego sądy w miejsce podobnego zamknięcia, winny stosować karę, najbardziéj do znoszącéj się, zbliżoną.

Dlatego zasadę wygłoszoną w artykule wstępnym o władzy sądu w tłumaczeniu prawa, należałoby zmodyfikować w ten sposób: że w ogólnéj zasadzie prawo karne nie dopuszcza interpretacyi w znaczeniu *nulla poena sine lege*, co zaś do obowiązującego u nas kodeksu, analogia jest nietylko dopuszczalną, lecz wyraźnie nakazaną; ale jestto analogia kary.

Oto jest mniéj więcéj stopa naukowości rozprawek ogłaszanych w Gazecie Sądowéj; jak widzimy, nie wybiega ona daleko po nad poziom codziennéj praktyki.

Przejdźmy teraz do kroniki. Są to dzieje procesów doprowadzanych do wyroków, najczęściéj nieostatecznych, dlatego krytyce poddawane być nie mogą. Czy zaś ogłaszanie wyroków tego rodzaju jest odpowiedniém powadze ostatecznego zdania sądowego, na to podług nas odpowiedzieć można jedynie przecząco. Jeżeli Gazeta

Sądowa ma w tém na celu upowszechnianie wiedzy prawniczéj, to zamiar jéj chybia swego celu. Sąd wyższy może zupełnie zmienić zapatrywania się sądów niższych, i o tém czytelnik wiedzieć nie będzie, a jeżeli się dowié, to tylko wiarę jego w powagę wyrzeczenia sądowego zachwiać będzie zdolném. *Res judicata pro veritate habetur.* Jeżeli już ogłaszane być mają wyroki instytucyj ulegających apelacyi lub odwołaniu się, toby należało w tych samych kwestyach publikować i zasady sądu ostatniéj instytucyi. A ileż tu trudności, a może i niepodobieństwa!

Co do kroniki kryminalnéj w szczególności, ta jako organ podający do powszechnéj wiadomości czyny i sprawy karne, ściślejszéj, dla względów moralnych, ulegać winna kontroli; wszak podług programatu swego Gazeta Sądowa nie tylko ma być łącznikiem wymiany pojęć między prawnikami, ale i organem upowszechniającym poznanie przepisów obowiązujących.

Sprawozdawca piérwszéj kroniki kryminalnéj w nr. 1 przeczuwał zarzuty, jakie takiéj publikacyi czynione być mogą i zawcześnie je odpiera zasadą jawności sądowéj.

Wszyscy najwyżéj cenimy tę jednę z najżywotniejszych zdobyczy cywilizacyjnéj, ale co innego jest jawność procesu, a co innego wyzywanie mas do wrażeń, z których zwykle chwytają najjaskrawsze.

Jakże bowiem inaczéj nazwać owe zawiadamiania w pismach publicznych o dniu, godzinie i miejscu posiedzenia sądu, w którém ma być przedstawiona sprawa téj a téj treści. Jestto właśnie wypadek, o którym autor piérwszéj kroniki mówi, owo podawanie strawy dla pospolitéj ciekawości i podniety wyobraźni. Żeby zaś to *umoralniać* miało *przekonania obyczajowe* i prawne i ułatwiać publiczności badanie natury, oraz wywodzenie wniosków żywotnych na wzór fizyologa-filozofa, jak się wyraża owa wstępna przegrywka, na to się nikt nie zgodzi. Są rany, których się wszystkim nie odkrywa. Owa publika składa się po większéj części z massy nieoświeconéj, często próżniaczéj, dla któréj fizyologia i filozofia nie istnieją, a które wnioskodawca chce *dopuszczać niejako do wspólnego sądzenia*—wspólnictwo podobne byłoby rzeczą niebezpieczną.

Z przeglądu powyższego widzimy, że redakcya nie zdołała jeszcze uporządkować i obliczyć sił swych produkcyjnych, po większéj części luźnych, że zawsze było i zostanie prawdą, iż tylko długie doświadczenie, przy nieodstępném świetle nauki, usilna a dobrze uorganizowana praca, jedynie są zdolne dać grunt rzeczywisty i właściwą miarę sądu piszącemu.

Z pod pióra piszących w Gazecie Sądowéj wieje po większéj części młodość i chęć samoistności pod względem przedmiotów obieranych, czego przecież jeszcze samodzielnością poglądu nazwać nie można. Kierunek taki odwraca nawet poniekąd umysły od źródeł prawoznawstwa francuzkiego, w kryminalnych zaś kwestych zwraca je głównie ku krynicznéj wiedzy prawa obowiązującego, z któréj téż czerpią pełnemi rękami.

Za mało widzimy przejęcia się potrzebą wykazywania zmian w prawodawstwie naszém, sprowadzonych przez ostatnią reformę społeczną; a jestto przedmiot czekający na gruntowne i całkowite opracowanie. Nie zastąpiono też dotąd braku kolejnego i systematycznego zbioru, choćby chronologicznie streszczanych postanowień i urządzeń, poczynając od daty zniesienia Dziennika praw w Królestwie Polskiém; co pomimo, iż Przegląd Sądowy oddawna to zapowiada, powinno być pierwszą troską organu, mieniącego się być łącznikiem wiadomości prawnych dla specyalistów i niespecyalistów. Jeżeli Gazeta Sądowa miała posłannictwo chwili, i w tém znalazła grunt przygotowany, nie powinna zapominać o stopniowéj uprawie jego. W tém ostatniém wyrażeniu zarysowały się granice zadania redakcyi. Trzeba nietylko błyskawic, ale i więcéj ożywczego słońca nauki. Na owoce tak krótkiéj działalności pisma, na dzieło piór po większéj części poczynających, ze współczuciem tylko zapatrywać się musi każdy życzący powodzenia rzeczy, w celu użytecznym podjętéj.

Zamiast więc krytyki, przesyłamy redakcyi Gazety Sądowéj życzliwe tylko uwagi, iż więcéj się jéj należy zebrać w saméj sobie, zsolidaryzować z siłami swych współpracowników i bliższą nad niemi kontrolę rozciągnąć. W każdym razie należy się redakcyi uznanie zasługi w tém, iż po tak długiéj przerwie podjęła pracę mającą być ogniwem tradycyi naukowéj, a cel ten, mamy nadzieję, doda jéj na przyszłość sił odpowiednich, czego jéj życzymy.

M.

EKONOMISTA,

pismo poświęcone ekonomice, statystyce i administracyi.
Rok VIII—1873.

Szerzenie zdrowych zasad ekonomicznych ma u nas większe znaczenie, niż w wielu innych krajach. Przy normalnym rozwoju stosunków, społeczeństwo rozdziela się na klassy podług różności zajęć; te klassy mieszają się po części ze sobą, ale pozostaje pewien silny rdzeń, do którego przybywające żywioły, będąc w znacznéj mniejszości, prędko się assymilują; wytwarza się w ten sposób tradycya, praktyka, która wielu prawd, danego powołania dotyczących, nauczyć może; brak więc teoretycznych wiadomości zdobytémi na inném polu zastąpionym bywa.

U nas w chwili obecnéj, to zlewanie się różnych warstw społecznych, odbywa się na wielką skalę. Ludzie, którzy wzrośli wśród zupełnie innych sfer, biorą się do przemysłu, handlu, lub też rolę obrabiać zaczynają racyonalnie, to jest, uczą się rzeczywiście gospodarować. Jeżeli znajomość ekonomii jest potrzebną dla każdego

obywatela kraju, to tém niezbędniejszą jest dla ludzi zajmujących się przemysłem, handlem, lub téż dla postępowych gospodarzy wiejskich. Wszyscy oni mają zazwyczaj podwładnych, którzy dla nich pracują, lub téż sami są w stosunkach zależności, produkują bogactwa, wymieniają je na inne, korzystają z kredytu lub udzielają go, odgrywają jedném słowem na każdym kroku czynną lub bierną rolę w zjawiskach, których wytłumaczeniem zajmuje się ekonomia. Ze stosunkami temi, jak powiedzieliśmy, styka się obecnie wiele młodzieży wychowanéj wśród zupełnie innych sfer. Nie powiadamy, ażeby teorya była zawsze w stanie zastąpić brak tradycyi przywiązanéj do pewnego powołania, ale stanie się nieraz czynnikiem równoważącym ten niedostatek.

Pismo, śledzące za kwestyami ekonomicznemi danéj chwili i wyjaśniające je, jest więc dla społeczeństwa naszego wielce pożytecznem. W Ekonomiście posiadamy taki organ specyalny. I w roku zeszłym podało to pismo cały szereg prac poważnych. Bezwzględnéj pochwały wyrzekać nie myślimy, ale przekonani jesteśmy, że przy większym współudziale ze strony publiczności, wady dziś istniejące w wydawnictwie tém, usunięteby zostały. Redakcya ogłasza, że rok obecny uważać będzie za ostatni rok próby i w razie gdyby publiczność nie zechciała się bardziéj zainteresować losami tego jedynego w polskim języku wydawanego czasopisma ekonomicznego, zmuszonąby była wydawnictwo zawiesić. Nie chcemy się spodziewać, ażeby ostateczność ta nastąpić miała, byłoby to bowiem smutnym objawem niezrozumienia własnego interesu przez społeczeństwo nasze.

Przystępując do krótkiego rozbioru prac zamieszczonych w dziale rozpraw, zaczynamy od studyum prof. Oczapowskiego, „O wpływie klimatu na państwo," jako od artykułu stojącego na czele zeszytu ze stycznia roku 1873, do którego przegląd ten się odnosi.

Jestto zestawienie zapatrywań autorów, którzy na tém polu pracowali i których zdanie stanowi powagę w téj mierze. Autor wyznaje, że „i w dogmatycznéj części jego pracy nie należy szukać prawd nowych lub nieznanych". Wniosek, do którego przy końcu swéj pracy dochodzi, formułuje w sposób następujący: „Odrzucić, zażegnać i unieważnić wszechstronny wpływ klimatu, jako całokształtu ziemno-powietrznych warunków kraju pewnego, władza zwierzchnia nie może, jeśli mówimy o bezpośrednich jego następstwach. Owszem, rzeczą jéj równie jak obywateli, jest wpływ ten umieć wyzyskać jak najszerzéj, przeciwdziałając mu w granicach roztropności i sił ludzkich. Co się tyczy następstw klimatu pośrednich, to jest różności potrzeb i środków ich zaspokojenia, a więc rozmaitości i liczby gałęzi zużytkowania wytwórczego i utwórczego (kulturalnego) zasobów pracy materyalnéj i umysłowéj, te może czło-

wiek tém łacniéj wyrównać, im więcéj pracą tą zdobywa sobie niezależność od przyrody zewnętrznéj.

Pan Oczapowski staje więc po stronie tych, którzy twierdzą, iż stan danego społeczeństwa nie jest wyłącznie zależnym od przyczyn czysto-materyalnych.

Praca pana Załęskiego „O stowarzyszeniach“ jest krótkim opisem rodzajów dziś istniejących stowarzyszeń i wykładem zasad, na których się takowe opiérają. Autor nie wchodzi w kwestye sporne, w rozbiór prawodastw, o ile dotyczą kwestyi stowarzyszeń, a uczyniłoby to pracę jego bardziéj zajmującą i żywotną.

Opis zakładów Towarzystwa petersburgskiego osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, przez prof. Miklaszewskiego, celuje wielką sumiennością i zawiera nie jeden zajmujący szczegół.

Owocem długich zabiegów i poszukiwań, jest artykuł p. Załęskiego „Rys statystyki porównawczéj miasta Warszawy.“ W zeszytach z roku 1873 znajdujemy cyfry odnośne do statystyki przemysłu rzemieślniczego i fabrycznego.

Krótki rozbiór pytania co do „początku i końca ubezpieczenia“ przez p. Bronisława Mayzla, jest właściwie tylko dalszym ciągiem rozpraw ogłaszanych poprzednio w Ekonomiście przez tegoż autora w materyi ubezpieczenia. P. Mayzel żąda, ażeby ubezpieczenie biedz zaczynało od pierwszéj 12-éj godziny następującéj po zaąkceptowaniu deklaracyi chcącego własność swą zabezpieczyć, ażeby zaś moc swą traciło w razie nieodebrania polisy tylko wtedy, gdy towarzystwo postawi dłużnika w zwłoce, w zwykłych zaś razach z upływem ubezpieczenia.

Tłumaczenia tego rodzaju ogólników jak wykładu Courcelle-Seneuil'a „O zawładnięciu bogactwem“ nie powinnyby się znajdować w Ekonomiście. A zresztą bronienie swobody ekonomicznéj bez uwzględnienia zarzutów czynionych przez nowszą szkołę bezwarunkowemu przeprowadzeniu zasady „laissez faire“ jest dziś przynajmniéj przestarzałém i tłumaczenie tego rodzaju rozpraw w piśmie, mającém uwzględniać potrzeby danéj chwili jest niestosownem. Nie chcemy bezwzględnie potępiać dawania w przekładzie prac do czasopisma ekonomicznego się kwalifikujących, ale wybór w tym razie ostrożniéj i sumienniéj jeszcze niż przy pracach oryginalnych odbywać się powinien.

Spotykamy się w pięciu zeszytach z roku, do którego rozbiór nasz się odnosi z dalszym ciągiem rozprawy Dr. Rembowskiego „O gminie, jéj organizacyi i stosunku do państwa.“ Jestto praca bardzo staranna. W zeszytach, o których mówimy, mieści się przeważnie część historyczna. Zarzut, którybyśmy zrobili, byłby ten, że nagromadzony materyał, nieraz bardzo zajmujący sam w sobie, nie zawsze w ścisłym zostaje związku z rozbieranym przedmiotem. Już samo wprowadzenie obszernéj historyi rozwoju gminy w Anglii, do rozprawy niezajmującéj się opisem samorządu angielskiego, lecz

w ogóle znaczeniem gminy w państwie, nie sądzimy aby było potrzebném, témbardziéj, że podana jest wprost historya rozwoju od czasów najdawniejszych bez wyciągania wniosków w celu rozświecenia punktów w rozprawie poruszanych. Opis dzisiejszéj organizacyi gminy w Anglii, stosunkowo jest krótkim. W części historycznéj odnoszącéj się do znaczenia gminy w Polsce wprowadzonych jest wiele faktów do historyi gminy nie należących, tak np. opis starań w celu polepszenia losu kmieci; o prawach ich w gminie mowy nie było, szło tylko o zniesienie, a właściwie o złagodzenie poddaństwa.

W rozprawie prof. Bochenka „O wymianie dóbr i jéj mechanizmie“ nie spotykamy żadnéj nowéj myśli; przedmiot traktowany jest powierzchownie. Sądzimy, że przytaczanie w rozprawie specyalnéj takich osławionych przykładów, które wszystkie podręczniki ekonomiczne obiegły, jak podanego po raz pierwszy przez Adama Smith'a co do znaczenia podziału pracy przy fabrykacyi szpilek, jest co najmniéj zbytecznem.

Co do znanéj rozprawki Bastiat'a „Co się widzi, a czego się nie widzi“ podanéj w przekładzie pani Belejowskiéj, powtórzylibyśmy poczęści te same uwagi, które zrobiliśmy co do wykładu Courcelle-Seneuil'a. Są to rzeczy przestarzałe, nie kwalifikujące się w żadnym razie do czasopisma.

W ostatnim zeszycie z roku 1873, który się dotychczas pojawił, mianowicie w zeszycie październikowym, znajdujemy początek bardzo zajmującéj pracy p. Sadkowskiego „O drenowaniu i jego wpływie na wzrost bogactwa krajowego.“ Autor zwraca się wprost do naszych stosunków, podnosi kwestyą bardzo wielkiéj dla nas wagi. Byłoby bardzo szczęśliwie, gdyby praca ta przyczyniła się do wznowienia projektu, podanego przed niezbyt dawnym czasem do jednego z banków warszawskich, co do założenia towarzystwa w celu dawania kredytu na drenowanie gruntów w kraju naszym i zapewnienia możności powolnego amortyzowania udzielonéj pożyczki.

W tymże zeszycie znajdujemy początek opisu wystawy wiedeńskiéj z punktu widzenia ekonomicznego.

Dwóch innych działów stale reprezentowanych w każdym zeszycie Ekonomisty, mianowicie kroniki ekonomicznéj i notat bibliograficznych, jako mających interes chwilowy, rozbierać tutaj nie będziemy. Zrobimy tylko ogólną uwagę, że oba te działy najwięcéj zostawiają do życzenia. Znajdujemy tu czasem przyrzeczenia, które późniéj spełnionemi nie zostają, jak np. co do obszerniejszego życiorysu Mill'a. Notaty bibliograficzne kończą się prawie wyłącznie na podaniu tytułu dzieł, nie napotkaliśmy żadnego rozbioru książek ekonomicznych wyszłych bądź w polskim języku, bądź w obcych.

Jestto do wytłumaczenia w obec słabych środków, jakiemi rozporządza redakcya; nie wątpimy, że wady te z czasem usuniętemi zostaną, jeżeli tylko publiczność weźmie sprawę tę bardziéj do serca. Życzeniem, aby to nastąpiło, kończymy przegląd niniejszy.

Dr. K. Strasburger.

WARSZAWA

I JEJ SPOŁECZNOŚĆ,

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA.

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

IX.

Ulica Miodowa.—Konwikt szlacheckiéj młodzieży St. Konarskiego.—Kościół OO. Bazylianów.—Cukiernia Lesla.—Pałac Chodkiewiczów.—Aleksander hr. Chodkiewicz.—Poseł turecki.—Kazimierz Brodziński i wiérsz jego.—Pierwsza litografia w Warszawie.—Licytacya.—Upadek wielkiego domu,—Kaplica wyznania anglikańskiego.—Kawiarnia Honoratki.—Ulica Kapitulna.—Mieszkanie Tomasza Święckiego.—Pałac pod N-rem 482.—Pierwsza Resursa Kupiecka. Pałac pod filarami.—Chovot restaurator francuzki.—Dom pod N-rem 489 Wawrzyńca Rudawskiego.—Dworek modrzewiowy.—Gryzelda księżna Wiśniowiecka, matka Michała Korybuta.—Spotkanie jéj z synem.—Pałac Nostego, następnie Kernera.—Książe Józef Poniatowski.—Żołnierz Kronta.—Wróżba cyganki, Szturm do Sabaczu.—Pałac Paca przedtém Radziwiłłowski.—Hrabia Adolf.—Szulernia.—Pojedynek.—Szewc i hrabia.—Dramat historyczny.—Jan Kuźma.—Porwanie króla Stanisława Augusta.—Stanisław Strawiński.—Szymon Czechowicz.—Kościół OO. Kapucynów.—Kaplica Jana Sobieskiego.—Pałac Teppera.—Pałac Biskupów krakowskich.

Budowle pijarskie w nieprzerwanym ciągu przechodziły na ulicę Miodową. Ulica ta, za czasów Księztwa Warszawskiego, nosiła nazwę Napoleona, późniéj wróciła do pierwotnéj nazwy, którą otrzymała

z tego powodu, że od XV wieku, na niéj najwięcéj zamieszkiwało piernikarzy toruńskich, którzy słynne swoje wyroby na cały kraj rozsyłali.

Gmach pijarski, od Miodowéj ulicy wystawił w roku 1754 Stanisław Konarski, który zajmował głośny konwikt dla szlacheckiéj młodzieży. W nim się mieściły klassy, mieszkania pensyonarzy i professorów, a w bocznéj oficynie sala wielka, na przedstawienia sceniczne, gdyż teatr należycie kierowany, uważał Konarski za niezbędny żywioł do należytego wykształcenia młodzieży.

Kiedy wielka armia francuzka w końcu 1806 r. weszła do Warszawy, zajęto go na lazaret; w następnym roku Pijarzy dobrowolnie go oddali na użytek publiczny, przenosząc konwikt swój do *Żoliborza* po nad Wisłę. Po lazarecie przeto chwilowym, obrócono ten gmach na koszary wojskowe, a następnie pomieszczoną tu była *Szkoła aplikacyjna.* W domu Henryka Lessla (N-r 486 a), mieściła się słynna na kraj cały cukiernia tegoż, szczególniéj z wyrobu cukrów i karmelków, które setkami funtów rozchodziły się w najdalsze strony, jak i wybornego ponczu. Tu wieczorem spotykałeś starszych professorów pijarskich, jak i artystów dramatycznych, co się małą szklaneczką smakowitego napoju raczyli. Kiedy Lessel zamknął swój zakład, w tymże samym lokalu księgarnią swoją otworzył S. Merzbach. Za tym gmachem w drugiéj kamienicy daléj, kościół O.O. Bazylianów, wzniesiony 1781 roku, o ścianę za nim ogromny pałac, (mający N-r 484), będący za méj pamięci własnością Aleksandra hr. Chodkiewicza, generała W. P. i znakomitego uczonego, który go po swéj matce Ludwice z Rzewuskich, starościnie żmudzkiéj odziedziczył.

Hrabiego znałem osobiście. Wysokiego wzrostu, szczupły, ale szerokich i podniesionych ramion, z pośród których mała wyglądała głowa, z obliczem miłém, zamyśloném, a w spojrzeniu rzewném. Jak szedł przez ulicę, był zawsze pochylony nieco i zamyślony. Z pierwszéj żony miał dwóch synów i córkę, późniéj wydaną za hr. Ossolińskiego. Matka jéj kobieta piękna, ale bardzo lekkomyślna, co spowodowało rozwód.

Chodkiewicz był z początku wiérszopisem, czyli jak w owe czasy wyrażano *poetą;* w roku 1817 wydał w okazałéj edycyi (w Warszawie, w drukarni przy Nowolipiu, która była najpierwszym zakładem typograficznym, w małém folio):

„*Pisma wierszem i prozą Aleksandra hr. Chodkiewicza, członka Towarzystwa Królewskiego przyjaciół nauk i innych,*" które przypisał Ludwikowi Osińskiemu, Onufremu Kopczyńskiemu i Aloizemu Felińskiemu. Obejmują one dwie tragedye oryginalne wiérszem w pięciu aktach: *Katon* i *Wirginia*, każda poprzedzona obszernym wstępem krytycznym.

Był to pierwszy tom *pism* Chodkiewicza, ale więcéj nie drukował, zwracając pracę i uwagę swoją na nauki ścisłe, a głównie oddał się che-

mii. Wiele lat gorliwie się jéj poświęcał, miał w swym pałacu zamożne laboratoryum i napisał wielkie dzieło w siedmiu tomach p. n. *Chemia*, które wydał w Warszawie w ciągu lat czterech od r. 1816 do 1820.

Szanowany powszechnie, był wydatną postacią w Warszawie. Pałac, który zamieszkiwał przechodni z Podwalą, ułatwiał wielce komunikacyą z Miodową ulicą. Ztąd téż, powracając ze szkół pijarskich, lub wychodząc do klassy, spotykałem, głównie w porze letniéj, dwóch synów jego, bawiących się na obszernym dziedzińcu pałacowym.

Z uszanowaniem na tych wyrostków spoglądałem, słysząc o nich ciekawą opowieść.

Kiedy poseł turecki przybył do Warszawy za cząsów Księztwa Warszawskiego, dowiadywał się, czy nie mą potomków Jana Karola Chodkiewicza, sławnego hetmana, co bił się z Turkami pod Chocimem 1621 roku, i gdzie na obozowém łożu życie zakończył.

Objaśniono go, że żyje z prostéj linii Aleksander generał i ma dwóch synów. Ambasador Porty Ottomańskiéj życzył sobie ich zobaczyć. Przybył więc do tegoż pałacu i tu przyjętym został. Kiedy ujrzał generała i młodych następców, ambasador, zwyczajem wschodnim, oddał im hołd i pokłon, oświadczywszy, że czuje się nader szczęśliwym, iż mógł ujrzéć potomków tak wielkiego wodza.

To zdarzenie, postać Aleksandra Chodkiewicza, w oczach mieszkańców Warszawy ogromnie podniosło, a wiérsz Kazimiérza Brodzińskiego do niego pisany, pomiędzy młodzieżą spopularyzowało.

Zdarzyło się, że w jednéj z najpierwszych w owe czasy księgarni warszawskiéj u Natana Glücksberga na Miodowéj ulicy, Brodziński zobaczył Chodkiewicza. Nieznany generałowi stał z dala w kąciku, gdy Chodkiewicz zaczął głośno ubolewać, że mamy za wiele *poetów*, a za mało *filozofów*.

Chodkiewicz niewłaściwie użył wyrazu *poetów*, bo rzeczywiście w ową dobę z wyjątkiem jednego poety Brodzińskiego, mieliśmy tylko gładkich wierszopisarzy, a po za niemi gromadę wiérszokletów i *rymarzy*. Ale znowu miał w tém prawdę za sobą, bo ci wiérszopisarze nie wiele przynosili korzyści duchowych dla społeczności swojéj.

Brodziński, chociaż zawsze cichy, potulny i skromny, nie mógł strawić tak stanowczo wyrzeczonego zdania przez człowieka, którego słowo miało swoje znaczenie i powagę. Ujął się więc za *poetami*, ale prawdziwemi, jak ich sam dobrze pojmował i wróciwszy do domu, napisał wiérsz:

„*Do Aleksandra hr. Chodkiewicza*," który mu bezzwłocznie przesłał, a późniéj w zbiorze swych pism (Warszawa 1821 r.) wydrukował. Początek jego tylko przywiedziemy.

„Ty! co miłością kraju wiedziony stateczną,
Umiałeś nad rzecz piękną, przenieść użyteczną;
Co mogąc nie jednemu być wzorem poecie,
Rymy zaniechać, pierwszy dałeś przykład w świecie.

Słyszałem hrabio z boku, tobie nieznajomy,
Gdy mówiłeś w księgarni, przeglądając tomy,
Że kraj nasz ma pisarzy pełno bez użytku,
Filozofów za mało, poetów do zbytku!
Zacny w kraju *filozof* wyznać z tobą muszę,
Jest duszą, którą żyje milionów dusze;
On, z pochodnią przed ludem, wśród pomroku staje,
Trzaska kołczan z łukami, księgę praw podaje;
On drogą bezpośrednią do nieba dochodzi,
Nas do Boga przybliża, gdy do prawd przywodzi,
Zwalcza przesąd pijany, co światu niegodnie,
Zbrodnie za cnoty, cnoty wystawia za zbrodnie,
On, gdy z prawdy hańbiące pokrycie odziera,
Drży przemoc i fanatyzm, a lud łzy ociera.

Lecz i poeta godnie czując powołanie,
Niemniejszemi zasługi, przed ludzkością stanie:
On, do czynów zagrzewa, wykonane głosi,
Nim rycerz, on rycerzom chwałę kraju wznosi,
On, często więcéj, niż król, niż mędrzec dokazał,
Nim ten zmusił, ów dowiódł, ten sercu już kazał.
On prawdę, któréj wstępu złość, pochlebstwo bronią,
Wiedzie w kwiaty ubraną, opiekuńczą dłonią.

Tysiąc mędrców ateńskich zwodzicieli gminu,
Uczyło cnoty z pisma, jeden Sokrat z czynu.
Poeta głosić winien stan serca i duszy,
Tylko co z serca idzie, to serce poruszy.
Cnotą musi być duszą wieszcza przenikniona,
Ten, kto Katona śpiewał, czuł cnoty Katona.
Pod berłem Epikura, gdy Grecy zaspali,
Padły miasta i szkoły od sąsiedniéj stali,
Ale sam ślepy Homer, szedł z wrogiem w zapasy,
Wyrwał i chwałę Greków doniósł w późne czasy.

Lecz nie sądźmy różnicy, ani zalet wielu,
Sądźmy tych, których uniósł geniusz do celu;
Tych karty, jak tych tony, gdy powiew rozniesie,
Nietknięty będzie Homer stał przy Sokratesie.
Bo, jak Bóg, równie w słońcu i w pyłku cudowny,
Tak i geniusz w mniejszém, większemu jest równy.
Śniadeckich, równa czeka w potomności chwała:
Ten głosi cuda świata, ten drobnego ciała."

Chodkiewicz po przeczytaniu tego wiérsza, starał się zapoznać z ich autorem, i jak mi późniéj sam Brodziński opowiadał, to pierwsze bliższe ich spotkanie, było bardzo serdeczne. Odtąd stosunek ten trwał ciągle, dopóki Chodkiewicz nie opuścił Warszawy.

Zawód swój literacki rozpoczął, jak mówiliśmy od wiérszy, bo tragedye Katona drukował w Wilnie 1809 roku, zanim oddał się wyłącznie chemii.

Było co oglądać w jego pałacu: bogata biblioteka, galerya obrazów i rycin, zbiór szacowny numizmatów i medali, jak narzędzi fizycznych i laboratoryum chemiczne. Bawiąc czas jakiś w Wilnie, dla zachęcenia młodzieży do nauk, chemią w tamtejszym uniwersytecie, którego był członkiem honorowym, wykładał.

W Warszawie w tym pałacu zaprowadził najpierwszą litografią w kraju i długi czas własnym kosztem utrzymywał. Z niéj wyszło piękne dzieło p. n. *Portrety wsławionych Polaków z ich opisaniem* (Warszawa 1820 r.), złożone z czterdziestu popiersi, rysowanych przez Walentego Śliwickiego, do których opisy skreślił sam Chodkiewicz. Napisał nadto Żywoty Tadeusza Kościuszki i Henryka Dąbrowskiego. Oglądałem wszystkie zbiory w tym pałacu przy pomocy dwóch młodych Chodkiewiczów, z któremi się bliżéj zapoznałem. Patrząc na nie, na liczną gromadę służby i dworzan, jakież było moje zadziwienie, gdy, wracając z klassy do domu i mając przejść przez pałac, ujrzałem od ulicy Miodowéj i w samym dziedzińcu tłumy żydów i różnorodnych postaci. Dowiedziałem się wtedy, że za długi, wierzyciele wszystko sprzedają, a sprzedaż zaczęła się od galeryi obrazów.

Na dole, od ulicy, drzwi były otwarte, wszedłem do pokoju, na którego ścianach pozawieszane były obrazy zabrane z galeryi górnéj Chodkiewicza.

Spojrzenie moje przyrosło najprzód do niewielkiego obrazu, przedstawiającego szturm i zdobycie Zamościa na Austryakach 1809 r. Kiedy chciwie rozpatruję szczegóły i rozliczne postacie, słyszę jakiegoś pana słowa:

„Za ten mały obrazek (mówił), wiem, że hrabia sam dał tysiąc dukatów. Zbliżyłem się więc i spojrzałem. Był to obrazek może pół łokcia wysoki, a na nim przedstawiony niedźwiédź, duszony przez dwa ogromne duńskie brytany.

Komornik siedział przy stoliku, a woźny donośnym głosem obwoływał przedmiot na sprzedaż wystawiony i cenę. Żal mi serce ścisnął, uczułem łzy w oczach i uciekłem co rychléj, na podwórze, gdzie gwar ciągły coraz wzrastał.

Pierwszy raz ujrzałem upadek wielkiego domu! Chodkiewicz opuścił Warszawę i już go więcéj nie widziałem. Niedługo potem w roku 1824, sprzedano i ten pałac, a nowi właściciele zmienili jego postać zewnętrzną; wewnątrz bowiem dotąd wspaniałe pokoje i sale obszerne, wysokie, przypominają siedzibę magnata polskiego.

W podwórzu po lewéj stronie, wchodząc od Miodowéj ulicy w oficynie, mieściła się kaplica wyznania anglikańskiego. Była to sala obszerna z chórem, którą następnie zajmowała słynna kawiarnia Honoratki.

Pałac Chodkiewicza prawém skrzydłem swych oficyn, zajmował całą połać małéj uliczki Kapitulnéj, aż do Podwala. Uliczka ta nazwę swą wzięła od tego, że cała przestrzeń gruntu, którą obecnie zajmują domy murowane, do czasów Jana III, była wyłączną własnością kapituły warszawskiéj.

Warto wspomnieć, że na przeciwnéj połaci, w kamienicy pod N-rem 538 (nowy 3), przez lat wiele przemieszkiwał Tomasz Święcki; w tym skromnym lokalu na pierwszém piętrze, przygotował drugie wydanie: „*Opisu starożytnéj Polski*," który wydał w roku 1828 w Warszawie i opracował: „Historyczne pamiętniki znamienitych rodzin i osób dawnéj Polski," które pozostawił w rękopiśmie.

Dom ten zachował nietkniętą swoją dawną, zewnętrzną postać. Na pierwszém piętrze Święcki zajmował mały, chociaż główny lokal z gankiem od ulicy. Wchodziło się wprost z sieni do dużego pokoju, który był zarazem salą bawialną do przyjęcia gości, biblioteką i sypialnią, bo w otwartéj *nyszy* stało łóżko jego wązkie, twardo zasłane, a nad niém, pod obrazem Matki Bozkiéj Częstochowskiéj, wisiała karabela w jaszczur oprawna. Główną ścianę i boczne, zajmowały wysokie szafy pełne książek. Był to zbiór wielce cenny, złożony z najważniejszych dzieł do dziejów i literatury ojczystych. Ileż tu drogich dla serca mego chwil miłych przepędziłem ze Święckim! Tu on mi się spowiadał z całego życia, z myśli i uczuć swoich! Staje przed oczyma mojemi dostojna postać tego zacnego człowieka. Wysoki, topolowéj postaci, ruchem i obejściem przypominał szanowne postacie ojcow naszych; powagę téż i właściwość w każdym ruchu, do dawnego stroju polskiego zachował, lubo już nie używał kontusza i żupana, ale rodzaj surduta czyli kapoty po za kolana, ze stojącym kołniérzem. Gdy czytał w miejscach wielkich czynem lub myślą wydatnych, (a pisał wtedy biografią znakomitych mężów polskich) uczucie rzewne albo gorący zapał, wybijały się zaraz na jego szlachetném obliczu. Szczera radość napełniała jego serce, gdy wynalazł fakt nieznany dziejowy, albo ważne jakie historyczne dzieło otrzymał. To była cała uciecha w samotném życiu Święckiego, poświęconém pracy i badaniom dziejów krajowych. Zrobił mi ten zaszczyt, że opowieść moją zdobycia Warszawy przez Jana Kazimierza, którą drukowałem w *Dzienniku Warszawskim* J. K. Ordyńca 1827 r. przy opisie tego miasta w drugiém wydaniu *Opisu starożytnéj Polski* 1828 r. powtórzył w przypisku. Nasz autor urodził się w dziesięć lat po wstąpieniu króla Stanisława Augusta, we wsi *Kostkach* w dawném województwie Podlaskiém. Szczupła to była szlachecka fortunka. Młody Tomasz szkoły odbywał u księży *Komunistów* w Węgrowie, gdzie w piątym roku pobytu, otrzymał od pomienionego króla medal srebrny z napisem *diligentiae*. Stosując się do woli ojca, wszedł do grona *palestry drohickiéj*. Właśnie trwał wówczas *sejm czteroletni*, którego czynnościom bywał często przytomny, odwiedzając Warszawę. Wysłany do Krakowa oglądał ostatni raz komnaty i sale zamku na

Wawelu, w całości i ze starym przystrojem zachowane, gdyż wkrótce wszystko poszło w ruinę.

Po roku 1794 Święcki schronił się pod rodzinną strzechę, oddał się naukom, w których pociechę znajdował. Mając zamiar udania się do Legionów we Francyi zawiązanych, sam za pomocą tylko gramatyki zaczął się uczyć języka francuzkiego. Na gruntach wsi *Kostki* jego ojca, istnieje pagórek lasem sosnowym i gęstą krzewiną zarosły, *mogiłkami* lub *grobami aryanów* zwany; zacisze to wśród starych mogił, było jego akademią. W trzy miesiące już tyle postąpił w nauce tego języka, że pierwszą książkę: *Życie Dumourier'a* z wielką radością, w całości pojął i zrozumiał. Dzieła Jana Jakóba Rousseau, które z upojeniem rozczytywał, na nowe tory myśli jego pchnęły; jeżeli z początku zaburzyły mu ducha, wkrótce dawny spokój powrócił i niczém nie zakłóciły w nim ani staréj od kolébki pobożności, ani skazy w charakterze nie przyniosły. Wiele miejscowości zwiedził; w roku 1807 ze Lwowa, gdzie bawił, wrócił do Księztwa Warszawskiego i w grudniu tegoż roku był obecny pierwszemu wjazdowi do Warszawy Fryderyka Augusta króla saskiego jako księcia warszawskiego. W roku 1809 armią austryacka niespodzianie wkroczyła. Dnia 19 kwietnia tegoż roku, w dzień bitwy pod *Raszynem*, znajdował się na okopach Warszawy od rogatek Jerozolimskich. Huk dział i płomienie palącego się Raszyna, słyszał dokładnie i widział. Świadek tylu przemian w narodzie, powziął szczęśliwą myśl, zebrania pamiątek przeszłości. Odtąd wykonaniu i zbieraniu do tego potrzebnych wiadomości, cały czas swobodny od zatrudnień obowiązkowych poświęcił. Na początku 1810 r., przypadkiem u Włocha znalazł na jednym arkuszu rysunek *pawilonów* okrętowych wszystkich narodów, a między temi spostrzegł bandery polskie. Pochwyciwszy ten ślad, z całym zapałem zaczął poszukiwania w dziejach, czy więcéj nie zdobędzie wyjaśniających szczegółów i w tym celu odbył podróż do Gdańska. Widok morza Baltyckiego, pomniki w *Oliwie*, pamiątki historyczne w samym Gdańsku, zachwycały naszego badacza i nie małe mu do zamierzonéj pracy, przyniosły owoce. Wspomnienia te zachował w żywéj pamięci do ostatnich chwil życia. Za powrotem do Warszawy, gdzie od roku 1808 był adwokatem przy Sądzie Apelacyjnym, wydał rozprawę: „*O Ziemi Pomorskiéj, O panowaniu i żegludze Polaków na morzu Baltyckiém.*" (Warszawa 1811 r.), załączając rysunek bandery królewskiéj i polskiéj. W r. 1816 wydrukował *Opis Starożytnéj Polski* w 2-ch tomach, dzieło z niezwykłym zapałem przyjęte od ogółu i wyczerpane prędko w handlu księgarskim, dało mu miejsce w *Towarzywstwie Przyjaciół Nauk*. W tém mieszkaniu, opuszczając je raz ostatni, przed wyjazdem do wód *w Busku*, spoglądając na swój piękny księgozbiór, co stanowił w samotném życiu główną jego rozrywkę i przyjemność, nakreślił te słowa:

„Wam ulubione moje książki, wam winien jestem w dniach mojéj samotności i melancholicznych rozmyślań pociechę, wzniesienie mych myśli i orzeźwienie w troskach i kłopotach. Wy moją duszę napełniacie rozkoszą, nadzieją i wzmacniacie do postępowania śmiałego w trudnym zawodzie życia. Wy jesteście dla mnie pocieszającemi przyjacioły, bo w was znajdują się pociechy i rady dla każdego wieku i stanu. Wy chowacie tajemnicę uleczenia wszelkiego złego i trosków; Twórcy Najwyższego udział sztuką druku rozmnożony na pomoc i oświecenie człowieka w téj krótkiéj, a pełnéj skalistych przepraw, wędrówce życia. Począwszy od ksiąg świętych, potém starożytności wzorowych pisarzy; od Pliniusza i Tacyta, aż do Buffona, Bernarda S. Pierre i Sismondego: w ojczystych rzeczach od Długosza aż do Samuela Bandtkie'go, w dwóch tysiącach woluminów, które Opatrzność pozwoliła mi zebrać; napełniacie mój na wiek późny przytułek, w każdy dzień, w każdą godzinę, wy jesteście moją zabawą i prawdą, z wami przestaję, żyję i usypiam; w was znajduję to najulubieńsze i rozkoszy pełne zatrudnienie, którego najprzeciwniejszy los fortuny, wydrzéć mi do zgonu nie zdoła."

Kiedym sędziwego badacza żegnał przed wyjazdem, jakby przeczuwał, że się już z sobą na téj ziemi nie zobaczymy; po uściskach serdecznych, dał mi na pamiątkę kartkę, obejmującą powyżéj przytoczone słowa, a które, jak sam wyraził, były spowiedzią jego serca. I w téj chwili, gdy to piszę, mam ją przed oczyma; zżółkła, ale wyraźne pismo z datą 28 kwietnia 1837 roku. Tegoż roku 6 września, zakończył życie w Busku, gdzie przy kościele tamecznym pochowanym został. Po trzydziestu siedmiu latach, patrząc na tę kartę, staje mi żywo w pamięci ukochana a tak szlachetna postać Święckiego, który z serdeczném uczuciem przyjaźni, wspierał mnie i dodawał otuchy w literackim zawodzie!

Parę domów pominąwszy za uliczką Kapitulną, jest pałac pod N-rem 482, w którym 1794 roku przemieszkiwał generał Igelstrom, ambasador cesarzowéj Katarzyny II. W tymże roku, głównie od ulicy Podwale, był zniszczony, a sterczące ruiny przez długie lata stojąc, smutny widok sprawiały [1]). W tym pałacu zawiązało się Towarzystwo Resursy Kupieckiéj i przebywało przez lat ośmnaście.

Za jedną kamienicą daléj, wznosi się gmach obszerny, zwany *pod kolumnami* albo *pod filarami*, wychodzący aż na Podwale, (obecnie własność Dyzmańskich), w którym przemieszkiwał głośny Jan Potocki, głęboki badacz historyczny i podróżnik.

W tym pałacu *pod filarami* (N-r 481), mieściły się składy najmodniejszych towarów, pierwszych kupców Warszawy i przy nich

---

[1]) W pałacu tym od Miodowéj ulicy, przed kilką laty, mieściła się księgarnia polska i zakład litograficzny Dzwonkowskiego. Dziś jest własnością obywatela Mrozowskiego.

osiedlił się najprzód Szymon Chovot Francuz, który miał sławną restauracyą. Szlachta wiejska gromadnie się tu zbierała, a lubo wielu z nich, nie umiejąc po francuzku, jak los zdarzył z jadłospisu w tym języku, wybierała potrawy i ze czczym wychodziła żołądkiem, moda tak była przeważna, że zapędzała ich tłumnie do tego Francuza. Późniéj Chovot, na drugiéj stronie w pałacu Kernera na téjże ulicy, przeniósłszy restauracyą swoją, urządził hotel pod nazwą: „*Hôtel de l'Europe*," ale po kilku latach musiał go zamknąć.

Wracamy się do placu *Krasińskich* i zaczynamy od lewéj połaci ulicy Miodowéjj wprost gmachów popijarskich.

Pierwszy dom narożny od Długiéj ulicy, wart wspomnienia, gdyż w nim urodził się Jan Wawrzyniec Rudawski w roku 1617, historyk znakomity dziejów Jana Kazimierza; kamienica ta (oznaczona N-rem 489), była własnością jego ojca, mieszczanina warszawskiego [1]). Zaraz drugi dom za nim, (dziś własność bankiera Stanisława Lessera), ma tę osobliwość przechowaną, że w głębi podwórza jest stary dworek modrzewiowy, zabytek budownictwa z XVII stulecia, zachowany wybornie. Za moich czasów była do niego przywiązana tradycya, że tu mieszkała Gryzelda z Zamojskich księżna Wiśniowiecka, matka króla Michała Korybuta, który na polu elekcyi pod *Wolą*, niespodziewanie wyniesiony na tron tu przybył, a upadłszy swéj rodzicielce do nóg, prosił ją o błogosławieństwo. J. U. Niemcewicz w stalorycie przy *Śpiewach historycznych*, scenę tę przedstawił rysowaną przez Laurę Potocką [2]).

---

[1]) Dzieje te przełożone z łacińskiego przez Włodzimierza Spasowicza, wyszły nakładem B. M. Wolffa w Petersburgu 1855 r. we dwóch tomach p. n. „*Historya Polska od śmierci Władysława IV aż do pokoju oliwskiego, czyli dzieje panowania Jana Kazimierza, od 1648 do 1660 roku.*"

[2]) „Po dwunastéj godzinie w nocy (mówi ówczesny rękopism), gdy nowy król uwolnił się od otaczającéj go pompy, jechał *in cognito* do matki swojéj księżnéj Wiśniowieckiéj, która stała na Senatorskiéj ulicy, w pałacu drewnianym księdza Prażmowskiego Prymasa; wszedł z tyłu ogrodem: uprzedzona matka spotkała go na pół drogi. Syn upadłszy jéj do nóg, o błogosławieństwo prosił. Matka temi przyjęła go słowy: „Miły synu! witałam cię wczoraj, jako syna, a dziś witam, jako króla. Dziękuję dziwnéj Opatrzności Bożkiéj, że cię między wszystkiemi nad wszystkiemi mieć chciała; a gdy cię Bóg na tronie polskim posadził, znajże się być człowiekiem skazie podległym." Tu płaczącego, sama z płaczem ściskała; zabawiwszy godzinę, król powrócił na zamek." O pałac Prażmowskiego na Senatorskiéj ulicy, daremniem dopytywał, ale powszechna tradycya ten na Miodowéj ulicy dworek modrzewiowy, właśnie wskazywała za mieszkanie księżnéj Gryzeldy. Tomasz Święcki i Skorochód Majewski metrykant koronny podanie to mi zatwierdzali, a Święcki pokazywał mi w nim obszerną komnatę, gdzie się ta scena rzewna między synem a matką odbyła.

W murowanéj kamienicy od ulicy, w wystającym załamie dotąd widocznym, mieszkał D-r Lafonten, a następnie jego wdowa, z zamężną córką, generałową Zofią Haukową i drugą panną Wiktoryą.

Dwie te siostry, szczególne przedstawiały przeciwieństwo z sobą: generałowa była bruneta, smagła i oczy miała, jak jéj matka czarne; młodsza Wiktorya, niższa, lepszéj tuszy, jasna blondyna, oczu niebieskich, przypominała więcéj ojca.

Obok tego domu stoi pałac z obszernym dziedzińcem, z bramą kratowaną od ulicy, a w głębi z ogrodem, który był od roku 1800, własnością cukiernika Nesti. Ten obok najsławniejszéj cukierni, założył i restauracyą powszechnie wziętą, do któréj najchętniéj elegancka młodzież ówczesna i bogaci panowie zachodzili. Jak zapamiętam, pałac ten był już własnością Kernera, kroaty, który szczególnym wypadkiem przyszedł do jego posiadania.

Książe Józef Poniatowski, synowiec króla Stanisława Augusta, w młodych leciech, poświęciwszy się zawodowi wojskowemu, wszedł do armii austryackiéj, działającéj przeciwko Turcyi. Wstęp miał wielce ułatwiony przez to, że ojciec jego Andrzéj, był generałem wojsk austryackich, a matka hrabianka Teresa z Kińskich, należała do znanych arystokratycznych rodów w Austryi. Sam się jednakże urodził w Warszawie d. 7 maja 1763 r., kiedy stryj jego marzył dopiero o tronie.

Pierwsza to była wyprawa młodego księcia Józefa. W obozowém życiu upodobał sobie, a wesołe grono równie młodych towarzyszy broni, przyjemne dawało życie. Właśnie gotowano się do szturmu miasta *Sabacz*, gdy ukazała się banda wędrownych Cyganów. Stare cyganki, jak zwykle wróżyły, namówili go więc koledzy, aby i on podał swą dłoń drobną i białą. Wróżbiarka długo się w nią wpatrywała, wreszcie wyrzekła: „żeby się strzegł *sroki (Elster)*, bo ona będzie powodem jego śmierci."

Śmiéch ogólny młodych towarzyszy zawtorował téj wróżbie: niektórzy radzili, ażeby, jak tron polski po stryju bezdzietnym obejmie, wydał dekret, na wyniszczenie wszystkich *srok* w całym kraju. Kerner był obecny w téj chwili. Wkrótce książe Józef był przeznaczony na *rekonesans* w okolice *Sabaczu*. Młody dowódzca tego oddziału, nie był dosyć ostrożnym i wpadł na przewyższające siły Turków. W nierównéj walce poległ, wraz z większą połową jezdzców swoich i książe Józef nie wyszedłby cało, gdyby nie przytomność, odwaga i poświęcenie Kernera, który go od ciosów śmiertelnych osłonił i bezpiecznie z téj gorącéj potyczki uprowadził. Nazajutrz przy szturmie do *Sabaczu*, młody książe ciężko został ranny.

Książe Józef przez wdzięczność dla dzielnego kroaty, po wyjściu ze służby austryackiéj, wziął go z sobą do Warszawy, trzymał przy swoim dworze w pałacyku *pod blachą* przy zamku królewskim i kupił dla niego w r. 1810 ten pałac od Nestego.

Znałem Kernera z blizka: średniego wzrostu, krępy, już dobrze pobielał od siwizny. W obejściu był bardzo gładki. Widziałem u niego rycinę kolorowaną, jak księcia Józefa rannego, na noszach żołnierze dźwigają. Onto przypomniał ową wróżbę cyganki, a gdy się sprawdziła, kiedy w Elsterze książe Józef utonął, Kerner gorącemi łzami opłakiwał zgon swego dobrego pana i dobrodzieja.

Obok o ścianę pod N-rem 493 tak zwany „*palac Paca,*“ Gmach ten był własnością książąt Radziwiłłów, rozgłośny za Augusta III, hucznemi zabawami, balami i szulerką, które znowu odżyły w środku panowania Stanisława Augusta. Zapamiętam wiele osób, które miewały w nich udział i pokazywano mi oryginalną *figurę*, którą zwano *hrabią Alfonsem*, słynnego gracza, co kilkakrotnie banki w tym pałacu rozbijał, ale w końcu sam milionową fortunę stracił. Próżniak, człowiek bez czci i wiary, w arystokratycznych domach znajdował jak najuprzyjemniejszego przyjęcia. Wysokiego wzrostu, pochyło się nieco trzymał. Głowa gęstym zarosła włosem, zawsze była starannie ufryzowana w loki i lekko pudrowana. Oblicze miał podłużne, rysy twarzy kształtne i regularne, oczy duże, niebieskie. Mówił biegle po francuzku *z akcentem paryzkim*, nad czém panie wielkich domów się unosiły, ale co osobliwsza, że równie był biegły w językach: angielskim, niemieckim i włoskim, któremi mówił lepiéj, niż rodowitym. Śpiewał prześlicznie, grał na skrzypcach znakomicie. ale lepiéj jeszcze grał w karty. Dworzanie króla Stanisława Augusta, opowiadali mi o jego czynie, jako bohaterskim, który miał miejsce w sali wielkiéj tego pałacu, który w owe czasy nosił nazwę *Radziwillowskiego*, bo rzeczywiście do téj rodziny należał.

Grano grubo, złoto w wysokich stosach leżało na dużym zielonym stole; hrabia Alfons wygrał już dziesięć tysięcy dukatow, gdy któryś z graczy co mu kieska schudła nagle, zrobił zarzut że to szczęście jego strasznie dziwnie wygląda. Na te słowa hrabia Alfons zerwał się z krzesła, stół ze złotem obalił na ziemię, które się po całéj sali rozsypało, a przystąpiwszy do robiącego zarzut, wziął go za czuprynę i wyciął mu w nos takiego szczutka, że się krwą zalał. Na trzeci dzień strzelano się w Jeziornie i hrabia Alfons zuchwałego oszczercę na miejscu trupem położył. Zdarzenie to podniosło go w oczach tłumu do godności bohatéra, ci roztrębywali najgłośniéj jego sławę, co rozsypaném złotem wypełnili swoje kieszenie. Że był szczęśliwym do kobiét, wnosił niepokój i rozpacz do wielu rodzin, ale jak dobrze chłopskie mówi przysłowie: „nosił wilk owce, ponieśli i wilka“.

Majster szewc ze Starego Miasta miał śliczną, młodą żonę. Wielu się o jéj względy daremnie ubiegało: hrabia Alfons zrobił gruby zakład że ją uwiedzie w ciągu miesiąca. Jakoż udało mu się pozyskać jéj wymowne spojrzenie i wiele obiecujący uścisk ręki. Wreszcie na umówioną schadzkę w rynku Starego Miasta stawił się o naznaczonéj blizko północy godzinie; ale jakiż go smutny zawód spotkał. Piękna pani majstrowa wszystko opowiedziała mężowi, ktorego szczerze ko-

chała, a pan majster postanowił wyleczyć pana hrabiego z tak gorącéj miłości. Co zaszło w kamienicy gdzie mieszkali państwo majstrowie nie wiadomo, widziano tylko że pan hrabia Alfons o swéj sile wyjść nie mógł i wyniesiono go ztamtąd do karety co w oddali nań czekała, w któréj miał uwieźć piękną szewcowę. Doktor tylko Bergonzoni późniéj opowiadał, że takie mu *ciągi* sprawili, iż cały miesiąc odleżéć musiał, zaczém zdołał chodzić o swojéj mocy. Od téj chwili z demokraty stał się zaciekłym arystokratą i zerwał zupełnie z nikczemnym gminem. Zachował on wiele szczegółów z dziejów tego pałacu, balów w nim i szlachetnéj jak sam wyrażał gry w karty. Żył długo, bo umarł dopiéro po pogrzebie księcia Józefa Poniatowskiego w 1814 roku.

Tu przy bramie tego pałacu odegrał się dramat głośny w czasach panowania Stanisława Augusta, bo porwanie tegoż króla przez konfederatów, dla uwiezienia go z Warszawy.

Wypadek ten rozmaicie był objaśniany: my tu tylko podamy wierny opis zdarzenia, na które mury pałacu Radziwiłłowskiego i pobliższych gmachów patrzyły.

Dnia 3 listopada 1771 roku, król wybrał się w odwiedziny księcia kanclerza Czartoryskiego, który pałac ten zajmował z licznym dworem. Pomiędzy dziewiątą a dziesiątą wieczorem wracał do zamku. Noc była ciemna i chłodna jak zwykle w listopadzie, mgła się wełniła gęsto i pomrokę zwiększała.

Karetę poprzedzało dwóch konnych ze służby zamkowéj z pochodniami w ręku: za niemi oficerowie dyżurni, dwóch dworzan i masztalerz. Z królem jechał w karecie adjutant, dwóch paziów obok niéj, a dwóch hajduków w tyle stało za pojazdem.

W téj właśnie chwili oddział konfederatów, który skrycie się przedostał do Warszawy, złożony z trzydziestu konnych pod dowództwem Jana Kuźmy, wypadł z Kapitulnéj uliczki i wśród mglistéj nocy karetę oskoczył i wstrzymał. Hajduk Butzau, który stał w obronie pana swego przy drzwiczkach karety, padł od kuli pistoletowéj w samo serce trafiony. Stanisław August korzystając z głębokiéj pomroki, wysunął się szczęśliwie z karety, dobiegł do bramy pałacu z którego tylko co wyjechał, ale zastał ją zamkniętą.

Wtedy wystrzał z pistoletu odkrył miejsce gdzie stał, zkąd porwany, na konia wsądzony i za okopy miasta wywieziony został. W tym popłochu król zgubił trzewik, dano mu więc w miejsce takowego but z długą cholewą i tak o jednym trzewiku a drugim bucie opuścił mury swéj stolicy. Kiedy i kapelusz swój zgubił, Kuźma dał mu od jednego towarzysza czapkę i piérwszy raz Stanisław August miał ją na głowie i uznał jéj pożytek wśród zimnéj listopadowéj nocy.

Oddział Kuźmy pędził z królem ku rogatkom Marymonckim, zkąd skręciwszy na lewo, przybył do zabudowań młyna wodnego w Marymoncie. Młyn ten stoi dotąd w tém samém miejscu. Tu przywiódłszy więźnia swego, Kuźma pozostał sam z królem, a widząc jego przerażenie i blizkie omdlenie, bo rana w głowie niewiadomo przez

kogo zadana, dolegała wśród słotnéj nocy, upadł mu do nóg ofiarując usługi swoje, oddając się na łaskę i niełaskę.

Stanisław August z tego młyna wtedy wysłał ze swą kartką posłańca do Warszawy i wkrótce w pełnym galopie nadbiegła gwardya pod dowództwem generała Kokceja z karetą i w niéj szczęśliwie do zamku król wrócił. Kuźma z nim przybył, a w procesie wytoczonym w téj sprawie, osobiście Stanisław August stanął w jego obronie i wymownym głosem skłonił sędziów do jego uniewinnienia.

Kuźma skazany na wygnanie, osiadł we Włoszech, mając dożywotnią pensyę od króla 500 dukatów wyznaczoną, ale po jego śmierci w Petersburgu, wrócił do Warszawy i tu dnia 12 czerwca 1822 r. zakończył życie.

Znałem go osobiście, nieraz na kolanach posadziwszy opowiadał mi stare podania i powiastki ludowe, ale nigdy nie dotknął najmniejszém wspomnieniem tego wypadku. Był wyniosłego wzrostu, smagłéj postaci, twarz ściągła długa, nos duży, czoło wysokie, które podnosiła łysina: szedł z tą pewnością co znamionuje czerstwość i siłę. Ubiorem jego była długa granatowa kapota, kroju żupana ze stojącym kołnierzem, buty juchtowe z długiemi cholewami po wierzchu spodni i czapka rogatywka. Codziennie chodził na mszę św. do Fary i tu gorąco się modlił przed kaplicą Pana Jezusa.

Porwanie to nadało téj miejscowości szczególny urok w oczach mieszkańców Warszawy: pałac Radziwiłłowski, ulica Kapitulna i młyn w Marymoncie otoczyło historyczne wspomnienie.

Całą tą wyprawą, jak teraz już dowody mamy pewne, kierował Stanisław Strawiński, rotmistrz starodubowski, postać wydatniająca w znakomitéj historycznéj powieści: *Listopad*, Henryka hr. Rzewuskiego. Charakter to szczególnego hartu godny uwagi. Z głębi Litwy nagle się w murach Częstochowy pokazuje Kazimierzowi Pułaskiemu w chwili smutnéj, gdy konfederacya już się chyliła do upadku, po przejściu Zaremby ze swemi hufcami na stronę królewską. Zamiar jaki uknuł sam, porwania króla Stanisława Augusta z Warszawy, przywiezienia do Częstochowy i postawienia go na czele konfederacyi, chował głęboko w sobie. Pułaskiemu oświadczył gotowość służenia pod jego rozkazami i jako z dalekich stron przybyły oddał się kilkodniowéj dewocyi. Modlił się gorąco przed obrazem cudownym Matki Boskiéj, spowiadał i komunikował, poczém zażądał od niego ordynansu do najbliższego stanowiska konfederatów pod Warszawą, aby mógł w nim znaleźć pomoc do zebrania hufcu jazdy, z którymby potrafił szarpać nieprzyjaciela. Pułaski żądany mu dał ordynans do Walentego Łukawskiego rotmistrza stojącego wówczas ze swą komendą w Zakroczymiu. Poznawszy go bliżéj Strawiński, odebrawszy od niego przysięgę, utajony swój zamiar mu odkrył również jak Kuźmie i obaj przyrzekli swoje poparcie czynne. Przy ich pomocy przebrany hufiec konfederatów dostał się do Warszawy i w stajniach obszernych zabudowań dominikańskich na Freta ulicy, przy klasztorze znalazł

wygodne i bezpieczne schronienie. Strawiński następnie sam udał się do zamku dla powzięcia wiadomości o wyjeździe króla dla odwiedzin kanclerza: Kuźmę postawił w trzydzieści koni na Kapitulnéj ulicy, zkąd napad wykonanym został.

Strawiński, ze swoim oddziałem czekał na Kuźmę i na schwytanego króla za rogatkami Marymonckiemi, w zagaju na lewo, bliżéj wybrzeża Wisły, tym czasem Kuźma wbrew umowie i rozkazowi, zamiast ku téj stronie się skierować, zwrocił na prawą, przeciwną i jeńca swego do młyma marymonckiego doprowadził. Gdy tym sposobem zamach spełzł na niczém, rozsypały się trwogą uderzone hufce Strawińskiego i Łukawskiego, obaj zaś wkrótce schwytani i w więzieniu osadzeni zostali. Wyrokiem nadzwyczajnego sądu skazani zostali na karę śmierci, gdy Kuźma ocalał. Kiedy jednakże dzień egzekucyi nadszedł, już w więzieniu Strawińskiego nie znaleziono, poprzedniéj bowiem nocy jeden z książąt Sapiehów go wykradł i wywiózł za granicę. Wyprowadzono więc prostego kryminalistę oddawna na śmierć skazanego i w jego miejsce stracono.

Łukawski zginął na szafocie, żona jego zmuszona patrzéć na śmierć ukochanego męża, padła trupem, bo jéj serce pękło z bólu.

Strawiński dostał się do Rzymu, gdzie przywdział habit mniszy: za czasów Księztwa Warszawskiego wrócił do kraju i w Augustowskiém był proboszczem. Bliżéj go znający zapewniali, że napisał o całym tym wypadku pamiętniczek, który się przechowuje w jego rodzinie w Wielkiém Księztwie Poznańskiém [1]).

W kościołku na Cmentarzu Powązkowskim w wielkim ołtarzu jest obraz św. Karola Boromeusza, na boku którego odmalowaną jest scena, gdy Kuźma klęczy u nóg króla. Obraz ten w roku 1793 ofiarował tu brat rodzony Stanisława Augusta, książe prymas Michał Poniatowski; w rok sam tu spoczął w katakumbach, a we dwadzieścia dziewięć lat w mogile ziemnéj złożono zwłoki Jana Kuźmy, sędziwego już starca, bo w 80-m roku życia zmarłego.

U Skorochoda Majewskiego metrykanta koronnego, w jego domu na Święto-Jańskiéj ulicy, widziałem obrazek mały, jedwabiem wykonany z dziwną subtelnością, przedstawiający scenę w młynie marymonckim, gdy król spoczywa na łożu, a Kuźma przy nim straż trzyma.

Na obrazie zaś w kościołku pomienionym, postać Kuźmy ma być portretowaną i jedyny to jest jego wizerunek. U Tomasza Święckiego widziałem olejne popiersie starego młynarza z Marymontu, w którego mieszkaniu król znalazł chwilowy spoczynek téj nocy

[1]) Szczegóły te o Strawińskim otrzymałem od Prota Lelewela rodzonego brata Joachima, a żyjącego właściciela ziemskiego w pobliżu Mińska na Mazowszu. Za jego wskazówką robiłem poszukiwania dla otrzymania pamiętnika Strawińskiego, ale te dotąd były bezskuteczne.

listopadowéj [1]). Pałac ten jak zapamiętam już stał zrujnowany, okna wielkie powybijane, drzwi powyrywane, przedstawiał obraz pustkowia. Nosił zawsze nazwę *Radziwiłłowskiego*.

Dopiéro w roku 1824 zakupił go Ludwik Pac, b. generał b. wojsk polskich i francuzkich i dał mu kształt jaki do dzisiaj przechowuje. Gmach stary przebudował, a od ulicy Miodowéj zupełne wzniósł nowe budowle.

W tym pałacu w oficynie za czasów króla Stanisława Augusta przemieszkiwał i miał swoją pracownię, znakomity w tém stuleciu malarz polski Szymon Czechowicz i tu w dniu 21 lipca 1775 roku zakończył życie.

Ścianą murowaną pałac Paca dotyka kościoła OO. Kapucynów, który król Jan III Sobieski wystawił, zakonników sprowadził i uposażył. W wielkim ołtarzu obraz Przemienienia Pańskiego, nad nim mały przedstawiający św. Wojciecha, oba są pędzla wspomnianego malarza Czechowicza, który rad się w tym kościele modlił, tak blizkim swojéj pracowni.

---

[1]) Konstanty Słotwiński w przypisach do dzieła: „*O Polszcze, jéj dziejach* i *konstytucyi*, dzieło w języku niemieckim przez Franciszka Józefa Jekla ułożone, a przez Konstantego Słotwińskiego spolszczone, poprawione i przypisami pomnożone.“ Lwów 1819—1823 r. Tomów IV, nakładem Karola Wilda; w tomie piérwszym pisze: „Wielu współczesnych wszelkiéj wiary godnych mężów zaprzeczają téj całéj wieści o porwaniu i o innych poprzednio namienionych zamachach.“ Całe to zdarzenie uważa na hańbę narodu wymyśloną bajką. Umieszczono ją—dodaje—najpiérwéj z powieści Anglika *Wraxal*, w dziele: *Voyages de Coxe*, a na jego wiarę powtarzali ją niemal wszyscy o Polce piszący cudzoziemcy. Rulhiere pisze: „Podobało się sąsiadom oczernić powstańców (konfederatów) obwiniając ich o królobójstwo“. Niemal cała Europa była tego samego zdania, ale światli i rozsądni ludzie nie czepili się ślepo tego urojenia, lub téż nieśmieli go rozgłaszać. Gdy się zajęto dochodzeniem téj zbrodni, w kilka miesięcy potém, niechciano słuchać oskarżycielów, chcąc tym sposobem udowodnić, że nie było żadnego spisku na życie króla (*Histoire de l'anarchie de Pologne* T. IV, str. 244—245). Całe zdarzenie opisaliśmy powyżéj wiernie, fakt porwania króla Stanisława Augusta nie ulega wątpliwości, ale obok tego jest rzeczą niezawodną, że nie było myślą nastawania na jego życie, ale postawienie go jedynie na czele konfederacyi barskiéj. Zarzut o królobójstwo zręcznie podsunięty, był najstraszniejszą bronią przeciw temu związkowi. Daremnie z tego zarzutu oczyszczał się mąż szlachetny i wielkiéj prawości, jakim był Kazimierz Pułaski; własnoręczną jego obronę schowano do tajnego archiwum króla Stanisława Augusta, a wojownik ten czysty i nieskażony, złamany nikczemném oszczerstwem, opuścił warowne mury Częstochowy i w Ameryce pod *Savannach* położył życie. Za dni naszych dopiéro krytyka historyczna oczyściła z pod zarzutu szanowne imię bez skazy Kazimierza Pułaskiego.

Świątynia jedna z mniejszych w Warszawie, ale dla pobożnych mieszkańców szczególny powab mająca. Nabożeństwa ciche, bo głos organu tu nie zabrzmiał, ani też żadna muzyka i śpiewy na chórze, grobowéj ciszy nie zamącały.

Tu zgromadzała się na nabożeństwo arystokracya polska i z pobliższych ulic mieszkańcy, którzy pragnęli w głębokim spokoju modlić się ze skruchą.

Najwydatniejszym pomnikiem w te czasy był tu z czarnego i białego marmuru grobowiec Anny z Korzeniowskich Pociejowéj. W téj świątyni w podziemiach kościelnych spoczywały zwłoki Jana Sobieskiego przez lat trzydzieści, zanim je na Wawel do Krakowa przewieziono. W osobnéj kaplicy serce Augusta II, *mocnego* złożono: pomnik orły polskie otaczały. W dniu 26 czerwca 1830 odbył się uroczysty obrzęd pogrzebu serca króla Jana III, na którym wymownym głosem uczcił pamięć oswobodziciela Wiednia ksiądz Viater Piotrowski, prowincyał prowincyi polskiéj zakonu kapucynów [1]). Był to obchód pamiętny dla mieszkańców Warszawy, a gdy oddzielną kaplicę pod nazwą *Jana Sobieskiego* ozdobnie urządzono, tłumy ich ciągle ją odwiedzały.

Duży ogród otaczał zabudowania klasztorne, od ulicy osłoniony wysokim murem, który dochodzi do wielkiego pałacu Teppera, słynnego bankiera w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta, z bogactw, zaufania i bankructwa, które mnóstwo rodzin polskich do nędzy przywiodło.

Architektura nieosobliwa: zewnątrz podobna do wielkiéj skrzyni, ale wewnątrz urządzenie wspaniałe, pokoje obszerne i wysokie.

Dotyka tego gmachu i zamyka po téj połaci rzęd domów Miodowéj ulicy pałac zwany „Biskupów Krakowskich“ (dziś Piotrowskiego) pod Nr. 496. W końcu XVI stulecia w tém miejscu, (1597 r.) stał obszerny dwór margrabiów Brandeburskich, w którym przemieszkiwali książęta pruscy, gdy stawali do składania hołdów królom polskim, lub przybywali w swoich potrzebach do stolicy Rzeczypospolitéj. Król Władysław IV z rodzeństwem swojém będąc właścicielami takowego, darowali na mieszkanie dla biskupów krakowskich. Przebudował go ozdobnie i w dzisiejszym prawie stanie zostawił słynny biskup krakowski Sołtyk. Bawiąc w Warszawie zamieszkiwał go sam z licznym dworem. Tradycya, która się pomiędzy mieszczanami warszawskimi przechowała, opowiadała co za wielka moc była jego dworzan

---

[1]) Mowa religijna przy uroczystym obrzędzie pogrzebu serca Jana III króla polskiego w kościele OO. Kapucynow, jako najłaskawszego tychże zakonu do Polski introduktora i klasztoru warszawskiego fundatora, miana d. 26 czerwca 1830 r. przez księdza Viatora Piotrowskiego prowincyała prowincyi polskiéj tegoż zakonu (Warszawa 1830 r. w 12-ce, str. 26).

i służby. Miał on swoich paziów i własną dragonią, a gdy z tego pałacu wyruszała jego kareta, piérwszy hufiec orszaku księcia biskupa już wjeżdżał w bramę królewskiego zamku. W końcu zeszłego wieku przeszedł na własność rządu. Tu się mieściły sąd apelacyjny, handlowy i sądu pokoju. Na dole był głośny handel win kupca Stryjkowskiego, który urzędnicy sądowi jak i adwokaci licznie odwiedzali [1]).

Częścią ulicy Senatorskiéj zwracamy się na plac króla Zygmunta, ażeby odwiedzić stary zamek warszawski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z AMERYKI

DO PRZYJACIÓŁ W EUROPIE.

PRZEZ

J. Horaina.

V.

Było około drugiéj po południu, dnia 7 października 1871 roku, kiedy parostatek nasz *Baltimore* zaczął poruszać się z miejsca. Zwykle poruszenie to bywa tak nieznaczne, że dopiéro wówczas się spostrzegłem, gdyśmy odpłynęli o parę staj od stojącego obok okrętu. Nie mogę wam na pewno powiedzieć przyjaciele, dlaczego zrobiło mi się równie

---

[1]) Ogromny ten pałac na dwie ulice wychodzący, w r. 1822 oszacowany na milion dwadzieścia pięć tysięcy złotych, puszczony był na loteryą klasyczną. Czterech żydów wygrało go w roku następnym, od których nabyli go dwaj obywatele Warszawy: Tomasz Czaban i Łukasz Piotrowski; następnie, sam Piotrowski spłaciwszy Czabana, właścicielem został. Wysokie sale od Miodowéj ulicy, które stanowiły jedno tylko piętro, przerobił na dwa i na dole od Senatorskiéj ulicy długi rzęd sklepów urządził. Pałac ten w ręku rodziny Piotrowskich obecnie pozostaje. Pragnący więcéj szczegółów o domach na ulicy Miodowéj znajdzie w wybornéj monografii F. M. Sobieszczańskiego uczonego archeologa, który oddawna opracował historyczny opis miasta Warszawy. Z tego co znamy, możemy wnioskować, że będzie to praca jedyna w téj gałęzi literatury naszéj i zajmie najpiérwsze miejsce. Żałować potrzeba że znamy tylko urywki, a całości doczekać się nie możemy, lubo gotowa pod prassę drukarską.

tęskno i smutno na sercu, jak przy odpłynieniu z Bremy: czy żeśmy zostawiali za sobą ostatni ląd europejski, którego prawdopodobnie nigdy już nie zobaczę? czy straszyła mnie ogromna przestrzeń Atlantyku, którą wypadało przepłynąć bez wytchnienia; czy też—*mea culpa*—tęskno mi było po rozstaniu się z piękną i dobrą miss Mary. Ulokowałem się na ławce przy burcie okrętowéj, patrzałem na fale i zacząłem sobie przypominać ową cudną i cudnie przełożoną pieśń Child Herolda: „Bywaj mi zdrowy kraju kochany..." I już byłem doszedł do ostatnich wierszy: „Czegoż mam płakać? za kim i po kim, kiedy nikt po mnie nie płacze!" gdy na mojém ramieniu oparła się delikatnie jakaś rączka... Okazało się później, że to było łapsko.

— Ach!—to pani, piękna miss Mary—wyszeptałem w roztargnieniu poetyczném.

— Pewno że piękna, nawet zanadto jak dla ciebie; tylko nie miss Mary, a madame Marie.

— Ach to ty moja duszko! Przepraszam. I podobnom się zarumienił.

— Wiele wydałeś pieniędzy w Southampton? Co ci zostało z trzech półimperyałów?

To *pozytywne* zapytanie sprowadziło mię z krainy marzeń poetycznych, do rzeczywistości.

— Zostało mi mój aniele (?) zaledwo kilka pensów... Życie w Anglii drogo kosztuje!

— Kłamiesz! (grubijanka!) Wiem, Julcia mi mówiła, że rozmieniłeś tylko rubla i półimperyała. Proszę mi zaraz oddać dwa półimperyały.

Istotnie tak było, ale ja od lat czternastu, bez pięciu dni i czterech godzin—minut z pewnością oznaczyć nie mogę—jęczący w jarzmie małżeńskiém, wiém z doświadczenia, jak to wygodnie mieć w kieszeni kilka peców, o których nie wie, ani się domyśla dobrodzika, i już chciałem się zakląć na *niektóre* świętości, kiedy niedopuściwszy mię do tego, moja pani zasyczała:

— Proszę mi zaraz oddać portmonetkę, bo tam *u was pod pokładem* niebezpiecznie nocować z pieniędzmi.

Niestety! i tą razą... przepraszam... tym razem, magnifika miała słuszność! W chwilę później zostałem bez portmonetki. Nadąłem się jak środa na piątek, i zacząłem rozmyślać: co ja nieszczęśliwy poczne bez grosza przy duszy, jak mię burza wyrzuci na jaką bezludną wyspę? Dla ulżenia w żałości, odwróciwszy się do morza, mógł to już być i ocean, zacząłem przypominać sobie wszystko *złe*, które koledzy moi z *bractwa braci żałujących* nagadali i napisali o kobietach, to jest o *własnych żonach*. Wystarczyłoby tego na pół *wieczności*, gdyby nie rozległ się na pokładzie głos trąbki chromatycznéj, na któréj zaczął *dudlić* jakiś niemiecki wirtuoz; grał nie źle, chociaż daleko mu do naszego niegdyś Rajczaka.

Cała publika okrętowa, z kajut, z pod pokładu, i ze wszelkich kątów i dziur parostatku, wylegla na pokład. Po każdéj sztuce zaczęto mu bić brawo! a mój Tadzio podszedł śmialo do niego, i poprosił po niemiecku, aby nam zatrąbił mazura lub krakowiaka. Usłuchał dobry (?) Niemiec i na falach Atlantyku rozległ się nasz narodowy, wesoły mazur, który publiczność niemiecko-amerykańska powitała rzęsistszemi jeszcze oklaskami. Mało tego, kiedy zadzwoniono na obiad dla kajutowych i artysta wytrząsł trąbkę, podszedł do niego kapitan i dwóch oficerów okrętowych, i zaproponował mu, aby się przeniósł z podpokładu do oficerskiéj kajuty i na stół oficerski, z warunkiem, byle co dzień po godzinie trąbił, dla rozweselenia publiczności. Rozumie się że propozycya została skwapliwie przyjętą, i mój kolega podpokładowy, awansował na wyższe i wygodniejsze miejsce.

Z pomiędzy siedmiu grzechów głównych, bodaj że nawet śmiertelnych, sześć nie były mi obce: zazdrości dotąd nie znałem, a jednak pozazdrościłem Niemcowi. Gdybym umiał grać dobrze choćby na teorbanie lub kobzie, możeby i mnie spotkał podobny zaszczyt? A to niestety! i ja gram dobrze, nawet bardzo dobrze, ale tylko w gry komersyjne: w wista, gieryłasza, preferansa! I z tym talentem i rodziną—dziewięć osób razem—jadę do Ameryki! Cóż ja tam biédny poczne? A ileż to razy miałem zręczność i środki po temu, nauczenia się czegoś pożyteczniejszego. Rodzice, właściwie ojciec, bo matka odumarła mię w drugim roku życia, nie żałował na moje tak zwane wychowanie. Kosztowało go to z górą sto tysięcy złotych! Trzymał dla mnie guwernerów, Francuzów metrów; skończyłem gimnazyum, liznąłem uniwersytetu; nie ma nauki, przedmiotu, o którymbym nie potrafił rozprawiać *uczenie przed nieukami;* a jak przyjadę do Ameryki, wątpię czy potrafię zapracować na chléb powszedni, bo nic gruntownie nie umiem. Oto jest, tak grzecznie zwane, i tak niegdyś cenione u nas, salonowo-encyklopedyczne wychowanie.

Gdybym umiał na *czarną godzinę* jakie rzemiosło: gdybym był lekarzem, szewcem, kucharzem, golibrodą, aptekarzem, inżynierem, mularzem i t. p., byłbym spokojny o przyszłość mojéj rodziny. A to nic, nic! Byłem tylko synem obywatelskim i sam dziedzicem dóbr (?) na Litwie. I z tém, to jest bez dóbr, płynę do Ameryki! W czasie mego próżniaczego żywota przeczytałem stosy ksiąg, ale to były księgi które mię tylko bawiły, ot tak dla przepędzenia czasu: romanse, powieści, poezye, podróże i niewiele co więcéj; zresztą bez ładu, bez systematu Napisałem nawet kilka bredni, które sam w szczerości ducha nazwałem „*Chwile stracone*“ i to prawie wszystko! Gdybym przynajmniéj nauczył się po angielsku?... A miałem i do tego zręczność: raz w uniwersytecie w Moskwie, drugi raz mając przyjaciela Anglika (Chischolm), który mię gwałtem chciał nauczyć swojéj mowy, ale ja wolałem z nim żartować po francuzku, bo mi to było łatwiéj. Zresztą pocóż mi było uczyć się po angielsku? Romanse Walter-Scota przetłumaczył Dmochowski, a poemata cudnie przepolszczył Odyniec; tego mi było dosyć. Uczyłem się

tego tylko co mię bawiło. I teraz nie wielu w naszym kraju, daj Boże aby się znalazło nie wielu, do którychby bardziéj dała się zastosować bajka o koniku i mrówce:

Coś wyśpiewał latem,
Zimą tańcuj zatém!

A jednak mój ś. p. ojciec nic temu nie winien: wychowywał on swego jedynaka tak, a może nawet trochę lepiéj, jak wszyscy, prawie wszyscy ludzie jego stanu swoje dzieci wychowywali; a jedynak korzystał tak jak wszyscy, prawie wszyscy rówieśnicy jego korzystali. Bo i któż mógł przewidzieć wówczas że pańszczyzna nie jest wiekuistą? lub że ziemia nasza z pod nóg naszych może umknąć?

Tak myślałem po koncercie owego *trąbkowicza*, pierwszéj nocy na oceanie.

Teraz, wybaczcie mi, że przeniosę się myślą do obecnéj chwili w któréj te słowa piszę, to jest o dwadzieścia sześć miesięcy późniéj i powiem wam również szczerze co myślę: oto, jeżeli po przebytych na wstępie do Ameryki nieszczęściach, byt mojéj rodziny zdaje się polepszać, to winienem nie własnéj nauce lub zasługom, lecz chyba szczęściu, przypadkowi, a najprawdopodobniéj zasługom u Boga mojéj poczciwéj żony! A może poniekąd i temu, że każdy z nas w swojéj sferze, jak może pracuje; tak, każdy, bo i niespełna trzechletni Pawełek nałupał nożem i siekierką drzewa, do rozpalenia węgli kamiennych w żelaznym piecu i swój faworytalny piecyk wyczyścił.

Gdybym był pośród was przyjaciele rodacy, dla których te listy piszę, pewnobym się tak szczerze z moich ówczesnych i teraźniejszych myśli nie wyspowiadał; ale będąc oddalonym od was na całą szerokość Atlantyku, łatwiéj mi zmyślać, ale téż łatwiéj i prawdę mówić. *Ridendo dicere verum*, było podobno napisano na jakiéjś teatralnéj kurtynie.

Chłód nocny, a bardziéj jeszcze spóźniona godzina, bo wybiła północ na okrętowym zegarze, zagnały mnie do mojego podpokładowego etapu.

Nazajutrz po kawie, któréj przełknąć nie mogłem, ale zato po kromce chleba, udałem się na szczegółowy przegląd okrętu. Doprawdy, każdy okręt można śmiało nazwać małym światem, bo téż i nasz, tak zwany świat wielki czemże jest innem, jak nie okrętem pływającym w przestrzeni bez granic? Błądząc po kurytarzach, a właściwie *tłukąc się jak ś. p. Marek po piekle*, spostrzegłem drzwi na pół otwarte, a na nich niemiecki napis: fajczarnia. Ufny w moje pyszne nowe palto i kapelusz, wszedłem tam śmiało. Był to mały pokoik przy ścianach otoczony sofkami, przy których stały dwa przytwierdzone na głucho stoliki; przy drzwiach gorzała lampka, a pod nią pudełeczko z papierowemi fidibusami. Przy jednym stole siedział dżentlemen *sam z sobą* grający w szachy; przy drugim inny zagłębiony w książce i pomrukujący jakieś wyrazy podobno angielskie. Jako czujący w sobie żyłkę literacką, zapali-

łem cygaro i podsiadłem bliżéj do literata. Chciało mi się zobaczyć co też brat-literat czyta? bo nie śmiałem i nie umiałem oto zapytać. Przeszło chwil kilka zanim udało mi się zajrzéć do jego książki: wyobraźcież sobie moje zdziwienie, kiedym się przekonał że ów pan—takiż to i pan co czyta książki! —zatopiony w czytaniu i uczeniu się napamięć dykcyonarza niemiecko-angielskiego. Czytał z porządku każdy wyraz niemiecki, potem angielski, wymawiając ten ostatni tak, jakby to zrobiła krowa żmudzka, gdyby ją napadła ochota uczyć się po włosku! Przez cały ciąg naszéj podróży od świtu do zmroku, ów dżentlemen czytał swój dykcyonarz i uczył się z niego po angielsku.

Przesiadłem się do szachisty. Posuwał, a właściwie zatykał na sztyfciku swoją figurę (szachową), potém długo rozważał, myślał i posuwał figurę swojego mniemanego partnera. Jakkolwiek słabo gram w szachy, wydało mi się jednak że gra *na pewnika*, swoje bowiem figury posuwa dokładniéj, przeciwnika zaś niedbale. Krew mi się wzburzyła na taką nikczemność, i kiedy niewłaściwie posunął laufra, zerwałem się z kanapy, odstawiłem laufra na dawne miejsce, a pojechawszy konikiem, zawołałem: *à la reine!*

— Dobrze, bardzo dobrze—odpowiedział po niemiecku i zaczęła się gra między nami.

Trzeba wam wiedzieć, że kiedy byłem zdrów, grałem słabo w szachy, teraz gram jeszcze gorzéj; nie *postponujcie* mną wszakże za to, bo i Napoleon wielki był małym szachistą: ale jest coś tak oryginalnego w moich pomysłach szachowych, że zdarzało mi się wygrywać piérwszą partyą u znakomitych nawet graczy. Następne wszakże zwykle przegrywałem. Ztąd też mam złośliwy zwyczaj, że wygrawszy pierwszą partyę, daléj nie gram. Tak się też stało i tą razą: dałem *mata* przeciwnikowi, i pomimo inwitacyi, próśb, błagań nawet, więcéj grać nie chciałem. Zostawiwszy Niemca niezadowolonego i mruczącego coś pod nosem, wyszedłem na pokład.

Obejrzałem się na wsze strony: ziemi ani śladu! Maszty i żagle innych okrętów dawały się wprawdzie niekiedy spostrzegać w odległości; kilka biednych małych ptaszków, czepiało się do lin i masztów naszego parowca, a długie i szerokie fale Atlantyku, zdawały się co chwila takowy pochłaniać. Jakkolwiek wydawał się on nam wielkim, był istotnie takim w porcie; teraz na ogromnéj przestrzeni oceanu, zdawał się mniejszym od orzechowéj łupiny.

Nie przyznam się, abym był tak bardzo zajęczego serca; a jednak trwożyło mię złudzenie optyczne: zdawało się, że okręt zajmuje środek jakowejś czeluści, a w około niego piętrzą się wysokie fale, które powinny lada chwila spaść, zalać i pochłonąć. Pomimo że dzień był pogodny, wiatr umiarkowany, ocean jednak był wzburzony. Na pokładzie znajdowało się ledwie kilka osób pasażerów, bo wielu innych dręczyła morska choroba. A propos morskiéj choroby: przeczytałem pewno kilkaset tomów podróży po rozmaitych morzach, i ledwom w jednem lub dwóch dziełach znalazł jakietakie opisanie takowéj, a i to na moję

biédę tak uczone, żem nic nie pojął. Teraz nawet, przepłynąwszy ocean nie mógłbym dać dokładnego sprawozdania: bom choroby morskiéj *prawie* nie doświadczył.

Przed kilkunastą laty (w r. 1857 w sierp.) przepłynąłem morze Śródziemne z Marsylii do Algieryi i napowrót, zawadziwszy trochę o Korsykę: jechałem *piérwszą* klassą, jadłem wiele, piłem jeszcze więcéj, byłem zakochany niestety, nawet z wzajemnością, i choroby morskiéj ani śladu! Teraz, przy zupełnie odmiennych warunkach, bo jechałem pod pokładem, jadłem tylko tyle aby nie umrzéć z głodu, piłem tyle tylko, aby nie umrzéć z pragnienia; a jako przykładny małżonek, bez cienia nawet miłości w sercu; przepraszam cię piękna i dobra Mary z Southampton, i choroba morska zaledwo parę godzin popieściła się ze mną. Zresztą nie jest ona tak straszną, jak my, szczury lądowe, sobie wyobrażamy. Z rodziny naszéj uległy jéj, nawet dość silnie, tylko troje starszych dzieci. Matka mojéj żony, staruszka lat pod siedmdziesiąt, mówiła żartując, że jako córka kapitana okrętu marynarki królewskiéj (francuzkiéj) nie lęka się morza, a tém mniéj choroby. I chociaż piérwszy raz w życiu była na okręcie, cieszyła się najlepszém zdrowiem i apetytem. Żona moja, zapewne z tytułu wnuczki, i troje młodszych dzieci, również. Z tego zaś com spostrzegał na innych i czegom sam trochę doświadczył, okazuje się, że choroba morska jestto tylko *nudzenie* jak podczas przyzwoitéj niestrawności, zawrót głowy mniéj więcéj silny, i takież wymioty.

Z choroby morskiéj, jak to gdzieś czytałem i jak mi powiadano na okręcie, nikt nie umarł; na wiele zaś innych chorób, szczególniéj na hipokondryą, ma być doskonałém lekarstwem. Medycyna, może się mylę, niéma dotąd żadnych pewnych i skutecznych na nią środków. Wszystkie zaś eliksiery i t. p., z któremi w miastach portowych nastręczają się aptekarze, są tylko szarlataneryą, i pomogą tyle, co umarłemu kadzidło. Jedyne zaś środki, które nie uleczyć, ale tylko przynieść ulgę mogą, są: nie objadać się zbytecznie, i ścisnąć mocno żołądek, przepasując się trzosem, choćby nawet pustym. Łatwo mi było zastosować się do piérwszego, do drugiego zaś nie mogłem; bo mi trzos, ze złotém nawet nadziewaniem, odebrała okrutna połowica!

Ale dość już o tém, musicie mi przyznać czytelnicy, żem niedługo was nudził opisem choroby morskiéj, bo téż i ona niedługo mię nudziła.

Mając już na względzie nieprzerwaną dwutygodniową podróż, wypadało jakkolwiek się urządzić. W pierwszym dniu, jak już wiécie, odkryłem *fajczarnię*, gdzie mi zapewne pozwolą całe dni przesiadywać, choć fajczarnia nie dla podpokładowych mizeraków; ale drugie, daleko ważniejsze odkrycie zrobiły nasze maleńkie chłopaczki. Był zwyczaj może tylko na Baltimorze, że do tylnego oddziału sali kajutowéj, poznoszono kufry, tłómoki, po jednym dla każdéj osoby podróżującéj w kajutach, nałożono tego cały stos; ale silne kołysanie okrętu zrujnowało porządek i tłómoki się porozrzucały. Dwom naszym synkom: Michasiowi i Władziowi przyszła szczęśliwa myśl bawić się w chowanego.

Strategicznie rzecz biorąc, najlepsze do téj zabawy pole, nastręczało to miejsce, gdzie były pozwalane kufry. Sądzę że sam Moltke, lepszego by nie wynalazł. Tego téż zdania byli i nasze malcy: bawiąc się więc i kręcąc między kuframi, postrzegli i poznali jeden do nas należący. Oznajmili natychmiast matce i mnie. Uradowała nas ta wiadomość; poszedłem wraz, i istotnie okazała się prawdziwą. Wszakże była drobna okoliczność, która mię trochę zmitrężyła: na kufrze była przylepiona kartka z napisem niemieckim: *Marie von Minskkirchen Kajute Nr. 12.* Otworzyć znaczyłoby albo przyznać się do nazwiska von Minskkirchen; albo że otwieramy nie nasz kufer, co byłoby zarówno szkaradnie. Możebym ja na to nie zważał; ale moja pani, u któréj nawiasem mówiąc były klucze, zrobiła uwagę, czy nie wypadałoby uprzedzić o tém kapitana. Ofuknąłem się zrazu na tę myśl. Że téż musisz wszędzie, ni proszona, ni dziękowana, wścibić swoje trzy grosze, chcę mówić półtory kopejki! Jakto? znalazłszy swój kufer, mam prosić kogobądź o pozwolenie otworzenia? i to jeszcze płynąc do najswobodniejszego na kuli ziemskiéj kraju?—Aleś jeszcze na okręcie, to jest na terrytoryum niemieckiém. Zresztą masz klucze i rób jak ci się podoba. Tém mię rozbroiła: bo miałem szczery zamiar pójść z panią małżonką, jeśli nie na *udry*, to przynajmniéj na języki. Pomyślałem jednak sobie, zawsze mam wolny wybór: mogę pójść, albo nie pójść za zdaniem jéjmości. Możeby téż i nie szkodziło uwiadomić kapitana? Tém bardziéj, że pozbyłbym się zarazem nazwiska *von Minskkirchen*, które kamieniem młyńskim na mnie ciężyło. A tu, jak na licho i kapitan o kilka kroków od nas siedzi i przegląda jakiś atlas. Ha, cóż robić? Poradzę się z nim (kapitanem); tylko zastrzegłem sobie w myśli wówczas, a teraz najsolenniéj przed czytelnikami, że nie dlatego że taka była wola mojéj żony, lecz chociaż... to jest zupełnie tak, jak mówili Francuzi, wybierając Ludwika-Filipa na króla: non parceque, mais quoique Bourbon...

Posłaliśmy więc Julcię, jako najjęzyczliwszą z nas wszystkich, (bo mogącą rozmówić się we czterech językach) w deputacyą do kapitana, który nie robiąc żadnych przeszkód, żądał tylko, aby mu pokazano ów kufer. Dzieci natychmiast go tam zaprowadziły.

— A jak się nazywa wasza mama?—zapytał.

— Marie de Horain—krzyknęły jednogłośnie.

— A tu napisano Marie von Minskkirchen, więc to nie wasz kufer?

Tu już ja musiałem wdać się w sprawę: wytłumaczyłem jak mogłem, pomyłkę Claus-Kühl'a co do naszego nazwiska i jako dowód pokazałem nasz pasport. A ponieważ zebrało się dokoła nas kilka osób, Amerykanie i Anglicy zaczęli się uśmiechać, Niemcy pospuszczali nosy na kwintę; a kapitan wykrzyknął: „Donnerwetter! cóż to za osioł mój przyjaciel Kühl!

Ja się nigdy tak niegrzecznie nie odzywam o przyjaciołach. Po otwarciu kufra, właściwie był to kosz duży, pleciony z trzciny, zamczysty, któryśmy kupili w Warszawie za Żelazną Bramą (25 złp.) i który okazał się najpraktyczniejszy i najwytrwalszy z pomiędzy kilkunastu

innych, znaleźliśmy prawdziwe skarby! Na samym wierzchu wylegały się dwie poduszki włóczkowo-safianowe; potem dwie zapasowe paradne kołdry; grzebiąc daléj natrafiliśmy na kilka sztuk mojéj bielizny; nareszcie na kilka książek. Wszystko to przeniesiono natychmiast pod pokład do naszego legowiska.

Po zatraceniu w otchłani okrętowéj naszéj poczciwéj litewskiéj walizy, w któréj wszystko było przygotowane na trzytygodniową morską podróż, to, cośmy znaleźli w mazowieckim koszu było istnym dla mnie skarbem. Dwie poduszki! A toż my podpokładowe mizeraki, przespaliśmy trzy nocy bez poduszek! Kilka koszul czystych! A toż mi zagrażało trzytygodniowe noszenie jednéj i jedynéj koszuli; nareszcie parę kołder, a nawet kilka tomów książek, okazały się nam przydatne.

Co do kołder, byliśmy trochę w ambarasie. Niestety były one jedwabne, adamaszkowe, mało używane; karmazyn nie wypłowiały, frendzle nie poobrywane. Jakkolwiek czyniły one (kołdry) nam honor i zaszczyt w gościnie, a poniekąd i w domu własnym, zasłane na łóżkach, jakkolwiek mi były bardzo do twarzy, a nawet kiedym osiwiał; ale teraz pod pokładem, między hołotą, nakryć się adamaszkową kołdrą, wówczas gdy wszyscy inni byli nakryci guniami, derami, worami, lub zupełnie nie nakryci; było nietylko nieprzyzwoicie, ale nawet i niebezpiecznie. A nużby któremu sąsiadowi, a bardziéj jeszcze sąsiadce, przyszła w nocy myśl fatalna, zawładnąć tak piękną i kosztowną kołdrę?.. Wiadomo przecież że płeć *słaba*, ma *silny* pociąg do jedwabiów! Ale że na wszystko jest sposób, więc poradziwszy się z żoną i dziećmi, postanowiliśmy zanieść kołdry zawinięte w grube prześcieradła, rozściełać dopiéro po zachodzie słońca, a zdejmować i chować równo z ukazaniem się jutrzenki; a to wszystko, aby nie razić przepychem uboższych jeszcze od nas sąsiadów, i nie obudzić pożądliwości w sąsiadkach. Nawet i książki mi się przydały: było tam trzy tomy „Historyi Stanów zjednoczonych“ Labouley'a, które chociaż dwa razy przeczytane na lądzie, jeszcze z pożytkiem raz trzeci przeczytałem na morzu.

Wieczorem zajrzałem znów do fajczarni, było tam tłumno, dymno, gwarno, jak niegdyś u Lourse'a na górce. Przy dwóch stolikach grano w karty, trzech czy czterech ichmościów przyglądało się, a każdy miał przy sobie lub przed sobą kufel piwa. Był między spektatorami i mój ranniejszy partner szachowy. Kiedym wszedł, przemówił coś wskazując na mnie do obok siedzącego, który wraz się posunął, robiąc mi miejsce przy sobie. Usiadłem, ale tak skromnie jak oficyalista, kiedy mu pan pryncypał każe usiąść. Grzeczny sąsiad przemówił coś do mnie po niemiecku. Zrozumiałem ja to wprawdzie piąte przez dziesiąte, ale odpowiedziałem *nicht ferstein*.

— Mówicie po francuzku?

— Trochę.

— To pan dzisiaj dałeś mata Seydlowi—powtórzył zapytanie francuzczyzną z nad Sprei.

— Ja byłem tylko pełnomocnikiem niewidomego (invisible) partnera tego pana—odpowiedziałem jeszcze z większą skromnością.

Kiedy to wytłumaczono po niemiecku, wszyscy zaczęli się śmiać serdecznie.

— A czy wiesz pan, że dałeś mata najpierwszemu szachiście z Bremen? Nikt już tam z nim grać nie chce, i biedak zmuszonym jest grać sam z sobą. Teraz jedzie umyślnie do Ameryki, aby tam nagrać się w szachy, a tu na wstępie dostał mata. Pozwolisz pan z sobą się poznajomić. Jestem (zapomniałem nazwisko) lekarz okrętowy.

— A ja jestem chory podpokładowy.

— Jakaż wasza choroba?

— *Paresis hemiplegia*—odpowiedziałem dumnie—bo to nie ladajaka, lecz ważna choroba.

— To dobrze, to bardzo dobrze; to się niekiedy leczy—mówił z pewném uszanowaniem prawy syn Eskulapa.

— Oczywista rzecz, że rozmawialiśmy w przestankach, kiedy rozdawano karty. Ale zaszła inna przeszkoda: wezwano doktora do jakiejś *ledi*, którą dręczyła choroba morska. Poszedł natychmiast, ale odchodząc, prosił mię abym go zastąpił.

— Pan, co tak doskonale grasz w szachy—mówił—musisz grać dobrze w wista; zastąp mię, jeśli łaska.

— Gram trochę—odpowiedziałem z wrodzoną mi skromnością—i zająłem miejsce doktora. Udało mi się wygrać robra, nim powrócił.

Trzeba wam wiedzieć przyjaciele, że Niemcy szkaradnie grają w wista, a że źle grają, przeto się nie kłócą, ani nawet sprzeczają, i kończą zwykle na trzech robrach. Biedne niemczury! Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, i to z dumą narodową, że na kuli ziemskiéj niéma narodu, któryby lepiéj i wytrwaléj grał w karty jak my Polacy i nasi północni pobratymcy. Ot i tu w Nowym Yorku, została przeddziesięcioletnia tradycya, o któréj dowiedziałem się onegdaj: kilku z naszych rodaków zebrawszy się wraz po *rezurekcyi*, grali w diabełka i faraonika do *przewodniéj niedzieli* włącznie, bez wytchnięcia; to jest z takiemi tylko przestankami, których wymagały gwałtowne potrzeby fizyczne. Zapisałem sobie nazwiska tych bohatérów; mógłbym je podać do potomności, gdybym się nie lękał obrazić skromności, wrodzonéj prawdziwéj zasłudze. Ale te dobre czasy już przeszły! Teraz, ledwo raz w tydzień zbierze się nas czwórka lub trójka i *tniemy się* w preferansika ledwo pół doby po cencie (3 gr.). Na kilka centów punkt—zdobyć się nie mogę! *Tempora mutantur, et nos mutamur in illis!* Do nas, to greckie przysłowie nie bardzo da się zastosować: czasy się zmieniły, a my, wątpi kościół Boży, czy potrafim się odmienić.

Tak przeszło dni parę. Wstawałem równo ze świtem; o ósméj, dzieci przynosiły w blaszankach kawę podpokładową, do któréj, w żaden sposób przyzwyczaić się nie mogłem; piłem jednak, bo była gorącą. Potem, jeśli dzień był pogodny, siadałem na pokładzie w oddziale arystokratycznym, z tytułu że przez żonę kajutową i ja należałem do ary-

stokracyi — okrętowéj; i po całych godzinach przypatrywałem się bezmyślnie falom oceanu. Lecz jeśli dész kropił, lub wiatr był silny, schodziłem do fajczarni i czytałem Labonley'a, zasiadłszy obok literata, który się uczył napamięć dykcyonarza. Na wszelkie wezwania Seydel'a-szachisty, byłem głuchy. O południu dawano kajutowym drugie śniadanie, a szubrawstwu podpokładowemu, obiad; ja zostawałem sam jeden w fajczarni, gdzie byłem tylko tolerowany. Wówczas dziatki przynosiły mi kawał szynki, séra z zapasowéj kroby i kromkę chleba okrętowego, i to był mój prawie całodzienny posiłek. Wieczorem, kiedy głód dawał się uczuwać, brałem na rachunek mojéj pani pół butelki porteru i wypijałem takowy, przegryzając sérem i chlebem. Najtrudniéj jednak było obchodzić się bez herbaty.

W tym czasie, żona moja i wszystkie dzieci zapoznały się z kajutowemi, a szczególniéj z rodziną Cornerów, z któremi za pośrednictwem Julci, mogła się jakoś porozumieć. Dzieci nasze, szczególniéj młodsze, Cornerowie bardzo polubili; i nie mogło być inaczéj, bo według zdania mojéj żony, świat nie oglądał lepszych, rozumniejszych. Wstrzymywałem ten zapał, nawet zaprzeczałem, ale ot tak aby się tylko sprzeczać. Cytowałem jéj często, i dotąd niekiedy powtarzam bajkę o nieboszczce, podobno że bardzo się rozpłodziła, sowie, która swoje *najpiękniejsze* sowięta polecała względom i opiece wspaniałomyślnego orła. Ale jak wówczas, tak i teraz, moja jejmość odpowiada mi jedném słowem: „bredzisz.“

Z téj zażyłości z Cornerami dzieci nasze dostawały obfitość cukrów, ciastek, biszkoptów, jabłek i wraz na wyścigi przybiegały do mnie, aby się podzielić.

Jednego dnia podsiadł się do mnie kapitan okrętu Fischer, i wdawszy się w długą gawędkę, zaproponował abym przychodził na śniadania, obiady, herbatę do sali kajutowéj. Zapytałem go wręcz co to będzie kosztować? Odpowiedział mi że „nic.“ Dla mojéj zaś spokojności dodał, że na tém nie straci ani on sam, ani kompania Północno-niemieckiego Lloydu. To mi dało do myślenia: zacząłem podejrzywać Cornerów i jak się potém okazało, zdaje się słusznie. Wszakże nie miałem siły zupełnie odrzucić ofiary; zaproponowałem więc kapitanowi, że będę przychodził do kajut, tylko na pierwsze śniadanie; nie będę zaś brał dla siebie nic z jadła podpokładowego. Kapitan chętnie na to przystał. Podziękowałem mu także serdecznie za zezwolenie, aby dwa moje młodsze chłopaczki, na dobre się przenieśli do kajuty matki, gdzie im daleko zdrowiéj i wygodniéj.

— Nie gadajmy o tém—odparł poczciwy kapitan—bo ja o tém nie wiém, to jest nie powinienem wiedzieć.

Odtąd punktualnie o ósméj rannéj, zasiadałem przy stole obok żony lub córki, piłem parę filiżanek herbaty lub kawy, połykałem parę jaj na miękko, pożerałem kotlet, befsztyk lub szynkę na gorąco z akcessoryami, i było mi tego dosyć aż do wieczora. W porze zaś herbatniéj, żona lub córka przysyłały mi do fajczarni swoją filiżankę herbaty,

a Michaś i Władzio po jabłku. Musieliśmy już być po stronie amerykańskiéj oceanu; bo jak widzicie, wszystko się działo na odwrót: nie pelikan swoje dzieci, ale dzieci karmiły starego i schorzałego pelikana!

Zabezpieczony co do jadła, nie mogłem się przyzwyczaić do *etapowego* noclegu. Wstawałem wraz po północy i gramoliłem się do fajczarni, gdzie siedząc pociemku na kanapie drzemałem lub marzyłem do dnia. Niech mi jednak nikt nie zazdrości moich marzeń, były one smutne, bardzo smutne! Po czwartéj rannéj przychodził lampiarz; czyścił i nalewał lampy, a na moją prośbę, jednę zostawiał zapaloną, zalecając abym ją o szóstéj zgasił.

Jednego dnia, już nie pomnę którego, plondrując po korytarzach, postrzegłem napis na drzwiach „lazaret;“ poprobowałem drzwi, nie zamknięte: uchyliłem i ujrzałem pokój dość spory; przy trzech ścianach sześć łóżek jedno nad drugiém, przy czwartéj sofka, a przed nią stolik. W pokoju zaś, ani jednéj choréj duszyczki. Żal mi się zrobiło mojego już przyjaciela lekarza okrętowego z którym się bliżéj poznajomiłem. Odnalazłem go więc prędko i zaproponowałem, ażali nie pozwoli mi być swoim chorym i w skutek tego przenieść się z dwoma synami do lazaretu. Z uniesieniem przystał na to eskulap okrętowy: bo téż lekarz, bez chorych, adwokat bez procesów, myśliwy bez zwierzyny, autor bez czytelników, to pozycya nie do zniesienia; częstokroć bywa powodem samobójstwa.

W niespełna godzinę, zabrawszy manatki, przenieśliśmy się o jedno piętro wyżéj, do lazaretu. Mogliśmy się rozmieścić według woli, bo jak mówiłem, miejsca były nie zajęte. Kazałem dzieciom posłać się na dolném łożu, oddałem im ów szkaradny siennik; sam zaś, jako wygodniś, ulokowałem się na kanapce, którą przykrywał sprężynowy niegdyś materac. Ale i tu przepłaciłem moje niedoświadczenie; bo pierwszéj nocy, w skutek silnego kołysania się parowca, dwa razy zsunąłem się z pościelą na podłogę. Resztę wiec nocy przesiedziałem na kanapie trzymając się stołu. Tu téż po raz pierwszy doznałem przypadłości choroby morskiéj. Dzieci w skrzyni czyli w łóżku, spały najwyborniéj. Równo ze dniem przeniosłem się i ja z kanapy na łoże. Podesławszy pod siebie obie adamaszkowe kołdry, nakrywszy się inną z Southampton i lisiurą magnifiki, zasnąłem tak twardo, żem przespał kajutowe śniadanie. Obudziwszy się dobrze po południu, ujrzałem żonę i córkę: zaniepokojone moim snem przedłużonym, przyszły nieboraczki czuwać nademną!

Na noc, kiedym powrócił do lazaretu, zastałem wszystkie łóżka zajęte, rozumie się że mnie i moich malców nie wyrugowano. Doktór więc nie mógł skarżyć się na brak pacyentów.

Co to znaczy dobry przykład!? Dowiedziawszy się o naszéj *tranzlokacyi*, znalazło się wraz tylu chorych, ile było miejsc wolnych; żaden wprawdzie nie brał lekarstwa, i to zapewne wszystkich zachowało przy życiu, a konsyliarzowi zjednało wiekopomną sławę.

Najbliżéj przy mnie ulokowała się młoda i przystojna czeszka, jakoby panna. W innym czasie, przy innych okolicznościach, może takie sąsiedztwo nie byłoby dla mnie wstrętném, możebym nawet korzystał ucząc się po czesku. Ale kiedy mi na noc porozwieszała nad łóżkiem niby firanki, swoje chustki, suknie i inne niegodne wspomnienia ubrania kobiéce, tém bardziéj że nieodznaczające się ochędóstwem..., musiałem nazajutrz zamienić łoże z Tadzią i Lutkiem.

Dowiedziawszy się o tém moja żona, pierwszy raz od lat piętnastu pochwaliła bezwarunkowo moje postępowanie.

Na tym tryumfie, na tym okazie cnoty męzkiéj, która powinnaby zaćmić cnotę Katona i Scypiona (afrykańskiego) i innych, jeśli inni tacy byli, wypada mi zakończyć moje pismo.

Wyście przyjaciele, od sześciu mniéj więcéj godzin, podzieliwszy się opłatkiem, zasiedli do spożywania Wilii, i mnie téż w téj chwili, w jadalnym pokoju (tamże kuchnia) czeka opłatek wywieziony z ojczyzny; parę potraw ryb morskich u was nieznanych, cała moja rodzina w obecnym jéj składzie; dwóch przyjaciół zaproszonych z Nowego Yorku, zupa piwna czyli poprostu piwo grzane ze śmietaną, pierwsze od przybycia do Ameryki. Nie winszuję wam czytelnicy, bo będzie za późno; ale niech to się wszystko ziści, co wam łamiąc opłatek życzono, a co my sobie wraz życzyć będziemy.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Prelekcye w Sorbonnie professora literatury francuzkiéj p. Lenient.—Wiek XVII-ty.—Pałac Rambouillet.—Poezya pedantyczna.—Twórcy szkoły: Hiszpan Gongora i Włoch Marini.—Poeta Voiture.—Wpływ téj szkoły na panegiryczną poezyą w Polsce.—„Listy do Nieznajomój" Prospera Merimego.—Uroczystość akademicka: mowy pp. Lomenie i Juliusza Sandeau.— Wpływ małżeństwa na rozwój języka i literatury.—Dzieło pana Buxton Forman; „O żyjących poetach angielskich."—Trzy szkoły: idyliczna, psychologiczna i prarafaelistyczna.—Tennysson, Browning, Swinburne.—„Joanna d'Arc", nowy dramat Juliusza Barbier, z chórami Gounoda.—Dzieło Zellera: „Trybunowie rewolucyi we Włoszech."—Ostatnie powieści Merimego.—„Poesies Dorées," Anatola France.

Pan Lenient, professor literatury w Sorbonie, potrącił niedawno w strunę bardzo nas obchodzącą, gdyż związaną ściśle z literaturą naszą wieku XVII-go. Komuż nieznana owa śmieszna nadętość szkoły panegirycznéj, która zastąpiła u nas szkołę Kochanowskich i Klonowiczów! Krytycy nasi różne dają powody takiemu skażeniu myśli polskiéj, szukając ich najczęściéj we wpływie czasowych i miejscowych okoliczności. Z kursu pana Lenient widzimy jednak, że aby wyświetlić istotną przyczynę tak smutnego zwrotu, potrzeba sięgnąć nierównie głębiéj do tego samego źródła, z którego wypłynęła pedantyczna szkoła literatury francuzkiéj, przezwana *genre precieur*, szkoła schłostana tak ostro przez Moliera w komedyi *Les precieuses ridicules*.

Zobaczmy oto, jak się rzecz miała we Francyi w pierwszéj połowie XVII-go wieku, przed świetną epoką Ludwika XIV. Był to czas przewagi Włochów i Hiszpanów: widzimy na tronie Maryą Medyceuszkę, a zaraz po niéj Annę austryaczkę córkę Filipa IV, króla hiszpańskiego.

Dwór zajęty zewnętrzną polityką i wojną domową, tlejącą w kraju, nie mógł się stać głównem ogniskiem literatury. Tém ogniskiem był pałac zaczarowany, w którym królowała włoszka

z domu Pisanich, słynna margrabina de Rambouillet. Widzimy tę cudną *Kleomirę*, *Arthenisę*, *królową Zirfeę*, jak ją przezywali poeci, w błękitnéj sali, na tronie wzniesionym w pośród kwiatów, posągów, pysznych makat i innych dzieł sztuki, otoczoną gronem pięknych pań i poetów. Jéj podwoje otwarte dla wszystkich, bez względu na opinie, nawet na prawa rodu dla wszystkich, którzy blaskiem inteligencyi podnieśli się nad poziom. Katolicy i hugonoci, wielcy panowie i mieszczanie, cudzoziemcy, książęta krwi nawet, jednako tu przyjmowani. Wprowadza ich Voiture, syn kupca winnego, główny koryfeusz tego nowego Parnasu. Kornel odczytuje tu swego Polyeukta, w obec audytoryum, które go wcale nie rozumie; Malherbe zagląda tu czasem, uśmiecha się szyderczo i rusza pogardliwie ramionami; wielkim poetom duszno w téj atmosferze, radzi téż od niéj uciekają, zostawiając miejsce autorom madrygałów, panegiryków i innych łamigłówek rymowanych, dla których zakwita bujnie wawrzyn, pod sklepieniem zaklętego pałacu.

Oto próbka stylu, przyjętego w owém wytwornem gronie, list pani Rambouillet do biskupa Godeau.

„Gdyby mój poeta Karabin (Corbeville, półkownik karabinierów) był w Paryżu, odpisałabym wierszem, a nie prozą; lecz ja sama nie dość jestem spoufalona z muzami. Dziękuję milion razy za oświadczone mi życzenia i nawzajem pragnę widzieć waszą eminencyą w *loży*, gdzie stokroć jéj lepiéj będzie, niż w Vince. Loża ta, wsparta na kolumnach z przejrzystego marmuru, zbudowana w wysokich sferach powietrznych ręką królowéj Zirfei. Niebo tam zawsze pogodne, chmury nie zaćmiewają wzroku. Ztamtąd patrzałam swobodnie na upadek ziemskiego anioła."

Ta loża królowéj Zirfei, to nowy salon, zbudowany na piętrze pałacu; ten upadek ziemskiego anioła, to upadek Cinq-Marsa, strąconego przez ministra Richelieu.

Jakiż jest rodowód téj dziwacznie pretensyonalnéj literatury? Wylęgłaż się ona w pałacu Rambouillet? Professor Lenient odpowiada na to, sięgając do samego źródła i ukazując pierwszych inicyatorów pedantycznéj szkoły we Francyi, w dwóch cudzoziemskich poetach. Byli niemi Hiszpan Gongora i Neapolitańczyk Marini. Pałac Rambouillet przesiąkł na wskróś ich wpływem i wydał nową szkołę.

Zobaczmy, czém były te dwie osobistości, całkiem dziś zapomniane, których wpływ tak zgubnie oddziałał na poezyą Marotów i Ronsardów we Francyi, a okrążywszy Europę, pozostawił smutne ślady i w naszéj literaturze.

Gongora, urodzony w Kordubie w końcu XVI-go wieku, poeta nadęty i jaskrawy, postanowił zostać Kolumbem w świecie poezyi, a stał się tylko ośmieszonym i pretensyonalnym Don Kiszotem. Obdarzony z natury zdolnością poetyczną, czynił co mógł, aby ją popsuć. Szalona chęć rozgłosu, wpędziła go na bezdroża. Zrazu

pisał, jak wszyscy, wystarczał mu język Lope de Vegi i Cerwantesa; w nimto wyśpiewał piękną odę na cześć niezwyciężonéj Armady, ale otrzymany poklask nie zadowolnił go wcale. Chciał uderzyć świat oryginalnością i sformułować prawidła nowéj sztuki. Wprowadza do niéj styl metaforyczny, pretensyonalny, pełen przesady i pedantyzmu (estilo culto). Ów styl polega na tém, aby nie nazwać rzeczy po imieniu, ale pod osłoną ciemnych i naciąganych przenośni. Gongora z niezmordowaną pracą obala wszelkie zasady loiki i grammatyki, a nawet punktuacyi. Rzuca bez planu obrazy jaskrawe, krzykliwe, chaotyczne. W tym duchu tworzy poemat *Soledades* (Samotność). Oto początek:

„Była to kwiecista pora roku, w któréj przebrany kochanek Europy, zdobi czoło w półksiężyc, włos uzłaca promieniem słonecznym; ów kochanek potężny, chwała błyszczących niebios, karmi się gwiazdami rozsianemi na polach szafiru i t. p.“

Tak określa Jowisza i wiosnę. W innym poemacie *Polyfem i Galatea* czytamy taki obraz: „Oko Cyklopa oświeca świat czołem swojém; włos jego czarny, podobny do krętych i ciemnych fal Lety, broda do huczącego potoku.“

Prawdziwi poeci, jak Lope de Vega, Cerwantes i Quevedo, powstawali silnie na zuchwalstwo nowatora. Lope de Vega szydził z tych trąb i burz pseudopoetycznych, z tych przesadnych metafor. Quevedo godził gradem strzał w potwornego Polyfema. Pyszny Gongora, upojony chwałą, odpowiadał na to piorunami przekleństw i tworzył coraz to straszliwsze dziwolągi. Grono sfanatyzowanych kobiet i młodych uczniów, wtórzyło mu głośnym poklaskiem.

Gongoryzm rozlał się potokiem na Włochy i Francyą; pałac Rambouillet rozwarł mu drzwi na oścież. Młodzi poeci Brebeuf, Scudery i inni, czerpali z rozkoszą w nowym zdroju. Chapelain, słynny ówczesny krytyk, zaleca poetom to źródło prawdziwego natchnienia. Z Francyi prąd ten przechodzi niebawem do Anglii i w inne strony świata. Gongora umarł w pełni tryumfu swego.

Obok hiszpańskiego nowatora występuje Neapolitańczyk Marini, jeden z tych szarlatanów, jakich Włochy dostarczały zawsze światu. Poprzedzony olbrzymim rozgłosem, ukazuje się na dworze Maryi Medyceuszki pod opieką ulubieńca królowéj Concyniego. Pałac Rambouillet ogrzewa się promieniami tego słońca, które zaświeciło nad Paryżem.

Marini splótł na cześć zmarłego króla Henryka, królowéj i młodego Ludwika XIII girlandę poetyczną, złożoną z stu dziewięćdziesięciu siedmiu strof, pod tytułem *Il Tempio*, (Świątynia). Wielką część poematu poświęcił na określenie wdzięków Maryi Medyceuszki: maluje ją od stóp do głów; wysławia bozkie kształty jéj czoła, cudne brwi, kędy czytasz napis: „Tutaj połyska słońce!“ Szczególnie zachwyca go nos królowéj, ów nos, to bieluchna wieża, odgrodzona wązkim murem, od dwóch śnieżnych smugów oblanych purpurą.

Drugi utwór Mariniego, który miał unieśmiertelnić jego chwałę był to poemat Adona, złożony z czterdziestu tysięcy wierszy! W pałacu Rambouillet urządzono wspaniałą ucztę w dniu, kiedy poeta miał czytać arcydzieło; wezwano na te gody całą inteligencyą paryzką. Chapelain wielki mistrz krytyki obowiązany był obznajmić publiczność francuzką z poetą i poematem: w zawiłych słowach oświadczył, że Adona nie odpowiada zwykłym prawidłom epopei, lecz i sam Arystoteles nie utworzyłby nic lepszego. Poeta Malherbe przybył także, ale zniecierpliwiony w ciągu czytania kaszlał, chrząkał, pluł bez ustanku. Nie uszło to uwagi Mariniego. „Nie widziałem nigdy—rzekł do pani domu—tak suchego, a zarazem tak mokrego poety!"

Wkrótce potém śmierć Conciniego wygnała ze dworu poetów i wirtuozów włoskich z wielką uciechą Malherba i Kornela. Marini pospieszył za drugiemi. Ale szkoła jego, wychuchana sztuczną atmosferą pałacu Rambouillet, rozkwitła bujnie we Francyi. Kilka pokoleń poetów uprawiało ją z większém lub mniejszém powodzeniem. Przygłuszona wielkiemi imionami z wieku Ludwika XIV, schłostana sarkazmem Moliera, szkoła ta, uciekła do buduarów, ztamtąd przeszła do kalendarzy i tam przetrwała do czasów rewolucyi.

Pierwszym i najświetniejszym jéj przedstawicielem był ów poeta Voiture, syn kupca winnego, wyrocznia pałacu Rambouillet. Nie doszedł on nigdy do téj ekscentrycznéj przesady, jąką widzieliśmy w jego mistrzu i wzorze Merinim. Talent wrodzony uchronił go od ostateczności. Przytaczamy ustęp z poemaciku, w którym Voiture opiewa wyprawę nowego Jasona, hrabiego Colygny nie do Kolchidy po złote runo, ale do Szampanii po hrabiankę Montmorency:

Rej skrzydlaty Amor wiedzie;
Trzy Gracye mkną po przedzie
I uśmiéchów orszak świeży
Za Amorem w ślady bieży;
I Powaby cudne druchny,
I czarodziéj Wdzięk miluchny:
I Uciechy, i Pieszczoty
Motylemi spieszą loty.
Wietrzyk rosę tam rozsiewa,
Gdzie się zwróci czarnobrewa,
Gwoździk zwiędły krasą płonie,
Gdy go piękna tchem ozionie.
Młoda para sunie potém,
Wóz jéj cały tkany złotem:
Daléj znaczy szlak za niemi,
Hymen żary płomiennemi.

Po nad szczęśliwą parą krążą roje amorków. Przybiegają tłumnie ze wszystkich krajów świata: z Irlandyi, Szkocyi, Anglii, Włoch, Sycylii, Afryki, Ameryki, Japonii i Manikongo.

Moc ich leci niepojęta,
Istne szpaki lub wróblęta;
Nuż w podloty, pląsy, skoki,
Aż pokryły kraj szeroki.

Taki napływ amorków wstrząsnął do gruntu całą Szampanią.

Kto powietrza schwyci w łono,
Czuje w piersi skrę zatloną:
Pełna sromu drży dziewica,
Łzy ociera wdowa z lica;
Mędrzec w todze i w birecie,
Z ławy szkolnéj drobne dziecię;
Nawet starzec gołąb' siwy:
Kto żyw kocha istne dziwy!
Samoluby z twardą duszą,
Chcą, czy nie chcą, kochać muszą;
Choćbyś serce miał ze skały
Tknie cię amor swemi strzały!

Łatwo zgadnąć, że Marya Ludwika, współczesna margrabiny Rambouillet przyniosła do nas pierwszy posiew téj sztucznéj poezyi; ziarno pełnym wybujało kłosem na dworze Maryi Kazimiry, a za dwóch Sasów, kiedy mrok rozpostarł się nad krajem, ojcowie nasi zbierali bujne żniwo z tego posiewu.

Wiadomo, jak ta szkoła rozpostarła się u nas w końcu XVII-go i początkach XVIII-go wieku. Kiedy pod nawałem klęsk zgasły promienie zorzy, co przyświecała wepoce Zygmuntowskiéj, nadęty pedantyzm głęboko zapuścił korzenie na poetycznéj niwie naszéj i zgłuszył chwastami złote kłosy Kochanowskich i Klonowiczów. Nie jestże wiernym wyrazem gongoryzmu ów napuszysty wiérsz Ulryka Radziwiłła do Drużbackiéj?

Nie z prostéj skóry pas ciągnę rzemienia,
Z któréj tu muza snuje swe osnowy;
Tać z helikońskich cór idzie plemienia,
W Drużbackich kroplach kręte kroi rowy,
Gdzie po kamykach kręte grają zdroje,
Zkąd poetyckie smak dają napoje.

Szczęściem, że jak we Francyi Malherbes i Kornel, tak u nas Wacław Potocki i Drużbacka umieli przechować złotą nić tradycyj poetycznych, w tych czasach powszechnego skażenia.

Oddawna już w literaturze francuzkiéj nie pojawiła się książka tak zagadkowa, tak tajemnicza, tak mistyfikująca czytelnika, jak świeżo wydane w dwóch tomach *Listy do Nieznajomój*, zmarłego niedawno akademika Merimée.

Ktokolwiek bywał na zebraniach akademickich, pamięta w gronie czterdziestu ową postać suchą, pożółkłą jak pergamin, sztywną, wyprostowaną, z przyrosłym do ust sardonicznym uśmiéchem; postać, od któréj chłód powiewał wkoło, niby od zastałéj wody, roznoszącéj zarazę. Każde słowo, jakie wybiegło z tych ust zawiędłych, lubo czasami zaprawne miodem, ukrywało w sobie gorzki sarkazm. Iskra zapału nie ożywiła nigdy tego zgasłego oka. Zawsze skwaszony i znużony, Merimée nie wierzył w nic: ani w Boga, ani w świat, ani w ludzkość; pełen pychy, gardził tak jednostkami, jak i ludami, zwłaszcza, kiedy im szczęście nie sprzyjało; przed siłą tylko uderzał czołem. „Wartoż było—mówił po wojnie włoskiéj—przelać tyle krwi dla tych kominiarzy i muzykantów." O innych wyrażał się niemniéj szyderczo: „To dyabły gotowe roznieść pożar po świecie!" Nienawistny ludziom, dla zwierząt okazywał więcéj względów: lubił i wychowywał koty, pielęgnował jaszczurkę, karmił muchami ulubionego puszczyka.

Trudnoby przypuścić, aby człowiek taki mógł kochać i wzajemną obudzić miłość. Kto jednak odgadnie dziwactwa serc ludzkich? Przypominamy sobie śliczny poemacik Gabryeli o dziewczynie zakochanéj w Kościeju, co gardziła sercami żywych, a wybiegała nocą na cmentarz, aby przytulić głowę do wystygłej piersi kościotrupa. Wątek ten wysnuła poetka z tradycyi ludowéj. Pieśni bulgarskie wspominają niemniéj o dziewczynie zakochanéj w straszliwym smoku. Pochylamy głowę przed ludową psychologią. Trudno zresztą przeczyć miłości Merimego i wzajemności nieznajoméj, skoro przekonywa o nich trzydziestoletnia korrespondencya, złożona z trzystu trzydziestu sześciu listów akademika. Ostatni pisany na dwie godziny przed śmiercią.

Kto była ta nieznajoma? Imię jéj, narodowość, otoczona dla nas najgłębszą tajemnicą. Zdaje się, że nawet osoby bliższemi stosunkami połączone z Merimem, nie wiedzą więcéj od nas. P. Taine, który skreślił przedmowę do tych listów, ma ją wyraźnie za angielkę. Wprowadzają go zapewne w błąd całe frazesa angielskie, jakiemi nastrzępiona korrespondencya, ależ widzimy tam zarówno frazesa hiszpańskie, włoskie, niemieckie, nawet greckie. W naszych oczach ten duch opiekuńczy, inną musiał mieć narodowość, aniżeli angielską. Uderzyło nas wyrażenie w jednym z listów: „Posyłam ci, pisze Merimée, ostatnią powieść moją *Lokis*. Rzecz dzieje się na Litwie, którą znasz tak wybornie." Byłażby litwinką? Niepodobna przypuścić. Kimkolwiek była ta bogdanka, miała, jak widać, skłonności wrodzone nomadom, nigdy bowiem nie pozostaje w jedném

miejscu: to przebiega Włochy, bawi w Rzymie, Turynie, Neapolu; to przez góry Tyrolskie pospiesza do Wiednia; z powrotem zatrzymuje się w Monachium; to znów dąży za Pireneje, zwiedza Madryt i inne hiszpańskie miasta: niekiedy wpadnie do Londynu, lecz nie bawi tam długo. Zimę spędza w Meranie, czasami w Algerze, lato u kąpieli morskich i to najwięcej uczęszczanych. Wnosząc z tych bezustannych perygrynacyj, możnaby sądzić, że miłość dla Merimego nie pochłania całkiem jéj myśli, że w głowie jéj snują się jakieś plany nieodgadnione, tajemnicze.

Byłaż to panna, mężatka albo wdowa? Niewiadomo. Z pierwszych listów możnaby wnosić, że ma męża. „Jedziesz na wieś, pisze Merimée, trudniéj nam będzie zamieniać korrespondencyą. Podejrzliwy wzrok twego *smoka*, oderwany obowiązkami życia w wielkiém mieście, pilniéj strzedz cię będzie w twym wiejskim zamku. Każdy list zwróci tam uwagę, narazi cię na tysiące pytań." A jednak ten smok nie jest podobno mężem, nieznajoma, jak widać, ma prawo rozporządzać ręką swoją, skoro w następnym zaraz liście Merimée szydzi z niéj, że zamierza połączyć się nierozerwalnym związkiem.

I dlaczegóż Merimée nie wspomina nigdy o chęci zaślubienia ukochanéj? Wypływa to zapewne z cynicznych pojęć jego o małżeństwie. Oto własnego jego wyrazy:

„Kochasz mnie, boś mi tego nigdy nie przyrzekała. Wszelkie zobowiązanie staje się wstrętném dla nas: takie prawo natury. Obowiązek musi być nudnym z konieczności. Ztąd wyprowadzam wniosek, że jeśli komukolwiek przyrzekłaś miłość, ja jeden miéć ją będę, bom nie otrzymał przyrzeczenia."

Kiedy i jak zawiązała się ta miłość i to pozostaje w ukryciu. Pierwsze listy nawet nie noszą daty. W jednym z późniejszych z roku 1842 Merimée mówi, że znajomość ich trwa od lat sześciu, że widzieli się wszystkiego sześć albo siedm razy, że zsumowawszy minuty, mogli przepędzić z sobą od trzech do czterech godzin. Same tylko listy utrzymywały ten zagadkowy związek. Później za to widywali się częściéj, to w galeryi Luwru, to w cienistych ulicach lasku Bellevue, lub w dalszych okolicach Paryża; zawsze samotnie, nigdy pod okiem ludzi. Taka była wola nieznajoméj. „Nie mógłżebym — pyta Merimée — przedstawić się w domu twoim, jako nauczyciel hiszpańskiego języka, ofiara Espartery? Próżne nalegania, drzwi domu nie mogły się rozemknąć.

Cały tom pierwszy jest tylko wyrażeniem najdziwaczniejszych uczuć, jakie kiedykolwiek zrodziły się w ludzkiém sercu, a raczéj w ludzkiéj głowie, gdyż jak widać głową a nie sercem kochały te dwie osobliwe istoty. „Wy piękne kobiéty Północy, mówi Merimée, wy żyjecie jedynie głową!" Inaczéjże on kochał? Rzućmy tylko okiem na te miłosne oświadczenia, ileż w nich sarkazmu, jaki cynizm... Często Merimée wysławia czarne, wielkie oczy, krucze wło-

sy, białą rączkę swéj pani; częściéj jednak spotykamy innego rodzaju słodycze.

„Podobną jesteś—pisze—do Cerbera, bo masz trzy głowy, a raczéj trzy mózgi: jeden pełen strasznéj kokieteryi, drugi wytrawny mózg starego dyplomaty, trzeci... nie powiém, bo niémam dziś humoru do komplementów. Chory jestem, zbity, jakby mi sto cegieł spadło z dachu na głowę. Nieszczęśliwy—dodaje—ktoby chciał ciebie kochać. Zimna jesteś, szydercza, pełna pychy. Kiedy czas i okoliczność wzmocnią przyjaźń naszą, zobaczymy kto kogo będzie lepiéj... dręczył. Przyjeżdżaj do Paryża, a w nagrodę będę ci dokuczał złym humorem. Jesteś zimną egoistką, rozumiém, że mnie kochasz, bo podobni jesteśmy do siebie."

Im bardziéj zachodzą oboje w lata, tém mniéj mówi Merimée o miłości. W każdym zato liście, skargi na zły stan zdrowia; żali się bez ustanku to na palpitacyą, to na bezsenność, to na katar, ciągle widzi śmierć zbliżającą się szybkim krokiem, i tak przez lat piętnaście z górą! Czyż to *memento mori* podnosi w nim ducha? Bynajmniéj! Cynizm jego coraz to ohydniejszy, pogarda ludzi coraz większa.

„Rzadko kiedy—mówi—zdarza się, abym poświęcał siebie dla drugich; ilekroć to nastąpiło, gorzko wyrzucałem sobie podobną niedorzeczność. Mam niesłychany wstręt do całéj ludzkości, gardzę nią, chciałbym jednak być dosyć bogatym, aby oddalić od siebie widok cierpiących jednostek."

Uczucie rodzinne zupełnie mu nieznane. „Przyjechałem—mówi—odwiedzić starego stryja, którego nigdy nie widziałem. Nudziłem się przez dwa dni! Nie cierpię krewnych: zmuszeni jesteśmy do poufałych stosunków z obcymi, dlatego tylko, że przypadek zrządził, iż urodzeni z jednego ojca z ojcem naszym."

Szydzi, że przyjaciółka zajmuje się wychowaniem siostrzeniczki: „Nie cierpię dzieci—powtarza co chwila—wolę wychowywać małe kocięta. Skoro ją jednak wychowujesz, staraj się, aby nie była tak głupią, jak większa część kobiét dzisiejszych."

Ale czyż same tylko kobiéty głupie w oczach tego cynika? „Co dnia mi nudniéj—pisze—coraz mi trudniéj żyć; świat tak nieznośnie głupi! Niesłychana rzecz, podobne nieuctwo, w tym wieku światła, jak go niektórzy zowią. Nikt niéma pojęcia historyi. Ludzie spadli niżéj Gorillów. Na czém się to skończy? Rozum ludzki dziwnie skarłowaciał. Czy sądzisz, że zawsze tak było? Bez wątpienia były czasy większéj ciemnoty, większego barbarzyństwa, ale tu i owdzie pojawiały się wielkie geniusze i równoważyły ogólny stan umysłów; dziś przyszedł czas zupełnéj niwelacyi: wszędzie płasko i płasko!"

Niekiedy jednak, znać w chwilach lepszego humoru Merimée czyni wyjątek z pod ogólnego prawidła. „Wszyscy—mówi—poszaleli wszyscy, oprócz cesarza, który istnie jak pasterz średniowieczny wygrywa na zaklętéj fujarze, a wilki tańcują w około niego."

Jest jeszcze jeden człowiek, o którym Merimée wyraża się zawsze z pochyloną głową: tym człowiekiem minister federacyi niemieckiéj. „Pan Bismark, pisze on po spotkaniu się w Biarritz 1866 roku, nadzwyczaj mnie zajął. Wysoki to Niemiec, niesłychanie ogładny, a wcale nie naiwny. Pozbawiony tego, co zowią *Gemüth*, ale pełen rozumu. Podbił mnie zupełnie. Karlejemy z każdym dniem, pisze późniéj; Bismark to dziś jedyny, wielki prawdziwie człowiek."

Szczególnym celem pocisków Merimego była Akademia francuzka, do któréj przecież wdzierał się tak uporczywie. Zawsze przemawia o niéj z największą pogardą. Już w 1842 roku marzy o krześle w pałacu Mazariniego. „Pierwszy akademik, który umrze zmusi mnie do oddania trzydziestu dziewięciu wizyt. Oddam je w sposób najniezgrabniejszy i zdobędę trzydziestu dziewięciu nieprzyjaciół. Zapytasz mię o powód tych zabiegów? Odpowiem na to: Akademia tém dla mnie, czém dla ciebie twój błękitny szal kaszmirowy."

Umiéra wreszcie jeden z nieśmiertelnych. Merimée przedstawia się jako kandydat. „Powiem ci coś głupiego, pisze do przyjaciółki. Biegam jak szalony tu i tam, popełniam mnóstwo podłości akademickich (basseses academiques). Wiele mnie to zrazu kosztowało, ale zaprawiam się pomału. Dziś widziałem pięciu sławnych poetów i prozaików, i gdyby mię noc nie zaskoczyła, byłbym jednym tchem skończył moje nudne wizyty. Nic śmieszniejszego jak spotkać się z współzawodnikiem. Niektórzy patrzą takiemi oczyma jakby cię chcieli żywcem połknąć. Zmordował mnie ten zaciąg. Przyjmują mnie w ogólności grzecznie, biorą na seryo rolę swoją; ja tylko z trudnością ją odgrywam, bo możesz być co śmieszniejszego, jak przyjść do człowieka i powiedzieć mu w oczy: Ja uważam się za jednego z czterdziestu ludzi najrozumniejszych we Francyi, wart jestem ciebie, i inne podobne błazeństwa. Powtarzajże tę piosnkę na rozmaite tony, stosownie do osób: można doprawdy oszaleć!"

Próżne zabiegi! Szczęśliwszy współzawodnik otrzymał palmę i krzesło. „Czego płaczesz?—pyta Merimée—Czterdzieści fotelów nie warte jednéj łzy twojéj. *Arsen Guillot* (ostatni romans) oburzył na mnie ludzi niby to cnotliwych, szczególnie panie, które tańcują polkę i chodzą na kazania ojca Ravignan. Ludzie mówią, że czynię jak te małpy, co się wdzierają na wierzchołki drzew i uchwyciwszy za najwyższą gałąź pokazują zęby światu. Owa skandaliczna historya przyczyniła mi czarnych gałek!"

Fiasko nie odstręcza Merimego. Usiłuje dostać się przynajmniéj do Akademii Napisów; rozpoczyna znów urzędowe wizyty i z nowym mówi o nich cynizmem.

„Kłaniać się i prosić szkaradne to rzemiosło. Czy widziałaś kiedy, jak psy wkopują się do jamy tchórza? Jeśli mają trochę do-

świadczenia kręcą okropnie nosem i uciekają prędzéj niż weszli, bo tchórz to brzydkie zwierzę. Otóż i ja myślę zawsze o tchórzu, kiedy dzwonię do akademika, czuję się w położeniu psa, o którym ci mówiłem.“

Tym razem jednak zabiegi nie były daremne; Akademia Napisów przyjęła Merimego; w lat dwa potém i Akademia Francuzka otworzyła mu swoje progi.

Przypuszczony do grona szydzi bez litości z kolegów. „Postanowiłem, pisze w kilka lat potém, nie bywać już wcale w Akademii, chyba tylko raz w miesiąc dla odebrania należących mi ośmdziesięciu trzech franków i trzydziestu czterech centymów. Będzie tu wkrótce straszny pomór. Patrzałem wczoraj na twarze moich współbraci, nie wyłączając mojéj, rzekłabyś, że to trupy czekające tylko grabarza.“

Szyderczy dla drugich Merimée nie jest łaskawszym i dla siebie. „Czuję się smutny i zniechęcony, pisze do przyjaciółki, wieczory trawię na odczytywaniu moich dzieł do nowego wydania. Widzę że jestem okropnie nie moralny a częstokroć i głupi. Staram się, o ile mogę, zmodyfikować tę niemoralność i to głupstwo, mam też diabelną pracę.“

Zobaczmy list z Londynu: „Wpadłem wczoraj w śmieszną prawdziwie łapkę. Zaproszono mnie na literacki meeting pod prezydencyą lorda Palmerstona. Zmuszony byłem wypalić mowę po toaście na cześć literatury kontynentalnéj. Prawiłem androny łamaną angielszczyzną przez cały kwandrans, w obec trzystu pseudouczonych, i stu kobiét, którym pozwolono patrzéć gdyśmy spożywali stęchły ozór i twarde kurczęta. Jak żyję nie byłem tak upojony głupstwem.“

Cyniczniéj jeszcze, zostawszy senatorem opisuje mowę swoję w Luksemburskim pałacu: „Wykrztusiłem mowę moją, do któréj nie byłem wcale przygotowany. Zrazu strach mnie ogarnął, ale pokonałem go widząc że jestem w obec dwustu bałwanów wcale nie strasznych dla mnie.“

Patrzmy teraz w jaki sposób sceptyczny akademik ocenia współczesnych literatów i artystów: „Czytam Wilhelma Meistra, a raczéj odczytuję go. Dziwna to książka, najpiękniejsze w świecie rzeczy przeplatane śmiesznemi dzieciństwami. We wszystkiem co napisał Goethe widoczny geniusz zmięszany z głupstwem niemieckiém. Szydziłże on z siebie i z drugich?“

Niemców w ogólności prócz Bismarka, podcina z upodobaniem, częstokroć ostro chłoszcze. Dzieło Strausa o Chrystusie nazywa prawdziwie zabawném, muzykę Wagnera olbrzymią niedorzecznością. „Przedstawiono tu, pisze, Tannhäuserów; niektórzy utrzymują że to przedstawienie należy do tajemnych warunków traktatu w Villa-Franka. To coś niepojętego! Pewien jestem że potrafiłbym napisać taką operę wziąwszy natchnienie z kota biegającego po klawi-

szach. Księżna Metternich siliła się, aby pokazać, że rozumie i pobudzi drugich do oklasków. Wszyscy jednak ziewali, nikt nie mógł wytłumaczyć zagadki. Mówiono pod lożą ambasadorowéj, że Austryacy mszczą się za Solferino. Fiasko ogromne!"

Wiktora Hugo traktuje Merimée z niesłychaném lekceważeniem. „Czytałaś, pyta, mowę Wiktora Hugo na obiedzie księgarzy belgijskich i innych oszustów w Brukselli? Jaką szkoda, że ten *chłopiec* który tak umié sypać pięknemi obrazami, niéma dość zdrowego zmysłu ani wstydu, aby się wstrzymać od mówienia błazeństw niegodnych uczciwego człowieka! Jego porównania tunelu i drogi żelaznéj pełne najszczytniejszéj poezyi; od kilku lat nic podobnego nie czytałem. Ale to tylko obrazy i nic więcéj. Niéma w tém ani gruntu, ani rozsądku, ani zasady. Człowiek ten upaja się dźwiękiem słów własnych i wcale nie chce myśléć."

„Czy masz, pyta znowu, *pieśni z ulic i lasów* Wiktora Hugo? Powiédz mi jaką widzisz różnicę między jego dawną, a dzisiejszą poezyą? Czy oszalał? czy zawsze był szalony? Co do mnie, sądzę, że się nic nie odmienił."

„Jeden dziś tylko widzę geniusz literacki. Tym jest Ponson du Terrail. Znasz pewnie jego powieści w fejletonach? Nikt z takim jak on talentem nie szasta zbrodnią i mordami! Czytam go z prawdziwą rozkoszą.

Łaskawie też sądzi bezecne powieści Ernesta Feydeau i Flauberta. Ich realizm przypada mu do smaku. Z poważniejszych prac zachwala historyą literatury angielskiéj Taine'a. „To arcy rozumne i wybornie obmyślane dzieło! Styl trochę wyszukany, ale da się czytać z wielką przyjemnością."

Sąd o Ponsardzie, względny dla autora, surową jest chłostą dla publiczności: „Nic mi nie mówisz o *Lwie zakochanym* Ponsarda. Zachował on tradycyę wiersza Kornelowskiego; cokolwiek przesadny, ale wielki i brzmiący. Wyobrażam sobie, że ludzie światowi unoszą się nad tém, jak nad rozprawami Babineta i kazaniami Lacordaira, targując kota w worku; chwalą, bo im powiedziano, że to piękne."

Wiktora Cousin określa z wielkim dowcipem, ale z większą jeszcze złośliwością. Pisze o nim z Cannes, gdzie obaj bawili podczas zimy: „Żyję w towarzystwie pana Cousin; paple on wciąż, istotnie jak ślepa sroka; jé jak wilkołak i dziwi się, że nie wyzdrowiał jeszcze pod tutejszém słońcem. Zabawny on bardzo, gdyż sili się na rozum ze wszystkimi. Myślę, że kiedy jest sam z lokajem, mówi do niego, jak do najzalotniejszéj księżnéj z wytwornego przedmieścia. Mieszkańcy Cannes dziwią się i wytrzészczają oczy, kiedy im kto powié, że ten człowiek tak wymowny, tłumaczył Platona i był kochankiem pani Longueville. Jedyna jego wada, że nie zna żadnéj miary w mówieniu. Jako filozof eklektyk powinien był przejąć się lepiéj zasadą perypatetyków."

Ostatnie tomy konsulatu i cesarstwa Thiersa, chwali z niezwykłém sobie uniesieniem; ale cóż znaczą te wszystkie pochwały i krytyki Merimégo, kiedy nie wiemy nigdy, czy mówi na seryo, czy też szydzi sobie ze świata. Unika przedewszystkiém zdań oklepanych, komunałów; oprócz ocenienia Thiersa, w czém podziela przypadkiem myśl ogółu, wszędzie i zawsze idzie wbrew uznanéj powszechnie opinii. Co krok potrącamy o paradoks. Ogół naprzykład uznał, że chrześciaństwo wyzwoliło kobiétę; Merimée sądzi inaczéj, opierając się na Katullu: „Już w Rzymie na pięćdziesiąt lat przed Chrystusem, kobiéty były czemciś, ogłupiałym mężczyzną. Ich siła przyszła nie z chrześciaństwa, jakto mówią powszechnie, ale z tego wpływu, jaki wywarli barbarzyńcy Północy na społeczeństwo rzymskie. Germanie mieli egzaltacyą, miłowali duszę, Rzymianie kochali tylko ciało. Wprawdzie kobiéty długo nie miały duszy, dotąd nie mają jéj na Wschodzie. Wielka szkoda! Ty najlepiéj wiész, jak dwie dusze przemawiają do siebie: czemuż twoja nie słucha mojéj?“

Niemniéj paradoksalnie podnosi sztukę nad naturę. Gdyby szło jeszcze o arcydzieła, w których twórcza potęga ducha ludzkiego nadaje formę ideału, możnaby się zgodzić lub nie zgodzić; ale Merimée bierze sztukę w tém, co ma najniższego. Czy widziałeś, pyta, wczorajsze fajerwerki? Byłem u jednéj ekscelencyi, patrzałem na nie z ogrodu. Bukiet bardzo się udał: musi to być wspanialsze od wulkanu, gdyż sztuka piękniejsza zawsze od natury.“

W określeniu różnych krajów Merimée usiłuje być niemniéj oryginalnym. Co rok odbywa on dalekie podróże, niekiedy archeologiczne, a częściéj dla zabicia nudów. To płynie do Anglii, to przebiega Szwajcaryą, to przez Alpy przedziera się do Włoch, to przez Pireneje do Hiszpanii. W Paryżu bywa tylko dopadkiem. Zawołany dworak *bouffon de l'imperatrice*, jak się sam nazywa, jeździ z dworem cesarskim, wiosną do Fontaineblau, latem do Biarritz, jesienią do Compiègne, zimę zwłaszcza w ostatnich dziesięciu latach, spędza dla zdrowia w Connes. Z tych wszystkich bliższych i dalszych podróży sypie hojnie listami do nieznajomój, kreśli odebrane wrażenia. I jakież to wrażenia? Bądź co bądź przeciwne tym, jakie drudzy odnieśli. „Wenecya—mówi—napełniła mnie uczuciem smutku, z którego otrząsnąć się nie mogę. Architektura efektowa, ale bez smaku i wyobraźni. Pałace oburzają mnie, gdy pomyślę o pochwałach oklepanych, jakiemi je obsypano. Kanały podobne do Bievry, gondole do niewygodnych karawanów. Obrazy w akademii zajęły mnie, mówię tylko o mistrzach drugorzędnych. Weronezów nie porównać z naszemi, żaden Tycyan nie wart drezdeńskiego Faryzeusza.

Tyrol za to piękniejszy od Szwajcaryi. Widok z Gagsbergu okazalszy niż z Rygi. Co sprawia główny urok? Oto że niéma tu Anglików z długą i nudną twarzą, a co ważniejsza Salzburg o parę godzin, a w Salzburgu wyborny obiad. W Medyolanie cóż uderza

jego uwagę? Zapewne nie katedra. „Podróżnicy *głupie barany*, tyle napletli o niéj! Czy mówiłem ci o przepiórkach z ryżem, które jadłem w Medyolanie? To rzecz najgodniejsza uwagi. Dla nich samych warto odbyć tę podróż.“

Myśl o dalekiéj przyjaciółce ściga wszędzie sceptycznego podróżnika. W każdém mieście szuka godnego jéj upominku: w Londynie kupuje błękitny welon, w Madrycie inną część ubrania, zgubioną niegdyś przez księżnę Salisbury, dziś zdobiącą pierś wielkich dyplomatów. Z każdéj góry, z każdych gruzów, jakie zwiedza, posyła jéj to uszczknięty liść albo kwiatek, to piórko ze skrzydła sowy, które włożone pod poduszkę ma sprowadzać sen o ukochaném. Przemyśla o niéj bez ustanku. Widok jakiegoś szczególnego ptaszka o błękitnych piórkach wśród zwalisk Nimes, przejmuje go trwogą; sądzi że umarła, że dusza jéj powraca z za świata w postaci skrzydlatéj ptaszyny. Każdy nawet szczegół jéj ubioru zajmuje zimnego sceptyka, co chwila wspomina krynolinę, sposób trefienia włosów i inne tym podobne drobnostki.

W sądzie o sprawach publicznych Merimée okazywał nie małą przenikliwość. Nieprzyjaciel anarchii, nie przewidując w rzeczypospolitéj rękojmi porządku społecznego, połączył się z cesarstwem. „Potém co jest—mówi—nie widzę nic, tylko republikę i bezrząd.“ Z oburzeniem patrzy na upadek rycerskiego ducha w młodém pokoleniu: „Wściekam się cały—pisze w roku 1867—gdy widzę w jaki sposób przyjęto projekt reorganizacyi wojska. Młodzież arystokratyczna drży na myśl, że może być zmuszoną wydobyć z pochwy oręż; zostawmy, powtarza, owe gminne obyczaje prusakom!“ Wyobraźmy sobie, co będzie z narodu francuzkiego, jeśli straci odwagę wojskową.“

„Przeraża mnie polityka—dodaje— Ton ogólny dzienników i mówców przypomina mi aż nadto rok 1848. Co znaczą te wybuchy gniéwu bez widocznéj przyczyny? Nerwy wszystkich straszliwie natężone. Pan Thiers przetrwawszy całe życie w zapasach politycznych, czuje nerwowy dreszcz, kiedy adwokat marsylski prawi błazeństwa godne śmiéchu.“

„Czy słyszałeś—pyta w parę lat potém—owe słynne rozprawy w klubie Pré-aux-Cleres nad małżeństwem i prawem dziedzictwa? Mówią, że to nadzwyczaj śmieszne! Śmieszne, może na chwilę! straszne przecież, kiedy pomyślimy ilu szaleńców, ile psów wściekłych biega po ulicach! Donoszą mi, że i kobiéty prawią oracye niemniéj zagorzałe. Te symptomata przerażają mnie, kraj cały dotknięty dobrowolną ślepotą!“

W miarę jak widnokrąg cesarstwa pokrywa się chmurami, coraz czarniejsze przeczucia ścigają Merimego. Listy jego z Cannes pisane na krótko przed śmiercią, prawdziwie rozpaczliwe: „Nie rozumiem dzisiejszéj polityki, ale czuję tajemną trwogę: Sądzę, że idzie-

my wielkim krokiem do rewolucyi, stokroć straszniejszéj nad tę, jaką przetrwaliśmy dosyć wesoło razem przed dwudziestoma laty. Bodajby opóźniono widowisko, abym nie patrzał na nie.“

„Dzisiejszy systemat reprezentacyjny to wcale nie zabawna komedya. Wszyscy kłamią bezczelnie, a jednak dają się łowić w sidcie. Są tacy, którzy utrzymują, że Crémieux wymowny, że Rochefort wielkim jest obywatelem. Ogół bardzo był głupi w roku 1848, ale dziś stokroć niedołężniejszy jeszcze.“

Nadeszła wojna: było to na parę miesięcy przed śmiercią Merimego, czuł się już wtedy bardzo chory. „Widziałem—pisze w lipcu—że musiało przyjść nakoniec do tego. Można było opóźnić wybuch, lecz powstrzymać go było niepodobieństwem. Tu w Paryżu wojna popularniejsza niż kiedykolwiek, nawet pomiędzy mieszczanami. Wszyscy krzyczą—nie chwalę tego—ale zaciągają się i dają pieniądze, a to grunt. Wojsko zaufane w własnych siłach, kiedy jednak pomyślę, że cała przyszłość zależy od granatu lub kuli, nie mogę dzielić takiego zaufania.“

W sierpniu wyjechał do Cannes, przyjaciółka przebywała w Poitiers. Po krwawych klęskach, na dwa dni przed Sedanem, Merimée stygnącą już ręką pisze te smutne słowa: „Jutro, dziś może, oczekujemy walnéj bitwy. Ostatnie wypądki były straszne. Prusacy uderzają całą masą. Gdybyśmy nawet mogli wyprzéć ich z granic, lub co lepiéj pogrzebać wszystkich w ziemi, nie byłby to jeszcze ostateczny kres nieszczęść naszych. Ta okropna rzeź—nie łudźmy się napróżno—jest tylko prologiem do strasznéj tragedyi; sam dyabeł zna jéj koniec. Naród nie znosi bezkarnie takich wstrząśnień, jakim nasz podlegał. Czy to z tryumfów naszych, czy z klęsk, zawsze wyjść musi rewolucya. Wszystka krew co pociekła i pociecze, obróci się na korzyść republiki, t. j. zorganizowanego bezrządu.“

List to przedostatni Merimego; ostatni w kilku ledwie słowach nakreślił 23 września. Zaspakaja w nim przyjaciółkę: „Jest mi lepiéj, wkrótce dłużéj napiszę....“ We dwie godzin potém już nie żył.

Kto odkrył te listy? Zagadka to niemniéj trudna do rozwikłania, jak ów trzydziestoletni związek dwóch serc tak ekscentrycznych, Nikt inny odkryć ich nie mógł oprócz osoby, do któréj były pisane. Jeśli nieznajoma umarła, zkądże taka tajemnica osłania dotąd jéj osobistość? Niepodobna przypuścić, aby kobiéta, która poznała na wskróś serce Merimego, chciała podobną publikacyą znieważyć jego pamięć. Nikt od niego staranniéj nie przysłaniał oblicza swego maską obojętności. Nikt bardziéj nie ukrywał przed wzrokiem ludzkim każdego drgnienia serca. Aż tu nagle wszystkie jego myśli, słabości i uczucia stały się pastwą dla próżnéj ciekawości nieprzychylnych tłumów; nieprzychylnych mówimy, gdy tak szyderczy i zimny sceptyk jak Merimée, nie wielu miał przyjaciół, a wydana korrespondencya nie zwiększyła zapewne ich liczby.

Ktokolwiek odchylił tę zasłonę z życia zmarłego, zaszkodził niewątpliwie jego pamięci. Nie piérwszy on z grona akademików uległ podobnemu losowi. Trzydzieści lat temu, wkrótce po śmierci Chateaubrianda i po wyjściu jego zagrobowych pamiętników, Sainte-Beuve ukazał publiczności w nowém zupełnie świetle zakochanego starca. Ogół przyklasnął tém chętniéj, że Chateaubriand w pamiętnikach dotknął do żywego niejedną osobistość i zadrażnił miłość własną niejednego z literatów. Listy niedyskretnie udzielone krytykowi, ogłoszone z komentarzami, pobudziły do śmiechu cały Paryż i znakomitą postać Chateaubrianda zmniejszyły w oczach potomności.

W wiele lat późniéj niedyskretni wydawcy listów Sainte-Beuve'a do księżnéj Matyldy, pomścili srodze pamięć Chateaubrianda. Mówiliśmy o tych listach w roku zeszłym. Paryż poznał z nich jaką drogą pochlebstw, że nie powiemy gorzéj, Sainte-Beuve otrzymał upragnione krzesło w senacie.

Są tacy, którzy utrzymują, że cała korrespondencya Merimego jest poprostu zmyśleniem, spekulacyą księgarską. Obwiniają dowcipnego autora przedmowy, że przejąwszy się duchem sceptycznego akademika, on sam nakreślił owe trzysta trzydzieści listów. Gdyby tak było w rzeczy saméj, mistyfikacya podobna nie byłażby słuszną karą za wszystkie mistyfikacye, których dopuszczał się Merimée w długim zawodzie literackim? Przypomnijmy sobie, że piérwszém dziełem, jakiém dał się poznać, był sławny teatr Klary Gazul. Dzieło to ogłosił autor jakoby przekład utworów aktorki hiszpańskiéj, dokonany przez Józefa Lestranges. Podwójny to pseudonim. Klara Gazul była prostą fikcyą, równie jak i francuzki tłumacz, który kreśli we wstępie życiorys zmyślonéj artystki. Prawdopodobieństwo tak było wielkie, że Hiszpan jeden, wobec którego czytano ów mniemany przekład, zawstydzony że nie wié nic o tak znakomitéj rodaczce jak Klara Gazul, pokrył kłamstwem tę niewiadomość. „Tłumaczenie—rzekł—bardzo piękne, a przecież daleko mu jeszcze do oryginału.“ Aby tém lépiéj zażartować z publiczności, przyjaciel autora Delecluze, wyrysował portret artystki w mantyli hiszpańskiéj: był to zidealizowany portret młodego podówczas Merimego.

Żart ten można wyrozumiéć poczynającemu autorowi, który nie chciał wystąpić w własném imieniu z obawy krytyków i publiczności. Druga za to mistyfikacya sławnego już pisarza, inny ma zupełnie charakter; był to sarkazm rzucony w oczy światu, było to (nazwijmy rzecz po imieniu) literackie szalbierstwo.

Merimée wydał pod tytułem „Guzla" zbiór poezyi illyryjskich, przekład utworów niejakiego Maglanowicza, z biografią poety; dołączył niemniéj portret jego w kożuchu i baraniéj czapce. W przedmowie opisał jakie stosunki łączyły go z Morlackim śpiewakiem, jak i kiedy poznał go w mieście Zara. Dzieło to, drukowane w Strasburgu 1840, nie zajęło Francuzów, ale w Niemczech znalazło wielki rozgłos. Jeden z uczonych filologów niemieckich przetłumaczył je

na swój język; przysłał niebawem egzemplarz Merimemu, błagając go o udzielenie mu oryginalnego tekstu poezyi, przełożonych tak doskonale, że (jak mówi we wstępie) „pod prozą tłumacza snadno odgadnąć metr wierszy illyryjskich.“

Otóż wszystko to było mistyfikacyą. Maglanowicz nigdy nie istniał, zmyśléniem była jego biografia, zmyśleniem jego portret, zmyśleniem illyryjskie ballady! Merimée opowiadał sam historyą tego mniemanego tłumaczenia. Jeszcze w roku 1828, w czasach kiedy pod hasłem zbudzonego romantyzmu, erudyci poczęli zbierać ludowe pieśni, powziął myśl z młodym Ampèrem udać się do Illyryi i zbadać na miejscu pierwotną poezyą owego słowiańskiego plemienia. Nieszczęściem zabrakło im pieniędzy. Aby rozciąć tę trudność postanowili opisać podróż *à priori*, sprzedać ją, a za otrzymane honoraryum pośpieszyć na miejsce i sprawdzić o ile przeczucia zgadzały się z prawdą. Skończyło się wszystko na niczém, a z tych pięknych projektów został tylko zbiór ballad illyryjskich, napisany przez Merimego w przeciągu dwóch tygodni i zmyślony życiorys Maglanowicza.

Bądź co bądź, czy listy Merimego zmyślone są, czy rzeczywiste, widzimy zawsze w ich wydaniu sprawę nieprzebłaganéj Nemezis.

Gdy to kończymy, dochodzi nas wiadomość o uroczystości w akademi francuzkiéj, z tytułu przyjęcia pana de Lomenie. Nowy akademik zajmował właśnie krzesło Merimego i z obowiązku zdawał sprawę z prac i zasług swego poprzednika. Trudno było wywiązać się z większym taktem: mowa pana de Lomenie należy do najpiękniejszych jakie znamy. Nie widzimy w niej owych śpileczek, jakiemi akademicy umieją tak delikatnie a tak boleśnie zakłuć, czy to żywe osobistości, czy to pamięć umarłych, którzy wyłamali sią z ich koteryjnego grona. Jak widzieliśmy z ogłoszonych listów, Merimée gorzko szydził z akademii, obrzucał ją śmiesznością; co większa Merimée był do końca życia napoleonistą, czego akademia nie zwykła przebaczać bezkarnie. Mimo to jednak w mowie nowego akademika nie dopatrzéó nigdzie sarkazmu: znakomity mówca czuł własne siły, widział że bez tych sztuczek potrafi ujarzmić uwagę słuchaczów, poruszyć ich umysły i serca.

Pan de Lomenie skreślił mistrzowskie studyum o wszystkich pracach Merimego: rozbiera krytycznie jego dramata i powieści, podnosi wysoką ich wartość artystyczną, ale surowo potępia zgubny wpływ, jaki wywierały na ów okres literatury, zwany szalonym przez naszego krytyka Michała Grabowskiego. „Tchnienie ironii—mówi Lomenie—częstokroć gorzkie i antireligijne powiewające z tych szkiców biegłą kreślonych ręką, daje nam poznać w Merimem czém byłby młody Wolter, gdyby tworzył w czasach budzącego się romantyzmu.

Słusznie także sumienny krytyk potępia skłonność Merimego do wywłóczenia z przeszłości tak ohydnych obrazów, jak sceny z czasów feudalnych: *Żakierya*, *Rodzina*, *Carvajal* i t. p. „Upodobanie w czarnych barwach, mówi on, tak opanowało wyobraźnię autora, że w tym ostatnim szkicu przekracza granicę brzydoty, a dochodzi do najstraszniejszéj potworności. Merimée sam obracał niekiedy w śmieszność tę cechę talentu swego, ten pociąg do kreślenia okropnych przedmiotów. Chciał nas przekonać, że dla zabawki jedynie ćwiczył wyobraźnię w tym kierunku. Inni tłumaczyli to wpływem Byrona, ale u Merimego dążność taka przetrwała do końca literackiego zawodu. Ostatnia powieść *Lokis*, napisana gdy miał lat sześćdziesiąt sześć, równie dzika jak młodzieńcze jego utwory. W téj bogatéj i świetnéj wyobraźni widoczny jakiś chorobliwy zaród, który nazwano trafnie hipochondryą."

Z kolei rzeczy pan Lomenie ocenia Merimego jako historyka i archeologa. Podnosi wysoko *Dzieje Doa Pedra* i *Sprzysiężenie Katyliny*, ostatnie zaś utwory na polu historyi, jak: *Życie Bogdana Chmielnickiego* zbywa głębokiém milczeniem. Największa to przysługa jaką mógł oddać pamięci autora, bo téż w rzeczy saméj w Bogdanie Chmielnickim Merimée nietylko że nie okazał twórczéj zdolności, ale słabém skompilowaniem, a co więcéj błędnemi komentarzami zepsuł jednę z genialnych prac Kostomarowa.

Z mowy pana de Lomenie, snadno wyprowadzić wniosek, że Merimée, jako uczony i pracowity archeolog, lepiéj zasłużył się krajowi, niż jako chorobliwy powieściopisarz i paradoksalny, a zbyt często stronniczy historyk. W prawdziwie zajmujący sposób, mówca opowiada archeologiczną podróż jego do Grecyi i Azyi Mniejszéj, w towarzystwie dwóch znakomitych starożytników francuzkich: Ampera i Lenormant, oraz uczonego Belga Jana Witte. Lenormant po raz już trzeci zwiedzał Grecyą, znał i kochał Helenów, przebywał u nich w pierwszych czasach ich niepodległości. Onto służył za przewodnika towarzyszom.

Widok klassycznéj ziemi, pełnéj wspomnień drogich każdemu artyście, przemówił silnie do wyobraźni Merimego i wydobył z niéj prawdziwe iskry poezyi. W słowach, które poświęcił pamięci Karola Lenormant, więcéj czuć poetycznego tchnienia, niż we wszystkich razem jego powieściach i szkicach historycznych.

„Zwiedzałem z nim Grecyą—mówi Merimée—rzekłbyś, że Pauzaniasz powstał z grobu, aby mi towarzyszyć."

„Dnie całe zbiegały nam w bezustannem uniesieniu. Ani bezecne noclegi, ani drogi najokropniejsze, nie zdołają odebrać Grecyi dziwnie poetycznego uroku, jaki ją owiewa dokoła. Nikt zaprawdę nie dotknął stopą bez głębokiego poruszenia owéj klassycznéj ziemi, co w maleńkim obrębie nagromadziła tyle wielkich pamiątek. Czuć tu co chwila, że stąpamy po śladach bohatérów. Ta oto trybuna, wykuta w żywéj skale, ma ledwie kilka stóp obwodu; z niéjto prze-

mawiał Demosthenes! Ta rozstajna droga, na której Edyp spotkał Laertesa: parą koni ledwie przejedziesz po niéj. Ten wzgórek, a raczéj odłam skały, gdzie trzystu Spartanów skonało na trupie Leonidasa, taki sam, jak w chwili, kiedy go opisał Herodot. Jakiż to historyk ów Herodot, jak wiernie maluje miejscowość! Przechodząc Thermopyle, czuliśmy pod stopami szelest liści strąconych z dębów, po tymto szeleście, mówi historyk, Grecy odgadli przybycie *Nieśmiertelnych* Xerxesa, gdy okrążali wkoło wąwóz."

Ten ustęp świadczy, że Merimée czuł i pojmował prawdziwą poezyą, zaczém siłą woli zdusił ją w duszy własnéj. Życie tego człowieka, prawdziwą jest zagadką dla psychologów. Sądząc go po tym przyrosłym do ust sardonicznym uśmiéchu, po tych cynicznych słowach, wybiegających mu wiecznie z pod pióra, rzekłby kto, że Merimée nie kochał nikogo, oprócz siebie, że się wychował sam pozbawiony pieszczoty macierzyńskiéj i ciepłych wpływów ogniska domowego. Inaczéj było jednak. Od lat niemowlęcych do pięćdziesiątego roku życia nie odstępował nigdy matki. Ta matka, znakomita artystka, władająca pędzlem po mistrzowsku, otaczała go najtkliwszém staraniem i miłością. Rzecz dla nas niepojęta, dlaczego Merimée w trzystu trzydziestu listach do przyjaciółki nie wspomniał nigdy o téj matce? Dlaczego nie wspomniał nigdy o wiernym przyjacielu Amperze, który, zawiązawszy z nim przyjaźń na szkolnych ławach, dotrwał mu wierny do grobu, mimo całéj przepaści, jaką stawiały między niemi pojęcia religijne i moralne?

Pan Lomenie, badając charakter Merimego i zapytując dlaczego przy tylu warunkach szczęścia nie był jednak szczęśliwy, widzi główny powód téj hipochondryi, która go bez ustanku dręczyła, w wyłamaniu się z poważnych obowiązków małżonka i ojca rodziny. Powtarzamy ten ustęp z mowy akademika nadzwyczaj ważny i charakterystyczny.

„Nie ma, rzekł mówca, dzielniejszego środka przeciw samolubstwu i nudocie, przeciw tym czarnym djabełkom, o których w listach tylekroć wspomina Merimée, przeciwko wszelkim cierpieniom chorobliwéj wyobraźni; nie ma powtarzam dzielniejszego lekarstwa, jak troje, czworo, albo pięcioro dzieci, które musimy wychowywać, kierować, poprawiać z wad, poprawiając zarazem i siebie dla przykładu.

„Życie małżonka i ojca, wzmacnia charakter, czyni go poważniejszym. Nie jeden zimny sceptyk wrócił do uczuć religijnych, porwany tym potężnym urokiem, jaki niewinna młodość roztacza wkoło siebie. Takie życie rodzinne najdzielniéj, jestem przekonany, byłoby uspokoiło umysł, oczyściło wyobraźnią, nakarmiło serce, upiększyło dni Merimego. Żałujemy, że go nie zaznał.

„Wpływ ogniska domu tak zbawienny dla jednostek, równie zbawiennym jest dla ludów. Miarą odwagi, z jaką każdy obywatel bez względu na korzyść materyalną, przyjmuje i nosi na barkach ciężar odpowiedzialności, jako głowa rodziny, miarą téj odwagi

powtarzam, możemy cenić energią i moralną solidarność narodu. Nie przyznając w tym względzie piérwszeństwa ludom, które przechwalają się w obec nas wyższością pod względem cnót domowych, musimy jednak przyznać, że ważne to pytanie zasługuje, aby go nie pominąć w wielkiéj sprawie odrodzenia, podniesionéj dziś z powodu klęsk naszych. Rzecz słuszna, aby rząd usiłował dźwignąć Francyą wszelkiemi środkami, jakie są w jego mocy, ale poprawa ogólna, zależéć będzie zawsze od moralnego udoskonalenia jednostek, a w tym względzie wpływ rodziny, potężniejszym jest, niżeli siła rządu. Potrzeba zatém, aby duch rodzinnego życia, prawdziwe źródło wszelkich cnót społecznych wzmocnił się i podniósł; potrzeba zabezpieczyć go przeciw szkodliwym prądom, któreby go mogły zabrudzić albo rozprządz. Starożytni nie wierzyli w postęp. Znane są powszechnie wymowne wiérsze Horacego, przepowiadające Rzymianom konieczny upadek od pokolenia do pokolenia: myśl ta pogańska; chrześciaństwo odtrąca ją, wzbrania bowiem człowiekowi rozpaczać nad sobą i potomstwem. Ale niebezpiecznie téż uganiać przeciwne ułudy; niebezpiecznie wierzyć, że postęp spełnia się sam, jako prawo niezbędne bez współudziału ludzkiéj woli, że spełnia się bez przerwy, że ostatni przybysze na świat, muszą być z konieczności najlepszemi. Rzecz to bardzo wątpliwa, czy jesteśmy lepsi od ojców naszych! Od ćwierć wieku z górą powtarzamy ich błędy, ich ciągłe przerzuty od bezrządu do samowładztwa; widziano nawet zbrodnie, których powrót zdawał się na zawsze niepodobnym! Aby nas pokonać, nie było dziś potrzeba sprzymierzonéj Europy! Jeżeli więc musimy wyznać, że niewarci jesteśmy ojców naszych, pracujmy przynajmniéj i zadając kłam pogańskiemu poecie, wychowujmy synów tak, abyśmy rzec mogli: „Oni zaprawdę lepsi od nas!"

Ten ustęp poruszył głęboko słuchaczy i wywołał najrozmaitsze zdania. Pan Sandeau nie pominął go w odpowiedzi. „Kto może ręczyć, wyrzekł, iż Merimée minął się z powołaniem swojém, obierając życie bezżenne, jak dawny kawaler maltański? Są ptaki, którym niepodobna żyć w klatce. Alboż on sam nie nakreślił w jednym z listów z okoliczności małżeństwa: „„Mądry będzie djabeł, jeśli mnie zaprosi na te gody." I dotrzymał słowa: wierzcie mi Merimée urodził się na bezżennego!"

Zręczny akademik osłonił myśl przejrzystą gazą, łatwo ją przecież odgadnąć: byłżeby Merimée uszczęśliwił małżonkę? byłżeby zaszczepił w dzieci zasady, stanowiące podstawę szczęścia społecznego?

Wysoki takt nie pozwalał dyrektorowi akademii, dotknąć najlżejszém słówkiem pamięci tego, który w świeżo wydanych listach, tak nielitościwie chłostał akademików, zowiąc ich *bydlętami, tchórzami* i t. p. Wszelka przymówka, mogła być wziętą za dowód gniewu albo zemsty. Samo jednak pominięcie owych dwutomowych listów przy wyliczeniu wszystkich prac Merimego, pominięcie ich tak w mowie nowoprzyjętego, jak i dawnego akademika, nie mogło być

przypadkowém. Widzimy ztąd, że akademia dotkliwie uczuła pociski i postanowiła z całą godnością odpowiedzieć na nie milczeniem.

Pan Sandeau rzucił kilka ogólników na pochwałę talentu Merimego, podniósł najcelniejsze jego utwory, poczém przeszedł do wyliczenia literackich zasług pana de Lomenie. Sam sposób tego przejścia okazuje, że, mówiąc o Merimem, czuł przymus, jakby stąpał po kolcach.

„Przychodzę, rzecze, do pana bez ógródki; z tobą czuję się, jakby w domu. Pan nie należysz do *wyrafinowanych!* Twój umysł szczery, pełen prostoty, nie ma w sobie nic dwuznacznego, nic skomplikowanego. Do ciebie można przystąpić drogą prostą, nie szukając krętych manowców."

I przebiegł kolejno długi szereg prac pana Lomenie, zacząwszy od owych „Życiorysów współczesnych znakomitości" *(par un homme de rien)*, od których przed trzydziestu laty rozpoczął swój literacki zawód, z tak godnym podziwienia taktem, że pisząc o wszystkich, nie obraził nikogo. Obszerniéj zastanowił się nad ważną monografią: „Beaumarchais et son temps," w któréj Lomenie skreślił żywy obraz epoki, co poprzedziła wielki przewrot społeczny we Francyi. „Gdybyś pan nie napisał nic więcéj—rzekł mówca—to dzieło samo przez się, nadaje ci prawo do miejsca, jakie dziś obejmujesz."

Podniósł następnie akademik pracę o Aleksym Tocquevillu, Obronę Chateaubrianda, Obraz hrabiny Rochefort i jéj przyjaciół; zajmujące studyum życia towarzyskiego w XVIII-ym wieku, a nakoniec Historyą Mirabeau, dzieło zaledwie rozpoczęte, w którém autor w około sławnego trybuna, grupuje znakomite osobistości z czasów wielkiéj rewolucyi.

Nie pominął pan Sandeau zasług nowego kolegi, jako professora literatury w kolegium francuzkiém.—Przytaczamy tu koniec mowy: znajdziemy w niej zaszczytne określenie tak professorskich zdolności, jak niemniéj osobistego charakteru pana Lomenie.

„Hrabia Mole utrzymywał, że w sztuce krasomówczéj największa oryginalność na tém powinnaby polegać: aby człowiek uczciwy mówił jasno i po prostu rzeczy rozumne. Takiéj właśnie szukasz pan oryginalności. Nie chcesz być retorem, wypowiadasz jasno rzecz twoją, nie oglądasz się na nic, poszukując tylko piękna, dobra i prawdy. Nie dosyć na tém: do pięknych lekcyj dołączasz piękny przykład. Podczas oblężenia Paryża, służąc jako ochotnik w batalionie artyleryi, przybiegałeś z okopów do kolegium, aby ciepłém słowem umocnić serca i ożywić zapał twoich licznych zawsze słuchaczów. Pod granatami pruskiemi skłaniałeś umysły do zgody, do odwagi, do oporu! Zostałeś na stanowisku twojém nawet w obec komuny; w pamiętną środę 22 marca, kiedy tryumfująca tłuszcza opanowała Paryż, protestowałeś głośno z katedry przeciw obrzydliwym czynom, jakie baśniły niedolę naszą. Zadanie twoje nie skończone. Nieprzyjaciel odstąpił od bram, ale wewnątrz iluż to mamy do pokona-

nia wrogów? Nauczajże młode pokolenie, jak ma się poświęcać dla kraju, jak szanować rodzinę, jak uporczywie ufać w przyszłość, jak miłować cnotę, jak wierzyć w wiekuiste prawdy! Akademia liczy na ciebie; kraj powinien skupić wszystkie siły, nigdy bardziéj jak dziś nie potrzebował światłych przewodników. Nie masz prawa spoczywać!"

Obie akademickie mowy, dały powód do żywych dziennikarskich pogadanek i komentarzy; podnoszono szczególnie apoteozę małżeństwa z mowy pana Lomenie. Pomijamy rozmaite uwagi za i przeciw; najwięcéj nas uderzyło położone pytanie, czy i o ile małżeństwo wpływa na rozwój języka i literatury. Niektórzy uważają, że we Francyi uczeni, co najwięcéj przyczynili się do postępu w tych dwoch gałęziach, byli w ogólności bezżenni. Cytują na dowód Marota, Rabelais'ego, Kalwina, Malherba, Kartezyusza, Paskala, Bossueta, Boileau, Monteskiusza i Woltera.

Ale jakież następstwo z téj przewagi ludzi bezżennych na język i literaturę? Otóż, jak mówią, język francuzki przy całéj doskonałości swojéj, ubogim jest i zimnym w oddaniu uczuć rodzinnych. Brak w dykcyonarzu francuzkim owych zdrobniałych, pieszczotliwych, częstokroć naiwnych, ale pełnych wdzięku wyrażeń, jakie szepleni dziecię, jakie matka powtarza nad kołyską. Wpływ matki i dziecka wcale tu nie oddziałał. Ztądto mowę francuzką nazwano wielką panią, dla któréj najwłaściwszém polem wytworne salony, gabinety dyplomatów i popisy akademickie.

Zwróćmy teraz owo pytanie do naszego języka i naszéj literatury? Odpowiedź łatwa: Jan z Czarnolasu wyjaśnia rzecz bardzo wymownie. Nie onżeto, ojciec Urszulki, nieśmiertelny śpiéwak trenów, nie onżeto podniósł język nasz do klassyczno-poetycznego nastroju? Ojciec Urszulki nie jestże ojcem wszystkich poetów polskich?

Idąc daléj czyżbyśmy wpływom bezżeńców z wieku Stanisława Augusta niemogli w wielkiéj części przypisać tego zcudzoziemczenia języka; jeżeli nie w słowach, to w duchu, to w oderwaniu od uczuć rodzinnych, tego wreszcie zubożenia, mowy naszéj, którego ostatnim wyrazem była *Swiątynia w Knidos*, stawiana niegdyś za wzór najszczytniejszéj poezyi.

A komuż winniśmy przedświt odrodzenia, jeśli nie tkliwemu ojcu rodziny, gorącemu czcicielowi Jana z Czarnolasu, natchnionemu śpiéwakowi Wiesława?

W Anglii wyszła ciekawa książka pana Buxton Forman pod tytułem: *Our Leiving Poëts* (Nasi żyjący poeci). Jestto obszerne sprawozdanie z współczesnéj poezyi angielskiéj. Autor dzieli ją na

trzy szkoły: pierwszą z nich zowie *idylliczną*, drugą *psychologiczną*, trzecią określa szczególną nazwą *praerafaelitycznéj*. Pełen sam poetycznego uczucia pan Formąn widzi wszystko w różowém świetle przez pryzmat własnéj wyobraźni. Odsunąwszy na bok przesadzone pochwały, idźmy za autorem, a zobaczymy jaka to poezya zakwitła dziś w ojczyznie Szekspira i Byrona?

Na czele pierwszéj, to jest idyllicznéj szkoły stoi Tennysson, uważany za pierwszego z współczesnych angielskich poetów.

Szkoła idylliczna w określeniu pana Forman nie oznacza właściwie sielanki, w rodzaju Teokryta lub Wirgilego; autor pod tę nazwę podciągnął wszelkie poemata wysnute z codziennego życia, z domowych obyczajów. Poeci téj szkoły nie opiewają pastuszków arkadyjskich, ale zwyczajnych ludzi, zrodzonych czy to w chacie wieśniaczéj, czy we dworku zamożnego *fermera*. Dziwimy się, że autor nie nadał owéj szkole nazwiska *rodzajowéj*, jest ona bowiem tém samém w poezyi, czém rodzajowa szkoła w malarstwie. Anglicy szczególniéj upodobali sobie podobne obrazki z życia kreślone pędzlem, łatwo było przekonać się o tém na wystawach powszechnych tak w Paryżu, jak w Wiedniu. Uderzał w nich szczególniéj realizm; była to fotografia życia pozbawiona ideału. To samo powiedzieć można o tak zwanéj szkole idyllicznéj. Prześliczny język Tennyssona stanowi główną zaletę jego rodzajowych poematów; liczni zaś naśladowcy poety, wpadli jedni w ckliwą czułostkowość, drudzy w niesmaczny realizm. Strona humorystyczna, tak uderzająca w powieściach angielskich Bulwera, Dickensa, Thackeraya, w poezyi staje się trywialną.

Tennysson dał się poznać w trzech rodzajach poematu; różnica między niemi leży w ideach, jakie podejmuje; wszystkie mniéj więcéj traktowane w jednaki sposób. Do pierwszego rzędu należą idylle napół wiejskie jak: *Enoch Arden*, *The Northern Farmer*, (*Północny fermer*), *The Gran Mother*, (Babka). Są to szkice zaprawione angielskim humorem, ztąd nadzwyczaj popularne w Anglii. Im to zawdzięcza Tennysson niesłychaną swą wziętość pomiędzy rodakami.

Drugi rodzaj stanowią poemata alegoryczne: *Księżna*, *Idylle królewskie* i t. p. Wątek do nich wziął Tennysson z cyklu króla Artura. Poeta wprowadza tu czysto filozoficzne teorye; niebezpieczny szkopuł dla poezyi! W poemacie: „Księżna“ widzimy pod osłoną allegoryi, wprowadzone dzisiejsze pytania o prawach cywilnych i politycznych kobiéty. Podobne pytanie przeniesione w czasy rycerzy średniowiecznych, obala nietylko prawdę historyczną, ale sprzeciwia się zarówno prawdzie literackiéj. Ci rycerze, to filozofowie w kolczugach, przez usta każdego z nich przemawia sam poeta. Kiedy król Artur dowiedział się, że Lancelot porwał mu żonę Geniewrę i uwiózł ją do zamku swego, pospiesza za nią, widzi ją potajemnie; w ich rozmowie słyszymy roztrząsane prawa kobiéty. Loiczniejsza nierównie pierwotna tradycya, z któréj czerpał Tennysson. Tam król Artur

wcale niezakochany w królowéj, tknięty jednak zniewagą odzywa się po prostu: „Więcéj mnie boli strata mego dzielnego rycerza, niżli strata królowéj, albowiem królowych mi nie zbraknie, podobnego zaś druha nie znaléżé mi na szerokiéj ziemi.“ Takiemi to słowy przemawiano za czasów dobrego króla. Gdyby Artur kochał Geniewrę nie byłżeby jednym zamachem maczugi zgładził rycerza z piękną panią?

Oprócz tych dwóch rodzajów poezyi, Tennysson stworzył jeszcze trzeci rodzaj obrazków charakterystycznych, w których silnemi barwy maluje życie ludzkie. Bohatérem jednego z nich jest Maud, szaleniec, hypochondryk zakochany. Autor ustami waryata rzuca gorzkie prawdy przed oczy światu. Chłoszcze wszelkie złe, dotyka bolesnych ran, toczących społeczeństwo. Jestże to, pytamy, zadaniem poezyi? Ale dziwnie piękny i harmonijny język Tennyssona, oczarował Anglików. Utwory jego odznaczają się drobiazgowém wykończeniem: krytycy porównywają je do mistrzowskich obrazków szkoły holenderskiéj Pottera i Van Ostada.

Przejdźmy do drugiéj szkoły, którą Forman zowie *szkołą psychologiczną*. Mistrzem jéj słynny Browning. Niektórzy krytycy trafnie przezwali poetę alchemikiem literackim. Nie pozyskał on popularności, gdyż go nikt nie rozumié. Browning utyskuje na to w przedmowie do swych poematów i wiérszem bezrymowym analizuje własną metodę.

Dajemy tę analizę w przekładzie najdosłowniejszym: warto wiedzieć, jak przemawia twórca i naczelnik nowéj szkoły. Ustęp to z poematu pod tytułem *Fifina na jarmarku.*

Rozkosz, jaką dają mi te tłumy,
Porównywam z rozkoszą chemika,
Gdy nowego ciała ślad pochwyci:
Idzie za nim, bada jego prawo;
Gdy rozpuszcza je, lub składa znowu,
Gdy z objawów dochodzi przyczyny,
Gdy upojon tryumfem, rokuje,
Że z prostego ciała stworzy całość!
Gdy zwierzęta, rośliny i kruszce,
Do pierwotnych sprowadza żywiołów;
Tak mnie dręczy głód zbadania siebie!
Bo wszak żądza bytu, w ślad za sobą
Ciągnie żądzę poznania, kto jestem!
Gdy zdobędę kiedyś pełną wiedzę,
O przedmiotach zewnątrz mnie leżących,
Ujrzę siebie sam u źródła prawdy;
Poznam duszę przez powłokę ciała:
Zbadam wtedy, jak ona oblekła
Ten czczy pozór i ten płaszcz zwodniczy!

Browning przedstawia się sam jako *chemik dramatyczny*. We wszystkich swych utworach bada on charaktery ludzkie, bada je ze skalpelem w ręku, jak chirurg dyssekujący ciała w anatomicznéj sali. Poeta różni się tém właśnie od innych dramaturgów, że kiedy tamci przykładają żelazo do żywéj piersi ludzkiéj, on czyni doświadczenia na martwym trupie. To téż dramata Browninga nie pisane wcale dla teatru, ale tylko dla małéj liczby czytelników zamiłowanych w realistycznych dyssekcyach, jak i sam autor. Publiczność angielska mało w ogólności czyta Browninga, mimo to głos powszechny nazwał go wielkim poetą. Anglia na pamięć uwierzyła w tę wielkość.

Mistrz *psychologicznéj szkoły* najwybitniéj objawił twórczość swoją w dramatycznym poemacie p. t. *Pierścień* i *Księga*. Osnowę do dramatu wziął z rzeczywistéj przygody historycznej, zaszłéj we Włoszech w XIV czy w XV wieku. Niejaki hrabia Gwido Franceschini, pełen pychy i zbrodniczyrh popędów, zaślubił dla posagu piękną Pompilią, przybraną córkę bogatego mieszczanina rzymskiego. Mniemani rodzice, zagniewani na zięcia, rozgłaszają nizki ród Pompilii, zaprzeczają jéj spadku. Wówczas Gwido zrzuca maskę, ukazuje najnikczemniejszy charakter, obchodzi się z żoną okrutnie, odtrąca ją z pogardą, wreszcie wypędza z domu. Pompilia oddaje się w opiekę zakonnika Caponsachi: ten odprowadza ją do Rzymu. Hrabia rzuca się w pogoń, oskarża zbiegów przed sądem. Trybunał osadza Pompilią w klasztorze, wypędza z Rzymu zakonnika. Za czém spełniono wyrok, nieszczęśliwa chroni się z dzieckiem do domu przybranych rodziców. Gwido przybiega: morduje żonę, ojca, matkę i własne dziecię.

Browning lekko zbywa dramatyczne wypadki owéj krwawéj przygody, czyni z niéj prostą tezę filozoficzną. Cała akcya odbywa się w piérszym akcie, w następnych przedstawiony proces z najdrobniejszemi szczegółami. Gwido i Caponsachi bronią się wobec sądu, naprowadzają świadków. Adwokaci gardłują w sprawie swoich klientów; połowa Rzymu staje po jednéj, druga znów po przeciwnéj stronie. Sprawa przybiéra groźną postać, opiéra się w końcu o papieża. Spowiednik Pompilii ogłasza ją niewinną.

Dramat, a raczéj proces obejmuje tom cały. Nic sprzeczniejszego z akcyą dramatyczną, jak te nieszkończenie długie indagacye, te nieuchronne powtarzania. Autor z ścisłością godną archeologa nie pomija nic: kobiéta, która patrzała na morderstwo, opowiada kto ukuł sztylet, kto wyrzeźbił rękojeść. Myśl czytelnika szarpana na wszystkie strony nie potrafi schwycić głównego wątku. Dodajmy do tego wiersz bezrymowy, niedbały, pozbawiony częstokroć właściwéj miary; dodajmy ciemności, jakby z umysłu nagromądzone, a będziemy mieli pojęcie tego dziwacznego utworu, w którym zwolennicy realizmu chcą widzieć nową drogę wytkniętą na przyszłość poezyi.

Pojawił się właśnie w tych czasach nowy poemat Browninga p. t. *Red Cotton Nightcap Country* (Kraj czerwonych szlafmyc). Nie czytaliśmy wcale tego utworu, ale zobaczmy jak go ocenia krytyka w przeglądzie: Quarterly Review.

Poemat *Red Cotton* etc. to piękna próbka poezyi analitycznéj. Oto traiczny fakt, jaki autor wziął za wątek: człowiek jeden kładzie obie ręce w rozżarzone ognisko, a potém skacze z wieży na złamanie karku. Idzie więc autorowi o wykrycie ile potrzeba siły ducha, aby dojść do takiego rezultatu. Poeta przeprowadza nas przez całą historyą owego samobójstwa; bierze człowieka od kolébki do grobu, tłumaczy paradoksalnie najzwyczajniejsze jego czynności, obwija najpospolitsze myśli jego w mgliste metafory, wikła się w dziwne mrzonki filozoficzne i nakreśliwszy kilka tysięcy wierszy, mówi nakoniec, że się zabił, nie dlatego iżby miał być waryatem, ale że miał skłonność do abstrakcyi. Wszystko to przywodzi nam na pamięć sławną przejażdżkę konną Tony Lumpkina w noc czarną około domu swego: krąży i krąży, przebiega przestrzeń dwudziestu mil, nie może trafić do drzwi, aż nakoniec tryumfuje że znalazł drzwi od stajni. Inaczéj mówiąc brak prostoty i zbytek paradoksów, prowadzą na bezdroża twórcę szkoły psychologicznéj. Pan Browning jest uczonym archeologiem, chemikiem, częstokroć rzeźbiarzem, niekiedy kowalem, co więcéj jeszcze znaczy, ale myśli za wiele, a nie dosyć czuje na poetę. Nie wyraża namiętności ludzkich, lecz je analizuje, a jeżeli Tennysson przemawia zbyt często za swoich bohatérów, Browning myśli nawet za swoich.

Przypatrzmy się nakoniec trzeciéj szkole określonéj pretensyonalną nazwą *praerafaelitycznéj*. Powstała zrazu pod tém imieniem konfraterya związana podwójną przysięgą: postanowiono w niéj przywrócić prostotę języka i coraz bardziéj przybliżać sztukę do natury. Program zdawał się bardzo dobry, dziwiono się tylko po co dwie zasady tak elementarne w literaturze wywieszać na chorągwi. Ukazały się niebawem utwory poetyczne panów Rosetti, Woolnera i Swinburne: piérwszy z nich był założycielem szkoły, ostatni doprowadził ją do rozkwitu. Z tych utworów zrozumiano dopiéro, że prearafaeliści przez wierność naturze rozumieli obalenie wszystkich praw istniejących, a przywrócenie prostoty języka znaczyło u nich wyłączną cześć dla formy, to jest zasadę, że sztuka sama sobie jest celem. Koryfeusze téj szkoły nie uznają żadnego mistrza ani wzoru; Horacego zowią starym pedantem, Wirgilego niesmacznym wierszokletą. Zasadą ich czerpać natchnienie z czystych krynic przyrody.

Według nich poezya żyje w najmniejszych przedmiotach; filiżanka herbaty, para rękawiczek, mówi Patmore, mieści w sobie cały poemat. Woolner w obszernym poemacie *My Beau tiful Lady* (Moja piękna pani) obrazuje miłość rodzinną; uwydatnia najdrobniejsze rysy. „Pamiętam—mówi—jak dnia jednego chodziliśmy razem po lesie. Ona pyta mnie, co znaczy ten dziwny łoskot? Odrzekłem

jéj, że to łakome kwiczoły, aby przysposobić sobie tłustą ucztę, rozbijają dzióbkami okrągłe domki biédnych ślimaków.“ Podobne wspomnienia żałosnego kochanka zapełniają połowę tomu. Rosetti bardziéj jeszcze drobiazgowy. Patmore przechodzi wszystkich w tym względzie. Swinburne zwolennik sztuki dla sztuki, doprowadził język do dziwnie harmonijnych dźwięków, myśl dla niego rzeczą dodatkową, wyrażenie zaś wszystkiém. Jego *hymny* i *lamentacye* uderzają pięknością formy, lecz nie szukać w nich pomysłu ani uczucia.

Krytycy angielscy rozdzielili się na dwa obozy. Jedni, a do tych należy pan Forman, podnoszą nad miarę dzisiejszych mistrzów słowa; drudzy przeciwnie utyskują gorzko na poetyczną posuchę w kraju własném. Francuzi zrozumieli przyczynę téj posuchy: „Poezya—mowi francuzki krytyk Quesnel—idzie w ślad za historycznym rozwojem narodów, kiedy dusza ich drzémie, geniusz poetyczny zwija skrzydła. Niech nas to nie dziwi, że Anglia niéma dziś Szekspirów, Miltonów ani Byronów; pomarły bowiem Elżbiéty, Kromwelle i Wellingtony! Ma Anglia wybornych prozaików, którzy piszą zgodnie z duchem czasu. Dickens śpiewał po swojemu emancypacyą ubogiego, Thackeray reformę polityczną, Bulwer przyłożył skalpel do serca uprzywilejowanych, Jerzy Elliot przedstawia w literaturze postęp ducha naukowego; drugorzędni pisarze podążają w ich ślady, każdy dorzuca swoją cegłę do ogólnego dzieła. Dzieło tylko poetów przerwane chwilowo, bo zadaniem ich podnosić uczucia ludzkie w nieskończony świat ideału, a dziś ludzie pracują, lecz na zimno, bez uniesienia!“

W historyi każdego narodu są osobistości wiecznie żywe, wiecznie odradzające się, które w miarę potrzeb czasowych dają mu nowe siły, nową otuchę. Taką postacią w dziejach Francyi jest Joanna d'Arc. Dotąd nikt jeszcze nie zaprzeczył jéj bytu, a przecież ta postać zda się być raczéj mythem, niż osobistością ściśle historyczną. Przebrzmieją imiona wielu bohatérów, uczonych, prawodawców, poetów; ogół skorzysta z ich prac, lecz przepomni ich nazwisk, ale imię dziewicy orleańskiéj pozostanie na wieki w pamięci i uczuciu narodu, gdyż samo to imię streszcza w sobie nowożywotną historyą Francyi, w tém co ma w sobie najżywotniejszego. Wielka nawet rewolucya, która wstrząsnęła światem nie przyćmiła blasku téj prostéj wieśniaczki lotaryngskiéj.

Do liczby utworów poetycznych jakie artyści francuzcy zaczerpnęli z owéj idealnéj postaci, dołączmy dziś piękny dramat Juliusza Barbier. Dramat ten od trzech miesięcy ściąga tłumnie publiczność paryzką; powiedzmy nawet, że nigdy serca Francuzów nie były lepiéj przygotowane do pojęcia wzniosłych uczuć jakie poeta umiał wyrazić

wytwornem słowem, a którego urok podnoszą jeszcze melodyjne chóry Gounoda.

Nie myślimy porównywać Joanny d'Arc Barbiera z Szyllerowskiém arcydziełem; to jednak pewna, że autor nowego dramatu nie jest bynajmniéj naśladowcą niemieckiego poety, ale że czerpał natchnienie prosto ze źródła, kierując się myślą własną, czysto rodzimą. Jeżeli szukał gdziekolwiek wzorów, to raczéj w greckich mistrzach: starał się ile mógł naśladować ich prostotę i za ich przykładem urozmaicił sceny lirycznemi chórami. Oto treść dramatu Barbiera.

Akt piérwszy rozpoczyna się w Domrémy w chacie Jakóba d'Arc. Słońce zachodzi: matka z córkami sprząta wieczerzę, ojciec siedzi na ławie przy ognisku. Nagle ukazuje się na drodze tłum wieśniaków, niewiast i dzieci. Wojna wypłoszyła ich z gniazd, szukają przytułku i chleba.

Joanna z boleścią ukazuje ich ojcu. Tłum przybliża się, wkrótce zalega scenę.

Chór przybyłych wieśniaków.

Niewiasty, dzieci, starce, wygnani z zagrody,
Gdzie nas oczy poniosą pędzim nasze trzody:
Za nami puste zwaliska!
Ujrzymyż swe posiewy cudzą ręką zżęte?
I spokojny próg chaty i te ściany święte,
Gdzie stała dziatek kołyska?

Pola naszemi pługi zaorane wiosną,
Nie zadzwonią kłosami, cierniskiem porosną;
Postrach zamieszka je blady!
Przemkną łuny pożarów w krwawéj zawierusze,
Nad wioską, gdzieśmy własne zostawili dusze,
Błędne tułaczów gromady!

Joanna bada wieśniaków o szczegóły klęsk sypiących się zewsząd na Francyą. Zapał jéj zdumiewa matkę. Ojciec przypomina że dziewczynie przystało milczeć.

Joanna odpowiada z pokorą:

Ojcze! ja was obrażać nie chcę, strzeż mnie Boże!
Ależ prawo Chrystusa w czém przekroczyć może
Dziewczyna, czy to w zamku, czy w chacie zrodzona,
Jeśli w obec klęsk kraju przepomni wrzeciona?
Jeśli gwałt zbudzi iskrę, co w piersi jéj drzémie,
Jeśli w sercu swém karmi Francyi słodkie imie!

Na rozkaz ojca Joanna prowadzi niewiasty z dziatwą do własnéj izdebki na nocleg; synowie odprowadzają wieśniaków do stodoły.

Jakób zostaje z żoną, opowiada sen jaki miał téj nocy: widział Joannę w hełmie i pancerzu, dosiadała rączego bieguna, miecz połyskał w jéj ręku.

— Gdyby to było prawdą—rzecze—gotówbym ją utopić.

Matka drży, wymawia ojcu zbytnią surowość dla dzieweczki.

W czém ci to biédne dziecko staje wpoprzecz drogi?
Cóżeś sobie do naszéj upatrzył niebogi?
Pomiędzy prac tysiące, dzionek skrzętnie dzieli,
To snuje z kołowrotka nić białéj kądzieli,
To krząta się po chacie zaczem drudzy wstaną,
Wydoi rankiem krowy, założy w żłób siano,
Albo gromadkę owiec popędzi na wrzosy,
To zronione z pod sierpa zbiera w polu kłosy:
A takie to potulne, skromne i usłużne!
Patrz tylko, żebrakowi gdy poda jałmużnę,
Rzekłbyś, że własną duszę dzieli z nim na poły,
A gdy pacierz odmawia, niebieskie anioły
Na skrzydłach jéj modlitwę do Pana śnać niosą,
A Bóg dom błogosławi czystą łaski rosą!

Rodzice pragną, aby Joanna zaślubiła Thibaulda. Wieśniak to skrzętny i pracowity, podobnego młodziana nie znaleźć w Domrémy. Serce jego oddawna skłania się ku dziewczęciu, ale ona odtrąca go dziwném obejściem. Kto odgadnie tajniki jéj duszy? Ona sama się nie rozumié..... Podczas gdy starzy radzą, nadchodzi Thibauld, potém Joanna. Ojciec z matką usuwają się, młodzi zostają razem.

Thibauld ośmielony przez rodziców przypomina Joannie lata dziecinne.

Czy pamiętasz te chwile swobodne, bez troski,
Gdy pląsała po łące dziatwa z całéj wioski,
A wiatr radosną wrzawę roznosił daleko.
Daremnieby dziś szukać krzewiny nad rzeką,
Coby nie pamiętała dźwięku naszéj pieśni.
Od twoich rówieników ty dojrzałaś wcześniéj;
Pomnę, gdy dzwon wieczorny rozległ się w pomroku,
Zadumę na twém czole, myśl smętną w twém oku;
W gronie wiejskich dzieweczek, ach! jeszcze cię widzę,
Jak lilijkę bieluchną na smukłéj łodydze;
Czy pamiętasz, gdy słonko zabłysło majowe,
Kto żyw śpieszy zieloną powitać dąbrowę;
Widzę, jak w raźnych skokach rozpląsane pary,
Przy dźwięku wiejskich skrzypków oplotły buk stary,
Jak dzieweczki się chyżo rozbiegły po łące,
Zrywając krasne kwiatki i ziółka pachnące;

Plotą je wprawną ręką i te wieńce świeże,
Na konarach bukowych zwieszają w ofierze.
I ty z niemi nad rzeką rwałaś kwiat bieluchny,
I ty plotłaś równiankę, a gdy młode druchny
Pieśnią i wonném kwieciem czczą buk rozłożysty,
Pospieszasz do kapliczki Maryi przeczystéj,
I gdy wesoła wrzawa napełnia dąbrowę,
Ty wiankiem i modlitwą czcisz niebios królowę!

Przypomina w końcu Thibauld, jak mu niegdyś sprzyjała; pyta, czy zechce go poślubić?

— Ja dziś nie należę do siebie—odrzecze smutno dziewczę. I po krótkiém wahaniu opowiada mu cudowne swe widzenia. Święte patronki spłynęły ku niéj otoczone światłością niebios,.. wskazały co ma czynić... Ona musi stanąć przed królem, musi walczyć, musi ocalić Francyą.

Thibauld przysięga jéj milczenie.

Gdy odszedł wpada Sivard, łucznik angielski. Chce pochwycić Joannę... ona porywa za sierp, wytrąca mu oręż, powala go na ziemię... pierś Anglika naciska stopą.

— To lwica nie kobiéta!—woła Sivard.

Wpadają żołnierze. Wpada Thibauld... zasłania Joannę piersią własną. Ugodzon procą w ramię, nie ustępuje kroku. Lud tłoczy się,.. Anglicy uciekają, szpada Sivarda pozostaje na ziemi.

Odchodzą wszyscy... Joanna znów sama... podejmuje z ziemi oręż.

— Zkąd mi ta siła?—pyta—czemu serce moje nie zadrżało?

Przeczucie tajemne mówi jéj, że wnet uderzy jéj godzina... Joanna ogarnia wzrokiem ubogie ściany chaty, jakby żegnała je na zawsze.

Biédny słomiany dachu, ty dachu mój miły,
Gdzie jaskółki na wiosnę gniazdeczka lepiły,
Wrzeciona, kołowrotku, okienko ty moje,
Gdzie na znak mój ptasiątek przybiegały roje;
Ty zielony ogródku pod cieniem kościoła,
Gdzie wydeptałam ścieżki dzieweczka wesoła,
Gdzie duszę mi kołysał taki spokój błogi...
Mamże ja was porzucić? o drżę cała z trwogi!
Myśl rozsadza mi głowę, mózg wszystek zamąca,
Wstrzymuje oddech w piersi; jakby listek drżąca
Słucham, rychło-li głosy te zabrzmią tajemno?
Nie słyszę nic... śpią wszyscy... wkoło głucho, ciemno!
Biédna matko! bezemnie ty nie wytrwasz może?
A on... on... Co tu począć?... litości, mój Boże!

Zapada noc. Dzwony uderzają na Anioł-Pański. Joanna klęka; podczas gdy się modli, promień księżyca wnika przez okienko, oświeca izbę całą. Po nad klęczącą unoszą się patronki Francyi. Archanioł Michał otacza ją promienistemi skrzydły.

— Idź córo Boża!... idź!—wołają święte.—Pożegnaj ojca i matkę, pożegnaj twą wioskę rodzinną!

— Idź córo Boża!... idź!—odpowiada chór.

Joanna podnosi głowę... cofa się... drży. Głosy nalegają.

— Bóg tego chce!—woła w najwyższém uniesieniu, i zasłona zapada.

Akt drugi odbywa się w Chinon. Tu Karol VII przepędzany od grodu do grodu znalazł chwilową ostoję. Małżonka królewska schroniła się na dwór brata. Przy królu widzimy Agnieszkę Sorel, królowę piękności, jak ją przezwali pochlebcy dworscy. Słaby Karol w obec klęsk sypiących się gradem na Francyą zwątpił już o jéj losach, zwątpił nawet o własnym rodzie. Gdyby w nim płynęła krew Walezych, padłażby nań taka sromota? Za radą nikczemnych dworzan usiłuje zatopić rozpacz w szale uciech i biesiad. Pieści ucho swawolną pieśnią trubadurów, poi oko czarodziejskim wdziękiem Agnieszki.

Chwilę obłędu przerywa Lahire. Śmiały wódz opuścił potajemnie Orleans, przedarł się przez obóz nieprzyjacielski, woła na gwałt o odsiecz, o chléb dla oblężonych.

— Odsiecz!..—powtarza dwór z urąganiem—odsiecz przybędzie nie zadługo! Wieść oto rozbiegła się, że Jan z Metz, wiedzie jakąś cudowną pasterkę od granic Lotaryngii.

— Nie pora dziś na żarty!—woła Lahire uniesion gniewem. Nie takich dziś potrzeba nam bohatérów. Wśród tylu klęsk co pomoże słabe ramię niewiasty?

Joanna przybywa odziana w męzką szatę. Spotyka się najprzód z Lahirem, korzy czoło przed wodzem posiwiałym w obozach. Z pierwszych jéj słów, Lahire odgaduje posłannicę Bożą, zacięty wróg staje się gorącym jéj stronnikiem. Podobny wpływ Joanna wywiera na Agnieszkę; dumna zalotnica rumieni się w obec pasterki.

Przywiedziona przed zebrany dwór pomija tron, na którym zasiadł Thuars odziany purpurą. Przystępuje do króla ukrytego wśród tłumu dworzan.

— Bóg z tobą synu Walezych?—rzecze uginając ze czcią kolano.

Zapał ogarnia obecnych, siła wstępuje w serce króla. Potomek Walezych uwierzył, że gwiazda pomyślności nie zagasła nad nim i nad Francyą.

— Chce tego Bóg!—woła Joanna powtarzając okrzyk dawnych krzyżowców.

Chór powtarza jéj hasło.

Chce tego Bóg! przy tobie będziem walczyć śmiało!
Wiédź nas na krwawy bój!
Chce tego Bóg! nadzieję wléwasz w pierś strupiałą,
I z serc wytryska zdrój!
Chce tego Bóg! przez ciebie kraj ze snu zbudzony,
Do nowych rwie się dróg:
Wyrwijmy go z odmętu krzepkiemi ramiony,
Chce tego Bóg!

Trzeci akt przenosi nas na wały oblężonego Orleanu. Z boku widać angielski obóz. Wpływ Joanny oddziałał na wojsko, tchnął w nie nowego ducha, wodzowie tylko jeszcze się ociągają. Dunois łamie wreszcie ich opór.

Nikczemni szyderce
Śmieliżby niedowiarstwem zranić wielkie serce?
Czy wiara jéj mądrością? czy w niéj szał widomy?
To coś więcéj!... to siła, co wyradza gromy!
Gardzić taką potęgą przystałoż na Boga?
Przez nią gród Orleanu nie popadł w moc wroga,
Wielkie dzieło zaprawdę wykonać jéj dano;
Tchnęła w szeregi nasze moc niepokonaną,
Przy promieniu jéj wiary co nasz rozum znaczy?
Nie cofnąć wstecz potoku! ach! płyńmy z nim raczéj!

Joanna porywa za sztandar, klęka, wodzowie i żołnierze zginają kolana. Chór powtarza modlitwę.

— A teraz na Anglików!—woła dziewica powstając z ziemi.

— Na Anglików!—woła chór.

Joanna w hełmie i zbroicy z chorągwią podniesioną, biegnie w stronę obozu. Tłum podąża w ślad za nią. Zapał jéj ogarnia wszystkich... nikt nie powątpiéwa o zwycięztwie. Zasłona zapada.

Obraz piérwszy czwartego aktu ukazuje plac przed katedrą w Reims. Za chwilę ma się odbyć obrzęd koronacyjny. Niewiasty z ludu wysławiają dziewicę, która ocaliła króla i Francyą. Joanna w srebrnéj zbroi ukazuje się w tłumie z maleńkiém dzieciątkiem na ręku. Matka złożyła w jéj ręce słabe niemowlę, odbiéra je po chwili zdrowe i wesołe z jéj objęć. Nadchodzą wodzowie. Joanna radzi z nimi o rychłym pochodzie na Paryż. Czemuż ona tak smutna w chwili najwyższego tryumfu? Bohatérka zwraca myśl ku rodzinie, Reims tak blizko od cichego jéj gniazda! Wiatr powiał od wschodu... przyniósł jéj czystą woń z pól ukochanéj Lotaryngii. Niepokój ogarnia jéj serce.

Tu następuje najrzewniejsza scena dramatu. Starzy rodzice z córką Katarzyną i synem Piotrem, przybywają na obrzęd; Thibauld jest także z nimi. Joanna rzuca się w objęcia matki i ojca.

JOANNA.

Zaledwie że was widzę, łzy mi oczy zćmiły
Kędyż bracia? Jakóbek i Janek mój miły?

JAKÓB.

Zostali obaj we wsi, wszak za pasem żniwa,
Pod słonecznym upałem kłos rychło dojrzewa:
Gdyby nie ty, wróg nasze stratowałby plony!

PIOTR *(do Thibaulda)*.

No, przystąpże Thibauldzie! coś taki spłoszony?
Drżysz jak listek...

JOANNA.

Thibauldzie!

PIOTR.

Przystąp!

THIBAULD.

Ja się trwożę!

PIOTR.

Ona taka jak zawsze..

MATKA.

Prawdaż-to? mój Boże!
Dziwnie się na téj ziemi, dziwnie rzeczy plotą,
Jam niańczyła to dziecię, jam słodką pieszczotą
Koiła niebożątko, gdy czasami we śnie
Przestraszone z nienacka załkało boleśnie;
Pomnę—dawniéj bywało—lada co ją spłoszy,
Jak się tuli pisklątko pod skrzydła kokoszy,
Ona garnie się do mnie, by osinka drżąca:
Dziś nie drgnie w obec szabel i włóczni tysiąca!

JOANNA.

Matko!

KATARZYNA.

Byłaś tam siostro, gdzie Anglików trupy
Pluskały we krwi ciepłéj zwalone na kupy?

JOANNA.

Widziałam... ach! ta pamięć budzi grozę we mnie,
O takich rzeczach mówmy cicho... potajemnie...

MATKA.

Ale ty mogłaś umrzeć... ta myśl krew mi ścina!

JAKÓB.

Nie byłaś ranną nigdy?

JOANNA.

Raz...

MATKA.

Biédna dziecina!
Mój Boże!

THIBAULD.

A jam tobie nie biegł do obrony!

JOANNA.

Nie żałuj! byłbyś rękę zbluzgał w krwi czerwonéj!
Niech się od méj pamięci ta wojna odczepi!
Przelotnéj chwilki szczęścia użyjmy dziś lepiéj!
Dziś serce mi nakarmić niewinną pociechą:
Powiédzcież, co tam słychać pod słomianą strzechą?
Czy jabłoni w ogródku nie zwaliły burze?
Na grządce pod okienkiem czy zakwitły róże?
Czy z mrokiem smolne drzazgi na kominie płoną?
A mójże kołowrotek, kądziołka, wrzeciono,
Stoją tam, gdziem je kryła co dnia, ze zwyczaju?
Słodko mi było z wami, tam żyłam jak w raju!

JAKÓB.

Joanno, dziecko moje, w tym dniu wielkiéj chwały,
Kiedy ze czcią twe imie głosi naród cały,
Wspomnienie cichéj wioski do łez cię porusza!

JOANNA.

Waszéj tylko miłości spragniona ma dusza!
Boże mój! czyż ta chwila przemknie błyskawicą?
A jutro... już jéj wątku myśli nie pochwycą!...
Jutro... daleko od was!... Precz mi te widziadła!
Co było snem, co jawą—jam teraz odgadła!
Te okrzyki tryumfu, ta wrzawa, te boje,
Szczęk mieczów, co tak straszno trącał ucho moje,
Wszystko to sen znikomy, czcza ułudy chwila!
Sen zniknął, przed mém okiem prawda się odchyla;
Zasnęłam, kołysana pieszczoty waszemi,
Jam zawsze była przy was—tak, przy was... w Domremy.

MATKA.

Jakto? wrócisz do domu?

JAKÓB.

Chwałą jaśniejąca!

KATARZYNA.

Ty wrócisz?

PIOTR.

Nagła radość zmysły jéj zamąca.

THIBAULD.

Wrócisz? powiedz Joanno!

JOANNA.

Bóg milczy... mnie trzeba
Złożyć miecz... ja pokornie szłam za wolą nieba;
Spełniłam co kazano... czas ścieszką iść nową,
Zaplatać życia wianki pod strzechą domową!

Zmienia się scena. Teatr przedstawia wspaniały przedsionek katedry. Przy huku trąb i biciu dzwonów, ciągnie królewski orszak. Książe Albert otwiera pochód. U boku króla postępuje królowa, daléj panowie dworscy, wodzowie i wojsko. Joanna z rodziną stoi opodal na uboczu. Zawistni dworzanie układając ceremoniał pominęli bohatérską dziewicę. Król spostrzega ją, przywołuje skinieniem, naznacza jéj miejsce przy swoim boku. Joanna podejmuje chorągiew, odwraca głowę ku rodzinie... żegna ją spojrzeniem milczącóm: snać czuje że ją żegna po raz ostatni.

Akt piąty odbywa się w Rouen w celi więziennéj. Noc: żołnierze angielscy grają w kości i piją przy stole; w głębi na garści barłogu spi Joanna przykuta łańcuchem do ściany. Wśród ciemności połyska nagle światło i promienieje coraz to żywszym blaskiem. Święte patronki unoszą się nad tapczanem uśpionéj. Dwa chóry odpowiadają sobie w sprzeczny sposób. Tu żołnierze śpiéwają zwrotkę obozową, tam święte kołyszą Joannę pieśnią ukrzepienia i otuchy. Po nad wezgłowiem przesuwa się uroczy obraz: chatka w Domremy otoczona wieńcami kwiatów. Widzenie znika. Żołnierze popijając wino rozpowiadają jak i kiedy ujęli czarownicę, w jaki sposób odbył się process. Jéj los przecież nie rozstrzygnięty, niech odrzecze się czarta a złagodzi okrutny wyrok.

Próżne nalegania, Joanna nie ustąpi. Nadchodzi Warwick, przyrzeka jéj wolność i życie, niech mu tylko będzie powolną. Nieszczęśliwa odtrąca go ze wstrętem:

Ja umrzéć muszę!
Wiém o tém... Ha! niegodni, chcecie moję duszę
Starzać w brudnéj kałuży, by potomność rzekła,
Że was moim orężem zwalczył szatan z piekła!
Tak, rozumiém ja waszą zasadzkę nikczemną,
Chcecie naród i króla zbezcześcić wraz ze mną!

Ale pustém mamidłem ona chęć zuchwała,
Wólno wam rozwiać z wichrem popiół mego ciała,
Niech kraj cały pociecze krwi rzeką czerwoną;
Lecz tego nie doczeka wasz ucisk tak twardy,
Byśmy płakać nad sobą mieli łzą pogardy!
Jedna i mnie i naród podnieca otucha;
Ja go znam, on w pierś moją przelał swego ducha,
Zniewaga w jego sercu nową skrę zapali,
Im niżéj spadł, tém czoło podźwignie wspanialéj,
Możecie go zatopić w krwi i łez powodzi,
Z ostatniego Francuza, Francya się odrodzi!
Wznieście stos, niech mi błysną płomienie złowieszcze,
To ciało zlepek z gliny może zadrży jeszcze,
Ale potęgi ducha żadna moc nie złamie;
Ja i Francya to jedno: na nas Boże znamie!

— Nikczemna! chcesz więc śmierci—zawoła Wawick.

— Pragnę jéj!—odpowie Joanna.

Ostątni obraz przedstawia stos na rynku i ofiarę w płomieniach. Dwa chóry odzywają się znowu: jeden przyklaskuje męczarniom potępionéj, drugi wygłasza tryumf bohatérskiéj dziewicy i zapowiada nieśmiertelną jéj chwałę.

Z najnowszych publikacyj najwięcéj uderzyło nas dzieło pana Zellera p. t.: *Trybunowie rewolucyi we Włoszech*. Charakter owych przewrotów, jak niemniéj imiona osób, które brały w nich główny udział, pomieszczone w takim porządku: Jan Procida, rewolucya narodowa; Arnold z Brescia, rewolucya klassyczna; Mikołaj Rienzi, rewolucya mistyczna; Michał Lando, rewolucya socyalna; Mazaniello, rewolucya ludowa. Będziemy chcieli dać bliżéj poznać czytelnikom naszym tę nową pracę znakomitego autora historyi Niemiec.

Wyszły z druku ostatnie powieści Mérimego: *Derniéres Nouvelles*, napisane na krótko przed śmiercią. Między niemi znajduje się powiastka *Lokis*, drukowana w Przeglądzie Dwóch Światów. Najostatniejszą pracą autora było studyum nad Cerwantesem. Studyum to pomieszczone będzie na czele nowego przekładu Don Kiszota przez Lucyana Biart.

Szkoła Darwina znalazła apologistę, poetę w Anatolu France. Gorliwy uczeń Darwina przedstawił on wierszem cały systemat mistrza swego. Wydany świéżo tomik obejmuje seryę filozoficznych poematów nacechowanych zimnym stoicyzmem. Wydanie bardzo piękne. Tytuł zbioru: *Poesies Dorées* (Poezye pozłacane). Czemu pytamy nie szczerozłote? Dowód to skromności poety-stoika.

PAWILON SZTUK PIĘKNYCH

NA WYSTAWIE MIĘDZYNARODOWÉJ

W WIEDNIU 1873 ROKU.

PRZEZ

Aleksandra Lessera.

Połączone kraje niemieckie. Francya, Belgia, Niderlandy, Włochy, Hiszpania i Anglia.

Przejrzawszy dział austryacki i węgierski wstępujemy do wystawy połączonych krajów niemieckich, która jest daleko obszerniejszą od poprzednich, gdyż zawiéra 750 olejnych obrazów, to jest 200 numerów więcéj jak austryacka. Podobny rezultat nas nie zadziwia, gdyż prawie każde większe miasto w Niemczech posiada muzea artystyczne i osobną szkołę rysunków, albo akademią pod kierunkiem zdolnych artystów, z których jednak tylko akademie w Monachium i Düsseldorfie odznaczają się właściwą sobie szkołą. Piérwsza skłania się do kierunku klassycznego, druga zaś do stylu romantycznego, tego jednakże dotąd powiedzieć nie możemy o akademiach w Berlinie, Dreznie i Weimarze.

Do rozpowszechnienia zamiłowania sztuki i zachęcenia artystów nie mało się téż przyczyniły „Towarzystwa zachęty sztuk pięknych“, których jest w Niemczech dwadzieścia. Stosunki społeczne i polityczne Niemiec, znacznie podniosły bogactwo krajowe i są powodem że obecnie lepsze dzieła sztuki, nawet przez prywatnych amatorów by-

wają poszukiwane za nader wysokiém wynagrodzeniem. Nie brak pomienionym artystom sposobności do wykończania monumentalnych dzieł sztuki, zwłaszcza ściennych, jak to widzimy w Monachium i Berlinie; dlatego też mało w tym oddziale znajdujemy historycznych olejnych obrazów, a natomiast w znacznéj ilości rodzajowych i pejzażów.

Z historycznych obrazów Pilotego, *Tusnelda*, znajduje się w sali centralnéj, jako też obraz Kellera professora z Karlsruhe „*Nerona* siedzącego w otoczeniu kobiét i przypatrującego się okropnemu pożarowi Rzymu.“

W salach niemieckich zwraca uwagę obraz Bendemana dyrektora düsseldorfskiéj szkoły, *Uprowadzenie żydów w niewolę babilońską*. Na przodzie obrazu siedzi na ruinach Jeremiasz zalewając się łzami, wyszydzony tak przez żołdaków jak i przez zwyciężonych; u nóg jego leży zabity syn króla Judei wraz ze swojém dziecięciem. Na drugim planie wjeżdża tryumfalnie Nabuchodonozor z jeńcami, na czele których postępuje ociemniały król Izraela. Wraz z ludem zabrano też łupy i sprzęty kościelne, arkę zaś złotą niosą na barkach w białe szaty ubrani lewici, w dali widać zburzone miasto. Przedmiot ten zajmujący nadzwyczaj starannie jest wykończony, nawet z wielkiém uczuciem; brak tu jednak pewnéj namiętności, a koloryt zbyt jest przytłumiony, przezco główne płaszczyzny nie dość się rozchodzą.

Z mitologii północnéj przedstawił August Hejden: *Walkirye pędzące przez pobojowisko zasłane trupami*. Zrozpaczone te kobiéty wznoszą się na białych rumakach przy zachodzącém słońcu, by dusze poległych wojowników zabrać do Walhalli, siedliska pogańskich bogów.

Mniéj szczęśliwym był artysta w wyborze tematu do mniejszego obrazu, który zupełnie w odmiennym rodzaju jest malowany. Według podania, Karol II król francuzki deputacyę poważnych mężów posłał do pięknéj Klemencyi księżnéj Prowancyi, ażeby się przekonać czy prawdziwie ta księżniczka jest tak piękną jak głoszono, i w takim razie ażeby jéj królewską koronę ofiarowali. W tym więc obrazie przedstawia się obecnym posłom występująca z za czerwonéj aksamitnéj kotary swego łoża, urocza księżniczka w takiém ubraniu, w jakie pozwolił sobie Rubens udrapować swoje boginie olimpu w sądzie Parysa. W tym obrazie niekoniecznie było to potrzebném, w każdym razie jednak obraz bardzo pięknie jest malowany.

W oddziale tym najwydatniejszym jest obraz historyczny Augusta Richtera z Berlina *Budowanie piramid egipskich*. Obraz ten wysokiego formatu przedstawia ruchliwość ludu przy wznoszeniu kolosalnych budowli, które po tysiącu latach jeszcze są podziwem widza. Dumny Faraon w lektyce niesiony przygląda się wykonawcom swoich pomysłów, a przy nim postępuje córka jego, znana z miłosierdzia dla ludu uciemiężonego. Obraz ten oprócz artystycznego układu, odznacza się świetnym kolorytem, dobrze zastosowanym do południowego klimatu tego kraju. Co do ubiorów i zwyczajów dawnych, artysta sta-

rannie badał starożytności egipskie, a nawet typy ludowe na miejscu rysował, które w sposób bardzo umiejętny do swego dzieła zastosować umiał. Pomimo tych wielkich zalet nie znajdujemy tu jednak głębszego poglądu jaki spostrzegamy np. przy wszystkich dziełach Kaulbacha; nawet na przodzie obrazu, postacie niewolników kamienie dźwigających pomimo naturalnego kolorytu słabo są rysowane i nie mają należytéj plastyczności. W każdym jednak razie, obraz ten historyczny zamówiony do *Maksymilianeum* w Monachium zaszczyt przynosi wykonawcy, témbardziéj że dotąd głównie jako znakomity malarz portretów był znany.

Z tego téż względu wspomnieć tu wypada o dwóch portretach umieszczonych obok poprzedniego obrazu, a uwydatniających jednocześnie szczęście domowe tego artysty. Na jednym z nich widzimy, w otwartém oknie ozdobném w bogatą ramę rzeźbioną z kamienia, samego artystę pochylonego i twarzą zwróconego do swego dwuletniego synka, który nawpół nagi siedzi na krawędzi okna, mając nóżki zwieszone na zewnątrz. Uszczęśliwiony ojciec prawą ręką przytrzymuje piękne dziecię, drugą zaś podpiera rączkę malca, w któréj wznosi pełen kielich szampana. Osoby te jakby żywe z obrazu występują.

Nie mniejsze posiada zalety drugi portret przedstawiający małżonkę artysty, córkę Meyerbeera, która fantastycznie ubrana, z uciechą macierzyńską przytula swego młodszego syna do pięknego łona.

Mówiąc o portretach zamilczéć nie możemy prac pędzla Schradera, między któremi wizerunek Humboldta szczególniéj się odznacza; nie mniéj téż są piękne Ernesta Hildebrandta i Fryderyka Kaulbacha z Hanoweru. W ogóle zauważyliśmy, że z portretów tegoczesnych znakomitości, najczęściéj się powtarzały portrety sławnego strategika hr. Moltke i znanego muzyka Liszta.

Z historycznych obrazów wspomnimy tu jeszcze o obrazie Wilhelma Lindenschmidt z Monachium: *Śmierć księcia Oranii*. Książe ten, oswobodziciel Niderlandów, zdradziecko zabity został w własnym pałacu. Artysta przedstawił tragiczną chwilę, gdy na odgłos wystrzału nadbiegła małżonka z dziećmi i dworzanami i zastaje konającego księcia w objęciach rycerza; w oddaleniu chwytają jednego ze złoczyńców. Obraz ten średnich rozmiarów, zaleca się pięknym układem, wielkiém życiem i znajomością ubiorów ówczesnych, koloryt jest skromny i naturalny.

Klaudyusza Schrandolfa (młodszego) „*Faust* spacerujący ze swoim uczniem pod lipami wśród ludu“. Obraz nie wielkich rozmiarów należycie uwydatnia przedmiot wzięty z poematu Goethego, zaleca się poprawnym rysunkiem i harmonijnym kolorytem.

Menzel Adolf, wszechstronny i utalentowany artysta stał się szczególniéj ulubieńcem publiczności berlińskiéj, od czasu gdy temata z czasów Fryderyka Wielkiego zaczął malować. Maluje on bitwy, hi-

storyczne i rodzajowe obrazy większych nawet rozmiarów, przyznać mu nawet trzeba pewną rzutność w malowaniu i oryginalność w rysunku.

Wielki jego obraz *Koronacya* w *Królewcu* 1862 r. nadzwyczaj zająć może miejscowych znawców, ponieważ wszystkie znakomitości Prus charakterystycznie tu są umieszczone: dla profanów zaś ceremonialna uroczystość upstrzona osobami w różnych mundurach, sama przez się powabu miéć nie może, szczególniéj że malowanie tego obrazu dość jest jaskrawe i nie zbyt harmonijne.

A. Wagnera professora w Monachium *Wyścigi rzymskie na wozach w Cyrku* wobec Cezara i zgromadzonego ludu, wskazują że artysta również figury jak i konie malować umié, szczególniéj konie w biegu będące doskonale są oddane; nie mniéj starannie jest uwydatniony obszerny amfiteatr z mnóstwem widzów, szkoda tylko że całe tło wydaje się jakby na większą skalę skopiowane ze zbyt znanego dawniejszego obrazu artysty francuzkiego Gerome'a, zatytułowanego: *Ave Caesar! Morituri te salutant.*

Rodak nasz Józef Bradt z Warszawy wysokie zajmuje stanowisko w sztuce. Bawiąc przez lat dziesięć w Monachium wśród wielu utalentowanych artystów, umiał sobie pozyskać powszechny szacunek i uznanie. Obraz jego przedstawiający ważny fakt dziejowy, to jest: *Bitwa pod Wiedniem* w roku 1683, powszechne budzi zajęcie. W bitwie téj jak wiadomo, naczelne dowództwo powierzone było Janowi III-u Sobieskiemu, który ze swemi hufcami przybył na odsiecz oblężonego miasta. Książe lotaryngski dowodził wojskiem niemieckiém na lewém skrzydle.

Artysta obrał chwilę najzaciętszéj walki, gdy hussarze polscy z natarczywością atakują liczną jazdę spahich i janczarów, których zmuszają do ucieczki, przełamując lewe skrzydło armii tureckiéj. W dali austryacy, bawarzy i sasi szturmują świeżo usypane szańce. Dzielnym hussarzom Sobieskiego nic oprzeć się nie zdoła, którzy pędzą za uciekającemi przez obalone namioty, tratując po drodze rannych. Przewidzieć tu łatwo można, stanowcze zwycięztwo i oswobodzenie oblężonego Wiednia.

W obrazie tym doskonale uwydatnioną jest wrzawa i popłoch wojenny. Właściwość ubrania walecznego wojska a szczególniéj fantastyczne stroje jazdy hussarskiéj ze skrzydłami na plecach i długiemi kopiami z jasnemi proporcami, które nam artysta z drobiazgową dokładnością przedstawił; nie mniéj téż znakomicie malowaną jest pejzażowa część obrazu: wszystko to razem w harmonijną całość, artysta z właściwym sobie talentem zlać umiał.

Zdaje nam się jednak, że tu raczéj uwydatnionym jest główny atak hussarzy polskich, jak bitwy pod Wiedniem, gdyż inne szczegóły téj walki tylko w środkowym planie obrazu przy bliższém rozpatrzeniu dostrzeżonemi być mogą; przypuszczamy jednak że powodem tego jest jedynie zbyt szczupły stosunkowo rozmiar obrazu, do tak skomplikowanéj kompozycyi.

Obraz ten tak zajmującéj treści został własnością arcyksiężniczki austryackiéj Gizelli; otrzymała go bowiem w darze od szlachty galicyjskiéj, która go od artysty nabyła za 20,000 fl., czyli 80,000 złp.

* * *

Malarstwo rodzajowe w obecnym czasie znacznie się rozwinęło w Niemczech. W rodzaju tym piérwsze zajmuje miejsce Knaus prof. w Düsseldorfie, który dawniéj już wysoko był cenionym w Paryżu, ponieważ sceny z życia potocznego, z wielką prawdą i bez najmniejszéj przesady przedstawiać umié. Obrazy jego pięknie są rysowane, czysto malowane i starannie wykończone. W kierunku tym rywalizują z nim szczególniéj utalentowani artyści: Vautier prof. w Düsseldorfie i Defreger z Tyrola.

Z siedmiu wystawionych dzieł Knausa: *Rada gminna*, rozprawiających wieśniaków w Badeńskiém, nietylko wyrazistością typów twarzy, ale nadto śmiałym i głębokim kolorytem się odznacza. Piękne są także dwa mniejsze obrazy: *Ulicznik* i *Dwie siostrzyczki*, o ile piérwszy prostotę i rubaszność przedstawia, o tyle drugi salonową elegancyą. Obraz siostrzyczek nabyty został za 18,000 fl. Rozrzewniającym obrazem jest *Pogrzeb w małem miasteczku*. W ciemném podwórzu zgromadzeni są: nauczyciel wiejski z małemi uczniami, znajomi i krewni nieboszczyka, gdy z górnego piętra właśnie wynoszą zwłoki, które poprzedza starzec schodząc z drewnianych ciasnych schodów niepewnym krokiem. Ponure niebo i śniegiem pokryte dachy, z tym smutnym obrządkiem dobrze harmonizują.

Jakby współzawodnicząc zupełnie tę samą scenę namalował i wystawił Vautier i trudném byłoby zadaniem osądzić, któremu z artystów należy się palma piérwszeństwa. Inny obraz tego artysty przedstawia: *Piérwszą lekcyę tańca młodéj parafianki*.

Defregger przebywający w Monachium po większéj części maluje sceny ludu z południowego Tyrola. Wielce zajmujące następujące obrazy jego: *Koń premiowany*, którego wieśniak zaleca na sprzedaż. Inny przedstawia muzykantów włoskich żebrzących w chacie tyrolskiéj. Najwięcéj odznacza się obraz jego: *Dwaj bracia*. Czternastoletni chłopczyk mając torebkę przewieszoną przez ramię wybiera się w podróż, a pożegnawszy się z rodzicami i babunią, bierze na ręce małego braciszka ażeby go jeszcze raz do serca przycisnąć, siostra mu tymczasem trzyma parasol i zawiniątko. Obraz ten nadzwyczaj starannie malowany, dla hrabiego Nariszkin, w naszéj obecności za 20,000 fl. nabytym został.

Z obrazów Riefstahla z Karlsruhe świetnością kolorytu i poetycznym układem odznacza się: *Obrządek pogrzebowy*. Przed kapliczką w okolicy górzystéj Tyrola gromadzi się lud wiejski różnego wieku z duchowieństwem na czele, czekając na cmentarzu na pochód żałobny, który z doliny się zbliża ze zwłokami zmarłego. Charaktery

i typy miejscowe bardzo wiernie są uchwycone, znakomicie też malowany jest rozłożysty widok, który się nam w głębi obrazu ukazuje.

Obraz Geertza z Düsseldorfu wiele ma powagi a nawet dramatyczności. Z izby sądowéj wyprowadzają pod strażą do przedsionka młodego złoczyńcę z twarzą ponurą, któremu właśnie wyrok był ogłoszony. Chciwi wrażeń tłoczą się i z rozmaitém usposobieniem przypatrują się skazanemu, tylko osiwiały ojciec i matka zalewają się łzami i w największéj rozpaczy ubolewają nad losem syna. Obraz ten wskazuje głęboko myślącego artystę, który obrany temat należycie uwydatnił. Malowanie tu jest odmiennem od poprzednich, gdyż jest śmiałém, w szerokich plaszczyznach z głębokiemi cieniami, przypominając nawet co do wyboru tematu, obrazy Munkaczego, który się kształcił w szkole francuzkiéj.

Z przyjemnością oglądaliśmy obraz młodego artysty Hermana Kaulbacha syna sławnego Wilhelma Kaulbacha, a ucznia Pilotego wywyobrażający *Ostatnie dni Mozarta.* Znakomity muzyk znużony chorobą spoczywa w głębi fotelu w pobliżu okna przysłoniętego zieloną firanką, przy nim w smutku pogrążona rodzina jego i lekarz; w głębi przyjaciele kompozytora przy akompaniamencie klawikordu śpiewają ostatni i nieśmiertelny utwór jego, t. j. *Requiem* Mozarta, któréj dźwiękom z rozczuleniem przysłuchuje się twórca téj melodyi i mimowolnie napół już martwą ręką takt oznacza. Pomysł tego obrazu dobrze jest pojęty i z poczuciem estetycznem wykonany.

Mieczysław Czachorski rodem z Warszawy wystawił obraz: *Wstęp do klasztoru.* W parlatoryum klasztoru młoda dziewica znakomitego rodu, która zapewne do klauzury wstąpić zamyśla, żegna się wobec sióstr zakonnych z całą swoją rodziną. Jestto scena rozrzewniająca z wielkiém czuciem uwydatniona.

Jednym ze zdolniejszych malarzy rodzajowych w Monachium jest Mathias Schmidt, przedstawił rodzinę tyrolską, która z największém wysileniem ciągnie pod górę na wązkiéj ścieżce wózek obładowany skromną swoją chudobą; wtém na zakręcie skały spotykają dwóch duchownych, których w téj chwili ani wyminąć, ani im winnego uszanowania okazać nie mogą, gdyż za najmniejszém cofnięciem się obładowany wózek zsunąłby się w przepaść. Fizyognomie przerażonych ludzi podczas tego niespodziewanego wypadku wyglądają dość pocieszne. Artysta zapewne chcąc być dowcipnym oznaczył swój obraz p. n. *Biédni, a nabożni ludzie.*

Do tego rodzaju obrazów zaliczamy Ortlieba: *Powrót kwestarza,* który ku zadowoleniu swoich zakonnych braci rozkłada hojnie zebrane dary i Grützнera: *Piwnica klasztoru,* w któréj przeor w towarzystwie braciszka z oburzeniem spostrzega w śnie pogrążonego piwniczego przy beczce dobrego reńskiego wina z kielichem w ręku. Są to niby humorystyczne pomysły, które szczególniéj w obecnym czasie w północnych Niemczech bardzo do smaku przypadają.

Każde prawie miasto posiada rodzajowego malarza, który u siebie jest popularnym, i tak np. Monachium ma swego Kaltemosera, a Berlin Majerheima; gdy jednakże kilku malarzy z téj rodziny, t. j. Majerheimów na wystawie się znajduje, szczegółowy rozbiór tychże pozostawiamy miejscowym znawcom.

* * *

Wielkie polowanie w Pardubicach, w Czechach, Emila Adama z Monachium, jest obrazem okolicznościowym, w którym podziwiać należy umiejętnie grupowane towarzystwo złożone z kilkuset osób: panów i pań, z końmi i chartami, wszystkie tu osoby są prawie miniaturowo portretowane. Znakomicie też są malowane, zapewne z natury konie, których sierć połyskuje się w blasku słonecznym, oraz sfora chartów.

Schmitson z Berlina utalentowany malarz zwierząt, najlepiéj maluje konie stepowe i krymskie i w tym rodzaju wystawił pięć obrazów.

Maksymilian Gierymski z Warszawy również jak większa część naszych artystów, wykształcenie swoje w sztuce zawdzięcza szkole Müncheńskiéj. Gerymski jednak zdołał zachować swoją indywidualność, przezco prace jego mają odrębny charakter, który im wyższą wartość nadaje. Artysta ten obiera zwykle temata skromne, czasem nawet niepozorne, lecz wszystkie mają odrębny charakter swojski i z wielką naturalnością są przedstawione. Są to po większéj części smętne równiny polskie, na których widzimy pojedyncze chaty słomą pokryte, przedstawione w porze jesiennéj lub zimowéj, ożywione postaciami zastosowanemi do miejscowości. Z sześciu wystawionych obrazów: *Alarm jazdy* najstaranniéj jest wykończony. Z wielką też prawdą przedstawieni są *Kozacy,* którzy w zamglonéj porze ciągną długą aleą wysadzaną topolami wśród szerokich łanów jeszcze śniegiem pokrytych, po których tu i owdzie kruki i wrony pożywienia szukają. W obrazie: *Żydzi małego miasteczka* o wieczornéj porze odmawiają modlitwę pod gołem niebem z powodu rozpoczęcia nowego miésiąca, gdyż wiadomém jest że podług swego dawnego kalendarza obliczają miesiące ze zmianą księżyca. Wszystkie te obrazy śmiało są malowane i mają wiele harmonii.

Fryderyk Voltz z Monachium zaliczonym bywa do najznakomitszych malarzy zwierząt, obraz jego: *Krowy nad jeziorem* odznacza się wielkiemi zaletami, gdyż nietylko każde ze zwierząt najstaranniéj jest wykończoném, ale i całość obrazu ma pewną sielankowość, szczególniéj pięknie malowany jest cienisty las, w którym tylko tu i owdzie przedzierają się promienie słońca, jako też przezroczystość wody. Obraz ten nie ustępuje najlepszym pracom znakomitego Verboukhowena malarza zwierząt w Brukselli.

Obrazzatytułowany dość osobliwie: *Krytyka sztuki* Göblera, przedstawia wnętrze owczarni, gdzie pozostawione są rekwizyta malarskie, oraz studyum odmalowanéj owcy, które właśnie ukończoném zostało. Do obejrzenia téj pracy nieobecnego artysty tłoczy się stado owiec, którym do należytego ocenienia przeszkadza zapewne wartujący obok czarny pies kudłaty.

Jak już wspomnieliśmy liczba pejzażów jest obfitą w oddziale niemieckim, starsi jednak artyści utrzymali się na swojém pierwszorzędném stanowisku, a między temi znakomity kolorysta Andrzéj Achenbach professor w Düsseldorfie wystawił trzy piękne pejzaże. Sędziwego Heinleina w Monachium: *Widok okolicy skalistéj Walenchsee* odznacza się tak pięknym rysunkiem jak i znakomitą techniką, toż samo powiedzieć można o malowniczym *Widoku w Montano* w południowym Tyrolu pędzla Kirchnera w Monachium.

Wielkością rozmiarów i świetnością kolorytu odznaczają się trzy widoki okolic szwajcarskich hrabiego Kalkreutha, dyrektora wejmarskiéj szkoły i obrazy Gudego prof. z Karlsruhe, brzegi morskie Norwegii i port w Chrystyanii.

Z rodaków naszych znaczne uczynił postępy Małecki z Warszawy, krajobrazy jego t. j. *Widok zamku krakowskiego*, oraz przedmieścia tego miasta, wiele mają światła i szeroko są malowane.

* * *

Sale przeznaczone dla dzieł sztuki oddziału francuzkiego, na piérwsze wejrzenie odznaczają się od innych nie tylko korzystniejszém rozmieszczeniem swoich obrazów, ale nadto częścią dekoracyjną, w czém w wysokim stopniu uwydatnią się gust tego narodu. Dla urozmaicenia są tu umieszczone znakomite dzieła rzeźby, a mianowicie: posągi i grupy z marmuru lub bronzu w różnych odcieniach, jako téż wyborowe okazy wyrobów sewrskich, wazony z gładkiéj porcelany w rzeźby i malowania zdobne kolosalnych rozmiarów, które w niczém nie ujmując świetności obrazów nadają tym salonom dystynkcyę i przepych wspaniałych komnat.

Wspomniawszy wyżéj o ornamentacyi, dodać tu należy że liczne kartony do fresków lub okien szklanych, które wykonane były w pałacach i kościołach, niezrównanéj piękności gobeliny i wielka liczba znakomitych sztychów, artystów francuzkich znajduje się w innych oddziałach wystawy.

Sztuka francuzka ma swoją przeszłość i na téj podstawie rozwija się ciągle samoistnie, ostatnie jednak nieszczęśliwe wypadki wstrzymały nieco jéj postęp. Z tego téż powodu wybaczyć należy Francyi, że dla uzupełnienia swéj wystawy przysłała i dawniejsze prace swoich artystów.

Między temi zajmował wysokie stanowisko ś. p. Delacroix artysta wielce utalentowany i ceniony, którego wpływ najwięcéj jest

widocznym, w pracach nowoczesnéj szkoły francuzkiéj. Delacroix odznaczał się śmiałemi pomysłami, a głównie wielką brawurą w malowaniu, nie zawsze jednak poprawnością rysunku. Z dziesięciu wystawionych obrazów: *Chrystus na krzyżu*, z wielkiém czuciem jest malowany i świetnie od zaćmionego niebą odchodzi. Szkic „Apolina, który węża Pythona zwycięża“ należycie uwydatnia cały powab najlepszéj tegoż artysty kompozycyi, t. j. plafonu w Luwrze, który z wielką fantazyą w kolosalnych rozmiarach wykonał. Również zasługują na uwagę obrazy: *Św. Szczepana*, przeszytego strzałami, i *Lwa*, który w puszczy rzuca się na Araba i pastwi się nad swoją zdobyczą.

W ogóle spostrzegamy że Francuzi nie zbyt są usposobieni do wrażeń uczuciowych, więcéj się skłaniają do tematów namiętnych a nawer okropnych; artyści téż w tym względzie dogadzają upodobaniu ogólnemu, gdyż często przedstawiają temata namiętne, w których nawet krwi ludzkiéj nie żałują.

Do najgenialniejszych dzieł sztuki w tym oddziale zaliczyć można Regnaultą dwa obrazy, z których każdy w odmiennym stylu jest malowany. Piérwszy przedstawia *Egzekucyę bez wyroku*, z epoki królów maurytańskich w Grenadzie. Na wschodach marmurowych, u podwoi wspaniałéj sali, stoi Arab w chwili spełnionéj egzekucyi i miecz swój katowski krwią zbroczony obciera połą własnéj szaty, u nóg jego leży tułów posiniały z uciętą głową, z którego buchająca krew po białych stopniach ścieka. Główna figura cery oliwkowéj w czerwoném ubraniu, imponującéj postaci, znajduje się w półcieniu, przezco doskonale występuje od tła złocistego sali mocno słońcem oświeconéj, a ciało zabitego który u nog jego leży i we krwi się broczy, odrażające robi wrażenie. Przyznać jednak należy, że w tym obrazie genialnie pomyślanym, rysunek jest nadzwyczaj poprawnym, malowanie zaś wydaje nam się zbyt wyszukaném.

Inny wielkich rozmiarów obraz przedstawia portret generała Prim: nie jest to portret, lecz obraz prawdziwie charakterystyczny, który wyobraża Prima, przybywającego do Madrytu, z odkrytą głową, konno, ukazując się wojsku defilującemu wdali, które z zapałem go wita. Generał z twarzą ogorzałą, z rozwianym włosem, cały kurzem okryty, silnie wstrzymuje dzielnego, spienionego rumaka.

Obraz ten zupełnie odmienny od poprzedniego, imponuje prostotą i śmiałém malowaniem, przypominającém najlepsze prace Valasquesa. Zawczesna śmierć tego utalentowanego artysty, który poległ w bitwie z Prusakami pod Bruzansal koło Paryża, 19 stycznia 1871 r., wielką jest stratą dla sztuki nowoczesnéj.

Dawniejszy artysta Gerome, jeżeli nie talentem, to kierunkiem artystycznym i wyborem tematów zbliża się do poprzedniego.

„*Moszea el-Assaneyn*“ obraz średnich rozmiarów, ma pewne podobieństwo do wyżéj wspomnianego obrazu. Dwóch egipskich gwardzistów w starożytnych, drucianych zbrojach, stoi na straży kilkunastu ściętych głów powstańców arabskich, które po części leżą

na progu, lub są zawieszone na ozdobnym łuku podwoi téjże Moszei. Są tu dokładnie uwydatnione typy różnych plemion, z wyrazem doznanego na obliczach cierpienia w ostatniéj chwili, niemniéj téż starannie jest malowaném uzbrojenie, jako téż cała architektura, nie wyłączając krwią zbroczonych schodów.

Inny obraz: *Gladyatorzy,* w całym rozkładzie przypomina dawniejszą podobnéj treści pracę tegoż artysty, o któréj wyżej wspomnieliśmy.

W obec Cezara, zapewne Viteliusa i zgromadzonego ludu, który wszystkie miejsca obszernego amfiteatru aż do samego wiérzchu zapełnia, odbyła się okropna walka gladyatorów, tu i owdzie leżą już zwłoki poległych. Zwycięzca, stojąc przed lożą Cezara, przydeptuje nogą zranionego już ostatniego ze swoich przeciwników i odwraca głowę, jakby z zapytaniem, czy mu ostatni cios zadać może. Ciężko raniony, wznosi błagalnie rękę do kapłanek Westy, obok Cezara siedzących, ażeby przyspieszyły swój wyrok, a kapłanki, wychylając się ku walczącym, z namiętnością wskazują wielkim palcem ku dołowi, co oznacza rozkaz dobicia rannego, czego się téż lud w arenie głośno domaga.

Ulubione to widowisko ludu rzymskiego, przedstawione tu jest z wielką znajomością obyczajów i kostiumów owego czasu, szczególniéj téż starannie są wykończone pełne rozmaitego uzbrojenia gladyatorów.

Artysta ten trafnie przedstawia też sceny, wzięte z życia ludów Wschodnich, jak to widzimy w jego obrazach: *Ulica w Kairze*, *Przejażdżka kobiet Haremu nad Nilem* i „Beduina opłakującego padłego konia na puszczy."

Naturalnéj wielkości, lecz osobliwszéj treści, jest obraz: *Wszystko do sprzedania.* W ciasném podwórzu bazaru, siedzą na ziemi przy ścianie, skulona, młoda, naga murzynka, obok niewolnica abissyńska, cery brunatnéj, z kruczemi, rozpuszczonemi włosami, a przy nich małpa. Trzy te istoty na sprzedaż są wystawione: kupiec brodaty, muzułmanin siedzi w głębi w okienku z innemi towarami swojemi, jako to: z perłowemi muszlami, i piękną, zieloną papugą.

Wszystkie te pomysły genjalne, wykonane są z wielką elegancyą, precyzyą i mistrzowską techniką, dodać jednak należy, że te, które na mniejszą skalę są wykończone, więcéj są udatne.

„*Łokonanie Kabylów*" Boulangor'a, jest wielce ożywionym obrazem. „Zwyciężeni Afrykanie, uciekając w przestrachu z wysokiéj skały, rzucają się w bezdenną przepaść. Inne dwa obrazy tegoż artysty: *Przechadzka między grobami Pompei*, oraz *Cezar w Gallii*, jedynie dokładną znajomością archeologii się odznaczają.

Szczególny téż pomysłem jest obraz Augusta Glaise: *Głupstwa ludzkie.* Jakby przed sceną, stoi dość rubaszny mężczyzna w czarnym hiszpańskim stroju, z wyrazem szyderskiego uśmiéchu, przechylając się do widzów, po za siebie wskazuje trzy epizody z przeszłości, które

są malowane na kurtynie, pod któremi są następujące napisy: *Tueries bibliques chretiennes et protestantes*; główna postać szczególniéj, bardzo naturalnie jest malowaną, gdyż, jakby żywa, z obrazu występuje.

* * *

Jedném z najtrudniejszych zadań dla artysty, było zawsze dokładne uwydatnienie form ciała ludzkiego, szczególniéj téż kobiecego. Zastosowanie to nastręczają głównie temata mitologiczne, alegoryczne, lub nareszcie pierwotne dzieje rodu ludzkiego; wielką jest w takim razie zaletą, jeżeli w utworach dobrze obmyślonych, użyte są należycie studya z pięknéj natury w znaczeniu estetyczném. Zupełnie przeciwne sprawiają wrażenie obrazy, w których pięknie malowane modele, użyte są, jako pozór, do jakiéjś wyższéj kompozycyi, z dodaniem jedynie pewnych atrybutów. Takichto obrazów znaczna liczba znajduje się w tym oddziale.

Do lepszych w tym rodzaju zaliczamy obrazy naturalnéj wielkości Jamesa Bertranda: *Smierć Wirginii*, któréj martwe zwłoki w przemokłéj odzieży, fale morskie na brzeg wyrzuciły i *Obłąkana Margareta* z Fausta, leżąca w czarném ubraniu na brudnéj pościeli w więzieniu. Są to piękne pomysły z czuciem wykończone, szkoda tylko, że obiedwie przypominają jednę i tę samą kobietę odmiennie ubraną.

Bouvier przedstawił alegorycznie: *Wiosnę* w postaci pięknéj dziewicy, zupełnie nagiéj, siedzącéj na drzewie okrytém kwiatem, na tle pogodnego nieba. Dziewica ta bez wszelkiego okrycia jest uroczo piękna.

Mistrzowskiém malowaniem ciała kobiecego, odznacza się Juliusz Lefebvre. Podług dawnéj tradycyi zazwyczaj, *Prawda* była zawoalowaną. Lefebvre przedstawił ją stojącą, zupełnie nagą, trzymającą światło w wysoko wzniesioném prawém ręku. Wysmukła ta postawa nie jest korzystną, gdyż przypomina mimowoli bronzowe karyatydy do lamp używane.

Zasmucona, młodziutka dziewczyna w całéj postawie z długim, czarnym, rozpuszczonym włosem, przedstawiać ma treść bajki: *Konik polny i mrówka.* Niebo posępne i pożółkłe liście na krzakach, oznaczać mają jesień, w któréj dziewczynie niestało okrycia i pożywienia, gdyż, prześpiewawszy w zabawie całe lato, nie pomyślała, ażeby zebrać coś na smutną porę roku. Treść tego obrazu, zbyt jest naciąganą, postać ta jednakże, wstydliwie tuląca się do muru, jest pełna gracyi i wdzięku, a odznacza się również delikatnym kolorytem, jak i pięknym rysunkiem.

Trzeci obraz tego artysty, zatytułowany poprostu: *Spoczywająca kobieta*, nie mając pretensyi wyższego pomysłu, lecz tylko, jako wierne z natury malowanie prawdziwie powabnéj kobiety, jest arcydziełem w swoim rodzaju. Postać ta z ufryzowanemi modnie czarnemi włosami, a niebieskiemi oczami dowcipnie na świat spoglądająca, spoczywa

na ciemno-czerwonéj ottomanie, przez co żywa karnacya jéj ciała, świetnie się uwydatnia.

* * *

Francuzcy malarze portretów, odznaczają się wielkim gustem i szerokiém malowaniem, dlatego obrazy ich, nawet z pewnego oddalenia należyty robią efekt.

Portrety Gaillarda zalecają się indywidualnością i uchwyceniem właściwego kolorytu przedstawionych osób, z tych najlepszy jest portret dowódzcy wolnych strzelców, który wiele ma życia.

Panna Nelie Janquemart, znana z wielkiego talentu, wystawiła dziewięć portretów, które również śmiałością pędzla, jak pięknym układem zadziwiają. Z męzkich, dystynkcyą i wyrazistością odznacza się wizerunek prezydenta Benoit Champy, w urzędowéj todze; z szczególném też zamiłowaniem do najmniejszych akcessoryj wykończone są portrety dam, które po większéj części, przedstawione są w całéj postaci.

Prawdziwą ozdobą francuzkiego oddziału, są trzy portrety kobiece naturalnéj wielkości Karola Durand, z których piérwszeństwo oddajemy: *Damie z rękawiczką.* W postaci téj pełnéj powabu i wdzięku, widzimy osobę z wyższego paryzkiego towarzystwa; artysta umiał tu uchwycić całą dystynkcyą i elegancyą przedstawionéj osoby, która nawpół odwrócona, z lekka unosi portyerę, ażeby przejść do swego salonu; towarzyszy jéj mały, ulubiony piesek.

Piękny rysunek całéj figury, jako też śmiało i szeroko malowane fałdy, prześlicznéj, jedwabnéj sukni w dwóch kolorach: blado-niebieskim i cielistym, jak ciemnéj kotary, wskazują doświadczonego i znakomitego w malowaniu portretów artystę.

Portret pięknéj pani Ratazzi na tle czerwoném i *damy w czarnej sukni* w kapeluszu, tak co do wykonania, jako też układu, nie ustępują portretowi „Damy z rękawiczką."

* * *

Znakomity artysta w stylu rodzajowym Juliusz Breton, wyróżnia się dobitnie pomiędzy innemi, ponieważ nie ugania się za efektami malarskiemi, a nie naśladując żadnéj maniery, głęboko zapatruje się na otaczającą go przyrodę, którą z bystrym poglądem i wielką prostotą przedstawia, czego dał dowody w pięknym obrazie: *Procesya w polu.* Procesya postępuje wśród złocistych łanów z duchowieństwem na czele, są tu między ludem niektóre pospolite twarze, ale tak prawdziwe, jakby portretowane, pejzaż też słońcem oświecony szeroko jest malowany.

Wielki postęp tego artysty, oznacza obraz naturalnéj wielkości: *Dziewczęta przy studni.* Stoją one wpół cieniu rozłożystych drzew, i jak wszystkie inne prace tegoż pędzla zalecają się wielką prawdą.

Powszechnie są znane obrazy małego formatu *Meissonier'a*, gdyż takowe, oprócz znakomitego wykonania, odznaczają się wielką wyrazistością, niekiedy téż dobrym humorem, co im wielką wartość nadaje. Z licznych prac jego, szczególniéj zająć mogą: *Przegrana partya w karty* i *Malarz szyldów.* Obraz tegoż: *Bitwa*, chociaż nieskończony, wiele ma charakterystyki i życia, tak co do figur, jako téż koni, które znakomicie są rysowane.

Po zbyt może szczegółowym opisie pojedynczych obrazów, nie pozostaje nam więcéj miejsca na wzmiankę o pejzażach francuzkich, które, jak wiadomo, wielkie mają zalety, wspomnąć nam jednak wypada, że między innemi, znajdują się piękne szkice Sebastyana Norblina, rodem z Warszawy, a syna znanego u nas Jana Piotra Norblina: do obrazów wykonanych enkaustycznie, do kościoła Ś-go Gerwazego w Paryżu i głowa malowana z natury wodnemi kolorami przez panią Helenę Przepiórkowską warszawiankę.

* * *

W małém państwie Belgijskiém sztuki piękne hojnie przez rząd wspierane, w krótkim czasie do wysokiego doszły rozwoju. Artyści miejscowi, kształcąc się podług arcydzieł dawnych swoich mistrzów, korzystają jednocześnie z postępu nowoczesnéj sztuki, sąsiedniéj Francyi, co jest powodem, że prace téj szkoły bardzo są poszukiwane, a szczególniéj dzieła pierwszorzędnych artystów.

Belgijscy artyści odznaczają się znakomitą techniką, mniéj zaś wygórowaną fantazyą i genialnością; ograniczają się téż po większéj części wyborem tematów spokojnych, nieraz nawet pospolitych.

Niedawno zmarły Henryk Leys, przedstawiając sceny z XVI-go wieku, zastosowywał z wielką łatwością i talentem w swoich obrazach styl mistrzów flamandzkich owego czasu, jak to wskazują prace tegoż: *Ugoszczenie Piotra Pawła Rubensa przez Towarzystwo łuczników antwerpskich*, malowane w 1851 r., oraz: *Pracownia malarza Floris.* Utwory te malowane są z wielką subtelnością i naturalnym światłocieniem, przypominające najlepsze obrazy szkoły Rembrandowskiéj. Artysta ten, wpatrując się następnie w dawniejsze jeszcze utwory szkoły Van Dycka, polubił ten sposób malowania i starał się go zastosować w swoich obrazach: *Burmistrz antwerpski Lancelot zachęcający straż miejską do obrony miasta* i *Pielgrzymka.* Nie zadawalniał się téż wiernem naśladowaniem ze starych obrazów typów twarzy i ubiorów ówczesnych, lecz nadto przywłaszczał sobie ów pierwotny sposób malowania, bez cieniów i perspektywy powietrznéj i niektórych szczegółów, jak np. ceglanych murów, zielono-lakierowanych ławek i t. p., przez co obrazy te nieposiadające zresztą duchowych zalet

pierwotworów, zupełnie do dawnych są podobne; jedynie archeologiczną wartość mieć mogą.

Styl dawny lepiéj pojęli młodzi artyści, z których Albrecht de Vriendt malował: *Jakóbinę X. bawarską, która o ułaskawienie męża swojego prosi Filipa Dobrego księcia burgundzkiego* a Juliusz de Vrient *Swiętą Elzbietę z dziećmi wygnaną przez mieszkańców miasta Eisenachu.* Obrazy te pięknego układu, więcéj mają życia od poprzednich.

Rodzajowe obrazy de Brockeleera, przypominające dawne holenderskie utwory, wielce są ulubione; z tych: *Urodziny Babuni* i *Malarnia artysty*, zalecają się przyjemnym kolorytem i dobrym humorem.

Artysta Willems na poprzedniéj, międzynarodowéj wystawie, pozyskał wiele rozgłosu swojemi rodzajowemi obrazami. Były to sceny salonowe z XVII wieku, w których szczególniéj z wielką starannością malowane były atłasowe suknie, jako też inne przybory, w rodzaju Therburga i Metzu. Obrazy obecnie przedstawione już tego powabu nie posiadały, gdyż artysta ten, z powodu braku fantazyi, zbyt często jedne i też same temata przedstawia, nawet też same draperye, przez co stał się jednostajnym, nudnym; twarze téż, chociaż starannie są malowane, nie dość mają wyrazistości.

Porzuciwszy wszelkie dawne tradycye sztuki, Alfred Stevens maluje w zupełnie odmiennym kierunku. Z szesnastu wystawionych obrazów, każdy ma właściwy sobie powab i efektowne oświecenie.

Są to po większéj części panie z wyższego towarzystwa, w salonowym stroju lub negliżu, przy toalecie, w buduarze, pod parasolką, w japońskim negliżu przed lustrem, nawet kąpiąca się w marmurowéj wannie: ostatnie dwie są naturalnéj wielkości. Obrazy te lekko, lecz z gustem, zapewne z natury malowane, jako nowość, bardzo przez amatorów, tego rodzaju obrazów, będą poszukiwane i wysoko opłacane; nie spodziewamy się jednak, żeby się długo powodzeniem cieszyły, gdyż im brak głębszego poglądu sztuki i z tego względu prędko z mody wyjść mogą.

Gallais zalicza się do pierwszorzędnych malarzy współczesnych. Uzna to każdy, kto kiedykolwiek oglądał jednę z dawniejszych prac tego artysty, jak np. *Abdykacyą cesarza Karola V-go* obraz kolosalnych rozmiarów, w pałacu sprawiedliwości w Bruxelli, zwłoki „Egmonta i Horna," albo też wielki karton: *Zaraza morowa w Courtrai* znajdujący się dotąd w pracowni artysty.

Na wystawie wiedeńskiéj znajdujemy tylko kilka obrazów rodzajowych i portretów pędzla tego artysty, z tych *Góral tatrzański*, grający na skrzypaach w biednéj swéj komnacie, wiele ma życia i śmiało jest malowany.

Szczególniéj odznaczają się dwa portrety w półfigurze tego artysty, w których na pierwszy rzut oka, rozpoznać można charakter przedstawionych postaci. Pierwszy ministra Dumortier, pociąga prostotą i śmiałém wejrzeniem, drugi pana *Saint-Paul* de Sinçay,

z wzniesioną głową i rudo-blond faworytami, odznacza się godnością i nadzwyczajną dystynkcyą. Głowy te malowane są z elegancyą bez wszelkiéj przesady, ręce również znakomicie są wykończone. Są to bezwarunkowo z męzkich portretów najlepsze na całéj wystawie.

Znakomity malarz zwierząt Verboeckhoven znalazł w Robbiem De Haas i Józefie Stevens współzawodników, którzy z nim, w malowaniu trzody i bydła o pierwszeństwo się ubiegają.

Pejzażysci i malarze architektonicznych widoków tak w Belgii, jak i w pobratymczych Niderlandach, najwięcéj zachowali tradycyą techniki malarstwa, swoich znakomitych flamandzkich poprzedników. Między innemi wspomnąć tu wypada o pięknych widokach, jak np., *Dom łuczników w Brügge* i *Ruiny zamku heidelbergskiego* artysty Strobanda w Bruxelli, który tak malowniczo widoki katedry krakowskiéj na kamieniu odrysował.

Z holenderskich obrazów do najcelniejszych należą: *Wnętrze kościołów Bosboom'a.* Widoki budowli starożytnych C. Springera i Rechhusena. Najlepsze widoki miast holenderskich malował S. L. Werveer, nadbrzeża morskie Heemskerck van Beest.

Ze znacznéj liczby zdolnych pejzażystów, wspomnimy artystów: W. Roelof, Bilders'a, Borselen, J. Bakhuysen, J. F. Deventer, Van der Maten i Vogla. Wszystkie te obrazy małemi środkami są malowane, nie znać tu żadnego jaskrawego koloru, zdaje się tylko, jakby światła z cieniami łagodnie się spływały; są to właśnie odznaczające się cechy dawnych holenderskich obrazów.

Obrazów wyższego stylu, lub genialnych pomysłów, wcale nie ma w tym oddziale, odznaczają się jednak talentem piękne portrety Bisschop'a, jako téż obraz rodzajowy tegoż, przedstawiający młodą dziewczynę w ubraniu mieszczanki holenderskiéj, naturalnéj wielkości po kolana, siedzącą w oknie przy robocie koronek i odwracającą się do widza; obraz ten nazwał artysta *Gretchen von Marken.*

* * *

Przypominamy sobie, że do jednéj z sal belgijskich, zapewne z powodu opóźnionéj przesyłki na wystawę, zabłąkał się Maryana Jaroczyńskiego z Poznania, wielki obraz: *Pokój Toruński* z 1466 roku.

Szczególniejszym sposobem w W. Księztwie Poznańskiém, gdzie postęp w naukach i przemyśle jest widocznym, sztuki piękne dotąd nie dały znaku życia, tak dalece, że niektórzy nawet miejscowi malarze, z powodu zupełnego braku zajęcia, zawodu swego zaniechać musieli. Tém bardziéj zasługuje na uznanie artysta, który dotrwał pomimo tak niekorzystnych okoliczności, i przedstawił nam fakt historyczny w obszernych rozmiarach, przechodzących może jego zasoby artystyczne.

Obraz, o którym mowa wyobraża chwile, gdy mistrze zakonu krzyżackiego podpisują wieczny traktat w obec króla Jagiellończyka

i dworu jego. Kompozycya ta z wielu figur złożona, należycie przedmiot wyraża, dużo ma nawet ruchu, szczegóły jednak obrazu wiele pozostawiają do życzenia. Pojedyncze grupy np., zbyt są rozrzucone i nie dość są zachowane proporcye figur, których rozmiary na pierwszym, drugim i trzecim planie, prawie są też same, co w tak obszernym obrazie zbyt jest rażącém. Malowanie jest śmiałe, lecz nieco surowe, gdyż przeważającemi są tu głównie szaty jednostajnie różowe, lub białe, które nie harmonizują z tłem koloru ciemno-szarém, materye jedwabne i aksamitne, oraz połyski uzbrojenia rycerzy, mogły być staranniéj uwydatnione.

Co się tyczy przedstawionych tu osób, powiemy tylko, że młody król z wąsikami, nie przypomina nam Kazimierza Jagiellończyka, którego rysy dostatecznie są znane, tak z nagrobka dłuta Wita Stwosza, jako też z innych źródeł; wymagamy większéj archeologicznéj dokładności od artysty, który, jeżeli się nie mylimy, tak piękne wykonał sztychy z autentycznych portretów królów Zygmunta I i Zygmunta Augusta.

* * *

W oddziale włoskiéj sztuki, która w nowszym czasie znaczne zrobiła postępy, znajdujemy nie mało pięknych obrazów najrozmaitszéj treści, nieprzypominających jednakże arcydzieł dawnych mistrzów tego kraju.

Nowocześni artyści włoscy w ogólności tak w rysunku, jak i w kolorycie wielkie mają zalety, nawet utwory ich umiejętnie bywają grupowane; lecz brak tym pomysłom wyższego, że się tak wyrażę, filozoficznego poglądu. Nie zawsze są też szczęśliwi w wyborze tematów do swoich obrazów, które nieraz po przeczytaniu obszernego podpisu, dopiéro należycie zrozumianemi być mogą, co zwykle jest dowodem, że treść obrazu nie jest dostatecznie uwydatnioną, albo że takowa obrazowo przedstawioną być nie może. Podpisy wprawdzie, imiona lub daty historyczne, objaśnić mogą, fakta jednakże same przez się tłumaczyć się powinny.

W stylu historycznym odznaczają się: obraz *Rzezi Machabeuszów* artysty Ciseri, zalecający się harmonijnym i głębokim kolorytem i umiejętnym, lecz nieco teatralnym układem.

W wielkich rozmiarach przedstawione są postacie „Ś-go Boromeusza" przez Jakóba Martinelli, oraz „Macchiavellego" przez Antoniego Puccinelli: dwa te obrazy w szerokich płaszczyznach są malowane.

Roberto Fontana osobliwszym sposobem zaczerpnął temat do swego obrazu, ze znanéj opery *Robert djabeł*, t. j. chwilę ukazania się duchów przy romantycznem świetle księżyca; pomysł ten miękko i z gracyą jest malowany.

Wyższe ma zalety mniejszych rozmiarów obraz rodzajowy tego artysty: *Oględziny narzeczonéj w Nowogrodzie*, mający pewne podobieństwo, co do treści, do wyżéj wzmiankowanego obrazu: *Pięknéj*

Klemencyi księżnéj prowanckiéj pędzla Heidena, z tą tylko różnicą, że dziewica nie posłom króla francuzkiego, ale przez swoją matkę kobietom, pokrewnym swego narzeczonego jest prezentowaną, i że ta ładna a wstydliwa narzeczona, ustrojona w czółko na głowie, nie wprost, lecz z boku jest widzianą. Obraz ten, z powodu wyrazistych twarzy, naturalnego oświetlenia i starannego wykończenia, do lepszych prac w téj sali policzonym być może.

Utalentowany artysta Bertini prof. w Medyolanie, w poważniejszym stylu przedstawił: *Leonarda da Vinci, gdy maluje portret Beatrici d'Este*, do którego użyty jest współczesny wizerunek téjże, znajdujący się obecnie w galeryi Ambrozyańskiéj w Modyolanie. Obraz ten bardzo starannie wykończony, jak drugi, przedstawiający Franciszka I króla francuzkiego z marszałkiem Trivulsio, zalecający się nawet większą, niż poprzedni harmonią kolorytu. Dwa piękne portrety, t. j. samego artysty: i *Księżniczki Margarety* w całéj figurze, jeżeli nie zbytnią wyrazistością rysów, to pięknym układem, śmiałém malowaniem i wielkiém życiem się odznaczają.

Również imponującym jest Mojżesza Bianchi portret w całéj figurze, młodéj damy *Signori di Monza*. Rodzajowy obraz tegoż artysty: *Lekcya śpiewu w zakrystyi*, gdzie stary maestro niecierpliwi się fałszywym śpiéwem młodych chórzystów, oryginalnością swoją do śmiéchu pobudza.

Giordigiani wystawił piękny portret *księżnéj Margarety* i drugi młodéj damy.

Król Wiktor Emanuel, jako bardzo popularny w swoim kraju, często tu jest przedstawiany i to w różnych okolicznościach: i tak np. Sagliano, przedstawił go wjeżdżającego do Rzymu; Tano przy rozpoczęciu nowych wykopalisk w Herculanum. Inne portrety króla, malowane są przez Puccinella i Ugolini.

W ogromnych rozmiarach przedstawił Busi solenny akt: *Połączenia Włoch*, gdzie w otoczeniu króla, między innemi, znajdują się także: Cavour i Garibaldi. Obraz ten, pomimo wielkich rozmiarów, żadnych zalet nie posiada, gdy przeciwnie dwa mniejsze obrazy tegoż artysty, jako to: *Ucieczka ze swojém dziecięciem* i smutek téjże, jako wdowy. bardzo są zajmujące i z czuciem malowane. Najlepszym bezwarunkowo w tym oddziale, jest wielki obraz Stefana Ussi, professora w Florencyi: *Pielgrzymka do Mekki*. Wśród upału ciągnie tu karawana pobożnych na koniach, wielbłądach i pieszo, w ubraniach najrozmaitszych plemion, których rysy twarzy tak znakomicie są uwydatnione, że każda figura z osobna, ma właściwe sobie cechy; również jest starannym układ całego obrazu, draperyi, jako téż wszystkich innych szczegółów, koloryt téż obrazu świetnością się odznacza. Szeroka rama obrazu, rzeźbiona w bogate ornamenta w stylu maurytańskim, z napisami tureckiemi z koranu, dobrze zastosowaną jest do tego obrazu.

Zajmującym jest obraz Teobalda Patiniego: *Pracownia Salvatora Rosy*, ożywiony licznemi figurami, z których jedni zajęci są studyami artystycznemi, drudzy probują swoich sił, fechtując się na szpady, wszystkim się artysta, siedząc przy sztalugach, uważnie przypatruje. Obraz ten pięknego układu, śmiało malowany, przypomina dobre obrazy szkoły flamandzkiéj.

Do osobliwości policzyć można obraz rodzajowy z figurami naturalnéj wielkości Michała Cammerano w Rzymie, jest to epizod z 20 września 1870 r.: *Bersaglierzy spieszący do ataku w pełnym biegu z bronią w ręku.* Strzelcy ci z okrzykiem na ustach w pełnym rynsztunku, z powiewającemi piórami u hełmów, przedstawieni są w skróceniu, a tyle w nich ruchu i życia, że zdaje się, jak gdyby na widza uderzyć mieli. Obraz ten z wielkiém życiem i talentem jest przedstawiony, chociaż prawie dekoracyjnie jest malowany.

Piękny obraz rodzajowy Induna: *Kram przy kościele z świętemi obrazkami*, którym się wieśniacy z upodobaniem przyglądają, wielce jest zajmującym.

Nogaro efektownie przedstawił lazaret polowy włoski przy oblężeniu Paryża, w porze zimowéj.

Najlepszym z pejzażów są Alberta Pasiniego, ponura pustynia, w któréj wypoczywa karawana i widoki włoskich okolic Vertunniego.

Hrabina Eliza Boromeo, z powodzeniem przedstawia psy różnéj rassy.

Gdy w ogóle opisu szczegółowego rzeźby nie udzielamy, wypada nam jednak wspomnieć o artystach włoskich, którzy godnemi się okazali swoich poprzedników, gdyż przysłali około 350 dzieł dłuta, które są najpiękniejsze na wystawie, takowe wykonane z marmuru lub bronzu, odznaczają się talentem, szczególniéj nadzwyczajną miękkością w modelowaniu ciała i lekkich draperyj.

Zdarzało nam się nieraz słyszéć od profanów, oglądających pospolicie rzeźby, że nie są zwolennikami téj sztuki; gdyż posągi wydają im się, jak duchy do postumentów poprzyczepiane, a biusta z martwemi oczyma, jak maski umarłych. Przy oglądaniu rzeźb włoskich, nikt zapewne podobnego wrażenia nie doznał, gdyż piękne te posągi i grupy, są pełne życia i ruchu, i zdaje nam się, jakby patrzały i przemawiały do nas. Co do zarzutu, że rzeźby te w ogóle zbyt pieszczotliwie i w stylu rodzajowym są wykonane, uwzględnić należy, gdyż te po części przeznaczone są do przyozdobienia buduarów i salonów, możnych amatorów całéj Europy. Przekonani jednak jesteśmy, że artyści ci również zdolni są do wykonania monumentalnych dzieł sztuki, czego niektóre wystudyowane ich prace dowodzą, a między temi piękna siedząca figura *Italii*, Tantardiniego, z wieńcem laurowym na głowie, kreśląc prawą ręką imię Cavoura na piedestale pomnika tegoż.

W mniéj poważnym stylu, odznacza się wyrazistością twarzy w półfigurze *Murzyn wenecki*, namiętny Otello z chustką Desdemony

w ręku, dzieło Piotra Calvo z bronzu i marmuru wykonane, a nabyte przez b. królowę hiszpańską. Wspomnieć téż musimy o odlanéj z bronzu głowie *Ś-go Jana Chrzciciela*, leżącéj na misce, pomysłu naszego rodaka poety-rzeźbiarza Teofila Lenartowicza, bawiącego obecnie w Florencyi, która bardzo subtelnie i z uczuciem jest wykonana.

* * *

Do dzieł nowoczesnych artystów włoskich mają pewne podobieństwo prace malarzy hiszpańskich, umieszczone w narożnéj sali pawilonu sztuki; znakomitsi jednak artyści zachowali dawną tradycyę swéj sztuki.

Najlepszym w tym oddziale jest obraz Duminguez'a z figurami nadnaturalnéj wielkości. Układ téj kompozycyi jest bardzo piękny, figury należycie się zaokrąglają, twarze mają dużo wyrazu, zwłaszcza siedzącego młodego ucznia, płaczącego przy umierającym mędrcu; malowanie téż jest śmiałe z szerokiemi cieniami, zbliżone do stylu Valasquesa. W podobnych rozmiarach przedstawił Mercarda śmierć *Św. Franciszka z Asiżu*, przypominający tenże sam temat sławnego freska Ghirlandajo. Puella, z gustem odmalował naturalnéj wielkości podług dawnego poematu hiszpańskiego: *Córki Cyda w lesie*, z których jedna stoi związana obok drugiéj na ziemi leżącéj. Obraz ten w nowszym stylu jest malowany.

Portret damy w bogatym stroju pędzla Navarrete, odznacza się świetnym kolorytem, jako téż Rodrigueza dziewczyny w stroju narodowym.

Sceny z życia ludu z wielką prawdą przedstawił Pallicer.

* * *

Z wystawy południowych krajów przechodząc do północnych, wspomnimy tylko w krótkości o Anglii. Naród ten przemysłowy i bogaty nigdy nie doszedł w sztuce najwyższego szczebla, pomimo że umié sztukę należycie oceniać, a nawet w niektórych rodzajach malowania daleko doszedł, starając się przedewszystkiém pozostać oryginalnym. W portretach np. miał znakomitych malarzy, a w rodzajowém malowaniu przyznać mu trzeba dar obserwacyjny i dobry humor. Anglicy zwracają wielką uwagę na technikę malarstwa, szczególniéj w malowaniu akwarelli posiadają najznakomitszych artystów wysoko cenionych. Osobliwszém jest nawet, że niektórzy artyści tak dalece olejnemi farbami akwarelle naśladują, że w obrazach tychże sposobu malowania olejnego od akwarelli w żaden sposób rozpoznać nie można, szczególniéj w obrazach olejnych, które pod szkłem są umieszczone, jak to często w oddziale angielskim napotykamy.

Następujące obrazy w tym oddziale zwróciły naszą uwagę. Yames, przedstawił w średnich rozmiarach *Królowę Elżbiétę otoczoną*

swoim dworem po otrzymaniu wiadomości o rzezi św. Bartłomieja, udzielającą audyencyę posłom francuzkim. Obraz ten zaleca się pięknym układem, znajomością typów owego wieku i najsubtelniejszém wykończeniem.

Elmore, fantastyczną legendę: *Porwanie Lenory w krainę duchów* obrał do swego obrazu, w chwili gdy jeździec na ognistym rumaku ze swoją ukochaną do wrót cmentarza zdąża, otoczony widmami z mogił powstałych. Poetyczne oświecenie nocne i fizyognomię umarłych z wielkim talentem są uchwycone. Calderona obraz pojęty jest zupełnie w duchu angielskim. Zakochana para z XIV wieku siedzi w czółnie na przezroczystéj powierzchni jeziora, z zachwyceniem pełném upojenia patrzy na siebie. Przedmiot ten sentymentalny z wielką elegancyą jest narysowany, koloryt świetny i naturalny; bardzo też wiernie są uwydatnione kostiumy ówczesne, czółno odbijające się w wodzie i zarośla wodne.

Zmarły niedawno Landseer jako malarz psów, europejskie zyskał sobie imie; w wielkim obrazie tegoż: *Namiot arabski* wypoczywa koń ze swojém źrebięciem, a przy nim psy gończe; na wierzchu namiotu bawią się małpy z pomarańczą. Zwierzęta te naturalnéj wielkości w jednę całość ugrupowane, znamionują doświadczonego artystę. Nie mniéj zajmującym jest portret samego artysty, w którym się odmalował z dwoma swemi ulubionemi psami, które przednimi łapami opierając się na plecach artysty, z takiém ożywieniem na widza spoglądają, że trudno jest oznaczyć, który z tych trzech wizerunków jest najtrafniéj oddany. Sam artysta oznaczył ten obraz podpisem: *Życzliwi Krytycy.*

Portret poety Brown w profiu pędzla Watts'a do najlepszych należy.

Oryginalnością odznaczają się portrety w całéj figurze panny *Niny Lehman*, i *Dwóch sióstr* pędzla artysty Millais, które w białych sukienkach, na jasném tle w pełném świetle są malowane. Przypominają one zupełnie akwarellowe malowanie, są jednak naturalnie przedstawione. Obrazy te są pod szkłem. Zasługuje też na uwagę Horsley'a: *Widok wnętrza średniowiecznéj komnaty,* która przez szerokie okno w głębi słońcem oświetlona, ożywioną jest zajmującemi figurami; na przodzie siedząca para, kończy partyę szachów. Obraz ten tak ze względu na perspektywę jak i wykończenie figur, oraz światłocienia, jest arcydziełem w swoim rodzaju.

KORRESPONDENCYA.

Lwów 9 stycznia 1874 r. Losy lwowskiego Uniwersytetu wiążą się ściśle z losami całego kraju i mogą służyć poniekąd za komentarz polityki, jakiéj się trzymał dwór wiedeński względem Galicyi.

Uniwersytet lwowski był założony przez cesarza Józefa II-go w 1784 roku. Egzystencya jego była niedługa. We dwadzieścia lat późniéj, a mianowicie w 1805 roku, został on zwinięty i przyłączony do Uniwersytetu krakowskiego. Sądzono zapewne, że dwa uniwersytety w kraju, liczącym do pięciu milionów mieszkańców, są zbyteczne. Zamiast uniwersytetu urządzono liceum. Kiedy następnie w 1809 r. Kraków odpadł do ks. Warszawskiego, Galicya została bez uniwersytetu. Dopiéro w 1816 cesarz Franciszek I zamienił liceum lwowskie na nowo na uniwersytet, z tém wszakże ograniczeniem, że zamiast medycznego wydziału, ustanowił przy nim medyczno-chirurgiczną szkołę, która dopiéro w zaprzeszłym roku została zwiniętą, jako nie odpowiadająca ani potrzebom kraju, ani wymaganiom nauki. Obecnie rozpoczęto starania o utworzenie przy lwowskim Uniwersytecie wydziału medycznego.

Uniwersytet lwowski był zrazu pomieszczony w gmachu klasztoru trynitarskiego; gdy zaś gmach ten został zburzony podczas bombardowania Lwowa w 1848 r., przyczém zgorzała prawie cała biblioteka, umieszczono go tymczasem w miejskim ratuszu, zkąd dopiéro w 1851 roku przeniesiono go do zabudowań, w których przedtém mieścił się jezuicki konwikt. Rozumié się samo przez się, że taka zmienność losów, jakiéj podlegał lwowski Uniwersytet, nie mogła podnieść jego znaczenia, zajmował on ostatnie miejsce w szeregu uniwersytetów austryackich, które w ogóle pod względem naukowym nie bardzo wysoko stały w owych czasach. Uważany jako organ germańskiéj cywilizacyi, którą chciano zaszczepić w Galicyi, stał się on przytuliskiem ludzi, którzy niemając żadnych kwalifikacyj naukowych, pozwalających im spodziewać się zaszczytniejszego pomieszczenia gdzieindziéj, stanowisko professora lwowskiego Uniwersytetu uważali dla siebie za świetną karyerę. Ostatniemi dopiéro czasy zjawiają się na lwowskim Uniwersytecie ludzie prawdziwéj nauki, jak Hanasz, professor filozofii, znany w czeskiéj literaturze ze swych studyów nad religijnemi pojęciami Słowian, a w czasach późniejszych Rulf professor

prawa i Zeissberg, historyk, który ze szczególném zamiłowaniem oddaje się polskiéj historyi.

Ostatnie reformy w Austryi, zapewniające Galicyi pewien samorząd w wewnętrznych sprawach, uznały język polski za wykładowy. Tacy professorowie jak Rulf i Zeissberg, zażądali natychmiast, by ich przeniesiono do innych uniwersytetów, czysto niemieckich, niechcąc być przeszkodą w natychmiastowém przeprowadzeniu uchwalonéj reformy; pozostali na uniwersytecie i nadal tylko tacy z niemieckich professorów, którym brakuje kilka lat do emerytury, albo którzy nie spodziéwają się, by mogli dostać się do innego uniwersytetu. Do takich należą pan Bull, wykładający filozofią prawa i prawo niemieckie, człowiek nie wielkiéj nauki, ale cieszący się powszechném poważaniem; pan Wrobel, professor łacińskiego języka i literatury, zniemczony Szlązak, niegdyś nieprzyjaciel miejscowego żywiołu, a dziś piszący łacińskie ody na cześć Kopernika, jako Polaka. Człowiek małych zdolności, a bodaj czy większéj nauki. Pan Schmidt, professor zoologii, uważany jako jeden z uczeńszych entomologów; w 1863 roku był redaktorem „Lemberger Zeitung," dziś okazuje wielką przychylność dla Polaków.

Dlatego też wykłady na lwowskim Uniwersytecie odbywają się w trzech językach: niemieckim, ruskim i polskim.

Uniwersytet lwowski obejmuje trzy wydziały: teologiczny, prawny i filozoficzny. Ten ostatni dzieli się na trzy oddziały: na filozoficzno-historyczny, filologiczny i matematyczno-przyrodniczy.

Na wydziale teologicznym wszystkie przedmioty wykładają się po łacinie, z wyjątkiem pedagogii, która się wykłada po niemiecku, a oraz teologii pasterskiéj i katechetyki, które wykładają się po polsku dla kleryków łacińskiego obrządku, i po rusińsku dla kleryków unickiego kościoła.

Na wydziale prawnym większa część przedmiotów wykłada się po polsku. Po niemiecku wykłada pan Bahl, po rusku pp. Ogonowski, Łopuszański i Dobrzański.

Do zdolniejszych professorów na tym wydziale należą: Kabat, professor cywilnego prawa, który świeżo wydał bardzo cenione dziełko z zakresu procedury sądowéj w sprawach drobiazgowych; i Biliński, który mimo młodego wieku dał się już poznać, jako autor kilku dzieł treści ekonomicznéj. Obecnie wydał dwutomowe dzieło „Wykład Ekonomii Politycznéj" o którém Biblioteka Warszawska już podała sprawozdanie.

Wyznać wszakże potrzeba, że wydział prawny jak najmniéj odznacza się naukowemi siłami, a mniéj jeszcze wydział teologiczny. Spodziéwać się wszakże można, że młodzi professorowie potrafią z czasem podnieść go do stanowiska, na jakiém w części stanął już wydział filozoficzny.

Wydział filozoficzny rozpada się, jak powiedziałem, na trzy oddziały: na filozoficzno-historyczny, filologiczny i matematyczno-przyrodniczy.

Na filozoficznym wykładają: pan Czerkawski filozofią; p. Liske historyą powszechną i pan Szaraniewicz historyą Austryi i Galicyi; tę ostatnią po rusku.

Pan Czerkawski, znany w kraju jako jeden z najzdolniejszych pedagogów i pod tym względem zasłużony krajowi, on bowiem, będąc czas pewien inspektorem szkół w Galicyi, znacznie je podniósł z upadku, w wykładach swoich, jasnych i przystępnych, wychodzi z zasad filozofii Herbarta, która w swoim czasie była uznana za oficyalną w austryackiém państwie. Również odznacza się, jako jeden z czynniejszych członków sejmu krajowego. Obecnie chodzi troskliwie około tego, by sejm galicyjski poparł żądanie uniwersytetu, co się tyczy zaprowadzenia na nim wydziału lekarskiego, który dawno byłby już zaprowadzonym, gdyby nie partya krakowska, która kierując się niezrozumiałą dla zwyczajnych śmiertelników zawiścią względem Lwowa, przeszkadza temu.

Pan Liske jest autorem licznych monografii i artykułów z zakresu historyi polskiéj i powszechnéj, drukowanych rozmaitemi czasy po różnych czasopismach tak warszawskich, jak i tutejszych. Z artykułami jego spotykamy się nawet w „Przeglądzie Krakowskim“. Pan Liske jest także wydawcą „Akt z archiwum bernardyńskiego we Lwowie.“

Pan Szaraniewicz pracowity i skrzętny badacz dziejów Galicyi. Kilka jego monografii w tym przedmiocie napisanych po polsku i po niemiecku, są niemałym przyczynkiem do historyi Rusi Zachodniéj, świadczącym o zdolności i bezstronności autora.

Na wydziale filologicznym wykładają się: Filologia grecka, Zygmunt Węclewski; rzymska, Wrobel; polska, Pilat; ruska, Ogonowski; niemiecka, Janota. Nadto rektor Kropiwnicki uczy języka angielskiego, Amborski zaś, francuzkiego.

Imię Zygmunta Węclewskiego znane jest powszechnie, jako najzdolniejszego z naszych filologów, a oraz tłumacza tragedyi starożytnych Greków.

Pan Pilat, człowiek młody i zdolny, wykłada polską literaturę, któréj professorem był dotąd A. Małecki. Pan Małecki dla braku zdrowia podał się do dymisyi i takową otrzymał. Wystąpienie jego z uniwersytetu jest wielką stratą, tém większą, że niémasz tu nikogo, coby godnie mógł go zastąpić.

Pan Pilat bowiem, pomimo zdolności, nie zdoła powetować straty, jaką ponosi Uniwersytet lwowski w osobie A. Małeckiego, nietylko dla tego, że nie dorównywa mu ani nauką, ani talentem, ale i dlatego jeszcze, że nie jest filologiem. Oddaje się on wyłącznie studyom nad historyą literatury polskiéj. Pociesza nas ta jedna myśl, że A. Małecki, wolny od zajęć uniwersyteckich, może przyspieszyć wydanie swéj historyi literatury polskiéj, mającéj się zawrzéć we czterech tomach.

Na oddziale przyrodniczo-matematycznym wykładają: p. Żmurko, professor matematyki. Ustalona o nim opinia przynajmniéj w Galicyi, uważa go za największego z nowszych żyjących matematyków.

Jego dwutomowe dzieło o matematyce ma być zbudowane na nowych, oryginalnych podstawach. Żałować tylko należy, że język tego dzieła nie zawsze jest polski i jasny, co niemało utrudnia zrozumienie rzeczy.

Pan Kreutz, professor mineralogii i geologii, liczy się do zdolniejszych professorów lwowskiéj wszechnicy. Cieszy się on uznaniem nawet wśród Niemców, którym dał się poznać z kilku rozpraw napisanych po niemiecku i wskazujących w nim samodzielnego badacza na polu geologii. Pracuje obecnie nad uzasadnieniem nowéj teoryi, tłumaczącéj siłę powszechnéj atrakcyi i repulsyi. Dotąd siłę repulsyi uważano, jako skutek pierwotnego rzutu, bardziéj zagadkowego, jak sama siła, którą miał on tłumaczyć. W teoryi pana Kreutza ową siłę rzutu zastępuje powszechny ruch wirowy materyi.

Pan Radziszewski jest professorem chemii. Sława jego jako jednego z najzdolniejszych chemików ustalona nietylko u nas, ale nawet wśród Niemców i Francuzów. Dał się on poznać z licznych odkryć, dokonanych na polu chemii. Sprawozdania ze swych odkryć i poszukiwań zamieszcza w czasopiśmie berlińskiém: „Berichte der Deutschen chemischen gesellschaft zu Berlin.“ W rocznikach Krakowskiego Uniwersytetu drukował pan Radziszewski kilka rozpraw w przedmiocie chemii. Obecnie jest redaktorem czasopisma towarzystwa aptekarskiego we Lwowie, wychodzącego raz na miesiąc. Jestto czasopismo poświęcone głównie chemii.

Pan Ciesielski wykłada botanikę. Oddaje się szczególniéj fizyologii roślin, i w téj gałęzi znaną jest jego rozprawa, któréj pierwsza część tylko ogłoszona: „O przyczynach, dla których korzenie rośliny zagłębiają się w ziemię, a łodyga zawsze zwraca się w górę, po nad ziemię?“ Jego gorliwości zawdzięcza uniwersytet uporządkowanie ogrodu botanicznego, który w straszliwém zostawał zaniedbaniu.

Biblioteka Uniwersytecka, która prawie całkiem zgorzała w 1848 roku, dzięki prywatnéj ofiarności i zapomogom rządowym liczy dzisiaj: 1) 29,437 dzieł drukowanych w 60,000 tomów. 2) 368 manuskryptów. Nadto posiada mały zbiór monet w ilości 10,240 sztuk, a oraz olejnych obrazów, stalo- i drzeworytów, litografii i map.

Bibliotekarzem jest Wojciech Urbański, niegdyś professor fizyki w Uniwersytecie Krakowskim, autor najlepszego w naszéj literaturze dzieła o fizyce.

Uczącéj się młodzieży na Lwowskim Uniwersytecie jest ogółem 932. Na wydziale teologicznym 255, na wydziale prawnym 515 i na wydziale filozoficznym 162.

Podług narodowości liczy się: 511 Polaków, 388 Rusinów, 28 Żydów, zapisujących się jako *Niemcy Mojżeszowego wyznania*; 4 Niemców i 2 Ormian.

Młodzież Lwowskiego uniwersytetu do niedawna bardzo smutny przedstawiała widok.

O wspólném życiu, które dziwnie oddziaływa na pojedyncze charaktery, elektryzując i spotęgowując ich energię, podnosząc i uszlache-

tniając uczucia, słychać nawet nie było wśród uczącéj się młodzieży. Każdy oddany tylko sobie, zamknięty w tych stosunkach, jakie mu stanowisko jego rodziców zapewniało, o swych kolegów nie troszczył się wcale. Biedacy, przybywający do Lwowa dla ukończenia nauk, pozbawieni koleżeńskiéj pomocy, zostawieni własnym troskom, w największéj nędzy, o jakiéj na innych uniwersytetach słyszéć nie można było, odbywali swe studya, byle jako tako złożyć swe egzamina i otrzymać patent, otwierający drogę karyery. O poświęceniu się dla nauki, o zamiłowaniu do niéj takiém, by ją uważać za główny cel swego życia, nikt tu nie myślał. Zamiłowania tego nie mogły rozbudzić ani szkoły, zostające w największém zaniedbaniu, ani uniwersytet, którego professorowie, sami karyerzyści i po większéj części nieuki, zdala się trzymali od młodzieży i niezdolni byli nakazać jéj szacunku dla siebie.

Zmiana wszakże na lepsze pod tym względem zaszła od kilku lat, i z każdym rokiem coraz to nowe postępy robi. Młodzież zaczęła się kupić, zawiązywać w kółka i towarzystwa literackie, wzajemnéj pomocy. W przeciągu tych kilku lat, powstała studencka biblioteka wraz z czytelnią, gdzie odbywają się literackie posiedzenia i odczyty; zawiązało się towarzystwo bratniéj pomocy, przychodzące z pomocą pieniężną w nagłych i koniecznych wypadkach; osobne powstało znowu towarzystwo, starające się o dostarczenie ubogim kolegom tanich pomieszkań i stołu.

Wśród pracującéj młodzieży, oddanéj swemu zawodowi i koleżeńskim stosunkom, rażąco uwydatniają się pojedyńcze indywidua, należące do koteryi tak zwanych „Gogów," czyli złotéj młodzieży, a jeszcze smutniéj tak zwana młodzież „tombakowa". Do pierwszych należą udekorowani hrabiowskiemi tytułami panicze, do drugich pieczeniarze ich i inni tego rodzaju, usiłujący swą moralną nicość zakryć pozorami źle naśladowanéj paniczykowatości i dobrego tonu. Biczem na Gogów jest *Szczutek*, satyryczne pismo, które bardzo szczęśliwie umió podpatrywać słabe strony społeczeństwa i z nieporównanym nieraz humorem wyszydza.

W ogóle mówiąc, uniwersytet lwowski w nowym swym rozwoju zajął stanowisko, które wróży mu zaszczytną przyszłość. Większa część professorów należy do ludzi postępowych. Są między nimi wprawdzie tacy, którzy bez ustalonych przekonań, gotowi są trzymać z każdém stronnictwem, byle było potężne i zamożne we wszystkie środki, imponujące słabym umysłom bądź swą powagą, bądź złudnemi nadziejami; ale takich nie wielu. Szczególniéj wybitnie przedstawiają się professorowie wydziału filozoficznego; oddani gorąco nauce, umieją odróżnić w niéj to, co stanowi prawdziwy jéj postęp, od tego, co jest tylko złudzeniem, a co najwięcéj świetną hypotezą. Śledząc tylko postęp nauki, nie żegnają się ani przed darwinizmem, ani przed pozytywizmem, ale z ostrożnością i bacznością ludzi rozumnych, tak z jednego jak i drugiego biorą to, co stanowi prawdziwy nabytek nauki, a odrzucają, co z dzisiejszego jéj stanowiska musi być uważaném tylko za przypuszczenie, któremu brak wszelkiéj podstawy.

Naukowe stanowisko professorów i moralny ich charakter, nareszcie udział jaki przyjmują w życiu uczącéj się młodzieży, dobroczynny na tę ostatnią wpływ wywierają i pozwalają spodziewać się, że z czasem uniwersytecka młodzież pozbędzie się ostatecznie wszystkich wad, jakie odziedziczyła po swych poprzednikach.

Towarzystwo pedagogiczne o którém w jednym z ostatnich zeszytów przeszłorocznej Biblioteki Warszawskiéj była wzmianka, urządziło i w tym, jak i w poprzedzającym roku, szereg odczytów publicznych. Dotąd odczyty przeznaczone były głównie dla kobiét; w tegorocznych uwzględniono szerszą publiczność. W odczytach tych, traktują się bądź pojedyńcze kwestye z jakiéj nauki, bądź cała jéj gałąź w ogólnym zarysie. Odczyty tegoroczne są liczniéj jak po wszystkie czasy, uczęszczane. Powodzenie swe zawdzięczają głównie professorowi Radziszewskiemu, który, jako prezes komitetu w ich uorganizowaniu rozwinął wielką gorliwość i energią. Udział w nich przyjmują: p. Radziszewski, który miéwa odczyty z chemii, p. Kreutz z geologii, Ciesielski z botaniki, p. Stanecki z kosmografii, p. Józef Żuliński z mineralogii, p. Tadeusz Żuliński z fizyologii, p. Wł. Kozłowski o propedeutyce historycznéj, p. Tretiak z literatury hiszpańskiéj, pp. Kuliczkowski i Br. Zawadzki z literatury polskiéj, p. Amborski z literatury francuzkiéj.

Na odczytach owych najliczniejszy kontyngens słuchaczów stanowią kobiety; co się tyczy płci brzydkiéj, ta, czy się uważa za zbyt mądrą, by się miała czego uczyć, czy zazbyt pokornego ducha, by się mogła czego nauczyć, woli swój czas spędzać po kawiarniach, gdzie znajduje się bilard, a mogą w potrzebie być i karty, lub po cukierniach i knajpach, gdzie z całą swobodą można się zabawiać gawędką niezawsze przyzwoitą i budującą. W ogóle mówiąc, tutejsza pleć brzydka nie bardzo smakuje w umysłowych rozrywkach, a do książki czuje wstręt nieprzezwyciężony. Powszechną jéj lekturą są dzienniki, i to po większéj części niemieckie.

Zawiązało się tu ostatniemi czasy towarzystwo, mające na celu wydawnictwo książek szkolnych. Towarzystwo to założono na podstawach stowarzyszeń zarobkowych. Głównym jego inicyatorem jest professor gimnazyalny Benoni. Kto wié, czém są dobre książki elementarne w wychowaniu młodzieży, ten z radością musi witać zawiązujące się towarzystwo, które tém potrzebniejsze jest w naszym kraju, że brak dobrych książek naukowych stanowi jednę z najgłówniejszych wad naszego wychowania publicznego. Towarzystwo to, które zaledwie przed miesiącem zawiązało się, ma już do dwóch tysięcy guldenów zakładowego kapitału.

Z nowym rokiem pojawiło się we Lwowie pismo literackie pod tytułem „*Wieść*,“ któréj redaktorem jest p. Władysław Rudnicki, doktor medycyny. Czy długo ono istnieć będzie, trudno przewidzieć; jakkolwiek bowiem czuje się tu gwałtowna potrzeba literackiego pisma, ale pisma dobrego, okazowy zaś numer „Wieści“ nie zupełnie dobrze przed

stawia się pod tym względem. Szczególniéj grzeszy dodatek powieściowy, którego język i cała treść nie mogą zachęcić do prenumeraty.

Jednocześnie okazał się pierwszy numer nowego pisma politycznego „*Głos*," który ma wychodzić pod redakcyą pana Rapackiego.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Zarysy badań krytycznych nad dziejami, historyografią i mitologią (niewymienionéj narodowości) *do wieku XV.* (Zeszyt 1. *Kronika węgiersko-polska* str. 142; Zeszyt 2: *Król Bolesław II i biskup Stanisław, przedstawieni w zmieniającém się świetle opinij kronikarskich do wieku XV; przyczynek do dziejów kościoła i szlachty w Polsce*, dotychczas str. 80. Ogół Zarysów opatrzony godłem: „*suum cuique*". *Wydał E. Swieżawski, mag... Warszawa 1871—73.*

Pomimo uwag, jakie przed parą laty czyli w dacie wyjścia na widok publiczny badań pana S. nad „kroniką węgiersko-polską" słyszéć się dały; gdy pojawiają się Zarysy, z dołączeniem tejże do spólnéj z dalszym szeregiem rozpraw całości: sam ich związek między sobą wzajemny, wymaga nadmienienia słów parę, i o téj, jak wiadomo, według programu pana S., stanowić mającéj przysionek do dzieła zamierzonego, kronice. W niéj zapowiedział nam autor określenie przewodniéj swéj myśli, która mu przyświeca tak w tych, jak innych badaniach krytycznych. Tém ważniejszy przeto mamy powód zaczęcia od klucza do rąk nam podawanego. Łatwiéj już będzie następnie, powiedzieć coś stanowczego, ze względu na zastosowanie programu do szczegółów kroniki i rozprawy dalszéj.

Zaufawszy atoli autorowi na słowo, iż dawana nam przezeń rękojmia, ma być dostateczną skazówką, z treści swéj i brzmienia, w celu sprawozdawczym, jaki sobie zakładamy, zobowiązywać się jeszcze tém samém nam nie wypada, do czynienia z niéj kwestyi odrębnéj. Jak się bowiem okaże w ciągu sprawozdania, nie we wszystkich naprzód założeniach sprawozdawca może z niém zgodnie ręka w rękę postępować; powtóre i ta oględność wartaby zastrzeżenia, ażaliż właściwie za śre-

dnie ognisko dla swych zastosowań przewodniéj myśli obiéra utwór dziejopisarski, jak dziś chce udowadniać, nader wątpliwie mogący się przypisywać swojskiéj rodowitości? Tento warunek do udowodnienia, zdaniém naszém, nie nadaje autorowi jeszcze prawa, do powołania się za wzorem znakomitego krytyka dawniejszego, na przywiléj motywowany starą przypowieścią: „kto do cudzego domu wnijdzie, do gospodarskiéj woli stosować się musi.“ Przywiléj ten, jeśliby przezeń nie był sobie przyznawany z tytułu przywłaszczenia, tedy opierałby się niewątpliwie na zmiennéj w skutkach tymczasowości.

Bądź co bądź, do gospodarskiego nawet jego prawa chcąc się zastosować, obowiązani jesteśmy przedewszystkiém spytać go o zasady, jakiemi się rządzić ma w badaniach zamierzonych. Bez poczerpnięcia tego światła na początek, ani byśmy się powinni zapuszczać w wielki labirynt jego zadania, z saméj natury rzeczy już się nastręczający.

Nim w materyi téj jednak do pewnych wyników dojdziemy, słuszność wymaga, aby dozwolono nam było oświadczenie wstępne, do jakiego kresu posuwać się może zgodność nasza nawzajem, w zadaniu kroniki, z autorem zarysów; zachęceni przez tegoż będąc wyrażeniem się przychylném, niejednokrotnie czynioném, w rozprawie „o Bolesławie wtórym i biskupie Stanisławie,“ co do miejsc pojedynczych i ogólnego prawie, na tenże obiéramy z kolei przedmiot zapatrywania się. Wszakże co do tematu ostatniego, sprawozdanie nasze odłożyć będziemy zmuszeni na czas późniejszy, właśnie w oczekiwaniu na dokończenie poczętéj dopiéro rozprawy. Więc na okolicznościowéj tylko poprzestaniemy w tém miejscu wzmiance.

Każdy przyzna to zapewne z doświadczenia własnego lub pośredniéj świadomości, że jeśli rzadko się trafia w życiu codziennem, tedy rzadziéj niewątpliwie w tym naszym ruchomym wiecznie żywiole piśmienniczym, ażeby obdzielający się, ten i ów, ponętném zrazu mianem „braci ślubnych,“ w roli téj sztucznéj, nowi Orestes i Pylades, wytrwali bez zachwiania. Cóż powiedzieć, i o takim bratnim stosunku zgodności, dwóch komentatorów walki Boleslawowskiéj, gdy idzie o pewność takiejże zgodności, po przeniesieniu kwestyi na inne pole, kwestyi albo za pospiesznie odsądzonéj, albo studyowanéj dopiéro na tle danych dwuwykładnych? Możliweż tu zrzeczenie się prawa do poglądu odmiennego?

Lecz i co do będącéj w mowie *antytezy*, którą motywujemy zgodnie, koniecznością odróżnienia w tém zadaniu „historyi“ od „legendy.“ Wnosilibyśmy najprzód, iż zgodność rzeczona dwóch komentatorów, rozciągnąćby się dała do większéj bez porównania liczby rozeznawców, w którychbyśmy nie literalne tylko poleganie na „słowach mistrzów“ przypuszczali. Innyby także rodzaj modyfikacyi się nastręczał, co do dwóch pracowników. Obaj rzeczywiście wyłączają z tematu rozprawy „świętość i męczeństwo“ biskupa, łatwo ślad tego wszędzie widzieć w ich pismach; obaj w mierze stosownéj, usiłują podnieść w znaczeniu dziejo-

wém zasługę wojaka, bohatéra. Lecz i pomimo tych względów przedniejszych, dałyby się wynajdywać mniejsze lub większe podobieństwa w odcieniach, na które trudno jest zwracać uwagę przy wzmiance pobieżnéj. Wszakże przy rozbiorze pilniejszym, dadzą się dostrzedz i różnice dwóch rozpraw, tak pochodzące z odmienności poglądów ich autorów, jak z techniki wysłowienia, (tonu np. marzycielskiego, w stosowaniu mitologii pogańskiéj do pewnych podań z dziejów cudu, z dziejów kościoła, w czasach Bolesławowskich zaledwo utrwalonego) i tym podobnych innych odcieni. To wszystko może być określoném ściśléj, za przedsięwzięciem rozbioru dwojga pism z powołania. Wyznamy iż brała nas samych chętka, otwartszego wypowiedzenia myśli przewodniczącéj, przy danym powodzie lub sposobności. Zachodzi zawsze ta alternatywa co do naszéj *antytezy dziejowéj* (lub jak chce może pan S., *legendowéj antytezy*?), iż albośmy nie wywiązali się dokładnie z swego założenia, albo przeciwnie, pojmowani byliśmy niewłaściwie, jak: przez sędziów z kazalnicy, mówców pogrzebowych, i innych tego rodzaju rozeznawców, konserwatywnych, wstecznych. W pierwszym razie przekonywać nas było powinno coś racyonalniejszego ze strony krytyki, nad parę docinków pokątnych lub bezmyślnych orzeczeń, w drugim dokonanie czegoś zupełniejszego, jak napomknęliśmy, zostawia się czasowi, za upatrzonym powodem lub sposobnością. To z góry tylko powiedzieć możemy, iż żleby pojmował nasze dążenia każdy, coby zarzucał nam stawienie wniosków ostatecznych," (do jakiegożby albowiem prowadziły nas one niewiadomego celu?), tam gdzie chodziło tylko istotnie o „krytyczną pewność" co do osób i zdarzeń, palącéj treści. Jedno to od drugiego, jak niebo od ziemi jest dalekiém.

Odmienny wcale od poprzedniego przedstawia się widok, dojścia do zgodności pojęć z autorem zarysów, od pierwszych zaraz stronnic w krytycznych swych badaniach nad tak zwaną „kroniką węgierskopolską:" gdzie nie uprzedzeni jeszcze przed tém żadnemi danemi z prac jego własnych, z nienacka oswajać się musimy, z postacią imponującą prawa dyktować mającego krytyka. Tożto Minerwa istna wychodząca z głowy Jowisza! a cierpkie jéj słowo w każdém przemówieniu, a niesprawiedliwość względem wszelkiéj przeszłéj lub teraźniejszéj zasługi pracy. Tak znać wyrozumiał rolę swą badacza, iż przed okazaniem w skutku czynionéj przez się „ważnych prawd zdobyczy," winien wprzód zdeptać pod stopami domniemaną powagę wszelką, (*autorytet, samouctwo* lub *nieuctwo*, synonim, wedle przyswojonéj przez siebie techniki wysłowienia). Niewątpliwie, po takiém zagajeniu, możnaby się spodziéwać nie lada pożytków, z niesionych przezeń świateł nauki, choćby te zdołał nawet wywyższyć nad poziom, z którego, jakby w sfery niedocieczone zapuszczał się nagle...

Za łagodnego bezwątpienia użylibyśmy terminu, gdybyśmy się wyrazili, iż od zniechęcającéj o sobie wieści, badawczy poczyna zawód. Znajdą się wkrótce na témże polu, mniéj hamujący się w słowie a doj-

rzali rozwagą spółpracownicy, którzy dla „kilku dobrych uwag,“ nie wybaczają bynajmniéj „wybryków szału“ [1]), tamte z lichwą w niwecz obracającego.

Nim przecież jeszcze do wprowadzenia w czyn swego programatu przystąpił, jakoby się potykał na pierwszym kroku, dając próbę teoretycznéj zdolności, określeniem sprzecznem, korzyści ważnéj z przedstawionego ujemnie przez siebie źródła odnoszonéj. Tam przed chwilą się uskarżał, na historyografów naszych, iż „szczególniéj *na tego rodzaju kompilacye*, baczniejszą zwracają uwagę i mniéj więcéj kunsztowne na nich hypotezy budują“ (str. 7), a po zamknięciu programatu i w chwili przejścia do dowodzeń, jakby o nic tak nadzwyczajnego nie chodziło: „tylko powiada (str. 9) autorowi kroniki węgiersko-polskiéj, *zawdzięczamy część rysów do moralnych dziejów naszego kraju.*“ Mamy więc prawo zapytać: na takichże to jedynie „zbieraninach z całostek rozmaitych, myśli, wiele obiecującą budowę swą (nie już hypotezę!) opierać? Ciemném jest również dla nas, znaczenie *zadania pierwszego* swéj pracy, lakonicznie a zagadkowo, określonego wyrazami: „*krytyka rezultatów, z badań nad kroniką wyniklych*.“ Bo o jakichże to rezultatach z badań ma sąd wydawać? o wiadomych sobie, przez kogo innego otrzymanych? czy o tych, które z własnych jego badań wynikną? Z ciemnych założeń, trudno jaśniejszych skutków w ich rozwinięciu się spodziewać. Zaliczmy do rzędu owych wyjątkowych „dobrych uwag“ iż „pochopność do przeceniania ważności źródeł sprowadziła: 1) stwarzanie nowych źródeł historycznych, 2) stwarzanie nowych osobistości dziejowych;“ potrzeba tedy najprzód, ażeby przekonywał z własnych dowodzeń, iż pamiętał o nich, a nie obierał za podstawę do wniosków stanowczych, źródła, które tu nazwał „kompilacyą,“ w dalszym ciągu ochrzci mianem „ramoty historycznéj“ (w zaczęciu kategoryi o Attyli, str. 22 i gdzieindziéj). Czy to nazwiemy „niepostrzeżeniem się“ czy „sprzecznością oczywistą:“ jeden jest skutek dla nas, iż chwiejemy się co do pewności naszego przewodnika.

Pnwniejszym może się okaże, biorąc za *zasadę drugą* w programacie, aby „nie oddzielać formy dzieła od treści.“ „Nie mniéj ważną“ powiada „jest okoliczność, że *facta* (dane) prócz wewnętrznéj swéj treści mają nader cenną zewnętrzną powłokę, która, w waryantach powieści już zkądinąd znanych, przy ich porównaniu ze zdarzeniami i okolicznościami, współczesnemi spisującemi one, przedstawia nowe, prawie nieżużyte źródło wieści o wewnętrznem życiu kraju naszego.“ Zgoda na to, chociaż warunkowa: wiemy, jak tę zasadę stosował niegdyś np. Lelewel, jak ją stosować może, już po dawnéj próbie przez p. Świeżawskiego

---

[1]) „Doch werden“ mówi o autorze naszym *Zeissberg* (*Preisschriften* 1873 str. 15) „einzelne gute Bemerkungen, die diese Schrift (ungarisch-polnische Chronik betreffend) entthält, leider nur zu zehr von *tollkühnen Behauptungen* überwuchert.“ Więc nawet dość ściśle wyrażenia tego nie oddajemy.

występujący z nową pożyteczną pracą: „o *rocznikach polskich*“ pod względem ich autentyczności (ale to autentyczności roczników, nie zasady wyświecania z nich „wewnętrznego życia narodu),“ *Smolka*. Jakoż gdy się o tym ostatnim wzmiankuje, stosowną jest rzeczą nie pomijać w milczeniu jego zadziwienia, w obec nowotnych wniosków przez autora naszego, w praktycznem zastosowaniu pomienionéj właśnie zasady wyciąganych [1]).

Dotknąwszy dwóch zadań, mianego na względzie programu, uzupełnijmyż je wzmianką i o trzeciém (ostatniém w programie). Brzmiące to są znowu słowa, a zarys w nich pojęć autora niemniéj charakterystyczny. Daje mu powód, niezaprzeczenie „dobra znów uwaga,“ iż „fakt podany np. przez Gallusa, powtarza się u Mateusza, Bogufały, Paska. Mirzwy i innych“ Nie można odmówić energii słowom badacza, iż „rdzennie on jeden (Gallus); ale ile zmian w jego formie, ile tam warstw (jakby formacya geologiczna, szczątki pojęć i uczuć swego czasu) obległo pierwotną opowieść?“ Cóż więc za sens moralny ze spostrzeżenia czynionego dla autora wynika?

„Tychto szczątków” mówi „śledzimy, *mając nadzieję zdobycia nie jednéj ważnéj prawdy* z tych studyów paleontologii historycznéj. Gdy są one jednak zawisłe bezpośrednio od osoby je piszącéj, jakkolwiek ta *jest tylko cząstką ogółu i echem opinii spółczesnéj*; tém się tłumaczy tytuł naszéj pracy.” (Tém się tłumaczy tytuł pracy? czy jest w nim atoli mowa, że autor zarysów, ma być „echem opinii spółczesnéj?” Dotychczas skromniéj, na inną myślby naprowadzał, iż przy tém, co dokazać może za siebie przynajmniéj, jeśli nie za „wiek” jeszcze, stawałby się odpowiedzialnym, ale i w takim razie (warto się nad tém zastanowić!) „spełzną zdobycze Bielowskiego i Kownackiego, pary u niego nierozłącznéj, jak twory rozgorączkowanéj wyobraźni; zgasną jak szmermele poetycznego, ale niekrytycznego dowcipu (str. 12).” Ten to „dowcip krytyczny”, ma być odtąd przedniejszym w jego badaniach czynnikiem.

Przechodząc od programu do dowodzeń, wyrabia sobie pewnik, pod względem daty powstania swéj kroniki, iż przypadała ona na *schyłek XIII wieku a początek XIV*, a do tego oryentującego punktu, kierować następnie zechce wszelkie swe wnioski, czy to znów domysły lub hipotezy. Wyrozumował to sobie, zbijając oznaczenia daty w mowie będącéj przez ś. p. Lelewela (str. 9 i 10), który „kronikę węgiersko-

[1]) Cytacya nasza *Smolki*, odnosi się do jednego dawanego przezeń przykładu, „spajania przez tegoż“ „trzech osób w jednej,“ przeciwko któremu powstaje tak w pierwszéj jak drugiéj tezie programu. Rzecz idzie o *Prokuja*, wuja Gejzy I, o którym tu z powodu dowodzeń autora „Zarysów” ogółowie nadmienimy (zob. *Polnische Annalen bis zum Anfange des XIV Jahrhunderts str. 29 w przypisku*).

polską, odnalazł w Porycku r. 1811." (Nie przemilczmy szczegółu, iż p. S., nowym zwrotem techniki wysłowienia, sobie właściwéj, nie opuszcza zazwyczaj przy wymienieniu nazwisk Lelewela, Naruszewicza i tym podobnych znakomitości z epoki przeszłéj, dodatku ś. p., formy religijnéj, jakkolwiek chwalebnéj, ale co najmniéj w dziejach piśmiennictwa zbytecznej). Zobaczmy na czém opiera z pomienionego rozumowania *rezultat;* wszakże i sam, jak widzieliśmy, „krytykę rezultatów" za pierwszy cel badań przedsięwziętych wskazuje.

Pochwytując naprzód Lelewela na oznaczonéj „nieostrożnie" dacie, w *uwagach nad Mateuszem herbu Cholewa* (z r. 1811), iż kronika mogła być dziełem wieku XI, na co dziś zgodzić się byłoby trudno, i komu innemu, nie zadawalnia się następnie datą również, przypuszczalnego w późniejszych badaniach przez Lelewela, roku 1240; jakkolwiek bowiem tenże motywowałby swe zdanie, upatrywanym w kronice wypisem z *żywota S-go Stanisława* (*żywota*, który przynajmniéj na lat kilkanaście przed kanonizacyą pomienionego świętego, musiał być spisany); autor zarysów, rękojmię dla siebie pewniejszą znajduje w domyśle Roepela, który z pewnych wyrazów tegoż *żywota*, prawdopodobnym dla powstania kroniki czynił rok 1295, datę koronacyi Przemysława II. Jak powołującemu się jednak, tak powołanemu do decyzyi w téj mierze, wyszło z pamięci, iż nie obejdzie się w żadnym prawie z takich *kanonów*, bez *wtrętów* albo *interpolacyj* z epok późniejszych. Obowiązek wszakże rozpoznania cząstek naleciałych do źródeł i sam za główny dla siebie, w programie już poczytał i żaden z późniejszych lub spółczesnych badaczy, od tegoby go nie zwolnił. Taka podstawa tylko, dla oznaczonego przez autora, w zakresie daty, (schyłku XIII wieku a początku XIV), ostatecznie, co do niéj, rzeczy nie przesądza. Cóż tu i „dowcip krytyczny" pomoże? Któż inny odezwie się dziś w porę z zapytaniem: ażaliż to można nawet o tę tak zwaną kronikę węgiersko-polską walczyć, jak o źródło krajowe? Zeissberg, np. w uwieńczoném swém, najświeższém opracowaniu: *o dziejopisach polskich, średniowiecznych*, twierdzi stanowczo, iż „na gruncie polskim ona się nie zrodziła" [1]). Co gdyby poparł więcéj rozwiniętém z powołania dowodzeniem, jakżeby tym walnym czynem, ważnéj przemiany w sądach naszych dokonał? Kruszy tém najprzód całe mozolne rusztowanie, wznoszone dowcipem krytycznym. Kronika nasza, zwrócona rodowitości, któréj odmówić ją usiłowano, wracałaby zarazem do podrzędnego znaczenia, jako echo i wypis tradycyj z *Kezy* i żywociarzy S-go Stefana węgierskiego, nie wyłączając plagiatorów, w cudze strojących się piérze.

---

[1]) *Die Polnische Geschicht-schreibungen*, str. 87 w przypisku: „Auch die ungarisch-polnische Chronik weiter eingehen, fühle ich mich nicht veranlasst *da dieselbe sicherlich nicht in Polen enstanden ist.*"

W każdym razie spodziewalibyśmy się podniesienia téj wątpliwości, rzuconéj z czasem i rozważenia przez autora, z takiém zuchwalstwem niekiedy, z dotykalnym wysiłkiem niepospolitéj nawet erudycyi, popierającego mniemanie przeciwne. Nie idzie tu już nam o zadraśnięcie czyjéjkolwiek miłości własnéj i nadużycie wolności pióra. Autentyczność kroniki, zmieniająca, jak widzimy, stan rzeczy, przynosiłaby korzyść w wielorakich innych względach, przecinając zwłaszcza drogę do przypuszczeń dowolnych, na których w historyografii nic trwałego nigdy jeszcze nie zbudowano.

Skoro zaś kwestya tak warunkowo stanęła, nadużywalibyśmy i baczności czytelników, rozbiorem szczegółów bezużytecznych. bez względu na rozmaitość kategoryj ustanawianych przez autora. Ograniczamy się więc tylko do jego podziału, na „stwarzanie bezzasadne nowych źródeł i rozczłonkowywanie pojedyńczych osobistości dziejowych na wiele innych."

Trzy mianowicie rozdziały początkowe kroniki [1]), zdają się głównie tkwić w pamięci autora. na których swój wywód, w ramach dzieła, na obszerniejszą skalę zamierzonego opiera. Bez udzielenia nam jednak objaśnień zasadowiéj motywowanych, cała ta jego pretensyonalna dyalektyka raczéj w *farsę*, jak godzien tego nazwiska, *produkt rozważnéj krytyki*, zmienia się na przyszłość. Wysiłek jest wprawdzie niepomierny tego dowcipu, w udowodnieniu np., gdzie nasz Bolesław I przez podstawienie mylnych danych, łączy się w jedno z Bolesławem wtórym, albo co gorsza, gdzie tradycye Atyllowskie, przenoszą się na pole działań nowoczesnych. Lecz ileż ku temu celowi skierowuje się dowolności, podobieństw wmawianych, ułudzeń wyraźnéj sztuki? A zarzut ten się dotyczy nietylko uwag nad kroniką, lecz i metody jego badań, od któréj zdaje się nie zechce odstąpić i w dalszych rozprawach. Ztąd nie spostrzega się, jak dowodząc stwarzania przez kogo innego nowych źródeł historycznych, sam właśnie w tymże znajduje się przypadku, z przecenianiem ważności kompilacyi albo ramoty, stającéj się dlań *cheval de bataille*, przez ciąg pracy, jak bańka mydlana niekiedy świetnéj zwodniczo, i jak bańka mydlana rozpływającéj się w nicość, po wejrzeniu na mniemane zdobycze prawd ważnych w ostatnim rezultacie. Na tém kończą się dlań w korzyści i owe okrzyki panów chrobackich, („Nie chcemy króli, sami rządzić się będziem"), niby kopia dosłowna takichże

---

[1]) Objaśnia autor Zarysów (str. 18): „Pierwsze trzy rozdziały, mówiące o Atylli, jego wędrówkach po Europie, oraz genealogicznym jego związku z Gejzą, tu Jerzym zwanym, poczerpnięte są z różnych wzmianek i szczegółów pierwszéj księgi dzieła Kezy (r. 1290 Chronicon Hungar). Jestto zarazem najpóźniejsza, z porównania źródeł wynikająca data, dla czasu kreślenia kroniki węgiersko-polskiéj i t. d.

okrzyków, w ustach buntowniczych panów Chorwacyi, morderców swego króla, których uśmierza Attyla, przerobiony w Akwilę przez Kezę i demokratyzowanie dla naszych dziejów bajecznéj roli Krakusa, zalecającego się za towarzysza, spólnika władzy, lecz nie za króla, według teoryi Bogufały i w ogólności te „nieocenione słowa," tak ważna rękojmia dla jego krytycznych badań; słowa po różnoczesnych i różnokrajowych kronikach wysławiane. Powtarzamy, iż daje w tych wszystkich zastosowaniach dowód erudycyi nawet niepowszedniéj. Dość trącić o pobudkę okolicznościową, wnet sypnie rzędem spostrzeżeń lingwistycznych, historyograficznych i z innych odnóg naukowości, jakby na popis, lecz nie dla ostatecznego przekonania, tak, jakby się tego kazał spodziewać, z wiele obiecującego zaraz na wstępie zakroju. Próba ta erudycyi kronikarskiéj, a zarazem dowcipu krytycznego, płodnego w niespodziane zwroty i śmiałe zbliżenia, o całe niebo od siebie dalekich przedmiotów, posłuży komuś za przykład odwrotnych dowodzeń, ale zarazem i zawczesną przestrogę dla zdarzyć się mogących w przyszłości, marzycieli dziejowych, bez elementarnéj zasady, natychmiast się na reformy, albo raczéj przewroty, w pojmowaniu zadania historyi, porywających. Już téż książka takiemi nowościami tchnąca, w wyrobie swym ułudna i barwna rodzajowo, obiegnie z rąk do rąk, choćby dla osobliwości sztuki i wzorzystego poglądu. Gdy zaś nakoniec streszczamy sobie w myśli zamiary autora zarysów i tę jego pozorną pewność siebie samego i technikę wysłowienia, i samąż jego dążność do dania przestrogi innym godłem „suum cuique" zapowiedzianą: czyliż nie przyznamy nowemu *zdzielcy*, (jak ten wyraz od Lelewela, niby na pokrewieństwo myśli i czynu, stara się przyswajać), jeżeli nie zdolności, tedy przynajmniéj odwagi niepowszedniéj? Do przemowy i objaśnień w niéj dawanych przez autora, lepiéjby się pewnie w wątpliwościach zachodzących nie udawać. Z téj wskazówki, możnaby wnosić o planach z namysłem powziętych i rozważném tychże w czyn wprowadzeniu. Jakże się temu sprzeciwi, dający się dostrzegać na każdym kroku pośpiech, zacząwszy od niekokładnego określenia tytułu zaniedbanej, a pod okiem autora dziejącéj się korrekty, aż do ogólnych warunków skończoności pracy? Nie można pominąć w milczeniu ważnego względu, iż prace cudzoziemców, podjęte w tymże przedmiocie, pod pomienionemi wszystkiemi względami, nie dadzą się porównać w wartości dla naszéj literatury z pracą rodaka. Po szeregu cennych badań poprzednich Zeisberga, następuje niemniejszéj wagi dla nas, z świeżéj daty praca tegoż *o polskiém dziejopisarstwie*, cały okres wieków aż po ocenę Długosza włącznie obejmująca. Dawniéj się obeznaliśmy z poglądami treściwemi na niwę słowiańską w „dziejach Attyli i jego następców" przez Amadeusza Thierrego. Niemiecki krytyk być może, iż światłem i nowością rzeczy po za obręb *pomników naszych dziejowych*, znacznie daléj nie sięga: natomiast francuzki, bez ich pomocy prawie się obchodząc z wielu względów dla samychże rodaków staje się pożytecznym. Ale na czémże ten ostatni zyskuje w zestawieniu z obecną pracą autora

Zarysów? Tam, gdzie on z przed oka nie traci pamiętnych, średniowiecznych *Niebelungów*, autor Zarysów ani jedném słowem nienapomykający o tém poetyczném źródle, na przecenianéj w ważności kompilacyi (synonimie *ramoty*), cały zapas erudycyi kronikarskiéj wyczerpuje. Są to poboczne względy; dają one nam ztémwszystkiém powód do zakończenia godłem: *et haec meminisse juvabit.*

Z. Komarnicki.

Cola Rienzi, dramat historyczny z XIV wieku, w 5-ciu aktach, prozą oryginalnie napisany, przez Adama Asnyka (El. . . . y). Kraków, 1873 r.

Postacią Rienziego, bacząc na ogólne stosunki historyczno-polityczne Włoch wielce ciekawą, zajmowali się różnemi czasy powieściopisarze a nawet muzycy (R. Wagner w operze tegoż nazwiska) [1]). Historycy wszakże w wydaniu ostatecznego zdania o tym śmiałym reformatorze, nie zupełnie zgadzają się ze sobą, gdyż jedni zwą go wprost utopistą, marzycielem, inni tyranem demagogicznego pokroju, inni nareszcie wielkim mężem politycznym, chcącym rozdarte Włochy doprowadzić do spoistéj jedności, a więc uprzedzającym o wieki całe, najnowszy rezultat wypadków politycznych. Zanim się dowiemy z przedstawienia dramatu, sądu autora o Rienzim, zdaje się nam koniecznem zaznaczyć poprzednio kilkoma słowy, szczególne stosunki Włoch, odmienne od wszystkich krajów ówczesnéj Europy, wspomniawszy zarazem o dwóch reformatorach poprzedzających, w analogicznóm niemal położeniu, ostatniego trybuna Rzymu.

Niepodobna opowiedzieć tu wszystkich walk papieztwa z cesarstwem, z biskupią feodalnością i z możną arystokracyą Rzymu; walk zakończonych ostatecznie tryumfem władzy doczesnéj papieży. Wśród jednak tych walk zaciętych prowadzonych orężem i dyplomacyą, zdarzały się wypadki wewnętrzne zaszłe w Rzymie, tém siedlisku niegdyś świata całego, zagrażające chwilowo i napozór stanowczo, władzy papieży lub cesarzów. Rzymianom w wiekach średnich, chodziło nie mało o przywrócenie i zachowanie wszelkich form władzy, jakie kiedykolwiek pojawiły się w ich dziejach. Chcieli senatu, trybunów, konsulów, patrycyuszów, królów, cesarzów, a z nowym biegiem rzeczy i papieży. Pragnęli chełpić się wszelkiemi instytucyami, przypominającemi im da-

---

[1]) Prócz powieści znanéj E. Bulwera, ukazała się także tragedya p. Drouineau w r. 1826 w Odeonie w Paryżu.

wną minioną już świetność, słusznie też nazwał zbiór tych form rządowych jeden z historyków: muzeum archeologicznem. Ów potężny i sławny systemat administracyjny dawnego Rzymu, mieli zamiar przenieść do kilku miasteczek podległych ich miastu. Tém wytłumaczyć można usiłowania kilku reformatorów, które mając ostatecznie na celu wyniesienie małéj municypalności Rzymu po nad wszystkie mocarstwa, stają się wreszcie czczą utopią, a zarazem ambicyą śmieszną i niczém nieuzasadnioną.

Znakomity historyk Sismondi, przedstawiając szczegółowo walki zewnętrzne i wewnętrzne miast włoskich, walkę papieztwa z zewnętrznemi wrogami, daje zarazem obraz przeobrażenia dokonanego w miastach włoskich. Umiały one z niezwykłą zręcznością posługiwać się jedną władzą przeciw drugiéj na wzajemne ich zniszczenie, aż ostatecznie zdołały władzę biskupią zastąpić wolno wybieralnymi konsulami, senatorami, sądami, dodając im własną siłę zbrojną. Miasta włoskie chciały żyć i brać udział w wielkości papieztwa i cesarstwa, ale nie tracąc bynajmniéj swéj indywidualności, chroniły się zaś pod opiekę jednego lub drugiego, w miarę jak się znowu obawiały przewagi municypalności sąsiedniéj. Powstały ztąd nieskończone nienawiści i rywalizacye między pojedyńczemi miastami, które ostatecznie doprowadziły do dziwnie chaotycznego bezrządu. Lecz chroniąc się pod opiekę cesarstwa lub papieztwa, lub obojga razem, wyłamały się przezto z rzeczywistego stosunku poddańczego, jaki był wszędzie wówczas w Europie, a skutkiem tego umyślnie wyrobionego dualizmu, nie poczuwając się do wspólnéj ojczyzny, któréj ogólne zwierzchnictwo przywłaszczali sobie cesarze, szukały pojedyńcze miasta włoskie, ojczyzny w samych sobie.

Rzym piérwszy dał przykład, starając się wywalczyć sobie niepodległość wśród dwóch pierwiastków: cesarskiego i papiezkiego. Jeszcze w r. 972, Krescenciusz dzielny i wymowny hrabia tuskulański, usiłował przywrócić w Rzymie rząd municypalny. Podczas małoletności cesarza Ottona III, ogłosił się konsulem, pozostawiwszy papieżowi Janowi XV jedynie władzę duchowną. Oparł się na dziwném złączeniu żywiołów demokratycznego z feodalnym, z nazwą trybuna ludowego. Po śmierci Jana XV, Otton III mianował papieżem Grzegorza V, Krescenciusz przedstawił mu Filagotusa. Z wyborem tym, łączył szerokie plany zwierzchnictwa cesarzy bizantyńskich nad oddalonym Rzymem, ale gdy się Otton III podsunął pod bramy Rzymu, lud wydał na pastwę Filagotusa, a Krescencuisz we własnéj obronie, zamknąć się musiał w zamku św. Anioła. Otton wywabiwszy go ztamtąd zdradliwie, kazał mu ściąć głowę, lecz zemściła się za Krescenciusza jego żona, która otruła cesarza. Dumas (ojciec) uwydatnił ten moment historyczny, w pięknym dramacie p. t. „Żona Krescenciusza."

Powtórzył się ten fakt rewolucyi municypalnéj, gdy Arnold z Brescyi, uczeń Abelarda począł głosić nieustraszenie, że kościół niepowinien mieć żadnéj własności ani praw świeckich, ale ograniczyć się jedynie na dziesięcinach i ofiarach. Rzymianie przy piérwszéj okazyi wybuchnęli,

nieuznając Innocentego II, a ustanowiwszy wobec ludu na kapitolu senat, według formy dawnych Rzymian. Bronili jakiś czas mężnie swych nowych urządzeń, chociaż nadarmo kusili się sprostać swoim praojcom, przez wskrzeszenie zewnętrzne tylko, dawnych instytucyj. Lecz z wstąpieniem na tron papiezki Eugeniusza III, postać rzeczy się zmieniła. Wyklął on Arnolda z Brescyi, ścigając go aż w miejscu jego pobytu w Zurichu; walki zaś duchowéj podjął się Bernard św. Rzymianie przywołali Arnolda, gdzie przyjęty z tryumfem, starał się przeprowadzić swoje reformy, pomiędzy któremi do najgłówniejszych liczyło się przywrócenie form rzeczypospolitéj rzymskiéj. Potworzył znowu konsulów, trybunów, tusząc że za pomocą tych godeł tradycyjnych, wskrzesi ducha heroizmu w wyrodnych Rzymianach [1]). Wkrótce przekonał się z bólem, że nie zdołał poskromić nędznego buntu na jedném z przedmieść.

Nadszedł czas, w którym papieże stanowczo odrzucali w zasadzie i praktyce, prawa zwierzchnictwa cesarzów nad swą władzą. Jestto epoka antipapieży i anticesarzów. Papieże i cesarze zrywają ze sobą stanowczo, czyniąc wszelki układ niemożebnym. Pierwsi opuszczają „wieczne miasto“, które oddane na pastwę arystokracyi rodowéj, przeradza się to w dyktaturę, to w samorząd miejski. Orsiniowie i Collonnowie, dwie rodziny nienawidzące się, pełnią władzę zwierzchniczą najabsolutniéj. I teraz znowu po raz trzeci, odgrywa się akt ciekawy, niby akt komedyo-dramatu, z wielkim pretensyonalnym zakrojem. Występuje na widownię trybun Mikołaj Rienzi, zwany *Cola Gabrino*. Urodził się w r. 1310 w Rzymie, a był synem szynkarza. O pierwszéj jego młodości nie wiele wiadomo, tyle tylko że otrzymał staranne ukształcenie i że był nawet pisarzem wcale niezłym, a zarazem sławnym w odczytywaniu starych napisów, które wygłaszał ludowi ażeby w niém obudzić dawne wspomnienia. Z Petrarką łączyły go ścisłe związki.

Dokładna znajomość jego charakteru, dałaby mniéj więcéj podstawę do trafnego ocenienia roli jaką odegrał, lecz właśnie w tym punkcie jakeśmy rzekli, nie zgadzają się na jedno biografowie. Kiedy jedni przyznając mu talent krasomówczy, robią go wielkim komedyantem i człowiekiem słabego charakteru, co oddziałać miało na jego system polityczny; inni zowią go marzycielem, ale wierzącym silnie w swoje posłannictwo, jakkolwiek przedsięwzięcie samo wydaje się im utopią i zuchwalstwem, nie mającém usprawiedliwienia w warunkach rzeczywistego bytu ówczesnych Rzymian. Cokolwiek bądź, to nie ulega wątpliwości, że Rienzi powziął plan wspaniały i olbrzymi, przetworzenia Włoch całych w zjednoczoną rzeczpospolitę, którejby stolicą był Rzym. Dziś plan ten

---

[1]) W XVI w. Machiavel w swéj „Rozprawie o Tytusie Liwiuszu“ przywołuje wspomnienia dawnego Rzymu, konsulów i dyktatorów. Chciał on również tém wspomnieniem ubiegłych czasów bohatérskich, wykrzesać w współczesnéj młodzi ducha dzielności i tym sposobem Włochy odrodzić.

przeszedłszy w czyn lubo odmiennéj formy i przy zupełnie odrębnych okolicznościach, dowodzi jasno, że przedsięwzięcie Rienziego i jego poprzedników było czczą tylko chimerą, albowiem Włochy bez zarodkowego, że się tak wyrażę, państewka, jakiém było królestwo W. Emanuela i bez potężnéj obcéj pomocy, nigdy nie byłyby w stanie wyzwolić się na państwo jednolite.

Tak więc nowy ten trybun, tak różny pochodzeniem i duchem od swych poprzedników na téj drodze, pragnie ujarzmić cesarza i papieża pod władztwo swoje, jako „trybuna pierwszego i rycerza Św. Ducha“ wskrzeszając znowu wszystkie formy dawnéj rzeczypospolitéj rzymskiéj. Lud jednak znękany bezładem, uwiedziony drogiemi wspomnieniami, słucha go i ulega nowemu stanowi rzeczy, nowéj organizacyi. Największe miasta włoskie a nawet monarchowie obcy, proszą go o sojusz lub o pośrednictwo. W roku 1347 ogłasza nową konstytucyę, wypędza z Rzymu baronów, karze śmiercią bandytów i przybiera tytuł trybuna i oswobodziciela Rzymu z władzą dyktatorską. Perusa, Arezzo, poddają się jego władzy i inne miasta gotowe przystąpić do związku. Wtedy Rienzi uniesiony dumą a może wiarą w swoją potęgę, zaczyna postępować zuchwale, samodzielnie i po tyrańsku, przez co wnet ściąga na siebie klątwę papiezką. Wypędzeni też baronowie wpadają do Rzymu, lud zmęczony i oburzony tyraństwem Rienziego opuszcza go, a trybun zmuszony zamknąć się w zamku św. Anioła, zkąd udało mu się wymknąć i uciec do cesarza Karola IV do Pragi. Cesarz jednak więżąc go czas jakiś, wydał go papieżowi Klemensowi VI, który byłby go ukarał śmiercią, gdyby sam nagle nie zmarł. Następca Klemensa Innocenty VI, chciał Rienziego spożytkować dla swoich celów, a on zmienny a może tylko udający zmianę przekonań, podjął się być narzędziem papieża. Pod egidą kardynała Albornoz powrócił do Rzymu, gdzie go lud znowu przyjął z nadzwyczajnym zapałem. Zaczął rządzić na nowo energicznie, kazawszy ściąć głowę Montrealowi bandycie, który w 30,000 ludzi niepokoił Włochy całe; lecz zmuszony nakładać na lud coraz nowe podatki, wywołał wzburzenie, w którém marnie zginął (1354).

Z nim razem runął plan jego chimeryczny, chwiejny i fałszywy u podstaw, niepoparty nigdy dzielnością zniewieściałego, spętanego i znikczemniałego ludu. W téj jednak jego chwiejności, była konieczność polityki wszystkich ówczesnych i późniejszych mężów stanu Włoch, którzy tylekroć zmieniali zdanie, ilekroć upatrywali w kimś wybawcę i oswobodziciela swéj ojczyzny. Tém objaśnić można zmienność przekonań Petrarki a zwłaszcza Machiavela, którego dzisiejsze badania krytyczne, usprawiedliwiają *poniekąd* z napisania tak przewrotnego dzieła jakiém było *Il principe*, a usprawiedliwiają zupełnie co do charakteru. Był on bowiem szczerym republikaninem, lecz w ciągłym ucisku swéj ojczyzny, najeżdżanéj przez obcych i gnębionéj przez tylu a tylu swojskich książąt, rad byłby zgodzić się i na najsroższego pana, byle ten rozumnemi rządy umiał był Włochy całe pod berłem swojém zjednoczyć. Dlatego też z pobłażaniem, a nawet z pewném uwielbieniem mówi o Cezarze Borgia.

* * *

Na takiém tle ściśle historycznóm, usnuł El...y swój dramat. Autora tego znamy i cenimy wysoko z licznych jego poezyi lirycznych, któremi dziś już ugruntował sobie nieprzemijające stanowisko w polskiéj literaturze. Z prac jego dramatycznych znamy tylko jednoaktową komedyę p. t. „Gałązkę Heliotropu“ rzecz wielce wdzięczną i poetyczną, o któréj w swoim czasie daliśmy na tém miejscu sprawozdanie. Z większych prac jego dramatycznych, „Cola Rienzi“ zdaje się być piérwszą. Odegrano go na scenie krakowskiéj z powodzeniem, którém my jednak, sądząc tylko z książki a nie ze sceny, co stanowi niemałą różnicę, wcale powodować się nie możemy.

Przedewszystkiém autor w samym już przedmiocie, zgotował sobie wielkie trudności, odnośnie do faktury dramatycznéj a także do stosunków własnego społeczeństwa, które oświecić pragnął analogicznemi promieńmi. Dziś bowiem dramat poczerpnięty w kronice dziejów bardzo odległych i obcych, musi mieć pewną zasadę, jeśli ma przemówić do ludzi dzisiejszych, realnie liczących się z chwilą, i nie zawsze usposobionych do podziwiania sztuki dla sztuki. Jest to fatalnością ale w części i dobrą stroną dzisiejszych społeczeństw, że od sztuki i literatury wymagają pośredniego choćby, moralnego użytku, mniéj już hołdując przyjemności czysto-abstrakcyjnéj. Rienzi zaś, ten człowiek obdarzony przez autora gorącą duszą, choć z zimném wyrachowaniem zmierzający do raz obranego celu, postępujący naprzód wśród niezliczonych trudności z podeptaniem uczuć najdroższych i z pognębieniem osób najbliższych, w końcu, gdy mu się zdawało że już jest u celu, ginący marnie, choć według autora, dla idei,—da się dziś przedewszystkiém zrozumieć, pozwalając zarazem ocenić zamiar autora. Inna rzecz, czy ten bohatér przemawia do nas językiem swego wieku, czy wypowiada myśli swojéj epoki? czy raczéj nie są to myśli i słowa dzisiejszéj doby, będącéj już rezultatem mnogich, smutnych, bardzo smutnych doświadczeń. Takie *zmodernizowanie* że się tak wyrażę, postaci dalekich wieków, jeżeli wykracza przeciw zasadom dramatu historycznego, przywiązuje jednak mocniéj uwagę dzisiejszego widza i czytelnika. Rienzi w dramacie pana Asnyka, to typ demagoga lubo najszlachetniejszych dążeń, gotowego ponieść ofiarę męczeńską, byle przyczynić szczęścia przyszłym pokoleniom. Zamknięty dla uczuć rodzinnych, dla miłości żony, którą z własnéj winy utraca, pozbawiając się przyjaźni jedynéj, w jaką w życiu swojém wierzył, wszystko dlatego, że taką a nie inną drogę wskazał mu nieubłagany jego plan odrodzenia, przedstawia typ oryginalny w swoim rodzaju, ale już typ nowożytny, powstały na gruntach wielu instytucyj przeszłości, a wykwitły z idei i cierpień XVIII i XIX wieku.

Rienzi sam powiada o sobie (str. 131) do Cecca: „Tacy ludzie jak ja, oddani jednéj wyłącznéj myśli, nie oszczędzają drugich, nie oszczędzają téż i samych siebie. *Są oni wyżsi nad ból i trwogę, nad wstyd i zgryzotę, wyżsi nad wszelkie prawo.*“ Albo wtedy gdy z ironią od-

rzuca posądzenie o sławę, wielkość i dumę: „Gdybym robił to, com robił jedynie w celu zapokojenia osobistéj dumy, byłbym tylko prostym zbrodniarzem.....“ A zastanawiając się nad tém co zdziałał i dlaczego, powiada: „Największy z nędzarzów ma jeszcze serca, na których spocząć może, niewinne uciechy które podzielić potrafi. A gdy i tego mu braknie, pozostaje mu noc spokojna po całodziennym znoju. A ja dobrowolnie wszystko to utraciłem i pozostałem sam, opuszczony i nienawidzony przez wszystkich, bez pociechy, bez wypoczynku, zarówno we dnie jak i w nocy.“ Wprawdzie i wielu mężom stanu zdaje się, że są wyższymi nad wszelkie prawo, ale bynajmniéj nie poczuwają się do tego, ażeby być wyższymi nad ból i trwogę, nad wstyd i zgryzotę. Tylko marzyciel zapatrzony ślepo w swoją ideę i wierzący w nią jak w przewodnią gwiazdę, zgadza się na wszelkie cierpienia, dobrowolnie wyzuwając się ze wszelkich przyjemności życia; tylko taki uważa swoje posłannictwo za opatrznościowe, popychające go naprzód, wiecznie naprzód, bez łzy żalu i bez chwili refleksyi nad boleścią najbliższych, którzy po drodze padają bez życia.

Drugą trudność miał poeta z samą budową dramatyczną. W dramacie bowiem, jedność czasu tak pogardzana przez rozszalałych romantyków a przedewszystkiém jedność akcyi, będzie należéć zawsze do najgłówniejszych fundamentów, każdego wyższego utworu dramatycznego. Gdzie mianowicie niéma téj ostatniéj, tam mści się ona na całości i na charakterach, które nigdy nie wyjdą pełno, skończenie i w tém zaokrągleniu jakie bywa koniecznem, jeżeli chcemy poznać dokładnie człowieka. To rozerwanie epizodyczne jakiego się poeta nie ustrzegł w swoim dramacie, rozerwanie zanadto uderzające, bo ciągle zastępowane opowiadaniem osób trzecich, zaciéra wyrazistość głównego bohatéra, znikającego nam z przed oczu w najważniejszych chwilach. Być może że dla téjże przyczyny, za mało robi wrażenia, przynajmniéj na czytającym, bo o teatralném przedstawieniu sądzić nie możemy,—scena bardzo szczęśliwie pochwycona i wcale dramatycznie nawiązana między Rienzim a Paolą jego żoną, w chwili gdy ta zrzuca maskę i otwarcie, z całą gwałtownością namiętnego uczucia, wyznaje mu że kochała nie jego, ale ukaranego śmiercią Guida, najlepszego niegdyś przyjaciela trybuna. Za mało poznaliśmy w Rienzim uczuć czysto ludzkich, aby nas wzruszyć lub przerazić mogły rozpacz i szał Paoli lub ból jego, jako obrażonego a może i kochającego po swojemu męża. W malowaniu téż bohatérów, zawsze najwięcéj chodzić powinno o uwydatnienie uczuć ich i przymiotów lub błędów ludzkich, bo z pomocą tych dopiéro, oceniamy z całą głębokością czyny ich publiczne, które przedstawione bez tych pobudek wewnętrznych, bez tych najskrytszych motywów, będą tylko deklamacyjném rozprowadzeniem samych faktów, dostatecznie już znanych z historyi. Szekspir nieinaczéj odsłania postać np. Henryka VIII-go, lub owego Henryka przyjaciela Falstaffa, lub owego potworu Ryszarda III, umiejącego tak doskonale łączyć namiętności z rachubą swéj polityki. W tym względzie jak i w tylu innych, pozostanie wielki ten mistrz

nauczycielem niezrównanym. Tutaj mimowoli nasuwa się pamięci naszéj fragment, przedwcześnie zmarłego ale wielce utalentowanego niemieckiego poety Chrystiana Grabbe p. t. „Napoleon“ w którym w kilku pojedyńczych, co do czasu nawet oderwanych scenach, znakomicie pochwycił charakterystykę tego wielkiego męża, a to przez odsłonięcie uczuć jego najwewnętrzniejszych. Fragment Grabbego, wygląda jak popiersie wyrzeźbione grubemi ale niezmiernie pamiętnemi rysami. W tém właśnie cała sztuka, iżby przy stwarzaniu postaci historycznych, zaczynać od najgłębszych podstaw psychicznych, i na nich dopiéro rysować gmach faktów, osądzonych nieraz w dziejach zbyt sucho lub nawet niejasno. Rzecz taka udawała się dotąd największym tylko poetom, i dlatego tak nam trudno o dramat historyczny w całém znaczeniu tego słowa.

Nie idzie za tém, iżbyśmy nie widzieli w p. Asnyku,—poecie dotąd znanym przeważnie z pięknych poezyj lirycznych, materyału na poetę dramatycznego; owszem z kilku scen i rzutów charakteru, domyślamy się go prawie na pewne. Lecz postać samego Rienzi'ego, grzeszy jakeśmy rzekli, brakiem ciągłości akcyi, a więc przez to i zaokrąglenia psychicznego, i zarazem pewnym retoryzmem, płynącym oczywiście z planów poety analogicznych powziętych z góry. Tak np. cała mowa Rienziego do ludu, na str. 43, nietylko zakrawa na deklamacyą, ale nadto najzupełniéj nowoczesną, taką jakiejby się nie powstydził żaden kandydat na najzwyczajniejszego posła. Tam wszakże, gdzie bohatér objawia jakąś cząsteczkę uczuć zwykłych każdemu z ludzi, np. w scenie II akcie IV, między nim i Gwidonem, tam poeta owłada natychmiast swój przedmiot i doskonale nad nim panuje.

Jakkolwiek Rienzi miał być główną postacią, inne zaś jakby się zdawało, miały go tylko uzupełniać, przecież stało się tu na korzyść dramatu, całkiem inaczéj. Bo właśnie inne postacie jak: Guidona, trochę i Paoli, a co dziwniejsza, figury całkiem podrzędne jak Beppo, Lippo i Agata, rozświetlają i rozwikłują poczęści dramat. Jakiż wyborny ten Beppo, wyraz najdobitniejszy chwiejnéj opinii publicznéj, lub choćby tylko owéj łaski ludu, która prędzéj jeszcze aniżeli pańska, na pstrym koniu jeździć zwykła. Kiedy się dowiaduje od Agaty, że się na trybuna trzech ludzi rzuciło ze sztyletami, woła z radością: „I zabili go? dobrze mu tak, poco się mieszał w nie swoje rzeczy,“ a gdy słyszy że lud oddał władzę Rienziemu, woła w uniesieniu: „A to przepysznie, doskonale! a nie mówiłem ci że tak będzie? Niech żyje Rienzi!“ I już sam z całego gardła okrzykuje tryumf tego, który ma być na razie jego panem, a potém układa nawet dla niego kantatę, co mu nie przeszkadza że gdy rzecz się odmieni, pierwszy weń sztylet wymierzy.

Figury te szkicowane dosadnie, wiernie posługują wyższéj myśli autora.

Postać Paoli uważamy również za szkic, który, gdyby poecie nie przeszkadzał ogrom zakreślonego planu, byłby się mógł przemienić w prawdziwy niepospolicie typ niewiasty. Lecz i tu brak środków

technicznych, wypływających z rozerwania głównéj akcyi, z materyalnéj poprostu szczupłości miejsca, przeszkodził autorowi w wypełnieniu rysów niezbędnych. Rozumiemy bowiem Paolę, gdy mówi że kocha Rienziego, gdy się oderwać nie chce od jego boku, ale gdy nagle w czwartym akcie oświadcza mężowi, że kochała szalenie Guidona jego przyjaciela, dziwimy się cokolwiek, niebardzo zadowoleni z téj wymówki streszczonéj w kilku słowach: jakoby przestała kochać męża dlatego, że uważał miłość jéj „za dziecinną lub przesadzoną.“ Jeżeli już autor nie mógł nam pełniéj życia jéj przedstawić, niechby przynajmniéj znalazł jéj był szczerszą, choćby na niedającéj się wyrozumować namiętności, opartą wymówkę. Żałujemy szczerze tego nieuzupełnienia psychicznego Paoli, bo ostatnia jéj scena z Rienzim, uderza wielką siłą dramatyczną.

Guidon, sądzimy już z czytania, że na scenie wiele zyskać musi. Jestto charakter narysowany z dziwną a trafiającą do serca prostotą. Pojmujemy doskonale że istnieli, istnieją i istnieć mogą ludzie z takim czystym charakterem, z taką nieugiętością zasad swych i przekonań, niechcący targować się o zysk, o łaskę, choćby tę dumę swoją stoicką, życiem przypłacić mieli. Wykuci oni z jednéj bryły granitu, granitu spoistego od dołu do góry, granitu bez plamki i skazy. W życiu politycznem, wybrańcy ci bywają zawsze narzędziem, bo są zanadto szlachetni ażeby podejrzywać. Giną śmiercią męczeńską, ale śmierć ich pleni wysoko moralny przykład, przechodzący tradycyą z pokolenia na pokolenie.

Na tém kończymy najżyczliwsze nasze uwagi dla tak znakomitego poety lirycznego, jakim jest El...y. Poeta ten stoi już dziś na tém stanowisku, że ani myślimy stawiać mu horoskopów co do jego przyszłéj literackiéj działalności; świadom on najlepiéj sił swoich i celów. Jeżeliby nam jednak wolno było, sądząc po tym ponętnym zadatku dramatycznym, wróżyć o jego przyszłości jako autora dramatycznego, to radzilibyśmy więcéj skupienia a może i oględniejszego wyboru przedmiotu. Znając naturę talentu pana Asnyka w ogóle, a szczególne znamiona z drobiazgu dramatycznego „Gałązka Heliotropu“ jesteśmy przekonani, że w przedmiotach mniejszych zakresem, serdeczniejszych znaczeniem, odnaleźlibyśmy ten niezmierny powab i wdzięk poetyczny, jakim się pan Asnyk, niezaprzeczenie z pośród całéj rzeszy spółpieśniarzy wyróżnia.

Ed. Lubowski.

Teatra w Polsce przez Estreichera. Tom I, w Krakowie, w Drukarni Leona Paszkowskiego, 1873 r. (w 16ce str. 427).

Dnia 19 listopada r. b. przypada 109 rocznica otwarcia pierwszego teatru narodowego w Warszawie, przez króla Stanisława Augusta, a z nim i pierwszy związek grona artystów dramatycznych, polskich.

Od téj chwili gałąź ta literatury ojczystéj, dotąd uboga, zaczyna się okrywać i świeżym, zielonym liściem, i bujném kwieciem.

Co przed tą chwilą pojawiało się w różnych czasach i miejscach na obszarze starożytnéj Polski, były to tylko pojedyńcze ogniki, które prędko gasły, niepodsycane ani potrzebą społeczności, ani jéj współczuciem. Wielkie historyczne dramata odegrywały się od początków XVI wieku na kresach rzeczypospolitéj, wśrod chrzęstu stalowych zbroic i grzmocie łamanych kopij; w następnych stuleciach szły one z nawałą hord najezdniczych we wnętrze kraju, znacząc ślady swoje krwią i pogorzeliskiem. W życiu zaś domowém, w zabawach przyjacielskich, w obchodach imienin, wesel i chrzcin, znajdowali najprzyjemniejsze *krotochwile*.

Blizko ćwierć wieku, scena ta pokazywała niemowlęctwo swoje, dopóki nie pojawił się mąż potężnych zdolności i poświęcenia, jakim był Wojciech Bogusławski, który nietylko, że w Warszawie postawił teatr narodowy na odpowiedniéj stopie oświacie i potrzebom społecznym owoczesnym, rozbudzając w ogóle popęd i zamiłowanie do tego, co piękne i szlachetne, ale wędrówkami swojemi po kraju zaszczepiał upodobanie do sceny narodowéj i dał uczuć jéj wysokie znaczenie.

Jeżeli rzucimy okiem w przeszłość daleką, widzimy pojedyńcze usiłowania od Jana Kochanowskiego wzbogacenia literatury dramatycznéj: obraz ten przez trzy wieki idący, mamy przedstawiony w dziele: *Teatr starożytny w Polsce.* Uzupełnił je Władysław Trębicki (*Biblioteka Warszawska* 1843 r.), a Władysław Chomętowski, w zajmującéj swéj monografii: „*Dzieje teatru polskiego od najdawniejszych czasów do 1760 roku.*" (Warszawa 1870 r.) nowemi wzbogacił szczegółami.

Z tych prac widzimy, że zamiłowania nie brakło do widowisk dramatycznych, szczególniéj też *misteryi* lub dramatów religijnych, ale przy braku stałego teatru i aktorów wyłącznie swéj sztuce poświęconych, było takowe przelotne i do pewnych pór roku zastosowane, jak w *zapusty*, lub w czasie wielkiego postu.

K. Estrejcher, jakkolwiek położył sobie za zadanie dać troskliwie zebrane wiadomości o *teatrach* w Polsce, korzystając z bogatego materyału, nieraz i w tém dziełku wspomina o *dyalogach*, jakie odgrywano po szkołach jezuickich i pijarskich przed datą otwarcia stałego teatru w Warszawie (N P. *Buczacz* str. 48, *Chełmno* w Prusiech Wschodnich str. 51 i. w. i.).

Za przykładem Warszawy, otwarto stały teatr w Krakowie: *Jacek Kluszewski* starosta brzegowski, był założycielem téj sceny w roku 1780 a zatém w piętnaście lat po warszawskim.

Widowiska odbywały się w pałacu *Spizkim*, a najdawniejszy dochowany afisz wspomina o wyreparowaniu i odnowieniu teatru w roku 1785, co dowodzi, że już dawniéj tu grywano.

Afisz ten, jako ciekawy zabytek, dosłownie przytaczamy.

„Za pozwoleniem zwierzchności, w pałacu Spizkim na teatrze publicznym, teraz zupełnie odnowionym i ku największéj wygodzie wy-

reparowanym, aktorowie narodowi będą mieli honor dać w niedzielę, tojest dnia 16 stycznia 1785 komedyą w trzech aktach pod tytułem: *Obrotny sługa nieroztropnego pana, czyli Krętolewicz.*

„Ta komedya z francuzkiego tłumaczona, komiczna i tak zabawna, że każdą scena ma swoje zawsze odmienne, z osobliwszéj zabawy myśli.

„Śmiało ręczyć możemy, że wszystkim zgoła gustom i humorom, ta komedya podoba się i najdostateczniejsze przyniesie ukontentowanie. Cena miejsc. *Noble parter* zł. 3. *Galerya* zł. 2. *Trzecie miejsce* zł. 1. Dla ludzi *w liberyi* groszy 15. Mamy honor donieść, że zacznie się o godzinie szóstéj komedya, aby innym zabawom nie czynić przeszkody."

Dzieje dalsze téj sceny są w tém dziełku podane, lubo dopiéro w połowie, bo zacząwszy od przedsiębierstwa Kluszewskiego, mamy tylko do okresu Chełchowskiego doprowadzone. Ostatnia trupa aktorów pamiętna z tego, że w niéj się wykształcili najwięksi nasi artyści, jak Jan Królikowski, Rychter Józef, Chomiński Ignacy, a przy nim i brat jego młodszy Michał.

Ze wstępu autora dowiadujemy się, że przygotował historyą sceny polskiéj w kilku tomach; rzecz ta ogarnia tylko dzieje jéj wyłącznie, pomijając biografie aktorów, a jest częścią dzieła większego rozmiaru, obejmującego historyą dramatu w Polsce. Pracę tę przerwał w roku 1860, od chwili, gdy od wielu lat zbierane materyały bibliograficzne, zaczął przygotowywać do wydania *Bibliografii polskiéj.* W jakiéj formie przerwał swoje zapiski o teatrze w roku 1860, w takiéj teraz zaczął je drukować w *Afiszu* Krakowskim, a z tego, w stu tylko agzemplarzach zrobioną została odbitka w oddzielnéj książce, o któréj mówimy. Tak szczupła liczba egzemplarzy robi odrazu to dzieło rzadkością bibliograficzną. Dalsze tomy co rok następnie mają wychodzić; ilości ich autor nie oznacza, lubo zakreślił rok 1860, do którego sięgają jego badania. Układ idzie alfabetyczny; ztąd zaczyna K. Estrejcher od *Bałty i Berdyczowa*, a kończy ten tom na Krakowie. Następny zapewne obejmie samą scenę krakowską, kiedy była w najświetniejszym stanie pod dyrekcyą Meciszewskiego i jaśniała zbiorem potężnych talentów tak aktorów, jak i artystek dramatycznych.

R.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— Wydawnictwo pod kierunkiem redakcyi czasopisma „Kłosy:“ *Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europejskiéj*, po ukończeniu tomu piérwszego, rozpoczęło tom drugi. Obejmuje utwory trzech znakomitych pisarzy polskich: J. U. Niemcewicza („Jan z Tęczyna,“ powieść historyczna); Karola Libelta („Dziewica Orleańska,“ ustęp z dziejów Francyi) i Juliusza Słowackiego („Powieści poetyczne“). Podług prospektu co miesiąc tom jeden pomienionéj *Biblioteki* wychodzi w dwunastu arkuszach ścisłego druku. O ile nam wiadomo, w drugim kwartale r. b. ukończony zostanie zbiór poezyj J. Słowackiego, który obejmie dwa tomy i o ile można wyczerpanym zostanie; obok tego wydanym zostanie najstaranniejszy przekład powieści Wiktora Hugo „Kościół Panny Maryi w Paryżu.“ Wydawca, szanując prawa własności literackiéj, rozwinął obszerną korrespondencyę z wielu autorami, i otrzymał już od nich piśmienne upoważnienie do drukowania wybranych utworów, które wejdą do dalszych tomów *Biblioteki* tak w roku bieżącym jak przyszłym. Cena nadzwyczaj nizka, bo za 12 tomów wynosząca tylko rsr. 4 kop. 80, które objętością zawartego w nich materyału, odpowiadać będą przynajmniéj kilkudziesięciu tomom zwykłych wydawnictw książkowych. Dobór treści zarówno pouczającéj jak zajmującéj, już zapewniły świetne powodzenie temu wydawnictwu.

— „Kartki z podróży 1858—1864“ przez J. I. Kraszewskiego księga druga. (Warszawa, nakład i druk Józefa Ungra, 1874, w 4-ce).

Przed ośmiu laty, tego dzieła wyszła część piérwsza, teraz wydaną została księga druga i ostatnia. Dla artystów naszych i dla historyi sztuki, praca ta ma nieocenioną wartość. Wydanie przepyszne, robi zaszczyt typografii J. Ungra, która śmiało w zawody z zagranicznemi iść może.

— Z drukarni Gazety Lekarskiéj wyszła broszura p. n.: *Myśli o edukacyi kobiét* przez Joannę Kuczyńską. (w 8-ce, str. 64). W przedmowie wyznaje autorka, że w téj pracy „ogłasza drukiem zdania kilku francuzkich pisarzy o edukacyi kobiét, w jednę całość z własnym poglądem związane.“ Nie pojmujemy tego zbierania aż z nad Sekwany wzorów dla Polek: czyż nigdy nie zdobędziemy się na samodzielny pogląd, zastosowany do nas samych, a wynikający z miejscowych potrzeb i charakteru narodowego.

— Pierwszy zeszyt „Pism Lekarskich“ Dra Chałubińskiego p. t. *Metoda wynajdywania wskazań lekarskich; Plan leczenia i jego wyko-*

nanie, ukazał się na widok publiczny. Były professor kliniki terapeutycznéj, podaje tu własną metodę badania i leczenia opartą na długiém naukowém doświadczeniu. Część przyrodnicza, filozoficzna i właściwie metodyczna, złożyły się na piękną całość. Najgorliwiéj przeto polecamy naszym specyalistom tę pracę, o któréj obszerniejsze damy sprawozdanie we właściwym dziale naszego pisma.

— Sztuka drzeworytnicza która tak znakomicie w Warszawie rozwinęła się i udoskonaliła, zwróciła uwagę zagranicznych wydawców pism illustrowanych. *Kazanie Skargi*, podług własnoręcznego rysunku Jana Matejki, rytowane na drzewie przez Jana Styfiego Warszawianina, zażądane zostało od redakcyi „Kłosów" do Petersburga, Hamburga i Sztuttgardu; drzeworyt zaś w témże piśmie pomieszczony *Jawnogrzesznica* Siemiradzkiego, wykonany przez Drzeworytnię warszawską, do Hamburga.

— W Warszawie z drukarni synów Orgelbranda, wyszła książka ogarniająca tytułem: *Wiadomości Archeologicznych*, zbiorową pracę sześciu miłośników wykopalisk: Jana Zawiszy, Józefa Przyborowskiego, Lubomirskiego, Zygmunta Głogera, Edmunda Stawiskiego i Kaliksta Jagmina. Prace te ściągają się częścią do paleontologii, częścią do archeologii kraju naszego, i przedstawiają nietylko opisy wykopanych przedmiotów, ale i wizerunki ich, wystawione drzeworytami między druk wkładanemi. Praca p. Przyborowskiego jest najobszerniejsza i obejmuje nader wiernie rysowane wyobrażenia urn, wyrobów krzemiennych i t. p. Pierwszy to raz podobno przybywa bibliografii naszéj książka téj treści i w taki wydana sposób, że każdy przeczyta ją ciekawie i zachęci się do przedsiębrania wykopalisk, a tym sposobem do odkrycia w przyszłości ważnych zabytków, bo one nieraz rzucą nowe światło na oddaloną przeszłość tych okolic, w których mieszkamy.

Rs. 1 kop. 80, nie jest to przesadzona cena książki, zawierającéj 216 drzeworytów, z których wiele czynią zaszczyt drzeworytni warszawskiéj.

— Stały nasz korrespondent z Ameryki Julian Horain, objął redakcyą: *Gazety New-Yorskiéj* od Nowego roku 1874, która w języku polskim wychodzi raz na tydzień w New-Yorku.—Dzienniki miejscowe z pochwałą wspominają o modelu z gliny na posąg dla Tadeusza Kościuszki przez rzeźbiarza Feliksa Kwakowskiego wyrobionym, który w New-Yorku jest do obejrzenia. Figura ośm stóp wysoka, ma być ustawiona na granitowéj podstawie, ozdobionéj płaskorzeźbami. Rysy oblicza uderzają wielkiém podobieństwem, cechują siłę woli i determinacyą.

— Nakładem redakcyi Opiekuna Domowego wyszła książeczka pod tytułem: *Co wychowanie z dziecka zrobić może i powinno?* Obejmuje rozdziały: „Czy wychowanie zda się naco?" Jaki jest cel wychowania? Jakie są sposoby wychowania i nauczania. Jest to wstęp

do wydawnictwa książeczek do wychowania potrzebnych; wydawnictwem tém zajmuje się redakcya Opiekuna Domowego.

— W Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Poznaniu, d. 9 lutego r. b. na posiedzeniu wydziału historycznego p. Ignacy Zakrzewski odczytał rozprawę: *O księgach ziemskich archiwum poznańskiego z pierwszych lat panowania Jagiełły.* W wykładzie tym przedstawił prelegent ciekawy obraz sądownictwa polskiego z owych czasów, niemniéj podział Wielkopolski na województwa, powiaty, nierównie od dzisiejszych obszerniejsze, i opola. Wykazał sposób zaciągania pożyczek, zastępujący dzisiejsze weksle, sposób załatwiania spraw honorowych w miejsce dzisiejszych pojedynków, wykazał korzystny stosunek włościan do ziemian (szlachty), sposób tworzenia się i dochodzenia szlachectwa, a to wszystko na przykładach przytaczanych z ksiąg ziemskich poznańskiego archiwum grodzkiego. Rozprawa ta ma być ogłoszoną w rocznikach tegoż towarzystwa, ale należałoby ją z powodu ważności swéj treści, w oddzielnéj wydać książce i przez to zrobić przystępniejszą dla ogółu.

— Na posiedzeniu komissyi akademickiéj historyi sztuki w Krakowie pod przewodnictwem p. Siemieńskiego, p. Łepkowski przedstawił odpisy dwóch dokumentów z archiwów Norymbergii odnoszące się do sprawy obrazów, októrych p. Łuszczkiewicz czytał rozprawę na jedném z ostatnich posiedzeń tejże komissyi. Treść długiéj dyskusyi, jaką wywołało to przedstawienie, będzie drukowaną w sprawozdaniach właściwego wydziału akademii. Następnie w sprawie dalszego wydawnictwa Albumu Albertotypowego „Sztuka i Starożytność“ postanowiono je zamienić w pismo poświęcone badaniom zabytków archeologicznych i sztuki Krakowa.

— Wystawa Towarzystwa sztuk pięknych w starym grodzie Krakusa, zwraca wszystkich uwagę. Są tu utwory genialnego pędzla Jana Matejki: *Unia*, *Stefan Batory*, *Rejtan*, i mały (formatu arkusza) olejny obrazek przedstawiający *Maćka Borkowicza*, skazanego przez Kazimierza W. na śmierć głodową, (zakupiony już za 16,000 złp.): są portrety Rodakowskiego, *Widoki wnętrz Gryglewskiego*, cudne akwarelle Juliusza Kossaka, oprócz wielu innych niebraknie utworów znakomitych dłuta polskich rzeźbiarzy. Nigdy Kraków nie miał tak świetnéj i bogatéj wystawy sztuk pięknych jak obecna.

— Zawiązało się w Krakowie grono lekarzy, które podjęło się dostarczać różnych sprawozdań z piśmiennictwa lekarskiego polskiego do roczników sprawozdawczych Virchowa i Hirscha, wychodzących w Berlinie. Aby ustrzedz się od przypadkowego pominięcia jakiejś pracy na uwagę zasługującéj, a nieogłoszonéj w żadném czasopiśmie lekarskiém polskiém, pożądanémby było, aby autorowie prace swoje wyszłe oddzielnie w ciągu r. 1873, o ile odnoszą się do anatomii opisowéj, patologicznéj, histologii, fizyologii, patologii ogólnéj, chemii lekarskiéj, farmakologii, terapii ogólnéj, hidroterapii, balneologii, elektroterapii, epidemiologii i historyi medycyny, nadesłać raczyli do redakcyi Przeglądu Lekarskiego

najdaléj do piérwszéj połowy marca, z innych działów zaś lekarskich do połowy kwietnia r. b. Uprasza się uprzejmie inne czasopisma polityczne i naukowe, aby przez wzgląd na zamierzony cel powszechnego pożytku, niniejszą odezwę w swych łamach niezwłocznie umieściły.

— Na posiedzeniu komissyi archeologicznéj akademii umiejętności w Krakowie, w drugiéj połowie stycznia r. b. p. A. H. Kirkor miał rzecz o zbiorach archiwalnych na Litwie, jako wstęp do wspomnienia o ś. p. Eust. hr. Tyszkiewiczu. Na témże posiedzeniu złożono wykazy grobowisk pogańskich, złożone przez sekcyą wykopalisk. Praca ta znacznie już postąpiła za staraniem p. Kirkora, J. N. Sadowskiego, Umińskiego i D-ra Koperczyńskiego. Zebrano i podano wiadomość blizko o 300-tu grobowiskach w Ks. Poznańskiém, Królestwie i guberniach Zachodnich.

— Towarzystwo lekarskie krakowskie wybrało komissyę terminologiczną, złożoną z doktorów Janikowskiego, Kremera i Bettingera, mającą zbierać materyały do słownictwa lekarskiego polskiego. Materyały te posłużą kiedyś komisyi językowéj *Akademii Umiejętności* do ułożenia zasad słownictwa w téj gałęzi nauki, a nim to nastąpi, mogą być pomocne lekarzom piszącym o rzeczach bieżących.

— Podług ogłoszonego sprawozdania centralnéj komisyi statystycznéj w Austryi, Biblioteka Jagiellońska w Krakowie zawiera (oprócz rękopismów) 139,962 tomów, we Lwowie 54357. Ta ostatnia byłaby daleko zamożniejszą, ale przy bombardowaniu Lwowa w r. 1848 bogaty poprzedni księgozbiór z dymem poszedł. W nim zginęło wiele drogocennych dzieł i nie mało unikatów jak i rękopismów. Obecnie od kilku lat jest bibliotekarzem uczony Dr. Wojciech Urbański, który z całą gorliwością obywatelską czuwa i stara się o pomnożenie téj nowéj biblioteki.

We Lwowie wyszło dzieło p. n. *Zasady budowy* i *utrzymania kolei żelaznych*, przez Stanisława Jarmunda. Tom I, Lwów 1873 r. Nakładem autora w 8-ce, str. 214. Oddzielny tom obejmuje tablic litografowanych objaśniających tekst XXVI. Znany jest już autor jako uczony inżynier, przed dziesięciu bowiem laty wydał w Warszawie dwutomowe dzieło p. n. *O budowie dróg* i *mostów*.

— Nakładem J. K. Żupańskiego ma wyjść: *Monografia o koniu* marszałka Maryana hr. Czapskiego. Dzieło europejskiego znaczenia w dwóch tomach: 126 arkuszy druku, 250 tablic rycin. Sam oddział o koniu polskim, obejmuje 45 arkuszy druku i niéma tam opuszczonego ani jednego autora choćby najrzadszego, któryby czy to wierszem, czy prozą o koniu pisał: niéma przysłowia o koniu któregoby autor nie przytoczył. Te dzieje powszechne konia, jak dzieje cywilizacyi sięgają nawet czasów przedhistorycznych.

— P. Nitschman z Elbląga p. n.: *Polnischer Parnas*, wydaje bijografią naszych poetów i prosi pp. artystów i autorów, mianowicie z Królestwa, o dostarczanie mu pewnych danych z życia poetów, czém mu wyświadczą przysługę. Dzieło to już jest na ukończeniu.

— W piśmie poświęconém pszczolnictwu, wychodzącem w Paryżu: *L'apiculteur, journal des cultivateurs d'abeilles, marchands de miel et de cire ect.* pod dyrekcyą P. H. Humet, professora pszczolnictwa w Luksemburgu, w numerze z lutego znajdujemy dwukrotną wzmiankę o znakomitéj monografii pszczoły p. Michała Girdwojnia, która otrzymała medal zasługi na wystawie wiedeńskiéj. Na zgromadzeniu głównem pszczolnictwa i owadoznawstwa (insectologie) d. 24 stycznia w Paryżu, dzieło naszego ziomka zyskało sobie powszechne uwielbienie. Nazwano je: *un travail hors ligne.* Nie ustępuje praca ta słynnéj monografii chrząszcza przez Strauss-Durkheima, dotąd uważanéj za nieprześcignioną. Text ma być przełożony na język francuzki i z 24 wspaniałemi tablicami wydany w Paryżu.

Pan Michał Girdwojń jest rodem z pod Kowna. O ile nam wiadomo, zajmuje się teraz studyami nad hodowlą sztuczną i zapładnianiem ryb i ogląda zakłady główne za granicą. (Wydanie polskie jego dzieła, znajduje się w księgarni Gebethnera i Wolffa po cenie rs. 1 kop. 35).

— Czytamy w *Kronice Rodzinnéj*: Zmarły niedawno Karol XV, król szwedzki, był wielkim miłośnikiem sztuk pięknych, jako sam artysta, malarz i muzyk. Zbiory sztuki gromadził w ulubionem miejscu swego pobytu, w zamku Ulryksdal pod Sztokholmem. W czasie ostatniéj bytności swéj w Paryżu w r. 1872, polecił znanemu zakładowi artystycznemu *I. C. Billmark,* wykonanie albumu, przedstawiającego wspomniony zamek i zbiory w nim zawarte. Dzieło to obecnie dopiero ukazało się w 17 ozdobnych tablicach pod tytułem: *Chateau Royal d'Ulriksdal.* Cały nakład zakupił H. Bukowski antykwaryusz, rodak nasz, mieszkający *w Sztokholmie Jacobstorg* N r 3 i poleca to dzieło miłośnikom sztuki. Exemplarz kosztuje 10 talarów pruskich, a sprzedający ogłasza, że na listowne do niego zgłoszenie, podejmuje się dopełnić przesyłki.

— Dzienniki nasze szczególniéj ubiegają się, aby każdą nowość osobliwie większéj wartości ile można najprędzéj przedstawiać czytelnikom. Na takich wyścigach najwięcéj publiczność korzysta. I tak: przekładem najnowszéj powieści trzy tomowéj Wiktora Hugo p. t. „*Rok 93*“ zajmują się trzy redakcye. Piérwsza Gazeta Polska zamieszcza ciągle ten przekład w felietonie swoim. Piérwszy tom już nawet oddzielnie wydała, a w dniu 26 lutego w Numerze 45 skończyła tom drugi. Redakcya „Wieku“ zapowiedziała swój przekład równocześnie prawie i teraz donosi iż z dniem 28 lutego powieść drukować będzie jako bezpłatny dodatek premiowy do Wieku, arkuszami w formacie książkowym dużéj ósemki. Każdy taki arkusz ma mieścić około cztery arkusze druku francuzkiego wydania. Prócz tego i „Przegląd Tygodniowy“ przekład téj powieści ma dla swych czytelników przygotować.

— Ostatni zeszyt pisma: *Rivista Europea* przyniósł nam wiadomość o kilku ważnych nowościach, które przynoszą zaszczyt pięknie rozwijającéj się obecnie literaturze włoskiéj: *Mancini* professor zwyczajny na Uniwersytecie w Rzymie, znany prawnikom z długiéj i świetnéj mowy, wypowiedzianéj w parlamencie 1865 za zniesieniem kary śmierci, wydał: *Kurs prawa międzynarodowego* (Diritto internazionale. Prelezioni con un saggio sul Macchiavelli. Napoli. G. Marghieri, pag. 320 in 8-vo). Zasadą na któréj autor buduje swój system, jest „sumienie narodowe"; przedmiotem i podmiotem tego prawa są ludy, nie zaś państwa. Dowodzenie tych zasad odznacza się szlachetnym zapałem i przekonywającą siłą argumentów.

G. I. *Ascoli*, który pracami swemi na polu dyalektów italskich (raczéj ladyńskich) zyskał uznanie filologów niemieckich, wydał tom 2-gi swego cennego: *Archivio glottologico italiano*, obejmujący studya nad poezyami genueńskiemi z XIII i XIV wieku przez N. Lagomaggiore (Rime genovesi del secolo XIII e del principio del XIV). Wiadomość o I-m tomie tego archiwum była podana w zeszycie czerwcowym Bibl. Warsz. z r. z. Wszakże zapowiedziane tam Towarzystwo Dyalektologiczne włoskie dotychczas jeszcze się zawiązać nie mogło.

P. Ambr. *Curti* wydał wyborny opis m. Pompei *(Pompei e le sue rovine* 2 t.*)* odznaczający się bogactwem wiadomości naukowych z życia starożytnego świata, oraz przystępnością wykładu dla publiczności; przed opisem ulic, gmachów, dzieł sztuki, znajduje się historya Wezuwiusza i historya miasta. Kompletne dzieło będzie się składało z trzech tomów.

— Dr. Fryderyk *Müller*, współpracownik znanego sprawodania z podróży na około świata wykonanéj przez fregatę Nowara, usystematyzował i uzupełnił swoje badania nad lingwistyką i etnografią powszechną kuli ziemskiéj. Praca jego ukazała się teraz p. t. *Allgemeine Ethnographie* (Wien 1873 Beck'sche Univ. Buchh). Przeprowadzony tu podział rodzaju ludzkiego na rassy podług Haeckla, ściąga na siebie zarzuty antropologów, lecz część właściwie etnograficzna zjednała wysokie uznanie krytyki.

— Dla ekonomistów i historyków bardzo się przydać mogą *Tabele cen* praktykowanych w m. Peszcie w rozmaitych okresach czasu pomiędzy 1789—1870 r. zebrane przez Jos. *Körösi* i wydane w tłumaczeniu niemieckiém (Beiträge zur Geschichte der Preise. Pesth. 1871. Rath. in Comm. str. 92 in 4-o). Chociaż w spisanych tu cenach nie uwzględniono ażia na monetę brzęczącą, wszakże samo zebranie i ugrupowanie danych statystycznych, połączone zwykle z wielkiemi trudnościami, nadaje tablicom p. Körösi wartość wysoką. Najkompletniejszym jest dział cen zbożowych, obejmuje bowiem nieprzerwany ciąg lat od 1791 do 1870 r.

— G. Chouquet napisał z głęboką erudycyą historyczną i znawstwem *Historyą muzyki dramatycznéj we Francyi* (Histoire de la musique dramatique en France depuis se origines jusqu'à nos jours, Paris 1873 Firmin Didot). Początki jéj znajduje autor w kościołach i klasztorach: opowiada następnie jéj rozwój w zamkach feodalnych, w dramatach ludowych, na maskaradach i baletach dworskich od czasów Karola VI w „akademii królewskiéj muzycznéj" Franciszka I, w operze stałéj Ludwika XIII, w teatrze tuileryjskim Ludwika XIV i t. d. W walce stronnictw muzykalnych, np. Lullistów, Ramistów i muzykalnych ultramontanów (zwolenników muzyki włoskiéj), biorą udział niektóre znakomitości literackie i naukowe, tak np. pod „lożą królowéj" spotykamy pomiędzy innemi Diderot'a i Voltaire'a. O wartości wewnętrznéj dzieła upewnia nas przyznana autorowi przez Instytut nagroda.

— *Chroniques Gréco-Romanes* inédites ou peu connues publiés p. Charles Hopf (Berlin. Weidmann. str. XLVIII i 538). W zbiorze tym pierwsze miejsce zajmuje pamiętnik pikardyjskiego rycerza Roberta de Clary p. t.: „La prise de Constantinople", który, pod względem wdzięku opowiadania, staje na równi ze sławną opowieścią Ville-Hardouin'a, z tą wszakże różnicą, że odbija usposobienia niższego rycerstwa, pragnącego dążyć do Jerozolimy, nie zaś podbijać Cesarstwo Greckie. Ciekawe szczegóły o czwartéj krucyacie podaje téż kronikarz Nowogrodzki i Stefan Magno w swoich Annali Veneti. Do mało znanéj historyi Epiru przed tureckim podbojem wiele materyałów dostarcza „Historia della casa Musachia," napisana przez Jana Musachi. Przy tekscie czytelnik znajdzie dużo tablic genealogicznych, ułożonych bardzo pracowicie.

— Aug. Fick: *Die ehemalige Spracheinheit der Indogermanen Europa's.* Göttingen 1873 Vandenhoeck str. VI, 432 8-vo). Dokładnemu ustaleniu jedności językowéj u ludów europejskich stoi na przeszkodzie niewyjaśniona przemiana niektórych dźwięków indogermańskich w syczące dźwięki słowiańskie i litewskie. Trudności téj nie mogą pokonać najznakomitsi filologowie (Ascoli, Joh. Schmidt etc.). Pan Fick przedstawia szereg argumentów na wytłumaczenie zagadkowych przemian i dowodzi, że Słowianie i Litwini używali pierwotnie jednego z Germanami języka.

— W dalszym ciągu swoich „Przodków" (die Ahnen) znany Gustaw Freytag wydał powieść historyczną: „Das Nest der Zaunkoenige." Utworowi temu nawet krytyka niemiecka zarzuca „germański szowinizm."

— Prof. Garcin de Tassy w swoim rocznym przeglądzie języka i literatury hindostańskiéj za rok 1873. (Revue annuelle etc. Paris Maisonneuve str. 88) opisuje *Teatr narodowy hindostański w Kalkucie.* Orkiestra składa się z instrumentów krajowych; w personelu artystów

dramatycznych role kobiéce są wykonywane przez chłopców. Widowisko trwa czasami pięć godzin, aktów bywa po sześć. Jedna z nowszych komedyi p. t. „900 rupij“ (Nau sau rupai) przedstawia cierpienia młodéj dziewczyny, którą ojciec chce sprzedać z licytacyi, ponieważ jéj ukochany nie jest w stanie zapłacić 900 rupii. Zakończenie jest pomyślne, bo kochanek znalazł nareszcie żądaną summę. W innéj komedyi braman chce poślubić kobiétę z niższéj kasty. Córki ubolewają nad tym mésalliance'm i nad smutnym swym losem, że prawo zabrania im wychodzić za mąż powtórnie. Przy téj sposobności wyrzekają na Anglików, że zakazali wdowom palić się na stosie razem ze zwłokami zmarłego małżonka.

— W Norwegii ukazał się niepospolity poeta *Henrik Ibsen*. Jego poemat dramatyczny „Keiser og Galilaeer“ był przyjęty z takim zapałem, że edycya odbita w 4000 egzemplarzy wyczerpaną została w ciągu dni ośmiu.

— L'abbée *Fabre d'Envieu* zamierzył pogodzić wnioski antropologii przedhistorycznéj z Biblią za pomocą następnego pomysłu: dowodzi on, że dwa pierwsze rozdziały Genezy mówią nie o stworzeniu świata, lecz tylko o jednym z licznych przewrotów, jakim podlegała ziemia wraz z całym układem słonecznym. Wyraz hebrajski „bara“ znaczy nie tworzyć, lecz organizować; podkładając to znaczenie, autor tłumaczy słowa genezy „Na początku zorganizował Bóg („nie zaś stworzył“) niebo i ziemię.“ W owym czasie słońce stało się ciałem zsiadłém i ciemném, a więc i ziemia pustą. Dla ożywienia jéj Bóg rozniecił jakieś światło elektryczne i urządził fotosferę w bliższéj niż słońce odległości. Pomysły te i tym podobne są wyłożone w dziele p. t. *Origines de la terre et de l'homme*. Paris, Thorin.

— Literatura tak zwanéj „kwestyi kobiécej“ zbogaciła się piękną pracą pana *Leroy-Beaulieu* p. t. Travail des femmes au XIX siécle. Paris. Charpentier.

† W dniu 30 stycznia r. b. umarł we Florencyi ***Jan Wężyk Rudzki*** syn Onufrego i Tekli ze Zwierkowskich. Znakomicie wykształcony i obdarzony uczuciem estetycznem, z czcigodném zamiłowaniem poświęcał się sztukom pięknym i zabytkom starożytności. Z pierwszéj podróży w młodym wieku odbytéj do Włoch i Egiptu przywiózł mumię złożoną w gabinecie naszego uniwersytetu. W Rzymie wybrany został na członka Akademii ś-go Łukasza. Otrzymał dyplom z podpisem Thorwaldsena. Zajmował się architekturą, szukając w niéj i piękności i pożytku. Dowodem tego są wzniesione przez niego budowle w Sławsku w powiecie Konińskim dawnéj jego majętności. Życiem jego było przywiązanie do nauki, świat umysłowy i wykonywanie obowiązków obywatelskich. Pamięć o życiu takiém pozostanie na długo dla osób bliżéj go znających.

† W Warszawie dnia 19 lutego r. b. umarł ***Józef Unger***, właściciel wielkiego zakładu typograficznego, wydawca „Tygodnika Illustrowanego i Wędrowca," licząc rok 57 wieku. Pracą wytrwałą i energią osobistą, doszedł do majątku, a zaczynał swój zawód drukarski przy jednéj prassie ręcznéj, sam będąc zecerem i presserem. Zacnéj pamięci Gustaw Sennewald (ojciec) przyszedł z ojcowską prawdziwie pomocą młodemu ś. p. Ungrowi; przy tém poparciu, szybko ubożuchny swój zakład typograficzny rozszerzał. Kiedy Henryk hr. Rzewuski rozpoczął wydawnictwo „Dziennika Warszawskiego," śp. Unger drukował go w swéj typografii, a następnie był jego wydawcą, gdy redakcyą tego pisma objęli Julian Bartoszewicz i Wacław Szymanowski. Od 1 października 1859 roku, po upadku „Wolnych Żartów" które pod redakcyą I. K. Gregorowicza i F. H. Lewestama, były pierwszém czasopismem illustrowaném i cieszyły się świetném powodzeniem, Unger rozpoczął wydawnictwo „Tygodnika Illustrowanego." Jakkolwiek znalazł pomoc gotową w drzeworytni znakomitego medaliera Münhejmera, który wielu zdolnych ksylografów wykształcił, publikacyą Tygodnika, i założeniem przy nim stałéj drzeworytni, otworzył szersze szranki dla rozbudzenia téj gałęzi artystycznéj tak użytecznéj, a nawet koniecznéj w dzisiejszym rozwoju literatury krajowéj i handlu księgarskiego. Do pięknych zasług zmarłego, należy udzielona pomoc przy wydawnictwie „Dzieł Syrokomli" z którego osiągnięty zysk, zapewnił los wdowie i sierotom po zmarłym poecie. Zakład śp. Ungra w ostatnich latach pięknością druku i starannością wydawnictw, stanął jako najpierwszy w Warszawie, i w dziejach drukarstwa naszego, po St. Strąbskim, chlubne zajmie miejsce.

† Dnia 23 lutego r. b. zamarł w Warszawie w 70-tym roku życia ś. p. baron Edward Rastawiecki. Obszerne biografie tego zasłużonego dobrze literaturze naszéj męża, podała *Encyklopedya Powszechna* i czasopismo illustrowane *Kłosy*.

OD REDAKCYI.

Panu Tom. Rozwad. z Honiatyna. Prenumerata nie była przesłaną wprost do księgarni Gebethnera i Wolffa, jak to Redakcya wskazuje i ciągle powtarza, dla uniknienia zwłoki i nieporządku, lecz przesłaną została do księgarni M. Orgelbranda, który tłumaczy się, że zeszyty wyekspedyował od siebie i że te przypuszczalnie zalegają na poczcie. W takiém położeniu Redakcya nie jest w możności rozciągnąć nadzoru nad wysyłką pocztową i upomnieć się o brakujące zeszyty.

P. Henrykowi Juszcz. w Charkowie. Reklamowany zeszyt listopadowy r. z. zagubiony na poczcie, księgarnia Gebethnera i Wolffa powtórnie panu przesłała. Należy upominać się na stacyi, a w każdym razie donieść Redakcyi, zeszyt zaś poraz trzeci wydanym być może po przeprowadzeniu skargi gdzie wypada.

P. Natalii Gam. w Strychowcach. Dwa żądane zeszyty za kwiecień i wrzesień r. z., powtórnie teraz dla pani odesłane zostały.

P. Lichtenschtein patr. w Radomiu. Przez pomyłkę ekspedycya spóźnioną była. Lecz przed kilku dniami pomyłka sprostowana, a zeszyty już pan odebrać musiał.

Panom P. A. Wereszczyńskiemu w Petersburgu i *P. Zdziarskiemu.* Autor monografii: „Warszawa i jéj społeczność w początkach naszego stulecia“ odpowiedź swą udzieli w następnym zeszycie Biblioteki Warszawskiéj.

CZYTELNIA
[illegible]
W CIESZYNIE.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Bergera, w Warszawie przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 619.

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Февраля 1874 г.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z R. 1874.

—

stron.

Biografia.

Cypryan Walewski, przez K. Wł. Wójcickiego. 131

Literatura polska.

Przegląd prassy peryodycznéj w Królestwie Polskiém. 53
I. *Niwa*, przez Tadeusza Korzona. 54
Opiekun Domowy, przez tegoż. 85
Przegląd Tygodniowy, przez B. 297
II. *Przyroda i przemysł*, przez A. Wałeckiego. 312
III. Pisma lekarskie, przez D-ra Szyszlo. 409
IV. Przegląd sądowy i Gazeta Sądowa 1873 roku, przez I. M. . 419
V. Ekonomista, pismo poświęcone ekonomice, statystyce i administracyi. Rok VIII 1873, przez D-ra K. Strasburgera. . . 428

Historya.

Warszawa i jéj społeczność w początkach naszego stulecia, przez K. Wł. Wójcickiego. 1, 195, 432

Literatura zagraniczna.

KRONIKA ZAGRANICZNA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Tradycye bulgarskie odkryte przez Werkowicza.—Przeszłość i teraźniejszość Bulgarów, według badań pani Dory d'Istria.—Dzieło pana Aubertin uwieńczone przez Akademią francuzką.—„L'esprit public au XVIII siècle".—Charakter powieściopisarstwa niemieckiego.—Powieść polityczna: „Um Scepter und Krone", p. Samarow'a.—„Von Brandeburg zum Bismarck" pani Ludwiki Hesekiel.—Vor dem Gewitter p. Ludwika Habicht'a.—Powieść filozoficzna Pawła Heize'go: „Kinder der Welt."—Nowy poeta francuzki Vinot: „Poemes et Fantaisies; Donna Juanna."—„Oncle Sam" komedya Wiktoryna Sardou.—„Pan Alfons" pana Aleksandra Dumas.—Przyjęcie do Akademii francuzkiéj nowego członka p. de „Viel Castel."—Wspomnienie generała Segur. Jego pamiętniki w ośmiu tomach.—Kalendarze francuzkie: Maciéj z Dromy i „Le Bon Liegeois i t. p."—Wystawa wojenna w Berlinie.—Kurs professora Aleksandra Chodźko, o tradycyach odkrytych przez Werkowicza. 97

Genewa.—Tradycyjny obchód Eskalady.—Wspomnienie o Juliuszu Słowackim. Eglantyna.—Poemat w Szwajcaryi.—Dzieło p. Ducleusion: O ceramice galskiéj.—Otwarcie kursu prof. Franka w Kollegium francuzkiém.—Agassiz. Dzieło p. Violet le Duc: Histoire d'une maison.—Dramat Jan Thomery pp. Augier i Sandeau.—Przegląd satyryczny w teatrze Château d'Eau.—Szkoła archeologiczna w Rzymie.—Nowe odkrycia starożytnych zabytków w Atenach.—Śmierć Franciszka Hugo, tłumacza Szekspira.—Listy Teofili de Fernig adjutanta generała Dumourier.—Doroczne posiedzenie Towarzystwa Jeograficznego w Paryżu.—Odpowiédź autorowi Świata Słowiańskiego. 320

Prelekcye w Sorbonnie professora literatury francuzkiéj p. Lenient.—Wiek XVII-ty.—Pałac Rambouillet.—Poezya pedantyczna.—Twórcy szkoły: Hiszpan Gongora i Włoch Marini.—Poeta Voiture.—Wpływ téj szkoły na panegiryczną poezyą w Polsce.—„Listy do Nieznajomój" Prospera Merimego.—Uroczystość akademicka: mowy pp. Lomenie i Juliusza Sandeau.—Wpływ małżeństwa na rozwój języka i literatury.—Dzieło pana Buxton Forman: „O żyjących poetach angielskich."—Trzy szkoły: idyliczna, psychologiczna i prarafaelistyczna.—Tennysson, Browning, Swinburne.—„Joanna d'Arc", nowy dramat Juliusza Barbier, z chórami Gounoda.—Dzieło Zellera: „Trybunowie rewolucyi we Włoszech."—Ostatnie powieści Merimego.—„Poesies Dorées," Anatola France 460

stron.

Sztuki piękne.

Stanisław Moniuszko i sztuka muzyczna narodowa. Studyum estetyczne, przez Bolesława Wilczyńskiego.
Wstęp. Znaczenie w sztuce ducha narodowego. 35
I. Źródła poetyczności polskiéj. Literatura XIX wieku. . . 40
II. Rodzina, wychowanie, rysy charakteru Moniuszki. . , . 165
III. Sprawa sztukmistrzowstwa w Polsce. Znamiona ludowego tworzenia. Dwa psychologiczne przymioty stylu słowiańskiego. Pieśniarstwo i muzyka religijna Moniuszki. 177
IV. Cecha artystyczna polskiego tworzenia. Rozbiór pieśniarstwa Moniuszkowego. Język polski w muzyce. Moniuszko i Szopen. 373
V. Sprawa dramatu polskiego. Jego żywotne źródła. Moniuszko i Fredro. Liryczny motyw i charakterystyczność są dźwigniami Moniuszki. Znaczenie lirycznego motywu. Halka. Hrabina. Straszny dwór. Flis i Verbum nobile. 390
Pawilon sztuk pięknych na wystawie międzynarodowéj w Wiedniu 1873 rok, przez Aleksandra Lessera. 495

Prawo.

Nowe prawo hypoteczne pruskie, przez Feliksa Zielińskiego. . . . 263

Korrespondencye.

Listy z Ameryki do przyjaciół w Europie, przez Juliana Horaina. . . 448
List ze Lwowa w styczniu 1874 roku. 515

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.

Zarys dziejów literatury polskiéj na podstawie badań najnowszych pracowników, nakreślił Adam Kuliczkowski. Nakładem Karola Wilda. Lwów 1872. Przez A. Tyszyńskiego. 140
Systematyczny kurs nauk, przeznaczony do pomocy w wychowaniu domowém dla dzieci od lat 8 do 15, ułożył August Jeske. Warszawa, 1873/4. Przez Pawińskiego. 147

stron.

Estetyka D-ra Karola Lemckego, prof. szkoły sztuk pięknych w Amsterdamie. Podług czwartego wydania oryginału niemieckiego, przełożył Bronisław Zawadzki. Z 58 rycinami. Dwa tomy. Lwów, 1874. Przez W. W. W. 354

Wykład ekonomii politycznéj przez D-ra Leona Bilińskiego, prof. nauk politycznych przy Uniwersytecie Lwowskim. Tom II, Lwów. Nakładem autora. Przez D-ra K. Strasburgera. 359

Rękopism Jana Głogowczyka. Przez J. T. Lubomirskiego. . . . 362

Zarysy badań krytycznych nad dziejami, historyografią i mitologią do XV wieku. Wydał E. Swieżawski. Warszawa, 1871—1873. Przez Zygmunta Komarnickiego. 521

Cola Rienzi, dramat historyczny z XIV wieku, w 5-ciu aktach, prozą oryginalnie napisany, przez Adama Asnyka (El....y). Kraków, 1873 r. Przez E. Lubowskiego. 529

Teatra w Polsce przez Estreichera. T. I; Kraków, 1873 r. Przez R. 536

WIADOMOŚCI LITERACKIE. 153, 364, 539

NEKROLOGIA. 163, 371, 547

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

Biblioteka Ślązaka